TOM CCLXXVII. ROK 70.
SERYA 9. ZESZYT 829.

L 221

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

STYCZEŃ.

1910.

BIBLIOTEKA CZYTELNI KATOLICKIEJ we Lwowie.

TOM I.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.
—
1910.

Biblioteka Śląska

TREŚĆ ZESZYTU.

		Str.
1.	OPOKA (powieść),—przez *Kazimierza Zdziechowskiego*	1
2.	ZE STOSUNKÓW SŁOWACKIEGO Z KRASIŃSKIM, — przez *d-ra Stanisława Kossowskiego*	22
3.	ALEKSANDER I i ADAM KS. CZARTORYSKI W LONDYNIE 1814 r., — przez *Eugeniusza Wawrzkowicza*	57
4	POCZĄTKI ODRODZENIA KATOLICYZMU W ANGLII, — przez *Konrada Ostrowskiego*	74
5.	BEZROLNI I MAJORATY,—przez *Wł. Grabskiego*	91
6.	POWIEŚCIOPISARZ-MISTYK,—przez *d-ra Andrzeja Tretiaka*	127
7.	NAŚLADOWANIE I TWÓRCZOŚĆ,— przez *Wł. Korzyckiego*	154
8.	PIŚMIENNICTWO:	
	Szymon Askenazy: „Dwa stulecia XVIII i XIX,"—przez *H. M.*	173
	Stanisław Przybyszewski: „Dzień sądu,"—przez *Henryka Gallego*	175
	Stefan Żeromski: „Andrzej Radek, czyli Syzyfowe prace," — przez *H. G.*	180
	„Malarstwo polskie w odbitkach barwnych." Nakładem i pod redakcyą Stefana Kulikowskiego, — przez *H. Piątkowskiego*	183
9.	KRONIKA MIESIĘCZNA:	
	Na marginesie dyskusyi w sprawie żydowskiej. — Ilu Polaków mieszka w Rosyi?—Projekt uczczenia setnej rocznicy śmierci Hugona Kołłątaja. — 50-iolecie „Tygodnika Illustrowanego." — „Ziemia," organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego	187
10.	WSPOMNIENIE POZGONNE:	
	ś. p. Cypryan Godebski,—przez *Z. D.*	201
11.	WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	203

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA" № 1.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 277.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

BIBLIOTEKA
CZYTELNI KATOLICKIEJ
we Lwowie.

Rok 1910.—Tom I.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1910.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
Biblioteka Śląska

4620.1910.1
II
Biblioteka Jagiellońska
30.000
X-14378
4620/II 1.
1910

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

OPOKA.

I.

Śniałowski szedł wolno szeroką aleją Lubranieckiego parku. Na niebie i ziemi była już jesień. Ząb późnego czasu nadtoczył opiekuńcze płaszcze rozłożystych lip, sztywne osiny drżały w purpurze królewskich szat, rdzą okryły się krępe kasztany i potężne dęby, falą czerwoną, jak krew, spływało z wysokiego muru, który biegł dokoła ogrodu, dzikie wino, niby niezmierne a smutne świeczniki paliły się od stóp do wierzchołka woskowo żółte brzozy. Powietrze słodkie i ciepłe pachniało więdnącemi kwiatami. A niebiosa, powleczone chmurami, które nie mijały, powleczone zadumą i wspomnieniem, dalekie niebiosa przeglądały tu i owdzie smugą bladego srebra, znaczącą wędrowny szlak słońca pasmem zamglonego błękitu. Najmniejszy szelest nie zakłócał ciszy. Nad gasnącem, nad bezcelowem pięknem świata zawisła żałość godziny rozłąki, unosiła się tęsknota za latem, które odeszło drogą, usłaną liśćmi, płynęło westchnienie.

Zgryźliwa zaduma zasłoniła przed Śniałowskim czar październikowego dnia i przepych parku. Roztargnionem spojrzeniem patrzał w przecudne, znane oddawna, pełne dobrych wspomnień zakątki, obojętnie, jakgdyby pospolite ulice nudnego miasta, mijał urocze aleje. Natura, którą kochał i badał niegdyś, której mowę rozumiał, stała mu się obcą i niemą. Na skraju parku, za murem, był kamień osobliwego kształtu, podobno zabrany z jakiegoś grobowca. Tu spotykali się zwykle przed spacerem, albo odpoczywali po spacerze, kończąc niekończące się rozmowy. Śniałowski zatrzymał się, obejrzał parę razy, czekał... Odnalazł na powierzchni głazu dwie niezgrabnie wyryte dłonie, uśmiechnął się do od-

Biblioteka Sejmu Publicznego

ległego wspomnienia — czekał jeszcze. Następnie ruszył znajomą drogą przed siebie. Szedł polem i wypatrywał na zagonie gęstego porostu różowych źdźbełek późnej runi, potem na łące deptał wilgotny potraw. Owionął go zapach, ktory był, jak echo dalekiej pieśni o młodości i lecie. Biały motyl wyfrunął nagle, zatrzepotał się parę razy i opadł, zerwała się z drzewa chmara szpaków. Gorzkie myśli Śniałowskiego krążyły wciąż dokoła zawodu, którego doznał tu, w gnieździe rodzinnem, dokoła krzywdy, która działa mu się. Cierpiała zraniona miłość własna, krwawiło się serce. Przyjechał przed paru dniami, znużony twardem, bojowem życiem, gnany pragnieniem, stęskniony do wielkiego spokoju, który jest na wsi, do ciepła domu, do drogich oczu, do niej, którą nazywał niegdyś siostrą duszy... Ile to razy w dniach smutnych i trudnych, znękany surową walką, zamykał się w izdebce swojej, by w tajemnicy przed sobą samym marzyć o powrocie... Śniło mu się szczęście kochania, marzył mu się prosty i jasny obraz życia rodzinnego, jakiś wieczór, rozweselony świergotem jaskółek i gwarem rozmów poufnych, śniła się słodka chwila powitań i przebaczenia... Przyjechał, upojony ideą, przejęty doniosłością dokonanych czynów, pełen płomiennych nadziei, stanął przed swoimi w roli okrytego sławą działacza, wydawało mu się, że niema w kraju serca, któreby nie biło dla sprawy, polała się zaraz pierwszego wieczoru gorąca opowieść. Słuchano go z zakłopotaniem, z niechęcią, uczyniło się dokoła niego chłodne milczenie i poznał po oczach ich, że potępiają. Potem, jak niegdyś przed laty, wybuchł między nim a ojcem namiętny spór, w którym starły się z sobą dwie uparte wole, dwa zasadniczo odmienne poglądy. Bezwzględne słowa padły z ust ojca, syn śmiał się szyderczo. I była krótka, bolesna nad wszystko rozmowa, podczas której usłyszał oschły rozkaz, ażeby zaprzestał grzesznej pracy, zerwał z krwawą ideą. Nie odpowiedział nic, stał długą chwilę oszołomiony, patrzał w oczy ojca, w spokojne i zimne jego oblicze. Zrozumiał, iż życie rzuciło między ich dusze niezgodę, która nie rozwieje się nigdy, że skończyło się wszystko na zawsze, że trzeba wyrzec się i zapomnieć, że pora jechać. Zapakował swój szczupły kuferek działacza, najął we wsi konika, miał wyruszyć bez pożegnania, ale uprosiła go matka, i został. Teraz był to jego ostatni spacer.

Idąc, usiłował zatrzeć wspomnienia, które mogłyby roztkliwić, i sztucznie podniecał w sobie myśl o pracy. Nie odczuwał dziś zapału. Atmosfera domu rodzinnego okazała się niezdrową pod każdym względem. Wyrastały w niej smutki, nękające wolę,

kiełkowało wątpienie. Przychodziły wśród tych kilku dni chwile, w których patrzał na siebie, jakgdyby ich, t. j. rodziny oczami, przykładał do rzeczy inną miarę—i wydawał się sobie samemu tu, pod niezmiernem niebem wsi, w cieniu drzew, które pamiętały jego dzieciństwo, małym, lichym, pospolitym, małą i marną wydawała się szumna działalność, rozwiewały się zarysy ogromnych przedsięwzięć, gasł blask dokonanych czynów. Zaczynała ukazywać mu się jakaś prawda niewyraźna, tak, jak dalekie niebo prześwieca poprzez splątaną sieć gałęzi, przez liściaste sklepienie alei. Abstrakcyjny świat idei, który stworzył sobie, w którym wyłącznie obracał się, broszurowo-doktrynerski świat fikcyjnych ludzi, stosunków, uczuć, zasnuwał się mgłą i oddalał się, ustępując przed życiem, które przemówiło bólem. Pragnienie szczęścia zasłoniło— na krótko zapewne — umiłowane cele, podnosił się w sercu bunt przeciw surowemu prawu, przeciw rozkazowi własnej woli. I odzywało się kędyś tam, w zakątku duszy, niebezpieczne, nieznane przedtem pytanie: czy wolno? czy warto? czyli dobrą jest droga? Młody działacz dusił w zarodku wątpienie i z uporem powtarzał, że czynem, że zwycięstwem przekona tych, którzy dziś nie chcą uznać. Ogarniało go rozdrażnienie, potem zjawiał się żal, fale łkania szły mu przez serce. Pomimowoli wspominał. Tą ścieżką przed laty chodzili we dwoje, szli w las, na wzgórze, kędy cicho kołysały się nad nimi wierzchołki i ciche szczęście razem z tajemnym szmerem boru napływało im do dusz. Czasami, czytając, marzyli, czasami rozprawiali o życiu. Niezmierne pomysły wyrastały w cieniu drzew, rozpalały się nad przyszłością złote ognie nadziei, ukazywał się im jakowyś wielki, daleki dzień. Tę samą mieli wiarę, te same ukochania. Miłowali ojczyznę, wolność, naród i ludzkość, prawdę i dobro... Pamiętał niektóre mgnienia, pamiętał to wielkie, nieuświadomione wówczas, gdy było, szczęście kochania, uświadomione dziś, gdy minęło... Chwilami nie chciał, nie mógł poprostu uwierzyć, iż skończyło się wszystko, że on nadaremnie przez lat tyle tęsknił, że zamknęło się przed nim serce, które nazywał drogiem. I chciałby spotkać ją, żeby zapytać, opowiedzieć, wyjaśnić. Rozumiał wszakże, że to nie pomoże. Brzmiały mu jeszcze w uszach suche i chłodne jej słowa, widział surowy, prawie niechętny wyraz oczu, niegdyś pełnych ufności. Kto tu zawinił? kto posiał między nimi niezgodę? On nie zmienił się przez lata rozłąki. Dochował wiary marzeniom, ideałom, przysięgom, które składali. Z ukochania celu wysokiego wynikły czyny, które nazwano grzesznymi. Nie znalazł na świecie ani chwały, ani radości, twardym trudem, nieprzerwanem bo-

rykaniem się były długie miesiące rozłąki, gorzkim mu był w samotności chleb smutku — spodziewał się, że w domu rodzinnym... Śniałowski stłumił z pośpiechem nutę roztkliwienia. Podniósł do góry spojrzenie, wolał nie myśleć.

Wypogadzało się. Namiot chmur wychylał się, rwał i łamał, tworzyły się rysy, szczeliny, wgłębienia, przez które wyglądał nie sam błękit jeszcze, ale rzekłbyś daleka jego modra obietnica. Powoli z mglistych obsłon wynurzało się słońce i mżyło skroś obłoki srebrną poświatą, która rozlewała się coraz to szerzej, zagarniając coraz dalsze zagony nieba. Niby oblicze, rozweselone od tajemnej radości ducha, łagodnie jaśniały niebiosa i budziły się z zadumy, wydobywały się z pod powłoki rozpamiętywań, uśmiechały się do życia.

Las był już niedaleki i owo wzgórze na skraju, gdzie zwykle siadywali. Dumały nad niem złote, nieruchome wierzchołki brzóz, klon przykrył je swymi płaskimi, sztywnymi liśćmi, drżały dwie osiny w pobliżu i strumień leśny gadał bez przerwy. Śniałowskiemu nie chciało się iść dalej. Czego i kogo miał szukać wśród drzew, na pustych ścieżkach boru? Usiadł gdzieś i obojętnie patrzał przed siebie w świat, zalany blaskiem. Chmurna opona podarła się na obłoki, które rozpełzły się i szybko tajały, wsiąkały w lazur, nikły w oczach, promienne słońce wypłynęło w ognistej chwale na błękit bez skazy. Niby sen modry i złoty jaśniała pogoda, jak kwiat najcudniejszy, zakwitł niespodzianą radością ten dzień jesienny. Zdawało się, że to jest widzenie, które wnet minie, widzenie zbyt piękne, żeby mogło trwać. Marzyły wysokie, nieruchome drzewa. Nad łąką unosiły się motyle, fruwały ważki, jak o lipcowej godzinie. Był krótki, złudny uśmiech lata...

Bolesne zmarszczki nie wygładziły się na wązkiem czole fanatyka.

Kto im nadał prawo—myślał z rozdrażnieniem—sądzić z wyżyn jakiegoś trybunału i potępiać? On należy do jednej partyi, oni — do innej, nie zgadzają się ich poglądy — i na tem koniec. Spierać się, zbijać cudze zapatrywania wolno każdemu, walczą przecież partye... Tymczasem tu traktują go, jak zbrodniarza; wyraz: hańba padł z ust ojcowskich... Zabolała żywa jeszcze rana i ręce poczęły trząść się, jak podczas sporu. Rad byłby wymazać z pamięci, przejść nad tem do porządku, zbagatelizować, przebaczyć im albo odwrócić się ze wzgardą—i nie mógł. I właśnie dlatego, ponieważ dotychczas nie dbał o przeciwników, lekceważył opinię, drwił z wszelkich zarzutów, ogarniało go roz-

drażnienie. Zraniono go do żywego—cierpiał i zżymał się na siebie, że cierpi.

Co to jest ojczyzna i co jest grzech? Frazes patryotyczny brzmi zwykle w mowie tych, którym dobrze dzieje się w danym kraju, na Boga przeszłości powołują się pokonani w walce dziejowej. Albo ż ojczyzną jest ziemia, gdzie krzywda i ucisk, niewola i upodlenie, w której złoty cielec i święta własność... pojęcie: grzech jest, jak kruż, który rozmaici ludzie napełniają treścią coraz to innego płynu — przekonywał siebie.

Potem próbował szydzić z małoduszności, z przeczulenia, z chwiejności własnej. Ale cierpienie tkwiło głęboko, na samem dnie, jak ciężki głaz, i trudno było wyważyć je i skruszyć tą bronią. Przeciwstawiał wiarę—światło wiary przygasło, a w mroku, który czynił się, rozbrzmiewały niespokojne poszepty.

Istnieje na ziemi, wśród ludzi, w książkach czy w duszy—był trwożny głos—prawda nieomylna i jaki jest znak, wyróżniający prawych jej posiadaczy od tych, którzy błądzą? A może wszystko jest złudzeniem, znikomem odbiciem zmiennych pragnień i marzeń człowieka? Tyle przesunęło się na ziemi w przeciągu stuleci nauk, idei, wierzeń, tylu już było proroków... I rewolucye wybuchały wiele razy, zwalczano je, rozpalały się na nowo... Jedni kochają jakąś ojczyznę, inni — proletaryat... co kto woli... zmieniają się często upodobania ludzkie. I niema ani dobra, ani zła...

Bojaźń chwyciła Śniałowskiego. I stało się nagle, że runął w jednem mgnieniu okazały gmach doktryny, w którym przebywał, a on nie próbował nawet ratować. Zwątpienie nie było wynikiem dokładnych dociekań pracowitej analizy—zjawiło się niespodzianie na podobieństwo chmury, albo tak, jak przychodzi zaćmienie. Zbudził się, rzekłbyś, po długim śnie — i oto był sam z bólem w pustce i ciemności, nie wódz partyi, nie szeregowiec w wielkiej armii ludzkości, w której zatracić siebie byłoby ulgą, ale człowiek znękany i wątpiący. Opuściły go siły. Przypadł do ziemi, ukrył twarz w zwiędłych, pachnących mocno liściach i leżał tak. W ciemności, która go otoczyła, tliły się słabe iskry na pół świadomych doznawań. Rozumiał w tej chwili niezmierną małość własną, nieskończoną nędzę człowieka. Pragnął jednego: zepchnąć z siebie cierpienie, niby obcy narzucony ciężar.

— Niema ani dobra ani zła — szeptał wargami — błąkają się ludzie w ciemności, wśród chaosu... po co tedy cierpieć, gdy może być szczęście...

Na mgnienie ujrzał obraz szczęścia, promienny szlak kochania – niezmierne pragnienie rozsadzało serce, i gotów był poświęcić wszystko, byleby posiąść radość i odrodzić się...

Wydało mu się, że jedynem dobrem na ziemi, jedyną realną wartością w bolesnem życiu jest wesele serca, marzył chwilę, z uśmiechem wspominał coś, ale skruszyła się rychło myśl o szczęściu, i znowu ogarnął mu duszę mrok.

Leżał i wdychał woń zwarzonych liści, która przypominała odległe dnie dzieciństwa, mijały jakieś myśli. Została w nim pamięć, blada i niepewna, jakgdyby o dawnym bycie, pamięć o kimś, który był pełen mocy i wiary, który niósł sztandar idei, który burzył i budował – i dziwił się owemu działaczowi. Odczuwał tłoczące brzemię bólu, a jednocześnie ogromne upokorzenie, gniew i pogardę dla wątłej istoty, która nie umiała zapanować nad cierpieniem. Powtarzał wyrazy pozbawione treści, okruchy zdań, wyjętych z programu, szukał punktu oparcia, wytężał uwagę, wszystkie władze ducha i widział próżnię, a w próżni unosiła się, niby owa ważka nad łąką, drobna i lekka jak owad, myśl o tem, że niema ani prawdy ani dobra, że wszystko jest względnem, że złudzeniem była idea... Potem znowu zapadał w pół sen, w zniechęcenie, w bezgraniczną apatyę...

Zbudził go drżący szelest liści osinowych. Podniósł głowę, usłyszał szmer strumienia leśnego, niby spokojną mowę ukojenia, spoglądał w dal ze zdumieniem, jak człowiek, który powraca po długiej nieobecności. Nad światem tak samo jaśniała pogoda i trwał cud lazurowy i złoty. Dziwiły się oczy czarownemu uśmiechowi piękna, który nie przechodził. Była cisza. Niby niezmierne świeczniki, płonęły w błękitach ciche drzewa, nad łąką polatywały motyle, strumień leśny szeptał spokojną opowieść. Śniałowski zatrzymał wzrok na wysokiej brzozie — oderwał się w tem mgnieniu od podniebnego konaru drobny liść i spływał wolno — ścigał jego wątły lot, wiódł za nim spojrzeniem aż na ziemię, żałował... Jak lękliwa prośba dziecka, odezwała się naraz tęsknota za szczęściem, przemówiło pragnienie, żeby pójść popatrzeć, widzieć raz jeszcze przed odjazdem, żeby przytulić chociażby na krótką chwilę ostatnią radość do znękanego serca. Dźwignął się i ruszył. Tłumił wszelką myśl z obawy, że rozum wyśmieje a wola zabroni. Gdy wchodził do parku, dostrzegł ją. Wracała ze spaceru z wiązką kwiatów. Nie śmiał przybliżyć się, szedł w pewnem oddaleniu, pełen radości. Motyl nadziei zatrzepotał skrzydłami... Ogromne lipy przyjaźnie rozpościerały nad nim opiekuńcze gałęzie, po przez gęstwę konarów sączyły się

zdroje błękitu, jasna smuga słoneczna zadrżała czasem na piasku. Były to, zdawało się, strzępy dobrych wspomnień, wyrazy szczęścia, wyjęte z baśni, która przebrzmiała. Deptał je, śpiesząc.

II.

Spotkali się pod filarami pałacu i razem weszli do olbrzymiej, ponurej o zakratowanych oknach, o ścianach zawieszonych bronią sieni, która wyglądała jak zbrojownia. Radość Śniałowskiego zwiędła, zwarzona chłodem jej obojętnego wzroku. W milczeniu wstępowali po schodach. Spoglądały ku nim ze ściany surowe i sztywne postacie senatorów z rodu Obrońskich. Kilka kwiatów wysunęło się jej z rąk i spadło na kamienne stopnie — nie spostrzegł tego. Pochyliła się i podniosła sama. Zaszeleściły liście bukietu, różowe trzmieliny i wrzosy. W salonie zatrzymali się. Śniałowski spojrzał jej w oczy, patrzał badawczo, spojrzeniem zapytywał.

— Wyjeżdżam już — rzekł cicho.

— Pan odjeżdża?

— Nie będę pisywał... Niezgoda stanęła pomiędzy nami. Rozbiegły się drogi — mówił stłumionym głosem.

Nie zaprzeczyła. Słuchała z zakłopotaniem, z troską, z obawą, żeby nie padły przykre słowa. Nękało ją nieokreślone poczucie winy, ogarniał żal. Widziała jego posępną twarz, zgryźliwe usta, bolesną chmurę na bladem czole — i chciałaby pocieszyć go. Ale zamarło dawne uczucie, i ten, z którym prześniła górny sen najszczęśliwszych lat młodości, dziś napełniał ją strachem. Z odrazą myślała o krwawych czynach bojowca.

— Dlaczego pani dopiero teraz?... Czemu pani nie wypowiedziała szczerze?... I nie chce pani wysłuchać...

Urwał. Plątały się zdania. Miał na ustach może prośbę pokorną, może skargę, może wyrazy gniewu — nie mógł mówić. Mijały chwile. Zdawało się, że w tym ogromnym domu oni są tylko we dwoje. I pochyliła się ku niemu, spojrzała zblizka z dobrocią. „Biedny pan“ — szepnęła i wyszła. Nie próbował jej zatrzymać. To słowo serdeczne było jak jałmużna, a może jak łza, które pada na trumnę. Śniałowski stał pośród pokoju. Z drzwi, za któremi znikła, wzrok ześlizgnął się na posadzkę, uwiązł w jakiejś tafli dębowej i zamarł. W sercu i w myślach uczyniła się pustka, a w pustce skowytał jęk. Została na długie lata w pa-

mięci ta krótka chwila cierpienia w ciszy, wśród zbytku cudzego bogactwa, pod dachem człowieka, którego nazywał wrogiem. Ocknął się na widok Obrońskiego. Ordynat przywitał go bardzo uprzejmie, przysunął fotel, usiadł, jakgdyby zabierał się z ochotą do długiej rozmowy z przyjacielem. Przyglądał się gościowi z zaciekawieniem prawie natarczywem.

— Pan jedzie dziś?

— Tak...

— Spotkamy się tedy na kolei... A tymczasem możemy pogawędzić spokojnie *procul negotiis*, zdala od namiętności, tu w ciszy wiejskiej. Pan chyba ma czas?

— Ależ owszem...

Odpowiadał zaledwie na pytania, patrzał ku wysokim oknom, za któremi błękitniały niebiosa, zajęty był ucieczką, chciał ukryć się przed bólem. Chwilami udawało to mu się. Roztapiał myśl w lazurowym przestworze, płynął kędyś, unoszony nurtem bezteściwej zadumy, oddalał się od cierpienia, zapominał — że oto naraz rozlegał się jęk, który szarpał mu serce, zaczynało skowytać cierpienie i brało go w posiadanie, albo tam wśród nieba ukazywał się drobny punkt, który rósł, rozszerzał się, stawał się ciemną chmurą, z której wyłaniała się złowroga postać.

— Dowiedziałem się — powoli, dobitnie mówił tymczasem gospodarz — że pan, mimo tylu lekcyj poglądowych ubiegłego roku, nie zmienił zapatrywań i upodobań, że pan na czele ruchu z tłumem i dla tłumu... Chciałbym przypomnieć panu pewną rozmowę o wielkich ludziach... pamięta pan... Twierdził pan wówczas, że wśród marności i znikomości tego, co jest, pojawia się od czasu do czasu mąż silny, posłany od Boga, który przynosi wiedzę i moc, że takiemu mężowi oddaną być musi władza...

Obroński zatrzymał się, może zdziwiony apatyą gościa, po chwili ciągnął jednak dalej:

— Tymczasem pan wciąż pracuje nad tem, ażeby zapanowała ulica, żeby rządy przeszły w ręce motłochu... Jak to pogodzić z wiarą w potęgę ducha? Niech pan sobie wyobrazi, że taki człowiek, posłany od Boga, ukaże się za panowania waszego, wśród wszechwładnej gawiedzi. Co będzie czynił w waszym koszarowym ustroju, dokąd schroni się mąż wielkiego tęsknienia? Osiem godzin pracy użytecznej na obstalunek pospólstwa, osiem godzin snu z żoną, poślubioną w urzędzie cywilnym, osiem godzin na popularnym koncercie.

Śniałowski, znękany rozterką, puszczał mimo uszu szyderstwa, do których przywykł. Nawiedzały go najdziwaczniejsze

pomysły, najbardziej sprzeczne chęci. Tęsknił do cichego wzgórza, gdzie drżały osinowe liście i strumień leśny szemrał kojącą opowieść, ale przypominało mu się wątpienie, które tam czaiło się, i wolał już salon, rozmowę, cierpienie, z nienawiścią patrzał w piękną twarz gospodarza, który gadał, postanawiał wstać i odejść i, nie wiedzieć dlaczego, zostawał, gotów był wyznać wszystko Obrońskiemu, miał na ustach poufne zapytanie... Brzmiał mu gdzieś w sercu jej głos współczucia: biedny pan!; chciałby paść jej do nóg, przepraszać, skarżyć się, mówić długo z samego dna duszy, że żałuje, że kocha, że wszystko się zmieni i naprawi... Potem przypomniało się oschłe napomnienie, które mu rzuciła, moralna nauka o grzechu, i owe szyderstwo dotkliwe.

— Doktryna, teorya, frazesy, chłód...—powiedziała mu z dziwnym uśmiechem kobiety, która się nudzi.

Zaczynał wątpić o swojem i jej uczuciu, i myślał, że poprosi, ażeby przyszła ona, że powie jej, iż on sam odwraca się z pogardą, że przestał już kochać a wiernym będzie idei, że droga jego w świty... Nasłuchiwał i czekał, zali nie otworzą się drzwi... A gdyby przyszła, możeby przemówił do niej zgoła innemi słowy...

— Pan wierzy w postęp? — padło pytanie.

— Tak — odparł machinalnie.

— Chciałbym, żeby mnie pan przekonał, bo ja, panie, szukam, gdzie podział się ów dawny wielkiej miary, wysokiego polotu człowiek wolny i silny... Niema go wśród nas...

Była chwila milczenia. Obroński nie przestawał dziwić się, że gość z taką obojętnością znosi napaści.

— Ludzie dawniejsi — mówił znowu — odważni, zakochani w czynach mieli poczucie mocy własnej, a jednocześnie zrozumienie rzeczy wiecznych. Życie biło silnem tętnem, a dusze drżały w obliczu Boga, korzyły się przed Tajemnicą. Dziś płytka filozofia wasza każe zamknąć oczy na wszystko. Nie wolno już pytać, ani łaknąć. Wiarę żywą zastąpiła marna terminologia...

Śniałowski podniósł wzrok i spojrzał w chłodne, rozumne oczy gospodarza. „Wiarę żywą zastąpiła terminologia," powtórzył w myśli parę razy, jakgdyby chciał tę uwagę zapamiętać.

— Przez stulecia ludzkość zgłębiała byt, wy rozstrzygnęliście odrazu i niema już zagadnień na ziemi. Tłumowi w to i graj. Przechadzają się dziś ludzie z programem w kieszeni surduta, z gotową odpowiedzą.

Mimo wszystkie różnice poglądów, mimo odrazy do ruchu rewolucyjnego, Obroński lubił młodego działacza, któremu przypatrywał się od dziecka, z którego ojcem, wieloletnim administra-

torem ordynacyi, łączyły go zażyłe stosunki. Wtajemniczony we wszystkie szczegóły dramatu rodzinnego, oraz smutnego epilogu romantycznej przyjaźni między kuzynką i bojowcem żałował ojca, któremu idea zabrała syna, żałował syna i, widząc jego zgnębienie, poruszał drażliwe tematy, napadał i dokuczał, pragnąc wywołać spór, doprowadzić do wyznania, wzbudzić zapał, żeby potem przy sposobności wstawić się za rodzicami, przemówić do serca, powiedzieć słowo prawdy. Ale Śniałowski popadał wciąż w apatyę, i zamiast rozmowy był monolog gospodarza.

— Pastwicie się nad burżujem, nad filistrem—próbował jeszcze ordynat—a nie o wiele lepszym jest wasz uświadomiony proletaryusz... Przyglądałem się w miastach zachodniej Europy... Taki pan z partyi nosi czerwone krawaty, prenumeruje gazetę socyalistyczną, bierze udział w pochodach i manifestacyach, które nie zagrażają jego życiu, chodzi na wiece publiczne i oklaskuje swoich wodzów — pozatem nie różni się niczem od najbardziej przeciętnego właściciela sklepiku... U nas tu pod wpływem wschodniej kultury wytworzył się zgoła odmienny typ. Zatruwa was pesymizm i zniechęcenie, nęka wam dusze cyniczne przeczucie... Pan także pokutuje...

— Nie wiem, panie—sucho przerwał Śniałowski.

— Sięga pan po władzę, ale cierpienie patrzy panu z oczu i chwiejność... Pan wątpi i waha się. Wiem, że zabraknie panu w ostatniej chwili bezczelności, żeby pójść aż do końca. Pan usiadł grzecznie w fotelu i uprzejmie wysłuchiwał moich filipik, tymczasem należało zamordować mnie i zagarnąć moje pieniądze...—ze śmiechem mówił ordynat.

Śniałowski, którego zniecierpliwił ten żart, wstał wreszcie.

— Pan idzie już... Sądziłem, że pan zechce pożegnać...—cicho spytał gospodarz.

Działacz zawahał się. Zwiesił głowę, wbił wzrok w ziemię i chwilę stał tak. Potem—wyszedł bez odpowiedzi.

I znowu spojrzały na niego ze ścian surowe i sztywne postacie senatorów. Na schodach spostrzegł kilka różowych listków trzmieliny, które osypały się były z jej bukietu — przydeptał je stopą. Otwarły się automatycznie ciężkie dębowe podwoje — i z posępnej sieni wydostał się na świat, jaśniejący pogodą. Słońce staczało się szybko ku bezchmurnemu zachodowi, niebiosa zbladły, stały się przejrzyste i chłodne. Bursztynowy blask słał się na trawnikach, ukazały się długie, tajemnicze i smutne cienie. Padała już rosa, i z wonią więdnących kwiatów mieszał się zimny zapach wilgotnej ziemi i butwiejących liści. Śniałowski szedł

śpiesznie krótszą drogą do domu. Zbliżała się chwila odjazdu. Chciał przyjść niepostrzeżenie, wymknąć się bez pożegnania, ale spotkały go na ganku siostry i towarzyszyły nieodstępnie. Wypadło zasiąść z rodziną do herbaty. Toczyła się dokoła rozmowa, urywana, trochę sztuczna, nastrój był gnębiący. Spojrzenia zebranych zwracały się wciąż ku niemu, który milczał, siedział odosobniony, niby wróg. Zdawało się chwilami, gdy czyniła się cisza, że wszyscy czekają, ażeby on przemówił wreszcie, zdawało się także, że coś złego ma się stać niebawem, że niepokój ogarnął zgromadzonych przy stole. Ktoś wtrącił coś o pięknej wyjątkowo ciepłej jesieni, ktoś inny, Leoś, który z powodu strajku nie pojechał do szkół, opowiadał o jakichś strzałach w miasteczku. Każdy temat wyczerpywał się rychło, każdy był nieodpowiedni. Tylko mały pięcioletni Stasiek nie przestawał gwarzyć wesoło na kolanach Madzi. Uśmiechały się do niego ukradkiem mimo smutku tej godziny oczy dziadka i babki...

Śniałowski myślał, że oto jest obraz szczęścia rodzinnego, o którem marzył w oddaleniu, że on psuje to szczęście swoją obecnością, że jest niepotrzebny i obcy, że zapomną o nim, skoro odjedzie, że Stasiek wnuk zastąpi jego miejsce. I myślał dalej, że pod tym dachem mogłoby mu być dobrze wśród kochających, że tu jest jedyne schronienie, jedyny zakątek, że szkoda dziecinnych lat, czasów szkolnych, wakacyj... Tak samo co jesieni o tej samej godzinie wyjeżdżał do miasta... odwoził go zwykle ojciec, a on chodził patrzeć do stajni, które pójdą konie: kasztany Tomasza, czy siwe Stanisława i napychał kieszenie przysmakami i klękał pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej... Przypomniał mu się niespodzianie pewien fragment dawnego szczęścia, drobne a niezapomniane zdarzenie, gdy którejś nocy zbudził się w okropnej trwodze bez żadnego powodu, jak to się trafia dzieciom. Zerwał się przerażony, uciekał od strachu, który gonił go, i biegł boso przez ciemne puste pokoje do matki z płaczem, a matka przeczuła tę jego trwogę i śpieszyła na spotkanie... Pamiętał ową radość i wdzięczność, słodkie uczucie, kojące przeświadczenie, że matka zawsze, w każdej biedzie...

Podniósł teraz wzrok na nią. Spotkały się ich spojrzenia. Patrzał w zwiędłą, pomarszczoną twarz, w znużone oczy, na pasemko siwych włosów, które wysunęło się z pod czepka, na usta, które raz po raz otwierała zadyszka, na ręce, niegdyś lekkie, wysmukłe, dziś obrzmiałe i chore — widok starości napełnił go niezmiernym smutkiem i poraz pierwszy przeszyła go myśl o śmierci, myśl, że nie zobaczy może nigdy... Pryskała na nim zbroja

bojowca, żal kruszył serce... Przyglądał się po kolei ojcu, Madzi i młodszym siostrom, bratu Leosiowi, znowu wrócił spojrzeniem do matki, potem wstał i, nie mówiąc nic, udał się do swego pokoju... Matka przyszła za nim. Chwilę patrzyli na siebie. Matka dyszała ciężko.

— Niedługo ty z nami, Janku... Wyjeżdżasz już...—mówiła przerywanym głosem.—Widzisz, Janku...

Nie próbowała prosić, nie śmiała pytać, czy wróci. Łapała ustami powietrze, na twarzy malowało się cierpienie fizyczne, a oczy nabrały dziwnego blasku, który nadaje czasem boleść.

— Gdybyś ty przynajmniej obiecał!...—szepnęła.

Syn ukląkł, objął jej kolana i przytulił do nich głowę. Zerwał się potem i—wybiegł z tłomokiem. Dążył do wsi, szedł, nie oglądając się. Pochylił głowę, nasunął na czoło kapelusz, zapiął palto na wszystkie guziki, jakgdyby poczuł nagle chłód. Pod drzewami alei było mroczno. Kołysały się, trącone powiewem wieczornym, gałęzie, brzmiał przykry, suchy rzekłbyś, ochrypły szelest, który na jesieni czynią zwarzone liście. To drzewa rodzinne na pożegnanie szeptały mu do ucha złowrogie wróżby. Przysłuchiwał się niepokojącej mowie i przeniknęło go niedobre przeczucie, nawiedziła trwoga, której nie znał przedtem, trwoga wobec niewiadomej przyszłości, wobec życia.

Wydawało mu się także, że gonią za nim głosy blizkich, że ktoś zabiega mu drogę, że matka woła, żeby wrócił, ostrzega przed nieszczęściem, które czyha w oddali, a może kryje się za ścianą lip. Podniosła się fala żałości na myśl, że to jest ostatnie rozstanie, że już nie dotkną go nigdy drogie ręce, że nie spojrzą biedne oczy matczyne, odezwała się skarga...

Wózek czekał na gościńcu. Zaturkotały koła, chłopak zaciął konia, ruszyli. Wówczas Śniałowski obejrzał się, poszukał wzrokiem domu rodzinnego, pałacu i owego okna, z którego przed laty, gdy odjeżdżał, powiewała zwykle biała chustka. Zasłaniały je drzewa parku. Mimo to patrzał. Z niewidzialnego komina wykwitał dym i strzelał w jasne i chłodne niebiosa wysoką prostą kolumną, którą u samej góry przy kapitelu zdobił rozwiewny pióropusz. Szczekały gdzieś psy, wrony z krakaniem sadowiły się na najwyższych gałęziach i spoglądały ku zachodowi, gdzie dopalały się rumiane blaski dnia, który się kończył. Była długa godzina przejrzystego zmierzchu. Jechali dość szparko. Droga biegła przez dobra ordynata, wśród żyznej równiny znakomicie uprawnych pól. Od czasu do czasu z pomiędzy drzew bielały mury zabudowań folwarcznych. Woźnica, gadatliwy z natury,

wymieniał za każdym razem nazwę majątku, wdawał się w jakieś objaśnienia, rozwodził się nad niezmierzonem bogactwem ordynata. Śniałowski potakiwał mu chętnie i wcale nie słuchał. Myśli wlokły się szlakiem cierpienia, w sercu zawodził smutek. Było mu nie tyle żal domu, matki, narzeczonej, ile całego okresu życia, który skończył się, owych najsłodszych lat dzieciństwa, wiosennego błonia młodości, czasów, gdy miał dom rodzinny, opiekę i kochanie. Doznawał wrażenia, że zamknięto za nim na zawsze jakąś bramę, że wchodzi na nową, nieznaną zgoła drogę, że on już niema nikogo na świecie, że sam jest wśród wrogów...

— Doktryna, teorya, frazesy, chłód — wspominał z goryczą ironiczne określenia. Tak, gdybyż oni zajrzeli w głąb i poznali, ile go kosztuje ofiara... Poświęcił wszystko i poszedł na twardą służbę... do ostatniego tchu będzie działał, spełni—przekładał sobie, krzepił wolę.

I wydawało mu się, że odzyskuje równowagę. Ale z pod pokładów rozumowań, z pod warstwy odleżałych teoryj odzywał się natychmiast głos wątpienia... Przypomniała mu się niedobra godzina ciemności, którą przebył tam, na cichym wzgórzu leśnym, przyczołgiwała się bojaźń, ogarniał niepokój, że znowu rozpadnie się gmach doktryny i ukaże się próżnia, a w próżni zaśmieje się z niego w żywe oczy szydercza nauka o względności i znikomości wszystkich idei, teoryj, programów, prawd...

— A wówczas?—zapytywał siebie—co będzie wówczas, gdy i tam na polu walki nie znajdzie w duszy wiary? Czem napełnić pustkę życia, które dotąd było radosnym trudem na drodze zbawienia? Kto go pozbawił wiary? cierpienie czy wyrok rodziny, która idei jego przeciwstawiła wstecznicze oburzenie, spleśniałe słowa o ojczyźnie, gniew szlacheckiego Boga? Udało mu się złamać już niejednego przeciwnika... Próbowali nawrócić go i spętać i hrabia Tobiasz, zagadkowy prorok, i szyderczy magnat Obroński, i narodowcy, i tamci z partyi... Wytrwa i teraz...

W pewnej chwili spojrzenie Śniałowskiego padło na chłopa, który o zapadającym zmroku orał swój wązki zagon. Chodziła za nim mała bosa dziewczynka, obwiązana grubą chustą i zbierała zapewne ziemniaki. Widok tej pracy cierpliwej, upartej, milczącej człowieka samotnego wśród nocy, która czyniła się na ubogim zagonie, podziałał na Śniałowskiego, jak płomień skrzesanej iskry. Litość wyrwała myśli z ciasnego koła wzruszeń osobistych, zapaliła uczucia partyjne, które podsycało nasuwające się porównanie jałowej a szczupłej niwy chłopskiej z rozległym obszarem ordynacyi. Śniałowski przerzucił się w jednem mgnieniu od bezna-

dziejnej niewiary do fanatyzmu. W skłonnej do krańcowych uniesień organizacyi działacza przewrót dokonywał się szybko. Ucichła rozterka.

— Wyzwolenie uciśnionych, walka ze złem, z cierpieniem, z krzywdą — powtarzał, spoglądając w chłodne dale nieba — oto jest dogmat niewzruszony, takiem jest zadanie, ten jest cel najświętszy.

III.

Przed samą prawie stacyą wyminął Śniałowskiego szybki, zaprzężony w dwa rosłe folbluty, ze strzelcem na koźle, wózek ordynata. Ordynat ukłonił się uprzejmie, wykonał jakiś nieokreślony gest, którym może zapraszał do swojej bryczki, młody działacz skinął zaledwie głową. Ogarniała go złość na wspomnienie szyderstw i nauk moralnych, które wysłuchiwał pokornie kilka godzin temu w salonie Obrońskiego, które puścił płazem, i chciałby powetować to sobie przy sposobności. Nagromadziły się zjadliwe słowa, wrzały w nim gromy, miał już gotową odpowiedź. W Obrońskim, którego znał oddawna i lubił niegdyś, widział teraz tylko abstrakcyjnego przedstawiciela wielkiej własności, pasorzyta, ciemięzcę, uciskającego ubogą ludność, wroga, którego należało złamać. Uczuciowy wniosek o walce z cierpieniem posilił znużoną po dwudniowej rozterce duszę. Patrząc w nizkie okna, w nędzne zagrody wioski, która ciągnęła się długim sznurem z obu stron błotnistej drogi, potem w poczekalni III klasy, gdy znalazł się w tłumie chałatowym i siermiężnym, dziwił się sobie, że mógł zapomnieć o krzywdzie, że tak późno ocucił go jęk niedoli powszechnej, że były jakieś wahania. Powracała wiara...

Popychano go niemiłosiernie przy kasie, było gorąco i duszno, dokuczała nieznośna wrzawa, a on cieszył się, że otaczają go ci, dla których szczęścia pracował i uniesiony litością, gotów był ściskać każdego z upośledzonych braci. Dopiero obłoki śmierdzącego dymu zmusiły Śniałowskiego do ucieczki. Wyszedł na peron odetchnąć świeżem powietrzem, przechadzał się. Gwiazdy świeciły na niebie, i panowała tam w wiekuistych odmętach święta cisza. Młodemu działaczowi wydawało się, że spoglądają ku niemu z wysoka złociste oczy i przyjaznym spojrzeniem zachęcają do działalności. Rozglądał się potem po ziemi. Dokoła zapalonych latarni snuli się ludzie. Wędrowały pary, odbywał się jakiś

flirt. Znudzona żona zawiadowcy, piękność stacyjna, gawędziła zalotnie z oficerem, który obcesowo nacierał... Pociąg towarowy ruszał właśnie. Gwiznęła lokomotywa, ociężałe wagony drgnęły leniwie i potoczyły się gładko, coraz chętniej i szybciej. Śniałowski przypatrywał się kołom, które sunęły, obracając się razem z osiami i przypomniał mu się, niewiedzieć dlaczego, tragiczny koniec Anny Kareniny.

— Żyć trzeba—myślał, wsłuchując się w rozweselający świst parowozu—znużeni i słabi odchodzą, żyć trzeba, działać do ostatniego tchu...

Poraz pierwszy od czasu przyjazdu w strony rodzinne odetchnął pełną piersią, poczuł przypływ sił, które rodziły się z radosnego podniecenia. Wyprężyła się przytłoczona ciężarem smutku wola, rozsunęły się ciemne chmury złych przeczuć. Widział przed sobą, niby zalany jasnością łańcuch stromych gór, przyszłe czyny swoje i rwał się do boju z wrogiem świata, ze złem. Przebrzmiały bez śladu bolesne słowa matki, zamilkła trwoga, która trapiła go tam, wśród samotnych pól, nad któremi zawisa nieodgadnięta zaduma wiekuistych niebios. Myślał znowu utartemi zdaniami, których używał w sporach, odezwach, przemówieniach wiecowych. Stracił z oczu i uwagi rzeczywistość pobytu w domu, rzeczywistość odjazdu, rozłąki, cierpienia, zadanego sobie i rodzinie i znowu otoczył go abstrakcyjny świat idei, który był jego żywiołem.

Gdy zbliżył się Obroński, przywitał go pogardliwem spojrzeniem.

— Pan postawił na swojem — przyjaźnie zaczął ordynat — i jedzie...

— Nie było przecież żadnych przeszkód...

— Przypuszczałem, że zatrzymają pana.

Patrząc sobie w oczy, milczeli chwilę. Obroński badał mizerne, spracowane oblicze działacza, ubogi ubiór, bluzę z czarnego sukna, takie same, tylko bardzo wytarte palto, śmieszny odwiecznej mody kapelusz, zauważył, że dawnym ogniem płonęły fanatyczne oczy, że zuchwałym był wyraz twarzy, i dziwił się szybkiej przemianie.

— Pan wyprostował się szybko i łatwo—rzekł cicho, jakby tonem zapytania.—Szczęśliwy pan...

— Ja nie narzekam na swój los.

— A wydawało mi się, że dostrzegłem wahanie, i gotów byłem posądzać pana o sentymentalizm, który jest pierworodnym grzechem każdego Polaka...

Śniałowski uśmiechał się pobłażliwie, niby wódz do żołnierza, ale kurczyła mu się już twarz, jak zwykle przed wybuchem.

— Cofam swój zarzut... Widzę, że pan niesie swoją ideę, pełen poczucia nieomylności, nie spostrzegając, że inni ludzie z równym prawem do nieomylności...

— Wy zaś — przerwał gwałtownie Śniałowski — wdajecie się w roztrząsania, w subtelne analizy, w gadulstwo, bo jesteście niezdolni do czynu, boście gnuśni i chwiejni. Dzień wasz już minął... Gdybyście zechcieli przynajmniej ustąpić dobrowolnie...

Obroński stłumił dyskretnie poziewanie i przysłuchiwał się hurkotowi zbliżającego się pociągu. Szumna wymowa fanatyka nudziła go.

— Widziałem, jadąc na stacyę, wśród rozległych obszarów ordynacyi, wązki zagon chłopski i chłopa, który orał o zapadającej nocy... to symbol...

Na stacyi zapanował ruch. Zadzwoniono. Zawiadowca w swojej czerwonej czapie stanął na posterunku, żandarm przechadzał się.

— Jedziemy tedy razem, chociaż w przeciwne strony...—ordynat uśmiechnął się blado.

Pożegnali się. Obroński, który unikał wagonowych znajomości i rozmów, zamknął się w osobnym przedziale. Po chwili zjawił się strzelec, wyjął z tłomoków pled i poduszkę, świece, książkę, przygotował wszystko na noc. Ale Obrońskiemu nie chciało się ani spać, ani czytać. Wyglądał oknem, chwytał nikłe spostrzeżenia — kilka razy na krótko Śniałowski zaprzątnął jego uwagę — myślał powierzchownie i z roztargnieniem, jak zwykle w podróży, przypominał rzeczy obojętne. Potem powoli otwarły się jakgdyby podwoje duszy, i weszła przez nie zaduma, a za nią zniechęcenie i smutek i gorzkie przeświadczenie o bezcelowości życia. Zdarzało się to rzadko ordynatowi. Jak większość ludzi czynnych, Obroński rzadko i mało rozmyślał o sobie i życiu. Interesa, zajęcia, sport, książki, kobiety i sztuka pochłaniały mu czas i uwagę, dnie mijały szybko, w natłoczonym wrażeniami omnibusie życia brakowało zwykle miejsca dla milczącego podróżnego, który rozważa, zastanawia się, bada i sądzi. Dziś niespodzianie przyszło do poufnej rozprawy z sobą... i wypełzły z kryjówek uczucia, do których ordynat nie chciał przyznawać się, nasuwały się przykre wnioski.

Był już w wieku, w którym człowiek normalny i dojrzały nie szuka i nie zagląda w przyszłość, ale czynami zaznacza indywidualność, działalnością wykreśla swój typ i linie dążenia, tym-

czasem przechodziły lata po latach, a on nie wyszedł z roli widza, z nieokreślonej roli obiecującego magnata. Czuł i rozumiał, że społeczeństwo wciąż jeszcze spodziewa się czegoś od niego i sam zaraził się temi nadziejami i także nie przestawał czekać. Wydawało mu się czasami, że nie wybiła jeszcze godzina. Stał na uboczu, uśmiechał się sceptycznie, ganił i szydził, prawił na prawo i lewo morały, wyrzekał na zaduch i płytkość—i nie zabierał się do żadnej roboty. Gdy wybuchła w kraju burza, pierwszy uderzył na trwogę. Zwołał wówczas naradę, w uniesieniu wygłosił mowę, trochę patetyczną, której się wstydził potem, chciał bronić ideałów, którym, zdaniem jego, groziła zuchwałość sięgających po władzę tłumów, miał partyi wywrotowej wypowiedzieć wojnę bezwzględną. Nie znalazł w społeczeństwie echa—i rychło ostygł. Rewolucya, zakrojona zdawało się, na wielką miarę, zmarniała, i walka z nią, jak owa przysłowiowa gra, nie warta była świec. Więc z pobłażliwym uśmiechem wyższości przyglądał się w dalszym ciągu czasom i ludziom, szydził z tych, których ogarnęła gorączka pracy na niwie konstytucyjnej, zarówno wyśmiewał i tamtych, burzycieli w stylu Śniałowskiego. Oba wpływowe w kraju stronnictwa zabiegały o jego względy i rozmaici przewódcy namawiali wciąż, ażeby raczył wreszcie wystąpić, ale on zrzędził i ociągał się. I była w tem ociąganiu się dziwna i najzupełniej sprzeczna z jego usposobieniem niekonsekwencya, bo należało albo oddawna stanąć w szeregu, albo, machnąwszy ręką na wszelką działalność, zamknąć się w obrębie spraw prywatnych, zażywać w zaciszu domowem spokoju, wyrzec się nieokreślonych aspiracyj.

— Więc dobrze — myślał teraz — stanę się człowiekiem społecznym, założę gazetę, zapiszę się do partyi, stworzę nowe stronnictwo, postaram się o mandat poselski, będę urządzał zebrania, zbuduję młyn polityczny, zaleję niwy ojczyste wodą wymowy patryotycznej...

Wpadał w szyderstwo i rozumiał, że nie wystarczy działalność społeczna, że nie tu tkwiła przyczyna... I patrząc z okna na gasnące wśród pustki pól i nocnej ciemności snopy iskier nie mógł odegnać gnębiącej myśli o straszliwej próżni i bezcelowości życia, złożonego z uciekających dni, z żalem oglądał jałowy obszar lat, które już przeszły, dalej szukał źródła, z którego płynął ukryty nurt niezadowolenia z siebie i istnienia.

Nie pragnął przecież sławy, nie doznał dotkliwych czystо dla serca, czystо dla ambicyi zawodów, nie nękała go nuda, udręczycielka ludzi bogatych a bezczynnych. Dnie jego były praco-

wite, wszystkie godziny miały swój cel. Używał podług recepty doświadczonego mędrca starożytności, który był nauczycielem szczęścia, a jednocześnie ściśle wykonywał plan, zakreślony przed laty. Zbudował sobie rozsądnie na mocnych fundamentach wygodny dom życia, którego zazdrościli mu ludzie, w którym, jak wyraził się ktoś, znajdowały się pokoje dla pracy, sale sportowe, alkowa kochania, komnata artystycznych uciech, katolicka kaplica. Wydawało mu się, że rozumnie wykonał zamiar, że stworzył wszystkie warunki, uwzględnił wszystkie wymagania i potrzeby. Prowadził ścisły a sprawiedliwy rachunek praw i obowiązków, starał się sumiennie płacić pracą, użytecznością, dokładnym wypełnianiem zadań za przywileje i uciechy... Potępił pesymizm znużenia, sceptycyzm apatyi, grymas przesytu na twarzy próżniaków, wyszydził jałowe poloty wyobraźni ku nieziszczalnemu ideałowi, odrzucił wszelkie zawiłe zagadnienia i stale powtarzał, że na świecie źle się dzieje tylko niedołęgom i marzycielom, którzy zamki swoje stawią na lodzie. Chciał być człowiekiem przeciętnym, postanowił posiąść normalne szczęście człowieka przeciętnego, obmyślił teoryę, miał dowieść ludziom, że każdy jest twórcą własnej doli albo niedoli. Ale teorya rozminęła się z praktyką w tem znaczeniu, że szczęście, którego wszystkie warunki były zachowane, istniało jedynie na papierze. I przychodziły chwile, w których ordynat widział próżnię życia, odczuwał niezadowolenie i jakąś tęsknotę, w których wydawało mu się, że cały dom, zbudowany podług mądrego planu jest zgoła niepotrzebny...

Mawiał wówczas, że kraj zawdzięcza mu kilka derbistów, parę użytecznych fabryk, dobrobyt pięciu tysięcy rodzin, wysoką kulturę rolną na znacznej przestrzeni jednego z powiatów, doskonałą galeryę, on zaś krajowi—to jedno nieszczęście, że urodził się z wybujałą polską wyobraźnią, z niespokojną duszą Polaka, z polskim sentymentem i sentymentalizmem. I usiłował przejść do porządku nad zniechęceniem, które wzmagało się z latami, nad utajonem przeświadczeniem, że nie spełniły się jakieś nadzieje, zagłuszał ton smutku, starał się wziąć w kluby i zgnieść ostatecznie niesforną wyobraźnię. Udawało się to niezawsze. Niespokojna dusza polska burzyła się, tęskniła za czemś, zrywała się do lotu, pieściła jakieś pragnienia, poddawała się nastrojom, z których szydził rozsądek...

Przypominały się Obrońskiemu w podobnych chwilach podczas zadumy, która otwierała podwoje duszy, niebiosa dnia wiosennego, powleczone srebrzystą wełną chmur, jasnych od słońca, ciepły uśmiech kwietniowego poranku. Kiedy to było, nie pamię-

tał... W młodości, w jakimś dawnym, dawnym miesiącu życia. Nie stało się wówczas nic szczególnego. Był jakiś najpospolitszy może piąty kwietnia. Wstał wcześnie i wyszedł z ciemnej sypialni wprost na ganek powitać dobroczynną wróżbę wiosny. Olśnione oczy utonęły w radosnej nadziei, w młodocianej szczęśliwości, która ogarniała świat. Jak srebrne łuski pancerza płonęły obłoczki, z pod których wydobywało się słońce, i przecudny był poszarpany, odzierzgnięty złotą nicią brzeg najniższej chmury. Lekka mgła zieleni spowijała drzewa, dziecięcą zielenią nieśmiało zakwitały łąki... Ptactwo szczebiotało w zaroślach... Radosne spojrzenie ścigało wysoki lot szybującego bociana, wypatrywało słońca, które wychylało się zwolna, błysnęło czasami na krótkie mgnienie, kryło się znowu. I zaśmiała się naraz z oddali wesołem migotaniem skrzących paciorek rzeka, zapaliły się na dachu kościelnym blachy, spłynęła na ziemię i rozlała się jasność wesela. Zdawało się, że zadrżały muśnięte rozkoszą słonecznego pocałowania drzewa, że ciche szeptanie uciechy rozległo się wśród drżących źdźbełek trawy. Piały na wiosce koguty...

W sercu wezbrało poczucie mocy, rwało się serce z piersi, kipiały siły, niby płomień strzeliła w górę nadzieja, potrzeba kochania, pragnienie miłości gorejącą strugą rozlało się w duszy.

Była to chwila wielkiego szczęścia, blask jej przyćmiewał wszystkie późniejsze radości, bladą i smutną w zestawieniu z nią wydawała się rzeczywistość. Alboż mogło życie dorównać snom młodości?

Nasuwało się niekiedy wspomnienie zgoła odmienne. Widział spojrzeniem duszy żałobny pokój, katafalk, oną długą i bolesną noc, którą spędził przy zwłokach matki. Goście udali się na spoczynek, modlące się dziady posnęły, on czuwał sam w ciszy ogromnego domu. Wśród milczenia, które zalegało dokoła, wydawało mu się, że słyszy szelest chwiejących się płomieni świec. Wpatrywał się w oblicze matki, straszliwie niepodobne i obce. Nad umiłowanemi oczami beznadziejnie, jak wieko trumny zapadły powieki, z pomiędzy warg ukazywały się zęby. Nie było na bladej twarzy ani pogodnego uśmiechu, o którym zwykle się mówi, ani spokoju snu. Śmierć dotknęła jej swoją potworną ręką i zwiała wszelki ślad życia. Nie ciało drogiej matki, ale trup chłodny i uroczysty leżał na katafalku, ukochane oblicze przykryła przerażająca maska. A on nie przestawał obcować z tą, która odeszła, której nie było w tym pokoju. I przyszło mu na myśl, że matka z daleka spogląda na niego i widząc go nie takim, jakim kochała, pełnego cnót i zasług, ale w całej prawdzie

rzeczywistości, grzęznącego w grzechu, w brudach życia. Ogarnął go wstyd a zarazem przestrach, że matka sądzi surowo, potępia i niezmiernie cierpi nad jego upadkiem. Ukląkł wówczas, prosił przebaczenia u tej, która spoglądała z wysoka surowemi oczami i bolała nad nim, obiecał poprawę, postanowił zostać doskonałym... Była to chwila najczystszego uniesienia, najbardziej strzelistego lotu ducha, najżywszej wiary w dobro. Jak wonny dym kadzielnicy rozwiała się egzaltacya... Alboż mogła rzeczywistość przybrać kształt, któryby odpowiadał nieziemskim rojeniom?...

Wracając pamięcią do górnych nastrojów, Obroński ubolewał nie nad tem, że nie spełniły się one podniosłe sny o szczęściu i świętości, ale nad rozdźwiękiem, ktory zakłócał spokojny dobrobyt człowieka rozsądnego, nad sentymentalizmem i niesfornością polskiej natury, w której pokutują pierwiastki niepodległe rozkazom rozumu i woli. Porównywał siebie do znajomych i z rozdrażnieniem stwierdzał, że nie było wśród nich takich, którzyby w wieku dojrzałym szukali jeszcze i czekali, że nikogo nie nawiedzały niedorzeczne tęsknoty młodości, że każdy był zadowolony z siebie i przejęty doniosłością własnej roli.

Jedni pracowali na wsi, w przemyśle, w biurach, inni bawili się... ktoś poświęcał cały swój czas układaniu drzewa genealogicznego, ktoś inny grał codzienne w bridge'a, ktoś znowu skupowywał sztychy albo porcelanę.

Każdy miał jedno małe zajęcie i jedną małą namiętność. On pracował i używał więcej, niż wszycy razem wzięci, a mimo to...

Obroński zżymał się, że ludzie, którymi w gruncie pogardzał, lepiej, niźli on, posłali sobie łoże istnienia; że jemu wypadło być nieznośnym, wyjętym rzekłbyś z pierwszej lepszej powieści moralnej typem zniechęconego pana, który wyrzeka na marność wszystkiego... On zaś najsolenniej wypierał się tych uczuć, najżywszy miał wstręt do takiej roli. Wyższy umysłem i duchem ponad przeciętną miarę, a także pełen dumnego przeświadczenia o własnej wyższości, postanowił przez dziwne nieporozumienie zamknąć życie w ramach najpospolitszego utylitaryzmu i zżymał się potem, że było mu ciasno i duszno. Ścisłe lecz niedokładne rachuby zawiodły, formuła o normalnych warunkach wygodnego szczęścia okazała się błędną, ale on nie chciał ustąpić, zwalczał buntownicze porywy, udawał przed sobą i przed ludźmi zadowolonego.

— Czegóż ci trzeba, niepoprawny Polaku? — szydził — niepodległej ojczyzny, chwały rycerskiej, bohaterstwa, mistycznego anielstwa?

— Jak iskry gasnące wśród ciemnych pól są dnie istnienia— brzmiało gdzieś w głębiach—dokoła ciebie chłód i pustka... szukaj, nie przestawaj szukać...

— Czego mam szukać? nieuchwytnych cieniów, nieziszczalnych marzeń, ideału, którego niema na ziemi? Zdobyłem wszystko, nie pragnę niczego... spełniam obowiązki.

Nie było odpowiedzi.

Znużony bezcelową pracą myśli, postanowił zaprzestać. Położył się, przymknął oczy, chciał usnąć. Ale sen nie przychodził i zaduma nie mijała.

Kazimierz Zdziechowski.

ZE STOSUNKÓW SŁOWACKIEGO Z KRASIŃSKIM.

(Wpływ Krasińskiego na ewolucyę duchową Słowackiego w okresie transfiguracyi.)

I.

Dnia 12 lipca 1842 r. przedstawił Ludwik Nabielak Słowackiego mistrzowi Andrzejowi Towiańskiemu, następnego zaś już dnia wypłynęło z pod pióra a z ducha poety wspaniałe wyznanie nowej wiary, „gotowej do czynu i świętej,“ która kazała mu „porzucić łoże snu śmiertelnego“—„Tak mi Boże dopomóż.“ W trzy dni później nastąpiła samotna rozmowa poety z mistrzem (16 lipca). To były widome znaki życiowe i twórcze tego procesu, który, bez wątpienia, nie zrodził się w duszy poety odrazu, „w błyśnieniu jednem,“ jak sam wyznawał, lecz tkwił w nim oddawna, miał swój początek już w „Godzinie myśli,“ a falistą drogą szedł przez Kordyana i Anhellego. Obecne przystąpienie do Towiańczyków było uświadomieniem czynników tkwiących już zdawna w duszy poety, skrystalizowaniem jego dążeń i wierzeń, było uzewnętrznieniem i nadaniem widomego piętna tym wszystkim nieuchwytnym stanom duchowym, które nagromadzone odzywały się echem już poprzednio w listach do Krasińskiego i matki, a obecnie uświadomione tą wielką depresyą ducha, jaką wywołał stosunek do Bobrowej, proces tworzenia „Beniowskiego“ i jego wydanie, czekały tylko piorunowej chwili, by grom je zapalił, ujął razem i wskazał im „jednobramną drogę ducha.“ Dokonał tego Towiański.

Od „mistycznych waryatów“ i „cudotwórców“ w listach do Krasińskiego a „jasnowidzów“ w listach do matki, do wyrobienia w sobie przekonania, że jest się „silnym robotnikiem Boga,“ „gło-

sem Pana“ i „krzykiem ojczyzny“—droga była niedaleka. To też przebył ją poeta bardzo szybko, tem bardziej, że w tym całym rozwoju ducha, w przygotowywaniu podścieliska do przyjęcia wiary mistrza, jakie możemy śledzić od daty pierwszego listu od Krasińskiego (23 lutego 1840 r.) do dnia jawnego przystąpienia do Koła, mamy cały szereg faktów, które stwierdzają, że prócz pewnych tkwiących już *a priori* w duszy Słowackiego skłonności do mistycyzmu, był cały szereg czynników zewnątrznych, które te skłonności podsycały. Kształtowanie się w tym kierunku poglądów poety było tem łatwiejsze, że odbywało się na drodze uznania we wszystkiem jego indywidualizmu, zarówno ludzkiego jak i poetyckiego, a zatem nie stało w najmniejszej sprzeczności z główną wytyczną rozwoju jego psychiki. „W tobie leży jeden ze znaków—pisał do poety Krasiński jeszcze 23 lutego 1840 r. — że to, co poczytują za umarłe, nie umarło. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłem, że mi zawsze jest jakby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu. Jeden przeszedł, minął, zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Obelisk stoi; ten, co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie. Drugi posiadł wszystko, na czem zbywało pierwszemu: posiadł język polski, tak jak się posiada kochankę gotową na każde skinienie, na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz... Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni: to, co w pierwszym było jednością twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą, tu się stało rozpłynieniem, powrotem do rzeczy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu: on stoi jako szyba mórz wśród wszechświata i odbija wszystkie słońca, książyc, anioły, bogi, szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich; stąd pochodzi, że ludzie jego władzy nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje, a to jednak dzieje się w niebie. Ten drugi duch, ty wiesz, że to Ty! Trzeci to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii. Otóż w was trzech odgadnąć łacno, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną...“ [1]) Równocześnie w tym samym liś-

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego. Lwów, 1887. T. III. str. 4—5.

cie nauczał Krasiński przyjaciela, że „poezya jest to wieczne przewidzenie najwyższych form, jakie, czy na ziemi czy w niebie, przybiorą kiedyś realne życie. Gdyby nie była tem, byłaby fikcyą; że zaś tem jest, jest prawdą.“ Jest ona „bóstwem człowieczego ducha, które burzy się wewnątrz niego; nim dostanie się na zewnątrz, nim stanie się krwią jego i ciałem. Zatem wszystkie fale poezyi od początku świata garną się potokiem niewstrzymanym jęków i pieśni ku ostatecznej formie swojej, ku czynności, ku realności anielskiej...“ A zwracając się do skarg, z jakich niezawodnie w poprzednim liście Słowacki się spowiadał, dodawał: „Julu, zaklinam cię, nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do ciebie. Trzymaj, nakształt harfy eolskiej, duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, rozprawy.“ List ten rzuca ciekawe światło nietylko na ten niezwykły stosunek, jaki złączył dwóch przyjaciół, co „w Villi Róż ślubowali sobie przyjaźń i dochowali jej“ [1]) lecz stwierdza również zdanie, że pierwsze znamiona czynników, na których miał budować się późniejszy mistycyzm Słowackiego, tkwiły już w zaraniu w tych czasach, gdy do przyjęcia nauki mistrza Andrzeja trzeba było u Słowackiego jeszcze dwu pełnych lat życia i wysiłków ducha, a skłonności w tym kierunku słowa Krasińskiego mogły jedynie podsycać.

Z wszystkich bowiem ludzi, którzy oddziałali w jakikolwiek sposób na bieg życia i rozwój linii twórczości u Słowackiego, staje nam zaraz po matce i Spitznaglu — Krasiński. Lecz gdy wpływ pierwszej płynął ze źródła wspólnej krwi i owiany był przez całe życie poety obłokiem wspólnego obojgu marzycielstwa, a podstawą jego była miłość matki i syna, gdy o wpływie Spitznagla możemy mówić tylko na podstawie danych bardzo nielicznych a nadto jednostronnych i zabarwionych tęsknotą do wspólnych wspomnień młodości — to wpływ Krasińskiego jest bardziej uchwytny, przypada na lata dojrzałości umysłowej i zenitu sił twórczych u Słowackiego, a polegał na naturalnej przewadze rozumu i refleksyi nad rozgorzałą wyobraźnią.

Dla nas stosunek obydwu poetów nabiera wielkiej wagi z tą chwilą, gdy po smutnych latach łamania się ze światem Słowacki podda się prawie że pod wodzostwo duchowe Krasińskiego, będzie

[1]) Tamże, str. 20, list z Rzymu 16 marca 1841 r.

widział w nim nietylko powiernika swych myśli, lecz szukał również u niego tych myśli stwierdzenia. Taką barwę przybrała przyjaźń poetów właśnie w r. 1840, w epoce dla życia i twórczości Słowackiego najbardziej brzemiennej, a barwa ta nie zeszła odtąd przez czas dłuższy, mimo że drogi ducha obydwu Wenedów będą się rozdzielały coraz bardziej. Gdy więc na czas największego rozkwitu przyjaźni obu poetów przypada chylenie się Słowackiego, z dnia na dzień coraz wyraźniejsze, ku mistycyzmowi, by ostatecznie popaść w objęcia Towiańskiego, przeto wpływ Krasińskiego będzie sięgał również w tę dziedzinę dróg duchowych Juliusza, również w zakresie nowych praw objawionych będzie Słowacki szukał rozwiązania wątpliwości i potwierdzenia objawień własnych u przyjaciela, młodszego wprawdzie laty, lecz starszego doświadczeniem życia i zrównoważeniem myśli. Jaka była w tym względzie rola Krasińskiego — pokazują nam jego listy, gdzie na tle zagadnień o powołaniu poezyi i poetów, wywnętrzeń, niedomówień i przekazań na temat stosunku Słowackiego do p. Bobrowej, jest zupełnie widoczne to mistyczne formowanie się ducha poety pod ręką i ciężarem wywodów Krasińskiego.

Była w tej ciekawej roli autora „Irydyona“ jedna dążność widoczna: chęć oderwania przyjaciela od stóp dawnej kochanki, a przynajmniej odjęcia jego miłości tych cech czysto światowych, jakie z wynurzeń Słowackiego o p. Bobrowej nie zdołały ukryć się przed okiem jej dawnego kochanka, a skierowania go w stronę inną, bardziej duchową, pokazania mu, że ponad całą sferą zagadnień życiowych istnieje świat inny, większy i szerszy, bardziej dla jego poetyckich ramion odpowiedni, gdzie wśród zamętu ducha błądzą te prawdy poetyckie, które tkwiły w duszy Juliusza, a on nie mógł ich sobie uświadomić, skrystalizować i przedzierzgnąć w poetycki czyn. Stąd w listach Krasińskiego te nagłe przeskoki od p. Bobrowej do wypowiedzeń się na istotę, zadania i cel poezyi, stąd określanie znaczenia wiary w życiu człowieka, nauki o pokorze i dumie, wiedzenie ducha na wyżyny a odrywanie go od nizin, by przyjaciela „wyrwać z melancholii, bo nie czas na nią teraz,“ by „nie tracił życia na nędzne zgryzoty, ale na wielkie gotował się bóle, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! Zrzuć z piersi nogi Rubensowych Madonn, żyj, a gdy mnie już nie będzie, wspomnij o — mnie.“[1]) „Istota, którą oczy twego ciała ujrzały — pisał Krasiński jeszcze 16 mar-

[1]) Listy... str. 36; list z Monachium 28 lutego 1842 r.

ca 1841 r.—a na którąś oczyma już duszy był spojrzał oddawna, jest najsłodszą, najlepszą, najszlachetniejszą z dusz, którym ten planeta jest czyśćcem i męką ciągłą... Jej, nadewszystko teraz, przyjaznej, męzkiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba; bo zupełnie męzka dłoń tylkoby palce te białe i miękkie przełamała.“ A tłumacząc się następnie, że nie przemawia przez niego „furiis agitatus Orestes,“ bo jest teraz „cichy, jak dziecię, i martwy, jak trup,“ bo „gotuje się na śmierć, nie na śmierć ciała, ale na powtórną duszy,“ tej „gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe kryształki myśli, czucia, natchnienia, z których długie, całkie zrastają się struny harfy wewnętrznej w człowieku“ dodawał: „Ale teraz, o poeto! nie dotykaj rany śmiertelnej, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli cała z nas wypłynie, i w cudze serca się wcieliwszy, nas samych bezżywotnemi marami zostawi! Nie pytaj się czemu, czemu inaczej brzmi ten sam kruszec, gdy naciągnięty i nawiązany do lutni, a inaczej, gdy obrócony w kolej pod parowe powozy? Nie pytaj się, czemu duszy twej miękko położyć się myślą na chmurze, gdy gaz ten sam, z którego wykwita chmura w niebiesiech, tu na ziemi w skałę czarną i ostrą opadły, strącony, skupiony, rozkroi ci podróżne stopy i własną cię krwią omaże? Od chwili *fiat lux*, o to samo cały się ten planeta pyta; ktoś odpowie mu kiedyś, ale nie dzisiaj jeszcze.“ I bezpośrednio potem tak dalej nauczał przyjaciela: „Dlatego poezya jest formą najwyższą rzeczywistości świata, jest najwznioślejszym kształtem życia, że różni się w swoich rozwiązywaniach od rozwiązywań codziennych i potocznych: dla niej niema ślamazarnych przeciągań się, nędznych odgrzewań, w niej jest wieczne dopełnianie się, a w żywotach naszych świeckich następne niedopełnianie się! Poezya, gdzie powieje skrzydłem, tam musi albo na obraz ducha świat ludzi urządzić, i wtedy bohater zwycięża; albo musi z pogardą porzucić ten świat głuchy, niemy, ślepy i wrócić do siebie, do domu, do Boga! wtedy bohater albo idea umiera.“ Po przerzuceniu się wprost od „dotykania się rany śmiertelnej“ do poezyi, jako realizacyi świata i życia, wskazuje jasno, w jakim kierunku szedł wpływ Krasińskiego, gdy przyjaciel spowiadał się przed nim ze swych uczuć ku pani Bobrowej.

Jednak listu tego Słowacki nie zrozumiał i zrozumieć nie mógł. W słowach Krasińskiego widział tylko jakby utajoną zazdrość dawnego kochanka, nie przeczuwał natomiast zupełnie stanu jego duszy, czego list z 16 marca 1841 r. był odbiciem. Krasiński znajdował się w tym właśnie czasie w stadyum wytwarza-

nia w sobie poglądu, którego początkiem były już „Trzy myśli Ligenzy," uwieńczeniem zaś ostatecznem miał być „Przedświt;" wyraz temu da dopiero w jednym z późniejszych listów do Słowackiego (zdaje się z kwietnia lub maja 1842 r.), listu, który nas nie doszedł, o czem jednak dnia 15 lipca 1842 r. pisał z Paryża Słowacki do p. Bobrowej, że jest to „apokalipsa przyszłości, idea, która tu już stworzyła piorunowy obłok nad błękitnem niebem paryskiem, która ma kapłana, sługi, proroctwa straszliwie spełniające się już teraz i straszliwiej jeszcze grożące przyszłości." [1]) Rozprowadzenie tej apokalipsy przyszłości było dopiero w liście Krasińskiego ostatnich dni grudnia 1842 r. lub pierwszych stycznia 1843 r., którego również nie mamy, lecz odpowiedź nań zachowała się w liście Juliusza z 17 stycznia 1843 r.[2]) Było to już późniejsze stadyum tej wzajemnej ewolucyi poglądów, polegającej na listownej wymianie myśli, opartej jednak na zupełnie różnych przesłankach i z grubym podkładem nieporozumienia przynajmniej ze strony Słowackiego.

Z dwu bowiem zupełnie różnych źródeł płynęły przekonania obudwu poetów, na zewnątrz pozornie tak zgodne, w rzeczywistości jednak zupełnie różne. Myśli Krasińskiego były odbiciem pewnych ogniw duchowego przeobrażenia, które powiodło go do idei „Przedświtu"—ostatecznym wynikiem poglądów Słowackiego było przystąpienie do nauki Towiańskiego. Krasiński pisał do przyjaciela: „W duchu masz Boga, za sobą Boga, przed sobą w dniach przyszłości Boga, wierzysz w to, czujesz to, a dziś i jutro i przez ciąg cały dni twoich ziemskich będziesz człowiekiem, to jest aniołem walczącym z przeznaczeniem wszechmocnem na dzisiaj, choć w przeznaczeniu tego obecnego przeznaczenia jest, że musi zaginąć, jak bańka, co pryska, jak masa, której nigdy nie było;" głosił, że „człowiek... winien być aniołem, winien czuć się boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi," [3]) bo pragnął wytłómaczyć się przed nim, dlaczego w te wznioślejsze okręgi chce go oderwać od ziemskiej miłości ku p. Bobrowej—Słowacki zaś w chwili, gdy go ten list doszedł, pi-

---

[1]) Małecki: „Juliusz Słowacki." Wyd. III, T. III. Dodatki. VI. Listy J. Słowackiego do pani Joanny Bobrowej, str. 294.

[2]) Mèyet Leopold: Listy J. Słowackiego do Krasińskiego. „Gaz. lwowska," 1902, № 111.

[3]) Listy. T. III, str. 23 i 25, list „w wigilię Zmartwychwstania Pańskiego 1841 r."

sał do Niedźwieckiego pod wpływem wiadomości o śmierci Niemcewicza: „I ja wkrótce położę się, jak on, ale bez pokoju, jaki daje życie długie i dobrze spędzone...“ [1]), a w słowach Krasińskiego widział oddźwięk swych własnych stanów duchowych, jakim dał wyraz w listach, stanów ogromnego napięcia, wywołanego stosunkiem do p. Bobrowej, poczuciem twórczej niemocy po napisaniu Beniowskiego, brakiem wiary w siebie samego. Równocześnie zaś myśl, że „człowiek... winien być aniołem,“ zaznaczoną w liście Krasińskiego tak dobitnie, lecz wynikłą z założenia zupełnie odmiennego, przyjmie Słowacki za swoją własną i uczyni częścią składową pierwszych dreszczów towianizmu, a pracę w tym kierunku celem swej „służby na ordynansie Boga.“ [2])

II.

Z podanej powyżej wymiany myśli obydwu poetów wynika jasno, że wpływ Krasińskiego na twórcę „Beniowskiego“ mógł działać jedynie pobudzająco, a nie odpychająco, na formowanie się pierwszych zarodów mistycyzmu, a tem samem na przygotowanie do przyjęcia doktryny Towiańskiego, jakkolwiek działał w tym kierunku bezwiednie. Były to dwie równoległe myśli rozumowań, prace dwu mózgów i duchów, oddalone przestrzenią Rzymu lub Monachium od Frankfurtu lub Paryża, które jednak

[1]) Listy J. Słowackiego do L. Niedźwieckiego. „Prawda,“ 1884, № 12, str. 138—139. Data błędna: winno być 1 czerwca 1841 r., a nie 1 maja; por. „Bibl. Warsz.,“ 1893, T. I. Listy nieznane J. Słowackiego. Str. 359—366.

[2]) Bardzo ciekawą ewolucyę pojęcia o „anielstwie duszy“ można śledzić w listach do matki. Zmieniwszy chronologię listów z tego czasu, w wydaniu Mèyeta błędną (por. Tretiak: J. Słowacki, I, 335) w ten sposób, że po liście 73 następuje 76, potem 74, 77, 75 (winien więc być taki porządek: 73, 76, 74, 77, 75) znajdujemy po raz pierwszy wzmiankę o „anielstwie duszy“ w liście z 16 lutego 1841 r. Tu jednak identyfikuje jeszcze Słowacki anielski stan duszy z egzaltacyą. W liście oznaczonym u Mèyeta № 74, a pochodzącym bez wątpienia z lata r. 1841, czytamy już, że myśl, iż matka widzieć będzie jego medaliony, przenika go „anielską radością.“ Anielskość jest już tu stanem wyższym, nadziemskim. W liście 77 z 16 listopada 1841 r. mamy już pojęcie „anioła“ jako człowieka, który potrafił wyzbyć się dbałości o wszelkie rzeczy ziemskie. Miał to być frazes, użyty ongi w liście przez matkę. W listach następnych termin ten nabiera już znaczenia czysto mistycznego.

mimo swej równoległości stykały się w pewnych wspólnych punktach, chociaż w rzeczywistości stycznych nie miały żadnych. Cały ciężar oddziaływania leżał po stronie Krasińskiego, chłonącym był Słowacki. Jak ciekawie układała się dalsza na ten sam temat wymiana myśli, proces poddawania problematów z zakresu duchowej natury człowieka, ich pojmowania i przetwarzania—zobaczymy natychmiast.

Do tej pory mieliśmy same mgławice, pierwsze ziarna, których istnienie trzeba było dopiero wyczuwać, obecnie zjawiają się już pierwsze błyski. Mgławica była wspólnotą obydwu Wenedów, z niej wyłania się zróżniczkowanie: Krasińskiego w kierunku Przedświtu, Słowackiego ku Towiańskiemu.

Już 18 czerwca 1841 r. pisał Krasiński: „Dziwna też pora: czy uwierzysz, że włoskie niebo zniemczało, ni wiosny, ni lata nie widzieliśmy, wciąż bure chmury, zimno, plusk, deszcz, błoto; planeta chłodnieje, planeta choruje. Dobrze umierać, ale źle jest być młodym w takim zbiegu okoliczności kosmicznych. Coraz się bardziej wszystko anhelluje, od bieguna do bieguna rozszerza się białe widmo Anhella i zasępia ziemię, przez równik przechodząc: gwiazdy w górze gasną, w dole więdną kwiaty, wyschną zdroje i źródła wreszcie, spleśnieje morze, ognie pogasną, będzie ciemność przepowiedziana przez Byrona! Spotka się dwóch wrogów przy lampie palącej się przed Madonną, przy ostatniej iskrze na ziemi poznają się i zabiją się [1])." Apokaliptyczna groza, jaką zawarł Krasiński w tych wierszach, nie pozostała bez wpływu; echa jej znajdziemy we fragmentach VI pieśni Beniowskiego, która—jak przypuszczam—powstawała w czasie, gdy list ten doszedł rąk twórcy tego poematu. Jednak list ten zaciekawia nas z innego powodu: cytowany ustęp miał być dowodem tezy, że „świat sprzecznościami stoi," że „można kilka razy przed ostatecznym końcem martwieć i odżywać na ziemi," miał być odpowiedzią na żale Słowackiego, że „omdlał." „Bóg tylko jeden dotyka się umarłych i wskrzesza ich... — pisał Krasiński. I ja tak zginąłem, i ty teraz w taki sposób omdlałeś." „Szczęśliwi głupcy i durnie i nikczemni wszelkiego gatunku, bo ich królestwo ziemskie, a nam niebieskiego czekać trzeba." Wskazania, jakie dawał Krasiński przyjacielowi, który, oderwawszy się od boku pani Bobrowej, rzucił właśnie Frankfurt i powrócił do Paryża, zmierzały już wprost ku temu, by szukał podźwignięcia z upadku na

[1]) Listy. T. II, str. 29.

drodze duchowego wzniesienia. I aby tem silniej poprzeć ideał nowego życia, do którego osiągnięcia wzywał przyjaciela, uderzył Krasiński w strunę dla niego najtkliwszą i podstawową w jego dotychczasowej harfie w „pragnienie wieczne sławy i wielkości.“ „Wiesz, co piekło?—pytał. To nuda w niebie, to pragnienie wieczne sławy i wielkości wśród demokratycznego tłumu zbawionych i wybranych, świętych i aniołów. Ta sama chwała, to samo dobro: jednym niebem, drugim będzie piekłem! Lecz darmo, gdzie płyną fale, tam poniosą nas; my idziemy dalej, a pieśni nasze krzepną i zostają z tyłu jak baba owa w solny posąg przemieniona za to, że chciała boskiemu dziełu zniszczenia się przypatrzeć. I nam i pieśniom naszym także się dostało: patrzeć na same dzieła gniewu i zaguby. Bądź zdrów—kończył—czem zdołasz, krzep się i nie daj...“ Straszna, wiekom i ludzkości na przykład dana, żona biblijnego Lota miała być przykładem również dla Słowackiego, by nie przeciwdziałał fali życia i opatrznościowemu pierwiastkowi Boga w dziejach świata, owszem, by zwrócił się ku nim. Myśli te wywodził Krasiński z podstaw kosmicznych, z błahego pozornie powodu, „że włoskie niebo zniemczało,“ odpowiadał w nich jednak przedziwnie na skryte echa, jakie głucho odbrzmiewały w tem wszystkiem, co mógł wyczytać z listów przyjaciela.

Słowa Krasińskiego padły jak kropla wody na wyschłą i spragnioną dżdżu glebę. Reakcya duchowa, jaką wywołało niepomyślne ukształtowanie się stosunków do p. Bobrowej, połączone z wyjazdem z Frankfurtu, i wspomniany już poprzednio upadek ducha, wkraczający w wyobraźni poety aż w niemoc twórczą, którą przynosi ze sobą Beniowski, gdyż poczęcie jego a wyjście na świat przypadło na dwa całkiem odmienne stany psychologiczne jego twórcy — sprawiły, że Słowacki myśl Krasińskiego wchłonął jak zmęczona posuchą ziemia. Ogromnie ciekawie odbił się ten przejściowy stan duchowy w listach poety do matki; dwa listy chronologicznie sobie najbliższe odzwierciedliły to przejście od tryumfatorskiego tonu życia do zwrotu ku Bogu. W liście bowiem, który był pisany bezpośrednio po rzuceniu p. Bobrowej w Frankfurcie i powrocie do Paryża, czytamy [1]): „Serce moje, długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiosnianem oddychać powietrzem; charakter mój, zimny tak długo,

[1]) Jest to list oznaczony w wydaniu Méyeta № 76, umieszczony jednak chronologicznie błędnie; winien on przyjść przed list 74. Por. co do tego uwagę poprzednią, gdzie mowa o chronologii listów z tych czasów.

zaczął mi znów figle płatać. Szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się jak człowiek szczęśliwy, żyłem...“ Następnie opowiada matce o sprawie niedoszłego pojedynku. Na to stadyum duchowego nastroju przypadł list Krasińskiego, a w nim wprowadzenie nauki, że „przed ostatecznym końcem można kilka razy martwieć i odżywać na ziemi.“ W liście, który niema wprawdzie ściśle oznaczonej daty, lecz jest—co pewne—poprzedniemu najbliższy i przypada na miesiące środkowe r. 1841 (zapewne sierpień lub wrzesień), tak przedstawia Słowacki matce obraz swej duszy [1]): „Napisałem ci list weselszy, niż dawniej i rozjaśniłem nieco pociechą ustronne życie twoje; teraz gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić... Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię; nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bólu, złe słowem, i bezsenne lata... Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszem...“ Zaznaczywszy dalej, że przyczyny tej wewnętrznej zmiany podać nie umie, „bo, rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się,“ powiada: „Jestem, jak zawsze, dość samotny, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła... Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwnie dumną spokojność.“

To, w czem Słowacki gotów był widzieć nawet fatalistyczne poniekąd zrządzenie losu, było niczem innem, tylko magicznym wpływem słów w liście Krasińskiego. Pod ręką przyjaciela urabiał się w poecie ten stan ducha, który wytwarzał podścielisko dla przyjęcia w rok niespełna potem nauki Towiańskiego—urabiał się zupełnie bezwiednie, narazie w formie kiełkujących ziaren mistycyzmu. Pierwiastek tajemniczości apokaliptycznej i uroczystego namaszczenia, w jakie stroił Krasiński swe wywody, był podstawą siły ich oddziaływania na Słowackiego. Ogólną kanwą, na której znaczył się ten mglisty proces duchowy, był wciąż stosunek do p. Bobrowej; roztrząsania wszystkie w nim znajdywały punkt wyjścia. Lecz, gdy ten stan dozna zmiany, a momentem zwrotnym jest tu wyjazd Słowackiego z Frankfurtu, stosunek dwu

[1]) U Méyeta list 74.

czynników składowych w dotychczasowej korespondencyi Wenedów zmienia się zupełnie: p. Bobrowa schodzi na plan drugi, a to, co dotąd było jedynie w listach okrasą, staje się zagadnieniem.

Forma stosunku do p. Bobrowej była ze strony Słowackiego na przyszłość prawie że ustalona z chwilą wyjazdu z Frankfurtu. Żar uczucia minął, została marzycielska tęsknota, która w życiu poety będzie się przewijała aż do r. 1844, oprawna w ramy czysto już duchowe. Słowacki przeszedł piekło wewnętrzne, lecz wyszedł z ognia zwycięzcą. W pierwszych chwilach zwrócenia na nowe tory widzimy jakby jeszcze jakieś mocowanie się poety, walkę ducha z jego powłoką, ale ostatecznie zwyciężyło wezwanie, jakie stawiał przyjacielowi Krasiński w liście, który doszedł Słowackiego w miesiącu maju r. 1841, t. j. właśnie w tym czasie, gdy poeta we Frankfurcie szalał u stóp kochanki. „Szlachetnąś się duszą urodził, masz kryształową naturę, biały marmur nie gips wchodzi w skład kości twoich... A zatem raz jeszcze powiadam ci, zbaw, jeśli możesz, niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, skorpiony, niech plugastwo stworzenia nie przyprzęże się do anioła obłąkanego i w chwili rozpacznej nie powiezie go do kałuży piekielnej.“ [1]) „Kryształowa natura,“ którą od samego początku wymiany myśli na temat p. Bobrowej starał się Krasiński obudzić w autorze „Beniowskiego“ — wzięła górę: było to pierwsze wielkie zwycięstwo, jakie odniósł przyjaciel nad przyjacielem, pierwszy tryumf jego duchowego wodzostwa. W stosunku do p. Bobrowej została u Słowackiego przyjaźń, minęła miłość; została dobra, serdeczna znajoma, zginęła bezpowrotnie kochanka. Ten stan rzeczy znajdujemy już w liście z 16 czerwca tego roku, zawierającym opis niedoszłego pojedynku z Ropelewskim; jak blizki jest ten list czasowo wszystkim szaleństwom poety za kochanką, jak różnym jednak, co do swego nastroju i tonu, od tego żaru ognia i iskier miłości namiętnej, jaka biła nawet w odpowiedziach Krasińskiego. „...Zawsze Pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich—myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć.“ [2]) To pierwsza pobudka do odwrotu i błysk nowej ery życia. Na to tło padło dziwne, wizyonerskie i apoka-

[1]) Listy. T. III, str. 26. Jakby bezpośrednio pod wrażeniem tego listu, jest już Słowacki 10 czerwca w Paryżu.

[2]) Listy do pani Joanny Bobrowej; list z 16 czerwca 1841 r. (Małecki: J. Słowacki. T. III, str. 281).

liptyczne zarazem światło, jakie niósł ze sobą list Krasińskiego z 18 czerwca, o czem mówiliśmy poprzednio — list o martwieniu i odżywaniu na ziemi.

Nie możemy dalej chwytać nici, która wiodła nas dotąd w śledzeniu przyjaźni obydwu poetów. Rwie się ta nić, brak nam ogniw bezpośrednich, mamy jedynie większe węzły. Nie dostarcza nam również danych korespondencya z matką, dziwnie w tym właśnie czasie głucha i uboga w to wszystko, co mogłoby posłużyć nam—bodaj w dalekiej mierze i ogólnie—do odzwierciedlenia ewolucyi duchowej poety. Jest to jakby cisza przed burzą, przed dniem 2 sierpnia 1842 r., w którym doniesie matce, że „wiele nadziei zwiędłych Boża miłość i łaska ożywiła we mnie... otoczył mnie krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy, zdaje się błogosławieństwo Boże jest nademną.“ [1])

Raz jeszcze miała powrócić fala szalonej miłości do p. Bobrowej; wróciła chwila wzmożenia wszystkich władz ducha i poczucie zadraśniętej miłości własnej, raz jeszcze stanął obraz kochanki przed oczyma Słowackiego, a tej powrotnej fali towarzyszył żal do przyjaciela jakby za stracone szczęście, za trud poniesiony w walce ducha; jednak była to już tylko psychologiczna reakcya, całkiem naturalna, grom ostatni po burzy na wypogodzonem już niebie. Objawem tego był list do Krasińskiego, nieznany nam bliżej, z ostatnich dni września tego pamiętnego dla poety r. 1841, a w nim wyrzuty i skargi, żal i rozpacz, jak to możemy wnosić z silnej i stanowczej a rychłej bardzo odpowiedzi Zygmunta. Były w tym liście także jakieś strofy osobiste o pani Bobrowej, które „rzutna—jak pisał Krasiński—fala krwi przyniosła;“ musiały być one mocno bolące, skoro natchnienie, które je podyktowało, nazwał Krasiński „falą nieprzezorną, ufną w miłosierdzie ludzkie.“ Jednak stan ten nie trwał długo. W mniemaniu tem utwierdza mnie fakt, że dramat, który rodził się w tym samym czasie, „Fantazy,“ pozostał w stanie tak niewykończonym, że możemy go uważać jedynie za pierwszy rzut poetyckiej ręki. Że był ten dramat wyrazem bardzo chwilowego nastroju, że pointa jego nie była wynikiem jakiegoś ustalonego procesu duchowego, lecz odruchem tylko, odpowiednim dwom strofom w liście do Krasińskiego—zdaje mi się bardzo prawdopodobne; stąd szukałbym czasu jego powstania w tych właśnie miesiącach: lipcu, sierpniu lub wrześniu r. 1841. Lecz list Słowackiego spotkał się z odpowiedzią tak silną a zara-

[1]) Listy do matki. T. II, str. 158.

zem tak z głębi duszy wynikłą, że podobnej grozy słowa nie łatwo znaleźć nawet w prozie Krasińskiego. „Przyjaciel w tej chwili całem sercem się do Ciebie odzywa. Chciałbym Cię przycisnąć do serca i wlać w ciebie pogrobową mądrość tych piersi moich... Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszem dotknięciem i rozleje się na strugi trucizny! Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorzki dramat... pamiętaj, że Ci przepowiadam, jeśli pójdziesz drogą szału, że serce Twoje dokłótem będzie, w czem niedokłóte dotąd, a siła ducha Twego zmniejszy się o skrzydło jedno...“ [1]) Odpowiedź Krasińskiego zrobiła swoje. Pod jej siłą ugiął się duch poety i popadł w niemoc, która była wynikiem dwu odmiennych czynników, żrących jego duszę—dumy i pokory. Stosunek do Bobrowej należał już do życiowej przeszłości, zostały tylko echa.

Możemy stwierdzić, że faza psychologiczna—o której mówimy — trwała u Słowackiego względnie długo. W liście bowiem Krasińskiego z 27 października czytamy: „O, Julu! ja wiem, że to Ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś

[1]) Datę zaginionego listu Słowackiego, wbrew przyjętemu dotychczas mniemaniu, początek października, zdaje mi się należy nieco przesunąć z następujących powodów: list ten zawierał już wzmiankę o Towiańskim, jak to widać z odpowiedzi Krasińskiego. Ogólne wyrażenie o „mistycznych waryatach“ wskazuje wyraźnie, że tak nazwać mógł Słowacki Towiańskiego według wszelkiego prawdopodobieństwa na podstawie pogłosek, jakie chodziły wśród Emigracyi o mistrzu Andrzeju jeszcze przed pierwszem jego wystąpieniem publicznem w kościele Notre-Dame 27 września 1841 r. Po tym liście nastąpiła omówiona powyżej silna odpowiedź Krasińskiego, przypadająca według mego zdania na miesiąc wrzesień lub sam początek października, skoro po niej nastąpił list Słowackiego, a w nim mowa o cudotwórcach i cudach, odpowiedź zaś Krasińskiego na ten list ma datę 27 października. Mamy więc w ten sposób dwa listy Słowackiego i dwie odpowiedzi Krasińskiego, które, przyjąwszy zdanie dotychczasowe, musielibyśmy pomieścić w trzech tygodniach czasu. Dodajmy do tego oddalenie miejsc pobytu dwu przyjaciół, Monachium i Paryż, a przyjdziemy do przekonania, że list Słowackiego musiał być pisany wcześniej, w sierpniu lub pierwszej połowie września i był odbiciem pierwszych wiadomości Słowackiego o Towiańskim, list zaś drugi był zapewne wynikiem wrażenia, jakie wywarło na Słowackim uzdrowienie Mickiewiczowej, wrażenia, spotęgowanego pierwszem wystąpieniem mistrza. Jest to zresztą drobnostka. Por. co do tego: Tadeusz Sternal: Kartka ze stosunku Słowackiego z Krasińskim. Dodatek do „Kraju.“ 1890. Roz. 7, str. 8. Ciekawe są te listy, jako stopnie poszczególne ewolucyi, jaką Słowacki przechodził w kierunku Towiańskiego.

odebrało. Szkoda Ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć, otrząśnij się... duszy Twej nie kładź pod stopy aniołów Rubensowych, daj im rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź im bratem, ale nie konaj dla nich; bo — Twój grób po takowej śmierci nie porósłby w bluszcze nieśmiertelne... a o to idzie, by na grobie stał krzyż w laury oplecion, nie kwiateczki rosły...“ [1]) Stan ten jednak trwa dalej; posyłając matce podobiznę medalionu, pisze Słowacki dn. 10 listopada t. r., że medalion ten ma „szemrać jej o znikomości wszelkiego szczęścia na ziemi,“ [2]) a jeszcze w liście z 28 lutego 1842 r. chce Krasiński „wyrwać przyjaciela z melancholii“ i wzywa go, „by nie tracił życia na nędzne zgryzoty, lecz na wielkie gotował się bóle...“ [3])

Pod urokiem bowiem p. Bobrowej pozostawał Słowacki jeszcze dość długo. Uzdrowienie z choroby miłosnej przypadło u poety na czas obudzenia się nastroju religijnego i przeradzania się tego nastroju w pierwsze drgnięcia mistycyzmu, na który padała nauka Towiańskiego. Że ewolucya duchowa, jaka dokonywała się w tym czasie w Słowackim, szła w kierunku odwrotnym do rozwoju najbardziej życiowego stosunku poety — miłości ku p. Bobrowej — to pewne. Im bardziej ten stosunek się rozluźnia, im bardziej nikną w nim wszelkie znamiona miłości ziemskiej, tem więcej wzmagają się ślady drogi, jaką przechodzi duch poety w kierunku swego własnego rozwoju a wyemancypowania się z pod przewagi ciała. Praca ta jednak odbywała się ze strony Słowackiego z wielką ofiarą, z wielką abnegacyą własnego ja, zarówno jako człowieka, jak i jako poety. Krasiński był tym, który go, jak widzieliśmy, wpędził na tę drogę, on też był opiekunem przy poczynaniu się nowej ery życia. Bole po p. Bobrowej u Słowackiego jeszcze trwały. Miał je list z października 1841 r., miały i następne, na które odpowiedź mamy w listach Krasińskiego z 27 października 1841 r., 28 lutego i 26 marca 1842 r. Lecz z kart tych odpowiedzi, wśród wierszy poświęconych już innej sprawie, pod której ciężarem padała w tym czasie w gruzy dusza Krasińskiego—konaniu i śmierci Danielewicza, możemy wyczuć, jak odmienny jest już związek Słowackiego z p. Bobrową, jak inną przybrał barwę. Po wezwaniu w liście z 28 lutego 1842 r., by przyjaciel „zrzucił z piersi nogi Rubensowych Madonn,“ gdy zdawało się Słowac-

[1]) Listy. T. III, str. 34.
[2]) Listy do matki. T. II, str. 147.
[3]) Listy. T. III, str. 36.

kiemu, że pomiędzy nim a p. Bobrową stanęła dawna jej miłość ku Krasińskiemu i ta była przyczyną jego sercowej niedoli, odpowiadał przyjacielowi w liście z 26 marca na pytanie: „czego żądam od ciebie i od niej:“ „od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni tak, jak ja tobie, a kiedy chwila *taka* się zdarzy, był *tak!* Od niej zaś... nic zupełnie, chyba spokoju.“ Ta chwila *taka*—to było nic innego, jak nieme, lakoniczne określenie zawrotnej drogi ludzkiego ducha, która jasno stawała przed oczyma Krasińskiego, gdy pisał ten list w obliczu śmierci Danielewicza, który był jego „drugą ducha własnego połową,“ tego samego Danielewicza, „co po Kolizeum przed rokiem jeszcze z nim się przechadzał, i gdy księżyc wschodził, o nieśmiertelności duszy—oni obaj patrząc w gwiazdy i luciole, mówili.“ Lecz na tem nie koniec. W liście tym bowiem, nawet pod grozą faktu, jakim było powolne konanie Danielewicza, nauczał Krasiński, że w stosunku do kobiety, chociażby siła magnetyczna pamięci, jest już nieszczęściem. W określeniu tem brał Krasiński przykład z siebie samego, bo w ciągłej pamięci p. Bobrowej, skierowanej ku niemu, zachodziło „coś magnetycznego,“ lecz pragnął zarazem wywieść z tego ogólną naukę dla przyjaciela, że „straszne są te miłości, gdzie magnetyzm działa, bo ślepe jak los, jak ironia gorzkie i nieszczęśliwe jak nieszczęście.“ [1]) W słowach tych Krasiński utrwalał już jedynie ten wpływ, jaki potrafił wywrzeć na przyjaciela w całym jego stosunku do p. Bobrowej. Zwycięstwo ducha było zupełne; droga nowego życia, okupiona tak wielką walką obydwu Wenedów, zakwitała kwieciem dla tego, który przez długi czas bronił się, nim na nią wstąpił. Nie potrzeba wiele, bo w dwa przeszło miesiące potem, a Słowacki rzucił kości w swym dotychczasowym stosunku do p. Bobrowej. Nie żegnał jej już nawet przy odjeździe z Paryża, lecz za odjeżdżającą rzucił słowa pożegnania, które dają nam znakomity obraz, jak wielką przestrzeń w kierunku własnego uduchowienia przebył poeta, słowa, w których czujemy woń i słyszymy dźwięki tego wszystkiego, co w formie wskazań, jęków błagalnych, zaklęć i nauk mądrości życiowej przewijało się we wszystkich listach Krasińskiego na temat miłości przyjaciela. „Oto żegnam Panią—pisał Słowacki.—Nic w mojem sercu niema, coby się mogło przydać Pani, owszem, wszystko może odwiodłoby Ją od egoizmu, od szczęścia... Jam ciągnął za Panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna. A ilem

[1]) Listy. T. III, str. 39; list z 26 marca 1842 r.

ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zliczyć, i tej nuty może nigdy Pani między różnymi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko się znajdzie w łonie Bożem, ale biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów. Znikajmy więc, abyśmy się odnaleźli...“ [1]) I „na ostatnią pamiątkę, jakby żył jeszcze“ improwizował poeta swej kochance ostatnią pieśń, która dla niej była, pieśń złożoną z uczucia żalu i miłości, szaleństwa i rozpaczy, dawnych ogni i nowego pokoju ducha, a w pieśni swej wyznawał, że oko jego, niedawno na jej widok łzami zalane, dziś jest suche. Nie mógł pociągnąć kochanki w wir własnego ducha, nie mógł jej „przeanielić,“ jak się sam w anioła przemieniał, więc rozstaje się z nią, żegna ją do „jaśniejszych i wyświetlonych czasów:“

Co do mnie—wiem ja, jak to praca pusta
Serce kobiece na czas przeanielić!—
Dlatego odtąd—wiecznie zamknę usta,
I wolę nie być z Panią—niż zgon dzielić.

Zanadto wiele ech, zbyt widoczne w tem pożegnaniu dotknięcie ręki Krasińskiego, by poddawać je dokładniejszej analizie. Możemy krótko zaznaczyć, że w słowach swego listu i w tendencyi myślowej wiersza „Do pani Joanny Bobrowej“ wcielał po prostu Słowacki w czyn ten program, jaki Krasiński znaczył mu w swych listach. Spostrzegł poeta, że w stosunku do p. Bobrowej był „środkowym kamieniem,“ wyznawał, że ją „kocha, ale szanuje“—jak mu ongi pisał Krasiński, „zrzucił z piersi nogi Rubensowych Madonn,“ uwierzył, „że straszna ta miłość, która jak magnetyzm działa“ i że „przed ostatecznym końcem można martwieć i odżywać na ziemi,“ sprawdzał sam na sobie powiewne do niedawna słowa, „że ma kryształową naturę“ i że „człowiek winien być aniołem,“ stwierdzał, że nie wolno „tracić życia na nędzne zgryzoty, ale gotować się na wielkie bóle“ i wskazywał kochance tę drogę, jaką jemu samemu bardzo niedawno pokazał przyjaciel—„łono Boga.“ List ten, gdyby mógł go był Krasiński przeczytać, byłby mu dowiódł, że nigdy może nie sprawdziła się bardziej myśl, którą w jednym z listów podsunął przyjacielowi,

[1]) Listy do Joanny Bobrowej. Str. 287; list z 4 maja 1842 r.

że poezya jest realizacyą życia i że ponad całą sferą jej działania stoi poetycki czyn.

Wiersz „Do Joanny Bobrowej," poza swem znaczeniem dla historyi stosunków Słowackiego z Krasińskim i wzajemnego wpływu obydwu poetów na siebie, rzuca również ciekawe światło na najbardziej nieuchwytne linie psychiki tworzenia, wykazując, jak geniusz fantazyi owinął się około geniusza myśli, przetwarzając motyw własnego życia na podkładzie ewolucyi ducha, dokonanej pod wpływem obcym.

III.

Na podstawie poddanych rozbiorowi wynurzeń w listach obydwu poetów, można stwierdzić, że wpływ Krasińskiego na Słowackiego w tej przełomowej dla poety epoce, wyprzedzającej bezpośrednio jego przeobrażenie duchowe — mniejsza o to, czy nazwiemy to transfiguracyą, czy towianizmem — sięgał ogromnie głęboko i szedł w kierunku dwojakim. Pod działaniem tego wpływu układał się bieg życia poety w ten sposób, że najważniejsze w danej chwili dla niego zagadnienie przybrało kierunek, wskazany przez Krasińskiego, następnie zaś cały szereg poglądów Krasińskiego, poruszonych w listach, a dotyczących ogólnych podstaw życia czyli życiowej filozofii, rozważań o Bogu, jako ostatecznym celu ludzkiego życia, zapatrywań na poezyę i jej stosunek do życia i finalny cel — stał się duchową własnością Słowackiego, który wchłonął je w siebie, w większości nawet bezwiednie, i przyjął za swoje lub też przetworzył. Jako przykład zapatrywań, przejętych wprost, może nam posłużyć rozwiązanie kwestyi z p. Bobrową, jako wzór zaś poglądów przekształconych — wynurzenia Krasińskiego o konieczności zmian w świecie i epoce panowania ducha, które u autora „Irydiona" wynikały z jego rozważań filozoficznych i wpływu apokalipsy, u Słowackiego zaś budziły drżenia mistyczne i weszły w składy mistycznego poglądu, dla którego nauka Towiańskiego nie była już niczem nowem. Zdanie też, że Słowacki był Towiańczykiem przed ostatecznym przyjęciem nauki Towiańskiego nie jest paradoksem.

Tymczasem jednak stan ducha, który ogarnął poetę, nazywał on w liście do matki, pisanym w kilkanaście dni po rozstaniu się z p. Bobrową, „niewidzialną pomocą Boga," a zarazem donosił: „Jakby po walce, z ludźmi odbytej, używam pewnej spokojności

i to mi się w uśmiechu maluje; przez długi czas z zaciśnionemi zębami i z ponurem czołem gotowałem się do życia, teraz żyję... Muszę ci także wyznać, że może tracę więcej, niżby należało, ale cóż robić... Bóg dopomoże kiedyś, jak będzie potrzeba, i ludzie także nie opuszczą. Taki ci dałem obraz, wierz mi droga, że najszczerszy w każdym detalu.“ [1]) Skąd poczęło się to nowe życie, do którego przyznawał się poeta przed matką? Nie było ono wynikiem walki, stoczonej skutkiem „Beniowskiego,“ bo ta już przeszła, a poemat w pierwotnym pomyśle należał już dawno do przeszłości i kontynuacya jego w dawnym duchu nie była, jak to okazują fragmenty pieśni VI i wykończone rapsody dalsze, w zamiarze poety. Rozbieżność ducha poety w tych wiosennych i letnich miesiącach r. 1842 odbije się również na „Beniowskim.“ Ten „najszczerszy w każdym detalu“ obraz, który dał Słowacki matce w liście z 16 maja, był już obrazem nowego stanu ducha, z czego poeta zdawał sobie jasno sprawę, jak również z tego, że dotychczasowy Julek stracił w stosunku do matki wiele. Luźne i rozrzucone w tym względzie wiadomości we wspomnianym liście były tylko pierwszą zapowiedzią faktu, o którym doniesie jej dopiero w dn. 2 sierpnia. Takie samo stadyum rozbieżności duchowej, nieuchwytnej jeszcze i nieskrystalizowanej ostatecznie, lecz zapowiadającej już nową epokę w życiu Słowackiego, mamy w liście do p. Bobrowej z dn. 3 czerwca t. r., pełnym mistycznych przeczuć, lecz jeszcze w formie niejasnej mgławicy ducha: „Okna Pani nadzwyczaj są smutne i puste, trotoar pod kościołem z asfaltu płonie pod mojemi stopy, jak podłoga piekielna. Kolumny kościoła spoglądają na mnie litośnie, a St. Magdalena, stojąca na frontonie, już zda się płakać nie swoich, ale moich grzechów. Bo naprawdę grzeszny jestem i pokutujący... został się tylko po Pani świat ducha, w którym teraz żyję, nie trącając o nic żywego, a jednak ciągle trącany przez coś, jak gdybym chodził po grzbiecie torped elektrycznych...“ [2]) Chociaż poeta wyznawał, że jest „grzeszny i pokutujący,“ dodawał jednak pod koniec, że uważa ten stan za przejściowy, „że to minie.“ Lecz od tej chwili, tak niejasnej i pozbawionej jeszcze rzeczywistych danych, na których podstawie możnaby sądzić o tem, co miało się wyłonić z zewnątrz ducha, droga naprzód odbywa się u Słowackiego już w tempie przyspieszonym. List z 3 czerwca dowodził, że p. Bobrowa, jako

[1]) List z 16 maja 1842 r. Listy. T. II, str. 157.
[2]) Listy do Joanny Bobrowej. Str. 290 i 291.

czynnik i epizod życia poety, poczęła siłą jego organizacyi umysłowej wciskać się w wierzenia, jakie poeta tworzył, chociaż same wierzenia były dotąd w sferze przygotowawczej, jakkolwiek bezpośrednio przed momentem, realizacyi. W „trącaniu bowiem przez świat ducha“ ma również p. Bobrowa swoją rolę; rolę tę Słowacki określi jaśniej w liście, chronologicznie bardzo blizkim, bo pisanym zaledwie w sześć dni później (9 czerwca), który jednak w rozwoju ducha poety, w drgnięciach ostatnich, poprzedzających już bezpośrednio, bo fakt ten zdarzył się w miesiąc później, związanie się z Towiańskim zaznacza stadyum dalsze. Poeta zwiastuje p. Bobrowej nowy stan swego ducha, ponieważ podniósł „z ziemi czoło w prochu już leżącego człowieka.“ A w łunie tego nowego światła, które zalało duszę poety, jak inaczej widnieje postać dawnej kochanki serca. „Gdybyś Pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu... jak mi słychać każdy szept w jej domu; każdy szelest sukni, jak echo, każdego jej kroku dochodzi do mnie uroczyste, pod tą kopułą świątyni zrujnowanej, pod którą teraz siedzę.“ Jednak „kopuła zrujnowanej świątyni“ nie wystarczała już samemu poecie; pragnął usadowić w niej również tę, która tę świątynię zrujnowała, to też pisał dalej: „Gdybyś Pani chciała religijnie być trochę dobrą i litosną?—jak święta, a jak łatwa byłaby ta praca.“ W słowach tych musimy widzieć pierwszą próbkę realizacyi, jaką wykonywał duch poety w swym nowym stanie, chęć wprowadzenia p. Bobrowej do świątyni swego ducha. Zmieniły się więc role; dawniej, rok jeszcze przedtem, ona kierowała poetą, on pojechał za nią do Frankfurtu; obecnie rolę własną narzucał dawnej swej kierowniczce. „Ostatnia to moja skarga—pisał bezpośrednio dalej—bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nieużyta, jakieś wojsko duchów nie wyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać, a czego się ja sam lękałem wyprowadzić na jaw—i część zimna, marmurowa mojej natury zwyciężyła.“ Czuł więc Słowacki doskonale, że fundamenty do świątyni wznosił sam oddawna, że to, co w nim zaszło obecnie, nie było czemś nowem, lecz obudzeniem i spotęgowaniem dawnych stanów duchowych i ich uświadomieniem na drodze naturalnej ewolucyi, podsycanej przez czynniki zewnętrzne. A pod sam koniec listu dawał poeta obraz własnych przejść i chwytał moment, w którym się znajdował: „Teraz już to wszystko jest za granicami władzy mojej i świata mojego i coraz się bardziej odemnie oddala. Ileż razy,

jeszcze tej zimy, te wszystkie moce burzyły się we mnie i chciały wybuchnąć; teraz wieczny odpoczynek sercu mojemu i niech światło wiekuiste świeci mu — i na ten cień cyprysowy, gdzie ono leży, spójrz czasem Pani z uśmiechem, bo prawdziwie, że w tym cieniu unoszą się główki aniołeczków, różom podobne, na gołębich skrzydełkach i śpiewają mi także pieśń, jakgdyby się moje lata dziecinne budziły i znów przechodzić miały...“

To zakończenie listu jest bardzo ciekawe; znajdujemy w niem bowiem dwa zwroty, które należy podkreślić w obrazie ewolucyi duchowej poety. Wyznawał sam, że serce jego zamarło, to serce, na którego biciu opierał się Beniowski i stosunek do p. Bobrowej, a które w „Testamencie“ nazwie sercem dumnem. Było ono nietylko w utworach i listach z tego czasu wielokrotnie symbolem jego życia, lecz również symbolem poezyi. Przestało więc bić „serce dumne,“ które było podstawą życia dotychczasowego, a w jego miejsce wstąpiło „serce biedne,“ jako wyraz wszystkich przejść duchowych, pełne nieuchwytnych głębi i piorunowych gromów. Z przeobrażeniem w życiu przyszła również zmiana symbolu. Fakt drugi, dla poety znamienny, to lata dziecinne, które w tej chwili naprężonych władz ducha, z dziwną mocą budzą się i stają mu przed oczyma. Wspominał już o nich Słowacki w liście do matki z 16 maja w słowach: „Gdybyś ty, droga, wiedziała, co ja tam śnił niegdyś w pokoiku moim naprzeciwko wież St. Michalskich, jakie kochanki, jakie korony i wieńce, jakie tysiącznonocne wydarzenia i awantury na świecie! Otóż to wszystko teraz mi często obecność przedrzeźnia i często psuje rzeczywistość. Bo choć miałem piękne chwile w życiu, już mi nic tak nie było cudownem, jak moje dawne myślą błąkania się i wojaże. To wszystko czyni ten świat czyścem, nie niebem.“ Szczegół ten podkreślam z tego względu, że widzę w nim pierwsze błyski, otoczone wprawdzie jeszcze pomrokami nocy, lecz już prześwietlające, czynnika, który wejdzie następnie w formie dominującej w skład mistycznego poglądu Słowackiego, gdy w latach dzieciństwa będzie widział pierwsze, najwcześniejsze, rozwojowe stadya swego ducha, czem da wyraz w Wykładzie nauki i Liście do J. N. Rembowskiego, a na którym oprze podstawową ideę Króla-Ducha w jego pierwotnym pomyśle.

Z chwilą, gdy Słowacki wysyłał swój list do p. Bobrowej, był już sam mistykiem w zupełności; ostateczne skrystalizowanie mistycznych poglądów poety i nadanie im odrębnej barwy miało się dokonać w miesiąc później pod ręką Towiańskiego.

Dotychczasowe przedstawienie rzeczy jasno wskazuje, że na przyjęcie nauki Towiańskiego był Słowacki przygotowany doskonale i że — co ważniejsze — przyjmując doktrynę mistrza wnosił do niej cały szereg poglądów własnych, wytworzonych samodzielnie drogą powolnej ewolucyi. W tym stanie rzeczy widzę wyjaśnienie dwóch faktów: 1) wyznania poety, złożonego w wierszu „Tak mi Boże dopomóż," że „nowa idea wiary zmartwychwstała w poecie w jednem błyśnięciu;" błyśnięciem tem było zetknięcie się z Towiańskim, który czynniki, tkwiące w duszy poety, lecz wywołane wśród warunków całkiem—jak to widzieliśmy—odmiennych, w których duchem opiekuńczym był w rzeczywistości Krasiński, potrafił ująć w ramy własnej doktryny i z nią pogodzić. Odegrał więc Towiański wobec Słowackiego rolę podobną do tej, jaka była udziałem Krasińskiego w wytwarzaniu się poglądów mistycznych Juliusza. 2) w tem leży przyczyna, że Słowacki nie rzucił się w ramiona towianizmu bezwzględnie, jak to np. stało się z Mickiewiczem; dlatego łączność z jego doktryną była bardziej luźna a zerwanie łatwiejsze. Stając się Towiańczykiem brał od mistrza formę i nazwę, lecz zatrzymywał poglądy własne, indywidualne, i do nich dopiero przystosowywał prawdy towianizmu; podstawą jednak wierzeń pozostał mistycyzm własny.

Jak widzieliśmy, były listy do p. Bobrowej głównym materyałem, na którego podstawie można było badać powolne przeobrażenie Słowackiego aż do chwili zetknięcia się z Towiańskim. Należy jednak przedewszystkiem zapytać, jak odbił się ten cały proces duchowy w listach do Krasińskiego, którego wpływ na formowanie się mistycznych zapatrywań Słowackiego był bądź co bądź tak wybitny; obraz bowiem uzyskany na tej drodze byłby bezwątpienia bardziej wyrazisty i ciekawszy. Jak wiadomo, listy Słowackiego z tego czasu do autora „Irydyona" nie dochowały się zupełnie, i już poprzednio byłem w przymusowem położeniu konstruować ich treść na podstawie zachowanych odpowiedzi Krasińskiego. [1]) Jednak w dalszem badaniu i ten sposób postępowania zawodzi. Pierwszy list Słowackiego do przyjaciela mamy dopiero z daty 14 grudnia 1842 r., listy zaś Krasińskiego do Słowackiego urywają się z dniem 26 marca 1842 r., poczem mamy jeszcze dwa, lecz późniejsze już, bo z 26 stycznia i 12 kwietnia 1843 r. Brak więc korespondencyi z miesięcy najważniejszych

[1]) Por. co do tego Leopold Méyet, Listy Słowackiego do Krasińskiego, Gaz. lwowska 1902, nr. 109.

i najciekawszych. Nie ulega atoli wątpliwości, że listowna wymiana myśli istniała i na to są dowody.[1]) Jestem nawet skłonny przypuścić, że Słowacki powiadomił przyjaciela o fakcie w swem życiu tak ważnym, jak przystąpienie do nauki mistrza. Do podobnego mniemania skłania mnie cały dotychczasowy charakter korespondencyi obu poetów i dwie wzmianki w listach Krasińskiego do Adama Sołtana Jeszcze w r. 1841 przy pierwszych ruchach towianizmu na emigracyi donosił Słowacki Krasińskiemu o „mistycznych waryatach“ i „cudotwórcach.“ Wspomniałem o tem poprzednio, tu zaś muszę zaznaczyć, że listy, w których poeta pisał Krasińskiemu w tak krótkich a wyrazistych słowach o pierwszych wystąpieniach Towiańczyków, następowały jeden po drugim, i dlatego w wyrażeniach tych musimy widzieć dwa pierwsze, najrychlejsze etapy zajęcia się ze strony Słowackiego nową doktryną. Że wymiana zdań na temat Towiańskiego i stosunku emigracyi do tego zwiastuna nowej prawdy bożej trwała między przyjaciółmi dalej — jest dla mnie pewnikiem. Echo wiadomości udzielanych w tym względzie przez Słowackiego twórcy „Irydyona“ widzę w dwukrotnem wypowiedzeniu się Krasińskiego o Towiańskim. I tak w liście do Adama Sołtana z 17 grudnia 1841 r., rozważając prawdę, objawioną pod wpływem apokalipsy, „o ciągłem odkupywaniu materyi przez poświęcenie się duchów naszych i innych“ i możliwość jej spełnienia się, dochodzi Krasiński do wyniku, „że się coś zbliża i stanie, bo Ojca Naszego Niebieskiego ratunek, pomoc, słowo do nas, stało się nieodzownym warunkiem dalszego bytu naszego... A gdy się objawi, pokaże się być prostotą prostoty, anielsko-prosto-naturalną rzeczą, którą zrozumiemy zaraz, która przylgnie do nas jakby rzecz dawno już znana, tylko zapomniana, która wraca do pamięci!... Teraz tylko się dowiemy co śpi, co drzemie, co śni w okręgach natury; teraz zostaną podane nam sposoby, jak zastosować i urzeczywistnić w pełni rozkazy Zbawiciela! Przez tysiąc ośmset czterdzieści dwa lat pracowaliśmy, by się ich nauczyć na pamięć; teraz trzeba zacząć je wcielać widomie w świat...“ Chociaż my dziś w słowach tych widzimy tylko jedną, bardzo ciekawą fazę w genezie idei Przedświtu, przyznać jednak trzeba, że to „wiązanie na rok 1842“ dla Sołtana mogło równie dobrze wyjść z ust Towiańskiego, tak dalece odpowiadało jego nauce. Czuł to doskonale sam Krasiński, bo natychmiast dodawał: „Nie myśl, by to Towiański lub Mic-

[1]) Por. np. Listy do Bobrowej, str. 294.

kiewicz na mnie wpływali; to, to głupstwo wierutne. Nie, historyi rozwaga, świata rzymskiego analogia przed Chrystusem, wreszcie własne czucie, stan dzisiejszy rzeczy, każą mi wierzyć i spodziewać się.“ [1]) Dla mnie list ten jest dokumentem wagi niezwykłej, bo wyznanie samego Krasińskiego popiera twierdzenie, wypowiedziane poprzednio, że pomiędzy procesami duchowymi, jakim ulegali w tym samym czasie obaj poeci, było bardzo wiele wspólnego, skoro nawet Krasińskiemu nasunęło się podobieństwo własnych poglądów do nauki Towiańskiego tak dalece, że uważał za potrzebne bronić się przed Sołtanem, by ten nie odnosił przypadkiem jego myśli do tego źródła. Wyznanie Krasińskiego upoważniło mnie też — wbrew dotychczasowym mniemaniom — do wyrażenia powyżej zdania, że wpływ jego na Słowackiego przez treść listów, w których były myśli te same, co w liście do Sołtana, działał jedynie pobudzająco na kiełkowanie idei mistycznych i powolne przysuwanie się ku Towiańskiemu, że mógł tylko twórcę Beniowskiego na tej drodze utwierdzać, nie zaś z niej sprowadzać. Były w liście do Sołtana także myśli inne, które uzasadniają jeszcze bardziej to podobieństwo mistycznych problematów Krasińskiego i Towiańskiego, a tem samem Słowackiego. Mamy tu bowiem całą naukę o „duchu“ — żeby tak powiedzieć— mamy nawet świtanie idei metampsychozy: „niewidzialni, niedotkliwi, bez ciała żyjem, a żyjem na ziemi wśród ciał, na świecie widomym i dotykalnym... w trumnie przeżyliśmy śmierć, po powierzchni ziemi tymczasem dusza nasza się przechadzała i przytomna była wszystkim wielkim sprawom świata! Czyż nie czujesz, że taki los, takie przeznaczenie, coś ogromnie głębokiego w sobie zawiera; ale coś takiego, co raczej wygląda na przedścignienie czasów, na zaryw z przyszłego jakiegoś stanu świata, dobrze niepojętego aż dotąd, ani przez nas samych, ani przez inne narody.“ [2])

Gdy wśród współczesnej emigracyi i ludzi związanych z ideą i osobą Towiańskiego szukam jednostki, która mogła być informatorem Krasińskiego, oddalonego o tyle mil od Paryża, w tem wszystkiem, co w świecie ducha polskiego na emigracyi było w tym czasie najważniejsze, t. j. gdy pytam, kto zdawał tak dokładnie Krasińskiemu sprawę z pierwszych drgnięć towianizmu— to na podstawie wniknięcia w historyę duchowego rozwoju oby-

[1]) Listy Z. Krasińskiego. T. I, str. 256—7.
[2]) Tamże.

dwu poetów i wyników tego niezwykłego stosunku, którego szlakami szliśmy przez dwa lata, muszę tę rolę przypisać Słowackiemu. W nazwaniu doktryny Towiańskiego „głupstwem wierutnem“ widzę oddźwięk i echo „mistycznych waryatów“ i „cudotwórców.“ Brak nam niestety danych historycznych, by przypuszczeniu temu nadać cechy pewności; nie jest jednak ono pozbawione podstaw. Można bowiem stwierdzić, że role obydwu Wenedów w ich duchowem przeobrażeniu splotły się w węzeł dziwnie wspólny, jakkolwiek złożony z dwu zupełnie różnych nici. Wspólność tę wyczuwał Słowacki znakomicie, identyfikując stan własnego ducha z duchowem podłożem przyjaciela, jak mamy na to dowody w liście — o którym wspomniałem już powyżej — do p. Bobrowej z 15 lipca 1842, a zatem w trzy dni po złączeniu się z Towiańskim, w liście, który musimy uważać za zwiastuna nowej epoki w życiu poety, gdyż donosił w nim, że „tortura jego skończona, bo zmartwychwstał“ i ma w sobie moc wskrzeszania duchów. O sobie zaś i o Krasińskim tak pisał: „Świat zdaje się budzić, a my obaj zmęczeni, stargani, na pół senni, nie możemy się podnieść zupełnie, ani odrzucić przeszłej połowy nas samych... A gdybyśmy ją nawet odrzucili, to jeszcze straszniej i ciemniej będzie nam w oczach serca naszego, żal przeszłości, niemoc zupełna we władzach passyonowanych, serca podobne do czerepów zbitej porcelany saskiej, z kwiatkami tęczowemi i pozłotą, ale już nie podobne czarom całym i urnom, w które kwiaty wkładają. O! tak jest ze mną... może mniej gorzej z nim, ale pewna jest, że oba cierpimy. Jeśli więc Pani piszesz do którego z nas, proszę i zaklinam, nie udawaj wesołości, ani cukruj słów swoich...“ [1]) U Słowackiego przemiana ta dokonała się—jak to wyjaśniał matce w dwa tygodnie później — ze źródła głębokiego, a to, co się stało, podobne było dla niego do snu i marzenia i „wytłómaczonem być nie mogło...“ [2]) My wiemy, że tem „głębokiem źródłem“ był narazie Towiański i że rola jego wobec nowego wyznawcy zasadzała się właściwie na ujęciu dawnych „snów i marzeń“ poety i wtłoczeniu ich w granice własnej doktryny. Słowacki jednak tego tak nie odczuwał; w Towiańskim ujrzał „sługę i kapłana“ idei bożej, która, pełna apokaliptycznej grozy i napięcia, tkwiła w poecie oddawna, widział człowieka, który stwierdzał i realizował dla niego wszystko, co od miesięcy już przepowiadał

[1]) Listy do Joanny Bobrowej, str. 294.
[2]) Listy do matki. T. II, str. 158 i 159.

mu Krasiński o poczynaniu się nowej epoki ducha i służbie bożej na ziemi, przejrzał w mistrzu Andrzeju opatrznościowego męża Boga — o jakim ongi donosił mu przyjaciel z „villi Róż.“ Więc uwierzył w niego i powstał z martwych, bo mąż ten „nie słowy ani nauką, ale przyjściem swojem i zapowiedzeniem sprawy bożej ducha jego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł.“ [1]) Uznawał przeto posłannictwo mistrza i prosił „naród o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie, jak Kopernik, a więcej jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił.“ [2]) Tak określał znaczenie Towiańskiego sam Słowacki. Nie dziw więc, że ugiął się przed jego potęgą.

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — aniołem co wszystko przemoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Składając więc w dzień po poznaniu mistrza wyznanie wiary, poszedł w służbę nowego proroka.

Trudno przypuścić, by donosząc już 15 lipca p. Bobrowej, a 2 sierpnia matce, o „rozwiniętej w sobie idei nowej wiary“ nie powiadomił o niej tego, z którym pod względem stanu duchowego w liście do p. Bobrowej się identyfikował, a który faktycznie w objawieniu się tej idei w poecie tak wybitną odegrał rolę — Zygmunta Krasińskiego. W korespondencyi jednak poetów o tem ani śladu, bo listy się nie przechowały. Jest atoli dowód pośredni, który wskazuje, że w miesiącu lipcu tego pamiętnego roku 1842, wymiana listów między przyjaciółmi istniała. W liście bowiem z 14 grudnia, który przechował się w całości, czytamy:

„Nie wiem, jak pisać, kochany mój Zygmuncie i gdzie ci pisać, ale postanowiłem szukać wszędzie serca twego, bo mi go potrzeba... Zaleniwiałem był, odebrawszy list twój z Kissingen i nie odpisałem; teraz więc za to srodze pokutuję, bo nie wiem, gdzie się obracasz... serca twego bijącego nie słyszę, a chciałbym, żeby tak biło jak moje, spokojnie — ale równo i mocno, po czło-

[1]) Por. Małecki, Juliusz Słowacki. T. III, str. 69.
[2]) Tamże.

wieczemu...“ [1]) Następnie donosił o Towiańskim; zresztą o liście tym będzie jeszcze mowa. Był więc list Krasińskiego do Juliusza z Kissingen, i dopiero po tym liście Słowacki „zaleniwiał i nie odpisał.“ W Kissingen bawił Krasiński w r. 1842 w lipcu, jak wskazują dwa listy z tego miesiąca do Sołtana. W drugim z nich, z 29 lipca, mamy wiadomość o Towiańskim; list cały bardzo krótki i lakoniczny, bo—jak tłómaczy się Krasiński—„źle mu jest i coraz gorzej.“ „Czasem Duch mój zerwie się na chwilę, wtedy jasne błyskawice snują się przed nim, a potem zapadam w melancholię nieskończoną.“ Mimo jednak tego rozpaczliwego stanu, który odbił się na formie listu, najdłuższy w nim ustęp poświęcony Towiańskiemu: „W dzień przypadku księcia Orleańskiego—pisze Krasiński—Towiański dostał rozkaz od rządu francuskiego opuszczenia ziemi francuskiej. Już miał wiernych swoich, brakowało mu prześladowania; wreszcie przyszło. Pamiętaj, że każda rzecz co zasłuży na prześladowanie, tem samem uważana jest nie za kpiny ni słabość; siłę tylko siła prześladuje.“ [2]) W wiadomości tej widzę echo listu Słowackiego, który musiał być pisany w każdym razie po 13 lipca tego roku, dniu, w którym Towiański otrzymał rozkaz opuszczenia Francyi. Że treść listu dotyczyła osoby mistrza i jego apostolskiej misyi możemy również wnosić ze sposobu, w jaki Krasiński o Towiańskim się odzywa. To już nie jest „głupstwo wierutne,“ tylko uznanie w nim „siły.“

Czy przedstawiał Krasińskiemu już w tym liście Słowacki Towiańskiego jako zesłańca sprawy bożej na ziemi? Przychyliłbym się raczej do odpowiedzi przeczącej ze względu na treść listu następnego z 14 grudnia tego roku. W nim bowiem dopiero zwiastuje przyjacielowi Słowacki, „że jest człowiek... który jednem słowem... świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności Bożej...“

Albowiem po liście lipcowym nastąpiła przerwa w korespondencyi Słowackiego z Krasińskim. „Zaleniwienie“ poety sprawiło, że stracił „bijące serce“ przyjaciela i dopiero, gdy zapragnął, by ono „tak biło, jak jego,“ zwrócił się doń z listem, który jednak znamionował już zmianę ról przyjaciół w dotychczasowym biegu ich duchowej ewolucyi. Do tej pory Krasiński wiódł Juliusza

---

[1]) Cytuję według Gazety lwowskiej 1902, nr. 110, gdzie list po raz pierwszy w całości ogłosił Leopold Méyet.

[2]) Listy Zyg. Krasińskiego... T. II, str. 284.

w sferę ducha, okazując mu w niej ostateczny cel wszystkiego, teraz podobne wezwanie kierował w stronę Zygmunta Słowacki, „by przychodził mu z legionem twórczo-duchów w pomoc.“ „Otóż wiedz—pisał doń—że jest człowiek, który rozwiązuje duchy i stawia je nad ciałami... wpajając w nie królewskość mocy, łącząc z Bogiem; a to wszystko prostą, ożywczą, Bożą siłą, jednem słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności Bożej. A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją, a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucą, a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienie i serca do krwi rozdarte... Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu Astronomowi przeszłości, że słońce stanęło... a on już sam w obserwatoryum swoim od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty... Ale gdybyś Ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli bożej wszystko—i wszystko odtworzył na nowo—z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością, wziąłbyś go pewno za *Pana* i przewodnika... A nie mógłbyś inaczej... bo idąc do któregokolwiek ze słońc drogi mlecznej, napotkasz go między słońcem a ziemią, a jeśli przez niego nie przejdziesz, będziesz musiał wrócić się na świat, gdzie wiesz sam, co napotkasz? co tworzyć... z czem walczyć będziesz? On tworzy to koło, które przez wyduchowienie się swoje niema wyższego na ziemi, ale trzyma na ramionach duchy, wiąże się z niemi i działa za nie... Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrąg ciebie stają, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam—i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc... Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, a ja, choć już wśród was bez życia i ruchu, będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną...“

Gdybyśmy zapytali, co było powodem, że z podobnem wezwaniem do pomocy w nowej pracy życia zwracał się Słowacki do przyjaciela po kilku miesiącach milczenia, to odpowiedź na to znajdujemy w wyznaniu samego poety. „Ty, który oddawna jesteś ogniem tych, którzy w okrąg ciebie stają, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam“—były słowa Słowackiego—i rzeczywiście ogniem takim był dla niego Krasiński od samego początku przeobrażenia. Przyczyną zaleniwienia—jak sam nazywał stan, że przez kilka miesięcy nie dawał Krasińskiemu znaku życia — była ogromna, prawdziwie nadludzka, praca ducha, którą poeta przechodził. Po ogłoszeniu bowiem przystąpienia do To-

wiańskiego i złożeniu wyznania nowej wiary w „Tak mi Boże dopomóż“ zapadł Słowacki jakby w sen letargiczny, który był odumarciem dla jego życia i poezyi. Jedynie w listach do matki możemy tu i owdzie wyczytać jakby głuche echa tego, co poeta przechodził, jakby jakieś straszne odgłosy walki ducha, zanim ten uzyska równowagę i spokój, widoczny już w grudniowym liście do Krasińskiego. W liście z dn. 24 września czytamy: „Zosia twoja (tak się Słowacki ze względów ostrożności w listach do matki nazywał) fantastyczka, woli się na girlandy bocianów, ciągnących nad morzami, patrzeć i płakać, krzycząc tak, jak one, na całe niebiosa. Tymczasem dzień po dniu upływa, a dla niej nic, i gdyby nie nadzieja w przyszłym życiu, byłoby z czego nieraz oddać się rozpaczy, ale trzeba wytrwać... Wiesz, droga, że ona wróci do was, jak tylko zdoła się poprawić sama, bo teraz smutku by wam swoim charakterem złym i nieujeżdżonym naniosła, i chciałaby się rządzić, jak szara gęś, a wtenczas wy byście ją sami prosili, aby wyjechała precz nazad. Czuje to ona i pracuje nad sobą bardzo, bardzo, a czyni to podług pacierza, któregoś ty ją w dzieciństwie uczyła, prosząc o zdrowie, rozum, bojaźń boską, miłość ludzką i o wszystkie rzeczy, które z chwałą bożą są...“ [1]) Ten sam stan rzeczy mamy również w liście z 29 listopada tego pamiętnego roku, tylko spokój tu większy, a Słowacki cel i przyszły bieg swego życia określa już jasno. Proces przeobrażenia faktycznie już się dokonał, a przed tym, który mu podległ, z dotychczasowego zamętu wyłonił się cel życia. „Wczoraj był dzień imienin twoich—pisze syn do matki—który przepędziłem święcie i z wielkiem podniesieniem ducha, pierwszy raz w życiu bez próżnej melancholii, a z prostotą boleści i serdecznym smutkiem. Poznałem albowiem, iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie, grający każdy swoją sztukę smutną albo wesołą, ale dla chwały bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej, i dla wywiązania ducha naszego, i dla spełnienia tego, co mi jest polecono; a nie myśl, abym tak będąc, był dalszym od ciebie, owszem, bliższy jestem i mam ciągle twoje serce w mojem sercu, dlatego więc piszę tak, abyś i ty, moja droga, miała cząstkę tego pokoju, który jest we mnie.“ Następnie zaś uspokajał matkę, by się nie smuciła, jeśli dojdą ją jakieś o nim echa, „gdyż ja wiem, że mnie Bóg nie opuści, bom ja także nie opuścił żadnej pracy około świata, ale po-

[1]) Listy do matki. T. II, str. 164.

znałem tylko drogę, prowadzącą do niej, i już nietylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcej wnętrzem najczystszego czucia;“ pod koniec zaś zapewniał ją, że to wszystko, co pisze, to „pierwsze garście, wydane ze skarbu nowego.“ [1]) Po tem wszystkiem nastąpił list do Krasińskiego, którego pierwszą część „wezwanie do współpracownictwa“ już poznaliśmy. Jak słusznie zwrócił uwagę prof. Tretiak, myśl Słowackiego skierowała się znów ku Krasińskiemu, prawdopodobnie pod wpływem prelekcyi Mickiewicza z dnia 13 grudnia 1842 r. W prelekcyi tej Mickiewicz uczył, że „różnica, jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwiniony, ma naturalnie posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesyanizmu. Opatrzność używa takiego ducha za swój organ... (Bóg) przemawia przez ducha takiego, co pilnował się jego praw, udoskonalił siebie jak należy, czyniąc zadość warunkom do tego potrzebnym, wytrzymał próby, osiągnął mądrość.“ Otóż taki duch staje się objawicielem prawdy bożej, a światło boskie objawia się przedewszystkiem w jego czynach. Przenosząc tę mistyczną prawdę na dzieje narodów, wywodził dalej Mickiewicz, że „w rozwijaniu się politycznem narodu dają się widzieć ludzie, przeniknieni tradycyą narodową, i ci prowadzą naród ku jego przyszłości. Ukazuje się także szereg ludzi natchnionych, którzy od czasu do czasu zjawiają się w chwilach stanowczych.“ Obecnie taka chwila stanowcza zbliża się, „narody zbliżają się coraz bardziej do zrealizowania ewangelii,“ to też duchy wyższe, zdolne otrzymywać natchnienie boże, będą powołane do odegrania swej roli. Atoli to objawienie okazuje się nietylko w dziejach politycznych narodu, lecz także w jego literaturze. [2]) I tu odwoływał się Mickiewicz do „Nieboskiej Komedyi,“ objaśniając wstęp do II jej części, gdzie Krasiński określa znaczenie poezyi. Określenie to było dla Mickiewicza „wizerunkiem potęgi poetyckiej, potęgi ducha, co rzuciwszy się całkiem w rydwan swojej imaginacyi, buja na tej tęczy po morzach i obłokach, mniema posiadać wszystko, ale gubi się przez to, że ten dar niebieski obraca na marną rozkosz. I dlatego w całej pełni przychylał się Mickiewicz do myśli, jaka ostatecznie wynikała z pojmowania poezyi przez Krasińskiego, „żeby duchy najhartowniej-

[1]) Tamże, str. 165 i 166.

[2]) Por. Mickiewicz, Literatura słowiańska. Tłómaczenie Feliksa Wrotnowskiego. Wyd. III. Poznań 1865. T. III. Lekcya II.

sze, najwznioślejsze, najbliżej stykające się z Bóstwem, nie puszczając sił w czczych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny.“ [1]) Że Słowacki musiał widzieć w słowach Mickiewicza bankructwo swej własnej poezyi i jej dotychczasowych dążności, że prelekcya Mickiewicza nie pozostała bez wpływu na niego, jako poetę, to pewne. Ale doraźny wpływ słów Mickiewicza był inny. Słowackiemu stanął znów przed oczyma Krasiński. To też czytamy w dalszym ciągu listu:

„Przemowę twoją do „Nieboskiej Komedyi“ wczoraj czytał z katedry profesor, wystawiając ją Francuzom za model tego pojęcia, jakie my, nowi ludzie, mamy o poetach i poezyi — dalej o „Nieboskiej“ mówić będzie. Czas idzie — i kwiaty się rozkwitają. Raduj się więc, żeś siał ducha, i porzuć odtąd wszelki smętek, a bądź mężem podług własnego ideału, a wtenczas przyjaźń żywego człowieka będzie świadczyła o mnie, bom jest z kamienia i padając przed Bogiem, skruszyłem się na kilka kawałków. Między aniołami a szatanami były miejsca dla wszystko wiedzących, teraz tych miejsc dla ludzi już niema; jedni muszą być z aniołami, drudzy z innymi, a reszta policzona do trupów... O tem powiedział mi Bóg czuciem serca mego i odpowiedziałem, że tak jest. Zostało mi więc milczenie i ciemność, i pokora, i modlitwa. Ale ty świeży, anielski, rozwidniony, proroczy, ty masz wyraźną drogę, robotę i uśmiech stworzonych rzeczy zapłaci tobie, wywołane przez ciebie rzeczy otoczą cię... tyś żyw jest i sam wywołujesz życie. Nie stawaj więc, ale czyń, bo tu idzie o wielkie zwycięstwo nad światem. Poganizm cały krzyczy i jeszcze raz występuje do walki, palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje, zasłania się niemi, i teraźniejszej chwili tyłowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął, ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litośnym panem, że jego Dyanny były mi kochankami, a jego trwałość prawie wiecznością! Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym i nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historya. W „Anhellim“ ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło; ale mojego snu nikt od budzących nie broni, wszyscy dotykają palcami piersi mojej martwej i wzdętej, wszyscy wywołują ducha, proszą o prawdziwy płomień, o udzielenie żywota, jaki był w niej... Niech się spy-

[1]) Tamże.

tają lasów sosnowych w Litwie o ten ogień i żywot, a teraz powiedz im, niech mnie nie dręczą. A ty bądź mi dobrym i nie strachaj się tej formy ludzkiej, której ja dziś używam, jako karyatydy, do podparcia rzeczy będących nademną i ciągle schylam się... aż będę wbity do ziemi ciężarem słonecznych kopuł...“

Z tej drogi nawrotu już nie było. Całe dzieje dotychczasowego życia, głęboka przemiana duchowa, tęsknota za pogańską przeszłością i radość przyszłości, martwota ducha i jego odżycie, jednem słowem, te wszystkie przemiany, których poszczególne objawy, rozwojowe stadya, wzniesienia i upadki migały przed naszemi oczyma—wszystko to zawarte było w liście do przyjaciela w formie nauki i mądrości życia, otulone miłością przyjaznego uczucia, podyktowane prostotą ducha, owiane głęboką wiarą w prawdziwość nowej drogi, która objawiła się poecie w formie „słonecznych kopuł.“ Przeszłość minęła bezpowrotnie, zginął Słowacki, kochanek i marzyciel, piewca losów ludzkich, a z przetlałych popiołów, spalonych w żarze własnego ognia, powstał Słowacki nowy, żołnierz boży i przedstawiciel ducha ludzkości.

Tak kończył się dla poety rok 1842. Zanim jeszcze list powyższy mógł znaleźć się w rękach Krasińskiego, słyszał Słowacki z ust Mickiewicza dalsze rozwinięcie tych wszystkich prawd o powołaniu poety i poezyi, o których donosił przyjacielowi. Lekcya bowiem następna, z 20 grudnia, poświęcona była rozważaniu, „jak literaci i poeci słowiańscy pojmują swoje powołanie.“ I znowu zwrócił się Mickiewicz do Krasińskiego i jego „Nieboskiej Komedyi,“ mówił o Zaleskim, Puszkinie, Byronie, w którym widział nową epokę poezyi. Był w tej prelekcyi ustęp, gdzie Słowacki mógł również siebie samego zobaczyć. „Jak w polityce — głosił Mickiewicz — tak i w sztuce, zawsze pojedyńczy ludzie przodują epokom, i jakkolwiek duma ogółu oburza się na to, trzeba się im poddać, trzeba iść ich śladem, podobnie jak żeglarze, muszą pilnować się drogi pierwszych, co zwiedzili nieznajome morze... Iść śladem takich przewodników, nie jest to trzymać się tylko ich form, powtarzać wzory, ale jest to brać natchnienie od ich ducha, przejmować się, napełniać się ich duchem, i mamy to przekonanie, że ci tylko zostali powołani do posunięcia się naprzód w pochodzie literackim naszego wieku, którzy pojęli, co było istotnie potężnem, prawdziwem, rzetelnem i głębokiem w Byronie...“ Słyszał dalej Słowacki, „że sztuka jest jednym z węzłów, łączących człowieka ze światem niewidomym,“ że „są chwile, kiedy powołaniem każdego jest zwracać całą swą czynność do kilku wielkich zadań, stanowiących o losie całej ludzkości,“ że „są epoki walki,

kiedy siła ogarnia ludzi, wstrząsa masami. Taka epoka widocznie nadchodzi teraz dla Słowian. Żadnemu z ich poetów nie dano ukazać zupełnego kształtu przyszłości, ale kształt ten odgadują oni coraz dokładniej, domagania się swoich narodów, wyrażają coraz lepiej, całemi siłami wydobywają przyszłość...“ [1])

Jak mogły prawdy takie, głoszone przez tego, który był przedstawicielem nauki mistrza wobec jego wyznawców, działać na Słowackiego — można łatwo pojąć na podstawie dotychczasowych roztrząsań. Po raz pierwszy ujrzał Słowacki widomie ujęte to wszystko, co w życiu sam przeszedł. Ujrzał zwierciadło własnej duszy, nietylko przedstawioną swą przeszłość, lecz pokazaną również przyszłość. Tymczasem jednak przyszła odpowiedź od Krasińskiego. Nie mamy jej, lecz był to „list apokaliptyczny,“ którego echa mamy—jak należy przypuścić—w wierszu Słowackiego „Góry się ozłociły,“ który poświęcony był Towiańskiemu, a powstał w tych dniach styczniowych r. 1843. I jakby śpiesząc się, by nie uronić przed przyjacielem nic z tego, co sam w sobie wytworzył i co uświadomił w nim Mickiewicz, odpowiadał autorowi „Przedświtu“ już 17 stycznia 1843 r.:

„Twój list apokaliptyczny świeci mi, jak lampa w gotyckim kościele, jak różyca różnokolorowa, przez którą patrzy słońce, ale roztęczowane, niepewne... Odgadłeś kilka kształtów i ze wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście twoim mówił, widziałem, że Mistrz tak samo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami. Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie... Sercami i rękami trzeba światu wytłómaczyć objawienie św. Jana, spełnić je, być gotowymi do spełnienia, inaczej epoka wypełniająca oddali się jeszcze na tysiące lat, nie mając rycerzy pełnych, wielkich ludzi, to jest takich, którzyby dla prostoty i prawdy odważyli się, wbrew malowanemu fałszem światowi, zostać prostymi i prawdziwymi...“

„... O!—moje serce!!! Ty wiesz, jaki to kawałek szkła błyszczącego to serce moje! A jednak musiało się ruszyć i nie stało się to bez przylewu do jego ducha — Ducha świętego, którego choć najmniejszą wziąłem perełkę, a już sądzę się skarbnikiem Bożym, już widzę postęp codzienny i światło nowe... Wszystko więc leży w tem nowem źródle żywem Ducha, z którego świat

[1]) Literatura słowiańska. Tom III. Lekcya VI.

może brać, albowiem jest to otwór mały, przebity aż do dna, skąd leją się strumienie niewyczerpane...“

„... W tobie także błyskało nieraz światło prorockie, ale straszne, a głos twój był podobny jękowi. Mówię ci więc, drogi! — że wkrótce szata z jęków a hełm z błyskawic wyda się aktorstwem i sprzecznością wśród prostoty i wypogodzonych twarzy i nagich piersi Bożych rycerzy... Ileż razy ja sam jeszcze jęknę z największą rozpaczą, myśląc, że mnie wszystkie mary tego świata odbiegły, i nie został mi, jak Chrystus! Tak duch mój, rzucony na różne drogi, stracił prawdziwe uczucie nagiej prawdy i nieubranej w złotogłowie piękności. Widzisz więc, że pod Chłostę idę i opieram się często... bo wolałbym się nieraz odwrócić znów w te gaje ciemne, laurowe, gdzie świecił księżyc, i wspomnienia były drzew Dryadami. Ale już nie można! — już nie można! — Nowe sumienie urodziło się z Ducha nowego, nowe cierpienie przyszło dla sfałszowanych serc, dla bohaterów świata przeszłego...“

„... Oto jest garstka ludzi, której Bóg obiecał, że wypełni dzieło Ducha wielkiego!... Któż ma dostateczną pokorę, aby stał się cząsteczką, kamykiem w budowie?...“

„... Każdego z nas inaczej uderzyło mistrza słowo i z innej struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokornem kole braci układa do harmonii. Co do mnie najmocniej mnie zajmuje twórczość Ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jedno jest... Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli Bożej na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. Praca więc powinna się zacząć w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia, zlewać go, spioruniać w sercu, a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy, niech przemówi do ciebie twarzą pogodną, wnętrznem uczuciem siły nieśmiertelnej, mocą magnetyczną wyższości prawdziwej, a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga wetchnięty w organizacyę, ma misyę Bożą, to jest przebicie się przez materyę, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty, aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo, przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! Uczucie to skończonej, wypełnionej misyi zaczyna nową drogę Ducha, wyłamanego już z materyi, uwolnionego z organizacyi. Wierzymy więc w niedopełnioną pracę Ducha i w łańcuch żywotów... które podług tej wskazówki wyduchowiania się uważane, są ewangelią

dowiedzione. Wierzymy w Narodowości, to jest w solidarne misye duchów, powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością, a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktownem uczuciem tej odpowiedzialności... a poświęcanie się za nią nie jest szaleństwem, ale koniecznością Ducha w świecie Duchowym... tak, jak to materyalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny. Wierzymy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się Duchem odpowiedzialni za Ducha... A tak utworzywszy sobie świat wnętrzny i zrozumiawszy go, otworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonałach nie były słyszane... Albowiem lenistwo Ducha w służbie Bożej wiedzie na potępienie, i ci, którzy siebie lekceważą, a myślą, że są tak niewidomi śród miriad duchowych, że jeszcze na stronie zostać mogą i pobawić się materyą, zdając sprawę Bożą na silniejszych, winni są jakby krwi i morderstwa i kradzieży, albowiem dar Ducha kradną Bogu... Więc że i dogadzanie każde duchowi podług świata, łechtając go uczuciami, zaspokajając sławą, grzechem jest i zbrodnią, albowiem jest to tańcować na balu, kiedy inni krew wylewają, broniąc wałów miejskich od nieprzyjaciela. Wszelkie więc wylewanie ducha na rzeczy małe ujmuje strumieniowi ognia, który się lać zaczyna przez środek świata, aby wszystkie kwiatki błahe, na brzegach rosnące, od jego siarczanego wyziewu powiędły.

„Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane... Lecz powiedz że, czy sercom nie trzeba było takiej wiary? takiej religii? Czy ta myśl, że duch, już skończywszy misyę i rozwiązany z organizacyi, jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze, pozostałe w pracy, nie tworzy ci najcudowniejszej kolumny Świętych Pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misyj narodowych przyśpieszyły. Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonię między duchowemi pracami, a boleściami ciał, które są chłostą niby Bożą i przymusem i nauką duchów. Jednej plagi, jednej choroby niema przysłanej napróżno. Narody wydają się, jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane... Historya, ta męka ciał, staje się nauką Duchów; wszystko się wyjaśnia, Bóg się pokazuje z każdej mgły, z każdej chmury. Taka więc jest ta Metampsychoza, o którą nas księża katoliccy oskarżają.

„O rozwinięciach dalszej tej idei będę ci pisał później, albowiem teraz strudzony jestem różnemi pracami i pełny jeszcze niby melancholii dla rzeczy pożegnanych wczora...“

A kończąc list, wracał myślą do tej, która była ongi cieniem między przyjaciółmi z „Villi Róż," i te jej słowa poświęcał:

„... Cień tej, który się za tobą ciągnie po księżycowem świetle w Koloseum, także mi stoi na drodze... Nieuwierzysz ile temu Duchowi oddać muszę Ducha nim będę odeń uwolniony... a Duch ten straszny trefi teraz włosy—i rzuca się w świat z wrzaskiem morskiego ptaka... Ale coraz—mimo świata—stawać musi przed sąd mój, wypiękniać się Duchowi... i składać skrzydła motylowe za ramionami, abym ich nie widział... Mam więc nadzieję, że kiedyś zobaczę ją spokojną—prostą—i cichą... Dobrą zawszę była... i teraz, gdyby w sercu mojem było więcej siły spokojnej, jużbym ją zdobył spoczynkowi. Ale ja sam jeszcze pracuję nad sobą, śród ludzi, którzy mię często nierozumieją i ranią mimowolnie nieufnością i niewiarą w pracę Ducha mojego. To jest krzyż mój. Niech miłość ludzka wyprzedza cię i czeka cię na wszystkich drogach, abyś do gotowych serc przyszedł, a nie musiał sobie robić serc sercem twojem. Jam jest i byłem zawsze z Chóru twojego."

Ile w tem cudnem, prawdziwie pogrobowem w odniesieniu do dotychczasowego życia, wyznaniu było ech tego niezwykłego wpływu, jaki Krasiński wywierał na „nowego żołnierza na ordynansie Bożym" w ciągu ostatnich dwóch lat — nie potrzebuję powtarzać. Możemy w nim odnaleźć wszystkie myśli, które przewinęły się w listach obydwu Wenedów. Dla Słowackiego był ten list odblaskiem minionej przeszłości a świtem rozpoczynającej się przyszłości, był wytworem nowego i dokonanego już stanu ducha, a pożegnaniem dawnego, aktem pokory i przebaczenia. Naznaczony w nim program przyszłości był w głównej swej myśli zrealizowaniem tego, co od dwóch lat w każdym prawie liście powtarzał Słowackiemu Krasiński, był stwierdzeniem bezpośredniego i pośredniego oddziałania autora „Irydiona" zarówno na rozwikłanie stosunku do p. Bobrowej, jak — i to w stopniu o wiele większym — na duchowe przeobrażenie Słowackiego.

Dr. Stanisław Kossowski.

ALEKSANDER I i ADAM ks. CZARTORYSKI

w Londynie 1814 r.

Po zawarciu traktatu pokojowego w Paryżu, dn. 30 maja 1814 r., podążyli monarchowie sprzymierzeni Aleksander i Fryderyk Wilhelm w towarzystwie swych wodzów i ministrów do Londynu. Podróż ta, poza zwyczajną tego rodzaju zjazdom monarszym stroną towarzyską, zajmując pośrednie miejsce, między aktem pacyfikacyi w traktacie paryskim a dziełem rekonstrukcyi europejskiej na kongresie wiedeńskim, który pierwotnie już w sierpniu miał się zebrać, nabiera szczególnego znaczenia z tego względu, że w Londynie miało nastąpić przedkongresowe porozumienie się głównych mocarstw w sprawie najważniejszej, polskiej.[1])

Los Księstwa Warszawskiego, pozbawionego prawowitego swego monarchy, pozostawał bowiem wciąż otwartą kwestyą sporną. Aleksander, jak wiadomo, żądał całego Księstwa, Austrya zaś, poniekąd Prusy, a za niemi Anglia, upierały się przy dawnym systemie podziałowym. Były wprawdzie już w czasie minionej wojny podejmowane próby rozwiązania tej drażliwej kwestyi w drodze umownej, lecz nie doprowadziły do celu, a wikłały jeno sprawę. W ciągu ostatnich rokowań pokojowych paryskich sprawa polska była znowu przedmiotem ożywionych rozpraw paryskich, skończyło się jednak na tem, że kwestyę tę przekazać musiano zapowie-

---

1) Metternich do Hudelista, Paris, 24 mai, 1814. „Dort (w Anglii) werden wir hauptsächlich die polnische Sache unter englischen Vermittlung betreiben und bestimmen." Arneth, Johann Freiherr v. Wessenberg, I, 212.

dzianym obradom wiedeńskim.[1]) Owóż, przygotowanie gruntu i nastroju dla właściwego załatwienia na przyszłym kongresie, stało się między innemi jednym z głównych przedmiotów niniejszych odwiedzin monarszych w Londynie. Poza tem były one niejako uczczeniem wspólnego koalicyjnego zwycięstwa nad Napoleonem, zdobytego w znacznej mierze dzięki Anglii, były też wyrazem hołdu składanego energii i wytrwałości angielskiej w ćwierćwiekowej niemal walce z Francyą rewolucyjną i napoleońską.

Jednakowoż świetne sukcesy polityki angielskiej nie obyły się bez ciężkich niezmiernie ofiar, które w postaci ogromnych wydatków wojennych oraz strat handlowych wskutek blokady kontynentalnej na kraj spadły. Te olbrzymie koszta mniej odczuwane w gorączce samej walki, teraz po zawarciu pokoju tem dotkliwiej dawały się odczuć, wywołując w Anglii groźne przesilenie ekonomiczne i towarzyszące mu poważne zaburzenia socyalne, które w następnych latach przybierać miały gdzieniegdzie postać jawnej rewolty i jedynie twardą ręką rządu powściągane bywały.

Sprawujące obecnie rządy skrajne torysowskie ministeryum lorda Liverpoola, któremu przypadło w udziale zebrać owoce wysiłków i zabiegów poprzednich rządów, a zarazem skierować nawę państwową na pokojowe szlaki, może być w przeciwieństwie do gabinetu whigowskiego „wszystkich talentów“ lorda Grenvilla (od lutego 1806 r. do marca 1807 r.) nazwane ministeryum „wszelkich miernot.“ Jedyną wybitną siłą był w niem sekretarz spraw zagranicznych, Henryk Robert viscount Castlereagh. Rozpocząwszy swą karyerę jako liberalny reprezentant hrabstwa Down w parlamencie irlandzkim, został następnie gorliwym zwolennikiem Pitta Młodszego, a po niefortunnych rządach swych, jako sekretarz departamentu wojennego w gabinecie ks. Portlanda, ująwszy w marcu 1812 r. ster polityki zagranicznej, dzierżył go aż do swej samobójczej śmierci w 1822 r. Z długoletniego swego zawodu publicznego nie wyniósł niczego oprócz powszechnej niepopularności, którą zresztą sam przenosił nad poklask publiczny, jako „stosowniejszą dla gentlemana.“ Znany z urody, odziedzi-

[1]) Hardenberga „Plan sur l'arrangement futur de l'Europe“ (29 avril 1814). Oncken, Zeitalter der Revolution, des Kaiserreichs u. der Befreiungskriege, II, 842; Preussische Jahrbücher, XXXVI, 696 sq.; Fournier, Zur Vorgeschichte des Wiener Kongresses. Historische Studien u. Skizzen, II, 298 sq.; Memoirs and Correspondence of Viscount Castlereagh, IX, 480; Sbornik Imper. Rusk. Istoriczesk. Obszczestwa, IX, 439.

czonej po matce, pięknej lady Sarze Frances Seymour, nie posiadał wyższych zdolności, wymowy, ani wykształcenia, wyróżniał go jednak od współczesnych obłudnych i kłamliwych Pozzów, Talleyrandów i Metternichów jeden rys dodatni, t. j. pewna dobitna otwartość. Był to minister sprawny, ale nie „ideowy" *(man of ideas)*. Polityka jego, wzorowana na Pittowskiej, w gruncie rzeczy opierała się na zasadach skrajno-reakcyjnych, utrwalonych wpływem Metternicha, z którym zetknął się w kwaterze głównej wojsk koalicyjnych, a następnie w Paryżu. Odtąd też polityka angielska poszła zgodnie z austryacką, wysługując się tejże w sprawie polskiej, saskiej i włoskiej na kongresie wiedeńskim [1]).

Poza Castlereaghiem nie było w gabinecie ani jednej znaczniejszej głowy, wszyscy zaciekli torysi najnieliberalniejszego typu. Pomimo to posiadał gabinet Liverpoola w obecnej chwili silną władzę, jakkolwiek nie cieszył się, podobnie jak i osoba monarchy, popularnością w kraju. Od dwóch lat, odkąd stary król Jerzy III po raz trzeci popadł w obłąkanie, sprawował rządy regencyjne syn jego, późniejszy Jerzy IV, przypominający pod wieloma względami regenta francuskiego, Filipa ks. orleańskiego, umysł średnich zdolności, charakter zmienny, zdemoralizowany do głębi, rozpustnik, pijak i rozrzutnik. Poprzednio zażyły przyjaciel Foxa i whigów, doszedłszy do rządów, zerwał z nimi zupełnie, zrażony niedojściem do skutku rokowań w celu utworzenia nowego gabinetu, podejmowanych w 1812 r. z lordami Greyem i Grenvillem, i oddał się w zupełności torysom i ich zasadom politycznym, do czego w znacznej mierze przyczynił się wpływ lady Hertford, ciotki Castlereagha, oraz wzięcie w obronę znienawidzonej przez regenta żony, ks. Karoliny, przez liberałów Whitbreada, Romilly'ego i Broughama.

Naprzeciw tego niepopularnego ministeryum i znienawidzonego monarchy stała słaba partya whigowska, zdziesiątkowana represyami starego króla i Pitta Młodszego, oraz niezgodą w łonie samego stronnictwa, a zawiedziona w nadziejach pokładanych w księciu regencie. Nie przedstawiając się ani jakościowo, ani

[1]) Brougham, Historical Sketches of Statesmen who flourished in the time of George IV; Lord Holland, Further Memoirs of the Whig Party 157; Byron, Letters and Journals, ed. by Prothers, IV, 108 sq.; Brosch, Geschichte Englands, XI, 434 sq; Bianchi. Storia documentata della diplomazia Europea in Italia I, 340; Apologia: Alison, Lives of Lord Castlereagh and Sir Charles Stewart.

ilościowo imponująco, cierpiała ponadto na brak spoistości i dyscypliny partyjnej. Z arystokracyi whigowskiej, skupiającej się w starym Holland House, wyróżniali się: głowa obecna tegoż, lord Henryk Holland, siostrzeniec Foxa i gorący zwolennik Napoleona, lordowie Grey i Grenville, nominalni naczelnicy partyi. W Izbie Gmin należeli do opozycyi: Romilly, znakomity prawnik, Wilberforce, głowa osobnego odłamu whigów t. zw. Świętych (*Saints*) i szlachetny głosiciel emancypacyi niewolników, Tierney, Whitbread i poczciwy stary kwakier, Ponsonby. Organem whigów był założony w 1803 r. przez młodego zdolnego Szkota, wszechstronnego Broughama „Przegląd Edynburski.“ Skrajny odcień opozycyi tworzyła garstka radykalistów z Francisem Burdettem, demagogiem-baronetem na czele, z pismami „Political Register“ Cobbetta i „Examiner“ Leigh Hunta, obu srogo przez rząd prześladowanymi. W połowicznej opozycyi do rządu pozostawał liberalny konserwatysta Jerzy Canning, obecnie już pojednany z wrogiem swym Castlereaghiem, po niedawnym z nim zatargu i pojedynku, ostrożny, „z oczyma przylepionemi na urząd,“ jakby w przewidywaniu świetnej swej karyery.

W obecnej chwili pacyfikacyi i zwycięstwa zamilkły jednak na razie swary partyjne, gabinet rządzący święcił przy zwycięstwie narodowem zarazem i tryumf swej polityki, w parlamencie panował ton aprobaty i uznania, naród cały oddawał się powszechnej radości, którą potęgowała wizyta monarsza w stolicy. Do Londynu wybrał się tylko Aleksander i Fryderyk Wilhelm. Franciszek uchylił się pod pretekstem, że interesy monarchii i niebawem zebrać się mający kongres wymagają natychmiastowego jego powrotu. Towarzyszyli obu monarchom ministrowie Nesselrode, Hardenberg i Metternich, marszałek Blücher, generałowie York, Barclay de Tolly, Płatow, Czernyszew, Tołstoj i adjutant cesarski Ożarowski, a co najważniejsza, udał się również do Londynu i Adam ks. Czartoryski, niezmordowany rzecznik sprawy polskiej i Antoni ks. Radziwiłł.

Dla zrozumienia niniejszej podróży Czartoryskiego do Londynu należy przypomnieć, jaką rolę odgrywała Anglia w podnoszonym przez niego projekcie odbudowania Polski pod berłem Aleksandra. Gdy po odwrocie Napoleona z pod Moskwy, Czartoryski, nie widząc innego ratunku dla zagrożonej zupełną zagładą sprawy narodowej, zaofiarował Aleksandrowi odstąpienie przez Księstwo przegranej sprawy Napoleona, a zarazem poruszył dawny swój plan utworzenia Królestwa Polskiego przy Rosyi, nie wiedząc, z jakiem przyjęciem propozycye te się spotkają,

a nadto na wypadek, gdyby nawet na nie Aleksander się zgodził, tak w celu reasekuracyi przeciw ewentualnemu nieziszczeniu się obietnic cesarskich, jak celem pozyskania poparcia dla samegoż cesarza, podjął Czartoryski akcyę tajną, dla Aleksandra niewiadomą, mającą na celu zainteresowanie i zapewnienie pomocy rządu i narodu angielskiego dla sprawy polskiej. Pomysł ten, pozostający w biegunowej sprzeczności z dotychczasową tradycyą i praktyką porozbiorowych rachub i nadziei polskich, których punktem oparcia stale bywała Francya, miał uzasadnienie w sympatyach angielskich ks. Adama, przejętych z tradycyjnej anglo-rosyjskiej polityki starych Czartoryskich, a umocnionych podczas edukacyjnych podróży do Anglii. Pod koniec 1812 r. zwrócił się do przyjaciela swego i towarzysza trudów obozowych kampanii 1806-7 r., generała angielskiego Roberta Wilsona, wysłanego w charakterze *special service* do armii rosyjskiej, żeby za jego pośrednictwem uzyskać poparcie Anglii.[1]) Krok ów nie polegał wszakże wyłącznie tylko na sympatyach, jakie znajdował Czartoryski, a przez niego i Polska, w kołach przyjaciół angielskich, gdyż spodziewał się książe równocześnie zainteresować rząd angielski dla myśli utworzenia w Polsce, dotychczas wschodniej awangardzie napoleońskiej, takiego *pierre d'attente* w gotującej się rozprawie z Francyą, jakie na przeciwległym krańcu Europy posiadała polityka angielska na półwyspie pirenejskim. Akcya ta początkowo być może przygodnie podjęta, poczęła już być prowadzona na seryo, kiedy wiosną i latem 1813 r. los Księstwa Warszawskiego ustawicznie w groźnem zawieszeniu pozostawał, gdyż Aleksander milczał, Prusy zaś, a zwłaszcza Austrya, nie przestawały bruździć. W czasie pobytu swego w kwaterze cesarskiej w Reichenbachu porozumiewał się Czartoryski, chociaż z niewielkiem powodzeniem, z bawiącymi tam posłami i ambasadorami angielskimi Jerzym Cathcartem, Karolem Stewartem, bratem lorda Castlereagh i Jerzym Jacksonem. [2]) Aż wreszcie we wrześniu wyprawił z Puław sekretarza swego, Biernackiego, z listami i memoryałami do Anglii. Misya ta udała się

[1]) Memoirs and Correspondence of P-ce A. Czartoryski, ed. by Giełgud, II, 240 sq; Wilson, Private Diary etc., I, 265; Conversation de K(luczewski) avec M-r W(ilson) [mylnie uzupełnione w rękopisie na Wintzingerode] au Quartier Général de Merecz le 30 Decembre (v. st.) 1812. Archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie.

[2]) Dziennik ks. A. Czartoryskiego, „Biblioteka Warszawska," maj, czerwiec 1909; Wilson, Private Diary, II, 70 sq., 80 sq., 428; The Bath Archives, a further selection from the diaries and letters of Sir G. Jackson, II, 165.

jedynie połowicznie. Ze strony ministeryum spotkał się Biernacki z chłodnem przyjęciem, nie chciano bowiem przez podnoszenie sprawy polskiej wnosić kości niezgody w koalicyę w tak krytycznej chwili walki z Napoleonem. U whigów natomiast znalazł Biernacki, a wraz z nim i sprawa polska, zrazu serdeczne przyjęcie. Brougham napisał według jego informacyi gorący, cięty, a przecież ostrożnie omawiający kwestyę unii polsko-rosyjskiej, „Apel do sprzymierzonych i do narodu angielskiego w sprawie Polski," sprawa polska weszła na łamy dzienników, a w kwietniu 1814 roku poruszył ją Grey w Izbie lordów [1]). Wszystko to jednakże nie było tak silnem, by decydująco wpłynąć na losy Polski, agitacya bowiem nie przybrała tego rodzaju rozmiarów, żeby przymusić rząd, jeżeli już dobrowolnie nie zechce, do jakiegoś stanowczego kroku na korzyść sprawy polskiej.

Tymczasem zabiegi te sparaliżowane zostały przez robotę Metternicha, który równocześnie, kiedy ks. Adam bądź to przez swego wysłańca lub też osobiście na wiosnę 1814 r. w Chaumont, przekładał lordowi Castlereagh projekty i prośby polskie, straszył niezupełnie dobrze oryentującego się Anglika w sprawach kontynentalnych rosnącą potęgą rosyjską, wciskającą się w środkową Europę pomiędzy Austryę i Prusy i grożącą obaleniem porządku i równowagi europejskiej, z takim trudem obecnie odbudowywanych. Przedstawienia te padały na grunt podatny i zręcznemu „ministrowi koalicyi" nietrudno było pozyskać dla swej polityki ministra angielskiego.[2]) W tem więc krytycznem położeniu, gdy ze strony Aleksandra nic decydującego nie wychodziło, kiedy do skutku dochodził groźny sojusz anglo-austryacki, a sprawa polska, przemilczana w traktacie paryskim, na kongres została odłożona, tembardziej pożądanem być musiało, żeby za Aleksandrem i Czartoryski do Londynu podążył i tu użył wszelkich wysiłków, by

[1]) Memoirs and Correspondence ed. by Gielgud, II. 247 sq.;—Dziennik ks. A. Czartor., „Bibl. Warsz.," czerwiec 1909, 428 sq.; — Mémoire présenté au Cabinet Anglais en faveur de la Pologne, Puławy le 9 Septembre 1813. (Archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie); — An Appeal to the Allies and the English Nation on behalf of Poland, 1814. London, J. Harding, St. James, Str. 8-o, pp. 66. — Niemcewicz: Pamiętniki, II, 166; — Brougham: Life and Times of... written by himself, II, 247.

[2]) Dziennik ks. A. Czart., „Bibl. Warsz.," czerwiec 1909, 438 sq.;—Demelitsch: Actenstücke zur Geschichte der Coalition v. Jahre 1814. (Fontes rerum Austr. XLIX, 2) 314 sq.;—Fournier: Der Congress v. Chatillon, 252—7;—Alison: Lives of Lord Castlereagh and Sir Charles Stuart, II, 340.

jeżeli już nie sfery rządzące, to przynajmniej opinię publiczną do energicznego opowiedzenia się za Polską nakłonić.

Dnia 6 czerwca przeprawili się monarchowie przez kanał La Manche na jachtach królewskich, pod eskortą floty angielskiej i rosyjskiej, dowodzonej przez ks. Clarence i przy odgłosie salw armatnich przybili do brzegów angielskich, gdzie tłumnie zebrana ludność powiozła ich wśród radosnych okrzyków w wyprzężonych z koni powozach do Douvru. Stamtąd, by uniknąć nużących owacyj, których przedmiotem bywał szczególnie Aleksander, ruszyli incognito do Londynu. Stanęli tam 7-go, około południa, niepostrzeżeni na razie przez nikogo. Dopiero pod wieczór rozeszła się wieść o przybyciu monarchów, a ludność otoczyła natychmiast ich mieszkania, nie odstępując już na krok królewskich gości przez cały czas ich pobytu w stolicy. Przed mieszkaniem Aleksandra w Pulteney Hotel (105. Piccadilly), gdzie od kwietnia przebywała siostra cesarska, Katarzyna Pawłówna, ustawiono nawet trybuny, szczelnie wypełnione publicznością, spragnioną widoku „zbawcy Europy.“ Podobne owacye urządzano królowi pruskiemu, jakkolwiek ten przy okazałej a ujmującej postaci cesarza, schodził do roli „Aleksandrowego adjutanta,“ prześladowanym zaś wprost był temi objawami sympatyi stary marszałek Blücher i hetman kozacki Płatow, witani niemilknącemi *cheerami* przez tłum uliczny, w czem mu zresztą i towarzystwo londyńskie nie ustępowało.[1])

Trzytygodniowy pobyt monarchów w Londynie upływał na ustawicznych przyjęciach, uroczystościach i rewiach wojskowych. Gościł ich książe-regent w pałacu swoim Carlton House, wspaniałym, kosztownym a niesmacznym gmachu, podejmowała w Guildhallu kupiecka City, potężna sojuszniczka Rosyi. Zaszczycali też monarchowie swoją obecnością domy wysokiej arystokracyi a Aleksander bywał w Chiswick u ks. Devonshire, na balu u faworyty regenta, lady Jersey, oraz u ks. Richmond i lorda Egremont. Dnia 14 czerwca w starym uniwersytecie oxfordzkim promowano Aleksandra na doktora prawa cywilnego.[2]) Zwiedzili też goście wspaniały zamek Blenheim, ongi rezydencyę Mallborougha, oraz arsenały w Greenwich i zakłady dla inwalidów w Chelsea. Dn. 26

[1]) Jackson: Bath Archives etc., II, 437 sq.;—Byron: Letters and Journals, III, 480 sq.;—de Quincey: Collected Writings, ed. by Masson, III, 62—8;—Vehse: Geschichte des preuss. Hofs u. Adels u. der preuss. Diplomatie, VI, 207 sq.

[2]) Szilder: Imperator Aleksandr I, III, 243 sq.; — Mémoires historiques etc. par M-me de Choiseul-Gouffier, 204 sq.; — Tourgenieff: La Russie et les Russes, I, 47 sq.;—Memoirs of W. Melbourne, ed. by Torrens, I, 108.

czerwca po manewrach floty w Portsmouth, pożegnali monarchowie gościnną ziemię angielską, a każdy z nich podążył do swojej stolicy.

Harmonię tej wizyty psuły jednak przykre dysonanse. Jednym z nich było wmieszanie się cesarza w sprawy rodzinne królewskie, kiedy narzucił się z nieproszoną rolą rozjemcy w popieranem przez ojca a obecnie rozchwianem małżeństwie córki regenta, ks. Charlotty z pupilem angielskim, Wilhelmem Orańskim. Wpłynęły również na oziębienie stosunku Aleksandra i Jerzego intrygi w. ks. Katarzyny, jak niepomyślne oferty małżeńskie posła rosyjskiego, Tatiszczewa, który w przejeździe do Hiszpanii prosił o rękę tejże ks. Charlotty dla w. ks. Mikołaja, oraz rekuza dana przez w. ks. Katarzynę ks. Clarence, przyszłemu Wilhelmowi IV. [1])

Z wielką nadto podejrzliwością i niechęcią musiał spoglądać zarówno dwór, jak i gabinet rządzący, na nawiązane przez Aleksandra stosunki z partyą whigów. Podobnie bowiem, jak w Paryżu, dawał i w Londynie cesarz wyraz swoim przekonaniom liberalnym, tembardziej, że nie miał u boku swego reprezentanta reakcyi, Arakczejewa, a nawet widocznie nosił się z zamiarami utworzenia w Rosyi rządowej partyi liberalnej, na której mógłby się w razie potrzeby oprzeć dla zrównoważenia owej wybujałej oligarchii reakcyjnej. Zapytanie, jakby stworzyć ognisko opozycyi, niby mimochodem rzucone Greyowi, które w zdumienie wprawiło poczciwego Anglika, jest dowodem tych planów cesarskich.[2]) Porozumiewał się też Aleksander z Jeremiaszem Benthamem, filozofem utylitarnym, któremu później zaproponował napisanie kodeksu dla swego cesarstwa.[3]) Przyjmował u siebie roztaczającego podówczas energiczną propagandę za zniesieniem handlu niewolnikami Samuela Wilberforce'a, który złożył Aleksandrowi memoryał w tej sprawie i zabiegał o skuteczną opiekę emancypacyi na kongresie.[4]) Żywe zainteresowanie cesarza obudził też nowy system pedagogiczny

[1]) Charles Yonge: Life and Administration of Lord Liverpool, II 12 sq.;— Lord Holland: Further Memoirs of the Whig Party, 197 sq.; — Dziennik ks. A. Czart., „Bibl. Warsz.," lipiec 1909, 49;—Fournier: Historische Studien u. Skizzen, II, 302;—Martens: Recueil des traités etc., XI, 205; — Merveldt do Metternicha, Londres, 5 mai 1814. (Haus-, Hof-, u. Staats-Archiv w Wiedniu.)

[2]) Bernhardi: Geschichte Russlands u. der europäischen Politik, I, 16;— Metternich: Mémoires, I, 325. Askenazy: Łukasiński, I, 108 sq.

[3]) Memoires and Correspondence ed. by Giełgud, II, 290 sq.;—Askenazy, Rosya—Polska, 13;—Bentham do Aleksandra, London, 17 mai 1815 (Archiwum ks. Czart. w Krakowie).

[4]) Wilberforce: Life etc., IV, 180.

Lancastera, niedawno w Anglii wprowadzony, a w najbliższej przyszłości i w Rosyi stosowany.[1]) Otóż to zbliżenie się Aleksandra do whigów w połączeniu z popularnością, zyskaną w opinii publicznej angielskiej, niemało wpłynęło na naprężenie stosunków z regentem, który nietylko, że tej popularności nie posiadał, lecz wprost należnego uszanowania nie znajdował nawet w tak lojalnym narodzie, jak angielski.

Z podobną niechęcią, a raczej z obawą odnosił się do cesarza gabinet rządzący, ale z innego, głębszego powodu. Torysi dotychczas stale popierali Aleksandra, dopóki chodziło o walkę z Napoleonem. Oni to wskutek misyi tajnego agenta Aleksandra, ks. Kazimierza Lubomirskiego, wysłanego jesienią 1811 r. do Londynu, użyli swego wpływu w Konstantynopolu i uwolnili cesarza od niewygodnej wojny z Turcyą w przededniu samym wyprawy Napoleona do Moskwy.[2]) Hojniejszą dłonią udzielali w ostatniej wojnie subsydyów Rosyi, niż innym państwom europejskim. Lecz gdy cel ich został osiągnięty, a potęga Napoleona złamana, poczęli podejrzliwie spoglądać na Rosyę, która niedawno nabyła od Szwecyi Finlandyę, od Turcyi uzyskała Besarabię, a na Persyi wytargowała dogodną granicę wojskową i to w dodatku za wpływem angielskim. Skoro zaś wyszły na jaw nowe projekty polskie Aleksandra, skoro nareszcie przy pomocy austryackiej dojrzano w Londynie groźną „chmurę rosyjską wiszącą nad Wisłą," postanowiono położyć kres dalszym zaborczym planom cesarza[3]).

Wszelako hołdy, składane Aleksandrowi, oddawano mu wyłącznie tylko, jako zwycięzcy Napoleona, oraz głosicielowi haseł postępowych, a i sam cesarz ograniczał się raczej do roli obserwatora opinii publicznej, której nastrojenie na ton przychylny dla sprawy polskiej przypadało w udziale ks. Adamowi Czartoryskiemu. Położenie jego w Londynie było niesłychanie drażliwe, a swoboda działania niezmiernie skrępowana z powodu podejmowanych poza plecami cesarza robót, a przedewszystkiem misyi Biernackiego, tak że słusznie można się było obawiać, że Aleksander o wszystkiem się dowie i że weźmie to mocno za złe.[4]) W Lon-

[1]) Szilder: Imperator Aleksandr I, III, 393.

[2]) Duke of Buckingham and Chandos, Memoirs of the Court of England during the Regency, London, 1856, I, 122 sq., 149 sq., 196 sq., gdzie zamiast „Luberminski" czytać należy Lubomirski; Ogiński, Mémoires sur la Pologne, III, 45.

[3]) Alison, Lives of Lord Castlereagh and Sir Charles Stewart, II, 341 sq.

[4]) Porównaj aferę Wielhorskiego: Askenazy, Dwa Stulecia, II, (1910) 513 sq.

dynie poznał lub raczej odnowił znajomości Czartoryski z całą niemal arystokracyą whigowską. Udawał się do lorda Greya, szlachetnego, lecz słabego i zaślepionego w sympatyach dla Austryi, do którego niedawno zwracał się Kościuszko [1]), miewał rozmowy z byłym premierem gabinetu lordem Grenvillem, byłym ambasadorem w Petersburgu lordem Granville Leveson Gowerem i lordem Holland. Trudno było przecież popchnąć whigowskich lordów, jakkolwiek przychylnie dla sprawy polskiej usposobionych, do jakiegoś energicznego wystąpienia, na co składały się poczucie własnej bezsilności wobec wszechpotężnego ministeryum, a w następstwie obawa skompromitowania się w opinii publicznej. Zresztą lordowie whigowscy, podzielając w pewnej mierze obawy przed Rosyą, chętniej ofiarowaliby swe usługi, popieraniu zupełnej niepodległości Polski, tembardziej, że pozostawali w tem mylnem przekonaniu, iż Austrya temu sprzeciwiać się nie będzie [2]).

Silniejsze poparcie znalazł Czartoryski w partyi Wilberforce'a, gdyż niebawem poruszono sprawę polską w parlamencie, jakkolwiek nie w formie osobnego adresu do korony, domagającego się wydania odpowiednich rozkazów ministrom, celem skutecznego zajęcia się tą sprawą na kongresie. Adres taki byłby przedewszystkiem zwalczany przez ministeryum, jako wnoszony przez opozycyę, nie znalazłby zresztą w samej Izbie poza szczupłem gronem wnioskodawców poparcia. Przygodnie więc tylko, w formie ogólnikowych życzeń weszła sprawa polska pod obrady w pałacu Westminsterskim, przyczem zauważyć należy, że stało się to dopiero po wyjeździe monarchów z Londynu.

Dnia 29 czerwca, w dyskusyi nad przełożonym Izbie Gmin tekstem traktatu paryskiego, odezwał się Jerzy Ponsonby w sposób następujący o Polsce: Sprawa ta, mówił, jakkolwiek kontynentalna, powinna być przedmiotem szczególnej troski rządu, ze względu na wzajemną zależność od siebie bezpieczeństwa Anglii i lądu stałego. Podział Polski stał się przyczyną przewrotu wywołanego Rewolucyą, a Bonaparte naśladował jedynie postępowanie 3 mocarstw rozbiorowych. Jeżeli więc obecnie nastąpiło zerwanie ze stanem rzeczy, stworzonym przez Rewolucyę i Napoleona, należy również powrócić Polskę do tego stanu, jaki istniał przed jej podziałem, a to winien mieć na uwadze przyszły reprezentant Anglii na kongresie [3]).

---

[1]) Angeberg, Recueil des traités etc. concernant la Pologne, 601.

[2]) Dziennik ks. A. Czart., „Bibl. Warsz." lipiec 1909, 46 sq.

[3]) Hansard, Parliamentary Debates, XXVIII, 434 sq.

Po raz wtóry w wyraźniejszej nieco formie i przez usta kilku członków wyprowadzono sprawę polską w dyskusyi nad kredytem 4,000,000 funtów, zażądanym przez kanclerza skarbu Vansittarta, który uzasadniał go wojną ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej, wypłatą subsydyów mocarstwom sprzymierzonym, kosztami utrzymania armii w Niderlandach, oraz wydatkami reprezentacyjnymi na kongresie. Opozycya, występując przeciw tak wysokiej sumie, żądała wyjaśnień, dlaczego pomimo zawartego pokoju utrzymuje się znaczny korpus wojskowy w Niderlandach i to pod komendą ks. Orańskiego, a znajdowała nagannem udzielanie większej sumy pieniężnej negocyatorowi angielskiemu na kongresie. Przytem podniesiono sprawę Norwegii, od dwóch lat już przyobiecanej następcy tronu szwedzkiego, sprawę Genui, w najbliższej przyszłości haniebnie przez rząd angielski opuszczonej, oraz sprawę Polski, wyrażając nadzieję, że wszystkie te sprawy będą załatwione, sposobem odpowiadającym honorowi Anglii i mocarstw wspólnie w nich zaangażowanych. Co do Polski, to przypominał Wilberforce, że przyszły jej los obudza najżywsze zainteresowanie opinii publicznej, uważał więc za obowiązek wezwać rząd do użycia całego swego wpływu na kongresie na korzyść tego nieszczęśliwego kraju. Zaraz jednak powstał deputowany Calvert i zastrzegając się, że niema zamiaru bronić systemu podziałowego, oświadczył się za utrzymaniem istniejącego stanu rzeczy, z obawy powrotu dawnej anarchii. Odezwanie się to znalazło natychmiast należytą odprawę, a zarazem i pouczenie w uwadze Whitbreada, który przypomniał zwolennikowi *status quo*, że właśnie w chwili podziałowej nastąpiła reforma, a Wilberforce zacytował słowa Burke'a, który przeciwstawiał bezkrwawą rewolucyę polską, zdolną zapewnić narodowi wszelkie błogosławieństwa ustroju konstytucyjnego angielskiego — wywrotowej rewolucyi francuskiej [1]).

Jeszcze raz poruszył sprawę polską znowu w Izbie Gmin, pod koniec letniej sesyi, d. 26 lipca, przy trzeciem czytaniu powyższego billu kredytowego, jednakowoż przy szczupłej ilości słuchaczy, James Mackintosh, zdolny prawnik, a swego czasu gorący obrońca rewolucyi francuskiej w piśmie *Vindiciae Gallicae*, przeciw fanatycznym atakom Burke'a. Zbliżający się kongres—były słowa Mackintosha—ma zająć się losem Polski, więc i dla Anglii nadeszła chwila wypowiedzenia się w tej sprawie. Anglia i Francya, zaniedbawszy swych opie-

[1]) Hansard, Parliamentary Debates, XXVIII, 810 sq.

kuńczych obowiązków względem Europy, ściągnęły na siebie współwinę podziału, ale nie shańbiły się czynnym akcesem lub uznaniem prawności tych aktów grabieży. Ręce ich jeszcze nieskalane — mogą naprawić dawną opieszałość. Zagłada Polski dokonaną została w 3 lata po 1 stycznia 1792, dacie, którą w teraźniejszych rokowaniach uznano jako obowiązującą zasadę restytucyjną. Ponownie odzyskała Polska narodową egzystencyę w 1807 r. pod postacią Księstwa Warszawskiego, na co wszystkie państwa europejskie się zgodziły z wyjątkiem Anglii, która nieprzestała jej uznawać jako dawnej Rzpltej. Obecnie więc wypada ministrom W. Brytanii orzec po raz pierwszy nietylko czyli uznają podział dawnego państwa polskiego, lecz także czy chcą się przyłożyć do zniszczenia tej nowej Polski, której powstanie było jedynem dobrodziejstwem, wynikłem w ciągu ostatnich klęsk [1]).

Wprowadzenie sprawy polskiej przed parlament angielski, przeszło niemal bez znaczenia, a wspomniane powyżej mowy, jakkolwiek gorącą sympatyą tchnące, nie wchodziły w istotną wagę i treść rzeczy. Pewne zrozumienie daje się zauważyć w mowach Mackintosha i Ponsonby'ego, gdy żądali dla przyszłego rozwiązania sprawy polskiej tej zasady restauracyjnej, jaką uznano w negocyacyach pokojowych z Francyą. Co najważniejsza jednak, szlachetni członkowie Izby Gmin, bądź to nie zdawali sobie sprawy, lub też rozmyślnie omijali najważniejszą, ale też i drażliwą kwestyę inkorporacyi Księstwa Warszawskiego do Rosyi i właściwie żadnych pozytywnych wskazań gabinetowi ministeryalnemu nie udzielali. Zresztą odzywające się za Polską głosy w parlamencie były wyrazem sympatyi oświeconych jednostek, co najwyżej partyi, ale nie mogły pociągnąć za sobą całej opinii publicznej. Lekceważące milczenie ław ministeryalnych najlepsze wystawia świadectwo małej ich skuteczności.

Na te braki składała się w pewnym co prawda stopniu i ostrożność Czartoryskiego, skrępowanego z jednej strony obecnością cesarza, a z drugiej podejmowanemi rokowaniami z ministeryum, którego nie chciał dla siebie i zabiegów swych zrazić. Przestrzegał przed tem księcia w jednej z rozmów, przenikliwy Canning, radząc „nic przez opozycyę nie czynić," gdyż „to rozgniewa ministra," a zarazem zbytnio nie dowierzać opozycyi, która „będzie rada, jeżeli minister nic nie zrobi, żeby potem na nie-

[1]) Hansard, Parliamentary Debates, XXVIII, 849 sq.; porównaj: Ostrowski, Żywot T. Ostrowskiego, II, 535; Hoffmann, Coup d'oeil etc. 15 sq.

go napaść.“ [1]) W ciągu swoich zabiegów u whigów, zwracał się kilkakrotnie Czartoryski do lorda Castlereagh, a nawet złożył mu jakiś bliżej nam nieznany memoryał. Starał się przedewszystkiem przekonać lorda, że zamierzony przyrost państwa rosyjskiego przez połączenie z niem Księstwa, nie jest znowu tak groźny, ze względu na osobną konstytucyę, jaka przypadnie nowemu Królestwu Polskiemu. Zresztą podnosił, że demarkacya granic, umowy wzajemne o poddanych mięszanych, a zwłaszcza nadanie Galicyi osobnej konstytucyi, mogą w zupełności zapobiedz oderwaniu się ziem galicyjskich od monarchii habsburskiej, które taką trwogą przejmuje gabinet austryacki [2]).

Pomimo tego nie zdołał Czartoryski przychylniej usposobić Castlereagha, zwłaszcza że, podobnie jak poprzednio w Chaumont i Paryżu, natrafiał i w Londynie na niebezpiecznego współzawodnika w osobie Metternicha, któremu powiodło się nietylko pozyskać głos reprezentanta Anglii na przyszłą repartycyę zdobyczy ponapoleońskich, lecz także znaleźć silne poparcie u ks. regenta, tak że ten zaproponować miał nawet ministrowi austryackiemu tajny sojusz przeciw Aleksandrowi). Po wyjeździe Metternicha prowadził dalej tę akcyę ambasador austryacki Maksymilian hr. Merveldt, wróg zawzięty Polski, na pamięć naszą zasługujący z tego względu, że dowodząc w 1809 r. korpusem austryackim, osłaniającym Bukowinę, dopuszczał się srogich represyj „na zbuntowanych Galicyanach,“ ciągnących pod znaki narodowe [4]). W kampanii 1813 r. pojmany w bitwie lipskiej przez oddział polski i uwolniony na słowo, użyty został przez Napoleona w próbach negocyacyj pokojowych. Następnie, po powrocie dotychczasowego nadzwyczajnego posła austryackiego, Wessenberga, w styczniu 1814 r., wysłany został jako stały ambasador do Londynu, gdzie w krótkim czasie pozyskał sympatyę dworu, a przedewszystkiem regenta, tak że po śmierci (1815 r.) zaofiarowano dla niego miejsce w Westminster Abbey, niewiadomo wszakże z powodu jakich zasług [5]).

Obecnie zasięgał Merveldt, a także i sekretarz ambasady austryackiej, Neumann, dokładnych wiadomości o robotach londyńskich

[1]) Dziennik ks. A. Czart. „Bibl. Warsz.,“ lipiec 1909, 50.

[2]) Tamże, 49 sq.

[3]) Treitschke, Deutsche Geschichte, I, 571; Preussische Jahrbücher, XXXVI, 704; Fournier, Historische Studien u. Skizzen, II, 233 sq.

[4]) Askenazy, Józef ks. Poniatowski, 322.

[5]) Wurzbach, Oesterreichisches Biographisches Lexicon, art.: Merveldt.

księcia Adama i wiernie z nich zdawali sprawę swemu gabinetowi. Nie ograniczając się jednakowoż do służby wywiadowczej, próbował Merveldt unieruchomić akcyę Czartoryskiego wszelkimi sposobami. I tak na obiedzie, wydanym przez ks. regenta, rzucił ks. Adamowi kompromitujące zapytanie, czyby nie zechciał się królem polskim ogłosić,[1]) a na kilka dni przed jego odjazdem odbył z nim dłuższą konferencyę, w której dobywając z obfitego swego arsenału najrozmaitszych argumentów, usiłował zastraszyć lub przynajmniej zniechęcić Czartoryskiego w jego zabiegach. Omawiał więc szeroko groźny dla równowagi europejskiej wzrost potęgi rosyjskiej i dowodził, że Aleksander, ogłaszając Królestwo Polskie, wniesie tem samem rewolty i powstania w kraje austryackie, narażając monarchię na utratę Galicyi. Rząd austryacki zgodziłby się na odstąpienie tej „pięknej“ prowincyi, gdyby chodziło o utworzenie Polski niepodległej pod księciem, nienależącym do żadnego z wielkich domów panujących, ale nie zezwoli na powiększenie się Rosyi o 12 milionów mieszkańców i zdobycie w środku Europy takiej przewagi, wobec której wszelka niezależność musiałaby zniknąć, a tego samego zdania będą Anglia i Prusy. Czartoryski jednak nie zaniepokoił się zbytnio tymi groźnymi wywodami ambasadora austryackiego, nie wierzył też jego deklaracyom wojennym, gdyż jak sam oświadczał, cesarstwo austryackie jest odosobnione i wyczerpane, a na niebezpieczeństwo utraty Galicyi, podawał wyborny środek zapobiegawczy, nadanie osobnej konstytucyi ziemiom polskim pod berłem austryackiem.[2])

Dysputy tej nie zaniedbał Merveldt zakomunikować Castlereaghowi, któremu już poprzednio, zaniepokojony wrażeniem wywodów Czartoryskiego na ministrze angielskim, wystawiał w groźnych barwach przewrót, jaki pociągnie za sobą złączenie Księstwa z Rosyą i ewentualne oderwanie się Galicyi, co dałoby cesarstwu rosyjskiemu przyrost ludności około 12 milionowy, siłę zbrojną zaś pomnożyłoby o 200,000 żołnierza, a w dalszych konsekwencyach przewidywał sojusz Rosyi z Francyą, dotąd zawsze ku północy ciążącą, oraz zagarnięcie przez marynarkę rosyjską floty duńskiej i szwedzkiej.[3])

---

[1]) Dziennik ks. A. Czart., „Bibl. Warsz.,“ lipiec 1900, 47.

[2]) Merveldt do Metternicha, Londres, 22 Juillet 1814. Rapport № 29 lit. A. (Haus-, Hof-, u. Staats-Archiv we Wiedniu).

[3]) Merveldt do Metternicha, Londres, 9 Juillet 1814. Rapport № 28. (H.-, H.-, u. St.-A.).

Pomimo tej zręcznej a w najdrażliwszą stronę polityki angielskiej, t. j. panowania nad morzami, utrafiającej argumentacyi, nie dał się Castlereagh, ku wielkiemu zmartwieniu rwącego się do akcyi wojennej Merveldta, pociągnąć do żadnego energicznego kroku. Nie można się jednak wcale temu dziwić, żądał bowiem Merveldt złożenia ambasadzie rosyjskiej kategorycznej deklaracyi, „że Anglia raczej wszystko poświęci, aniżeli dopuści narażenia wolności Europy pod tak błahymi pretekstami, gdyż inaczej Europa, która zwalczała Francyę dla zwolnienia się od jej despotyzmu, stałaby się narzędziem Rosyi dla oddania despotyzmu w jej z kolei ręce.“ [1]) Tego rodzaju oświadczenie równałoby się poprostu wypowiedzeniu wojny, której nie życzył sobie wcale lord Castlereagh, przeciwnie, był za zachowaniem pokoju i „opuszczeniem żagli“ (*caler les voiles*) przynajmniej tymczasowo, chociaż przyznawał słuszność wywodom ambasadora i skarżył się na nieszczęsne pretensye rosyjskie i trudności, jakie wynikną w Wiedniu. Ale też i przestrzegał Merveldta przed zapałem wojowniczym, któremu dał się unieść w rozmowie z Czartoryskim, gdyż cesarz i Metternich są więcej pokojowo usposobieni, a nikt zresztą nie uwierzy gotowości Austryi do wojny, wiedząc o niepokojach w prowincyach włoskich, gdzie przez kilka lat jeszcze będzie zmuszoną do utrzymywania znacznej armii. Nie można liczyć—stwierdzał Castlereagh—na pomoc Anglii, która musi pozostać neutralną ze względu na opinię publiczną, jakoteż z uwagi na to, co spodziewa się uzyskać dla Holandyi, Prusy zaś staną po stronie Rosyi. Tak więc cesarstwo austryackie znalazłoby się w walce nierównej i beznadziejnej. [2]) Nie ograniczając się wszakże na tem, używał jeszcze niezmordowany Merveldt najrozmaitszych argumentów i między innymi przypomniał lordowi Castlereagh artykuł tajny konwencyi 3 dworów rozbiorowych z 1797 r., warujący zagładę imienia Polski, a sprzeciwiający się zamierzonemu obecnie przez Aleksandra utworzeniu Królestwa Polskiego pod własnem berłem.

[1]) Merveldt do Metternicha, Londres, 9 Juillet 1814, Rapport № 28: „...faire apercevoir à l'Ambassade de Russie la ferme intention de la G-de Bretagne de plutôt tout sacrifier que de souffrir que la liberté de l'Europe soit exposée sous des prétextes aussi frivoles et que toute l'Europe croyant combattre la France pour se libérer de son despotisme, se trouverait avoir été employée à la Russie pour placer le despotisme dans ses mains.“ (H.-, H.-, u. St. A.).

[2]) Merveldt do Metternicha, Londres, 22 Juillet 1814. Rapport № 29, lit. A. (H.-, H.-, u. St.-A.).

Przedstawienia te w połączeniu z poprzednią robotą Metternicha, nie były przecież zupełnie bezskuteczne. Oto w ostatniej rozmowie z Merveldtem, przed odjazdem swoim do Paryża, a widocznie już po odbyciu konferencyi gabinetowej, przechodząc z dotychczasowej swej biernej roli do akcyi czynnej, wystąpił lord Castlereagh z pomysłem wysunięcia przeciw projektowi Aleksandra, kontrpropozycyi Polski zupełnie niepodległej.[1]) Plan ten, rzecz prosta, nie był szczerym. Autor jego, zdając sobie dobrze sprawę z niemożliwości wykonania takiego projektu, nie zastanawiał się ani nad granicami proponowanego państwa polskiego, ani też nad tem, kogoby na tronie jego osadzić. Spodziewał się, że z jednej strony przelicytowawszy Aleksandra tak w opinii polskiej, jak i oświeconej Europy, postawi je po stronie swojej, a z drugiej obudziwszy opozycyę w samemże państwie rosyjskiem, zmusi cesarza do wyrzeczenia się swego zamiaru i w rezultacie nakłoni go do rozwiązania tej zawiłej kwestyi na najdogodniejszej dla mocarstw europejskich drodze podziałowej.

Zabiegi ambasadora austryackiego schodziły się bez wiedzy jego z równoczesną, konkurencyjną, bardziej pokojową i zręcznie w ambicyę wielko-brytańską godzącą, akcyą Talleyranda, który pod koniec lipca zwracał się do Karola Stuarta, zastępującego nieobecnego w Paryżu ambasadora angielskiego ks. Wellingtona, oraz bezpośrednio pisemnie do lorda Castlereagh, z propozycyami porozumienia się obu gabinetów w sprawie polskiej przedewszystkiem, przyczem podawał projekt ewentualnego podjęcia wspólnej medyacyi na kongresie. Atoli gabinet londyński wobec tych ofert, wyraźnie zmierzających do odciągnięcia Anglii od dawnych jej aliantów, a przedewszystkiem Austryi, zachował wszelką rezerwę, nie dając się jeszcze owładnąć przebiegłej polityce Talleyranda.[2])

„Z opadłą nadzieją, niedowolny sobą i swojem przebywaniem," opuścił Czartoryski Anglię d. 16 lipca i podążył do Paryża, żeby i tam nie szczędzić zabiegów dla sprawy polskiej. W Londynie pozostawił generała Józefa Sierakowskiego, który wprowa-

---

[1]) Merveldt do Metternicha, Londres, 15 Août 1814. Raport № 36, lit. B. (H.-, H.-, u. St.-A.); — porównaj: Wellington, Supplementary Despatches and Memoranda, IX, 342.

[2]) Castlereagh: Memoirs and Correspondence, X, 76, 91 sq.; — Wellington: Supplementary Despatches and Memoranda, IX, 181—5

dzony przez księcia w przychylnie usposobione sfery whigowskie, miał, jeżeli już nie rozwinąć, to przynajmniej nie dozwolić upaść temu zainteresowaniu, jakie z takim trudem udało się poniekąd obudzić w Anglii dla losów Polski. [1]) Sprawa polska tymczasem już za dwa miesiące miała wejść pod obrady kongresowe, w których nie głosy opinii publicznej, ani też słuszne prawa narodów, lecz ilość dusz i mil kwadratowych rozstrzygać miały.

Eugeniusz Wawrzkowicz.

[1]) J. Sierakowski do ks. A. Czartoryskiego, Edynburg, 16 września. (Archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie).

POCZĄTKI ODRODZENIA KATOLICYZMU

w Anglii.

Lat temu parę, gdy po raz pierwszy zebrał się w Londynie Kongres Eucharystyczny, fakt ten był dla wielu katolików prawdziwą niespodzianką i objawieniem. W istocie, prócz garstki bliżej wtajemniczonych, mało kto byłby przedtem uwierzył w możliwość czegoś podobnego w tej Anglii, która od trzech przeszło wieków pałała tak nieprzejednaną nienawiścią do wszystkiego, co katolickie. Tymczasem Kongres nietylko odbył się bez przeszkody i z całą świetnością, ale nadto uczestnicy jego doznali przyjęcia, o jakiem do niedawna nie byliby mogli marzyć. Ani w masach ludności wyznania anglikańskiego, ani wśród przedstawicieli ich Kościoła nie dały się odczuć najmniejsze oznaki niechęci, nieufności lub niezadowolenia z powodu tej uroczystej manifestacyi, która była jakoby ukoronowaniem jawnego, niemal tryumfalnego powrotu dawnej wiary na ziemię angielską w chwili, gdy po tak długiem i bezwzględnem prześladowaniu, zdawała się już ostatecznie z niej wykorzenioną. Przeciwnie, przybyłym z całego świata dostojnikom i wiernym Kościoła katolickiego naród angielski okazał więcej niż należny im szacunek, bo szczerą sympatyę, oraz żywe i życzliwe zainteresowanie dla ich prac i ceremonij.

Rzec można, że zaufanie Stolicy Apostolskiej pochlebiło Anglikom wszelkich wyznań, a wybór Londynu na miejsce uroczystego stwierdzenia powszechności rzymskiego Kościoła, przyjętym został przez nich, jako zaszczyt i odznaczenie.

Skąd taka gruntowna zmiana w uczuciach i opiniach słynnych dotąd z nietolerancyi angielskich protestantów? Na to pytanie odpowiedź znajdziemy w dziejach rozwoju myśli religijnej

w Anglii w ciągu ubiegłego stulecia. Myśl ta, jak się przekonamy, uległa w tym okresie ewolucyi, do której impuls wyszedł od grupy młodych duchownych anglikańskich. Ruch ideowy, wywołany przez nich, nazwany „Ruchem oksfordzkim“ i skierowany przeciw niesłusznym uprzedzeniom i ignorancyi wyznawców Kościoła anglikańskiego, prostując ich błędne pojęcia o zasadach własnej religii, wywołał te właśnie zdumiewające skutki, których jego promotorzy sami z początku spodziewać się nie mogli.

Ruch ten był pierwotnie wyłącznie doktrynalnym, a celem, dla którego go podniesiono, było obudzenie, przedewszystkiem u duchowieństwa, prawdziwej pobożności, która, przy stopniowem sprotestantyzowaniu angielskiego Kościoła, zanikła zupełnie, zamieniając się w czczą, suchą i jaknajbardziej ścieśnioną i ograniczoną do minimum formalność.

Działalność grupy oksfordzkiej wkrótce zaniepokoiła biskupów anglikańskich, nie pragnących żadnych zmian w istniejącym stanie rzeczy, któreby im przeszkadzały w spokojnem korzystaniu z przywilejów i wysokiej sytuacyi, jakie im zapewniała ich godność. To też przeważnie patrzyli oni krzywo na ujawniającą się w tej działalności dążność powrotu do starych tradycyj angielskiego Kościoła i zapomnianych jego dogmatów. A te pierwotne tradycye i dogmaty były katolickie tak samo, jak sam Kościół angielski, który, po oderwaniu od Rzymu, zachował początkowo wszystkie dawne formy i artykuły wiary, a dopiero z czasem, pod naciskiem protestantyzmu, któremu się oprzeć nie mógł, zaniechał ich, nigdy ich formalnie nie odrzuciwszy. Po ostatecznym tryumfie protestantyzmu, zdawać się mogło, że ten pierwiastek katolicki w religii anglikańskiej zanikł zupełnie, gdy w istocie słaba jego iskierka tliła się jeszcze nietyle w praktykach, ile w uczuciach pewnych natur o skłonnościach mistycznych. Z tej to drobnej iskierki miał wybuchnąć w następstwie płomień odrodzonej wiary, ogarniający z czasem coraz szersze koła, który doprowadził najpierw wiele najwybitniejszych jednostek w społeczeństwie anglikańskiem do powrotu na łono powszechnego Kościoła. Te głośne nawrócenia pociągnęły wreszcie uwagę całego świata na fenomenalny zwrot, tak nagle ujawniający mistyczne aspiracye ducha angielskiego, którego zwycięski protestantyzm nie zdołał całkowicie zmateryalizować.

Ale poza granicami Anglii, jeśli doszły do wiadomości ogółu fakty najgłośniejsze, to ich dalsze powody i cały proces odprotestantyzowania, wszczęty w tym kraju w trzecim dziesiątku wieku XIX i odbywający się w dalszym ciągu bez przerwy aż do

chwili obecnej, mało komu były znane. Zaradził temu historyk francuski, p. Thureau-Dangin, ogłaszając dzieje tego tak doniosłego w życiu religijnem Anglii okresu. Wyczerpujące to i niezmiernie ciekawe dzieło p. t. „La Renaissance catholique en Angleterre au XIX-e siècle“ ukazało się w 3 tomach w latach 1899—1906. W roku zaś bieżącym, tenże autor wydał książkę, zawierającą treść jego prelekcyj w tym samym przedmiocie, wypowiedzianych w paryskim Instytucie Katolickim i streszczających w rysach głównych zawartość poprzedniego dzieła. W tej to poważnej i zajmującej pracy, która posłużyła za źródło dla niniejszego szkicu, znajdujemy charakterystykę oraz dokładne wyjaśnienie początków i skutków owej ewolucyi idei religijnej w Anglii w kierunku zbliżenia do katolicyzmu.

Grupa młodych ludzi z Oksfordu, o której przed chwilą wspomnieliśmy, sama powstała pod wpływem, który na umysły szczere i logiczne, oraz szlachetne, a spragnione wiary żywszej serca młodzieży uniwersyteckiej, przygotowującej się do stanu duchownego, wywarł urok pełnej głębokiego uczucia poezyi religijnej i cnót prostych, ale szczególnie pociągających pewnego anglikańskiego proboszcza nazwiskiem *John Keble*.

John Keble należał do tych właśnie nielicznych wówczas jednostek wśród duchowieństwa anglikańskiego, które w wierze swej przechowały coś z tradycyj katolickich, co się objawiało w ich pobożności żarliwszej, w skłonnościach ascetycznych i w przekonaniu o swem posłannictwie, przelanem na nich przez apostołów, którzy tę moc otrzymali od Chrystusa, podczas, gdy ogół ich współtowarzyszy uważał się za urzędników, ustanowionych przez państwo i od niego zależnych, zobowiązanych do nauczania moralności i dopełnienia pewnych symbolicznych ceremonij, którym, równie jak i sobie samym, nie przypisywali żadnego charakteru sakramentalnego. I to jest punkt, z którego wyszedłszy, uczniowie Keble'a dojść musieli logicznie do uznania wszystkich prawie dogmatów Kościoła katolickiego, a co za tem idzie, praktyk jego i ceremonij. Utwierdziwszy się w swych przekonaniach przez zgłębienie pism Ojców Kościoła i nie widząc, aby w zasadach Kościoła anglikańskiego cokolwiek sprzeciwiało się zarówno samym dogmatom, jak ich katolickiej interpretacyi, postanowili sprowadzić ten Kościół z drogi, po której dążył, ich zdaniem, do zmateryalizowania i niewiary.

John Keble nie był jednak zdolnym przewodniczyć swoim uczniom w tem zadaniu. Pokierował niem kto inny — człowiek, którego nazwisko miało być związanem raz na zawsze z histo-

ryą odrodzenia katolicyzmu w Anglii. Tym człowiekiem był *John Henry Newman*, proboszcz kościoła uniwersyteckiego w Oksfordzie, poprzednio student tegoż uniwersytetu, młody, bardzo zdolny i uczony, z natury energiczny i obdarzony temperamentem łatwo zaczepnym. Jego pobożność nie znajdowała zadowolenia ani w okrojonych praktykach anglikanizmu, ani w obowiązkach swego stanu. Przytem, widząc z jednej strony zupełną anarchię doktrynerską, a z drugiej wielką zależność Kościoła od rządu i parlamentu, którego postanowienia obowiązywały nietylko w sprawach administracyjnych, ale i w kwestyach dotyczących zasad wiary, doszedł on szybko do przekonania, że Kościół anglikański na błędnej znajduje się drodze. W tych warunkach idee Keble'a znalazły u Newmana grunt bardzo podatny. Od myśli przeszedł on też niezwłocznie do czynu, w którym znalazł u towarzyszów z grupy oksfordzkiej żarliwe poparcie. Dla pobudzenia opinii kleru w kierunku tych idei, postanowił on puszczać w świat krótkie rozprawki, mające na celu uzasadnianie słuszności interpretacyi katolickiej pewnych dogmatów, których rozumienie zostało skrzywionem bezpodstawnie w Kościele anglikańskim wskutek dowolności, jaka w nim na tym punkcie panowała. Z tej dowolności skorzystał protestantyzm, by wprowadzić doń błędy, które z czasem się ustaliły. Newman nie wahał się wystąpić ostro przeciw tym błędom, a także wykazać rozstrój, nieład i anarchię, stąd pochodzącą, oraz niebezpieczeństwa, któremi podobny stan grozi wierze i Kościołowi, narażonemu skądinąd na arbitralność władz państwowych i parlamentarnych.

W tychże krótkich rozprawkach, nazwanych „traktami," wskazał on również duchowieństwu jego właściwe posłannictwo — potrzebę pobudzenia u wiernych większej pobożności przez przywrócenie dawnych praktyk religijnych i kultu.

Jednem słowem, za pomocą swych „traktów," Newman głosił kontr-reformę w łonie kościoła anglikańskiego i nie ograniczając się do teoryi, dał żywy przykład w swej parafii, w której pewne praktyki i ceremonie kultu katolickiego zaprowadził i do pobożności w gorących i natchnionych kazaniach nawoływał.

W taki sposób przy poszukiwaniu środków wzmocnienia podstaw zachwianego Kościoła, Newman zbudował system, który, w jego przekonaniu ówczesnem, miał stać się „via media" między katolicyzmem i anglikanizmem i nadał mu nazwę anglo-katolicyzmu, twierdząc, że wyznawca Kościoła anglikańskiego może być katolikiem „według serca i doktryny." Idee te, propagowane z gorliwością apostołów przez członków grupy oksfordzkiej, zyskały

niebawem bardzo wielu zwolenników, przeważnie wśród kleru wiejskiego, który w kierunku obrzędowym idąc wskazaną przez mistrza drogą, posunął się dalej jeszcze, w licznych parafiach bowiem zaprowadzono, prócz spowiedzi i Komunii w znaczeniu katolickiem, wszystkie niemal obrzędy i oznaki zewnętrzne, obowiązujące w Kościele katolickim, praktyki nabożne, cześć świętych i t. p. „Traktaryanizm“ ruchu oksfordzkiego zamienił się tedy wkrótce w „Rytualizm.“

Ale pracując dalej nad swą kontr-reformą, Newman począł wątpić o jej skuteczności. Odbudowawszy niemal całkowicie Kościół anglo-katolicki, postawił on sam sobie pytanie, czy taki Kościół bez głowy może mieć widoki istnienia, czy będzie miał rzeczywistą powagę, czy jest naprawdę Kościołem Chrystusowym? Od chwili, gdy ta wątpliwość wkradła się do jego umysłu, rozpoczęła się w duszy jego walka, która trwać miała lat kilka.

Tymczasem wyższe duchowieństwo oświadczyło się przeciw Traktaryanizmowi, a za niem większość opinii anglikańskiej. Prawowierność Traktaryanów oxfordzkich podano w podejrzenie, zaś ich reformy Kościół urzędownie odrzucił. Wtedy Newman opuszcza Oksford i osiada wraz z kilku uczniami w wiosce Littlemore, nie wyrzekając się wszakże z początku ani swego probostwa, co czyni dopiero po pewnym czasie, ani charakteru duchownego, i tu prowadzi przez parę lat rodzaj życia zakonnego w postach, umartwieniu i modlitwach według liturgii katolickiej. Tutaj również pisze on traktat „O rozwoju doktryny chrześcijańskiej,“ który zakończa własnem wyznaniem wiary katolickiej, i wreszcie w r. 1845 z rąk zakonnika włoskiego, O. Dominika, przyjmuje chrzest warunkowy. Z ostatnich jego uczniów i towarzyszów, paru go uprzedziło na tej drodze, a trzej, którzy dotrwali do końca, opuścili razem z nim Kościół anglikański.

To nawrócenie, jak wyznaje sam Newman w swej „Apologii,“ kosztowało go moralnie bardzo dużo. Wahania, zwątpienia, walki, które w ciągu paru lat, poprzedzających ostateczną decyzyę, stoczył w sumieniu własnem, miały w sobie coś szczególnie rozdzierającego i tragicznego, tak trudno przyszło mu, pomimo wewnętrznego przekonania o słuszności swego postanowienia, przezwyciężyć uprzedzenia nagromadzone wiekami, zasmucić przyjaciół, którym sprawiał zawód i których, przez swe odstępstwo, pozostawiał na pastwę rozterki, grożącej rozbiciem ich chwalebnych usiłowań. Ale prawda musiała zwyciężyć. Wedle słów jego własnych, gdy wszedł nareszcie do Kościoła rzymskiego, doznał, po tylu wstrząśnieniach, dziwnie błogiego uspokojenia, uczuł

się, „jak podróżny, który, po burzy na morzu, zawinął do bezpiecznego portu.“ A przecież do tego Kościoła szedł on sam jeden, z zaledwie przezwyciężonem protestanckiem uprzedzeniem do jego kleru, bez żadnego w nim oparcia, nie wiedząc nawet, jak zostanie przyjętym. Bo też nawrócenie Newmana odbyło się w warunkach zupełnie wyjątkowych, bez żadnych wpływów z zewnątrz, bez wszelkiej interwencyi księży katolickich, których pomocy do ostatka odmawiał; — było wynikiem wyłącznie procesu wewnętrznego, który dokonał się w jego duchu i umyśle w chwili, gdy poszukując ściślejszych podstaw dla Kościoła anglikańskiego, przekonał się, że prawda znajduje się w Kościele rzymskim, jedynym Chrystusowym, apostolskim i powszechnym.

Wrażenie, jakie wywołał ten fakt niebywały, w społeczeństwie angielskiem było nadzwyczajne, prawie piorunujące, tem bardziej, że za przykładem Newmana poszło natychmiast mnóstwo jego zwolenników. Zaraz z brzega naliczono trzysta nawróceń, które powtarzały się dalej nieustająco, pozbawiając Kościół anglikański jego sił najprzedniejszych. Z powodu odstępstwa Newmana miał wyrazić się Gladstone, że „w roku 1845 Kościół rzymski odniósł w Anglii największe zwycięstwo od czasu Reformy.“

Bardzo nieliczne wówczas duchowieństwo katolickie w Anglii, pozbawione wszelkich praw przez państwo, pogardzane i odtrącane przez ogół protestancki, podzielało, wraz z garstką wiernych, przeważnie pochodzenia irlandzkiego, zepchniętych do roli paryasów, nieufność i niechęć do swych prześladowców i ich wyznania. Ograniczeni z konieczności wyłącznie do swych najbliższych obowiązków pasterskich, angielscy księża katoliccy wyrzekli się wszelkiej myśli apostolstwa, które wydawało im się i było rzeczywiście, aż do tej chwili, niemożliwością.

W tych warunkach nic dziwnego, że ujawniający się w Kościele anglikańskim stan krytyczny najpierw nie zwrócił ich uwagi, a później wydał im się dla celów katolickich obojętnym, a nawet niebezpiecznym. Rzeczywiście sposób, w jaki przybywali do ich Kościoła ci neofici, którzy nawrócili się sami, odtrącając pogardliwie pomoc katolicką, pochodzący przeważnie ze sfer wyższych społeczeństwa, obdarzeni wysokimi stopniami naukowymi uniwersytetów, niedostępnych dla katolików, mógł sprawiać wrażenie nietyle skruszonego poddania się, ile zbrojnego najazdu, którego duchowieństwo katolickie, nie znające nastroju wewnętrznego przybyszów, miało pewną zasadę się obawiać. To też poprzedników Newmana przyjęto prawie zimno.

Na szczęście jednak dla sprawy katolickiej w tym właśnie czasie, najpierw koadyutorem a później wikaryuszem apostolskim Londynu mianowany został biskup in partibus *Wiseman*. Urodzony w Hiszpanii, kształcony w Rzymie, Wiseman, pomimo swego pochodzenia angielskiego, czy irlandzkiego, nie podzielał uprzedzeń katolików angielskich i ich nieufności do nawracających się anglikanów. Przeciwnie, ruch oksfordzki z jego katolickiemi tendencyami zajmował go bardzo i budził w nim wielkie nadzieje. Postarał się więc z jednej strony wpłynąć na zainteresowanie się nim katolików, a z drugiej, nie zawahał się wyciągnąć pojednawczej ręki do tych, którzy w Kościele anglikańskim dążyli najwidoczniej do katolicyzmu. Wiseman nie zniechęcał się ani odpornem stanowiskiem tych ostatnich względem duchowieństwa katolickiego, ani krytykami większej części własnych współwyznawców i towarzyszów. To też gdy nareszcie Newman, zostawszy katolikiem, zgłosił się do niego w towarzystwie kilku nawróconych jednocześnie przyjaciół, Wiseman przyjął go z prawdziwą radością. Za jego radą Newman pojechał do Rzymu, gdzie, dopełniwszy studyów teologicznych, otrzymał w r. 1847 święcenia kapłańskie i wstąpił do zgromadzenia Oratoryanów, do którego przystąpiło też wielu innych nowonawróconych, gdy je sprowadzono do Birminghamu. Z pośród mnóstwa nawróceń, które pociągnął za sobą Newman, najdonioślejszem w znaczeniu i skutkach było nawrócenie bardzo cenionego w świecie anglikańskim pastora i archidyakona *Manninga*. Jak wielce Kościół anglikański odczuł stratę tych dwu mężów, którym przeznaczone było odegrać wielką rolę w odrodzeniu religijnem Anglii, świadczą znowu słowa Gladstona: „wydaje mi się, żem utracił dwoje oczu.“ Manning, podobnie jak i Newman, choć na gruncie nie tyle teoretycznym, ile praktycznym, t. j. przy pełnieniu swych obowiązków kapłańskich, doszedł do zwątpienia o prawdziwości Kościoła, któremu służył. Co zaś szczególniej go w nim raziło, to brak niewzruszonej powagi, jaką natomiast widział w Kościele rzymskim. Te jego spostrzeżenia, tyczące się zasadniczej wadliwości ustroju Kościoła anglikańskiego, potwierdziły jeszcze głośne wówczas i gorszące wypadki arbitralnego mieszania się władz państwowych i politycznych do spraw wewnętrznych tegoż Kościoła i rozstrzygnięcia ich wbrew opozycyi episkopatu, duchowieństwa i wiernych. W takich warunkach Kościół nie może mieć należytego znaczenia i wpływu; stając się zawisłym od fantazyi władz, lub zmiennej większości parlamentarnej, stracić musi prawo powoływania się na swe boskie pochodzenie i posłannictwo. Te reflek-

sye, oraz klęski życiowe osobiste, jak śmierć żony, własna i śmiertelna choroba, w których dopatrzył się wskazówek woli Bożej, skłoniły Manninga do przejścia na katolicyzm. Ale nawrócenie jego, od chwili powzięcia postanowienia, było poprzedzone równie długą i bolesną rozterką wewnętrzną.

Manning przyjęty został do grona wiernych przez biskupa Wisemana w r. 1850 z równem zadowoleniem, z jakiem pięć lat wstecz witał Newmana, ale już z większą pewnością tryumfu, jaką mu dało doświadczenie lat ostatnich. W tymże roku papież Pius IX, widząc rzeczywiste i przechodzące wszelkie nadzieje postępy katolicyzmu w Anglii, ustanowił w niej trzynaście biskupstw i, uczyniwszy Wisemana kardynałem, mianował go arcybiskupem Westminsteru.

Dotkliwe i upokarzające straty, które w tym okresie poniósł anglikanizm, podrażniły niezmiernie jego przedstawicieli i wyznawców. W rozporządzeniu papieskiem ujrzeli oni wyzwanie i uzurpacyę. Biskupi anglikańscy podają do królowej błagalny adres, by sprzeciwiła się zamiarom papieża. Pierwszy minister, John Russel, ogłasza list z gwałtownym protestem. Wzburzony tłum pali publicznie portrety papieża i kardynała. Parlament wydaje prawo, nakładające kary na każdego, ktoby przyjął tytuł i obowiązki biskupa katolickiego. Ale kardynał Wiseman, nie ustraszony tą całą burzą, wróciwszy z Rzymu, używa sposobu, czysto nowożytnego i najwięcej przemawiającego do natury Anglików — zwraca się wprost do opinii publicznej w broszurce, w której zbija zarzuty, poczynione Kościołowi katolickiemu i jego głowie, odpiera napaści i wyrzuca ludowi jego niesprawiedliwość. Sposób ten okazuje się skutecznym — zdrowa logika, zawarta w odezwie kardynała, przemówiła do przekonania ogółu. Burza się uspokoiła.

Wiseman nie poprzestaje na tem, lecz stara się wejść w styczność bezpośrednią z publicznością wszelkich kategoryj za pomocą prelekcyj i konferencyj w kwestyach, nie tyczących się religii, w celu zapoznania i oswojenia protestantów z katolikami i dowiedzenia im, że ci interesują się, na równi ze wszystkimi, sprawami znaczenia i pożytku ogólnego. W tej walce z uprzedzeniami przeciwników i z tem usposobieniem mas, oddają kardynałowi nieocenione usługi nowo nawróceni katolicy, najlepiej znający charakter społeczeństwa, z którego sami zaledwie wyszli. Wśród tych Newman odznacza się najbardziej tak z powodu zdolności osobistych, jak i powagi, którą, pomimo żalu, jaki do niego mieli dawni współwyznawcy, nazwisko jego w ich opinii zachowało.

Ale osobistością, którą Wiseman najwięcej cenił, był Manning Ten, zaledwie w półtrzecia miesiąca po swem nawróceniu, otrzymał wszystkie święcenia, poczem, pojechawszy do Rzymu, pozyskał niebawem całkowite zaufanie i przyjaźń Piusa IX, zawczasu już doń przez Wisemana doskonale usposobionego. Dzięki temu, po powrocie do Anglii, Manning został, z woli papieża, postawionym na czele kapituły westminsterskiej i odtąd datuje się okres niesnasków wewnętrznych w otoczeniu arcybiskupa, które w niedalekiej przyszłości miały ogarnąć szersze sfery katolików angielskich i przeciwstawić sobie najznakomitszych i najwięcej na widowni stojących przedstawicieli Kościoła, zaledwie zyskującego sobie pierwsze podstawy bytu na gruncie angielskim. Przedewszystkiem wszczyna się zatarg pomiędzy koadyutorem i następcą z prawa arcybiskupa Erringtonem, niechętnie usposobionym do przybyszów z wrogiego Kościoła, a Manningiem protegowanym kardynała i papieża. Z zatargu tego Manning wychodzi zwycięsko. Nie mogąc nakłonić do zgody Erringtona, który w działaniach Manninga dopatrywał się niesłusznie chęci wprowadzenia nowości, sprzeciwiających się tradycyom katolickim, papież odbiera mu koadyutoryę i prawo do następstwa na stolicę arcybiskupią. Wtedy Manning staje się prawą ręką zestarzałego Wisemana i de facto rządzi archidyecezyą, aż do chwili, gdy, po śmierci tegoż i wbrew życzeniu kapituły, która w liczbie trzech kandydatów przedstawiła Erringtona, sam, znowu z woli własnej papieża, zostaje arcybiskupem westminsterskim. Kapituła, nie wyłączając Erringtona, poddała sie woli papieskiej bez szemrania i z tej strony zatarg się zakończył. Niestety, niebawem miał rozpocząć się inny o wiele głośniejszy, przykrzejszy i zgubniejszy w skutkach, bo powodujący rozdwojenie w tak owocnem skądinąd działaniu dwóch nowych filarów katolickiego Kościoła w Anglii—Manninga i Newmana. Dyskusye, wywołane projektowanem wówczas ogłoszeniem dogmatu o nieomylności, podzieliły katolików angielskich na dwa obozy krańcowo sobie przeciwne—zwolenników i przeciwników nieomylności. Na czele pierwszych stanął jeden z nawróconych, świecki, nazwiskiem Ward. Drudzy zgromadzili się około pisma peryodycznego „Rambler," o tendencyach liberalnych, przeciwnych Rzymowi, lub, jak się dziś mówi, modernistycznych. W gwałtownych polemikach, które stąd wynikły, obie strony posuwały swe idee i argumenty do ostateczności. Gdy jednych liberalizm graniczył z herezyą i apostazyą, drudzy chcieli autorytet Kościoła i papieża doprowadzić do bezwzględnego absolutyzmu. Newman był z zasady przeciwnikiem

liberalizmu w rzeczach religii i potępiał idee, głoszone przez „Ramblera," co zaś do nowego dogmatu, to oświadczył się za nieomylnością ograniczoną, w znaczeniu, jakie jej później nadał sobór watykański. Ale, jeżeli sprzeciwiał się on ekscesom liberałów, to niemniej dalekim był od pochwalania odwrotnej przesady Warda. Stąd ściągnął na siebie niechęć obu partyj, a, ponieważ temperament Manninga nakłaniał go raczej ku ideom Warda, przeto w dalszej swej tak gorliwej pracy dla Kościoła miał Newman napotkać na przeszkody ze strony tego, którego pieczy sprawy tegoż Kościoła zostały oddane. Obaj, równie bezwzględnie bezinteresowni i całem sercem tej samej wysoce idealnej sprawie oddani, musieli wskutek różnicy temperamentów i umysłowości, idąc do tego samego celu różnemi drogami, zwalczać się, zamiast wspomagać!

Właściwie winnym tu jest Manning, jeżeli postępowanie błędne w dobrej intencyi winą nazwać można, on to bowiem, mając po swej stronie władzę i nieograniczone zaufanie papieża, użył tej wyższości przeciw Newmanowi, którego wpływy wydały mu się szkodliwe. W Rzymie przedstawił go Manning, jako zwolennika dążeń antyromańskich i katolicyzmu angielskiego, w Anglii przeszkadzał mu we wszystkich jego najchwalebniejszych i najpożyteczniejszych dla sprawy katolickiej przedsięwzięciach. Między innemi, nie dopuścił do spełnienia jego projektu sprowadzenia Oratoryanów do Oksfordu, który powziął Newman, z chwilą, gdy wyszło prawo, otwierające katolikom wstęp do uniwersytetów. Starał się oto Newman w celu stworzenia tamże środowiska katolickiego, którego wpływy, pod jego kierunkiem, mogły były sprowadzić nieobliczone pierwszorzędnej wagi dla rozwoju katolicyzmu następstwa. Za staraniem Manninga, wyszło rozporządzenie z Rzymu, zabraniające katolikom uczęszczania do uniwersytetów protestanckich. Tymczasem próby stworzenia uniwersytetów katolickich nie udały się—najpierw w Dublinie, gdzie poprzednio jeszcze napotkał Newman na nieprzezwyciężony opór elementów miejscowych, które odstręczała jego angielska narodowość. Druga próba w tym kierunku, przedsięwzięta przez Manninga w Kensington, również chybiła. Katolicy zostali więc nadal pozbawieni nauki, ale ten wzgląd nie wpłynął na zmianę uprzedzenia Manninga i zakaz został utrzymany aż do jego śmierci.

Wśród tego, dogmat nieomylności został na soborze watykańskim ogłoszony (r. 1867) w definicyi, zgodnej z przekonaniem Newmana, kładąc kres dążeniom ultra-absolutystów i toczącym

się na ten temat pośród katolików polemikom, ale pozostawiając niemniej chwiejnemi pewne dusze, nie dość odporne na złudny urok nowożytnego liberalizmu. Protestanci angielscy pospieszyli skorzystać z tej sposobności, by w opinii publicznej zohydzić katolicyzm, przedstawiając nowy dogmat, jako dowód wstecznictwa Watykanizmu. W gwałtownej dyatrybie przeciw Rzymowi Gladstone twierdził, że, od chwili ogłoszenia nieomylności, niepodobna być wyznawcą Kościoła katolickiego, bez zrzeczenia się swej niezależności umysłowej i moralnej, bez poddania swego sumienia i obowiązków obywatelskich do dowolnego rozporządzenia papieżowi, że tedy nie można jednocześnie być wiernym katolikiem i dobrym Anglikiem. Tej równie podstępnej, jak bezpodstawnej napaści jeden tylko Newman był w stanie skutecznie stawić czoło i z zadania tego świetnie się wywiązał, wykazując Gladstonowi niesprawiedliwość, fałsz i niekompetencyę jego zarzutów, a przy sposobności wypowiedział słowa prawdy i tym ze swych współwyznawców, których przesadna krańcowość poglądów dała powód do tak szkodliwych dla idei katolickiej interpretacyj.

Argumenty Newmana okazały się zwycięskimi. Opinia protestancka uspokoiła się, uprzedzenia się rozwiały, chwiejący się katolicy nabrali pewności. Zagrożone znowu stanowisko katolicyzmu, wznieceniem przeciw niemu starych namiętności, zostało uratowane. Tym razem poznano się wreszcie w Rzymie na wartości i zasługach Newmana. Nieufność doń Piusa IX, wzbudzona przez insynuacye przeciwników, ustąpiła miejsce uznaniu. Wielkim był tryumf moralny Newmana, zwłaszcza, gdy niedługo potem, za następnego pontyfikatu, uwieńczonym został purpurą kardynalską, którą Leon XIII nagrodził tak mylnie dotąd cenioną działalność tego człowieka, szukającego przez całe życie tylko prawdy, a od czasu swego nawrócenia—chwały Kościoła powszechnego, osobiście się do jej rozszerzenia znakomicie przykładając. Tak tedy dwaj ci mężowie, wybrani przez Opatrzność dla zapewnienia powrotu i zwycięstwa wiary prawdziwej w kraju, który najbezwzględniej się jej wyrzekł, na nieszczęście długi czas poróżnieni, złączeni zostali w tej samej, zarówno zasłużonej najwyższej godności w hierarchii kościelnej, Manning bowiem był już kardynałem od ostatnich lat panowania Piusa IX.

Antagonizm ich odtąd, jeżeli nie ustał zupełnie w ich charakterach, to przynajmniej stracił dawną ostrość i, przy zmienionych stosunkach w Watykanie, nie mógł już objawiać się w praktyce. Mianowanie Newmana kardynałem było w Anglii wydarzeniem pierwszorzędnej wagi. Wśród katolików wywołało

to wielką radość, ale i protestanci uznali w tem odznaczeniu znakomitego syna Anglii prawdziwy zaszczyt dla całego narodu, co może służyć za dowód jak gruntowną była powaga tego człowieka u jednych i drugich, pomimo długotrwałej niepopularności, będącej wynikiem nieporozumienia lub zaślepienia namiętnościami. Tej niepopularności, chociaż z jej powodu bardzo cierpiał, Newman, z natury zamknięty w sobie, drażliwy i wogóle dość nieprzystępny, dopóki silniejsze uczucie lub zapał nie otworzyły jego serca — nie starał się przeciwdziałać. Gdy jednak oskarżono go w jakiejś broszurze protestanckiej o nieszczerość i zarzut ten uczyniono całemu duchowieństwu katolickiemu, uznał on w końcu za potrzebne i stosowne obronić siebie i jednocześnie Kościół, od oszczerczych zarzutów i bałamutnych sądów, wykrzywiających pojęcia i wytwarzających sztucznie uprzedzenia przeciw katolicyzmowi w masach protestanckich. W tym celu napisał rodzaj autobiografii p. t. „Apologia pro vita sua," w której, nie szczędząc napastników, odsłania nicość ich dowodzeń, a następnie, dając folgę uczuciu, spowiada się z całą szczerością z dramatycznych przejść, poprzedzających jego nawrócenie, opowiada cierpienia, których doznał z powodu zapoznania jego czystych zamiarów i kończy patetycznem odwołaniem się do serca dawnych przyjaciół. Te wzruszające akcenty szczerości i odsłaniające się w nich piękno tej duszy, pełnej bezinteresownego poświęcenia, ale cierpiącej od krzywd, niesłusznie jej wyrządzonych, odzyskują mu utracone sympatye protestantów i wywołują wraz z niemi radykalną zmianę w uczuciach i opinii względem katolików, których „Apologia" jest jakoby rehabilitacyą w oczach najzawziętszych dotychczas nieprzyjaciół Rzymu. Katolicy poznali się na tem i głośno objawili Newmanowi swą wdzięczność, od czego Manning też się nie uchylił. Newman, wedle zdania protestantów, przez swą „Apologię" zdziałał więcej przeciw uprzedzeniom do katolicyzmu, aniżeli cała współczesna literatura religijna. Odtąd, posiadając wysokie uznanie jednych i drugich, stał się on słupem wskazującym kierunek dróg zbliżenia, które obrało nareszcie społeczeństwo angielskie. Z wstąpieniem na tron papieski Leona XIII, Manning, zachowując zawsze zaufanie stolicy Apostolskiej, utracił jednak dawne przemożne w Watykanie wpływy.

Ten nowy stan rzeczy najwidoczniej sprowadził też zmianę w jego własnych zapatrywaniach i dążeniach, które przybrały formę liberalniejszą. Od polityki kościelnej i watykańskiej, przerzuca się on teraz do kwestyj socyalnych, któremi już poprzednio zaczął się interesować, i oddaje się im prawie wyłącznie. Nie

zadawalniając się wspomaganiem potrzebujących, Manning zagłębia się w swych pismach z tego okresu w zagadnienia ekonomiczne. Żąda poparcia robotników przez państwo, ustanowienia minimum płacy i innych reform, mających na celu przyniesienie sprawiedliwej ulgi niższym klasom pracującym. Jednem słowem, Manning jest jednym z pierwszych twórców kierunku chrześcijańsko-socyalnego. Na tem polu osiągnął on w praktyce głośne zwycięstwo, które zapewniło mu wielką popularność, a kościołowi katolickiemu nowy urok i poszanowanie w całym narodzie angielskim. W roku 1889 wybuchł w Londynie olbrzymich rozmiarów strejk, grożący krachem ekonomicznym, a nawet krwawym buntem i rewolucyą. Biskup anglikański, który podjął się pośrednictwa i załagodzenia sporu, cofnął się nic nie wskórawszy. Wtedy wziął się do dzieła Manning i, wkrótce, po uzyskaniu uzasadnionych ustępstw u pracodawców, udaje mu się nakłonić przedstawicieli robotników do zgody. Ale, przy jakiejś trudności, spór wszczyna się nanowo i tym razem wydaje się, że się skończy rozlewem krwi. Czemprędzej ośmdziesięcioparoletni kardynał śpieszy do wzburzonego tłumu, pracuje nad nim kilka godzin, przemawia mu do serca z tak przekonywującą siłą i uczuciem, że z wielu oczów łzy wyciska, uspakaja namiętności i zgodę osiąga. Anglia dochowała mu za to wdzięczność ogromną, dając jej dowody w roku następnym, podczas dwudziestopięcioletniego jubileuszu jego rządów arcybiskupich, z którego okazyi wszystkie stany, począwszy od przedstawicieli władz państwowych i parlamentarnych, a skończywszy na robotnikach, złożyły mu entuzyastyczne hołdy, w czem protestanci prześcigali się z katolikami.

W pismach swych, Manning zwraca uwagę na przeszkody w rozwoju katolicyzmu w Anglii, które widzi w błędach duchowieństwa katolickiego, pochodzących z jego niedostatecznej znajomości potrzeb ludu, a zwłaszcza stanu ducha angielskich protestantów, a także z pewnego zasklepienia w swej wyłączności. Wogóle jego krytyka tego duchowieństwa jest dość surową. Według jego zdania Kościół katolicki pozyska naród angielski nie przez rozprawy i dowodzenia teoretyczne, lecz przez miłość i współczucie dla jego cierpień. Kościół nie powinien tedy identyfikować się z władzami i sferami panującemi, ale zbliżyć się bezpośrednio do ludu, bo najzgubniejszem jest dlań wiązanie się z rządami i polityką. Na zakończenie zaś zaleca Manning księżom więcej ascetyzmu i poświęcenia, oraz dążenie nieustanne i usilniejsze do urzeczywistnienia ideałów chrześcijańskich.

Starszy od Manninga o lat kilka, Newman uprzedził go nie wiele w opuszczeniu tego świata, umarł bowiem zaledwie o półtora roku wcześniej (1890 r.), od swego długoletniego przeciwnika, który dopiero w mowie nad jego trumną oddał mu całkowitą sprawiedliwość. Obaj kardynałowie dożyli w pełni władz fizycznych i umysłowych sędziwego wieku: Newman zmarł w 90 roku życia, Manning, gdy w r. 1892 życie zakończył, miał lat 85.

Naród angielski zachował dla obu kardynałów cześć wyjątkową, jako dla najszlachetniejszych dusz i największych umysłów, jakie Anglia wydała w tym okresie. Kościołowi katolickiemu obaj, każdy w swoim kierunku, oddali nieocenione usługi, kładąc potężne podwaliny pod jego odbudowę w kraju, gdzie go z taką zawziętością zburzono. Świecąc, pomimo usterek od natury człowieka nieodłącznych, przykładem cnót i wiedzy, przechodzących zwykłą miarę, stanęli oni na równi prawie z największymi Kościoła doktorami.

Obok cudownych niemal postępów, które, za przyczyną tych przez Opatrzność wybranych mężów, poczynił katolicyzm w Anglii, rozwinął się w dalszym ciągu, niemniej ważny, a może, w przyszłych skutkach, ważniejszy ruch wewnętrznej katolicyzacyi Kościoła anglikańskiego, zapoczątkowany niegdyś w Oksfordzie przez Newmana. Jeżeli za przykładem tegoż, a później Manninga, przeszły pod sztandar apostolski całe legiony, to jednak w obozie anglikańskim pozostało jeszcze dosyć anglo-katolików, pod przewodnictwem tych Traktaryanów, którzy Rzymowi, przynajmniej bez warunków, poddać się nie chcieli. Z pośród tych, jedni nie śmieli lub nie mieli dość siły woli, by swe przekonania doprowadzić do ostatniej konsekwencyi, drudzy uważali się we własnem sumieniu za obowiązanych do pozostania na miejscu, które, jak sądzili, Bóg im przeznaczył. Podług nich wszystkie wyznania chrześcijańskie, pomimo zewnętrznego rozdziału i różnic pozornych, łączą się rzeczywiście w jeden Kościół powszechny niewidzialnym węzłem wspólnej wiary w Chrystusa. Do tych ostatnich należał zwłaszcza pastor *Pusey*, który, po odstąpieniu Newmana, stanął na czele ruchu, z zamiarem poprowadzenia, a nawet dokończenia opuszczonego w pół drogi przez swego twórcę dzieła. Usiłowania Pusey'a zwróciły się najpierw do powstrzymania „fali rzymskiej," t. j. przeszkodzenia odstępstwom na korzyść Kościoła rzymskiego, które przerzedzały systematycznie szeregi zwolenników kontr-reformy, i do uchronienia ich, z drugiej strony, od powrotu do protestantyzmu. Zadanie jego nie było łatwe, bo wypadło mu walczyć naraz z przeszkodami, które napotykał u zwierzch-

ności i władz, u protestantów nieprzejednanych i u własnych wyznawców, których, zachwalając im doktryny katolickie, bronić musiał jednocześnie od pokusy zostania katolikami. Pomimo te trudności i niekonsekwencye, którym Pusey umiał stawić czoło, dzieło jego nie upadło.

„Traktaryanizm," przekształcony w części na „Rytualizm" rozwijał się dalej i chociaż tracił nieustannie wyznawców z powodu odpływu do katolicyzmu, do którego mimowolnie przygotowywał, to jednak tak się wzmagał w liczbę i znaczenie, że zaalarmował tem protestantów do tego stopnia, iż ci, za pośrednictwem swych biskupów, zażądali od parlamentu ukrócenia tego niebezpiecznego dla panującego Kościoła ruchu. Parlament wydaje prawa przeciw rytualistom, na które ci nie zwracają uwagi, nie przyznając mu mocy mięszania się w sprawy religijne, i nie więcej sobie robią z rozporządzeń biskupów, którzy istotnej władzy nie posiadają. Wtedy rząd rozpoczyna przeciw nim kampanię sądową, wytaczając im rujnujące procesy o nielegalne obrzędy. Po dwudziestu latach tak szczególnego prześladowania, rząd kapituluje, rytualiści z tej nierównej walki wychodzą zwycięsko. Protestanci nie dają zresztą za wygraną, w ostatnich latach wznowili oni jeszcze tę samą agitacyę, ale tym razem znaleźli władzę nieco mniej pochopną do służenia ich namiętnościom. Skutek agitacyi ograniczył się do wyznaczenia komisyi, która, rozpatrzywszy sprawę, zakazała niektórych obrzędów, sprzeciwiających się zasadom Kościoła anglikańskiego, ale, jak się zdaje, bez zamiaru stosowania tego zakazu w praktyce.

Ideałem przewodnim rytualistów, czyli anglo-katolików jest połączenie Kościołów, a przynajmniej, na początek — kościoła angielskiego z rzymskim. Ideał ten próbowali oni już kilkakrotnie urzeczywistnić, dotąd bezskutecznie, dla dwóch głównie przyczyn: najpierw, że sami dotychczas są tylko partyą, choć wzmagającą się codzień, w Kościele anglikańskim, a więc w jego imieniu przemawiać i zań odpowiadać inaczej, jak w teoryi, nie mogą; następnie, że nie wyrzekli się jeszcze pewnych doktryn, których Kościół rzymski zatwierdzić nie może. Po raz pierwszy zawiązało się w tym celu, jeszcze w r. 1856, „Towarzystwo dla popierania zjednoczenia chrześcijan," w którem wzięli też udział katolicy, ale Manning, widząc w tem dążenie nie do poddania się, lecz do uzyskania uznania papieskiego dla Kościołów schizmatyckich, ostrzegł o tem papieża. Z Rzymu zabroniono katolikom należenia do tego towarzystwa i współdziałania z niem. Na tem zakończyła się pierwsza próba. Drugą podjął Pusey na zasadzie, którą wyłusz-

czył w swej rozprawie („Eirenicon"), iż artykuły wiary Kościoła angielskiego można pogodzić z postanowieniami Soboru Trydenckiego. Opierając się na tym postulacie, Pusey wszedł w stosunek z kilkoma biskupami francuskimi, którzy podjęli się pośredniczyć w Rzymie. Tym razem rzecz zdawała się naprawdę blizką urzeczywistnienia, Pusey bowiem przedstawił projekt układu, na którego mocy Kościół angielski zastosowałby się ściśle do interpretacyi dogmatów wedle Soboru Trydenckiego, zaś Kościół rzymski zrobiłby ustępstwo na punkcie pewnych praktyk katolickich znaczenia drugorzędnego. Jednem słowem, stosunek Kościoła angielskiego do Rzymu miał być wedle tego projektu podobnym do takiegoż stosunku obrządków grecko-unickiego, ormiańskiego i t. p. Ale Pusey popełnił błąd zasadniczy, potępiając i wyszydzając w swym traktacie katolickie nabożeństwo do Matki Boskiej, czem odrazu katolików źle usposobił. Nie dość na tem, gdy ostatecznie w Rzymie zdecydowano się rzecz traktować na seryo, okazało się, że Pusey nie był do tego od nikogo upoważnionym i że w swym chwalebnym entuzyazmie dla wielkiej sprawy uległ własnemu złudzeniu. Ogłoszenie wreszcie niepopularnego u Anglikanów dogmatu nieomylności całą nadzieję zjednoczenia na razie pogrzebało. Atoli, myśl ta, kiełkująca zawsze w sercach ludzi dobrej woli, miała znowu, jak Feniks, powstać z popiołów.

Około roku 1896 na prośby wielu znaczniejszych anglo-katolików, w których liczbie znajdowali się już wówczas reprezentanci Kościoła oficyalnego, jak arcybiskup Yorku, papież Leon XIII ogłosił wymowny ojcowskiem uczuciem list do Anglikanów, szukających królestwa Chrystusowego w jedności wiary, który sprawił w Anglii ogromne wrażenie. Widoki doprowadzenia do skutku wielkiego dzieła były wtenczas większe, niż kiedykolwiek, bo znaczenie anglo katolików od czasu próby Pusey'a wzmogło się bardzo, nawet w sferach oficyalnych. Ale okazało się znowu, że nie dojrzeli oni jeszcze do spełnienia ideału, którego sami pragną, gdy nie wytrzymali próby, na którą, zapewne dla ich doświadczenia, wystawił ich papież, rozkazując jednocześnie rozstrzygnąć pozostającą w zawieszeniu kwestyę, czy święcenia anglikańskie są ważne? Odpowiedź wypadła przecząco i tak obraziła Anglików, iż się natychmiast od wszystkiego cofnęli.

Te, powtarzane po kilkakroć próby, chociaż dotąd się nie udały, są niemniej dowodem żywotności idei zjednoczenia, płynącej z głębokiego poczucia jego konieczności, w sercach chrześci-

jan angielskich, i każą mieć nadzieję, że wielki ten krok na drodze do urzeczywistnienia „jednej owczarni,“ może w niedalekiej przyszłości, będzie postawionym. Rzecz to dla chrześcijaństwa pierwszorzędnej wagi, tem bardziej, że, wobec szerzenia się ateizmu u wielu rdzennie katolickich narodów, powtórna duchowa zdobycz Anglii, która dokonywa się obecnie w naszych oczach, stanowić będzie dla Kościoła nową i potężną ostoję.

Konrad Ostrowski.

BEZROLNI I MAJORATY.

I.

Reformy włościańskie 1864 roku stale bywają błędnie oświetlane przez różnych działaczów urzędowych w naszym kraju nietylko rusyfikatorów, lecz i liberałów.

Zarówno w „Historyi Towarzystwa Rolniczego," jak i w I tomie „Materyałów w sprawie włościańskiej" zwróciłem baczną uwagę na reformę 1864 roku, przyczem starałem się szczególnie uwydatnić jej znaczenie dla ludności będącej rolną jeszcze przed 1864 r., mianowicie dla gospodarzy czynszowych i pańszczyźnianych oraz dla tej części bezrolnych z przed 1864 r., którzy, jako komornicy i parobcy folwarczni zostali obdarowani gruntem przez rząd kosztem majątków prywatnych. Z tych naszych prac wiemy już, jak nieznaczna część ludności bezrolnej otrzymała grunty skarbowe. Zwykle jednak w pracach urzędowych uczonych rosyjskich (Simonenko, a za nim Jessipow) znaczenie reform 1864 r. wyolbrzymia się w ten sposób, że przedstawia się, jakoby prawie cała ludność bezrolna z przed 1864 roku została dzięki rządowi uposażona w grunty i pozostała bezrolną zaledwie bardzo nieznaczna liczba ludności.

Rozpatrzenie znaczenia reform włościańskich 1864 r., w zakresie uposażenia gruntowego ludności bezrolnej w Królestwie, przedstawia przedmiot szczególnie ważny dla ocenienia wartości tych reform w życiu społeczno-ekonomicznem kraju, a również ich charakteru politycznego. Wydawnictwa urzędowe jako to: Zbiór „rozporządzeń Komitetu Urządzającego" (Postanowlenja Uczreditielnaho Komiteta), łącznie z „protokółami posiedzeń" ko-

mitetu, z „Raportami o rozwoju sprawy włościańskiej“ (zapiski o chodie krestjanskaho dieła) i „Cyrkularzami Zarządzającego Komitetu Urz.,“ dalej „Zbiór rozporządzeń rządowych tyczących się Komitetu Urządzającego“ (Sbornik prawitielstwiennych rasporiażenij po uczreditielnomu Komitetu), obok Dziennika Praw zawierają nieuwzględnione dotychczas przy ocenie reformy 1864 roku liczne materyały, tyczące się urządzenia ludności bezrolnej głównie w zakresie nadawania jej gruntów skarbowych.

Ponieważ właśnie ta strona reformy 1864 r. w poprzednich naszych pracach była mniej uwzględnioną, przeto teraz wypada nam się nad nią bliżej zastanowić.

Wiemy już z poprzednich naszych prac, że nie tyle teksty Ukazów 1864 roku, co proklamacya Namiestnika w Królestwie Polskiem, wydana przy ogłoszeniu tych Ukazów, ustanawiała prawa ludności bezrolnej do gruntów skarbowych. Oto odnośny jej tekst: „Najjaśniejszy Pan rozkazał władzom w Królestwie zwrócić szczególną uwagę na los tych włościan, którzy obecnie żadnych gruntów nie posiadają, ale którzy swojem dobrem sprawowaniem, trzeźwością, oszczędnością, a również pokorą wobec władz prawowitych zasłużą na taką łaskę. Dla takich bezrolnych włościan dozwala się władzom według ich uznania albo wyznaczać w użytkowanie za umiarkowaną zapłatę, albo sprzedawać na własność niewielkie części gruntów zarówno z pośród wolnych gruntów skarbowych jak i z dzisiejszych pustek włościańskich.“

Jakkolwiek w tej proklamacyi wyraźnie zostało podkreślone, że dobre sprawowanie się i pokora wobec władz, mają dawać prawa bezrolnym do otrzymania od tychże władz według ich uznania niewielkiej części gruntów, jednak ponieważ to dobre sprawowanie i pokora zostały następnie w całym kraju przez władze powszechnie stwierdzone, przeto obietnice w proklamacyi Namiestnika zawarte nie dziw, że nabrały znaczenia pewnych praw tą pokorą nabytych. Proklamacya ta bowiem stała się częścią składową samych Ukazów, co widać z następujących okoliczności. Jednocześnie z Ukazami 1864 został wydany z d. 19 lutego (2 marca) 1864 r. Rozkaz Najwyższy „o porządku ogłoszenia nowych Ukazów włościańskich w Królestwie Polskiem.“ W punkcie 4 tego Rozkazu N. zaznaczono: „ogłoszenie Ukazów i proklamacyi powinno być dokonane z jaknajwiększą uroczystością;“ w punkcie 7: „stosownie do rozporządzeń odkomenderowanego oficera czyta się głośno proklamacyę Namiestnika. Czyta ją albo proboszcz, albo inna osoba podług uznania oficera. Oficer czuwa ażeby ludność przyswoiła sobie treść proklamacyi

i w tym celu można ją odczytywać po parę razy; punkt 8 głosi: „następnie jeden egzemplarz proklamacyi i ukazów zostaje doręczony wójtowi za pokwitowaniem i przy właściwem napomnieniu; wreszcie punkt 9 określa, że „prócz tego rozdaje się włościanom egzemplarze proklamacyi, a w miejscach odpowiednich za wskazówką Namiestnika zostaje ona wywieszona dla wiadomości publicznej."

Powyższe przepisy, zawarte w Rozkazie Najwyższym, posiadającym moc prawa obowiązującego, stawiały „Proklamacyę" na równi z Ukazami w stosunku do ludności i niewątpliwie nadawały jej wyrażeniom moc zobowiązania rządu wobec tej ludności, tembardziej, że tych zobowiązań rząd nie dawał za darmo, ale za pokorę wobec władz, co w czasie trwającego powstania miało swoją cenę. Proklamacye i Ukazy zostały ogłoszone (23 lutego) 6 marca, skąd też proklamacya nosi datę 6 marca (23 lutego).

Gdy tylko władze zaczęły się brać do urzeczywistnienia reformy włościańskiej, natychmiast spostrzegły trudności z przyrzeczeń proklamacyi wypływające. Spostrzeżono się przedewszystkiem, że pustek, na które głównie rachowano, było niewiele: § 26 instrukcyi określającej porządek otwarcia i przystąpienia do działalności komisyj włościańskich (Postan. Kom. Urządz. (26 marca) 7 kwietnia 1864 r.) zaznacza: „ponieważ liczba pustek i gruntów nadających się do rozdania włościanom jest bardzo nieznaczna w porównaniu z liczbą włościan bezrolnych, przeto komisye nie zaniedbają prowadzenia krótkiej listy włościan, którzy będą się domagali, ale nie otrzymają gruntu (nadiela)."

Jakkolwiek w tej instrukcyi rząd zdawał sobie sprawę z trudności urządzenia gruntowego ludności istotnie bezrolnej, nie cofał się jednak przed wykonaniem swej obietnicy, przeciwnie utrwalał on ją jeszcze: § 21 tejże instrukcyi głosił: „Bezrolnych włościan, którzy zostaną w ten sposób bez gruntu, należy uspokoić obietnicą, że *w swoim czasie* zostanie również na nich rozszerzona szczodrość Najwyższa i że rząd *stosownie do Proklamacyi* Namiestnika z dn. 6 marca (23 lutego) *stara się znaleźć środki dla nadania gruntów rządowych* tym bezrolnym, którzy zasłużą sobie na to swojem dobrem sprawowaniem i prawomyślnością (dobroporiadocznym i błagonadieżnym powiedienjem). Warunki takiego nadania gruntów i wysokość powinności czyli podatków, któremi te grunty będą obciążone, zostaną w swoim czasie ogłoszone."

Instrukcya powyższa, będąc prawomocnem „Postanowieniem Komitetu Urządzającego," stanowi szczególnie ważny krok dla określenia praw ludności bezrolnej do gruntów skarbowych. Jakkolwiek i tu została podkreślona potrzeba „błagonadiożnosti," co

wobec trwania powstania było zrozumiałe, tem się instrukcya od proklamacyi na korzyść ludności bezrolnej różniła, że niema tu mowy o pustkach i gruntach skarbowych, lecz tylko o gruntach skarbowych, gdyż już uwidoczniło się, że pustki okazały się bardzo dla potrzeb ludności bezrolnej niewystarczające. Prócz tego i to najważniejsze, instrukcya nie głosiła już o wyznaczeniu w użytkowanie za umiarkowaną zapłatą ani o sprzedaży, co było w proklamacyi obietnicą dość niewyraźną i niedość wzbudzającą przekonanie, ale wprost o nadaniu (nadielenji) gruntu z obciążeniem jedynie podatkiem na równi z uwłaszczonymi gospodarzami.

W każdym razie instrukcya potwierdzała obietnice proklamacyi oraz określała je bliżej i polegać one miały na *nadaniu gruntów bezrolnym z ziem skarbowych* za opłatą jedynie podatku gruntowego, tak, jak przez wszystkich innych włościan.

Jeżeli wobec ludności bezrolnej punktem wyjścia wszelkich obietnic rządowych była proklamacya Namiestnika, dla władz rządowych zobowiązaniem do rzeczywistej pracy w tym kierunku był Rozkaz Najwyższy z dn. 3 marca (20 lutego) 1864, a więc nazajutrz po Ukazach 1864 r. wydany, który polecał Komitetowi Urządzającemu: „przygotować projekt *wydzielenia części gruntów skarbowych dla urządzenia włościan bezrolnych* i określić sposób nadawania tych części najbardziej prawomyślnym (błagonadiożnym) z pośród owych włościan.“

Komitet jednak na razie nie śpieszył się z wykonywaniem powyższego Rozkazu Najwyższego i poprzestał w instrukcyi komisyom na poleceniu im powtarzania dość ogólnikowych obietnic. Wkrótce jednak wpłynęły nowe uboczne przyczyny, które Komitet popchnęły do rozważenia szczegółowego sposobu nadawania włościanom bezrolnym gruntów rządowych. Napłynęły mianowicie do Komitetu prośby o nadanie gruntów skarbowych w Królestwie Rosyanom, mającym zamiar emigrować z Rosyi do Polski dla osiedlenia się tutaj. Zobaczymy później do czego się ten objaw następnie zredukował. Przebieg tej całej akcyi emigracyjnej ze wschodu na zachód wskaże nam jej właściwy charakter. Ważnem byłoby posiadać bezpośrednie dane stwierdzające, pod wpływem jakich czynników i o ile w rzeczy samej powstał ruch ludności rosyjskiej do emigrowania do Królestwa. Danych co do tego nie posiadamy. Stwierdzić tylko możemy, że w bardzo krótkim czasie po ogłoszeniu Ukazów, bo już w kwietniu 1864 r., Komitet Urządzający (post. Kom. t. I, str. 162) otrzymał parę próśb o oddaniu gruntów skarbowych (wodworenja) rosyjskim emigrantom. Należy również zaznaczyć, że obok rosyjskich figu-

rują w tych prośbach i cudzoziemcy, jako ofiarujący swe usługi dla kolonizowania ziem skarbowych prawomyślnym elementem.

Tak zatem widzimy, że o grunty skarbowe, przeznaczone dla włościan bezrolnych miejscowych na mocy Rozkazu Najwyższego 3 marca, Proklamacyi Namiestnika 6 marca i Instrukcyi Komitetu Urządzającego 7 kwietnia współubiegają się już rosyjscy i niemieccy emigranci.

Nie dość na tem, z pośród mieszkańców Królestwa znaleźli się liczni, którzy zgłaszali się z propozycyami kupna majątków skarbowych. Kto to byli, zobaczymy później. Już w kwietniu 1864 r. rozpoczęła się o grunty skarbowe w Królestwie wielka gra chciwości ludzkich i podstępnych wyrachowań politycznych.

Komitet Urządzający znalazł się w trudnem położeniu i jak każdy komitet znalazł z niego najłatwiejsze wyjście: wytworzyć komisyę i polecić jej rozpatrzeć i rozprojektować i to i owo. Wprawdzie w protokóle posiedzenia Komitetu z dn. 30 (18) kwietnia (m. I, § 29, str. 162) znajdujemy wyraźne przyznanie, że „jeżeli w stosunku do włościan bezrolnych nie będzie wykonaną w zupełności i w krótkim czasie Wola Najwyższa, wyrażona w rozkazie 3 marca, to bezrolni znajdą się w położeniu bez wyjścia, w jakiem się znajdowali poprzednio. Paragraf 21 Ukazu 12 marca 1864 r. (o pustkach) sam przez się nie okaże się wystarczającym dla usunięcia proletaryatu rolnego, który liczy 1,340,000 głów ludności, a pustek jest 12,660 przestrzeni ogółem 201,000 morgów. Skutkiem tego prócz osiedlenia bezrolnych na pustkach koniecznem jest wynaleźć sposoby jaknajprędszego urządzenia części proletaryatu rolnego na gruntach skarbowych.“ Dalej Komitet zaznacza, że należałoby jednym grunty nadawać, a drugim z pośród miejscowych bezrolnych grunty sprzedawać, z rozłożeniem zapłaty na szereg lat. Komitet zatem odrazu zdawał sobie sprawę z trudności położenia co do bezrolnych i widział, że bez przeznaczenia na ich urządzenie gruntów skarbowych nie może być mowy o wykonaniu obietnic rządu wobec tej ludności. Gdy jednak przyszło do określenia zadań specyalnej komisyi, która miała zająć się rozpatrzeniem przeznaczenia gruntów skarbowych, Komitet nie okazał się nieczułym na podania kolonistów z Rosyi i z Niemiec. Komitet tworząc na mocy postanowienia 30 (18) kwietnia 1864 r. specyalną komisyę pod prezydencyą księcia Czerkaskiego polecił jej: „p. g. Nakreślić przepisy o warunkach przeznaczenia działków gruntów skarbowych dla osiedlenia (wodworenja) włościan bezrolnych z Królestwa i rosyjskich emigrantów; p. d. nakreślić przepisy o sprzedaży mająt-

ków skarbowych w celu pociągnięcia do ich kupna włościan bezrolnych bardziej dostatnich zarówno miejscowych, jak pochodzenia rosyjskiego i niemieckiego, wyrażających życzenie przesiedlenia się z krajów obcych."

Okazało się bowiem, że Rosyanie starowiery w krajach obcych mieszkający zapragnęli powrócić nie do swojej ojczyzny, ale do Królestwa.

Kiedy więc przyszło do konkretyzowania zadań, prawa ludności bezrolnej Królestwa do gruntów skarbowych na wielką wystawione zostały konkurencyę. Najpierw ustanowiono zatem, że część tylko tych gruntów zostanie nadana, a część sprzedana. W tej części, która miała być nadana, nasi włościanie bezrolni stawiani byli na równi z emigrantami z Rosyi, a w tej, która miała być sprzedana, na równi z emigrantami nie tylko z Rosyi ale ze wszystkich krajów, nie tylko rosyjskiego ale i niemieckiego pochodzenia.

Gdyby te polecenia Komitetu Urządzającego 30 (18) kwietnia były istotnie wykonane, to i tak niewielkaby korzyść przypadła włościanom naszym z obietnic w lutym dawanych, a w kwietniu już obcinanych.

Rzeczywistość okazała się jeszcze gorszą od kwietniowych projektów. Co prawda Komitet postarał się ułatwić sobie znacznie zadanie urządzenia ludności bezrolnej. W protokóle postanowienia z dn. 30 kwietnia jeszcze Komitet przypuszczał, że dla urządzenia ludności bezrolnej 1,370,000 głów liczącej nadają się tylko pustki i grunty skarbowe. A już postanowieniem z dn. 12 czerwca (30 maja) wyszło znane rozszerzenie Ukazów 2 marca pod nazwą: „O prawach do gruntu włościan różnych nazw." Komitet stwierdziwszy, że pustek jest mało i rachując się z tem, że na grunty skarbowe jest bardzo, a bardzo dużo amatorów poza włościanami miejscowymi, wpadł na pomysł następujący: drogą dowolnej interpretacyi Ukazu, wychodząc jedynie z założenia, że Ukaz ustanawiał prawo władania tam, gdzie było użytkowanie, Komitet za takie władanie uznał wszelkie użytkowanie gruntu, płynące nie tylko z umów pańszczyźnianych i czynszowych, ale z umów zwykłego najmu. W prawodawstwie agrarnem państw europejskich przedmiot regulacyi przymusowej, jako mającej na celu ustalić stosunek człowieka do gruntu, określony dawniej w sposób niestały skutkiem przeżytków historycznych, stanowiły jedynie stosunki pańszczyźniane i czynszowe, a stosunki najmu, jako wynikające z ducha nowożytnych pojęć o umowach dobrowolnych, pozostawały poza prawem regulacyjnem. Do dziś dnia

nie wytworzono innego pojęcia regulacyi stosunków rolnych i tylko dzierżawny stosunek staje się przedmiotem praw przymusowych na równi z czynszowym.

Ukazy 1864 nie wykraczały poza ogólne zasady regulacyi stosunków rolnych. Proklamacya Namiestnika i instrukcye dla komisyj również tychże trzymały się ram. Nadanie gruntów pustych lub skarbowych bezrolnym stanowiło uznanie odwiecznej zasady kolonizacyjnej państw wszelkich. W postanowieniu z dn. 12 czerwca Komitet wprowadził nowy czynnik w dziejach, czynnik nie mający precedensów, a do tej pory i naśladowców: nadanie bezrolnym komornikom i parobkom folwarcznym części gruntów, stanowiących własność prywatną, na mocy specyalnej interpretacyi umów wolnego najmu.

Nie będę dłużej rozważał tej strony działalności Komitetu Urządzającego, gdyż została ona przezemnie zanalizowaną w odpowiednim rozdziale tomu II Historyi Towarzystwa Rolniczego. Tutaj chcę tylko zaznaczyć, że to przymusowe wywłaszczenie części gruntów prywatnych, do których sami włościanie nie rościli praw historycznych, gdyż użytkowali z nich jedynie w postaci rok rocznie zawieranych umów najmu, rok rocznie w innych miejscach, i otrzymywali je jako wynagrodzenie w naturze, uzupełniające płacę roboczą, co przecież nawet w fabrykach się praktykuje i praw własności nie ustanawia, że ten pomysł agrarny Komitetu został skrystalizowany 12 czerwca 1864 r. w postaci postanowienia obowiązującego w niecałe dwa miesiące po stwierdzeniu przez tenże Komitet (18 kwietnia), że pustek dla bezrolnych jest zamało i że skutkiem tego grunty skarbowe dla nich są niezbędne, przyczem stwierdzono, że o te grunty skarbowe różne żywioły prócz włościan miejscowych czyniły zabiegi.

Aczkolwiek postanowienie 12 czerwca spychało główny ciężar nadania gruntów bezrolnym z bark skarbu, który podług proklamacyi Namiestnika i instrukcyj komisyom miał ponieść koszty Łaski i Szczodrości Najwyższej, na barki prywatnych właścicieli gruntów, jednak pozostała nawet na mocy tego postanowienia cała liczna kategorya ludności bezrolnej, która z obdarowania gruntami prywatnemi korzystać nie mogła, a mianowicie: „p. 2. Nie przechodzą na własność włościan osady, znajdujące się przy karczmach, młynach, cegielniach, kuźniach, przy zabudowaniach folwarcznych, w lasach folwarcznych lub na krańcach lasu; p. 3. Nie przechodzą na własność włościan urządzone w niektórych miejscach zamiast chałup oddzielne budynki w rodzaju koszarów dla robotników... stanowiących własność właściciela ziemskiego, a ży-

jący w nich robotnicy stanowią służbę z wolnego najmu, która w żadnym wypadku nie podlega nadaniu gruntów folwarcznych, chociażby tacy robotnicy posiadali ogrody i cząstki gruntu folwarcznego.

P. 8. W tych wypadkach, gdy włościanie niższego rzędu mieszkają w osadach włościan gospodarzy, skutkiem dobrowolnej z nimi umowy, w domach gospodarzy lub w oddzielnych chałupach, to należy pamiętać, że w tych wypadkach ani części domów, ani części ziemi nie przechodzą na własność żyjących u gospodarzy rolników."

W ten sposób parobcy i komornicy folwarczni, o ile mieszkali w budynkach specyalnie stawianych w rodzaju koszar (p. 3) lub wogóle jeżeli mieszkali w bezpośredniem sąsiedztwie zabudowań folwarcznych (p. 2) zostali wyłączeni od uwłaszczenia, choć wszyscy inni parobcy i komornicy podlegali nadaniu ogrodów, które otrzymywali pod kartofle i chałup, w których mieszkali.

Motywy punktu trzeciego wyłączenia wskazują, że Komitet Urządzający nie miał zamiaru otwarcie uwłaszczać służby z wolnego najmu, a jednak uczynił to w bardzo szerokim zakresie, nadając na własność ogromnej większości służby folwarcznej ogrody i pastwiska tytułem serwitutu i wyłączając od tego obdarowania tylko tych, którzy poza służbą specyalną oganiaczów, leśniczych, kowali i t. p. mieli nieszczęście mieszkać najbliżej folwarku lub w koszarach nowowystawionych, to jest służyć u zamożniejszych właścicieli, których stać było na wznoszenie takich specyalnych koszar murowanych. O stosunkach z wolnego najmu płynących, skutkiem postanowienia Komitetu, decydowała cecha zupełnie przypadkowa i zewnętrzna: wygląd mieszkania. Wprawdzie w ten sposób ogromną liczbę bezrolnych udało się Komitetowi uwłaszczyć gruntami prywatnymi i ulżyć obietnicy wydanej w proklamacyi Namiestnika i instrukcyi dla komisyi, niemniej jednak pozostały bez gruntów dwie liczne kategorye włościan bezrolnych: służba folwarczna, wyłączona od uwłaszczenia na mocy przytoczonych cech zewnętrznych, mających stwierdzać ich charakter służby z wolnego najmu, i szczególnie liczna rzesza włościan służących za parobków u gospodarzy pańszczyźnianych i czynszowych oraz mieszkająca u nich na komornem.

Wyłączenia te niewątpliwie nie wypływały z pewnych stałych zasad sprawiedliwości i słuszności. Jeżeli jeden parobek na ordynaryi dostał grunt dla tego, że mieszkał w folwarcznym czworaku lub dwojaku, choćby zgodził się do dworu dopiero 1 stycznia 1864 r., a drugi, służący w tem samem miejscu lat

choćby 20, nie dostał gruntu tylko dla tego, że mieszkał w porządniej postawionym wielomieszkaniowym budynku, ostatni nie mógł się nie czuć ciężko pokrzywdzonym. Tak samo, gdy parobek i komornik dworski dostawał ogród swój na własność, a parobek lub komornik u czynszownika, kolonisty niemieckiego, lub nawet u większego gospodarza pańszczyźnianego, nie otrzymał swego ogrodu ani prawa serwitutowego pasania krowy, choć wynagrodzenie, uposażenie i obowiązki jednych i drugich były podobne, to sprawiedliwości w takiem rozróżnianiu trudno się mogli dopatrzeć ci, którzy od dobrodziejstw uwłaszczenia zostali wyłączeni. Gdy po śmierci ojca, gospodarza pańszczyźnianego, jeden z braci rachował się gospodarzem, a drugi wobec niemożności dzielenia osady bez zgody dworu rachował się u niego parobkiem, pierwszy stawał się na mocy Ukazów i postanowień Komitetu Urządzającego pełnym właścicielem całej osady, drugi zostawał bezrolnym bez żadnych praw do gruntu.

W ten sposób postanowienie Komitetu Urządzającego z 12-go czerwca, sprowadzając kosztem majątków prywatnych ulgę dla skarbu wobec potrzeby spełnienia obietnic, rzuconych ludowi uroczyście, jednocześnie nie usunęło tej potrzeby, lecz w pewien sposób ją zaostrzyło. Potrzeba ta pozostała w całej pełni wobec tych wszystkich, którzy zostali wyłączeni od uwłaszczenia w majątkach prywatnych i którzy właśnie skutkiem tego wyłączenia musieli się czuć pokrzywdzeni. Wobec nich obowiązki rządu nie płynęły więc nadal tylko z obietnic ogólnikowych ogłoszonych uroczyście o Łasce i Szczodrości w nagrodę za prawomyślność, w tym razie powstał dla rządu po postanowieniu 12 czerwca bardziej konkretny obowiązek: wynagrodzenia ich za wyłączenie, za krzywdę, jaka ich spotkała.

Proklamacye dla bezrolnych, to były tylko gromkie słowa, którym oni nie bardzo może i dowierzali. Wiedzieli, że rządowi idzie o to, by siedzieli spokojnie i byli pokorni. Byli też pokornymi nie tyle, by za to otrzymać nagrodę, ale z racyi wiekowego przyzwyczajenia do swojej marnej doli. Ale gdy jeden i drugi bezrolny otrzymał grunt, a trzeci i czwarty nie — tu poczuł ten lud, że dziać się będzie jednym krzywda, gdy drudzy będą nasyceni. Poczucie prawa ludu wiejskiego do gruntu musiało nabrać w jego oczach obowiązku rządu grunt ten dać. Postanowienie Komitetu z dn. 12 czerwca, wyłączające liczne kategorye włościan od obdarowania gruntami, stanowiącymi własność prywatną, stawało się w związku z poprzedniemi obietnicami rządowemi

zobowiązaniem rządu nadania wyłączonym gruntu z pustek i gruntów skarbowych.

Że takie właśnie miało skutki postanowienie 12 czerwca, że wyłączenie pewnych kategoryj włościan od obdarowania gruntami prywatnymi na mocy cech czysto zewnętrznych wkładało na rząd obowiązek wynagrodzenia tym wyłączonym krzywdy, jaką sztucznie sam rząd im wytworzył, o tem przekonały się wnet same komisye urządzające na miejscu. Oto co stwierdza prezes komisyi płockiej w raporcie po dzień 17 października 1864 r. (Post. Kom. Urządz. m. II. Raport XIII). „Dużo nadchodzi próśb od włościan, którzy nie dostali gruntu skutkiem tego, ze Ukaz zastał ich w karczmach, kuźniach i innych mieszkaniach, niepodlegających Ukazowi. Położenie tych włościan zasługuje na szczególną uwagę, gdyż znajdowali się oni pod wszelkimi względami (z wyjątkiem mieszkań) w tych samych warunkach, co inni włościanie, którzy otrzymali chałupy i działki gruntu."

Prośby były liczne i natarczywe. Słuszności im odmówić było trudno. Ale komisya wybrana dla obmyślenia środków nadania gruntów skarbowych włościanom bezrolnym, nie śpieszyła się z podaniem jakichkolwiek projektów określonych. Przeszedłszy pod przewodnictwo Koszelewa dopiero 31 (19) października 1864 r., zwróciła się ona po półrocznej z górą bezczynności do komisyj włościańskich okręgowych (Cyrkularz Zarządzającego Kom. Urz. № 41) o dostarczenie „choćby przybliżonych wiadomości o liczbie bezrolnych włościan dla wywnioskowania sposobu nadania tym włościanom działków gruntu z majątków skarbowych." Widzimy zatem, że na jesieni 1864 roku istniało jeszcze przypuszczenie o właściwości nadania bezrolnym gruntów skarbowych. Wskutek odezwy powyższej napływać poczęły dane szczegółowe o liczbie bezrolnych, którzy obdarowani gruntami prywatnymi być nie mogli.

Raport 14 z 5 listopada (24 października) stwierdza, że podług danych naczelnika wojennego maryampolskiego w jednym powiecie kalwaryjskim liczba służby dworskiej, która nie otrzymała ogrodów i chałup, wynosi 600 osób. Raport XVII zaznacza, że olkuska komisya stwierdziła liczbę bezrolnych około 7,000, a w trzech powiatach płockiej komisyi liczbę rodzin, które gruntu żadnego ani chałup nie otrzymały, rachowano 9,989; połowa tej liczby stanowi komorników i robotników w folwarkach, a głównie u włościan gospodarzy i u drobnej szlachty.

Liczby zatem włościan, których przy pomocy gruntów prywatnych nie dało się obdarować, były poważne i to już w jesieni

1864 roku stało się dla Komitetu Urządzającego faktem wiadomym. Trudność nadania im gruntów skarbowych była zatem znaczna, a w dodatku została jeszcze zwiększona skutkiem Rozkazu Najwyższego z dn. 2 września (21 sierpnia) „o urządzeniu mieszczan rolników oraz włościan małorolnych w majątkach majorackich i rządowych oczynszowanych.“ Komitet Urządzający na posiedzeniu z dn. 17 (5) września zastanawiał się nad sposobem wykonania tego Rozkazu Najwyższego (m. II, § 152, str. 203). Milutin skonstatował, że ogromna większość mieszkańców miast stanowi „proletaryat bezdomny, który należy osiedlić na gruncie.“ Prócz tego Milutin zwrócił uwagę, że „komornicy i małorolni robotnicy w majoratach i dobrach rządowych nie podlegli skutkom Ukazu 2 marca 1864 roku, a tymczasem i oni również potrzebują trwałego osiedlenia na gruncie.“ „Najjaśniejszy Pan raczył uznać, że wyznaczenie komornikom, żyjącym w majątkach skarbowych, gruntów skarbowych byłoby zupełnie zgodne z Rozkazem Najwyższym 2 marca 1864 o przeznaczeniu wolnych gruntów skarbowych na osiedlenie włościan bezrolnych.

Skutkiem powyższych względów Komitet postanowieniem z dn. 17 (5) września obarczył komisyę specyalną dla osiedlenia bezrolnych na gruntach skarbowych nowymi obowiązkami, mianowicie osiedlenia: 1) mieszkańców miast, niemających właściwych środków utrzymania, którzy sami zechcą się osiedlić na gruntach skarbowych, 2) tych komorników w majoratach i majątkach skarbowych, którym właściciele majoratów i dzierżawcy folwarków rządowych nie uznają za możliwe oddać gruntów folwarcznych.

Jesień i zima 1864 r. zeszły na ciągłych sporach, co zrobić z ziemiami skarbowemi. Miały one, jak widzimy, służyć dla 1) bezrolnych wiejskich, 2) proletaryatu miejskiego, 3) komorników majorackich, 4) emigrantów Rosyan z Rosyi i zagranicy, 5) kolonistów z Niemiec. Przeciw osiedlaniu tych dwóch ostatnich kategoryj ludności na gruntach skarbowych podniósł głos protestu jedyny członek Komitetu Urządzającego, pochodzenia w pewnym stopniu polskiego, senator Arcimowicz. Głos ten został zaprotokółowany w postanowieniach Komitetu, jako anneks do § 29 jego postanowień (str. 170, tom I). Zasługuje on niewątpliwie, by się z jego treścią zaznajomić. Arcimowicz stawia tezę, że zgodnie z Najwyższemi Rozkazami „nadział gruntów skarbowych darmowy lub ulgowy może być dopuszczony wyłącznie dla urządzenia bezrolnej ludności Królestwa.“ Ważnem jest stwierdzić, że przeznaczenie ziem skarbowych w Królestwie zupełnie niedwuznacznie pojmował w połowie 1864 roku senator Arcimowicz. „Myśl,

pisał on w swoim proteście, o jednoczesnem rozdawaniu działków skarbowych bezrolnym w Królestwie oraz emigrantom z Niemiec i Rosyi, a szczególnie staroobrzędowcom, prowadzi do rozszerzenia zamiarów i wyraźnie określonych celów (Komitetu) ze szkodą miejscowej ludności bezrolnej," „dla której, jak stwierdza senator Arcimowicz, „rząd dotychczas nic nie zrobił." „Z drugiej zaś strony niema potrzeby powiększać środkami rządowej pomocy kolonizowanie Królestwa Niemcami."

Słowa senatora Arcimowicza stwierdzające, że rząd obowiązany jest dla ludności bezrolnej przeznaczyć grunty skarbowe i ostrzeżenie, że o ile będzie chciał z tych ziem czynić jeszcze inne użytki, jako to dla emigrantów z Rosyi i Niemiec, to wyraźnie wyrządzi ludności bezrolnej krzywdę, nie zostały uwzględnione. Zostały one zaprotokółowane jedynie, jako odosobniony protest, który niewątpliwie chlubę przynosi jego autorowi, a rzuca cień wyraźny na pobudki Komitetu w stosunku do dobra i interesów ludu polskiego. O tych pobudkach nieraz pisarze rosyjscy lubią się rozwodzić. Późniejsze dewiacye w działalności Komitetu lubią oni objaśniać bądź nieświadomością stosunków, bądź presyą wywieraną na Komitet ze strony innych władz. Tymczasem widzimy, że w 1864 r. latem i jesienią Komitet wiedział już dobrze, że bezrolnych jest ilość ogromna i że ziem skarbowych jest zbyt mało, by przyjść im skutecznie z pomocą w osiedleniu, był przez jednego z członków o tem ostrzeżony, nie podlegał jeszcze żadnej presyi zewnętrznej, a jednak nie wahał się z jednej strony obmyślać środków dla sprowadzania na te grunty Rosyan i Niemców z krzywdą proletaryatu polskiego, z drugiej wdawał się w fantastyczne i ułudne plany na szczupłym terenie skarbowym osiedlać nawet proletaryat miejski, gdy dla wiejskiego miało go nie starczyć, wreszcie chciał przy pomocy gruntów skarbowych przyjść z pomocą właścicielom majoratów przy urządzaniu komorników w ich majątkach w sposób dla tych właścicieli uprzywilejowany, w porównaniu z innymi prywatnymi właścicielami.

Rozpatrzeć się w tych wielorakich i właściwie sprzecznych ze sobą zadaniach miała, jak wiemy, komisya specyalnie utworzona dla zaprojektowania obdarowania bezrolnych gruntami skarbowemi oraz ich rozsprzedania. Komisya ta w pierwszem swem sprawozdaniu 1 października (19 września) 1864 r. wyliczała, że folwarków skarbowych było 856 obszaru 365,217 m., poduchownych zaś folwarków, włączonych do dóbr skarbowych 169 obszaru 53,143 m. Oto jeden ustęp z tego sprawozdania: „Z gruntów

folwarcznych skarbowych powinni być uwłaszczeni bezrolni włościanie, ale liczba ich jest nieznana. Rozumie się, liczba ludności potrzebującej gruntów skarbowych dla swego osiedlenia znacznie się zmniejszy skutkiem nadania osad kopiarzom, wyrobnikom, parobkom i służbie dworskiej i t. p., ale nawet po wyłączeniu ich nie sposób nie przewidzieć, że więcej niż setka tysięcy rodzin zwróci się z prośbami o szczodrobliwość rządową.“ „Tymczasem liczba gruntów skarbowych jest tak nieznaczna (400,000 morgów), że konieczną jest jaknajwiększa ostrożność przy przeznaczaniu folwarków rządowych na sprzedaż. Ponieważ jednak niektóre folwarki przedstawiają majątek wysokiej wartości, komisya przeto nie uważa za możliwe przeznaczyć je dla rozdania bezrolnym i sądzi, że powinny być sprzedane.“

Komisya zatem stwierdza dokumentami, co było już Komitetowi wiadome i na co Arcimowicz zwracał uwagę, że gruntów skarbowych może nie starczyć dla bezrolnych nawet po obdarowaniu znacznej ich liczby w folwarkach prywatnych. Obdarowanie służby folwarcznej w oświetleniu tego raportu komisyi wyraźnie zarysowywuje się jako ulga dla skarbu, ulga jednak niewystarczająca. Pomimo jednak, że komisya potwierdza niejako obawy co do braku gruntów skarbowych dla bezrolnych, nie robi ona takich wniosków jak Arcimowicz, by konkurencyę wszelką na grunty skarbowe odsunąć i zachować je jedynie dla bezrolnych miejscowych, lecz przeciwnie w konkluzyi komisya wysuwa nowy groźny dla interesów ludności bezrolnej czynnik: konieczność sprzedaży bardziej cennych majątków skarbowych w całości.

Wiemy, jakie to są rozciągłe pojęcia „cennych majątków“, wiemy, że dziś nikt nie waha się parcelować najcenniejszych dóbr ziemskich między włościanami. Ale komisya uznała za konieczne ochronić cenne dobra skarbowe od przejścia ich w ręce bezrolnych. Konkluzya Komisyi stanęła w zupełnej sprzeczności z całą treścią raportu i jego rozumowaniami. Wprawdzie komisya była utworzoną w celu obmyślenia sposobów nie tylko nadania gruntów skarbowych bezrolnym, ale rozsprzedaży ich; jednak ta rozsprzedaż miała mieć również na celu osiedlenie bardziej zamożnych z pośród bezrolnych na gruncie drogą kupna działków skarbowych na rozpłaty. Tymczasem komisya wysuwając konieczność rozsprzedaży w całości majątków, a nie działków, oczywiście z góry usuwała udział w ich kupnie bezrolnych choćby najbogatszych.

Tak zatem, już w jesieni 1864 r. obok wszystkich konkurentów do darmowego otrzymania gruntów skarbowych, przybył

jeszcze groźniejszy konkurent o te grunty: nabywcy cennych majątków, mających być sprzedawanymi w całości.

Obszar gruntów skarbowych w ciągu 1864 roku powiększył się co prawda o grunty poduchowne, ale, jak to widzieliśmy z raportu komisyi, obszar tych gruntów był w 1864 roku jeszcze nieznaczny. Dnia 8 listopada (26 października) 1864 r. Rozkaz № 2 polecał „Komitetowi Urządzającemu użyć grunty poduchowne dla uwłaszczenia bezrolnych.“ Wiemy już jednak, że Rozkazy Najwyższe w wykonaniu, czyli w praktyce, nie zupełnie odpowiadały zaznaczonym w nich celom. Komitet w zasadzie uznał, że grunty poduchowne winny być przeznaczone dla bezrolnych w postanowieniu 14 (2) grudnia 1864 roku.

Tak zatem rok 1864 w stosunku do uwłaszczenia bezrolnych na gruntach skarbowych, zaznaczył się daleko idącemi i wciąż powtarzanemi obietnicami, ogólnikowymi Rozkazami Najwyższymi, a jednocześnie niebezpiecznemi zapowiedziami, w postanowieniach Komitetu Urządzającego i raporcie jego komisyi, takiego zużytkowania gruntów skarbowych, które groziło z samego już początku uczynieniem głośnych dla bezrolnych obietnic rządowych, małowartościowemi.

W początkach 1865 r., komisya specyalna co do bezrolnych, przedstawiła przybliżony rachunek gruntów skarbowych, które jej zdaniem kwalifikowały się do nadania. Gruntów w drobnych działkach po za obrębem folwarków, komisya wyliczyła 49.771 m. 48 pr., ale ponieważ większość tych działków była w długoletniej dzierżawie, lub nosiła specyalny charakter zakładów przemysłowych (młyny) lub placów, przeto dla bezrolnych nadawało się podług komisyi zaledwie 13.673 morgi 159 prętów, prócz tego komisya uznała, że 14.106 m. 160 pr. ziem folwarcznych mogło się nadawać do podziału na działki dla bezrolnych. Razem przeto 27.780 m. uznała komisya za możliwe przeznaczyć z obszaru gruntów skarbowych dla bezrolnych. Stanowiło to zaledwie 7% ogółu tych ziem i w sumie ogólnej rażąco małą przestrzeń. Wzięto ją jednak za podstawę do dalszego działania, a w praktycznem zastosowaniu pomyślano najpierw o tem, by przy pomocy tej garstki gruntów obdarzyć staroobrzędowców.

Dnia 30 (18) marca 1865 r. wyszedł Rozkaz Najwyższy o nadaniu gruntów staroobrzędowcom. Dwie wsie staroobrzędowców, w swoim czasie sprowadzonych do Królestwa przez Namiestnika ks. Paskiewicza: jedna wieś w gub. warszawskiej, druga w lubelskiej, podały pod wpływem gróźb miejscowej ludności w czasie powstania, prośbę do rządu o przesiedlenie. Rząd uznał, że

wzmocnienie rosyjskiego elementu jest szczególnie pożądane wpośród litwinów. Wobec tego osiedlono jeszcze w 1864 roku (post. Komitetu Urządzającego 19 (7) listopada) 26 rodzin staroobrzędowców w Promysku pod Augustowem i 66 rodzin w Krapiwnie pod Suwałkami. Każda rodzina otrzymała wówczas po 15 morgów. Otóż Rozkaz Naj. 30 (18) marca 1865 r. dozwalał im dokupywać ponadto gruntu wiele zechcą, po 10 rubli za morgę.

2 sierpnia 1866 r. (21 lipca) komisya specyalna dla nadania gruntów skarbowych bezrolnym, przedstawiła swój drugi raport: (tom IV Post. K. Urz. № 5 § 386). Zaznacza ona na wstępie, że cel sprzedaży gruntów skarbowych jest określony w § 11 Ukazu o komisyi likwidacyjnej. Co prawda, przez cały ciąg 1864 roku o tym celu, mówiąc o gruntach skarbowych, nie wspominano, raport komisyi specyalnej mówił tylko o konieczności uchronienia od rozparcelowania bardziej cennych majątków ze względu na ich wartość, a nie ze względu na § 11 Ukazu. W tym paragrafie zostało oznaczonem, iż dochód ze sprzedaży dóbr skarbowych ma iść na pokrycie kosztów oprocentowania i amortyzacyi listów likwidacyjnych. Dobra jednak skarbowe, były to nietylko majątki ziemskie, ale również i nieruchomości miejskie, których sprzedaż mogła mieć li tylko fiskalne cele na oku. Grunty zaś skarbowe, miały zgoła inne, jak wiemy, przeznaczenie. Komisya specyalna jednak o wielu z tych przeznaczeń najwidoczniej w 1865 r. zupełnie zapomniała. Zajęła się ona opracowaniem przepisów co do sprzedaży gruntów skarbowych tak, aby niby jaknajwiększy zysk dla skarbu dało się osiągnąć, a przez to jaknajwięcej tych gruntów od nadania bezrolnym usunąć. Zwraca ona uwagę, że kapitaliści zagraniczni gotowi byli zakupywać nie tylko całe folwarki, ale ich klucze, komisya jednak uznała, że lepiej sprzedawać folwarki oddzielnie.

Komitet Urządzający zwrócił uwagę komisyi, by zajęła się sposobami rozsprzedania folwarków włościanom na parcele. Komisya z pośród ogółu dóbr skarbowych uznała za odpowiednie dla rozsprzedania ze względu na większą ich wartość i w celu wzmożenia środów komisyi likwidacyjnej, 36 folwarków, przestrzeni 17.508 m., oszacowanych na 952,840 r., w czem 170.206 r. stanowiła wartość budynków. Widzimy, że wartość ta była wcale niezbyt wysoka i nie powinna była stanowić przeszkody dla rozparcelowania tych majątków. Czynsz dzierżawy z tych majątków (14,194 r. 61 kop.) dawał przy kapitalizacyi (przy mnożniku 20) wartość zaledwie 283,890 r., a więc przeszło 3 razy mniej od sza-

cunku komisyi. Z tych folwarków w 22 kończyła się dzierżawa w 1865 r., a w 14 w 1866 roku. Można więc było śmiało je rozdać bezrolnym lub rozparcelować. Komisya proponowała je rozsprzedać w całości dla osiągnięcia niby dochodu dla skarbu. Okazało się jednak, że ani sprzedano ich w całości, ani rozparcelowano, ani rozdano bezrolnym, a co się z nimi stało, później zobaczymy; znalazł się bowiem nowy potężny czynnik, który trzymając się w ukryciu, wysuwał na front różne fikcye w postaci emigrantów rosyjskich, kapitalistów zagranicznych i t. p. na to, by z chaosu tym sposobem wytworzonego zagarnąć grunty skarbowe dla zupełnie innych, na razie ukrytych konkurentów.

Fiskalne tendencye ujawnione w raporcie komisyi z 1865 r. spotkały się z protestem jej przewodniczącego Sołowjewa (m. I str. 415), który głos swój załączył do protokółu. „Z treści Rozkazów Najwyższych i postanowień Komitetu Urządzającego okazuje się, że istniał zamiar jednoczesnego nadawania gruntów skarbowych bezrolnym oraz sprzedawania folwarków stopniowo, a to w celu pociągnięcia do ich kupna zamożniejszych włościan bezrolnych. Istniał zamiar, ażeby z folwarków przeznaczonych na sprzedaż, część została oddzielona dla nadania bezrolnym.“ Tymczasem „komisya nie przedstawiła wcale żadnych wniosków co do nadania gruntów bezrolnym.“ „Komisya kielecka donosi, że włościanie bezrolni, a szczególnie żołnierze urlopowani, okazują niecierpliwość w oczekiwaniu na otrzymanie gruntów skarbowych; niektórzy kupują nawet drzewo na zabudowę.“ „Również nie zostaje osiągniętym cel pociągnięcia do kupna gruntów skarbowych włościan zamożniejszych “

Trudno o bardziej dosadną krytykę działań komisyi. Jej przewodniczący stwierdza, że nie zajęła się ona ani nadaniem, ani rozsprzedaniem gruntów skarbowych bezrolnym, pomimo, że jak to stwierdza Sołowjew, taką była wola Rozkazów Najwyższych i postanowień Komitetu. Zarazem widzimy, że włościanie niecierpliwili się, czekając na przyobiecane grunty, wierzyli w obietnicę uroczystą, kupowali sobie drzewo na zabudowę.

Wprost trudno uwierzyć, by możliwą była taka sprzeczność poglądów między komisyą, a jej przewodniczącym, jak ta, którą jego osobno zaprotokułowane zdanie wyraża. Zobaczymy jak następnie te sprzeczności zostały pogodzone. Na razie zdanie Sołowjewa miało jednak pewien specyalny skutek. Dnia 20 (8) grudnia 1865 r. Rozkaz Najwyższy polecił Komitetowi, ażeby zajął się ostatecznym planem, zarówno sprzedaży majątków skarbowych,

jak i nadaniem ich bezrolnym, szczególnie żołnierzom wysłużonym.“ Skutek osobnego zdania Sołowjewa nie był, jak widzimy, zbyt poważny: ogólnikowo powtórzono dawno znaną instrukcyę, co do gruntów skarbowych, wprowadzono zaś nowy czynnik—specyalne wysunięcie na plan pierwszy z pośród ogółu bezrolnych, byłych żołnierzy, co dla reszty tego ogółu nic dobrego wróżyć nie mogło.

W końcu 1865 r. 26 (14) Grudnia wyszedł Rozkaz Najwyższy o urządzeniu duchowieństwa katolickiego, w którym polecono użyć grunta poduchowne dla urządzenia rolnego (uwłaszczenia) możliwie największej liczby bezrolnych.“ Do gruntów poduchownych instytutowych i poklasztornych, już dawniej przez rząd zabranych, przybywała znaczna liczba gruntów duchowieństwa świeckiego. W sumie, z końcem 1865 roku w rozporządzeniu rządu znajdowało się około 243.000 m. gruntów poduchownych.

Rok zatem 1865 zeszedł marnie dla bezrolnych w Królestwie: z ziem skarbowych tylko garstkę przeznaczono dla bezrolnych, a na razie urządzono na nich wspaniałomyślnie, tylko staroobrzędowców, zajęto się niby troską o zasilaniu dochodów skarbu, kosztem ziem bezrolnym przyobiecanym, a z pośród nich dopiero na samym końcu wspomniano coś więcej tylko o byłych żołnierzach.

W roku 1866 zajął się najpierw Komitet Urządzający rozporządzeniem gruntami poduchownymi. Folwarki do 1866 r. zostały już urządzone, roboty tam było nie wiele, można było się przeto wziąć do majątków kościelnych, przedewszystkiem do gruntów przy probostwach. Na posiedzeniu 15 (3) lutego 1866 r. Komitet stwierdził, że ma się zająć urządzeniem gruntów w 1,632 majątkach poduchownych, 181 klasztornych i 601 różnych innych instytucyj duchownych. Z tej liczby ogólnej 2,414 majątków kościelnych 780 majątków miało przestrzeni mniej niż po 90 morgów każdy, a ogółem razem 37,774 morgi, z czego należało zostawić przy probostwach, licząc po 6 morgów, od 5,000 do 6,000 morgów, a także miano wyłączyć działki gruntów w bliskości miast, oraz zabudowane. Reszta, zdaniem Komitetu mogła być śmiało przeznaczoną dla bezrolnych. To też postanowieniem 15 (3) lutego 1866 r. Komitet oddał do rozporządzenia komisyj miejscowych do spraw włościańskich majątki poduchowne przestrzeni mniej niż 90 morgów (m. VI § 75). W dniu 29 (17) marca Komitet nieco bliżej określił, a zarazem wyraźniej ograniczył prawo komisyi do rozdawania części gruntów poduchownych bezrolnym. Komitet potwier-

dzając w zasadzie oddanie do rozporządzenia komisyi majątków poduchownych poniżej 90 m. przestrzeni dla bezrolnych (m. VI. § 79) jednocześnie oznaczył (p. 2), żeby wyłączyć od tego przeznaczenia te majątki poniżej 90 morgów, które stanowią grunta: *a*) położone w pobliżu miast, *b*) w pobliżu skarbowych zakładów górniczych, *c*) zajęte pod zabudowania i ogrody parafialne. Pierwsze dwa wyłączenia (*a* i *b*) oczywiście były krzywdzącem bezrolnych ograniczeniem ich praw, bo gdzież nadanie im działków gruntu mogło być bardziej dla nich korzystne, jak właśnie w pobliżu miast i zakładów górniczych.

W postanowieniu swojem 29 (17) marca Komitet po raz pierwszy ustanowił porządek, w jakim mieli być uwzględnieni kandydaci z pośród bezrolnych na grunta. Po raz pierwszy bowiem bezrolni mieli otrzymać naprawdę grunta, będące w rozporządzeniu rządu Obietnice Najwyższe miały się częściowo urzeczywistnić. Co prawda nie miało to jeszcze nastąpić kosztem gruntów właściwie skarbowych, którymi dopiero staroobrzędowców obdarowano i z których przeznaczeniem wciąż zwlekano Grunty poduchowne jakoś łatwiej było oddawać bezrolnym, szczególnie gdy szło tylko o przestrzenie poniżej 90 morgów, a zatem nie wielkie, wartości nieszczególnej, nie zabudowane, oddalone od miast i zakładów przemysłowych, bo takie tylko resztki właśnie dla bezrolnych ostatecznie zdecydowano się nareszcie przeznaczyć. Postanowieniem 29 (17) marca polecono komisyom, by przy rozdawaniu tych gruntów trzymały się następującego porządku: 1) żołnierze wysłużeni, 2) komornicy z majątków majorackich, 3) włościanie, którzy byli usunięci dawniej z gruntu przez właścicieli, gdy grunt ich został oddany innym włościanom i przez to okazało się niemożliwem uwłaszczyć ich w folwarku, 4) innym włościanom bezrolnym.

Porządek to charakterystyczny: na pierwszem miejscu stawia się tu zasługi wobec państwa, na drugiem zaraz, przywilej dla właścicieli majoratów, a na trzecim dopiero zasadę prawnohistoryczną, która właśnie jedynie zasługiwała na główne wyróżnienie. Dnia 19 (7) kwietnia 1866 r. wydał Zarządzający Komitetem cyrkularz do komisyi do spraw włościańskich „o nadanie gruntu możliwie największej liczbie bezrolnych przy rozdawaniu gruntów poduchownych,“ w którym poleca, by parcele były jaknajmniejsze, tak by jaknajwiększa liczba bezrolnych została obdarowaną. Widocznem było zatem, że kandydatów na grunta nie brakowało i szło o to, by małem ich zaspokoić.

Komisya specyalna co do bezrolnych zdała swój raport w 1866 r. 23 (11) maja (t. VII § 634). Stwierdza ona, że po uskutecznieniu uwłaszczenia w folwarkach w 30 gminach w okręgu włocławskiej komisyi do spraw włościańskich na 32,492 włościan, którzy grunt otrzymali 21,529 pozostało bez gruntu, czyli prawie 40%, w okręgu radomskim na 28,820 włościan uwłaszczonych, pozostało bez gruntu 16,591, czyli 35%. Wogóle w zachodniej części Kraju było szczególnie dużo bezrolnych. Komisya z całą pewnością danych, zebranych szczegółowo na miejscu stwierdziła ogromną liczbę takich włościan, którzy do 1866 roku wcale uwłaszczonymi nie zostali.

Ponieważ zaś, jak widzieliśmy, komisya w 1865 r. znalazła tylko 27,780 morgów skarbowych, zdatnych dla bezrolnych, a grunty poduchowne, wyznaczone w początkach 1866 roku nie dosięgały 32.000 morgów, i grunty poklasztorne mogły dać 9.110 morgów ogółem, przeto dla bezrolnych przeznaczono około 70.000 m. i jasnem było, że gruntów tych okaże się liczba bardzo nie wystarczająca. Stwierdza to komisya w swoim raporcie, ale nie znajduje na to rady. Wiedziała komisya, że folwarki rządowe obejmowały znaczną przestrzeń 346,234 m. 219 prętów i że z tego tylko 69,767 m. 230 pr. było w dzierżawie wieczystej. W ten sposób było 276,466 m. 289 pr, czyli 10 razy więcej niż to, co komisya przeznaczała z gruntów skarbowych dla bezrolnych, które można było śmiało na ten cel obrócić. Komisya jednak uznała, że te folwarki były przeznaczone na sprzedaż dla celów fiskalnych i widziała przeto konieczność „kierowania się szczególną ostrożnością przy wyznaczaniu gruntów skarbowych dla bezrolnych.“ Dobrze jest stwierdzić zalecenie tej „szczególnej ostrożności.“ Miała ona niby na widoku, by *nie zmniejszać wartości folwarków rządowych, przez uwłaszczenie bezrolnych.* Dlatego zaś, by tych ostatnich, jako tako zadowolnić, polecała, by działki gruntu dawać od 1 do 3, a wyjątkowo do 6 morgów.

Musimy zanotować tendencyę komisyi specyalnej, by sztucznie tworzyć proletaryat małorolny, na gruntach przeznaczonych dla bezrolnych przez państwo, a zatem, za którego urządzenie państwo jest odpowiedzialne. W następstwie wiemy, jak nawet uczeni rosyjscy (Simonenko) stwierdzali, że proletaryat małorolny, jest to klasa w gorszych postawiona warunkach od bezrolnego. Trzeba przytem zaznaczyć, że o ile małorolni przy folwarkach prywatnych mogli żyć z pracy rąk, dorabiając najmem, tworzenie całych wsi wyłącznie małorolnych, tak jak tego chciała komisya, było zamiarem niezbyt pochlebnie o komisyi świadczącym.

W raporcie swoim 1866 r. przedstawiła ona nareszcie po dwóch latach szczególny i dokładny rachunek gruntów, przeznaczonych dla bezrolnych.[1])

Do tego wykazu zostały dołączone wszystkie probostwa, przestrzeni mniej niż 90 morgów, które wynosiły 37.163 m. 249 pr., (a poklasztorne majątki mniej niż 90 morgów—9.110 m. 73 pr.) ponieważ zaś z tych probostw po 6 morgów miało zostać przy parafii, a prócz tego majątki przy miastach i zakładach górniczych miały też być wyłączone, przeto dla bezrolnych, zaledwo około 40.000 morgów poduchownych można było rachować. Gruntów rządowych w wykazie widzimy większą liczbę, niż w raporcie z 1865 roku. Do liczby 27.780 m. tych gruntów z 1865 r. dołączono 12.494 m. 66 m. działów dla bezrolnych z lasów rządowych. Prócz tego same liczby z r. 1865, trochę ściślej określono i nieco zwiększono.

Grunty skarbowe przeto, wyznaczone bezrolnym w raporcie komisyi 1866 r., stanowiły następujące pozycye:

Działki, mogące być wydzielone z lasów rządowych—12.494 m. 66 pr., działki, mogące być wydzielone z folwarków rządowych—14.146 m. 135 pr., odpadki gruntów przy lasach rządowych—7.140 m. 229 pr., działki gruntu, stanowiące osady straży leśnej, będące w użytkowaniu włościan, gospodarzy lub w dzierżawie—6.532 m. 230 pr.

Ostatnia kategorya gruntów, oczywiście bardzo słabo nadawała się do tego, by na niej uwłaszczać bezrolnych. To też gruntów skarbowych i poduchownych razem, nadających się dla bezrolnych, w rzeczy samej podług rachunku komisyi nie było wiele więcej, jak 70.000 morgów, przy czem 276 467 morgów folwarków rządowych, pozostających w czasowej dzierżawie, komisya wyłączała z pod rozdania bezrolnym, rezerwując je jakoby na

---

[1]) Oto tablica, dołączona do raportu:

W guberniach:	Ogólna ilość gruntów, przeznaczona dla bezrolnych:	W tem gruntów poduchownych (prob. i poklaszt.):	Gruntów skarb.:
Warszawskiej . .	21.076 m. 189 pr.	15.586 m. 213 pr.	5.489 m. 276 pr.
Suwalskiej . . .	17.651 m. 209 pr.	2.365 m. 106 pr.	15.286 m 103 pr.
Radomskiej . . .	24.580 m. 61 pr.	13.913 m. 5 pr.	10.641 m. 56 pr.
Lubelskiej. . . .	13.910 m. 296 pr.	7.939 m. 223 pr.	5.971 m. 73 pr.
Płockiej	9.500 m. 257 pr.	6.469 m. 75 pr.	3 031 m. 235 pr.
Razem . .	86.720 m. 112 pr.	46.274 m. 22 pr.	40.446 m. 90 pr.

sprzedaż, a znaczna liczba majątków poduchownych, powyżej 90 morgów, czekała też na jakieś specyalne, a niby niewiadome jeszcze przeznaczenie.

Ta cała gospodarka miejscowa reformatorów w Królestwie nie mogła nie zwrócić nareszcie uwagi władz wyższych. Oto co komitet do spraw Królestwa Polskiego w Petersburgu stwierdził latem 1866 r. (tom VIII § 764): „Komitet do spraw Królestwa Polskiego (w Petersburgu) zwrócił uwagę na to, że Komitet Urządzający (w Warszawie) przeznacza dla bezrolnych 27.000 m. gruntów skarbowych, co stanowi zaledwie $^1/_{10}$ ich część oraz 41,000 m. gruntów poduchownych, podczas gdy takich gruntów skarb otrzymał do swego rozporządzenia 243.000 morgów. Tym sposobem okazuje się, że tylko nieznaczna liczba wolnych gruntów zostaje przeznaczona dla bezrolnych, jakkolwiek Rozkazy Najwyższe 20 lutego, 21 sierpnia i 26 października 1864 r. i 3 i 14 grudnia 1865 r. miały za zadanie dać tej sprawie zakres szerszy i mogły były obudzić wśród włościan w Królestwie wielkie nadzieje.“ Nic tylko, że z gruntów skarbowych zbyt mała liczba została, zdaniem Komitetu do spraw w Królestwie, przeznaczona dla bezrolnych, ale „z pośród gruntów poduchownych, ograniczono nadanie ich bezrolnym, skutkiem wyłączenia majątków powyżej 90 morgów oraz mniejszych, o ile znajdują się w pobliżu miast.“ Powyższe słowa Komitetu do spraw Królestwa Polskiego w Petersburgu, zwrócone do Komitetu Urządzającego w Królestwie, wskazują, że władze najwyższe nie stawiały przeszkód w przeznaczaniu dla bezrolnych całych choćby folwarków oraz cenniejszych majątków, w pobliżu miast nawet położonych.

Gdy zaś wysuwały naprzód względy fiskalne, władze nie centralne, lecz miejscowe, i gdy pod tym pozorem wszelkimi sposobami utrudniały, odwlekały i ograniczały uwłaszczenia bezrolnych, a chroniły folwarki rządowe, gdy nawet z dóbr poduchownych rezerwowały samowolnie, bez żadnego rozkazu z góry, cenniejsze i większe majątki, musimy upatrywać w tem szczególną grę, o której mówić będziemy później. Zacytowane słowa Komitetu do spraw w Królestwie, mają to głównie znaczenie, że co się tyczy wyłączenia z pod rozdania bezrolnym części dóbr poduchownych, stwierdzają one w tej sprawie całkowitą inicyatywę i odpowiedzialność Komitetu Urządzającego.

Zacytowana opinia Komitetu do spraw Królestwa Polskiego posłużyła mu jako motyw do wydania Rozkazu Najwyższego 2 września (21 sierpnia) 1866 roku „o obdarowaniu włościan bezrolnych działkami gruntów skarbowych i poduchownych.“ Roz-

kaz poleca Komitetowi Urządzającemu (p. 2) użyć środków stanowczych dla dalszego przeznaczenia dla bezrolnych gruntów skarbowych i poduchownych na szerszych zasadach.“ Powyższy Rozkaz Najwyższy, stanowi zatem 10-ty z rzędu akt mocy prawodawczej, zobowiązujący rząd wobec bezrolnych przy uskutecznianiu reformy włościańskiej 1864 roku.

Wypowiedziane w nim polecenie użycia „środków stanowczych“ stwierdza ubocznie stosowanie poprzednie środków niestanowczych, wyrażenie, by uwłaszczanie bezrolnych było stosowane na „szerszych zasadach“ stwierdza, że zasady, których się trzymał Komitet, były ciasne.

Komitet do spraw Królestwa Polskiego, polecając Komitetowi Urządzającemu rozszerzyć swoją działalność w zakresie uwłaszczenia bezrolnych na gruntach skarbowych i użycia w tym celu środków stanowczych, jednocześnie dał mu wskazówkę, jakiego porządku należy się trzymać przy wybieraniu kandydatów z pośród bezrolnych, przy nadawaniu im gruntu (p. 1) „główne prawa przy nadaniu gruntów należy przyznać osobom, które ucierpiały podczas powstania, z pośród zaś innych osób należy dawać pierwszeństwo tym, którzy obarczeni są liczną rodziną, z tem zastrzeżeniem, by działki, które były przeznaczone dla staroobrzędowców i innych emigrantów rosyjskich na mocy Najwyżej zatwierdzonego Postanowienia Komitetu dla spraw Królestwa 30 (18) marca 1865 roku, były użyte na ten, a nie na żaden inny cel.“ Skutek Rozkazu Najwyższego 2 września nie dał na siebie długo czekać. Pozostawiając na razie na boku „stanowcze środki“ i „szersze zasady“, zalecone przez Komitet z Petersburga, przy uwłaszczaniu bezrolnych Komitet Urządzający w Warszawie zajął się pośpiesznie wykonaniem ostatnio przytoczonego zlecenia i postanowienia 15 (3) września, wyznaczył 82 rodzinom staroobrzędowców po 15 morgów gruntu, licząc przy tem rodzinę liczniejszą jak z 3 dorosłych osób za dwie rodziny. Prócz tej każda wieś otrzymywała po 30 morgów pastwiska oraz zwolnienie od podatków w ciągu pierwszych lat 6. Razem z poprzednią partyą 92 rodzin, osiedlonych w 1865 r. do końca 1866 r, urządzono 174 rodziny staroobrzędowców. Warto zestawić działki 15-morgowe dla nich wobec zalecanych przez Komisyę działków od 1 do 3 morgów dla włościan polskich, bezrolnych.

W powyżej przytoczonym Rozkazie Najwyższym po za szczególną pieczą o staroobrzędowcach i emigrantach z Rosyi, która taki sympatyczny oddźwięk znalazła w Komitecie Urządzającym, zwraca uwagę odmienny od proponowanego przez Komi-

tet porządek uwzględniania praw do gruntu włościan bezrolnych. Komitet Urządzający na pierwszem miejscu stawiał wysłużonych żołnierzy, Komitet do spraw Królestwa stawiał tych, co ucierpieli podczas powstania. Na dobrą sprawę z pośród włościan ucierpieli tylko koloniści Niemcy, którzy jednak wcale nie byli bezrolnymi. Orzeczenie przeto Komitetu w Petersburgu należy uznać za specyalnie bałamutne. Natomiast Komitet w Petersburgu nie wyróżniał włościan majorackich, ale pierwszeństwo wogóle przyznawał tym, którzy mieli większe rodziny, co już miało pewien charakter sprawiedliwości społecznej.

Wydany w roku 1866 dnia 11 września (30 sierpnia) Rozkaz Najwyższy o nadaniu gruntów robotnikom górniczym w zakładach rządowych, dotyczył niewielkiej liczby ludności i obejmował zaledwie parę tysięcy morgów, miał więc bardzo niewielkie dla kraju znaczenie. Po za tem w roku 1866 należy jeszcze tylko zaznaczyć to, że Komitet Urządzający zwrócił się do dyrektora głównego komisyi rządowej finansów Królestwa, by on podał swoje uwagi co do sposobu wykonania Rozkazu Najwyższego z dnia 2 września. Sam Komitet nie czuł się już widać na siłach, by wypełnić w istocie wolę Najwyższą. Szukał osłony u innych władz. Te władze jednak nie dla dobra bezrolnych gotowe były rozważać Rozkaz Najwyższy z dnia 2 września.

Obietnice wielkie czynione im w 1864 roku zaczęły się realizować w szczupłych niezmiernie granicach. Ta dysproporcya między rzeczywistością a przyrzeczeniami zwróciła uwagę władz najwyższych, ale na razie skutek stąd dla naszego proletaryatu rolnego był głównie ten, że rozbieżne poglądy różnych władz, co do stopnia obdarowania naszych włościan kosztem skarbu, znalazły pogodzenie na punkcie jedynie gorliwszego zajęcia się—starooobrzędowcami.

Rok 1867 przynosi nam tak nikłe już tylko ślady aktów prawnych, tyczących się urządzenia bezrolnych na gruntach skarbowych, że musimy się w tem miejscu zatrzymać w naszej analizie przebiegu historycznego dokumentów bezpośrednio się tej sprawy tyczących. Musimy spojrzeć trochę w inną stronę i zobaczyć, co też się tymczasem działo z tymi folwarkami skarbowymi poduchownymi, których tak pilnie Komitet i jego komisye strzegły od rozdania bezrolnym. Różne teorye wynajdywał Komitet, by tylko je uchronić: najpierw, że należy je parcelować między bezrolnych, to, że są one potrzebne dla emigrantów rosyjskich i zagranicznych, to znów, że są one szczególnie cenne, dalej, że należy z ich sprzedaży osięgnąć zasiłek dla komisyi lik-

widacyjnej. Faktem jest, że od 1864 r. konsekwentnie konserwowano i chroniono od rozdania bezrolnym wszystko, co było coś więcej warte i to nietylko z ziem skarbowych, ale i poduchownych. A tymczasem uroczysta proklamacya Namiestnika, pięć Rozkazów Najwyższych i cztery Postanowienia Komitetu Urządzającego, mające moc prawodawczą, wyraźnie określały, że ludność bezrolna w Królestwie ma, a zatem winna, otrzymać grunty skarbowe i poduchowne, będące w rozporządzeniu rządu, i które wraz ze skarbowemi nazwać możemy gruntami rządowymi w odróżnieniu od prywatnych [1]).

Do rzędu aktów, stwierdzających zobowiązanie rządu wobec bezrolnych podczas reformy włościańskiej 1864 roku, nie zaliczyliśmy całego szeregu postanowień Komitetu przez nas rozpatrzonych, które, tycząc się wykonania obietnic, nie potwierdzały ich, lecz raczej ograniczały, wyłączając np. od nadania te lub inne majątki, ustanawiając specyalny porządek nadania i t. p. Dziesięć aktów prawodawczych, w tem dwie obietnice uroczyste (proklamacya i instrukcya) i 5 Rozkazów Najwyższych, zdawały się gwarantować bezrolnych. Znalazły się jednak potęgi silniejsze od tych aktów, które poznać nam teraz wypada.

---

[1]) Oto spis tych dziesięciu aktów rządowych, stanowiących zobowiązania rządu wobec bezrolnych i oświetlonych powyżej: 1. Rozkaz Najwyższy 3 marca (20 lutego) 1864 r. o nadaniu bezrolnym gruntów skarbowych. 2. Proklamacya Namiestnika 6 marca (23 lutego) 1864 r., obiecująca bezrolnym grunty skarbowe. 3. Instrukcya Komitetu Urządzającego 7 kwietnia (26 marca) 1864 r., polecająca głosić tę obietnicę. 4. Postanowienie Komitetu Urządzającego 30 (18) kwietnia 1864 r., tworzące komisyę dla nadania gruntów skarbowych bezrolnym. 5 Post. Kom. Urz. 17 (5) września 1864 r., uznające za potrzebne nadawać grunty skarbowe proletaryatowi wiejskiemu. 6. Rozkaz Najwyższy 8 listopada (26 paźdz.) 1864 r. o nadaniu bezrolnym gruntów poduchownych, będących w rozporządzeniu rządu do 1864 r i poklasztornych. 7. Postanowienie Komitetu Urządzającego 14 (2) grudnia 1864 r., uznające konieczność wykonania tego nadania. 8. Rozkaz Najwyższy 20 (8) grudnia 1865 roku, polecający Komitetowi Urządzającemu wygotować ostateczny plan nadania gruntów bezrolnym. 9. Rozkaz Najwyższy 26 (14) grudnia 1865 r., oddający dla bezrolnych grunty duchowieństwa katolickiego, pozostające po jego urządzeniu. 10. Rozkaz Najwyższy 2 września (21 sierpnia) 1866 roku Komitetowi Urządzającemu użycia stanowczych środków dla nadania gruntów bezrolnym na szerszych zasadach.

II.

Widzieliśmy na jakie trudności natrafiało nadanie włościanom bezrolnym po 1864 r. gruntów skarbowych. Żeby sobie z nich zdać sprawę, musimy rozpatrzeć wiele było gruntów skarbowych w Królestwie i co one przedstawiały. Wobec tego zaś, że ziemie te były zamieszkałe, musimy przedewszystkiem wyjaśnić, w jaki sposób mieszkający i żyjący z tych gruntów włościanie byli na nich urządzeni, by ocenić, w jakiej mierze inni włościanie mogli z nadania tych gruntów skorzystać.

Gruntów skarbowych liczono (tom VI Post. K. Urz., § 589, str. 498) do 1828 roku 5,108,282, z tego sprzedano dla celów fiskalnych ówczesnego rządu w ręce prywatne 160,000 m., czyli bardzo nieznaczną liczbę; w 1835 roku nadano w postaci majoratów urzędnikom rosyjskim 897,460 m. 149 prętów. W ten sposób własność skarbowa gruntów w 1864 r. wynosiła 4,050,882 morgów; z tego stanowiło posiadłość stałą włościan . 2,129,739 m. 177 pr.;

drobnych działków gruntu w wieczystej dzierżawie było	25,034	„ 158	„
w posiadaniu osób na mocy specyalnych aktów darowizny lub przywileju znajdowało się	27,923	„ 47	„
w posiadaniu parafij.	29,705	„ 71	„
w posiadaniu służby kościelnej	4,681	„ 107	„
w posiadaniu bezpłatnem na cele użytku publicznego było	6,813	„ 157	„
pod osadami szkolnemi znajdowało się. . .	1,473	„ 142	„
i gruntów folwarcznych w wieczystej dzierżawie było	69,767	„ 230	„
Razem było	2,295,138	m. 89	pr.

takich gruntów, na które istniało do 1864 r. ustalone prawo posiadania i które zatem nie znajdowały się w rozporządzeniu rządu. Reszta gruntów przedstawiała następujące rodzaje:

Było mianowicie	1,422,279	m. 170	pr. lasów skarbowych;
	5,184	„ 236	„ gruntów zakładów górnicz.;
	276,466	„ 289	„ folwarków rząd. wydzierż.;
	28,141	„ 293	„ drobnych osad wydzierżaw.;
	23,687	„ 230	„ placów w miastach.
Razem . .	1,755,760	m. 288	pr. gruntów, będących w rozpo-

rządzeniu rządu. Z tej ilości place miejskie należy wyłączyć z kategoryi gruntów rozporządzalnych na cele rolnicze. Pozostanie nam wówczas 1,832,073 m. 58 pr., z których znaczną większość jednak stanowiły lasy, a tych oczywiście w znacznej swej części nie można było uważać jako teren dla urządzania ludności wiejskiej. Niemniej na lasy rządowe nie można było zapatrywać się, jako na przestrzeń, nie mogącą wcale zmienić swego przeznaczenia, jeżeli się zważy, że i do 1864 r. lasy kolonizowano, a dziś dawne lasy rządowe w majoratach z zezwolenia rządu są sprzedawane na wyrąb, karczowane i parcelowane.

Pomijamy na razie dobra poduchowne i suprymowane, które przybyły do obszarów, będących w rozporządzeniu rządu po 1831 i 1864 roku. O nich będziemy mówili osobno.

Te 1,755,760 m. rozporządzalnego zapasu gruntów skarbowych stały się terenem namiętnej walki u nie wielu czynników. Przedewszystkiem, skutkiem Ukazu 1864 r., zadeklarowali swoje pretensye do gruntów skarbowych gospodarze osiedli we wsiach skarbowych i posiadający własne osady, ale nie mający żadnych praw serwitutowych. Zostali oni w swoim czasie przy oczynszowaniu tak urządzeni, że za prawa serwitutowe otrzymali odpowiednie wynagrodzenie w gruntach, zwykle jednak liczono im tylko serwitut pastwiskowy w folwarkach skarbowych, oraz leśny w lasach, nie liczono zaś pastwiskowego w lasach, na który patrzano nie jako na prawo, ale jako na zwyczaj, tolerowany zresztą za pewną opłatą. Ponieważ takie pasanie niewątpliwie nie było dla lasów korzystne, więc jeszcze 13 (1) kwietnia 1862 r. zarząd lasów skarbowych zabronił pasania w tych lasach. Gdy jednak po Ukazach 1864 r. rząd przyznawał w majątkach prywatnych, oczynszowanych tak samo, jak skarbowe, prawo serwitutu tam, gdzie włościanie pasali bydło, choćby za odrobkiem, nie dziw, że włościanie skarbowi nie mogli godzić się na to, by mieli zostać pokrzywdzonymi. Komitet Urządzający jednak postanowieniem swojem z dn. 14 (2) grudnia 1864 r. (§ 219 tomu II) potwierdził postanowienie Rady Zarządzającej Królestwa z dn. 13 (1) kwietnia 1862 r. o zabronieniu pasania w lasach skarbowych.

Komitet Urządzający w ten sposób ustanawiał przywilej na korzyść lasów rządowych, a tem samem wyrządzał krzywdę włościanom, we wsiach skarbowych osiadłym.

Łatwiej jednak było wydać postanowienie, niż je przeprowadzić. Włościanie jak pasali w lasach rządowych przed 1862 r., tak pasali i po 1862 r., korzystając zresztą z czasów niespokojnych, wreszcie pasali i po 1864 r., zachęceni przykładem, który

rząd dawał w lasach prywatnych. Głównie praktykowało się pasanie bydła przez włościan w lasach rządowych w gubernii augustowskiej. Zwyczaj wypadło Komitetowi Urządzającemu ująć w pewne normy prawa. W latach 1865, 66, 67, 68 i 69 wydawał Komitet rozporządzenia, zezwalające czasowo na pasanie bydła w lasach rządowych na rok jeden. Niby to było zabronione w zasadzie, ale w praktyce wypadało ustępować. Wreszcie w 1870 r. 6 marca wydał Komitet postanowienie bardziej zasadnicze, przyznające włościanom wsi rządowych, nie posiadającym pastwisk i mającym małe osady, nie pozwalające na pasanie na własnych polach, by zgodnie z poprzedniemi rocznemi zezwoleniami mieli prawo pasać bydło w lasach rządowych na stałe aż do czasu rozstrzygnięcia sprawy o nadaniu tym włościanom działków pastwiskowych z gruntów skarbowych.

W ten sposób w sprawie serwitutu leśnego pastwiskowego włościanie postawili wbrew postanowieniom obowiązującym z 1862 i 1864 roku na swojem; prawa ich zostały uznane, lasy rządowe obciążone, i przyznane im zostało dopełnienie nowym nadziałem pastwiskowym pierwotnego ich urządzenia rolnego przy czynszowaniu.

Zaznaczyć należy, iż Komitet w tym wypadku wcale nie silił się na wynalezienie motywów słuszności po stronie włościan, jak to czynił, gdy szło o lasy prywatne. Komitet co do lasów rządowych ustąpił przed żądaniem włościan. Co prawda ustąpienie Komitetu było nie zupełne, ale z pewnemi ograniczeniami. Po pierwsze zatem już na mocy postanowień z dn. 28 (16) kwietnia 1868 r. Komitet przyznawał prawo pasania w lasach tylko tym wsiom, które posiadały na osadę nie wiecej jak 20 morgów. Ale i w tym razie wypadło Komitetowi w zetknięciu z rzeczywistością czynić nowe ustępstwo. Większe osady wogóle były głównie w augustowskiem i tutaj również było pasanie bydła przez włościan najbardziej zakorzenione. Okazało się tutaj, że 151 wsi rządowych pomimo, że posiadały na osadę więcej niż 20 morgów, nie chciały odstąpić od swego prawa pasania w lasach. Komitet ustąpił niebawem i postanowieniem 23 (11) kwietnia 1869 r. przyznał w gub. augustowskiej ulgowe prawa pastwiskowe dla włościan, prawa, które następnie postanowieniem z dnia 6 marca 1870 roku zostały usankcyonowane. W ten sposób niewątpliwie w sprawie pasania w lasach skarbowych włościanie zdołali zmusić rząd do ustąpienia im na każdym kroku.

Poza tym jednak serwitutem włościanie w dobrach rządowych upominali się o wszelkie inne prawa na równi z włościana-

mi w dobrach prywatnych. Gdy w ostatnich rząd nie zwracał uwagi na kontrakty czynszowe i przyznawał pastwiska polne i zbieraninę leśną, jako prawo serwitutu, o ile tylko miały one miejsce, w dobrach skarbowych włościanie czuli się uprawnieni do żądania tegoż samego. W I-szym swoim raporcie z d. 5 sierpnia 1865 r. członek zarządzający Komitetem Urządzającym stwierdzał, że „podług uwag naczelnika radomskiego wojennego oddziału jedno z trudniejszych pytań sprawy włościańskiej w Królestwie stanowi sprawa urządzenia włościan w majątkach skarbowych. Włościanie w tych majątkach są silnie skrępowani po oczynszowaniu w użytkowaniu z pastwisk i lasów, które pozostały przy folwarkach."

W raporcie z d. 15 — 22 sierpnia 1864 r. (tom II, str. 741) prezes komisyi ostrołęckiej donosił, że „sądząc z liczby próśb liczne majątki skarbowe są oczynszowane i urządzone z wyraźną szkodą włościan."

Wprawdzie Komitet Urządzający nie przejmował się zbytnio temi uwagami naczelników wojennych i prezesów komisyi i nie kwapił się z przyznaniem rozszerzenia praw włościan w majątkach skarbowych. Znajdujemy nawet wyraźną wskazówkę, że rząd czynił, co mógł, by do takiego rozszerzenia nie dopuszczać. W postanowieniu Kom. Urz. z d. 9 kwietnia (28 marca) 1869 r. czytamy: „Zarządzający finansami Królestwa uważał za konieczne stosować szczególną surowość i ostrożność w przyznawaniu włościanom praw serwitutowych w majątkach skarbowych." Pomimo jednak całej „surowości," stosowanej do włościan rządowych obok łaskawości dla włościan w majątkach prywatnych, nie mógł nie uznać rząd takich wypadków, w których prawa włościan do serwitutu okazywały się niewątpliwe, a głównie, gdy były oparte na przywilejach. W tych jednak wypadkach rząd nie pozostawiał sprawy uregulowania stosunków jednemu tylko dobrowolnemu porozumieniu stron, jak w majątkach prywatnych, lecz ustanowił specyalne normy, obowiązkowej zamiany serwitutów postanowieniem Komitetu z d. 9 kwietnia (28 marca) 1869 roku. Na ogół wypadło przyznać prawo serwitutowe 15,355 osadom skarbowym, czyli 10% ogółu tych osad (gdy w majątkach prywatnych otrzymało prawo serwitutu około 75% ogółu osad).

Przyznane serwituty w dobrach skarbowych rząd śpieszył się uregulować jaknajprędzej i w rzeczy samej dnia 1 stycznia 1870 r. uregulował je dla 9,922 osad, przyczem 3,398 ugodziło się dobrowolnie, a 6,614 pod przymusem według norm rządowych

specyalnie dla regulowania wsi rządowych wydanych. Pozostały w dobrach i lasach skarbowych serwituty w 5,433 osadach, z czego pastwiskowe przysługiwały 4,667 osadom, prawo budulcu 1,409, opału 3,222 i ściołki 976 osadom, razem było praw pojedyńczych 10,264 przysługujących dla 5.433 osad. W zamian za zrzeczenie się serwitutów w 9,922 osadach otrzymali włościanie ogółem 16,015 morgów, czyli po 1.6 morgi na osadę. Serwitut ten, jak widzimy, był bardzo nizko szacowany. Spotykamy zresztą ten sam stosunek półtorej morgi za serwitut na osadę i przy dobrowolnej zamianie serwitutów w dobrach prywatnych w epoce 1864—70 roku.

Na ogół z powodu zamiany serwitutów przybyło włościanom, jak wykazaliśmy, 16,015 morgów, to jest zaledwie 0.8% gruntów posiadanych. Wiemy jednak, że tylko wyjątkowo serwituty przyznawano w majątkach skarbowych tak, że tylko 10% osad otrzymało prawo serwitutu. Natomiast pastwisko w lasach rządowych, jakkolwiek nie nazywało się serwitutem, niemniej było przyznane włościanom, a ponieważ rząd dążył do zniesienia tego zwyczaju i nie mógł przeprowadzić tego przez poszanowanie dla praw przez siebie wydawanych, musiał, idąc na ustępstwa, ograniczać pasanie w lasach skarbowych nadawaniem dodatkowo wsiom rządowym osobnych pastwisk wzamian za prawo pasania. Z tych powodów nastąpiło jeszcze znaczniejsze niż przy właściwej zamianie serwitutów powiększenie posiadania włościan wsi skarbowych. Prócz tego punktem wyjścia dla powiększenia gruntów wsi rządowych była niedokończona separacya tych wsi od folwarków i od lasów rządowych. Do 1 stycznia 1870 roku z powodu separacyi 5,150 osadom przybyło gruntu 4,566 m. Z tej ilości 2,247 osad, które odseparowały się dobrowolnie, otrzymały 3,165 morgów, a 2,903 osady, które odseparowane zostały przymusowo, dostały znacznie mniej, mianowicie 1,401 morgę. Po 1870 r. została jeszcze pewna liczba osad, które nie były odseparowane; prawdopodobnie było ich nie mniej, jak tych, które miały przyznane serwituty, a może i więcej. Danych co do tego nie znaleźliśmy, wiemy tylko, że cała ludność tak zwanej Puszczy Kurpiowskiej, licząca dziesiątki tysięcy osad, była nieodseparowana i pasała w lasach rządowych. Urządzenie rolne tej ludności nastąpiło znacznie później i do dziś dnia nie jest nawet zupełnie zakończone.

Z powodu zamiany serwitutów, oraz odseparowania przybyło włościanom wsi skarbowych po 1864 roku ogółem 20,571 morgów, z powodów zaś zamiany prawa pasania w lasach skarbo-

wych, oraz z wszelkich innych powodów przy układaniu tabel po 1864 roku rząd powiększył ilość pastwisk gromadzkich z 184,478 m. przed 1864 r. do 279,470, czyli o 94,992 morgi.

Oto w jaki sposób objaśniał Komitet przyczyny tego powiększenia w trzeciem swojem sprawozdaniu z czynności w 1867 roku. „Przy rozpoczęciu czynności komisyi do spraw włościańskich, włościanie wsi rządowych oczynszowanych zwracali się ze skargami na niesprawiedliwe uregulowanie gruntów i separacyę przy oczynszowaniu. Przy bliższem zaznajomieniu się z tą sprawą okazało się, że w niektórych majątkach grunty włościan przy czynszowaniu były zmniejszane i włościanie tracili często prawo serwitutu pastwiskowego bez żadnego wynagrodzenia, a tylko w zamian za niewielkie zmniejszenie powinności.“

Niewątpliwie, że tak często bywało, działo się to bowiem na zasadzie ówczesnych praw. Komitet jednak, który praw przed 1864 r. wydanych nie uznawał w stosunku do majątków prywatnych, nie mógł odmawiać słuszności żądaniom włościan w majątkach rządowych. Raport z czynności z 1867 r. objaśnia przeto, że komisye powiększały przestrzeń pastwisk wspólnych we wsiach skarbowych.

Na ogół we wsiach skarbowych włościanie, którzy posiadali grunty i osady już przed 1864 rokiem, skorzystali z reform na mocy Ukazu 1864 roku w postaci powiększenia ich gruntów o 115,563 m., utrzymali prawo pasania w lasach tam, gdzie nie mieli pastwisk gromadzkich, oraz w nielicznych (5,433 osady) wypadkach i serwituty.

Ponadto „tym włościanom, którzy nie posiadali prawa serwitutu leśnego na mocy przywileju, lecz otrzymywali z lasów rządowych zbieraninę i ściółkę za opłatą podług taksy, to samo prawo pozostawione zostało nadal,“ czytamy w cytowanym raporcie trzecim z 1867 roku. W ostatnim wypadku skarbowi udało się ustąpić włościanom mniej niż w sprawie pasania w lasach. Co do pasania, jak widzieliśmy, rząd przyznał włościanom prawo do odszkodowania za zaniechanie tego zwyczaju—czyli zamienił użytkowanie na istotne prawo rzeczowe, prócz tego przyznał jako prawo w 1870 r. to, co w 1862 i 1864 r. było skasowane zupełnie. Zbieraninę i ściółkę rząd uznał tylko za stałe użytkowanie podług taksy. W majątkach prywatnych jednak było inaczej, tam taki zwyczaj zamienił się w serwitut. Niemniej pozostawienie zbieraniny i ściółki podług taksy, jakkolwiek ograniczone wypadkami, w których się ono do 1864 r. stosowało, było również wielką dla włościan dogodnością.

Przedstawiliśmy jeden z czynników zmniejszenia się rozporządzalnego funduszu gruntowego rządowego. Włościanie wsi rządowych nie zawsze mieli za sobą podstawy prawa, ale natomiast mieli za sobą przykład, jaki dawał rząd we wsiach prywatnych, oraz siłę działania całą gromadą, przed którą rząd zwykł ustępować. To też względnie wsie rządowe umiały uzyskać z reform 1864 r. może więcej, niż z treści Ukazów i Rozkazów Najwyższych w 1864 r. wypływało.

Przejdźmy do rozpatrzenia innych kategoryj czynników, wpływających na zmniejszenie przestrzeni rozporządzalnych gruntów skarbowych. Wiemy, że w majątkach prywatnych komornicy i parobcy z pewnymi wyjątkami otrzymali grunty, z których korzystali w postaci ogrodów warzywnych pod kartofle, len i t. p., około chałup i w polu. Oczywiście, że tacy komornicy i parobcy byli również i w folwarkach rządowych. Trudno było jednak do tych ostatnich stosować tę fikcyę, na mocy której dawano im grunty w folwarkach prywatnych. Tam otrzymywali oni grunty na tej jakoby zasadzie, że są właściwie dawnymi gospodarzami pańszczyznianymi, którzy drogą samowoli panów (szlachty) zostali sprowadzeni do rzędu parobków. Ale jakże było można w folwarkach rządowych uznawać samowolę w stosunkach, które regulował sam rząd. To też z początku próbował Komitet odmówić prawa do gruntu komornikom i parobkom w dobrach rządowych.

Postanowienie Komitetu (§ 53, t. I) z d. 28 (16) maja 1864 r. jest wielce w tej mierze nauczającem: „W majątku rządowym Rembisze dzierżawca po urządzeniu ostatecznem włościan, ściągnął dla własnego pożytku innych włościan na zamieszkanie do majątku, nadał każdej rodzinie od 1 do 2 morgów i wydawał im zboże w snopach, za co włościanie pracowali mu bezpłatnie dwa do trzech dni w tygodniu, a resztę dni za płacę bardzo nizką. Obecnie ci włościanie są w wielkiem zdumieniu i z trwogą o siebie i z wytężeniem patrzą, jak ich sąsiedzi są zwalniani od wszelkiej pańszczyzny.“ Wobec tego Komitet postanowił: „Wyjaśnić, że w danym wypadku włościanie nie odrabiają pańszczyzny, lecz tylko roboty kontraktowe na warunkach ugodzonych przez nich z dzierżawcą, i że, po ukończeniu terminu umowy, włościanie ci mają zupełne prawo porzucić majątek i obrać sobie sposób życia, jaki zechcą.“

Warto zapamiętać to postanowienie. W jakże rażąco odmiennem świetle przedstawia ono położenie komorników we wsiach

rządowych w porównaniu ze wsiami prywatnemi. Wszak wszędzie komornicy nie odrabiali pańszczyzny, tylko spełniali warunki najmu. Różnicy nie było między nimi i sami włościanie to doskonale rozumieli. Skądżeby się bowiem wzięło ich „zdumienie, trwoga i wytężenie," gdyby nie to, że czuli się równi tym, do których stosowano dobrodziejstwa, a które ich minąć miały. Tak więc postanowienie Komitetu Urządzającego z d. 28 (16) maja jest wielce znaczącem przez to, że ustanawia miarę dla jednych włościan wręcz przeciwną od przyjętej dla drugich. Komornicy w dobrach skarbowych podług świadomej woli Komitetu mieli być z pod uwłaszczenia wyłączeni. A jakich wyrażeń używa Komitet w swojem orzeczeniu: „mają zupełne prawo *porzucić majątek i obrać sobie sposób życia jaki zechcą.*" Przecież nie zwracali się oni o prawo porzucenia majątku i pójścia sobie w świat, bo to prawo od 1807 r. każdy w Królestwie posiadał. Któż lepiej powinien był wiedzieć o tem od działaczów Komitetu Urządzającego, którzy przecież tak surowo potępiali prawa rolne z epoki po 1807 r., za to, że pozwalały „porzucać majątki i iść w świat." Gdy jednak szło o dobro skarbu, tę samą potępianą zasadę powtórzył Komitet sam bez wahania.

W raporcie z d. 8—15 sierpnia 1864 r. (m. II, str. 741 i następ.) naczelnik siedleckiego okręgu wojennego donosił, że włościanie małorolni i bezrolni w majątkach skarbowych skarżyli mu się na to, że są pozbawieni dobrodziejstwa Ukazów Najwyższych, darowanych innym włościanom. W raporcie z dni 15 — 22 sierpnia naczelnik komisyi ostrołęckiej stwierdzał, że „postępuje znaczna liczba próśb od włościan bezrolnych w majątkach skarbowych i majorackich." Domagania się komorników i parobków w majątkach skarbowych musiały być natarczywe, co zresztą było zupełnie zrozumiałe, gdyż w d. 19 (7) listopada 1864 r. wydał Komitet Urządzający postanowienie (t. II, str. 513, § 201) „o nadaniu gruntów komornikom w majątkach skarbowych oczynszowanych," w którem czytamy: „Wobec tego, że zarząd skarbowy może w znacznie wyższym stopniu, niż osoby prywatne, przyczynić się do zmniejszenia liczby bezrolnych bez szczególnych ofiar... należy małorolnym robotnikom w majątkach skarbowych oczynszowanych nadać na własność te działki gruntu, z których użytkują niezależnie od tego, w jakich oni żyją pomieszczeniach, chałupach, czworakach, koszarach lub nawet najętych pomieszczeniach."

W ten sposób komornicy i t. p. w majątkach skarbowych w listopadzie 1864 r. otrzymali nawet większe prawa, niż w ma-

jątkach prywatnych, gdyż w majątkach prywatnych koszary, jako mieszkanie, zagradzały drogę do prawa na grunt; to szerokie prawo z listopada 1864 r. dla komorników w majątkach skarbowych jest szczególnie charakterystyczne w zestawieniu z wyraźnym zakazem z 28 maja, by tychże komorników zupełnie od praw do gruntu usunąć.

Przytoczone postanowienie Komitetu Urządzającego zostało potwierdzone równobrzmiącym Rozkazem Najwyższym z dnia 30 (18) marca 1865 r. W ten sposób co do gruntów swoich komornicy w dobrach rządowych otrzymali dość wcześnie zupełne zadośćuczynienie. Pozostawała jednak sprawa ich pastwiska. Wiadomo, że w majątkach prywatnych rząd przyznawał jako prawo serwitutu pasanie przez komorników i służbę bydła na gruntach folwarcznych. Nie było sposobu odmówić tego prawa komornikom w majątkach rządowych, Dnia 12 lipca (30 czerwca) 1864 r. Komitet wydał postanowienie „o wynagradzaniu małorolnych robotników we wsiach rządowych za serwitut pastwiskowy na polach folwarcznych.“ W punkcie I-ym tego postanowienia czytamy: „Przy wyznaczaniu małorolnym robotnikom wiejskim działków gruntu w majątkach rządowych oczynszowanych, należy brać w rachubę, czy korzystali oni z pastwiska na gruntach folwarcznych, a jeżeli tak, to należy to prawo zamieniać na dodatek gruntu do ich działków.“ Prawo włościanom zostało przyznane, ale zarazem uregulowanie serwitutów zostało przeprowadzone przymusowo w odróżnieniu od majątków prywatnych. Zamiana ta jednak, jakkolwiek przymusowa, nie łatwo dawała się uskutecznić. To też 9 listopada (27 października) 1868 r, Komitet wydał postanowienie, którego mocą ustanawiał normy od 124 prętów do 1½ m. wzamian za serwitut pastwiskowy z dwóch sztuk na osadę komorniczą złożony. Ilość komorników i parobków w majątkach skarbowych, którzy otrzymali grunty, wyniosła 7,679 rodzin, przy 46,776 rodzinach bezrolnej ludności w ogóle, zamieszkałej w tych majątkach, czyli 16% tej ludności, podczas gdy w majątkach prywatnych przyznano prawo do gruntu 52% ogółu ludności bezrolnej (109,670 wobec ogólnej liczby 211,171 rodzin), a w majoratach 20 % (2,095 wobec ogólnej liczby 10,130 rodzin) (dane trzeciego ogólnego raportu z 1867 r.).

W ten sposób na ogół w dobrach skarbowych znacznie mniejsza liczba bezrolnych otrzymała prawa do gruntu, na którym żyła, niż w majątkach prywatnych. Pomimo różnicy w warunkach bytu tej ludności nie sposób w tym objawie nie widzieć skutków

tendencyjności na niekorzyść włościan w dobrach skarbowych skierowanej i ujawnionej tak jaskrawo w postanowieniu Komitetu z d. 28 maja 1864 roku. Wiele gruntu wypadło owym 7,679 rodzinom obdarowanym w majątkach skarbowych nie daje się wyliczyć, gdyż zostali oni w wykazach złączeni w jedną grupę z innymi włościanami; wiemy, że liczono im po 1 — 2 morgów ogrodu, oraz od ½ do 1½ m. za pastwisko, ogołem zatem od 1½ do 3½ morgów na osadę. Część ich dostała dodatki w gruncie z pustek.

Pustki, będące zdaniem Komitetu Urządzającego dowodem specyalnie nieprawnego postępowania panów polskich, znalazły się nietylko w folwarkach prywatnych, ale i w rządowych. Ogółem okazało się ich 11,768 morgów, czyli 0,51% w stosunku do ogółu gruntów włościańskich skarbowych, podczas gdy w dobrach prywatnych stanowiły one 4.88%. Ponieważ jednak w sprawie przyznawania zarówno praw do gruntu komorników, jak i praw włościan do serwitutu, stwierdziliśmy szczególną pieczę rządu o folwarki rządowe i „surowość“ w przyznawaniu praw włościanom, musimy przeto uznać, że i pustek znalazło się w folwarkach rządowych tak mało nietylko dlatego, że ich w rzeczy samej było mniej, niż w folwarkach prywatnych, ale i dlatego, że ich mniej gorliwie szukano. Pustki w folwarkach skarbowych poszły na dodatki gruntowe dla małorolnych, oraz na osiedlenie pewnej liczby miejscowej ludności bezrolnej, nie mającej praw do gruntu.

Rozpatrzyliśmy w całej rozciągłości jeden z czynników, który wpłynął na uszczuplenie gruntów skarbowych, pozostających w rozporządzeniu rządu, a mianowicie urządzenie rolne włościan wsi skarbowych, drogą przyznania im praw do gruntu. Widzieliśmy, że tendencyą wyraźną Komitetu było nieprzyznawać serwitutów włościanom, oraz nie nadawać gruntów komornikom; tendencya ta jednak, będąc w rażącej sprzeczności z postępowaniem Komitetu w majątkach prywatnych nie utrzymała się. Komitet musiał ustąpić włościanom na wielu punktach. Niemniej stwierdzić należy, że zarówno w zakresie serwitutów, jak nadania gruntu komornikom i służbie, oraz w wyszukiwaniu i rozdawaniu pustek włościanie w dobrach skarbowych uzyskali na mocy reformy włościańskiej znacznie mniej, niż włościanie w dobrach prywatnych.

Interes folwarków rządowych natomiast przez Komitet był stale i konsekwentnie ochraniany. Gdy nie dało się nieobdarować komorników, gdy serwituty trzeba było przyznać—wydawa-

no postanowienia o przymusowej regulacyi tych stosunków, które w prywatnych folwarkach pozostawione były swobodnej grze dobrowolnych umów.

Od folwarków rządowych po 1864 r. odeszło przedewszystkiem 11,768 m. pustek; następnie odeszło to, co dostało 7,679 rodzin komorników; mogło to uczynić najwyżej około 20,000 morgów; część pastwisk, dodanych gromadom po 1864 r., też przypadała na grunty folwarczne, choć w znacznej części odbywało się dodatkowe nadanie kosztem obszarów leśnych, wreszcie znaczna część ziem z ogółu 20,571 morgów, które poszły w zamian za serwituty i przy separacyi przypadała na grunty folwarczne. Ogółem można liczyć, że około 50,000 morgów tych gruntów przeszło na urządzenie włościan miejscowych.

Ponieważ gruntów folwarcznych rządowych było w 1864 r. 346,234 m. 219 prętów, pozostałoby ich zatem niecałe 300,000 morgów, a ponieważ $^1/_5$ była w wieczystej dzierżawie, więc rozporządzalnych gruntów folwarcznych było w ręku rządu po urządzeniu miejscowych włościan około 240,000 morgów. Jeżeli zważymy ogółem warunki, na jakich zostali urządzeni włościanie w dobrach rządowych i prywatnych, przekonamy się podług wykazów na 1 stycznia 1870 roku, że przeciętny obszar gruntu na osadę w dobrach rządowych wynosił 16 m. 198 pr., a w dobrach prywatnych 12 m. 254 pr. Pozornie zatem zdawałoby się, że na gruntach skarbowych włościanie zostali lepiej uposażeni niż na prywatnych. Nic by w tem nie było dziwnego, tak bowiem było na całym świecie i być powinno. A jednak tak było w Królestwie tylko częściowo i tylko z pozoru. Gdy się bliżej przyjrzymy cyfrom podług gubernij, okaże się, że w czterech guberniach, mianowicie: warszawskiej, radomskiej, lubelskiej i suwalskiej z ilością osad 71,366, czyli 48% ogółu ich liczby, uposażenie gruntowe włościan w dobrach prywatnych było większe niż w skarbowych. Jeżeli cyfra przeciętna dla całego kraju dała taką przewagę dla dóbr skarbowych, to tylko dla tego, że $^1/_5$ część wszystkich osad skarbowych była w gubernii suwalskiej, gdzie i w dobrach skarbowych i prywatnych na osadę przypadało szczególnie dużo gruntu. Na ogół zaś prawie w połowie wypadków uposażenie gruntowe włościan w dobrach prywatnych było lepsze niż w rządowych. Jeżeli zaś uwzględnimy, że przyznano serwitutów w dobrach rządowych tylko dziesięciu procentom osad, a w prywatnych 75%, musimy dojść do wniosku, że w dobrach rządowych Komitet Urządzający, jakkolwiek na wielu punktach musiał ustąpić poczuciu krzywdy włościan, jednak wytworzył stan niebywały

w dziejach innych krajów, a nawet i Rosyi — pewnego upośledzenia uposażenia włościan w porównaniu z ich uposażeniem w majątkach prywatnych.

Widzieliśmy w pierwszym rozdziale, jak tępo szło rządowi nadawanie gruntów skarbowych bezrolnym, nieposiadającym praw do gruntów prywatnych; teraz przekonaliśmy się, jak skąpo zostali włościanie wsi skarbowych uposażeni dodatkowo skutkiem Ukazów 1864 r. Dla kogoż zatem tak ochraniano folwarki i lasy rządowe?

Władysław Grabski.

POWIEŚCIOPISARZ-MISTYK

(Robert Hugo Benson).

Trzech ludzi stanęło raz—pisze Robert Hugo Benson w krótkim, ale świetnym odczycie o „mistycyzmie“— przed dużą, jasną, zieloną łąką. Jeden z nich był rolnikiem, drugi geologiem, trzeci poetą. Rolnik patrzał na bujnie rosnące kwiaty, na obfitą i świeżą murawę i myślał o obfitym zbiorze tegorocznym; geolog po soczystej zieleni trawy i po gatunkach roślin starał się odgadnąć podłoże, z którego wyrosły, zagłębiał się myślą w warstwy ziemi; poeta patrzał również na ten kobierzec, który przed nim słały niewidzialne, potężne ręce, ale nie myślał ani jaki z tego może wyciągnąć pożytek, ani jak to wszystko powstawało i rosło—szedł dalej i głębiej, ku tej sile, która to wszystko wydała, ku źródłu życia, harmonii i piękna. Takie samo stanowisko, jakie zajmuje poezya wobec praktycznej i naukowo-teoretycznej strony zewnętrznego życia, zajmuje, według Bensona, mistycyzm w duchowej sferze życia. W przeciwieństwie do wiedzy stosowanej, techniki, która jedynie praktyczne cele ma na oku, w przeciwieństwie do wiedzy czystej, która tylko analizuje i rozbiera dane fakta i zjawiska, mistycyzm jest syntezą duchowego życia; tak, jak poezya nie zadawalnia się opracowywaniem podsuniętych przez życie tematów, ale je syntetyzuje, a często nawet doszukuje się w nich proroczo przewodniej idei, tak i mistycyzm, wykwit duchowego życia, nie zatrzymuje się przy analizie psychicznych objawów, ale stara się z nich stworzyć cały jednolity łańcuch i powiązać nim źródło ich istnienia, początek wszelkiego bytu z ich ostatecznym końcem.

Być może, że Benson przypisuje za wielką wartość mistycyzmowi, ale też trzeba wiedzieć, że ten właśnie nastrój psychi-

czny odegrał najważniejszą rolę i w jego życiu i w twórczości. W życiu doprowadził on Bensona, syna arcybiskupa z Canterbury, więc głowy anglikańskiego duchowieństwa, do przejścia na katolicyzm (w r. 1903), choć Benson już kilka lat spełniał obowiązki pastora w jednem z prowincyonalnych miast Anglii, co więcej, skłonił go do przyjęcia święceń kapłańskich w następnym roku w Rzymie. W twórczości jest ten mistycyzm podłożem, z którego wyrastają, zakwitając bujnie, wszystkie jego idee o jednostce i społeczeństwie, a że idee te oblekają się w przepyszną, artystyczną formę, w głębokie symbole, w pomysły, świadczące o bogatej fantazyi, więc też cała twórczość Bensona jest jednem z najciekawszych dziś zjawisk na tle nie zawsze artystycznej, często bardzo płytkiej dzisiejszej literatury powieściowej Anglii.

I.

Jakkolwiek Benson jest „rzymskim“ księdzem, mistycyzm jego niema wcale charakteru katolickiego — i owszem, katolicyzm nie jest wcale początkiem, ale przeciwnie, ostatecznym krokiem w ewolucyi duchowej autora. Mistycyzm Bensona nie płynie z głębokich wprawdzie, ale bądź co bądź martwych konstrukcyj myślowych dawniejszych wieków—u źródła jego spotykamy tętniące żywem życiem pierwiastki. Są to: duch czasu, nastrój narodu i zasadnicze idee dzisiejszej wiedzy. I w duchowej najgłębszej swej treści, i w zewnętrznej formie, i w stosunku swym, jako twórcy do społeczeństwa, jest on tylko dzieckiem swego wieku i otoczenia.

Powolne bankructwo pozytywizmu, który z samej natury rzeczy musiał się ograniczyć do kwestyj etycznych, zajmując się wyłącznie życiem zewnętrznem, ujętem w kategorye stosunków, a który nie umiał nawet tych zagadnień rozwiązać, musiało skierować umysły ku innym horyzontom i kazało im szukać schronienia i podpory gdzieś poza czasem i przestrzenią. Temsamem rozluźniły się więzy, krępujące jednostkę, traktowaną dotychczas jedynie jako część społeczeństwa, wracały prawa indywidualności, które pozwalają jej zastanowić się nad swoją własną istotą w niezależności od stosunków zewnętrznych. I to jest źródło nowożytnego mistycyzmu, którego takim szczerym wyznawcą jest Benson. W całym jego światopoglądzie występuje tylko jeden zasadniczy pierwiastek religii: wiara w dogmaty i umiłowanie ich mistycz-

nej, zewnętrznej szaty—symbolów. Na drugi element religii, na etykę, nie zwraca Benson prawie wcale uwagi. Nigdy nie chodzi mu o stosunek ludzi między sobą lub do Kościoła, ale zawsze zastanawia się nad stosunkiem jednostki do Boga—światem jego jest wnętrze duszy w oderwaniu od życia zewnętrznego, równie, jeżeli nie więcej bogate, jak to ostatnie.

Jakąż formę miał przybrać ten mistycyzm, gdzie miał szukać ujścia? W tej kwestyi zaważyło przedewszystkiem otoczenie Bensona. W każdym innym kraju mistycyzm zwraca się ku filozofii i przyjmuje charakter mniej lub więcej określonego kierunku filozoficznego, jak np. w ostatnich dniach neo-panteizmu. W Anglii, gdzie wiara jest prostsza, szczersza, odpowiadająca dobrze rysowi naiwności w charakterze rasy anglo-saskiej, a nastrój religijny gorętszy, mistycyzm ciąży przedewszystkiem ku religii. Dlatego też, nie mówiąc już o prawdopodobnym wpływie atmosfery domowej, oddaje się Benson studyom duchownym i poświęca się obowiązkom pasterskim.

Ale w nastroju dni dzisiejszych, nastroju tak silnie oddziaływającym na duchową ewolucyę Bensona, jest jeszcze jeden element, który bliżej określił formę, w jaką miały się ostatecznie skrystalizować jego mistyczne poglądy. Pierwiastkiem tym są zasadnicze dzisiaj teorye o organizmie i ściśle z niemi związane socyologiczne poglądy. Te ostatnie, rozwinięte tak bujnie w Anglii, to przekonanie, czy przesąd dzisiejszy, o supremacyi społeczeństwa nad jednostką, która nie może się ostać bez jego pomocy, siłą przyzwyczajenia szło za Bensonem w jego lotach pozaziemskich. Mimowoli zaczął on szukać jakiegoś idealnego, transcendentalnego społeczeństwa, w któremby obowiązywały te same prawa, co w społeczeństwie ludzkiem. I znalazł je w instytucyi kościoła wogóle, a gdy wobec nieskończonej ilości poszczególnych kościołów wypadło mu zastanowić się, który z nich jest tem właściwem, mistycznem Ciałem Chrystusa, jak brzmi definicya kościoła, nieodwołalnie musiał się zwrócić do Rzymu, jedynie mającego za sobą dane do nazwy powszechnego, katolickiego.

Zmiana wyznania nie była u Bensona niemal bezwiednym odruchem artysty, porwanego pięknem symbolów, obrzędów lub przedziwną tajemnicą Transsubstancyacyi, choć, jak widać z jego „Dziennika Paryasa," dramatyczny pierwiastek w liturgii katolickiej silne na nim sprawia wrażenie. Benson przygotowywał się do tego ważnego kroku długo i sumiennie, jak świadczy książeczka, pierwsza z szeregu jego licznych na tem polu broszur: „Miasto na wzgórzu," zbiór argumentów, które go do zmiany wiary

skłoniły. Jest w tej małej książeczce zawarta w streszczeniu i teza całej jego twórczości: mistyczne Ciało Chrystusa Pana, żyjące jak organizm, jak on rozwijające się, adoptujące coraz to nowe prądy i siły, tracące to, co do życia jest niepotrzebne. Każda dusza wierząca jest jedną komórką w tym mistycznym organizmie i żyje w nim i przez niego—potępienie jest wyrzuceniem z niego, jest prawdziwą śmiercią. W ten sposób stają się nieco więcej uchwytne dogmaty katolickiego kościoła—na tle tego nowożytnego antropomorfizmu łatwiej nam, przyzwyczajonym od dzieciństwa do teoryi ewolucyi, zrozumieć treść i rozwój kościoła, uprzytomnić sobie połączenie człowieka z Bogiem, Jego wszechobecność, opatrzność, co więcej, zagłębić się w tajemnicę bóstwa P. Jezusa.

Oto dalszy punkt w rozwoju duchowym Bensona: miłość dla Chrystusa Pana. Bo czemże On jest, jak nie wcieleniem w jedną postać ludzką ukochanej jego idei o mistycznym organizmie — i czyż nie jest On wtedy rzeczywiście alfą i omegą? początkiem, jako jednostka i końcem, jako organizm społeczny? Czyż nie spełniają się w Nim wszystkie marzenia średniowiecznych mistyków o mikro- i makrokosmie? czyż nie w Nim urzeczywistniają się dążenia wszystkich filozofów do połączenia wielości w jedności? czyż nie jest On syntezą wszystkich przeciwieństw, względności i bezwzględności, jako Bóg i Człowiek? I oto kościół rzymski, jedyny na Zachodzie, uznaje prawdziwą przemianę opłatka w Ciało Chrystusa Pana—i codzień na tysiącach ołtarzy podnoszą kapłańskie ręce prawdziwego Boga. To był argument, który nie mało również przyczynił się do konwersyi Bensona, argument, odpowiadający tak dobrze jego naturze, bo zawierający pierwiastek największego mistycyzmu wraz z dotykalnością fizyczną, połączenie tak niezrozumiałe, jak połączenie duszy z ciałem, a jednak takie proste i prawdziwe. Być przyczyną tego związku jest najwyższem szczęściem, które daje kościół katolicki; obrzędy jego wogóle służą ku czci Boga, troszczy się on przedewszystkiem o chwałę Bożą, w przeciwieństwie do religii protestanckiej, której głównym celem jest zbawienie duszy ludzkiej. W myśl tej ideologii nie ogranicza się kościół do kazań i psalmów, które mają niejako praktyczne, duchowe dobro na oku, ale dla czystego uwielbienia i oddania się Bogu zaleca tak niezrozumiałe i dziwaczne, a jednak piękne i głębokie modlitwy Różańca św. Zawód, który służy czci Boga, jest kwiatem społeczeństwa i Benson, idąc za własnym ideałem, przyjmuje święcenia kapłańskie.

Ale Benson jest nietylko ideologiem — jest on także artystą i to artystą wielkiej miary, nie mniejszym niż jego brat, Artur Karol, autor powieści „Dodo," która nie mało narobiła hałasu w towarzystwie angielskiem. Dopóki jednak Benson-człowiek nie znalazł podstawy, na której mógłby oprzeć pracę całego życia, dopóki nie skończył się okres szamotania się wewnętrznego i nie nastąpił czas spokoju, niezbędny dla wszelkiej mocy twórczej, Benson-artysta milczał. Dopiero od chwili objęcia obowiązków kapłańskich w kościele „rzymskim" zaczyna się jego praca pisarska, bardzo obfita, możnaby powiedzieć, że wytężona i gorączkowa, gdyby nie to, że te dwa określenia stanowczo nie nadają się do jego twórczości, od której wieje dziwny spokój i powaga, mająca swe źródło w głębokiej wierze we własną myśl. Idea, kierująca jego krokami w życiu, przenika też i całą jego twórczość, która jest niejako tą samą melodyą, tylko przetransponowaną na inny, może kunsztowniejszy ton. A jest nią dążenie do piękna, które Benson chciałby wszystkim ludziom narzucić w imię czystej i bezinteresownej miłości ku nim, uczucia, które rozwijało się na gruncie dzisiejszych społecznych przekonań, a które tętni żywym, ukrytym pulsem poprzez karty jego utworów.

Jest tych rzeczy kilkanaście w kilkoletnim dorobku literackim Bensona — i to rzeczy bardzo różnych pod względem treści. Są tu i broszury czysto naukowe lub polemiczne, są dłuższe rozprawki w formie napół powieściowej o dogmatach i obrzędach, są długie powieści historyczne, serye nowel o mistycznem tle, jest i romans psychologiczny z dni dzisiejszych i bajeczna fantazya na tle końca świata. To ostatnie dzieło jest też poniekąd i ostatniem jego słowem, a to pozwala nam rozpatrywać dotychczasową pracę Bensona w całości, bez uwzględniania chronologii, jakkolwiek stwierdzić trzeba, że w artystycznym rozwoju każdy niemal utwór jest krokiem naprzód. Z charakteru swego rozpada się ta twórczość na trzy zasadnicze części: na krytykę dzisiejszej duszy ludzkiej, na wykazanie na ustalonym historyą przykładzie, jak wielką wartość w życiu ma ideał—i wreszcie na postawienie własnego ideału. I według tych trzech punktów chciałbym krótko ująć pracę literacką pisarza, który więcej może niż niejeden autor wkłada samego siebie w karty swych dzieł; mówią one do nas często biciem jego serca, jakgdyby krwią jego serdeczną pisane.

II.

W stosunku do społeczeństwa jest Benson umysłem nawskroś pozytywnym—praca jego nie ogranicza się do krytyki dzisiejszego społeczeństwa; przeciwnie, ta ostatnia zajmuje w niej tylko tyle miejsca, ile potrzeba do wyrobienia sobie sądu o brakach obecnej chwili. Brakom tym chce Benson zaradzić przez postawienie pewnych ideałów, dokoła których obraca się cała jego twórczość; dyagnozę zaś dzisiejszego stanu społeczeństwa, przemyślaną zresztą bardzo sumiennie i głęboko, sformułował on w jedynej swojej powieści współczesnej.

Dyagnozę, powtarzam, bo Benson uważa nas za chorych — i to bardzo ciężko—na „sentymentalizm.“ Choroba ta jednak nie jest to zwykły sentymentalizm, jaki łączymy z pojęciem źle rozumianego „weltschmerzu“ albo jeszcze gorzej pojętej „sielanki na łonie natury.“ Zasadniczy przecież pierwiastek sentymentalizmu, nieszczerość i poza, są bardzo charakterystycznym rysem dni dzisiejszych i pozwalają Bensonowi użyć tego słowa w znaczeniu więcej istotnem, a nie w znaczeniu formalnem, związanem z pewną epoką, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Nieszczerość tę naszego życia wywołuje fałszywe postawienie ideałów, które uniemożliwia wprowadzenie ich w czyn i tem samem zmusza nas do pozy, każąc nam wypełniać życie frazeologią słów, z któremi postępki nasze nie mają nawet najdalszego związku oprócz związku chyba przeciwieństwa. Przeciw temu to paradoksowi, gorszemu od denerwujących definicyj Shawa i nieprzewidzianych skoków Wilde'a, bo paradoksowi życia, powstaje Benson w tej powieści, która jest do pewnego stopnia zamierzona, jako studyum psychologiczne nad tym ostatnim pisarzem. Kilka razy zupełnie wyraźnie wskazuje Benson, że myśli o Wildzie i że jego to postać, typowa dla naszych dni, naprowadziła go na myśl o leczeniu duszy dzisiejszej.

Czynna, pełna energii życiowej natura Bensona nie pozwala mu poprzestać na skonstatowaniu i określeniu choroby, na pokazaniu jej nawet na szeregu przykładów. Z pośród tych ostatnich wybiera on najcięższy „wypadek“ i leczy go, a razem z nim leczy także nas wszystkich. Podstawą jego kuracyi jest ten stary, niezawodny środek, który znalazł już swój najpiękniejszy wyraz w „Fauście“ Goethego, a który w dzisiejszej filozoficznej etyce znów zaczyna wszechwładnie panować: czyn. W jednym wypadku będzie to prosta, fizyczna praca, która doprowadza chorego

na „sentymentalizm“ do poznania prawdziwej swej małości, innym razem będzie to czyn moralny, upokorzenie własnej dumy przez jakiś postępek. W każdym razie metoda ta polega na wykazaniu, jak bardzo daleko stoją nasze ideały od naszego życia i że trzeba umieć stawiać sobie mniejsze zadania, bo „der Meister zeigt sich in Beschränkung.“ Jest w tej „kuracyi,“ bo tak przecież traktuje Benson swoją powieść, jak świadczą tytuły rozdziałów, i wyśmianie pojęcia, że natura jest lepszą od ludzkich stosunków, jakgdyby ona nie miała własnych bólów i tęsknot i jakbyśmy my, jako jednostki, nie należeli do niej—i zarazem jest to potępienie weltschmerzu, który ogarnia nędzę całej ludzkości, nie widząc, że można zrobić wiele dobrego naokół siebie dla wielu lub chociażby dla jednej tylko jednostki, podczas gdy praca dla całej ludzkości jest raczej tylko „sentymentalną“ pozą, albowiem nie istnieje punkt zaczepienia dla niej.

Sentymentalistą w powieści jest przedewszystkiem Christopher Dell. Obdarzonemu bujną fantazyą i pewną łatwością pióra, młodemu literatowi za ciasno jest w warunkach codziennego życia, pragnie zawsze czegoś większego, choć właściwie nie ma na to sił. Stąd pochodzi nierówność jego życia — i kiedy z jednej strony wybuchy nerwowe doprowadzają go do mistycznej ekstazy, w czasie której przechodzi z anglikanizmu na katolicyzm, z drugiej przecież dochodzi on czasem do takiego upadku, jak przyjmowanie pieniędzy z rąk kochanki. W życiu powszedniem jednak ta żądza nadzwyczajności ogranicza się do zdobywania sukcesów i Christopher Dell, znajdując się w towarzystwie, myśli tylko o odpowiedniej pozie, którąby mógł pozyskać sobie sympatyę drugich. To pozowanie stało się niemal jego drugą naturą, tak, że Dell gra przeróżnych bohaterów przed samym sobą. Raz tylko miał sposobność wyleczenia się z tej pozy, która nie pozwalała nikomu, mimo wielkiej dla niego sympatyi, zbliżyć się do niego ostatecznie — a była nią miłość ku młodziutkiej panience, Anney Hamilton. Pokochał ją Chris całem sercem i w krótkim czasie zmienił się do niepoznania; zabrał się do pracy literackiej już nie po dyletancku, zrzucił swoje pozy z siebie, spalił nawet „Dekamerona,“ który był dotąd nieodstępnym jego towarzyszem. Przecież nie było to jego ostateczną kuracyą i to nie z jego winy. Lady Hamilton i jej córka należą także do „sentymentalistów,“ a Benson wskazuje poniekąd, że przyczyną tego jest ich wyznanie religijne, anglikanizm, choć i między katolikami jest ich niezawodnie wiele, jak np. przyjaciel Chrisa, ksiądz Dick Yolland, który pozwala na wszystkie jego wybryki, litując się nad jego

nerwami. Lady Hamilton jest przekonana, że nie uznaje konwenansów; a przecież, gdy lord Brasted, starszy już mężczyzna, doskonały przedstawiciel pewnej części arystokracyi angielskiej, trawiący życie na automobilowym sporcie, wygrzebał wszystkie przewinienia Chrisa, chcąc go odsunąć od Anney, w tej stanowczej dla jej „sentymentalizmu“ chwili Lady Hamilton, której Chris w spowiedzi swojej przed nią najważniejszych grzechów nie wspomniał, bez namysłu postępuje według konwenansów i zrywa narzeczeństwo córki z Chrisem, mimo jego zupełnej poprawy.

Życie Chrisa łamie się w jednej chwili — w jednej chwili powraca on do dawnej pozy i patetycznie zrywa z ludźmi i z Bogiem—wraca do dawnej kochanki, a gdy ta go wyrzuca, przyjeżdża z Paryża do Londynu i kryje się, pisując pod pseudonimem. Ale poczciwy Dick Yolland, którego serce boli, że to on poniekąd był przyczyną tego wszystkiego, wprowadziwszy Chrisa do Hamiltonów, wyszukuje przyjaciela i zwraca się o pomoc do Mr. Rollsa. Postać to, jak wszystkie inne w tej powieści, namalowana tylko sylwetkowo, same tylko kontury, ale kontury zaiste dziwaczne. Opowiadają o nim, że złamał niegdyś serce żony, którą bardzo kochał, że potem pokutował ciężko—teraz zaś żyje w starym zamku, pielęgnuje i leczy osoby wytrącone z życia. On to podejmuje się uzdrowienia Chrisa; w rozmowie, w której Chris podnosi życie natury w imię swoich, rzekomo greckich, ideałów, doprowadza go do tego, że ten godzi się zostać u niego podogrodnikiem na sześć miesięcy. Z chwilą, gdy Chris wstępuje w obowiązki, Rolls zaczyna go traktować jako służącego; w momentach, gdy zmęczony pracą w przyrodzie i zniechęcony do fizycznego trudu, Chris chce zrezygnować z posady, Rolls ironicznie traktuje jego poglądy, szydzi z jego wartości, jako człowieka, i w ten sposób łamie jego fałszywą dumę, wykazując mu, że jego ideały były frazesem i że naprawdę nie jest on zdolny do niczego. I wreszcie doprowadza go do zamachu na własne życie, któremu naturalnie w ostatniej chwili przeszkadza, czem ostatecznie kruszy dumę Chrisa.

Proces ten zajmuje całą drugą połowę powieści, a wszystkim szczegółom przypatruje się czytelnik z uczuciem Dicka Yollanda, który posuwa się aż do histerycznych napadów na Rollsa, nie mogąc przenieść widoku moralnych cierpień przyjaciela. Benson stosuje swoją kuracyę do nas w sposób niemal że brutalny. Mr. Rolls, który w tym wypadku jest tylko głosem autora, wymienia dwie metody leczenia dusz: jedne z nich trzeba podpierać łagodnie i ostrożnie, jak wątłe rośliny, drugie trzeba łamać i kru-

szyć. Tak postępował Rolls z Chrisem i wyleczył go zupełnie, a potem przyjmuje go za syna i wysyła do kraju, który był celem jego marzeń, do Włoch — tak też postępuje i Benson z nami, chowając, jak i Rolls, najgorszy cios na sam koniec. Aby uczynić go jeszcze boleśniejszym, przyciąga nas pisarz bliżej ku tej scenie, występując jako jej naoczny świadek. A scena ta jest niezmiernie przykra. Oto ojciec Dicka Yollanda, sąsiad Rollsa i Hamiltonów, wydaje przyjęcie popołudniowe, na którem główną attrakcyą jest młoda para, świeżo co przybyła z podróży poślubnej, lord Brasted i Anney Hamilton. Przychodzi także i Rolls z Chrisem — i gdy ten ostatni kłania się i wita z dawną swoją narzeczoną, ta nie podaje mu ręki. „Chodź, Chris“ — mówi spokojnie Rolls—i obaj odchodzą, ująwszy się pod ramię. I chociaż Chris przyjmuje tę obelgę obojętnie i w kilkanaście wierszy potem widzimy jego spokojną, mile uśmiechniętą sylwetkę, która zamyka całą książkę, to przecież wstyd nas pali za ten postępek lady Brasted, za ten „sentymentalizm,“ który nie umiał uznać wartości człowieka i skończył na konwenansie, obrażającym zasadnicze poczucie godności własnej i cudzej. Wstyd to bolesny— za nas samych, którzy czujemy w duszy, że postąpilibyśmy prawdopodobnie tak samo, w myśl praw „opinii publicznej,“ wstyd, podobny do tego, jaki musiał czuć Chris, gdy Rolls przychwycił go na rozpaczliwym akcie samobójczym i wykazał mu jego małą duchową wartość. Czy i nam, tak jak jemu, przyniesie ten wstyd uzdrowienie? czy i my potrafimy po przeczytaniu tej książki otrząsnąć się z „sentymentalizmu“ i zabierzemy się do pozytywnej pracy nad samymi sobą dla dobra własnego i bliźnich?

III.

Najserdeczniejszem pragnieniem Bensona jest ujrzeć nas przy tej pracy i z optymizmem, który zawsze daje prawdziwy i głęboki mistycyzm, wierzy on w jej wartość i skuteczność, jeżeli tylko jest kierowana ideałami. Nie zatrzymuje się też z jednej strony przy krytyce społeczeństwa i podsunięciu środków poprawy, jak również nie zadawalnia się z drugiej strony samem wskazaniem ideałów. Stara się on także zachęcić nas do ukochania tych ostatnich przez stawianie nam przed oczy przykładów. W malutkiej broszurce o „nawróceniu Anglii,“ jako najdzielniejsze środki, które prowadzą do celu, wyrażonego w tytule, wymienia on:

modlitwę, przykład i ustne przekonywanie. Te dwa ostatnie środki reprezentują, w pracy Bensona nad społeczeństwem, jego powieści historyczne.

Chociaż do definicyi ich zupełnej trzeba dodać, że są to powieści „katolickie," przecież nie można nazwać ich tendencyjnemi. Bensonowi nie chodzi wcale o nawrócenie do rzymskiego kościoła lub o zjednanie czytelników dla kleru, nawet nie o wzbudzenie w nich wiary. Celem tych trzech utworów jest wykazanie, jak wielką wartość w życiu ma jakikolwiek ideał, jak szarem jest ono bez tego jasnego światła. Nikogo zaś to nie zdziwi, że Benson wybrał za ideał to, co wogóle najwięcej ma ku temu warunków — religię, że wybrał za przykłady katolików angielskich z XVI wieku, ludzi, którzy w tym czasie walk i zamętów religijnych pielęgnowali swój ideał tak troskliwie, bronili swego wyznania z takim zapałem; nikogo to nie zdziwi, bo właśnie w chwilach pokus, zwątpień i cierpień najsilniej rysuje się na ciemnem ich tle świetlany obraz ideału.

Okres historyczny, który te powieści zajmują, ostatnie trzy ćwierci XVI wieku, wypełnia w całej Europie, a przedewszystkiem w Anglii, walka o wyznanie. Do zaostrzenia jej tutaj przyczyniło się głównie z jednej strony sekciarskie zelatorstwo angielskiego społeczeństwa, z drugiej racya stanu i rozwój indywidualności narodu. Naród musiał odrzucić wiarę katolicką, poza którą kryła się potęga klątwy Rzymu i świecka moc współzawodniczki na morzu, Hiszpanii. W tych śmiertelnych zapasach, które wiodły z sobą dwa wyznania, nie chodziło przecież ani o symbole, ani o dogmaty. Duch narodu szedł ku niezależności i rwał wszelkie krępujące go pęta, choć tego nie spostrzegali ani stojący u steru, ani ci, którzy nieśli wszystko w ofierze swojemu wyznaniu. Proces ten zaczyna się od pierwszych zakusów w kierunku ukrócenia władzy kleru, czynionych przez Henryka VIII, który budzące się siły w narodzie i jego dążenie do potęgi umiał skupić w swojej potężnej indywidualności i zużytkować je na powiększenie władzy królewskiej. Kiedy jednak władza ta za słabych rządów młodziutkiego Edwarda VI i schorowanej królowej Maryi straciła wiele ze swego znaczenia, z chaosu, jaki panował w tych latach, zaczęło się wyłaniać coraz wyraźniej nowe pojęcie narodu, jako najważniejszego czynnika, które jest podstawą polityki Elżbiety. Wobec potężnego parcia naprzód nie ostało się nic z dawnych urządzeń—poszła więc w strzępy i dawna wiara, a wyznawcy musieli nietylko bronić tej świętości wobec zewnętrznego prześladowania, ale przetrwać stokroć groźniejsze dla nich kolizye

wewnętrzne między posłuszeństwem Rzymowi a obowiązkiem narodowym, między lojalizmem a przywiązaniem do dawnych zasad. Że umieli z tych trudności szczęśliwie wybrnąć, że zrozumieli prawdziwy stosunek wiary (kwestyi czysto wewnętrznej między człowiekiem a Bogiem) do obowiązków państwowo-narodowych, przynosi im to wielką chlubę i pozwala Bensonowi wziąć ich za przykłady wytrwania przy własnej idei.

Benson oświetla z różnych stron ten ideał. Raz jest on pozytywny w postaci ks. Antoniego Norrisa w pierwszej powieści: „Jakiem prawem“—nawiasem mówiąc, w pierwszej jego powieści wogóle i bardzo słabej. Norris z purytanina zostaje księdzem katolickim i nie odstępuje od swych zasad ani dla karyery, ani mimo tortur, ani wreszcie wobec wyroku śmierci. Autor włożył w niego dużo z samego siebie, może nawet całą swoją historyę zmiany wiary, a prócz tego jego męską i hartowną postać otoczył dziwnym urokiem dalekiego, cichego jakgdyby romansu, jakiejś niesłychanie czystej i subtelnej miłości do Maryi Corbet, damy dworu królowej Elżbiety, która całe życie oddaje na usługi katolikom, broniąc ich sprawy na dworze i znosząc wszystkie związane z tem przykrości. Innym razem mamy negatywny obraz ideału. W „Królewskiem dziele,“ drugiej z rzędu powieści historycznej, będącej ogromnym krokiem naprzód pod względem techniki pisarskiej, główny bohater, Ralf Torridon, utraciwszy zupełnie wiarę i cześć dla świętości, dopuszcza się gwałtów i świętokradztwa, zniża się aż do roli szpiega, zaślepiony i porwany egoistyczną polityką króla—i umiera w więzieniu, w agonii, w chwili gdy minister Cromwell, któremu Ralf służył, ginie na rusztowaniu—i sprawa, której życie całe poświęcił, zapada w nicość.

W obydwóch tych powieściach nie bierze Benson na bohaterów znanych postaci — bierze przeciętną jednostkę, pierwszego lepszego człowieka, który mógłby żyć dzisiaj, kiedykolwiek w przeszłości lub który będzie może żyć dopiero. I korzystając z tego, zastosowuje, tak jak Mereżkowski, metodę nowożytnego romansu psychologicznego do powieści historycznej—daje szereg epizodów, powiązanych ogólną myślą i akcyą, ale nie zawsze koniecznych, szereg momentów wyrwanych z duszy swej postaci. A Benson rozumie duszę ludzką lepiej może, niż kto inny, bo patrzy na nią z punktu widzenia uczucia religijnego, które jest dostępne i rzeczywiście tkwi w każdej duszy ludzkiej; przez religię zbliżył się do wszystkich dusz, co przeszły i spostrzegł, że w każdej z nich tak samo biło serce dla wiary lub tak samo jej nienawidziło; przez religię, która jest uniwersalnym podkładem codziennego życia, re-

gulując je i będąc właściwym jego celem, stał się niejako zaufanym przyjacielem swych postaci, wtajemniczonym we wszystkie ich przejścia moralne, które właściwie jedynie tworzą historyę, bo one to składają się na wielkie wypadki, zdarzające się raz na dłuższy przeciąg czasu. Niepotrzeba więc Bensonowi wielkich bohaterów i wielkich czynów—prostych on bierze ludzi i wypadki z powszedniego życia, bo umie ocenić wartość jednostki samej w sobie, on, który dzięki swemu religijnemu uczuciu umiał stanąć na stanowisku „prostego człowieka.“

I to stanowisko zajmuje Benson w ostatniej powieści historycznej—najlepszej ze wszystkich trzech i naprawdę arcydziele na tem polu—choć treścią jej jest według tytułu: „Tragedya królowej,“ Maryi Tudor. Co jest tą tragedyą? Nie to, że cierpiała przez całą młodość, nie to, że nie umiała zrozumieć nurtujących społeczeństwo prądów i skierować ich ku temu celowi, którego pragnęła z głębi serca, ku wierze katolickiej—nie to, że panowanie jej wypełniała ciągła walka z rozszalałemi w swym pochodzie zaborczym sektami, z szeregiem spisków, w które zamieszana była jej własna siostra, nie to wreszcie, że jakby na urągowisko jej bladej bezkrwistej postaci i anemicznemu mózgowi nadano jej po śmierci nazwanie „krwawej,“ które mogło odpowiadać wszystkim innym władcom z domu Tudorów, jej ojcu lub siostrze, tylko nie jej. Tragedyą jej było, że pragnęła od ludzi serca, a nie umiała go sobie zjednać. Była zamknięta, zmęczona życiem, które przez długie lata było raczej więzieniem, połączonem z niepewnością, czy któregoś dnia nie przyjdzie zginąć, nie miała ani wdzięku osobistego, ani lotności umysłu, ani żadnych zalet, któremi się ludzi zyskuje. Ludzie widzieli w niej kobietę zimną i bez serca i stronili od niej,—ludzie, którzy wtedy całą piersią używali życia. I nie kochał jej ojciec, któremu była wyrzutem za krzywdę matki, ani siostra, która spiskowała przeciw niej, ani najbliższe jej damy dworskie, dla których dwór był raczej klasztorem—ani naród, który jej dążeń nie rozumiał, tak jak ona jego nie rozumiała, ani własny mąż, Filip II, młodszy od niej o kilkanaście lat, piękny książę, którego portret królowa Marya całowała tak serdecznie, a który raz przebiła nożem na wieść o jednej z bardzo licznych zdrad męża. Tragedya jej nie była tragedyą królowej, ale kobiety — kobiety, której odmówiono nawet łaski, choć najwyższej, przecież powszechnej, zostania matką. Litości!—woła do nas z kart książki jej wątła postać i załamuje wychudłe od choroby ręce — litości! Ja byłam tylko kobietą, niczem więcej. Królestwo moje to tylko szata, która ani uspakaja, ani leczy—

a ja cierpiałam w duszy jak każdy inny człowiek, cierpiałam tą największą tęsknotą, jaką może cierpieć kobieta, tęsknotą za miłością.

I kiedy cały świat, najbliżsi i najdalsi, nie umieli jej oddać serca, zwróciła się całą duszą do źródła miłości, do Boga. Dla Niego to chciała utrzymać Anglię katolicką, wierząc sama w to wyznanie silnie i w pewnej ciasnocie umysłu utożsamiając formę z treścią—i za trud jej, za jej usiłowania i błędy nawet, ale popełnione w przekonaniu o słuszności sprawy, gdy dopełnił się czas jej próby, w godzinę jej śmierci, przyniósł jej Bóg radość jeszcze na ziemi — i zesłał jej wizye nie przyszłości Kościoła lub Anglii, potęgi i sławy, ale zastępów dzieci, które przynosiły jej kwiaty, z gwiazd i tęcz utkane. Śmiercią Maryi kończy się jej tragedya — a choć Benson opowiada o niej szeroko przez kilka rozdziałów, przecież opis ten robi wielkie wrażenie, wrażenie cichego, radosnego spokoju nad wyzwoleniem tej nieszczęśliwej duszy, której życie było tak bolesne swą szarością mimo królewskiej purpury.

Drugą linię powieści, biegnącą równolegle do historyi królowej Maryi, a równie jak i ona, nieobfitą w wypadki, stanowi życie Mastera Mantona. Chociaż postać ta jest zamierzoną jedynie na reprezentanta epoki, przecież nie wyszła martwo, i owszem, żyje bujnem życiem ówczesnych ludzi, tęskniących za czynem do szaleństwa. Młody bakałarz oksfordzki uratował szybkiem poselstwem życie Maryi, gdy była jeszcze królewną, to też królowa bierze go na swój dwór, do najbliższego swego orszaku. Ale Manton nie lubi jej—i naturalnie lubić nie może. W przeciwieństwie do swej pani, biernej i wiecznie niezdecydowanej, jego pierś rozpiera gwałtowny pęd ku czynowi i jeszcze gwałtowniejsza ambicya, o której panowaniu ówczesnem nad duszami, najlepiej świadczą dramaty Marlowe'a; podczas gdy jedynem uczuciem Maryi było pragnienie miłości, jego wszystkie uczucia koncentrują się w nienawiści, wywołanej fanatyzmem. Z fanatyzmu ściga on swego przyjaciela i niemal wychowańca, zaplątanego w spisek, chwyta i wydaje na śmierć, ale równocześnie ukrywa szyfrowany papier, aby sam odkryć jego treść i nasycić swoją ambicyę. Próby jednak odczytania papieru nie udają mu się i przez dwa lata dokument, wyraźnie wskazujący na Elżbietę, jako głowę spisku, zostaje niezużytkowany. Postać Mantona służy niejako za usprawiedliwienie królowej Maryi—winę w błędach jej panowania ponosi nie ona, winnym jest Manton i wszyscy jemu podobni, winnym jest fanatyzm i ambicya. Fanatyzm np. pozwalał takiemu

Mantonowi uważać spalenie dwóch głównych protestantów, Latimera i Ridleya za rzecz zupełnie słuszną, a Benson wprowadza umyślnie na karty powieści tę egzekucyę i wrażenia Mantona, aby uwolnić Maryę od zarzutu okrucieństwa. Nastrój czasu był przyczyną tych okropnych stosunków, czasu, w którym życie ludzkie znaczyło tak niewiele w stosunku do idei lub ideału, czy to ogólnego czy też obliczonego na własne wyniesienie się, tem więcej, że społeczeństwo przyzwyczajone było do widoku ścinanych głów i palonych ciał przez ciąg panowania Henryka VIII i że często tylko taka śmierć była właściwie zupełnie naturalnym końcem życia, przechodzącego w bujności najdalsze zwykle granice. A charakterystyczny dla tego życia drugi rys duszy ówczesnej, rozbujała ambicya, psuła każdy wielki zamiar i niweczyła możliwość rozumnej polityki. Ale obok fanatyzmu i ambicyi jest w Mantonie coś z rzymskiej cnoty. Pozostaje on wierny swej pani i nie daje się uwieść namowom Elżbiety, aby zaprzeczyć, że papier przez niego znaleziony jest tylko jego wymysłem; nie ulega czarowi kobiecemu, którym go księżniczka kusi i kiedy po tej ciężkiej próbie wraca na dwór królowej i widzi swoją panią schorowaną i znękaną, po raz pierwszy rozumie jej tragedyę i kocha ją w ostatnich chwilach jej życia.

Benson umiał połączyć ogólne rysy epoki z indywidualnością Mantona, co sprawia, że postać ta jest sympatyczną, nie przestając nas odstręczać tem, co nie jest właściwie nią. Wogóle dowodem wielkiego artystycznego rozwoju jest wprowadzenie Mantona do powieści, które pozwala Bensonowi opowiadać zupełnie objektywnie, bez wyrażania własnego sądu, bez uprzedzania do Maryi, „tragedyę królowej," opowiadać tak objektywnie, że i my często czujemy się zniechęceni jej chłodem—i że nam żal jej z tego powodu jeszcze więcej.

IV.

Postać Mantona jest nam i przez to także bliższą i sympatyczniejszą, że jest w niej coś niecoś i z samego autora. Bo i w Bensonie poprzez zewnętrzną powłokę spokojnego opowiadania przebija się gwałtowny płomień egzaltacyi, który rozpala się w głębi jego duszy—i w Bensonie jest pewnego rodzaju fanatyzm i żądza czynu, stąd uwielbienie cierpienia, które zastępuje czyn, gdy niema sposobności do akcyi. Z tego uwielbienia płynie też pewna

szorstkość w obchodzeniu się z cierpieniami drugich, jak np. we współczesnej powieści — i zapamiętanie się w męczeństwie, jakgdyby Benson należał do średniowiecznego bractwa męczenników. I na tym to podkładzie duszy Bensona wyrasta ideał, który autor stawia społeczeństwu przed oczy w ostatnim swoim utworze „Pan Świata.“

Powieść ta rozwija się na tle mistycznem i dwa światy, zmysłowy i nadzmysłowy zlewają się na jej kartach w jeden przedziwny metal, z którego autor wznosi swój ideał człowieka-Boga. Nie pierwsza to książka Bensona, z której on pozwala sobie na tak niezwykle śmiałe opracowywanie bardzo trudnego tematu: stosunku tych dwóch równoległych, a nawet, jak Benson chce, przenikających się wzajemnie sfer życia. Trzeba koniecznie poznać tych kilka utworów, które poprzedziły ostatnią powieść, aby zrozumieć dobrze jej myśl przewodnią i potrafić przejąć się mistycznym jej nastrojem. Już pierwszy jego utwór, zbiór nowel, p. t. „Światło niewidzialne“ obraca się właściwie dokoła tej kwestyi. Tytuł zarówno mistyczny, jak paradoksalny, przypomina, że bądź co bądź, żyjemy w epoce blizkiej Wilde'a, w którym obydwa te pierwiastki można odnaleźć. I u Bensona jest niezawodnie wiele paradoksu, ale między paradoksem jego a Wilde'a jest taka różnica, jak między momentami wyjazdu i przyjazdu z długiej podróży. Tak samo dworzec kolejowy, tłum, świst lokomotywy, krzyki i zamieszanie podróżnych, hałas przesuwanych kufrów—tylko u Wilde'a smutek, że wszystko się skończyło, żal za chwilami, które przeszły tak mile, zmęczenie i pustka, przygnębiająca jeszcze więcej kontrastem żywego ruchu naokół — u Bensona jest także nastrój niezgodny z hałasem miejsca, ale jest oczekiwanie „tęskne a radosne,“ wytężenie oczu w przyszłość, strach przed tem, co ten świat przyniesie i radość na myśl o niezmierzonych, nieznanych przestrzeniach. Paradoks Bensona niema w sobie ani trochę sztuki, nic ze zgryźliwego gestu sceptyka, z którym Benson rozprawia się znakomicie w swojej nowoczesnej powieści— radosny on jest, jak gdyby np. jakiś paradoks natury, który każe śniegowi chować w cieple ziarna zboża. Niemniej jest to paradoks, w który nam często trudno uwierzyć. Bo czemże jest „Światło niewidzialne“ i drugi zbiór nowel: „Zwierciadło z Shalott?“ Jest to szereg opowiadań zmyślonych, w pierwszym wypadku opisujących wizye, mające za przedmiot Chrystusa Pana i Kościół, w drugim widzenia duchów, złych sił i wogóle zjawisk, którym my rzadko wierzymy na słowo, cóż dopiero gdy roztaczają się na bardzo wyraźnem tle fikcyi. Obydwa te zbiorki są tylko dowo-

dem artystycznego impulsu autora, który wciela swoje nieuchwytne mistyczne poglądy w obrazy, często bardzo piękne, a co ważniejsza bardzo często sprawiające silne wrażenie.

Bo też Benson stara się nadać im jak najwięcej charakteru realnej prawdy i pomaga sobie dzielnie wszystkimi środkami, jakich mu dostarczyć może wprawa i werwa pisarska. Przedewszystkiem wprowadza pierwiastek osobisty, który zresztą mimowoli wdziera się do jego fikcyi przez imaginacyę tak bujną, że postaci przez nią wywołane żyją z autorem rzeczywiście i powieść staje się niemal rodzajem pamiętnika z drugiego życia. Naturalnie żywe wrażenie ram, w których rozgrywają się poszczególne wizye, pozwala czytelnikowi zapomnieć, że przecież to jest fikcya tylko i przejąć się tym rzuconym przed oczy obrazem, a nawet uczuć od czasu do czasu dreszcz mistycznej trwogi. „Światło niewidzialne“ to opowiadania starego księdza katolickiego, wizyonera od dzieciństwa, opowiadania w ostatnich dniach jego życia przed Bensonem, zakończone jego śmiercią. Od pierwszej chwili jesteśmy podniesieni wysoko, gdzieś na próg dwóch światów i nastrój ten utrzymuje się do końca. Z jednego do drugiego świata przechodzimy tak nieznacznie, a tak często, że te światy przestają się odróżniać od siebie i zlewają się w jedną całość, jaką są rzeczywiście. Pierwsza to rzecz Bensona i odrazu pokazuje mistrza. Oto pierwszy rozdział zatytułowany: „Zielona szata;“ scenerya wielu późniejszych opowiadań — szare ściany willi, zielony ogród i dla zaznaczenia gorącego letniego popołudnia, grupy ognistych maków. Staruszek ksiądz ubrany w czarną sutannę, zielonawą pod światło od starości, opowiada swą pierwszą wizyę, gdy był chłopakiem jeszcze, wizyę, w której wielka zielona łąka, spływająca falisto po pagórku, wydała mu się krajem szaty na jakiejś olbrzymiej postaci. I w jednym momencie zielona łąka, mistyczna szata Chrystusa i stara sutanna księdza zlewają się w jedną całość, w jeden nastrój, w którym objekt przenika subjekt, każda rzecz naturalna nabiera znaczenia symbolu, każda rzecz nadzmysłowa objawia się naszym zmysłom. Tak idziemy już dalej i rozumiemy, lub zdaje nam się, że rozumiemy, odwieczną walkę pierwiastku dobra i zła, tworzenia i zniszczenia — widzimy związek wszystkich rzeczy żywotnych i nieżywotnych, opiekę Kościoła nad duszami i wszechobecną Bożą Opatrzność. Pośród wizyj księdza (i kilku opowiadań z życia innych ludzi) jest jeden dziwnie piękny obraz: oto na moście stoi mały chłopczyk—gdyby stał spokojnie, pędzący mimo niego wózek z koniem, który się wyrwał z rąk woźnicy, nie wyrządziłby mu żadnej szkody; ale

nie — za plecami jego, w oczach przerażonego księdza, który mu nie może iść na pomoc, zjawia się olbrzymia postać, która spogląda miłościwemi oczyma na chłopaka i jedną ręką zakrywszy mu oczy, drugą popycha go ku wózkowi—i dzieciak ginie i leży z uśmiechniętą radośnie twarzyczką.

Ale Benson rozumiał dobrze, że takie oddanie się w ręce Opatrzności jest tylko teoryą, a w praktyce mogłoby doprowadzić nawet do zupełnego pozbawienia uczucia — i dlatego kończy ten żywot księdza jego śmiercią w późny jesienny wieczór. Przez całą noc bił deszcz w szyby i jęczały czarne gałęzie, a duszą księdza szarpał ból świata. Bo ból ten istnieje i bywa nawet bardzo wielki, ból życia, któremu jesteśmy winni my sami. Kiedyś w młodości swojej ksiądz-wizyoner zastrzelił drozda tylko dla przyjemności zabicia i nad skrwawionem ciałem ptaszka zobaczył w gałęziach brzozy na tle krwawego zachodu twarz wykrzywioną okropnym uśmiechem cynicznego szczęścia. Przy ostatniej jego mszy, w zimny ranek, podczas podniesienia, spada z gałęzi drzewa, wprost okna kaplicy, zmarznięty szary drozd, jakby wspomnienie tego zła, które on kiedyś wyrządził, a które trwa wiecznie. A czytelnikowi choćby nie wierzył w to wszystko, pod wrażeniem zręczności autora, poza którą jest cała głębia prawdziwej wiary, muszą się wyrwać słowa: „Jakie to dziwne!“ — i w tym samym nastroju utrzymują nas ostatnie strony książki, kiedy spokojny już ksiądz słyszy pukanie do drzwi, widzi wchodzącego Chrystusa i umiera, a w tejże samej chwili głos dzwonka zwiastuje przybycie rektora. I znów w ostatnim momencie zlewają się dwa światy i odkładamy książkę z uczuciem obudzenia się po śnie dziwnym, niezrozumiałym, ale radosnym i tak wyraźnym, że aż zdaje się być rzeczywistym.

Jeżeli jednak ten sen był mimo wszystko męczącym i książki nie można było czytać jednym tchem, to ileż cięższą i więcej denerwującą jest lektura drugiego zbiorku nowel: „Zwierciadło z Shalott.“ Tam tłem była wiara katolicka, przemawiająca jedynie do uczucia i niewchodząca w konflikt z światem zewnętrznym — tu kilkunastu księży i kilku ludzi świeckich, między nimi i sam Benson opowiadają historye, zwane zwykle „dziwnemi.“ Są to odblaski innego świata, realnego w istocie, choć dla nas mającego tylko taką realność, jaką miały obrazy, które widziała w swojem zwierciadle „pani z Shalott,“ a które były obrazami zdarzeń rzeczywistych. Są to bowiem opowiadania o duchach, o „złej sile,“ która stara się przeszkodzić dobrym uczynkom, o przeróżnych zjawiskach, które raczej apelują do nerwów niż do

uczucia, raczej przerażają, niż przejmują — i naturalnie nie mogą się w żaden sposób zgodzić z rozumem, tem więcej, że Benson nie stawia żadnej teoryi naukowej lub choćby tylko dogmatycznej, aby je wytłómaczyć. Nie są to kwestye wiary, odnoszącej się do Boga—aktorami są tu ludzkie dusze czy duchy, czy wreszcie jakaś ich siła żywotna, więc coś, co chociaż dla nas niezrozumiałe, nie ma pierwiastku mistycznego, szczególniej, że wszystko odgrywa się za pomocą środków fizycznych, w sposób widzialny dla wszystkich. Są to więc kwestye wchodzące w najogólniej pojętą kategoryę cudów, a powieściowe cudy nie mają najmniejszego znaczenia. Gdyby Benson pisał te nowelki (a trzeba dodać, że wychodziły one pojedyńczo) dla wrażenia jedynie, jakie sprawiają opowiadania o duchach lub zmodernizowane, ale te same w swej istocie przygody detektywów, których wpływ bądź co bądź widać na tej seryi nowel naszego autora, możnaby zrozumieć cel tych opowiadań — z chwilą jednak, gdy musimy przyjąć, jak się tego domaga poważne stanowisko Bensona, głębszy podkład, spostrzegamy dysharmonię między fikcyą a cudem, której nie potrafiła złagodzić nawet zręczność autorska — i po przeczytaniu zostaje pytanie, najgorsze, jakie może być dla książki: właściwie — po co on to pisał?

W obu tych zbiorkach niema jeszcze mowy o ideale. Początek swój mają one w czasach wewnętrznej przemiany Bensona i są tylko, jak wyżej wspomniałem, koniecznem wyrzuceniem z siebie mistycznego nastroju, który obejmował duszę autora niepodzielnie i doprowadzał go niemal do ekstazy, za co właściwie można uważać te mistyczne wizye Bensonowskie. Dopiero potem, gdy skończył się jego psychiczny proces i Benson znalazł stały punkt oparcia dla swojej pracy, gdy spojrzał krytycznie na społeczeństwo i zrozumiał potrzebę i wartość ideału, dopiero wtedy zaczęła przybierać określone kształty jego życiowa idea. A jak płynęła ona z głębi jego napół średniowiecznej duszy, tak też i przyoblekała się najpierw w szatę napół mistycznej, napół historycznej opowieści z średnich wieków, w „Historyę Ryszarda Raynala, pustelnika.“ Żywot jego, spisany przez proboszcza wsi, za którą Ryszard wiódł pustelnicze życie, a przetłómaczony na język francuski, znalazł Benson w jednym z rzymskich klasztorów. W tłómaczeniu jednak wytarto wszystkie nazwiska, tak że tylko domyślać się można, że to XIV lub pewniej XV wiek, czasy nieszczęśliwego Henryka VI, kiedy w Anglii żyło wielu pustelników, jak świadczą pozostałe po nich rękopisy. I tak znów wytwarza się świat nierealny i realny zarazem, mieniący się tęczą, bo widziany

przez pryzmat naiwnej wiary Sir Johna Chaldfielda, którego styl kronikarski Benson doskonale podrabia, nawet w krótkich traktatach mistycznych — świat, który stanowi wyborne tło dla postaci pustelnika. Ksiądz wierzył silnie w możność cudu i suggestyonuje nam tę wiarę, a niewyraźna epoka pozwala nam przejąć się głębiej tą wiarą w nadzwyczajne rzeczy, które dzieją się rzeczywiście, ale jakby gdzieś poza światem.

A naprawdę nadzwyczajne są to rzeczy. Ryszard Raynal— to wcielenie idei Chrystusowej. Trzeba było z jednej strony średniowiecznej wiary, z drugiej pewności ręki i techniki pisarskiej, żeby się odważyć na tę nowożytną *Vita Christi*. Bo samotne życie Ryszarda wśród natury, jego pokusy i zwątpienia, głos Boży i pielgrzymka do stolicy, jego poselstwo do króla, zapoznanie i szyderstwo drugich, rana w głowę i bolesne biczowanie, wreszcie śmierć w pałacu królewskim, w przepychu i majestacie— wszystko to razem jest tylko tem, co stanowi istotną treść życia Chrystusa. Chociaż Benson zaznacza w przedmowie, w historyi znalezienia rękopisu, że proboszcz utożsamia niemal Ryszarda z Bogiem, my dochodzimy przecież do tej myśli autora, dzięki realistycznemu przedstawieniu, dopiero po przeczytaniu całej książki, kiedy wrażenie litości nad bólem pustelnika doszło do takiej siły, że nie możemy się od niego uwolnić, myśląc o Chrystusie i przed naszemi oczami zjawia się Chrystus, nie jako Bóg Wszechmogący, ale jako prawdziwy: Ecce homo. I zbliża nas ta książka do Chrystusa ogromnie — zbliża nas jako do człowieka, nad którego cierpieniami czuliśmy tak głęboką litość, zbliża nas pokazując, że na to, co było esencyą życia Chrystusa na ziemi, może zdobyć się każdy, że ideał Tomasza à Kempis nie jest niedościgniony nawet dzisiaj. I nie waha się Benson wobec Ryszarda postawić króla Henryka VI, jako przedstawiciela ludzkości, któremu pustelnik przynosi przepowiednię cierpienia i którego całe życie rzeczywiście było cierpieniem i skończyło się bolesną śmiercią w więzieniu — nie waha się ująć postaci Chrystusa w symbol chustki z pięcioma krwawemi ranami, którego to symbolu gorliwym wyznawcą jest Ryszard i z tym krwawym sztandarem rzuca przed oczy społeczeństwu, które wszędzie, a szczególniej w Anglii, myśli jedynie o uwygodnieniu życia zewnętrznego—ideał askezy, który można osiągnąć niezależnie od warunków życia, a który polega tylko na wartości duchowej jednostki, a więc ideał najwyższy.

V.

„Ryszard Raynal“ jest tylko niepewnymi jeszcze rysami rzuconym szkicem życiowego ideału Bensona. Powoli dopiero nabierał ten szkic cieni od krytyki społeczeństwa, coraz wyraźniej zaciągał swoje kontury wraz z pogłębianiem się duszy pisarza — i wreszcie po kilku latach poważnej pracy stał się wielką koncepcyą wykończoną we wszystkich szczegółach, którą autor złożył w „Panu świata.“ A jak to dzieło zamyka, jak na teraz, twórczość Bensona, tak też jest w niej i szczytem. Jest ono kombinacyą wszystkich elementów jego duszy, jako człowieka, ideologa i artysty, połączonych w jeden potężny akord, brzmiący chwilami naprawdę jak dźwięk trąb archanielskich, do których niemal doprowadza nas Benson w tej powieści, rozgrywającej się na tle ostatnich dni świata. Jest w niej i mistycyzm głęboki, przeniesiony w życiu na pewien rodzaj fanatyzmu katolickiego, jest wizya Chrystusa i Antychrysta, ta odwieczna walka dobra i zła — jest w niej i podstawa całej twórczości Bensona: pojęcie człowieka, jako jednostki i płynąca stąd krytyka dni dzisiejszych, przestroga przed ostatecznym końcem prądów nowożytnych i uwielbienie cierpienia jako ideału, jest w tem dziele i duch czasu, zamiłowanie do efektu, które pozwoliło mu obrać tak fantastyczny temat, i niesłychanie umiejętne i subtelne chwytanie nastrojów w krótkie chwile, z których żadna, choć Benson wiąże je w jeden łańcuch, nie zatraca swej indywidualności. A całość przenika coś ważniejszego od wszystkich składowych pierwiastków twórczości, przenika wielka gorąca miłość dla ludzi, strach o ich dusze, pragnienie ich piękna. Jest to jakgdyby z najgłębszych tajników serca płynąca żarliwa modlitwa o piękno dusz, o danie im możności i prawa wcielenia się, jako komórki, do organizmu Chrystusa Pana i nabrania w ten sposób boskiego charakteru. Dopiero w tem dziele natrafił Benson na najodpowiedniejszy dla siebie grunt i za pomocą mistycznych obrazów i nastrojów mógł wypowiedzieć się cały. Jeżeli ta powieść miała być syntezą chwili dzisiejszej, to o wiele więcej jest ona syntezą samego autora, ostatniem jego słowem.

Ostatniem musi być ono ze względu na swój temat — koniec świata. Na opis, a raczej na hipotezę definicyi, czem ten koniec będzie, składają się u Bensona dwa zasadnicze pierwiastki; jeden, który dostarcza treści, to wyciągnięcie ostatecznych konsekwencyj z dzisiejszego nastroju społeczeństwa; drugi, który obleka to

w formę, to motywy z przepowiedni św. Jana. Jest to znowu, jak przy historyi Ryszarda Raynala, pewne zuchwalstwo, ale Benson jest bardzo dobrze świadomy swoich sił i umie niemi kierować. Nawet możnaby powiedzieć, że pomysł „Pana świata“ jest jeszcze zuchwalszy, bo kiedy w pseudo-historycznej powieści Benson mógł materyału używać dowolnie, to tu ograniczony jest ściśle podstawą, z której wychodzi, epoką dzisiejszą. To ograniczenie mogłoby być jedynym błędem w całym tym potężnym utworze, gdybyśmy nie potrafili zrozumieć, że nie o koniec świata chodzi Bensonowi, ale właśnie o dzisiaj. Benson wie dobrze, tak jak każdy z nas, że w historyi niema przykładu na doprowadzenie jakiegokolwiek kierunku do ostatecznych wyników i że prawem jest nie ewolucya, lecz falowanie, że więc i dzisiejsze prądy nie dojdą nigdy tak daleko, jak on sobie wyobraża; on chce tylko pokazać, dokąd my właściwie dziś idziemy, jaki jest ostateczny cel naszych dążeń—i jak daleko odeszliśmy od wszelkiego ideału.

Bo ideałem nie można przecież nazwać usiłowań, prowadzących jedynie do uwygodnienia życia. Jest to coś zupełnie ideałowi przeciwnego. Ten ostatni musi przedewszystkiem podnosić wartość człowieka, musi go wywyższać jako jednostkę z pośród innych, musi rozwijać jego indywidualność, głównie przez stawianie coraz większej ilości przeszkód, ideał musi być nieprzyjacielem człowieka—niech to nie będzie wzięte za paradoks—musi być jego cierpieniem. A dziś, w dążeniu do uszczęśliwienia jednostki przez społeczeństwo, zatraca się przedewszystkiem indywidualność. Coraz gwałtowniejszy postęp techniczny, który zdaje się zaprzeczać, jeżeli nie czasowi, to przestrzeni, który w powieści Bensona opanował już wszystkie żywioły wraz ze sterowaniem balonów, zniża człowieka do roli obsługiwacza maszyn i wśród uniformowego, szablonowego ich otoczenia, każe mu prowadzić szablonowe życie, wypełnione mechaniczną robotą, pozbawione wszelkiego pierwiastku osobistego. Zatraca się w ten sposób i sztuka, ginie idealny świat poezyi i mistycyzmu, umiera w duszy ludzkiej religia, bo wszystko to może się ostać tylko w indywidualności i w jej walce z warunkami życia. Niezawodnie ten prąd, który ma za cel społeczeństwo, a który Benson nazywa „humanizmem,“ może doprowadzić do zupełnego zrównoważenia wszystkich ludzi pod względem materyalnym, pozwalając na opanowanie wszystkich stosunków zewnętrznych, ale równocześnie nie może dać szczęścia, pod jedną cegłę równając dusze ludzkie i niszcząc ich radość życia przez odebranie im ideału. Winnym zaś jest fałszywy punkt wyjścia—nie przez społeczeństwo do jed-

nostki iść trzeba, bo społeczeństwo jest fikcyą i nie może stanowić punktu zaczepienia dla pracy, ale trzeba iść od jednostki do społeczeństwa, dlatego właśnie, że to ostatnie jest fikcyą. Cel ideału nie może być realny, bo wtedy mógłby być osiągnięty, a spełnienie ideału najwyższego i jedynego ludzkości byłoby zarazem jej śmiercią. Niedościgniony dać jej ideał, a będzie wieczną! Takim ideałem dla jednostki na ziemi niech będzie niezniszczalne nigdy szczęście całej ludzkości, w sferze ducha niech będzie to drugie, wyższe społeczeństwo, mistyczne ciało Chrystusa Pana.

Innemi drogami jednak idzie społeczeństwo dzisiejszych dni, zwłaszcza angielskie, zmateryalizowane do najwyższego stopnia, które Benson miał przed oczyma. Kult człowieka rozwinął się bardzo bujnie; na wszystko patrzy się pod kątem uwygodnienia mu życia, cała dążność polega na uprzystępnieniu każdemu wszystkiego, a nikt nie myśli, że równie ważną rzeczą w życiu duchowem, ideowem jest umiejętność prywacyi. W prologu do powieści daje Benson krótki rys rozwoju stosunków społecznych na tle komunistycznem, który w chwili, gdy się akcya zaczyna, osiągnął swój najwyższy punkt. Oto człowiek stał się „panem świata.“ Prezydent Ameryki, Julian Felsenburg, został obrany prezydentem zjednoczonych republik Europy i Afryki i zdołał zażegnać niebezpieczeństwo wojny, grożące od cesarza Wschodu, a nawet przez przymierze skłonić go do uznania swej przewagi. Julian Felsenburg ma więc na rozkazy całą ziemię, wszystkie żywioły i siły przyrody, i dla szalejących za nim tłumów, zwłaszcza od chwili, gdy potrafił swoją powagą i spokojem odwrócić wojnę, jest bogiem.

A przecież czy to on jest „panem świata?“ Choć poddała mu się cała kula ziemska, nie uznaje go garść nieliczna wyznawców religii rzymskiej, w której zjednoczyły się znowu wszystkie wyznania; oni jedni nie dali się porwać ogólnemu prądowi i zachowali w duszy cześć dla ideału. Na ich czele stoi ks. Percy Franklin, który z prostego księdza zostaje kardynałem-protektorem dla Anglii, wreszcie papieżem. I oto stają przeciw sobie dwaj ludzie: Julian Felsenburg i ks. Percy — Antychryst i namiestnik Chrystusa, może sam Chrystus. Obaj podobni do siebie zupełnie, bo przecież są jednem i tem samem, jedną duszą ludzką, tylko z wprost przeciwnemi dążeniami — obaj mają młode twarze ludzi o mistycznej liczbie 30-kilku lat, okolone siwymi włosami, tak jak natura ludzka, która tyle wieków przeżyła, a przecież zawsze jest młoda.

I między nimi zaczyna się walka na śmierć i życie, bój o panowanie nad światem, nad ludzkością, którą reprezentują u Bensona w myśl jego pojęcia o ludzkości, jako składzie jednostek, Oliver Brand i jego żona-kochanka, Mabel. Dla tej ludzkości niesie Julian Felsenburg szczęście życia materyalnego, a wiedząc, że nie wystarczy im samo życie zewnętrzne, lecz że trzeba pewnego zadosyćuczynienia dla żądzy czczenia czego lub kogoskolwiek, ustanawia nową religię, kult człowieka. Na ołtarzu stają dwie kolosalne figury mężczyzny i kobiety i na cześć nowych bóstw odbywają się kilka razy na rok ceremonie. Ale ten ostateczny krok w uwielbieniu człowieka nie wszystkich może zadowolić. O ile Oliver Brand jest gorliwym wyznawcą tej „nowej wiary“ i prześladuje zawzięcie ostatnich jej przeciwników, którzy w niefortunnym zapale chcieli przeszkodzić jednej z ceremonij, o tyle Mabel, wrażliwsza i pragnąca żyć głębiej i szerzej, nie może zadowolić się kultem człowieka, który nie ma w sobie już nietylko pierwiastku mistycznego, ale nawet elementu miłości i ofiary, będąc samouwielbieniem. Ten kult egoizmu doprowadza jego wyznawców do krwawych prześladowań—jakie mają przyjść za Antychrysta — wywołanych obawą, że ktoś może zburzyć to szczęście—po ulicach miast snują się pochody, niosąc ukrzyżowane postacie ludzkie — i gdy Mabel raz w zmroku wieczornym ujrzała taki tłum, nie mogła od tej chwili znaleźć spokoju, aż wreszcie opuściła męża i w „Euthanazium,“ państwowym zakładzie dla samobójców odebrała sobie życie. Do takiej więc rozpaczliwej konkluzyi doprowadza ludzkość religia człowieka-Antychrysta: albo egoizm i płynąca stąd nienawiść do wszelkiego wyższego ideału, albo śmierć. Ale przeciw temu strasznemu dylematowi, odbierającemu człowiekowi wszelką godność, podnosi protest ks. Percy i wskazuje drogę, która prowadzi do odrodzenia ludzkości. Jeszcze jako ksiądz podaje on myśl stworzenia nowego zakonu, ze świeckich i duchownych, któryby oprócz zwykłych trzech ślubów miał czwarty: ślub dobrowolnego poświęcania się. I oto występuje w najpiękniejszym swoim wyrazie Bensonowska idea: cierpienie w zastępstwie czynu, na który nie zawsze nadarza się sposobność, cierpienie w naśladowaniu Chrystusa Pana, jako propaganda przekonań, cierpienie jako przeciwważnik wszelkim dążnościom, aby uczynić życie człowieka, jak najwygodniejszem, cierpienie wreszcie bezinteresowne dla rzeczy tak nieuchwytnej jak wiara, jako protest przeciw interesowi dni dzisiejszych.

Nowy zakon zyskuje coraz więcej członków — piękno idei pociąga wszystkich, co choć trochę piękna duszy zachowali. Ju-

lian Felsenburg postanawia zdruzgotać opornych mu katolików jednym zamachem, usunąć źródło zarazy przez zniszczenie Rzymu. Pod gruzami ginie papież i wszyscy ostatni potomkowie królewskich rodzin, którzy tam znaleźli schronienie. Ale na miejsce zmarłego namiestnika Chrystusa zostaje obrany ks. Percy, który tak, jak jego imiennik z przepięknego mistycznego poematu średnich wieków Langlanda: „Piotr rolnik," jest jakgdyby razem człowiekiem i Chrystusem. Powraca więc postać Ryszarda Raynala, tylko już nie w przeczuciach jedynie wiedzącego o swem posłannictwie i męczeństwie, ale świadomie dążącego do swego celu, do nabrania charakteru boskości przez cierpienie. A ciekawem jest to (już nietylko przez wzgląd na Bensona, ale i na ducha czasu), że z pojęciem, iż między Bogiem a człowiekiem niema niezgłębionej przepaści i że są to poniekąd identyczne co do treści pojęcia — spotykamy się i w lirycznej poezyi Wilde'a. Ale choć Benson i Wilde wyrośli obaj z modernizmu, przecież i tutaj, tak samo jak przy wyżej wspomnianej paradoksalności, z jednego wyszedłszy punktu, w przeciwne rozchodzą się drogi. U Bensona jest ubóstwienie człowieka celem całego życia, w którem tragicznemi chwilami są chwile zwątpienia o niemożności osiągnięcia ideału. U Wilde'a jest to pojęcie początkiem w życiu, którego tragizm leży w niemożliwości wyrzucenia z siebie boskiej mocy, boskiego użycia życia. Przed Bensonem leży więc cała przyszłość, długa droga, której świetlany cel osiąga się dopiero w ostatnich momentach życia. Wilde, dostawszy się na szczyt wszelkich dążeń człowieka, niema dokąd iść dalej, bo każdy krok nietylko, że nie prowadzi już w górę, ale i owszem łatwo może zawieść do przepaści. Są Wilde i Benson jakgdyby dwiema waryacyami jednej sonaty, z których pierwsza kończy się minorowym bolesnym krzykiem rozpaczy, a druga podejmuje ten motyw, przenosi na ton majorowy i rozwija z niego marsz tryumfalny — są jakgdyby dwoma słupami granicznymi, podobnymi do siebie, z których atoli jeden zamyka, a drugi otwiera nową epokę literatury, może nietylko angielskiej, ale i powszechnej.

Lecz wróćmy do naszej powieści. Nowy papież ukryty w Palestynie pod górą Karmelu przez fale telegrafu bez drutu rządzi całym światem, który dąży coraz goręcej do odkupienia się ideą, podsuniętą przez niego. Przez zdradę jednak jednego z kardynałów dowiaduje się wreszcie Felsenburg o miejscu pobytu papieża i nadjeżdża na balonach, aby zniszczyć tę ostatnią przeszkodę swej władzy. Powietrze jest gorące i jakby umarłe—„niebo przeszło od ciemności podszytej światłem do światła przesłonię-

tego ciemnością — od jasnej nocy do dnia zemsty — a światło to było czerwone... Z tyłu, z za Taboru po lewej, do Karmelu po prawej stronie, ponad pagórkami, odległymi o dwadzieścia mil, roztaczała się kolosalna, barwista kopuła; nie było w niej stopniowań od zenitu do horyzontu; wszystko było jednym głębokim potopem purpury, płynnym żarem żelaza. Był blask taki, jaki ludzie widywali przy zachodach słońca po deszczu, kiedy chmury, coraz więcej przezroczyste, przepuszczały światło, nie mogąc go powstrzymać. Na niebie było słońce, blade, jak Hostya, przylepione jak krucha pieczęć nad górą Przemienienia, a tam, daleko w dole na zachodzie, gdzie ludzie niegdyś napróżno wzywali Baala, wisiał sierp białego księżyca. A wszystko razem było martwe jak witraż, który leży porozbijany na kamiennej, rzeźbionej posadzce."

Pod tem strasznem niebem, w prostej drewnianej izbie odprawia ostatni papież wielką mszę pasterską. Jest z nim dwunastu kardynałów, jakgdyby Chrystus i Apostołowie — i naprawdę Kościół znów doszedł do stanu, w jakim był w samym zawiązku. Bo wszystko dobiegło kresu i koniec zszedł się z początkiem. Przedziwna to chwila. Modlący się żarliwie ks. Percy „spostrzegł na sekundę, jakgdyby w zwierciadle bez formy, że w tejże chwili niższa natura zlała się w jedność bytu z naturą Boską. A potem znowu nic, tylko wielki ogarniający wszystko szum, świadomość samej istoty rzeczywistości, aż... zrozumiał, że To, co jedynie prawdziwie istniało na ziemi, zbliżało się ku niemu z szybkością myśli i zapału miłości Bożej" (str. 379).

Ostatnia to już msza na świecie—pod stopami papieża i kardynałów, idących procesyą ze świecami, przesuwają się cienie, padające od olbrzymich statków Felsenburga, który „nadchodził teraz, prędzej niż zwykle, dziedzic mijających wieków i wygnaniec z wieczności, ostateczny nieszczęsny książę buntowników, stworzenie powstające przeciw Twórcy, bardziej ślepy od słońca, które bladło, i ziemi, która drżała. A gdy tak nadciągał, jako buntownik, przeżywał właśnie ostatnie swe chwile, przechodząc przez ostatnie materyalne stadyum w subtelność duchowego tworu. Krąg jego powietrznych statków trzepotał się za nim, jak legendowe ptaki na widok widma okrętu. Nadciągał, a ziemia, rozdarta niepewnością, do kogo ma należeć, kurczyła się i rozpadała w śmiertelnej trwodze przed rozdzielonym hołdem...

„Nadchodził i już cień zamiótł równinę i znikł, a blade, siatkowe skrzydła balonów podnosiły się, aby się zatrzymać; rozległy się sygnały, zabrzmiał wielki dzwon i zadźwięknła przeciągła

melodyjna struna, wszystko to słyszalne nie więcej jak szepty poprzez huczącą burzę wieczystej chwały:

Genitori genitoque
Laus et jubilatio...

I wśród tej rozpętanej burzy dźwięków, tej ekstatycznej pieśni na cześć uwielbianego, najwyższego pojęcia, Sakramentu Ołtarza, który jest syntezą całego świata, jak uderzenie piorunu, który rozbija całą ziemię w proch i pył, nadchodzi zdanie:

„I tak przeszedł świat i chwała jego,"

którem Benson kończy całą powieść, zdanie, które jakgdyby ogłusza nas, po którem zostaje straszna pustka i bezbrzeżny żal za tą ziemią, która zginęła, zginąć musiała, bo zabiła własną duszę swoją—ideę.

*

* *

Po „Panu świata" wydał Benson tylko mały dramatyczny utwór, misteryum na dzień Bożego Narodzenia, rzecz pisaną znacznie wcześniej i będącą w ścisłym związku z ideą całej jego twórczości. Jak pójdzie ta twórczość dalej? Czy Benson rozwinie się jeszcze więcej, czy też zatrzyma się na osiągniętym przez siebie wysokim punkcie rozwoju? W każdym razie dotychczasowa jego działalność daje mu prawo do jednego z pierwszych miejsc w dzisiejszej powieściowej literaturze Anglii, tak z powodu artystycznej formy zewnętrznej, jak i bogatej treści wewnętrznej, tej przedziwnej kombinacyi przeróżnych elementów. Pomiędzy nimi, być może, razi kogoś katolicyzm autora, pierwiastek, który w fanatycznej, sekciarskiej Anglii ogranicza sferę jego wielbicieli tylko do jego współwyznawców, choć Benson czytany jest powszechnie—pierwiastek, który na kontynencie sprowadza jeszcze większy brak uznania dla Bensona u czytelników, utożsamiających w dzisiejszych warunkach społecznych katolicyzm z klerykalizmem. Ale trzeba pamiętać, że katolicyzm Bensona jest to tylko forma wyrażania się w stosunku do drugich; że pod tą zewnętrzną niejako powłoką leży cała głębia mistycznej egzaltacyi.

Ale jeżeli już mowa o poczytności Bensona, to i ten ostatni, zasadniczy pierwiastek jego twórczości, mistycyzm, w ogromnej mierze przyczynia się do zacieśnienia koła jego czytelników. W jednem miejscu, w pierwszem ze swoich dzieł, cytuje Benson słowa Maeterlincka: „Il faut d'abord rendre l'organe de la vision analogue et semblable à l'objet qu'il doit contempler" — *mutatis mutandis* trzeba to zastosować do stosunku czytelnika do Bensona, stosunku wymagającego dużego skupienia uwagi, napięcia uczucia i, co najważniejsza, zdolności wyjścia poza zakres codziennego życia na wysokość, gdzie graniczy „Stwórca i natura." Ale warto potrudzić się czasem, aby stanąwszy na tej wysokości, napatrzyć się widokowi, jaki Benson odsłania przed naszemi oczyma. Bo, jeżeli wbrew obowiązującym dzisiaj niemal zasadom, nie znajdziemy w jego powieściach obrazu realnego życia ze wszystkimi szczegółami, to znajdziemy w tych niezwyczajnych utworach coś znacznie większego—obraz wewnętrznego życia duszy samego twórcy. A chociaż to życie wyrosło z dzisiejszej chwili i zawiera w sobie wszystkie swego podłoża pierwiastki, choć jest tylko pewną odmianą modernizmu, przecież jest dziwnie oryginalne, chociażby tylko dlatego, że przenosi modernizm na tło mistycznej nauki Kościoła. Bujne jest ono w treść i bogate w formę wyrażeń, więc też i twórczość Bensona, obraz tego życia, posiada pierwszorzędną wartość.

D-r Andrzej Tretiak.

Naśladowanie i twórczość.

Rozróżniamy: 1) naśladowanie automatyczne, wyrażające ślepą nieraz zależność od wzoru; 2) naśladowanie w znaczeniu potrącenia, współdźwięczności, mniej lub więcej silnych wpływów w temacie lub formie i 3) współtwórczość, wyrażającą nieznaczny odcień naśladownictwa.

Zupełnie oryginalnej twórczości niema chyba nawet w Homerach i Szekspirach. Nawet geniusz jest tylko względnie oryginalnym, wyrasta z tła otoczenia, śpiewa na nutę swojej epoki. Środek, którym się posługuje poeta — język, powstaje przeważnie drogą naśladowania dźwięków natury. Wielcy poeci wyrastają najczęściej z podścieliska mniejszych lub większych poprzedników lub współcześników, są koralową wyspą, która, aby sterczała nad morzem, musi mieć podkład koralowy pod powierzchnią oceanu. Homer wyrasta z rapsodystów, Dante—z poetów kościelno-chrześcijańskich średniowiecza, Petrarka—z canzonetystów, Szekspir—z dramaturgów elżbietańskiej epoki. Jak poeci, tak całe narody dzielą się na naśladowcze i twórcze. W świecie klasycznym Grecy—to uosobienie oryginalności, jak Rzymianie—naśladownictwa. A jednak niemało zawdzięcza Grecya Egiptowi, a Rzymianie samoistnie stwarzają swoją prawno-państwową i militarną organizacyę. Z Aryów Germanowie opierają się najpierw na pramacierzy duchowej, Grecyi, i stwarzają względnie samoistną cywilizacyę, potem—Słowianie. Wschodnie cywilizacye: egipska, perska, asyryjsko-babilońska... są również w bezustannej endosmozie, wymianie swoich sił, przenikają w świat aryjski, czy to w postaci mistyki i astronomii z Egiptu do Grecyi, czy hebrajskiej literatury, czy arabskiej nauki na półwyspie pirenejskim. I dziś jeszcze promieniowanie wschodniej cywilizacyi w postaci neo-buddyzmu, okul-

tyzmu na zachód odczuwać się daje, ale na ogół zachodnia cywilizacya wprzęga w swój rydwan nawet tak stare i oryginalne cywilizacye, jak japońska. Ale i tu widzieć się daje ciekawe zjawisko, mówiąc nieco paradoksalnie — oryginalność w naśladownictwie.

Kiedy się raz jaki prąd ustali i niejako zogniskuje, bije z niego źródło twórczości nieraz nigdy nie wysychające — jak grecka sztuka, nauka i literatura. Są to słońca cywilizacyjne, jak są planety, satelity planet, pierścienie Saturna, komety, aerolity, jak sława wojenna Macedonii, lub deszcz meteorytów sztuki i nauki Arabów na półwyspie pirenejskim. Od IX wieku przed Chrystusem przeistacza się „siła fatalna“ „Iliady“ i „Odyssei“ w „Eneidę“ w I-ym w. przed Chrystusem, w „Jerozolimę Wyzwoloną“ Torquata Tassa w w. XVI, w „Pana Tadeusza“ i „Ogniem i Mieczem“ w w. XIX. Dramat grecki V w. przed Chrystusem promienieje u nas w XVI w. w Kochanowskim, w pseudoklasykach francuskich XVII w. i wtórnych odbitkach, w kopiach z kopij u nas i na Zachodzie, w dramatach Schillera i Goethego, potem Krasińskiego i innych. O ile u tych ostatnich autorów mamy twórcze przeobrażenie, niejako zromantyzowanie lub zmodernizowanie klasycyzmu greckiego, o tyle w pisarzach francuskich XVII w. mamy przykład poniekąd mechanicznego naśladownictwa, a w ich naśladowcach naśladowanie naśladowania, lub naśladowanie wtórne. Ciekawą w tym względzie jest suggestya naśladowcza, która usunęła na długo z widowni bogatsze samoistne dzieła Calderonów i Szekspirów, nawet w ich krajach rodzinnych.

Co się tyczy stopnia samoistności geniuszów, to określić go można tylko w przybliżeniu. Co raz to nowy zjawia się przyczynek, obrywający listek po listku z ich laurów. Najprawdopodobniej za najbardziej samoistnych uznać byśmy mogli Homera, Szekspira, Dantego, Byrona, Goethego, Schillera, Kopernika, Rousseau'a, Hegla, Platona, Tołstoja, Dostojewskiego, Baudelaire'a. Inni, jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński dopiero po przedarciu się przez gąszcze naśladownictwa stanęli na swoim własnym gruncie. U wielu poetów dopiero nieraz długa droga naśladowania prowadzi do wydobycia na jaw własnej twórczości. Nieraz bardzo trudno określić, czy bez tej drogi wydobyliby swój kruszec, czy zaszkodzili jego blaskowi i czystości, czy—pomogli. Bez wątpienia Byron, Swedenborg, De Vigny, Dante, Szekspir rozskrzydlili wyobraźnię Słowackiego, ale ona i własnym pędem stanęłaby na tych wyżynach, jak przy pomocy obcej, mogła to uczynić „Króla-

Ducha“ „dusza tak bogata i taka rządzicielka kości,“ która „echem duchowego świata“ mówiła od siebie.

Mickiewicz i bez „Iliady,“ „Odyssei,“ „Hermana i Dorotei“ byłby wydobył z siebie to słoneczne morze radości życia, huczące w „Panu Tadeuszu,“ Kordyan mógł się narodzić i bez Konrada Wallenroda, Irydyona i Manfreda. Irydyon mógł powstać bez Hamleta, Derwid bez króla Leara, Zagłoba bez Falstafa, Płoszowski bez Werthera i René. Rezonerskie gadulstwo i źle stosowana erudycya raczej pamięciowa, niż giętka i świadoma, obniża niejedną wielkość, aby na tem jej obniżeniu samej się podwyższyć.

Niejeden taki krytyk nie chwyta syntezy podobieństwa, ale cząstkowe podobieństwo, które na kanwie całości inaczej się wyda, nie wyczuwa ogólnego tonu postaci, czy dzieła, ale dostrzega odcienie podobieństw w sytuacyach i frazowaniu, zapominając, że, jak mówi Słowacki, „niejednakowe orły, chociaż jeden hałas czynią.“

Pan wytworzyłeś nowy dreszcz — mówi W. Hugo do Baudelaire'a. Przypatrzmy się tym „nowym dreszczom,“ zwrotnicom duchowym, w których „in nova fert animus.“ Często są one chrzczone nazwiskami swoich twórców. Stąd russeanizm, hegelianizm, tołstoizm, towianizm, wolteryanizm, bajronizm. Rzecz ciekawa—dlaczego nie—homeryzm, dantyzm, szekspiryzm, słowacyzm?... Widocznie nie było chęci wprost nazwania, bo ani Dante nie zlewa się z humanizmem włoskim, ani Słowacki z tłem romantyzmu polskiego, a nawet odcina się od niego jaskrawymi rysami.

Gdy prąd oryginalny, lub względnie oryginalny wnika w masy, urok jego nowości przekwita i znowu niespokojnie szuka się nowego słońca o kolorze bodaj innym... Czasem to tylko meteor, lampa elektryczna, niezmiernie rzadko nowa gwiazda, nowe słońce powiększa ich ilość na mapie nieba ziemskiego. Przychodzi nowa treść lub nowa forma. Zjawia się dramat w V w. w Grecyi, lub sonet u nas w wieku XVI, ktoś wprowadza pierwszy Żydów do literatury, jak u nas Niemcewicz, lud—jak romantycy, lub kwestyę socyalną, jak Krasiński w „Nieboskiej.“ Czasem prąd poprzedni płynie razem z drugim, mocują się, jak dwa wichry w „Panu Tadeuszu,“ aby ustąpić „wichrowi trzeciemu.“ Prąd poprzedni pobity, bywa wyzyskany, wcielony przez zwycięzcę, lub odrzucony, podeptany, wzgardzony, czasem prąd poprzedni, zanim ustąpi, dość długo jeszcze zabarwia następny, np. pseudoklasycyzm, któremu ulega tak wielki nawet romantyk, jak Mickiewicz.

Tylko najbystrzejsza analiza, najczulsze soczewki metodologiczne wraz z ogólną zdolnością wczuwania się, określić mogą skład chemiczny prądów literackich, estetycznych i kulturalnych, ich reakcye, nawarstwowienia i przeobrażenia. Już wykryto, że pogański platonizm „Rzeczypospolitej“ tkwi w „De civitate Dei“ św. Augustyna i „Utopii“ Morusa. Już wiemy, że prastara nauka hinduska w reinkarnacyi tkwi w nowożytnym europejskim spirytyzmie. A ile jeszcze tych przeobrażeń „mutatas corpore formas“ nie wykryto, lub przedstawiono fałszywie! Nieraz pierwiastkowa idea zostaje przerobiona, przeobrażona, czasem—tylko przefarbowana, lub dopełniona. Czasem—wkład, dodatek nader nikły przy sztucznem rozdymaniu wagi i stopnia nowości, ale bywa i przeistoczenie rdzenia idei, lub jej formy zasadniczej, czasem — tylko oparcie się lekkie, czasem — potrącenie, czasem całkowite ciążenie, albo na starym fundamencie — nowa budowa...

I płyną nurty przez dziejowe łożyska, płyną przez wieki, łączą się, płyną razem, rozdzielają się, różniczkują, zapadają pod ziemię, z rzek powstają jeziora, z strumyków rzeki, coraz większe i toną w oceanie ogólnym cywilizacyi ludzkiej. Coraz ktoś „nowości potrząsa kwiatem,“ który prędko więdnie i nowe sypią się kwiaty. Ludzkość w naśladownictwie ma zarówno probierz i dowód swojej nieudolności, lenistwa duchowego, wyjałowienia, lub znużenia, to znowu—siłę twórczą, a raczej odtwórczą i współtwórczą. Taką jest — współtwórczość z Grekami innych narodów aryjskich, Kochanowskiego z Dawidem w „Psalmach,“ Słowackiego z Calderonem w „Księciu Niezłomnym.“ W tej osmozie wpływów odgadnięcie różnic rasowych, zabarwień lokalnych i epokowych, nowego otoczenia, nowych przeobrażeń twórczych, nowych ugrupowań pomysłów, sytuacyj, muzyki stylu—jest nieraz trudne nawet dla fachowego krytyka. Cóż mówić o mniej wyrobionych w krytyce? Ci powtarzają np. — Słowacki naśladował Goszczyńskiego, Malczewskiego, Zaleskiego, Mickiewicza, Dantego, Szekspira, De Vigny, Lamennais'ego i t. p. A gdzież będzie wtedy wielki Słowacki? Czy nie przeciw niemu zwraca się ostrze jego własnego powiedzenia:—Pawiem narodów byłaś i papugą? — Jakże inaczej będzie wyglądał Słowacki, jeżeli przypomnimy sobie słowa Voltaire'a: — Wszyscy my braliśmy ogień od jednych, aby go podać innym. — Jak wyraźnie inną jest Mickiewicza indywidualność a Słowackiego w urywku odtwarzającym ciąg dalszy „Pana Tadeusza“—Manfreda a Kordyana, Eloe de Vignya a „Anhellego,“ Cordelli a Lilli Wenedy... Jak to wszystko w kwietnym czarze indywidualności autora „Beniowskiego“ odbijać się

będzie i kąpać się w gorącym jego duszy kolorycie, jak w morzu odrębnej oryginalności. Wszyscy trzej nasi wieszcze wyrastają z innego podłoża dziejowego. Mickiewicz — z Rejów, Kochanowskich, Szymonowiczów, Słowacki—z Morsztynów, Krasiński— z Kochowskich i Starowolskich. Nikt tamtym, niejako korzeniom, nie przyzna stopnia większej oryginalności, ale raczej uprzedzenie w czasie. Uzależnianie Mickiewicza od Zabłockiego, Niemcewicza prowadzi do absurdu, bo ci — to ruda, a ten czysty kruszec, tamci—skład, materyał, a ten — przeistoczenie do gruntu, nasycenie własnym ogniem.

O ile trudnem jest zbadanie stopnia przeobrażenia tegoż tematu, lub udoskonalenia formy, rodzaju literackiego, o tyle trudniej—gdy jedna forma przeobraża się w inną, np. baśń lub nowela—w dramat. Trudnem jest również spostrzedz migracyę typów i charakterów z jednej literatury do innej — chyba na szerokiej podstawie psychologii narodów. Jeszcze trudniej zbadać stopień wpływu malarstwa na poezyę, architektury na rzeźbę, lub odwrotnie, poezyi na muzykę i t. p. „mikstury“ wpływów—jak dawniej u nas mówiono w znaczeniu mieszaniny. Tu tylko estetа w stylu Odrodzenia, syntetyk różnostronny lub niesłychanie bystry dzisiejszy analityk oryentować się może, estetyk i uczony, o ile zwłaszcza chodzi o wpływ np. matematyki na literaturę, jak u Spinozy, Pascala, pseudoklasyków francuskich. „Któż zbadał puszcz przepastne krainy?“ wołamy wtedy z wieszczem. O ile subtelny czytelnik *cum grano salis* rozróżnia te skale wpływów, w samym słowie naśladowanie—widzi mnóstwo drgnień, wibracyj, i cieniowań różnorodnych, dla których nawet czasem nazwy niema, o tyle mniej wyrobiony tonie w powodzi powierzchownych, domniemanych, grubych rysów naśladownictwa. Wiele podręczników historyi literatury, krytyk i rozpraw wskazuje na te grube linie naśladowań tam, gdzie się kryje współdźwięk, sympatya estetyczna, potrącenie, pokrewieństwo temperamentu, stylu, upodobań, „zakwitanie kwiatów we wszystkich ogrodach, gdy nastaje czas kwitnienia,“ jak mówi Maeterlinck. Takie podręczniki i krytyki są równie szkodliwe, jak chwalcze i apoteozujące twórczość tam, gdzie jest tylko naśladownictwo. Oba rodzaje fałszują dzieje. Jeden obniża zaufanie we własną siłę kulturalną, drugi prowadzi do fanatycznej samoadmiracyi. U obcych, zwłaszcza wrogów, pierwszy rodzaj wywołać może pogardę i niechęć do literatury ech, odbitek i kopij, drugi ironię z powodu samochwalstwa. U swoich—apoteoza prowadzi do ciasnego ograniczenia się tylko rodzimą literaturą, hyperkrytycyzm, fałszywy krytycyzm, obniża-

jący jej samoistność, przeciwnie, prowadzić może do wyłącznego zatopienia się w literaturach obcych, jako domniemalnie jedynie twórczych i oryginalnych.

Dla przyjęcia jakiejś idei potrzebnem jest pewne przygotowanie, usposobienie, nastrój epoki, wyrażający się jeżeli nie teoretycznie, to przynajmniej praktycznie. Teorya wtedy przyjmuje się na tym gruncie bujnie i wywołuje mnóstwo naśladowców i czcicieli. Społeczeństwo francuskie XVIII w. było nawskroś zmateryalizowane, dlatego też ziarno filozofii angielskiej Lockego łatwo się w niem przyjęło i znalazło mnóstwo zdolnych kontynuatorów, lub popularyzatorów, jak Condillac, Helvetius i inni. Idea, lub systemat filozoficzny w rozmaitych epokach i społeczeństwach w swej ewolucyi przybiera różnorodne kształty, coraz realniejsze i bardziej określone. Panteizm w Indyach istniał w marzycielskiej raczej, niż filozoficznej formie. Lepiej już formułowała tę ideę Grecya, potem średniowieczna Europa, aż nakoniec kształt jasno określonego systematu przybiera w nowszych czasach; formułuje go Spinoza, wykończają: Schelling i Hegel.

Jakiś ściśle i jasno wyrażony systemat i w kształtach swoich wykończony, czasem bardzo długo pozostaje niewzruszony, jako fundament, lub nawet główna treść innych budowli, na nim się wzorujących. Prawo rzymskie tkwi w prawodawstwie wszystkich ludów europejskich od praw tak zwanych *leges barbarum* Franków, Gotów, aż do kodeksu Napoleona. Czasem znowu następuje zlew dwu nawet odmiennych, co do ducha i formy prądów, wytwarzający nowy kierunek. W czasach Odrodzenia sztuka romantyczno-chrześcijańska zlewa się z formami sztuki czasów Peryklesa niemal organicznie. Nowy kierunek poezyi, sprzeczny z duchem poprzedniego, może mu ulegać w formie. Grecka poezya w średnich wiekach, choć słabo, oddziaływa jednak na chrześcijańsko-kościelną w formie. Czasem nowy kierunek ulega poprzedniemu i w treści. Nawet tak samoistna poezya romantyczno-rycerska bierze wiele tematów z Rzymu i Grecyi. Czasem mamy widok wędrówek i chaotycznego mięszania się tematów i form. Często całe cykle wędrują i udzielają się narodom sąsiednim, lub pokrewnym usposobieniem i rasą, jak w romantyczno-rycerskiej poezyi cykle o Cydzie, królu Arturze, św. Graalu...

Wszystko to są już oczywiście zbadane i niezbicie dowiedzione pojęcia, widne nawet w silnych modyfikacyach kolorów, konturów, treści. Są jednak obrońcy oryginalności i niezależności wielu przynajmniej prądów i kierunków. Twierdzą, że przeciw naśladownictwu przemawia różnorodność objawów w różnych

dziedzinach i przeobrażeniach ludzkości, która dzisiaj jest prawie zupełnie inną, niż przed wiekami, że ludzkość mnóstwo ma form instytucyj, odmienność budowy społecznej, rodziny, własności, urządzeń kulturalnych, tańca, zabawy, życia towarzyskiego. A jednak i tu ileż wspólnego. Hieratyzm duchowieństwa wszędzie niemal jednaki, władza i kształtowanie się jej, wiele form społecznych, politycznych, pozornie odmiennych, jest naśladowanych, lub wspólnie wynalezionych. W tem narzucaniu form i zasady życia tkwi naturalnie prawo siły i przewagi duchowej jednostki nad jednostką, warstwy nad warstwą, narodu nad narodem.

Mody, tryb życia zwykle narzucane są przez wyższe warstwy niższym, odwrotnie zaś — rzadziej i w mniejszym stopniu. Wyżej kulturalne, lub bardziej inwencyjne narody narzucają obyczaje, lub prądy umysłowe innym. Francya narzuca mody, Niemcy — systemy filozoficzne. Najbardziej samoistnym narodem byli Grecy. Grecya rozwijała i kształciła wszystko tak samodzielnie, że nie czuć prawie związku jej cywilizacyi ze Wschodem. Z wyjątkiem Greków wszystkie inne narody starożytne i nowożytne tem wyżej stanęły, im więcej na nie obcych działało wpływów. Francya naśladowała wszystkie niemal narody starożytne i nowożytne: Greków i Rzymian, Hiszpanów, Włochów, Anglików, Niemców, a nawet pod względem społecznym i państwowym — Stany Zjednoczone. Odgradzają się od innych najbardziej Żydzi, Turcy, Chińczycy, a w pewnych epokach i inne narody. W XVI wieku Włosi nie ulegają żadnym wpływom współczesnym i nazywają wszystkie zaalpejskie narody barbarzyńcami. Polacy w krańcowym upadku rwą stosunki umysłowe z Europą w w. XVII. W naśladowaniu jednych narodów przez drugie nawet silne różnice rasowe i wyznaniowe nie kładą tamy. Arabowie wiele przejmują podczas pobytu swego na półwyspie pirenejskim od chrześcijan, nawet przedtem zasadnicza ich księga Koran wyrasta na tle chrystyanizmu. Odwrotnie i chrześcijanie bardzo wiele zawdzięczają Arabom w poezyi trubadurów, w naukach przyrodniczych i matematycznych. Tylko narody dzikie do czasu nie ulegają wpływom, inne są w nieustannej endosmozie. Ludy nie umiejące naśladować, wcielać się w pewne systematy cywilizacyjne, znikają, naprzykład Hunowie, Awarowie, w części Tatarzy. Przykład krańcowej odrębności stanowią Cyganie.

Pozornie wyłączni w swej cywilizacyi Żydzi przejmują z czasem nawet język u Aramejczyków i Chaldejczyków. Ich „Kabała“ zwłaszcza dogmatyczna pełna jest pojęć, czerpanych u różnych ludów Wschodu: Chaldejczyków, Asyryjczyków i Persów.

W epoce aleksandryjskiej Żydzi ulegają greckiej cywilizacyi. W chrześcijańskiej Europie język ich nasiąka pierwiastkami wszystkich ludów, z którymi i u których żyją, aż w końcu zlewają się z kulturą europejską, wydając kwiat cywilizacyi w postaci Spinozy, będącego upostaciowaniem filozofizmu europejskiego XVII w., Hejnego—sceptycyzmu XIX w., Lassalla, Marksa—socyalizmu i rewolucyonizmu. Wracając do rdzenia mistycyzmu żydowskiego—„Kabały," dodać musimy, że pierwsze jej zasady zrodziły się podczas niewoli babilońskiej, pod wpływem pojęć Wschodu, a szczególniej opierając się na dualizmie Zoroastra, później zaś kształciła się w szkołach filozoficznych Aleksandryi i zaczerpnęła wiele z systematów Pitagoresa i Platona, miała wiele wspólnego z gnostycyzmem i neoplatonizmem. Oryginalni dość w twórczości religijnej Hebrajczycy w architekturze przejmują styl z Fenicyi i Hellady. W tym względzie panowanie Heroda świeci blaskiem pożyczanym. W przemyśle artystycznym Izraelici naśladowali Egipcyan.

Również, pomimo silnego wpływu na Europę, Arabowie przedstawiają typ wybitnie naśladowczy, religia ich oparła się na religiach Babilonu i Syryi, sztukę przejęli z Chaldei. Mahometanizm powstał z judaizmu i chrystyanizmu, nawet świetne swoje przyrodnicze odkrycia na półwyspie pirenejskim Arabowie zawdzięczają Grekom. Obok chaldejskiej i perska sztuka jest mistrzynią sztuki arabskiej. Przeznaczeniem Arabów nie była tyle twórczość i inwencyjność, ile rozsiewanie nabytków i zdobyczy obcych. Jeszcze mniej twórczą jest Turcya, której cywilizacya jest w większej części parafrazą arabskiej. Czasem niektóre rodzaje nauk u różnych narodów powstają samorzutnie. Niezależnie rozwinęła się gramatyka u Indów, Arabów i Greków. Niezależnie również rozwinęła się astronomia u Indów i Egipcyan. Rozwój tej nauki przeszedł do Grecyi i znowu za czasów podboju Aleksandra Wielkiego zakwitł w Indyach. Od Greków przeszedł do Arabów. Przejęcie nieraz wywołuje uzurpacyę, czasem może bezwiedną, lub w swoich następstwach, kiedy ślady twórczości zatarte, korzystają naśladowcy. Mitologia Greków ma terminy najczęściej rzymskie. System dziesiętny cyfr, przejęty przez Arabów u Indów, tym pierwszym jest przypisany. Bywają wypadki, że uczniowie stają się nauczycielami mistrzów. Gdy w XIII wieku astronomia upadła w Indyach, uczeni indyjscy przejmowali poglądy u Arabów, szczególnie w nauce o konstelacyi gwiazd. Na tej wymianie idei różne narody zobopólnie korzystają. Brak wymiany idei jest groźny w następstwach. Sztuka i literatura Egiptu i Chin wsku-

tek tego wpadły w oschłość, zesztywnienie i konwencyonalność. Skądinąd zetknięcie się z wyższą formą życia lub sztuki czasem gasi niższe. Ostateczny cios sztuce egipskiej zadało zetknięcie się jej z Grecyą. Podbój polityczny sprzyja endosmozie form i treści życia i sztuki. Nieraz podbici biorą górę nad swoimi zaborcami moralnie i duchowo. W ten sposób Grecy podbili Rzymian, a ci ostatni Germanów. Bywa i odwrotnie. Z chwilą, w której Assyrya zdobyła przewagę polityczną i w której jej sztuka zaczęła się silniej kształtować, pochłonęła ona sztukę Babilonu, na której się wykształciła i ta ostatnia zeszła już wtedy do roli podrzędnej. Każdy naród w pewnych gałęziach cywilizacyi, nie mając własnej twórczości, naśladuje innych, nieraz dopóty, dopóki nie zjawi się na tle naśladownictwa własna twórczość, jak np. romantyzm polski po roku 1831, kiedy po hołdowaniu zwłaszcza angielskiemu i niemieckiemu romantyzmowi stanął na własnym narodowym gruncie. Nieraz i wtedy własna twórczość, walcząc z naśladownictwem obcem, nie może się od niego zupełnie wyzwolić, jak to również bywało w romantyzmie polskim nawet po roku 1831.

A teraz—źródło twórczości—geniusz, czy jest tylko kroplą, która przepełnia dzban, jak go określa Bourdeau w studyum „Historya i historycy," czy jest tylko silniejszym od talentów zwrotnym impulsem w dziejowym pochodzie, czy jest czemś bodaj nadprzyrodzonem, nieobliczalnem—jak chcą inni, mówiąc, że nie byłby to nawet geniusz, gdyby był obliczalnym i że nawet najlepsze naukowe metody są bezsilne w odkrywaniu samej istoty geniusza. Ten ostatni zarzut nawet Taine'owi stawia Saint-Beuve, i, twierdząc, że nie udało mu się dojść do rzeczy najważniejszej, do samej iskry geniusza, nie pokazuje go nam w swej analizie, ale tylko bacznie rozwija przed naszemi oczami oddzielne włókna tej materyi, tego organizmu, gdzie gra i błyszczy różnemi farbami ta dusza, to życie, ta iskra, która jest genialnością. Pesymistycznie na oryginalność i genialność zapatruje się Ochorowicz w dziele pod tytułem „O twórczości poetyckiej."

— Najwięcej treści—twierdzi ten autor—dostarczają poetom książki przeczytane. One to wprowadzają młodzieńca w tę atmosferę duchową, której poeta, czy chce, czy nie chce, musi być wyrazem, zarówno w uległości, jak w opozycyi. Mierne talenty pod ich wpływem stają się wprost naśladowcami—wyższe zbogacają tylko treść własnej fantazyi. Ale myliłby się, ktoby sądził, że geniusz przynajmniej wolnym jest od naśladownictwa, a nawet od prostych plagiatów. Ludzie, których my dziś uważamy za je-

dnostki wyjątkowe, za życia nie przedstawiali się tak odrębnie, mieli oni cały orszak współczesnych talentów, których kosztem wyrośli, z którymi nieraz bardzo wiele mieliby rachunków. Tylko że my o tamtych zapominamy, a tych ponad tło powszednie wynosimy. Dowody naśladownictwa znaleźć można w każdej historyi literatury, zestawiającej prace poetów. Ale dla nas najciekawsze są te drobne, a mimowolne plagiaty i przeróbki, które poeta popełniać musi—w zdaniach, porównaniach i zwrotach, a które oczywiście tem mniej są widoczne, im większy talent mamy przed sobą. U poetów pierwszorzędnych nie rażą one tak, jak u autorów średniej zdolności.

W naśladowaniu jest mnóstwo form i rodzajów. Jedni biorą zewnętrzną szatę, styl, język, kompozycyę, sposób obrobienia, niejako muzykę przedmiotu, lub ledwo dające się odczuwać dla innych tchnienie, emanacyę, inni biorą treść lub część jej, pomysł, fakturę przerabiając, modelując, dodając, upiększając, parafrazując. Jedni czynią to jawnie, wymieniając, gdzie lub w czem się kończy przejęcie, a zaczyna własna twórczość. Inni kryją się z tem mniej lub więcej zręcznie. Jeżeli nawet przyznać geniusz i oryginalność, to tylko chyba nielicznym jednostkom, o których się mówi, że stworzyli swoją epokę, którzy zastali niemal bezwzględne ciemności, a wnieśli nieoczekiwane światło, które długo razi, zadziwia współczesnych i potomnych, jak np. Kopernik w astronomii. Wielu osobników, dla których tytuł talentu jest zamały, a którzy otrzymali godność geniusza choć nie pierwszego stopnia czy klasy, w swej twórczości potrzebują oparcia, odbicia się od podstaw tych, którzy niejako umieją pracować w próżni, rzucać się śmiało w nowe, nieznane krainy, zamiłowani tylko w czemś odmiennem od tego, co zastali, którzy chcą własne bodaj „senne królestwo posiadać," jak mówi Słowacki, lub są „cudzoziemcami na tym świecie," jak mówi Byron, dopóki go nie podbiją i własnej w nim nie założą ojczyzny.

Szczególnie w literaturze bywają przykłady wtórnego naśladownictwa, echa ech, jak przejmowanie przez różne narody greckiej kultury przez parafrazę, pryzmat i zabarwienie rzymskie lub francuskie w epoce pseudoklasycyzmu. We wtórnem lub wielokrotnem naśladownictwie zdarzyć się może, że trzeci autor bierze od drugiego naśladowcy więcej, niż z pierwowzoru, czasem zaś zdarzyć się może, że przez pryzmat naśladowczy dostaje się pierwotna treść w większej ilości, ale zabarwiona wtórnem lub wielokrotnem naśladownictwem. Rozpoznanie, rozgraniczenie demarkacyjne różnych autorów w tym zlewie różnych rzek i strumieni,

w tych odpływach i dopływach, wtrętach, przeobrażeniach i modernizowaniu jest nader trudne nieraz i dla specyalistów-krytyków i wywołuje liczne sprostowania, polemiki, umniejszenia czci i rang różnych autorów w różnych epokach. Zachodzi tu nieraz niemal taka trudność, jak gdyby malowano i przemalowywano jeden i ten sam obraz w różnych epokach i niepodobna już oddzielić farb, zdjąć kolejne nawarstwowienie. Zresztą w literaturze olbrzymia erudycya, genialne ostrowidztwo i umiejętność wczucia się w odrębne indywidualności może dokonać nowych uwartościowań na podstawie drobnowidzowej wprost sprawiedliwości. Czasem przychodzą tacy wielcy sędziowie, którzy zamiast naśladownictwa widzą wspólną niezależną indywidualność, którzy potrafią zerwać wiele warstw i dostać się do tonu zasadniczego indywidualności autorskiej, których ucho wyczuwa odmianę odcieni wszelkich tam, gdzie inni słyszą tożsamość, którzy odmierzyć potrafią domieszki w stylu, barwie językowej, tonie, nawet wprost minimalne.

Zdarza się czasem dziwne zjawisko, że geniusz naśladuje talent, jak np. Słowacki — Goszczyńskiego i Zaleskiego. Nieraz jakiś autor naśladuje zrazu innych, przechodzi do własnej twórczości, zatraca ją na czas pewien, znowu naśladuje, a potem znowu tworzy. Czasem przeobraża tylko styl i formę, czasem bierze od drugiego jedną tylko postać do swego utworu, np. Eloe Słowackiego i De Vigny, czasem — scenę lub sytuacyę, czasem akt, rozdział, czasem — jeden szczegół, jedno dosadne lub zręczne wyrażenie. Czasem postać, typ przeobraża się na tle odmiennego temperamentu naśladowcy, innej epoki i rasy, czasem przeprowadzony jest przez odmienne sytuacye, wskutek czego wydaje się innym.

Trudno jest określić emanacyę twórcy, zwłaszcza wtedy, gdy prócz dzieł wpływa on przez życie, przykład, rozmowy i obcowanie, jak Mickiewicz na mniejszych lub większych romantyków, lub kiedy działacz nie zostawia dzieł, tylko piszą inni o nim wspomnienia lub zapisują po pewnym czasie jego maksymy, zdania i biesiady—jak: Sokrates, Grzegorz z Sanoka i inni. Również trudnem jest zadanie, gdy prozaik wpływa na poetę lub odwrotnie, np. wpływ filozofów i krytyków niemieckich na naszych romantyków, lub Boehme, Towiańskiego, Rousseau na tych ostatnich, albo wpływ „Iliady i Odyssei“ na „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza, „Pana Tadeusza,“ na niektóre powieści, jak „Nad Niemnem“ Orzeszkowej. Nie łatwem jest również zadanie prześledzenia wpływu działaczy wielkich na poezyę współczesną, np. Napoleona, wpływ filozofów na polityków, polityków na poetów, skrzyżowania się i endosmozy prądów i kierunków społecznych, artystycz-

nych, religijnych, np. rewolucya francuska a Napoleon, chrystyanizm a poezya romantyczna, rewolucyjna teorya lub praktyka a poezya rewolucyjna.

Tak więc płyną różne łożyska twórczości ludzkiej, splatając się z naśladownictwem, pogłębieniem, dopełnieniem, przeobrażeniem w swej dalszej ewolucyi. Umiejętne wyzyskanie przeszłości lub współczesności nikomu ujmy, przeciwnie zaszczyt przynieść tylko może. Ten tylko, kto niema zupełnie twórczości, nawet dobrze naśladować nie umie. Co może z pozoru być dalszem od siebie, niż Couvier i Darwin, a tymczasem sam Darwin mówi, że udało mu się prowadzić ciąg dalszy założeń Couviera. Geniusz opiera się nie tylko na innych, ale i na głębiach tradycyi. *Numeny* Kanta wypływają z *monad* Leibnitza i *idei* Platona. Każdy z geniuszów jest ojcem rodu, który naśladuje jego gusty, namiętności i idee i toczy walkę o dalsze ich zwycięstwa. Czyż nie mamy synów i spadkobierców Voltaire'a i Rousseau'a, Mickiewicza i Słowackiego? Skoro tylko wielki człowiek zdefiniował jakąś tezę, zbiera pod swój sztandar tych, którzy skrycie i napół świadomie ciążyli do jego idei. Promotorowie niejasno, w grubszych zarysach szkicują te idee, które w pełni przedstawi dopiero geniusz. Ten ostatni, jak gdyby skupia tylko, poprawia, ogniskuje pierwszych, ale zarazem z nich, jak rzeka ze strumieni, wyrasta, z nich czerpie moc i życie. Nawet najbardziej indywidualne i oryginalne jednostki zaczynają zwykle od naśladowania jakiegoś wzoru. Fetis zauważył ten fakt u najbardziej utalentowanych i genialnych muzyków: „Dopóki—mówi—własne doświadczenie nienabyte, rozpoczynający geniusz musi oprzeć się na doświadczeniu jakiegoś mistrza, co i uczynił Mozart, wziąwszy sobie za wzór w swoich pierwszych kompozycyach Emanuela Bacha, a dla muzyki dramatycznej Hassego.“

Wszyscy wielcy mistrze byli zrazu tylko posłusznymi uczniami swoich mistrzów. Uwalniali się z pod ich wpływu tylko wtedy, gdy, owładnąwszy techniką, mieli możność wypowiadania własnych ideałów. Mistrz czasem bywa zgoła innego typu, niż uczeń. Tacyt zaczął od naśladowania Cycerona, Arystoteles—Platona, Pascal—Montaigne'a, Kant—Hume'a. „Za pomocą różnych sposobów i środków, geniusz rozpatruje i ocenia współczesne idee, określa ich zasadę, odczuwa ich braki i podpatruje, co trzeba jeszcze do nich dodać, aby je uczynić jeszcze trwalszemi“ — mówi Henryk Joli w „Psychologii wielkich ludzi.“ Geniusz trudzi się dla przyszłości wskutek tego, że trudzi się nad zadaniami teraźniejszości za pomocą rozumu, wyrobionego na tem, co jest najlepszego

w przeszłości. Określał to Goethe słowami: „Należy bacznie studyować wielkich ludzi przeszłości.“ Każda wielka teorya rodzi inne teorye, nawet pewna prawda nader podrzędnego znaczenia staje się z czasem głównym rdzeniem późniejszego wynalazku.

„Odkrycia i wynalazki—mówi Laplace—polegają na zbliżeniu idei, które były skłonne do wzajemnej asocyacyi, ale do czasu znajdowały się w odosobnieniu.“ Każdy talent, czy geniusz dobiera sobie według indywidualnych właściwości formę, czy materyał, to samo wykonane przez innego w rzeźbie, odtwarza w muzyce, czy poezyi. Odległe dziedziny, różne stosunki wpływają wzajemnie na siebie. Estetyczna harmonia grecka w humaniście Koperniku odbija się dążnością do uregulowania anarchii i bezładu świata, jak sam o tem mówi we wstępie do „Obrotów ciał niebieskich.“

Zbadanie wzajemnego naśladownictwa mniejszych talentów łatwiejsze, niż wielkich talentów lub geniuszów i w tej mierze są najczęstsze omyłki ogółu i krytyków. Geniusz — to twórczość. Tworzyć, to znaczy oddawać do rozporządzenia ludzkości albo nowe formy idei i uczuć, albo nowe metody analizy i syntezy, albo nowe sposoby i środki oddziaływania, dodając coś nieznanego dotychczas do ogólnego cywilizacyjnego dorobku ludzkości. Działalność geniuszów wydaje się większości ludzi tak trudną i nadzwyczajną, że ludzkość już od czasów starożytnych upatrywała w podobnych stanach objaw jakiejś tajemniczej, nadprzyrodzonej, albo zgoła odrębnej siły, niepodległej naukowej analizie, sprzecznej z ogólnemi prawidłami logiki. Niektórzy nazywają tę siłę intuicyą, większość zowie ją natchnieniem. Ludwik Bourdeau w dziele „Historya i historycy“ twierdzi, że wielcy ludzie zdążają za masą, tłumy, pozornie przez nich kierowane, same właściwie ich popychają pędem niepowstrzymanym. Vico mówi, że każdy człowiek tak zwany wielki jest stworzeniem, nie stwórcą swej epoki. Montaigne wyraża się o swoich Essais: „Od siebie dałem tylko nitkę do ich związania.“ Eschylos nazywał swoje dramaty „odbiciem uczt homerowskich.“ Goethe mówi: „Gdybym mógł wyliczyć długi, które pozaciągałem u moich wielkich poprzedników i współczesnych, drobna zaledwo reszta byłaby moją własnością.“ Zaś Voltaire: „Prawie wszystko jest naśladownictwem. Umysły najoryginalniejsze wzajem od siebie pożyczają.“

Nawet tak potężny mistrz, jak Michał Anioł Buonarotti, wprost naginający styl epoki do siebie, a nie zlewający się poniekąd, jak Wit Stwosz, ze współczesną sobie rzeźbą i architekturą, w wielu razach bądź zapożycza się ogólnie duchowo, jak u Dan-

tego lub opiera się na rzeźbie greckiej, a nawet czasem wprost kopiuje; tak było z kopułą katedry florenckiej, która była wzniesiona na wzór starorzymskich budowli przez Filipa Bruneleschi'ego, wzór ten odtwarza Michał Anioł w kopule kościoła Św. Piotra w Rzymie. Inny arcymistrz, Kopernik, w zawrotnie potężnej swej twórczości, w której wydaje się Minerwą, wyskakującą z głowy Jowisza, wiele zawdzięcza astronomom egipskim, greckim, arabskim i krytycyzmowi humanizmu. A nawet najbardziej odseparowani od wpływów, czyż nie zawdzięczają książkom, jeżeli nie bezpośredniemu zetknięciu się z mistrzami, albo kulturze epoki, albo tajemnym fluidom duchowym, które błądzą i osadzają się w pewnych wybranych osobnikach? *Spiritus flat ubi vult.* Kant nie wychyla się z granic Królewca, Correggio z wioski czy okolicy, Żółkowski z Warszawy, Boehme zdaje się jak pająk z siebie tylko snuć nić swego mistycznego systematu, Rousseau jakgdyby bierze wiedzę swoją li tylko z uczucia oburzonego i z namiętnego ukochania ludzkości. Ci wszyscy jednak nie byli spadłymi bolidami z innych planet o jakimś odmiennym od ziemi składzie chemicznym, ale roślinami, wyrastającemi na bujnej glebie prastarej cywilizacyi ogólnoludzkiej. Jedni geniusze są łatwi do naśladowania, inni — trudni. „Naśladowcy Michała Anioła — jak mówi Klaczko — napróżno chcą doścignąć mistrza i sadzą się tylko na rysowanie ciała w postawach wymuszonych, teatralnych, o ruchach nienaturalnie a niepotrzebnie gwałtownych.“ Nieraz prosty i jasny geniusz jest trudny do naśladowania np. Mickiewicz. Złożony i zawiły, nieuchwytny Słowacki ma legiony. Niema prawie naśladowców Matejko, Krasiński, Byron wytwarza całe hufce bajronistów, Heine—hajnistów. Olbrzymi geniusz Dantego zda się jak obelisk na pustyni, albo potężny tum gotycki, sięgający gwiazd. A posłuchajmy, co mówi o nim świetny znawca włoskiego humanizmu, Klaczko: „Dante za podstawę swojego dzieła bierze wierzenia średnich wieków. Od średnich wieków pożycza przedmiotów, typów i symbolów i pomysły swoje czerpie nieraz ze średniowiecznych religijnych legend, albo z ludowych rozpowszechnionych fikcyj, albo nawet z powieści i pieśni średniowiecznych trubadurów. Jego poemat jest par excellence epopeją tej epoki, której wyraża wszystkie uczucia, wszystkie pojęcia i same nawet scholastyczne doktryny. Nie w samych tylko szczegółach i epizodach, ale w całości swojej budowa ta powstała z materyałów, przygotowanych przez długi ciąg wieków z kamieni, dobytych z pierworodnych, prostaczych jeszcze pomników katolickiej i narodowej myśli. Kamienie były niekształtne i nieociosane, ale cza-

rodziejska ręka mistrza umiała je obrobić, wygładzić i uporządkować podług wspaniałego planu.“

Tak, zda się, nawskroś oryginalny boski Plato tylko pogodził ducha praktyczności Sokratesowej z duchem spekulacyjnym poprzedników. W jego idei dobra widzą badacze impuls, nadany przez Sokratesa. Prawdopodobnie Sokratesowa myśl gatunków i rodzajów naprowadziła Platona na myśl o nieprzemiennych, niewidzialnych, nadziemskich ideach. Idea Platona o sprawiedliwości, jako prawie i obowiązku człowieka zarówno pojedyńczego, jak zbiorowego tkwi potem we wszystkich systemach filozoficznych, na idealizmie opartych, bądź w Grecyi, bądź w Rzymie.

Pojęcie piękna zawdzięcza Platon także Sokratesowi, który głosił, że bogowie są niewidzialni, równie jak dusza ludzka i, że dusza piękniejsza jest od ciała, że bogowie kochają dusze piękne. Sokrates dał zaczątki estetyki, rozwinięte potem przez Platona. Wielki twórca idealizmu posuwa tylko dalej postulaty pierwszych filozofów greckich. Również dokładnie dowiedli uczeni grocyści, że oryginalność Arystotelesa polega tylko na jego objektywizmie i empiryzmie. Po Sokratesie i Platonie było nader trudno coś nowego w spekulacyi filozoficznej powiedzieć. Arystoteles od syntezy poprzedników przeszedł do analizy i tu zdobył sławę i wielkość w empirycznem badaniu. Nie naśladowca, ale uczeń Platona nawiązał nici z szeregiem poprzedników realistów od Talesa do Demokryta. Od Platona i Sokratesa także zaczerpnął wiele, różnił się tylko z nimi metodą i sposobem użycia materyału. W teoryi wymowy stoi Arystoteles na gruncie doktryny Platona, rozwiniętej w „Fedrze.“ Tak więc w odrębnych prądach filozofii greckiej, idealizmie i empiryzmie, nawet w mistrzach i twórcach nowych kierunków widzimy tylko nieprzerwany łańcuch wiążących się i wzajem opierających teoryj i doktryn. Filozoficzna oryginalność Grecyi upada pod Rzymianami. Hellenizm oscyluje między chrystyanizmem, romanizmem, a oryentalizmem i z tego tarcia wiele na nim zostaje nawarstwowień. Epikureizm i sceptycyzm przeszedł z Grecyi do Rzymu, aby go rozłożyć i opanować. Nietylko literaturę grecką naśladują Rzymianie, ale i styl nawet budowli zapożyczają od Greków; różnica zachodziła najczęściej tylko w różnicy materyału, lub sposobie jego użycia. Już pierwszy pisarz rzymski Livius Andronicus był wykształcony na wzorach greckich, przerabiał tylko tragedye greckie. Noevius wzoruje się na Arystofanesie, Quintus, Ennius, nazwany przez Momsena pół-Grekiem, wzoruje się na Eurypidesie. Plaut w prologach swoich komedyj nieustannie powołuje się na swoje grec-

kie pierwowzory, dziś zaginione: Filemona, Difilosa, Menandra, Epicharma, Plaut naśladowca tworzy znowu licznych naśladowców w postaci Molière'a, Regnard'a, Addisona, a nawet Szekspira. Bardziej jeszcze niewolniczym wychowańcem Grecyi był Terencyusz. Wogóle poezye i literatura rzymska, to kwiat egzotyczny, przeszczepiony z Grecyi. Nie tylko filozofia, ale historya i retoryka okresu złotego opiera się na wzorach greckich. Z poetów Horacy opiera się na Safonie, Anakreoncie i Pindarze — Catullus na Safonie i Anakreoncie — Lukrecyusz to Grek-epikurejczyk. Wergilusz — idyllik wyrasta na Teokrycie. „Eneida“ — to parafraza, lub dalszy ciąg „Iliady i Odyssei.“ Fedr zawdzięcza niemal wszystko Ezopowi. Horacy to Grek-epikurejczyk, jak i Ovidiusz, parafrazujący w „Metamorfozach“ mity greckie. Z mówców wielki Cycero—to uczeń Greków—Hermagorasa, Demetrjusza, korzysta przytem z teoryj Arystotelesa.

Przeważnie naśladowcza jest i francuska literatura. Wolter—jak mówi Lanson w pięknej o nim monografii — pracuje we wczesnej młodości nad Edypem, chcąc, jak sam wyraża się, ulepszyć „szkic“ Sofoklesa. Klasyczne jego przywiązanie do mistrzów XVII w. nie związało go z ich nieśmiałym sposobem myślenia; zachwyca się Montaigne'em, wychodzi poza punkt widzenia wolnej myśli XVI w. za wzorem Bayle'a, Fontenella, Fenelona, La Motte'a. Ulega potem angielskiej cywilizacyi, która wpłynęła na duchową dojrzałość Woltera, uzbroiła go i podnieciła. Ulega tym wpływom w obcowaniu z najsławniejszymi pisarzami Anglii: Edwarda Younga, Gay'a, Berkeley'a, Popego, Sfifta. Metody dowodzenia zapożycza od deistów angielskich. Jako poeta w „Henryadzie“ naśladuje Wergiliusza i Tassa, w innych utworach—Ariosta. W „Tankredzie“ naśladuje tego ostatniego nawet przez pryzmat naśladującej Ariosta pani de Fontaine. Najbardziej oryginalnym był Wolter w historyi. Po Bossue'cie historyę należało dopiero stworzyć, po Wolterze trzeba ją było tylko doskonalić. W swoich opowieściach, dyalogach gromadzi wszystkie pierwiastki opowieści wschodniej, francuskiej, czy angielskiej. Bierze i z „Telemaka“ i z „Podróży Guliwera“ i z „Tysiąca i jednej nocy,“ z Bocaccia, Sfifta, z opowieści perskich i chińskich. Nawet w swej egzegezie biblijnej i krytyce początków chrześcijaństwa informował się u Bayle'go i Spinozy, u Gaulmin'a i Frereta. A jednak Wolter to wielka historyczna postać — ogromna rzeka, wzbogacona dopływami. Zresztą wielkość jego nie tyle polega na literaturze, ile agitacyi i propagandzie, żywem przejęciu się wolnomyślicielstwem, aż do fanatyzmu. Olbrzymi wpływ tego czło-

wieka na wiek XIX i nowe czasy daje się objaśnić tem tylko. Był to czynnik pośredni, otrzymujący od swoich czasów największą ilość pomysłów, które im następnie zwracał z zaraźliwą siłą namiętności i kuszącą potęgą talentu. Wpływ ten trudniej zbadać, niż wpływy Monteskiusza lub Rousseau'a. Wolteryanizm nie w wyraźnie sformułowanych doktrynach, ale w drobnych objawach faktów, jak deszcz skrapiający ziemię, dałby się ustalić, gdyby ustalono z należytą dokładnością stosunek zjawisk politycznych i społecznych do zjawisk moralnych i literackich. Wsiąkł on w społeczeństwa europejskie przez kilkanaście wydań dzieł Woltera tylko w ciągu czasu od r. 1817—1824 w ilości 1,598,000 tomów. Obrońca wolnomyślicielstwa i radykalnego liberalizmu oddziaływał jako artysta, filozof-publicysta i działacz społeczny, i wszystkie te czynniki krzyżują się nieustannie, oddziaływając przez świetny język i styl. A jednak w Wolterze mamy tylko do czynienia z jakąś koncentracyą i genialną przeróbką i przeobrażeniem stosowanem wolnomyślicielstwa i liberalizmu wszystkich czasów i narodów, a w szczególności Anglii i Francyi. Wychodzi z niego całe pokolenie tragików miernych we Francyi, we Włoszech czerpie z niego pełnemi garściami Alfieri. Wiersz jego płynny, równy i monotonny przetrwał aż do Lamartin'a. Zawdzięczając tyle Anglii, zwraca ten jej wpływ w postaci szkoły historycznej, którą spotykamy u Robertsona i Gibbona. We Francyi wpływ ten znajdujemy we wszystkich lepszych pracach, które nie są ze szkoły romantycznej. Zapożyczano od niego metodę i sposób wyrażania się. Romans wolteryański jeszcze dziś uprawia Anatol France i wielu pisarzy o stylu lekkim, uszczypliwym, jasnym, dowcipnym. Największy zaś wpływ Woltera był w zakresie polemiki i pamfletu. Oprócz Anatola France'a odnajdujemy wpływ jego i u innych wielkich pisarzy francuskich — Flaubert'a i Renan'a. Nawet u wielu ludzi, którzy się pogodzili z kościołem, pozostało niemało wolteryanizmu. Mniejszy oryginalnością i talentem od Monteskiusza, Rousseau'a, Buffon'a, Diderot'a, więcej od nich ma jednak wpływu. Na całym kontynencie w kilku pokoleniach odnajdujemy umysły wolteryańskie, w Hiszpanii i Portugalii, u Niemców, Węgrów, Polaków, Rosyan, Włochów. Widzimy jego oddziaływanie na największych pisarzy innych narodów, na sceptycznego Wiland'a, sarkastycznego Byrona, ironistę Heinego, który sam siebie nazywa „niemieckim słowikiem, wylęgłym w peruce Woltera."

Podobne zjawisko naśladowania w olbrzymich rozmiarach nieoryginalnego twórcy, ale naśladowcy dostrzedz możemy i w na-

szej literaturze. Jest to przybyszewszczyzna, wylęgła z wpływów niemieckich. Odbija się w niej pomimo odżegnywania się jej twórcy nietzscheanizm ze swą tęsknotą do udoskonalenia człowieka i wpływ krańcowego pesymisty Schopenhauera. Jednocześnie odnajdujemy tu mistyczny indywidualizm i symbolizm Ibsena i wpływ innych skandynawskich autorów, a nawet rzeźbiarza Vigeland'a i malarzy: Muncka i Felicyana Ropsa. Odnaleźlibyśmy tu i oddziaływanie muzyki, szczególnie — Chopin'a. Indyjska metampsychoza i wielkie wizye Słowackiego w „Królu-Duchu“ zapłodniły również wyobraźnię Przybyszewskiego. Wyrósł on zresztą już w tej epoce, kiedy modernizm, symbolizm, dekadentyzm Baudelair'ów, Maeterlincków rozwinął się bujnie i nie może przeto rościć prawa do tytułu twórcy modernizmu polskiego, który prędzej należy się Słowackiemu i Norwidowi. A jednak ten przetwórca obcych idei ma czysty ton jakiejś bezpośredniości, szczerości i prymitywności i wydaje się nam przy czytaniu dzieł jego, jak gdybyśmy byli na nieznanym dotychczas nikomu, dziewiczym gruncie. Nic też dziwnego, że siłą swego rozmachu, śmiałości, poetyckiego lotu stwarza u nas szkołę, suggestyonuje nietylko mnóstwo podrzędnych talentów, ale i duże talenty Żeromskiego i Reymonta.

Wogóle modernizm zresztą jest tylko zróżniczkowanym romantyzmem, wyrastającym już z takich rozwichrzonych romantyków-fantastów początku XIX w., jak Tick, Nowalis, Jean Paul Richter, Hofman. Nasz modernizm znacznie mniej może rościć pretensyi do samoistności i odrębności narodowej, niż romantyzm, który się silnie odcina od tła europejskiego po r. 1831. Modernizm jako „sztuka jednego dla jedynego,“ jak się sami określają jego przedstawiciele w bezwzględnym swym indywidualizmie, czerpiący wszystko z wnętrza „nagiej duszy,“ powinien być na wskroś oryginalnym i tylko jako taki może istnieć. Liczne wpływy i naśladownictwa odejmują mu przeto prawa do odrębnego kierunku. Jest on tylko dziwacznym kwiatem, wyrosłym w ogrodach romantyzmu.

A czyż romantyzm ze swym surowym potępieniem naśladownictwa pseudoklasyków jest odeń wolnym? Zna on tylko rozumniejsze i niemechaniczne naśladownictwo i tem góruje nad oschłemi odbitkami pseudoklasycyzmu. Weźmy dla przykładu jednego z mniejszych naszych romantyków. Zdaje się napozór, że Bohdan Zaleski jest organizacyą poetycką, mającą jedną, odrębną, wyrazistą, specyficzną nutę. A jednak bliższa analiza wykrywa w nim oddziaływanie i Byrona i Mickiewicza, są tu wpływy nie-

mieckie i oryentalne. Mimo to nikt nie odmówi Zaleskiemu wyrazistej, lokalnej, prowincyonalno-ukrainnej fizyonomii — to król gęślarzy i teorbanistów, did, bard Ukrainy, synteza jej piosnek, szumek i dumek. Mickiewicz, który naśladował Kochanowskiego, Trembeckiego, Zabłockiego, Homera, Petrarkę, Tassa, Schillera, Goethe'go, Byron'a, Lammenais'go — to jednak mistrz i twórca taki, o którym mówi Krasiński: „My wszyscy z niego.“ W tym ostatnim wpływie francuskiego pisarza mamy zresztą zobopólne naśladownictwo, wyrosłe na tle dużego podobieństwa charakterów i umysłów obydwu pisarzy. Po pewnym czasie Mickiewicz wypiera się wszelkich stosunków z Lammenais'em i każdy z nich idzie swoją odrębną drogą. I nie mamy powodu gnębić się naszą domniemaną wielką zależnością duchową od Zachodu. Każdy z wielkich pisarzy europejskich — to najwyższe drzewo w lesie, najwyższy szczyt, wyrastający ponad inne. Analiza ścisła wykazuje dowodnie, że nimb nadprzyrodzoności tak zwanych geniuszów jest nikły. Ani Carlyle, ani Macaulay ani Nietzsche z fanatycznem i entuzyastycznem uwielbieniem dla geniuszów, jako jedynych twórców kultury i cywilizacyi ludzkiej, ani Hennequin, twierdzący, że wielki artysta jest wolnym od wpływu rasy i otoczenia, nie dowiedli tego z mocą przekonywającą. Zbyt obniżający genialność Tołstoj, Taine, Lombroso również są za krańcowi. Zresztą niema obawy zmniejszenia uroku bohaterów i wielkich. Ludzkość zawsze czcić siebie będzie w swoich genialnych przedstawicielach.

Władysław Korycki.

PIŚMIENNICTWO.

SZYMON ASKENAZY. *Dwa stulecia XVIII i XIX.* Badania i przyczynki. Serya druga. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 581.

Serya druga pomniejszych pism historycznych autora „Łukasińskiego“ zawiera przeważnie prace drukowane w „Bibliotece Warszawskiej.“ Dlatego, nie wchodząc w szczegółowy rozbiór artykułów, znanych naszym czytelnikom, pokrótce jeno uprzytomnimy najważniejsze.

Zgodnie z tytułem książki, badania autora zamykają się w obrębie dwóch stuleci dziejów polskich; wszakże wiekowi XIX poświęcono tutaj niemal trzy czwarte dzieła, pozostałą dopiero część zajęły studya z zakresu epoki saskiej i stanisławowskiej. Prof. Askenazy w ostatnich latach z widocznem upodobaniem zwraca się do dziejów epoki porozbiorowej, rezultatem tych badań są, jak wiadomo, największe i najcenniejsze jego prace o „Księciu Józefie,“ „Łukasińskim“ wreszcie zwięzła, a tak w swem szerokiem ujęciu przedmiotu i wytrawności sądu wartościowa historya Rosyi i Polski w znamiennej dla obu tych narodów epoce 1815—1830 r.

Początkowe studya Askenazego dotyczyły niemal wyłącznie doby saskiej i czasów rozbiorowych; wszakże po napisaniu rozprawy doktorskiej o ostatniem bezkrólewiu („Die letzte polnische Königswahl“ — Getynga, 1894 r.), „Przymierza polsko-pruskiego“ i szeregu pomniejszych szkiców z tej epoki (p. „Dwa stulecia,“— serya pierwsza), jakby w dalszem rozwinięciu swych poszukiwań naukowych, zwraca się niemal wyłącznie do XIX-go stulecia, otwierając po raz pierwszy umiejętne i źródłowe badania nad dziejami Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego.

Pomieszczone w nowej seryi „Dwóch stuleci“ przyczynki do epoki przedrozbiorowej dotyczą incydentów wagi drugorzędnej, jak np. sprawy wydalenia z granic Rzplitej posła rosyjskiego, Grzegorza Fiodorowicza księcia Dołhorukiego („Do charakterystyki Augusta II“); negocyacyj dyplomatycznych na dworze berlińskim, prowadzonych jednocześnie przez Stanisława Poniatowskiego, gorliwego stronnika Leszczyńskiego, oraz hrabiego Manteuffla, posła świeżo podówczas obranego króla Augusta III-go („Komedya berlińska“); głośnej i hałaśliwej „sprawy Tarły,“ t. j. pojedynku pomiędzy Kazimierzem Poniatowskim, a stronnikiem Potockich, Adamem Tarłą. Z czasów ostatniego Sasa i pierwszych lat Stanisława Augusta pochodzi również pamiętnik prymasa Władysława Aleksandra Łubieńskiego. Mało naogół interesujący dziennik Łubieńskiego podany został przez wydawcę w najciekawszych wyciągach i poprzedzony świetną i dosadną charakterystyką pamiętnikarza.

Szkice historyczne z XIX-go wieku rozpoczyna rzecz o „Ministeryum Wielhorskiego,“ ważny przyczynek do przełomowej doby 1814—15 roku. Dalej następuje obszerna praca o charakterze syntetycznym p. t. „Pożegnanie stulecia,“ obrazująca stosunki na ziemiach polskich do 1830 r. z szerokiem uwzględnieniem dziejów powszechnych w tej epoce. W zarysie powyższym autor wypowiada wiele niezwykle trafnych uwag o polityce międzynarodowej Europy ponapoleońskiej i w pełnem świetle badania naukowego uwypukla znaczenie kwestyi polskiej, jako jednego z najdonioślejszych czynników w grze dyplomatycznej i machinacyach politycznych mocarstw europejskich. Ostatnie trzy szkice dobrze są w pamięci czytelników naszych zapisane; więc „Trybun gminu,“ Rupiński, postać dotąd wcale nieznana, pozostająca w cieniu, będąca wszakże nader charakterystycznym odbiciem stosunków włościańskich w Królestwie Polskiem; „Pierwszy syonista polski,“ Salomon Płoński, rzekomy „syonista,“ a w oczach Nowosilcowa niebezpieczny intrygant i działacz polityczny, w rzeczywistości Bogu ducha winien pobożny pielgrzym do Ziemi Świętej. Wreszcie zamyka tom szkic o „Dozorze konsulackim w Warszawie,“ oświetlający robotę pruską w stolicy Królestwa, przedewszystkiem osławionego Schmidta, jednocześnie zausznika W. Ks. Konstantego, przyjaciela Nowosilcowa, poczem, w ciągu rewolucyi listopadowej, rzekomego przyjaciela i doradcy Rządu Narodowego polskiego, zawsze zaś i prawdziwie wiernego sługi Prus.

W obszernych przypisach do „Dwóch stuleci“ podaje prof. Askenazy ważny dla badaczy materyał źródłowy, wydobyty prze-

zeń z archiwów rządowych i prywatnych, zarówno krajowych, jak zagranicznych.

Niepodobna wreszcie pominąć nastręczającej się każdemu czytelnikowi „Dwóch stuleci“ uwagi o głębokiem poczuciu obywatelskiem autora, uwidoczniającem się w jego poglądach na sprawy publiczne. Nie jakaś tendencya stronnicza lub z góry powzięta teza, lecz szczere a jędrnie i mocno wyrażone rozumienie, jasny i trzeźwy sąd niepospolitego znawcy przeszłości naszej, cechuje każdą pracę Askenazego. Obok rzetelnej zasługi naukowej należy podkreślić i tę niepoślednią cnotę pisarską autora „Dwóch stuleci.“

H. M.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI. *Dzień sądu* („Synów Ziemi“ część wtóra). Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethnera i Spółka, 1909, 8-o, str. 453.

Była chwila, kiedy imię Przybyszewskiego brzmiało donośnie po całej Warszawie. W r. 1900 przestał on wydawać w Krakowie *Życie*, którego numery tylko ukradkiem, od czasu do czasu, dochodziły przez kordon rąk naszych: opuścił szeregi „paona“ tamtejszego, i nagle... nadeszła do naszego grodu wieść, że przyjeżdża z odczytem. I wówczas to o niczem innem nie mówiło się w Warszawie, jak o „modernizmie,“ „nagiej duszy,“ „nowej sztuce,“ o nikim innym, jak o autorze „De profundis,“ o którym zresztą większość czytelników i słuchaczy dość mętne miała wyobrażenie.

I przyjechał, i wypowiedział impresyę o „synu ziemi,“ Kasprowiczu, i oczarował swadą niepospolitą. A potem następuje apogeum jego popularności: nietylko przekłada jeden po drugim swe dawne utwory, pisane po niemiecku („Homo sapiens,“ „De profundis,“ „Dzieci szatana,“ „Synagoga szatana,“ „Na tym padole płaczu“), ale i pisze nowe, już w ojczystym języku, z pomiędzy których powieść „Synowie ziemi“ najbardziej zainteresowała czytelników; co więcej, występuje przed publicznością z najlepszą cząstką swego dorobku piśmienniczego, dramatami: „Dla szczęścia,“ „Złote runo,“ „Matka,“ „Śnieg,“ które, wystawiane kolejno na scenach polskich, wywołują istotnie „nowe dreszcze.“

Ze „Śniegiem“ (1903) i „Synami ziemi“ (1904) kończy się pięcioletni okres rozkwitu talentu i popularności Przybyszewskiego. Przychodzą inni, nie tyle może bardziej utalentowani, ile szer-

sze zataczający widnokręgi myśli: Kasprowicz i Wyspiański, Reymont i Żeromski, każą zapomnieć o tak gorących a niedawnych jeszcze sporach o „białe pawie," o „nowe symbole... nowe słowa, nową barwę, nowy dźwięk." Późniejsze utwory Przybyszewskiego przechodzą bez wrażenia: ani dramat realistyczno-nastrojowy „Śluby" (1905), ani symboliczno-filozoficzna „Odwieczna baśń" (1906), nie zdołały odwrócić uwagi od „Wesela" i „Wyzwolenia," od „Popiołów" i „Dziejów grzechu," od „Chłopów" wreszcie.

I zdawało się, że gwiazda Przybyszewskiego zgasła na zawsze: wyjechał z kraju, od trzech lat nic nie tworzył, zaprzestano interesować się losem niedawnego ulubieńca.

Dziś Przybyszewski przypomina o swojem istnieniu, snuje przędzę swych marzeń, czasem gorączkowych, a zawsze tak bolesnych, podejmuje na nowo porzucony w „Synach ziemi" przedmiot. Wydaje drugą część tej powieści, p. t. „Dzień sądu."

Kto są ci „synowie ziemi?" Artyści — w przeciwstawieniu do obojętnego im, a często wrogiego „tłumu." „Artyści—że zacytujemy tu własne słowa, pisane przed pięciu laty—czują w sobie górne myśli i uczucia, męczą się, tworzą coś, są mózgiem i nerwem społeczeństwa; a tłum odpycha ich ze wzgardą lub przechodzi obok nich obojętnie, bo obce mu są cele sztuki, dążności i ideały." „To jest ta straszna tragedya prawdziwego artysty—mówi Przybyszewski w pierwszej części „Synów ziemi"—że jest narzędziem jakiejś niewidzialnej potęgi, która mu tworzyć każe. Ma ona widocznie w tem jakiś ukryty, nieznany cel; aby go osiągnąć, wyszukuje sobie męczenników i, aby mogli tworzyć, niszczy im życie, robi ich ostatnimi nędzarzami, podstawia im nogę na każdym kroku, robi ich duszę smutną i przeczuloną, by to samo, co innych zaledwie dotknie, ich śmiertelnie raniło."

Oto „tragedya artysty" w pojęciu autora „Synów ziemi," tragedya, która jednocześnie w „Próchnie" Berenta znalazła wyraz artystyczny. A poza tem jest jeszcze w tej dziwnej powieści inna myśl, zagadka, którą Przybyszewski tylokrotnie stawiał w swych utworach: sprawa miłości płciowej, tej „kosmicznej potęgi, przeznaczenia całej ludzkości, jej mocy, która nad człowiekiem stoi i wymrzeć mu nie pozwala."

Mimowoli przypomina się trylogia „Homo sapiens" i historya tej biednej Maryi, którą bohater powieści, Eryk Falk, odbiera swemu przyjacielowi Mikicie, zaś potem wyrzuca „przez pokład," a depcąc jej serce „po drodze," w ten sposób uspokaja, jak się wyraża, „okruchy głupiego sumienia:" „I dlaczego miałbym się męczyć? Śmieszne! Czy błyskawica wie, dlaczego zabija? A ma-li

wolę pokierować się tak, jak zechce?! Nie, może tylko skonstatować, że tam i tam uderzyła lub to albo owo zniweczyła. I ja konstatuję i zaciągam do protokółu, żem zniszczył niewinną gołąbkę.“

Jakże jesteśmy od tego dalecy! Gdzie „synowie ziemi?“ gdzie stali bywalcy kawiarni Turlińskiego w Krakowie? Smutną odpowiedź na to pytanie daje ostatnia powieść Przybyszewskiego: „Jeden powiesił się na sercu największego dzwonu katedry w Burgos—innemu zdawało się, że ma skrzydła, wyskoczył z wieży paryskiej „Notre Dame“ i krzyże sobie połamał, inny zaś udławił się muzyką, a tamten znowu został redaktorem antysemickiego pisma, by po pół roku stać się zaciekłym syonistą — trzeci znowu, zniszczony rozpustą i pijaństwem, stał się głównym filarem eleuteryi — czwarty, piąty...“ Już wówczas przecie, przed dziesięciu laty, ta jedyna w swoim rodzaju kolonia artystyczna na naszej glebie nosiła w sobie zaród zgonu, ową śmiertelną „malaryę,“ która zatruwa organizm i zabija duszę.

Ale nie rozproszenie dzieci „paona,“ nie śmierć ich, fizyczna lub moralna, jest tu rzeczą główną. Główną rzeczą jest to, że Przybyszewski, który już w „Ślubach“ i „Odwiecznej baśni“ zdawał się wyrażać wątpliwość o swych dawnych ideałach życiowych, dziś odwrócił się od nich ze wzgardą i — krzyż nad nimi postawił. Wcieleniem tej nowej ewolucyi duchowej autora „Dzieci szatana“ jest w „Dniu sądu“ Korfini. „Czemu Mickiewicz przestał pisać?—woła on do swego przyjaciela, Czerkaskiego—Zbrzydło mu to wszystko. Zrozumiał, że najdrobniejszy Czyn tysiąc razy więcej wart, aniżeli cała ta pisanina. A wiesz ty, co to jest Czyn? Dopóki piszesz, dopóki na papier możesz wyładowywać wszystko to, co czujesz, wszystko to, cobyś chciał, aby tak było, a nie jest, uspokajasz twoje pragnienia i tęsknotę i nie wiesz, co jest Czyn.“

Tak przemawia jeden *ci devant* Syn Ziemi do drugiego. Zbrzydła mu „ta pisanina“ i zaciągnąć się gotów pod chorągiew Monsalwata. I znalazł potęgę, ale nie tam, gdzie jej niegdyś szukał, kiedy przez usta jednego z bohaterów „Dzieci szatana“ wołał: „Ale znam i ubóstwiam jedną rzecz, jedyną, która jest piękna... a jest nią potęga, potęga, potęga,“ nie przy stoliku kawiarnianym, nie w pracowniach zjedzonych gruźlicą, alkoholem i syfilisem artystów, ale—u ludzi, którzy są granitowym cokołem wielkiej budowy społecznej. „Tyś majaczył o Synach Ziemi — mówi nowy Przybyszewski-Korfini do dawnego, który tu nazywa się Czerkaskim — widziałeś ich w cherlakach, przeżartych malaryą,

którą Wisła zieje, widziałeś ich w zdegenerowanych estetach, w bezzębnych młodzieniaszkach, ale zapomniałeś o rzeczywistych Anteuszach, tych, którzy z ziemi wyrośli, w niej tkwią, z nią tak zrośnięci, że żadna moc ludzka, ani nawet Boska, ich od niej nie oderwie."

Tak! to są nowe akordy, nigdy dotąd nie słyszane! To coś brzmi, jak spowiedź powszechna, jak wielkie, wobec całego narodu, *confiteor* i „kaję się."

Korfini pragnie być takim Anteuszem. Rzuca się w wir pracy narodowej. Pragnie Czynu z całą gorączkową niecierpliwością neurastenika, chce „splunąć na pisane słowa i zwrócić się ku Czynom." Wydzierżawia jakieś krzyżackie zamczysko nad brzegiem Wisły (rzecz się dzieje w zaborze pruskim) i z pomocą swego pociotka, dzielnego szypra Michalskiego, i jego młodej, energicznej, a śmiałej żony, Michaliny, urządza w podziemiach tajną drukarnię, zasypuje kraj odezwami, nawołującemi do strejku szkolnego, do tej „wojny krzyżowej dzieci," aż wreszcie, aresztowany wraz ze swoimi towarzyszami pracy podziemnej, ciężko odpokutować będzie musiał za tę próbę Czynu.

Mimowoli przychodzi na myśl inna agitacya i inne przygotowania, w „Dzieciach szatana," których dusza „rozpłomieniła się rozkoszą zniszczenia," którzy knuli w cichości wielki spisek, mający na celu: zrabować kasę miejską, puścić z ogniem ratusz, podpalić fabrykę, jedną, drugą, miasto całe, a potem... to początek końca. „Całe miasta, całe prowincye, cały kraj, cały świat zniszczyć: to byłoby prawdziwe szczęście..."

Między tamtym a tym czynem—przepaść cała. Ale są i cechy wspólne. Przedewszystkiem -- przecenianie swoich sił, właściwe ludziom, którzy dokonywali wielkich czynów—w marzeniu. Bohaterowie „Dzieci szatana" wierzą, że, byleby w kilku dobrze osadzili się w nogach, a barami wparli w mur, runie cała budowa społeczna. A Czerkaski z całą naiwnością rozmyśla w duchu: „Chryste Panie, jak on (t. j. Korfini) i ja weźmiemy się za ręce, to i cały świat, przynajmniej ten ohydny pruski, z posad wyważymy!"

To są tylko „sny o potędze," a choćby aktualni lub byli „synowie ziemi" nasypali jeszcze większą górę podobnych frazesów, które nie są niczem innem, jak tylko malowaniem dyabła na ścianie, żadna z mocy ziemskich ani drgnie w swoich posadach.

I to nietylko dlatego, że tych spiskowców jest tak przerażająco nieliczna garstka, ale i temu także — i tu jest drugi punkt styczny „Dzieci szatana" z „Dniem sądu" — że nie są oni zdolni

do żadnego czynu: degeneranci, schyłkowcy, neurastenicy, histerycy, w żarze gorączki, na progu obłędu, w przededniu samobójstwa, między jednym a drugim przystępem *delirium tremens*, mogąż stary świat zburzyć, a nowy zbudować? Ich potęga jest tylko złudzeniem, marą podnieconej wyobraźni, dreszczem roztrzęsionych nerwów.

Nie wierzymy też, by Korfini istotnie mógł żyć i działać w świecie realnym; raczej, jak Czerkaski, w „ogrodzie udręczeń," snów, wizyj i zmor gorączkowych, niekiedy o charakterze sadystycznym. I jakże to? Zaznawszy już wszystkiego i wszędzie znalazłszy na dnie kielicha gorzki osad rozczarowania, „ochynąwszy się we wszytko," jak mówi Trzecieski o Reju, z duszą, przeżartą jadem „malaryi," szuka Korfini nowych dreszczów w konspiracyi narodowej? byłbyż to nowy środek podniecający, morfinizowanie się patryotyczne? Przykre to bardzo, ale trzeba sobie powiedzieć wyraźnie: ojczyzna nie będzie miała pociechy z takich Korfinich, jak syci posiadaniem nie mają powodu obawiać się światoburczych zapędów „dzieci szatana."

Dało nam się słyszeć zdanie, że „Dzień sądu" znamionuje w twórczości Przybyszewskiego zwrot w kierunku ideałów narodowych. Zdanie to błędne najzupełniej, i to z dwóch względów: raz, że swoje uczucie narodowe Przybyszewski wypowiedział już dawniej, i to w formie o wiele piękniejszej, w szkicu „Z ziemi kujawskiej," w owych tak przeraźliwie smutnych obrazach kolebki Polski, zakątka ziemi nad Gopłem; a potem — nie trafia nam do przekonania cała ta sprawa Korfiniego, zagnana w ciasny kąt powieści, akcya polityczna rozbitków życiowych, których jedynem marzeniem jest napełnić pustkę swej duszy, zagłuszyć żrący ból wspomnień przeżyć i nadużyć życiowych.

Byłoby ubliżającem powiedzieć autorowi polskiemu, że przypomniał sobie o Polsce wtedy dopiero, kiedy mu już wątku duchowego na resztę dni żywota nie stało!

Pod innym natomiast względem „Dzień sądu" jest, do pewnego stopnia, epoką w twórczości Przybyszewskiego. Nie napróżno „dniem sądu" utwór ten nazwany. Przybyszewski-Falk, nadczłowiek, mocarz ducha, który w „Homo sapiens" druzgotał po drodze istnienia ludzkie chwilowej rozkoszy gwoli, przerodził się teraz w Czerkaskiego, dręczonego wyrzutami sumienia grzesznika. Przybyszewski i w dawniejszych swych utworach (np. w dramatach) dawał wyraz plastyczny swej wierze w wyższy porządek moralny świata, niemiłosiernie, jak *ananke* grecka, karał za winy. Ale nigdzie ta kara nie jest przeprowadzona z taką

nieodwołalną konsekwencyą, jak w „Dniu sądu,“ tak po ludzku, bez wszelkiego udziału potęg nadprzyrodzonych. Nie jakiś mistyczny Nieznajomy, jak w „Złotem runie,“ który przychodzi nastawiać zegary życia na godzinę zemsty, jest ręką sprawiedliwości, ale istota żywa, a niewinna: dziecko.

Czerkaski zabrał swemu przyjacielowi, Glińskiemu, żonę, Hankę. To grzech, „to się mści,“ jak mówi ktoś w „Złotem runie.“ Gliński bowiem odbiera Hance dziecko, małą córeczkę Basię, nie pozwala jej nawet widywać tej drobnej istotki, do której ciągnie Hankę z całą żywiołową potęgą macierzyńskiego uczucia...

To męka, to straszna męka! A wraz z Hanką cierpi i Czerkaski, który daremnie usiłuje wyrwać jej z serca tę nieszczęsną miłość. I to jest właśnie „dzień sądu...“

Przybyszewski przejdzie do literatury przedewszystkiem, jako dramaturg, który istotnie wytknął nowe drogi, a choć jednostronny był w swych pomysłach, choć sztuki jego tak przygnębiająco oddziaływają na dusze ludzkie, dzisiejszy teatr polski wiele mu zawdzięcza, jako temu, który wynalazł nowe środki ekspresyi scenicznej.

Powieści zaś nie są niczem innem, jak literacką manifestacyą takich lub innych poglądów autora. I „Dzień sądu“ nie wybiega poza tę linię: jest niewątpliwie ciekawy nie tyle jako dzieło sztuki, ile jako obraz zmieniających się nastrojów duchowych pisarza tej miary, co Przybyszewski.

Henryk Galle.

STEFAN ŻEROMSKI. *Andrzej Radek, czyli Syzyfowe prace.* Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1910. Nakład Kasy Przezorności i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich, 8-o, str. 288.

„Syzyfowe prace“ do niedawna należały do tych dzieł, które czytywało się ukradkiem, których egzemplarze chodziły z rąk do rąk, rozpalając serca szczytnym ogniem zapału dla dobrej sprawy.

Dziś—zmieniły się warunki o tyle, że „Syzyfowe prace“ pod zmienionym tytułem, jako „Andrzej Radek,“ uzyskały prawo wstępu do Królestwa, nic, albo niewiele straciwszy na swej wartości etycznej i narodowej.

I dzisiaj bowiem powieść ta jest głośnym aktem oskarżenia, rzuconym dotychczasowemu systemowi szkolnemu w „Kraju Przy-

wiślińskim;“ i dziś jeszcze, chociaż stosunki takie, jakie przedstawił Żeromski w obrazie szkoły gminnej w Owczarach i w gimnazyum klerykowskiem, uległy pewnym zmianom, nie przestaje utwór ten budzić żywego serca bicia.

I nietylko dlatego, że każdy z nas odnalazł tam cząstkę siebie samego, swe dzieciństwo nie sielskie i nie anielskie, niestety! i swą młodość chmurną, ale nie górną, że w portretach czcigodnych pedagogów klerykowskich poznał tych, których samo wspomnienie, we śnie bodaj, zimnym dreszczem wstrząsa duszę i potem zlewa czoło. Nietylko dlatego! W „Syzyfowych pracach“ bowiem jest coś więcej nad sensacyę „nie dozwoloną:“ jest to, co nie zawsze spotkamy w późniejszych utworach Żeromskiego—donośny okrzyk nadziei i wiary w niezmożoną żywotność narodu, któremu żadna siła Arymana wydrzeć nie zdoła z piersi uczuć najświętszych, z mlekiem z piersi matki wyssanych; w powieści tej brzmi radosny hymn życia, naprzekór wszystkiemu, naprzekór rozpaczy i zwątpieniu i pesymizmom wszelakim, które później dopiero miały wystudzić w duszy autora „Dziejów grzechu“ wiarę w możność zwycięstwa światła nad mrokiem, Ormuzda nad Arymanem.

Tymczasem na „Andrzeju Radku“ możnaby położyć, jako motto: *Contra spem spero.* A zmiana tytułu nie jest tu rzeczą pośledniejszej wagi. W całej powieści nie widać, że wysiłki Borowicza i jego kolegów, by strząsnąć z siebie naleciałości, jakie osiadły na ich duszach młodocianych podczas dziewięcioletniego pobytu w gimnazyum klerykowskiem, mają być daremne i bezpożyteczne, jak—trudy Syzyfa. Tytuł więc ten nie odpowiadał istotnej treści ideowej utworu.

„Andrzej Radek“ ma znaczenie niemal symbolu. Jeden z wychowańców klerykowskich, syn fornala, dziwnym trafem losu, dzięki rozciągniętej nad nim opiece szlachetnego dziwaka-idealisty, dopuszczony do udziału w dobrach duchowych cywilizowanej ludzkości, po jego śmierci ciężko, własną siłą zdobywający sobie coraz dalsze stopnie wiedzy w postaci promocyj z klasy do klasy, w powieści postać drugorzędna, w kilku zaledwie epizodach uwydatniona, by zniknąć nanowo w tłumie kolegów, stał się teraz osią krystalizacyi dążeń i wskazań ideowych autora.

Powieść równie dobrze mogłaby nosić tytuł „Bernard Zygier,“ od imienia jednego z uczniów, Żyda, chociaż występuje on w jednej tylko scenie, ale jakże pięknej, kiedy, przeniesiony z Warszawy do Klerykowa za „niebłagonadiożnost',“ na pierwszej lekcyi języka polskiego („miejscowego“ według nomenklatury urzę-

dowej) wobec zdrętwiałego z przerażenia nauczyciela i rozgorączkowanych kolegów podniesionym głosem deklamuje „Redutę Ordona.“

Chłop-Radek, Żyd-Zygier odegrali wobec głównego bohatera powieści, Marcina Borowicza, którego dziesięcioletnie dzieje odtworzył tu Żeromski, rolę Wirgilich, wyprowadzających duszę nieświadomą z otchłani piekielnej ku—Beatryczy, „umiłowanej odtąd i na wieki.“ Oni to poruszyli w duszy tego młodego szlachcica najgłębsze pokłady, o których istnieniu sam on nie wiedział, jakiś płacz „nie wiedzieć czyj, nie wiedzieć kiedy słyszany, a może nie słyszany nigdy, tylko razem z istnością poczęty w łonie matki, gdy brzemienna chodziła około uwolnienia męża z fortecy i w milczeniu płakała nad klęskami, nad niedolą i boleścią ginącego powstania...“

Pod wpływem tych dwu kolegów Borowicz, a z nim i inni potomkowie rządzącej niegdyś kasty z płomiennym zapałem rzucają się na utwory polskiej poezyi rewolucyjnej i z uczniów wzorowych, uczęszczających na urządzane przez dyrekcyę szkolną przedstawienia teatralne, na posiedzenia kółka literackiego w domu inspektora i pod jego okiem, solidaryzujących się biernie z duchem „dopełnień“ profesora Kostriulewa do kursu historyi powszechnej, w których błotem obrzucano całą świętą przeszłość narodu polskiego, przeradzają się w marzących o odwecie konspiratorów.

Jakąkolwiek drogą idzie to odrodzenie, czy istotnie nie dokonałoby się ono samorzutnie, bez udziału Radka lub Zygiera, nie będziemy się o to spierali z autorem. Dość, że dokonało się, dość, że na miejsce pokoleń starych, którzy „takie widzą świata koło, jakie tępemi zakreślą oczy,“ smutnych rozbitków życiowych (dwaj radcowie Somonowicz i Grzebicki, profesorowie Sztetter i Klejn, nauczyciel wiejski Wiechowski) i smutniejszych jeszcze renegatów (dyrektor Jaczmieniew, Majewskij) staje do walki o najdroższe skarby narodowe pokolenie nowe, pomnożone zastępami najlepszych jednostek z ludu w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, świadcząc o żywotności niezłomnej ducha narodu.

Kąpielą ożywczą dla skołatanych dusz jest „Andrzej Radek,“ jednym z tych utworów poezyi, które budują, nie jednym z tych, które niszczą.

H. G.

Malarstwo polskie w odbitkach barwnych. Nakładem i pod redakcyą Stefana Kulikowskiego. Tom I. Warszawa, 1910, Gebethner i Wolff.

Kult piękna, który na Zachodzie oddawna już jest udziałem szerszych mas społecznych, z konieczności wyciska swe piętno na wszelakich objawach wytwórczości ludzkiej. W żadnej dziedzinie idea sztuki nie ujawnia się z taką siłą, jak w wydawnictwach, służących dla jej popularyzacyi. Francya, Anglia, Niemcy, wogóle cała środkowa Europa, posiadają już całe biblioteki dzieł i wydawnictw zbytkownych, których przeznaczeniem jest rozkrzewianie sztuki wśród intelektualnego ogółu — w tym względzie tradycya jest już urobioną, drogi zbytu znane i zbadane oddawna.

Wydawnictwa luksusowe weszły, jako cząstka składowa duchowych potrzeb wszystkich cywilizowanych narodów. Służąc interesom sztuki, są one—dzięki postępom w dziedzinie drukarstwa i grafiki — rzeczywistemi dziełami sztuki. Koniec zeszłego i początki obecnego stulecia dają obraz tak żywotnej i energicznej pracy na polu wynalazków, mechaniczna reprodukcya doszła do tak niezwykłego stopnia rozwoju, że posiadanie doskonałej kopii choćby najcenniejszych oryginałów, może być dostępne dla każdego.

Wydawnictwa ozdobne mają wielką przyszłość przed sobą. Podnoszenie się intelektualnego poziomu wśród ogółu idzie w parze z rozwojem zamiłowania do sztuki. Jest ona takąż samą potrzebą wykształconego osobnika, jak wiedza, uszlachetnia go, podnosi—nic więc dziwnego, że łaknie jej plastycznego wyrazu. Zadaniem artystycznej reprodukcyi tworów pendzla lub dłuta, jest przenoszenie w najdalsze kresy ruchu umysłowego, iskry Bożej, tkwiącej w geniuszu kreacyjnym artystów. Są to daleko i szeroko rozchodzące się promienie wiekuiście tlejącego w duszy ludzkiej zarzewia idealnych pragnień, płynące jasną strugą z ogniska twórczego natchnienia.

Nasze społeczeństwo w rozwojowem dążeniu ku duchowej doskonałości przechodzi ewolucyjne etapy rozrostu intelektualnej potrzeby sztuki. Podążając w tym względzie nieco w tyle za Zachodem, wchodzimy już z kolei w okres, w którym sztuka z wyżyn niedostępnych dla tłumów zaczyna wsiąkać w umysły i uczucia coraz to liczniejszej rzeszy. Dla ogółu nie jest już ona martwą literą, zamkniętą i niedostępną świątynią — zaczyna pociągać ku sobie większość nawet przeciętnych już umysłów.

Stanowczo twierdzić to można, że nadszedł czas podjęcia pracy nietylko nad wzmożeniem się naszej sztuki rodzimej, lecz i na jej popularyzacyę w najszerszem słowa tego znaczeniu.

Wydawnictwa z tą myślą podjęte mają racyę bytu, wynikają one z impulsywnego ruchu umysłów ku przyswajaniu sobie istoty sztuki. Ruch w tym kierunku musi się wzmagać, gdyż z rokiem każdym coraz to bardziej uświadamiany ogół, coraz to szerszy zakres potrzeb duchowych przyswajać sobie będzie.

Ostatnie lata wzbogaciły dziedzinę wydawnictw, sztuce poświęconych, niezwykle bogatym plonem. Wielu już z naszych znakomitych artystów doczekało się poważnych monograficznych pomników, że wspomnę: Matejkę, Kossaka, Siemiradzkiego, Gierymskich, Andriollego, Podkowińskiego... Współczesne, nurtujące wśród artystów najświeższej doby, prądy, znalazły swój wyraz w wydawnictwie, kierowanem przez F. Jasieńskiego i Cybulskiego, p. t. „Sztuka polska.“ Niema roku, aby w tym kierunku nie zjawiło się coś nowego.

Mimo to wiele pozostawało do zrobienia. Czuli to artyści, czuła publiczność.

Brakło nam przedewszystkiem dostępnego dla każdej interesującej się sztuką polską jednostki wydawnictwa, któreby w żywotnej, plastycznej formie dało całokształt twórczego dobytku naszego malarstwa.

Brakowi temu postanowił zaradzić właściciel „Salonu Sztuki“ p. Stefan Kulikowski, wypuszczając w świat pierwszy tom monumentalnego iście dzieła p. t. „Malarstwo polskie w odbitkach barwnych.“

Jaki sobie cel zakreślił wydawca tłómaczą dostatecznie słowa wstępu: „Współczesne malarstwo polskie — pisze p. Kulikowski— mające poza sobą długą, bo przeszło półtorawiekową tradycyę, tak bogate w zdarzenia pierwszorzędnej doniosłości artystycznej, zajmujące już dziś wybitne stanowisko w ogólnej sztuce europejskiej przez zamanifestowanie się kilku indywidualności bezwzględnie genialnych, a wielu talentów pierwszorzędnych i przez wysoki poziom ogólnych dążeń estetycznych — malarstwo to nie zostało dotychczas ujęte w pewien całokształt, nie znalazło dość wymownego wyrazu w dziele, któreby dało możliwie dokładne odbicie całej jego istoty. Szczególnie odczuwać się daje u nas brak wydawnictwa, któreby przedstawiło historyę nowożytnego malarstwa polskiego w wyborowych reprodukcyach barwnych, w reprodukcyach, oddających wiernie nietylko stronę rysunkową, ale i wszystkie zalety kolorystyczne oryginałów. Prowadząc największy w Polsce prywatny Salon sztuk pięknych, związani stosunkami z najwybitniejszymi artystami polskimi i galeryami w kraju, rozporządzając bogatym, ciągle płynącym materyałem ze sztu-

ki współczesnej i retrospektywnej, jesteśmy szczególniej powołani do podjęcia takiego wydawnictwa i rozpoczynamy je, zdając sobie jasno sprawę z trudności i powagi zadania. Wydawnictwo nasze ma na celu dać przegląd o ile możności całego malarstwa polskiego w szeregu doskonałych reprodukcyj barwnych z najcelniejszych lub najbardziej charakterystycznych obrazów artystów polskich.“

Jak widać ze słów wydawcy, program, który sobie zakreślił jest niezwykle szeroki—urzeczywistnienie jego w zupełności wytworzy z pewnością ów tak upragniony a tak konieczny obraz historyi naszego malarstwa.

Tymczasem mamy tom pierwszy tej pomnikowej publikacyi, fragment całości, lecz dostatecznie wyrazisty, aby z niego módz sobie zdać sprawę z całości.

Dzieło, malarstwu polskiemu poświęcone, przedstawia się nadzwyczaj okazale — okładka gustowna daje swym wyglądem artystyczny przedsmak wewnętrznej treści. Całość zbliża się w formie do tak popularnych na Zachodzie albumowych zbiorów kopij barwnych. Tom, obecnie wydany, mieści w sobie czterdzieści osiem znakomicie wykonanych w praskich zakładach Hussnika klisz trójbarwnych. Plansze te, naklejone na szarych kartonach, przedzielają karty tekstu. Autorami tekstu są: Tadeusz Jaroszyński, Antoni Gawiński, Stefan Popowski, Maryan Wawrzeniecki, Antoni Piotrowski, Henryk Piątkowski oraz sam wydawca.

Podstawową zaletą wydawnictwa jest wartość artystyczna reprodukcyj. Są to rzeczywiste kopie, na które patrząc, zapominamy, iż są wykonane mechanicznie za pomocą klisz fotograficznych i trawionek cynkowych. Najmniejszy szczegół oryginału, każdy sztych, każde pociągnięcie pendzla, są tu do złudzenia naśladowane — każda nawet przypadkowość powierzchni płótna lub chropowatości pokładu farb, nie są zatracone. Wydawnictwo nasze może śmiało rywalizować nawet z angielskiemi publikacyami, jak np. „The nation's Pictures“ lub „Great Pictures in private Galleries,“ które dotychczas uchodziły za ostatnie słowo sztuki graficznej.

Tyle co do strony zewnętrznej wydawnictwa—treść jego artystyczna stoi również na bardzo wysokim poziomie, dając nam wierne odbicie twórczości naszych malarzy. Nie trzeba zapominać, że jeden tom całości, obrachowanej na kilka tomów, jest tylko fragmentem i, jako taki, nie wyczerpuje materyału.

Zaznaczyć należy przedewszystkiem umiejętny układ, który utrzymuje ciągłe zaciekawienie przez przeplatanie obrazów o rozmaitej treści i kierunkach.

Zacząwszy od Brandta, którego przepyszna kreacya rozpoczyna wydawnictwo, spotykamy w dalszym ciągu nazwiska: Boznańskiej, Siemiradzkiego, Wojciecha Kossaka, Gersona, Malczewskiego, Kędzierskiego, Bilińskiej, Gryglewskiego, Matejki, Piechowskiego, Masłowskiego, Chlebowskiego, Żmurki, Tadeusza Ajdukiewicza, że wymienię znakomitszych. Czasy początkowej naszej sztuki mają swych przedstawicieli w Bacciarellim, Lampim i Rustemie—epoka przed Matejkowska w Lesserze, Marcinie Zaleskim, Straszyńskim — ostatnia doba w Wawrzenieckim i Gawińskim. Przerzucając karty albumu, w barwnym kalejdoskopie podążamy za twórczością tylu artystów, w tak rozmaitych kierunkach, odczuwamy przyświecające im ideały, słuchamy bicia ich serca nieledwie.

Karty tekstu przy każdym z reprodukowanych obrazów mieszczą zwięzłą charakterystykę artysty obok dat biograficznych i wyliczenia ważniejszych dzieł. Znaleźć tu można bardzo wiele źródłowego materyału, który nie jednym przyczynkiem wzbogaci przyszłą historyę sztuki naszej.

Zjawienie się „Malarstwa polskiego“ jest objawem wielce pocieszającym — urzeczywistnia ono ogólne pragnienie w sposób nadspodziewanie szczęśliwy, a nasze ozdobne wydawnictwa pomnaża dziełem kapitalnem o wysoce artystycznej wartości. Chodzi o to, aby w jaknajprędszym czasie, ukazał się tom następny i dalsze. Materyału niezbraknie.

H. Piątkowski.

Kronika miesięczna.

Na marginesie dyskusyi w sprawie żydowskiej. — Ilu Polaków mieszka w Rosyi?—Projekt uczczenia setnej rocznicy śmierci Hugona Kołłątaja.—50-lecie *Tygodnika Illustrowanego*.—*Ziemia*, organ Polskiego Towarz. Krajoznawczego.

Od dłuższego już czasu w prasie polskiej rozmaitych obozów i rozmaitych odcieni toczy się dyskusya w sprawie żydowskiej. Jedni publicyści piszą szczerze i wypowiadają się otwarcie, inni zasłaniają się doktrynami i własne swoje zdanie skrywają pod korcem. Wypowiedzieli się już niemal wszyscy, nie wyłączając prasy żargonowej, której głos po raz pierwszy zabrzmiał w chórze ogólnym.

Streszczać tej dyskusyi obszernej, dotykającej niemal wszystkich stron współżycia naszego z Żydami—niepodobna, a bodaj nawet byłoby rzeczą niepotrzebną ze względu, że dyskusya ta dotychczas żadnych wyników nie dała.

Dość będzie, jeżeli powiemy, że sprawa obraca się nieustannie dokoła jednego zagadnienia. Zagadnieniem tem jest kwestya asymilacyi. Ogół publicystów, podobnie zresztą jak ogół społeczeństwa polskiego, podzielił się w zetknięciu z tą kwestyą na dwie grupy, z których jedna oświadcza się za wskrzeszeniem programu asymilacyjnego i widzi w nim zagojenie rozjątrzonej obecnie „rany żydowskiej," druga uważa program asymilacyjny za zbankrutowany zupełnie i przechyla się raczej ku anty i asemityzmowi.

Jest to, oczywiście, martwy punkt, na którym zatrzymały się rozprawy teoretyczne i z którego nie prędko zejdą, można bowiem długo spierać się o wartość programu asymilacyjnego i zawsze mieć coś do powiedzenia za nim lub przeciw niemu. Takie „strzyżone" i „golone," uprawiane nadto przez naszą opinię

publiczną chętniej, niż przez jakąkolwiek inną, w rezultacie do niczego nie prowadzi.

Tymczasem ponad całą dyskusyą bierze górę życie. Sprawa żydowska, aczkolwiek jest u nas sprawą odwieczną, i niejednokrotnie już zajmowała najwybitniejsze w Polsce umysły, nigdy jeszcze nie przybrała tak zaognionego charakteru, jak obecnie. Dawniej mieliśmy wśród siebie tylko Żydów polskich, którzy przez ciąg wieków przyzwyczaili się do swojej ojczyzny polskiej tak dalece, że nawet w chwilach wysokiego napięcia ideowego potrafili wydawać z pośród siebie Berków Joselewiczów i Henryków Wohlów. I wówczas jednak były to tylko wyjątki, niesłusznie może i zbyt pochopnie uogólniane. Dzisiaj—Żydów polskich pozostała garstka tak niewielka, że trudno brać ją w rachubę. Mamy natomiast albo Polaków wyznania mojżeszowego, którzy zasymilowali się już całkowicie, przyjęli język, kulturę i obyczaj polski i których bardzo luźne węzły z żydowstwem są już wprost na zerwaniu — i to zerwanie nastąpi niewątpliwie w chwili, gdy trzeba będzie zdeklarować się wyraźnie i przejść albo na tę albo na tamtą stronę; albo Żydów, jako Żydów, których poczucie odrębności szczepowej prowadzi coraz wyraźniej ku samoistnemu określeniu się, jako *naród* i którzy, idąc na pasku agitacyi syonistycznej i terytoryalistycznej, wyrzekli się raz na zawsze asymilacyi, jako największego swojego wroga; albo wreszcie Żydów, t. zw. *litwaków*, którzy, należąc ideowo do obozu poprzedniego, to znaczy uważając się za Żydów, stali się na naszym gruncie elementem rusyfikacyjnym, przeciwstawiającym się w sposób wyzywająco niebezpieczny interesom kraju i społeczeństwa polskiego.

I oto są właściwi sprawcy zaognienia obecnego. Przybyli do kraju, jako ofiary bezwzględnych zarządzeń administracyjnych, z rozmaitych miast Rosyi europejskiej i osiedli tutaj, gdzie prawo pozwalało im mieszkać. Z nami jednak nic ich nie wiązało. Interesy ich były w Rosyi, stamtąd przywieźli też poczucie państwowości rosyjskiej, język i kulturę rosyjską. Z temi legitymacyami nie mogli przyjść ani do społeczeństwa polskiego, ani do Żydów-Polaków, ze społeczeństwem tem związanych trwałym i nierozerwalnym sojuszem. Zetknęli się więc tylko z czarną masą swoich współwyznawców, posługujących się żargonem i żyjących odrębnem, zamkniętem życiem Ghetta żydowskiego.

Gdyby reformy Wielopolskiego w swoim czasie były przeprowadzone, gdyby równouprawnienie Żydów nie pozostało tylko świadectwem rozumu politycznego margrabiego, ale stało się fak-

tem dokonanym, gdyby Królestwo Polskie, posiadając szeroki samorząd, miało dostateczną ilość szkół polskich i mogło przez te szkoły przeprowadzić młodzież żydowską ostatnich kilku pokoleń, sprawa ta wyglądałaby dzisiaj zupełnie inaczej.

Niestety, warunki złożyły się tak fatalnie, że od upadku powstania wszystko sprzyjało raczej temu, aby przygotować grunt dla obecnego zaognienia.

Prąd asymilacyjny, który początkowo płynął łożyskiem wiele na przyszłość obiecującem, bardzo prędko osłabł, zwęził się i dążył do stopniowego zaniku.

Już przed laty dwudziestu z górą Bolesław Prus wyczuwał, że z asymilacyą koniec, pisząc bowiem „Lalkę,“ snuł z mózgu Szumana przypuszczenie, że nadejdzie chwila, kiedy Żydzi „zgryzą“ wielkich panów, szlachtę i drobne mieszczaństwo, a wówczas— mówił Szuman — „z konieczności połączymy się z waszym ludem i będziemy jego inteligencyą, której dziś nie posiada. Nauczymy go naszej filozofii, naszej ekonomii i z pewnością lepiej wyjdzie na nas, aniżeli na dotychczasowych swoich przewodnikach.“

Słowa te, które wówczas były fantazyą powieściopisarza, stały się bez mała rzeczywistością w okresie ruchu wolnościowego, kiedy zupełnie podobnie wyobrażali sobie swoją rolę socyaliści żydowscy, zaprowadzający w kraju „nowy porządek“ i obejmujący dyktaturę nad proletaryatem polskim. Nadto był przecież moment, kiedy jedna z partyj rewolucyjnych żydowskich postawiła w programie swoim postulat przyznania żargonowi praw drugiego języka krajowego, języka współrzędnego z polskim.

Lata rewolucyjne, rozdmuchując wśród Żydów dążenia i aspiracye nacyonalistyczne, zgasiły też ostatecznie iluzyę asymilacyi.

I dziś — nie wiadomo, czy jest ktokolwiek, kto, zdobywając się na konieczną zresztą w takiej sytuacyi szczerość, mógłby z ręką na sercu powiedzieć, że wierzy w możliwość asymilacyi i że uznaje ją ze stanowiska narodowego za korzystną dla przyszłości Polski.

Aby uniknąć nieporozumień, zastrzegamy się, że *nie wierzyć* w asymilacyę, nie znaczy: *być jej przeciwnikiem.*

Przeciwnikiem asymilacyi nie jest nikt. Asymilacya jednak dokonywa się stopniowo i dobrowolnie i, jeżeli jest asymilacyą istotną, polegającą na prawdziwem wchłonięciu, dotyczy tylko jednostek.

Pewien odsetek Żydów w Polsce asymilował się od najdawniejszych czasów i asymiluje się nieustannie, asymilacyi mas nie dokona jednak żaden bodaj program, choćby go cały naród polski i cała społeczność żydowska okrzyknęła za swoje wyznanie wiary.

I dlatego dyskusya o programie asymilacyjnym wydaje nam się w danej chwili bezprzedmiotową.

Żydom, którzy mówią o sobie, że są Żydami i pragną nimi pozostać, nie możemy powiedzieć, aby w ciągu określonej ilości lat zostali Polakami. Przeciwnie, musimy uszanować szczerość tych, którzy nie chcą być fałszywymi, *politurowanymi* Polakami, ale jawnie przyznają się do swoich narodowo-żydowskich aspiracyj.

Wolno im być takimi, jakimi chcą. Nie wolno nam jednak jeżeli zdobywamy się na uczciwe postawienie kwestyi narodowości żydowskiej, obojętnie i z założonemi rękami patrzeć na agresywną działalność nacyonalistów żydowskich.

Z chwilą, gdy obok nas stają już nie goście na naszej ziemi, nie ci przybysze z daleka, których legenda splotła z imionami Kazimierza Wielkiego i Estery z Opoczna, ale staje *drugi naród*, musimy zdać sobie jasno sprawę z tego, do jakich prowadzi to następstw i co to właściwie znaczy.

Chwila ta nie może być oceniona inaczej, jak chwila wypowiedzenia nam przez nacyonalistycznie usposobioną ludność żydowską walki o prawa do gospodarowania na tej ziemi, która jest naszą polską ojczyzną, a którą oni uznają za swoją żydowską ojczyznę.

I w tym duchu samo życie, nie uciekające się nigdy do teoretycznych dyskusyj, ani do sztucznie budowanych programów, sprawę tę rozstrzygnęło.

Pomiędzy społeczeństwem polskiem a społeczeństwem żydowskiem rozpoczęła się już walka ekonomiczno-kulturalna, do której hasło dał ruch współdzielczy i walki tej nie zażegna asymilacya, choćbyśmy na wszystkich rynkach wszystkich miasteczek polsko-żydowskich w kraju bili w jej bęben i nawoływali do niej chętnych, a ciągnęli siłą opornych.

Trzeba to sobie nareszcie powiedzieć szczerze i wyraźnie.

Zadaniem publicystyki w takiej chwili nie może być nic innego, jak tylko wytężenie całej uwagi na przebieg tej walki i nieustanna dbałość o to, aby nie przekroczyła ona granic, przez kulturę zakreślonych.

Jak długo ta walka będzie trwała — przewidzieć nie można. To pewna wszakże, że ma ona przed sobą perspektywę nietylko na najbliższe jutro.

Być może, stosunki w państwie rosyjskiem zmienią się o tyle, że dojdzie do równouprawnienia Żydów i wówczas linia osiedlenia zostanie zniesioną. Byłoby to dla nas podniesieniem klapy bezpieczeństwa. Przez tę klapę odpłynąłby z Polski natychmias-

towo do gubernij Cesarstwa znaczny procent litwaków i walka na chwilę przybrałaby mniej ostry charakter. Być może jednak, że nie nastąpi to szybko i że przez całe dziesięciolecia będziemy musieli wytrzymywać ten stan ostrego zapalenia, w jakiem znajduje się dzisiaj u nas kwestya żydowska. Otóż, jeżeli tak — to musimy obustronnie—i my, prasa polska, i oni, prasa żargonowa żydowska, która ma dziesiątki tysięcy czytelników w kraju, baczyć na jedno, a mianowicie na to, aby współzawodnictwo konieczne i nieuniknione tam, gdzie interesy polskie i żydowskie stają przeciw sobie, nie przerzucało się w dziedziny, gdzie interesy te mogą i powinny być wspólne.

O kwestyi żydowskiej w Polsce powiedział ktoś trafnie, że jest ona jak stodoła, wypełniona sianem. Wiadomo zaś, że do takiej stodoły nie można zbliżać się z ogniem, choćby to były tylko niewinne zapałki. I oto w tem tkwi w chwili obecnej właściwe jądro sprawy.

*

* *

Ilu Polaków mieszka w Rosyi? Na to pytanie, obchodzące nas blizko, jako kraj macierzysty, odpowiada w przybliżeniu,—bo ścisły rachunek wobec niedoskonałości statystyki rządowej jest tu wprost niemożliwy — wychodzący od niedawna w Petersburgu *Dziennik petersburski*, pismo, powołane do wytworzenia łączności pomiędzy Polakami, rozproszonymi na wielkich obszarach Cesarstwa i Syberyi.

Źródła, na jakich oparł się statystyk *Dziennika* — to jedynie odpowiedni do badań i zestawień w tym kierunku materyał, zawarty w rubrycelach dyecezyi mohilewskiej i tyraspolskiej. Oczywiście, rachunek obejmuje tu *wszystkich* katolików, z wyjątkiem jednak Petersburga, Moskwy i Rygi, w przeważnej większości miast rosyjskich katolicy nie-Polacy, to zaledwie nieliczne jednostki, i dlatego wypływająca z ich potrącenia różnica jest tak niewielka, że śmiało może być w rachubę nie brana.

Tak tedy, według rubrycel, w Peterburgu w r. 1909 mieszkało 85,663 katolików. Z tej liczby przypada:

na parafię Panny Maryi	15,456
„ „ ś-ej Katarzyny	29,229

na parafię ś-go Stanisława. 17,100
„ „ ś-go Kazimierza. 8,000
„ „ na cmen. Wyborskim. . . 3,750
„ wojskowych różnych stopni . . . 12,128

W okolicach Petersburga znajdują się nadto następujące parafie katolickie: Carskie Sioło, liczące 2,155 katolików, Gatczyna 1,059, Jamburg—1,622 i Kronsztad—3,226 katolików.

W prowincyach nadbałtyckich Ryga ma 44,744 katolików;
Rewel — 2,333 „
Dorpat — 1,078 „

Na Syberyi:

Krasnojarsk	13,692
Władywostok	10,440
Irkuck	3,759
Kańsk	1,000
Nerczyńsk	2,839
Omsk	5,523
Tobolsk	5,270
Tomsk	11,415

Pozostałe parafie w archidyecezyi mohilewskiej posiadają:

Archangielsk	300	Połtawa	2,190
Baroków (?).	4,230	Psków	3,908
Charków	7,960	Riazań.	1,598
Czernihów	397	Smoleńsk	7,475
Ekaterynburg	569	Symbirsk	1,105
Jarosław	904	Tambów	1,945
Kaługa.	3,078	Taszkient.	1,500
Kazań	988	Tuła	500
Kostroma.	760	Twer	800
Kursk	2,003	Ufa	2,173
Moskwa	18,976	Wiatka.	901
N.-Nowogród	3,393	Wielkie Łuki	3,530
Nowogród	2,370	Włodzimierz gub. . .	1,409
Orenburg.	5,828	Wołogda	834
Orzeł	850	Woroneż	1,540
Penza	1,092	Złatoust	630
Perm	2,005		

Ogółem archidyecezya mohilewska posiada 300,177 wiernych.

W dyecezyi tyraspolskiej najliczniejszą parafią jest Odesa, licząca 36,809 katolików.

Dalej idą: Mikołajów 7,641
Elizabetgrad 2,590
Kiszyniów 3,897
Bendery 978
Chocim 1,792
Krasna 2,215
Bielce. 2,542

Na Kaukazie:

Tyflis	5,700	Stawropol	1,671
Kutais	1,858	Władykaukaz	1,193
Batum	1,025	Piatigorsk	1,343
Baku	1,694	Ekaterynodar	2,400

Z innych parafij Rosyi południowej wymienić należy:

Ekaterynosław 6,893
Kamienskoje 8,149
Juzówkę. 1,946
Nowoczerkask 3,900
Rostów nad Donem . . . 1,841
Astrachań 1,284
Saratów. 4,889

Ogółem w dyecezyi tej jest 347,325 katolików. W ten sposób liczba katolików w Cesarstwie, z wyłączeniem Litwy i Rusi, wynosi 650,000 ludzi. Odtrącając teraz kilkadziesiąt tysięcy katolików nie-Polaków, a dodając wzamian kilkanaście tysięcy Polaków nie-katolików, otrzymamy w przybliżeniu cyfrę 600,000, jako cyfrę Polaków, mieszkających w Rosyi.

Jest to cyfra znaczna, zwłaszcza, jeżeli zważymy, że składają się na nią wyłącznie Polacy z Królestwa Polskiego, z Litwy i Rusi, Polacy zaś z innych dzielnic zupełnie udziału w tem wychodźtwie nie biorą.

Obok jednak wartości *ilościowej* narzucić się tu musi każdemu także wartość *jakościowa* tego wychodźtwa. Otóż bez obawy o popełnienie błędu można przypuszczać, że 50% Polaków, mieszkających w Rosyi, należy do warstw inteligentnych, do ludzi wy-

kształconych, których warunki ekonomiczne kraju zmusiły do wychodźtwa, drugie zaś 50% stanowią dopiero warstwy rzemieślnicze i robotnicze.

Jeszcze ciekawszem jest zagadnienie, jaki % Polaków, osiadłych w Rosyi, utrzymuje stały związek i stałą łączność z ojczyzną, jaki zachowuje się wobec niej obojętnie, a jaki stopniowo ulega rusyfikacyi? Odpowiedź na to jest niezmiernie trudna. Opierając się jednak na jakiej takiej znajomości kolonij polskich, istniejących w Cesarstwie, można dojść do dwóch wniosków. Popierwsze, że wszystko to, co jest zamożniejsze i inteligentniejsze, żyje z myślą powrotu do ojczyzny, uważając swoje wychodźtwo za czasowe i posiadające wyłącznie charakter zarobkowy. Nadto, gdzie ośrodki skupienia Polaków są większe, gdzie w jednej miejscowości przebywa ich ilość znaczniejsza, tam utrzymanie polskości na mniejsze narażone jest niebezpieczeństwo. Kościoły i istniejące przy nich towarzystwa dobroczynności odgrywają wówczas rolę łącznika. Natomiast w miejscowościach, pozbawionych kościołów, odległych od parafij, do których należą, rozproszenie żywiołu polskiego jest większe, a wskutek tego o wiele częściej zdarzają się wypadki częściowego lub całkowitego przystosowania się do obcego otoczenia. Przystosowanie to polega nie tyle na stępieniu uczuć narodowych, bo te zwykle nawet pod popiołami tleją gorąco, ile na przyjęciu kultury rosyjskiej i zatraceniu polskiego punktu widzenia na sprawy krajowe. Znany nam jest dobrze typ Polaka o intelektualnej i uczuciowej kulturze rosyjskiej. Kocha on niewątpliwie kraj, utrzymuje z nim stosunki, jest szczodry na jego potrzeby i pamięta o nich, ale zdaleka dziwnie małe i nikłe wydają mu się nasze sprawy domowe, tak, że często wprost nie potrafi oceniać należycie najwybitniejszych nawet faktów życia bieżącego.

Cokolwiekbądź jednak jest to najmniej niebezpieczny rodzaj zrosyjszczenia. O wiele gorszy jest typ, wytworzony w środowiskach nacyonalizmu rosyjskiego, pod wpływem jawnych niechęci do żywiołu polskiego. Jest to typ Polaka zamaskowanego, który posługuje się językiem rosyjskim, udaje Rosyanina, a do polskości swojej przyznaje się tylko po cichu, na ucho, wówczas, gdy nikt tego nie słyszy.

Trzeci wreszcie typ, na szczęście nieliczny, to Polacy zrosyjszczeni zupełnie, którym zostało tylko wspomnienie polskości i wiara katolicka, szanowana tradycyjnie.

Rzeczą niezmiernej wagi byłoby zbadanie bliższe naszego tak pokaźnego liczebnie wychodźtwa w Rosyi pod względem jego

wartości narodowej dla kraju. W warunkach jednak obecnych niepodobna tego dokonać, musimy więc poprzestać na przypuszczeniach i na ufności w odporność kultury polskiej.

*

* *

W r. 1912 przypada setna rocznica śmierci ks. Hugona Kołłątaja, wielkiej miary obywatela i reformatora Polski w okresie Sejmu czteroletniego, niezmordowanego działacza i wybitnego pisarza, którego jasny umysł widział dokładnie wszystkie braki ojczyzny i ogarniał wszystkie jej niedole.

Z tej racyi, proboszcz w Tuczempach, do których należą Niecisławice — miejsce urodzenia Kołłątaja, ks. Rayski, zwrócił się zawczasu do kieleckiego oddziału Towarzystwa krajoznawczego z propozycyą odpowiedniego uczczenia pamięci zasłużonego patryoty.

Jak donosi *Głos kielecki*, który sprawie tej poświęcił niedawno obszerny artykuł, Towarzystwo krajoznawcze inicyatywę tę poparło i uchwaliło: zająć się wmurowaniem w setną rocznicę zgonu Kołłątaja pamiątkowej tablicy w kościele w Tuczempach, zebrawszy na ten cel fundusz drogą składek; wydać dokładny życiorys Kołłątaja, którego dotychczas piśmiennictwo nasze nie posiada, podjęta bowiem przed kilku laty przez prof. Wacława Tokarza z Krakowa praca nie dobiegła jeszcza końca; wreszcie, wydać szereg pamiątkowych kart pocztowych z widokami kościoła w Tuczempach, dworu w Niecisławicach, kościoła w Wiśniowej, gdzie znajduje się serce Kołłątaja, kościoła w Krzyżanowicach, odnowionego w swoim czasie przezeń i słynnych obrazów Czechowicza w tym kościele.

Dla urzeczywistnienia tego zamiaru, inicyator, ks. Rayski, proponuje utworzenie komitetu, w którego skład weszłyby także siły naukowe Warszawy i Krakowa.

Myśl ta zasługuje niewątpliwie na poparcie. Kołłątajowi należy się od narodu wdzięczna pamięć. Życie jego, nie wolne od burz i przykrych powikłań osobistych, spłonęło jednak niemal całkowicie na ołtarzu służby publicznej. Działalność jego, bogata w następstwa, powinna więc być uprzytomniona pokoleniu obecnemu, które, wychowane w okresie utrudnionego dostępu do pol-

skiej literatury politycznej końca XVIII wieku, tej literatury, która wychodziła właśnie z „Kuźnicy Kołłątajowskiej“ i blaskiem swoich iskier zapalała umysły i serca współczesnych, nie wiele więcej wie o Kołłątaju ponad to, co znajduje się w podręcznikach historyi lub literatury. Z tego względu obok życiorysu wydanie wyboru celniejszych pism Kołłątaja byłoby również wielce pożądane. Oczywiście, pism takich nie wyda żaden księgarz, może je natomiast wydać krytycznie i odpowiedniemi komentarzami opatrzeć — Warszawskie Towarzystwo naukowe, o ile otrzyma na to środki od społeczeństwa.

*

* *

Tygodnik illustrowany, obchodził w miesiącu ubiegłym pięćdziesięciolecie swego istnienia. Z tej racyi wydany został obszerny numer jubileuszowy, streszczający w krótkości dzieje rozległej, a blizko z życiem polskiem związanej działalności pisma.

Założony w r. 1859 przez Józefa Ungra, przedsiębiorczego wydawcę ówczesnego, a oddany pod ster Ludwika Jenikego, *Tygodnik* rozpoczął swoją służbę w dobie ruchu umysłowego i ideowego, poprzedzającego wybuch powstania 1863 r. Na kartach pierwszych jego roczników odbiły się też najważniejsze wydarzenia tej epoki.

Rychło jednak przyszły czasy dla literatury i prasy polskiej bardzo ciężkie. Po upadku powstania, przy bezwzględnej, bezprzykładnie surowej i nigdy nieobliczalnej cenzurze prewencyjnej, wydawanie pisma, które zdawało sobie dobrze sprawę z tego, że jest jedynem pismem międzydzielnicowem, obejmującem całość życia polskiego, niezależną od granic i podziałów, było niezwykle utrudnione. Z konieczności też redakcya, chcąc utrzymać byt i zapewnić istnienie pisma, musiała przystosować się do warunków chwili. Stronice tygodnika zbladły. Nie wszystko mogło się na nich ukazywać w postaci illustracyi, nie wszystko mogło płynąć przez jego łamy i znajdować zgodne z rzeczywistością oświetlenie. Między wierszami udawało się tylko mówić o rzeczach i sprawach najważniejszych, gdy istotna treść pisma, przejrzana i ocenzurowana dokładnie, z konieczności odbiegała coraz dalej od spraw bieżących, a przenosiła się na pole literatury i sztuki.

W ten sposób *Tygodnik* stał się z biegiem czasu pismem *par excellence* literacko-artystycznem.

Półwiekowa działalność jego w tej dziedzinie godna jest bliższej uwagi. Materyał, zgrupowany przez ten czas na łamach Tygodnika, posiada wartość pierwszorzędną i nie będzie mógł przejść obok niego obojętnie żaden historyk. Życie kulturalne narodu znalazło tu odbicie możliwie wszechstronne i wierne. Wszystko, co było najlepszego i najwybitniejszego w literaturze i w sztuce polskiej, zaciągało się pod chorągwie pisma i szło ku przeczuwanym ideałom jutra pod jego znakami.

W okresie tym *Tygodnik* miał lata gorsze i lepsze. Miał chwile, kiedy przystosowywał się całkowicie do wymagań t. zw. szerokiej publiczności i starał się utrafić w jej gusta, miał także i takie, kiedy literacko-artystyczny poziom jego podnosił się i oddziaływał dobroczynnie na liczne zastępy swoich czytelników w Królestwie, w Galicyi, w Poznańskiem, na Litwie i Rusi.

Przetrwawszy szczęśliwie lata apatyi popowstaniowej i ataków pozytywistycznych, wymierzonych przeciw historyczno-archeologicznemu charakterowi pisma, *Tygodnik* przeszedł od Ungrów na własność firmy wydawniczej Gebethner i Wolff.

Naczelnym jego redaktorem został wówczas dr. Józef Wolff, który prowadzi pismo aż do chwili obecnej.

Cały ten „nowy“ okres podzielić można na cztery podokresy, zależnie od indywidualności kierowników literackich, którzy stawali obok d-ra Wolffa, jako najbliżsi jego współpracownicy i doradcy. Tak więc innym był *Tygodnik* przy Tadeuszu Czapelskim, dziennikarzu *pur sang*, innym przy Maryanie Gawalewiczu, innym przy Ignacym Matuszewskim, a innym, wreszcie, jest obecnie przy Arturze Oppmanie (Or-Ocie).

Nie miejsce tu na ocenę działalności każdego z nich. Uczyni to kiedyś historyk literatury, lepiej i trafniej od nas.

To jedno możemy tylko stwierdzić, że pismo, oglądając się w dzień swojego pięćdziesięcioletniego jubileuszu za siebie, może śmiało powiedzieć, że służyło zawsze sprawom krajowym, że w pracy przewodniczyły mu zawsze ideały narodowe i że starało się czynić, co mogło, w warunkach, jakich nie znało nigdy żadne wydawnictwo zachodnio-europejskie, wśród przeszkód, które nieraz wytrącały pióro z ręki i odbierały ochotę do inicyatywy i zabiegliwości.

* * *

Wśród zgiełkliwego, przedniworocznego przetargu pomiędzy pismami, przybierającego coraz jaskrawsze formy, nie licujące zgoła z powagą słowa drukowanego, że wymienimy wszelkie premia bezpłatne w postaci fortepianów, samowarów i nawet bonów pieniężnych na towary za „zjednanie nowego prenumeratora“— wyróżniła się powagą, spokojem i godnością zapowiedź nowego czasopisma p. t. *Ziemia*.

Będzie to tygodnik, poświęcony krajoznawstwu. Nieraz już pisaliśmy na tem miejscu o zaniedbaniu w wychowaniu i wykształceniu współczesnem nauki geografii kraju rodzinnego. Mało jest wśród nas ludzi, którzy ogarniają dobrze całość geograficzną Polski, którzy znają nietylko miasto lub powiat rodzinny, nietylko tę dzielnicę, w której przyszli na świat, ale także i dzielnice sąsiednie. Galicya Zachodnia i Wschodnia, Ślązk, W. Ks. Poznańskie z jednej, a Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina z drugiej strony są dla wielu z nas tylko terminami. Kto niema tam stosunków rodzinnych, kto z tych lub innych względów nie znalazł się na tamtych ziemiach i nie poznał ich choćby z okien wagonu, ten uważa, że niema z niemi nic wspólnego i nie zada sobie nawet trudu zaznajomienia się z ich geografią. Z całkowitą obojętnością traktujemy też niejednokrotnie te obszary rozległe, na których kwitło niegdyś życie polskie, gdzie kultura polska głęboko zapuściła korzenie i gdzie dotąd, mimo wszystko, nie zdołano jej jeszcze zagłuszyć, zetrzeć na proch i podać w zupełną niepamięć.

Tymczasem jednym z zasadniczych i najpierwszych obowiązków każdego obywatela jest niewątpliwie dobra znajomość kraju ojczystego, kto bowiem chce ogarnąć życie narodu i temu narodowi służyć, musi przedewszystkiem znać i kochać podłoże bytu narodowego, ziemię, z której wyszli jego przodkowie i na której przyszłe pokolenia zbiorą żniwo swojej złej czy dobrej doli.

Z tego względu wszystko, co temu poznawaniu i rozbudzaniu tej miłości służy, jest pożądane i jak w warunkach obecnej ignorancyi, nawet upragnione.

Pożądanem też i upragnionem będzie zjawienie się *Ziemi*, jako organu, który zamierza szerzyć znajomość kraju ojczystego w sposób przystępny, a jednocześnie utrzymany na poziomie naukowym.

„Lekkomyślnie niedbałym — czytamy w zapowiedzi nowego pisma — nazwalibyśmy człowieka, nie znającego domu, który zamieszkuje, pola, które zasiewa, warsztatu, przy którym pracuje. Po stokroć lekkomyślnym byłby naród, nie chcący znać odwiecznego ojców swoich dziedzictwa, nie szukający poznania sił swoich

i środków, budujący swe gmachy na piasku. A jeżeli w ostatnich czasach zdaje się niewątpliwie budzić u nas dość żywe i powszechne zamiłowanie do rzeczy swojskich, jeżeli niejedno już poczynanie w tym kierunku przedsięwzięte zostało — u początku przecie stoimy, nie u końca.

„Zawiązanie przed paru laty Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, zestrzelenie przez to w jedno ognisko rozbieżnie działających sił i dążeń pojedyńczych jednostek, było pierwszym krokiem na tem polu, krokiem, który wszelkie inne musiał nieodzownie poprzedzić. Teraz nadszedł czas, aby postawić krok drugi, aby przez założenie wydawnictwa, specyalnie krajoznawstwu poświęconego, wzmocnić niejako i rozszerzyć działalność Towarzystwa. Stajemy więc do pracy, ufni, że rola, którą orać idziemy, wyda plon bujny, że niebawem rąk ochotnych przybędzie, że nie padnie ziarno na opokę.

„Nie stoimy pod sztandarem żadnego stronnictwa, nie wygłaszamy żadnych, bodajby najsłuszniejszych haseł politycznych czy społecznych, ograniczamy się z góry do skromnej, lecz niezbędnej naszem zdaniem pracy gromadzenia materyałów, z których każdemu wolno gmach własny, wedle uznania, budować. Jedynem naszem przykazaniem będzie: „Poznaj swój kraj, abyś go tem goręcej miłował.“

„Działalności swojej zakreśla *Ziemia* granice i szczupłe i szerokie. Nie zamierzając stać na stanowisku czystej nauki, poświęconej dociekaniom, dostępnym tylko dla garstki wtajemniczonych, mówić będzie *do wszystkich i dla wszystkich*, idąc jednak śladem wiedzy współczesnej i czerpiąc szeroką dłonią ze skarbów przez nią nagromadzonych.

„Nie kładzie sobie natomiast *Ziemia* żadnego kresu pod względem rodzaju i treści prac, zamieszczanych w piśmie. W równej mierze interesować ją będą badania, poświęcone przeszłości lub zabytkom sztuki w danej okolicy, jak studya fizyografa, statystyka, czy ludoznawcy. Tem mniej zacieśniać się będzie do jakiegoś z góry określonego terytoryum. Wszędzie, gdzie myśl polska, gdzie praca rąk polskich zostawiły ślady swej działalności, *Ziemia* zatrzyma się uważnie, pilnie i bacznie, pragnąc w swojej i cudzej pamięci utrwalić to nawet, co niekiedy gasnącem już tylko jest echem.

„Współrzędnie z krajoznawstwem polskiem w piśmie uwzględnione będą, w szczupłejszej oczywiście i bardziej epizodycznej formie, i rzeczy obce. Tu znajdą miejsce dla siebie bądź szczególnie barwnie i żywo skreślone wrażenia wielkich podróżników

współczesnych, bądź na głębszej analizie oparte odtworzenia stosunków, mających pewne punkty styczne ze stosunkami naszymi. W tych sprawach obcych, pozornie nam obojętnych, można bowiem, choćby przez samą przeciwstawność rezultatów, znaleźć niekiedy głęboką naukę."

Tak pojęte czasopismo może istotnie oddać znaczne usługi ważnej sprawie szerzenia wiedzy krajoznawczej wśród ogółu polskiego.

Placówka ta, zajmowana kilkakrotnie, naprzód przez *Wędrowca*, później przez tygodnik *Naokoło świata*, częściowo wreszcie przez *Wisłę* i przez *Przyrodę*, które padły w walce z obojętnością społeczeństwa, od dłuższego już czasu jest u nas nie zajęta. Staje na niej obecnie *Ziemia*, ufna w to, że jednak nadejdzie chwila, „kiedy społeczeństwo dojdzie do przekonania, że we własnym domu być gościem—i wstyd, i szkoda."

Podzielając tę ufność, życzymy nowemu wydawnictwu pomyślnych wyników w pracy, której pożytek i doniosłość podkreślamy z całym naciskiem.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

ś. p. Cypryan Godebski.

W Paryżu zmarł w grudniu r. z. ś. p. Cypryan Godebski, wybitnego talentu artysta-rzeźbiarz, twórca pomnika Mickiewicza w Warszawie.

Wnuk Cypryana, pułkownika wojsk Księstwa Warszawskiego, poległego w słynnej bitwie pod Raszynem w r. 1809, a syn Ksawerego, wychodźcy po r. 1831, przyszedł Godebski na świat w małem miasteczku francuskiem Mery-sur-Chér w r. 1835, zdala od ziemi ojczystej, dla której jednak miłość miał sobie wszczepioną od dzieciństwa. Wychowany początkowo w domu rodziców, potem w Szkole polskiej na Batignolles'ach, studya artystystyczne odbył w paryskiej Szkole sztuk pięknych pod kierunkiem Joufroy. Szczęśliwy debiut w Salonie w r. 1857 otwiera przed nim drogę poważnej karyery artystycznej. Przenosząc się kolejno z Paryża do Lwowa, ze Lwowa do Brukselli, wreszcie z Brukselli do Petersburga, zamierza w tem ostatniem mieście osiąść na dłużej, przyjąwszy ofiarowaną sobie posadę profesora tamtejszej Akademii. Rychło jednak rozstaje się z tą myślą i osiada na czas krótki w Warszawie, z którą wiążą go stosunki rodzinne. Pracując dużo na polu rzeźby już jako znany i uznany portrecista, autor szeregu biustów pierwszorzędnej wartości, jednocześnie pisuje artykuły o sztuce i krytyce w ówczesnej *Gazecie Polskiej*. W roku 1875 opuszcza Warszawę i osiedla się na stałe w Paryżu. Tam tworzy też większość swoich dzieł, nacechowanych francuską finezyą i jednających mu szerokie uznanie. Większość prac jego pozostała za granicą. W kraju, ze znamienitszych, znajdują się jedynie: pomnik Mickiewicza w Warszawie, Agenora Gołuchowskiego we Lwowie i posąg Kopernika w Krakowie.

Jako artysta, szedł Godebski nieustannie naprzód. Wierny tradycyom, wyniesionym ze szkoły, nie poddawał się prądom modernistycznym i wskutek tego spotykały go nieraz ze strony młodszych zarzuty. Wszystko jednak, co stworzył, posiadało wartość rzeczy skończonych, modelowanych wzorowo i natchniętych prawdziwą miłością dla sztuki. Nie olśniewał też krytyki, ale przekonywał ją do siebie sumienną pracą artystyczną.

Jako człowiek, posiadał zmarły licznych przyjaciół, których jednała mu rzadka dobroć i uczynność. Dla młodzieży polskiej, wstępującej w Paryżu na strome i zawrotne ścieżki sztuki, był Godebski zawsze chętnym i dobrym przewodnikiem, a nieraz i opiekunem. Śmierć jego wywołała też głęboki i powszechny żal w szerokich kołach artystycznych.

Cześć jego pamięci!

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. W dn 27 listopada r. z. odbyło się posiedzenie Komisyi Antropologicznej przy Wydziale II Towarzystwa, na którem, po załatwieniu spraw bieżących, wysłuchano zawiadomienia p. Stołyhwy o postępach w wypracowaniu instrukcyi antropologicznej oraz o rozpoczęciu przygotowań do opracowania instrukcyi etnograficznej, które zostało powierzone p. Hupce. Następnie wysłuchano przedstawionych przez p. Majewskiego: a) referatu ks. A. Chotyńskiego o poszukiwaniach przedhistorycznych w Dratowie i Wrzelowie w Lubelskiem i b) wiadomości o cmentarzysku i kurhanach pod Włocławkiem.

— W dn. 30 listopada r. z odbyło się posiedzenie Komisyi Historycznej przy Wydziale II, na którem p. Wachowski zdał sprawę z czynionych przez siebie poszukiwań w archiwach cechów warszawskich. P. Wachowski zbadał dokładnie archiwum krawców, korzystając z uprzejmej pomocy starszych cechu, pp. Fiska i Mniewskiego. Archiwum to liczy 9 ksiąg i 2 pergaminy, nadto gospoda czeladzi krawieckiej posiada dokumenty, zawierające artykuły dla gospody niemieckiej. Archiwalia, posiadane przez Zgromadzenie krawców, dają dokładny obraz życia cechowego po roku 1738, wśród nich zasługują na szczególną uwagę księgi przychodów i wydatków, lustracye kamienic cechowych, spisy majstrów i wyzwoleńców. Oprócz archiwaliów, korporacye krawieckie posiadają cenne pamiątki, jak starożytna lada, puhary (wilkomy) i t. d.

Na temże posiedzeniu p. Siemieński zdał sprawę z prac specyalnej podkomisyi, która pod kierunkiem p. Wierzbowskiego opracowała plan wydania źródeł do historyi Warszawy. P. Siemieńskiemu również zawdzięcza Komisya komunikat o odnalezionych przez niego dyaryuszach sejmikowych z w. XVI, które stanowią pierwszorzędne źródło do dziejów naszego parlamentaryzmu. Część naukową zebrania zakończył komunikat p. I. T. Baranowskiego o archi-

wum p. Andrzeja Niemojewskiego. Zawiera ono cenne dokumenty wojskowe, wśród których szczególniejsze znaczenie naukowe posiada korespondencya generała Niemojewskiego z pułkownikiem Dominikiem Radziwiłłem z 1811 r., tudzież materyały do dziejów organizacyi powstania w departamencie Łomżyńskim 1809 r.

Na temże zebraniu przewodniczący, p. Smoleński, zakomunikował, iż złożona została zarządowi Towarzystwa Naukowego kwota rb. 650 na poszukiwania archiwalne Komisyi.

— W dn. 1 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I, na którem p. Stan. Szober odczytał referat p. t. „Wyrazy litewskie ze zdwojeniem.“ Autor postawił sobie za zadanie: 1) rozpatrzenie wyrazów litewskich ze zdwojeniem pod względem morfologicznym, 2) rozbiór zdwojeń litewskich ze stanowiska znaczeniowego, 3) przedstawienie zdwojeń litewskich w wykazie alfabetycznym. Referat, odczytany na wspomnianym posiedzeniu, obejmował punkt 1-szy wskazanego planu, t. j. rozbiór zdwojeń litewskich ze stanowiska morfologicznego.

— W dn. 2 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III, na którem przedstawili rozprawy: P. Wł. Gosiewski: „O pewnem kryteryum w teoryi błędów;“ — p. W. Sierpiński: „O pewnej nierówności, dotyczącej średniej arytmetycznej, geometrycznej i harmonicznej“ — p. W. Sierpiński: „O pewnej własności charakterystycznej liczb niewymiernych;“ — p. Z. Weyberg: „Wyniki rozbioru chemicznego skał biotytowych i ich biotytów;“ — p. St. J. Thugut: „O Kankrynicie;“ — p. L. Silberstein: „Fale nieciągłości w dielektryku krystalicznym;“ — p. Z. Wóycicki: „Materyały do zobrazowania flory polskiej.“

— W dn. 3 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którem p. K. Stołyhwo demonstrował przyrządy antropologiczne, służące do badań młodzieży szkolnej, oraz przedstawił zgromadzone dotąd, przy udziale pp. E. Lotha i St. Lencewicza, materyały, dotyczące 122 osobników. Następnie p. Erazm Majewski wygłosił odczyt p. t. „O odkryciu czaszki praczłowieka staro-plioceńskiego, stwierdzającem, że człowiek *nie* pochodzi od typu małp człekokształtnych“ (illustrowany szkicami, fotografiami, rysunkami i przekrojami geologicznymi), który wywołał ożywioną dyskusyę.

— W dn. 17 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którem wysłuchano referatu p. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej (gościa) p. t. „Zagadnienie współczesnego przyrostu ludności w świetle teoryi,“ który wywołał dłuższą dyskusyę z udziałem pp. K. Stołyhwy. F. Ochimowskiego, J. Kochanowskiego i prelegentki.

NOWE KSIĄŻKI.

— Jan Kucharzewski. *Maurycy Mochnacki.* Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff. Str. 550, w dwóch częściach, z portretem.

Dzieło powyższe, oprócz charakterystyki Mochnackiego, zawiera szeroki obraz tła historycznego. W części pierwszej — wizerunek nastroju spo-

łeczeństwa polskiego w burzliwym okresie insurekcyjnym, charakterystyki Lubeckiego, Chłopickiego, Skrzyneckiego, Dembińskiego; sylwetki wybitnych mówców klubowych, obraz walki stronnictw w Sejmie i w prasie; w części drugiej — obraz Emigracyi polskiej we Francyi, ocenę działań Towarzystwa Demokratycznego i innych obozów wychodźtwa. Rozbiór opinij politycznych Mochnackiego uzupełnia autor przez samodzielną krytykę poglądów szkoły krakowskiej, z Józefem Szujskim na czele, na dzieje porozbiorowe, zestawia Mochnackiego ze Staszicem i wielkimi pisarzami doby romantycznej. Praca oparta jest na materyale źródłowym, czerpanym z bibliotek Rapperswilskiej, ks. Czartoryskich, Akademii Umiejętności, Jagiellońskiej i in.

Gruntowne dzieło p K. w szeregu publikacyj historycznych ostatniej doby zajmie miejsce wydatne; w jednym z najbliższych zeszytów „Biblioteki“ szerzej je omówimy.

— Szymon Askenazy. *Książe Józef Poniatowski 1763 — 1813.* Z 22 rycinami i heliograwiurą, według portretu Grassiego. Wydanie drugie. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Znakomita monografia prof. Askenazego o ks. Józefie Poniatowskim ukazuje się w drugiem uzupełnionem wydaniu; jest to najlepszą miarą poczytności tego dzieła, które w tak krótkim stosunkowo czasie stało się jednem z najpopularniejszych w najnowszej literaturze historycznej polskiej. Skreślony przez autora „Łukasińskiego“ wizerunek okazuje w pełnem świetle prawdy dziejowej niezłomną cnotę obywatelską bohatera z pod Raszyna i Lipska, odsłania tę piękną duszę niezłomnego żołnierza i jednego z najwierniejszych synów Ojczyzny.

Wydanie drugie zostało uzupełnione cennymi szczegółami, dotyczącymi młodości ks. Józefa (na podstawie papierów po Tad. Dembowskim), jego służby w wojsku rosyjskiem za Pawła I, tragicznej śmierci i t. d. Uwzględnione przez autora nowe przyczynki pochodzą z archiwum Sztabu Głównego w Moskwie, ze zbiorów Andrzeja ks. Poniatowskiego w Paryżu, archiwum ord. hr. Krasińskich, nadto z opublikowanych w ciągu ostatnich lat pięciu materyałów źródłowych rosyjskich i francuskich.

— Adam Boniecki. *Herbarz Polski* Część I. Wiadomości historyczno-genealogiczne o rodach szlacheckich. Tom XIII, zeszyt 1-y. Warszawa, 1909.

Cennego tego wydawnictwa ukazał się świeżo nowy zeszyt, rozpoczynający tom XIII. Zawiera dokładne wiadomości heraldyczne o rodzinach rycerskich od *Krzemieniowskich* herbu Grzymała do *Krzywobłockich* herbu Leliwa; obszerniej opisane zostały rody: Krzeszów, Krzewskich, Krzyckich, Krzykowskich, Krzysztoporskich, Krzywickich, Krzywieckich, Krzywkowskich.

— *Sprawozdanie Komisyi fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1908, oraz Materyały do fizyografii krajowej.* Tom XLIII. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1909.

Obszerny tom o paruset stronach zawiera oprócz części sprawozdawczej ważne materyały do klimatografii Galicyi, zapiski grzyboznawcze, owadoznawcze i geologiczne, przeważnie z okolic podkarpackich. Tekst opatrzono licznymi rysunkami oraz 13 tablicami na osobnych kartach.

— Juliusz Słowacki. *Pisma* Zbiór utworów wydanych za życia i po śmierci autora, z przedmową i w układzie Artura Górskiego. Z portretem autora. 6 tomów. Warszawa, 1909. Gebethner i Wolff.

Rok jubileuszowy Słowackiego zaznaczył się nader ożywionym ruchem wydawniczym zarówno pism autora „Kordyana," jakoteż licznych zarysów biograficznych, przyczynków do twórczości i życia poety i t. d. Jedno z pierwszych niewątpliwie miejsc w dorobku piśmienniczym roku jubileuszowego zajmie zbiór pism, przygotowany z niezwykłą sumiennością i rzetelnym pietyzmem dla duchowej spuścizny Słowackiego przez cenionego znawcę naszej literatury romantycznej, d-ra Artura Górskiego. Zgromadzono tu i w poprawnych ogłoszono tekstach prawie wszystkie pisma drukowane poety z wydań zbiorowych, z czasopism, wreszcie z rękopisów. Niezwykle przystępna cena, 4 rb. za sześć sporych tomów, przyczyni się do spopularyzowania w szerokich warstwach czytelników nieśmiertelnych dzieł twórcy „Anhellego."

— L. J. Popławski. *Szkice naukowe i literackie.* Warszawa, 1910. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

W celu uprzytomnienia obecnemu pokoleniu działalności społecznej zmarłego przed dwoma niespełna laty, wybitnego publicysty i polityka, przyjaciele i koledzy podjęli wydawnictwo wyboru jego pism literackich, naukowych, wreszcie prac publicystycznych. Tom, wydany obecnie, mieści kilkanaście artykułów ś. p. Popławskiego, pisanych zazwyczaj z powodu ukazania się jakiejś wybitniejszej książki literackiej lub naukowej. „Szkice" zostały poprzedzone zwięzłą przedmową pióra Józefa Hłaski. Do obszerniejszego omówienia powyższego dzieła przejdziemy w jednym z najbliższych zeszytów „Biblioteki."

— Dr. Józef Pawiński. *Prof. Ignacy Baranowski.* Warszawa, b. r. (1909).

Z powodu 50-lecia pracy zawodowej znanego pracownika na polu wiedzy medycznej, prof. I. Baranowskiego, wydaną została broszura powyższa. Scharakteryzowano tu zasługi Jubilata w zakresie jego specyalności, jako uczonego teoretyka i lekarza-praktyka; nadto uwzględniono pokrótce wydatną działalność społeczną i obywatelską prof. B. Broszura podaje bibliografię prac drukowanych znakomitego medyka, oraz zwięzły jego życiorys.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Książka. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, 1909. Grudzień. Treść: Jubileuszowe wydanie dzieł Słowackiego.

Krytyka: d'Allivules Constans, ks.: Żłobek i Kawalerya;—Baczyńska A.: W stuletnią rocznicę urodzin (1809–1909), Juliusz Słowacki, jego życie i twórczość;—Bałaban Majer, dr.: Dzielnica żydowska, jej dzieje i zabytki (Lwów); — Bandrowski Stanisław: Moja menażerya, obrazki; — Chlewicka Janina: Wiązanka wierszyków dla dzieci;—Czarnowski Stanisław Jan: Polska przedhistoryczna;—Dzeter: Ludzie smutni; — Faguet Emil: Liberalizm; — Grabowski Ambroży: Wspomnienia; — Hoffding Harald, dr.: Współcześni filozofowie; — Janicki Zygmunt O.: Pierwsza polska pielgrzymka do Ziemi Świętej 1907; — Kętrzyński Wojciech, dr.: Niektóre uwagi o autorze i tekście najdawniejszej kroniki polskiej;—Klewe: Z pamiętnika pchły i inne ucieszne historye; — Kotarbiński Euzebjusz: Przewodnik do określania ryb krajowych; — Lazarusówna F.: Moja gromadka; — Miklaszewski Sławomir: Gleba (co każdy o glebie wiedzieć powinien?); — Morawska Z.: Opowiadania z dziejów ojczystych; — Nudzomir: Nuda, patronka szkoły, wszechwładna bogini; — Nusbaum Hilarowicz Józef, prof dr.: Szlakami wiedzy;—Platona Biesiada (Symposion) i dyalog o miłości (przekład Stefana Okołowa); — Tegoż: Uczta i Dyalog o miłości (przekład Władysława Witwickiego);—Przyborowski Walery: Bitwa pod Raszynem;—Przygoda w lesie (zebrała i przełożyła Janina Mortkowiczowa);—Radosny dzień;—Rappaport Emil Stanisław: Państwo i prawo; — Relté Adolf: Z przepaści ku wyżynom; — Rocznik sławistyczny, tom I;—Roczniki Towarzystwa Przyj. Nauk Poznańskiego, tom 34;—Roztworowski K. H., Ante lucis ortuna; Savitri Poezye;—Schifman Arnold: Pankracy August, I;—Szelągowski Adam: Najstarsze drogi z Polski na Wschód w okresie bizantyjsko-arabskim; — Tenże: Z dziejów współzawodnictwa Austryi, Niemiec, Rosyi i Polski;—Turowski Stanisław, dr.: Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezye na tle współczesnem: — Verworn Max: Kwestye zasadnicze w naukach przyrodniczych;—Vollers Karol: Religie świata w ich związku dziejowym;—Żuławski Jerzy: Poezye;—Żywot św. Klemensa Maryi (Dworzaka);—Pod prasą;—Kronika;—Komunikat;—Czasopisma; — Bibliografia;—Ogłoszenia.

— KRYTYKA. Kraków. Listopad 1909. Część I (f) „Mówca." Wł. Studnicki: Próby restytucyi państwa polskiego; — Jan Hempel: Z „Kazań o życiu i wolności;" — Junius: Współcześni politycy polscy; — Prof. Stanisław Grabski: D-r Ernest Adam, Pan baron Battaglia; — Przegląd; — Junius: Z trzech zaborów;—L. W-ski: Z życia polskiego na Litwie;—dr. Z. D. G.: Z wystawy w Częstochowie; — H. Orsza: Ze spraw oświatowych i Sprawozdania. Część druga. St. Wyspiański: Na krakowskim zamku wesele; — Michał Sokolnicki: O Stanisławie Wyspiańskim;—Jan Dąbrowski: „Chłopi" Reymonta;—Maryla Czerkawska: Jeńcy; — Aleksander Naworski: Królewicz, o którym bajka zapomniała; — dr. Michał Janik: W rok jubileuszowy Juliusza Słowackiego (II wydanie dzieł, wydawnictwa popularne i inne); — Bolesław Walek-Walewski: Zygmunt Noskowski;—Emil Verhaeren: Ruch literacki w Belgii; — Przegląd: — I. Skl.: Parę uwag o krytyce sztuk plastycznych u nas;—Tad. Bezimienny: Z życia i sztuki:— (X): Teatr krakowski;—Nowe powieści.

BIBLIOGRAFIA.

TECHNIKA.

Dunin Adam, inż.: Praktyczne poziomowanie i wskazówki tachymetrycznego zdjęcia. Lwów, 1909. Nakł. księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Jak balony-samoloty są zbudowane i w jaki sposób unoszą się w powietrzu. Warszawa, 1909. Biblioteka kolejowa № 2. Red. i wyd. T. H. Nasierowski.

HISTORYA I TEORYA LITERATURY.

Chrzanowski Ign.: Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku. Dzień 3 listopada r. 1771 w poezyi współczesnej, G. Piotrowski i jego satyr, O satyrach Naruszewicza, Pierwsze utwory Krasickiego, Dwa nieznane paszkwile Niemcewicza. Warszawa, 1909. Skład główny w księg. E. Wende i Sp.

Epos: Zbiór arcydzieł poezyi epickiej wszystkich czasów i narodów w streszczeniach i wyciągach. Ułożył A. Lange. Tom III. Epos Indyjskie Valmiki Ramayana. Brody, 1909. Nakł. księg. F. Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. Tłómaczenie na język rosyjski zastrzeżone.

Dybowski Roman, dr. docent Uniwersytetu Jagiellońskiego: Milton i jego wiek. Kraków. Nakład księgarni S. A. Krzyżanowskiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Grabowski Tadeusz: Juliusz Słowacki, Jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki. Tom pierwszy. Kraków, 1909. Nakł. autora. G. Gebethner i S-ka.

Wiek xix. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcyą Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Henryka Gallego, Gabryela Korbutta. Tom V. Wypisy. Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Kantor Józef: Ksiądz Marek w dziełach J. Słowackiego i A. Mickiewicza. Jarosław, 1909. Nakład autora. Lwów, J. Maniszewski.

Kobzdaj Kazimierz: Czasy barskie w poezyi Słowackiego. Lwów, 1909. Nakład autora.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

OPOKA.

IV.

Nad ranem ordynat wysiadł w Iglicach, skąd miał jechać końmi do Konstantego Obrońskiego, który był jego bratem stryjecznym, kolegą, rówieśnikiem, przyjacielem i, jak dodawał zwykle, generalnym spadkobiercą. Przyjemnie było po bezsennej nocy wyjść z dusznego przedziału, w którym przez długie godziny osaczały duszę zjadliwe myśli, odetchnąć wonnym powietrzem poranku, zmienić wrażenie... Strzelec z pakunkami czekał przy powozie. Obroński okiem znawcy i amatora obejrzał konie, jakkolwiek nie było na co patrzeć. Konstanty nie lubił szyku i nie wdawał się w sportsmeństwo. Burka furmana była stara, futro na nogi wytarte, wózek liczył wiele lat życia, szkapięta kosztowały tanio. Mimo to pojechali szparko. Po nocy mroźnej a jasnej niebo zachmurzyło się jesiennie, i leniwie czynił się przyćmiony dzień. W białym brzasku posępnie czerniały podorane ścierniska, nad łąkami zawisły ospałe mgły, zziębnięte drzewa strząsały liście. Wstawał szary powszedni poranek.

Obroński zadał woźnicy kilka pytań, rozglądał się, poziewał. Niewyspany, znużony jazdą tęsknił do codziennej kąpieli, która dawała mu rzeźkość i zżymał się na myśl, że w staroświeckim domu brata niema łazienki.

Wkrótce ukazały się zarośla, okalające dwór. Słupy dymów strzelały w górę, jak na pogodę. Spotkali parę fornalek, już wyprawionych do pracy, pługi, ekonoma, który hasał konno. Chude krowy szły ociężale na chude pastwisko. Gospodarstwo w Starodębach, prowadzone przez idealistę i nie fachowca, przypominało dawne czasy... Na podwórku był sam gospodarz, który wracał skądś śpiesząc. Ordynat wyskoczył z wózka. Uścisnęli się.

— Ranny ptak z ciebie, uwijasz się od świtu...— żartował na widok człowieka, którego szczerze lubił.

Brat patrzał w niego swemi zacnemi, śmiejącemi się oczami.

— Podam do pism, że u ciebie dzień roboczy trwa siedemnaście godzin, że tyranizujesz podwładnych... że niema w twoim państwie wolności sumienia... Widzę, że wracasz z kaplicy, gdzie celebrowałeś—dodał, wskazując gruby modlitewnik.

Podążyli ku domowi.

— Zdrowi są wszyscy? Chyba nie, bo nie może być, żeby z dwanaściorga któreś nie chorowało...

— Nie drwij... Niespokojni jesteśmy o Józia...

— Przed rokiem chorował Tadzio, a wczoraj Malwina... Niema dnia w roku, a w dniu godziny, w którejbyście nie drżeli o wasze skarby. W każdym liście donosisz mi o chorobach.

— Od tego są dzieci...

— Od tego, by przysparzały kłopotów w niemowlęctwie, trosk w okresie szkolnym, niepokojów w młodym wieku, smutków i zawodów, gdy dojrzeją...

— Zmienisz z czasem poglądy...

Tak rozmawiali. Potem Obroński oblewał się zimną wodą, a mył się gorącą, golił się, przebierał się i odświeżony, wesoły zszedł na dół do jadalni.

Wszystkie dzieci siedziały już przy stole, każde z serwetką pod brodą. Odbył się obrzęd powitania. Stryjaszek zapytywał o imiona, zapominał i znowu pytał, nie oryentował się w latach, nie umiał odróżnić męskiego rodzaju od żeńskiego, czem obrażał chłopczyków, dawał rękę do całowania i rozdawał cukierki, gładził płowe i ciemne główki, śmiał się, bo śmiały się rumiane buziaki, z interesem przyglądał się Francuzce, która miała na górnej wardze meszek, i Angielce, której ręce były niezwykle ładne, przekomarzał się z bratową, przepowiadając jej drugi tuzin pociech, powtarzając werset z psalmu „uxor tua sicut vitis abundans.“ Pani Teresa Obrońska, szczupła blondyna o twarzy trochę sennej, płoniła się, jak dziewczę.

Po śniadaniu był spacer. Oboje gospodarstwo niezmiernie lubili drzewa, kwiaty, rośliny, i wiele pracy umiejętnej włożyli w ozdobienie i pielęgnowanie rozległego parku, który otaczał rezydencyę. W lecie kwitły tu przecudne klomby godecyi, wiły się wstęgi róż, płonęły różnokolorowe maki, radowały wzrok kunsztownie ułożone dywany bratków, bielały niby płachty śniegu niepokalane begonie.

Chłód nocy jesiennych zwarzył i zgasił bogate piękno ogrodu. Ostały się tylko wysokie, dziewicze, sielskie malwy i kędzierzawe astry. Były także niezwykłe odmiany drzew i krzewów, które z upodobaniem, z dumą pokazywano gościowi. Niebo przetarło się i blade słońce październikowe wyglądało czasami na krótką radosną chwilę, której kres kładła samolubna chmura, zabierając zazdrośnie blask słoneczny wyłącznie dla siebie. Na jakiejś ławie gawędzili, ciesząc się z ciepłego promienia, ze smugi błękitu, z uśmiechu pogodnego dnia.

Obroński, który był w wybornym humorze, opowiadał zadomowionej parze wieśniaków nowiny ze świata. Zadziwiał ich i zaciekawiał, gorszył i przerażał. Pani Teresa Obrońska, która przed laty bywała wiele i znała wszystkich w świecie ze słyszenia, wypytywała z zajęciem o szczegóły. Jej ładna, trochę senna zwykle twarz ożywiła się. Przesuwały się przed nią w dosadnej opowieści dzieje życia rówieśnic i przyjaciółek, z któremi tańczyła na karnawałach, bawiła się w petits jeux na rautach, szyła dla biednych i sprzedawała na wentach, którym niekiedy, znużona jednostajnością dni wiejskich i obowiązków, zazdrościła, że one zostały na widowni. Słuchając, porównywała i przestawała zazdrościć. Ordynat poruszył kronikę skandaliczną, wdawał się w drastyczne komentarze, wtajemniczał, przekornie usprawiedliwiał bohaterów i bohaterki najbardziej gorszących historyj, bawił się i cieszył, widząc zgrozę, oburzenie, niedowierzanie.

— Grzeszni jesteśmy wszyscy i zły jest ten świat, tylko wy dwoje jakgdyby przeniesieni z cnotliwej powieści—dokuczał.

Oni zaś milczeli, zamyśleni, może trwożni o przyszłość dzieci, nad któremi czuwali, których strzegli, a których z czasem miał zabrać im świat, żeby spaczyć i popsuć.

— Jakże zapowiadają się wybory?—spytał Konstanty Obroński, pragnąc zmienić rozmowę, która nudziła go i zostawiała po sobie niesmak. Wołał w pogodnej krainie własnego szczęścia zapomnieć o świecie, który był kędyś daleko za górami.

— Nie udawaj, że to ciebie zajmuje—odparł Gut — z obowiązku grzeczności zamierzasz prowadzić ze mną rozmowę polityczną, tymczasem ukradkiem wciąż strzyżesz okiem w kierunku ukochanego tuzina.

Dzieci bawiły się na trawniku pod dozorem Angielki, zgrabywały liście do kupy, przewoziły je taczkami, kopały piasek, usypywały góry. Brzmiał chwilami śmiech, czasami wynikały sprzeczki, zakończone krótkim płaczem, odbywały się gonitwy, była uciecha.

— Uważasz mnie za męski rodzaj kury domestiki—bronił się się Konstanty Obroński.

— Bynajmniej. Zachowaj tylko swój typ, bądź tem, czem jesteś. A ja nie przyjechałem tu po to, by wdawać się w t. zw. poważne rozprawy. Przyglądam się wam i waszemu szczęściu, odpoczywam, może zazdroszczę...

W tym cichym, oddalonym od świata domu, który był niby oaza wytchnienia, spokój ogarniał ordynata: stawał się prostym, mówił otwarcie.

— Wiecie, że lubię tu bywać i o to jedno proszę, żebyście mnie nie bawili. Niech życie toczy się codziennym trybem. Chcę widzieć was au naturel. Będę z wami chodził do ochronki, do szkółki na lekcye katechizmu, do kaplicy, będę śpiewał godzinki i kąpał dzieci—słowem wykonam wszystko, co leży w programie— spojrzał na zegarek.

A teraz chyba pora iść na drugie śniadanie. Chodźmy.

Wrócili do domu. W dużym pokoju dziecinnym, o ścianach pomalowanych na olejno, widnym i wesołym, dzieci zasiadły do nizkiego stołu. Po śniadaniu rozpoczęły się tańce. Któraś z licznych nianiek przygrywała na arystonie, ochocze pary pląsały. Wśród wrzasku złej muzyki Obroński myślał, że trzeba niezwykle tęgich nerwów i prawdziwego powołania rodzicielskiego, żeby codziennie słuchać okropnego hałasu, i badał brata, który stał z rozpromienioną twarzą, zachęcał, chwalił, radował się. Pani Teresa chciała ulitować się nad gościem i wyprowadzić go z pokoju, ale ten żartował, że należy czarę wychylić do dna, i został. A gdy przyszła godzina generalnej kąpieli, przyglądał się białym ciałkom, w których było coś z czystości i wdzięku kwiatów, ciemnym i płowym główkom, które wysterkiwały z wanien, małym rączynom, które biły wodę, grymasom śmiejących się albo kapryszących twarzyczek. Było trochę krzyku i płaczu, wypadło któremuś z niegrzecznych dać klapsa. Białe ciałka zaniesiono na łóżka, zawinięto w suche i ciepłe prześcieradła, wycierano, czesano. Obroński uważnie przypatrywał się, jakkolwiek widywał już nieraz tę scenę, i dumał. Zaczynał pojmować szczęście brata, szczęście, które polega na zupełnem zapomnieniu o sobie i wyzbyciu się wszelkich praw, przywilejów, uroszczeń egoizmu, na pokochaniu cudzego istnienia więcej niż własne, rozumiał, że tu, gdzie wydawało mu się, że nic niema prócz krzyku, łakomstwa i chorób, dla serca rodzicielskiego jest cały świat tajemniczy i doniosły, świat pełen niewysłowionych radości i pociech, tajemnic i cudów, rozumiał słodycz wytchnienia wśród serduszek, bijących w tych

świeżo wykąpanych ciałkach, wśród czystego wesela prostych dusz. Dlatego zostawał. Nie chciał psuć przyjemności rodzicom, którzy w zwykłym trybie trzy czwarte dnia spędzali z dziećmi, zresztą przestał nudzić się. Sprawiały mu naprawdę miłą dywersyę niezwykle ładne ręce Angielki, oraz zalotnie uśmiechnięte do niego czarne oczy paryżanki, która miała meszek na górnej wardze, ale słuchał także z zajęciem popisów; ckliwego francuskiego wiersza le petit Jesus s'en va à l'ecole en portant sa croix sur son épaule, quand Il sait bien sa leçon, on lui donne un bombon... i polskiej deklamacyi.

Gdy miły głosik Zosi, która zarumieniła się aż do łez z wrażenia, zagadał strofami Konopnickiej: „I pod blaskami tych jasnych gwiazd, módl się o spokój dla naszych gniazd," powiało nań wspomnieniem jakiejś bardzo dobrej i bardzo dalekiej chwili z własnego dzieciństwa i zabrzmiał gdzieś żal, że on nie ma ani tamtego dawnego domu, który zniszczyła śmierć, ani nowego własnego, w którymby szczebiotał mu codziennie czysty głosik umiłowanej dzieciny.

Ku wieczorowi obaj panowie po długim spacerze odpoczywali przy kaplicy. Rosły tu nad grobami rodzinnemi stuletnie drzewa gęsto i dziko, gdzie posiał je wiatr, bujnie, jak zwykle na cmentarzach. Zielone wierzchołki niebotycznych sosen chwiały się wśród złotych brzóz, niezmierne jesiony splatały się z wiązami, którym poczerniały płaszcze liściaste, na jarzębinach kraśniały grona jagód, trzęsły się frasobliwe osiny, świerki wysokie i ciemne trwały w posępnej zadumie, która nie przemija. z wysoka spoglądały rycerskie głowy dębów, których zbroje okryły się rdzą. Na mogiłach kwitły ostatnie kwiaty. Nad dogasającem pięknem minionego lata dogasał dzień. Słońce zachodziło w złocie i purpurze wieczornych zórz, płonęły drogocenne blaski. Niebo było czyste, tylko na wschodzie z chmur, które wiatr zganiał od rana, utworzyły się wały spiętrzone niby jakieś wzgórza, niby świetliste szczyty dalekiej krainy. Cicho wśród milczenia grobów szumiały gałęzie.

— Nie spałem tej nocy—cicho i wolno, jakgdyby nie chcąc płoszyć spokoju tej godziny mówił Gut Obroński—i dużo myślałem o sobie, o was, o istnieniu człowieka. Mijają wam tu zwyczajne dnie, które są jak chleb powszedni, dnie, złożone z małych trosk i niepokojów, zmartwień i radości, ale kto wie, kto wie, może ty, któryś nigdy nie dosiadał rozbieganych koni, właśnie znalazłeś życie...

Zamyślił się, patrzał ku świecącym we wschodniej stronie obłokom, które były niby złote wzgórza dalekiej młodości.

— Ja także unikałem ognistych rumaków imaginacyi — ciągnął dalej — obcinałem pragnieniom skrzydła, ze skrzydeł wyrywałem pióra marzeń, tymczasem często łapię siebie na gorącym uczynku... — urwał.

— Żeń się — nieśmiało odezwał się Konstanty.

Ordynat uśmiechnął się blado.

— Wiedziałem, że ty to powiesz... jesteś fanatykiem idei, która krzyczy co dziewięć miesięcy...

— Wydawało mi się, że i ty także przed rokiem, żeś sam skłaniał się... był jakiś projekt — ostrożnie badał brat, bojąc się urazić.

— Tak—była prosta i szczera odpowiedź — chciałem ożenić się z księżniczką Marylką. Rozpocząłem był akcyę nudną i uciążliwą, która się nazywa staraniem się o rękę panny. Dziewczyna jest śliczna, ale zbyt młoda i egzaltowana... Nie rozumie jeszcze, co znaczy dobra partya. Niektórzy twierdzą, że podoba się jej ten nudziarz, Paweł Naborowski.

Zapadło milczenie. Obroński spoglądał w głąb cmentarza, potem z martwego smutku grobowców przeniósł wzrok na zielone pole ozimin, podążył spojrzeniem ku onemu dalekiemu, złocistemu wzgórzu młodości, które gasło.

— Są tacy—zaczął po chwili—którym miłość może zapełnić życie. Trzeba niezmiernie kochać, kochać raz jeden... Kobieta daje zapewne szczęście, kobiety — nigdy... Ja znam je zbyt dobrze, znam ich zbyt wiele...

— A z drugiej strony—mówił znowu — małżeństwo nie jest celem. To raczej ucieczka od ciężarów życia, którym się nie podołało. Pokolenie rodziców spycha brzemię na barki dzieci, dzieci znowu z czasem czynią to samo. I tak od początku... Ty przecież przestałeś żyć dla siebie, przestałeś dążyć, wcieliłeś się całkowicie w istnienie dzieci...

— Życie duchowe nie może i nie powinno ustawać—zaprzeczył Konstanty.

— W zasadzie, w teoryi... zresztą ty bierzesz to z punktu religijnego...

Ordynat rozważał coś chwilę, grzebiąc laską w ziemi,

— We mnie i w życiu mojem tkwi jakiś błąd—rzekł potem—a najlepszym dowodem ta rozmowa. Czyż człowiek normalny w moim wieku zastanawia się nad celem, szuka, zgłębia, czy mo-

żesz wyobrazić sobie Anglika albo Niemca, którzyby na mojem stanowisku i w mojej roli rozprawiali filozoficznie i smęcili się...

Konstanty Obroński chciał znowu zaprzeczyć, ale ordynat nie zwrócił na to uwagi i z rozdrażnieniem, jakgdyby to był spór z przeciwnikiem, ciągnął dalej:

— Nie uznaję pesymizmu, który płynie ze znużenia, przesytu, na który chorują próżniacy, mam wstręt do sceptyków, bo im na imię anemia... Ty wiesz najlepiej, że pracowałem i używałem za dziesięciu... Postanowiłem mieć zdrową duszę w zdrowem ciele, chciałem dać lekcyę poglądową... Filozofia moja jest prosta i łatwa: brać z życia wzruszenia, wrażenia, uciechy, płacić społeczeństwu użytecznością... Rozumiem obowiązki, wiesz także, że nie wyparłem się katechizmu... Wyrzuciłem z domu swojego nudę, wymiotłem wszelką tęsknotę... Wydawałoby się, że w tych warunkach, zwłaszcza gdy sumienie mówi, że wypełniło się wszystkie z dania, że w tych warunkach można znaleźć spokój i zadowolenie... Tymczasem łapię siebie często na gorącym uczynku obcowania z widmami...

— To polski rodzimy smętek, polski niedorzeczny sentyment—zjadliwie i gniewnie napadał na niewidzialnego przeciwnika Gut Obroński—znam się na tych konceptach... Gdy inne narody budują, wzrastają w potęgę materyalną, zdobywają dobrobyt na ziemi, my marzymy o czynie mistycznym, szukamy gmachu anielstwa... Życie nie jest dramatem, a poczucie próżni rodzi się z chorobliwej tęsknoty, towarzyszy starczemu uwiądowi...

Padały krótkie, urywanie zdania, niezupełnie jasne. Ordynat zwalczał myśli, które trapiły go podczas nocy bezsennej. Przestał potem mówić, zwiesił głowę, czekał odpowiedzi brata.

— Zdziwisz się może, gdy powiem—odezwał się ten cicho—wyda ci się, że ja powtarzam w kółko to samo, ale ja nie z teologii moralnej—uprzedzał zarzut — pamiętasz zapewne ów niezrównanie głęboki werset o miłości, której nie zastąpią, zdaniem apostoła, słowa anielskie, proroctwa, tajemnice, nauka, wiara... Pole twojej działalności, skala wzruszeń twoich bardzo rozległe, ale tylko praca poczęta w miłości daje zadowolenie.

— I w tobie pokutuje dusza polska — sucho odparł Gut.

Była cisza. Zapadał zmierzch, dopaliły się zorze wieczorne, ucichły przed nocą drzewa. Ciemniała na wschodzie chmura, niby posępna góra smutku.

— To ty kazałeś położyć ten napis na kaplicy — zwrócił się ordynat do brata — cóż tam stoi?

— Et nunc dormiam in pulvere...

— Et nunc dormiam in pulvere — powtórzył Gut.

I znowu zaległo milczenie.

— I religia twoja jest polską... ktoś z narodu żywotnego wyryłby słowo zmartwychwstania...

Ordynat zamyślił się. Spoglądał w przeszłość, z której wynurzały się blade cienie dni i ludzi minionych, otworzył serce przed tłumem wspomnień.

„Przeszło już wiele czasu, skończyła się dawno młodość, lata biegną wartko... Przeminie wszystko... a cóż uczyniłeś z życia swego...“—odzywał się wciąż ten sam dokuczliwy wniosek.

— Chodźmy stąd, z tego cmentarza—rzekł, siląc się na wesołość — bo tu w powietrzu unosi się śmierć... A nam z tobą żyć trzeba...

— Każ mi osiodłać jutro o świcie najlepszego konia—mówił dalej już za bramą cmentarną.—Musisz urządzić także polowanie... Sam nie korzystasz, niechże użyją inni...

I rozmawiali potem o rzeczach pospolitych, codziennych, ale bez werwy i ochoty, jak ludzie, którzy tłumią w sobie jakiś smutek, którzy myślą przebywają gdzieindziej.

V.

Spokój nie opuszczał Śniałowskiego, mimo że zbliżała się godzina trudna i niebezpieczna, w której miał wykonać uplanowane oddawna ryzykowne przedsięwzięcie. Działał na własną zupełnie odpowiedzialność bez porozumienia z partyą, z którą zerwał był przed rokiem stosunki. Kiedyś tam podczas bezsennej nocy zabłysnął w nim ów śmiały, na pierwszy rzut oka niewykonalny pomysł — i odtąd rozwijał go, opracowywał szczegóły, przysposabiał się, przygotowywał towarzyszów. Data i miejsce były wyznaczone oddawna, role rozdane, każdy krok z góry przewidziany. Śniałowski mimo wybuchliwości, i nerwowego braku równowagi umiał w potrzebie postępować przezornie i cały plan działania ułożony był przebiegle. Zresztą sama niezwykłość zamachu była najlepszą rękojmią, że zamiar się uda. Twórca projektu nie wątpił o tem na chwilę i pilno mu było do czynu. Ale jechał wolno, żeby nie przyjechać zawcześnie. Koń byle jaki, kupiony na prędce za liche pieniądze, szedł leniwie, ze spuszczonym łbem i potykał się często na nierównej ścieżce. Z obu stron wązkiej drogi ciągnęły się zarośla, i majaczące krzewy wyglądały

niby zaczajone szeregi wojska. Wydawało się Śniałowskiemu chwilami, że zaraz padnie strzał, posypią się kule — rozglądał się uważnie. Między pochmurnym niebem a ziemią rozpostarła się posępna ciemność nocy jesiennej, którą powiększała gęsta mgła. Było cicho i pusto, świat milczał pogrążony w mroku. Wrażenie tej obumarłej ciszy potęgował odgłos stąpania końskiego, stłumiony na piasku, jakdyby ostrożny i nieśmiały. Smutek listopada przebywał wśród odludnej równiny, ciemność, przesiąknięta wilgocią, tłoczyła jak sklepienie piwnicy..

Ale między przyrodą, którą ogarnął długi i głuchy sen, a młodym jeźdźcem nie było porozumienia. Uniesienie zawładnęło namiętną jego duszą, a w takich momentach znikała mu z przed oczu rzeczywistość. Działał trzeźwo i rozsądnie, był zaś jakgdyby pogrążony we śnie. Zgubiony w niezmiernym odmęcie mroku, nie odczuwał samotności, nie przeraził się beznadziejnych obszarów nocy, wśród której czemże był człowiek z nędznem światełkiem swoich złudzeń?! W uszach dźwięczały mu nieustannie wesołe głosy, jechał w towarzystwie dziarskich myśli, niby na czele zastępu junaków, rwących się do boju. Marzył o zwycięstwie, wyrastały dokoła obrazy, które zdawna śniły się sercu, ukazywały się nadzieje, jak owe chmury o zachodzie płonące ogniem. Marzył o jutrze, o dniu radości, pełen był mocy. Miał w ręku władzę, niby ów grom Zeusa, miecz czynu palił mu dłonie. Upajał się poczuciem potęgi własnej, a jednocześnie oddawał pokłon hołdu, korzył się przed majestatem Idei, której służył, którą miłował. Widział na jakimś szczycie wznoszącą się świątynię, a w niej zgromadzenie wiernych, wielki kościół powszechny, radosne obcowanie wszystkich od początku czasu wyznawców, uroczyste święto wyzwolenia... Widział długie wieki męczeństwa, niezliczone lata panowania Zła, cmentarze poległych, bezimienne mogiły bohaterów, szary brzask poranku nad polem kaźni, szereg szubienic, okrążył myślą mury więzienia, pochylił się nad otchłanią, zajrzał w głąb piekła teraźniejszości, ogarnął spojrzeniem ziemię niewoli, niedolę bez granic... Jak pchnięcie sztyletu był ból, potem jak płomień strzeliła radość, że to już minęło na zawsze. W porywie uwielbienia dla Idei wybawicielki chciałby uklęknąć, bić czołem, całować stoki wzgórza zabarwionego krwią tych, którzy ponieśli życie w ofierze... Stanęły w oczach drogie twarze zmarłych towarzyszów, z którymi zaczynał pracę... jakże żałował, że nie doczekali, że nie było ich tu... cisnęły się na usta imiona, serdeczne słowa... I znowu wspominał dzieje, sławne dnie uporczywej, odwiecznej walki, posyłał

pozdrowienie braciom w dalekich krajach, w dawnych stuleciach, błogosławił nierozerwalny związek, święte credo, które przetrwało... Zdawało mu się, że słyszy rozlegający się na wszystkich krańcach ziemi okrzyk, że o tej samej godzinie powstają ludy... Obejmował w miłosnym uścisku ludzkość, szczęśliwy był kochając. W duszy brzmiał hymn uwielbienia Idei, śpiew zachwytu dla władzy człowieka, pieśń wiary i mocy... Upojony był...

Gdyby było można, i gdyby koń pod nim był inny, wypuściłby go i mknąłby, budząc tętentem szalonego cwału uśpioną okolicę. Niecierpliwość paliła czoło, drżały niecierpliwe ręce... Tymczasem należało działać ostrożnie, chytrze skradać się...

W pewnej chwili koń stanął, i jakgdyby nasłuchiwał, strzygąc czujnemi uszami, potem nagle zarżał. Daleko wśród milczenia pustych pól rozległo się niespokojne wołanie, to rżenie pełne tęsknoty i trwogi. Ucichło. I koń, i jeździec czekali słuchając. Głos utonął bez echa w nieskończonym obszarze nocy. Z mroku nie odpowiedział nikt — trwała cisza niema i martwa. Koń zarżał znowu. Wówczas Śniałowski rozgniewany zdzielił go co sił rózgą. Znużona szkapa machnęła ogonem, spróbowała lichego galopa, przeszła w kłusa. Przejechali z pół wiorsty. W ciemności zamajaczył ruchomy kształt. Był to wóz z ciężarem, który zbliżał się wolno. Szedł za nim człowiek w wysokiej zapewne barankowej czapie z biczem. Gdy mijali się, Śniałowski nie mógł tego widzieć, ale odczuł badawcze nieufne spojrzenie tamtego. Konie z cicha przyjaźnie zagadały do siebie.

— Włóczycie się po nocy!—wesoło odezwał się Śniałowski.

— Ano—odpowiedział furman, nie zatrzymując się.

Wóz toczył się z owem charakterystycznem skrzypieniem, które jest niby stękanie żywej znużonej trudem istoty, i rychło znikł w mroku. Umilkło skrzypienie, znowu zaległa głucha cisza.

Bawiąc się włosami grzywy, Śniałowski myślał o przygodnie spotkanym, którego nie znał, nie poznał, nie zobaczy nigdy, myślał, że w jakimś punkcie przestrzeni i czasu skrzyżowały się na mgnienie ich oddalone, niepodobne drogi i rozbiegły się w różne strony na zawsze, że ubogi woźnica dowie się może kiedyś, kim był ów samotny jeździec, i będzie wspominał... myślał, że konie przywitały się życzliwie, a tamten patrzał z nieufną niechęcią, biedny znieprawiony człowiek, którego niedola nauczyła widzieć w bliźnim wroga. Gonił za nim spojrzeniem, podążył do nędznej zagrody, gdzie mieszkały bieda, trwoga i troska, szukał w ciemności rozrzuconych na płaszczyźnie, niewidzialnych wiosek, nad któremi zajaśnieć miała zorza... I oglądał umiłowaną

nadzieję, drogi obraz przyszłego szczęścia, jakiś pogodny dzień blizkiej wiosny, radosny żywot zbudzonego do życia ludu... Gruchnęła już po ziemi dobra nowina, zajrzy do chałup przez nizkie okna promień świtu — i biją skrycie serca, czekają, wątpiąc jeszcze. Przekona nieufnych szczęk bitwy, łomot i łoskot walących się murów... Spali długo snem nieocknionym. Trzy razy przeciągała burza, trzy razy pod żałobnym całunem klęski gasły nadzieje, i kładła się do trumny, udając śmierć, prawda wyzwolenia. Aż oto wstanie w żywym kształcie, wielka i mądra, święta i niezwalczona...

Marzył, splatając i rozplatając włosy grzywy, wsłuchiwał się w hymn uwielbienia idei, w pieśń mocy, którą brzmiała dusza, szczęśliwy był...

Koń zwolnił kroku, wlókł się zaledwie, czasami stawał. Zatopiony w myślach jeździec nie zważał na to i spokojnie czekał aż zmęczona szkapa pójdzie sama. Potem wydało mu się naraz, że jest już późno, więc począł ćwiczyć swoją kobyłę, przemawiać energicznie, zachęcać natarczywie do biegu. Chciało mu się galopa. Ale skutek był zgoła przeciwny. Klacz stanęła w miejscu jak wryta. Nie pomogły okładania rózgą, kopanie obcasem, mocne przekleństwa. Znarowiona szkapa stęknęła czasami głucho, przestępowała z nogi na nogę, machała ogonem, kręciła się w miejscu, wspinała się, ale ruszyć nie chciała. Złamała się rózga, ogarnięty wściekłością jeździec napróżno szarpał cugle, klął, walił pięściami w szyję. Śmieszna walka trwała dość długo...

Śniałowski, który nie był sportsmenem i nie miał zupełnie wprawy w jeździe, pomyślał, że to jest może jaka przypadłość... Zasłyszana przed laty nazwa: koler, zgoła niewłaściwa, wynurzyła się w pamięci działacza, nieobeznanego ze sprawami stajni. Zeskoczył z kulbaki, zaświecił kieszonkową lampkę elektryczną, próbował badać. Krótki błysk oświetlił czujne zaniepokojone uszy, ciemne łagodne oko. Z niewymownem zdumieniem, z wyrzutem spojrzało ku niemu to łagodne oko... Śniałowski czekał chwilę, jeszcze raz zaświecił lampę... Tak samo łagodnie i smutnie patrzały duże oczy. Wgramolił się na siodło, znowu bił, bódł obcasami, zdzierał i szarpał cugle, albo przemawiał dobrotliwie, z serdeczną prośbą. Znarowiona kobyła nie chciała go słuchać... Nie było innej rady, należało resztę drogi odbyć piechotą. Czasu zostawało jeszcze dosyć. Śniałowski zdjął kulbakę i uzdeczkę, puścił konia, który zawrócił w miejscu i poczłapał drogą, niezbyt rychliwym truchcikiem, słuchał chwilę oddalającego się tętentu, ruszył. Wkrótce z mgły wynurzyła się ponura ściana boru. Dzia-

łacz szedł żwawo, i zdawało się, że las równie szybko posuwa się ku niemu. Drzewa wyrastały z ciemności, rysowały się coraz bliżej swoim posępnym ogromem, ukazywały się kadłuby, zarysy wierzchołków, groźne postacie samotnych wysuniętych na przód olbrzymów, które stanęły na czatach niby żołnierze przed frontem armii, i pierwsze zwarte szeregi, za którymi była niezbadana i nieprzystępna otchłań. Śniałowski skierował się w gęstwinę i zostawił tam siodło, poczem wrócił na gościniec. Las był duży. Sosny ciągnęły się z obu stron nieskończonym zastępem, gdziekolwiek spojrzeć czerniały na tle szarawo-siwych niebios ich rozłożyste wierzchoły, spodem rozlewał się gęsty nieprzenikniony płyn mroku. Z gałęzi kapały krople, które ściekając czyniły w ciszy tajemiczy szelest. Zdawało się, że pełzają dokoła jakoweś węże, że odbywają się narady, że w głębokiej otchłani boru coś się przygotowuje, przychodziło na myśl, że złączą się i zleją w jedno oba skrzydła puszczy, że drzewa za chwilę ścisną szeregi, splotą się konarami, zamkną wszystkie wyjścia, że las nie wypuści swojej ofiary, zgotuje zagładę samotnemu bezbronnemu człowiekowi. Lęk muskał duszę, niby lekki powiew powierzchnię jeziora, i sprawiało przyjemność ciągłe przezwyciężanie nastrojowej bojaźni. Wreszcie Śniałowski usłyszał daleki świst pociągu. To zawołała na niego rzeczywistość, odezwało się nad uchem jakgdyby umówione hasło, był to pierwszy sygnał, przypomnienie czynu. Bór przestał straszyć, rozwiały się także marzenia. Idąc, słuchał obojętnie nieśmiałego szemrania kropel, które zwierzały mu poufnie jakieś tajemnice, a jednocześnie czynił w myśli szybki przegląd sił, obejmował wzrokiem niby pole bitwy plan przedsięwzięcia.

Gdy skończył się las, dojrzał ze wzgórza mrugające ku niemu poprzez mgłę światełka stacyjne. Zostało zaledwie pół wiorsty. Gdzieś w pobliżu musiał być główny trakt, prowadzący do miasteczka. Śniałowski zaświecił swoją lampkę, spojrzał na zegarek, a, przekonawszy się, że jest jeszcze wcześnie, zatrzymał się i usiadł. Wolał czekać tu w polu. Patrząc w życzliwe światełka stacyi, które to ukazywały się, to nikły za zasłoną ruchomej mgły, w jednostajne i martwe niebiosa, rozważał wciąż swój zamiar i plan. Był pewny powodzenia. Z chełpliwym zadowoleniem wystawiał sobie popłoch rządu, zdumienie społeczeństwa, zawiść byłych kolegów, z pogardą myślał o tych tam w mieście, którzy radzili, pisali szumne odezwy, straszyli władzę, nie mając środków, i wiedli jałowe spory... Mijały przelotne myśli, spokojnie czekał. Oczekiwanie chłodne, prawie obojętne było główną

treścią duszy, w której pokruszyły się wszystkie inne uczucia, zgniecione doniosłością tej godziny, wola w przewidywaniu trudu, który miał przyjść, odpoczywała... Topił wzrok w ciemnej, niewiadomej przestrzeni...

Kędyś na horyzoncie wybłysła nagle jasność, ukazał się drżący blask, jak od rozpalającego się ogniska, i wydawało się zdumionym oczom, że to jest niespodziany uśmiech na posępnym obliczu nocy. Łuna rozszerzała się, rosła, płonęła. Po chwili szerokim pasem krwawej czerwieni zarumieniło się niebo, wybuchły ogniste, zbroczone posoką kłęby dymu, odezwał się dzwon. Paliło się gdzieś w niezbyt dalekiej zapewne wiosce... słychać było zmieszany gwar głosów, wrzawę przerażenia, zgiełk nieszczęścia... Czasami rozlegał się trzask zapadającej się budowy, ogień przygasał na chwilę, potem przerzuciwszy się snać na sąsiednią siedzibę, wybuchał ze wzmożoną siłą. Wioska szła z dymem, szalała straszliwa potęga płomienia. Drgały, objęte łuną, mieniły się niebiosa, chwiejne blaski słaniały się po polach, zawadzały o ciemną ścianę tajemniczego, obojętnego boru, uczyniło się widno. Była niewymowna zgroza w owym krzyku ogarniętego rozpaczą tłumu, w wołaniu o pomoc, które brzmiało wśród nocy...

Litościwy instynkt pchał Śniałowskiego w tamtą stronę, współczucie nie pozwalało biernie patrzeć, był nakaz serca, aby śpieszyć z ratunkiem... Wahał się może... Potem poszedł wolno ku stacyi. Ogniste smugi zabiegały mu drogę, leciał za nim jęk dzwonu, gwar strwożonych wołań.

Koło zajazdu czekało dwu towarzyszów. Przywitali go pocichu hasłem „płytka woda,“ ruszyli razem. Reszta miała się zjawić w ostatniej chwili. Drogą pomknęło kilka wozów, biegli ludzie zapewne ku palącej się wiosce. Na stacyi było niewiele publiczności: jakiś pan w burce, któremu z twarzy patrzał dobry apetyt, przywiędła pani, poprawiająca sobie przed lustrem włosy, paru Żydów, chłopka z koszykiem, w którym gęgała zaniepokojona o przyszłość gęś. Lampa kopciła, jak zwykle na stacyi. Był dzwonek, zwiastujący zbliżanie się pociągu. Śniałowski zachował swój chłodny spokój, obojętnie czekał. Rzuciło mu się w owym mgnieniu ogłoszenie firmy Doyen, obnażone ramiona damy, uśmiech młodzieńca, odzianego we frak, przysłuchiwał się jakiejś rozmowie. Wiedza o tem, co i jak należy czynić, tkwiła głęboko, ale on prawie nie pamiętał, był biernie posłuszny narzuconemu z góry rozkazowi, owemu wydarzeniu, które nasuwało się z hurkotem, potędze, która szła, żeby go zmusić... Spoglądał tępym spojrzeniem w okno, i w świadomości nie było nic prócz bardzo do-

kładnego obrazu ciemnej szyby i pomalowanej na biało ramy... Ani jednej myśli o przeszłości albo przyszłości — trwanie chwili teraźniejszej jakgdyby pierwszej i ostatniej, obojętność jakgdyby jedynym zadaniem — stać i patrzeć w ciemną szybę.

Towarzysze stanęli właśnie we drzwiach. „Płytka woda," rzekł cicho i wolnym, mierzonym krokiem skierował się na peron. Rozległ się huk, posypały się strzały, rzekłbyś gromada śpieszących kędyś dzieci, zabrzęczało gdzieś stłuczone szkło, kobieta krzyknęła, ktoś jęknął... kilka szybkich sekund, szybkie ogarnięcie jednem spojrzeniem sytuacyi... wszyscy na stanowiskach, wszystko podług planu. Runęło mu pod nogi ciało żołnierza w szarym szynelu, potknął się o jakiś kufer... Biegli za nim towarzysze z latarniami, które chwiejąc się, rzucały przelotne smugi blasku, oświetlając mokre kamienie peronu, beczki od wody, nieruchome koła wagonów, sztachety... Skoczył pierwszy do wagonu. Obezwładniono starszego urzędnika, otyłego jegomościa o wystraszonej twarzy. Stał nieruchomy, zabawnie trzymając pulchną białą rękę na piersi. Młodszy urzędnik, brunet o typie południowca stawiał opór. Z zawziętym gniewem, z nienawiścią, która rodziła się może z trwogi o życie, patrzały jego piękne oczy, gdy mierzył z rewolweru. Padł sam od kilku strzałów, wywrócił się na jakąś pakę — i zapomniano o nim... Był jeszcze trzeci przedstawiciel rządu. Śniałowski widział jak dusiły go nieubłagane ręce, widział krew, która trysnęła od złowrogiego chamskiego ciosu nożem, i dziwny uśmiech na ustach tego, który mordował...

Zabrali się do roboty. Towarzysze pracowali. Otyły jegomość w mundurze palcem swojej białej pulchnej ręki wskazywał torby, z pośpiechem, zdławionym głosem objaśniał. Od strachu drżały mu wciąż wargi... Śniałowski zaglądał to tu, to tam, pilnował porządku tak obojętnie, jakgdyby gdzieś we własnem mieszkaniu podczas codziennego zajęcia. Zbierał drobne spostrzeżenia. Zauważył szklankę lekkiej herbaty i wypił ją duszkiem, jakiś kołnierzyk i mankiety, zostawione na stole przez urzędnika, zapamiętał plamy krwi na szarej bibule, i trupa, który leżał na pace w dziwnej pozycyi, jakgdyby ktoś żywy, któryby położył się na brzuchu i pilnie szukał czegoś na podłodze...

Przedsięwzięcie udało się, czyn był dokonany. Jak duchy znikli, rozjechali się w różne strony, nie obawiając się pościgu. Śniałowski zawinął się w burkę i milczał na swoim wózku. Otoczyły ich noc i spokój. Na niebie z lewej strony świeciła jeszcze blada łuna dogasającego pożaru, ognie stacyjne znikły.

Patrząc w mrok, wsłuchując się w ciszę, która panowała dokoła, Śniałowski zapytywał siebie, czyli tamto wszystko nie było snem. Ale wóz obładowany, ciężkie od złota kieszenie, rozmowy towarzyszów świadczyły o prawdzie. Powodzenie przeszło wszelkie najśmielsze nadzieje. Opanowali stacyę i pociąg, gospodarowali w wagonie, jak w domu, zrabowali bardzo znaczną sumę, zemknęli zupełnie bezpiecznie. Sam rząd dostarczył im środków, dopomógł w walce... Wódz mógł być dumnym. Z uciechą parę razy pomyślał Śniałowski o zdumieniu, które wywoła wśród partyi, o popłochu władz, i bezskutecznych poszukiwaniach, o wrzawie dzienników.

„Zarządzono energiczne środki w celu wykrycia sprawców bezprzykładnie zuchwałego napadu... dokonano licznych rewizyj i aresztowań... śledztwo w toku," z uśmiechem zgadywał treść jutrzejszych depesz. I bawiła go okoliczność, że gdy wojska otoczą przystanek, trząść będą Bogu ducha winną okolicę, on najspokojniej wysiądzie na dworcu kolei w mieście.

Towarzysze zadawali mu od czasu do czasu pytania — odpowiadał lakonicznie, nie będąc usposobionym do rozmowy.

Zaszła w nim zmiana. W duszy, gdzie dotąd niepodzielnie sprawowała władzę mocna wola spełnienia zamiaru, uczyniła się pustka, a w pustce pojawiał się od czasu do czasu cień niewiadomego pochodzenia. Za progiem świadomości dojrzewała jakaś myśl, i ona to odrzucała ów cień, który słaniał się po powierzchni duszy i budził niepokój. Śniałowski stawał się roztargnionym. Zapuszczał się w plany na przyszłość, zastanawiał się nad dalszą walką — i zbaczał natychmiast na niewłaściwe tory, błąkał się gdzieś bez celu, zawadzał o sprawy, niemające nic wspólnego z działalnością, kilka razy przypomniały mu się gorzkie chwile rozstania z domem, uczuł na sobie jakgdyby wzrok matki, spojrzenie oczu, w których był żal i niezmierna obawa. Przykrem mu było to przywidzenie.

Jechali wolno pod górę. Chcąc użyć ruchu, Śniałowski zeskoczył i szedł piechotą. Został wkrótce w tyle, wóz z towarzyszami utonął w mroku. Był więc znowu sam, zgubiony wśród odmętów nocy, jak przed niewielu godzinami. Przypominał mu się zabobon trwogi, której doznał w lesie, i zaczął gwizdać, jak gdyby obawiając się, że lęk wróci. Jakieś drzewo samotne zaczerniało przy drodze, musnęły go po twarzy mokre gałęzie, spadło kilka drobnych kropel. Idąc gwizdał ciągle zcicha coś skocznego. Bezwiednie przez instynkt samozachowawczy podtrzymywał w sobie nastrój lekkomyślny, dobroczynne roztargnienie, któ-

re było wytchnieniem a także środkiem ucieczki. Wstawało coś w duszy, podnosiło się, rosło, nieuchwytny cień, który słaniał się chwiejnie, stał się widmem, przyoblekał się w ciało, przychodził do głosu. Śniałowski przewidywał, jaką będzie ta mowa, i nie chciał jej słyszeć, bał się poprostu, mimo że zwykle obcował z sobą samym otwarcie i odważnie Wolał odłożyć na później badanie śledcze, rozprawę, wyrok. Wiedział już wszystko, rozumiał treść pracy wewnętrznej, ale stłumił świadomość, usiłował wymykać się, a myśl jak ptak, który tłucze się w klatce, uderzała się o żelazne pręty rzeczywistości...

Przyśpieszył kroku, chciałby dogonić towarzyszów. Wpatrywał się badawczo w ciemność, starając się coś rozpoznać, szukając dla oczu rozrywki. Cieszył się, że dokoła jest mroczny, pusty obszar, że już nie świecą, jak tam, na stacyi, latarnie, których blask boleśnie dokuczał wzrokowi... Chwilami zdawało mu się, że tamto wszystko było snem... Oto noc, bezbarwne niebiosa, spokój, pola, wszystko jest tak, jak było. Otwierał przebiegle klatkę i wypuszczał udręczoną myśl na wolność. Myśl zawracała na szlaki przeszłości, przebywała w czasach odległych, wśród stosunków, które jak najbardziej obce były temu, co zaszło... Wspominał jakieś drobne rzeczy, odtwarzał zupełnie błahe wydarzenia z lat szkolnych. Była chwila, że z uporem usiłował wydobyć, niby szeląg z dna strumienia, nazwisko nauczyciela historyi, który prześladował go w czwartej klasie za liberalne poglądy.

Ale ta gra w chowanego nie mogła przeciągać się zbyt długo. Nękał duszę niepokój... Wstrętnym był fałsz...

Nagle zatrzymał się. Postanowił zdać sobie sprawę, roztrzaskać klatkę.

— Wykonałem oddawna uplanowany zamach — powiedział głośno niby do kolegi, któryby szedł za nim, i dziwnie wśród nocnej ciszy zabrzmiał głos jego — przechyliłem szalę zwycięstwa na naszą stronę, zbliżam się do celu...

I czekał odpowiedzi. Dokoła trwało milczenie, milczenie zaległo w duszy. Spodziewał się, że odezwie się owo widmo, że wybuchnie gwar sprzecznych myśli, że toczyć się będzie spór wewnętrzny. Tymczasem odpowiedzi nie było, nastała cisza, w której, niby kamyk, ciśnięty w przepaść, utonęły dopiero co wymówione słowa. Śniałowski przeraził się, że treść ich okazała się tak niesłychanie podrzędną, nieodpowiednią—i nie oglądał się za innymi. Badał siebie uważnie, a z niepokojem, jak lekarz, który w przejechanym przez parowóz szuka oznak życia. Rozumiał, że stało się coś niezmiernie doniosłego i nieodwołalnego, że to, co

uczynił, przerosło go o wiele, obróciło się przeciw niemu i zadało mu cios, i chciał wiedzieć, co w nim ocalało... Spoglądał prawie z trwogą, niby dziecko, które spostrzega, że od fajerwerku zapaliła się na domu strzecha.

Przed kilku godzinami, gdy dążył ku stacyi, był wodzem, który śpieszy na pole bitwy i ściskał w dłoni buławę, był zapaśnikiem w odwiecznym boju o wolność i szczęście i bratał się z towarzyszami wszystkich czasów i ziem, był sługą idei i szeptał wzruszonemi wargami hymn uwielbienia, był zwycięzcą i moc usiadła mu na ramieniu, niby orzeł, władcą w jakiemś nieokreślonem państwie, a także kapłanem, który otrzymał święcenia z rąk bogini ludzkości...

Teraz minęło to wszystko. Opuściła go moc, znikły urojone szeregi bojowników o wolność, z którymi bratał się, w których zastępie było mu raźnie, skruszyła się władza, przepadła idea i rozwiała się mglista postać ludzkości. Ocknął się z radosnego upojenia i znalazł się, jak wówczas na wzgórzu rodzinnem, w ciemnej godzinie cierpienia, sam w pustce, człowiek znękany i słaby. Odczuwał znowu niezmierną małość własną, beznadziejną treść życia, którą zasłaniał działaniem, programem, marzeniami, niemoc człowieczą, odczuwał przedewszystkiem lęk. Bał się siebie samego, owego cienia, który chwiał się w duszy, a może tkwił za nim, myśli swoich, przyszłości, z której patrzała weń groza... Nie znał jeszcze tam, na wzgórzu leśnem, straszliwej siły, którą zbudził, ażeby obróciła się przeciw niemu, wolny był wówczas i miał nad sobą samym władzę... Tamto cierpienie wydawało się młodzieńczym kaprysem w porównaniu ze stanem obecnym... Z ciemności wychyla się widmo... Śniałowski chciałby uciec, ukryć się kędyś, zapomnieć, i rozumiał, że to mu się nie uda. Ogarniało go znużenie. Coś złamało się w nim i prysło, było mu żal czegoś, co przeszło bezpowrotnie, może swobody, nękało poczucie dziwnej zależności od nowej, nieznanej potęgi, mającej nad nim przewagę, a także nieznośnie dokuczała mu stała obecność w nim czy koło niego obcego ciała, jakiejś obcej myśli, może drugiej istoty. Doznawał wrażenia, że ktoś stoi za nim i nie odstępuje ani na krok, śledzi i pilnuje, że oni, t. j. on i zagadkowy towarzysz, są złączeni na zawsze. Głaz tłoczył duszę, w mózgu tkwiła boleśnie ostra zadra...

Śniałowski bez walki poddawał się. Przekonał się, że przekraczał niezbadaną a zakazaną granicę, że rozpętał jakowąś władzę, że wydarzenie, którego on był sprawcą, przerosło go i przemogło — więc biernie czekał na następstwa. Wzmagało się prze-

rażenie, coraz bardziej dręczyła stała obecność w nim czy obok niego zła, niby żywej osoby, na zawsze z nim związanej, upiór zbrodni zaglądał w oblicze, ciemiężył... Ukazywały się w blasku latarni okropne obrazy, nikły, pojawiały się po chwili. Niemiłosiernem było, że one miały pozostać w pamięci do końca dni, że oczy widziały nieustannie i nie mogły odpocząć.. Śniałowski patrzał bezradnie w mrok. I znowu uczuł na sobie wzrok matki, spojrzenie pełne żalu i wielkiej trwogi. Wargi poczęły mu drżeć jak człowiekowi, którego chwyta płacz, i szepnęły, budząc dawne, dziecięce uczucie, wyraz: grzech, który przyplątał się niewiedzieć skąd.

Zdaleka, rzekłbyś, z krainy, którą pożegnał przed laty, przyszła zapomniana myśl o Bogu i przeniknęła go, przeszyła mu duszę, jak grot utkwiła w najtajniejszej głębi. Poznał w tem mgnieniu i ogarnął istnienie Boga, ujrzał tajemnicę, ujął najistotniejszą wiedzę. Olśniła mu świadomość prawda, zawarta w dwu słowach: Pan jest, oślepiła, uczyniła niewidomym, zakryła, pochłonęła świat. Był sam wobec Boga, on tylko, Pan i zbrodnia, był kędyś poza przestrzenią i czasem, w obszarze bytu, wyrwany z życia, postawiony w obliczu Tego, który jest, ażeby oglądał prawdę nieomylną, której szukał nadaremnie, ażeby drżał i cierpiał...

Krzyk zgrozy, zdumienia, trwogi cisnął mu się na wargi... Fala nowej wiedzy zatopiła wszelką pamięć życia. porwała i uniosła myśl ku nieznanym lądom poza granicę świata pozorów, przemijających zjawisk i wydarzeń, świadomość ugniatały dwa pewniki: fakt istnienia Boga oraz obecność zła, w którem i przez które duch dochodził do poznania... Śniałowski odczuwał prawie fizycznie blizkość Boga, widział, jak człowiek, który patrzy w słońce, skruszony był i korzył się w prochu małości własnej i kajał się. A z drugiej strony złe miało nad nim władzę, trzymało go w mocy swojej, urągało Temu, przed którym chciałby upaść na twarz i kładło wieczysty rozdział. Wynikało stąd niezmierne cierpienie. W obliczu Pana, przed ogromem zbrodni własnej truchlał człowiek, znikomy i słaby... W ciszy, która uczyniła się, dusza czekała bojaźliwie jakgdyby na placu kaźni, w godzinie sądu... Chwile mijały...

— Chodźcież już—cicho odezwał się ktoś zblizka.

Nie słyszał, nie zrozumiał.

— Chodźcie—powtórzył towarzysz—bo możemy spóźnić się.

Wówczas dopiero ocknął się i poszedł posłusznie.

Usiadł w wózku i długą chwilę milczał. Ciemiężyła go boleść, jakiej nie zaznał jeszcze nigdy... Od czasu do czasu chwy-

tały go dreszcze... Obawiając się, że może wybuchnie płaczem, że krzyku, który cisnął się na usta, nie potrafi zdusić, rozpoczął z pośpiechem jakąś bezładną rozmowę na pierwszy z brzegu temat i mówił bez przerwy całą drogę... Usiłował wrócić do życia, do zwykłych warunków, usiłował odnaleźć siebie samego i odzyskać własne, dawniejsze myśli.

Więc rozprawiał o przyszłości, układał projekty, tłómaczył towarzyszom, jak mają zachowywać się... A chwilami z trwogą zaglądał do duszy, niby przez szczelinę w drzwiach, i przekonywał się, że on już nie miał nad nią władzy, że tam rządzą niepodległe jego woli moce.

Kazimierz Zdziechowski.

LATA UNIWERSYTECKIE MICKIEWICZA

(1815 –1819).

Archiwum Filomatów ukazuje nam lata uniwersyteckie Mickiewicza w nowem świetle, zmusza do rewizyi dawnych zapatrywań, na niedostatecznym materyale opartych. Nareszcie dowiadujemy się prawdy o początkach twórczości przyszłego poety, o jego studyach i pracach społecznych. Legendy i domysły dawniejsze rozwiewają się; surowa prawda może mniej się na razie spodoba, ale ostatecznie uznamy, że jest *magis amica*.

Dotychczas z konieczności wypełnialiśmy pustkę pierwszych lat uniwersyteckich Mickiewicza wypisami z indeksów wileńskich: wyliczaliśmy wykłady Grodka, Lelewela, Borowskiego, których *mógł* słuchać student Uniwersytetu, ale raczej nie słuchał. Zapominaliśmy o uwadze Domeyki, który zaznaczał, że Mickiewicz nie rad uczęszczał na wykłady i „sam sobie był profesorem.“ Tu rozpoczynała się trudność: jak określić to własne mistrzowanie sobie, to samouczenie się? jak stwierdzić, w jakim szło ono kierunku, jakim ulegało upodobaniom? Dziś nie potrzebujemy stąpać po omacku. Jasny promień światła przeniknął mgłę dawniejszą: widzimy nareszcie studenta Uniwersytetu Wileńskiego z lat 1815—1819.

Pierwszy rok studyów uniwersyteckich poświęcił Mickiewicz studyom matematyczno-przyrodniczym i składał egzamina na stopień kandydata filozofii z fizyki, chemii i algebry, a to dn. 27-go czerwca 1816 r. ze stopniem dostatecznym, uzyskanym tylko większością głosów. Wynik taki egzaminu przypisać należy zapewne tej okoliczności, że młodzieniec, który z moralnego przymusu tylko, pod wpływem zależności od dziekana wydziału matematyczno-przyrodniczego, X. Mickiewicza, na studya tego wydziału się za-

pisał, w istocie od początku lgnął ku przedmiotom historyczno-literackim i w tymże pierwszym roku szkolnym 1815/16 słuchał na „Oddziale literatury:“ literatury polskiej, literatur starożytnych i historyi powszechnej. Jakoż w r. 1816/17 całkiem już do „Oddziału literatury“ przeszedł. Na tym oddziale pozostał do ukończenia studyów. Przechodził przepisane dla kandydatów stanu nauczycielskiego nauki: retorykę i poezyę klasyczną, logikę, literaturę polską i rosyjską. Mamy także dowody składanych potem egzaminów jego z języków: niemieckiego i angielskiego.[1])

W Seminaryum Nauczycielskiem od samego początku nauk zbliżył się Mickiewicz przedewszystkiem do Józefa Jeżowskiego i Tomasza Zana, „jako spółuczeń na jedne uczęszczający kursa, a nieraz potrzebujący rady zdolniejszych.“ To zbliżenie się wydać miało rychło skutki głębsze, o czem sam Mickiewicz tak potem mówił: „Kiedy później wyłącznie oddaliśmy się literaturze, z obowiązku i z upodobania wspólne nasze komunikowania stawały się częstsze i korzystniejsze. Nieraz przed podaniem rozprawy pod sąd profesorowi, czytaliśmy ją i poprawialiśmy stosownie do uwag wspólnych. Ten to właśnie zwyczaj naprowadził naprzód mnie i Tomasza Zana na myśl utworzenia, łącznie z innymi kolegami, Towarzystwa przyjaciół nauk, czyli tak zwanego Towarzystwa Filomatycznego wileńskiego, aby nasze schadzki i prace regularniejszym szły tokiem.“ [2])

Towarzystwo Filomatów rozpoczęło prace swe w jesieni 1817 r. Poczynając od 1-go października 1817 r. mamy już protokóły ze stałych posiedzeń Towarzystwa, w którem Mickiewicz odrazu zajął wybitne stanowisko, jako najpracowitszy jego członek. Pilność jego w dwu kierunkach się zaznacza: 1) pisze artykuły i referaty odczytywane na posiedzeniach; 2) zajmuje się gorliwie organizacyą wewnętrzną Towarzystwa Filomatów, obmyślając drogi najlepszego rozwoju prac i współżycia członków. Obie te kategorye działalności przeplatają się nawzajem i nieraz na jednem i tem samem posiedzeniu występuje on w roli autora, krytyka i wreszcie organizatora. Najlepiej się to uwidoczni przez proste wyliczenie prac Mickiewicza w Towarzystwie Filomatów

[1]) „Czasy i ludzie.“ Warszawa, 1905. Str. 12—13. „Nieznane Pisma“ (= „N. P.,“ tak w skróceniu dalej przytaczam) A. Mickiewicza. Kraków, 1910. Str. 409. Podanie Mickiewicza do rektora Uniw. Wil.

[2]) Ob. „Bibliot. Warsz.“ z r. 1888. T. II (kwiecień) „Mickiewicz w Wilnie i Kownie“ przez prof. T. Wierzbowskiego. Odbitki str. 28.

od r. 1817 do 1819. Umyślnie podajemy je tu bez rozróżnienia prac literackich, organizacyjnych i wogóle dotyczących wewnętrznego życia Filomatów; wyliczymy je najpierw ściśle w następstwie ich chronologicznem, aby dać wyobrażenie o ich bogactwie: potem dopiero scharakteryzujemy te prace według wewnętrznej wartości. Dnia 7 października 1817 r. odczytuje na posiedzeniu Filomatów Tomasz Zan utwór Mickiewicza p. t. „Mieszko, dziedzic Nowogrodka;“ na temże posiedzeniu czyta Mickiewicz uwagi swe „O potrzebie tajemnego urzędnika np. Efora,“ wreszcie przemawia w sprawie „Organizacyi Filomatów,“ a to rozbierając „z rozkazu Towarzystwa ważny projekt utrzymania wpływu wyższej klasy na członków nowo przyjmowanych.“ [1]) Nowe Towarzystwo nie miało zrazu wielkiej liczby członków. Tworzyli je w październiku 1817 r.: Józef Jeżowski (prezydent), Mickiewicz, Onufry Pietraszkiewicz, Erazm Poluszyński (wice-prezes i kasyer), Bruno Suchecki i Tomasz Zan (sekretarz); a więc zaledwie sześciu! Przeważała pod względem zajęć umysłowych literatura; tylko Poluszyński nie miał z nią nic do czynienia, jako medyk. Należało rychło pomyśleć o przybraniu nowych członków, aby ożywić prace Towarzystwa. 21 października 1817 r. Mickiewicz podawał jako kandydata do Towarzystwa, Jana Waszkiewicza, ale ten nie uzyskał większości i nie wszedł do Filomatów. Nie znamy powodów opozycyi. Waszkiewicz, o rok starszy od Mickiewicza, dał się potem poznać z najlepszej strony: w r. 1820 otrzymał stopień magistra filozofii w Uniwersytecie Wileńskim, był w Wilnie nauczycielem gimnazyalnym. W r. 1824 został adjunktem (docentem), z czasem zaś profesorem ekonomii politycznej w Uniwersytecie Wileńskim.[2]) Lepiej się powiodło Mickiewiczowi 3 listopada 1817 r., kiedy podał na kandydatów Franciszka Malewskiego i Zygmunta Nowickiego: obaj zostali do Towarzystwa przyjęci. 11 listopada t. r. odczytał Mickiewicz na posiedzeniu krytykę swą Dumy O. Pietraszkiewicza p. t. „Dumanie u rozwalin zamku Giedymina.“ [3]) 25 listopada t. r. odczytano na posiedzeniu wiersz Mickiewicza p. t. „Aniela,“ powieść wierszem, naśladowaną z Woltera.[4]) Na temże posiedzeniu czytał Mickiewicz uwagi o sposobie tworzenia synonimów na podstawie przedmowy dzieła Guizota o sy-

---

[1]) „N. P.,“ str. 3—5.
[2]) Bieliński: „Uniw. Wil.,“ III, 354.
[3]) „N. P.,“ str. 107—110.
[4]) „N. P.,“ str. 157—160.

nonimach.[1]) Miało to być jakby wstępem do zamierzonej wspólnej pracy pisania synonimów polskich. Dn. 2 grudnia t. r. czytał Mickiewicz krytykę (niedochowaną) tłómaczenia wierszem przez Jeżowskiego: „Śmierć Achillesa z Kalabra.“ [2]) Franciszek Malewski czytał dn. 16 grudnia t. r. swe uwagi krytyczne o piśmie Mickiewicza p. t. „Wiadomość o poemacie Woltera Dziewica z Orleanu“ (*Pucelle d'Orléans*) z próbą tłómaczenia. Nawzajem Mickiewicz krytykował 23 grudnia t. r. pracę Malewskiego p. t. „O początku moralności, tudzież o potrzebie nauki moralnej.“ Liczba członków towarzystwa rosła szybko, skoro w końcu roku 1817 wynosiła co najmniej 21. Widać to z głosowania nad artykułem Mickiewicza o *Pucelle d'Orléans*. Według protokółu posiedzenia z d. 16 grudnia t. r. „pismo to 17 głosami przeciw 4 przyjęte zostało.“ Jaka szkoda, że protokół nie przechował nam najmniejszego echa dyskusyi Filomatów o „Dziewicy Woltera.“

Mickiewicz pilnie podejmuje się recenzyj prac filomatycznych: krytykuje artykuł Z. Nowickiego p. t. „Upadek Rzymu“ (27 stycznia 1818 r.), czyta pieśń czwartą poematu Zana p. t. „Zgon tabakiery“ (3 lutego) i sielankę O. Pietraszkiewicza „Odjazd Haliny“ (10 lutego). Z. Nowicki odwzajemnia się, krytykując (17 lutego) pismo Mickiewicza p. t. „Rozbiór tragedyi Germanik P. d'Arnauld.“ [3]) Ciągle obracamy się w klasycznych wspomnieniach. Mickiewicz odczytuje i ocenia (10 marca 1818 r.) pracę Zana p. t. „Początek i postęp poezyi dramatycznej u Greków i Rzymian;“ to znowu (15 kwietnia) czyta pracę Józefa Kowalewskiego p. t. „Wiadomość o Herodocie“ i ocenia ją krytycznie. Na temże samem posiedzeniu rozpoczyna czytać krytykę „Jagiellonidy“ D. B. Tomaszewskiego; dokończenie daje dn. 5 maja. Wiadomo, że krytykę tę wydrukował potem Mickiewicz za pośrednictwem Lelewela w „Pamiętniku Warszawskim“ (styczeń 1819 r.). Nie dochowały się natomiast: „Oda do Brunona (Sucheckiego) na obronę od żmii,“ czytana 28 kwietnia 1818 r., tudzież „Oda do Pyrry,“ naśladowana z Horacego“ (Carm. I, 5); podobnież zaginęła recenzya

[1]) Nouveau dictionnaire des synonymes français, 1809.

[2]) Jeżowski szedł tu za przykładem Włocha, prof. X. Tarenghi, który w oktawach przełożył: „La morte d'Achille... Canti III et IV del poema di *Calabro Quinto*, tradotti dal testo greco...“ Wilno, Zawadzki, 1806 r.

[3]) Wincenty Antoni Arnault (1766—1834) znalazł aż dwu tłómaczów polskich. Tragedyę „Germanik“ przełożył W. Kiszka-Zgierski (Wilno, 1819), tragedyę „Maryusz w Minturnie“ wierszem przełożył F. S. Dmochowski (Warszawa, 1821).

tłómaczenia J. Kowalewskiego I księgi Herodota (19 maja). Natomiast ocalał sonet „Przypomnienie,“ czytany na temże posiedzeniu z d. 19 maja 1818 r.

W czerwcu t. r. nastąpiła ważna zmiana w organizacyi Towarzystwa Filomatycznego. Stało się zadość projektowi Mickiewicza, wniesionemu jeszcze dn. 7 października 1817 r.:[1]) podzielono Towarzystwo na wydziały. Stosownie do nowych ustaw utworzono *dwa* wydziały:

I. Wydział literatury i nauk moralnych.

II. Wydział nauk fizycznych, matematycznych i medycznych.

Oba wydziały ukonstytuowały się na posiedzeniu nadzwyczajnem d. 24 czerwca 1818 r. Do Wydziału I weszli: Jeżowski, Kowalewski, Malewski, Mickiewicz, Nowicki i Suchecki, jako członkowie rzeczywiści; Czeczot, jako korespondent. Po wakacyach władza naczelna Filomatów, czyli t. zw. Rząd, wybrał Mickiewicza, jako Naczelnika I Wydziału (kontr-kandydatem był Bruno Suchecki, proponowany przez Z. Nowickiego). Wprawdzie Mickiewicz prosił pisemnie, aby go tylko zastępcą Naczelnika mianowano, ale Rząd Filomatów nie uwzględnił tej prośby na posiedzeniu z dn. 10 września; owszem, „postanowiono wezwać na jutrzejsze rządowe posiedzenie A. Mickiewicza dla podpisu zaręczenia i wejścia w obowiązki zastępcy Radźcy; w dn. zaś 12 b. m. o godzinie 2 po południu zwołać nadzwyczajne powszechne posiedzenie, na którem ma być wprowadzony Naczelnik w urzędowanie i czytane pisma rządowe bydź mają.“ Co też istotnie wykonano.

Odtąd zwiększają się prace Mickiewicza w Towarzystwie. Stara się on godnie odpowiedzieć zaufaniu Filomatów. Na posiedzeniu powszechnem (t. j. połączonem obu wydziałów) wygłasza dn. 14 września 1818 r. znakomity swój wiersz: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,“ będący jakby programem działania. Bierze się energicznie do administracyi swego Wydziału: na posiedzeniu z dn. 17 września t. r. „Naczelnik zalecił wygotować notę, ile pism zaległych każdy z członków czynnych wygotować może i w jakich terminach; oraz jakie pisma oddane bydź nie mogą.“

Dochowały się „Mowy“ Mickiewicza, wygłaszane na posiedzeniach naukowych Wydziału I. Rzucają one jasne światło na piękną duszę Naczelnika, ożywiającego swym zapałem kolegów i kierującego energicznie i rozumnie pracami Wydziału. Jakże

[1]) „N. P.,“ str. 5.

widoczna tam delikatność jego uczuć, aby nie imponować drugim swą wiedzą, aby zachęcić i pobudzić do wspólnej pracy. W mowie np. na pierwszem posiedzeniu naukowem Wydziału I z dn. 29 września 1818 r. Mickiewicz świetnie rozwija myśl, dlaczego młodzież zawsze chętniej u rówieśników szuka porady w wątpliwościach naukowych, nie zaś u „biegłych krytyków.“ Już tam dla poparcia argumentów przytacza on przykład ze „znawcy natury, Jakóba Russo;“ już znakomicie wywodzi, dlaczego wspólne roztrząsanie zagadnień tak jest nauczające dla młodych: „Weźmijmy jeden i ten sam przed oczy nasze przedmiot; różnica naszych charakterów i usposobień różne zrodzi wyobrażenia; te wzajemnie udzielane pomnożą każdego pojęcie nowemi odkryciami, którychby sam przez się uczynić nie mógł.“ Takie „wspólne rozbieranie podanego sądowi naszemu przedmiotu“ nieocenione przynosi młodym korzyści: „Tam-to każdy słyszy zarzuty, nie przechodzące sfery jego pojęcia, gotuje odpowiedzi, na które zdobyć się jest w stanie. Widzi nareście sąd większości i poznaje stąd, która strona miała słuszność, a która pomyliła się w rozumowaniach. Takim-to sposobem orzeźwiamy, wzmacniamy, podnosimy władzę myślenia, uczymy się mieć zdanie własne; kiedy przeciwnie, wdawszy się z daleko wyższymi od nas w badanie jakiegokolwiek rodzaju, zagłuszeni sofizmatami, obarczeni tysiącami dowodów, często może niesłusznych, wyrzec się własnego zdania i cudze tylko myśli powtarzając, echem być musimy.“ [1])

Na temże posiedzeniu czytał Mickiewicz rozprawę Jeżowskiego: „O oryginalności.“

Ale Wydział I nie wyczerpywał energii i pracowitości Mickiewicza. Ustawa nie wzbraniała udziału w czynnościach obu wydziałów. Jakoż dowiadujemy się z protokółów Wydziału II, że na posiedzeniu dn. 6 października 1818 r. czytano tam „pismo Adama Mickiewicza p. t. *Cel, jaki każdy w kształceniu umysłu przedsiębrać powinien.*“ [2]) Główną wszakże uwagę poświęcał Mickiewicz swemu Wydziałowi, jako jego Naczelnik. Świecił przykładem, jako sprawozdawca-krytyk i dn. 18 października 1818 r. odczytał „część uwag nad *Oryginalnością*“ (Jeżowskiego), a chcąc skupić członków do pracy zbiorowej, zalecił im wspólne tłómaczenie z niemieckiego „Teoryi sztuk pięknych“ Sulcera. Dzieło to, rodzaj encyklopedyi estetycznej, było wtedy w Niemczech bardzo cenione, jakkolwiek nie należało do najnowszych prac na tem

[1]) „N. P.,“ str. 90—91.

[2]) Niedochowała się ta praca.

polu.[1]) Wniosek Mickiewicza przyjęto i postanowiono „artykuły, mające się tłómaczyć, członkom rozdać z zawieszeniem jednakże niektórych części dzieła, tyczących się sztuk obrazowych.“ Nie hamuje to prac osobistych, t. zw. „szczegółowych.“ Mickiewicz odczytuje (1 listopada 1818 r.) dalszy ciąg uwag swych nad pismem Jeżowskiego: „O oryginalności;“ Jeżowski zaś odwzajemnia się, czytając na temże posiedzeniu „część pisma szczegółowego A. Mickiewicza p. t. „Przechadzki wieyskie.“ Przechadzka I: „O Piękności.“ [2]) Dalszy ciąg i dokończenie tej pracy z zakresu estetyki wysłuchali Filomaci na posiedzeniu 17 listopada 1818 r., poczem Mickiewicz czytał Czeczota „Dumę nad mogiłami Francuzów pod Wilnem“ i przypomniał z urzędu członkom Wydziału I, „aby niezwłocznie rozpoczęli tłómaczenie wybranych artykułów z dykcyonarza „Sztuk pięknych“ Sulcera.“ Duma Czeczota dała Mickiewiczowi powód do napisania bardzo dla nas ciekawych „Uwag nad Dumą“ wogóle,[3]) gdzie zastanowił się nad genezą i potrzebą krytyki, określił stanowisko „Dumy,“ jako rodzaju poetyckiego, mówił o dumach Niemcewicza, Tymowskiego, Godebskiego, w końcu o dumie Czeczota. Po tych „Uwagach nad Dumą,“ czytał Mickiewicz nowy wiersz Czeczota p. n. „Kupała,“ który poddał recenzyi, wypowiedzianej na posiedzeniu dnia 23 grudnia 1818 r. Jak wszechstronną rozwijał wtedy działalność widać z tego, że kilka dni przedtem na posiedzeniu Wydziału II (17 grudnia 1818 r.) Zan odczytał pismo Mickiewicza p. t. „O najlepszym sposobie rozwiązywania zagadnień i twierdzeń z porównaniem sposobu analitycznego i syntetycznego, tłómaczone z „Bibliothèque Universelle,“ a przez P. Develey oryginalnie napisane.“[4]) Na posiedzeniu tegoż Wydziału II odczytał Mickiewicz sam (27 grudnia 1818 r.) własny referat z genewskiej „Bibliothèque Universelle“ (tom VIII, czerwcowy zeszyt 1818 r.).[5]) Gorliwość Naczelnika Wydziału I podziałała na członków tegoż Wydziału. Protokół z posiedzenia d. 5 stycznia 1819 r. stwierdza, że „Naczelnik złożył Wydziałowi tłómaczenia niektórych artykułów z Sulcera, jako część roboty powszechnej przez członków dokonanej. Tłóma-

[1]) J. G. Sulzer: „Allgemeine Theorie der schönen Künste.“ Wydania z lat 1771—74, 1786, 1792—94.

[2]) Niedochowała się, niestety.

[3]) „N. P.,“ str. 115—118.

[4]) „N. P.,“ str. 118—122.

[5]) „N. P.,“ str. 122—127.

czenia te są: Jeżowskiego o estetyczności i estetyce, Malewskiego o oddaniu muzycznem, Mickiewicza o operze, Kowalewskiego o górności.“ Na temże posiedzeniu czytał Mickiewicz tłómaczenie Kowalewskiego z historyi Herodota (I, § 26) i recenzyę swoją tegoż tłómaczenia.[1]) W tym czasie Dominik Chodźko, jako kandydat do godności Filomata, złożył pracę o „Pismach Trębeckiego.“ Mickiewicz napisał krytykę tej pracy, którą „wszystkimi głosami zatwierdzono“ na posiedzeniu dn. 12 stycznia. Żałować należy, że ta właśnie krytyka nie dochowała się w archiwum Filomatów. Na posiedzeniu powszechnem Filomatów dn. 13 stycznia czytał Mickiewicz, jako Naczelnik Wydziału I, „Wiadomość o wydziale swoim.“ [2]) Prace oryginalne Mickiewicza przeplatają się wtedy recenzyami. Na temże posiedzeniu, 24 stycznia 1819 r., wygłosił on recenzyę przekładu Kowalewskiego z Herodota; Suchecki zaś przeczytał jego powieść p. t. „Żywila,“ „poczem nastąpiły uwagi nad temże pismem.“ W miesiąc potem była już „Żywila“ wydrukowana w „Tygodniku Wileńskim“ (dn. 28 lutego 1819 roku).

Do ważnych chwil w życiu Towarzystwa należało przyjęcie uroczyste nowego członka. Nie tak to łatwo było nim zostać. Proponowanego kandydata obserwowali Filomaci w życiu codziennem przez czas dłuższy, wciągali w rozmowy przeróżne, aby zbadać jego charakter, usposobienie i zdolności. Wreszcie i pisemna praca była wymagana, aby poznać uzdolnienie pisarskie. Dopiero po zebraniu wszelkich możliwych wskazówek, głosowano na kandydata. Gdy wynik głosowania był dla niego pomyślny, wprowadzano go na posiedzenie, a Naczelnik witał go przemową. Tak było np. z Janem Czeczotem i z Dominikiem Chodźką, których uroczyście witał Mickiewicz na posiedzeniach, dn. 12 stycznia i 2 lutego 1819 r. Mowy te [3]) są bardzo ważne dla poznania ducha, jaki wtedy wśród Filomatów panował. „Towarzystwo to— mówił Mickiewicz do Czeczota na posiedzeniu dn. 12 stycznia 1819 r. — zawiązało się w najpiękniejszym celu przyniesienia pożytku krajowi, rodakom i nam samym; obrało do tego najpiękniejszą drogę, t. j. drogę oświecenia.“ Niestety! na tej drodze spotyka trudności wielkie ze strony ludzi złych: „włożono kajdany na dusze i na serca nasze.“ I oto konieczność tajenia się ze

[1]) Niedochowane.
[2]) „N. P.,“ str. 79—82.
[3]) „N. P.,“ str. 93—100.

związkiem. „...Kto go teraz składa? ludzie, których całą zaletą jest tylko cisza, praca i gorliwość. Obaczmy, kto go dokoła otoczył? ludzie nikczemni, którzy nie mogąc wznieść się do szlachetniejszych uczuć i wyższych zamiarów, postanowili wszystko, co jest szlachetnem i wyższem, przytłumiać i wykorzeniać.“ Ale Filomaci nie dadzą się zrazić; będą dalej „dobro dobrym sposobem zaprowadzać, pociągać do siebie młodzież, wpajać jej chęć do pracy, przytępiać egoizm, wskrzeszać narodowość.“ Do takiej pracy organizacyjnej nie wszyscy są zdolni. Dlatego koniecznym jest podział na pewne kategorye członków. Czeczot dostąpił zaszczytu, że go na członka czynnego powołano. Okoliczności, w jakich przyjdzie mu działać w Towarzystwie, tak określa Mickiewicz:

„Okoliczności nieszczęśliwe, w których zostaje kraj nasz, działały i działają okropnie na upodlenie rodaków. Umysł, unoszący się dawniej do wielkich rzeczy, dziś zepchnięty i ograniczony własnym interesem, czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucha miłości. Odkryj się przed kim z wielką myślą, z wielkim zamiarem: co-byś miał w nim uczucie wyższe obudzić, obudzisz uśmiech obojętności! Te podłe istoty tak dobrze znają swoją wartość, iż między wielką rzeczą a między sobą śmieszny upatrują kontrast—i stąd-to powiedział Homer, iż bogowie każdemu niewolnikowi połowę duszy natychmiast odbierają. Pierwszem więc twojem będzie usiłowaniem, ażebyś wydźwignął się z tej przepaści lekceważenia wszystkiego i drugim do wydźwignienia się dopomógł...“

Wpływ na członków-korespondentów staje się jednym z głównych obowiązków członka czynnego. Obok wpływu, badanie charakteru korespondentów, gdyż z nich wybrać się mają z czasem członkowie czynni. Korespondenci mają być odpowiednio przygotowani do przyszłej, większej godności. To też inaczej przemawia Mickiewicz do Czeczota, wprowadzając go w grono członków czynnych, inaczej zaś do Chodźki, kiedy go przyjmuje jako członka-korespondenta. Korespondenta nie wtajemnicza się w tajniki organizacyi Towarzystwa; wystarczy, jeżeli się on dowie, że „praca, chęć gruntownego uczenia się, wyzucia się, ile można, z panującej teraz próżności—słowem, równe doskonalenie umysłu i serca—oto jest cel, do którego dążyć mamy.“

Wogóle Mickiewicz bardzo gorliwie zajmuje się w ciągu zimy z r. 1818 na 1819 udoskonaleniem organizacyi wewnętrznej Towarzystwa Filomatów: układa instrukcye, jak mają członkowie pisać referaty z książek czytanych, czyli jak pisać t. zw. „Wia-

domości naukowe,“ [1]) wymagane statutowo od każdego członka w określonych terminach.

W styczniu 1819 r. wyłoniła się sprawa nowa, „nagła okoliczność.“ Oto niezależnie od Filomatów powstało w Wilnie nowe towarzystwo „od niejakich—jak mówi Zan—paniczyków utworzone.“ Chodziło o zasadniczą dla Filomatów kwestyę: czy starać się o osiągnięcie wpływu nad tem nowem towarzystwem, czy nie? Jeśli tak, to jakim sposobem wpływ ten osiągnąć i wogóle, jak się zachować wobec nowo powstać mogących towarzystw młodzieży? Mickiewicz osobnem pismem z dn. 29 stycznia 1819 r. interpelował Rząd Filomatów, jak zamierza postąpić: [2]) „Nic nie pomyśliliśmy o sposobach, jakiemi działać mamy na obce towarzystwa. Czy je niszczyć, czy pod wpływ zagarnąć, czy przeszkodzić ich wzrostowi... czy dozwolić rozszerzać się? Trzeba nad tem mocno pomyślić i ogólny plan postępowania ułożyć.“ Widzimy, jak mu zależało na tem, aby Filomatom zapewnić wyłączny i niepodzielny wpływ nad młodzieżą uniwersytecką. Skoro trudno było przeszkodzić powstawaniu innych towarzystw uniwersyteckich, obmyśla Mickiewicz taki sposób: do świeżo powstających towarzystw wprowadzać Filomatów, kazać im wpływ tam zdobywać, zwolna tworzyć rzekomo nowe, drobne towarzystwa bez związku z Filomatami, upatrywać tam zdatnych i gorliwszych i powoli ich sobie na „korespondentów“ wychowywać. Osobną napisał „Instrukcyę dla T. Zana,“ [3]) gdzie wchodzi w szczegóły postępowania tajemnego wobec nowych towarzystw i każe przestrzegać tajemnicy organizacyi filomatycznej: „Bo każde towarzystwo tem działa czynniej, im działa tajemniej. W tajemnem albowiem działaniu wszystkie przeszkody są tylko przypadkowe, a usunienie tych przeszkód łatwe... Jak tylko zaś odkryją się zasady i środki działania, mogą natychmiast przeciwnicy zastawić nam przeszkody, także systematycznie wykalkulowane, a stąd do usunienia trudne. Słowem, każde towarzystwo jest machiną, której części tem lepiej działają, im są bezpieczniej od wpływu szkodliwego atmosfery i pyłu ukryte.“

Wśród tych zajęć organizacyjnych nie zapominał Mickiewicz własnych prac literackich. W braku nowszych, wydobywał dawniejsze swe utwory. I tak w dn. 4 lutego 1819 r. czytał Malew-

[1]) Listopad i grudzień 1818 r., ob. „N. P.,“ str. 5—11.
[2]) „N. P.“ str. 11—13.
[3]) Tamże, str 14—17.

ski utwór Mickiewicza, oddany jako obowiązkową pracę: „Kartoflę,“ poemko (!) we czterech pieśniach — pieśń pierwszą. Sam zaś poeta odczytał na temże posiedzeniu „Wiadomości Naukowe“ z miesiąca stycznia przez siebie podane, a po takim przykładzie pracowitości i sumiennego pełnienia obowiązków, „Naczelnik przypomniał członkom, aby złożyli tłómaczenie Sulcera za miesiąc upłyniony.“ Przypomnienie podziałało: już 2 marca t. r. stwierdza protokół, że wedle doniesienia Naczelnika Wydziału I „niektórzy członkowie złożyli tłómaczenie Sulcera, a mianowicie: Jeżowski o klasyczności i autorach klasycznych, Mickiewicz o „Operze“ ciąg dalszy i Kowalewski o „Górności“ ciąg dalszy. Kowalewski kwestyę tę szczegółowo i źródłowo opracowywał, skoro Mickiewicz w kilka tygodni potem mógł czytać część tłómaczenia z greckiego Dyonizego Longina o „Górności,“ jako filomatyczną pracę Kowalewskiego. W ciągu marca 1819 r. zdaje jeszcze Mickiewicz sprawę z czynności Wydziału I na posiedzeniu powszechnem (25 marca), czyta własne „Wiadomości naukowe“ z „Journal des Débats,“[1]) tudzież z „Pamiętnika Naukowego,“ gdzie bardzo surowo obszedł się z Teodozym Sierocińskim,[2]) nauczycielem krzemienieckim.

Nadchodziła wiosna 1819 r. Poeta z radością powitał „ożywione drzewa“ i „zielone łąk kobierce.“ Napisał do przyjaciela Franciszka Malewskiego wiersz żartobliwo-dydaktyczny p. t. „Warcaby,“ odczytany na posiedzeniu Wydziału I dn. 30 kwietnia 1819 roku.

W ciągu maja t. r. zaszły ważne w życiu towarzystwa zdarzenia. Stosownie do projektu Mickiewicza, wyżej omawianego, powstało nowe towarzystwo akademickie, rzekomo od Filomatów niezawisłe, w rzeczy zaś samej utworzone przez nich jako rodzaj klasy wstępnej, będącej probierzem dla przyszłych członków-korespondentów. Nowe towarzystwo otrzymało nazwę Związku Przyjaciół, a prezydentem jego dn. 3 maja 1819 r. wybrano Adama Mickiewicza, który niebawem i u Filomatów i w Związku podwójną, gorliwą rozwinął działalność. Jeśli zważymy, że za miesiąc miał się poddać surowym u Grodka i innych profesorów egzaminom nauczycielskim z filologii klasycznej, literatury polskiej i t. d., to zdumieć się trzeba, jakie zasoby niestrudzonej energii umysłowej objawił już wtedy 21-letni młodzian. Należało nowy Związek Przyjaciół ożywić pracami literackiemi. Nieraz dla braku czasu

[1]) „N. P.,“ str. 140—142.
[2]) „N. P.,“ str. 135—140.

odczytywano w Związku dawniejsze prace Filomatów, z archiwum dobyte. Tak np. Czeczot czytał w Związku Przyjaciół (10 maja) wiersz Mickiewicza „Warcaby," sam zaś Mickiewicz czytał tam (17 maja) krytykę pisma Zana, p. t. „Początek i postęp dramatyki u starożytnych," to znowu (24 maja) odczytał wiersz Zana „Na odjazd P. O. F." Nawzajem Zan czytał 31 maja 1819 r. Mickiewicza powiastkę wierszem p. t. „Mieszko," dawniej już Filomatom znaną.

Przemowy podczas przyjęć nowych członków, tak w Wydziale I Filomatów, jak i w Związku, wymagały także przygotowania się Mickiewicza, który raz jako Naczelnik, to znowu jako Prezydent występował. Szczególnie interesującą i ważną jest mowa jego, jaką wygłosił na posiedzeniu Związku Przyjaciół dn. 24 maja 1819 r., przyjmując nowych członków: Wincentego Giecołda i Winc. Budrewicza. Przemawia tam poeta na podstawie czteroletniego doświadczenia uniwersyteckiego, a mówi z taką dojrzałością sądu, jak gdyby sam nie akademikiem był jeszcze, ale rektorem Uniwersytetu. Wykazuje trudne położenie młodzieńców, którzy zaledwie ukończywszy nauki gimnazyalne, znajdują się jakby nad brzegiem morza, które nazywamy światem; a widzi się ta młodzież bez stróża, bez przewodnika... „Zamyślając o wybraniu sobie stanu i powołania, nie znając dobrze obowiązków żadnego stanu, żadnego powołania, sądzi o wszystkiem żywo, miałko, a częstokroć opacznie. Bo chociaż rozum jest do pewnego stopnia ukształcony, rozum ten słucha uczucia i namiętności, a uczucia i namiętności dopiero co w młodym rozwinione, tak prędko udoskonalonemi być nie mogły Stąd to okropne wypływają skutki, których tembardziej lękać się powinniśmy, iż działają na nas mimo nas samych. Niejeden z braku doświadczenia chwyci się stanu, który zupełnie z jego niezgadza się charakterem, zakopie swoje zdolności i ginie w tłumie ludzi, których imiona razem z bytem słusznie się w niepamięć zatracają; inny, burzliwszych namiętności młodzieniec, wielkim od natury uposażony talentem, jeśli opaczną poszedłszy drogą, na złe ich użyje, staje się biczem społeczeństwa, które go wychowało i hańbą rodu ludzkiego...

„Kiedy zważymy takową wychowania niedogodność i zastanowimy się nad sposobami jej uniknienia, zda się naprzód widzieć potrzeba nowego wyższej młodzieńczej edukacyi urządzenia; wiek ten albowiem nie zniósłby już despotycznego władania; owszem, przeciw niemu obudzony być powinien. Tutaj rada przyjacielska miejsce rozwagi, przekonanie miejsce ślepej wiary sło-

wom nauczyciela zająć powinny. Obaczymy dalej, iż w takowem młodzi kształceniu trzeba wynaleźć bodziec, któryby siły umysłu w ustawną wprawiał czynność; trzeba nareszcie sposobów nowych i w pierwiastkowej edukacyi niepotrzebnych, doskonalenia serca, od którego szczęście lub nieszczęście przyszłe najwięcej zależy.

„Któż teraz nie zgadnie, iż zgodne między młodymi zawiązane Towarzystwo wszystkim dopiero wymienionym celom najłacniej odpowiedziećby mogło. Tu każdy, nie uciśniony grozą przesądu lub władzy, ma wszelką wolność mówienia i pisania; tu niesłucha absolutnej woli jednego, ale słucha ustaw, które sam podpisał; tu emulacya szlachetna, wzajemne zachęcanie się do pracy wabi; rada szczera omyłki i zboczenia poprawia, a przyjaźń okaże się najskuteczniejszym doskonalenia serc środkiem.“

Zanim romantyczne padło hasło: *miej serce i patrzaj w serce!* już ono jest filomatycznie uzasadnione, jako celowy program działania.

Zbliżający się kres studyów uniwersyteckich Mickiewicza każe myśleć o wyborze następcy w przewodniczeniu Związkowi Przyjaciół. W końcu maja 1819 r. (31 maja) wybrano prezydentem Związku Teodora Łozińskiego. Gdyby protokóły posiedzeń Związku Przyjaciół dokładniej były streszczały tok dyskusyi, mielibyśmy dzisiaj całkiem jasny obraz młodzieńczych zapatrywań Filomatów. Ale sekretarze nie zawsze mieli czas i ochotę do zupełnie szczegółowego oddawania myśli, poruszonych w toku dyskusyi. Stąd pochodzi ułamkowość, a często niejasność stylizacyi protokółów. Tak np. 14 czerwca 1819 r. Sobolewski czytał na posiedzeniu Związku Przyjaciół pracę swą „O układach mineralogicznych.“ Po odczycie wywiązała się dyskusya. Członek Golicki powiedział o Buffonie, że „uderzony był nowością jego myśli, iż człowiek w pierwiastkach sądzi każdy przedmiot być częścią swoją, leżącą na oku.“ W odpowiedzi na tę uwagę, „członek Mickiewicz wykładał, iż myśl ta jest dosyć pospolita; ile przypomina (sobie), wylęgła się w głowie porządnie myślącego Loka. Zarzucając autorowi, zaco od oka wszystkie wiadomości zaczyna, kiedy wiemy z loiki, iż wszystkie zmysły człowiekowi do tego służą celu.“ W dalszym ciągu dyskusyi „członek Mickiewicz zarzucał, iż we wstępie autora nagły widzimy przeskok od epoki, w której rzecz każdą widzianą za swoją część uważał, do czasu, w którym układ mineralogiczny utworzył, przerwę tę zapełnić musiały nieskończone stopniowania sądów pośrednich, i wiele wieków upłynąć musiało, nim wiadomości swoje w pewny uszykował

porządek.“ Na temże posiedzeniu czytał czł. Piasecki pracę swą p. t. „Rzut oka na Religię.“ Mickiewicz odczytał na posiedzeniu z dn. 21 czerwca 1819 r. uwagi swe nad tą pracą Piaseckiego; niestety, nie dochowały się one. Mamy zaledwie kilka słów protokółu, pobudzających tylko ciekawość naszą, ale nie zaspokajających jej nawet w części. Oto „po przeczytaniu uwag, zarzucał (Mickiewicz) autorowi, zaco (dlaczego) religijne kary za mniej srogie uważa od kar, ustawami przepisanych; kiedy tamte są wieczne, ostatnie zaś przemijające; żądając od autora objaśnień, czy w natłoku skupionych wyrażeń myśl jego pojął? Odpowiedział czł. Piasecki, iż w samej rzeczy srogość praw pisanych nadto byłaby wielką na niektóre występki i przetoż te pod kary religijne podciągnąć wypada. Odpowiedział na to Mickiewicz: iż od kar cielesnych kary religijne, będąc wiecznemi, są sroższe. Na wywód jednakże autora i przyczyny zgodzić się nie może, dowodząc, iż niepodobna jest przedrzeć [się] do kryjówek sumnienia i wyśledzić przest[ępstwo] człowieka przeciw moralności i... właśnie religia moc i władzę karania ma nadaną.“

Nietylko recenzya pracy Piaseckiego nie dawała Mickiewiczowi wytchnąć po trudach egzaminów nauczycielskich w ciągu maja i początku czerwca 1819 r. Jeszcze 27 czerwca t. r. na posiedzeniu naukowem Filomatów czytał Mickiewicz recenzyę [1]) pracy Jeżowskiego p. t.: „Jakim sposobem wybierać należy naukę?“

Na tem posiedzeniu zakończyły się uciążliwe czynności Naczelnika I Wydziału Tow. Filomatów w roku szkolnym 1818 — 1819. Były one pod koniec zatrute jeszcze bardzo przykrą sprawą Brunona Sucheckiego. Mickiewicz, jako Naczelnik Wydziału, zmuszony był dn. 20 maja 1819 r. „podać zaskarżenie na członka czynnego Br. Sucheckiego w tem, iż obowiązków ustawami zajętych (!) nie dopełniał, a z takowego przykładu mogłyby złe skutki wyniknąć.“ Co gorsza, Suchecki, wbrew ustawom, rozgłaszał wiadomości o Towarzystwie Filomatów, chociaż był obowiązany do ścisłego przechowywania sekretu. Były na to świadectwa Filomatów: D. Chlewińskiego i T. Łozińskiego. Rozpoczęto zatem „postępowanie przeciw Sucheckiemu i wybrano Komisyę (Czeczot i J. Kowalewski), która miała się zająć indagacyą obwinionego.“ Sprawa ta przeciągnęła się do początku roku 1820 i skończyła się wykluczeniem Sucheckiego z Towarzystwa Filomatów.

Wakacye roku 1819-go są zakończeniem lat uniwersyteckich Mickiewicza; we wrześniu tego roku obejmuje on obowiązki na-

[1]) Nie dochowała się w Archiwum Filomatów.

uczyciela w Kownie, a jakkolwiek nie ustają jego prace w Towarzystwie filomatycznem, to przecież sama odległość od Wilna jest już wielką przeszkodą dla ciągłości tych prac i skuteczności ich, zwłaszcza na polu organizacyjnem. Zanim rozpatrzymy się w życiu jego kowieńskiem, rzućmy jeszcze okiem wstecz i zdajmy sobie sprawę z umysłowego i społecznego dorobku jego w latach uniwersyteckich.

*

* *

Nie będziemy się tu zastanawiali nad nauką uniwersytecką Mickiewicza w pojęciu jej oficyalnem; egzamin nauczycielski, upoważniający go do ubiegania się o stopień magistra filozofii, świadczy aż nadto o tem, że czasu w uniwersytecie nie marnował; zobaczymy niebawem, jak poważnie pojmował obowiązki nauczycielskie i jak pilnie uzupełniał w Kownie zasób wiedzy wywiezionej z Wilna. Chodzi nam tutaj o samodzielny rozwój jego wyobraźni twórczej, niekrępowanej żadnymi przepisami uniwersyteckimi dla kandydatów stanu nauczycielskiego. Mickiewicz wyniósł z Nowogródka żywe zamiłowanie powieści i poezyi. Wiemy, że rozczytywał się tam w przekładach Iliady, Eneidy, Jerozolimy Wyzwolonej, romansów Floriana, pani Genlis i in.; z Nowogródka też wywiózł zapewne dobrą znajomość francuszczyzny. Nie zapominajmy, że przybywał do Wilna w trzy lata zaledwie po pamiętnym roku wojny, roku 1812, który tak wstrząsające wrażenie wywarł na całem ówczesnem pokoleniu młodzieży. Wszyscy byli wtedy pod urokiem Francyi i jej literatury. Zupełnie przeto zrozumiałym objawem będzie u 17-letniego ucznia uniwersytetu wileńskiego *gallomania*, że tu użyję zwrotu, do którego sam Mickiewicz upoważnia, kiedy będzie z czasem mówił o swej germanomanii i brytanomanii. Było to zaś specyalnym objawem naszej „młodszości cywilizacyjnej," że ta gallomania stała wówczas na Litwie jeszcze pod znakiem Woltera, nie zaś — Chateaubrianda! Było to przeżytkiem epoki stanisławowskiej, skoro ludzie światli, jakby na wyścigi, tłómaczyli wtedy Woltera „Henryadę" (X. Chodani w r. 1803, Euz. Słowacki w 1803, Ign. Dembowski w 1805). Modą, aby nie rzec: manią, staje się tłómaczyć Woltera w Polsce między 1801 a 1815 rokiem. Całkiem naturalnie przechodzi tę

gorączkę wolterowską ośmnastoletni Mickiewicz i pochłania przedewszystkiem wiersze satyryczne, zwrócone przeciw hipokryzyi i bigoteryi.

Pod wpływem Woltera probuje Mickiewicz sił swych, przyswajając sobie ostrze dowcipów i szyderstw, ale nie naśladując niewolniczo treści. Samodzielność wielką objawi on przedewszystkiem w znakomitem—zważywszy na lata młodociane — spolszczeniu charakterystycznych znamion poezyi francuskiej. Gdyby nie szczere przyznanie się poety do zależności od Woltera, mogłyby dziesiątki lat upłynąć, zanimby jakiś szperacz odkrył prototypy wolterowskie „Pani Anieli“ i „Mieszka.“ Boć oto pani Aniela jest „dziwem Nowogródka,“ modli się do cudownej Matki Boskiej z Borun (w oszmiańskiem) i czytuje Skargę. A przecież jest to tylko zgrabna i dowcipna przeróbka wierszowanej powiastki Woltera p. n. *Gertrude, ou l'Éducation d'une fille.* Zadziwia w młodzieńczej próbie pióra śmiałość i pewność zwrotów, czystość języka i zupełnie swobodne użycie potocznego stylu. Nie krępuje się nigdzie Mickiewicz okresem francuskim, ale oddaje treść francuską w formie szczeropolskiej. Już tutaj stosuje zasadę Delilla, którą z czasem przytoczy w liście do Czeczota: „Dobrze mówi Delil—tłómacz pożycza piękności, powinien je oddać w tejże ilości, choć różną zupełnie monetą.“ [1]) Otóż ta moneta parafrazy mickiewiczowskiej ma czysty dźwięk szlachetnego metalu. Polszczyzna tu jędrna, przypominająca żywo to Trembeckiego, to Zabłockiego, a co chlubnie świadczy o mistrzostwie, to przedewszystkiem zwięzłość opowiadania, które nic nie roniąc z wolterowskiej satyry, daje parafrazę silną, a równocześnie krótszą od oryginału francuskiego o szesnaście wierszy.

Kiedy „Aniela“ jest tylko swawolną igraszką studenckiego pióra, „Mieszko, książe Nowogródka,“ jest już zapowiedzią poważniejszego na świat spojrzenia, a zarazem pierwszym objawem ukochania przeszłości ziemi rodzinnej. Tu znowu spolszczenie tła miejscowego i kolorytu dziejowego jest do złudzenia przeprowadzone. Dodajmy, że przeprowadzone celowo i świadomie w myśl dwuwiersza z Horacego listu (*ad Pisones*, 206):

> Nec minimum meruere decus, vestigia Graeca
> Ausi deserere et *celebrare domestica facta.*

[1]) N. P. str. 219—220. List z października 1819 r.

To wysunięcie spraw ojczystych na czoło powiastki, pozornie humorystycznej, dowodzi jasno, że poecie zależało na tem, aby pod zabawną powłoką lekkiej treści wolterowskiej wprowadzić ziarno historyozoficznej przestrogi polskiej. Pisany gładkim, trzynastozgłoskowym wierszem „Mieszko“—nie ogłoszony dotychczas w całej swej osnowie [1]) — zawiera treść następującą:

Przy kominku, gdy zima dokucza na świecie, poeta prawi o starych dziejach, jakby bajkę dla dorosłych dzieci:

Żył sobie na Litwie przed Jagiełłą jakiś Mieszko, dziedzic Trok i Nowogródka. Wprawdzie o takiem imieniu książęcem nie wiedzą kronikarze nasi, ani Stryjkowski, ani Gwagnin, ale któż wie—mówi żartem poeta—czy książe na bierzmowaniu tego imienia nie dostał? Otóż ten książe Mieszko chowany był w ciemności i głupocie przez dwu faworytów. Ci go wbijają w dumę, że jest niezwyciężony; — z natury jest on tchórzem.

Był na dworze Mieszka stary rycerz, Poraj; za to, że prawdę księciu mówił w oczy—faworyci z dworu go wygryźli. Bóg chce przez miłość poprawić Mieszka. Zakochał się on w pięknej Zyli i chce się z nią ożenić. Przeszkadza temu biskup i wypędza z dworu Zylę. Niespodziewanie napada na Nowogródek słynny Mamaj, wódz Tatarów, który po zdobyciu Kijowa rusza na Wilno, a po drodze napada na Nowogródek, bierze do niewoli Mieszka i robi z niego pachołka w swej stajni. Wtedy to Mieszko w niewoli, wśród ciągłej pracy hartuje się i staje się z dotychczasowego tchórza mężnym młodzieńcem.

Mamaj zaś tworzy sobie w Nowogródku harem, włącza do niego i piękną Zylę ku największej rozpaczy Mieszka. Zyla, wierna Mieszkowi, znajduje sposobność, aby się z nim porozumieć i wezwać go do obrony i wyswobodzenia kraju. Mamaj tymczasem rozkochał się w Zyli, która ledwie zdoła pohamować jego namiętność. Mieszko porozumiewa się z wiernym sobie Porajem. Uzbroiwszy szlachtę okoliczną, rzucają się na Nowogródek właśnie w chwili, gdy Zyla już ma uledz pijanym szałom i rozbestwieniu Mamaja. Mieszko bierze Mamaja do niewoli, ale na przekór namowom nadwornego mnicha puszcza wodza Tatarów wolno

[1]) Dwa utwory młodociane Mickiewicza: „Mieszko“ i „Kartofla“ (Pieśń I) dochowały się w papierach po ś. p. Aleksandrze Mickiewiczu, który dał w roku 1824 słowo Adamowi, że ani sam tych utworów nie ogłosi, ani na ich druk nigdy nie pozwoli. Córka ś. p. Aleksandra związała się podobnem przyrzeczeniem, danem swemu ojcu.

i przyrzeka, że mu przybędzie na pomoc, gdyby go kiedyś miały obsiąść „Eunuchy, Mołny, Derwisze i ssać krew jego ludu.“ Na tem kończy się poemacik, którego ostrze zwraca się bardzo wyraźnie, za przykładem Woltera, przeciw duchowieństwu. W pomyśle samym widać pierwsze zawiązki późniejszej „Żywili“ i jeszcze późniejszej „Grażyny.“

Dzielna Litwinka już tutaj podnieca kochanka do oswobodzenia kraju z niewoli. Miłość zaś rodowa objawia się przez wprowadzenie Poraja (herbu Mickiewicza), typu starego, wiernego sługi książęcego, który z czasem odżyje w Rymwidzie z „Grażyny. Tam herb, tu przydomek rodowy Mickiewiczów.

„Mieszko“ jest swobodną przeróbką wierszowanej powiastki Woltera p. t. *L'éducation d'un prince*,[1]) gdzie bohaterem jest młody książe Benewentu, Alamon, zamieniony u Mickiewicza na Mieszka. Podobnież piękna Amida przezwana Zylą, a Emon *(vieux serviteur)* nazwany Porajem. Wódz muzułmanów, *le superbe Abdala*, przeistacza się u Mickiewicza w historycznego wodza Tatarów, Mamaja, i t. d. Cechą znamienną przeróbki Mickiewiczowskiej są zwroty satyryczne przeciw świętym z Ławry kijowskiej i duchowieństwu wogóle, nietylko powtórzone z Woltera, ale owszem rozszerzone z przydatkiem ostrości i szyderstwa. Zupełnie rozumiemy, dlaczego późniejszy twórca drugiej części „Dziadów“ nie był zadowolony ze studenckiego „Mieszka“ i skazał go na wieczne milczenie. Dla nas jest dziś „Mieszko“ ciekawym punktem wyjścia dla późniejszych utworów poety. Znamienną przedewszystkiem jest ewolucya od Zyli do Zywili, a od Zywili do Grażyny. Ideał Mieszka, piękna Litwinka Zyla, jest ostatecznie przerysowaniem Wolterowskiej Amidy, a miniatura jej ujęta jest w ramki stylowe Trembeckiego. Zywila zaś jest już objawem kiełkującego romantyzmu, szukającego oparcia w rzekomej legendzie historycznej, wyrażonej kunsztownie w stylu, znakomicie archaizującym.

Pomysły Wolterowskie przerzucą wpływ swój aż do „Grażyny:“ tak jak w „Mieszku“ Poraj wierny z kochającą Zylą porozumiewają się dla dobra księcia Nowogródka, tak Rymwid wiernie służy Grażynie dla sławy Litawora i ojczyzny. I jeszcze jedno ziarnko, które nie zamrze, ale po wielu latach odżyje w wyobraźni twórczej poety: Poraj zgromadza szlachtę okoliczną z Oszmiany, Słonimia i Lidy i rzuca ją na odsiecz i obronę Nowogródka.

[1]) Szczegółowe zestawienie tekstu francuskiego z treścią „Mieszka“ podałem w studyum: „O nieznanych utworach A. Mickiewicza.“ (Lwów. 1909. Warszawa, E. Wende i S-ka) str. 8—12.

Pierwotny tekst „Mieszka“ uległ zapewne poprawkom późniejszym. Wiemy, że czytany był „Mieszko“ w kilka dni po inauguracyjnem posiedzeniu Towarzystwa Filomatów, 7 października 1817 r., ale wydobyto go jeszcze raz w maju 1819 roku na zasilenie *Związku Przyjaciół*, a mianowicie Zan odczytał 31 maja 1819 roku na posiedzeniu tegoż Związku „Mieszka,“ jako nowość dla członków Związku. Dowiadujemy się z protokółu, że „K. Piasecki zarzucał anachronizmy przez wprowadzenie do pogańskiej Litwy mitry biskupiej, tudzież nazwy Jehowy (zamiast Perkunasa).“ Słuszność tej uwagi uznał widocznie Mickiewicz, skoro w tekście „Mieszka“ (przechowanym w kopii Czeczota z datą: 1819 roku 28 maja, Wilno) mamy wyraz *Jehowa* zmnieniony na *Perkuna*, a wskutek tej radykalnej zmiany wykreślono też ołówkiem dziesięciowierszowy ustęp o radach mnicha, niestosujący się już do pogańskiego Mieszka.

„Mieszko“ jest swobodnym wyrazem swawolnej muzy studenta Mickiewicza; jest ten drobiazg ciekawy dziś i ze względu na język przyszłego mistrza formy, a także ze względu na światło, jakie rzuca ubocznie co do erudycyi młodziutkiego poety. Mickiewicz nie tylko treść „Mieszka“ humorem okrasił, ale nawet w dopiskach do tekstu chciał ubawić kolegów. Tak np. jeden z wierszów „Mieszka“ brzmi: „Stanął głazem, jak słona połowica Lota.“ Otóż do tego wiersza dał poeta taki przypisek:

„Znamy z Biblii metamorfozę żony Lota; niema jednak pewności, co się z jej słonym klocem zrobiło. „Może się od deszczów roztopił“—powiada ks. Chmielowski; z tem wszystkiem jest to tylko dowcipna suppozycya „Nowych Aten“ autora. Lecz to pewna, że książe Radziwiłł w swojej pobożnej peregrynacyi do Ziemi Świętej tego słupa soli, jakoteż i jabłek rajskich, we środku popiołem napełnionych, nie znalazł. Można jeszcze obaczyć we fraszkach Potockiego żartobliwe nad tym artykułem uwagi.“

Najwyraźniejszym objawem rozczytywania się i zamiłowania w Wolterze jest przekład heroikomicznego utworu Woltera *La Pucelle d'Orléans*, Dziewicy Orleańskiej, albo, wedle skróconej nazwy Filomatów: „Darczanki“ (Jeanne d'Arc). Mickiewicz zamierzał przetłómaczyć cały ten utwór i bardzo dużo przekładu tego miał już w marcu 1817 roku. Napisał rozbiór całego poematu i dnia 16 grudnia 1817 roku odczytał na posiedzeniu Towarzystwa Filom. „Wiadomość o poemacie Woltera *Pucelle d'Orléans* z próbą tłómaczenia. Potem zaniechał „Darczanki“ i dopiero na życzenie Filomatów, gdy im brak odczytów na posiedze-

niach dokuczał, sięgnął poeta do starych skryptów i 15-go stycznia 1820 r. z Kowna pisał do Jeżowskiego:

„*Dziewicy* szpargał dobyłem, jedną pieśń przepiszę i na zasiłek waszych posiedzeń wyprawię pod zęby Jaroszowe [1]), chociaż wielka mizerya; tłómaczenie jest z r. 1817, z marca, a poprawiać niema czasu... Szczerze myślę Dziewicę Darczankę kiedyż tedyż skończyć. Mam ogrom tego, ale w wielu miejscach strasznie nawałem robiono; smak nie ustalony sadził się raz na rymy, drugi raz na wyrażenie etc.

„Wiele jeszcze zostało miejsc nietkniętych—czy nie mógłby Janko [2]) sił zaprobować?“ [3])

Mickiewicz przepisał wtedy pieśń piątą, którą Malewski odczytał na posiedzeniu Tow. Filom. 13-go lutego 1820 r., poczem Czeczot dał szczegółową recenzyę tego przekładu, omawiając jego zalety i wady. Dzięki tej okoliczności dochował się w Archiwum Filomatów autograf tego przekładu pieśni piątej, obejmujący razem 273 wiersze. Natomiast cały „ogrom“ przekładu, przechowywany w Kownie, o którym poeta w liście powyższym mówi, uległ widocznie potem zniszczeniu. Skoro treść nie była własnością poety, żałować można zatraty przekładu tylko ze względu na język młodociany Mickiewicza, jakkolwiek sam poeta nazywa swe tłómaczenie wielką mizeryą. Dajmy przynajmniej kilka urywków, jako próbki stylu i humoru tłómacza. Oto np. początek pieśni piątej:

„Treść pieśni piątej.

„Mnich Burda ..... bardzo słusznie siedzi teraz w piekle i będzie opowiadał dyabłom swój przypadek:

Żyjmy po chrześcijańsku, przyjaciele moi!
Ach! tego nam oburącz imać się przystoi;
Przystoi karku nagiąć w obowiązek cnoty.
Trzpiotałem się za młodu, znam już, co są trzpioty.
Każdy z nich ośłep leci, gdzie żądza powoła,
Zawsze gotów na balik, nigdy do kościoła..
Cóż w końcu? Śmierć, niestety! babsko krzywonose
Już wietrzy żartownisiów, już naostrza kosę.

[1]) Malewskiego zwano Jaroszem od drugiego imienia chrzestnego: Hieronim.

[2]) Czeczot.

[3]) N. P., str. 252 — 253.

Biegną przodem, chromając, Gorączki, jej kumki
I drobne w trzpiocich główkach plątają rozumki.
Wraz przy łóżku Bernardyn i adwokat stanie:
Żegnaj się! — Pisz testament! — Mów pacierz, mospanie!
Późna wtenczas z ust sinych odzywa się skrucha!
Późne już: W imię Ojca i Syna i Ducha!
Święty Wincenty! Jacku! módlcie się za nami!
Święta Klaro! Urszulo cna z towarzyszkami...
A dyabeł siedzi sobie na rogu poduszki,
Ostrzy szpony, nieszczęsnej oczekuje duszki.
I zaledwie ta z trupa zimnego uciekła,
Natychmiast *capes* za nią i mczy[1]) na dno piekła."

Szczególnie podziwu godna jest swoboda, rzekłbym junactwo języka, który poprostu hula tu, jak na stepie, nic sobie nie robiąc z Woltera, ani z tak zwanej wierności przekładu. Sam poeta w kilka lat potem określał to w ten sposób, że „smak nieustalony sadził się raz na rymy, drugi raz na wyrażenia." Istotnie takich zawadyackich rymów i tak dosadnych wyrażeń nie znajdziemy już potem nigdy u dojrzałego Mickiewicza i dlatego, ze względu na historyę jego języka i stylu, można żałować zatraty owego „ogromu" tłómaczenia „Darczanki." Oto Szatan wzywa do swego tronu mnicha Burdę:

„Siadaj tu, po prawicy! dać mu czaszę, hola!"
Na te słowa franciszkan świętą zgrozą zdjęty,
Padł na twarz i szatańskie ucałował pięty.
Nareszcie patrzy w koło: o, smutny widoku!
Tu obszary w ognistym zalane potoku,
Kraje, które wieczystej nocy cień ogarnie,
Gdzie sroga śmierć przebywa, zbrodnie i męczarnie.
Tu się podnoszą trony nieczystego czarta,
A tu przepaść, na świata schłonienie rozwarta:
Grób, gdzie się starożytność uczona zasypie,
Piękność, rozum przy cnotach, miłość przy dowcipie,
I ta ćma nieśmiertelna i niezrachowana
Dzieci Nieba, stworzonych w poddaństwo Szatana.
Wszak znasz, mój czytelniku, jako podług wiary
W piekło pchamy tyrany i dobre Cezary:
Tam Antonin pobożny los Nerona dzieli,
Tam Trojan wzór monarchów, tam Marek Aureli

[1]) Z rosyjskiego: mczat'.

I Scipio, dobrocią zdobiący odwagę,
Scipio, co zwyciężył miłość i Kartagę.
Plato, z takim rozumem padł w otchłań pożerczą,
W niej Cycero wymowny, boski Homer skwierczą.
Ty nawet, Sokratesie, ty! mądrości synu!
Ty dla prawego [boga] umęczon wśród gminu;
I ty tu! z tobą Solon i Arystyd siedzi —
Wszyscy słusznie, bo wszyscy zmarli bez spowiedzi!

Wpływ Woltera sięgnie wreszcie do utworu, zamierzonego na większe rozmiary, którego pieśń pierwszą dał Mickiewicz do odczytania Malewskiemu na posiedzeniu Tow. Filomatów d. 4 lutego 1819 roku: „Kartofla, poemko we czterech pieśniach.“ Poeta przystępował kilkakrotnie do pisania dalszych pieśni „Kartofli,“ ale nawał zatrudnień kowieńskich, a wreszcie odmienny potem, z gruntu inny nastrój natchnienia, nie pozwolił na dokończenie tego ciekawego przedsięwzięcia. Głuche tylko wieści krążyły dotychczas o tym poemacie na podstawie relacyi Odyńca. Przypatrzmy się więc dokładnie pierwszej pieśni „Kartofli.“

Józef Kallenbach.

LOSY POLSKICH INSYGNIÓW KORONNYCH.

Gdy bitwa Szczekocińska złamała zwycięski rozpęd Kościuszkowskiego powstania, gdy w następstwie klęski owej z jednej strony, a niedołęstwa austryackich biurokratów z drugiej, Kraków, stara stolica królewska, rankiem dnia 15 czerwca roku 1794 wydany był w pruskie ręce, zniknęły ze skarbca na Wawelu przechowywane tamże insygnia koronacyjne królów polskich; zniknęły, jeszcze przed zupełną państwa polskiego zagładą, niby na znak, iż dni Rzeczypospolitej dobiegły już kresu.

Jaki był los owych insygniów? Jaki los zwłaszcza owych pięciu koron, które, według inwentarza, świeżo spisanego w roku 1792, w okutym kufrze były złożone? Jaki los legendowego „szczerbca?“

Ustna tradycya powiada, że tuż przed wkroczeniem Prusaków dwaj ludzie, podobno ksiądz Sierakowski, kustosz, i malarz Stachowicz, skarbiec otwarli; wedle innego znów podania przez otwór w murze do skarbca się dostali, gdy już wisiały na drzwiach pruskie pieczęcie; tak wynieśli królewskie korony. Prusacy, nie mogąc otworzyć zamków, kazali wreszcie wyrąbać pod drzwiami próg kamienny i wyjąć je z zawiasów, poczem skarbiec do szczętu zrabowali.[1]) Ogłoszone w „Bibliotece Warszawskiej“ w r. 1889 przez Lucyana Siemieńskiego, a przedtem już znane Łepkowskiemu („Szkice z przeszłości“), t. zw. „Pamiętniki Kantora Krakowa,“ potwierdzały w całej jej osnowie ową tradycyę co do wrąbania się Prusaków do skarbca, mylnie wszelako przenosząc ów

[1]) O tradycyi tej wspomina Kajetan Kraszewski w artykule: „W sprawie szczerbca Bolesławowego“ („Biblioteka Warszawska“ 1879, I.). Data usunięcia insygniów — niektórych tylko — podana na 14 czerwca r. 1794.

fakt na chwilę, gdy Kraków miał być już oddany Austryakom, a zatem na koniec roku 1795, lub początek 1796. Pośrednio potwierdzały one również i legendę o wykradzeniu insygniów przez Polaków, opowiadały bowiem o gniewie nieproszonych gości, iż nie znaleźli „nic odpowiedniego oczekiwaniu“ i o wyrzekaniach na „ubóstwo królów polskich.“ Dylemat: albo insygnia zostały zabrane przez Prusaków, a w takim razie przepadły dla narodu raz na zawsze, albo zostały wykradzione przez swoich, a w takim razie uniknęły zagłady, lecz istnienie ich stało się nierozwiązalną już może zagadką — dylemat ten zjawiał się przed każdym, kto sprawę ową rozważał. Istniały poszlaki, że korony polskie, niektóre przynajmniej, w pruskiem są ręku — tak opowiadał książe Sussex Niemcewiczowi; świadectwo niezbyt pewne, bo mogła to być zastawiona w roku 1698 korona węgierska, a cesarz Fryderyk III, zwiedzając zamek krakowski, kategorycznie posiadania insygniów polskich się wyparł. Istniały z drugiej strony zapewnienia, jak najbardziej kategoryczne, ze strony gorącego partryoty, O. Wacława Kapucyna, że insygnia ocalały, że istnieją w ukryciu. Według jego relacyi, ogłoszonej w dziele o kościołach i klasztorach franciszkańskich w Polsce w r. 1883, [1]) a powtórzonej z naciskiem w r. 1894 w broszurze o Krakowie w czasie Insurekcyi, kustosz korony, ksiądz Sebastyan Sierakowski, miał z namowy brata, kanonika, wydobyć insygnia ze skarbca—o udziale Stachowicza niema tu wzmianki — poczem ojciec Kajetan, gwardyan Kapucynów, wywiózł je dnia 25 kwietnia r. 1794 — jeszcze zatem na dwa miesiące przed splądrowaniem skarbca, dokonanem, jak się okaże przez Prusaków, z końcem czerwca tegoż roku—do biskupa Cieciszowskiego, na Wołyń. Miały być insygnia przechowywane najpierw w Podkamieniu, w klasztorze O.O. Dominikanów, później w Łucku, wreszcie w klasztorze Kapucynów we Włodzimierzu wołyńskim, skąd w r. 1842 zostały uwiezione pod grozą rewizyi, przez rząd rosyjski przedsiębranej. Ukryte na innem miejscu, przechowują się po dzień dzisiejszy. O ich ocaleniu powziąć miał od biskupa Cieciszowskiego wiadomość Joachim Lelewel, od niego znów biograf Cieciszowskiego, Leonard Chodźko, zapewniający w piśmie swem „Usque ad finem,“ że insygnia istnieją w bezpiecznem ukryciu. Nasuwa się przypuszczenie, że o

[1]) Edward z Sulgostowa (O. Wacław Nowakowski): „Kościoły i klasztory zakonów reguły św. Franciszka w Polsce, lub z Polską mające związek.“ Kraków, 1885. — O. Wacław: „Kraków w roku 1794“ (Kraków, 1894).

uratowaniu relikwij narodowych wiedzieć musiał ostatni rewident skarbca koronnego, mający posiadłość w sąsiedztwie Podkamienia, Łucka, Włodzimierza, właściciel Brusiłowa, gdzie był przez Czackich ufundowany klasztor O.O. Kapucynów — Tadeusz Czacki. Rola jego w czasie powstania była jakkolwiek cicha, wcale jednak wydatna, z czego musiał się później szczegółowo tłómaczyć w Petersburgu. Hypotezę co do udziału Czackiego rzucił prof. Szymon Askenazy, który w swoim czasie niezawodnie szerzej ją rozwinie.

Nieposzlakowana prawość O. Wacława jest rękojmią, że nie powtarzał on na wiatr prostej legendy. Świadczy o tem również ścisłość danych, które przytoczył. Jedna jeszcze wzmianka znakomicie podnosi wiarogodność jego podania. Oto mieli Prusacy dnia 2 lipca roku 1794, a zatem w parę dni po zrabowaniu skarbca, dokonanem, według O. Wacława i według naszych obliczeń, w ostatnich dniach czerwca, zrewidować klasztory i kościoły krakowskie, zwłaszcza zaś klasztor Kapucynów, nazajutrz zaś rewizyę ową ponowić. Fakt stwierdzony i podany ściśle, związek ze sprawą insygniów oczywisty...

Tak więc przedstawiała się sprawa koron polskich, gdy p. Kopera w swych „Dziejach skarbca koronnego“ streszczał rezultaty dotychczasowych poszukiwań. Dodał on od siebie wyciąg z protokółu sesyi Magistratu miasta głównego i stołecznego Krakowa № 3. P. I, 1796 roku: urzędową relacyę delegacyi obywatelskiej, która na rozkaz niewymienionego generała austryackiego stwierdziła, iż „drzwi do skarbca dane zamknięte, kłódkę nienaruszoną i pieczęci nietykane, dalsze drzwi otwarte, a w skrzyni żelaznej, w której kufer z koronami, haki upiłowane, skrzynie i kufer otwarte widzieli i że korony nie znajdują się, oświadczyli...“ Wskazówka ważna co do sposobu, w jaki Prusacy dostali się do skarbca, o losie koron nic jednak nowego nie powiada. To też autor „Dziejów skarbca koronnego“ do pewnych w tym względzie wniosków nie doszedł; jeśli zaś przychylał się raczej do przypuszczenia, że korony Prusakom się dostały, czynił to na tej tylko podstawie, iż relacyi o. Wacława, jako zbyt romantycznej, odmówił znaczenia dokumentu historycznego. [1])

[1]) Kopera, „Dzieje skarbca koronnego,“ strona 230 sq. sq. Nowsze dzieło p. Tomkowicza o Wawelu żadnych świeżych danych, ani rozważań w kwestyi insygniów nie przynosi.

Generałem, który kierował okupacyą Krakowa w roku 1796 i dokonywał rewizyi na zamku był G. M. von Foullon. Spisał on dnia 12 stycznia

Przeoczono zupełnie w dotychczasowych poszukiwaniach pewne drukowane historyczne świadectwo, stwierdzające niezbicie, że część przynajmniej koron polskich popadła w ręce pruskie. Mamy na myśli „Pamiętniki“ Łubieńskiego, na które p. prof. Askenazy zwrócił uwagę piszącego te słowa; stwierdził nadto prof. Askenazy zgodność relacyi Łubieńskiego z niewydanem, rękopiśmiennem świadectwem pamiętnikarskiem Starzeńskiego. Idzie tu o sprawozdanie z deputacyi hołdowniczej szlachty z „Prus Południowych“ do Fryderyka Wilhelma III po jego wstąpieniu na tron. Ustępujemy głosu samemu Łubieńskiemu, cytując jednak nie ów tekst drukowany, będący parafrazą słów pamiętnika przez wydawcę, ale oryginał rękopiśmienny, udzielony nam łaskawie przez prof. Askenazego:

„Tymczasem król nowy koronował się w Królewcu, nie pojechałem przecie tam, nie wiem, skąd sobie o mnie wspomniał, a podług zwyczaju królów Pruskich, wkładając korony na głowę nominował Xiążąt, hrabiów, baronów, na moje wypadło, że mnie i Dzieci moje nominował Hrabią Królestwa Pruskiego, nominował wtedy i Działyńskiego, nic o tym aż później dowiedzieliśmy się, ale obywatele, dowiedziawszy się o koronacyi, znowu mnie wezwali, żebym jechał z Powinszowaniem koronacyi królowi do Berlina. Napojony od Dzieciństwa tym, że szlachcic Polski nie może się wymówić z posługi obywatelskiej, pojechałem tam ostatni raz, trafiłem na wybory Deputowanego w tymże celu, i koniecznie mnie z Poznania wezwali, żebym był ich Reprezentantem wraz z Działyńskim, za co bardzo Im podziękowałem, będąc i tak Jego do tychże czynności kolegą od innych województw. Pośpieszyliśmy do Berlina, Działyński prosił mnie, żeby mógł mówić na audyencyi do króla i królowej. Był tego tylokrotnie, z chęcią mu odstąpiłem, wypalił mowę z zapałem, którą zamaglował dosyć dobrze, że się jąkał, ale, gdyśmy przyszli na audyencyę do królowej, Działyński przy arcybiskupie Krasickim, który był na pokojach królewskich, złożył przedemną ręce, zaklinając, żebym miał mowę do królowey, bo zupełnie zapomniał i tak się czuje pomieszany, że niby był w stanie powiedzieć, nie mia-

r. 1796 wraz z deputowanemi Magistratu protokół o dokonanej rewizyi z wykazem spustoszeń, poczynionych przez Prusaków; protokół ten widzieliśmy w kopii w Archiwum Min. Spraw Wewn. we Wiedniu. W dokumencie tym brak jednak wzmianki o skarbcu, który z osobna widocznie rewidowano; odnośnego aktu nie udało nam się odnaleźć.

łem czasu i kłócenia się z nim, bo nam dano znać, że królowa już w audyencyonalnym pokoju i drzwi nam otworzono, westchnąłem tylko do Boga, żeby mi przyszedł na pomoc, nie pamiętam nawet, com powiedział, lecz skończywszy, zmieszałem się bardzo, widząc, jużto jak królowa mowy uważała, bo na wszystkie trzy części ich najpiękniej odpowiedziała, zmieszałem się tym bardziej, gdym na nią spojrzał, choć mi tak dobrze znaną była, bom poznał na szyi jej i dyademie klejnoty z koron naszych polskich, które były w Krakowie wykradzione. Nie pamiętam, czy wam o tej anegdocie mówiłem, lub pisałem, może się zdarzyć, że się często powtórzę, to jest przywara starego wieku i takich jak ja pisarzy, co tylko w zaufaniu dla dzieci piszą, co im pamięć poddaje. Królowa postrzegła, żem się bardzo zmieszał, przysłała zaraz do mnie Graffa Massau, dowiedzieć się o przyczynę, powiedziałem przy Działyńskim o figlu, który mi zrobił na wchodzeniu do sali audyencyonalnej, i że to nie mogło, tylko mnie zmieszać, lecz królowa powtórnie przysłała p. Massau, że wierzy, iż Działyński chciał mi figla zrobić, choć tego po mowie mojej nie postrzegła, ale czemuż tak widocznie zmieszanie moje dało się widzieć, gdym na nią spojrzał; nadaremne wykręty moje były, Massau powiedział, że nie wyjdzie, póki szczerze nie powiem; wyznałem tedy nakoniec, że uderzyły mnie w oczy klejnoty królowej, które tak podobne do tak dobrze mi znanych w koronach królów polskich; to podobieństwo wzbudzając wspomnienie dawniejsze, odjęło mnie chwilowo moc duszy, żebym nie miał się zmieszać. Przestała na tym, klejnoty do skarbca odniesiono i już ich nigdy nie używała...“

O fakcie tym, powtarzamy, wspomina również Michał Starzeński, starosta brański, jeden z pomniejszych deputacyi owej uczestników, w swym francuskim rękopiśmiennym pamiętniku.

Drobne przyczynki rękopiśmienne, znalezione w wiedeńskiem Archiwum Wojny i Archiwum Spraw Wewnętrznych, również rzucą może nieco światła na tę zawiłą sprawę. Są to depesze Antoniego v. Baum, gubernialnego radcy i starosty myślenickiego, późniejszego komisarza krajowego przy armii okupacyjnej, starosty krakowskiego, intendenta w zawojowywanem Księstwie Warszawskiem, stałego zaś kierownika służby wywiadowczej na pograniczu... Syn naturalny polskiego magnata, rozgałęzione mający stosunki wśród towarzystwa polskiego, obdarzany zaufaniem niektórych postarzałych „regalistek,“ które mu udzielały wszelkich informacyj o machinacyach polskich „jakobinów,“ umiał Baum z drugiej strony żyć w przyjaznych, sąsiedzkich stosun-

kach z polskimi patryotami, przejmując jednocześnie niemiłosiernie ich korespondencye i oczerniając ich przed swym rządem. Miał w sobie trochę z drugorzędnego dyplomaty, bardzo wiele z pierwszorzędnego policyjnego wyżła. Wiedział dużo, ogromnie dużo, w raportach był ścisły, na wiatr nie mówił ni słowa.

Pod datą 24 czerwca r. 1794 pisał Baum do prezydenta Nadwornej Rady Wojennej, feldmarszałka hrabiego von Wallis:

„Ekscelencyo! pruski generał Rütz i tak zwany gubernator krakowski (hrabia Hoym) kazali wczoraj (a zatem 23 czerwca) zażądać wydania złożonych na zamku i będących pod dozorem kustosza koronnego pięciu koron królewskich wraz z innemi insygniami; ponieważ jednak kustosz wyjechał, zagrożono w razie, gdyby po dziś dzień nie otwarto (skarbca) wysadzeniem zamków.“ Następuje wyliczenie pięciu koron, zgodne z inwentarzem z r. 1792.

Mamy zatem—ze zmianą tylko daty—zupełne potwierdzenie relacyi kantora Kratzera. Zarazem ustalić możemy datę rabunku skarbca przez Prusaków. Dnia 23 rozpoczął generał pruski swe „kroki wojenne;“ wedle relacyi Kratzera, parę dni upłynęło, nim znalazł się ślusarz, mający zdobywcom drogę utorować; niepowodzenia przytem doznane i podjęte minierskie roboty — wyrąbanie progu kamiennego — dalszych parę dni zająć musiały. Wypadnie nam zatem datę rabunku skarbca ustalić na ostatnie dni czerwca. A zatem—słowo w słowo według świadectwa O. Wacława! A zatem owe rewizye klasztorne, 2 lipca dokonane, odbyły się w parę dni zaledwie po owym rabunku! Wszechwiedzący Baum wzmacnia tedy znakomicie swą relacyą owe tradycye zakonne.

Brak w dalszych raportach Bauma do Nadwornej Rady Wojennej wiadomości o wyniku pruskich poszukiwań. Dopiero po zajęciu Krakowa, w pierwszym zaraz raporcie do Naczelnego Dyrektoryum, datowanym 20 stycznia roku 1796, pisze Baum, będący już komisarzem krajowym przy armii okupacyjnej w Polsce, mający niebawem zostać starostą krakowskim:

„W gazetach publicznych rozszerzano liczne wiadomości, że pruskie wojska splądrowały przed wymarszem zamek królewski i kilka domów prywatnych, znalazłem jednak przeciwnie taki stan rzeczy, że powszechnie tu ich chwalą z powodu surowej dyscypliny i że nie wyrządzili oni mieszkańcom najmniejszej szkody poza kilku nieznacznemi spustoszeniami na zamku i zabraniem przechowywanej tam korony (sic).“

Ściślejszą wzmiankę o tem zawiera następna depesza Bauma, z 28 stycznia r. 1796:

„Przy zwiedzaniu zamku krakowskiego — pisze pan starosta — wręczył mi regent archiwum spis i wykaz wartości koron, które na zamku w zamknięciu przechowywano, które jednak Prusacy poniekąd skradli potajemnie („welche... von den Preussen aber gleichsam heimlich entwendet worden"), przywłaszczyli je sobie bowiem, nie naruszając zamków i pieczęci, tylko podkopując się i piłując zawiasy; spis ten niniejszem przedkładam" (brak załącznika).

Słowem nowe potwierdzenie relacyi Kratzera o włamaniu się Prusaków do skarbca.

Zdaniem naszem relacye pamiętnikarskie, przytoczone wyżej, i raport Bauma z 28 stycznia roku 1796 są niezbitym dowodem, że insygnia polskie były — w lwiej części przynajmniej, jeśli nie wszystkie—w pruskiem ręku, że zostały w ostatnim tygodniu miesiąca czerwca roku 1794 przez Prusaków zabrane, albo—jeśli zachowamy trafną kwalifikacyę tego czynu, przechowaną w Baumowym raporcie — poniekąd skradzione potajemnie. Piękna królowa Luiza miała więc arcysłuszne powody do rozstania się z niezaszczytną ozdobą—klejnotami, wyłupanymi z owych insygniów[1]).

Pozornie kłóci się to z relacyą O. Wacława, której ścisłości dowodzą, jak widzieliśmy poprzednio, inne raporty tegoż samego Bauma. Sprzeczność to jeno pozorna. Z faktu, że Prusacy zrabowali insygnia, będące w skarbcu, nie wynika jeszcze, by to były wszystkie insygnia koronne, jak z drugiej strony ani tradycya, ani O. Wacław nie mówią wcale o wyniesieniu ze skarbca przed najściem pruskiem *wszystkich* koronacyjnych klejnotów. Gdyby *żadna* z koron polskich nie popadła w ręce Prusaków, wieść o tem doszłaby niechybnie czujnych uszu Bauma. Natomiast mogli zataić polscy stróże skarbca brak jakiejś części insygniów; pruskim włamywaczom nie zdawano bowiem sprawy z zawartości skarbca, a wobec wkraczających Austryaków łatwo było wszelkie braki w niej przypisać strategicznym operacyom mężnego gen. Rütza.

Stawiam hypotezę następującą:

Gdy rozpaliła się Insurekcya, obejmując swą łuną coraz dalsze ziemie Rzeczypospolitej, gdy najwyższy Naczelnik oddalił się od Krakowa, a od losów oręża Kościuszki zawisł byt narodowy, umyślili księża Sierakowscy i Stachowicz — za wiedzą może Na-

[1]) Podzielam w zupełności przypuszczenie p. Kopery, że te insygnia, które dostały się Prusakom, zostały stopione, pozastawiane, wyprzedane po bitwie pod Jeną.

czelnika — ocalić przed niepewnemi kolejami losu najdroższy symbol niepodległego bytu — koronę i miecz dawnych królów. Dlaczego nie usunęli całego skarbca? Odpowiedź na to pytanie, przez p. Koperę postawione, nader prosta: dlatego, że nie wolno im było przez usunięcie go z Krakowa i rozgłos przy tem nieuniknioný odbierać otuchy ludności i wojsku; że ukrycie cząstki łatwiejsze było, niż ocalenie całości. Dla utrzymania sekretu nie naruszano zamków, ni pieczęci; zgodnie z relacyą O. Wacława i z tradycyą, dostano się do skarbca przez otwór w murze; wyjęto z kufra to, co było w nim najdroższe. Nie była to niewątpliwie korona węgierska, ani szwedzka, obie pochodzenia obcego, silnie w dodatku uszkodzone; nie była to korona homagialna, z okazyi inwestytury Bizenowej przez znienawidzonego króla zreparowana. Drogą była korona szczerozłota, którą koronowano królowe; nie ona jednak była ową arką przymierza między dawnymi a nowymi laty. Wszystkie te cztery korony mogły pozostać w skarbcu. Mogły one przepaść bez ujmy dla owej mocy tajemniczej, którą przypisywano insygniom, byle ocalała piąta. Ta była „oryginalis, sive privilegiata,“ wedle podania z daru Ottona III pochodząca, niewątpliwie zaś przez Łokietka ufundowana, przy ostatniej koronacyi użyta i ozdobiona. Tę niewątpliwie uniesiono ze skarbca. Jej to brak — ona najwspanialszą była — wywołał narzekania Prusaków na „ubóstwo królów polskich.“ Uniesiono przytem — tak zapewnia O. Wacław — berła jakoweś i ów krzyżackiego pochodzenia miecz Łokietkowy, „szczerbcem“ zwany. Czy istotnie ocalono „szczerbiec?“ Jakąż drogą dostał się on następnie w ręce ormiańskich i rosyjskich przekupniów, aż po dłuższej z ręki do ręki wędrówce spoczął w Ermitażu petersburskim? Prawda, O. Wacław przeczy gorąco autentyczności owego „szczerbca Bazylewskiego,“ autentyczności, zupełnie już dziś przez badaczów uznanej. Zapewnia O. Wacław, że „szczerbiec“ bezpiecznie w ukryciu spoczywa. Rozwiązanie tej zagadki przekracza dziś możność naszą.

Jakkolwiekbądź jest ze sprawą „szczerbca,“ sprzeczności pomiędzy zapewnieniami O. Wacława, Chodźki, opowieścią Kantora, a świadectwami Łubieńskiego i Bauma dają się zdaniem naszem z łatwością usunąć; wolno więc mniemać, że część prastarych relikwij narodowych czeka w ukryciu, aż inne czasy nadejdą.

D-r Maryan Kukiel.

EMIL FAGUET.

I.

Emil Faguet wyrobił sobie, od lat conajmniej kilkunastu, w piśmiennictwie francuskiem bardzo poważne imię krytyka i historyka literatury francuskiej, której nieporównane znawstwo otworzyło mu wstęp do Akademii. Wysoko ceniony w kołach literackich i od wszystkich, którzy się literaturą bliżej interesują, był on dość długo szerszej publiczności bardzo mało znany. Sfery te zdobył sobie Faguet krytyką dramatyczną, przystępniejszą i więcej zajmującą dla przeciętnego czytelnika, niż krytyka literacka. Zwłaszcza, gdy począł stale prowadzić tygodniowy feliçton dramatyczny w „Journal des Débats," popularność jego doszła do zenitu. Obecnie stał się, bez najmniejszego z jego strony starania, postacią literacką najwięcej znaną, cenioną i lubianą w najszerszych kołach.

Nie mówiąc o studentach, jego wychowańcach — Faguet jest bowiem profesorem literatury francuskiej w uniwersytecie paryskim — dla których jest on najprzychylniejszym kierownikiem, prelekcye jego w Sorbonnie ściągają tłumy słuchaczów, a zwłaszcza słuchaczek ze świata paryskiego. Uczęszczać na jego wykłady stało się modą.

Zbytecznem byłoby dodawać, że to nie stanowi bynajmniej miary jego zasług, te bowiem nadto są poważne i rzeczywiste, by im na takiej lub innej reklamie mogło zależeć.

Jako krytyk literacki, Faguet nie jest ani dogmatykiem, jak Ferdynand Brunetière, ani impresyonistą w rodzaju Juliusza Lemaitre. Ma on metodę swoją własną i oryginalną, polegającą na umiejętności chwilowego, ale całkowitego przybrania kierunku

umysłu autora rozbieranego utworu, z pozostawieniem na stronie umysłowości własnej. Wszedłszy w ten sposób na tor jego myśli, Faguet dobywa z niej całą esencyę, wszystko to, czego sam autor dość jasno nie wyraził, co się w niej mimowolnie lub rozmyślnie ukrywa, czegoby nie dopatrzył, lub coby pominął nietylko przeciętny czytelnik, ale i wielu krytyków. Faguet bowiem ceni w każdym utworze ludzkiego umysłu przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie, myśl i dlatego tej myśli szuka, sonduje ją do głębi, obraca ją i przewraca, by poznać dokładnie i zbadać wszystkie jej strony, tak, iż w rezultacie i myśl tę i samo dzieło ukaże w świetle nowem, niespodziewanem, wbrew może czasem nawet intencyi autora, którego posługując się argumentami, dojść potrafi niejednokrotnie, ścisłością logicznego rozumowania, do sprzecznych z nim konkluzyj.

W takiej grze rozumowej znajduje on widoczną niewinnie złośliwą przyjemność i nie zaniedbuje nigdy sprawić jej sobie, gdy się ku temu sposobność nadarzy.

Takie, płatane autorom, figielki stanowią prawdziwą okrasę i urozmaicenie jego skądinąd zawsze bardzo gruntownej i poważnej krytyki. Czytelnik, czując się tu dopuszczonym do spółki, bierze udział w tej przyjemności krytyka, wskutek czego pomiędzy nim a tym ostatnim zawiązuje się zaraz pewien łącznik sympatyczny, który sprawia, że ulegając urokowi umysłu tegoż, wybacza mu on z łatwością pewne nadużycie sylogizmów.

Pobiwszy w ten sposób autora jego własną bronią, co zresztą najczęściej uważa za rodzaj zabawki i na seryo nie bierze, Faguet przywołuje z powrotem opuszczoną na chwilę własną umysłowość, systemowi przeciwstawia system, wytacza swoje argumenty i zbija po raz drugi, tym razem poważnie, wyrażone w rozbieranem dziele zdania i zasady, albo je rozwija, komentuje i uzasadnia.

Drugą charakterystyczną właściwością Fagueta, która najbardziej się uwidocznia w jego krytyce teatralnej, jest, iż po wykazaniu słabych stron i obaleniu dzieła, odbudowuje je na nowo, w rysach ogólnych, na tych samych podstawach, aby wskazać, jak można było uniknąć wad, które wytknął przed chwilą. Przy rozbiorze utworów tendencyjnych, idąc w myśl autora, stwarza on w ten sposób utwór nowy, będący dopełnieniem pierwszego, ale i często logicznem zaprzeczeniem jego myśli przewodniej. Pochodzi to stąd, że, jak sam on twierdzi, niema idei, niema zasady lub opinii, którąby nie zawierała w sobie pierwiastków sprzecznych. Wystarcza tylko posunąć logikę do jej ostatnich granic,

aby się przekonać, że w gruncie rzeczy każda myśl może sama sobie zaprzeczyć. Ale ludzie najczęściej tego nie spostrzegają, bo nie mają zwyczaju zgłębiać myśli, w czem im przeszkadza lenistwo umysłowe, które ich rozumowanie zatrzymuje w pół drogi. Emil Faguet, którego umysł jest zawsze niezmiernie obudzony i czynny, tego lenistwa nie zna, przeciwnie, ta nieustanna potrzeba czynności umysłowej zaostrza jego ciekawość intellektualną i zmusza go przy spotkaniu myśli cudzej do zajrzenia w jej głąb i dokładnego zbadania wszystkich jej najtajniejszych zakątków. Na tym punkcie nie poczuwa się on do żadnej dyskrecyi i dlatego też ani pomyłka, ani płytkość sądu mimowolna, równie jak i żaden fałsz rozmyślny, żaden sofizmat uwagi jego nie ujdzie.

Krytykę jego tedy, w której strona więcej powierzchowna dzieła, t. j. artystyczna, a nawet uczuciowa, stosunkowo znacznie mniej jest uwzględnioną, nazwać można ideową, albo rozumową. Z tem wszystkiem myśl rozbieranego autora, obejrzaną w ten sposób ze wszystkich stron, przetrząśniętą jakoby przez sito i rozczłonkowaną, Faguet zbiera napowrót w jedną całość w jej treści głównej i równie, jak przed chwilą jej nie oszczędzał, uwydatnia teraz na ostatku z bezwzględną bezstronnością wszystko, co w niej jest prawdziwem, oryginalnem, głębokiem lub wzniosłem.

Tak się przedstawia charakter krytyki literackiej Emila Faguet. Praca jego w tym zakresie jest równie obfitą, jak wartościową. Niema okresu, niema pisarza w całym ciągu historyi literatury francuskiej, któregoby ten niestrudzony badacz myśli ludzkiej nie znał we wszystkich najdrobniejszych szczegółach, nie opatrzył komentarzami i uwagami, skrupulatnie nie zanalizował i nie wyjaśnił ku największemu pożytkowi ogółu. Ze wszystkich zaś tych okresów w literaturze francuskiej umiłował on najwięcej i postawił na pierwszem miejscu wiek XVII i pierwszą połowę wieku XIX, w których, według niego, geniusz francuski w dziedzinie myśli znalazł najwyższy i najbardziej charakterystyczny swój wyraz. Prócz całkowitej historyi literatury francuskiej w streszczeniu (w dwóch tomach), wydał Faguet studya oddzielne nad każdym z tych okresów, a także i pojedyńcze portrety literackie sławniejszych pisarzów różnych epok, zaś krytykę literatury współczesnej i bieżącej zawarł w sześciu, jak dotąd, seryach szkiców pod tytułem „Propos littéraires,“ a krytykę dramatyczną, pomieszczaną w felietonach z początku w dzienniku „Le Soleil,“ a później i aż do lat ostatnich w „Journal des Débats,“ zebrał w całość, w trzech seryach „Notes sur le Théâtre contemporain“ i w czterech seryach „Propos de Théâtre.“ Poza tem

Faguet zasila swem stałem lub przygodnem współpracownictwem prawie wszystkie pierwszorzędne czasopisma i dzienniki, a nawet wiele pomniejszych. Widzimy już z tego, jak poważną i rozliczną jest praca tego niepospolitego umysłu.

Ale na tem, co już w zupełności wystarcza, by dać mu pierwszorzędne stanowisko, jakie Faguet zajmuje wśród współczesnych pisarzów francuskich, nie koniec. Kwestye polityczne, socyologiczne i filozoficzne, które absorbują lub roznamiętniają coraz liczniejsze umysły i zdają się dzisiaj wysuwać na pierwszy plan z pośród zagadnień najbliżej dotykających bytu i przyszłego rozwoju ludzkości, zwróciły i pociągnęły jego uwagę. Postarał się on zbadać i rozplątać mniej lub więcej powikłane idee, których te kwestye są wytworem, odszukać początki ich powstania, wyjaśnić stan obecny ich rozwoju, ich komplikacye i zboczenia, widoki na przyszłość, oraz ich wpływy, doraźne lub spodziewane, na rozwój moralny i materyalny ludzkości, a w szczególności narodu francuskiego. Drogi do tego zwrotu w jego działalności pisarskiej wskazują już dawniejsze jego studya, wchodzące zresztą, jak każdy utwór myślowy, w zakres historyi i krytyki literackiej — „Politiques et moralistes du XIX siécle“ (trzy serye), „Politique comparée de Montesquieu, Rousseau et Voltaire,“ „En lisant Nietzsche.“ Wślad za powyższemi, ukazały się w ciągu ostatnich lat dziesięciu prace jego, dotyczące już bezpośrednio tych zagadnień politycznych i ideowych doby dzisiejszej i przedstawiające poważną cyfrę około trzech tysięcy stron druku, w siedmiu tomach: „Questions politiques,“ „Problèmes politiques du temps présent,“ „Le Libéralisme,“ „L'Anticléricalisme,“ „Le Socialisme en 1907,“ „Le Pacifisme“ i „Discussions politiques.“

Tą to stroną działalności piśmienniczej Emila Faguet, jako traktującą kwestye i idee znaczenia ogólniejszego, pomimo, iż są studyowane na tle stosunków francuskich, postanowiliśmy bliżej się tu zająć.

II.

Co mogło skłonić do zainteresowania się temi kwestyami profesora uniwersytetu, krytyka i historyka literatury, człowieka wyłącznie zamiłowanego w swym przedmiocie, w którym, gdy się, jak on, żyje ideą, łatwo świat cały zamknąć; człowieka, który nigdy polityką czynnie się nie zajmował, ani nie zajmuje? Wia-

domo powszechnie i jest to niemal regułą, jak się to zwykle i wszędzie powtarza, że człowiek oddany „z powołania“ pracy umysłowej, staje się łatwo obojętnym na objawy otaczającego życia społecznego, a już szczególniej czuje odrazę do polityki. Pomimo to zwrot w tym kierunku myśli Fagueta jest nie tylko bardzo zrozumiałym, ale i zupełnie naturalnym, a nawet wypływa wprost z jego temperamentu i skłonności. Przedewszystkiem Faguet jest patryotą i, jako taki, nie mógł nie doznać uczucia wielkiego niepokoju na widok pochyłości, po której, jakoby pod wpływem samobójczego szału, stacza się coraz szybciej jego ojczyzna. Następnie zaś te zagadnienia polityczno-społeczne i moralne zawiarają prawdziwe kopalnie idei, których wydobycie, oczyszczenie z rudy i żużli i przetopienie na czysty metal jest zadaniem jakby dla niego stworzonem. Wreszcie, zarówno dzisiejszy system polityczny, jak i szerzące się obecnie społeczno-polityczne teorye przedstawiają wyborny materyał dla krytyka, który zbadał, zanalizował i osądził wszystko, co kiedykolwiek myślano, pisano i stosowano w tym zakresie.

Faguet jest więc tu w swoim żywiole, uzbrojony, jak nikt, w wiedzę, w umysł wolny od wszelkich uprzedzeń, umiejący się wyodrębnić i wrozumieć w pojęcia nie swoje; w zdolność wreszcie niezwyczajną do logicznej dedukcyi.

W wymienionych powyżej siedmiu tomach rzeczom tym poświęconych, z których każdy zawiera rozbiór czy to całego szeregu kwestyj bieżących, czy to całych systemów i teoryj we wszystkich ich rozlicznych szczegółach, znajdujemy dużo wspólności, nawet powtórzenia, bo niejednę kwestyę, traktowaną częściowo w pierwszych tomach („Questions politiques“ i „Problèmes politiques du temps présent“), podejmuje autor w następnych wyczerpująco (np. Socyalizm), że zaś te książki nie stanowią oddzielnych części jednej całości, lecz każda z nich jest napisana sama dla siebie, jako całość odrębna, przeto nic dziwnego, że niektóre wywody dawniejsze muszą się w nich powtórzyć. Zresztą źródłem wspólnem zarówno francuskich nowożytnych instytucyj politycznych, które tu podlegają krytyce, jak i wszystkich prawie idej, które napotykamy w tych studyach, jest Rewolucya francuska, a raczej pojęcia i zasady przez nią wytworzone, to więc stanowi łącznik konieczny, wiążący je bądź co bądź i zbliżający do siebie, jak dzieci jednej matki. Czem była, czego chciała właściwie Rewolucya francuska? Czy była wynikiem pewnej idei, t. j. czy miała jakieś ideały znaczenia ogólnego do urzeczywistnienia, czy była „wzniosłą,“ jak twierdzą jej bałwochwalczy wyznawcy?

Bynajmniej, odpowiada Emil Faguet, Rewolucya francuska była niczem innem, tylko żądaniem reform prawie wyłącznie ekonomicznych, administracyjnych i do pewnego stopnia—prawodawczych. Dowodem tego niezbitym są t. zw. „Cahiers de 1789," zawierające żądania stanów i ludu wszystkich prowincyj ówczesnej Francyi. Niema tam ani śladu t. zw. zasad wielkiej Rewolucyi. Niezmierna arbitralność administracyi, brak ustalonego i jednolitego prawodawstwa, zwłaszcza odkąd obowiązujące nominalnie prawo feodalne częściowo i jakoby samo z siebie poczęło zanikać; nieracyonalny i niesprawiedliwy wyzysk podatkowy, ciążący całkowicie na ludności najbiedniejszej — oto powody, które, doprowadziwszy tę ludność do ostatniej nędzy, co zresztą odbiło się niekorzystnie i na wyższych stanach, wywołały niezadowolenie, a bardziej jeszcze poczucie konieczności zaradzenia złemu, grożącemu ogólną ruiną. W żądaniach tych niema nic, coby sprzeciwiało się władzy monarchy, nic przeciw religii i Kościołowi; niema wzmianki ani o wolności, ani o równości, ani o konstytucyi—jednem słowem niema w nich nic, coby przypominało teorye filozofów XVIII wieku, coby pozwalało sądzić, jak to długi czas twierdzono, że Rewolucya jest ich dziełem. Że rewolucyoniści ulegli częściowo wpływom Montesquieu, Diderota, Voltaire'a i Rousseau, to nie jest nieprawdopodobne, ale, ponieważ ci filozofowie głosili zasady wprost i krańcowo sprzeczne, więc te ich wpływy musiały się wzajemnie neutralizować. W każdym razie w owych „Cahiers de 1789," które są jedynym całkowitym i skończonym wyrazem życzeń ówczesnych narodu francuskiego, najmniejszego odbicia wpływów tych niema i to wystarcza do obalenia legendy o idealizmie Rewolucyi, wytworzonej właściwie dopiero później przez rewolucyjnych romantyków. Właściwy charakter Rewolucyi w jej pierwszych objawach był więc ściśle realistyczny, pozytywny, utylitarny i razem wziąwszy nader umiarkowany. Po uzyskaniu zniesienia praw feodalnych i równości działów spadkowych (r. 1790), wszystkie życzenia narodu były spełnione, rzeczywiste zadanie Rewolucyi skończyło się. Przedłużyła ją tylko konieczność obrony nabytych praw przed reakcyą i zagranicą. Wszystko zaś, co nastąpiło potem, nie leżało bynajmniej w jej pierwotnych intencyach, było więc jej deformacyą, której z początku ani przewidywano, ani, jak można wnioskować z tych dokumentów, życzono sobie. To też tłómaczy najzupełniej pozornie nielogiczny entuzyazm Francuzów dla rządu konsulatu i cesarstwa, który zaprowadzając ład, zatwierdził i, mając po temu siłę, zapewnił trwałość zdobyczy ekonomicznych z r. 1789.

Ład ten był wprawdzie despotyczny, ale też żądania z r. 1789 wcale się despotyzmowi nie sprzeciwiały. Błędem, w który popadła większość historyków Rewolucyi francuskiej, jest tedy przypisywać Francyi z r. 1789 uczucia i idee, które powstały i wpłynęły na jej losy dopiero w następstwie. Francya późniejsza uczyniła sobie dogmat z zasad r. 1789, ale zasady te powstały właściwie dopiero w r. 1830. „Rewolucye — powiada Faguet — przynajmniej w czasach nowożytnych, są to fakta, które później stają się ideami."

Tych dwu ostatnich zdań, zwłaszcza pierwszego, nie można brać bardzo dosłownie, zaprzecza im bowiem do pewnego stopnia istnienie dwóch deklaracyj praw człowieka: z r. 1789 i z r. 1793, w których idee rewolucyjne, mające w następstwie wytworzyć ducha demokratycznego Francyi, zostały już wypowiedziane. Przyjąć je należy w tem rozumieniu, że idee te stały się udziałem ogółu francuskiego i jego świadomą i rzeczywistą, nie zaś tylko teoretyczną, dyrektywą polityczno-społeczną dopiero w r. 1830. W każdym zaś razie, nawet w owych Deklaracyach praw człowieka figurują one już jako wynik, a nie powód Rewolucyi. Jakkolwiekbądź, z zasad, wyrażonych w tych Deklaracyach, wywodzi Faguet główne prądy polityczno-społeczno-ideowe, które najwyraźniej objawiły się we Francyi, w ciągu dzielących chwilę dzisiejszą od owego czasu lat stu dwudziestu. Najpierwszym z tych prądów, przynajmniej pod względem wartości moralnej, jest liberalizm. Wyraz liberalizm oznacza wogóle nastrój ducha człowieka, który się uwolnił od jakiegoś przymusu. Liberałem, libertynem zwano dawniej człowieka nie uznającego zasad i obowiązków religii lub moralności, wiodącego życie niemoralne. Później nazwę tę dano przeciwnikom despotyzmu władzy. Obecnie przez liberalizm rozumiemy doktrynę polityczną wolności konstytucyjnych. Liberałem w tem znaczeniu jest człowiek, który chce wolności nie tylko dla siebie osobiście lub dla klasy, grupy, czy partyi, do której sam należy, ale żąda tej wolności, pojętej najszerzej i jednakowo dla wszystkich współobywateli. Pomimo paradoksalności założenia, braków i sprzeczności poszczególnych artykułów obu Deklaracyj praw człowieka, zawierają one dostateczne pierwiastki zasad, w których idea liberalizmu, znalazłszy punkt wyjścia, pozyskała dość silną podstawę do swego pełniejszego rozwoju. Liberalizm prawdziwy wymaga dużej dozy bezstronności i bezinteresowności, wzniesienia się ponad predylekcye, uprzedzenia, namiętności, przekonania i wierzenia własne i dla tego nigdy nie miał i nie ma wielu szczerych zwolenników,

a szczególniej we Francyi mniej niż gdziekolwiek, zwłaszcza w chwili dzisiejszej. Emil Faguet, będąc sam prawdziwym liberałem, czego najlepszym dowodem jest bezwzględna bezstronność jego sądów, wypowiedzianych w tych studyach polityczno-społecznych, boleje bardzo nad tem, co uważa za brak przyrodzony w charakterze i temperamencie swych ziomków, rozumiejących wolność tylko dla siebie samych, a odmawiających jej zawsze tym, którzy ich dążeń i przekonań nie podzielają. We Francyi liberalnym jest ten tylko, kto, nie mając udziału we władzy, ani nie będąc związanym wspólnymi interesami z tymi, od których ta władza zależy lub pod ich wpływem pozostaje, zalicza się do mniejszości, a zatem — kto jest prześladowany.

Bo w tym kraju, który dla wolności, jak się wielu zdaje, zburzył odwieczne podwaliny narodowego gmachu i wyrzekł się świetnej tradycyi, muszą zawsze być prześladowcy i prześladowani. Za dawnej monarchii, gdy katolicyzm był panującym, prześladowano protestantów; za cesarstwa prześladowano republikanów. Teraz, gdy rządzą republikanie, posiadający monopol wolności, i wolnomyślni, tak nazwani, bo sami nie myślą i drugim myśleć zabraniają, prześladowani są katolicy i monarchiści. We Francyi rządzi się zawsze *przeciw* komuś lub przeciw czemuś. Rząd, któryby nie miał nikogo do prześladowania, nie ostałby się we Francyi, bo brakłoby mu podstawy, celu i poparcia. W tych warunkach rząd nie jest rządem wszystkich mieszkańców kraju, lecz rządem partyi lub koalicyi partyj przeciw partyi, którą uważa się za wewnętrznego wroga, pozbawionego tych praw człowieka, w których imię się rządzi. Dodajmy do tego, że ta większość parlamentarna, na której rząd się opiera i której jest kreaturą, jest większością sztuczną, nie przedstawiającą zgoła większości narodu, ale jego znaczną mniejszość, gdy się weźmie pod uwagę system wyborczy, dający wielką przewagę kandydatom, popieranym przez rząd, gdy się policzy wyborców niegłosujących (których we Francyi jest liczba dość znaczna), lub pozbawionych prawa głosowania, jak żołnierzy, wreszcie kobiety i dzieci.

Rzeczpospolita przy takim ustroju i takich dążnościach politycznych różni się od despotyzmu tylko nazwą i tem, że despotą nie jest tu jednostka, lecz pewna liczba jednostek. Ale zasada despotyzmu znajduje się zresztą i w tak pozornie liberalnych Deklaracyach praw człowieka. Właściwie wprost opierają się one na despotyzmie, ponieważ podstawą ich jest „souveraineté nationale.“ Umysły rewolucyonistów, ściśle monarchicznej formacyi,

nie mogły zdobyć się na pojęcie innej podstawy rządu i prawodawstwa, jak władza absolutna. Ich „souveraineté nationale“ jest też nie czem innem, tylko transpozycyą, odwróceniem zasady absolutyzmu—przeniesieniem władzy absolutnej od króla do ludu, co znaczy, że wola ludu, będąc niczem nieograniczoną, może wszystko, bo cokolwiek postanowi, to stać się musi prawem obowiązującem, bez żadnej kontroli, bez apelacyi. Ponieważ zaś wola narodu może objawić się tylko przez głosowanie i znajdować się musi logicznie po stronie większości, przeto wszechwładza staje się udziałem tej większości, która ją przelewa na wybranych przez się przedstawicieli. W ręku tych ostatnich spoczywa więc w rzeczywistości władza absolutna. Z drugiej strony wszakże Deklaracye owe ogłosiły „prawa człowieka“ i w tem leży zasadnicza ich niekonsekwencya, bo władza absolutna i prawa człowieka są to dwa pojęcia sprzeczne, wzajemnie się wyłączające. Gdzie jest wszechwładza, tam niema praw człowieka; gdzie są prawa człowieka, tam niem wszechwładzy.

Skądinąd znowu samo pojęcie praw człowieka jest paradoksem. „Ludzie rodzą się wolni i równi w prawach“—powiada artykuł I Deklaracyi z r. 1789. „Rząd jest ustanowiony dla zapewnienia człowiekowi korzystania ze swych praw naturalnych i niewygasłych,“ głosi artykuł I Deklaracyi z r. 1793.

Na czem opierają się te prawa? Prawo jest rezultatem umowy. Na jaką umowę może powołać się człowiek, przychodząc na świat? W istocie człowiek z natury i urodzenia praw żadnych nie ma, ale ma potrzeby, a te wywołują życzenia. Te więc życzenia nazwano bezzasadnie prawami. Stąd pochodzi, że dla zadowolenia wymagań logiki zmyślono t. zw. „Contrat social“ (J. J. Rousseau), umowę, jakoby powstałą pomiędzy ludźmi w czasach przedhistorycznych, a przeto i cała reforma Rewolucyi w duchu wolnościowym została opartą na wymyśle! Z rozlicznych sprzeczności, zawartych w owych prawach człowieka, jedną z głównych jest zestawienie wolności i równości. Wolność i równość, gdy się zastanowić nad ich konsekwencyami, są to znowu pojęcia wzajemnie się wyłączające. Gdy ostatnim wyrazem wolności, w znaczeniu krańcowem, jest anarchia, ostatnim wyrazem równości, w temże znaczeniu, jest despotyzm i niewolnictwo. I otóż, wyszedłszy z jednego i tego samego artykułu Deklaracyi — „prawa człowieka są: równość, wolność, bezpieczeństwo i własność“— i, posuwając logikę do końca, staniemy na dwóch odwrotnych biegunach.

Emil Faguet dowodzi, że, jeżeli Rewolucyą francuską kierowała jaka idea, nie zawsze siebie świadoma, to nie była nią wolność, ale równość. Nie wolność, lecz równość jest też rzeczywistym ideałem demokracyi XIX wieku. Pojęcie równości, stosownie do rodzaju umysłów, w których powstaje, bierze początek albo w uczuciu zazdrości, co trafia się najczęściej, albo rodzi się z poczucia sprawiedliwości. W pierwszym wypadku idea równości może mieć tylko złe skutki, ale ponieważ przedmioty i powody zazdrości są bardzo liczne i bardzo różnorodne, więc zło stąd pochodzące znacznie się rozprasza i ostatecznie do pewnego stopnia neutralizuje. Gdy idea równości wypływa z instynktu sprawiedliwości, wtedy jest niewątpliwie szlachetniejszą, ale za to staje się niebezpieczniejszą, bo, nie tracąc nic na sile, uogólnia się, przeradza się w namiętność, władnącą człowiekiem tem potężniej, że nie pochodzi z interesu osobistego, i popychającą go do buntu już nietylko przeciw społeczeństwu, ale i przeciw samej naturze, która tworzy nierówność. Równość sprzeciwia się wolności pod każdą prawie jej postacią — jest więc przeciwną prawu własności, wolności sumienia, prawu zrzeszania się, wolności słowa i pisma, niezależności sądownictwa i urzędów, wolności nauczania. To też tłómaczy, dlaczego współczesna demokracya francuska, pomimo pozorów innych, jest tych form wolności, a co za tem idzie wszelkiej wolności, mniej lub więcej pozbawioną. Bo, czy istnieje niezależność sądownictwa i wymiaru sprawiedliwości, gdzie wyrok dwa razy legalnie zatwierdzony, może być na rozkaz z góry, wbrew prawu skasowanym? Czy istnieje bezpieczeństwo osobiste, gdzie dwaj obywatele, postawieni przed sądem przysięgłych i przezeń uznani za niewinnych, mogą być następnie skazani za to samo przestępstwo przez sąd specyalny, w którym rząd, będąc stroną oskarżającą, jest zarazem sędzią? Czy jest wolność stowarzyszeń i nauczania, gdzie obywatele, korzystający z niej dzisiaj, tracą ją jutro, jeśli się ubiorą w suknie zakonne? Czy istnieje wolność sumienia i przekonań, jeżeli człowiek, który złożył pewne śluby i nałożył sobie pewną dyscyplinę moralną, traci dlatego powyższe i prawie wszystkie prawa obywatelskie? Czy istnieje prawo własności, gdzie cała kategorya obywateli, poświęcających się dziełom dobroczynnym i umoralniającym, może być wywłaszczoną i tego prawa pozbawioną dla tej tylko przyczyny, że ich ideały nie podobają się rządowi; gdzie legalnie zagwarantowane zapisy mogą być skonfiskowane, dlatego, że są przeznaczone na msze za spokój dusz, w których nieśmiertelność rząd nie wierzy i wierzyć zabrania?

To jest obraz dzisiejszej demokratycznej Francyi, który kreśli Emil Faguet [1]), obraz tem wiarogodniejszy, że dla jego uplastycznienia nie posługuje się on uczuciem, ale wyłącznie tylko ścisłą rozumową logiką.

Studyum swe o antiklerykalizmie rozpoczyna Faguet od słów, wskazujących w jakim duchu zabiera się do zbadania tej, jak nazywa, „choroby rasy francuskiej.“

„Zamierzyłem przestudyować jedną z chorób rasy francuskiej, najwięcej rozpowszechnionych, najgłębszych i zarazem najostrzejszych. Sądzę, że, nie należąc do żadnego wyznania, a, co jeszcze ważniejsze, do żadnej partyi politycznej, jestem w stanie dopełnić tego zadania z całą bezstronnością. Zamiarem moim bezwarunkowym jest badać tę słabość tak, jakgdybym pisał o przedmiocie starożytnym; jakgdyby klerykalizm, antiklerykalizm i Francya sama przestały istnieć od dziesięciu wieków i jakgdyby to wszystko razem wchodziło w zakres filologii i archeologii.“

„Nietzsche powiedział, zdaje się, w tem samem zdaniu, że Francuz jest z gruntu religijny i że jest z gruntu niereligijny. Ma on w tem zupełną słuszność, z zastrzeżeniem różnicy, jaka zachodzi w szerokości objawów religijnych we Francyi, i objawów przeciwnych. Co do mnie, sądzę, że Francuz ma skłonności naturalne zasadniczo niereligijne, ale, i dlatego właśnie, wskutek reakcyi natur z urodzenia religijnych na ich otoczenie, wytworzyły się we Francyi grupy, przejęte duchem religijnym najbardziej natężonym; wytworzyły się jakoby wysepki religijne o konturach szczególnie wyraźnych i ostrych, podobne do aglomeratów granitowych pośród formacyj wapiennych, które, odbijając z wielką siłą od wszystkiego, co je otacza, tembardziej zwracają na siebie uwagę.“

Takiem jest zdanie Emila Faguet. Jeżeli istniały we Francyi, w różnych czasach, gorętsze ogniska uczucia religijnego, to powstały one pod wpływem umysłów zawładnych i dusz apostolskich, a także pod wpływem otoczenia, popychającego do uczuć religijnych natury, ożywione duchem sprzeczności.

Ale właściwy grunt rasy francuskiej, ogółu Francuzów był, jak się zdaje, zawsze mało zdolnym do objęcia i utrzymywania ducha i uczuć religijnych. Wojny religijne, choć, w ciągu historyi Francyi, dość liczne i długotrwałe, nie powinny łudzić nikogo

[1]) „Le Libéralisme,“ „L'Anticlericalisme.“

na tym punkcie, bo z przyczyn, które je wywoływały, zaledwie jedna piąta wypływała z pobudek religijnych, gdy pozostałe nic wspólnego z religią nie miały, lecz były wynikiem interesów politycznych i ekonomicznych w znaczeniu szerszem i ogólniejszem, jak walka przewagi królewskiej z feodalizmem lub duchem republikańskim protestantów, albo też rywalizacyi dążeń lokalnych i partykularnych.

Francuzi są z natury szczególnie skłonni do wojny domowej i, jeżeli, po długich walkach, pozyskali jedność narodową, to stało się to jedynie dzięki zdumiewającej wytrwałości i energii ich dynastyi. Pozostawieni sami sobie, zdają się oni znowu dążyć stopniowo do partykularyzmu. Daleko silniejszym od chęci jedności był u nich instynkt wewnętrznej niezgody, pragnienie czy to u wrogich sobie prowincyj, czy partyj zgnieść, zniszczyć przeciwnika, bez bliższego zastanowienia, dlaczego jest on przeciwnikiem, a zgnieść i zniszczyć dlatego poprostu, że trzeba się nienawidzieć, że trzeba się bić. Dziecko w rodzinie francuskiej jest od małego wychowane w nienawiści do pewnej kategoryi Francuzów. Pierwszą prawie rzeczą, którą mu wskazują w najbliższem otoczeniu, to wróg, którego ma niecierpieć, bez wyraźnego powodu, tylko, aby pokazać, że się jest synem swego ojca. Skąd pochodzi to niezgodne usposobienie Francuzów? Faguet tłómaczy je tem, że Francuz jest czynny fizycznie, ale posiada umysł leniwy. Chce działać, ale nie zastanawia się nad pobudkami, które go popychają do działania i dlatego, pod pretekstem pierwszej lepszej idei, którą zachwycił mimochodem, nie zadawszy sobie trudu dokładniejszego jej poznania, gotów jest rzucić się w wir walki i uderzyć. Ciosy, zadane i otrzymane, wywołując chęć odwetu i zemsty, są już potem dostatecznym powodem do nieskończonych walk i zatargów. Francuz jest więc zdolny prowadzić najdłuższą wojnę bez rzeczywistego powodu, znajdując oparcie w idei, której naprawdę nigdy nie miał i która może nawet wcale nie istniała. Z właściwości naturalnych, które czynią Francuza niereligijnym, jedną z pierwszych jest ta, która zresztą stanowi największą zaletę jego umysłu, t. j. jasność, zamiłowanie, wynikające zapewne z owego umysłowego lenistwa, do wszystkiego, co wyraźne, co się samo, albo przynajmniej bez trudu tłómaczy, niechęć wrodzona do wszystkiego, co tajemnicze, a to sprzeciwia się zasadniczo duchowi religii, której dziedziną właściwą jest tajemnica. Charakterem religii jest powaga i niezmienność, z którą znowu nie może się pogodzić lekkość Francuza, którego umysł męczy się szybko przy dłuższem zastanowieniu nad jednym i tym

samym przedmiotem, czego też nie znosi, aby funkcyonować, musi ten przedmiot nieustannie zmieniać.

Dalej, sprzeciwia się duchowi religijnemu, który polega na pokorze, nieograniczona próżność Francuzów. Niema nic tak przeciwnego religii, mówi Faguet, jak próżność, i więcej, niż pycha, z której Kościół uczynił grzech, bo, jeżeli pycha może być kolektywną i jest nią najczęściej, to próżność jest wyłącznie indywidualną. Człowiek próżny nienawidzi Kościoła, bo najpierw Kościół nakazuje pokorę i naucza go — jego, który ma o sobie przekonanie, że wie wszystko najlepiej, że sam jest punktem centralnym, około którego świat się obraca lub obracać powinien. Nadto Kościół jest pojęciem zbiorowem i takąż instytucyą i to już wystarcza próżności, aby odeń stronić. Faguet daje kilka rysów bardzo charakterystycznych próżności francuskiej, które tłómaczą wiele objawów znaczenia ogólniejszego w życiu tego narodu. Francuz np. nienawidzi tradycyi, bo tradycya mówi mu o dziełach, w których on osobiście nie brał udziału i które są mu już dla tego samego conajmniej obojętne. Jeżeli dla wielu narodów wyraz „starożytność“ ma duży urok, to dla Francuza starożytność to „starzyzna,“ to coś śmiesznego i niedorzecznego.

Stąd łatwość przyjmowania się idej nowych we Francyi, bo nowość jest dla większej liczby Francuzów synonimem prawdy i słuszności, co też jest powodem ciekawego fenomenu, że wychowanie w tym kraju wpływa na młodzież w kierunku przeciwnym dążeniom pokolenia wychowującego. Lekceważenie dzieci dla rodziców, uczniów dla nauczycieli jest we Francyi rzeczą zwykłą i naturalną.

To wszakże nie ogranicza się do młodzieży, bo starzy, którzy chcą zawsze uchodzić za młodych, z obawy, aby ich nie uważano za starych zacofańców, przyjmują wprost przeciwne ich zasadom przekonania synów, a nawet często starają się ich w tem prześcignąć. Wskutek tego wytwarza się rodzaj licytacyi o postępowość pomiędzy pokoleniami, w której nie idzie o nic innego, tylko o pokazanie, że się nie pozostaje w tyle, że się jest więcej zaawansowanym. W taki to sposób powstają prawdziwe dziwolągi w przekonaniach ludzi, którzy po kilka razy w ciągu życia zmieniali lub odnawiali swe zasady, zachowując mimowolnie coś z dawniejszych i łącząc w szczególnej kakofonii idee częstokroć najsprzeczniejsze.

Przy swym temperamencie czynnym, Francuz zabiera się też natychmiast do burzenia starych podstaw zarówno ustroju politycznego, społecznego, jak i systemu moralnego, które dotąd

utrzymywały byt narodowy, nie bacząc na ich znaczenie i pożytek, byle zastąpić je pierwiastkami nowemi, których wartości nie zadał sobie trudu zgłębić.

Wreszcie w wysokim stopniu przeszkodą dla rozwoju ducha religijnego we Francyi jest niemoralność narodowa, niemoralność odrębnego rodzaju, specyficznie francuska. Francuz, jak zapewnia Emil Faguet, nie jest bynajmniej niemoralnym w gruncie, nie jest rozwiązłym z temperamentu, ale, wskutek szczególnej właściwości swego charakteru, uważa to sobie za ujmę i kładzie całą swą ambicyę w tem, aby uchodzić za niemoralnego. Młodzieniec woli raczej uchodzić za najgorszego rozpustnika, choćby był niewinnym, aniżeli, by go posądzono o czystość obyczajów. Człowiek żonaty uważałby się za ośmieszonego, gdyby wiedziano, że jest wiernym mężem. Starzec rad jest bardzo, gdy kursują o nim dwuznaczne dykteryjki i chętnie temu dopomaga. W rzeczywistości, Francuz, jak twierdzi Faguet, jest człowiekiem na tym punkcie bardzo spokojnym, ale ma charakter słaby, łatwo ulega kobiecie i daje się jej powodować. Stąd tak przeważająca rola kobiety we Francyi. W rodzinie francuskiej kobieta jest władczynią—ona to kieruje domem i rodziną, ona o wszystkiem rozstrzyga, gdy mąż, ojciec rodziny, jest w domu tylko jakoby starszem dzieckiem. Tę słabość charakteru Francuz zna do siebie i wstydzi się jej, chce ją ukryć i dlatego stara się za wszelką cenę wyrobić sobie opinię człowieka niemoralnego. Rzecz zrozumiała, że taki nastrój, który, wedle Emila Faguet, jest charakterystyczną właściwością wszystkich bez wyjątku warstw narodu, oddala go od praktyk religii, która głosi moralność i z czystości obyczajów czyni najwyższą cnotę.

Nie zaprzeczając ujemnego wpływu tej szczególnej cechy charakteru Francuzów, zwłaszcza w tem, że ich pozbawia uszlachetniającego działania uczuć religijnych, Faguet jest dla ich moralnej niemoralności, czy też niemoralnej moralności dość wyrozumiałym, uważając, że kto praktykuje cnotę, sławiąc występek, jest moralniejszym od tego, który głosi cnotę, a praktykuje występek. Być może, ale czy to nie jest szczytem niemoralności uczynić sobie z występku ideał, chociażby się go nie osiągnęło? Kto jest naprawdę niemoralniejszym, czy ten, kto grzeszy, ulegając pokusie, albo nawet nałogowi, ale uważa to sobie za złe, a zatem się tego wstydzi, czy ten, kto, nie mając pokusy, uważa sobie grzech za zaszczyt i odznaczenie i chełpi się nim, choćby nawet go nie popełnił? Pierwszy, błądząc, poczuwa się do winy, a w poczuciu się do winy leży już zadatek poprawy. Ale,

co można sądzić o intencyach drugiego, który błądzić pragnie? Oto kwestya nie łatwa do rozstrzygnięcia. Wszakże trudno też uwierzyć, aby takie usposobienie Francuzów i tego rodzaju ich ambicya nie wpłynęły na istotne znieprawienie ich obyczajów. Bądź co bądź, takie są, według autora [1]), przyczyny psychologiczne narodowej niereligijności i antiklerykalizmu we Francyi. Niereligijność była więc zawsze podkładem natury francuskiej, ale długi czas nieświadoma siebie, ograniczona wszechwładnemi formami religijnemi, pozostawała w ukryciu, aż póki pod wpływem okoliczności sprzyjających nie wyszła na jaw. Nie cofając się do satyr średniowiecznych o charakterze pozornie antiklerykalnym, nigdy antireligijnym, które były zresztą dziełem duchownych, rodzajem żartów koleżeńskich z kategoryi „maledicere de priore," któremi zabawiano się po klasztorach, daje się zauważyć, z chwilą, gdy naród francuski się ostatecznie sformował, pewna skłonność do bezbożności, zwłaszcza w umysłowości średniej, mieszczańskiej. W wieku XVI skłonność ta zaczyna się już akcentować.

Wpływa na to z jednej strony Reforma, dając do myślenia, gdy religia przestała być jedną i powszechną, gdy nowe religie powstały przeciw starej, zarzucając sobie wzajemnie fałsz, że może żadna niema słuszności. Z drugiej strony te same refleksye nasunąć mogło odsłonięcie w epoce Odrodzenia świetnej cywilizacyi narodów starożytnych, które nie znały Chrystyanizmu. W XVII wieku ślady antiklerykalizmu są jeszcze nieliczne. Z początku objawia się on raczej w charakterze opozycyi przeciw rządom kardynała Richelieu, oraz w pismach niektórych pisarzów, jak Teofil de Viau lub Cyrano de Bergerac. Później zaczęły działać daleko poważniejsze i dalej sięgające w tym kierunku wpływy Kartezyusza, Bayle'a i Molière'a. W wieku XVIII niereligijność i antiklerykalizm manifestuje się silniej na pozór, niż w rzeczywistości, bo nie przenika ani do warstw głębszych, ani też w klasach wyższych nie przyjmuje się na seryo, ale zaczyna być modą intellektualną, która też ma charakter mody, nie zaś przekonania, t. j. powierzchowność i niestałość. Rozsadnikami głównymi antiklerykalizmu są w tym okresie Montesquieu, Voltaire, Rousseau, a najbardziej Diderot, który jest wprost ateuszem i immoralistą. Teorye każdego z nich, tyczące się religii i Kościoła, Faguet charakteryzuje tu pokrótce [2]). Montesquieu jest wogóle

[1]) „L'Anticlericalisme." [2]) Obszerniej w „Politique comparée de Montesquieu, Rousseau et Voltaire."

anti-katolikiem, ale widzi w zasadzie religii chrześcijańskiej pierwiastek antidespotyczny, a w ustroju Kościoła siłę, zdolną stawić zaporę władzy państwowej, niezbędną w państwie dobrze zorganizowanem i dlatego nie byłby przeciwnym Kościołowi w rodzaju gallikańskiego, któryby był zarówno niezależny od Rzymu, jak i od państwa, i w którym nie byłoby celibatu, ani zakonów. Voltaire, który jest czystym absolutystą, przyjmuje religię „dla ludu," uważając ją za sposób utrzymania w karbach „hołoty." Chce też, aby Kościół był całkowicie podległym państwu, a słudzy jego—„oficerami moralności" na żołdzie rządowym.

Zresztą starał się dyskredytować władzę duchowną, wykazując jej zbrodnie i nikczemności i twierdząc, że wojny i prześladowania religijne nie były znane światu przed powstaniem chrześcijaństwa, które je wywołało; że największe nieszczęścia ściągnął na ludzkość Chrystus i jego uczniowie. Rousseau nie jest bynajmniej pozbawiony uczucia religijnego, ale jest przytem najzawziętszym wrogiem katolicyzmu. Jest on absolutystą demokratycznym, o wiele bezwzględniejszym od Voltaire'a. Umysłowość Kalwina łączy się u niego z jakobinizmem.

W swoim systemie państwowym daje on władzę nieograniczoną większości narodu powstałej z wyborów i ustanawia religię państwową, której kto się nie podda, ma być wypędzonym z granic państwa, kto zaś, poddawszy się jej, żyłby, jakgdyby jej nie uznawał, ma być skazanym na śmierć. Jestto zresztą nic innego, jak tylko system rządów kalwińskich w Genewie z r. 1550, którego duchem Rousseau jest całkowicie przejęty. Razem wziąwszy jednak, wpływ Rousseau, pod względem antiklerykalnym, nie był wielki, bo Francuzi są na punkcie religii radykalni — jeżeli nie są katolikami, nie wierzą w nic. Co najwyżej natchnął on Robespierre'a, Chaumette'a i Edgara Quinet, oraz pewną liczbę teofilantropów, marzących o odrębnej religii narodowej. Za to największy wpływ w tym kierunku wywarł Diderot, ateusz bezwarunkowy, burzyciel wszelkiej wiary metafizycznej. Dla niego, Bóg jest wymysłem sofistów ucisku, którzy, dla ujarzmienia człowieka, stworzyli „człowieka sztucznego." Nie widzi on absolutnie żadnych dowodów istności Boga. Argument, niezbity dla Voltaire'a — „zegar bez zegarmistrza," wydaje mu się dziecińśtwem, które się wywraca jednym palcem.

Właściwością jest tych, którzy dyskutują dużo i dobrze, robi uwagę autor, że to, co jest dowodem, traci szybko w ich oczach znaczenie i wartość, wskutek zbyt dokładnej znajomości i zbyt częstego używania i nadużywania argumentów. Ich umysł nadto

kieruje argumentami, aby sam się im dawał powodować. Na tych rzeczach Faguet zna się doskonale, bo, pomimo swej zupełnej dobrej wiary, nikt tak nie umie odwracać argumentów, nietylko przeciw drugim, ale, powiedzmy, niejednokrotnie przeciw sobie samemu. A nie jest to u niego sofistyką, ale doskonałem władaniem logiką w połączeniu z pasyą dociekania do jądra rzeczy, które z każdego argumentu potrafi uczynić broń obosieczną.

Diderot jest „naturystą," t. j. wierzy, że natura jest dobrą i sama przez się wytwarza dobro. Innemi słowy ma zaufanie, wraz z Rousseau, do pierwotnych instynktów człowieka, nie poprawionych przez cywilizacyę, do jego instynktów naturalnych. I zaraz, mimochodem i jakby od niechcenia burzy autor podstawę tej teoryi, dodając, że przymiotnik „naturalny" jest tu bez znaczenia, bo niewątpliwie leży też w naturze człowieka poprawiać swe instynkty, jeżeli to czyni. Niemniej, wedle teoryi Diderota, instynkty pierwotne, nieodmienione przez cywilizacyę, były dobre.

Ale ludzie chytrzy, wymyśliwszy Boga i religię, narzucili jednocześnie człowiekowi sztuczne obowiązki, ograniczające i wypaczające te jego dobre pierwotne instynkty. Jednem słowem, czy to w interesie egoistycznym, czy też z celem poprawienia go, zepsuli pierwotną naturę człowieka. Diderot jest więc immoralistą, t. j. przeciwnikiem moralności, w czem różni się od Rousseau, bo ten ostatni utrzymuje, że jego człowiek pierwotny był moralnym, a przeto identyfikuje stan pierwotny ze stanem moralnym, kiedy Diderot nazywa go dobrym, nie zaś moralnym, i rozróżnia to, co dobre od tego, co moralne. Dobrym jest stan pierwotny, czyli stan natury, ale nie jest moralnym. Moralnym jest stan cywilizacyi, wynikłej pod wpływem religii, ale nie jest dobrym. Diderot zrozumiał, że religia i moralność wiążą się ściśle razem, że się wzajemnie stwarzają, że niema religii bez moralności, ani moralności bez religii, bo ci nawet, którzy, nie wyznając żadnej wiary, poddają się regułom moralnym, czyli nakładają na siebie obowiązki względem własnego sumienia, są posłuszni czemuś, co nie wywiera na nich przymusu fizycznego, są więc ludźmi, posiadającymi ducha religijnego, posłusznymi Bogu. Różnica leży tylko w metaforze, która, z idei, czyni istotę. To też jest powodem, że, chcąc zniszczyć religię, Diderot uznał za konieczne zwalczać moralność. Wpływy jego, bardzo znaczne, ujawniają się zresztą dopiero w wieku XIX. Odbijają się one zwłaszcza na pokoleniu, zrodzonem około r. 1850, które wydało ateuszów i immoralistów nowożytnych. Idee Diderota należy za-

tem uważać za jeden z najgłówniejszych czynników współczesnego antiklerykalizmu.

Z wybuchem Rewolucyi, wielka większość narodu francuskiego była jeszcze silnie przywiązana do wiary katolickiej, ale Konstytuanta, która, jak ogół, chciała utrzymać religię katolicką w znaczeniu religii państwowej, obmyśliła system, którego katolicy przyjąć nie mogli. Według tego, Kościół katolicki francuski miał, zachowując dogmaty i ustrój katolicki, oddzielić się od Rzymu prawie zupełnie, to jest pozostawać tylko z głową Kościoła w jakimś niewyraźnym związku wspólności wiary. Ale i sam ustrój Kościoła francuskiego miał być zdemokratyzowanym w ten sposób, że biskupi i proboszczowie byliby mianowani przez lud, t. j. wybierani przez tych samych wyborców, którzy wybierali posłów do zgromadzeń departamentalnych i powiatowych, a więc przez ludzi wszelkich wyznań, zarówno katolików, jak protestantów, Żydów i bezwyznaniowców.

W myśl członków Konstytuanty, kierowników Kościoła narodowego i państwowego wybierać powinna z pośród katolików cała Francya, co właśnie miało nadawać temu Kościołowi charakter narodowy.

Ten dziwaczny pomysł spowodował zerwanie katolików z Rewolucyą i walki, które stąd wynikły pomiędzy pierwszą Republiką a katolikami. Konwencya w następstwie chciała rządzić w Kościele, jak rządziła w kraju; wydawać prawa i rozporządzenia, tyczące się religii i spraw kościelnych. Myślą jej było poddać Kościół swej władzy, w ten sposób, że nie dogmaty i zasady religii miały być w nim stosowane, ale wola narodu. Powagę papieża i konciliów zastąpić miał sejm narodowy. Z tego zatargu wynikł wkrótce rozdział Kościoła od państwa w r. 1795, pojęty dość liberalnie w teoryi, ale za tego to rozdziału Kościół doznał najokrutniejszego prześladowania w osobach swego duchowieństwa i wiernych. To trwało do r. 1800. Z wyniesieniem się Napoleona, położenie zmieniło się. Jeżeli rewolucyoniści w swym pomyśle ustroju Kościoła narodowego wzięli coś z Montesquieu, coś z Rousseau i coś z idei Jansenistów, Napoleon w systemie Voltaire'a znalazł podstawę gotową do swego Konkordatu 1801 r., za którego pośrednictwem i z dodatkiem artykułów organicznych, których papież nie zatwierdził, ale które mimo to miały we Francyi moc obowiązującą, związał i poddał Kościół władzy państwowej silniej, niżeli to bywało kiedykolwiek za dawnej monarchii i uczynił z księży urzędników, „oficerów moralności," skrępowanych prawami i przepisami, które czyniły ich więcej podległymi

państwu, niżeli papieżowi. Na mocy tegoż Konkordatu zakony zostały we Francyi zupełnie zniesione.

Przed zaprowadzeniem Konkordatu przez dwa pierwsze lata konsulatu Napoleona, Kościół we Francyi korzystał z zupełnej wolności, po okresie gwałtów i prześladowań, który trwał blizko lat dziesięć. Ale utrzymanie tego stanu, którym Kościół i katolicy się zadowolnili, nie było zamiarem Napoleona, chodziło mu bowiem, aby siłę moralną Kościoła mieć w ręku i uczynić z niej środek dla swoich celów, a nie dopuścić, by mogła zwrócić się przeciw niemu.

Konkordat, dzieło Napoleona, przetrwał po przez zmienne rządy Restauracyi, Ludwika-Filipa, drugiej Republiki, Napoleona III i trzeciej Republiki, aż do r. 1905, gdy zerwał go w wiadomy sposób Combes. Ale, od czasu Restauracyi, gdy przywrócono klasztory, siła moralna z Kościoła oficyalnego, trzymanego zawsze na uwięzi, przeszła do zupełnie niezależnego Kościoła regularnego, t. j. zakonów, które rozwinęły się bardzo szybko i poczęły z niezmierną energią szerzyć ducha religijnego. To znowu zaalarmowało przeciwników katolicyzmu i można powiedzieć, że antiklerykalizm, jako kierunek polityczny, powstał właśnie za Restauracyi. Ogłoszona za Ludwika-Filipa, ale wprowadzona w czyn dopiero roku 1848, wolność nauczania dała katolikom doskonały środek wzmożenia swego wpływu, była to więc chwila prawdziwego dla nich zwycięstwa, ale to powiększało jednocześnie nienawiść rewolucyonistów demokratycznych, którzy, żądając wolności nauczania, nie przypuszczali, że wypadnie ona na korzyść katolików, co, spostrzegłszy po niewczasie, radziby byli ją cofnąć. Równolegle z postępami katolicyzmu, antiklerykalizm stawał się coraz ostrzejszym, coraz zawziętszym. Pomimo to, r. 1871 przyniósł nowe zwycięstwo zasadzie wolnego nauczania, które w praktyce zostało rozszerzonem. Ten stan rzeczy trwał do roku 1880, kiedy Juliusz Ferry, wbrew woli senatu, zarządził w podstępny sposób, bo przez zastosowanie prawa z XVIII w. przeciw Jezuitom, wypędzenie zakonów nauczających, co wszakże nie zostało ściśle wykonane.

Od r. 1900 antiklerykalizm rozpoczął na nowo z potrojoną namiętnością, po awanturze dreyfusowskiej, walkę przeciw katolicyzmowi. Odtąd antiklerykalizm stał się popularnem hasłem wyborczem dla tych, którzy na nic lepszego zdobyć się nie mogli, ani rzeczywistego programu nie mieli, a tymi są radykałowie posiadający dotąd przewagę w parlamencie, w których wcielił się szczególniej despotyzm demokratyczny Jakobinów. Tych rzą-

dy zaznaczyły się już w czasach obecnych gwałtami i nadużyciami bez liku, prawami i przepisami prześladowczemi, jak ograniczenie wolności nauczania przez zakaz, odejmujący prawo wykładów zakonnikom, nawet sekularyzowanym, wypędzenie zakonów, przeprowadzenie rozdziału Kościoła od państwa, przeciw Kościołowi, t. j. nie, aby mu dać wolność, lecz, aby go zniszczyć; konfiskata lub, mówiąc ściślej, grabież własności klasztorów i Kościoła i nieustanne większe lub mniejsze szykany przeciw katolikom. Walka ta przybiera dzisiaj rozmiary „Kulturkampfu“ i trudno przewidzieć, kiedy i na czem się skończy. A w tej walce, rząd, przedstawiający nie kraj, lecz partyę większości parlamentarnej, w istocie nader drobnej mniejszości w masie narodu, używa całej swej despotycznej wszechwładzy, jaką, pomimo pozorów republikańskiej wolności, czerpie w poparciu owej większości sztucznej, nie cofając się bynajmniej przed środkami, albo wprost nielegalnymi, albo legalnymi pozornie, bo wynikającemi z ustaw i przepisów, postanowionych przez tę większość bez żadnego względu na prawa mniejszości i opinię ogółu, sprzeciwiających się zasadzie i duchowi prawa i owym „Deklaracyom praw człowieka,“ które mają być w teoryi demokratycznym dogmatem a są nim w praktyce o tyle, o ile to odpowiada doraźnym celom polityki partyi rządzącej. Za narzędzie dekatolizacyi Francyi i ciągłego wytwarzania i pobudzania nienawiści do tradycyjnej religii w narodzie, służy rządowi szkoła obowiązująca, oficyalna i „neutralna“ i nauczyciel ludowy, którego pierwszym obowiązkiem (prócz kierowania wyborami w myśl rządu), *wbrew prawu*, które mu tego zabrania, jest szerzenie antiklerykalizmu. Nauczyciel, kształcony w tym celu w duchu demagogicznym, poszedł wkrótce, już z własnej inicyatywy i korzystając z tolerancyi rządu, dalej i począł propagować antimilitaryzm i antipatryotyzm, stał się socyalistą, co, acz nie w myśl radykałów, którzy, będąc burżuazyą posiadającą, boją się socyalizmu, jak ognia, jest wszakże konsekwencyą naturalną nadanego im przez nich kierunku. Antiklerykalizm został wymyślony właśnie jako kontrasekuracya przeciw socyalizmowi i jego tendencyom wywłaszczeniowym, przez skierowanie namiętności ludowych w inną stronę. Ale radykałowie, spotkawszy się na drodze propagandy antiklerykalizmu z socyalistami i znalazłszy w tem z nimi jedyny punkt styczny, woleli, korzystając z tego ich usposobienia, nie zadzierać z nimi otwarcie na gruncie społeczno-ekonomicznym, na którym czują swą wobec nich słabość.

Stąd pochodzi tolerancya, a nawet protekcya, jakiej doznają od rządu idee antimilitaryzmu i antipatryotyzmu, propagowane przez nauczycieli ludowych i przez agitatorów rewolucyi. Radykałowie nie są bynajmniej gorącymi patryotami, co zresztą widać doskonale w ich polityce interesu osobistego przed interesem kraju, ale nie są też antipatryotami, czują się jednak zmuszeni do ustępstw względem socyalistów i ustępować im będą we wszystkiem, co nie zagraża bezpośrednio ich workowi. Stąd też te reformy socyalne, rujnujące budżet, które radykalna większość przeprowadza w Izbie, nie oglądając się na środki ich pokrycia, z ukrytą nadzieją w sercu, zawsze zawiedzioną, że Senat je odrzuci. Są to jakoby ofiary, składane dla przebłagania czerwonego bożyszcza którego straszne widmo z każdym dniem się zbliża i ze zmory, przejmującej dreszczem, ale dalekiej, przemienia się w groźbę rzeczywistą. W dzisiejszej polityce antiklerykalnej znać wyraźne, choć mniej lub więcej świadome, wpływy idei Rousseau: większość narodu, reprezentowana jakoby przez większość parlamentarną, jest despotą wszechwładnym, absolutnym, jej wola jest prawem, obowiązującem wszystkich. Ktokolwiek myśli lub działa niezgodnie z tą wolą, jest wrogiem państwa i ma być wypędzony z jego granic. Taka jest zasada dzisiejszej większości — ona tylko jest Republiką, tylko jej członkowie są republikanami, wszyscy inni, bez względu na ich rozliczne przekonania, są wrogami Republiki i, jako tacy, wyjęci z pod prawa. Wszyscy kierownicy polityki francuskiej lat ostatnich nietylko postępowali zgodnie z tą zasadą, ale wypowiedzieli ją mniej lub więcej wyraźnie, najwyraźniej zaś, bo już bez ogródek, wyraził to Clémenceau, mówiąc opozycyi, że rząd walczy i walczyć będzie z katolikami, jako z wrogami Republiki, i nie ustanie, dopóki ich nie zniszczy do ostatniego, co czyniąc, działa w uprawnionej obronie własnej (légitime défense). Briand, choć ostrożniejszy w wyrażeniach, powiedział niedawno mniej więcej to samo, zapowiadając walkę przeciw katolikom w „obronie szkoły ludowej.“ I to wszystko osłania się pretekstem „zjednoczenia Francyi!“ Takie „zjednoczenie“ za pomocą monopolu nauczania, czyli „upaństwowienia“ lub „socyalizacyi“ umysłów, równać się będzie zidyoceniu Francuzów, jak powiada Faguet. Już teraz w szkołach rządowych historya Francyi i „świata“ zaczyna się od roku 1789. O wszystkiem, co się działo przedtem. w podręcznikach urzędowych znajduje się zaledwie wzmianka i to w oświetleniu tendencyjnie fałszywem, która to metoda jest naturalnie stosowaną i do historyi okresu po r. 1789. Podobny system, stosowany w tych szkołach i do

innych przedmiotów, uczynić musi z człowieka, wykształconego w takich warunkach, istotę najzupełniej ciemną i ograniczoną, nietylko nieznającą ewolucyi ras ludzkich w dziejach świata, oraz powstania i losów własnego narodu, ale nie będącą w stanie pojmować stosunków obecnych, w których żyje. „Żądając monopolu nauczania—mówi dalej Faguet do antiklerykałów—pragniecie już nie przywileju dla siebie uczenia bez współzawodnictwa, lecz prawa nieuczenia wcale.“ „Żaden despotyzm nie lubi wiedzy, nie lubi inteligencyi. Niema zasady, by despotyzm zbiorowy miał być od tej reguły wyłączony.“

„Republika nie potrzebuje uczonych“—to zdanie legendowe, doskonale wyrażające myśl demokracyi, wprawdzie najniższej demokracyi, ale, na nieszczęście niższa demokracya zmusza wyższą do nieustannego zstępowania o jeden stopień poniżej poziomu najniższej.

Antiklerykalizm, który konfiskuje wolność, stwarza też nierówność, gdyż dzieli obywateli kraju na dwie kategorye—uprzywilejowanych i upośledzonych: jedni mają wszystkie prawa, drudzy żadnych. Pierwszym wolno się stowarzyszać, propagować swe idee na wszelki sposób, nawet nielegalny, urządzać tłumne manifestacye publiczne, zakłócać porządek na ulicach, napadać na obce ambasady, na wzór chińskich bokserów; stawiać bezkarnie opór władzom i strzelać do policyi i żołnierzy. Drudzy nie mają wolności stowarzyszania się, ani uczenia, ani prowadzenia rodzaju życia według woli własnej, ani stosowania się do dobrowolnie obranej dyscypliny moralnej, nie mają prawa wyrażać swej opinii, ni krytykować postępowania rządu ani w słowie, ani na piśmie; nie mają prawa manifestować, bo nie wolno im odbywać nazewnątrz kościołów procesyj, pomimo, iż są one przecież najwyższą manifestacyą ładu wewnętrznego i zewnętrznego, porządku nie zakłócają i nikomu nie grożą.

W stosunkach zewnętrznych antiklerykalizm przyniósł poważne szkody Francyi: dobrowolną utratę protekcyi nad katolikami na Wschodzie i ostateczne odstręczenie głęboko katolickich zabranych prowincyj: Alzacyi i Lotaryngii, które tyle czasu lgnęły sercem do Francyi. Można powiedzieć bez przesady, że, wskutek prześladowania Kościoła i katolików, Francya te prowincye utraciła po raz drugi. Razem wziąwszy, antiklerykalizm trzeciej Republiki umniejszył moralnie imię Francyi, już zmniejszonej terytoryalnie i politycznie, obniżył i skalał dawny jej urok.

Emil Faguet przewiduje, jako skutek działania antiklerykalizmu wielkie wycieńczenie sił Francyi, tak bardzo jej potrzeb-

nych przeciw wrogom zewnętrznym, w bezowocnych i zupełnie zbytecznych walkach wewnętrznych. Radzi on swym współziomkom, by przecież w interesie własnym przemogli swój wstręt do liberalizmu i stworzyli wielkie, umiarkowane, bezwzględnie liberalne stronnictwo, któreby miało dość siły dla nadania polityce kraju innego, sprawiedliwszego i korzystniejszego dlań kierunku. W rzeczy samej bowiem każdy wolny naród ma rząd, na jaki zasługuje. Czy naród francuski zasłuży na rząd lepszy? Tego Faguet życzy, ale w to mało wierzy.

III.

Dbając zawsze i przedewszystkiem o jasność i ścisłość i aby uniknąć możliwego nieporozumienia, Emil Faguet, na wstępie do swego studyum o socyalizmie („Le Socialisme en 1907“), daje określenie nader proste, trafne i dokładne tego, czem jest, lub czem jest w *jego* pojęciu socyalizm, zwłaszcza z punktu, z którego rozpatrywać go zamierza. Powiedziano o socyalizmie, że jest on religią. Do pewnego stopnia jest to prawdziwe, socyalizm jest o tyle religią, że doktryna jego opiera się na wierze — w szczęśliwość ludzkości i na dogmacie, którym jest równość. Socyalizmem tedy wedle określenia Fagueta nazywa się wszelkie dążenie, mające na celu równość *rzeczywistą* pomiędzy ludźmi. Nie dosięgają socyalizmu te doktryny, które chcą tylko uczynić człowieka równym wobec prawa, albo równym w udziale we władzy, czyli posiadającym jednakowe ze współobywatelami prawa, wynikające z wszechwładzy narodu.

Idą poza socyalizm, choć z niego wypływają, wszystkie te doktryny, które można uważać za chimery, dążące do usunięcia nierówności naturalnych między ludźmi, takich jak różnica siły fizycznej, sił intellektualnych i sił moralnych. Socyalizm właściwy ogranicza się do zniesienia nierówności sztucznych, nabytych, pozostawiając naturalne na stronie, ale te nierówności sztuczne chce znieść wszystkie. Wśród różnic, które dzielą ludzi, tą, która stwarza najwidoczniejszą, najbardziej rażącą nierówność jest różnica, wynikająca z własności. Własność daje posiadającemu siłę, potęgę. Potęga rodzi żądzę panowania. Aby więc zniszczyć tę potęgę i nierówność, która jest jej rezultatem, trzeba, by ludzie byli albo posiadaczami w równej części, albo, by nikt nic nie posiadał.

Idea ta nie była obcą światu starożytnemu, ale nie grała w nim roli poważniejszej. Platon wyraził się raz, że ideałem społecznym byłoby społeczeństwo, w którem wszystko byłoby wspólne pomiędzy obywatelami, którzy byliby braćmi, ale swej „Rzeczypospolitej," daje on ustrój raczej arystokratyczny, dzieląc naród na dwie kasty, z których tylko wyższa i panująca ma charakter komunistyczny.

Esseńczycy byli komunistami ale w sposób taki, jak zgromadzenia zakonne w średnich wiekach. To znaczy, że byli komunistami dla siebie, rodzajem zakonu, ale komunizmu dla wszystkich nie głosili, gdy socyaliści chcą narzucić system komunistyczny całemu narodowi, całej ludzkości i są przeciwnikami tych, którzy, dla stosowania komunizmu między sobą, odłączają się od masy, a więc zakonów.

W doktrynie chrześcijańskiej niema też socyalizmu, chociaż idea chrześcijańska pośrednio wiele przyczyniła się do jego powstania. Chrystus żądał od swoich uczniów, by, na podobieństwo esseńczyków, porzucili własność osobistą, a nawet wszelką troskę o posiadanie czegokolwiek, ale nie głosi żadnej reformy społecznej o charakterze ekonomicznym, ani do ustroju politycznego państwa się mieszać nie chce. Równości także między ludźmi, na ziemi, nie ustanawia. Nauka Jego jest wyłącznie moralną, wewnętrzną i w tem właśnie leży jej wyższość, jej niezniszczalność, że, nie wiążąc się z żadną formą ustroju stosunków ludzkich na ziemi, w każdej tak samo da się zastosować.

W Rzymie starożytnym myśl socyalistyczną znaleźć można co najwyżej w pewnych dążeniach do podziału ziemi, należącej do bogatych, pomiędzy ludność wiejską, co właściwym socyalizmem nie jest. W średnich wiekach pewne sekty chrześcijańskie głoszą i praktykują komunizm.

Pokrewieństwo z socyalizmem, nawet dość blizkie, mają teorye Tomasza Morusa. W czasie Reformy, idee socyalistyczne kiełkowały też dość wyraźnie — anabaptyści głosili bezwzględną równość i wspólność dóbr. Myśl tę, która, rozwinięta w pewnym kierunku, prowadzi do socyalizmu, znajduje Faguet u wielkich kaznodziejów XVII w., zwłaszcza u Bossueta i Bourdaloue.

Wiek XVIII we Francyi był raczej plutokratycznym, rozwojowi idei socyalistycznej niesprzyjającym. Pomimo to okres ten wydał rzeczywistych poprzedników socyalizmu: J. J. Rousseau, Mably i Morelly.

Rousseau widzi w posiadaniu przyczynę zguby rodzaju ludzkiego, a nadto jest namiętnym zwolennikiem równości. Zasadą

jego, która spoczywa na dnie wszystkich jego idei, jest, że nikt nie powinien być potężnym, bo od tego zależy dobry stan społeczny, i nikt nie powinien pragnąć potęgi, bo to jest dobry stan moralny. Mably i Morelly są komunistami czystej wody. Wpływy pism pierwszego odbiły się też i w czasie rewolucyi i, bardziej jeszcze, w wieku XIX. Ale ci trzej myśliciele byli w wieku XVIII wyjątkami, uważanymi przez ogół za marzycieli. Rewolucya, w teoryi, z własności uczyniła jedno z pierwszych praw człowieka, na równi z wolnością i równością. W praktyce, konfiskując dobra szlacheckie i rozdając je prawie za darmo masie ludowej, stworzyła nową i bardzo liczną kategoryę posiadaczy, przyczyniła się więc bardzo znacznie do wzmocnienia zasady własności, wprost sprzeciwiającej się socyalizmowi. Niemniej idee rewolucyjne zawierały wiele pierwiastków socyalistycznych, a nawet w praktyce konfiskaty dóbr duchownych, a szczególniej własności cechów, którym nie udzielono indemnizacyi w żadnej formie, miały charakter socyalizacyi.

Barnave i Babeuf byli, zwłaszcza ostatni, socyalistami i komunistami w ścisłem znaczeniu.

Jednem słowem, idee rewolucyjne, a właściwie i przedewszystkiem idea równości, znajdują w socyalizmie swą ostatnią logiczną konsekwencyę, zaś dzieło rewolucyi w znaczeniu społecznem, choć na razie dało wyniki przeciwne, uważać można bądź co bądź za pierwszy etap na drodze do urzeczywistnienia socyalizmu w pojęciu dzisiejszem kolektywistów.

Podczas pierwszego cesarstwa i Restauracyi idee socyalistyczne milkną, ustępując miejsca patryotyzmowi, wypełniającemu umysły i serce.

Dopiero około r. 1830 dają się one słyszeć znowu, wraz z powstaniem, wskutek niechęci do Bourbonów, kultu dla Rewolucyi, do której dotąd wspomnienia Teroru i Dyrektoryatu budziły odrazę. W tej to epoce, uczniowie Saint-Simona wyciągają z jego doktryny wnioski przeciw dziedziczeniu. Według nich tedy wszystkie spadki dziedziczyć powinno państwo, aby ich wartość, w tej lub innej postaci, rozdzielić pomiędzy najwięcej zasłużonych i najzdolniejszych. W tymże czasie rozwój przemysłu wzrastający do wielkich rozmiarów pod wpływem wynalazku i zastosowania maszyn, wprowadza do dążeń socyalistycznych nowy pierwiastek: proletaryat przemysłowy w przeciwstawieniu do przemysłowego kapitału, dotąd bowiem jedynym przedmiotem socyalizmu była kwestya posiadania ziemi. Z wyłącznie agrarnego, socyalizm stał się powszechnym, a nawet szczególniej antikapitalistycznym. Te-

orye Fouriera i Proudhona są jednak jeszcze dość sprzeczne i niewyraźne, obaj oni zresztą nie są zwolennikami komunizmu. Dopiero Karol Marx, który z tych rozproszonych teoryj stworzył całość ścisłą, wywarł wielki wpływ na ukonstytuowanie się i rozprzestrzenienie socyalizmu dzisiejszego tem zwłaszcza, że potrafił przedstawić jego urzeczywistnienie, jako konieczność historyczną, która do skutku przyjść musi i to niedługo; że socyalizm nie jest ideą, do której nagiąć trzeba fakta, lecz siłą, która z tych faktów wynika. Ani tej sile się oprzeć, ani tryumfu jej przyśpieszyć nie można, ale można ułatwić jej pochód i uczynić jej nadejście mniej uciążliwem.

Z tych różnych odcieni socyalistów, tylko jedni kolektywiści, dążący do absolutnego zniesienia wszelkiego rodzaju własności, są rzeczywiście konsekwentni. Oni to we Francyi, pod nazwą socyalistów zjednoczonych utworzyli partyę oddzielną, ściśle udyscyplinowaną i odmawiającą wszystkim innym prawa do nazywania się socyalistami. Razem wziąwszy, Emil Faguet rozróżnia w socyalizmie dzisiejszym trzy grupy główne wedle ich dążeń zasadniczych: anarchistów, apropryacyonistów i kolektywistów.

Anarchiści wychodzą z idei wolności, doprowadzonej do jej ostatnich granic, nie chcą więc żadnego przymusu, żadnej organizacyi państwowej, żadnych praw. Każdy rządziłby się sam, jak mu się podoba, nie byłoby żadnej własności — wszystko należałoby do wszystkich. Prawa zastąpiłyby dobrowolne umowy pomiędzy interesowanymi, nieporozumienia rozstrzygaliby wybrani przez strony rozjemcy i t. p. Jednem słowem teorya anarchistów, oparta na przypuszczeniu, któremu codzienne doświadczenie zaprzecza, że człowiek jest z natury dobrym i pracowitym, a więc niepotrzebującym żadnej opieki, ani dyscypliny—jest czystą chimerą i nie zasługuje na traktowanie poważne.

Apropryacyoniści chcą wywłaszczenia wielkich posiadaczy i obdarzenia własnością pracujących, w ten sposób, aby właścicielem ziemi był ten, który na niej pracuje własnemi rękami, właścicielem wszelkiego produktu ten, kto go sam wyrabia, równie, jak i narzędzi potrzebnych do jego wyrobu. A więc fabryka należeć powinna do grupy pracujących w niej robotników, toż samo kopalnia do górników i t. p. System ten przedstawia wiele trudności i niekonsekwencyj praktycznych, a przedewszystkiem tę zasadniczą, że jeżeli wprowadza zmianę na korzyść ludności pracującej i wyzyskiwanej, to ta zmiana jest tylko czasową, bo wskutek różnic w uzdolnieniu, siłach i pracowitości tych drobnych lub

częściowych posiadaczy, wkrótce wytworzyćby się musiała samą siłą rzeczy znowu, w tym samym stosunku, klasa posiadająca — kapitaliści, obok proletaryatu, pozbawionego wszelkiej własności.

Pomimo to, zdaniem Fagueta, ten rodzaj socyalizmu ma najwięcej widoków urzeczywistnienia, bo liczy się najwięcej z przeciętnemi skłonnościami i dążeniami ludzi.

Kolektywizm nie zadawala się reformą na pewien czas, ani półśrodkami poprzedniego systemu. Dążeniem jego jest ustanowić równość zupełną i raz na zawsze pomiędzy ludźmi i uczynić ich szczęśliwymi: 1-o przez usunięcie wszelkiego celu i powodu dla ambicyi, popychającej do wyniesienia się jednych ze szkodą i poniżeniem drugich; 2-o przez usunięcie konkurencyi, wskutek czego ustanie praca nad siły, a za to pracować będą wszyscy, umiarkowanie, bo tyle tylko, aby wyprodukować ilość materyałów spożywczych i innych, wystarczającą dla zaspokojenia potrzeb doraźnych każdego, i pewien zapas na wypadek nieprzewidziany. Ale, aby to stało się możliwem, trzeba przedewszystkiem skasować własność prywatną, która stanowi najpierwszą, największą i najniebezpieczniejszą nierówność społeczną. Własność musi tedy być wspólną, aby każdy mógł z niej korzystać w równej mierze, czyli, mówiąc ściślej, jedynym właścicielem, według systemu kolektywistów musi być państwo, a zatem wszelka produkcya, wszelka działalność, tak w zakresie materyalnym jak i intellektualnym i moralnym musi stać się monopolem państwowym. Jest to ni mniej ni więcej tylko system despotyczny, posunięty do ostateczności, bezwzględna centralizacya, zupełny zanik wolności i wszelkiej inicyatywy prywatnej.

W takim ustroju nikt nie potrzebuje troszczyć się o byt, o przyszłość lub o cokolwiek, co się tyczy kwestyj życiowych, bo o to wszystko troszczy się państwo, które myśli za wszystkich — jest administratorem, producentem, przemysłowcem i kupcem. Handel właściwy, t. j. pośrednictwo pomiędzy producentem i konsumentem, staje się w tych warunkach nietylko zbytecznym, lecz niemożliwym, wszystkie bowiem produkty, zgromadzone w składach państwowych rozdziela pomiędzy ludność samo państwo. Państwo kolektywistyczne musi przeto posiadać administracyę nadzwyczaj rozległą dla zawiadywania temi wszystkiemi gałęziami, nadto musi posiadać bardzo liczną policyę i poważną siłę zbrojną dla utrzymania posłuszeństwa, rygoru i dyscypliny w masie ludności, bez czego wyrodziłaby się natychmiast anarchia. A więc kolektywizm jest to panowanie biurokracyi i militaryzmu. Wszyscy bez wyjątku byliby urzędnikami, z których część mniej-

sza, ale bardzo liczna stanowiłaby kastę rządzącą, a większość, t. j. masa ludności byłaby zmuszoną do pracy pod rozkazami i wedle rozporządzeń pierwszej. Tak liczna administracya i tak ogromna centralizacya wymagałyby również skoncentrowania władzy w rządzie niezmiernie energicznym, który musiałby być absolutnym, bo, wobec tego, że kolektywiści są przeciwnikami parlamentaryzmu, kontrola nad nim byłaby niemożliwą. Z tego wynika, że kolektywizm, wyszedłszy z rewolucyi i idąc do końca w myśl idei demokratycznej, powraca od strony przeciwnej do koncepcyi monarchicznej w jej znaczeniu krańcowem i formie najostrzejszej cezaryzmu militarnego, panującego z władzą nieograniczoną, za pośrednictwem silnie zorganizowanej biurokracyi, nad ludem niewolników.

Takie państwo, podobne do starożytnych monarchij Wschodu, z różnicą, że żaden despotyzm nigdy takiego stopnia centralizacyi nie osiągnął, mogłoby być silnem wewnątrz, o ileby kasta rządząca posiadała dość energii do utrzymania w karbach kasty niewolników, ale, w stosunkach dzisiejszych, gdy obrona krajowa wymaga olbrzymich nakładów, aby była skuteczną, nie byłoby w stanie oprzeć się najazdowi zagranicy, gdyż, trzymając się zasady najmniejszego wysiłku i nie chcąc wytwarzać kapitału, a przeto ograniczając wytwórczość do maksymalnych potrzeb konsumcyi, nie mogłoby rozporządzać środkami, jakich użyć mogą na cele wojenne ościenne państwa z ustrojem kapitalistycznym. Prócz tego ludność, przyzwyczajona, że za nią myśli i czuwa kto inny, utraciwszy w tem opiekuńczem niewolnictwie wszelką energią i inicyatywę, nie byłaby w stanie sama się bronić, lecz raczej przyjęłaby biernie władzę nowego pana. Kolektywiści rozumieją to doskonale i wiedzą, że kolektywizm albo przyjmie się odrazu na całym świecie, albo go nie będzie nigdzie, i stąd pochodzi, że są oni z konieczności zwolennikami kosmopolityzmu, zniesienia granic pomiędzy państwami i narodami, a więc przeciwnikami pojęcia ojczyzny, czyli antipatryotami. Siłą, która ochroniła i utrzymuje oddzielne ojczyzny jest wojskowość, a przeto antipatryota musi być konsekwentnie antimilitarystą.

Antimilitarystami są oni również i z tego względu, że wojnę międzynarodową chcą zastąpić wojną międzyklasową, która uprzedzić musi tryumf proletaryatu i założenie kolektywizmu, a do osiągnięcia tego rezultatu pierwszą przeszkodą jest dzisiejszy ustrój militarny. Poza tem, jak widzieliśmy, militaryzm w państwie kolektywistycznem będzie koniecznością, ale będzie miał inne znaczenie i, chociaż mu dadzą nazwę milicyi ludowej, przy-

brać musi fatalnie charakter pretoryański. Propaganda antipatryotyzmu i antimilitaryzmu, która, gdy się nie zna jej powodów, wydać się musi aberracyą i szaleństwem, jest więc zupełnie naturalnym wynikiem idei socyalistycznej i pierwszym środkiem moralnym do jej ziszczenia. Jeżeli wszakże warunkiem istnienia ustroju kolektywistycznego jest kosmopolityzm, a właściwie zniesienie granic między państwami i różnic między narodami, to śmiało uważać go można za mrzonkę.

Wszystkie te teorye i systemy socyalistyczne Emil Faguet poddaje szczegółowej krytyce i znajduje w konkluzyi, że, ze względów praktycznych, każdy z nich jest albo nieziszczalnym, albo stwarza zmianę stosunków w kierunku swych ideałów tylko czasową, z koniecznym w rezultacie powrotem do stanu, z którego wyszedł, i dlatego, w znaczeniu reformy społecznej i politycznej, pożytek ich jest żaden lub bardzo mały, natomiast szkody moralne i materyalne oraz niebezpieczeństwa, na które naraża byt i przyszłość narodu, są tak wielkie, że ich szerzenie się uważać trzeba za chorobę, której symptomaty mają w sobie coś, co dotkniętemu nią organizmowi narodowemu zdaje się zapowiadać niedaleką agonię.

Obok socyalizmu właściwego istnieją jeszcze dążenia o charakterze socyalistycznym, ograniczające się do projektów, mających na celu poprawę bytu proletaryatu roboczego. Dążenia te między innemi objawiają się we Francyi w polityce, częścią z wyrachowania wyborczego, częścią (rzadziej), ze szczerego przekonania o potrzebie zadośćuczynienia, w miarę możliwości i bez naruszania dzisiejszego ustroju, pewnym żądaniom robotników i wyrównania najwięcej krzyczących niesprawiedliwości losowych, od których ci szczególniej cierpią. Są to więc paliatywy i półśrodki o charakterze mniej więcej prawnym, mniej więcej filantropijnym, popierane przez pewne grupy albo w osobistym interesie politycznym, jak powiedziano wyżej, albo, jako kontrasekuracya przeciw socyalizmowi rewolucyjnemu i nie wychodzą z inicyatywy prawdziwych socyalistów, lecz tych raczej, którzy im nie ufają.

W ostatniem dziesięcioleciu powstały i rozwinęły się bardzo silnie dwie organizacye robotnicze: syndykaty czerwone i syndykaty żółte, pozostające do siebie w stosunkach nieprzyjaznych. Obie dążą zresztą mniej więcej do tego samego celu, t. j. do podniesienia proletaryatu do znaczenia solidarnej klasy społecznej, ale różnią się i w środkach dojścia do tego celu i w samem jego pojmowaniu.

Syndykaty czerwone czyli rewolucyjne mają widoki bardzo ambitne: opierając się—1-o na wyższości moralnej (jak twierdzą) proletaryatu w stosunku do innych grup społecznych, 2-o na sile, jaką im daje możność powstrzymania życia społecznego i ogładzenia wszystkich za pomocą przerwania pracy, 3-o na sile, jaką im daje solidarna organizacya społeczna w chwili, gdy inne klasy przestały istnieć, — ich teoretycy i zarazem przywódcy chcą wynieść proletaryat do godności klasy przewodniczącej, rządzącej i uprzywilejowanej, na wzór dawnego stanu szlacheckiego. W tem wyniesieniu proletaryatu widzą oni naturalny bieg rozwoju historycznego—po szlachcie, gdy ta zepsuta używaniem bogactw, stała się niezdolną do przewodniczenia w narodzie, nastąpiło mieszczaństwo. Gdy, z kolei, mieszczaństwo uległo zwyrodnieniu dla tych samych przyczyn, nadeszła chwila dla proletaryatu zajęcia jego miejsca i uchwycenia steru, do czego ma pełne prawo, bo jest cnotliwy (?) nie zepsuty, nowy, energiczny, a przedewszystkiem dlatego, że ma siłę. Środków dla zdobycia tego stanowiska syndykaty czerwone mają kilka, co do których ich członkowie są nieco podzieleni. Pierwszym zasadniczym i nieustannie czynnym jest wywieranie nacisku na pracodawców za pomocą strejków częściowych i okolicznościowych, dla pozyskania praw coraz szerszych i dyktowania ich im, aby postawić kapitalizm stopniowo w coraz większej zależności od proletaryatu, i wywieranie takiegoż nacisku, w razie potrzeby i teroryzmu, we wszystkich kierunkach działalności społecznej i publicznej, bez względu na przepisy i prawa, a więc paraliżowanie i ograniczanie władzy i wpływów rządu, pozyskaną w ten sposób władzą i wpływami proletaryatu.

Drugi środek—strejk powszechny, powstrzymujący życie społeczne narodu, należy do rodzaju rozstrzygających, które mają służyć do zadania ostatniego ciosu dostatecznie już podciętemu i zachwianemu porządkowi panującemu obecnie.

Wreszcie trzecim środkiem, przyśpieszającym tryumf proletaryatu — środkiem, którego dotąd większa część sobie nie życzy, jest zbrojna rewolucya.

Czerwoni, wraz z kolektywistami, których są przeciwnikami, prowadzą propagandę antipatryotyzmu, antimilitaryzmu i antiklerykalizmu, w czem znakomicie im dopomagają ich sprzymierzeńcy, nauczyciele ludowi.

Syndykaty czerwone zbierają się w t. zw. giełdach pracy i mają swój sztab generalny w Związku powszechnym pracy (Con-

fédération générale du Travail), znanym już bardzo ze swych dzieł i figlów rewolucyjnych.

Syndykaty żółte chcą działać tylko środkami zgodnymi i legalnymi, ale zawsze bez pomocy państwa, przez porozumienie z pracodawcami. Pragną jaknajszerszego dopuszczenia robotników do udziału w zyskach i współwłasności fabryk. Postanawiają uciekać się do strejku tylko w ostateczności, gdy droga porozumienia z pracodawcami jest niemożliwą, i tylko z powodów ekonomicznych—strejk polityczny jest przez nich stanowczo potępiony. Starają się wzmocnić niezależność klasy robotniczej przez zakładanie towarzystw współdzielczych, wzajemnej pomocy, pomocy dla biednych, zabezpieczenia na starość i t. p. i popierać prywatną działalność dobroczynną. Pragną dla robotników lepszego wykształcenia zawodowego i obywatelskiego i wreszcie żądają wolności stowarzyszeń, wolności nauczania i zupełnej wolności sumienia.

Przytem są oni stanowczymi przeciwnikami kolektywizmu państwowego, t. j. monopolizowaniu przemysłu przez państwo.

Program ich jest tedy ściśle antikolektywistyczny i przeciwny interwencyi państwa do wszelkich spraw robotniczych. Pozatem jest bardzo rozumny, uczciwy i liberalny.

Można powiedzieć, że istnienie syndykatu żółtego i jego postępy stanowią rehabilitacyę klasy robotniczej i dowód, że zawiera ona pierwiastki zdrowe i dodatnie.

Żółci nie pragną wojny klasowej, jak czerwoni, lecz porozumienia na podstawie sprawiedliwości dla wszystkich i wzajemnej życzliwości.

Syndykaty czerwone, działając za pomocą pobudzenia ambicyj nieumiarkowanych i nieusprawiedliwionych, a przeto ułudnych, oraz instynktów niższych, zawsze u człowieka o nizkiej kulturze moralnej i umysłowej najsilniej przemawiających, jak zazdrość, nienawiść, a przedewszystkiem chciwość—zyskały sobie szybko liczne zastępy adeptów, zawsze gotowych do strejku, do gwałtów, mordów, podpalań i t. p. nadużyć brutalnych siły liczebnej, co wobec rządu chwiejnego i słabego, który nie śmie stawić im skutecznego oporu, jest zajęciem wygodniejszem i przyjemniejszem, pomimo strat i nędzy, jakie za sobą pociąga, niż praca w warsztacie, tembardziej, jeśli się ma na widoku zdobycie stanowiska klasy „uprzywilejowanej.“ Działalność syndykatów żółtych jest mniej głośną, ale nie mniej skuteczną, bo zamiast łudzić masy robotnicze nieprawdopodobnemi marzeniami, odwołują się do ich zmysłu praktycznego, wskazując im, gdzie leży ich interes

rzeczywisty, bezpośredni i ziszczalny odrazu, w warunkach istniejących, bez krwawych przewrotów, dla nich samych bardzo ryzykownych i bez oczekiwania zmian, mniej lub więcej niepodobnych do urzeczywistnienia. Oba kierunki rozwijają się szybko i silnie, rywalizując ze sobą i pozostając względem siebie na stopie wojennej. Który z nich weźmie górę, zależeć to będzie od tego, czy w charakterze i temperamencie robotnika przeważy zmysł praktyczny i instynkt samozachowawczy, czy pierwiastek anarchiczny i ferment rewolucyjny.

Żółci, którzy nie słuchają wezwań do strejków czerwonych i pracują, kiedy tamci piją i próżnują, ulegają często przy pracy napadom tych ostatnich, w czem rząd napastnikom nie przeszkadza, pod pozorem wolności strejku, zapominając, że pierwszym jego obowiązkiem jest zapewnić wolność i bezpieczeństwo pracy. Stąd zapewne pochodzi, że żółci, nie znajdując potrzebnych gwarancyj w rozprzężonym ustroju republikańskim, skłaniają się ku tendencyom monarchicznym, który to zwrot zaczyna się zarysowywać w ich zbliżeniu do neo-monarchistów.

Socyalizm, w swych tendencyach kosmopolitycznych, znajduje naturalnego sprzymierzeńca w „pacyfizmie“ Pacyfizm, czyli dążenie do urzeczywistnienia w praktyce powszechnego pokoju, nie jest w zasadzie kosmopolitycznym, ale z konieczności do kosmopolityzmu prowadzi.

Zadaniem pacyfizmu jest usunięcie raz na zawsze wojny w stosunkach międzynarodowych, jak ją usunięto (w przeważnej części) w stosunkach pomiędzy jednostkami i pojedyńczemi grupami ludzkiemi w społeczeństwach cywilizowanych, aby ją zastąpić, jak w tych społeczeństwach, sądami rozjemczymi, któreby nieporozumienia międzynarodowe rozstrzygały na podstawie prawa, obowiązującego wszystkie państwa. Inaczej, pacyfizm pragnie zastąpić w stosunkach międzynarodowych obecny stan anarchiczny, w którym panuje prawo silniejszego, stanem prawnym, który gwarantowałby prawa rozwoju indywidualnego każdemu narodowi, bez względu na siły, któremi rozporządza, tak samo, jak to dzieje się w stosunkach pomiędzy pojedyńczymi obywatelami.

Pacyfiści, znajdują argument przeciw wojnie w klęskach, ruinie i nieszczęściach, które ona powoduje, oraz w jej niemoralności, polegającej na tem, że wytwarza właściwie drugą moralność odwrotną, która nakazuje to, czego zwyczajna moralność zabrania; kraść i zabijać jest w zwykłych warunkach zbrodnią, gdy to samo wojna nietylko sankcyonuje, ale czyni prawem, obowiąz-

kiem i przywiązuje doń chwałę. Instynkt walki jest w człowieku wprawdzie pierwotnym, ale nie naturalnym, bo wynikł z potrzeby obrony od dzikiego zwierza w czasach przedhistorycznych, i przechował się dotąd dziedzicznie w jego charakterze. Cywilizacya powinna ten instynkt, obecnie niepotrzebny, wykorzenić. Pacyfiści mają poprzedników; w w. XVII, w *Grotiusie* (w Holandyi), autorze dzieła o prawach wojny i pokoju, który był pacyfistą zdecydowanym, oraz w w. XVIII, w księdzu *de Saint-Pierre* (we Francyi), który ułożył projekt sejmu europejskiego, posiadającego prawo rozstrzygania sporów międzynarodowych. W tym sejmie, czyli właściwie trybunale rozjemczym, wzięliby udział monarchowie najpotężniejsi i zmusiliby innych do przystąpienia do związku.

Dla wykonania wyroków ów trybunał miał rozporządzać siłą zbrojną, dostarczoną przez związkowych. Projekt ten wygląda bardzo pięknie, ale brak mu realnej podstawy, bo dla jego wykonania potrzebnem jest naprzód porozumienie główniejszych mocarstw, co gdyby było tak łatwem do urzeczywistnienia, to i trybunał rozjemczy byłby zbytecznym. Skądinąd nie znosi on militaryzmu, lecz go przenosi na inny punkt. Jeżeli projekt ks. de Saint-Pierre wydaje się niewykonalnym, to i trybunał rozjemczy w formie dziś istniejącej, nie posiadający za sobą siły zbrojnej, okazał się dotąd bezskutecznym w zatargach poważniejszych. Jeżeli pewne ograniczenie wojny i ujęcie jej w karby pewnych praw nie jest nieprawdopodobnem, chociaż zawsze w praktyce niepewnem, to jej zupełne usunięcie wydaje się nieziszczalnem, bo trzebaby znieść naprzód nietylko granice państw, ale i różnice, jakie zachodzą z tylu względów pomiędzy poszczególnymi narodami i stanowią przyczynę ich podziału, czem wszakże pacyfiści się nie zniechęcają. Ideał pacyfistów dałby się chyba urzeczywistnić jedynie w podboju wszystkich narodów przez jeden naród, jak to uczynili w swoim czasie Rzymianie, ale do tego, jak się zdaje, bardzo w obecnych warunkach daleko. Przytem ideał pokojowy, który wymagałby nieskończonych wojen, bez pewności ostatecznego skutku, zamieniłby się w ideał imperyalizmu nawskróś militarystyczny i opierający się na „prawie siły," a więc przeciwny pacyfizmowi. Zaś wszystko każe przypuszczać, że po ustanowieniu pokoju za pośrednictwem siły, rozpocząłby się prędzej czy później, jak wskazuje historya upadku Rzymu, nieskończony okres nowych wojen separatystycznych czyli ten sam proces w kierunku przeciwnym. Przeciwnicy pacyfistów, bellicyści przeciwstawiają

ich teoryom swoje teorye, wedle których wojny usunąć nie można, bo jest ona objawem naturalnym, a nadto jest potrzebną, bo chroni narody od zepsucia i zniewieścienia przez nieustanną groźbę najazdu z zewnątrz i zmusza je do utrzymania swej spójni organicznej, oraz do zachowania cnót moralnych, które im dają siłę odporną. Wojna przeto, a raczej groźba i możliwość wojny, stanowi bardzo ważny czynnik moralny i bodziec postępu i cywilizacyi. Bellicyści nadto szukają argumentu w „prawie siły," t. j. w prawie silniejszego do panowania nad słabszym, na tej zasadzie, że naród silny jest lepszym, bo jego siła jest skutkiem zdrowia moralnego. W teoryach jednych i drugich jest trochę słuszności, ale więcej jeszcze błędów, logicznych niekonsekwencyj i dowodzeń naciąganych.

Z pośród licznych słabych stron pacyfizmu, jedną z bardziej krzyczących, która też uwagi autora nie uchodzi, jest, iż wychodząc z zasad humanitaryzmu i sprawiedliwości, chce on sankcyonować niesprawiedliwość, gwałt i ucisk, przyjmując za podstawę stanu prawnego w stosunkach międzynarodowych obecny stan podziału politycznego Europy i świata, oparty, jak wiadomo, wyłącznie na przemocy. Zwolennikom wiecznego pokoju wydaje się, iż pomijając w ten sposób prawa pokrzywdzonych, pozyskają łatwiej dla swych ideałów krzywdzicieli, po których stronie jest siła. Pominąwszy zasadniczą niemoralność takiego rozumowania, popełniają oni tu błąd równie zasadniczy, bowiem, gdyby nawet istniejące obecnie państwa polityczne przystały na rozbrojenie i wyroki trybunału rozjemczego, to narody pokrzywdzone praw swoich dlatego się nie wyrzekną i przy pierwszej sposobności skorzystają ze stosunkowego osłabienia ciemiężców, by należne sobie prawa i niepodległość odzyskać, co też byłoby wznowieniem wojny. Należałoby więc naprzód zacząć od unormowania stosunków międzynarodowych na zasadzie sprawiedliwości dla wszystkich bez wyjątku narodów i bez względu na sztuczne granice polityczne. Bez tego, o pokoju marzyć nie można, a tego właśnie pacyfiści, nie posiadający innych środków nad perswazyę, z góry się wyrzekli.

Emil Faguet rozbiera i krytykuje sprzeczne teorye pacyfizmu i bellicyzmu, szczegół po szczególe i znajduje w tem ćwiczeniu sposobność do rozwinięcia swych myśli i poglądów w uwagach, które mu nastręczają niezliczone kwestye społeczne, polityczne i moralne, wiążące się bliżej lub dalej z wywodami i dążeniami pacyfistów i ich przeciwników. W tem też leży właściwa przy-

czyna zajęcia, jakie budzi to niezmiernie ciekawe studyum, niemniej jak i te, o których mówiliśmy powyżej.

Jak w dziedzinie literatury, tak i w zakresie polityki i socyologii, jest więc Faguet zawsze i przedewszystkiem krytykiem, stosującym tu, jak i tam, zawsze tę samą i z tem samem powodzeniem metodę logiczną zbijania, prostowania, wyjaśniania lub potwierdzania napotkanych myśli argumentami, które znajduje w nich samych.

ORWID.

BEZROLNI I MAJORATY.

III.

Co za związek mają majoraty z rozpatrywanem przez nas zagadnieniem reformy włościańskiej 1864 roku? Po 1831 r. został utworzony szereg majoratów, które miały na celu wytworzenie w Królestwie elementu rosyjskiego. Do 1864 r. było już zupełnie widocznem, że cel ten nie został osiągnięty. Politycznie eksperyment 1835 r. już do 1864 r. zupełnie zbankrutował. Po 1864 r. nie było żadnej racyi politycznej dla szczególnego opiekowania się majoratami lub dla ich rozszerzania. Grunty skarbowe miały swoje przeznaczenie na mocy szeregu Rozkazów Najwyższych, proklamacyj i postanowień obowiązujących. Majoraty umiały uzyskać dla siebie jednak bardziej istotne i realne wyniki zabiegów o grunty skarbowe niż wszystkie inne czynniki.

Najsampierw sporadycznie w 1865 r., 30 (18) maja, widzimy nadanie jednemu generałowi na własność folwarku Antonów w powiecie maryampolskim, a 12 grudnia (30 listopada) tegoż roku drugiemu — folwarku Łobock i Dobrzyń oraz dział leśny Malewa Górna w pow. bialskim. Te nadania pozostały sporadycznemi i poza niemi w 1865 r. ani też poprzednio w 1864 r. żadnych nadań nie widzimy. Apetyty jednak były i parły naprzód.

Najprzód ujawniły się one w dążeniu właścicieli majoratów, utworzonych do 1864 r., o szczególne przywileje i ulgi, związane z uwłaszczeniem włościan. Przedewszystkiem zatem stosował się do nich przywilej, ustanowiony przez Komitet Urządzający w postanowieniu z dn. 28 maja 1864 r., co do komorników w dobrach skarbowych, a skasowany już w listopadzie tegoż roku.

W majątkach majorackich utrzymano nadal przywilej, wyłączający te dobra z całego ogółu dóbr prywatnych i skarbowych;

komornicy i parobcy żadnego prawa do gruntów swoich, to jest ogrodów i ziemi pod kartofle w polu, ani do pastwiska nie otrzymywali wcale. Ograniczono się jedynie wezwaniem właścicieli majoratów, by dobrowolnie z własnej łaski nadawali grunty włościanom bezrolnym u nich służącym. Ale, jak zaznacza sprawozdanie trzecie z działalności komisyi do spraw włościańskich w 1867 r., tylko 31 właścicieli majoratów zgodziło się nadać grunty swoim komornikom. Już w 1865 r. 20 (8) listopada w Cyrkularzu № 81 Zarządzający komitetem do spraw włościańskich musiał stwierdzić, że „niektórzy właściciele majoratów odmawiają nadawania gruntu swoim komornikom.“ Co prawda, był na to sposób łatwy: wystarczyło to, co nie dało się zrobić dobrowolnie, uczynić przymusowo; wszak Komitet Urządzający czynił to na każdym kroku wobec wszystkich. Właściciele majoratów uzyskali szczególny przywilej: polecono tym komornikom, którym nie będą chcieli nadać gruntu właściciele majoratów, nadawać grunty z dóbr skarbowych.

Mamy parę przykładów takiego nadania gruntów skarbowych włościanom, którym odmówiono praw do gruntu, aby dogodzić właścicielom majoratów. Z majoratu Ludwinów gub. suwalskiej zostało osiedlonych na gruntach skarbowych 35 rodzin komorników, którzy dostali 305 morgów gruntu. Z postanowienia Komitetu Urządzającego 1 kwietnia (21 marca) 1869 r. (tom XV, § 2532, str. 467) widzimy, że w majoracie Kupiski jest 78 rodzin komorników i 70 rodzin innych bezrolnych. Dla nadania gruntu 51 rodzinom komorników został oddany folwark poduchowny Nowogród, obszaru 206 m. 257 prętów, a dla reszty komorników i innych bezrolnych Komitet przeznaczył folwark skarbowy Dobrzałów. Gdy zatem szło o to, by dogodzić właścicielom majoratów i uwolnić ich od słusznych, bo opartych na przykładzie innych wsi, wymagań i żądań włościan, służących w folwarkach majorackich, Komitet Urządzający nie żałował całych folwarków rządowych i nawet majątków poduchownych, które były przeznaczone dla takich bezrolnych, którzy nie posiadali praw do określonego gruntu. Gdy o tych ostatnich chodziło, wyłączał Komitet od rozdawania gruntów, folwarki powyżej 90 morgów przestrzeni. Dla dogodzenia właścicielom majoratów, nie krępował się przestrzenią. Nie tylko zatem dobra skarbowe, ale i poduchowne uszczuplały się skutkiem przywileju, pozwalającego majoratom na nieuwłaszczanie komorników i służby.

Z pośród 10,130 rodzin bezrolnych, mieszkających w folwarkach i wsiach majorackich dostało grunty zaledwie 2,095, to jest

trochę większy procent niż w majątkach skarbowych, ale znacznie mniejszy, niż w prywatnych. Jeżeli zaś uwzględnimy, że znaczna część tych rodzin dostała grunty nie w dobrach majorackich, ale w skarbowych, to zrozumiemy, że przy wykonaniu Ukazów 1864 r. właściciele majoratów istotnie zostali postawieni w bardzo uprzywilejowanem położeniu.

Ale było im tego za mało. Uważali się oni i tak pokrzywdzonymi skutkiem tych Ukazów. Tracili bowiem dochód z propinacyi na gruntach włościańskich, a również różnicę pomiędzy dochodem z listów likwidacyjnych, a czynszem, który przed Ukazami otrzymywali od włościan. Co prawda, tracili to samo wszyscy właściciele ziemscy, tracili przytem znacznie więcej, nie mając tych przywilejów co do bezrolnych, jakie były uznane w majoratach, oraz mając rozszerzone prawa serwitutowe, od czego i majątki skarbowe i majoratowe się uchroniły.

Jeżeli prawo propinacyi w stosunku do cudzych gruntów było prawem istotnie uznanem za rzeczowe, to należało się za nie wynagrodzenie wszystkim właścicielom. Toż samo powinno było stać się i co do różnicy w dochodach z czynszów i z listów. Co do innych właścicieli jednak mowy być nie mogło o żadnych wynagrodzeniach za to, co Ukaz kasował bez wynagrodzenia. Dla właścicieli majoratów okazało się możliwem pójść dalej, niż szedł Ukaz.

„Właściciele majoratów — czytamy w protokóle nadzwyczajnego posiedzenia Komitetu XCIV, z dn. 30 (18) września 1864 r. (tom V, str. 47)—starają się o wynagrodzenie ich, zgodne z wartością gruntów, które przechodziły do włościan.“ Komitet, który ten motyw właścicieli majoratów uwzględnił, tem samem stwierdził, że uważał normalne wynagrodzenie za grunty listami likwidacyjnymi za niezgodne z wartością gruntów, a przez to uznawał, że „dominus directus“ miał prawo do wartości gruntów. Zasada ta w orzeczeniu Komitetu zupełnie niespodziana, bo przecież cały duch Ukazów 1864 r. polegał na uznaniu, że grunty stanowią własność tych, co je posiadają, a wynagradza się właścicieli tylko za zniesienie powinności.

Na razie jednak Komitet Urządzający nie szedł zbyt daleko w uwzględnianiu pretensyj właścicieli majoratów z powodu strat wywołanych uwłaszczeniem włościan. Postanowienie Komitetu Urządzającego z dn. 30 (18) września 1864 r. określało jedynie, żeby listy likwidacyjne wydawać właścicielom majoratów bez odciągania jednej piątej części z sumy skapitalizowanych przy normie 6% czynszów włościańskich. Tą ulga jednak właścicielom

majoratów nie wystarczała. Sprawę ich wziął wkrótce w swoje ręce Milutin, ów niby ideowy demokrata. Oto, co czytamy w Rozkazie Najwyższym 25 (12) lipca 1865 (tom IV § 391):

„Komitet do spraw Królestwa Polskiego, rozpatrzywszy referat Milutina, najzupełniej przyłączył się do jego myśli o konieczności nadania właścicielom majoratów sprawiedliwego wynagrodzenia za te straty, jakie mogą u niektórych z nich nastąpić skutkiem urządzenia włościan na zasadzie Ukazów 1864 r.“ Stwierdzał zatem Komitet, że istniały straty, których Ukazy nie wynagradzały. Czyż było zatem sprawiedliwe niewynagradzać za nie właścicieli prywatnych? Że jednak nie szło tu o sprawiedliwość, ale o co innego, widzimy to z dalszego ciągu cytowanego Rozkazu Najwyższego:

„Komitet przyłączył się do zdania Milutina, że należałoby wynagrodzić Rosyan właścicieli majoratów dodaniem (pririezkoju) wolnych gruntów skarbowych, ażeby przywiązać ich bardziej do ich posiadłości gruntowej.“ Tak zatem tenże sam Milutin, który obiecywał nadać grunty skarbowe bezrolnym wiejskim dla zabezpieczenia ich bytu, który nawoływał nawet do osiedlenia na tych gruntach proletaryatu miejskiego, który głosił teoryę, że każdy obywatel państwa powinien mieć grunt własny dlatego, by był spokojnym i posłusznym wobec władzy, ten sam mąż stanu, pomimo, iż wiedział, (jak o tem przekonaliśmy się w rozdziale I), że gruntów skarbowych dla bezrolnych okaże się niewątpliwie ilość niewystarczająca, pomimo to, uzyskał Najwyższą sankcyę dla takiego prawa, które garstce Rosyan, posiadających już magnackie fortuny w majoratach, pododawało obszary tych gruntów, które setkom tysięcy bezrolnych proletaryuszów wiejskich przyobiecane były. Magnatów majorackich, posiadających tysiące morgów, uznał Milutin za godne męża stanu „przywiązać bardziej do gruntu“ dodaniem tegoż, podczas gdy czekały na ten grunt całe rzesze takich, co ani pręta ziemi nie posiadali i których prędzej chyba należało istotnie przywiązać do gruntu. Napewnoby oni nie zawiedli tego celu przywiązania do gruntu, który dla właścicieli majoratów pozostał, mimo wszystkich łask doznanych, obcym.

Dn. 30 (18) grudnia 1865 r. wydał Komitet Urządzający postanowienie (§ 523 tom V) o „porządku rozpatrywania podań właścicieli majoratów o zapomogi (posobija).“ Porządek był następujący: wskutek Rozkazu Najwyższego o tych zapomogach członek Komitetu, Zarządzający sprawami włościańskiemi, wzywał właścicieli majoratów, by dostarczali dane o swoich stratach z powodu

uwłaszczenia, a również, by wskazywali, jakie wynagrodzenia każdy z nich pragnie otrzymać. Główny dyrektor finansów Królestwa, który uważał oddawanie folwarków bezrolnym za niemożliwe ze względu na zbytnie uszczuplanie funduszów skarbu, nie widział szczególnych przeszkód, by okazywać pomoc majoratom przez dodawanie im folwarków rządowych. Komitet chętnie pochwycił to zdanie dyrektora finansów. Ponieważ jednak niektórzy właściciele majoratów woleli lasy, a prawo zasadnicze o majoratach z 23 (11) lutego 1836 r. określało, że lasów nie może być w majoracie więcej, niż $^1/_5$ część ogólnej przestrzeni, więc Komitet dla dogodzenia kalkulacyom właścicieli majoratów wnet się zgodził na to, by tę normę zniżyć do $^1/_3$. Tak więc właściciele majoratów mogli żądać, czego tylko chcieli: — gotówka, folwarki, lasy rządowe—wszystko, czego pragnęli, było do ich usług.

Przeciw rozbudzonym apetytom zaboru dobra publicznego miał odwagę częściowo podnieść głos jeden tylko senator Arcimowicz, którego bezstronność mogliśmy ocenić, gdy szło o bezrolnych. „Dla uniknięcia przesadnych żądań ze strony właścicieli majoratów—pisał on w swem zaprotokółowanem oddzielnem zdaniu—co do nadawania im lasów i ze względu na potrzebę ochrony lasów od zniweczenia przez tych właścicieli, należy zachować w mocy prawo z 23 (11) lutego 1836 r. co do normy $^1/_5$ dla lasów.“ Głos ten nie został uwzględniony. Interesy właścicieli majoratów były górą.

Postanowienie Komitetu Urządzającego z dn. 30 (18) grudnia, dozwalając w zasadzie na wspomożenie właścicieli majoratów bądź folwarkami, bądź lasami, określało, jak te zapomogi miały być taksowane: mianowicie „na tych samych zasadach, jakie były przyjęte przy nadawaniu majoratów w 1835 roku.“ W ten sposób właściciele majoratów zyskiwali podwójnie: otrzymywali wynagrodzenie za to, za co nikt inny nie otrzymał ani szeląga, po drugie i to główne, nie otrzymywali tego wynagrodzenia w listach likwidacyjnych, jak to za wszelkie inne straty płacił wówczas skarb, ale w dobrach ziemskich i lasach po niezmiernie nizkiej taksie. O tem, że taksa tych majątków była niezmiernie nizka, przekonywa nas postanowienie Komisyi Urządzającej z d. 1 kwietnia (21 marca) 1869 r. (tom XV, str. 462, § 2529), w którem czytamy: „podług przepisów ogólnych należało się S. wyznaczyć tylko część folwarku, a resztę sprzedać, przyczem skarb niewątpliwie otrzymałby znacznie większą sumę od tej, jaką porachował S.“ (z powodu skargi S., że taksa była zbyt wysoka).

Dla przykładu, w jaki sposób odbywało się to wspomaganie właścicieli majoratów za straty spowodowane uwłaszczeniem, warto zaznajomić się z rozrachunkiem majoratu Kościelnica (Postan. Kom. Urz. § 646 — 2 czerwca (21 maja) 1866 r.).

Właściciel majoratu otrzymywał do 19/II 1864 r. dochodu z czynszów	2,065 rb.	56½ k.
Dochód z 45 morgów, oddanych komornikom podług § 21 Ukazu o tabeli likwidacyjnej rachował się	54 „	— „
Razem tracił dochodu. .	2,119 rb.	56½ k.
Otrzymał zaś dochodu z procentów od listów likwidacyjnych, obrachowanych bez obcięcia ⅕ części	1,377 „	04 „
A zatem stracił na czynszach	742 rb.	52½ k.
Stracił na propinacyi włościańskiej	868 „	— „
Ogółem stracił skutkiem uwłaszczenia .	1,610 rb.	52½ k.

O ileż większe niż w majoratach musiały być straty właścicieli prywatnych, jeżeli nie robiono im ustępstwa z obcięcia ⅕ czynszów, jeżeli znacznie więcej gruntów oddawali oni komornikom i bezrolnym. W tym stosunku straty ogółu właścicieli prywatnych, za które rząd nie zapłacił wcale, należałoby obliczyć na parę miljonów rubli. Ale wracajmy do rachunku majoratu Kościelnica. Wynagrodzenie za swoją stratę otrzymał właściciel jego w następujący sposób: został uwolniony od opłat specyalnych na rzecz skarbu w ilości 463 rb. 52 kop. tak zwanej kwarty, 481 rb. 12½ kop., przewyżki dochodów wyrachowanej z majoratu w 1835 r. nad pensyę za którą wzamian otrzymał majorat i 114 rb. tak zwanej 5% opłaty za przeprowadzenie staraniem i kosztem rządu oczynszowania włościan, razem zwolniony został z opłaty skarbowi 1059 rb. 57 kop. Strata jego pozostała zatem równą jeszcze 550 rb. 95½ kop.

Upatrzył sobie właściciel majoratu Kościelnice folwark rządowy Grzybki 202 m. 15½ p. dający dochodu z dzierżawy 293 rb. 56 kop.. i dostał ten folwark w cenie dzierżawy, ponieważ zaś to niewystarczało, przeto za resztę straty 257 rb. 39½ kop. dostał dział lasu skarbowego w leśnictwie Turek. Przestrzeń tego lasu nie została podana. Nie była ona bodaj Komitetowi znana. Wypadło właścicielowi majoratu porozumieć się z leśniczym leśnictwa Turek, a mógł sobie wykroić lasu sporo, byleby dało się co pod-

ciągnąć pod szacunek 257 rb. 39½ kop., dochodu z lasu. Folwark został dodany w szacunku 29 rubli za morgę, las pewno też nie drożej.

Właściwie co do majoratu Kościelnica rachunek był mniej korzystny, niż co do innych. Straty wyrachowane były nie zbyt wielkie, a przytem większa część wynagrodzenia, jaka za nie przypadła, stanowiła umorzenie tego, co płacił właściciel skarbowi i nie wiele tylko dało się położyć na karb nowych gruntów i lasów. Innym właścicielom majoratów lepiej się powiodło.

Tak np. (§ 2714 Post. K. Urz.) właściciel majoratu Kupiska, z którego za włościanami przy uwłaszczeniu zostało 2867 m. 291 pr. i który bezrolnym dał tylko 150 morgów (razem włościanom dostało się 3016 m. 291 pr.), potrafił wyrachować strat na 4,475 rb. 69½ kop. czyli po 1 rb. 45 kop. z morgi włościańskiej, więcej znaczy, niż drugie tyle, co wynosiło wynagrodzenie likwidacyjne. Dostał on zaś w zamian za tę stratę 4 folwarki rządowe, obszaru 1423 mórg i lasu w szacunku dochodu rocznego około 2800 rubli. Gdyby wszyscy właściciele prywatni otrzymywali takie wynagrodzenie za uwłaszczenie, jak właściciel majoratu Kupiska, to by okazało się, że skutkiem uwłaszczenia strasznie by się wzbogacili, bo by się ich grunta więcej niż podwoiły. Rachunek majoratu Kupiska najlepiej dowodzi, że to nie był żaden rachunek, ale zwykły... rozbiór gruntów publicznych na korzyść jednostek. Że naciąganie wyliczenia strat zdarzało się nieraz, dowodzi tego osobne zdanie Koszelewa (§ 660 Post. Kom. Urzędu tom VI). „W gubernji Augustowskiej przy nadawaniu majoratów rachowano dochód z czynszów dwa razy mniejszy niż ten, jaki się później okazał w rzeczywistości, skutkiem tego właściciele majoratów nic nie tracą przy uwłaszczeniu, gdyż dostają w procentach od listów likwidacyjnych więcej niż wynosiły te czynsze, które im w 1835 r. porachowano.“ Dochód z propinacyi Koszelew uważał za właściwe rachować podług 1835 r. a nie 1864 r. Dążył on przeto do zmniejszenia wspomożenia właścicieli majoratów sekundując w tem Arcimowiczowi. Wpływy jednak właścicieli majoratów umiały przezwyciężyć te i różne inne trudności.

W ten sposób właściciele majoratów osiągnęli szczególny przywilej wspomożenia pieniędzmi, gruntem i lasem ich—właścicieli magnackich fortun w tej dobie, gdy dochowywała się reforma włościańska, która na całym świecie, a szczególnie w Królestwie, polegała na uszczuplaniu fortun wielkich z korzyścią włościan. Właściciele majoratów uzyskali ten przywilej pomimo, że nie przynieśli żadnych zasług państwu, z którego łaski się bogacili, że nie

odpowiedzieli zadaniom nadania 1835 r. i pomimo, że zasadniczym artykułem prawa nadającego majoraty (w 1835 r.) było, iż właściciele ich *nie mogą się domagać od rządu wynagrodzenia za straty w dochodach*. Zamiast wynagrodzenia otrzymali hojne wspomożenie.

Poczynając od 10 lipca (28 czerwca) 1866 r. spotykamy całą litanję nadań folwarków i lasów skarbowych w postaci wspomożenia właścicieli majoratów. W ten sposób do 27 (15) czerwca 1870 roku wydano zapomogi 92 właścicielom majoratów. Otrzymali oni ogółem 96 folwarków, lub części folwarków oraz 30 działów leśnych, większa część otrzymywała po jednym folwarku lub działku leśnym, niektórzy jedno i drugie, nieliczni po parę folwarków. Przestrzeń folwarków wynosiła przeważnie od 200 do 400 morgów. Folwarki większe szły częściami tylko jako wynagrodzenie właścicieli majoratów. W pośród 92 właścicieli majoratów w ten sposób wspomożonych dla poparcia rosyjskiego elementu w kraju, 35 miało nazwiska niemieckie.

Gdy zaczęto w ten sposób szafować folwarkami skarbowymi, okazało się wkrótce, że zabrakło takich, któreby dogodnie były dla właścicieli majoratów położone. Znaleźli oni i na to sposób. Zwrócili uwagę, że folwarki poduchowne suprymowane często lepsze są od rządowych oraz bywają dogodniej położone. Komitet wnet na ich pragnienie okazał się czułym. Postanowił dnia 26 (14) grudnia 1866 r. upoważnić komisyę rządową finansów do wyznaczenia suprymowanych folwarków oraz lasów, jako wspomożenie dla właścicieli majoratów.“ Motywował on to swoje postanowienie w następujący sposób: „ponieważ skarb Królestwa przyjąwszy do swego rozporządzenia majątki suprymowane zobowiązał się wydawać na utrzymanie duchowieństwa sumy określone podług budżetu corocznego, przeto niema zasady do robienia jakiejkolwiek różnicy między majątkami suprymowanymi a innymi rodzajami majątków skarbowych.“ Zapomniał najwidoczniej w końcu 1866 r. Komitet o tem, że Ukazy 1864 i 1865 o urządzeniu duchowieństwa katolickiego w Królestwie wyraźnie przeznaczały dla bezrolnych te majątki poduchowne, któreby nie były sprzedane, jako nie nadające się do rozdania bezrolnym. Jeżeli co do folwarków skarbowych można było to samo powiedzieć, że były one przeznaczone dla bezrolnych, to w każdym razie trzeba było wziąć pod uwagę, że takie przeznaczenie tych folwarków było tylko ubocznie wytłómaczalne, a nie bezpośrednio. Co do gruntów skarbowych rząd obiecywał, że bezrolnym dawać będzie grunty z majątków skarbowych, ale nie że im je rozda

całkowicie. Co innego z gruntami poduchownemi: one bezpośrednio i wyraźnie były przeznaczone dla bezrolnych, a jednak poszły na wspomożenie i powiększenie majoratów.

Teraz zrozumiemy dlaczego z dóbr poduchownych zaraz po ich przejęciu przez Komitet Urządzający zostały oddane dla bezrolnych tylko działki niżej 90 morgów, a wszystkie folwarczki, powyżej 90 mórg, zostały zarezerwowane.

Postanowienie Komitetu Urządzającego z dn. 26 (14) grudnia 1866 r. doczekało się w dniu 24 (12) marca 1867 r. sankcyi w postaci Rozkazu Najwyższego.

Zarówno w postanowieniu Komitetu Urządzającego z dn. 26 (14) grudnia 1866 r. jak i w Rozkazie Najwyższym z dn. 24 (12) marca 1867 r. jest mowa nietylko o wspomaganiu majoratów istniejących, ale i o tworzeniu nowych. Myśl o nich bowiem w roku 1866 znajdowała się w pełnym rozkwicie i częściowem urzeczywistnieniu. Kiedy się ona zrodziła, trudno dociec. Na razie po Ukazach 1864 r. nikt nie mógł inaczej patrzeć na grunty skarbowe, tylko jak na takie, które mają się z czasem dostać w ręce włościan bezrolnych, gdyż taką była wola Najwyższa, by tych włościan kosztem skarbu obdarzyć gruntem. Ale gdy z samego początku, już w połowie 1864 roku stwierdziliśmy zwlekanie z nadawaniem gruntów skarbowych, szukanie nowych pretekstów i powodów, by zredukować obietnice do granic minimalnych, musimy wywnioskować, że zaraz po Ukazach 1864, a lepiej powiedziawszy naraz po ostatecznem zgnębieniu powstania w połowie 1864 r. musiała zrodzić się myśl u nowych zdobywców kraju do otrzymania hojnej nagrody. Przykład był w 1835 r. dany. Zachętą służyć mogło to, z jaką łatwością rząd zgodził się na wspomożenie dawnych właścicieli majoratów; dla czegoż więc nie miałby się zgodzić na utworzenie nowych. W rzeczy samej, jak wiemy już w 1865 r. były nadane na własność majątki skarbowe dwom generałom. Narazie były to tylko czysto sporadyczne wypadki. Ale Ukazem 21 (9) marca 1866 r. zostało zapowiedziane tworzenie nowych majoratów. Dnia 20 (8) marca 1866 r. dodano jednemu właścicielowi majoratu nowy majorat z całych czterech folwarków do poprzednio przez niego posiadanego; 3 lipca (21 czerwca) 1866 r. drugi otrzymał w zamian za mniejszy majorat Przytuły w łomżyńskiem większy, Elżbiecin, w marjampolskiem. „Z uwagi na zasługi ojca i w nagrodę za pracę na służbie rządowej.“ Dnia 17 (15) lipca 1866 r. właściciel majoratu Ludwinów dostał 2 nowe folwarki za to, że „w czasie ostatniego powstania polskiego wyświadczył ważne usługi państwowe w uspokojeniu kraju.“

W tymże czasie generał, który w 1862 r. 25 (13) czerwca dostał majątek Chełm, otrzymał w dodatku jeszcze 2 folwarki za to, że położył zasługi „podczas największego rozwoju powstania z narażeniem życia.“

Wszystko to były dodatki do majoratów. Ale tego samego dnia 17 (5) lipca 1866 r. zostały ustanowione i nowe również majoraty, tak samo jak w 1835 r. w zamian za pensyę; utworzono ich narazie 7-em. Dnia 31 (19) lipca nadano na pełną własność Tuchołce w zamian za pensyę cały klucz majątków. Ogółem w 1866 r. w nagrodę za zasługi wobec rządu podczas powstania rozdano 12 osobom 64 folwarki i 3 działy leśne. Z osób obdarowanych 9 miały nazwiska niemieckie.

W 1867 roku Ukazami 21 (9) marca 1 i 7 maja, (19 i 25 kwietnia) oraz 15 (3) listopada, otrzymało jako majoraty 191 folwarków 22-óch dygnitarzy, głównie członków Komitetu Urządzającego i inych cywilnych reformatorów Królestwa. W pośród nich niemieckich nazwisk spotykamy już mniej niż w pierwszej grupie, gdyż tylko 7. Jeden Milutin dostał 22 folwarki prócz lasów.

W 1868 roku Ukazami z dn. 6 lutego (25 stycznia) 7 maja (25 kwietnia) 21 (9) maja, 19 (7) lipca 9 sierpnia (28 lipca) 5 października (23 września) i 19 (7) listopada zostało obdarzonych 36 dygnitarzy, z których jeden dostał własność (Kierbedź za most) a 35 majoraty. Temiż samemi aktami, dodano grunta 4-em jeszcze właścicielom majoratów. Ogółem rozdano w 1868 r.—243 folwarki. Wśród obdarowanych spotykamy 19 nazwisk niemieckich, zatem znów znaczną większość. Dobra skarbowe były już prawie całkowicie rozchwytane.

W 1869 r. dn. 29 (17) września, utworzono już tylko jeden nowy i ostatni majorat dla prezesa Banku, nadając mu 11 folwarków. Ogółem rozdano w 1866—69 roku w nagrodę za usługi rządowe, 509 folwarków rządowych 71 dygnitarzom wojennym i cywilnym, z których 36 czyli więcej niż połowa z nazwiskami niemieckimi. Prócz 509 folwarków obdarowani otrzymali działy lasów skarbowych na dodatek dla zaokrąglenia. Otrzymywali oni te majętności w zamian za pensye oznaczone od 1500 do 5000 rubli. Mniej więcej za 1 rubla pensyi darował rząd z górą po morgu gruntu lub lasu. Pensye, za które w zamian zostały rozdane folwarki, wynosiły 159,200 rubli, a prócz tego wiele folwarków było rozdawanych nie w zamian za pensyę, lecz dodatkowo za szczególne usługi.

Obdarowanie dygnitarzy dobrami skarbowemi było bardzo hojne. Jeżeli porachować nowe majoraty, a również i dodatki za

uwłaszczenie włościan, otrzymamy liczbę 605 folwarków, nie licząc przestrzeni leśnych, które przeszły w ręce setki urzędników, co stanowiło ogółem około 240,000 morgów z gruntów folwarcznych skarbowych, i około 75,000 m. dóbr poduchownych, razem 315,000 m. gruntów nie licząc lasów, a z lasami około 350,000 mórg. Tymczasem Komitet Urządzający w 1866 roku w postanowieniu swojem z dn. 23 (11) czerwca, rachował tylko 50,000 mórg na wspomożenie majoratów za uwłaszczenie, co się sprawdziło mniej więcej i tylko 70,735 m. dla nowych majoratów. Nie spodziewał się, że przez cały czas w 1867 i 68 roku będą się one tworzyły nieustannie ze wzmagającą się pożądliwością, aż póki nie brakło folwarków—dających się połączyć w klucze, bo o pojedyńcze folwarczki nie dbano.

Wyrachowanie nadawania folwarków rządowych w zamian za pensyę, odbywało się z niezmiernemi ulgami. Postanowieniem z dn. 19 (7) lutego 1867 r. Komitet Urządzający stanowił, by z powodu podniesienia podatków gruntowych przy nadawaniu majoratów odrachowywać od dochodu z dzierżawy podniesienie wysokości podatków, które sięgało aż do połowy czynszu dzierżawnego, chociażby dzierżawca nie zmniejszał wcale swojej tenuty i gotów był płacić sam zwiększony podatek. W ten sposób wprost Komitet rachował folwarki dwa razy taniej niż wypadało, podług taniego już niezmiernie szacunku, bo dzierżawy były od dawien dawna ustanowione i łatwo było je zwiększyć. Tę ulgę swoją dla nowych majoratów Komitet objaśniał potrzebą dania ich właścicielom środków na wypadki spowodowane urządzeniem majątków. Była to zupełna fikcya, a nie żaden istotny powód. Postanowieniem z tegoż dnia Komitet stanowił i sankcjonował wniosek głównego dyrektora finansów, by przy wyznaczaniu w majoratach lasów, normę ich doprowadzać do $^1/_3$ a nie do $^1/_5$ jak to się działo na mocy prawa z 1836 roku. Wiemy również, że dla zaokrąglenia kluczów majorackich, nowo tworzonych, włączono do nich dobra poduchowne. W ten sposób tworzenie majoratów czyli wynagrodzenie urzędników wojskowych i cywilnych gruntami rządowymi, to jest skarbowymi i poduchownymi, w rozporządzeniu rządu będącymi, stało się owym wszechpotężnym czynnikiem, który podciął u podstaw akcyę uroczyście zapowiadaną i przyobiecaną nadania gruntów rządowych włościanom polskim, zostawiając dla nich jedynie skrawki i mało wartościowe działki. Cała treść i wartość majątków skarbowych dostała się w ręce setki dygnitarzy zasłużonych wobec Państwa, przez co pozbawiono setkę tysięcy rodzin bezrolnych możności posiadania własnego zagona.

IV.

Widzieliśmy, komu dostały się w 1866 — 69 roku folwarki i grunty skarbowe, obiecywane w latach 1864 — 66 ludności bezrolnej w dziesięciu aktach prawodawczych. Widzieliśmy, jak już w 1865—1866 r. coraz więcej powstawało zastrzeżeń, gdy o urzeczywistnianiu przyrzeczeń 1864 r. była mowa.

Starano się niby to ochronić interesy skarbu i kultury i bardziej cenne majątki zachowywano w całości, wyłączając je od podziału między bezrolnymi. Poznaliśmy istotne przyczyny tej przezorności, ujawnianej w 1865 — 66 r. przy urzeczywistnianiu obietnic rządowych wobec ludności bezrolnej: rezerwowano setki najpiękniejszych majątków, i setki tysięcy morgów najlepszego gruntu w Królestwie, by zamiast w ręce bezrolnych włościan polskich dostały się one w ręce zasłużonych rosyjskich działaczów państwowych.

Zatrzymaliśmy się na roku 1866 w przeglądzie aktów, tyczących się nadania gruntów bezrolnym, teraz możemy iść dalej w rozpatrywaniu odpowiednich dokumentów w latach 1867—1870.

W roku 1867 znajdujemy przedewszystkiem wykaz (§ 915) ostateczny z dn. 17 (5) stycznia, sporządzony przez komisyę finansów i zaakceptowany przez Komitet Urządzający, gdzie podane zostało, wiele ostatecznie gruntów z pośród ogółu dóbr skarbowych może się dostać bezrolnym. Wykaz ten miał służyć, jako podstawa dla odpowiedzi na napomnienie, dane z Petersburga Komitetowi Urządzającemu w Rozkazie Najwyższym dn. 2 września (21 sierpnia) 1866 r., by nadanie gruntów bezrolnym oprzeć na bardziej stanowczych i szerszych podstawach. Nie różni się jednak ten wykaz prawie wcale od poprzednich wykazów. Oto jego wyliczenie gruntów skarbowych nadających się dla ludności bezrolnej:

1) osady, które pozostały w lasach po nadaniu gruntów straży leśnej	6,664	m. 260	pręt.
2) odpadki z lasów rządowych	7,140	„ 229	„
3) folwarki rządowe	14,146	„ 135	„
4) działki lasu nadające się do rozdania bezrolnym po wycięciu lasu	12,494	„ 66	„
5) grunty i folwarki poduchowne	9,110	„ 73	„
6) grunty robotników górniczych	5,606	„ 282	„
Razem . . .	40,446	m. —	

Z pośród tej ilości tylko 14,146 m. było folwarków skarbowych, resztę folwarków wiemy już, że skrzętnie oszczędzano, by starczyły dla nadania w postaci majoratów. Przytem komisya finansowa zaznaczała w swoim wykazie, że w 5 folwarkach rządowych i 27 poduchownych znajdują się zabudowania ocenione na 51,944 rb. 56 kop., które powinny być sprzedane z licytacyi. Bezrolni mieli więc otrzymywać grunt bez żadnych środków i materyałów budowlanych.

Pomimo, że ten wykaz jawnie wskazywał na to, iż nadanie gruntów skarbowych bezrolnym najwidoczniej staje się fikcyą, Komitet Urządzający nie zawahał się jeszcze raz wygłosić swoich zamiarów szerokiego nadania gruntów wszystkim bezrolnym, nie wyłączając proletaryatu miejskiego

Oto co czytamy w postanowieniu z dn. (16) 4 lipca 1867 r.: „o osiedleniu na gruntach skarbowych obywateli miejskich nieposiadających środków.“ § 1. „Przy podziale gruntów skarbowych i poduchownych między bezrolnymi przekazać komisyom włościańskim, by miały również na widoku obywateli miejskich, nieposiadających własności zabezpieczających ich byt i niezajmujących się rzemiosłem lub zatrudnieniem, któreby dawało im pewne środki do życia.“

Czyż takie postanowienie nie stwierdza zamiaru, by w kraju całym wszystkich zaopatrzyć w grunt, o ile bezrolny nie ma kapitału lub nie zajmuje się handlem, przemysłem lub rzemiosłem. Szkoda tylko, że miała być ta reforma socyalna dokonana w świadomości posiadania w tym celu zaledwie 40,000 morgów, czyli 0.2% całej przestrzeni kraju.

Co prawda, na tych 40,000 morgach nie poprzestano. W 1868 r. 7 lutego (26 stycznia) Komitet (post. 1,630) zatwierdził nowy wykaz gruntów skarbowych dla bezrolnych obszaru 366 m. 59 prętów, dodając charakterystyczne wyznanie: „Komitet uznał za niemożliwe przystąpić obecnie do sporządzenia ogólnych podstaw nadania majątków skarbowych bezrolnym.“ A zatem jeszcze w początkach 1868 r. Komitet przypuszczał, że majątki skarbowe mogłyby być nadane bezrolnym, uznał jednak za niemożliwe zająć się sporządzeniem odpowiednich ku temu przepisów. Wyznanie to swoje Komitet poprzedza jeszcze bardziej charakterystycznym wstępem: „chociaż tym sposobem Rozkaz Najwyższy z dn. 2 września (21) sierpnia st. st. 1866 r. (o nadaniu gruntów skarbowych bezrolnym) nie zostanie w zupełności wykonany.“ Więc Komitet rozumiał, że przeznaczenie dla bezrolnych 40,000 m. i dodanie 366 m. do tej liczby nie stanowi wykonania Rozkazu Najwyższe-

go. I jakież podaje objaśnienie tego: oto, że „ma na widoku przedstawione Komitetowi przez głównego dyrektora finansów z dn. 16 (4) lipca 1869 r. plany sprzedaży majątków skarbowych.“

Dość co prawda naiwnie w 1868 r wygląda ten wzgląd na plan sprzedaży majątków skarbowych. Przecież w 1868 r. już ogromna ilość majątków skarbowych została nadaną właścicielom majoratów, a więc nie plan sprzedaży, ale plan rozdania urzędnikom stał na przeszkodzie Komitetowi w spełnieniu Rozkazu Najwyższego z dn. 21 sierpnia. I jakim to sposobem mógł przeszkodzić urzeczywistnieniu tego Rozkazu Najwyższego plan dyrektora finansów, poprzedzający ten Rozkaz. Stwierdzić przeto możemy, że sprzedaż majątków skarbowych, jako przeszkoda dla nadania ich bezrolnym, została użyta przez Komitet nieszczerze. Faktem pozostaje, że już w 1868 r. (styczniu) Komitet odstąpił od myśli nadania gruntów skarbowych bezrolnym w szerszym i właściwym zakresie, a powód istotny tego odstąpienia od spełnienia obietnic i Rozkazów Najwyższych było to rozdawanie dóbr skarbowych w postaci majoratów.

Gdy w ten sposób interesy bezrolnych zdawały się już prawie całkowicie zaniedbane w początkach 1868 roku, widzimy nowy korzystny dla włościan bezrolnych zwrot w przebiegu nadawania im gruntów: spotykamy cały szereg drobnych uzupełnień przestrzeni przeznaczonych dla bezrolnych. Z pośród dóbr poduchownych, głównie poparafialnych, zaczęto częściowo przeznaczać dla bezrolnych nietylko majątki poniżej, ale i powyżej 90 morgów.

Osobnym Rozkazem Najwyższym z d. 15 (3) kwietnia 1868 r. (§ 1,896) poleconem zostało mianowicie Komitetowi z Petersburga: „przyspieszyć nadanie gruntów poduchownych możliwie największej liczbie bezrolnych.“ Zdawałoby się zatem, że przynajmniej w Petersburgu istniały jakieś stałe zasady, dobroczynnie dla włościan naszych wpływające. Ale, niestety, i to było ułudą. W tymże Rozkazie Najwyższym czytamy: „a jeżeli pozostaną ziemie, które mogą być przeznaczone na sprzedaż, to przekazuje się Ministrowi Finansów, by sporządził plan sprzedaży ich *wyłącznie Rosyanom w celu zrusyfikowania (obrusienja) kraju.*“

Pierwszy to dowód stwierdzający, że w polityce agrarnej w Królestwie rząd stawiał sobie wyraźny cel: „rusyfikacyę,“ do której jawnie się przyznawał. Dla nadania gruntów bezrolnym wskutek przypomnienia Rozkazu Najwyższego z dn. 15 (3) kwietnia 1868 r. znalazł Komitet już w 1869 r. (28 marca—9 kwietnia) zaledwie 4,340 m. dóbr poduchownych. A tymczasem wyznaczono na sprzedaż drogą licytacyi z prawem kupna wyłącznie Rosya-

nom 50 majątków poduchownych (poklasztornych) ogólnej przestrzeni 11,817 morgów.

O tem, że ogromna większość dóbr skarbowych nie szła ani dla bezrolnych, ani nawet na sprzedaż, lecz tylko na tworzenie i powiększanie majoratów, Komitet Urządzający wcale jakgdyby nie wiedział oficyalnie. Co prawda, był on postawiony w dość drażliwe położenie: członkowie Komitetu sami dostali wspaniałe majątki z pośród dóbr rządowych, które obowiązani byli przyznawać bezrolnym. To też nie tylko, że Komitet Urządzający nie sprzeciwiał się nadawaniu folwarków skarbowych na majoraty, ale on to właśnie wyjednał Sankcyę Najwyższą z dn. 24 (12) marca 1867 r. dla swojego postanowienia z dn. 26 (14) grudnia, o przeznaczanie na tworzenie majoratów folwarków poduchownych powyżej 90 m. przestrzeni. Na mocy tego 75,000 z górą morgów poduchownych gruntów weszło w skład majoratów. Zanosiło się na to, że wszystkie grunty poduchowne i skarbowe, które nie przeszły w ręce włościan do 1867 roku, staną się własnością kandydatów na właścicieli majoratów. Gra była tak jaskrawa, że nie mogła nie zwrócić uwagi Komitetu dla spraw Królestwa Polskiego w Petersburgu. Zaznaczony Rozkaz Najwyższy z dnia 15 (3) kwietnia 1868 r., będąc sankcyą postanowień tego Komitetu, poprzedzony był wstępem, rzucającym jaskrawe światło dokumentu urzędowego na politykę agrarną po 1864 roku.

Komitet do spraw Królestwa zastanawiał się na posiedzeniu 26 marca 1868 r. nad tem, że projektowane przez Namiestnika w Królestwie Polskiem dalsze tworzenie majoratów grozi skarbowi pozbawieniem go źródeł niezbędnych dla przeprowadzenia likwidacyi uwłaszczenia włościan. Stwierdza Komitet, że chociaż do 1867 roku rachowano na dochód ze sprzedaży dóbr skarbowych w ilości 2,040,000 rubli, „w rzeczywistości dochodu tego nie było wcale.“ Widocznem było zatem, że od samego początku wyższe władze w Królestwie nie myślały o sprzedawaniu dóbr skarbowych, lecz o stworzeniu z nich majoratów. Komitet przewiduje jednak, że pewno i reszta majątków skarbowych pójdzie na majoraty, „jeżeli na to zezwoli Jego Cesarska Wysokość.“ Czyni więc Komitet jedynie zastrzeżenie co do dóbr poduchownych. Co do nich ostrzega Komitet, że „rozdanie tych majątków (na majoraty) wywarłoby niekorzystne dla rządu wrażenie.“ Przypomina dalej, że „94,272 rodziny bezrolnych nie dostały wcale gruntu.“ „Najjaśniejszy Pan raczył z samego początku reform w tym kraju przyznać, że nadanie bezrolnym gruntu jest jednym z najistotniejszych środków dla zaprowadzenia w nim

istotnego porządku. Wykonania tej Woli Najwyższej oczekują bezrolni włościanie Królestwa."

Czyż powyższe słowa nie są wielkiej wagi dokumentem historycznym. Władza kierująca sprawami Królestwa, ale oddalona od rządowych ośrodków na miejscu przyznaje, że w 1868 r. *we 4 lata po Ukazie aż 94,000 rodzin oczekuje na wykonanie Najwyższej Woli.* Oczekuje napróżno — bo stanęło na drodze do jej urzeczywistnienia tworzenie majoratów. Komitet ostrzega, że te majoraty nie odpowiadają widokom rządu: „Utworzenie majoratów nie doprowadziło do powiększenia stałego osiadłego elementu rosyjskiego. Z pośród 128 osób, które od 1835—66 r. otrzymały majoraty, tylko 19 mieszka w swoich majątkach w Królestwie. Komitet nie spodziewa się pożytku i od nowych 300 majoratów, które Namiestnik miał na widoku utworzyć głównie z dóbr poduchownych."

Z powyższej cytaty przekonywujemy się, że 71 nowych majoratów, utworzonych po 1864 r. były tylko cząstkowem urzeczywistnieniem wielkiego planu utworzenia ich w ilości 300. Zabrakło dla nich gruntu. Komitet Urządzający nie protestował przeciw takiemu rozdrapywaniu dóbr skarbowych, mających wyraźne przeznaczenie, którego wykonania Komitet Urządzający obowiązany był dopilnować. Jedynie Komitet do spraw Królestwa Polskiego, gdy co prawda już było trochę zapóźno, wystąpił z częściowem ograniczeniem zamiarów Namiestnika co do nadawania majoratów nietylko z dóbr skarbowych, ale i poduchownych. Do wiosny 1868 r. już wiele, bo około 75,000 m. dóbr poduchownych oddano na majoraty. Ale protest Komitetu do spraw Królestwa nie wyszedł, jak widzieliśmy, na prawdziwą korzyść włościan polskich. Z gruntów, które się nie dostały w ręce majoratów narazie tylko 4,340 m. otrzymali bezrolni, a 11,817 m. przeznaczonych zostało dla osób pochodzenia rosyjskiego dla rusyfikacyi kraju, reszta oczekiwała jeszcze na swoje przeznaczenie. Komitet do spraw Królestwa Polskiego demaskując akcyę zaboru dóbr skarbowych kosztem interesów skarbu, kosztem praw i nadziei ludności bezrolnej, kosztem niewykonania Woli Monarszej i bez pożytku nawet dla państwowości rosyjskiej, nie stanął na gruncie istotnych zadań reformy agrarnej, gdyż dołączył do tych zadań cel rusyfikacyi kraju przez sprzedaż reszty gruntów osobom wyłącznie pochodzenia rosyjskiego. Oczywiście reszta okazała się większą od tej części gruntu, która odpowiadała głównemu zadaniu.

Z jednej strony zatem rzesza działaczów, grupujących się około Namiestnika, z drugiej urząd wyższy, (Komitet do spraw

Królestwa) świadomy celów agrarnej reformy, ale nie umiejący się wywyższyć po nad cele ciasnej polityki nacyonalistyczno-państwowej, w pośrodku Komitet Urządzający, zdemoralizowany udziałem członków jego w rozchwytywaniu dóbr narodowych—oto czynniki, od których zależały interesy 94,000 rodzin bezrolnych, niezaspokojonych wcale skutkiem reformy 1864 roku, a mających rozbudzone poczucie prawa do gruntu na mocy całego szeregu aktów urzędowych. W 1869 roku Komitet Urządzający zajęty był urządzeniem bezrolnej ludności na gruntach poduchownych, które ocalały skutkiem interwencyi Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, od rozdania na majoraty. Rok 1870 zeszedł jeszcze na tem samem. Sprawa nie szła łatwo: roszczących prawa do gruntu była moc wielka, gruntów liczba szczupła, chęć urwania, by zostało co się tylko da na sprzedaż ulgową osobom pochodzenia rosyjskiego—największa.

W 1871 roku 13 (1) lipca wyszły przepisy o sprzedaży w Królestwie Polskiem, gruntów będących w zarządzie skarbu i zastrzeżono w nich wyraźnie, że grunty skarbowe, które przeszły w zarząd skarbowy (poduchowne i poklasztorne), które nie zostały nadane bezrolnym lub sprzedane (§ 1), będą sprzedawane z licytacyi (§ 2), ale tylko osobom pochodzenia rosyjskiego (§ 3) i odstępowane być mogą następnie tylko osobom rosyjskiego pochodzenia (§ 20), a kupno ich zostaje w ten sposób ulgowo zorganizowane, że nabywca płaci tylko $^1/_{10}$ część gotówką, a resztę rozkłada mu się na 4% i 2% amortyzacyi.

Jasnem jest, że gdyby na tych warunkach do kupna tych dóbr dopuszczono włościan polskich, jak to pierwotnie w 1864 r. Komitet wyraźnie zapowiadał, to by wszystkie te grunta, przez nich rozkupione były.

Ogólny rezultat reformy agrarnej 1864 r. w stosunku do ludności bezrolnej został przedstawiony w tomie XVII Postan. Komitetu Urządzającego (str. 44): „o skutkach nadania gruntu bezrolnym.“ Komitet stwierdził, że do 1 października 1869 r., kiedy reforma była już prawie całkowicie przeprowadzona, otrzymało grunt 200,419 rodzin bezrolnych. Z pośród tej ilości dostało grunt na zasadzie przyznania im prawa do określonego gruntu, mianowicie komorników i służby folwarcznej w majątkach prywatnych 108,232 rodzin, a w majątkach skarbowych 16,187 rodzin. Właściwie zatem ta liczba 124,419 rodzin została uznana przez prawo z 1864 roku za małorolnych i nie może być zaliczoną do rzędu ludności, którą prawa z 1864 r. uważając jako bezrolną, niemniej gruntem obiecały obdarzyć.

Dostało grunt nie mając prawa do określonego gruntu tylko 76,242 rodzin, z tego ogromna większość, bo 54,441 rodzin dostało grunt z pośród pustek folwarcznych, stanowiących własność prywatną, niegdyś zajmowanych przez włościan i skutkiem tego od folwarków z powodu Ukazów 1864 r. odejmowanych, a tylko 21,801 rodzin dostało grunt w dobrach skarbowych i poduchownych. Stwierdzał jednak Komitet, że zostało jeszcze dla nadania bezrolnym gruntu 53,185 m., z czego 1,134 m. prywatnych pustek, co starczyło, licząc po 3 morgi dla 17,728 rodzin (z tego na pustki prywatne przypada 378 rodzin).

Ponieważ zaś Komitet zaznaczał, że próśb o nadanie gruntów posiadał niezaspokojonych 93,361, więc dla 75,633 przewidywał, że zupełnie braknie gruntu. Z pośród próśb o grunty było ze wsi 80570, a z miast (i osad) 12,691. Podług kategoryi Komitet rozróżniał w porządku mających pierwszeństwo: we wsiach, osób, które ucierpiały za wierność rządowi 174 (najwięcej w piotrkowskiej gub. 79, najmniej w siedleckiej... ani jedna), żołnierzy wysłużonych 8,605, komorników w majątkach majorackich, niezaspokojonych 3,447 i reszty bezrolnych 68,344. W miastach było osób, które ucierpiały za wierność rządowi 58 (najwięcej w kaliskiej 16), żołnierzy 3,435, innych 9,298. Sądząc podług tych kategoryi należy jedną z nich wyłączyć z rachunku ludności ściśle bezrolnej, to jest komorników majorackich. Widzieliśmy, że w majątkach prywatnych, a nawet skarbowych, uznani oni zostali za małorolnych. Jeżeli w majątkach majorackich nie otrzymali gruntu, tylko w zamian za to nadano im grunty z dóbr skarbowych, to był to zasiłek skarbu dla właścicieli majoratów, a nie zasiłek dla włościan, którym się grunty należały. O ile by zatem plan Komitetu Urządzającego z 1 października 1869 roku był do końca wykonany, mielibyśmy 54,819 rodzin obdarowanych z pustek folwarcznych, 35,698 rodzin obdarowanych z gruntów skarbowych i poduchownych i 127,866 rodzin uznanych za małorolnych.

Plan ten jednak nie został wykonany w całości. W sprawozdaniu z 1870 roku, stanowiącem dodatek do zbioru Rozporządzeń Rządowych, tyczących się Komitetu Urządzającego widzimy, że do 1 stycznia ilość osad bezrolnych na gruntach skarbowych i poduchownych zwiększyła się już z 21,801, jaką widzieliśmy 1 października 1869 r. do 24,991, ale jednocześnie zaznaczono, że z pośród ziem przeznaczonych dla bezrolnych, których wyrachowano jeszcze więcej niż w 1869 roku, mianowicie około 60,000, znaczna liczba jest jakoby niezdatna do osiedlenia. Oczywiście, że ta niezdatność, było to kwalifikowanie tych majątków na

sprzedaż — osobom pochodzenia rosyjskiego. Ogółem gruntów skarbowych: poduchownych i nie stanowiących majątków, sprawozdanie z 1870 r. wyznaczało dla bezrolnych ilość 125,051 morgów, a majątków urządzonych poduchownych 51,127 morgów. Ostatnia ta kategorya była w znacznej części, jak wiemy, uratowaną przez Komitet do spraw Królestwa od nadania w postaci majoratów, ale też nie poszła przeważnie dla bezrolnych, lecz tylko na sprzedaż osobom pochodzenia rosyjskiego.

Ze sprawozdania Komitetu 1 stycznia 1870 roku wypada, że bezrolni otrzymali i mieli otrzymać 154,960 morgów. Dane zaś generała Anuczyna za 1873 podają tę ilość na 158,097 m. Przyjmujemy ostatnią cyfrę, jako większą i późniejszą. Generał Anuczyn rozróżnia w tej cyfrze 117,017 m. ziem poduchownych i 41,080 m. gruntów skarbowych. Na tej przestrzeni podaje generał Anuczyn 42,344 osad po 3,7 m. na osadę. Ponieważ widzieliśmy, że było 3,447 rodzin komorników majorackich, którym wypadło dać grunt skarbowy w postaci ulgi dla właścicieli majoratów, przeto odejmując tę ilość otrzymamy ilość bezrolnych rodzin, które istotnie dostały grunt skarbowy lub poduchowny, nie mając do tego praw, w ilości 38,897 osad i 145,343 m. gruntu w tem skarbowego 28,326 m.

Ponieważ na 1 października 1869 widzieliśmy przy 93,361 niezaspokojonych podaniach o grunt łącznie z majorackimi komornikami, liczbę 21,801 osad bezrolnych na gruntach skarbowych i poduchownych, przeto dane z 1873 roku, wykazujące ilość tych osad o 20,543 więcej, wskazywałyby na ilość 72,818 próśb, które będąc podane do 1 października 1869 r. wcale już nie zostały zaspokojone. Przy 38,897 prośbach zaspokojonych na gruntach skarbowych i poduchownych daje to *procent niezaspokojenia 65% przy 35% zaledwie zaspokojonych.*

Te 35% zaspokojonych zostało kosztem głównie (80%) dóbr poduchownych, a tylko w małej części kosztem majątków skarbowych, które po za tem, co się dostało komornikom majorackim, poszły w znacznej większości na tworzenie majoratów. Na ten ostatni cel poszło 275,000 m. dóbr i lasów skarbowych, a tylko 28,326 m. na korzyść istotnie bezrolnej ludności; z tego wiemy, że stanowiło pustki 11,768 m., tak, iż śmiało powiedzieć można, że z dóbr skarbowych włościanie bezrolni dostali tylko odpadki Z dóbr poduchownych, których rząd objął w posiadanie 243,000 m. na tworzenie i dopełnienie majoratów poszło około 75,000 m., dla bezrolnych 117,000 m. i około 50,000 m, na sprzedaż ulgową, osobom pochodzenia wyłącznie rosyjskiego. Etat departamentu dóbr

państwa podaje na 1909 r. liczbę gruntów poduchownych w Królestwie, które zostały sprzedane osobom pochodzenia wyłącznie rosyjskiego na 26,311 dziesiatyn, czyli około 50,000 morgów. Ilość gruntów skarbowych i poduchownych, które poszły na tworzenie majoratów, wyrachowaliśmy na około 350,000 m., bezrolni otrzymali około 150,000 m. Ogółem przeto *z gruntów, które były w rozporządzeniu rządu, dla włościan poszło 27% na sprzedaż dla osób pochodzenia rosyjskiego 13% a na majoraty 60%*. Owe *65% niezaspokojonych*, a zupełnie prawnie powstałych podań o grunt, objaśnia się zupełnie naturalnym sposobem: przeznaczeniem *73% gruntu, należącego się bezrolnym—dygnitarzom i urzędnikom rosyjskim, bądź w postaci majoratów, bądź w postaci ulgowej sprzedaży.*

Rząd otrzymawszy, skutkiem reform kościelno-religijnych, do swego rozporządzenia znaczny fundusz gruntowy i mając również poważną ilość gruntów skarbowych, nie zrobił z niego tego użytku, do jakiego się zobowiązywał, ogłaszając i przeprowadzając reformy agrarne, oraz reformę kościelną. Z gruntów poduchownych znacznie więcej oddał na majoraty i sprzedał osobom wyłącznie rosyjskiego pochodzenia mianowicie 125,000 m. niż dał włościanom polskim gruntów skarbowych—28,326 m.

Te grunty, które rząd dał włościanom, dał im bez zasiewów, inwentarzy i zabudowań. Co było na gruncie, budynki lub las, sprzedawał z licytacyi. Właścicielom majoratów oddawał folwarki zagospodarowane. Dobra poduchowne, które więcej były warte, sprzedał osobom wyłącznie rosyjskim, choć obiecywał początkowo, że i włościanom polskim sprzedawać będzie grunty i choć włościanie nasi chętnieby do kupna stawali.

Ideowość socyalna stanowiła drobny zaledwie ułamek w wykonywaniu reformy 1864 roku. Nie wiele stanowiły również interesy państwowe rosyjskie. Natomiast górował nad wszystkiem interes działaczy miejscowych, którzy 73% gruntów, przeznaczonych przez wolę Najwyższą dla bezrolnych, zagarnęli w swoje ręce.

Gdy szło o grunty prywatne, reformatorzy byli, jak to widzieliśmy, dla włościan naszych hojniejsi. Przyświecała im wówczas idea, którą znajdujemy w pierwszem sprawozdaniu urzędowem Komitetu w 1864 roku. „Jak świadczą wszystkie komisye, nazwę Polaków prosty naród stosuje do powstańców, buntowników z pośród szlachty i wogóle do innych stanów, ale nigdy do włościan. I to nietylko w słowach, ale w istocie rzeczy prosty naród widocznie zalicza siebie wszystkiemi swojemi uczuciami

do innego narodu (nacyi), a nie do tego, który do tej pory nazywał się Polską."

Radykalizm socyalny reform 1864 r., nie mając istotnie twórczych pobudek, nie mając na widoku tworzenia dobra społecznego dla narodu polskiego, nie umiał się zdobyć na zwykłą bezinteresowność ze strony działaczy rządowych. Przeciwnie, pozwolił, by nawet wbrew interesom państwa pozostawiono 73,000 bezrolnych rodzin włościan niezaspokojonych, a pobudzanych do podawania próśb i posiadania nadziei. Z tych 73,000 przypada na ludność osad około 12,000 a na ludność wiejską 63,000 rodzin. Obie kategorye ludności stanowiły ludność gmin wynoszącą, licząc tylko po 4½ osób na rodzinę, około 300,000 osób ludności, która pozostała pomimo reform 1864 r. bezrolną, a nie 2 0,000, jak to podają uczeni rosyjscy.

Ludność ta miała przyobiecane grunty rządowe w proklamacyi Namiestnika z dn. 6 marca (23 lutego) 1864 r. uroczyście ogłoszonej łącznie i na równi z Ukazami 2 marca (19 lutego) 1864 r. Obietnice te instrukcya Komitetu Urządzającego z dn. 7 kwietnia (26 marca) 1864 r. polecała powtarzać i wpajać w ludność wykonawcom Ukazów, członkom komisyj włościańskich. Rozkazy Najwyższe z dn. 3 marca (20 lutego) 1864 r. nazajutrz po Ukazie z dn. 8 listopada (26 października) 1864 r. 20 (8) grudnia 1865 r. 26 (14) grudnia 1864 r.; 2 września (21 sierpnia) 1866 r. i 15 (3) kwietnia 1868 r., a zatem sześć Rozkazów Najwyższych polecało nadawać bezrolnym grunty skarbowe i poduchowne, przypominało o tem, by użyć środki stanowcze w tym celu, by oprzeć się na szerszych zasadach, by czynności przyśpieszyć—wszystko napróżno.

Rozkazy zresztą same były zbyt ogólnikowe, zbyt niewyraźne, by mogły zwalczyć siłę czynników zainteresowanych. A ostatni z tych Rozkazów osłabiał swe znaczenie reformatorskie wysunięciem naprzód zadania rusyfikacyi, którem się zasłaniali ci, co się tym Rozkazom Najwyższym sprzeciwiali. Względy rusyfikacyi naszego kraju podkopywały z gruntu moralną politykę agrarną rządu po 1864 roku. Przedewszystkiem jednak polityka ta została podporządkowana interesom reformatorów, którzy ze szkodą skarbu rosyjskiego i bez pożytku dla państwa, co stwierdził Komitet do Spraw Królestwa Polskiego w Petersburgu dn. 3 (15) kwietnia 1868 r.—wyrządzili ciężką krzywdę naszym włościanom bezrolnym.

Władysław Grabski.

W połowie sezonu.

(Kronika teatralna).

Cały sezon letni teatrów warszawskich miał piętno tej twórczej niemocy, która już od lat kilku potokiem banalności zalewa sceny europejskie. Wloką się zwichnięte skrzydła muzy dramatycznej po piaskach teatralnego rzemiosła, słychać pokrzyki kramarzy literatury, przemawiających do tłumów z kreciego pagórka sprytu i mierności, a jeżeli naprawdę czasem iskra poezyi zamigoce w mrokach, to za mało w niej ognia, aby rozgrzać dusze ludzkie, łaknące wielkich płomieni. Takie drobne iskierki zapłonęły nam w sztuce Dreyera „Na progu młodości," ale z Ibsenowskich zrodziły się natchnień. Takie świętojańskie robaczki rozsute są także w dramacie duńskiego autora Michelisa p. t. „Wesele w czasie rewolucyi," lubo o tryumfie teatralnym tej „pièce a ficelles et à grand effet" rozstrzygała raczej tęsknota do mocnych barw, do pióropuszów bohaterstwa, do wielkich namiętności i wielkiego gestu. Już od wielu lat ten głód romantyczny dokucza ludzkości, a gdy zabraknie Rostanda, który uderzy w pieśń mocarną o ludziach-półbogach, tłum słuchać gotów w zachwycie nawet małej piosenki o plebejuszu-żołnierzu, co zakochany w pięknej patrycyuszce, za jedną godzinę szału zdradzi swój sztandar, a potem z uśmiechem obnaży piersi przed rotą mścicieli. Niech tylko w takim dramacie szumi las proporców, niech tylko huczy „Carmagnola," niech płonie świt rewolucyi, niech wśród wielkich grzechów, wielkich ukochań, wielkich nienawiści pląsa wielka śmierć.

Tragedyami pół-uczuć i pół-słów znużeni są ludzie oddawna. Nudzi ich melancholia gobelinów wyblakłych i mistyczna męka

dusz, w niewoli zagadkowej potęgi. Wolą szkarłat jutrzni, niż zmierzchowe cienie, wolą zdrowy krzyk barbarzyńcy od zmęczonego szeptu schyłkowca, wolą pioruny burzy lipcowej od cichego płaczu jesieni, wolą bajkę o waligórach, niż prawdę o mękach półludzi i podludzi.

I oto dlaczego duński dramat Michelisa, dramat małego poety, ale echo romantycznej tęsknoty, olśniewał tłumy nietylko w ojczyźnie autora, lecz na bruku Berlina, Wiednia i u nas. A kto wie, czy ta sama tęsknota nie była jednem ze źródeł tej radosnej ekstazy, którą publiczność warszawska powitała później, z początkiem zimy, fragment „Złotej czaszki“ Słowackiego i jednoaktowy dramat Wyspiańskiego „Sędziowie.“

*

* *

Był to szczególny wieczór w Teatrze Rozmaitości, gdy „Złota czaszka“ przemówiła do nas. Po raz pierwszy ze sceny warszawskiej!

Przed dwoma laty zdawało się wszystkim, że t. zw. „konstytucya rosyjska“ pozwoli nam przynajmniej czcić publicznie wieszczów narodowych. Mniemano, że skoro „stary kurs“ zgodził się na postawienie pomnika Mickiewiczowi, lubo w ciszy cmentarnej pomnik ten pogrążył, to „nowy kurs“ nie ośmieli się, choćby dla zachowania jakich takich pozorów liberalizmu, rzucić policyjnego „nie lzia“ społeczeństwu, pragnącemu w roku jubileuszowym Słowackiego zbudować jakiś ołtarz poecie i przed nim wyśpiewać swą miłość dla „Króla-ducha“ narodu. Zawiązano tedy, wzorem innych dzielnic Polski, komitet i snuto marzenia o teatrze im. Juliusza, o wzorowem wydaniu dzieł jego, o cyklu odczytów, wyjaśniających świętą tajemnicę jego twórczości. Wszyscy rozumieli powagę chwili i w gronie komitetowem nie było nikogo, ktoby wielką modlitwę w kaplicach sztuki chciał zbanalizować i strywializować fajerwerkami płytkiej a hałaśliwej demonstracyi. Ale i modlitwa, uroczyste skupienie dusz, zogniskowanie serc i umysłów w czci dla polskiego poety wydało się władzom robotą „polityczną“ nieprawomyślnych inorodców. Odmówiono tedy komitetowi legalizacyi i udaremniono wszelkie zabiegi, aby zbiorowym hołdem społeczeństwa uświęcić rok jubileuszowy. Trochę

artykułów o księgach poety w dziennikach, kilka przygodnych odczytów i nowe, bardzo staranne, ale raczej popularne, niż naukowe wydanie dzieł Słowackiego — oto wszystko, czem Warszawie czcić pozwolono wielką rocznicę.

Więc, gdy Teatr Rozmaitości fragmentem „Złotej czaszki“ rozpoczynał sezon zimowy, było to coś więcej, niż urok nowego widowiska, co tłumy wiodło tam, gdzie przemówić miał do nich Słowacki. Szła do teatru pokrzywdzona duma narodu i pokrzywdzona tęsknota. Ludzie marzyli, że choć w muzyce oklasków wyśpiewają swoją miłość i swój ból. A gdy kurtyna zapadła, przez długie minuty nikt nie opuszczał sali teatralnej. Tłum stał i czekał. Jakby wierzył w cud. Jakby za chwilę miał się zjawić przed rampą duch Słowackiego i błogosławić ludziom i ziemi.

Ale cudu nie było. Tylko w duszach grały ostatnie słowa poety:

„I usłyszysz, jak puka do ściany nieszczęście.“

A tam za kurtyną pozostał dręczący znak zapytania. Jakiś jęk bez słów, którego znaczenia nikt odgadnąć nie umie. W pośmiertnych papierach Juliusza nie znaleziono bowiem żadnej wskazówki, jaki koniec tragedyi wyśniła dusza poety, jakie to gromy uderzyć miały w „chorągwiany dworek“ krzemienieckiego strażnika, gdzie płacze „jasna kolęda w przyćmionej piekarni,“ gdzie

... Bogarodzica
W promieniach zorzy trzymająca głowę
A stopy dzierząc na srebrze księżyca,
Na dom jasnością piorunową biła
I z ponad starych lip błogosławiła.

Przerwana pieśń. A słabą tylko pociechą jest hypoteza Małeckiego, że „Złota czaszka“ istniała w całości i że znajdą się może kiedyś zgubione sceny dramatu. Wszak w całej puściźnie literackiej Słowackiego niema żadnego śladu, któryby ustalił prawdopodobieństwo tego domysłu; wszak w żadnym liście poety niema najlżejszej nawet wzmianki o dokończeniu, a choćby tylko o pracy nad rozwinięciem pomysłu dramatycznego, i cała hypoteza opiera się, o ile mnie pamięć nie myli, na zewnętrznym charakterze rękopisu, wywierającego takie wrażenie, jakby był tylko częścią większej całości. Sam zresztą fragment ma wszystkie znamiona improwizatorstwa kompozycyjnego i dorywczości pobieżnej, znamiona pierwszego rzutu i szkicu, który później dopiero miał być architektonicznie skupiony i poddany artystycznej ko-

rekcie. Dość wskazać układ VI obrazu, który swą brulionową niedbałością wyłącza wprost przypuszczenie, że mógł być w swem opracowaniu czemś więcej, niż notatką, którą dopiero po skończeniu tragedyi poeta zamierzał artystycznie rozwinąć i uporządkować. Cały zresztą fragment ma tylko charakter drobnych kamyków, z których z czasem powstać miała piramida dramatu. A że wśród tych kamieni są perły przedziwnego blasku, że nawet w tym materyale szkicowym płoną słońca, pachną róże i biją dzwony polskie, to tylko jest nowym dowodem, że u Słowackiego nawet w negliżu twórczym przemawia potęga geniuszu.

Musiała to być zresztą osobliwa chwila natchnienia, w której wyśnił się poecie dramat „Złotej czaszki.“ Musiała to być jedna z tych godzin twórczości, w których duch pławi się w słońcu i gwiazdy strąca z błękitów, a gdy lot zniży do ziemi, to prawie nieświadomie dotknięciem skrzydeł piasek zamienia w kryształy. Przecież w tych okruchach niedośpiewanej tragedyi są nowe, prawie nieznane w innych dziełach Słowackiego walory artyzmu. Przecież tam nietylko żywi są ludzie dramatu i nietylko płoną brylanty najcudniejszej liryki, lecz żyje epoka, żyje historya, żyje dusza narodu. W żadnej tragedyi Słowackiego środowisko sztuki niema takiej intensywności wyrazu, jak we fragmencie „Złotej czaszki.“ To zaledwie połowa, może nawet tylko uwertura wielkiej kompozycyi, a jednak wszystko: i dwór strażnika krzemienieckiego, i sejmik na cmentarzu, i nieudana impreza żaków wojowniczych, i klasztor, i karczma żydowska, jest niby mistrzowskiem streszczeniem chwili dziejowej, mikrokosmem Polski z czasów Jana Kazimierza. Wielka sztuka wielkiego poety jest w tem malowidle.

I nie dziw, że właśnie ten fragment obudził tęsknotę współczesnego pokolenia, aby snuć dalej melodye pieśni przerwanej. Niemal równocześnie pojawiły się dwie próby dośpiewania krzemienieckiego dramatu. Jak niegdyś Laube dokończył Szyllerowskiego „Dymitra,“ jak Mien usiłował dorobić zakończenie „Horsztyńskiego“ i uzupełnić luki w zdefektowanym rękopisie, tak obecnie German we Lwowie spowiada się w publicznej prelekcyi, w jaki sposób zamierza rozwinąć akcyę „Złotej czaszki“ z ułamkowych motywów Słowackiego. A i w Warszawie znalazł się jeden z pisarzów starszej generacyi, który przedstawił Dyrekcyi teatrów próbę odcyfrowania twórczej tajemnicy, zamkniętej w genialnym fragmencie.

Pomysły Germana znane mi są tylko ze sprawozdań dzienników galicyjskich, więc nie mam odwagi mówić o nich na wiarę

cudzych wrażeń, ale „dokończenie“ warszawskie czytałem w rękopiśmiennym oryginale, więc mam chyba prawo zwrócić się do autora i kierowników teatru z przestrogą, aby tym eksperymentem nie psuli nam wspaniałego, pomimo swej fragmentaryczności, dramatu Juliusza. Prócz zręcznego naśladownictwa formy Słowackiego, która istotnie kopiowana jest wybornie, — co zresztą należy do zjawisk dość pospolitych w twórczości poetów współczesnych—niema tam nic, co przypominałoby potęgę wyobraźni Juliuszowej. Przeciwnie, linie kompozycyi i rozwój charakterów mają wszystkie znamiona pretensyonalnego dyletantyzmu w najgorszym rodzaju. Sfałszowano ducha, sfałszowano fantazyę Słowackiego i byłoby wprost bluźnierstwem kończyć Bogarodzicową pieśń „Złotej czaszki“ tą „Modlitwą dziewicy“ à la Bondarzewska.

Niech raczej zagadka pozostanie zagadką. W zachwyceniu słuchał przecież tłum tej czarodziejskiej pieśni, a Rapackiemu dość było okruchów wielkiej wyobraźni poety, aby w roli krzemienieckiego strażnika stworzyć z nich arcydzieło charakterystyki, skąpane w blaskach poezyi. Była to przedziwnie głęboko odczuta postać powiatowego dygnitarza, rycerza i domowego despoty. Trochę gracz sejmikowy, trochę karyerowicz, ale przedewszystkiem rycerz chorągwiany, wyrastający w olbrzyma, gdy wymawia słowo „Ojczyzna!“

*

* *

A drugi tryumf wielkiej poezyi w bieżącym sezonie teatrów warszawskich, to „Sędziowie“ Wyspiańskiego.

Losy tego pisarza na scenie naszej są dziwne. Z Krakowa szły ku nam oddawna płomienne manifesty, zwiastujące narodziny „proroka.“ Gdy otwierano po raz pierwszy bramy teatru nowego w grodzie Jagiellonów, stanął u bram jego jakiś śpiewak młody, którego nazwiska już dzisiaj nie pomnę, i mówił o tęsknocie sztuki polskiej do nowego słońca poezyi, mówił o geniuszu, który da początek renesansowi piękna polskiego. „Któż jest? Niechaj wstanie!“

A w kilka lat później powiedziano nam, że powstał. Szły do nas z Krakowa echa „Wesela,“ niby zwiastowania święte. Ten i ów z ludzi naszych pojechał, aby sprawdzić „cud,“ i wracał

blady, jakby zajrzał w oczy objawieniu. A młodzi poeci mówili o Wyspiańskim tak, jak się mówi w kościele do Boga. Szeroka publiczność udawała oczywiście, że podziela ekstazę krakowską, ale w rzeczywistości nie znała wcale dzieł zakazanego u nas poety, lub znając go tylko z książek, nie wyczuwała wcale utajonego w nich piękna i podrwiwała nawet po cichu z „hieroglifów“ nowego proroka.

Nareszcie zgodziła się cenzura na wystawienie u nas „Wesela,“ źle powiedziałem: porwanych strzępów „Wesela.“ Po amputacyach cenzorskich z dramatu pozostała ruina, z której uleciał niemal cały duch Wyspiańskiego. I stało się to, co stać się musiało. Ludziska wypełnili salę Teatru Małego po brzegi, ale Wyspiański pozostał dla nich księgą o siedmiu pieczęciach.

Za urywkami „Wesela“ poszedł „Bolesław Śmiały“ na scenie Teatru Wielkiego. I znowu publiczność była bezradną. Dano jej jeden ze słabszych dramatów poety, dano jej olbrzymią wizyę, której wielkość zmieścić się nie mogła na prokrustowem łożu teatru, skarlała i zdziwaczała po drodze do sceny. Narodziła się przecież z wyobraźni genialnej, która nieraz szamotała się bezsilnie w tragicznej walce idei i formy. Poezya jej tęskniła do malarstwa, malarstwo do muzyki. Gdyby tak można zaślubić wszystkie sztuki dla jednego dzieła! W całym Wyspiańskim jest ta dążność do kojarzenia różnorodnych wyrazów piękna, aby nic nie uronić z ogromu natchnienia. A gdy trzeba się wyrzec tej uniwersalności, gdy trzeba się skupić w dramacie i literackimi środkami wyzwalać światy z chaosu fantazyi, wtedy powstaje nieraz wielkie dziwactwo i wysilona sztuczność, źle maskująca niemoc potężnej, potężniejszej niż zdolność wyrazu artystycznego, indywidualności.

Takim dramatem jest „Bolesław Śmiały,“ a gdy w dodatku zaklęte w nim, mimo wszystko, płomienie natchnienia zgaszono w zabójczym szablonie warszawskiego aktorstwa, publiczność zaczęła się niecierpliwić i urągać głośno „kapliczce krakowskiej.“ Na domiar złego w owym czasie właśnie kapliczkowi lewici i arcykapłani zamienili kult Wyspiańskiego w niesmaczny i chwilami operetkowy prawie fetyszyzm, piętnując mianem świętokradcy każdego, kto odważył się bez derwiszowej egzaltacyi analizować twórczość poety. Ten rodzaj krytyki miał wprost charakter literackiego teroru i nie dziw, że obudził pewien bunt w opinii, która znowu prawem kontrastu skłonna była do bardzo drastycznego i zgoła nieusprawiedliwionego akcentowania swej negacyi. I czas był zaiste najwyższy, aby zapobiedz dalszemu nieporozumieniu. Wystawiono „Sędziów“ i... pogodzono Warszawę z Wyspiańskim.

Aczkolwiek w kołach młodej literatury objawia się tu i owdzie skłonność do upatrywania najwyższego wyrazu Wyspiańszczyzny *sub specie aeternitatis* w innych dramatach tej niepospolitej indywidualności — w „Legionie“ i „Wyzwoleniu,“ — mnie się jednak wydaje, że dusza greckiej tragedyi, przez którą Wyspiański w „Sędziach“ zamienił dość pospolity melodramat karczmy żydowskiej w jakieś mistyczne objawienie Boga na ziemi, niema, obok „Klątwy,“ nic równie oryginalnego i potężnego w całej literaturze dramatycznej ostatniej doby.

Czyż mam opowiadać treść sztuki? Zajrzyjcie do kronik sądowych, a znajdziecie takich dramatów tysiące. Natan, syn bogatego karczmarza, uwodzi dziewkę, Jewdochę. Kazał jej zabić dziecko—zabiła. A potem przyszła i na nią kolej. Z ręki żydowskiego kochanka, który marzy o żonie z posagiem, ginie od kuli niewygodna Jewdocha.

I oto z tej prostej, brutalnej, jak samo życie, fabuły powstał poemat o przedziwnej woni, wstrząsające misteryum winy i kary, zaślubiny nieba i ziemi. Temat melodramatyczny, przepojony Ajschylesowym tragizmem i rozśpiewany mistyczną fantazyą ludu polskiego, wzniósł się z prozaicznego padołu dokumentów ludzkich na obłoczne szczyty, gdzie drzemie wielka tajemnica i wielka pieśń. Życie zamienia się w ogromną poezyę symbolów. Stary karczmarz, co rękę syna pcha do zbrodni podwójnej, to miazga złego, to zło. Stary włóczęga, co puka do drzwi przeklętego domu, to puszczyk, kraczący po nocach, to śpiew ponury Eumenid, to szepty Boga-mściciela. A Joas, młodszy syn karczmarza, żydowskie chłopię, co grą skrzypcową rozmawia z gwiazdami i słyszy pełzanie nieszczęścia, to kara i dym ofiarny, pokuta i odkupienie. On wyrzekł straszne słowa przed sądem: „Tam winowajcy!“ — i wskazał ojca i brata. On złamał się, jak łamie się kwiat liliowy, w burzy tego wyznania. On trupem legł u stóp rodzicowych i trupem krzyczy: Oto przez śmierć moją pokarany i przebudzony jesteś. Jam ci był wszystkiem, jedynym uśmiechem aniołów i ukochaniem jedynem, a teraz idę od ciebie, aby stało się zadość sprawiedliwości wiecznej i abyś ty był odkupion.

Naprożno zbrodniarz przekleństwem uderza w niebios wrzeciądze:

Mnieś zabrał dziecko moje!
Jahwe! Jahwe!
Mój skarb u moich stóp.
Przysięgi Twoje — kłam!
Przecz-żeś przysięgał nam,

Że ziemi władztwo dasz.
Ty Bóg!—Ty był nasz!
A oto walisz Twe proroki
I bijesz syny!

Napróżno wszystko! Już bunt się łamie, już gną się kolana przed świętą zagadką i w ogromnej skrusze słychać jęk powalonego szatana, że „ogniów strasznych łuna krwawa w sumieniu światłem łyska.“ A w tej godzinie pokuty i odrodzenia cała scena zamienia się w ogromną modlitwę,—modlitwę bez słów, modlitwę wspaniałego witrażu, w którym malarz wyręcza poetę. Zastygli wszyscy. Tylko dziad stary, co na ścianach domu rył Baltazarową przestrogę, czołga się w pokutniczej ekstazie na klęczkach do konającej Jewdochy i słychać dzwonek kapłana, który niesie utajonego w hostyi Chrystusa.

Przedziwny dramat! Zapatrzony w głębie dusz ludzkich i dobywający z nich świetną syntezę psychologii rasowej żydostwa obok tajemnicy chłopskiej wiary i chłopskiej żywiołowości, a przytem dzwon, zawieszony na mlecznej drodze, u tronu Niewiadomego.

Biografowie poety zapewniają, że dzieło to powstało o świcie jego twórczości i hypoteza ta jest bardzo prawdopodobna, bo „Sędziowie“ mają wszystkie znamiona wielkiej, zdrowej, nie wykolejonej jeszcze i poszarpanej przez chorobę późniejszą indywidualności. Znać również, że ten dramat, skazany zrazu przez kaprys Wyspiańskiego na wieczne milczenie, a później dobyty z ukrycia, był przygotowany dla druku i sceny w gorączkowym pośpiechu przez dogorywającego już prawie poetę. Inaczej nie sposób sobie wytłómaczyć, że w dziele tak harmonijnem i tak silnem w ekspresyi dramatycznej znalazła się jedna scena, zaledwie naszkicowana i nawet w spojeniach kompozycyjnych wadliwa. Mówię o trybunale sądowym, który w ślad za zbrodnią Natana wkracza do karczmy żydowskiej i szuka winowajców.

Oczywiście znaleźli się oślepli w swej adoracyi Wyspiańskiego komentatorzy, którzy i ten martwy punkt wielkiej tragedyi usiłowali nietylko obronić, ale wprost narzucić opinii, jako objaw najgłębszego i najsubtelniejszego artyzmu. „Wyspiański—tłómaczono z pozą wtajemniczonych — dał nam z całą świadomością „maryonetkowy“ trybunał, aby nie skazić brutalnym realizmem poezyi swojego symbolu.“ Ale całe nieszczęście w tem, że te „kukiełki“ psują właśnie całą poezyę i całą grozę dramatyczną momentu. Mniejsza już o to, że nikt ich nie wołał i że wyrastają bezpośrednio po strzale Natana, jakby z pod ziemi, co wobec rea-

lizmu samej zbrodni, przygotowanej w naszych oczach z rafinowanym sprytem rutynowanych łotrzyków, jest trochę irytujące, ale, co najważniejsza, cała ta „maryonetkowość“ śledztwa sądowego, która niby ocalić miała pieśń przed najściem życia, wywiera raczej wrażenie niedołężnej kopii tego życia, niż nastrojowego symbolu. Wobec królewskości całego poematu szczegół ten ma niewątpliwie znaczenie podrzędne, ale jest on niezmiernie charakterystyczny dla pewnego typu krytyków derwiszowych, traktujących dzieła Wyspiańskiego niby księgi Koranu.

*

* *

Tak tedy na scenie warszawskiej po raz pierwszy zwyciężył Wyspiański. Zwyciężył nietylko potęgą swojej poezyi, lecz siłą i harmonią wyrazu teatralnego. A tem charakterystyczniejsza była ta premiera, że wskutek równoczesności innych widowisk dramatycznych, zabrakło dla sztuki Wyspiańskiego wielkich solistów. Dla publiczności warszawskiej, przyzwyczajonej do popisu aktorów-wirtuozów, było to oczywiście złą wróżbą. Spoglądano z pogardą na afisz. I stara gwardya aktorów miała również drwiące uśmiechy. Nie wierzono, aby bez gwiazd teatralnych można z „Sędziów“ wydobyć grozę tragedyi.

A jednak premiera Wyspiańskiego była jednym z najpiękniejszych wieczorów w dziejach sceny warszawskiej. Nie olśniewał nas żaden z firmowych aktorów, za którym tłumy szaleją, ale gromadka średnich artystów zamieniła się pod doskonałą batutą Śliwickiego w świetną orkiestrę dramatu. Nie stanął przed nami żaden Kamiński, który mówi: „Sztuka jest dla mnie a reszta aktorów jest tylko świtą mojego kunsztu,“ ale dźwięczała wielka orkiestrowa symfonia, w której nie zawiódł żaden skrzypek, żaden flet i żadna waltornia. Poeta był panem, a sługą legion aktorów. I w takiem wykonaniu dzieło przemówiło silniej, niż w bengalskich ogniach solowego wirtuozostwa, do których od dawien dawna przyzwyczaiła nas scena warszawska.

I „Sen nocy letniej“ Szekspira, który przez 20 lat wypoczywał w szafach bibliotecznych a zbudził się dopiero na zawołanie nowego dramaturga teatru, przemówił do nas czarem melodyj baj-

kowych i srebrnym śmiechem dziecięcej pustoty. Zrozumiano nareszcie pod wpływem Reinhardtowskich wzorów, że to wyśnione przez poetę królestwo Oberona i Tytanii nie ma nic wspólnego z szablonem dawnych dekoracyj i że byłoby grzechem uwięzić ten cud fantazyi w rzemieślniczych oprawach doby minionej. Zrozumiano, że las Ardeński Szekspira to nie park w Ujazdowskich Alejach, a chałupa, w której Pigwa kształci tkaczy i kotlarzy angielskich w sztuce aktorskiej, to nie karczma cechowa z warszawskiego przedmieścia. I oto wszystko stało się bajką, czemś poza życiem i czemś ponad życiem. Śpiewała scena. Drzewa szeptały tak, jak owa brzoza legendowa, która Pana Boga o srebrne liście prosi. Gaje, góry, kwiaty śniły o wielkoludach, smokach i czarownicach. Coś się w duszach ludzkich budziło, niby kołysanki prześnionej młodości, coś łkało i chychotało jak w starych zamczyskach, gdzie włóczą się duchy rycerzy.

I w sharmonizowaniu gry aktorskiej, w strojeniu wszystkich instrumentów na ton fantastycznej igraszki znać było zwycięską walkę z ową tradycyą teatralną, która w cudach nocy świętojańskiej, w czarach rozkwitającej paproci, w korowodach elfów i w szalonym śmiechu oślej głowy, przytulonej do piersi Tytanii, upatrywała tylko brawurowy temat dla baletowych efektów. Obecnie zrozumiano na szczęście, że choreografia nie może zastąpić poezyi szekspirowskiej, a lubo w nowym stylu znać jeszcze trochę klątwę przeszłości, wydobyto jednak ton głębszy i nie ścierano tak brutalnie, jak dawniej, złotego pyłu ze skrzydeł motylich fantazyi. Tylko dla roli Puka nie urodziła się jeszcze na scenie polskiej artystka. Naprawdę nie było jej nigdy. Jeden Puk trochę więcej fałszował poetę, drugi trochę mniej, ale żaden nie miał stylu Szekspira. Przed 20 laty grała to leśne ladaco Wisnowska i nie dała nic, prócz... trykotów. Obecnie gra je pani Lubicz-Sarnowska i daje znowu lichy surogat baletu. W interpretacyi „Snu nocy letniej“ pogłębiło się prawie wszystko, Puk tylko po dawnemu jest trykotową lalą.

Jakże tę rolę gra berlińska Eysoldt? W typie leśnego włóczęgi, ze słomą we włosach, z kapeluszem na bakier, w ubraniu niby ze skóry, niby z kory szarej. A huka po lesie, a gwiżdże, a skacze, jak dzikie zwierzątko. Z lasu jest rodem i mówi do nas rozpasaną swawolą, dzikim humorem, żywiołem.

Nie wiem, czy z artystów warszawskich ktokolwiek umiałby zagrać Puka w stylu Eysoldtówny, ale widziałem na scenach polskich indywidualności pokrewne, które eksperymentu tego podjąć

się powinny. Czas już najwyższy, aby zerwać nareszcie z fałszywą tradycyą, bo „Sen nocy letniej“ bez Puka, to tylko połowa Szekspira.

* * *

I jeszcze jeden „Sen“ widzieliśmy na scenie Teatru Wielkiego. To sen Hauptmannowskiej „Hanusi,“ która wprawdzie grywana była już dawniej w Teatrze Ludowym i przez trupę łódzką w „Wodewilu,“ ale teraz dopiero znalazła się w repertuarze sceny rządowej.

Powiedziano gdzieś, że są to „majaczenia chorego dziecka“ i zbagatelizowano zupełnie wielką poezyę miłosierdzia społecznego, utajoną w dramacie Hanusi, a stylizowaną jakby na wzorach szopki betleemskiej, jakby na złotem malowanych obrazach prymitywów z epoki gotyckiej. A przecież to miłosierdzie właśnie jest może najgłębszą i najszczerszą melodyą w całej twórczości Hauptmanna. Począwszy od „Wschodu słońca“ i „Tkaczów“ płynie ono niby z łez gorących utkana wstęga przez światy Hauptmanna i nawet tam, gdzie z wyschłej wyobraźni poety rodzą się już tylko papierowe dramaty, tworzy, niejako oazy w pustyni, klomby żywych, pachnących róż wśród martwych kwiatów z bibuły. Niema oczywiście w „Hanusi“ tej mocy dramatycznej, która w „Tkaczach,“ huczących wichrem rewolucyi, porywała tłumy. Niema ani przenikliwości, ani plastyki psychologicznej rosyjskich poetów nędzy, ale jest cicha łza Chrystusowa, spływająca w morza ludzkiej niedoli. Hauptmann był niewątpliwie pod wpływem obrazów Uhdego, gdy tworzył swoją „Hanusię,“ tylko styl jego ma więcej prostoty i legendowej naiwności. Od Uhdego wziął Chrystusa, który siada do wieczerzy z chłopem i robotnikiem współczesnym, ale skąpał całą scenę w dziecięcej naiwności, rozśpiewał ją nie filozofią wiary Chrystusowej, lecz melodyą kolędy, bajki, nowiny radosnej.

A grała ślicznie Hanusię pani Tekla Trapszo. Z rumieńcami chorej fantazyi i z cudną poezyą tęsknoty.

Tego samego wieczoru przypomniano nam także miniaturowy dramacik Banville'a p. t. „Gringoire,“ który chyba dlatego wygrzebano z archiwów teatralnych, że tytułowa rola jest prze-

pyszną kanwą dla sztuki aktorskiej i że zabroniła go niegdyś... cenzura. Z historycznego Gringoire'a nic prawie nie pozostało w dramacie parnasisty francuskiego, który w strój starego satyryka i pamflecisty ubrał własny ideał republikański i własną dumę poety. Wszystko, co obdarty śpiewak uliczny miota w twarz Ludwika XI, brzmi jak pieśń barykad i gilotyny, która dopiero w trzy wieki później strąciła głowę Ludwika XVI i Maryi Antoniny. Ale to Banvillowskie „in tyrannos“ ma dużo płomieni, i mogłaby nas ostatecznie piękna retoryka pogodzić z wystawieniem słabego zresztą dramatu na scenie stołecznej, gdyby poetę tłómaczył poeta. Ale cóż w polskim przekładzie pozostało z błyskawicowych blasków Parnasu francuskiego? Zgaszono język, strywializowano obrazy, koturny zamieniono w szczudła. Wydobyto z teatralnych schowków jakiś stary przekład mizernego rymopisa i nikt nie pomyślał o tem, że Polska ma cały legion poetów, którzy dla pięknego patosu Banville'a znaleźliby wielką muzykę słowa polskiego.

Sprawa przekładów teatralnych jest wogóle jedną z tych tradycyjnych bolączek sceny warszawskiej, z któremi od lat Bóg wie ilu walczy bezskutecznie cała krytyka poważna. Trudno wymagać od prasy codziennej, aby w gorączkowym pośpiechu pracy redakcyjnej podawała zawsze w tłómaczeniu wzorowem zapożyczone z cudzych dzienników informacye, ale co ostatecznie wybaczyć można warsztatom dziennikarstwa naszego, tego żadną miarą tolerować nie wolno w teatrze, który rości sobie pretensye do tytułu pierwszej sceny polskiej i który służyć ma wyłącznie kulturze artystycznej społeczeństwa. A jednak przekłady sztuk cudzoziemskich, grywanych w warszawskich przybytkach sztuki dramatycznej, są nieraz mniej niż literackie, mniej nawet niż poprawne, są poprostu drwinami ze zdrowego rozsądku. Możnaby cały kalendarz humorystyczny zapełnić cytatami z tych dziwolągów, w których np. niemiecki wyraz „Fischbein“ (fiszbin) tłómaczy się: „rybie nogi,“ a gdy autor francuski o romansującym z dwiema kochankami Donżuanie mówi złośliwie, zapożyczając się w języku rulety: „Il est toujours à cheval sur les deux tableaux,“ to tłómacz polski określa tę sytuacyę pomnikowemi iście słowami: „Kazał się na dwóch obrazach wymalować konno.“

Lecz dość już tej smutnej humorystyki! Na stanowisko kierownika literackiego teatrów warszawskich powołano nareszcie pisarza, mającego już dobre imię w literaturze polskiej. Mamy tedy prawo domagać się dziś energiczniej, niż kiedykolwiek, aby niezwłocznie zerwano z zasadą, że komiwojażerska znajomość

języków jest wystarczającą kwalifikacyą dla dragomanów „pierwszego teatru w Polsce.“ Warszawa posiada przecież mnóstwo dobrych literatów, którzy niezawodnie podjęliby się chętnie przekładów dla sceny warszawskiej. Chodzi tylko o to, aby w wyborze tłómaczów pamiętano zawsze o nieodzownem połączeniu talentu i kultury literackiej z dokładną znajomością języków, bo talent, który ciągle zaglądać musi do słownika, tworzy takie cudactwa, jak dzieła Ibsena w przekładzie Marrenowej, a znajomość np. francuzczyzny bez talentu literackiego, zdobędzie się co najwyżej na przekłady drewniane, których odstraszającą próbę pokazano nam w „Gringoirze“ Banville'a.

*

* *

Taki był plon *poezyi dramatycznej* w połowie warszawskiego „sezonu.“ Wszystko, co poza temi dziełami nosiło tytuł „premiery,“ należało raczej do *sztuki teatralnej*, która chwilami trącała może w struny poezyi, ale przedewszystkiem dążyła do wywołania wzruszeń więcej poziomych, do zręcznego odrysowania drobnych zatargów życia ludzkiego, do bawienia tłumów zajmującą intrygą, obserwacyą typów ludzkich, karykaturą, dowcipem, małą łzą i małym śmiechem.

Stanęli przed nami Jaroszyński i Krzywoszewski, dwaj spadkobiercy komedyi obyczajowej Francuzów, w których twórczości niema ani śladu prądów literackich ostatniej doby. Talentu ich nie wyniańczył ani Ibsen, ani naturalizm niemiecki, ani zasłuchany w szmery światów nieznanych i przeczuć zagadkowych Maeterlinck, ani nawet hypnotyczny erotyzm Przybyszewskiego. Są to epigoni Scribe'a i Sardou, a tylko czasem jakaś subtelność charakterystyczna w ich komedyowych portretach mówi nam o tem, że nowa sztuka epoki analitycznej musnęła ich swojem skrzydłem.

Są zresztą nietylko w ich artyzmie teatralnym, lecz i w psychologii indywidualnej rysy pokrewne, a przedewszystkiem wielka pobłażliwość dla słabości ducha ludzkiego. Obce im jest wszelkie rezonerstwo, obca pedagogia etyczna. Nie lubią moralizować, nie lubią potępiać. Uśmiechają się tylko łagodnie, bez zgrzytów Juvenalowych. Niema to oczywiście nic wspólnego z uskrzydlonym

kielichem miłosierdzia, który wznosi się wysoko w górze nad dramatami Gorkiego lub Hauptmanna. To raczej w całym stosunku do życia i ludzi niby leciutka Horacyuszowska ironia i pogarda — u Krzywoszewskiego więcej epikureizmu, u Jaroszyńskiego więcej smutku na zgliszczach wiary zagasłej. Tylko pierwszy z tych zbliżonych do siebie autorów posiada głębszą znajomość rzemiosła teatralnego, więcej temperamentu, łatwiejszy śmiech, zręczniejszą budowę. A nawet, gdy mu się łamią linie kompozycyi, gdy w układzie akcyi jakieś puste wyłoni się miejsce, ma zawsze w pogotowiu ładny ornament, aby zasłonić szczelinę.

Dziełem takiego stylu, takiego talentu i takiego kunsztu są „Aktorki“ Krzywoszewskiego, które tem większy zdobyły sobie rozgłos w Warszawie, że jeden z poważnych publicystów zaalarmował publiczność przestrogą, jakoby sztuka ta była apoteozą „ladacznicy“ a pognębieniem „uczciwej kobiety.“ O cóż więc chodzi w tej niemoralnej rzekomo komedyi? Kocha się Liski, poważny działacz narodowy, przyszły poseł do „Dumy“ państwowej, w Annie Miller, aktorce o nieco podszarganej przeszłości. Anna nie jest ani świętą, ani kurtyzaną. Etyki katechizmowej nie uznaje, obłudą burżuazyjną pogardza, ale nie utożsamia prawa do wolnej miłości z prawem do maskowanej tytułem aktorki prostytucyi. Zresztą teatr, jak teatr: rewir myśliwski, w którym artystka jest zwierzyną, a łowcami dyrektorzy, reżyserowie, koledzy, krytycy, bankierzy, oficerowie i Bóg wie kto jeszcze. Więc i Anna miała przyjaciela, może nawet kilku przyjaciół. A teraz kocha Liskiego. Nie była upolowaną, bo Liski nie jest... myśliwym. Zbliżył ich przypadek, połączyła miłość. Aktorka nie żąda niczego od swego kochanka. Żyje jak w mgle różowej, pono po raz pierwszy. Tamto było kaprysem, może koniecznością zawodową, to jest wielkiem kochaniem. Nie wstydzi się swojej miłości i swego oddania. Chciałaby powiedzieć wszystkim: On mój! Dałam mu duszę i ciało! — ale Liski każe jej milczeć. Pan poseł musi się liczyć z opinią swoich wyborców.

Zdarzyło się jednak, że w chwili, gdy Liski bawił w willi podmiejskiej u swojej kochanki, gromada bojowców socyalistycznych—rzecz dzieje się podczas rewolucyi ostatniej—przerywa mu słodką sielankę gradem kul browningowych. To odwet za manifest przeciwstrajkowy. Liski jest ranny. Anna pragnęłaby go zatrzymać w swym domu i pielęgnować kochanka, ale pan poseł nie chce się kompromitować i żąda stanowczo, aby go niezwłocznie przeniesiono do mieszkania siostry, wdowy po sybiraku, niewiasty wielce cnotliwej i pobożnej.

Wloką się długie tygodnie rozłąki. Anna napróżno kołata do drzwi zamkniętych Liskiego, przy których straż trzyma surowa pani Zuzanna. A gdy wreszcie podstępem wtargnęła do mieszkania, spotyka się z protestem cnoty burżuazyjnej, która wypędza z domu aktorkę. Oko w oko stają przeciw sobie brzydka westalka domowego ogniska i cygańska córa teatru. Pierwsza mówi o prawach etyki społecznej, druga o prawie miłości. Padają ostre wyrazy. Zuzanna krzyczy: Ladacznico! — Anna urąga, że cnota brzydkiej kobiety nie jest zasługą, bo nikt jej na pokuszenie nie wodzi. A gdy jej drzwi pokazują, zwraca się do kochanka z cichem, dyskretnem błaganiem. Teraz odczuła po raz pierwszy żelazną i okrutną rękę przykazań społecznych. Teraz zrozumiała różnicę między prawami żony i kochanki. Więc żąda od Liskiego rehabilitacyi. Żąda jej z lękiem zarumienionym, ostrożnie, nieśmiało. Lecz pan poseł milczy. Kocha, płonie, drży, ale niema odwagi powiedzieć: skoro wypędzili Annę Millerównę, zmuszę ich do uszanowania Anny Liskiej.

Chwila wielkiego bólu, a potem miłość aktorki umiera. Napróżno Liski szaleje z tęsknoty za utraconą kochanką, napróżno biegnie za kulisy teatru, aby błąd swój naprawić i Annę wieść do ołtarza. Zapóźno! Aktorka kochać przestała i nie przyjmuje... ofiary.

Zgoła niepojętą jest dla mnie rzeczą, jak w tej właśnie sztuce Krzywoszewskiego można było dopatrzeć się pohańbienia uczciwej kobiety i obrazy moralności publicznej. Samo starcie prawa społecznego z prawem indywidualności należy do tych kolizyj dramatycznych, z których wyrastały po wszystkie czasy najpiękniejsze kwiaty tragizmu, a zresztą zarysowane jest w „Aktorkach“ z taką właściwą Krzywoszewskiemu obojętnością, że za pobudkę bojową wcale uchodzić nie może. I dziwną jest także pretensya, że „jedyna uczciwa kobieta w sztuce“ jest „ośmieszona“ w polemice z podrażnioną aktorką. Smutny byłby los autorów, gdyby w swych koncepcyach artystycznych liczyć się musieli z pychą cnotliwców, uważających to za osobistą obrazę, jeżeli ktoś ośmieli się zapytać, czy posępny katechizm pani Zuzanny, cnota bez wdzięku, cnota bez dobroci jest naprawdę cnotą aniołów?

Inna rzecz jednak, czy ta walka dwóch światów, która stała się źródłem głośnej polemiki w prasie warszawskiej, ma naprawdę kształt artystyczny. Mówię: „naprawdę,“ bo Krzywoszewski ma tyle elektryczności teatralnej w żyłach, tak zręcznie suwa figurami na szachownicy scenicznej i tak ujmująco umie się uśmiechać, że szeroka publiczność ulega prawie zawsze urokowi jego

pomysłowości i temperamentu, nie zastanawiając się nad niedomaganiami wewnętrznej struktury. A przecież ani połączenie wielkich burz rewolucyi społecznej z małemi tragedyami życia zakulisowego aktorek nie jest szczęśliwie sharmonizowane, ani, co gorsza, w stosunku dwojga kochanków, niema dość bezpośredniości i żywego pulsu, aby dramat ten mógł nas głębiej zająć i wzruszyć. Jakaż to bezkrwista figura jest taki Liski, ten „porządny człowiek," który wiecznie buduje mostki między sercem, co krzyczy o miłość, a opinią, mandatem, karyerą. Spoglądając na tego filistra, myślałem o Helmerze z „Nory" Ibsenowskiej. Helmer i Liski należą do tej samej rodziny, ale jeden to portret z Rembrandtowskiej galeryi, drugi to tylko dobrze upozowany manekin.

Jest to wogóle rys charakterystyczny w twórczości Krzywoszewskiego, że najwięcej wyrazu mają zawsze w jego dramatach bohaterowie drugoplanowi lub epizodyczni. Tak było w „Edukacyi Bronki," tak było w „Przywódcy," tak jest i w ostatniej komedyi. Cała kolekcya doskonałych szkiców, a nad wszystkimi i nad całą sztuką króluje cygan-dziennikarz, nazwany Nieciuszko. Niegdyś, przed laty wyrastały mu skrzydła u ramion. Miał farysowe tęsknoty, miał w duszy płomień i pieśń. A potem wzięła go nędza, wziął go młyn dziennikarski i starł mu talent na miał. Wyschły mózg i serce przeżarte cynizmem, choć gdzieś na dnie tli się jeszcze iskierka ideału i czasem buchnie płomieniem, jak lampa, zanim zagaśnie! Związany z jedwabną spódnicą teatralnej kokoty wlecze się za nią bez woli, bez czci, bez ambicyi. Czasem karawaniarskim humorem broni się przeciw świadomości własnego spodlenia, czasem żachnie się w ostatnim odruchu samoobrony moralnej, a w końcu z tragiczną melancholią niemocy wraca do rynsztoka. Ten Nieciuszko ma nietylko plastykę głęboko odczutego typu, lecz cichą, jakby zabłąkaną zdaleka melodyę liryzmu. Prześliczna scena, w której chłopię szkolne czyta zmarnowanemu poecie jego młodzieńczy wierszyk o smutnem kochaniu i pyta się naiwnie, czy żyje jeszcze pan Nieciuszko, brzmi tak, jakby wróżka poezyi zapukała nieśmiało i cichutko do okienka teatru.

A jak mówiąc o „Aktorkach" Krzywoszewskiego, myśli się ciągle o zblakłym i zwiędłym Nieciuszce, tak mówiąc o „Sąsiadce" Jaroszyńskiego, powraca się zawsze do Eustachego. Bo cała sztuka, to tylko tło dla komedyowej demonstracyi jednej figury. Dla niej jest napisana „Sąsiadka," przez nią trzyma się na scenie i na niej opiera główne swe prawo do tytułu komedyi.

Sam pomysł sztuki jest dosyć szablonowy i szablonowe też rozwinięcie tematu. Oto pani Zofia pragnęłaby doświadczyć wier-

ności swego małżonka. Stefan jest poczciwym niedźwiadkiem. Architekt z zawodu, który od rana do nocy siedzi przy rajsbrecie!

Ale kto budzi licho, doczeka się licha. Naprzeciw okien architekta mieszka piękna odaliska. Gdyby tak zawiesić ją, jak glistę na wędce, i spróbować, czy ospałe karpisko pójdzie na taką przynętę?! Więc pani architektowa pisze wonny bilecik do pana architekta: Przyjdź! Czekam! Kocham Cię! Twoja... „Sąsiadka.“ Karp poruszył się niespokojnie, obejrzał sobie sąsiadkę i tak mocno chwycił zębami, że zawisł na haczyku i wisi. Katastrofa! Architekt szaleje, architektowa płacze, cały dom w ogniu i w gruzach.

Ale oto zjawia się pan Eustachy, kolega szkolny Stefana. Czem się zajmuje i z czego żyje, nikt powiedzieć nie umie. Pono się włóczy po Paryżu i czyha w kawiarniach na miłosiernych rodaków. Tu trochę pożyczy, tam trochę pofaktoruje — ot! ptak niebieski, typowe zjawisko wśród emigracyi paryskiej. Przybył i wietrzy. Rozwód w powietrzu — wybornie. Jednemi drzwiami wynoszą kufry pani Zofii, drugiemi drzwiami wnoszą walizę pana Eustachego. Pomieszka sobie, zje dobrze, wyśpi się porządnie, a w końcu, jak przystało na dżentelmana, który nic darmo nie bierze, gotów się nawet ożenić z piękną i bogatą „sąsiadką,“ byle tylko ocalić przyjaciela od pokus kokoty i pogodzić zwaśnione małżeństwo. Poświęcenie jego jest bez granic. Zofia powraca do męża, a Eustachy wprowadza się do pałacu narzeczonej. Ten pałac, to ślubny prezent jakiegoś bankiera. Starczy za wianek mirtowy.

Jest to niewątpliwie doskonały pomysł komedyowy, z którego wyobraźnia satyryka i humorysty mogłaby wysnuć całą suitę wesołego śmiechu. Ale talent Jaroszyńskiego niema skrzydeł fantazyi. Wybornie obserwuje, wybornie rzeźbi ludzi komedyowych, nie umie jednak szeroko rozwinąć i sharmonizować tematu. Między drugim a trzecim aktem „Sąsiadki“ jest karta białego papieru, która zieje pustką niemiłą. Jeszcześmy nie ochłonęli z wrażenia dramatu domowego, z wrażenia łez, skarg i zgrzytów bolesnych w burzliwych scenach między Zofią i Stefanem, a już odzywa się muzyka krotochwili w zaręczynach Eustachego z „Sąsiadką.“ Skąd się to wzięło, nikt nie wie. Zapalono fajerwerk, który wywiera wrażenie żartu lub mistyfikacyi. W drugiej odsłonie Eustachy jeszcze nie zna „Sąsiadki,“ w trzeciej oświadcza ni stąd ni z owąd, że ślub już postanowiony. Komedya zamienia się w farsę.

Cała ta sztuka prosi się formalnie o to, aby przed zaręczynami niebieskiego ptaka z kokotą wprowadzić publiczność do bu-

duaru tej pani. Wszystkie motywy kompozycyjne tam płyną, cała intryga prze do widomego połączenia niewidzialnej dotychczas „Sąsiadki“ z konkurentem paryskim w charakterystycznej scenie oświadczyn. To właśnie powinno być tą wielką „scène à faire,“ z której każdy rutynowany komedyopisarz byłby wysnuł cały koncert humoru. A Jaroszyński skręca w połowie drogi, omija salon pięknej „Sąsiadki,“ łamie linie logiki artystycznej i prezentuje nam w trzecim akcie urzędowe zawiadomienie o zaręczynach Eustachego. A rezultat jest ten, że nietylko najlepszy moment komedyi pozostaje za kulisami, ale że całe zakończenie sztuki brzmi niby finał powieści, z której nam kilka rozdziałów wydarto.

Pozostała tylko świetna sylweta Eustachego, który wprawdzie ukrył przed nami swój dyalog przedślubny z „Sąsiadką,“ ale i bez tej brawurowej sceny odsłonił nam całe bogactwo groteskowej indywidualności. W tym znikczemniałym włóczędze Europy, który poucza „polskich samurajów“ o wyższości kultury paryskiej, olśniewa prostaczków rakietami kawiarnianej erudycyi i zaręczywszy się z kochanką przyjaciela, prosi jego teścia o kilkaset rubli na prezent zaręczynowy dla narzeczonej — są nieprzebrane skarby humoru. Mógłby być wstrętnym, a budzi wesołość. Jaroszyński zgrzytać nie umie. On tylko podrwiwa dyskretnie i opowiada o błocie ludzkiem tak, że ludzie wtórują mu śmiechem.

A grał Eustachego Kamiński, wirtuoz ostrej charakterystyki z odcieniem karykatury. Może to nie był ten człowiek, którego wymarzył sobie autor „Sąsiadki,“ ale był to portret o przedziwnej sile wyrazu. Żył w każdym ruchu i słowie. Każdemu coś przypominał, każdy znał go już kiedyś i odnawiał z nim znajomość na scenie. Było to coś więcej niż rysunek charakteru. Była to demonstracya typu.

*

* *

Przed kilku tygodniami pojawiły się w prasie naszej wiadomości, że znany komedyopisarz Bolesław Gorczyński wspólnie z dyrektorem Teatru Małego, p. Kazimierzem Zalewskim, zakłada „wolną scenę“ w Warszawie. Zrazu myślano o tem, aby wogóle zmienić firmę teatrzyku, wlokącego żywot suchotniczy w miniatu-

rowej salce „Filharmonii.“ Później zdecydowano się utrzymać nazwę „Teatru Małego,“ a tylko dwa lub trzy wieczory w tygodniu afiszować, jako przedstawienia „wolnej sceny.“ Mówiono dużo o wzorach Antoine'a, mówiono o nieistniejącej już „freie Bühne“ w Berlinie.

Jakiż był cel Antoine'a? Złamać uprzedzenia publiczności paryskiej do nowych kierunków w literaturze dramatycznej i obcych autorów. Jak wiadomo, niema na świecie narodu, któryby z taką wyłącznością uprawiał kult sztuki rodzimej, jak Francuzi. I niema narodu konserwatywniejszego w swych pojęciach o sztuce teatralnej, jak oni. Pomijając dzieła z patyną klasycyzmu francuskiego, którym służy „dom Molière'a,“ tylko to, co utrzymane jest w stylu *d'une pièce*, szanującej tradycye Scribe'a, może liczyć na powodzenie w Paryżu. A teatry schlebiają tym gustom. Szekspira nie grają tam prawie wcale; nowa sztuka Ibsena, d'Annunzia, Shawa, Maeterlincka, Hauptmanna i Gorkiego spotykała się zawsze i spotyka dziś jeszcze z sceptycznym uśmiechem. *Ce n'est pas du théâtre*—mówią wszelkim pionierom, usiłującym zmienić skostniałe formy tradycyi teatralnej, i zwiastunom nowego piękna odmawiają gościny na scenie.

Antoine postanowił złamać ten zachowawczo-narodowy kierunek sztuki francuskiej i w tym celu założył „Théâtre libre“— a więc teatr dla takich dzieł i autorów, których w Paryżu prawie żadna scena wystawiać nie chciała.

Nieco odmienny charakter miała „Freie Bühne“ w Berlinie. Był to w pierwotnym swym programie teatr naturalistyczny, teatr o charakterze bojowym, założony prawie na przekór cenzurze policyjnej i opinii mieszczańskiej, nie mogącej się pogodzić z sztuką młodych reformatorów, walczących pod fałszywem zresztą hasłem: *Kunst und Natur sei eines nur*. Była to poniekąd scena „gminy Hauptmannowskiej,“ zorganizowana jako teatr zamknięty, dostępny tylko dla „stowarzyszonych,“ bo w innej formie władze nie chciały się zgodzić na wystawienie takich np. dramatów jak „Vor Sonnenaufgang.“

A czemże jest czy też ma być „wolna scena“ w Warszawie? O naśladownictwie berlińskich wzorów niema mowy, bo teatr ten jest teatrem otwartym, jak każdy inny, i podlegając tym samym prawom cenzury, nie może, choćby chciał, wystawiać sztuk „zakazanych.“ Pozostaje tedy tylko oparcie się na tej zasadzie, z której wyrósł teatr Antoine'a, a więc teatr eksperymentalny, teatr dla takich form sztuki, która wobec konserwatyzmu artystycznego innych scen dramatycznych nie znalazłaby dla siebie

miejsca w Warszawie. Ale narzuca się tu pytanie, czy istotnie u nas w Warszawie duch teatrów ma znamiona owej śniedzi i ciasnoty, z której wyrosła w Paryżu reakcya Antoine'a. Nasza sztuka aktorska ma niewątpliwie piętno tradycyj przeżytych, ale repertuar jest nawskroś eklektyczny, daleki od wszystkiego, co usprawiedliwiałoby zarzut jakiejkolwiek dogmatyczności, jednostronności i konwencyonalności. Niema prawie wybitniejszego autora, któryby dla siebie znalazł drzwi zamknięte w Warszawie. Przesuwają się na scenie najróżnorodniejsze formy i style, przesuwa się dramat i komedya wszystkich narodów. Cokolwiek sztuka niesie, teatr nasz chwyta skwapliwie, chwyta nawet bez wyboru, byle tylko uczynić zadość zasadzie aktualności. Możnaby raczej spierać się o nadmiar tolerancyi, o zaniedbanie klasycznego i polskiego repertuaru, niż oskarżać scenę warszawską o tępe uprzedzenia wobec nowych dróg twórczości dramatycznej.

Jeżeli tedy w Paryżu „Théâtre libre“ był zgoła naturalną reakcyą przeciw konserwatyzmowi i nacyonalizmowi innych teatrów francuskich, to u nas „wolna scena“ jest zgoła czemś sztucznem. I tem się też tłómaczy, że we wszystkiem, co dotąd o teatrze tym pisano, odczuwa się jaknajwyraźniej ambaras, w jaki sposób usprawiedliwić założenie naszej „wolnej sceny.“ Wymawia się magnetyczne słowo „théâtre libre,“ ale nie uzasadnia się wcale celowości takich przybytków sztuki na gruncie Warszawy. A wobec tego całe to przedsiębiorstwo uważać należy raczej za spekulacyę handlową, niż za poważnie pomyślany „czyn“ artystyczny, raczej za nową etykietę dla upadającego teatrzyku, niż za wyraz potrzeby kulturalnej, za prometeizm piękna, za rękawicę, którą młoda sztuka rzuca starej sztuce.

Być może, że z czasem ta „wolna scena“ zamieni się w jakiś „teatr poetów,“ w jakiś przybytek literatury bardzo subtelnej dla wybrednych smakoszów piękna. Być także może, że Gorczyński marzy o jakimś „salon des réfusés,“ o teatrze dla początkujących talentów, które nie mają jeszcze prawa przemawiać ze sceny „Rozmaitości,“ a którym należy się „premiera zachęty,“ ale z tego, co dotychczas zapowiada repertuar naszej „wolnej sceny,“ snuć żadnych wniosków nie można. Jest etykieta, ale zgoła jeszcze nie wiadomo, co nalane będzie do butelki, na której ją nalepiono.

Czemże powitała nas „Wolna scena?“ „Przebudzeniem wiosny“ Wedekinda, a zatem sztuki, która w skróceniu, narzuconem przez cenzurę, mogła być grana na każdej scenie warszawskiej, którą istotnie zamierzano wcielić do repertuaru „Rozmaitości,“ która wreszcie, co najważniejsze, należy do dyletanckich fajer-

werków teatru niemieckiego, rozreklamowanych przez hałaśliwą klikę modnego pisarza. Wedekind jest niewątpliwie indywidualnością oryginalną. W jego lirykach i nowelach jest sporo Mefistofelesowego piękna, w jego „Demonie ziemi“ jest obok szarży kabaretowej tchnienie świeżego i zgoła nieszablonowego talentu, ale prawie wszystko, co poza tą tragikomedyą wystawił na scenach niemieckich, ma, jak np. „Hidalla,“ piętno nieznośnego dziwactwa, jak „Muzyka“ charakter ordynarnego melodramatu, jak „Przebudzenie wiosny“ styl pretensyonalnego dyletanta, który wmawia w publiczność, że tworzy nową sztukę, dając jej tylko szereg brulionowych, niesharmonizowanych, niespojonych i nierozwiniętych w kompozycyi dramatycznej notatek.

Jakaż to wiosna budzi się w dramacie Wedekinda? Jest to świt życia płciowego. A świt ten jawi się w potokach krwi samobójczej, w jękach piętnastoletniej położnicy, której płód spędza matka rodzona, w sadystycznych wrzaskach i biczowaniach dzieci „przebudzonych,“ wreszcie w symbolicznym dyalogu pana bez głowy, który jest głosem cmentarza i samozatracenia, z panem w masce, który ma wyobrażać życie, nie kapitulujące nigdy i wypuszczające nowe pędy wśród gruzów i ruin. Cała zasługa Wedekinda polega na tem, że odwieczny temat uświadomienia płciowego wyprowadził na scenę. Nie dorzucił ani jednej nowej myśli, nie powiedział nic, coby już tysiąc razy przed nim powiedzianem nie było, ale ponieważ był pierwszym, który to, co inni mówili z pewną dyskrecyą w książkach, gazetach lub z katedry prelegentów, ubrał w dyalog teatralny, i wyraził w naturalistycznych obrazkach, więc oczywiście żądna sensacyi gawiedź teatralna zwróciła ku niemu swoje chciwe oczy, a klika literacka rozkrzyczała „Przebudzenie wiosny“ jako nowy „cud,“ jako wiosnę sztuki.

Zaiste zdumiewające obłąkanie smaku ludzkiego! Bo wszystkiem, czem chcecie, może być dzieło Wedekinda, tylko ze sztuką niema prawie nic wspólnego. Zgódźmy się ostatecznie na jego wartość pedagogiczną, zgódźmy się na satyryczną chłostę rodziców i szkoły współczesnej, ale nie mówmy o pięknie dramatycznem tam, gdzie niema ani poezyi, ani prawdy, ani kompozycyi artystycznej, ani nawet poprawnego dyalogu. W pierwszej odsłonie córka mówi do matki, że chciałaby mieć długie suknie. I koniec. Cały dyalog trwa 3 minuty. W drugiej dwóch chłopców prowadzi króciutką gawędę o dreszczach erotycznych. I znowu koniec. W trzeciej kilka dziewczynek paple ni to ni owo. Kurtyna! W czwartej kilku gimnazistów rozprawia o promocyach.

Kropka. W innej jakaś pani pisze list i odczytuje go półgłosem. Nic więcej! A jest wreszcie i taka, w której na tle ogrodowem ktoś mówi banalny monolog z 11 wierszy i poza tem nic się nie dzieje, dosłownie, absolutnie nic! Dziewiętnaście razy zmienia się dekoracya. Drobniutkie dyalogi i monologi tworzą całe odsłony. Jakby ktoś układając zarys dramatu, naszkicował luźno różne momenty akcyi i różne niepowiązane z sobą rozmówki, a potem te pisane na kolanie notatki wystawił na scenie. Jakby ktoś cegiełki, z których miał zbudowany być dom, rzucił nam pod nogi i krzyknął: Oto moje dzieło! klaskajcie!

Ale czegóż to dzisiaj anarchia literacka nie nazywa sztuką?! Wedekind sam czuł doskonale, że jego „Przebudzenie wiosny," które w bardzo młodych naszkicował latach, jest zaledwie surowym materyałem, i nawet przez myśl mu nie przeszło, aby te drobiny przygotowawcze ofiarować scenie. Gdy jednak „Demonem ziemi" zdobył sobie rozgłos, gdy otoczyła go hałaśliwa sfora tropicieli „fenomenu w sztuce," snobów, tańczących zawsze według nowej piszczałki, i kabotynów, przyprawiających sobie coraz to inne nosy i peruki, aby tą maskaradą olśniewać gapiów, wypuścił z pracowni embryonalnego potworka. Niech idzie! Wobec bezczelności oniemieją ludzie. A każdy protest zakrzyczy klika literacka.

Doszliśmy już do tego, że ordynarny dyletantyzm chrzci się mianem „nowych objawień w sztuce," a sensacyjność siłą dramatyczną. Gdy małą dziewczynkę uwodzi mały chłopiec na sianie, a po zgaszeniu świateł w teatrze słychać tylko jęk „przebudzonej," — to się nazywa odwagą artystyczną. Gdy w łóżku leży mała dziewczynka w ciąży, a do pokoju wchodzi taka pani, co za dobre słowo i kilka talarów usuwa owoc „przebudzenia," to się nazywa realizmem. A gdy do wszystkich tych naturalistycznych obrazków dorabia się scenę na cmentarzu, w której trup samobójczy trzyma głowę pod pachą i rozmawia z jakimś panem w masce o powabach śmierci i powabach życia, to ten odskakujący od całego tła i nastroju koncept symboliczny reklamuje się jako „iście Wedekindowską oryginalność." I w dodatku mlaska się językiem, gdy na scenie toczą się rozmowy, w których skrzypi okropnie sztuczna, wymęczona literackość. „Mniemam—mówi jeden z kilkunastoletnich bohaterów—że jest to owa Charybdis, w którą każdy wpaść musi, kto wydobył się ze Scylli religijnego obłędu." Prawda, jaka to zachwycająca prostota i plastyka dyalogu?!

I gdybyż przynajmniej ta dramatyczna polemika o uświadomienie płciowe była dobrą „fotografią życia!" Ale całe „Przebu-

dzenie wiosny" jest zwierciadłem wypukłem, w którem wszystko odbija się w kształtach wynaturzonych. Pierwszy dreszcz płciowy, to niby huragan straszliwy. Mała, nieuświadomiona dziewczynka, która nie wie, jak pogodzić bajkę o bocianie z instynktami „wiosny," prosi małego chłopca, aby ją obił szpicrutą, bo to jej sprawia rozkosz przedziwną. Dzieci włóczą się po scenie, jak gromada obłąkanych manią erotyczną psychopatów. „Wiosna" Wedekinda ma chorobliwe na twarzy wypieki.

Chwilami tylko w tej atmosferze niezdrowej zjawia się legion wesołych karykatur i pogwizduje satyryk. Głośno, ostro i przenikliwie! Zabawa byłaby wcale dobra, gdyby muzyka śmiechu nie zamieniała się czasem w farsowe efekciarstwo, lub, co gorsza, w kuplet operetkowy na cmentarzu. Scenę, w której chowają młodego samobójcę w asystencyi karykaturalnych profesorów, okrzyczała krytyka niemiecka, jako arcydzieło satyry. Na mnie zestawienie śmierci z *Simplicissimusem* wywarło dziwnie przykre wrażenie. A gdy w końcu nauczyciele, ku pocieszeniu strapionego ojca, mówią mu, że niema czego żałować, bo nawet, gdyby syn jego ożył, nie mógłby dostać promocyi, i gdy ten ojciec opuszcza cmentarz ze słowami: „To chyba nie był mój chłopak," doznałem uczucia, jakby ktoś splunął na trumnę.

Takie jest głośne dzieło Wedekinda, którem „wolna scena" zapoczątkowała swój sezon w Warszawie. A jak na ironię była to jedyna sztuka, którą, po wycofaniu się Gawalewicza z Teatru Małego, wystawiono tam starannie i zagrano poprawnie. Poraz pierwszy pretensyonalne amatorstwo zamilkło i czuć było w organizacyi całego widowiska rządy artysty. Bodajby Gorczyński, który dokonał tej reformy w eksperymentującym tak niefortunnie dotąd teatrzyku, miał równie szczęśliwą rękę w układzie repertuaru.

*

* *

Dobiegam do końca w tym przeglądzie sezonowych nowości. Stoi przedemną jeszcze Shaw, ale ani to poeta „Candidy," ani to pogodny ironista „Bohaterów," lecz dość pospolity fabrykant teatru, który z jednoaktowego tematu snuje trzy długie odsłony, byle wieczór teatralny zapełnić. Jest w „Lichwie mieszkaniowej" Shawa (Boże! co za tytuł!) jedna jedyna scena, w której szatan,

ukryty w irlandzkim karykaturyście, sypie iskrami przepysznej satyry. Oto kocha się jakiś młody idealista, olśniewający siebie samego błyskawicami buntu etycznego, w córce bogatego spekulanta, który z „lichwy mieszkaniowej,“ z wyzysku biedaków dorobił się milionowej fortuny. Przyszły zięć pogardza milionami teścia, przyszły teść rzuca mu drwiące pytanie: „A z czegóż ty żyjesz, królewiczu z bajki? Z kapitałów, zahipotekowanych na mojej kamienicy! Stać mnie na procent wysoki dla ciebie, bo zdzieram koszulę z nędzarzów.“

I kapituluje cnota deklamująca przed logiką targowiska. A w górze słychać śmiech ostry i przenikliwy irlandzkiego kpiarza. To bunt szczerego artysty przeciw obłudzie życia angielskiego, to rokosz poety, którego od dzieciństwa karmiono fałszem i mieszczańską moralnością kapitału. Karykaturą i paradoksem mści się sztuka na społeczeństwie, które pod pastorską sutanną ukrywa duszę plantatorów.

Ale Shaw, napisawszy świetny dyalog angielskiego idealizmu z angielskim cynizmem, rozpłaszczył swoją satyrę. I oto z dobrej sceny powstała astmatyczna komedya, w której autor wlecze się mozolnie do trzyaktowej mety, powtarzając dwa razy te same sytuacye i te same melodye. Być może zresztą, że jest w tej „Lichwie mieszkaniowej“ jakiś humor lokalny, który w ojczyźnie autora huczy głośnem echem w teatrze, ale u nas ani publiczność, ani aktorzy nie zrozumieli pamfletowych grymasów poety. Wobec komedyj Shawa wskazana jest zawsze ostrożność wyboru, bo jego śmiech przeznaczony jest nieraz wyłącznie dla angielsko-irlandzkiej rodziny i w drodze przez kanał traci swój wdzięk i rezonans.

Pomyłką repertuarową było także wystawienie „Zmierzchu“ Hamsuna na scenie Rozmaitości. Jest to trzecia część trylogii dramatycznej, która nawet w duńskiej ojczyźnie poety spotkała się z chłodną obojętnością. Nie ocalił jej urok wielkiego nazwiska, nie ocaliło piękno literackie i delikatne włókna psychologii. Tętno dramatu było słabe, drobiazgowość analizy męcząca.

A „Zmierzch“ nie posiada nawet tych zalet, któremi talent Hamsuna wyzłocił pierwszą część trylogii p. t. „U wrót królewskich.“ Tam, pomimo wszystko, miał pewien urok ten młody filozof, który skrwawioną pięścią wali do zamkniętych bram akademii. Za togę profesorską nie sprzeda sztandaru. Za miłość ukochanej kobiety nie ugnie przed obcym bogiem kolana. On Urielowej nie zna rezygnacyi—raczej śmierć głodowa, niż zdrada!

Tak mówił Ivar Kareno w dramacie „U wrót królewskich.“ Lecz przyszła starość i... „Zmierzch.“ W ostatniej części trylo-

gii Ivar ma już lat 50. Zgaszona młodość, zgaszony rokosz tytanów. I rozpoczyna się odwrót z wyżyn skalistych w słoneczną dolinę, gdzie wabi miękki materac i misa pełna mięsiwa. Mógł tedy „Zmierzch“ być dramatem starości albo drwiącą satyrą kapitulacyi. Mógł przemówić bólem ostatnich tęsknot i ostatnich łamań albo śmiechem obłaskawionych Prometeuszów w szlafroku. Niestety, ani jednem, ani drugiem nie jest utwór Knuta Hamsuna. To niby farsa, niby melodramat, a w ogólnem wrażeniu dzieło bez wyrazu, bez logiki i bez stylu. Jakieś mętne barwy, jakieś rozbieżne dźwięki, jakaś bieganina i plątanina pomysłów! I na domiar złego ustawiczny znak zapytania. Kto dramatu „U wrót królewskich“ nie czytał lub o nim zapomniał, ten w „Zmierzchu“ znajdzie irytujące rebusy. I pójdzie chyba wypocząć po tem smętnem widowisku na dowcipnej, miłej, doskonale zbudowanej komedyi Lothara p. t. „Tylko sen,“ na drapieżnej, ale wesołej karykaturze w „Krytykach“ Chęcińskiego lub na „Królu“ Caillaveta i Flersa, królu w tytule i królu satyry współczesnej.

Powiedział ktoś, że w tej sztuce jest ukryty dynamit. I powiedziano także, że jak „Wesele Figara“ było uwerturą rewolucyi francuskiej, lubo nikt nie przewidział, co wróży śmiech Beaumarchais'go, tak może kiedyś wspominać będą o „Królu“ nietylko historycy teatru, lecz historycy przełomów dziejowych. Ale mniejsza o śmiałe analogie i mniejsza o mary, wylęgłe w wyobraźni wróżbitów paryskich. Choćby Francya nie dała nam nowego „Wesela Figara,“ dała nam niewątpliwie jeden z tych złotych uśmiechów gallijskiego ducha, których nie wyczarował z siebie żaden inny naród. Tak tylko „ésprit gaulois“ drwić umie z „Króla Serdanii“ i z „socyalistów ministeryalnych“ trzeciej rzeczypospolitej. A gdyby nawet w dziejach komedyowych francuskiego trybuna ludu, któremu Donżuan z berłem i w koronie uwodzi żonę i kochankę, było trochę brukowych efektów z teatralnego jarmarku, pozostanie jeszcze dość kwiatów świeżych, aby z nich uwić wieniec dla autora, dość wdzięku i błyskotliwej fantazyi, aby rozradować dusze ludzkie.

Władysław Rabski.

STAN
współczesnej plastyki polskiej.

(Od śmierci J. Matejki aż do dzisiejszych czasów).

Śmierć Matejki jest w dziedzinie sztuki najważniejszem zdarzeniem, największą klęską, spotykającą nasze społeczeństwo w ostatniej dobie. Przez swój względnie krótki żywot siłą olbrzymiego indywidualizmu, wreszcie ogromem pracy, stworzył bezmała, dotąd prawie że nieistniejące, malarstwo polskie. A że reprezentował kierunek w zachodniej Europie już przemijający, że jego najlepsze prace zbiegły się z epoką walk i reform w dziedzinie sztuk plastycznych na Zachodzie, nic więc dziwnego, że nietylko społeczeństwo, ale i artyści, olśnieni obrazami Matejki, mniej się interesowali zwycięstwem realizmu, impresyonizmu, plainairyzmu, jak również i upadkiem kierunku romantycznego, a zwłaszcza malarstwa historycznego, którego tak genialnym przedstawicielem był Matejko.

Aczkolwiek w ostatnich latach swego życia, usunąwszy się, jako dyrektor szkoły, od intensywnej pracy nad swymi uczniami, patrzył pobłażliwem okiem na wdzieranie się do murów krakowskiej uczelni realizmu i na zanik stopniowy stylizacyi i monumentalnego malarstwa; aczkolwiek uczniowie Matejki: Malczewski, Pruszkowski, lub też młodzi—Tetmajer, Wodzinowski, Żelechowski i inni, przepowiadali swemi pracami zwrot w krakowskiej sztuce, to jednakże Kraków wtedy nie przodował jeszcze w dziedzinie sztuk plastycznych, a zwłaszcza nie był ogniskiem pojęć nowatorskich. Rdzeń polskiej sztuki był wówczas poza Krakowem, był w Warszawie i, co dziwne, do pewnego stopnia—w Monachium.

W Warszawie wystąpił na widownię publiczną St. Witkiewicz. Namiętny apostoł realizmu, strącał dawne bogi, walił taranem w mury malarstwa monumentalnego i torował drogę nowym ludziom. Al. Gierymski, zaciekły realista; J. Chełmoński, ogromem swego talentu przerastający kierunki, podziwiany wówczas za „prawdę," a teraz, gdy „prawda w sztuce zbankrutowała," za „nastrój;" bajeczny technik i wirtuoz Wyczółkowski, dwaj młodzi impresyoniści Pankiewicz i Podkowiński, rycerz-romantyk Pawliszak, malarz ludowy Masłowski—tworzyli w Warszawie silny zespół malarski, szli na przebój śmiało naprzód, zwalczając dawne kierunki, uosobione naówczas w seniorze warszawskich malarzy prof. Gersonie. Czemu Gerson maluje obrazy historyczne?!—wołano na niego w prasie. Czemu maluje figury a nie pejzaże? A Gerson w odpowiedzi namalował sepią wielki karton historycznej treści i kapitalny „akt" kobiecy, znajdujący się obecnie między zbiorami Tow. Zachęty.

W Monachium, oprócz malarzy starszego pokolenia Brandta i Kowalskiego, którzy tu część roku stale spędzali, z młodszych sił wybitniejszych mieszkali: Szymanowski i Grocholski i co dziwniejsza, że siedząc wśród Niemców, malowali swojskie obrazy rodzajowe. Była to anomalia, która trwać długo nie mogła, jak również i to, że krakowska szkoła, naznaczona przez Witkiewicza czarnym krzyżem, jak dom zapowietrzonych, liczyła uczniów o wiele mniej, niż różne monachijskie akademickie „malszule," nie mówiąc już o przepełnionych naszą młodzieżą szkołach prywatnych. Reasumując to wszystko, sytuacya była taka: w Krakowie był Matejko—w Warszawie i w Monachium reszta polskiej sztuki. Ponieważ zaś, jak Matejko, tak i Gerson, stojący na czele szkoły w Warszawie, nie brali udziału w ruchu nowatorskim—młodzież od tych uczelni uciekała i kto miał za co wyjeżdżał za granicę. Dodać należy jeszcze rzecz charakterystyczną, że od Włoch — kolebki sztuki wielkiej — stroniono. Daleko więcej miały powabu nowości paryskie, monachijskie „strajflichty" i technika malowania. Rozpoczęła się tłumna emigracya artystów z kraju, a typ dawniejszego rodzaju malarzy swojskich zaczął zanikać. Artyści przestali oryentować się w świecie, który im miała zastąpić wygodna monachijska pracownia, a model — natchnienie.

W takiej chwili przyszła niespodziewanie śmierć Matejki, a potem dawno zapowiedziana reforma krakowskiej Akademii. Aczkolwiek są to czasy dość oddalone, to jednakże skutki tych wszystkich wydarzeń teraz dopiero dają się należycie oświetlić i dlate-

go uważaliśmy za stosowne poprzedzić niniejszy przegląd wyżej przytoczonym wstępem.

*

* *

Zarówno głośne imiona przyszłych kierowników uczelni krakowskiej, jak i zapowiedziane inowacye, wywarły pożądany skutek: młodzież tłumnie zaczęła opuszczać zagraniczne akademie, dzielny artysta Grocholski zwinął swą szkołę nad Izarą, młodzież z Królestwa przestała marzyć o składaniu konkursowych egzaminów do petersburskiej akademii, a Kraków wkrótce stał się ziemią obiecaną dla młodych artystów. Grono zdolnych ludzi, powołanych na katedry, pracowało z zapałem, podniecając uczniów nietylko słowem, ale i kapitalnymi obrazami. Wyczółkowski, powołany z Warszawy, wystawił wkrótce szereg pięknych obrazów, wśród których dominowały „Sarkofagi," Malczewski namalował „Błędne koło" i cały szereg symbolicznych obrazów, Axentowicz— szereg wykwintnych główek kobiecych, lecz nad wszystkimi wpływem na uczniów dominował Stanisławski. Obdarzony dużą inteligencyą, darem wymowy, przytem kolosalną energią życiową, szybko ujął ster szkoły w swoje ręce. Między uczniami i profesorami panowała nuta dość poufała, często prawie przyjacielska— poza godzinami szkolnemi gawędzono o sztuce, zwłaszcza na wycieczkach pejzażowych, co było inowacyą, wprowadzoną do szkoły, jakoby swego rodzaju rekompensata po skasowaniu oddziału kompozycyjnego malarstwa. Słowem z jednej ostateczności wpadano w drugą. Po czasach szczepienia każdemu z uczniów zasad monumentalności i przebrzmiałego na Zachodzie romantyzmu w sztuce, nastąpiła negacya kompozycyi. Obraz zastąpiła deseczka z naszkicowanym pejzażem, a kompozycyę — wycinanka lub ornament z „kaczkowanych krakowiaków."

Pejzaż powoli zaczął dominować w sztuce polskiej, a choć życie artystyczne wrzało w całej pełni, zwłaszcza po założeniu pisma artystyczno-literackiego, którego kierownictwo objął Przybyszewski („Życie"), to jednakże sama sztuka długo jeszcze nie wychodziła poza notatki, poza żywe „kawały natury," dokumenty pejzażowe, które, według ówczesnego orzeczenia, powinny były być tak malowane, aby można było na obrazie poznać, która godzina... Nastrój, stylizowanie i transformacya, wreszcie malar-

stwo zdobnicze i sztuki graficzne, wszystko to miało dopiero przyjść później i, co dziwniejsza, wyszło nie ze szkoły, ale z poza niej. Rola reformatorska przypadła tu dwóm młodym malarzom krakowskim, świeżo przybyłym z Paryża: Wyspiańskiemu i Mehofferowi.

Dziś, gdy kilka lat dzieli nas od śmierci Stanisławskiego i gdy możemy się rozpatrzeć w owocach jego pedagogicznej działalności, znajdziemy potwierdzenie starej prawdy, że ludzie, obdarzeni indywidualnością, a przytem o wybitnym imperatywie, nie zawsze mogą być dobrymi pedagogami. Stanisławskiego pejzaże—to przeważnie barwne notatki, chwytane z błyskawiczną szybkością, piękne i harmonijne, pełne czystych i dźwięcznych tonów—uczniowie zaś jego, jak się to zresztą zwykle zdarza, chwytali i naśladowali tylko powierzchowne cechy swego mistrza: malowano, również jak on, na deseczkach, obwodzono sinym konturem sylwety drzew, co miało zastępować „syntezę," wreszcie nie szukano bogactwa w pejzażu: wystarczał stóg siana, kawałek płotu, skrawek łąki, jednem słowem, co los zesłał, byle śmiało i zgrabnie szkicowane.

Rozejrzawszy się wśród uczniów Stanisławskiego, widzimy zwykłe zjawisko: zdolniejsi, otrząsnąwszy się z narzuconej im maniery, z trudem wybijają się na drogę samoistną, reszta—słabsi, idą, utykając na kulach, którymi ich na drogę artystycznego życia obdarzono w Akademii.

*

*

Gdy po wykonaniu wspaniałej polichromii w kościele Franciszkańskim w Krakowie zabłysło imię Wyspiańskiego, gdy następnie Mehoffer zwrócił na siebie uwagę przez swoje kartony do witrażów zaczął się powolny zwrot sztuki w stronę zdobnictwa. Wkrótce też utworzoną została katedra malarstwa dekoracyjnego, którą ofiarowano Wyspiańskiemu. Pejzaż zaczął ustępować kompozycyi: wystąpili młodzi uczniowie szkoły sztuk pięknych, dziś znani już artyści-malarze. Więc: Rembowski, Vlastimil Hoffman, Jakimowicz, Krasnowolski, wreszcie przedwcześnie zgasły Wojtkiewicz. Sztuka zaczyna się coraz więcej i wszechstronniej rozwijać, powstaje nowy gmach dla Tow. Z. S. P., po-

wstaje żywotne towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana," a szkoła krakowska zostaje podniesioną do godności Akademii.

Rozpoczyna się rekonstrukcya prastarego Wawelu, Mehoffer występuje ponownie z wysoce artystystyczną polichromią „Skarbca" i „Kaplicy Szafrańców" w katedrze wawelskiej. Z inicyatywy Tow. „Polska Sztuka Stosowana," przy przebudowach i urządzeniach wewnętrznych, prace zaczynają być powierzane artystom. Tak powstaje stylowo wykonana przebudowa starego teatru i jego wewnętrznych urządzeń, rekonstrukcya kilku starych domów, dekoracye kawiarni i t. d.; jednem słowem sztuka zaczyna się wciskać wszędzie i staje się tam powoli potrzebą życia codziennego. Tak więc w Krakowie, dawnej stolicy Polski, pod opiekuńczym duchem prastarych murów, wieżyc i budynków wawelskich, powstaje silna i indywidualna sztuka polska.

W życiu artystycznem Warszawy ostatnie kilkanaście lat przyniosły prawie same tylko klęski. Aczkolwiek przez ten czas mamy do zaznaczenia fakt pobudowania nowego gmachu dla Tow. Z. S. P., to jednakże w praktyce budynek ten okazał się niezupełnie odpowiadający celowi, na jaki był przeznaczony. Założenie Towarzystwa artystycznego, aczkolwiek na razie zdawało się przepowiadać zwrot ku lepszemu, jednakże po dziesięcioletniej walce z apatyą, jak artystów, tak i ogółu, dotąd jeszcze niczem większem nie zaznaczyło swej artystycznej działalności. Szkoła sztuk pięknych, założona i utrzymywana z funduszów składkowych, którą powitano z początku entuzyastycznie, po pięciu latach swej egzystencyi, nie wiele również przyczyniła się do podniesienia kultury artystycznej w Warszawie. Mamy obecnie dwie szkoły sztuk pięknych: jedną rządową, t. zw. szkołę rysunkową, drugą prywatną, dwie słabo rozwijające się i słabo uposażone uczelnie—zamiast jednej dobrej. Wystawy prac uczniów wykazały sporo samoistnych talentów, wykazały umiejętne skierowanie w stronę przemysłu artystycznego. Jednakże wobec słabego poparcia moralnego i materyalnego, a co gorsza przy pewnem rozdwojeniu, które musiało nastąpić z powodu współczesnego istnienia dwóch szkół nawzajem od siebie niezależnych, żadna z nich wpływu na zewnątrz nie wywiera. Szkoła sztuk pięknych (nowo założona) została w r. 1909 zreformowana, otrzymała nowego kierownika w osobie St. Lenca na miejsce ustępującego K. Stabrowskiego, do przyszłości więc należy ocena, jakie owoce i jaki wpływ wywrze na naszą kulturę artystyczną.

Do strat, jakie kolonia malarska w Warszawie poniosła, należy przedewszystkiem śmierć Gersona, który sztandar sztuki trzy-

mał wysoko, a inteligencyą i gorliwem zainteresowaniem się sprawami społecznemi górował nad otoczeniem. Dalej idzie likwidacya Salonu Al. Krywulta (1906 r.), który wielką rolę odegrał w rozwoju życia artystycznego w Warszawie. Próby utworzenia nowego Salonu, czy to w formie spółek, czy też wskutek usiłowań pojedyńczych ludzi, stale się nie udają. Przerzedziły się wreszcie szeregi kolonii warszawskiej, gdy Wyczółkowski i Pankiewicz przenieśli się do Krakowa, powołani na profesorów, i gdy śmierć zabrała nam wielu, że wymienimy przedwcześnie zgasłego Podkowińskiego i jednego z ostatnich batalistów polskich—Pawliszaka, który tragiczną śmiercią zginął w końcu 1904 r. Zmarł wreszcie w zapomnieniu S. Buchbinder, ostatni malarz monumentalno-religijny.

Lwów, jak dotąd, w życiu artystycznem zawsze bierze gorący udział, jednakże sztuka tam słabszem bije tętnem, niż w dwóch poprzednio omówionych miastach. Wprawdzie zostało tam niedawno założone muzeum współczesnej sztuki, jednakże lwowskie Towarzystwo P. S. P. nie posiada dotąd jeszcze swego własnego gmachu, a kolonia artystyczna, jak na stolicę Galicyi, jest dość nieliczna. Do objawów dodatnich w końcu mamy do zanotowania fakt budzącego się życia artystycznego w Poznaniu, gdzie istnieją dwa towarzystwa artystyczne i gdzie wydano w roku 1909 album artystów z Wielkopolski.

Reasumując niniejszy przegląd, możemy stwierdzić, że horyzonty sztuki polskiej w ostatnich latach znacznie się rozszerzyły. Po chwilowej reakcyi i panowaniu fotograficznej przypadkowości, po panowaniu szkiców i notat pejzażowych, nastąpił zwrot ku kompozycyi, ku sztuce twórczej, monumentalnej. Rozszerzyły się zaś ramy sztuki, gdyż oprócz malarstwa t. zw. „sztalugowego“ rozwija się silnie sztuka zdobnicza, w której mamy tak dzielnych reprezentantów, jak Mehoffer, Bruzdowicz, Dębicki, Kędzierski, Noskowski i wielu innych. Dalej mamy również doniosły fakt do zanotowania, że młodzież artystyczna otrzymuje wykształcenie fachowe w kraju, co z czasem musi wpłynąć dodatnio na zarysowanie się indywidualne sztuki polskiej, która w ostatnich czasach tak szybko się rozrasta. Chociaż, niestety, z dawnej trójcy mistrzów polskich pozostał przy życiu jeden tylko Brandt, to jednakże imiona Chełmońskiego i Malczewskiego godne są, aby przyświecały swą aureolą młodszym pokoleniom malarzy.

Tak więc, oprócz wyżej wymienionych mistrzów, mamy tęgich portrecistów, jak Pochwalski, Axentowicz, Augustynowicz, Boznańska, Lenc; mamy wirtuozów pędzla, jak Fałat, Wyczół-

kowski, Żmurko; z młodszej generacyi Krzyżanowski, Sichulski wreszcie Boruciński, młody uczeń warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Pejzaż reprezentują: Masłowski, Ruszczyc, Kamocki, Filipkiewicz, Stanisław Czajkowski i wielu, wielu innych; miejskie mury i stare zabytki maluje Cieślewski, Tondos i inni; kompozycye i fantastyczne nastroje odtwarza Gawiński, przedwcześnie zgasły Wojtkiewicz; wreszcie w świat tajemnic średniowiecza wprowadza nas Wawrzeniecki. Kompozycye z odcieniem dekoracyjnym z powodzeniem uprawiają: Zdzisław Jasiński, Okuń, Wygrzywalski. Wreszcie najdzielniejszą, choć najmłodszą, jest grupa, uprawiająca sztukę stosowaną. Posiadając własne towarzystwo, drukując publikacye, mając zresztą tak dzielnych członków, jak Jan Bukowski, Józef Czajkowski, Edward Trojanowski, Tichy i t. d., rozwija się ogromnie żywotnie i szybko. Natomiast mniej dodatnio przedstawia się illustratorstwo i karykatura. Po dawnych czasach, gdyśmy posiadali Kossaka, Andriollego, gdy zresztą każdy malarz chętnie chwytał się ołówka, ostatnie lata, oprócz A. Kamieńskiego, nie dały nam żadnego wybitnego illustratora.

Sztuki graficzne, do niedawna jeszcze będące w zaniedbaniu, teraz szybko zaczynają się rozwijać i zdobywać sobie prawo równouprawnienia pośród innych gałęzi sztuk plastycznych. Aczkolwiek drzeworytnictwo, które stało u nas na dość wysokiej stopie, teraz zdaje się upadać, gdyż nie mamy przykładu, aby nowe siły doń przybywały, to jednak akwaforta, do niedawna prawie że nieznana u nas, dziś posiada wielu bardzo zdolnych przedstawicieli. Dość wspomnieć o Feliksie Jasińskim (ob. gł. dzieło), którego sztychy, wykonane według obrazów Botticellego, Burnes-Jones'a i innych, należą do bardzo poszukiwanych w Paryżu, gdzie nasz artysta stale mieszkał. Między współczesnymi, oprócz Ignacego Łopieńskiego, zajmują się również akwafortą: Józef Pankiewicz, Lucyan Kochanowski, Leon Kowalski i inni. W r. 1908 Feliks Jabłczyński wystawił szereg artystycznych akwafort, przeważnie własnych kompozycyj, odbijanych nowym, przez niego wynalezionym sposobem, które nazwał „neofortami.“ Litografia u nas do niedawna jeszcze nie stała na poziomie artystycznym. Dziś, gdy się zjawiła teka autolitografij, wydana przez J. Rapackiego, kilka drobnych szkiców, wykonanych przez Stanisławskiego (np. kościół ś-go Marka, dodatek do „Chimery“), wreszcie zbiorowe album rysunku Axentowicza, Kamockiego, Stanisławskiego, Trojanowskiego i Wyczółkowskiego, i ta gałęź sztuki rozwija się pomyślnie. Z młodszej generacyi studyom nad sztukami

graficznemi oddaje się Brandel, Rubczak, Krasnodębski. Ten ostatni wykonał kilka portretów, odbitych w barwnym drzeworycie.

*

* *

Rzeźba, rozwijając się znacznie słabiej od malarstwa, a więc nie tak szybko i wszechstronnie, pozostaje dotąd jeszcze w tyle— nietylko w porównaniu z rzeźbą innych narodów Europy, ale nawet z malarstwem naszem. Posiadamy bardzo mało pomników, a i te, które zostały wzniesione, nie zawsze są monumentalnemi dziełami sztuki. Rzeźba zdobnicza słabo również się rozwija. Kilka pomników Mickiewicza, szereg kolosalnej wielkości grup z bronzu, przedstawiających Stacye Męki Pańskiej, ustawione w Częstochowie (dłuta Welońskiego), wreszcie szereg pomników i biustów na plantach krakowskich świadczą o pewnych usiłowaniach, przedsięwziętych i w tym kierunku w ostatnich latach.

Oprócz rzeźbiarzy starszego pokolenia: Szymanowskiego, Laszczki, Popiela, wśród nielicznego grona młodszych na pierwszy plan wysunął się Biegas, a prace jego szczerą oryginalnością zwracały wszędzie na siebie uwagę. Pisma, poświęcone sztuce: angielskie, francuskie, włoskie i t. d., podnosiły jego zalety, twierdząc, że wyrazy twarzy fantastycznych postaci Biegasa, zwłaszcza ręce kurczowo i konwulsyjnie pozaciskane, każdemu, kto je widział, zostaną na zawsze w pamięci. „Tylko po co filozofuje?“— pytano go się w prasie. — „Czego chce uczyć i w jakim celu?“ Ten sam zarzut można postawić drugiemu, również młodszej generacyi, rzeźbiarzowi — Dunikowskiemu. Posiadając w wysokim stopniu poczucie plastyki, będąc przytem doskonałym technikiem, wykonał on kilka wybornych portretów. Jego głowy mają dużo życia i wyrazu, gdy tymczasem kompozycye robią wrażenie czegoś sztucznego. Glicenstejn, bardzo utalentowany i zrównoważony artysta, względnie mało u nas produkuje swe utwory, mieszkając i wystawiając za granicą. Mazur, pełen żywiołowej siły i szczerości w obserwacyi, dał kilka wybornych figur („Ze snu“ w Muz. Nar.). Z. Otto, rzeźbiarz z dużem zacięciem dekoracyjnem, również jak J. Raszka, wreszcie Wittig, Szczepkowski, Nalborczyk, Biernacki, Rembowski i wielu innych. Na polu artystycznej ceramiki pracują Bębnowski i Jagmin.

Zanotować w końcu należy fakt, że coraz częściej budowa pomników na cmentarzach, zarówno na prowincyi, jak w wielkich miastach, bywa powierzana artystom. W ten sposób powstały już dość liczne, artystycznie pomyślane pomniki, wykonane przez Jabłczyńskiego, Jagmina, Jeziorańskiego, Czesława Makowskiego, Wacława Szymanowskiego i Leopolda Wasilkowskiego.

*

* *

Pod względem architektonicznym wiele miast u nas w ostatnich latach zmieniło niemal zupełnie swój dawniejszy wygląd, czy jednak na korzyść—jest to bardzo wątpliwe—raczej odwrotnie. Brak instytucyj, czuwających nad całością zabytków architektury, [1]) brak środków do ich obrony przed zagładą, nizki stopień kultury osób, którym została powierzona piecza nieraz nad cennymi zabytkami dawnej naszej przeszłości, sprawiły, że mnóstwo wartościowych pamiątek architektonicznych zostało zniszczonych lub też przez nieumiejętne odnawianie zepsutych. W Galicyi, która pod wieloma względami znajduje się w lepszych warunkach, niż inne ziemie polskie, więcej stosunkowo ocalało, a mniej zniszczono niż w Królestwie. Umiejętna i z pietyzmem dokonywana rekonstrukcya Wawelu, przeróbka starego teatru i wielu starożytnych domów w Krakowie, sprawiła, iż stary ten gród, rozwijając się i rosnąc, nic nie traci ze swego historycznego piętna. W Warszawie wręcz przeciwnie. Najpiękniejszą część miasta — starą dzielnicę, pozostawiono w zapomnieniu, jakby przeznaczoną na zagładę. Miasto rozwija się przypadkowo, bez z góry powziętego planu i myśli przewodniej. Zepsuto piękny plac Warecki, oszpecono Aleje Ujazdowskie, stawiając brzydkie a wysokie domy (np. dom p. Spokornego), długą i piękną perspektywę ulicy Marszałkowskiej przedzielono na dwie części skwerem, założonym na placu Zbawiciela. Krakowskie-Przedmieście oszpecono przebudowaniem pięknego pałacu Staszica, pozbawiono pięknego widoku na uniwersytet (pałac Kazimierowski), zasłoniwszy go przed

[1]) W r. 1907 zostało założone w Warszawie Tow. Opieki nad Zabytkami Sztuki.

kilkunastu laty nowym budynkiem biblioteki publicznej, a w 1909 r. wysoką murowaną bramą. Wyliczać wszystkich zmian, jakie w ostatnich latach w Warszawie zaszły, niesposób, dodać jeszcze wypada, że z przyczyn zresztą od nas niezależnych, nietylko niektóre dzielnice, jak np. plac Saski, ale nawet i cała sylweta Warszawy zmienia powoli swój dawny, historyczny charakter.

W twórczości architektonicznej w ostatnich latach daje się spostrzedz pewien zwrot ku poszukiwaniom motywów swojskich. Zwrot ten, wywołany wewnętrzną narodową potrzebą, przez wysokiej wartości studya Matlakowskiego i Witkiewicza skierowany w stronę sztuki ludowej zakopiańskiej, w tym też kierunku zaczyna się rozwijać. Brak dzieł, obejmujących twórczość ludową i zabytki architektoniczne wszystkich dzielnic Polski, przeszkadza szerszemu rozwojowi budownictwa, opartego na ludowych motywach.[1]) Oprócz szeregu willi stylowych, pobudowanych w uzdrowiskach polskich, wpływ ludowy szczególnie silnie się zarysował na wystawie Częstochowskiej (1909 r.), gdzie wiele pawilonów w swojskim stylu pobudowano, z których na szczególne wyróżnienie zasługiwał pawilon sztuki, według projektu Jana Witkiewicza postawiony.

W Krakowie, gdzie ruch budowlany znajduje się pod pewną artystyczną kontrolą, powstały piękne dzielnice, zabudowane stylowymi domami, wśród których dom Tow. Techników, według projektu S. Odrzywolskiego, oraz szereg domów, pobudowanych przez Talowskiego, na szczególne wyróżnienie zasługują. Z gmachów publicznych, w ostatnich czasach wystawionych, wymienić należy oryginalny budynek Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, zbudowany przez Fr. Mączyńskiego. We Lwowie, oprócz kilku gmachów publicznych, jako to: nowy dworzec kolei państwowych, gmach Izby handlu i przemysłu, powstały całe dzielnice, jak np. ulica Asnyka, zabudowana przeważnie przez prof. Lewińskiego. W Warszawie, gdzie się buduje stosunkowo najwięcej, powstały całe szeregi bezstylowych domów dochodowych, wśród których kilka tylko posiada wartość artystyczną. Do najpiękniejszych, jakie w ostatnich zbudowano, należą: dom firmy „Gebethner i Wolff“ Rogóyskiego, dom p. Strzałeckiego w Al. Ujazd. według projektu Marconiego, dom p. Wapińskiego, budowany przez Szyl-

[1]) Zanotować należy tu prace Z. Glogera, Kaz. Mokłowskiego i M. Wawrzenieckiego.

lera, oraz w stylu t. zw. „secesyi“ dom dochodowy przy ul. Służewskiej, zbudowany przez Tołwińskiego. Do ozdób wreszcie nowej Warszawy należy piękny kościół Zbawiciela (w stylu romańskim), wzniesiony według projektów Dziekońskiego, Panczakiewicza i Zychiewicza.

*

* *

Z udoskonaleniem techniki reprodukowania dzieł sztuki, do szeregu pism illustrowanych przybył nowy typ wydawnictw albumowych, ukazujących się zeszytami w peryodycznych odstępach czasu. Najpopularniejszem tego rodzaju wydawnictwem była „Sztuka Polska“—szereg pięknych kolorowych reprodukcyj wybitnych artystów polskich (Lwów, nakład księgarni Altenberga). Jakby uzupełnienie tego wydawnictwa skompletowanego dość jednostronnie, ukazało się nowe, podobnego typu album p. t. „Malarstwo Polskie,“ wydawane w Warszawie przez St. Kulikowskiego. Wreszcie zeszytowe dodatki do pisma „Świat“ również do tego typu wydawnictw zaliczyć należy.

*

* *

Wzorem większych ognisk europejskich urządza Warszawa u siebie doroczne przeglądy sztuk plastycznych, do których stają zawsze niemal wszyscy artyści nasi. W początkach grudnia otwarto szóstą z rzędu taką wystawę. Inicyatorowie dorocznych ekspozycyj pragnęli nadać im ton bezpartyjny, pragnęli stworzyć zwierciadło, w którem mogłaby się odbić twórczość artystów polskich, w której talent jedynie, nie przekonania artystyczne, miał być sprawdzianem i decydować o udziale w tych dorocznych godach artystycznych.

Czy VI wystawa jest lepszą, czy też gorszą od swych poprzedniczek, na to pytanie jest trudno na razie odpowiedzieć. Jest trochę inna, spokojniejsza, więcej zrównoważona, a co za tem

idzie, kto wie, czy nie trochę — nudniejsza. Niema tu szarpań, szamotania się, doszukiwania czegoś nowego—natomiast w wielu razach jest potwierdzenie dawno zasłużonej sławy lub też biegłości technicznej. Dzieła tu wystawione nie uszczkną jednego listka z dawno zdobytych laurów, ale również i nowego nie przysporzą. Stanęli do apelu wszyscy więksi nasi artyści, dając dzieła doskonale charakteryzujące ich twórczość artystyczną, doskonale świadczące o trzymaniu się na posterunku, jaki w malarstwie naszem zajęli.

Niechcąc powtarzać zatem znanych powszechnie prawd o takich malarzach, jak: Brandt, Chełmoński, Malczewski, Axentowicz, Kossak, Fałat, Piotrowski, Lenc, Wyczółkowski lub Żmurko, przejdziemy do generacyi nieco młodszej, do talentów nieco mniej wyrobionych, lub firm mniej znanych, gdyż tutaj jest większe pole do spostrzeżeń nad rozwojem lub zmianami w twórczości danego artysty.

Do malarzy, względnie mało u nas wystawiających, należy Stanisław Żukowski, głośny pejzażysta, którego obrazy posiadają wszystkie większe galerye w Rosyi. Jego krajobrazy świeżo i soczyście malowane, pełne światła i prostoty w ujęciu, a siły i subtelności w wykonaniu, przypominają nieco słynnego rosyjskiego Lewitana. Z trzech wystawionych płócien kto wie, czy nie najwięcej siły ma obraz z niebem pochmurnem, poszarpanem. Również rzadko wystawia u nas swe prace Deskur. Na wystawie inauguracyjnej w r. 1900 wystawił on szereg kompozycyj wschodnich, przeważnie na tematach z „Tysiąca i jednej nocy“ opartych; znajdujące się obecnie na wystawie: „Pałac szczęśliwości“ i „Królewicz perski ucieka z Bagdadu,“ posiadają te same zalety, to samo rozmiłowanie się w pełnej bogactwa i fantazyi architekturze wschodniej. Wreszcie do rzadkich, a zawsze mile widzianych gości należy Henryk Weyssenhoff. Jego obrazy, tak zawsze urozmaicone w treści, mają pewne wspólne cechy: każdy z nich jest nietylko głęboko odczuty i przemyślany, ale i wykonany z precyzyą niezmierną. „Paryski zmrok“ nie ustępuje jego przeszłorocznym niedźwiadkom, baraszkującym w zaciszu litewskiego dworka, jego śniegom lub moczarom poleskim.

Brak natomiast poezyi, brak świeżości uczucia odczuwamy w ogromnem płótnie Rapackiego, namalowanem z wielką sprawnością techniczną. Obraz ten zatytułowany: „Najświętsza Panno módl się za nami,“ jest jakby reminiscencyą „Apoteozy Słowackiego“ tegoż autora, nie dorównuje jej jednakże pod względem artystycznym. O wieleż więcej uczucia i szczerości ma maleńki

obrazek Vlastimila Hoffmana „Przyjdź Królestwo Twoje:“ małe dziecko w serdaczku u stóp drewnianego krzyża w polu! Lub witraż Z. Plewińskiej—„Matka Boska Prządka,“ na którym piękny jest zwłaszcza maleńki Chrystusik z czerwonem jabłuszkiem w rączce; obok niego dziewczyna z ludu, siedząc, zabawia go lalką drewnianą—prosto z jarmarku, za parę groszy kupioną. Wszystko to razem jest rzewne, szczere i proste.

Wyliczać wszystkie wystawione prace, byłoby może zbyteczne. Zaznaczyć tylko jeszcze wypada, że obraz wciąż rzadko wychodzi poza portret lub pejzaż, pozatem z przyjemnością można zauważyć pewne rozwinięcie się talentu u niektórych młodszej generacyi artystów, jak np. u Lipca (portret żony) lub Maryi Koźniewskiej, której poprzednie prace nieco przypominały Boznańską. Sympatyczną również inowacyą, zaprowadzoną od zeszłego roku, jest stworzenie oddziału grafiki i architektury, gdzie jest dużo rzeczy nie bez wartości artystycznej; że wymienimy choćby piękne akwaforty Rubczaka, miedzioryty Rembowskiego, witraże Hulewicza i Uziembły, wreszcie szereg prac z zakresu budownictwa, szereg projektów i modeli, wśród których piękne fantazye architektoniczne Oskara Sosnowskiego na szczególne wyróżnienie zasługują. Jest to zresztą oddział maleńki, ale dobrze i gustownie urządzony, czego zresztą o całej wystawie powiedzieć nie można. Panuje tu chaos, powtarzający się z roku na rok, w którym widz z trudnością zoryentować się może. Obok epigonów przestarzałego romantyzmu, obok niedobitków malarstwa batalistycznego wiszą najświeższe nowości paryskie, brane nieraz z drugiej ręki, jaskrawe i krzyczące, nieszczere i udane. Pewna klasyfikacya dzieł według szkół i przekonań artystycznych, pewien dobór pod względem tonu, barw i t. d., w taki sposób, aby obrazy wzajemnie sobie nie szkodziły, lecz tworzyły natomiast harmonijną całość, kto wie, czy nie byłby właściwszy od względów na hierarchię malarską, którą w rozwieszaniu dzieł zdają się kierować urządzający wystawę doroczną. Kto wie, czy zamiast sal honorowych, a nawet ścian, przeznaczonych dla mistrzów, co być może ułatwia oryentowanie się reporterom, nie lepiejby było uznać wszystkie ściany i wszystkie sale za jednakowo honorowe, rozwieszać natomiast obrazy, kierując się jedynie tem, jakiego dane dzieło wymaga oświetlenia: silnego, czy słabszego; z góry padającego, czy też z boku.

Rzeźba, wyjątkowo dziś licznie obesłana, zdaje się, że przy urządzaniu została najgorzej pokrzywdzoną. Kolosalny bronz Czarnowskiego, figura, pełna siły i ruchu, zatytułowana „Z dro-

gi!“ gdyby była umieszczona na wprost wejścia, wywołałaby daleko większy efekt, a nawet nadawałaby do pewnego stopnia ton całej sali, gdy tymczasem umieszczona przy wejściu, tyłem do wchodzącego widza, wiele traci z pierwszego wrażenia. W westibulu, tuż obok schodów umieszczone rzeźby, przeważnie marmury lekko zatonowane lub gipsy, tracą również wiele na tle jasnych ścian klatki schodowej. Giną zresztą gdzieniegdzie w absolutnej ciemności nietylko rzeźby, ale i obrazy. Lecz są to drobne błędy prawie zawsze nieuniknione, zwłaszcza przy nawale pracy, braku czasu i w niezupełnie odpowiednich ubikacyach, co zresztą już nie poraz pierwszy zostało stwierdzone.

M. Trzebiński.

HISTORYOZOFIA TRENTOWSKIEGO.

Ze wszystkich dziedzin filozofii była historyozofia nauką do XIX wieku stojącą najbardziej w cieniu, z nieśmiałością ujmowaną w jakiekolwiek systematyczne karby, lub opracowywaną całkowicie i niezależnie. Polegała ona w głównych wynikach na światopoglądach indywidualnych, spoczywających nie tyle na ścisłych danych naukowych, ile na wyznawanych albo zaprzeczanych zasadach religijnych. Płynęło to i płynie dotąd z właściwego charakteru pewnych jej zagadnień, których nauka nie jest w stanie rozwiązać i które przeto pozostawione być muszą indywidualnemu ich ujęciu i rozwiązaniu. Dotyczy to naturalnie przedewszystkiem zagadnienia *celu* świata, wszechświata i ludzkości, ale następnie również zagadnienia odwrotnego: *praw*, kierujących dziejami ludzkości. Zagadnienie pierwsze rozwiązywane było od czasów najdawniejszych przy pomocy legend o różnych wiekach (złotym, srebrnym i t. d.), a także przy pomocy wierzeń w Mesyasza, w Królestwo Boże na ziemi i t. d. Zagadnienie drugie zjawiło się dopiero, gdy nauka osiągnęła już duży stopień rozwoju, ale — rzecz charakterystyczna — było rozwiązywane sporadycznie, jednostkowo i nie wywoływało w tym kierunku szerszego ruchu naukowego. W wieku XIV-ym historyk arabski Ibn-Chaldun (1332—1406) ułożył coś w rodzaju rozumowanej historyi ludzkości, usiłując w niej odnaleźć przyrodzone prawa wszelkiego życia kulturalnego przez kunsztowne porównywanie dziejów rozmaitych narodów. W wieku XVIII-ym Giovanni Battista Vico (1668—1744) przeprowadza w tymże celu śmiałą analogię pomiędzy dziejami narodów a życiem osobników; ale i ta próba pozostaje na razie samotną, nie będąc przez nikogo podejmowaną nanowo.

Jeżeli historyozofia uzyskuje w wieku XIX nowe pobudki do badań, to staje się to nie z powodu usunięcia z niej zagadnień metafizycznych, lecz wskutek jej zbogacenia i pogłębienia przez wysunięte na czoło zagadnienia innej jeszcze kategoryi. Z drugiej zaś strony zawdzięcza historyozofia swój rozwój energicznemu wyodrębnieniu jej z reszty nauk filozoficznych. O ile zasługa pierwsza, t. j. zbogacenie historyozofii nowymi motywami, a przedewszystkiem zagadnieniem stosunku pomiędzy oddzielnymi systematami kulturalnymi, należy do Schleiermachera, o tyle zasługa druga, t. j. wyodrębnienie i usamodzielnienie dociekań historyozoficznych, przypisana być musi Heglowi.

Olbrzymi wpływ Hegla w pierwszej połowie wieku XIX był istotnie zjawiskiem niezwykłem w dziejach. Ale wpływ ten, nie dający się zaprzeczyć w stosunku do swojej siły i obszaru, jest stanowczo przeceniany w stosunku do swojej głębokości. Można powiedzieć, że tylko ustrój umysłowości Hegla udzielał się jego naukowemu otoczeniu w Europie; Hegel uczył nie tyle wiedzieć, ile myśleć w swoisty sposób. Uformował on wprost umysły do takiego a nie innego ujmowania zagadnień filozoficznych, do wydobywania z nich zasadniczego ich kształtu, istotnej postaci, bez względu na mieszczącą się w nich treść. I szkoła heglowska polega w istocie rzeczy nie na pewnej wyznawanej wspólnie wiedzy, lecz na przystępowaniu do wszelkich zagadnień naukowych w odrębny sposób. Stąd też ta częsta niezgoda pomiędzy poszczególnemi grupami heglistów: w formy bowiem, jakie Hegel zaszczepił umysłom współczesnych, da się wlać każda treść. Stąd również te liczne nieporozumienia, z jakiemi się spotykała szkoła Hegla, nie będąca nawewnątrz jednolitą, a natomiast zawierająca w sobie z czasem biegunowo przeciwne teorye.

Tak się też stało z największem, bo najtrwalszem dziełem Hegla: z jego historyozofią, to znaczy w najwłaściwszem zrozumieniu tego wyrazu, z jego *filozofią historyi*. Niebawem w tę abstrakcyjną teoryę historyi poczęła się wlewać treść coraz to rozmaitsza. Dyalektyka historyczna poczęła działać raz jako narzędzie skrajnego radykalizmu, to znowu jako uzasadnienie skrajnego konserwatyzmu. Niebawem zapomniano o jednej teoryi historyi; potworzyły się rozmaite teorye dziejów. Historyozofia przybrała znaczenie *filozofii dziejów*.

Takiego losu oczekiwać mogła historyozofia w Polsce z tem większą słusznością, że umysł polski, jak stwierdza Trentowski, „niezdolny jest gryźć oderwanych trupich wiórów; on chce smacz-

nej pieczeni.“ [1]) Nic dziwnego przeto, że abstrakcyjna teorya historyi Hegla działała w Polsce tylko jako pobudka, ale też jako pobudka ożywcza dla dociekań w narodzie, tracącym coraz bardziej grunt pod nogami i szukającym rozpaczliwie promyka nadziei wśród przeciwnych losów.

Trentowski, od czasu jak dostał skuteczną nauczkę patryotyzmu od Libelta, [2]) nietylko począł pisać po polsku, lecz próbował również uwolnić swój umysł od charakteru niemieckiego. Pisząc dotąd tylko po niemiecku, nagle doszedł pod wpływem krytyki Libelta do przeświadczenia, że „mądrość żywcem z Niemiec na ziemię polską przelana, byłaby mlekiem z piersi nieboszczyków.“ [3]) Mimo tych usiłowań jednak, mimo najgłębszego wielokrotnie wyrażonego przekonania, że Polakom innej filozofii potrzeba, aniżeli Niemcom, rdzeń nauki Heglowskiej przegląda przez wszystkie szwy „polskiego kontusza“, w jaki Trentowski swą naukę przystroił. Ciągle zaś powtarzana odrębność polska wykładanych teoryj sprowadza się właściwie tylko do bardzo oryginalnej, acz pono niezupełnie samodzielnej,[4]) za to jednak nawskroś spolszczonej, czasem nawet trafnej, lecz częściej groteskowej terminologii, żywcem zresztą nicowanej z nauki Hegla.

---

[1]) Chowanna, czyli System Pedagogiki Narodowej, jako umiejętności wychowania, nauki i oświaty, słowem wykształcenia naszej młodzieży — przez Bronisława Ferdynanda Trentowskiego. Edycya druga, całkiem przerobiona i pomnożona. Poznań. W drukarni i nakładem J. Łukaszewicza. 1845. Tom I. Str. 220.

[2]) W „Tygodniku Literackim“ z r. 1838 № 6 i z r. 1840 № 42 i nast. umieścił Libelt surową krytykę prac niemieckich Trentowskiego, zarzucając mu, że się wynarodowił. Zarzuty Libelta uzasadnione były przedmową do jednego z dzieł niemieckich Trentowskiego, w której tenże mówi o Niemczech, jako o nowej ojczyźnie, o Polsce zaś, jako o ojczyźnie dawnej; pisze po niemiecku, ponieważ jest filozofem, ojczyzną zaś filozofów są Niemcy; po polsku nie miałby pisać dla kogo. Zob. Struve: „Historya filozofii w Polsce,“ Warszawa, 1900, zesz. I, str. 42 — 43. W latach późniejszych, gdy polskie pisma jego uległy zjadliwym krytykom, a nawet prześladowaniu, rozgoryczony Trentowski żałował nieraz, iż po polsku pisać zaczął, narażając się z jednej strony na niezrozumienie i niewdzięczność, a z drugiej na stratę możności awansu w uniwersytecie freiburskim, gdzie był tylko docentem. Por. Chmielowski: „Filozof w więzach reakcyi.“ Ateneum, 1889, t. II, str. 358.

[3]) Chowanna, t. I, str. 220.

[4]) W swojej „Filozofii w Polsce“ powiada ks. Krupiński: „Nie chcemy posądzać naszych filozofów o plagiatyzm, ale zdaje nam się, że kopalnią nowo ukutych wyrazów była dla nich rozprawa Kamińskiego w „Haliczaninie“ (1830)

Historyozofia jednak, a raczej filozofia dziejów, która niesłusznie nazwę historyozofii przybrała, dotykała zbyt bliskich spraw, ażeby i pod tym względem poddać się miała całkowicie powadze Hegla. Owszem, formy wykładu historyi winny być też same, co u Hegla, ale należało w nie wciągnąć również dzieje ojczyste i rozwinąć w tej filozofii rolę narodu własnego. Hegel nie mówi w swej filozofii historyi nic o przyszłości. Nie przeszkadza to jego uczniom niemieckim widzieć w Niemczech właśnie miejsce przyszłego apogeum w rozwoju ludzkości; nie przeszkadza im to nawet upatrywać ten pogląd u Hegla samego, odczytywać to mianowicie między wierszami. W formach teoryi historycznej Hegla wszystko się zmieści.

W formach teoryi historycznej Hegla zmieścić się może również mesyanizm polski.

*

* *

Trentowski wykłada swoją historyozofię głównie w jednym z rozdziałów swojej „Chowanny.“ [1]) Przyczyna zarysowania filozofii dziejów w systemacie pedagogiki narodowej, jest czysto zewnętrzna. Trentowski uważa za odpowiednie pouczyć wychowawców o przyszłości historycznej, zwłaszcza zaś narodowej, ponieważ wychowaniec należy nie do naszego, ale do następnego pokolenia, działać będzie nie dzisiaj, lecz jutro. Mniejsza jednak o przyczynę zewnętrzną i nawet błahą. Wdzięczni jesteśmy Trentowskiemu, że się wogóle w tym względzie wypowiedział, tembardziej, iż stanowi to dziedzinę, w której najdalej od poglądów swego mistrza odbiegł. Zastanawiającem jest wszakże drugie uzasadnienie wprowadzania czytelników „na zajmujące uwagę i czarujące du-

---

pod tytułem „Czy język nasz jest filozoficzny.“ Tam jest już zarodek wszystkich „jaźni, mysłów, umów“ (nie kontraktów, lecz fantazyj), bez których można się było śmiało obejść.“ Dodatek do „Historyi filozofii w zarysie“ Schweglera. Warszawa, 1863, str. 445, odsyłacz.

[1]) „Chowanna“ tom II, wyd. II, 1846, str. 430 — 450; pozatem poszczególne myśli historyozoficzne rozsypane są w drugim tomie *wydania pierwszego* „Chowanny“ (z r. 1842) str. 449 — 1119; część ta „Chowanny“ stanowić miała w wydaniu drugiem tomy czwarty i piąty systematu.

cha historyozoficzne obszary.“ Otóż przyczyną tego jest, że „w narodowej mowie nie posiadamy jeszcze w tym rodzaju poszukiwań“—w przeciwnym razie autor radby tam czytelników odesłał. Nie można przypuszczać, iżby sobie Trentowski nie uświadamiał odrębności swojej od Hegla pod tym względem, skoro tę odrębność pod innymi względami raczej przeceniał. Nie mógł więc mieć tu na myśli przekładu z Hegla, albo oryginalnie napisanego powtórzenia systematu Hegla. Powoływaćby się mógł przecież tylko na taką historyozofię, która odpowiadała jego przekonaniom. O ile zaś do historyozofii wciągamy zagadnienia przyszłości, to musi się ona kształtować subjektywnie według życzeń, jakie względem dziejów przyszłych stawiamy, lub według nadziej, jakich spełnienia od nich oczekujemy. Wówczas jednak byłoby tyle systematów historyozoficznych, ilu jest ludzi, i powoływanie się wzajemne historyozofów na siebie byłoby niemożliwe—gdyby ich pozatem nie łączyły pewne zasady, w tej nauce stosowane. Taka zasada jednak istniała i była wspólna wszystkim heglistom. Stanowiła ją zaś metoda dyalektyczna, polegająca na odróżnianiu w każdem zjawisku trzech momentów: tezy, antytezy i syntezy. Ta troistość w systematyzacyi wiedzy była nicią, łączącą wszystkich heglistów w jedną szkołę, była też tą zasadą, dzięki której mogłaby istnieć historyozofia cudza, uznawana przez Trentowskiego.

Ale takiej historyozofii w mowie narodowej nie było. A co gorsza, istniejąca w języku niemieckim filozofia historyi mistrza samego nie była zgodna — przynajmniej w głównym podziale — z naczelną zasadą metodologiczną. Hegel dał ideę metodologii historyi, ale sam nie był jej w zupełności wierny. Najważniejszy bowiem podział historyi jest u niego nie trichotomiczny, lecz tetrachotomiczny, to jest: historya dzieli się nie na trzy, lecz na cztery główne ery, mianowicie świat wschodni, grecki, rzymski i chrześcijańsko-germański. W usprawiedliwieniu tego podziału powołuje się Hegel na olbrzymią przepaść, dzielącą Grecyę od Rzymu, przepaść ideową, nie mniejszą, jego zdaniem, od różnicy pomiędzy Wschodem a Grecyą; odrębność zaś świata germańskiego od rzymskiego widoczną jest nawet bez wskazywania palcem.

Nie można się oprzeć wrażeniu, że ten podział, w tak jaskrawej będący niezgodności z zasadniczą ideą historyozoficzną Hegla, nie jest pozbawiony pewnej tendencyi, a mianowicie tendencyi wyodrębnienia z całości dziejów tej ich części, w której się zjawia i działać poczyna pierwiastek germański. W razie podziału bowiem okresu germańskiego na dwie części i zlania

poprzedzających okresów w jedną erę, nie stoi, jak to zobaczymy, nic na przeszkodzie zachowaniu trichotomii.

Zresztą za ten podział historyi na cztery części był Hegel pociągany do odpowiedzialności filozoficznej przez tych swoich uczniów, którzy jego nauce byli bardziej wierni, niż on sam. Między innemi podział Hegla został gruntownie skorygowany przez Augusta Cieszkowskiego, którego stylowe dziełko „Prolegomena zur Historiosophie“ (1838), wydane lat parę przed „Chowanną“ (1842) wpłynęło być może na podział historyi na epoki, dokonany przez Trentowskiego.

Z pośród reform, przeprowadzonych przez Trentowskiego w Heglizmie, jedną z najważniejszych jest właśnie oparcie swych narodowo-filozoficznych aspiracyj na ścisłej trichotomii. To też i w historyozofii czwórdzielność Hegla przeobraża się w trójdzielność w powyżej wskazany sposób. Wschód, Grecya i Rzym stanowią zatem tylko trzy okresy jednej wielkiej ery starożytnej. Świat zaś germański według Hegla, a chrześcijański według Cieszkowskiego, rozpada się u Trentowskiego na dwie ery: średniowieczną, przechodzącą przez trzy okresy kształtowania się chrześcijaństwa, i nowożytną, wyrażającą się w trzech okresach dążenia do wolności. W ten sposób nie tylko cała historya dzieli się na trzy ery, lecz i każda era—na trzy okresy. I zarówno jak ery, tak i okresy między sobą znajdują się w stosunku tezy — antytezy — syntezy. Heglizm zatryumfował tu mimo Hegla.

Dodać wszakże wypada, że poza ogólną tetrachotomią stosował Hegel w szczegółach trichotomię, że zatem każda z jego czterech wielkich epok dzieli się na poszczególne trzy okresy, z których też pewne rozpatrywane są z trzech punktów widzenia. [1]) Pozatem również ogólny pogląd na znaczenie historyi i dziejów Trentowski dzieli ze swym mistrzem.

„Historya powszechna jest postępem w świadomości wolności — postępem, który mamy poznać w jego konieczności.“ [2]) To

---

[1]) Poglądy historyozoficzne Hegla wyłożone są w dziele „Naturrecht und Staatswissenschaft im Grundrisse“ z roku 1821, przezywanym zwykle „Filozofią prawa,“ a umieszczonym w tomie VIII wydania zbiorowego z r. 1833, oraz w jednej części dzieła „Encyklopädie der philosophischen Wissenschaften im Grundrisse“ (pierwsze wydanie r. 1817); część ta nosi nazwę „Vorlesungen über die Philosophie der Geschichte“ i zajmuje tom IX wydania zbiorowego z r. 1837.

[2]) Hegel: „Vorlesungen über die Philosophie der Geschichte. Herausgegeben von F. Brunstäd“ (Reclams Universal-Bibliothek), str. 53.

Heglowskie określenie historyi przyjmuje Trentowski bez zastrzeżeń. I dla niego poszczególne okresy życia ludów stanowią konieczne uwarunkowanie doskonalenia się człowieka. Postęp, jaki się dokonał w pochodzie dziejowym ludzkości, musiał iść po tych szlakach, po których szedł w rzeczywistości. Albowiem coraz głębsza świadomość wolności ludzkiej była zawsze i jest stale celem, do którego życie wogóle zmierza. Wolność zaś jest wyrazem najistotniejszego pierwiastka człowieka: jego jaźni, objawiającej w nim drzemiącego boga, boga in potentia, którego należy przetworzyć w boga czynnego, boga in actu. U Hegla znajdujemy słowa następujące: „Człowiek jest sam sobie celem tylko ze względu na boskość, jaka w nim tkwi.“ [1])

*

* *

Z taką zasadą naczelną, stosowaną w całej pełni w „całokształcie pedagogiki narodowej,“ charakteryzuje Trentowski poszczególnie ery dziejów i ich okresy.

Pierwsza era, obejmująca wieki starożytne, odznacza się tem, że „rozwija i wyczynia wśród ludzkości *Tuteczność*.“ [2]) Jej bogiem—duch natury, czyli demon, przybierający jako ogół wszechrzeczy różne nazwy, np. Hentopan, Panspermion, Nus. W ten sposób wykształca się panteizm w filozofii, a politeizm w religii. „Przeświadczenie“ (świadomość) jest w tej erze tylko ogólne, narodowe. Celem powszechnym—uniwersalna monarchia. „Gwiazdą zbawienia wyświęca się *wolność*, cnotą wszech cnót *waleczność*, a istną mądrością *polityka*. Słowem, to ludzkość w dzieciństwie, człowiek ogólny pędrak.“ [3])

Do pierwszego okresu tej ery należą Indye, Chiny, Japonia, Persya, Assyrya, Babilonia, a w części i Palestyna. Najgłówniejszą cechą społeczną tego okresu jest rozbicie żywota ludzkiego

---

[1]) Hegel, l. c. str. 71.

[2]) „Chowanna,“ tom II, str. 433. *Tuteczność* oznacza rzeczy i sprawy ziemskie, doczesne i jest przeciwstawieniem *tameczności*, oznaczającej rzeczy pozadoświadczalne i wieczne. Terminy te odpowiadają ściśle niemieckim „das Diesseits“ i „das Jenseits.“

[3]) „Chowanna“ t. II, str. 435.

na dwa czynniki, starczy i niemowlęcy. Na tym stopniu rozwoju wyrabia się pierwiastek azyatycki, którym jest niewola, ciemnota i wieczne stanie na miejscu.

Drugi okres obejmuje życie historyczne Fenicyan, Sycylijczyków, Kartagińczyków, Greków i Rzymian. Tutaj lud jest najwyższym panem i sędzią. Miejsce dawnej „roztropności politycznej“ zajmuje moralność, a dawniejsze cele fizyczne przeobrażają się w cele etyczne. W tym okresie, zwłaszcza przez Greków i Rzymian, został wykształcony pierwiastek europejski, którym jest moralność, światło i nieustanny postęp.

Dopiero ze zlania stanu patryarchalnego okresu pierwszego ze stanem „republikanckim“ okresu drugiego powstaje stan monarchiczny, będący cechą najważniejszą okresu trzeciego. Jak okres pierwszy porównać można do niemowlęctwa, a drugi do dzieciństwa, tak okres trzeci do chłopięctwa. Każdy okres obok objawów, które miały być zwalczone i przeżyte, pozostawił po sobie spuściznę, którą jeszcze dotąd władnie ludzkość. Tak po okresie pierwszym został materyalizm i egoizm, po drugim duch republikański, po trzecim powszechna cześć dla prawa.

Z tego przebiegu pierwszej ery przekonać się można, że „ani w jedynowładnej woli patryarchalnego Czyngis-hana, ani w moralności samej, ani w prawie ustanowionem, niema niewzruszonej podwali do szczęścia ludzkości... Okres pierwszy dał twierdzenie, drugi przeczenie, a trzeci kojarzenie... Były to czasy konieczne. Ludzkość ociosywała się w nich z najgrubszego. Kto nie przebył niemowlęctwa, dzieciństwa i chłopięctwa, jakże zdołałby być młodzieńcem, mężem [1])?“

Jak era starożytna „wyczyniała Tuteczność,“ tak średniowieczna „ma za najkardynalniejszą cechę, że bawi się wyłącznie około Tamteczności.“ Jej cechami dalszemi są uznawanie Eona, czyli „ducha nienatury,“ uwielbianie świętych, mianowanych przez Kościół, poddawanie się kodeksowi praw nie cywilnych, lecz kanonicznych. „Przeświadczenie“ nie jest już w tym okresie wyłącznie ogólne, lecz także szczególne. „Gwiazdą zbawienia ukazuje się łaska kościelna; cnotą cnót pokora przed kapłaństwem, a istną mądrością ślepa nieograniczona wiara... Słowem, to człowieczeństwo podrostek [2]).“

---

[1]) „Chowanna,“ t. II, str. 442-3.

[2]) Tamże, str. 445.

Pierwszy okres tej ery wypełnia postępowe zapanowywanie chrześcijaństwa nad światem przy jednoczesnym rozwoju jednostkowego uczucia (zbawienie indywidualne) i entuzyazmu dla prawdy nauki i osoby mistrza. Te czasy „istnie chrześcijańskie“ mijają wszakże; rozpoczęta tu indywidualizacya rozwija się coraz bardziej; wreszcie staje się nadmierną i bezgraniczną; nastaje nieład ogólny, w którym każdy jest wrogiem swego bliźniego.

Ten nieład ogólny spostrzegł drzemiący w człowieku „duch carsko-romański“ i postanowił dźwignąć się nanowo; a gdy to postanowił, utworzył Papiestwo. „Republikancka rzesza prawowierna obróciła się w despotyczne Carstwo kościelne,“ będące zaprzeczeniem prawdziwego chrześcijaństwa, a staczające się coraz bardziej z powrotem w pogaństwo. „Świat, zabijany na duchu, codzień widoczniej przyjmował postać smętarza.“ To pora scholastyki.

Ostatni wreszcie okres ery średniowiecznej jest czasem reakcyi ducha germańskiego przeciw romańsko-despotycznemu papiestwu. Pod wpływem literatury greckiej odradza się nauka, odżywa umysł ludzki. Na tę próbę wyjścia z mroków średniowiecza odpowiada papież ustanowieniem szpiegów, inkwizycyi świętej, cenzury i tortur. Wtedy powstają Wiklef i Huss i wreszcie Lutrowi udaje się przełamać papieską wszechmoc. Tak kończy się średniowiecze [1]).

Zasługą wieków średnich pozostaje wyprowadzenie „tameczności“ na światło i wyrobienie świadomości szczególnej. Przestępstwem ich największym jest, „że w imię świętości zagładziły

[1]) Te i tym podobne, niejednokrotnie wygłaszane poglądy Trentowskiego na katolicyzm i luteranizm, a zwłaszcza namiętna i rozpaczliwa obrona przeciw duchowieństwu i krytyce klerykalnej, które w latach późniejszych prześladowały jego pisma, były prawdopodobnie przyczyną tego, że Trentowski uchodził w szerokich kołach za protestanta, o czem się ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedział podczas pobytu swojego w Paryżu w r. 1858. Trentowski był jednak przez całe życie katolikiem, brat jego nawet gorliwym księdzem katolickim. Stanowisko swoje względem katolicyzmu i protestantyzmu w ostatecznej postaci kreśli Trentowski w jednym ze swych listów paryskich. „Filozofia to chrześcijaństwo XIX wieku i tryumf katolicyzmu nad niemieckim protestantyzmem, a francuskim socyalizmem i realizmem wiarowym. Najżarliwszy robi się ze mnie katolik, ale na filozofii niepodległej, na światłości stojący, a wróg katolicyzmu z XIV wieku, który w średniowiecznym duchu u rodaków naszych i tutaj i w Polsce wciąż jeszcze żyje, który wywołał w Niemczech wojnę trzydziestoletnią, a we Francyi rewolucyę wiel-

wolność; że o prawdzie i cnocie krzywe utwierdziły pojęcia; że prześladowały istne prawo i światło. Im winniśmy przywileje i dzisiejszy historyczny pierwiastek.“ [1])

Skończyła się tedy druga mała trójka, a z nią i druga część trójki wielkiej. Zaczyna się nowy okres, a z nim i nowa era, era „nowoczesna.“ Jej najgłówniejszym wyrazem jest „tuteczność, usiłująca zadławić i połknąć tameczność, czyli tuteczność i tameczność w walce na zabój [2]).“ Charakteryzuje tę erę uznawanie nie Demona, ani Eona, nie ducha natury, ani ducha nienatury, lecz ducha człowieczego. Przeświadczenie było w starożytności ogólne, w średniowieczu szczególne; teraz zaś ma być jednostkowe, t. j. każdy człowiek ma się czuć np. „nie już Polakiem, albo szlachcicem, lecz samym sobą, bóstwem.“ Zadaniem też naszych czasów jest rozszerzenie uczucia jednostkowego. Gdy każdy pozna w sobie i bliźnim bóstwo, wówczas ujrzy też dokoła siebie świat boski, czyli „tameczność,“ przenikającą „tuteczność.“

Jak w każdej trójce małej (okresach poszczególnych), otrzymujemy twierdzenie—przeczenie—kojarzenie, tak też każda z tych trójek w całości, stanowiąca jedną część trójki wielkiej (poszczególna era), jest również twierdzeniem, przeczeniem, albo kojarzeniem. Wieki starożytne były twierdzeniem: odpowiadał im byt, tuteczność; wieki średnie były przeczeniem: odpowiadała im nicość, tameczność; wieki nowożytne są kojarzeniem tych sprzeczności poprzez ich walkę, są zatem „żywostanem.“ Era niniejsza zakończy się z chwilą, gdy ten żywostan zamieni się na „bożostan“, t. j. gdy utwierdzi się na ziemi panowanie porządku boskiego [3]).

---

ką, który i u nas zapalił wojny kozacze, a rzucił naród do grobu. Prawda, że i katolicyzm ten, acz prawdziwy i jeden zbawiający, oburzać będzie klechów, zwłaszcza waszych na Litwie, ale i cóż robić. Ja muszę się trzymać posłannictwa mego i iść za głosem z niebios, a wiem, że przy silnem przekonaniu i wytrwałości zgoła jeden człowiek w końcu zwycięży i cały naród przerobi.“ Zob. Chmielowski l. c. str. 367.

[1]) „Chowanna,“ t. II, str. 452.

[2]) Tamże, str. 453.

[3]) „Byt—niebyt—żywostan—bożostan“ stanowią u Trentowskiego pierwszą z trzech „filozoficznych czwórek,“ wytworzonych z trzech rodzajów „wiedzobłamu“ (kategoryi) Stanu. Przyczem byt odpowiada niemieckiemu *das Sein*, niebyt — *das Nichts*, żywostan — *das Werden* (stawanie), bożostan—*das Bestehen*, *die Permanenz* (trwanie, wieczność). Drugą taką czwórkę stanowią: twierdzenie (*das Bejahen*), przeczenie (*das Verneinen*), kojarzenie (*die Limitation*) i zjedno-

Pierwszy okres nowej ery nastąpił wraz z reformacyą Lutra. Reformacya ta oznacza zwycięstwo jednostki na polu religijnem. Duch Europy stał się głębszy, wszechstronniejszy i wolniejszy. Jak więc rzymski katolicyzm (pierwiastek romański) zmateryalizował chrześcijaństwo, tak niemiecki protestantyzm (pierwiastek germański) zidealizował je. Odzyskać Kościół Chrystusowy z powrotem, to zadanie, po którego rozwiązaniu zajaśnieje na ziemi Era męska.

Usilna akcya papizmu przeciw rozszerzającej się wolności i oświacie wywołała silny ruch umysłowy we Francyi, który szybko przeszedł do Hiszpanii, Polski, Włoch i dosięgnął nawet samego Rzymu. Tego ruchu umysłowego skutkiem była Wielka Rewolucya francuska: „nie bagnety, lecz myśli są wiatrami, które okrętem ludzkości miotają.“ Jak duch niemiecki na polu religijnem, tak duch francuski na polu politycznem uwolnił jednostkę od wielotysiącoletniego opiekuństwa. Przyznano nareszcie dojrzałość każdemu obywatelowi. Rewolucya francuska dopięła tylko w połowie swoich celów, ponieważ odbywała się pod niewłaściwym kierownictwem ludzi zbyt młodych, którzy tylko burzyć, a nie budować potrafili. Dlatego też Bonaparte, „mąż wielkiego, lecz przeklętego imienia,“ zdołał wydobyć z pod gruzów tron i ołtarz. „Skończyła się rewolucya, lecz skutki jej trwają dziś jeszcze, będąc pszenicznym przyszłego zboża zasiewem. Jest to ozmina, która nie lęka się mocy monarchów, która wzmoże się i dojrzeje, gdy nadejdzie wiosna [1]).“

---

czenie (*das Vereinigen*); wreszcie trzecią—przedmiotowość, podmiotowość, przedi podmiotowość i miotowość (*Objektivität, Subjektivität, Objekt - Subjektivität* i *Conjectivität*). Zob. „Myślini,“ tom I, str. 106 i n. i 278 i n. „Chowanna,“ t. I, str. 24 i n.

[1]) To przychylne, a nawet poniekąd entuzyastyczne stanowisko Trentowskiego względem rewolucyi, zmieniło się z czasem. Już w rok po wydaniu pierwszej edycyi „Chowanny,“ w pierwszej swej broszurze politycznej p. n. „Stosunek filozofii do cybernetyki“ (1843) wystąpił Trentowski przeciw „czerwieńcom,“ albo, jak ich później nazywał, „przespołeczniaczom.“ Jednak przychylne względem rewolucyi francuskiej słowa zostały i w drugiem wydaniu „Chowanny“ (1845—6). Daje się to wytłómaczyć tem, że Trentowski przypisywał rewolucyi znaczenie lokalne i czasowe: było ono dodatnie w swoim czasie i we Francyi — w czasie obecnym i w Polsce rewolucya oddziałałaby szkodliwie. Przypuszczenie to potwierdzać się zdaje wyjątek z listu, pisanego do przyjaciela (Zdanowicza) w czasie przygotowywania do druku dzieła z zakresu reform społecznych p. n. „Dydaktyka,“ przerobionego następnie, a wy-

W okresie trzecim ery współczesnej spotyka się radykalizm z historyzmem i usiłuje się z nim stopić; ale wszędzie odżywają nanowo stare hasła i prądy; mamy wszystkie możliwe stopnie i wszystkie możliwe kombinacye dążeń w rozmaitych kierunkach. „Powszechny krzyk, rwetes i odmęt duchowy. Pracujemy istnie przy budowie nowej wieży babilońskiej."

*

* *

Tak się przedstawia według Trentowskiego dotychczasowy rozwój historyczny ludzkości. Czy jednak filozofia dziejów może się na tem zatrzymać?

Pytanie takie, którego rozwiązania nie dał sam Hegel, dręczyło wszakże heglistów. Chodziło im bowiem o systematyczne włączenie przyszłości do materyału, rozpatrywanego przez historyozofię. Takie jednak systematyczne włączenie polegać mogło zgodnie z duchem Hegla tylko na zasadzie trójdzielności. Cieszkowski w przytoczonem już dziele (str. 24 — 25) reformuje Hegla w ten sposób, że wszystkie trzy epoki, poprzedzające świat germański, ujmuje jako jedną erę przedchrześcijańską, czyli starożytną. Ale w dalszym ciągu, idąc za Heglem, ujmuje erę drugą, jako chrześcijańsko-germańską, czyli współczesną. Obecnie, wychodząc z ery drugiej, wkraczamy w trzecią, ostateczną, boską, w której wszystkie sprzeczności epok i er poprzednich dojść mają do ostatecznego rozwiązania. W ten sposób przyszłość została przez Cieszkowskiego wcielona do historyozofii, w ten też sposób zasada trójdzielności została ocalona.

Trentowski, którego również jak i innych heglistów dręczył brak trójdzielności w głównym podziale historyi, dokonanym

---

danego dopiero pośmiertnie, jako „Panteon wiedzy ludzkiej" (1873, 1874, 1881). Trentowski pisze (w r. 1857): „Spodziewam się, że dzieło moje zrobi wrażenie, a nawet stanie się silną zaporą przeciw czerwonemu, bezbożnemu, wszechbożeńskiemu, pieniężnemu, cielesnemu, demokratycznemu, słowem rewolucyjnemu duchowi czasów naszych, który jest klęską Zachodu, a przedziera się także do nas i zagraża nam burzą wewnętrzną." Zobacz Chmielowski l. c. str. 354.

przez Hegla, usiłował ocalić trójdzielność w sposób odrębny. Pozostawiając erę starożytną w ujęciu Cieszkowskiego, dzieli Trentowski świat germańsko-chrześcijański na dwie części: średniowieczną i nowożytną. O ile więc w samem przeprowadzeniu trójdzielności dostrzedz można wpływ Cieszkowskiego, o tyle w obejmowaniu tą trójdzielnością wyłącznie przeszłości tkwi niewątpliwie nawrót do Hegla, który wogóle tylko do przeszłości się ogranicza. Ale na takie wyłączenie przyszłości z historyozofii nie mógł się Trentowski zgodzić, jak się nie mógł zgodzić na tetrachotomię: po pierwsze dlatego, że nie mógł się on zatrzymać na „odmęcie duchowym," jaki, według zdania Cieszkowskiego i jego własnego, panuje obecnie; powtóre zaś dlatego, że pragnął szczepowi słowiańskiemu, który nie brał dotąd wybitnego i decydującego udziału w losach świata, udzielić wysokiego powołania w przyszłości — zgodnie z szerzącemi się podówczas ideami i nadziejami rozsypanych po emigracyi Polaków.

Ażeby jednak ta przyszłość, jako nowy czynnik, nie naruszała spekulacyjnej skończoności trzech trójek dokonanych, musi ona stanowić ogniwo w nowym trójszeregu. W sposobie rozwiązania tej trudności nie można odmówić Trentowskiemu pomysłowości.

Dotąd trwała walka „tameczności z tutecznością;" z chwilą zakończenia tej walki — co właśnie należy do zadań teraźniejszości—nastąpić winno panowanie świata boskiego, w którym wszystkie sprzeczności zlewają się w harmonijny całokształt. Ten punkt historyozofii Trentowskiego brzmi najwyraźniej w tenże sam sposób, jak u Cieszkowskiego, i nie omylimy się chyba w przypuszczeniu, że wogóle Cieszkowskiemu zawdzięcza swoje powstanie. Ale świat boski stanowi u Cieszkowskiego nietylko erę przyszłą, lecz erę *trzecią* i *ostatnią*, a więc zakończającą i zaokrąglającą całokształt trichotomiczny. Trentowski zaś ujmuje trzy ery upłynione w jedną całość, którą nazywa Arcyerą. Stoimy teraz właśnie u wylotu Arcyery pierwszej i wstąpimy niezadługo w Arcyerę drugą. Jak Arcyera pierwsza stanowiła młodość świata, tak druga stanowić będzie jego dojrzałość, pełnoletniość i męskość. Po drugiej tej Arcyerze nastąpi jeszcze trzecia, wyobrażająca starość rodzaju ludzkiego.

Mamy więc znowu trójkę, Arcytrójkę. Tylko, że w niej przestały widocznie grać rolę prawa, które były działały w pierwszym jej ogniwie: tam bowiem po twierdzeniu następowało przeczenie, a potem kojarzenie. Najbliższa nam Arcyera druga win-

naby zatem być „przeciwtwierdzią“ (antytezą) pierwszej, trzecia zaś — „spółtwierdzią“ (syntezą) dwóch pierwszych, a wszystkie Arcyery razem winnyby tworzyć znowu twierdzenie jakiejś Arcyery wyższego jeszcze stopnia i t. d. w nieskończoność. Odpowiadałoby to zasadom Heglowskiej metody dyalektycznej, aczkolwiek nie byłoby zgodne z jego faktyczną nauką. Tymczasem Trentowski, który dotąd poświęcał naukę Hegla dla jego metody, nagle porzuca metodę dla pewnego twierdzenia w nauce. Twierdzeniem tem było ujmowanie każdego narodu w analogii do osobnika. Jak osobnik rodzi się, przechodzi przez rozmaite okresy swojej młodości, dochodzi wreszcie do lat dojrzałych i z tej wysokości rozwoju swoich sił i zdolności stopniowo schodzi do starczości i martwoty, tak i naród każdy musi w czasie swego istnienia osiągnąć swój najwyższy rozkwit, ażeby po zupełnem wyczerpaniu się w takim momencie ledz w duchowy grób lub conajwyżej wegetować tylko dalej bez pożytku dla świata. W ten sposób wysuwają się kolejno na szczyt kultury pojedyńcze narody, przyczem żaden naród nie staje na czele rozwoju powszechnego więcej, niż raz i żaden nie osiąga całkowitego rozkwitu swoich sił więcej, niż raz. Ta analogia rozwoju ludzkości do rozwoju człowieka, błąkająca się po filozofii historyi jeszcze od Vico'na, a zastosowana do całokształtu historyi przez Herdera [1]), nie uzyskała nigdzie tak ścisłego i systematycznego wyrazu, jak u Hegla, zastosował on ją bowiem nietylko do całości dziejów, lecz i do dziejów poszczególnych narodów.

Zapłodniony przez tę ideę, wprowadza ją Trentowski do swej historyozofii i rozciągając, w celach ukrytych acz przejrzystych, okres młodzieńczy świata, porzuca formalną tylko dyalektykę Hegla, zrzeka się tak jasnego i konsekwentnego stanowiska Cieszkowskiego i buduje nową trójkę, na innych, niż dotychczasowe, opartą zasadach.

W ten sposób całokształt dziejów w ujęciu Trentowskiego przedstawić można w następującym schemacie:

---

[1]) Dla Herdera wiek dziecięcy ludzkości przedstawia Wschód, w wieku chłopięcym znajduje się ludzkość w Egipcie i Fenicyi, wiek młodzieńczy osiągnięty został w Grecyi, męski—w Rzymie, a wreszcie starczy — z zapanowaniem chrześcijaństwa. Myśl tę przeprowadza Herder w dziele „Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit“ (1784 i n.). Istnieje przekład polski p. n. „Pomysły do filozofii dziejów rodzaju ludzkiego,“ przełożył J. Bychowiec, 3 tomy, Wilno, 1838.

A. **Arcyera pierwsza. Młodość świata.**
   I. **Era pierwsza.** Starożytność. **Twierdzenie.**
      a) *okres pierwszy:* stan patryarchalny, czyli niemowlęctwo świata;—*twierdzenie;*
      b) *okres drugi:* stan republikański, czyli dzieciństwo świata;—*przeczenie;*
      c) *okres trzeci:* stan monarchiczny, czyli chłopięctwo świata;—*kojarzenie.*
   II. **Era druga.** Średniowiecze. **Przeczenie.**
      d) *okres pieruszy:* czas istnie chrześcijański; — *twierdzenie;*
      e) *okres drugi*: czas hierologiczny, lub spogańszczonego chrześcijaństwa;—*przeczenie;*
      f) *okres trzeci:* czas libertyński, czyli reakcyjno-chrześcijański;—*kojarzenie.*
   III. **Era trzecia.** Nowoczesność. **Kojarzenie.**
      g) *okres pierwszy:* reformacya Lutra;—*twierdzenie;*
      h) *okres drugi*: rewolucya francuska; — *przeczenie;*
      i) *okres trzeci*: czas pseudo-konstytucyjny; — *kojarzenie.*

B. **Arcyera druga. Męskość świata.**

C. **Arcyera trzecia. Starość świata.**

Przeniósłszy w konstrukcyi arcyer punkt ciężkości z zasady dyalektycznej na zasadę analogiczną, nie wdaje się Trentowski w dokładny podział dziejów dalszej przyszłości, objętej arcyerami drugą i trzecią. Nie postępując „awożnie“ (konsekwentnie) [1]) i urywając wątek dyalektyczny na erach, nadawać musi Trentowski życiu ludzkości cechę ograniczoności i skończoności: wewnętrzny cel życia, zbliżenie się do doskonałości boskiej, staje się czemś skończonem i możliwem do osiągnięcia. W ten sposób przesunął Trentowski Hegłowskie pojęcia życia, jako czegoś rozpierającego samo siebie na zasadzie wewnętrznej sprzeczności, tkwiącej w każdem wogóle pojęciu. Życie ludzkości więc ma, zdaniem Trentowskiego, kres; gdy ten zostanie osiągnięty, zagaśnie zwolna zarówno nasz planeta, jak i ludzkość. Do takiego beznadziejnego

---

1) „Awożność,“ pochodząca od staropolskiego: awoż, co znaczy ergo, also, wyraża, zdaniem Trentowskiego lepiej i pełniej niemiecki termin Consequenz, niż używane do owego czasu „związek myśli“ lub „następstwo myślenia.“ „Konsekwencya brzmi po polsku za dziko.“ Zob. „Myślini,“ t. 1, str. 32, „Chowanna,“ t. I, str. 48.

i w gruncie rzeczy bezcelowego wyniku doprowadza Trentowskiego w ostateczności owo sprzeniewierzenie się zasadniczej idei nieskończonej dyalektyki. Dalekim był Trentowski od genialnego i porywającego mocą wyobraźni rozwiązania tego zagadnienia przez Cieszkowskiego. [1])

Ale zresztą kres świata i ludzkości nie zajmuje Trentowskiego zbytnio. Bliższym jego zainteresowania jest przedewszystkiem ideał ustroju przyszłego, a następnie rola, jaka w tym ustroju przypadnie w udziale Słowianom, mianowicie zaś Polakom.

Ideał ustroju przyszłego widzi Trentowski w bezwzględnej wolności jednostki pod względem religijnym, moralnym, politycznym i społecznym. Ideału tego nie urzeczywistnią wszakże ani romańskie ani germańskie ludy, które już szczyt swojego rozwoju osiągnęły i obecnie tylko cofać się mogą albo robić nieudolne próby odświeżenia starganych sił. Przyszłość należy do Słowian, którzy dotąd nie grali jeszcze samodzielnej roli w powszechnym rozwoju kulturalnym. Zadaniem ich jest przelanie obydwóch jednostronnych wyrazów dotychczasowej kultury — *realizmu* i *idealizmu*—w wszechstronną i wszechogarniającą *rzeczywistość* boskiego pierwiastka. Tak więc znowu dyalektyka historyi wskazuje na Słowian, jako na wcielenie kultury przyszłości.

Propagując ideę słowiańską przestrzega jednak Trentowski przed jednostronnością i zaślepieniem; hołdować należy nie „rosyjskiej idei panslawizmu," ani austryackiej idei „wschodnio-południowego państwa słowiańskiego ze stolicą w Carogrodzie," lecz jedynie polskiej „idei Rzeszy wszechsłowiańskiej... przyrzekającej każdemu ludowi nietykalność sumienia i wszech narodowości, tudzież osobną, do miejsca i obyczaju zastosowaną konstytucyę." [2]) Odrzucić więc należy nauki „mędrców z pod ciemnej gwiazdy północnej," jakoby sobkostwem była chęć pozostania Polakami, a niechęć do zlania się z liczniejszą rzeszą słowiańskiego szcze-

[1]) Cieszkowski, zastanawiając się nad pojęciem końca świata, dochodzi do wniosku, że pojęcia tego nie należy nigdy rozumieć bezwzględnie. Mówimy przecież o końcu świata starożytnego, a czyż przez to świat istnieć przestał? Koniec więc świata wogóle nie oznacza bezwzględnego zaniku wszystkiego, lecz radykalną, *jakościową* zmianę istnienia. „Ów koniec świata zależy tylko na przeistoczeniu dotychczasowego stanu i dotychczasowych form istnienia w inne, dalsze i doskonalsze, a miasto zniszczenia, na *podniesieniu* go do wyższej potęgi. Bo pomnijmy zawsze, że życie się *wznosi*, ale nie znosi, — Vita tollitur quidem, sed sursum!" — „Ojcze nasz," Paryż 1848, tom I, str. 302.

[2]) „Chowanna," t. II, str. 472.

pu. [1]) Odrzucić również należy nauki „mędrców z pod ciemnej gwiazdy południowej," jakoby kościół był świętszym od ojczyzny, jak Bóg jest świętszym od świata. Hasłem winno być nie przez Boga lub słowiańskość do ojczyzny, lecz odwrotnie: przez ojczyznę do słowiańskości i Boga.

Zastrzegając się przeciw nieodpowiedniemu pojmowaniu idei słowiańskiej, wysuwa więc Trentowski na plan pierwszy swobodny rozwój każdego z narodów, należących do wielkiej rodziny słowiańskiej. Nie przez zatracenie cech narodowych, lecz przez ich kształcenie i doskonalenie dojść może do wzajemnego porozumienia między poszczególnymi szczepami słowiańskimi. Doradzając wewnętrzne doskonalenie się, odradza Trentowski zarazem zbyt silne bratanie, któreby mogło zaszkodzić obu stronom, zwłaszcza zaś stojącej kulturalnie wyżej. „Nieprzyjaciółmi jesteśmy tej myśli, że wszyscy Słowianie są ze wszech miar bracia nasi. Wiele szczepów słowiańskich nie walczyło nigdy za wolność i okazują się do dzisiaj względem niej obojętnymi, jeden zaś walczy ciągle za niewolą i zagraża swobodzie Europy. Polak żył zawsze dla wolności i czynił dla niej największe ofiary. Nie mieszajmy się przeto zanadto z pobratymczymi niewolnikami; nam stać oddzielnie potrzeba, bo *jaźń nasza* i *dzieje nasze* innej zupełnie natury!" [2])

*

* *

Idea słowiańska Trentowskiego, będąca nietylko ukoronowaniem jego historyozofii, lecz i jej istotą i zasadniczym celem, jest wypadkową dwóch pobudek, które się wszakże rozgrywają na podłożu wspólnym. Pobudki te — to z jednej strony heglizm, z drugiej — mesyanizm; wspólnym zaś ich podłożem są ogólne aspiracye filozofii Trentowskiego.

Zależności swojej od Hegla Trentowski nie uświadamiał sobie należycie, mając olbrzymie złudzenia co do oryginalności swojej filozofii. Wyrzekał się on wpływu Hegla nietylko co do swoich

[1]) Albowiem przez szczep słowiański „nie godzi się rozumieć Waregszczyzny i wszystkiego co pochodzi od złotej hordy." „Myślini," t. I, str. X.

[2]) „Chowanna," t. I, str. 60.

prac polskich, lecz nawet co do swych pierwszych prac niemieckich. Na szerzone w kraju zarzuty, że jest Heglistą, odpowiedział Trentowski w jednym z listów do przyjaciela (Zdanowicza) z r. 1861: „Ja mam być rozkrzewiaczem filozofii niemieckiej! Ja najzaciętszy jej wróg i burzyciel! Gołuchowski wasz jest rozkrzewiacz filozofii niemieckiej, skoro... przyznaje sam, że trzyma się Chalybaeusa. [1]) Kremer także taki rozkrzewiacz, bo daje wam Loikę, Naturę ducha, nawet Fenomenologię Hegla, wprowadzając tylko w system ten przy końcu osobistego Boga. Zgoła Libelt jest taki rozkrzewiacz, bo jak wyznaje sam, bierze treść od Hegla, a tylko formę z mojej Myślini. Ale ja, com rozstał się całkowicie z Heglem i całą spekulacyą niemiecką od samego początku, nawet w pismach swych niemieckich, a usiłuję utworzyć filozofię narodową, polską i słowiańską, mającą charakter całkowicie inny, na Bogu osobistym i na moralności ugruntowaną a z chrześcijaństwem zgodną, ja, mówię, mam być filozofii niemieckiej rozszerzaczem?“ [2])

„Rozszerzaczem“ filozofii niemieckiej nie był Trentowski choćby dlatego, że był usilniej zwalczany niż czytany, zwłaszcza w szóstym i siódmym dziesiątku ubiegłego wieku. Nie można jednak powiedzieć, iżby od filozofii niemieckiej, względnie heglowskiej, był całkowicie wolnym; całkiem zaś nieprawdziwem jest jego twierdzenie, jakoby się ze spekulacyą niemiecką rozstał już w samym początku swej działalności piśmienniczej. Widzieliśmy, że Trentowski nietylko z filozofii Hegla wyszedł, lecz do niej często w swych wędrówkach spekulacyjnych zawracał, niby do bezpiecznego portu. W pismach zaś niemieckich Trentowski wprost szczyci się swoją zależnością od filozofii niemieckiej: we wstępie do jednego ze swych dzieł niemieckich [3]) powiada przecież, że filozofia jest z Niemcem identyczna!

Przekonanie Hegla o pewnem powołaniu, jakie spełnić ma w swem istnieniu każdy naród, natchnęło Trentowskiego myślą o przyznaniu roli dziejowej Słowianom. Heglowska więc prze-

[1]) W dziele swoim „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka.“ Wilno 1861, pisze Gołuchowski, że w pierwszym tomie wziął sobie za przewodnika, a nawet często tłómaczył dosłownie Chalybäusa „Historische Entwickelung der speculativen Philosophie von Kant bis Hegel.“

[2]) List ten jest przytoczony w „Panteonie wiedzy ludzkiej,“ tom III, str. 314—9. Zob. Chmielowski, l. c. 370.

[3]) „Vorstudien zur Wissenschaft der Natur,“ 1840.

słanka mesyanizmu polskiego Trentowskiego tkwi w tem, że nastąpił czas, w którym Słowianie, względnie Polacy, rozwinąć mają swoje przyrodzone siły narodowe i stanąć na czele kultury europejskiej, a zatem i wszechświatowej. Jak więc Hegel zatrzymał się na rozwoju szczepu germańskiego w teraźniejszości, tak Trentowski zatrzymuje się na rozwoju szczepu słowiańskiego w przyszłości. Jak dla Hegla cała przeszłość jest przygotowaniem do czołowej kultury germańskiej, tak dla Trentowskiego cała przeszłość i teraźniejszość jest podbudową do przyszłych wielkich losów, oczekujących Słowiańszczyznę. I wreszcie jak nie obchodzi Hegla przyszłość, sięgająca poza okres germański, tak Trentowskiego nie zajmuje przyszłość posłowiańska.

Heglizm więc był pobudką historyozofii Trentowskiego, jak był punktem wyjścia całej jego filozofii wogóle. Był pobudką, ale nie jedyną; drugą zaś były szerzące się w czwartym i piątym dziesiątku wieku ubiegłego polskie idee mesyaniczne.

Zarówno i tego wpływu wyrzeka się Trentowski. Utrzymuje on, że mesyanizm, jako kierunek mistyczny, zjawił się skutkiem bankructwa filozofii niemieckiej wogóle i heglizmu w szczególności i zaraził wszystkich tych, którzy na tym upadku „sławnej u wszech ludów europejskich filozofii niemieckiej“ ucierpieli. Między innemi i „Mickiewicz wynosi pod obłoki uczucie i egzaltacyą, prawi dziwne rzeczy o jakimś tam *Mesyanizmie.*“ [1]) Do jakiego stopnia ujemnie zapatrywał się Trentowski na mesyanizm, zwłaszcza zaś na mesyanizm Towiańskiego świadczą następujące słowa: „I rozpoczął się po różnych punktach chrześcijańskiego świata tybetański żywot ascetyczny... Powstały zgoła uczone teorye, wskazujące środki do zdobycia jasnowidzenia. Oto źródło mnogich włóczących się dziś po wszech krajach cudotwórców i fałszywych Proroków. Nawet Polakom okazało się pseudo-niebo przychylne, bo zesłało im Towiańskiego. Autor, patrząc na te *błazeństwa*, na te świadome lub nieświadome *szalbierstwa*...“ i t. d.[2])

Te i tym podobne przekonania Trentowskiego, który sam idee mesyaniczne, acz nie pod tą nazwą głosił, dowodzą, iż niedokładnie sobie naukę mesyaniczną uświadamiał.

Pierwszym, kto w tym kierunku chciał na Trentowskiego wpłynąć, był Mickiewicz. W liście z d. 9 września 1839 roku pisał Mickiewicz do Trentowskiego, starając się go namówić do

[1]) „Myślini,“ tom I, str. XVI.

[2]) Tamże, str. XXVI; podkreślenie moje. A. Z.

pisania po polsku: „Mnie się zdaje, że twój duch w polskim duchu począłby systema filozoficzne nowe i różne od tego, które teraz na obcej ziemi (a nazywam ziemią i książki) urodziłeś, albo raczej zbudowałeś.“ List ten na razie skutku nie wywarł. Przekonać Trentowskiego o obowiązku pisania po polsku zdołał dopiero Libelt. Ale też rozpocząwszy pisać po polsku, zaczął Trentowski istotnie nowe budować systema, oparte na wierze w świetlaną i pełną znaczenia przyszłość Polski.

Dwa te momenty krzyżują się ciągle w historyozofii Trentowskiego. Dochodzą one jednak do całkowitego zlania w systematyczny pogląd na dzieje dopiero wskutek oparcia ich na szerszem podłożu przekonań o filozofii narodowej. Trentowski był pierwszym, który głosił stworzenie filozofii narodowej. Polegać ona miała w części teoretycznej na ogarnięciu całej zdobytej wiedzy ludzkiej, na połączeniu wszystkich jednostronności, jakie są wytwarzane przez nauki poszczególne, w jedną żywotną wszechstronność. „Prawdziwa filozofia jest największą t. j. narozleglejszą i zarazem najciaśniejszą przedmiotu *Eliminacyą*, albowiem pragnąc pozyskać *wszechstronność*, musi nie dać się porwać od *żadnej jednostronności* i obcinać, jako *brzydkie wyskoki* każdą, tak miłą światu i tak snadnie zyskującą imie, ostateczność.“ [1])

Słowom tym, które prawie w tej samej formie legły u podstawy jednego z najnowszych kierunków filozofii, nie było danem zakwitnąć w kraju własnym. I jeżeli dzisiaj mówimy w pewnej szkole filozoficznej o metodzie eliminacyjnej, to zawdzięczamy ją nie Trentowskiemu, lecz Avenariusowi, filozofowi niemieckiemu.

„Wyczynienie“ wszechstronności z rozmaitych jednostronności jest zadaniem filozofii teoretycznej. Zadaniem filozofii praktycznej jest ową wszechstronność uzyskać w życiu. Że jednak największą wszechstronność stanowić może bóstwo, więc filozofia praktyczna ma na celu przetworzenie człowieka w bóstwo, a raczej wykształcenie w człowieku pierwiastka boskiego i zamienienie go w ten sposób z bóstwa in potentia w bóstwo in actu. Tym pierwiastkiem boskim w człowieku jest jego jaźń, objawem zaś tej jaźni „nie jest duch fizyczny czyli siła, ani ruch metafizyczny, czyli myślenie, ale *wola, przedsięwzięcie i czyn moralny, dzielność charakteru, miłość prawdy, piękności i cnoty, świętość, religia i polityka, zdolność do poświęcenia się i największych ofiar dla Dobrego.*“ [2])

[1]) „Chowanna,“ tom II, str. 518.

[2]) „Myślini,“ tom I, str. VIII.

Zadanie to, stawiane filozofii narodowej i rozwiązane przez Trentowskiego w jego „Chowannie," przeszło dalej i stało się istotnie punktem wyjścia wszelkich dociekań filozoficznych, na gruncie narodowym opartych.

Ta wszakże filozofia narodowa Trentowskiego jest podstawą, na której ścierające się w jego historyozofii pobudki dochodzą do pogodzenia. Mesyanizm, podporządkowany zasadzie heglowskiej, i heglizm, zastosowany do idei filozofii narodowej— oto formuła, w jaką ostatecznie można oblec historyozofię Trentowskiego.

D-r Adam Zieleńczyk.

PIŚMIENNICTWO.

LUDWIK JANOWSKI. *Lata uniwersyteckie Słowackiego.* Lwów, 1909. Nakładem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

O latach uniwersyteckich autora „Beniowskiego“ wiemy naogół bardzo mało. Spędzone w murach akademii chwile nie miały w życiu Słowackiego takiego znaczenia, jak dla Mickiewicza, nie znalazły też głębszego wyrazu w jego twórczości. Gdzieniegdzie rzucone drobne, uboczne wzmianki w pamiętniku lub listach—cały stanowią materyał, jaki poeta zostawił o latach swych studyów wyższych. Niema żadnego źródła, któreby choć pośrednio mogło dostarczyć obfitszych informacyj do charakterystyki Słowackiego, jako studenta uniwersytetu. Nie udało się również i p. Janowskiemu znaleźć ważnych w tym względzie materyałów, to też w pracy swej nakreślił przedewszystkiem „tło ogólne, podał parę faktów z kroniki życia wszechnicy i scharakteryzował przedstawicieli nauki, od których Słowacki czerpał wiedzę;“ słusznie bowiem zaznacza autor, iż „wiele czynników i zjawisk ówczesnego życia uniwersytetu mogło i nawet musiało odbijać się w rozwoju światopoglądu poety.“ W ten sposób powstało dziełko, stanowiące ciekawy przyczynek do dziejów uniwersytetu wileńskiego w najmniej dotychczas zbadanej epoce jego istnienia. Autor opierał się przeważnie na bogatym zbiorze rękopiśmienniczym po prof. Michale Polińskim (w Muzeum ks. Czartoryskich), korzystał nadto z niewydanych pamiętników „Nieznanego,“ ucznia oddziału matematycznego w latach 1825—1829, „Obrazków Litwy w XIX w.,“ spisanych przez d-ra A. Bućkiewicza, „Wspomnień“ Roszkowskiego i in.

Zaznaczyć należy, że studyum p. J. zarówno pod względem metodycznym, jakoteż bogactwa nagromadzonych szczegółów bio-

i bibliograficznych, jest pierwszem wzorowem opracowaniem jednej z kart dziejów *almae matris* wileńskiej. Niewiele też można dorzucić uzupełnień do nakreślonego przez p. J. obrazu.

Studya uniwersyteckie Słowackiego przypadają na czas potężnej reakcyi nowosilcowowskiej w Wilnie. Wprawdzie nie na wszystkich wydziałach wszechnicy ujawniła się w całej pełni niszczycielska działalność reakcyonistów, wszakże poczynione, zwłaszcza na fakultecie nauk moralnych i politycznych, wyłomy i szczerby, groźną stanowiły zapowiedź dla przyszłości. Zabrakło Czartoryskiego, Kontryma, Twardowskiego, Lelewela. Najlepsi z pośród „promienistej" młodzi poszli na tułaczkę wygnańczą. Autonomia uniwersytetu uległa znacznemu ograniczeniu, życie akademickie ujęto w karby przepisów policyjnych, system szpiegowski i denuncyatorski rozwinięto na szeroką skalę. „Duch wśród uczniów uniwersytetu jaknajlepszy — pisał Nowosilcow do W. Ks. Konstantego w raporcie z 28 listopada st. st. 1825 r. № 1513 (rkps.), z powodu wykrycia autora błahego wierszyka o nastroju liberalnym—dowodem jest fakt, że choć znalazło się dwóch przestępców, lecz znalazł się również i trzeci, który ich wydał." Bardziej jeszcze wymowne świadectwo o stosunkach, panujących po r. 1824 w okręgu naukowym wileńskim, daje senator w sekretnej odezwie do ministra oświaty (Szyszkowa), datowanej 26 października st. st. 1826 r. № 1204 (rkps.).

„Od dnia wywiezienia z Wilna Filaretów i niepewnych profesorów—czytamy tam—oraz niektórych osób źle myślących i od czasu wprowadzenia w życie projektu nowego urządzenia szkół wileńskiego okręgu, ustanawiającego surowy nadzór zarówno nad wychowańcami, jak i nad nauczycielami, zmienił się poprzedni duch w szkołach, utrwalony został wszędzie pożądany ład, spokój, obyczajność, w naukach namacalne okazały się postępy i żadne wybryki dawniejsze więcej nie mają miejsca."

Ta nader charakterystyczna opinia Nowosilcowa, będąca dosadnem odbiciem jego pojęć etycznych i tendencyj wychowawczych, pozostaje w blizkiem, niestety, powinowactwie duchowem ze znanym raportem rektora Pelikana z dn. 13 maja 1828 r., w którym tenże zaznacza swoją gorliwość w kierunku „przekształcenia uczącej się młodzieży" na denuncyantów (p. Lelewel: „Nowosilcow w Wilnie." Polska VII, 310).

Tego rodzaju atmosfera stosunków akademickich nie sprzyjała oczywiście rozwojowi życia koleżeńskiego. Tlały wprawdzie w głębi serc ognie zapału i młodzieńczych marzeń, nie zestrzeliły się już wszakże w tych ciężkich latach przedrewolucyjnych

w jedno ognisko; i wybuchły samorzutnie, zgoła bez żadnych niemal przygotowań konspiracyjnych, dopiero w r. 1831. Wtedy młódź wileńska, żywiona nadzieją radosną, a pomna świętych haseł filareckiej przeszłości, poszła za głosem obowiązku, by czynem stwierdzić swą wierność ideałom ojczystym.

Autor omawianej pracy skrzętnie zanotował wydatniejsze fakty z życia uniwersytetu w latach studyów Słowackiego. Opisuje zatem uroczystości doroczne, jak rozpoczęcie roku szkolnego i zagajenie kursów; obchód jubileuszu powszechnego w 1826 r.; t. zw. spisek Zacha z 1827 r., głośną w roku następnym sprawę prof. Onacewicza z Pelikanem i Nowosilcowem, zakończoną usunięciem Onacewicza; jubileusz 250-letniego istnienia wszechnicy wileńskiej i t. d.

Osobny rozdział poświęcony został profesorom, z którymi Słowacki miał styczność bezpośrednią; biografie ich i charakterystyki podaje autor w formie zwięzłej, z niezmierną atoli ścisłością i sumiennością. P. J. nie powtarza tu bezkrytycznie sądów powszechnie ustalonych, lecz poddaje je umiejętnej analizie. Bogactwo opanowanej literatury i nowych materyałów rękopiśmiennych, pozwala autorowi na wysnuwanie wniosków samodzielnych i trafnych. Cenne te wskazówki bibliograficzne uzupełnić możemy następującymi jedynie szczegółami. O prof. Stanisławie Hryniewiczu pisał Lucyan Uziębło w artykule p. t. „Szymon Żukowski i Stanisław Hryniewicz, profesorowie wileńscy“ (Kalendarz rz.-katolickiego Tow. dobr., Petersburg 1899, str. 167—70);—należało wspomnieć, że Hryniewicz był nauczycielem Słowackiego w gimnazyum wileńskiem.

Przyczynki do życiorysu Onacewicza zawierają: „Orędownik naukowy“ (poznański) z 1845 r. № 8, str. 63. Listy O. do Mickiewicza w „Korespondencyi“ Mickiewicza t. IV, str. 268 — 76, podają ważne i ciekawe szczegóły biograficzne do ostatnich lat życia O., a nadto są dosadnem odbiciem jego przekonań i poglądów politycznych na tle ówczesnych stosunków w Rosyi i Polsce. Listy Lelewela do O. z lat 1818—1829 w bibliotece ord. hr. Krasińskich; biografia O. przez Jana Lubicza, manuskrypt Biblioteki polskiej w Paryżu; rękopiśmienne pamiętniki d-ra Stanisława Morawskiego p. t. „Kilka lat młodości mojej w Wilnie 1818—1825“ (dr. M. pisze o Onacewiczu: „W obejściu się bursz niemiecki i brutal, ale szczery i otwarty“ i t. d.). Zbiory Onacewicza uległy rozproszeniu, o ich bogactwie świadczą dochowane katalogi w Bibliotece ord. hr. Krasińskich i Ossolineum.

Nieco informacyj o prof. Cappellim i Znosce znajdujemy w liście Jana Michalewicza do ks. Macieja Brodowicza z 24 października st. st. 1822 r.;[1]) list ten, aczkolwiek z wcześniejszej doby, przytaczamy na tem miejscu w dłuższym ustępie, ponieważ mieści kilka interesujących spostrzeżeń ogólniejszego znaczenia.

„... Uczniów w Uniwersytecie ośmiuset kilkudziesięciu.[2]) Z Lubieszowa przybył tu na Uniwersytet Klemens Proniewicz. Daniłowicz i Lelewel są zdrowi, słuchaczów mają aż do ciasnoty w salach, a z tych prawie połowa nowych. Kapelli tak ma liczny zbiór uczniów, że teraz nie mieszczą się w tej sali, gdzie prawo rzymskie wykładał. Więc dodano jemu ten pokój, gdzie był gabinet patologiczny, a zatem czasu lekcyj, uczniowie siedzą w dwóch salach. Przybrał teraz inny sposób, lecz nie do dawania lekcyj, ale słuchania, a następnym sposobem przez losy. Spisawszy na regestrze uczniów, tak pierwszoletnich, jakoteż drugoletnich *et veteranos*, pokładł obok nich liczebne numera. Ma zielony worek, w którym podobne znajdują się numera, popisane na drewnianych guziczkach, co lekcyi więc każe jednemu z najmłodszych uczniów losem wyciągać guziczek i czyj pokaże się napisany numer, ten musi mówić lekcyę bez wyjątku, czy nowy, czy weteran, z tym tylko warunkiem, że pierwszoletni może się tłómaczyć po polsku. Śmieszno to bardzo, gdyż on sam nierozumie, co uczeń odpowiada [Cappelli nie znał języka polskiego i wykładał po łacinie, posiłkując się często językiem francuskim *p. w.*], zasięga więc zdania od weteranów, ci przez skromność chwalą czasem zupełnie niedorzeczną i fałszywą odpowiedź, a Włoch na tem zaprzestaje.

---

[1]) Akta Komisyi śledczej z 1823—24 r. Jan Michalewicz ur. 1795, syn księdza unickiego z powiatu kowelskiego, gub. wołyńskiej; nauki pobierał w szkole powiatowej pijarskiej w Lubieszowie, od 1818 r. był w uniwersytecie wileńskim, z którego wystąpił w 1820 r. ze stopniem kandydata praw i filozofii; był urzędnikiem konsystorza rz.-katolickiego, następnie registratorem w kancelaryi uniwersyteckiej. Sekretarz Białego grona Filaretów. Na mocy wyroku w sprawie filareckiej wysłany został do Kijowa, gdzie otrzymał posadę w kancelaryi gubernatora wojennego Rajewskiego.

Ks. Maciej Brodowicz, kandydat praw, nauczyciel szkoły pijarskiej w Połocku. Przewodnik Liliowego grona Filaretów.

[2]) Lelewel w liście do matki z 17 listopada 1822 r. pisze (Listy t. I, 379): „Nasz Uniwersytet w tym roku liczniejszy. Zapisanych do album 802, a później około 30 przybyło; prócz tych, jeszcze różnych kilkudziesięciu liczyć w dodatku należy. Gorąco mnie w sali; zapisało się 200, a pewnie najmniej po 300 bywa na godzinach.“

Wystaw sobie co to za śmieszność, a zwłaszcza kto raz pierwszy przychodzi na lekcyę.

„Znosko jeszcze kontynuuje swoją ekonomię polityczną, lecz już prawie zupełnie trzyma się Skarbka; wykłada ją teraz lepiej, bo nie siedzi, lecz stoi, i uczniowie z większą teraz chęcią słuchają, gdyż zaraz od pół do dziewiątej zaczynają szurować nogami i szurują [*s*] aż do dziewiątej, chociaż on coraz zapewnia (ale nie w tym, że się poprawi w dawaniu i tłómaczeniu), lecz że nie wyjdzie z sali [?].

„Jędrzej Śniadecki ma emeryturę i Fonberg wykłada teraz chemię i wcale dobrze...

„... Dawne nasze przyjemności zupełnie zaginęły, ani pomyśleć o nich nie można [alluzya do rozwiązanego przed paroma miesiącami „Towarzystwa przyjaciół pożytecznej zabawy“ czyli „Promienistych“ *p. w.*]; zapewne to samo i w tamtych stronach, co i u nas [się] praktykuje. Pełno podejrzeń, pełno czuwań i podsłuchów. Szpiegostwo niesłychane. Siedzim więc spokojnie i wyglądamy tego dobra, które Włochy i Niemcy mają nam narodzić. [alluzya do niedawnych wypadków rewolucyjnych w Neapolu i Piemoncie, reakcyjnych zarządzeń w Prusach, wreszcie kongresów w Lublanie i Weronie. Por. Wierzbowskij: „K istorii tajnych obszczestw.“ Warszawa 1898, str. 54]. Nic nie mamy nowego. Żaden teraz jeszcze uczony w kozie nie siedzi...“ Ostatnie zdanie zawiera alluzyę do więzionych podówczas za przestępstwa „prasowe“—Aleksandra Żółkowskiego, redaktora „Tygodnika wileńskiego“ i Ant niego Marcinowskiego, redaktora „Kuryera litewskiego.“

List Michalewicza okazuje zasługujący na szczególną uwagę fakt wielkiego zainteresowania młodzieży wileńskiej wypadkami rewolucyjnymi na Zachodzie.

Materyały do życiorysu Józefa Jaroszewicza uzupełnić należy: „Kuryerem wileńskim“ z 1860 r. № 12, „Gazetą polską“ z 1862 r. № 22. O prof. Bécu parę drobnych szczegółów podaje Leonard Chodźko w rękopiśmiennej notatce biograficznej (Muzeum w Rapperswilu).

Sporo miejsca w swej pracy poświęca Janowski postaci Pelikana. W działalności ostatniego rektora uniwersytetu wileńskiego p. J. widzi wiele stron dodatnich, twierdzi, że „o stan naukowy uniwersytetu Pelikan dbał niezawodnie: przesadzone jest mniemanie o jego destrukcyjnej roli, a zupełnie fałszywe, że dążył do zniszczenia tej świątyni nauki.“ Niepodobna w niniejszej notatce recenzyjnej wszczynać polemiki o osobę rektora, na innem miejscu

postaramy się oświetlić bliżej niezaszczytną rolę kierownika wszechnicy wileńskiej w procesach politycznych na Litwie w latach 1825—1828. Zgadzamy się wszakże ze zdaniem p. Janowskiego, wyrażonem przez niego i gdzieindziej, że Pelikan, jako uczony, był siłą znakomitą i, choć karyerowicz o płaskiej duszy, bynajmniej nie dążył do zgaszenia ognisk oświaty na Litwie. Nie umiał tylko, a raczej nie chciał walczyć z prądami reakcyjnymi, zwłaszcza, że w takiej walce mogła być narażona jego karyera służbowa. A o zaszczyty, ordery i o sowite pensye chodziło mu przedewszystkiem.

Pelikana zaliczyć można do tej grupy Polaków-zaprzańców z okresu polistopadowego, którzy mądrość polityczną widzieli w bezwzględnem potępianiu wszelkiej działalności patryotycznej, zupełnej rezygnacyi i zdaniu się na niełaskę zwycięzców. Duchem uległości bezwzględnej, nieraz wprost zaprzaństwa, tchną wszystkie raporty Pelikana, składane Nowosilcowowi ze śledztw, odbywanych w Wilnie, Białymstoku, Połocku (w sprawie połockiej smutną rolę, jak wiadomo, odegrał również inny Polak—znany oryentalista, Józef Sękowski). Pamiętnikarze współcześni — dr. Stanisław Morawski, Jundziłł, Aleksander Burba (w „Pamiętnikach polskich“ wyd. Ksaw. Bronikowskiego. Paryż, 1845, t. III, 93 sq.), Andrzej Przyałgowski (l. c. I, 114 sq. 288) i inni zgodnie potępiają Pelikana, jako człowieka i Polaka. Nader charakterystyczną jest opinia Aleksandra Hercena o rektorze wileńskim. Słynny publicysta rosyjski opisuje, jak w r. 1834 policya wpadła na trop kółka młodzieży o charakterze bardzo niewinnym; do kółka tego należał i Hercen. Policya starała się koniecznie coś wykryć, lecz bezskutecznie, gdyż sprawa była najzupełniej błaha. Pierwsze śledztwo się nie udało. Dla większego powodzenia drugiej komisyi śledczej wysłano z Petersburga najlepszego z inkwizytorów, A. F. G. „Ten gatunek — pisze Hercen — rzadki jest u nas. Do niego należy znany naczelnik Trzeciego oddziału M., *rektor wileński P.*(elikan), oraz kilku inflantczyków i upadłych Polaków“ (Dzieła Aleksandra Hercena. Petersburg 1906, t. II, 152). Słowa Hercena dowodnie okazują, że działalność Pelikana w Wilnie znaną była i należycie ocenianą przez nieuprzedzone do naszego narodu, światłe jednostki z pośród społeczeństwa rosyjskiego.

Niezaszczytną rolę odegrał Pelikan między innemi w sprawie t. zw. spisku Zacha w r. 1827. Dokładniejsze informacye o tem nikłem i w gruncie rzeczy najzupełniej błahem, acz w samem pomyśleniu szlachetnem przedsięwzięciu konspiracyjnem zawierają dokumenty urzędowe, ogłoszone przez Aleksandra Kraus-

hara w „Dzienniku wileńskim“ z 1907 r. № 109, nadto pamiętniki Bajkowa (Lwów 1893), str. 138 sq., „Russkaja Starina“ z 1882 r. zeszyt VIII-my.

Tyle nastręcza się nam uwag, uzupełniających obraz tego środowiska uniwersyteckiego, w którem żył i kształcił się Słowacki.

Aczkolwiek trudno dziś orzec, co dała poecie wszechnica wileńska pod względem umysłowym, stwierdzić wszakże należy, iż przyszły autor „Kordyana“ wyniósł z niej duży zasób wiedzy, pogłębionej następnie i rozszerzonej przez dalsze studya samodzielne.

P. Janowski skrzętnie zgromadził wszystkie, choćby najdrobniejsze wiadomości o pobycie Słowackiego w uniwersytecie; z codziennych raportów bedeli wykazał sumienność jego w uczęszczaniu na wykłady; na podstawie sprawozdania wydziału prawnego o przyznanych stopniach z 21 czerwca 1828 r. oraz innych dokumentów dowiódł, wbrew własnym słowom poety w „Pamiętniku,“ iż tenże nie otrzymał nagrody t. zw. *accessit*, gdyż dostała się ona Napoleonowi Czarnockiemu. Cenną pracę p. J. uzupełniają dwa dokumenty, wyjęte ze zbiorów Polińskiego: „Lista nauczycieli i uczniów gimnazyum wileńskiego 1824 r.,“ (figuruje tam Słowacki, jako uczeń V-ej klasy, celujący „we wszystkiem“) i „Lista osób, którym po odbytych ścisłych egzaminach przyznane zostały stopnie uczone w fakultecie prawniczym“ z r. 1827—1828.

H. Mościcki.

K. WOJENSKIJ. *Akty, dokumienty i matieriały dla istorii 1812 goda.* Tom pierwszy. Petersburg, 1909. Str. XLIV + 582.

Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk na posiedzeniu styczniowem roku 1819 przyjęło wniosek swego prezesa, Staszica, w sprawie gromadzenia i opracowania materyałów, dotyczących ważnych momentów dziejowych z ostatnich lat kilkudziesięciu. Za takie uznano: epokę Sejmu czteroletniego, powstanie Kościuszkowskie, Legiony, Konfederacyę Generalną Królestwa Polskiego z r. 1812 i dzieje Rządu Tymczasowego Litewskiego z tegoż roku. Opracowanie historyi roku 1812 na Litwie powierzono członkowi Towarzystwa, Józefowi Ignacemu Kossakowskiemu, byłemu sekretarzowi generalnemu przy Rządzie Tymczasowym, w którego posiadaniu znajdowało się bogate archiwum po b. Komisyi Rzą-

dowej. Co stanęło na przeszkodzie wykonaniu tej pracy, gdzie się podziało całe archiwum, dojść tego niepodobna; dość, że monografia Kossakowskiego nie została napisaną, a archiwum zaginęło.

Nieco wcześniej, gdyż jeszcze w r. 1814, Karol Prozor, członek Rządu Tymczasowego zamierzał zdać sprawę przed narodem z czynności rządowych w r. 1812, a w szczególności z szafunku groszem publicznym; w tym celu wzywał wszystkich kolegów z Komisyi Rządu Tymczasowego i Komitetu Skarbowego, którego był prezesem, do okazania mu w tem pomocy: miał nadzieję, że „urządzenia toczącego się podówczas Kongresu Wiedeńskiego wskażą Tego, do którego udać się będą mieli prawo.“ Nadzieje, pokładane w Kongresie Wiedeńskim, zawiodły, stan rzeczy na Litwie nie uległ zmianie na lepsze, owszem wkrótce się pogorszył, i do projektowanego sprawozdania nie przyszło i przyjść nie mogło. Adam Chreptowicz również, jak sądzimy, miał zamiar zużytkować w pracy naukowej bogaty zbiór materyałów do 1812 r., przechowywanych w archiwum rodzinnem w Szczorsach. Inny świadek i uczestnik tych wydarzeń, Franciszek Albert Grzymała, rozpoczął pracę, w której zobrazował usiłowania polsko-litewskie w r. 1812. Niestety, z dzieła Grzymały pozostały tylko fragmenty, całość, o ile wogóle została napisana, zaginęła po śmierci autora.

Życzenie, wyrażone przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk jeszcze prawie przed stu laty, dotychczas nie zostało wykonane w literaturze historycznej polskiej. Wyprzedziła ją pod tym względem nauka rosyjska, w której od lat kilku, wobec zbliżającego się jubileuszu „wielkiej wojny,“ zapanował żywy ruch w celu wszechstronnego wyświetlenia tego przełomowego bądź co bądź momentu. Ukazują się liczne studya, przyczynki, nieznane dokumenty, korespondencye i pamiętniki. Wśród tego rodzaju wydawnictw na plan pierwszy wysuwają się szczególniej publikacye: podjęta przez Sztab generalny rosyjski, na wzór pokrewnego wydawnictwa francuskiego, rozpoczętego przez Margueron'a a kontynuowanego przez Fabry, zawierająca przeważnie materyały wojskowe o przygotowaniach do wojny; oraz druga, nierównie ważniejsza, zainicyowana przez w. ks. Michała Aleksandrowicza, a prowadzona przez Cesarskie Towarzystwo Historyczne, pod redakcyą K. Wojeńskiego, p. t. „Akty, dokumienty i matieriały dla istorii 1812 goda.“ Wydawnictwo powyższe, zakreślone na szerokie rozmiary, w pierwszym tomie, który mamy przed sobą, zawiera dokumenty, dotychczas nieznane, obrazujące ówczesny stan rzeczy na Litwie i z tego względu pierwszorzędnego dla czytelników polskich znaczenia.

Materyał historyczny, zawarty w tem dziele, można podzielić na 3 grupy. Pierwsza zawiera przedruki odezw, uniwersałów, rozporządzeń Konfederacyi Generalnej i Rządu Tymczasowego oraz wiadomości o ówczesnych wypadkach, zamieszczane w Dzienniku Konfederacyi Generalnej, „Kuryerze Litewskim“ i „Gazecie Tymczasowej Mińskiej“—są to rzeczy znane i dla nas nie przedstawiają poważniejszej wartości naukowej. Drugi dział obejmuje akta Komisyi Rządowej W. Ks. Litewskiego, jako to rozkazy, zalecenia rządowe i t. d., pochodzące z biblioteki Szczorsowskiej hr. Butieniewa-Chreptowicza. Dokumenty rzeczone mieliśmy sposobność zbadać przed paru laty; zużytkujemy je w specyalnej monografii, poświęconej dziejom roku 1812 na Litwie. Źródła powyższe zostały ogłoszone przez p. Wojeńskiego w przekładzie rosyjskim; dotyczą one przeważnie tylko departamentu Wileńskiego, są to bowiem zalecenia i rozkazy rządowe, przysyłane do Izby Administracyjnej Wileńskiej. Trzeci dział grupuje dokumenty, przechowywane w archiwum Sztabu Głównego w Petersburgu; są to w znacznej części rezultaty ankiety, dokonanej w roku 1836 przez znanego autora dziejów wojny 1812 roku, Michajłowskiego-Danilewskiego, a mającej na celu zebranie za pośrednictwem gubernatorów wiadomości co do milicyi, organizowanej w guberniach, ofiarności społeczeństwa na cele wojenne, szkód poniesionych przez kraj w czasie wojny, wreszcie administracyi zaprowadzonej przez Napoleona w miejscowościach zajętych przez wojska francuskie. Kierownicy ankiety zwracali się do uczestników lub świadków tych wydarzeń, do ludzi użytych podówczas do funkcyj rządowych, do instytucyj państwowych, do duchowieństwa wszelkich wyznań, wreszcie za pośrednictwem rabinów do kahałów żydowskich. Z informacyj tą drogą zebranych dał się ułożyć pewien całokształt wydarzeń w poszczególnych guberniach, materyał ten jest wartości bardzo różnej; obok wiadomości niezwykle cennych, podano mnóstwo szczegółów o charakterze anegdotycznym, ciekawych wszakże dla strony obyczajowej. Ważne są i cenne raporty gubernatorów: wileńskiego, mińskiego i grodzieńskiego, gdyż rzucają sporo światła na wielkie wysilenia, poczynione podówczas przez Litwinów, i zadają w ten sposób kłam tendencyjnym częstokroć oskarżeniom francuskim, dostarczając ciekawych danych co do ofiar i strat, poniesionych podówczas przez mieszkańców. Informacye, przedstawione przez uczestników lub świadków, jak Adama Chreptowicza, Kaliksta Daniłowicza, redaktora ówczesnego „Kuryera Litewskiego,“ prałata Cywińskiego, Ejsmonta, byłego kasyera Kasy Generalnej, Sucheckiego, nau-

czyciela szkoły Borysowskiej i biskupa wołyńskiego Daniela, zawierają sporo interesujących szczegółów, zważywszy jednak okoliczności i sposób, w jaki były zbierane, stwierdzić należy, że o wielu rzeczach dla względów zrozumiałych przemilczano w tych raportach urzędowych.

Niezmiernie ważnym i ciekawym jest memoryał p. t. „Notice historique sur les armements qui eurent lieu en Lithuanie pendant l'occupation française en 1812 par Lensky.“ Jest to interesujące sprawozdanie z czynności Komitetu Wojskowego przy Komisyi Rządowej, napisane z dobrą znajomością przedmiotu. Kim był Łęski, autor tego memoryału, nie udało się nam stwierdzić, w każdym razie był to ktoś dokładnie poinformowany może przez któregoś z członków b. Komitetu Wojskowego. Co do tej ankiety wyznać należy, że była podjęta za późno, bo w 25 lat prawie po zaszłych wypadkach, kiedy wiele osób, mogących udzielić dokładnych wiadomości, zmarło, innym pamięć nie dopisywała, a co najważniejsza, archiwa prywatne i rządowe ucierpiały znacznie w roku 1831.

Z materyału źródłowego, przedstawionego w tem dziele, staje się zrozumiałem niezmiernie trudne zadanie Rządu Tymczasowego, borykającego się z tysiącem trudności, obowiązanego do karmienia przeszło półmilionowej armii Napoleońskiej i wystawienia 15-tysięcznej siły zbrojnej i to w kraju z natury biednym, zrujnowanym ekonomicznie skutkiem blokady kontynentalnej, naostatek złupionym doszczętnie zarówno przez cofające się wojska rosyjskie, jakoteż wkraczające wojska francuskie. Były to zadania nad siły kraju, nad siły mężów, składających Rząd krajowy i krępowanych w swej działalności przez Maret'a, Hogendorpa, Bignona i innych wyższych i niższych urzędników francuskich, a wszystko wobec nader niejasnych zamiarów samego Napoleona co do przyszłych losów Litwy. Zbiór dokumentów niniejszych, których ciąg dalszy zapowiedziany jest w najbliższej przyszłości, autor poprzedził wstępem, podającym w sposób naogół trafny przyczyny wielkiej wojny, będącej, jak to wykazały najnowsze badania, jednym z epizodów śmiertelnych zapasów, toczonych od roku 1793 pomiędzy Anglią a Francyą o hegemonię morską, o przewagę handlową.

Potrącając przy tej okazyi o sprawę Polski, wykazuje tutaj autor sporo naogół bezstronności, której należy się uznanie, dziwnem jedynie wydaje się ubolewanie autora, że Księstwu Warszawskiemu wypadło odegrać smutną rolę w dziejach narodu polskiego. Ze zdaniem tem zgodzić się niepodobna. Autor w przedsta-

wieniu stosunków w Księstwie Warszawskiem opierał się wyłącznie bądź na źródłach rosyjskich, bądź na przestarzałych opracowaniach Skarbka, pominął natomiast nowe studya, jak dzieła prof. Askenazego, Rembowskiego, Tokarza, Handelsmana i Loreta.

Podnieść też należy staranność, z jaką wydane zostały te materyały: zarówno tekst polski, jak przekład ich na język rosyjski są poprawne. Wkradło się jednak kilka błędów, np. nie Davout ale Murat zajął pierwszy w r. 1806 Warszawę, nie Sołtan lecz Sołtyk znajdował się w deputacyi, wysłanej od Konfederacyi Warszawskiej do Napoleona. Należałoby też daty dawać podług obu stylów, uniknęłoby się w ten sposób kilkunastu ważnych błędów chronologicznych.

Dzieło ozdobione zostało pięknie wykonanemi facsimile: mapy Rosyi, wykonanej w Paryżu w r. 1812, kilku odezw Komisyi Rządowej i generała Krasińskiego, wreszcie numeru należącej obecnie do rzadkości bibliograficznych „Gazety Tymczasowej Mińskiej," której kompletu nie posiada żadna ze znanych nam bibliotek polskich.

Janusz Iwaszkiewicz.

PTAŚNIK JAN D-R: *Denar Św. Piotra obrońcą jedności politycznej i kościelnej w Polsce.* Kraków, 1908. Nakładem Akademii Umiejętności.

Autor pięknych szkiców, poświęconych dziejom Krakowa, w ostatnich czasach zaczął szukać dla prac swych tematów o szerszem znaczeniu naukowem. W r. 1907 drukuje więc d-r Ptaśnik „Kolektorów kamery apostolskiej w Polsce Piastowskiej," w roku zaś przeszłym publikuje studyum o świętopietrzu. Świętopietrze czyli denar św. Piotra było trybutem, który Piastowicze jeszcze przed Bolesławem Chrobrym płacili Stolicy apostolskiej, na znak, że Polska była własnością św. Piotra. Stosunek taki Polski wobec Rzymu był rezultatem komendacyi, a pociągał za sobą to, że Stolica apostolska obowiązana była bronić całości Polski w tych granicach, w jakich właśnie została komendowana przez pierwszych Piastowiczów. Wystawiona na napór rasy germańskiej, z żywiołową siłą posuwającej się na wschód, mogła więc Polska z komendacyi odnieść nie małe korzyści. Czy tak było wistocie? Na tę właśnie kwestyę stara się d-r Ptaśnik odpowiedzieć. Według niego Stolica apostolska nie tylko w krytycznych chwilach broniła teoretycznie przynajmniej niepodzielności Polski, ale okazała wiel-

ce skuteczną pomoc w walce narodu polskiego z napływowym żywiołem niemieckim, który w drugiej połowie XIII i na początku XIV wieku groził Polsce wprost zalewem. Otóż duchowieństwo polskie, nastrojone narodowo, z arcybiskupem Świnką a później Janisławem na czele, umiało zainteresować Kuryę w walce z niemczyzną, przedstawiając jej, że zniemczenie kraju pociągnie za sobą stratę świętopietrza. Rzecz godna uwagi, o wpływie świętopietrza na losy Polski wyraża się oględniej autor drugiej polskiej pracy, poświęconej denarowi, ks. Gromnicki, niż d-r Ptaśnik. Jakkolwiek jednak czytelnik, po przeczytaniu dzieła d-ra Ptaśnika, nie koniecznie będzie przekonany o tem, czego ma już dowodzić sam nagłówek jego książki, jednak będzie wdzięczny autorowi za zebranie i przypomnienie nadzwyczaj ważnych szczegółów, tyczących się rozbudzenia ducha narodowego w Polsce. Między innemi dowodzi wysoce rozwiniętego poczucia narodowego przytoczona przez Ptaśnika uchwała Synodu łęczyckiego 1289 r., który żąda wyraźnie, „aby wszyscy plebani w niedziele podczas sumy po odśpiewaniu „Credo“ wykładali zgromadzonym wiernym w języku polskim skład apostolski, modlitwę Pańską i pozdrowienie anielskie, oraz święta w następnym tygodniu zapowiadali. Stanowimy nadto — głosi Synod — aby przy szkołach katedralnych, klasztornych i jakichkolwiek innych, tylko takich ustanawiano nauczycieli, którzy język polski dokładnie znają, by mogli chłopcom autorów w polskim języku objaśniać.“ Niezmiernie charakterystyczne jest również przytoczone przez Ptaśnika wyrażenie arcybiskupa Świnki, który w roku 1300, wysłuchawszy kazania biskupa brikseńskiego, wygłoszonego w Gnieźnie podczas koronacyi Wacława II, powiedział: „Bardzoby pięknie kazał, gdyby psia głowa nie był Niemcem.“ Praca d-ra Ptaśnika czyta się tak łatwo i przyjemnie, jak rzadko jaka rozprawa akademicka.

I. B.

KONSTANTY KOŚCIŃSKI. *Sprawa mazurska.* Wiadomości z dziedziny historycznej, statystycznej i politycznej, podał... Poznań. Nakładem autora. Drukiem „Dziennika Poznańskiego.“

Najbardziej przez nas zaniedbaną krainą polską jest południowa część Prus Wschodnich, zamieszkała przez Mazurów-ewangelików. Niezrozumiałą wprost była obojętność Polaków z Poznańskiego względem tych sąsiadów o miedzę, którzy, pozostawieni zupełnie samym sobie, ginęli dla polskości, ulegając szybkiej

germanizacyi. Na tę opuszczoną placówkę zwraca uwagę p. Kościński.

Nie stara się on wcale o szersze przedstawienie przedmiotu, chodzi mu o to tylko, by ten był poruszony, by społeczeństwo nasze otworzyło oczy na szczerby, jakie tam ponosimy. Więcej mała broszurka uczynić nie może, lecz nawet i w tym szczupłym zakresie jest bardzo pożyteczną.

P. Kościński wskazuje na niebezpieczną działalność rządu pruskiego wśród Mazurów i miejscowej inteligencyi niemieckiej, zwłaszcza pastorów. Polityka niemiecka jest tam bardzo zręczna, usiłuje ona wyodrębnić Mazurów od polskości i wynaradawia ich możliwie „łagodnie i względnie," chcąc, by proces ten odbywał się dla ludności niepostrzeżenie. Dopiero w 1873 r. wyszły przepisy, ograniczające język polski w szkołach. Praktyka ostatnich lat 30-tu stopniowo usunęła go zupełnie. Tak samo nauka w kościele podczas przysposobienia do konfirmacyi zaczęła się z czasem odbywać wyłącznie po niemiecku. Przez kościół wciskają się obyczaje niemieckie. Miasta i dwory zło dopełniają.

To też germanizacya szerzy się w sposób przerażający. Jeszcze w 1787 posiadały Prusy Wschodnie około 142 zborów polskich, dziś, pomimo że ludność kilkakrotnie się zwiększyła, jest ich 114. Jeszcze w 1850 r. około Rastemborka mówiono przeważnie po polsku, dziś język ten wymarł tam już zupełnie. W dyecezyi węgoborskiej na początku XIX stulecia było wśród przystępujących do komunii 73% Polaków, w r. 1885 było ich tylko $2^1/_2$%. W powiecie morąskim znikły z widowni wszystkie zbory polskie. Liczba ludności mazurskiej szybko się zmniejsza. Gdy w r. 1883 naliczono po polsku mówiących Mazurów w Prusach Wschodnich 327,760, obecna statystyka wykazuje tylko 147 tys. ewangelików Polaków.

Lud mazurski bardzo potrzebuje literatury swojskiej, tymczasem o zaspokojenie tego głodu umysłowego Polacy nie dbają. Książek, pisanych przez Polaków, a przeznaczonych dla Mazurów, niema. Lepiej nieco przedstawia się sprawa pod względem pism, gdyż wychodzi w Szczytnie „Mazur," przeciwdziałający germanizującym tendencyom „Pruskiego Przyjaciela Ludu," wydawanego przez pastorów.

P. Kościński słusznie wskazuje na Mazowsze pruskie, jako na teren kolonizacyjny dla większych właścicieli polskich. Jest to konieczne ze względów narodowych, a ze względów ekonomicznych nawet zyskowne, gdyż ziemia tam tańsza, niż w Poznańskiem.

W. D.

JAN ST. LEWIŃSKI. *Szewcy warszawscy.* Warszawa. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki.

Nasze warunki ekonomiczne bardzo mało stosunkowo są jeszcze zbadane. Brak nam wielki monografij w różnych dziedzinach wytwórczości współczesnej. Pisanie podobnych monografij jest utrudnione, gdyż nie posiadamy odpowiednio zorganizowanej statystyki. Jedyną drogę do uzyskania materyału stanowią ankiety. Uciekł się do niej i p. Lewiński, przyczem musiał był wybrać nawet trudniejszą formę ankiety ustnej, nie liczył bowiem na to, by można było zebrać większą ilość piśmiennych odpowiedzi.

Uwzględniwszy te trudne warunki, w jakich powstała praca niniejsza, trzeba przyznać, że daje ona stosunkowo wiele i rysuje możliwie dokładnie rozwój i dzisiejszy stan naszego szewctwa.

Na początku znajdujemy krótką historyę cechu szewckiego. Jest on jednym z najstarszych w kraju. Już w r. 1318 ks. Bolesław II w Zakroczymiu pozwala szewcom warszawskim na sprzedawanie obuwia w obrębie dziesięciu mil od Warszawy bez wnoszenia na rzecz grodu jakiejkolwiek opłaty. Chociaż cechy utraciły znaczenie z wprowadzeniem w r. 1816 ustawy Księcia Namiestnika o wolności handlu i rzemiosła, jednakże do połowy ubiegłego stulecia cech szewcki grał jeszcze rolę.

Dopiero z rozpoczęciem wywozu do Rosyi stosunki w szewctwie zupełnie się zmieniły i nastąpiła era, która zrewolucyonizowała dawny ustrój gospodarczy. Od wojny tureckiej zaczyna się wywóz na wielką skalę. Wówczas też zaczęło się rozwijać chałupnictwo. Czeladź opuszczała warsztaty i pracowała w domu dla agentów, którzy odnosili obuwie przedsiębiorcom rosyjskim. Na rozwój chałupnictwa wpłynęło nieco i powstanie sklepów, gdyż właściciele ich zaczęli dawać część roboty mniej zamożnym majstrom do domu.

Na wielką skalę jednak chałupnictwo rozwinęło się ze zmianą techniki i wprowadzeniem podziału pracy. Do szycia cholewek zastosowano maszyny, a ponieważ wielu szewców nie miało pieniędzy na ich nabycie, musiało więc zejść do roli chałupników. Z drugiej strony czeladź mogła się obywać, dzięki maszynom, bez pomocy wykwalifikowanego majstra, który dawniej krajał najtrudniejszą rzecz—cholewkę. Obuwie sztyftowe dało możność podziału pracy i rozłożenia jej na dwie czynności: przybijanie i wykończanie. Powstały dwie kategorye pracowników, warsztaty dawne majstrowskie rozpadły się zupełnie.

Ostatni okres w historyi szewctwa warszawskiego charakteryzuje walka terorystyczna z chałupnictwem. Gdy w latach rewolucyjnych wszyscy robotnicy strejkowali i osiągali podwyższenie płac, rozproszeni chałupnicy nie potrafili zdobyć dla siebie lepszych warunków bytu. Wówczas zaczęli żądać zakładania dla nich warsztatów, w których mogliby przedsiębiorcom skuteczniejszy opór stawiać. Walka ta jednak nie doprowadziła do rezultatów. Narazie, pod groźbą teroru, założono około 80 warsztatów, ale po pewnym czasie pozostało ich zaledwie parę.

Jednocześnie zwiększyła się ilość fabryk szewckich w Rosyi, które zaczęły wypierać ręczne obuwie warszawskie z rynków cesarstwa. Przedsiębiorcy rosyjscy posiadają znacznie większe kapitały od naszych, gdyż u nas przemysł szewcki jest przemysłem drobno-rękodzielniczym, obracającym niewielkiemi sumami. Szewcy rosyjscy zaczęli sprowadzać z Warszawy zdolnych czeladników, dzięki czemu wyrób obuwia w Rosyi znacznie się poprawił. Dla szewctwa naszego nastąpił poważny kryzys.

Położenie chałupników, i dawniej niezbyt dobre, jeszcze bardziej się pogorszyło. Wyzyskiwani są zwłaszcza ci chałupnicy, którzy pracują nie dla magazynów miejscowych, mających z nimi bezpośrednią styczność, lecz na wywóz. Eksporter niema do czynienia bezpośrednio z chałupnikami, lecz pomiędzy nich wciska się jeszcze poddostawca brygadyer, który zabiera dla siebie część zysku.

P. Lewiński zapatruje się pesymistycznie na dalszy los chałupników, wypowiadając zdanie, że położenie ich coraz bardziej będzie się pogarszało, aż nareszcie zupełnie wyprze ich produkcya fabryczna. Pod tym względem nie zgadzamy się z autorem, gdyż sądzimy, że pomimo wszystko, właśnie w szewctwie, wymagającem znacznej indywidualizacyi pracy, rękodzielnictwo potrafi się ochronić przed całkowitą zagładą.

W. D.

HENRYK APOLINARY KONN. *Prawa wyjątkowe.* Nakład Aleksandra Laskowskiego. Warszawa 1909. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 96.

Jest to broszura, która była drukowana w szeregu numerów „Gazety Sądowej.“ Czasopismo to chciało mieć ocenę projektu nowej rosyjskiej ustawy wyjątkowej i dzięki temu powstała praca niniejsza. Autor traktował przedmiot szeroko, w każdym ra-

zie jednak na pierwszy plan musiał wysunąć ów projekt komisyi międzywydziałowej, utworzonej pod przewodnictwem towarzysza ministra spraw wewnętrznych, Makarowa, dla opracowania nowej ustawy wyjątkowej. Zmniejsza to bardzo ogólne znaczenie niniejszej pracy, gdyż omawiany projekt był jedynie poronionym płodem papierowej pracy biurokratycznej, któremu nie danem było wejść w życie.

Autor rozpatruje nadzwyczajne środki ochrony porządku państwowego, jakie dopuszczają prawodawstwa europejskie i innych krajów. Dalej rozważa istniejące w Rosyi przepisy wyjątkowe i omawia szczegółowo historyę zmian, jakie od r. 1904 miano w nich poczynić. Nowy projekt przytoczony został w całości. Z tem, co nas najbardziej interesuje, z dziejami ustaw wyjątkowych w Królestwie, załatwia się autor na dwóch stronicach, nie sięgając poza rok 1861. O Litwie i Rusi nie wspomina wcale. Na końcu wreszcie znajdujemy króciutki rys sądów kapturowych w dawnej Polsce.

Pretensyj naukowych rozprawa rościć nie może. Zadawalnia się ona po większej części suchym przedstawianiem stanu rzeczy, za mało zajmując się wyciąganiem wniosków. Poruszane sprawy traktuje zanadto pobieżnie, nawet jeśli brać pod uwagę niewielkie rozmiary broszury.

W każdym razie dobrze jest, że się i taka praca zjawiła. W okresie panowania praw wyjątkowych społeczeństwo powinno być z niemi obznajmione. Sprawy te należałoby częściej i szerzej poruszać.

W. D.

Kronika miesięczna.

Plan przyszłej Warszawy.—Obchód rocznicy Grunwaldzkiej.—Bank współdzielczy.—Muzeum w Piotrkowie.—Zamknięcie „Oświaty“ w Nieświeżu i Macierzy małorolnych w Płocku.

W Warszawie, dzięki inicyatywie koła architektów, powstała myśl zajęcia się sprawą przygotowania racyonalnych planów miasta, z widokami na jego rozwój i rozrost w bliższej i dalszej przyszłości.

Myśl ta przychodzi nietylko w porę, ale wprost w chwili, kiedy miasto bez takiego planu już obejść się nie może.

Rozwój Warszawy był i dotychczas jest czysto przypadkowym. Kierunek naturalnego jej wydłużania się z biegiem Wisły został zatamowany przez cytadelę, która zajęła część dawnego Żoliborza. Od tej pory powstały i rozwinęły się dzielnice południowe, szybko zabudowywane zwłaszcza w ostatniem dwudziestopięcioleciu wieku ubiegłego, dzielnice najbanalniejsze i najsmutniejsze, jakie miasto wogóle posiada. Planował je magistrat na spółkę ze spekulantami, którym zgoła o estetykę nie chodziło. Powstawały więc linie równoległe, przecięte równoległemi, a przy tych liniach, zwanych ulicami, wznosiły się koszarowe, jednostajne domy, o niesmacznych fasadach, o ciasnych mieszkaniach, o wyglądzie ani stołecznym, ani prowincyonalnym, ale o jakimś pośrednim typie, nieprzyjemnym dla oka. Prawie żadna z tych ulic niema perspektywy, niema skwerów, niema placu, przy którym mógłby stanąć pomnik lub gmach publiczny w rodzaju teatru, biblioteki lub szkoły. Wszędzie mdłe kamienice, spiętrzone, stłoczone w jedną szarą masę, nie posiadającą nawet dostatecznego przewiewu. Jednocześnie najpiękniejsza dzielnica, która mogłaby być ozdobą miasta, dzięki bezmyślnej gospodarce magistratu, za-

miast dźwigać się stopniowo, upadała coraz więcej. Powiśle stawało się powoli siedzibą nędzy i brudów, a tam gdzie powinny stać najpiękniejsze gmachy, stoją do dziś dnia walące się chałupy o wyglądzie małomiejskim.

Spekulacya, która na tę obszerną dzielnicę nie zwracała żadnej uwagi, jednocześnie skierowała swoją pożądliwość na to, co Warszawa miała do niedawna jedynie pięknego — na Aleje Ujazdowskie i znaczna ich część przeobraziła się już w naszych oczach i w naszej pamięci z alei will w zwykłą ulicę, zabudowaną może nieco staranniej, ale odbierającą tej arteryi właściwy jej charakter. Nadto ministeryum wojny pobudowało po prawej stronie alei Belwederskiej, naprzeciw parku Łazienkowskiego, korpus kadecki im. Suworowa, który zajął kompleksem swoich gmachów całą ogromną połać gruntu, przeznaczonego z natury rzeczy na park w rodzaju Ujazdowskiego.

Jeżeli też porównać rozwój innych miast europejskich w ostatnich latach kilkudziesięciu z rozwojem Warszawy, do beznadziejnie smutnych trzeba przyjść wniosków. Gdy w sąsiednich Niemczech np. małe nawet miasta ogromnie poszły naprzód i wiele zyskały dla swej zdrowotności i piękna, a niejedno z nich, jak Drezno lub Karlsruhe, zdołało nawet przeobrazić się w nawskroś nowoczesne *garden-city*, gdzie, poza handlowem śródmieściem, wszystkie inne dzielnice literalnie toną w ogrodach, gdy nawet miasta galicyjskie rozwinęły się logicznie i z jakąś myślą przewodnią, przybierając wygląd i charakter miły dla oka, jak Lwów w ostatnich latach, który coraz bardziej po europejsku zaczyna się przezentować gościom z Królestwa — jedna Warszawa raczej oszpecona została i zepchnięta z drogi postępu estetycznego. To, co w niej jest ładnego, na czem zatrzymuje się oko, co nadaje jej jakiś charakter, to wszystko pamiątki przeszłości, albo wiek XVIII, jak pałace, albo początek wieku XIX, jak gmachy rządowe, wzniesione w czasach Królestwa Kongresowego. Dość powiedzieć, że od czasu wybudowania Teatru Wielkiego, t. j. od lat z górą 70, w okresie kiedy ludność miasta wzrosła niemal pięciokrotnie, a w całej Europie budowały się wspaniałe gmachy teatralne, u nas przybyły tylko dwie klecionki drewniane, z których jedna nazywa się Teatrem Letnim w ogrodzie Saskim, a druga Teatrem Nowym przy ul. Królewskiej, oraz budynek trzeci, Teatr Nowości, będący własnością przedsiębiorcy prywatnego — jedyny zresztą z tych trzech, odpowiadający jakim takim wymaganiom bezpieczeństwa publicznego. Cóż dopiero mówić o szkołach, które mieszczą się w przeważnej większości w zwyczajnych kamienicach

o Muzeum miejskiem, które nawet, pomimo rygorów testamentu ś. p. szambelana Lachnickiego, nie doczekało się dotąd i zapewne nieprędko jeszcze doczeka się własnego budynku, o dworcach kolejowych, które są zaprzeczeniem wygód europejskich i w porównaniu z dworcami zagranicy wyglądają na istny żart z postępu i rozwoju kolejnictwa.

Taki stan rzeczy panuje w śródmieściu. Albo banalny szablon, albo karygodne zaniedbanie. Stokroć gorzej jednak przedstawiają się przedmieścia, o których już zgoła nikt nie myślał. Największe i najobszerniejsze z nich, a zarazem najbogatsze, dzięki temu, że stanowi środowisko handlowe, niemal samodzielne, Praga, związana z Warszawą tak blizko i tak pamiętnymi w historyi węzłami, pozostawiona była samej sobie i przypadkowi, który jej wzrostem kierował. W sam jej środek wparł się dworzec kolei Petersburskiej i rozdzielił ją na dwie części, utrudniając pomiędzy obiema komunikacyę, bo, oczywiście, o wiaduktach nikomu się nie śniło. Przez długie lata łączył ją z Warszawą jeden tylko most, niewystarczający wobec wzmagającego się nieustannie ruchu i dopiero w niedalekiej przyszłości przybędzie most drugi.

Praga jednak w porównaniu z innemi przedmieściami była przedmieściem uprzywilejowanem. Daleko gorzej działo się i dzieje na Woli, w dzielnicy rogatki Powązkowskiej, za rogatką Jerozolimską, Mokotowską i t. d.

Dzielnice te, które gdzieindziej stałyby się przyjemnemi dzielnicami mieszkalnemi, odciągającemi od śródmieścia nadmiar ludności, u nas zostały wydane na łup najciemniejszemu i najbardziej znieprawionemu moralnie proletaryatowi, który stworzył tam gniazda nożowiectwa, co przy braku dozoru policyjnego, a nawet należytego oświetlenia, tak dalece zakwestyonowało tu najprymitywniejsze nawet podstawy bezpieczeństwa publicznego, że o budowaniu na wolnych i stosunkowo tańszych, a istniejących tam w obfitości placach, porządniejszych domów mieszkalnych nie było mowy.

I tak jest dotąd. I oto w takiej właśnie chwili budzi się myśl opracowania planu, przewidującego dalszy, normalny, logiczny rozwój miasta. Myśli tej szczerze należy przyklasnąć.

Wiemy, iż nie jest rzeczą łatwą wybrnąć z sytuacyi, w której Warszawa znajduje się obecnie, że na dobrą sprawę należałoby zburzyć całe jej dzielnice i na ich miejsce wybudować nowe, że przedewszystkiem, chcąc mieć ręce do pracy rozwiązane, trzebaby zdobyć dla miasta pole Mokotowskie wraz z przylegającym do niego Rakowcem, wyjednać zniesienie przepisów fortecznych i na-

być kilkanaście włók ziemi aż po Czerniaków i Wierzbno. Wówczas dopiero miasto odetchnęłoby swobodniej i mogło pomyśleć o założeniu wielkiego, niezbędnego już dzisiaj parku, wraz z okalającą go dzielnicą will, podobnie, jak to jest przy Grossgartenie w Dreznie.

Na razie tak szerokie plany są niewykonalne. To prawda. Ale plan, o jakim mowa, nie może mieć bynajmniej na widoku tego tylko, co w danych warunkach i przy danych środkach materyalnych da się uczynić. Powinien on i musi sięgać w przyszłość dalszą i budować Warszawę idealnie, z nadzieją i z wiarą, że ten ideał kiedyś się urzeczywistni, jeżeli nie w tej formie, w jakiej go sobie wymarzyli współcześni, to w formie zmodyfikowanej, jaką ich następcy za najlepszą i najdogodniejszą dla siebie uważać będą. Za lat kilkadziesiąt zupełnie mogą się zmienić warunki mieszkania w wielkich miastach, hygiena może stoczyć zwycięską walkę z dzisiejszym sposobem budowania, a technika może przynieść nowe, lżejsze i mniej kosztowne od cegły i kamienia materyały budowlane, nieprędko jednak zmienią się warunki zasadnicze — potrzeba przestrzeni i powietrza. Te dwa względy muszą też przedewszystkiem znaleźć uwzględnienie w planie, a im silniej zostaną podkreślone, im większy położony będzie na nie nacisk—tem lepiej.

Należy też gorąco pragnąć, aby myśl, którą pierwszy bodaj rzucił architekt Witkiewicz, znalazła poparcie nietylko w kole architektów i w stowarzyszeniu właścicieli domów, ale w jaknajszerszych sferach, dla których rozwój miasta nie może być rzeczą obojętną.

Sprawa ta posiada nadto duże znaczenie dla rozwoju najbardziej u nas zaniedbanej ze sztuk wszystkich, a sztuki bardzo pięknej i wzniosłej—architektury.

Architekt warszawski był dotychczas niewolnikiem spekulującego na placach i budowie domów kapitalisty. Pracował, jako najemnik i skrępowany był na każdym kroku wymaganiami, które mu postawiono z góry. Wymagania te były zwykle mniej więcej jednakowe: jaknajtaniej budować, jaknajlepiej wyzyskać miejsce, jaknajwięcej klitek mieszkalnych umieścić na danej powierzchni, nie dbać ani o estetykę, ani o wygodę, ale o kieszeń przedsiębiorcy, który musi tyle a tyle zarobić.

I to były kanony, wedle których budowano wszystkie nowe domy, z wyjątkiem tych niewielu, zawdzięczających inny wygląd i inne wykonanie właścicielom, posiadającym własne aspiracye estetyczne.

Ile to wyrządziło krzywdy architekturze polskiej — trudno powiedzieć. Ile zmarnowało się przez to talentów, które wstępując na drogę swego zawodu, przynosiły z sobą istotne i głębokie umiłowanie piękna w połączeniu z zapałem, a doznawszy potem rozczarowania, zwolna, dla chleba, wyrzekały się swoich dążeń i swojej indywidualności twórczej, a poprzestawały na kopiowaniu wzorów obcych i przystosowywaniu ich pod względem „kosztorysów“ do wymagań miejscowych. Mimowoli nastręcza się tu porównanie z Krakowem, który wydał takich architektów, jak Zawiejski i Haendel i w ciągu ostatnich lat trzydziestu przyozdobił się szeregiem gmachów i budynków, bądź harmonizujących doskonale ze starożytnym charakterem miasta, bądź przyczyniających się do upiększenia jego dzielnic nowych. Dość wspomnieć przebudowę gmachu Starego Teatru przy ul. Szczepańskiej, gmach Uniwersytetu, gmach Teatru Nowego, wreszcie restauracyę Wawelu, która jest egzaminem dojrzałości dla twórczej, samodzielnej myśli architektonicznej polskiej.

A u nas? Biedna, zaiste, jest Warszawa ze swojem budownictwem, ze swoją ciasnotą, brakiem szerszych ulic i placów, Warszawa, która nie może nawet znaleźć u siebie miejsca odpowiedniego pod pomnik Chopin'a!

*

*

W przededniu zapowiedzianych na lipiec r. b. uroczystości grunwaldzkich w Krakowie, poświęconych obchodowi 500-ej rocznicy wiekopomnej bitwy, która skruszyła potęgę Krzyżaków i legła progiem na drodze ich planów zaborczych, dając jednocześnie możność rozwoju i potężnego wzrostu Polsce Jagiellonów, zabrał głos znakomity powieściopisarz, Bolesław Prus i wypowiedział na łamach *Tygodnika Illustrowanego* następujący pogląd:

„Nie należę — mówi Prus — do najostatniejszych patryotów, lecz—Bóg mi świadkiem—że tej uroczystości, tej uciechy nie jestem w stanie zrozumieć. Bo tylko przypatrzmy się, jak sprawa wygląda. Pięćset lat temu połączeni wojownicy polscy, litewscy i ruscy zmiażdżyli armię bandytów, mianujących się rycerzami Maryi, i zapewnili bezpieczeństwo Europie Wschodniej na czas dłuższy. Dobrze wówczas zrobili sprzymierzeni i cześć ich pa-

mięci za to. Cóż jednak dziś widzimy? Na miejsce zakonu Krzyżaków wyrosły Prusy, których biurokracya nietylko przyswoiła sobie główne ideały krzyżackie, ale jeszcze odgrywa pierwszorzędną rolę w Europie i dusi wolność, zatruwa cywilizacyę, gdzie może. Zwycięzcy z przed 500 lat, Polacy, są dziś w pewnej części niewolnikami swoich niegdyś hołdowników, a sprzymierzeni z nimi Litwini i Rusini nienawidzą nas z całej duszy. I niedość, że nienawidzą. Jest gorzej, gdyż Rusini dobrowolnie podjęli się spełniać funkcyę pruskiego narzędzia w walce z Polakami! I taki przebieg wypadków ma nas cieszyć? Należałoby raczej odziać się w wory, posypać głowy popiołem i wołać: Panie! Panie! za coś nas opuścił? A Pan zapewne odpowiedziałby: Ja wiem, za co.“

Słowa te, pełne gorzkiej prawdy, ale podyktowane zarazem przez niezrozumienie istotnego celu i znaczenia obchodu, spotkały się z „wyjaśnieniem“ sędziwego Kazimierza Kaszewskiego, który drżącą ręką skreślił w odpowiedzi na wywody Prusa świetny artykuł polemiczny, zamieszczony w *Kuryerze Warszawskim*. Przytaczamy go tutaj ze względu, że wyjaśnia on sprawę istotnie i kładzie kres nieporozumieniom, jakie mogłyby jeszcze na tem tle powstać w społeczeństwie, które tak trudno, jak nasze, godzi się na jedno i to tam właśnie, gdzie jednolite panować powinny poglądy.

— Zdaje mi się, że zachodzi tu nieporozumienie—pisze Kaszewski.—„I jakiż to przebieg wypadków ma nas cieszyć?“ zapytuje Prus. Zapewne, taki przebieg wypadków, który nakrył nas, jak jakie ślepe stado i rozdzielił bez oporu między trzy obory, nikogo z nas nie ucieszy. Ale cała ta uroczystość przygotowywa się nie gwoli uciesze, ale dla zaznaczenia doniosłości faktu. Zwycięstwo?... Oh, odnosiliśmy je — i świetne, a przecież nie obchodzimy rocznic Płowców, ani Byczyny, ani Kircholmu, ani Kłuszyna i t. d., oznaczamy je zaledwie wzmiankami w prasie. Z Grunwaldem wszakże jest inna sprawa. Tu raczej należałoby odwrócić rzecz i postawić sobie zapytanie: coby to było stało się z Polską, gdyby zwycięstwo, również doniosłe, na polach Grunwaldu i Tannenberga, odniosły nie wojska Jagiełły, ale Krzyżacy?

O ile wnosić można ze sposobu wojowania Niemców w przeszłości i teraźniejszości, wkrótce po bitwie, po rozproszeniu się niedobitków polskich i litewskich, ile komunikacye ówczesne pozwalały, Ulrich Jungingen na czele zwycięzkich zastępów, ogniem i mieczem utorowawszy sobie drogę w górę Wisły, zająłby Kraków, za nim pośpieszyliby sprzymierzeni Zakonu i, z przyzwoleniem cesarza, całą nowo zdobytą krainę Piastów i Gedyminów

rozdzieliliby na nowe marchie, w czem udział Zakonu byłby nie najmniejszy. Czerń kruków opadłaby białego orła i wysysała z niego krew, jak wyssała z Łużyczan, Obotrytów i wszystkich plemion z nad Łaby i Odry. Byłoby to tem pewniej, że, jak widzimy z dziejów i jak się zresztą sami chwalą potomkowie Teutonów, gdziekolwiek Niemiec postawi swą szeroką stopę, już ona tam wrasta w ziemię na wieki — chyba odciąć ją tak potężnym toporem, jaki błysnął w dłoni królewskiej pod Grunwaldem. Ruina Polski i Litwy w razie klęski była tem pewniejszą, że Zakon, lubo sromotnie zwyciężony, dzięki poparciu Rzeszy i wątpliwemu zachowaniu się Witolda, nie zmiażdżony był z kretesem, ale owszem, nabrał animuszu, ociągał się z zawarciem traktatu i ostatecznie, po tej wielkiej klęsce, pozbawiony wprawdzie ziem rdzennie pruskich, wytargował dla siebie na wieczne czasy znaczny szmat kraju między prawym brzegiem Wisły a Niemnem, który klinem wkraczał w organizm Rzeczypospolitej pod nazwą Prus Książęcych czyli Wschodnich. Jeżeli Zakon, pobity, tyle osiągnął, łatwo sobie wyobrazić, coby się stało z Polską, w razie jego tryumfu.

I tu znowu ktoś, powierzchownie na rzeczy patrzący, może zarzucić, że jakkolwiekbądź katastrofa, która nie nastąpiła wówczas, odwlokła się tylko, czyli, jak się wyraża Prus, rycerze nasi pod Grunwaldem „zapewnili bezpieczeństwo Europie wschodniej na czas dłuższy.“

Nie chodzi nam o Europę, ale o Polskę, a w tym razie jak należy rozumieć to wyrażenie niedość ścisłe? Czyż nic więcej, prócz bezpieczeństwa? Gdyby Niemcy wówczas już żagrabili Polskę, która jeszcze pisać po polsku nie umiała i zaledwie została jako tako, i to niezupełnie, sklejona politycznie przez Łokietka i Kazimierza Wielkiego, los jej nietrudno przewidzieć. *Grunwald jest momentem historycznym, przypominającym Marathon.* Jak tam, gdyby król perski zniósł wojsko ateńskie i hordą swoją nakrył Ateny, Grecya nie miałaby swego siedemdziesięciolecia, które ją unieśmiertelniło duchowo, a względnie nawet politycznie, i stałaby się jedną z licznych satrapij państwa perskiego, wlokąc nędzny żywot w kajdanach, bez Salaminy, Partenonu i Orestei. Podobnie przegrana pod Grunwaldem zostawiłaby Polskę niewyrobioną umysłowo i narodowo, bez dalszej historyi, bez rodzimej kultury, a naród bez historyi i bez kultury nie jest właściwie narodem, tylko ludnością. Nie mielibyśmy Kopernika ani Ciołka, Kochanowskiego i Mickiewicza, Chopin'a i Matejki i całej nieśmiertelnej kohorty działaczów, którzy u nas *„sicut cursores proce-*

dunt et sibi in tenebris lampada tradunt.“ [1]) Mistrz krzyżacki, czy jaki inny z wojewodów niemieckich, rzucający rozkazy z naszego Wawelskiego kapitolu, musiałby tam rychło zaprowadzić prawo i kulturę germańską, i wtedy już przed pięciuset laty, Polska Piastów zaczęłaby powoli schodzić na stanowisko Piastowskiego Ślązka, żywiąc ludność z językiem polskim, ale bez idei polskiej, bo nie byłoby jej skąd zaczerpnąć, ani jak kultywować. Oto jest właściwe niebezpieczeństwo, od którego zasłoniło nas zwycięstwo naszego rycerstwa pod Grunwaldem, naszym Marathonem.

Racya jest, niewątpliwie, że, mimo to wszystko, Polska dziś niema na własnej ziemi wolnego kąta „na grób chociaż dla proroka,“ jak żali się poeta, ale—jest to racya powierzchowna. Upadek polityczny na początku XV wieku byłby nas pozostawił bezradnych, bezmyślnych i na wszelkie następstwa upadku zgoła nieprzygotowanych, a z taką Polską germański słowianożerca łatwoby sobie poradził: dowodem całe obszary przeobrażeń na całej przestrzeni Słowiańszczyzny zachodniej, przeobrażeń, z któremi Niemiec uwinął się nierównie szybciej. Ale Polska dzisiejsza, dzięki swej historyi i kulturze, dzięki tym dziełom, które przez owo pięćsetlecie sama z energii własnego ducha wydała, czy to na polach walki, czy pracy umysłowej — dzisiaj, czuje, wie i rozumie, i ma swoją ideę i siły do jej zużytkowania w jakimś danym momencie przyszłości.

W taki to sposób ogół rozumie, a przynajmniej rozumieć powinien Grunwald. Pokłon popiołom tych, którzy krwią swoją umożliwili i użyźnili nam pole trudów pięciowiekowych dla wzmożenia i usamoistnienia duszy narodowej: oto cel główny uroczystości, zapoczątkowanej przez Kraków, a z zapałem przez wszystkie serca polskie przyjętej. Ma to być i powinna być uroczystość poważna, ale choćby przy tej okazyi i ucieszył się nieco Kraków, nic dziwnego—bo wszak to cieszyć każdego powinno, że ten nasz wielki, święty Kraków został Krakowem, a nie Wrocławiem.

*

* *

[1]) „Biegną i w ciemnościach wzajem sobie pochodnie podają.“

Powstała w Warszawie instytucya, która może mieć doniosłe znaczenie dla rozwoju ruchu współdzielczego u nas — powstał Bank Towarzystw współdzielczych.

Wiadome są powszechnie i wysoko cenione zasługi Banku spółek w Poznaniu i wzorowanego na nim Banku Związkowego we Lwowie, który od lat dziesięciu tak owocną rozwija działalność na gruncie galicyjskim. W tej chwili instytucya podobna, acz nie taka sama, przybywa naszej dzielnicy. Nie możemy wykazywać tu różnic, podkreślać odmiennych jej celów i dążeń. Rzecz oczywista, że inne warunki musiały wytworzyć inny typ banku. Niepodobna jednak przejść obojętnie obok faktu, który związany jest blizko z ogólnem tłem i najbliższemi aspiracyami naszego życia gospodarczego.

O kooperacyi pisaliśmy w roku ubiegłym w „Bibliotece“ szeroko, wykazując nietylko jej zdobycze w ostatnich latach, ale zarazem i te braki, które na drodze swojej napotkała u nas. Jednym z takich braków był mianowicie brak taniego, zdrowego kredytu, tak nieodzownie potrzebnego do rozwoju mniejszych zwłaszcza towarzystw, które nie mogą zdobyć dostatecznego kapitału obrotowego z lokat oszczędnościowych swoich członków. Tymczasem te właśnie mniejsze towarzystwa odgrywają największą rolę w życiu ekonomicznem kraju, ogarniając go bowiem swoją siecią, grupują w małych miasteczkach dokoła siebie ludność najmniej zamożną — rzemieślników i włościan — dla których kredyt wytwórczy może się stać rękojmią lepszego jutra. Dotychczas, jak wiadomo, kredyt ten dostarczany bywał przez najmniej powołane ręce i jeżeli nie był lichwą bez zastrzeżeń, to w każdym razie z lichwą graniczył. W ten sposób cały np. nasz drobny przemysł popadł w zależność od pośredników żydowskich, którzy zadatkując pewne, niewielkie sumy na zakup materyałów surowych, kładli tem samem rękę na wyrobach i zabierali je natychmiast po wykończeniu. Kosztowne to pośrednictwo, bez którego jednakże ani drobny rzemieślnik, ani stawiający pierwsze dopiero kroki na polu życia ekonomicznego włościanin — obejść się nie mogli, było jedną z przyczyn, dla których przemysł ludowy tam nawet, gdzie istniały warunki jego istnienia, więc bądź w bliskiem sąsiedztwie wielkich ośrodków fabrycznych, bądź też przeciwnie — w znacznem oddaleniu od nich, na głębokiej prowincyi, przyzwyczajonej od wieków do samodzielnego zaspokajania pewnych swoich potrzeb, kulał i wiódł anemiczny żywot, wróżący raczej o rychłej zagładzie, niż o normalnym, ekonomicznie umotywowanym rozwoju. Nie mogły mu też pomódz usiłowania je-

dynej w kraju instytucyi, która zajmowała się jego sprawami— Towarzystwo popierania przemysłu ludowego. Towarzystwo nie posiadało bowiem ani sił ani środków na to, ażeby ogarnąć cały kraj i wniknąć w potrzeby wszystkich jego okolic.

O wiele więcej zdziałać na tem polu mogą miejscowe Towarzystwa kredytowe i wytwórcze, których tak znaczna ilość powstała w ostatnich latach. Znając dobrze warunki, w jakich pracuje ludność tej lub innej miejscowości, snadniej będą mogły uwzględniać i zaspokajać potrzeby kredytowe tej ludności, bacząc zarazem, aby kredyt udzielany nie był szkodliwym kredytem konsumpcyjnym, ale żywotnym kredytem wytwórczym. Zadania te spełnią jednak Towarzystwa kredytowe dopiero wówczas, gdy same będą rozporządzały odpowiednimi środkami, środków tych dostarczy im zaś niewątpliwie Bank współdzielczy, który przyjmując fundusze Towarzystw zamożniejszych, posiadających nadmiar gotówki, odpowiednio i z pożytkiem dla kraju sfruktyfikuje je za pośrednictwem Towarzystw mniej zamożnych, ale posiadających znaczenie, jako placówki ekonomiczne na odległej prowincyi.

*

* *

Niejednokrotnie już pisaliśmy na tem miejscu o znaczeniu, jakie dla kultury naszego kraju mogą mieć muzea prowincyonalne. Zawiązek takiego muzeum powstał świeżo w Piotrkowie, dzięki inicyatywie tamtejszego oddziału Towarzystwa krajoznawczego. Fakt ten notujemy skwapliwie.

Historya powstania muzeum piotrkowskiego jest krótka, ale już pouczająca, świadczy bowiem o tem, że przy dobrej woli i odrobinie zapału można zawsze coś stworzyć.

Zarząd oddziału piotrkowskiego Tow. krajoznawczego, przygotowując niejako grunt do działania, wydał odezwę mniej więcej takiej treści:

„W celu rozbudzenia szlachetnych dążeń poznania kraju rodzinnego, zawiązany został przed rokiem oddział piotrkowski T. kr. Obecnie, w myśl § 2 ustawy T-wa oddział ten przystępuje do założenia Muzeum, gromadząc w niem to wszystko, co dotyczy kraju naszego, a zwłaszcza stron piotrkowskich, zarówno pod względem pamiątek historycznych, jako też przyrody, archeologii, etnografii, przemysłu i handlu, tak, aby dać w niem odzwiercie-

dlenie fizyognomii tej części kraju oraz prastarej w nim naszej kultury. Niema prawie zakątka naszej rozległej ziemi, niema domu polskiego, któreby nie posiadały jakiejś osobliwości krajowej, lub jakiejś szacownej pamiątki. Rzeczy te, pojedyńczo rozproszone, mało lub wcale nie ocenione, nabyłyby całej wartości dopiero w zbiorze umiejętnie urządzonym. Przystępując do gromadzenia okazów, Zarząd przyjął zasadę, iż gdyby rzeczony zbiór piotrkowski niespodziewanym zbiegiem okoliczności uledz miał kiedyś innemu przeznaczeniu, złożone okazy zwrócone będą ofiarodawcom. Nadto, gdyby kto nie zechciał rozstawać się na zawsze z wartościowym dla niego przedmiotem, lecz dla uprzystępnienia go ogółowi — ofiarował go czasowo, ofiara taka będzie miała charakter depozytu, zwrotnego na żądanie."

W odpowiedzi na tę odezwę, przytoczoną tu tylko w zarysie, napływać zaczęły dość szybko dary i depozyty. Sprawiono na razie kilkanaście gablot i szafkę biblioteczną, gdzie mieści się bardzo podobno cenny zbiór sfragistyczny, oraz zbiór rycin, nazwany „Polską w obrazach," nabyty z puścizny po ś. p. Michale Grekku—archeologu z Niemirowa.

W gablotach znajdują się ciekawe kolekcye skamieniałości, ofiarowane przez p. Stanisława Psarskiego, właściciela kamieniołomów wapienia w Sulejowie. Dalej są okazy szczątkowe zwierząt przedpotopowych, kości mamuta, niedźwiedzia jaskiniowego i t. p., nadto wykopaliska przedhistoryczne, urny, przystawki, wyroby kamienia łupanego i neolitu, jak na początek, zbiór poważny.

Z dzieł sztuki, pamiątek historycznych, numizmatów posiada Muzeum rzeczy rzadkie i cenne. Natomiast, dział najważniejszy, ludowy, przedstawia się dotąd ubogo.

W każdym razie podwalina została rzucona. Oczywiście, żadne muzeum nie powstaje w ciągu kilku miesięcy, ani nawet lat kilku. Rośnie ono powoli i trzeba nieraz życia kilku pokoleń, aby mu zapewnić rzetelną wartość i uposażyć we wszystko. Najtrudniej jednak o zawiązek. Co do Piotrkowa więc, z chwilą, gdy zawiązek taki już posiadł, można wyrazić nadzieję, że posiędzie także z czasem muzeum, godne tego trybunalskiego, starego grodu, który dziś stał się stolicą najbardziej przemysłowej ziemi Królestwa, a więc najzasobniejszej w środki, potrzebne do prac kulturalnych.

* * *

Do znanych już posunięć na szachownicy reakcyi przybyły świeżo dwa nowe. Oto po zamknięciu Macierzy Szkolnej, Towarzystwa wpisów szkolnych, oraz Oświaty w Wilnie i w Kijowie, przyszła kolej na skromną Oświatę w Nieświeżu i na jeszcze skromniejszą, bo niemającą za sobą niemal żadnych jeszcze działań konkretnych, *Macierz małorolnych*, założoną niedawno w Płocku z inicyatywy p. Bolesława Zdziarskiego.

Obie te instytucye zamknięto, pierwszą z rozkazu władz miejscowych gubernialnych, drugą—na zasadzie ukazu Senatu.

O Macierzy małorolnych w swoim czasie zamieściliśmy na łamach *Biblioteki* informacye wyczerpujące, odsyłamy więc do nich bliżej zainteresowanych tą kwestyą. Tu nadmieniamy tylko, że instytucya ta powołana była przedewszystkiem do walki ze spekulacyą parcelacyjną i do obrony ziemi polskiej od przechodzenia w ręce niemieckie. W programie tym, który zresztą na drogę wykonania praktycznego jeszcze nie wszedł, trudno, zaiste, dopatrzeć się szkodliwości dla interesów państwowych rosyjskich.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Akademia Umiejętności. Na posiedzeniu Komisyi historyi sztuki dnia 24 listopada r. z. przewodniczący, prof. dr. Maryan Sokołowski, podał do wiadomości list wystosowany do niego przez d-ra Hahna, przewodniczącego Tow. historycznego w Lignicy, z prośbą o udzielenie bliższych wyjaśnień co do osoby ks. Henryka XI lignickiego, który, zdetronizowany w r. 1585, uciekł do Krakowa i tutaj umarł w r. 1588. Pochowany miał być tutaj przez cech białoskórników w kościele Franciszkanów lub innych braci mniejszych (*Bettelmönche*). Źródła nasze nie zawierają żadnej wzmianki o takiej osobistości, ani też w kościele Franciszkanów niema żadnego nagrobka, któryby wskazywał miejsce pochowania ks. Henryka. Poszukiwaniami archiwalnemi w tym przedmiocie mają się zająć pp Chmiel i Lepszy.

Znany badacz zabytków wileńskich, dr. Zahorski, przesłał komisyi komunikat, dotyczący grobu W. Księcia Witolda w katedrze wileńskiej. Ks. Witold pochowanym został w r. 1430 w grobie, który sobie za życia wybudował, obok swej żony Anny, przy ołtarzu św. Michała. W tym grobie zwłoki jego spoczywały do r. 1573, t. j. przez 143 lat, aż do czasu, gdy biskup wileński, Waleryan Protasewicz-Suszkowski, przeniósł kości Witolda do nowego grobu, w ścianie przy ołtarzu św. Michała. Królowa Bona sprawiła pomnik z popiersiem Witolda i napisem łacińskim, który w r. 1853 Eustachy Tyszkiewicz, gdy pomnik przez Bonę fundowany zniszczał, pierwotny napis łaciński na tablicy marmurowej powtórzył. Dawny grób Witoldowy przeznaczył biskup Protasewicz dla siebie. W częstych pożarach, które nawiedzały katedrę wileńską, zniknął pomnik Witolda i pomnik biskupa Protasewicza, tak, że wszelki ślad zaginął, gdzieby się znajdował grób Witolda. Dopiero w tym roku, gdy płyta w posadzce się obluźniła, zbadano podziemia katedry wileńskiej i przy tej sposobności znaleziono w nich ułamek płyty marmurowej z po-

stacią biskupią, oraz czaszkę i szczątki szat biskupich. Dr. Zahorski przypuszcza, że są to szczątki grobowca biskupa Protasewicza i że grób, w którym pochowany został, był pierwotnie grobem ks. Witolda.

Przewodniczący przedstawił fotografię portretu męskiego, z czarnego marmuru, będącego własnością warszawskiego Tow. Opieki nad Zabytkami, wykonaną dzięki uprzejmości p. Broniewskiego. Popiersie to nabył około r. 1850 p. Władysław Markowski od żołnierzy na Wawelu. Na podstawie porównania tego portretu z portretem Wilibalda Pirkheimera († 1530), słynnego humanisty, burmistrza norymberskiego, przyjaciela Albrechta Dürera, przyszedł przewodniczący do przekonania, że ów biust marmurowy jest wizerunkiem Pirkheimera. Pozostawał on w ożywionych stosunkach z Janem i Sewerynem Bonerami i za ich pośrednictwem portret ten mógł się dostać na Zamek królewski.

W dalszym ciągu przewodniczący okazał fotografie szkatułki, ofiarowanej przez króla Zygmunta Starego Joachimowi II, kurfirstowi brandenburskiemu. Joachim ożeniony był dwukrotnie: pierwszy raz z Magdaleną, księżniczką saską, drugi raz z Jadwigą, córką króla Zygmunta I dnia 1/9 1535 r. († 1573). Wnuczka kurfirsta Elżbieta Zofia poślubiła w r. 1613 Janusza ks. Radziwiłła i stąd szkatułka ta dostała się w posiadanie Radziwiłłów, skąd ją w roku 1813 wojska rosyjskie zabrały. Obecnie znajduje się szkatułka ta w Eremitażu petersburskim. Szkatułka, norymberskiego pochodzenia i znakomitej roboty, zrobioną jest ze srebra pozłacanego, ozdobiona perłami, kameami i drogimi kamieniami z herbami polskimi i brandenburskimi. Wyborne fotografie i opis szkatułki przesłał na ręce przewodniczącego baron Fölkersam, naczelny konserwator Eremitażu petersburskiego.

Przewodniczący okazał następnie fotografię plakiety srebrnej, przedstawiającej portret Jerzego Ossolińskiego, ze zbiorów Eremitażu, oraz fotografię ołtarzyka srebrnego z Bargello we Florencyi. O podobnym ołtarzyku w Płocku zdawał już sprawę Maciej Bersohn w „Sprawozdaniach“ komisyi tom VII, a prof. Sokołowski wykazał jego kopię w katedrze wileńskiej. Waryant florencki tego ołtarzyka jest dziełem jednego z artystów niemieckich, których Cosimo, W. ks. toskański, na dwór swój do Florencyi chętnie sprowadzał. Tak płocki ołtarzyk, jak wileński, jest z niektóremi drobnemi odmianami kopią florenckiego z tą różnicą, że ten ostatni jest wykonany nieco odmienną techniką.

Wreszcie odczytano pracę p. Adolfa Szyszki Bohusza o synagogach żydowskich w Polsce, a mianowicie o synagogach w Przedborgu, Szydłowie, Wyszogrodzie i Łęczycy. W pięknej tej pracy, bogato illustrowanej rysunkami i fotografiami, autor wykazał znaczenie drewnianych synagog dla dziejów naszego budownictwa i uwydatnił w szczegółach ich tak interesującą i charakterystyczną ornamentacyę. Przewodniczący z tego powodu zapowiedział wydanie osobnego zeszytu „Sprawozdań,“ poświęconego wyłącznie sztuce żydowskiej, do którego obfite materyały już są zgromadzone.

Na posiedzeniu administracyjnem wybrano członkiem komisyi p. d-ra Nikodema Pajzderskiego, a sekretarzem komisyi p. d-ra Józefa Muczkowskiego.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. W dniu 5-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go Towarzystwa, na którem p. I. Chrzanowski wygłosił referat p. t. „Encyklopedyczny charakter kroniki Kadłubka.“ Referent wykazuje, że pomimo wielu, i to znakomitych, prac, poświęconych kronice Kadłubka, studya nad nią nie są jeszcze bynajmniej ukończone, rozpatrywano ją bowiem dotychczas jedynie ze stanowiska źródła dziejowego, przyczem zgadzają się badacze, że kronika ta, jako dzieło fantazyi, źródłem dziejowem nie jest. Referent rozpatruje ją z innego stanowiska, mianowicie, jako podręcznik szkolny o charakterze encyklopedycznym, zawierający w sobie niezmiernie obfite wiadomości w zakresie nietylko historyi polskiej i powszechnej, ale nadto nauki moralności i mądrości życiowej, prawa i praktyki sądowej, nauk przyrodniczych oraz retoryki i wymowy. Rozpatrywana z tego stanowiska, jest kronika Kadłubka dziełem bardzo znakomitem, zarówno przez swą bogatą treść, jak przez swój styl retoryczny.

W dniu 7-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którem, po załatwieniu spraw bieżących, członek p. Karol Lutostański wygłosił referat p. t. „Powody ustanowienia władzy mężowskiej w prawie u nas obowiązującem.“ W dyskusyi zabierali głos członkowie pp. Ochimowski, Kraushar, Dydyński i Al. Jabłonowski.

W dniu 13-ym z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którem, po przemówieniu wstępnem dorocznem p. Jana Tura „Podstawy teoretyczne embryologii anormalnej,“ wygłoszono następujące komunikaty i referaty: J. Eismond „Badania doświadczalne nad rozwojem ryb spodoustych;“—L. Silberstein: „Niezmienniki fal Roentgena;“ — Z. Weyberg: „Cechy charakterystyczne składu chemicznego biotytów skałotwórczych w granitach, syenitach eleolitowych, lamprofirach i bazaltach;“ — St. Landau: „Spostrzeżenia nad promieniotwórczością atmosferyczną w okolicy Ojcowa i Olkusza“ (przedst. S. Dickstein);—W. Sierpiński: „Przyczynek do teoryi szeregów rozbieżnych;“—S. Kosiński: „Dostrzeżenia aberracyi względnej minimów Algola“ (przedst. p. Banachiewicz);—L. Lichtenstein: „O niektórych zastosowaniach teoryi równań całkowych liniowych“ (przedstawił S. Dickstein).

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie. Sekcya archeologiczna Tow. Przyj. Nauk przystępuje do zebrania i wydania materyałów do historyi 1,552 nieruchomości w Wilnie. Od r. 1790 numery (miejskie) nieruchomości w Wilnie nie uległy zmianie, ta więc stała numeracya ułatwia wypisanie z szeregu ksiąg materyałów do historyi 1,552 nieruchomości, zaczynając od r. 1790. Przy pomocy, niekompletnej niestety, „księgi kronikalnej“ m. Wilna oraz spisów kamienic w raclunkach miejskich, można cofnąć się do historyi kamienic wileńskich aż do XVII w., zaś posiłkując się aktami z Archiwum Centralnego, można sięgnąć nawet w tym przyczynku do topografii starego Wilna aż do XVI w.

W związku z wydawnictwem „Materyałów do historyi 1,552 nieruchomości“ sekcya postanowiła wydać plan m. Wilna z 1808 r., uzupełniony alfabetycznym spisem nazw ulic, wyjętych z dawnego planu i nazw późniejszych,

nadanych przez administracyę. Wydawnictwo to ustali dawne nazwy polskie ulic i usunie chaos w nazwach i wątpliwości, co do niektórych dawnych nazw ulic wileńskich.

Towarzystwo w ostatnich czasach otrzymało między innemi cenny dar od p. Franciszka Oskierki, mianowicie dwa rzędy na konia, z tych jeden złocony turecki, zdobyty pod Wiedniem; drugi wspaniały i kosztowny, złocony, sadzony kamieniami, służył podczas poselstwa do Rzymu Ossolińskiego w XVII wieku (depozyt); skrzynię gdańską żelazną kutą i dwie kłódki z zatrzaskami na złodziejów z XVII w.; cztery gwiazdy orderów polskich ze wstęgą, bączek od czapki z cyfrą Stanisława Augusta, sadzony turkusami i koralami, znak od czapki żołnierza Kościuszkowskiego, pierścionek żelazny z podkowy konia ks. Józefa Poniatowskiego, tłok pieczętny konfederacyi, szarfa, dwa pasy wyższego oficera wojska polskiego, staroświecka prochownica, dwa przywileje królewskie i t. d.

P. Jadwiga Skarzyńska złożyła w darze do archiwum Towarzystwa cztery seksterny szkolne ucznia Gedymina z zapisanymi przezeń wykładami ze słów Adama Mickiewicza w szkole Kowieńskiej w latach 1819—21.

Wreszcie do biblioteki przybył piękny księgozbiór pp. Brzeskich z Petersburga, liczący trzy tysiące tomów dzieł starannie dobranych, przeważnie z dziedziny nauk ekonomiczno-społecznych.

— Zabytek dawnego budownictwa polskiego. Niedawno przystąpiono do budowy nowego kościoła w Wąwolnicy, pod Nałęczowem. Przy tej okazyi zwrócono uwagę na cenny zabytek dawnego budownictwa polskiego, mianowicie na opactwo Benedyktyńskie. Na podstawie zapisków klasztornych, oraz innych dokumentów, p. Henryk Wiercieński ogłosił w „Wiśle“ z 1891 r. interesującą pracę o Wąwolnicy. Dowiadujemy się z niej, że Kazimierz Jagiellończyk przywilejem królewskim z 1458 r. nadał klasztorowi Benedyktyńskiemu na Łysej Górze prawo patronatu kościoła parafialnego w Wąwolnicy, w archiwum zaś tamtejszem istnieje najwcześniejszy z dokumentów, a mianowicie akt erekcyi kościoła z 1342 r. Obecny więc kościół wąwolnicki odnieść należy do pierwszej połowy XIV w. Nie przechował się on jednak w pierwotnej postaci swojej i niezawodnie zgorzał w 1570 r., w czasie pożaru, jak świadczą dokumenty kościelne, starego miasta na górze kościelnej św. Wojciecha. Stara bezwątpienia jest tylna część budynku, t. j. presbiteryum, z podpierającemi ją na zewnątrz charakterystycznemi szkarpami. Wewnątrz, przy wejściu z zakrystyi do jednego z zakamarków, odnajdujemy obramowanie gotyckie, oraz drzwi stare z okuciem i z zawiasami w tymże stylu. Z tego wnieść można, że i cała świątynia pierwotnie w stylu gotyckim zbudowana była, zaś po pożarze przebudowę uskuteczniono w panującym już wówczas w Polsce stylu odrodzenia. Takiem jest bowiem piękne sklepienie z ornamentacyami nad presbiteryum i oddrzwia marmurowe przy wejściu do zakrystyi. Może i w tym stylu przebudowana była całkowita nawa kościelna, co jednak dzisiaj orzec jest trudno, gdyż w jedynej nawie głównej przechowało się tylko pokrycie z prostych desek sosnowych, które, według objaśnienia p. Wiercieńskiego,

układano za jego lat dziecięcych około 1850 r. Może więc ta część kościoła, jako frontowa część budowli, uległa ponownemu zniszczeniu podczas zamieszek w kraju lub najazdów szwedzkich za Jana Kazimierza i Augusta II-go i już nigdy gruntownie odnowiona nie była. Znajduje się też ona w stanie zupełnej ruiny, a mury, po zbadaniu dokładnem, nie nadają się już do przeróbek. Postanowiono przeto obok starego kościoła wznieść nową świątynię i ubiegłego lata przystąpiono już do budowy fundamentów.

Jak pisze p. L. M. w № 5 „Kur. Warsz." z r. b. nasze Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, zawiadomione przez jednego z członków swoich o zamiarze zburzenia starego kościoła, postanowiło sprawę zbadać na na miejscu. Do Wąwolnicy przyjechali też niebawem pp. Kazimierz Broniewski, sekretarz Towarzystwa, Stanisław Grochowicz, budowniczy z Warszawy, oraz przebywający w Nałęczowie H. Wiercieński i Leopold Méyet. Przy chętnej pomocy ks. wikarego Sołuby i ks. proboszcza Białego, delegaci Towarzystwa zdjęli plan sytuacyjny kościoła, odrysowali i sfotografowali wszystko, co było godnego uwagi. Delegatów upewniono też, iż presbiteryum, wyróżniające się wspomnianymi wyżej pięknymi szczegółami architektonicznymi, zamienione na kaplicę przedpogrzebową, będzie nadal istniało przy odpowiedniej konserwacyi. Tym sposobem kościół starożytny nie przepadnie, jak tyle innych zabytków budowlanych w Polsce. Uratuje się z niego przynajmniej to, co dotychczas uratować się dało. W końcu nadmienić wypada, że przy kopaniu fundamentów znaleziono kilka monet piastowskich i żelazny toporek wojenny. Przedmioty te mają być pomieszczone w przyszłem Muzeum dyecezyalnem w Lublinie.

— Konkurs dramatyczny Teatrów Warszawskich. Z wielu stron dochodziły do Dyrekcyi Teatrów Rządowych głosy i życzenia, aby termin konkursu dramatycznego, ogłoszonego przez Teatry Warszawskie, został przedłużony. Zasięgnąwszy w tej mierze opinii komitetu sędziów (*jury*), Dyrekcya Rządowa Teatrów Warszawskich, pragnąc zarazem ułatwić warunki pracy piszącym, postanowiła naznaczyć nowy termin wyżej wymienionego konkursu na dzień 31 marca 1910 roku nowego stylu.

— Wystawa Etnograficzna. We Lwowie podjęto myśl urządzenia w czerwcu r. b. wielkiej Wystawy Etnograficznej, obrazującej życie ludu i jego stan kulturalny na całym obszarze ziem polskich.

Na pełny obraz rodzimej kultury składają się zarówno dane dotyczące trybu życia, obyczajów, stanu ekonomicznego i oświaty ludowej, — jako też okazy, charakteryzujące cechy i odrębności lokalne. Materyału gotowego w muzeach i zbiorach prywatnych posiadamy w kraju bardzo niewiele, w usiłowaniach przygotowawczych do wystawy trzeba zatem sięgnąć do samego źródła i bezpośrednio od ludu wydobywać okazy i dane obrazujące jego życie.

Gromadzenie wszelkich szczegółów, charakteryzujących różne okolice kraju i ich mieszkańców—wchodzi ściśle w zakres działalności Polskiego Tow.

Krajoznawczego, to też podjęło ono inicyatywę zebrania możliwie najliczniejszych okazów i danych, odnoszących się do Królestwa Polskiego, dla ich przedstawienia na wspomnianej wyżej wystawie etnograficznej we Lwowie. W imię doniosłości tej sprawy dla ludoznawstwa polskiego, Tow. Krajoznawcze zwraca się do ogółu z prośbą o poparcie jego usiłowań.

O wszelkie bliższe informacye zgłaszać się należy do Komitetu wystawowego przy Tow. Krajoznawczem, Warszawa, Jerozolimska 29. Deklaracye, z zapowiedzią współudziału i wyszczególnieniem okazów, należy nadsyłać również pod powyższym adresem do dnia 1-go lutego 1910 r. Okazy będą przyjmowane tamże do dnia 1-go maja. Koszty wysyłki okazów z Warszawy do Lwowa ponosi Komitet wystawowy. Zwrot okazów przesyłanych za pośrednictwem Tow. Krajoznawczego, Towarzystwo poręcza. Każdy przesłany przedmiot winien być opatrzony napisem, wskazującym dokładnie, skąd pochodzi.

NOWE KSIĄŻKI.

— Marya Konopnicka. *Pan Balcer w Brazylii.* Poemat. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ znanym jest ten przepiękny poemat Konopnickiej. Potężne obrazy niedoli ludu polskiego, rzuconego w otchłań nędzy i tęsknoty gdzieś na drugiej półkuli; głęboka a serdeczna miłość Ojczyzny, odbita w sercach tułaczy; niezwykła plastyka opowieści przy prostocie środków artystycznych, czyni z *Pana Balcera* dzieło niepospolite o trwałej, nieprzemijającej wartości w zakresie poezyi naszej epoki poromantycznej.

— Jan Gwalbert Pawlikowski. *Studyów nad „Królem Duchem“ część pierwsza: Mistyka Słowackiego.* Warszawa, 1909. Nakład Jakóba Mortkowicza. G. Centnerszwer i Sp.

W dziedzinie badań nad twórczością Słowackiego studyum Jana Pawlikowskiego zajmuje jedno z miejsc najwydatniejszych. Głęboka erudycya, nowość metody, polegającej na uwzględnieniu w szerokim zakresie materyału porównawczego, czerpanego z dziedziny filozofii greckiej, wierzeń buddyjskich, i mistyki zachodnio-europejskiej, cechują książkę p. Pawlikowskiego. Dzieło składa się z trzech części. W pierwszej rozpatruje autor podłoże duchowe Słowackiego przed przystąpieniem do towianizmu i w okresie wiary mistycznej; druga traktuje o stosunku nauki mistycznej poety do jego twórczości poetyckiej; trzecia wreszcie zawiera szczegółowy rozbiór źródeł i pokrewieństw mistyki Słowackiego.

— Szymon Askenazy. *Nowe wczasy.* Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Tom niniejszy stanowi właściwie trzecią seryę pomniejszych pism autora „Łukasińskiego.“ Te niekiedy drobne, zwięzłe szkice, skreślone *a propos* ja-

kiegoś dzieła, lub też odtwarzające na podstawie nowych dokumentów, szczegóły zgoła dotychczas nieznane, a ważne i ciekawe—ujęte zostały przez autora w formę opowieści wytwornych, zaprawnych częstokroć solą attycką i subtelną a ciętą ironią. *Nowe wczasy* zawierają następujące studya, częściowo drukowane w piśmie naszem: „Przegląd doby saskiej (1696—1763) i porozbiorowej (1795—1830);“ „Polska, a Wojna Siedmioletnia;“ „Poselstwa hiszpańskie;“ „Biskup Sołtyk;“ „Dworactwo pośmiertne;“ „Alopeus;“ Generał Fiszer;“ „Wojsko Warszawskie;“ „Pamiętniki Brandta;“ „Pierwsza politechnika polska;“ „Rozmowy w Belwederze;“ „Na marginesie *Kordyana*;“ „Galicya a Węgry;“ „Senat Rewolucyjny;“ „Ludwik Boerne;“ „Bratanek Napoleona;“ „Pamiętniki Hohenlohego.“

— D-r Roman Dyboski, docent uniwersytetu Jagiellońskiego. *Literatura i język średniowiecznej Anglii.* Z mapą. Wydane z zasiłkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. 1910. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. XII i 418.

Treść: Rozdział I. Początki historyczne narodu angielskiego: inwazya Anglii przez Anglosasów w V i VI wieku, ich stosunek do podbitych Keltów. II. Podstawy germańskie języka angielskiego: stanowisko języków germańskich pośród indo-europejskich, ich ugrupowanie, charakterystyka języka literackiego staro-angielskiego i jego narzeczy. III. Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Anglii. Kultura i literatura staro-angielska. Styl germańskiej poezyi narodowej. Epopea o Beowulfie. Poezya chrześcijańska w Anglii. Usiłowania literackie Bedy i króla Alfreda Wielkiego. Inwazya skandynawskich wikingów; asymilacya najeźdźców; żywioł skandynawski w języku angielskim. IV. Podbój Anglii przez Normanów (1066); rządy i kultura francuska w średniowiecznej Anglii, illustrowane przeglądem słów francuskich w języku angielskim. V. Rozwój mowy ludowej angielskiej w okresie panowania francuzczyzny; rozłam na narzecza; ich znamiona i początki literatury w nich napisanej. VI. Geoffrey Chaucer, twórca narodowej poezyi angielskiej (um. 1400) i jego współcześni; reformator religijny Wycliffe, pierwszy tłómacz Pisma Świętego na język angielski. VII. Caxton, pierwszy drukarz angielski; proza i poezya angielska XV wieku; początki języka literackiego nowo-angielskiego. VIII. Historya Szkocyi aż do Maryi Stuart; odrębny rozwój narzecza angielskiego na Podhalu szkockiem; poeci i literaci szkoccy od XIV do XVI wieku.

Książka, przeznaczona w pierwszym rzędzie jako podręcznik uniwersytecki do akademickiego studyum dziejów języka i literatury angielskiej, ale przystępna także dla szerszego wykształconego ogółu, przedstawia w ogólnych zarysach rozwój polityczno-społeczny i cywilizacyjny Anglii od jej osiedlenia przez Anglosasów w V i VI wieku aż do początków ery Odrodzenia, na tem tle zaś charakteryzuje stan języka co do gramatyki i słownictwa, oraz opowiada dzieje literatury poetycznej i prozaicznej w poszczególnych okresach tej średniowiecznej epoki, łącząc w ten sposób encyklopedycznie przedmioty zazwyczaj w osobnych podręcznikach traktowane; dodane jest siedem wybranych prób poezyi i prozy średniowiecznej angielskiej w oryginale z tłómacze-

niem i obszernemi objaśnieniami; dalej bibliograficzny spis źródeł i opracowań przedmiotu, mogący służyć jako przewodnik do gruntowniejszych i specyalnych studyów; wreszcie alfabetyczny indeks nazwisk, tytułów i form gramatycznych, oraz mapa wysp brytyjskich dla ułatwienia oryentacyi topograficznej. (*Autoreferat*).

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Ekonomista. Rok IX. Tom II. Zeszyt IV, kwartał IV. Warszawa, 1909 r. Redaktor i wydawca Stefan Dziewulski. Treść: Szkice o rozwoju i stanie stowarzyszeń współdzielczych w Galicyi i Księstwie Cieszyńskiem, przez Ignacego Domagalskiego; — Rozwój i ustrój „Rolników“ w W. Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, przez Ks. D-ra Kazimierza Zimmermanna; — Spółka oszczędności i pożyczek w Galicyi, przez Wincentego Badurę;—Polskie spółki parcelacyjne pod zaborem pruskim, przez Władysława Tomaszewskiego;—Spółka handlowa w Prusach Zachodnich, przez R.;—Towarzystwa drobnego kredytu w Królestwie Polskiem, przez Cezarego Łagiewskiego; — Towarzystwa wzajemnego kredytu i kasy przemysłowców w Królestwie Polskiem, przez Cezarego Łagiewskiego;—Bank centralny kooperatyw, przez Stanisława Karpińskiego; — Franciszek Stefczyk: Z powodu 10-letniej rocznicy założenia Patronatu dla spółek oszczędności i pożyczek przy Wydziale Krajowym we Lwowie, przez Franciszka Bujaka;—Wytwórczość współdzielcza w Królestwie Polskiem: Fabryki tkackie, przez W. M. Huta szklana Robotnicza w Wyszkowie, przez Gustawa Simona;—Stowarzyszenia wzajemnej pomocy i wzajemnych ubezpieczeń urzędników prywatnych, przez J. G.; — Kooperatywa ubezpieczeniowa w Królestwie Polskiem, przez C. Łagiewskiego;—Stowarzyszenia rolnicze w Królestwie Polskiem, przez Stanisława Dzierzbickiego; — Kronika współdzielcza;—Kronika.

— Krytyka. Miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Rocznik XII. Styczeń, 1910. Kraków. Treść: Część pierwsza (f) Navigare necesse est... K. Stefański: Utopie ugodowe ostatniego czterdziestolecia a polityka narodowa;—D-r Michał Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań; — D-r Stanisław Kelles-Kranz: Problemat seksualny; — Junius: Współcześni politycy polscy. XIV. Prezydent D-r Leo;—K. Srokowski: Kwestya dalekiego Wschodu; — Przegląd; — Sprawozdania. Część druga: Leopold Staff: Skazaniec mówi;—Michał Sokolnicki: Leonardo da Vinci;—Leonardo da Vinci: Orzeczenia, przemowy, przypowieści. Przełożył M. S.; — Włodz. Konieczny: Pieśń;—Jan Dąbrowski: Z niwy nowelistycznej;—Mieczysław Smolarski: Rycerz Smęt;—O ciche westchnienie. Poezye;—Marya Aleksandra Walewska: Hildebraud; — W. F.: Najmłodsi w literaturze polskiej; — I. St. Brzozowski: „Legenda Młodej Polski;“—Emil Verhaeren: Z cyklu: „Dwanaście miesięcy.“ Tłom. Jan L.; — M. Rakowska: List angielski; — Teatr; — Przegląd; — Sprawozdania.

— Kwartalnik Historyczny. Organ Towarzystwa Historycznego. Rocznik XXIII, zeszyt 4. Lwów, 1909. Treść: Upadek Kiejstuta, przez Anto-

niego Prohaskę; — Lwów w 1848 roku, przez Piotra Stebelskiego (Ciąg dalszy);—Miscellanea: I. Rozejm Jagiełły z landmistrzem inflanckim, zatwierdzony w Rydze 27 lutego 1380 r., przez Antoniego Prohaskę. II. Listy W. A. Maciejowskiego do Antoniego Mażuranica, przez Tad. Stan. Grabowskiego; — Recenzye i sprawozdania; — Bibliografia historyi polskiej;—Kronika;—Sprawozdania z posiedzeń Tow. historycznego;—Polemika.

— Lamus. Zesz. IV, jesień. Cz. I. Dzisiaj. Jan Kasprowicz: Poezye;—Jan Strzeniec: Dwie pieśni; — Michał Pawlikowski: O wojnie Greków z Trojanami;—Stanisław Koczorowski: Na dawniejszą nutę;—José M. Heredia: Trofea (przełożył I. Klemensiewicz); — Szymon Preture: Dziś;—Jan Gw. Pawlikowski: O czci poetów; —Leon Piniński: „Leonardo da Vinci“ Galeryi Czartoryskich;—Franciszek Krczek: W sprawie pisowni polskiej;—Nowe książki. Cz. II. Wczoraj; — Mieczysław Treter: Rysunki sułtana Abdul-Azisa; — Juliusz Słowacki: Z nieznanej spuścizny (podał Bronisław Gubrynowicz i M. P.): Józef Szujski, Wincenty Pol, Adam Asnyk, Kornel Ujejski, W Sztambuchu Z. R.; — Artur Grottger: Z listów Artysty (II); — Ryszard Berwiński: Na wyjezdnem;—Karol Brzozowski: Pacierz. Ilustracye, Okładka według rytu K. W. Kielisińskiego, Zamek w Podhorcach; — Leonardo da Vinci: Portret kobiety z gronostajami; Abdul Azis, 10 szkiców batalistycznych; — St. Chlebowski: Miniatura Abdul Azisa.

— Nowe Tory. Miesięcznik poświęcony sprawom oświaty i wychowania. Warszawa. Zeszyt X. Grudzień, 1909. Treść: I. Moszczeńska: Nowe wychowanie; — Adam Zieleńczyk: O etycznej podstawie pedagogiki;—A. Szycówna: Z postępów psychologii dziecka;—S. Karpowicz: To nie krytyka;—M. Lipska Librachowa: W sprawie metodyki czytania; — E. Kolabiński: Z dziennika pedagoga. Jedno z niedomagań naszej szkoły. Sprawy szkolne; — Z literatury; —Książki dla młodzieży; — Dzieła pedagogiczne w językach obcych;—Kronika;—Kronika zagraniczna; —Bibliografia pedagogiczna.

— Prąd. Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy. Rok I, № 10—11. Warszawa, październik—listopad 1909. Treść: Tad. Błażejewicz: „Czy potrzebne jest u nas stronnictwo katolickie?“—Ks. Józef Archutowski: „Biblia a nauki przyrodnicze;—Marya Szpyrkówna: „Foerster i jego dzieła;“—Aurelia Wyleżyńska-Rybarkiewiczowa: „O „Róży“ Katerli; — Polemika: Głos drugi—Józef Choromański;—Głos trzeci—St. Cywiński, — Głos czwarty — K. Chodyniecki;—Korespondencye: Polski kongres pedagogiczny we Lwowie; — Z Krakowa; — Wrocław;—Malines;—Sprawozdania i krytyki: Kazimierz Lutosławski: „Teorya ewolucyi w oświetleniu chrześcijańskiem; — K. Antoine: „Kurs ekonomii społecznej;—Ks. Karol Aloizy Kueller: „Chrześcijaństwo a przedstawiciele nowoczesnej wiedzy przyrodniczej;“—Książki nadesłane do redakcyi;—Przegląd czasopism;—Kultura w reklamie; — O stronnictwo narodowe katolickie; — Z miesiąca: Ogrody robotnicze;—Koncerty historyczne;—Porady, wskazówki i wyjaśnienia. Informacye;—Kronika;—Odpowiedzi redakcyi.

— Przegląd Filozoficzny. Rok XII. Zeszyt IV. Warszawa. Treść: M. Borowski: O pojęciu konieczności (dokoń.);—A. Stögbauer: Teorya funkcyj psychicznych, a psychiczna analiza;—Przegląd nauk poszczególnych;—Przegląd

krytyczny;—IV-ty międzynarodowy kongres psychologiczny; — Autoreferaty; — Z posiedzeń naukowych;—Wiadomości bieżące.

— Przegląd Historyczny. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Tow. Miłośników Historyi w Warszawie. Tom IX, zesz. 3. Listopad — grudzień 1910. Treść: Ze studyów nad „Memoryałem“ Ostroroga, przez Jana Szczęsnego-Ptaszyckiego; — Z korespondencyi Kołłątaja podczas Sejmu Wielkiego, przez Władysława Smoleńskiego; — Berek Joselewicz, przez Dawida Kandla;—Dekabryści i ich stosunek do Polski (dok.), przez Władysława Jabłonowskiego; — Kamil Mochnacki, przez Stanisława Szpotańskiego; — Z czasów wojen kozackich: — Przyczynki do dziejów Lublina z lat 1548—1655, ze źródeł współczesnych zebrane (z teki pozgonnej Hieronima Łopacińskiego); — Miscelanea: 1) Varsoviana. Działy w rodzinie Baryczków (1566), przez Aleksandra Kraushara. 2) Archiwum Dyplomatyczne polskie po upadku Rzeczypospolitej, przez Aleksandra Kraushara. 3) Z Tajnego archiwum senatora Nowosilcowa. O dziełach hellenisty, Jana Chrzciciela Gaila, przez Aleksandra Kraushara;— Sprawozdania.

— Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i artystycznym, pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok II. Tom IV, № 11. Warszawa-Lwów. Listopad 1909. Treść: Przeistoczenie się patryotyzmu—Antoni Sadzewicz; — Precedens wywłaszczenia w Poznańskiem—Władysław Konopczyński; — Potęga Niemiec. II widoki ekspansyi niemieckiej (Dok.) — Jan Purwin; — „Złota Czaszka“—Stanisław Dobrzycki;—Przegląd spraw polskich—A. Sadzewicz; — Przegląd polityki zagranicznej—B. Wasiutyński; — Z prasy: W sprawie tak zwanych Litwaków;—Bibliografia.

— Przegląd Polski. Miesięcznik naukowo-literacki. Tom 174, № 521, rok czterdziesty czwarty. Listopad 1909. Kraków. Treść: Polacy we wzmocnionej Radzie państwa 1860 r. Przyczynek do dziejów porozbiorowych, przez Franciszka Starowieyskiego, z przedmową Stanisława Tarnowskiego;—Z wakacyjnej podróży: Czechy, Bawarya, Ren, Hollandya. Wrażenia i spostrzeżenia, przez D-ra Józefa Flacha; — Karol Kingsley i socyalizm chrześcijański w Anglii, przez D-ra Romana Dyboskiego; — Listy z Francyi XVI, przez Konrada Ostrowskiego;—Kronika literacka;—Z literatury powieściowej;—Teatr Krakowski, przez D-ra Zdzisława Jachimeckiego;—Przegląd polityczny, przez ***.

— Przegląd powszechny. Rok dwudziesty szósty. Zeszyt XI. Listopad 1909. Kraków. Treść: W siedemsetletnią rocznicę św. Franciszka, przez Krystynę Saryusz Zaleską;—Ostatni zjazd polskiej partyi socyalistycznej, przez ks. K. Czaykowskiego T. J.; — W podziemiach Postojny, przez ks. Wiktora Wieckiego T. J.;—Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej (C. d.), przez Walerego Gostomskiego;—Szkoła rosyjska w dobie t. zw. „Rewolucyi.“ Garść wrażeń z lat 1906—1908 (Dokończenie), przez D-ra Stanisława Zdziarskiego;— „Civitas Dei“ w epoce Karola Wielkiego (C. d.), przez ks. Leonarda Lipskiego. T. J.; — Przegląd piśmiennictwa;—Z piśmiennictwa polskiego;—Z piśmiennictw obcych;—Zapiski bibliograficzne;—Sprawozdania z ruchu religijno nau-

kowego i społecznego;—Sprawy kościoła;—Miłosierdzie w Anglii;—Wśród terminatorów Wschodniej Galicyi.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI, wychodzi jako dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Rok XXXVI. Tom XXXVI. Zeszyt XI. Listopad 1909. Lwów. Treść: Patologia w krytyce literackiej, napisał Bolesław Orłowski; — Z życia domowego szlachty Sandeckiej w epoce Wazów, napisał ks. Jan Sygański T. J.; — Materyały do Historyi polskiej XIX wieku. Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego, napisał Fr. Rawita Gawroński; — Fryderyka Chopina pierwsze lata w Paryżu (1831—1838), studyum biograficzne, napisał F. Hoesick;—Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej, napisał Antoni Karbowiak; — Z dziedziny socyologii, napisał dr. Władysław Pilat;—Listy Paryskie, napisał Kazimierz Woźnicki.

— PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Pismo miesięczne poświęcone duszpasterstwu, pod redakcyą Ks. Maryana Nassalskiego, Magistra Teologii. Rok II, № 10 i 11. Październik i listopad 1909. Włocławek. Treść: Etyka przymusowego wywłaszczenia. Samobójstwo w świetle postanowień karnych Kościoła. Sprawa Ferrera i masonerya — jego obrońcy: „Myśl Niepodległa“ i „Społeczeństwo;“—Palenie zwłok ludzkich (kremacya); — Dlaczego kobiety są więcej religijne niż mężczyźni; — Braki w życiu rodzinnem; — Roztropna troska duchowieństwa o dobrobyt ludu;—Szkice apologetyczne J. E. Gibier'a, biskupa Wersalskiego;—O Misyach ludowych i przygotowaniu do nich;—Zagadnienia teologiczno-pasterskie;—Postanowienia św. Kongr.

— RZECZPOSPOLITA. Dwutygodnik polityczny. 27 listopada 1909. Lwów. Treść: W Austryi i Kole Polskiem. Rayski: Wspomnienie. Stosunki do Rosyi;—Gawroński: Żydzi;—Skałkowski: O Ludwiku hr. Pacu:—Wiadomości polityczne;—Przywileje niemieckie;—Politykujący rektor;—Z reakcyi rosyjskiej;—Lwowskie koresp. „Czasu;“—U przełomu;—Przegląd prasy.

— SPRAWOZDANIA Z POSIEDZEŃ TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO. Rok II. Zeszyt VII. Październik 1909. Warszawa. Treść: Wydział językoznawstwa i literatury. № 7. Posiedzenie z dnia 13 października 1909 r. Bronisław Chlebowski: Słowacki i Szekspir; — Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii. № 9. Posiedzenie z dnia 1 października 1909 r. Henryk Konic: Ś. p. Aleksander Moldenhawer: — Stanisław Poniatowski: Przyczynek do kraniologii Chińczyków; — Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. № 7. Posiedzenie z dnia 7 października 1909 r. W. Sierpiński: O pewnej własności charakterystycznej liczb wymiernych; — Z. Weyberg: Biotyty skałotwórcze gór Ilmeńskich.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORYA LITERATURY.

Mickiewicz Adam: Literatura słowiańska. Wykładana w Kolegium francuskiem. Streszczenie według tłómaczenia Feliksa Wrotnowskiego. Warszawa, 1909. Wyd. M. Arcta. Ks. dla wszystkich.

Schneider Stanisław: Kilka objaśnień do dzieł Słowackiego. Lwów, 1909. Nakładem autora. Treść: Powrót wszechrzeczy; — Wąż saturnowy; — Krwawa plama na czole Balladyny;—Dwa na słońcach swych przeciwnych bogi;—Dlaczego: Sofos?;—Słoniowe wrzeciądze. 8-o, str. 15.

Sinko Tadeusz: Hellenizm Juliusza Słowackiego. Napisał... Kraków, 1909. Nakład Akad. Umiejętności. Skład główny w księg. Spółki Wydawniczej Polskiej.

Śliwiński Artur: Maurycy Mochnacki. Żywot i dzieła. Z wizerunkiem Mochnackiego. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego.

Turowski Stanisław, D-r: Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezya na tle współczesnem. Lwów, 1909. Nakł. autora. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

HISTORYA.

Askenazy Szymon: Książe Józef Poniatowski, 1763—1813. Z 22 rycinami i heliograwiurą według portretu Grassiego. Wydanie drugie. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Dobiecki Maryan: Z przeszłości. 1861—1862. Kijów, 1910. Nakł. księg. Leona Idzikowskiego.

Finkel Ludwik, Prof. D-r: Polityka ostatnich Jagiellonów. Kraków, 1909. Osobne odbitki z „Pamiętnika Zjazdu Rejowskiego.“

Gawroński Rawita Fr.: Rok 1863 na Rusi. Ukraina—Wołyń—Podole. Lwów, 1909. Nakład księg. H. Altenberga.

Zimmern H.: Pierwotne dzieje świata w Biblii i w podaniach babilońskich. Stworzenie świata;—Raj;—Patryarchowie;—Potop. Przekład z niemieckiego A. S.

FILOZOFIA.

Bacon Fr.: Szkice polityczno-etyczne (termones fideles seu interiora rerum). Serya I. Z łacińskiego oryginału przełożył Stanisław Perowicz. Warszawa, 1909. Skł. gł. w ks. E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł). 8-o, str. 131.

Gosiewski Wł.: O analogii, indukcyi i dedukcyi z punktu widzenia teoryi prawdopodobieństwa. O uogólnieniu z punktu widzenia teoryi prawdopodobieństwa. Odbitka z „Przeglądu Filozoficznego."

Graff A.: Skojarzenie w dziedzinie idei. Warszawa, 1909. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Harnak Adolf: Istota Chrześcijaństwa. Szesnaście wykładów wszystkich fakultetów (1899—1900) w uniwersytecie Berlińskim wygłosił ... Z upoważnienia autora tłómaczył Julian Zacharewicz. Warszawa, 1908. Druk i nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-w. Skład głów. w księg. E. Wende i S-ka. (T. Hiż i A. Turkuł).

Hello Ernest: Filozofia i ateizm. Przekład z drugiego wydania francuskiego z 1903 r. Warszawa, 1909. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Dzieł Chrześc.

Horodyski Władysław, D-r: Pojęcia stosunku przyczynowego. Napisał ... Kraków, 1909. Skład główny w księg. G. Gebethner i S-ka Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego."

Jaworski Jan, Ks.: Życie i śmierć. Studyum przyrodniczo-filozoficzne. Kijów, 1909. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Montaigne Michał: Wybór pism. Przekład z francuskiego Stanisława Lacka. Lwów, 1909. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Sobeski Michał: Przędziwo Arachny. Z pogranicza sztuki i filozofii. Kraków, 1909. G. Gebethner. Warszawa, Gebethner i Wolff. Książnica naukowa i artystyczna. 8-o, str. 176.

NAUKI SPOŁECZNE I PUBLICYSTYKA.

Bogusławski Edward: Społeczeństwo i cywilizacya. (Z powodu dzieła Erazma Majewskiego „Nauka o cywilizacyi." Warszawa, 1908.) Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi, filozofii. Posiedzenie z dnia 5 czerwca 1909 r. Rok II, zeszyt VI. Warszawa, 1909. Skł. główny w księg. E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Popławski I. L.: Szkice literackie i naukowe. Warszawa, 1910. Nakł. księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

NAUKI PRZYRODNICZE.

Akademia Umiejętności w Krakowie. Sprawozdanie Komisyi Fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1908 oraz materyały do fizyografii krajowej. Tom czterdziesty trzeci (z 13 tablicami). Kraków, 1909. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Bernadzikiewicz Teodor: Ogród szkolny jako środek do podniesienia kultury rolniczej i ogrodniczej, a w szczególności produkcyi nasion. Kraków, 1909. Nakładem księg. S. A. Krzyżanowskiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Haberkantówna Wanda: Śmietnik. Opowiadanie przyrodnicze, z rysunkami. Warszawa, 1910. Druk i nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-w. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

RÓŻNE KSIĄŻKI.

Dziesięciolecie Uniwersytetu Ludowego im. A. Mickiewicza w Krakowie, 1899—1909. Kraków, 1909. Nakładem oddziału krakowskiego Tow. Uniwer. Ludowego im. A. Mickiewicza.

Kurnatowski Jerzy: Pomoc wzajemna. Odbitka z „Gazety Sądowej.“ Warszawa, 1910. Księgarnia St. Sadowskiego.

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1908—1909. Kraków, 1909. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie. Rocznik XIV za rok 1907. Kraków, 1908. Nakładem Izby handlowej i przemysłowej.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Brzozowski Stanisław: Legenda Młodej Polski. Studya o strukturze duszy kulturalnej. Lwów, 1910. Księg. Polska. Warszawa. E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Dyboski Roman, D-r: Literatura i język średniowiecznej Anglii. Z mapą. Kraków, 1910. G. Gebethner i S-ka.

— Charles Kingsley i socyalizm chrześcijański w Anglii. Kraków, 1910.

— O życiu akademickiem na uniwersytetach angielskich. Kraków, 1909. Nakładem D. E. Friedleina.

Feldman Wilhelm: My artyści... Sztuka w czterech aktach. Lwów. H. Altenberg.

Filipowicz Tytus: Dyalogi o życiu i śmierci. Kraków, nakładem wydaw. „Życie.“

Grabiec J.: Dzieje narodu polskiego. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków, 1909.

Jabłonowski Władysław: Dookoła Sfinksa. Studya o życiu i twórczości narodu rosyjskiego. Treść: Dookoła Sfinksa;—Indywidualizm rosyjski i jego odbicie w literaturze; — F. Dostojewski wobec nowych prądów świado-

mości rosyjskiej; — Maksym Gorkij; — Leonidas Andrejew; — Kryzys inteligencyi rosyjskiej. Warszawa, 1910. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Jelska Ory: Hanka. „Nowości literackie," t. XXXI. Warszawa, 1910. St. Sadowski.

Kridl Manfred, D-r: Mickiewicz i Lamennais. Studyum porównawcze. Warszawa, 1909. E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Krzywoszewski Stefan: Aktorki. Komedya w czterech aktach. Warszawa, 1909.

Mamajew N. J.: Pamiętniki. Rosyanin w Polsce w latach 1838 — 42. Bibl. Dz. Wybor.

Młodnicka Wanda: 22 powiastki dla dzieci. Z dziecinnymi rysunkami Fryderyka Pautscha. Lwów, 1910. Księgarnia Polska B. Połonieckiego.

Orkan Wł.: Nad urwiskiem. Wydanie drugie, z dodatkiem „Listów ze wsi." Kraków, 1910. Spółka nakładowa „Książka." Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

Sachs Marceli: W pewnym domu. Fragmenty powieściowe. Lwów, 1910. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Słoński Edward: Z pod szronu. Wiersze. Warszawa, 1910. Nakład autora.

Staff Leopold: Kwiatki świętego Franciszka z Asyżu. W przekładzie i ze wstępem ... Lwów, 1910. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Szymański Adam: Z jakuckiego Olimpu. Jurdiúk Ustúk Us. Baśń. Kraków, 1910.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

OPOKA.

VI.

Na jednej z handlowych ulic mieściło się w eleganckim lokalu biuro stręczeń, które fikcyjnie pod przybranem nazwiskiem prowadziła Hanka Skibowska. Istniały dla pozoru grube księgi, w które niby wpisywano zgłaszających się, były szafy i biurka, stosy papieru i telefon, na ścianie wisiała olbrzymia mapa, uprzejmy lokaj wysiadywał w przedpokoju. Ponieważ firma była nieznaną i nikt bodaj w tych czasach nie szukał zajęcia, główna kierowniczka nie wiele miała pracy, a mieszkanie oddawało spiskującym znakomite usługi. Odbywały się tu nieraz narady, w kasie ogniotrwałej chowano pieniądze, tu pisano odezwy i porozumiewano się za pomocą telefonu. Śniałowski wymyślił cały ten dosyć naiwny i niezbyt bezpieczny proceder, uznawszy potrzebę stworzenia w śródmieściu jakiegoś centrum — i na razie wiodło się im. Wybór zaś wodza padł na Hankę, która ze swoim wykwintnym wyglądem i dobremi manierami doskonale nadawała się do przybranej roli.

Panna Skibowska nie miała nic przeciw temu. Znużona nędzą i borykaniem się z losem, odpoczywała wśród wygód dostatku, zresztą, chodziło jej o zabicie czasu, a jeszcze bardziej o przeświadczenie, że służy doniosłej sprawie. Gdy przed rokiem pewnej jesiennej nocy wyznawała Śniałowskiemu całą niedolę istnienia, ukazywała próżnię duszy i prosiła, ażeby pozwolił jej pójść za nim, przypuszczała, że od następnego rana rozpocznie się nowy okres, że znajdzie się w wirze, który porwie ją i da zapomnienie, że życie rozgorzeje płomieniem. Związała się z partyą bez przekonania i na chłodno, jak owe panny, które, wychodząc za mąż, spodziewają się, że miłość przyjdzie po ślubie. Tymcza-

sem spotkał ją zawód. Idea nie zasłoniła próżni, nie rozpaliła serca, i dnie mijały pospolite a nudne. Nie brakowało jej niczego. Stępiło się ostrze dawnego bólu, zgasły wspomnienia i przestały dokuczać. Cała przeszłość była niby pieśń, która nietylko przebrzmiała, ale której melodya poszła w niepamięć, albo jak powieść, której bohaterka umiera w ostatnim rozdziale. Wszystkie mosty zostały spalone, straciła z oczu rodzinę, Rzyźniewskiego, wszystkich dawnych znajomych, nie chciała pamiętać, nic chciała o niczem wiedzieć—postanowiła życie zamknąć w nowym kształcie, lecz kształtu nie było.

Czytała dużo, poznała całą literaturę partyi, oryentowała się wybornie w stronnictwach i programach, ale nie potrafiła włożyć w to serca. Zdarzało się niekiedy, że Śniałowski w uniesieniu roztaczał przed nią obrazy przyszłości, rzucał na szare tło rzeczywistości gorejące wizye, snuł swoją płomienną apokalipsę, słuchała go z zupełną obojętnością, myśląc naprzykład o tem, że on ma ładne włosy, albo zastanawiając się nad przyczynami, które zabiły w niej zdolność marzenia. Przewrót, nadejście nowych czasów, równość ekononiczna obchodziły ją bardzo mało. Szczęście, o którem mówił fanatyk, wydawało się jej dalekiem i zimnem, proletaryat, który w zasadzie trzeba było kochać — obcym, ludzkość — nudną, niby formuła algebraiczna. Zajęta była przedewszystkiem sobą i własnymi losami, a złośliwa chęć burzenia, z którą chodziła przed rokiem ulicami znienawidzonego miasta, ostygła. Innemi już oczami patrzała na świat. Ale nie miała odwagi, nie widziała zresztą potrzeby czynienia przed Śniałowskim spowiedzi. Po owej zupełnie otwartej rozmowie, w której pokazała mu całą prawdę swojej istoty, zapanował między nimi przy pozornem zbliżeniu na polu idei chłód prawie oficyalny. Mówili o pracy, o planach na jutro i wydarzeniach w mieście, o drobnych sprawach partyjnych, szczery akcent nie zabrzmiał w słowach ani razu. Poza tem sławny wódz spowszedniał jej, przestał być dla niej mistrzem oddawna. Śniałowski zaś traktował ją jak szeregowca, jak liczbę w rachunku. Zauważyła, że, rozmawiając z nią, najczęściej spuszczał oczy, albo patrzał w przestrzeń. Przychodził czasami posępny i zgnębiony z troską na nizkiem czole, czasami porywał go zapał i pięknemi stawały się jego płonące oczy, ale ten sam chłód wiał od niego zawsze. To samo było w stosunkach z innymi. Mimo koleżeńskiej poufałości, częstego widywania się, żartów, nie nawiązała się między nią a towarzyszami i towarzyszkami nić przyjaźni albo chociażby szczerego porozumienia. Obcowali z sobą na terenie partyjnym

niby w jakiem biurze, życie i sprawy duszy, jeśli były jakie u tych działaczy, o czem powątpiewała, kryli przed sobą wzajemnie. I Hanka nie lubiła ich wszystkich. Niektóre z koleżanek raziły ją hałaśliwą rubasznością, innym zarzucała płytkość i ciasnotę myśli, piękna Mira, Żydówka, robiła na niej wrażenie histeryczki, ogarniętej manią rewolucyjną, spokojna i rozumna Irena Kunicka, która budziła w niej podziw bezgranicznem oddaniem się idei, okazywała jej lekceważenie, mężczyźni, których większość pochodziła ze sfer nieinteligentnych, napełniali ją lękiem. Jeden z nich, drab wysoki i przystojny, który dbał o elegancyę i własne wdzięki, spróbował raz niezgrabnie, gdy znaleźli się sam na sam, wejść na ścieżkę czułości — odskoczyła z odrazą, zawył w niej wstręt...

Dziwiła się Śniałowskiemu, że taką dobrał sobie paczkę, jeszcze bardziej zaś dziwiła się, że on dotychczas nie poznał się na nich, że mógł tak długo łudzić się. Oprócz Ireny Kunickiej, histerycznej Miry było jeszcze kilku gorliwych, bezinteresownie miłujących podniosły cel, reszta składała się z wykolejonych, zgorzkniałych, z próżniaków, którzy gadali, z wałkoniów, którzy nie mieli nic do stracenia. Potakiwano wodzowi, ale wydawało się, że niejeden ma odmienne zamiary, że niektórzy czekają tylko sposobnej chwili, ażeby pochwycić ster i zgoła inaczej poprowadzić akcyę. Śniałowski ze swoim ascetycznym ideałem, z pięknemi mowami, z wiarą w Królestwo Boże na ziemi wyglądał dziwnie w tem towarzystwie. Czasami myślała, że w partyi, w której mniemaniu Śniałowski był heretykiem, odszczepieńcem, buntownikiem, musiało dziać się lepiej, i żałowała, iż losy związały ją z niepraktycznym fanatykiem, ale było może zapóźno szukać nowych bogów, zresztą brakowało jej energii.

Nudziła się tedy i czekała. W wolnych godzinach, a było ich wiele, siadywała u okna, jak niegdyś w ubogiej izdebce, i dumała. Zabawiały ją rozmaite myśli. Widziała życie ulicy, codzienną pracę miasta. Co rana otwierały się magazyny, śpieszyli kędyś przechodnie, snuli się posłańcy, mijali nieznający chwili wytchnienia listonosze, ciągnęły się długim sznurem wozy, turkotały dorożki, przesuwały się zapchane publicznością tramwaje, uwijał się szary tłum... Zrzadka pokazywał się elegancki powóz, zaprzężony w dwa piękne konie, z furmanem w liberyi i lokajem, ze strojną damą albo niedbałym panem. I wydawało się jej, że owe sklepy z niestrudzonymi subjektami, stróże, zamiatający chodniki, nieskończone szeregi fur i dorożek, listonosze i posłańcy, tragarze i biura, że praca gminu i koni, ruch i wrzawa istniały tylko po to, by mogły niekiedy wykwitnąć na pospolitem tle,

kwiaty bogactwa. Ale nie napełniało jej to spostrzeżenie goryczą. Przeciwnie, ona tajemnie kochała zbytek i tęskniła za nim. Zastanawiała się nad istnieniem ludzi zamożnych, nad potęgą pieniędzy, nad bezradną niedolą ubogiego motłochu, i przejmowało ją szczere uczucie czci dla silnych tego świata. Z prostych, prawie naiwnych spostrzeżeń wysnuwała wnioski. W przeciwległej kamienicy znajdowały się podrzędne sklepy, zakład fryzyerski, warsztaty rzemieślnicze, mieszkali tam także początkujący lekarz, skromny urzędnik, dwie stare panny, zapewne nauczycielki, jakieś szwaczki... Znała wszystkich lokatorów z twarzy, przyjrzała się ich życiu, którego jedyną, rozpaczliwie nudną treść stanowiła praca, praca od rana do wieczora, od poniedziałku do soboty, bez zmiany, codziennie to samo. Z odrazą odwracała wzrok od beznadziejnej monotonii tych egzystencyj i szukała myślą niewidzialnego właściciela ogromnego domu, owego magnata Obrońskiego, którego najemnikami byli, dla którego kasy oszczędzali swoje krwawe grosze ci wszyscy krzątający się tam za oknami kamienicy... Dzieliła ludzi na dwa nierówne odłamy: na posiadających, których była garstka, którzy panowali tłumowi, wyniesieni wysoko, niby wieże nad miastem, i tych, którzy chciwie, namiętnie, zawistnie dążyli do zdobycia bogactw, żądzę złota nazywała główną sprężyną, a złoto — wszechwładnym panem życia. I zapytywała siebie nieraz, zali religia i moralność nie są wytworem fantazyi czy świat ideału, poświęceń, szczytnych umiłowań, świat ducha nie znajduje się jedynie w poezyi, w baśniach, w książkach, czyli nie wymyślili go tęskniący marzyciele, którym się nie powiodło, albo przebiegli cynicy, którym chodziło o zamydlenie oczu. Ona widziała tylko walkę egoizmów, żądzę, chciwą pogoń za zyskiem, panowanie materyi, niezmierną pracę miasta na chleb i na użycie..

Coraz częściej wątpiła także, by mogły udać się przewrotowe plany. Wydawało się jej, że rządzą na ziemi żelazne prawa, że życie toczy się raz na zawsze ustalonym trybem, że niewolnicy przywykli do jarzma i poprostu nie potrafią wypowiedzieć posłuszeństwa, że wytworzyła się przez wieki niesprawiedliwości rasa panów i rasa wyrobników — zwierząt pociągowych, i w skrytości wyśmiewała chwilami Śniałowskiego, jego studencki program i studenckie nadzieje. Ale mimo to nie występowała ze stowarzyszenia, przedewszystkiem przez apatyę, a potem dlatego, że nie wiedziała, kędy iść, co z sobą uczynić. Układała jakieś mgliste projekty, myślała o wyjeździe w dalekie strony, o sławie literackiej, o sposobach szybkiego wzbogacenia się, wo-

lała wszakże nie zaglądać w przyszłość i żyć z dnia na dzień. Śniałowski obiecał jej udział w poważnym zamachu, więc bawiła się myślą o niebezpieczeństwie, o doniosłej roli, którą odegra, i czekała. Spodziewała się także, że znajdzie się jeszcze dla niej droga, że przyjdzie dobre zdarzenie.

Pewnego dnia wyczytała w gazecie, że Andrzej, słynny malarz, który opiekował się nią kiedyś w bardzo ciężkich chwilach i okazał jej wiele dobroci, którego lubiła jak przyjaciela, a potem pokochała, wrócił do miasta. Ta wiadomość ucieszyła ją niewypowiedzianie. Nie było żadnej nadziei i teraz, ale otucha wstąpiła do serca, któremu radość sprawiały złudzenia. Jakgdyby promień wybłysnął nagle wśród szarego dnia... Znużona samotnością i pustką, znalazła pokarm dla marzeń. Snuła jakieś plany i przypuszczenia, nie przestawała pracować myślą nad tem, gdzie i jak mogłoby nastąpić spotkanie. Nie chciała narzucać się, zapraszać do siebie, narażać się na upokorzania — pamiętała długą boleść zawodu... Ułożyła sobie obraz, wyśniła scenę... Marzyła, że zjawi się u niego w pracowni, w pięknych szatach, jako strojna dama i mecenaska sztuki, i zakupi obraz, że on nie pozna zrazu, że zdziwi się olśniony i zachwycony. Pragnęła ujrzeć go, uradować stęsknione oczy, a jednocześnie pragnęła, żeby on, który pożegnał ją, jako opuszczoną przez wszystkich nędzarkę, widział ją teraz w innej roli... Miała udawać przed nim szczęście... Ale na to wszystko potrzeba było pieniędzy. Zaczęła tedy oszczędzać, zbierać grosz do grosza, liczyła niecierpliwie i przekonywała się, że wiele czasu upłynie, zanim ona uciuła niezbędną sumę. Traciła nadzieję.

Tymczasem marzenie jej urzeczywistniło się rychlej, niż przypuszczała.

VII.

Któregoś dnia o rannej godzinie po dosyć długiej nieobecności w mieście przyszedł Śniałowski. Miał klucz od zatrzasku, więc stanął przed nią niespodzianie. Spłoszyła się. Ale on przywitał ją wesoło jakimś żartem, mocno potrząsł rękę, narzekał na głód, poprosił o mięso i wino. Chodził niecierpliwie po pokoju, potem chciwie zajadał zimną szynkę, popijał ze szklanki i mówił dużo. Ta pusta gadatliwość była dziwną. I patrzał w nią przenikliwie, z ciekawością, jakgdyby widział po raz pierwszy, pra-

wie zaczepnie. Hanka poznała odrazu, że zaszło coś, że to jego zachowanie się jest sztucznem, ale zapytywać nie śmiała.

Po śniadaniu wyszedł na chwilę do przedpokoju i wróciwszy rzucił przed nią stos pieniędzy.

— Proszę to schować! — rzekł, i wydało się jej, że śmiech zabrzmiał w głosie.

— Jakto — wykrzyknęła—więc to stało się, a wy ani słowem!

— Dziś będzie opis w gazetach...

— Powiadajcie, kiedy... jak... opowiedzcie...

— Ano nic, najzwyczajniej... przyszliśmy, zabraliśmy...

I znowu miała złudzenie, że on żartuje, mówiąc. Śniałowski włożył ręce do kieszeni, przeszedł się parę razy, zatrzymał się, wbił wzrok w ziemię, a w tem krótkiem mgnieniu dziwnie skurczyła mu się twarz. Potem tonem swobodnym zaczął opowiadać jakąś zabawną przygodę podróży.

Tymczasem Hanka bawiła się pieniędzmi.

— Chciałabym wziąć stąd dla siebie—odezwała się stłumionym głosem zmieszana — potrzebuję bardzo... oddam zapewne...

— Weźcie! — rzekł cicho — nie pytałem nigdy, czy macie dosyć... weźcie! — powtórzył.

Stanął blizko, pochylił się, zajrzał w oczy. Zagadkowy uśmiech grał mu na twarzy, było coś w jego spojrzeniu. Hanka spuściła oczy, zapłoniła się. Zdawało się jej, że on chwyci ją w objęcia, zacznie całować. Po raz pierwszy od czasu znajomości był w stosunku do niej takim, był mężczyzną, widział w niej kobietę. Ogarniała ją obawa. Nie był jej miłym, ale rozumiała, że nie potrafi się oprzeć temu o żelaznej woli wodzowi. On zaś, przyglądając się Hance, myślał, czyli nie byłoby najlepiej zabrać tę ponętną dziewczynę, której nie kochał, porzucić wszystko i uciec z nią na kraj świata. Nie miał przecież nic do stracenia. Chciałby uczynić to złe naprzekór komuś, może naprzekór sobie samemu. Była długa chwila milczenia. Cofnął się, chodził po pokoju. Odzyskali spokój oboje.

— Weźcie! — powiedział znowu — pieniądze znajdą się zawsze. Zrobiłem odkrycie, mam niezawodny sposób... Stanę się wkrótce bardzo bogatym... — mówił niezwykłym tonem.

— Spotkałem temi czasy pewnego magnata, który twierdzi, że należy używać. Ów pan, ordynat Obroński, posiada pałace, majątki, fabryki, doskonałe piwnice, cenne zbiory... Pozazdrościłem mu i postanowiłem zdobyć dla siebie... — zaśmiał się.

— To wy znacie Obrońskiego? — spytała z zajęciem.

— Tak. Dziwi to was?

— Słyszałam dużo o jego wielkich bogactwach... Wiem, że należą do niego te kamienice, cały kwartał... Podobno rozumny bardzo i odważny...

— Cobyście powiedzieli — kończył swój żart — gdybym kupił pałac i samochód, najął lokajów...

Podniosła na niego wzrok, żeby się przekonać, czy mówi poważnie.

— Pomyślałabym — odparła spokojnie, gdy zamilkł — że obudził się w was żywy człowiek, może słaby, może zły, ale żywy... Dziś wy robicie na mnie wrażenie manekinów...

— Więc my podobni jesteśmy do manekinów?

— Tak. Obcuję z wami od roku i często wydawało mi się, że otaczają mnie nie ludzie, ale abstrakcye. Byłam wśród was niby zabłąkana w bibliotece mucha, którąby zamknięto w szafie z książkami. Stoicie poza życiem, które toczy się swoim trybem, turkoce, nie dba o was, nie pyta o programy... Uniesie was szybki prąd, przepłynie nad wami nurt życia...

— Nie wierzycie tedy? — zdziwił się.

— Wy nie przerobicie świata!... Silniejszą niż wszystko jest żądza, namiętności gospodarują na ziemi... Chłodne ideały, podniosłe nauki rozumu nie przekonają nikogo... Ludzie pragną pieniędzy, użycia, szczęścia, uczt... Ktoby tam poświęcał się dziś dla mrzonki!... Dzień ducha, jeśli i był kiedy, minął na zawsze...

— A jednak te manekiny dokonały wiele — odrzekł powoli. — Cały kraj wre, rząd zachwiał się, zaświtała wolność... Dzieło dojrzewa, nie widzę żadnych przeszkód, idziemy do zwycięstwa...

— Wiem o tem, wiem, słyszałam tyle razy — przerwała mu ze znudzeniem.

Bawiła się pięciuset-rublowymi banknotami, gdy mówił dalej o przyszłości bez zapału, jakgdyby z obowiązku jedynie. I naraz uprzytomniła sobie pochodzenie tych pieniędzy. W pierwszej chwili chciała odsunąć je z instynktową odrazą, ale potem zaczęła przyglądać się uważnie każdemu biletowi z osobna, jakgdyby szukając znaków czy śladów... spojrzała na swoje palce... I znowu gotowa była cisnąć z obrzydzeniem te pieniądze gdzieś w najdalszy kąt, żeby zapomnieć o nich.

— Dla idei, dla zwycięstwa sprawiedliwości, w celu obalenia ustroju, który jest oparty na krzywdzie... Walka z rządem, który nie przebiera również w środkach — tłómaczyła sobie.

On spostrzegł walkę jej, odruch wstrętu, owo spojrzenie, którem badała swoje ręce — i urwał na mgnienie. Pomarszczyło mu się rzekłbyś od przykrego wysiłku czoło, potem mówił dalej.

— Ile było ofiar? — spytała cicho nie patrząc.

— Ile było ofiar? Znacie przysłowie o drwach i o trzaskach — rzekł cynicznie.

Teraz on z kolei popatrzał na swoje ręce — i schował je szybko do kieszeni. Nastała cisza.

— Zbliża się i wasz dzień... — zaczął po chwili.

— Zbliża się — powtórzyła myśląc o czem innem.

— Może pojutrze, może w przyszłym tygodniu... To zależy jeszcze...

I opowiadał jej rzeczy znane, ogadane wiele razy, przygotowywał do czynu, który miałą spełnić, jakkolwiek to nie było potrzebnem. Nie słuchała go prawie. Cała ta mowa wydawała się sztuczną.

— A gdybym cofnęła się? — szepnęła.

Spotkały się ich oczy.

— Zabrakło wam odwagi?—spytał z niewłaściwym na jego obliczu, przebiegłym uśmiechem — obawiacie się następstw? odezwało się sumienie? jakieś skrupuły... mówcie szczerze...

Umilkł. Uśmiech zsunął się z twarzy, którą opanowała brzydka troska. Stał pośrodku pokoju, posępny, z pomarszczonem od przykrego wysiłku czołem, patrząc w przestrzeń.

— Gwałcić ani namawiać nie będę — dodał ciszej — bo tu nietylko męstwa potrzeba... umrzeć może łatwiej...

Zbliżył się do okna, gwizdał ową melodyę, którą zagłuszał niepokój tam na gościńcu wśród nocy. Wahał się. Odczuwał litość dla Hanki, w której dziś pierwszy raz dostrzegł kobietę. Przychodziło w głębiach do głosu owo widmo, które czasami było przerażającym upiorem, czasami cieniem, słaniającym się po powierzchni duszy, czasami znikało zupełnie. Myślał, że należy może powiedzieć dziewczynie, żeby porzuciła partyę, nie brała ciężaru nad siły, żeby wracała do domu, do matki, jeśli ma gdzieś spokojny dom i matkę. On przekonał się przecież na sobie... Są ofiary, którym nie każdy podoła... Rozważał... Było mu żal Hanki, i żal walczył z innem uczuciem, z niedobrem uczuciem, którego nie znał przedtem, które wykluło się w zakątku duszy niedawno. To była złość do ludzi.

— Nie wiem sama, waham się — odezwała się Hanka. — Nie podobało mi się, że wydajecie rozkazy, że mam działać pod przymusem.

Ale w Śniałowskim zaszła zmiana.

— Musicie coś postanowić—zawołał szorstko—doniosła sprawa nie może zależeć od czyjegoś kaprysu. Sami napraszaliście

się, codziennie zapytywaliście, czy prędko — teraz wdajecie się w subtelności psychologiczne. Słuchajcie, ja nie mam czasu na roztrząsanie zagadnień moralnych, chcę wiedzieć napewno...

Hanka milczała.

— Wolelibyście nie kalać rąk — napadał zjadliwie. — Rozumiem, pojmuję... Wiem, że milej jest mieć niezbrukane dłonie... Ale nie pora teraz... Toczy się walka na śmierć i na życie, trzeba postawić wszystko na kartę, nawet spokój sumienia. Są poświęcenia, które kosztują niezmiernie drogo... Kiedyś historya wypowie sąd o nas i o tych czynnościach...

Mówił bardzo prędko i głośno, przekonywał gorączkowo może nie tyle towarzyszkę, ile siebie samego. Znać było, że te myśli nagromadziły się w głowie zdawna, że on zbierał je i szykował, niby pułki, żeby w odpowiedniej chwili wysłać do walki. Płonęły mu pod pofałdowanym w przykre zmarszczki czołem ogniste oczy.

— Jakże łatwo potępić, nazwać to wszystko grzechem, zbrodnią, rabunkiem... Wy także mówiliście o manekinach, działających automatycznie podług programu... Dziwię się, że wy także... Znacie nas przecież... Bez wielkiego umiłowania, bez żarliwej wiary, nie wiem, czy ktoś by się zdobył... Tylko na samem dnie piekła bólu powstają takie zamiary, tylko dla walki ze złem, które woła o pomstę... Ratować trzeba tę ziemię nieszczęsną...

Nie przerywała mu. Siedziała ze zwieszoną apatycznie głową, zajęta własnemi myślami. Nie odczuła w słowach niezmiernego cierpienia, wydało jej się, że to zwykła przemowa apostoła.

Gdy skończył, podniosła na niego wzrok i spotkały się ich spojrzenia, w oczach obojga odmalowała się niechęć, która zrodziła się w tym dniu i w tej godzinie, która odtąd miała rosnąć i coraz bardziej utrudniać im stosunki.

VIII.

Znanemi schodami szła do pracowni Andrzeja. Spędziła tu w tym domu niegdyś, w innej epoce życia, gdy sama była inną, wieczór, który na długo został w pamięci i w sercu. Płakała wówczas ze smutku, a chciałaby módz znowu zapłakać takiemi łzami... Ale oddawna nie było już ani łez, ani owych dobrych wzruszeń. Wiedziała teraz, że płakać mogą jedynie ludzie szczęś-

liwi, którym przemija jakaś radość, którym się kończy jakiś pomyślny dzień, ona zaś nie miała nic do stracenia, czegoż by żałowała? Tłumiła tedy wspomnienia, bojąc się zestawień, unikając wniosków, i cieszyła się z chwili teraźniejszej, która spełniła jej pragnienia. W przeciągu wielu tygodni marzyła o spotkaniu z malarzem, układała scenę, przygotowywała się do roli, którą postanowiła odegrać. Chciała olśnić go, zadziwić, może zachwycić, radowała się w niej próżność kobieca, budziła się nawet nadzieja. Gdy odjeżdżał przed rokiem, była ubogą, chorą, zestarzałą, brzydką i nieszczęśliwą — stanie przed nim młoda, piękna, wesoła. Z uśmiechem myślała o tem... Wypadło jej w ostatnim momencie stoczyć z sobą walkę, przezwyciężyć wstręt do pieniędzy zrabowanych, więc krwawych, ale nazwała tę odrazę przesądem, wyśmiała subtelności.

— Kto kiedy pyta o pochodzenie bogactwa — powiedziała sobie — niema zresztą na ziemi pieniędzy uczciwych, czystych... Możni ciemiężą ubogich, z wyzysku wyrastają kapitały...

Ubrała się w modną suknię, wzięła jakiś okazały kapelusz i uczesała włosy jak owe piękne panie, które spotykała czasami. Strojąc się, ani razu nie spojrzała w zwierciadło — wprawne ręce pracowały umiejętnie... A gdy pomimowoli w przedpokoju wychodząc spostrzegła siebie w lustrze, odwróciła się z przykrością. Nie podobała się sobie samej, doznała jakgdyby zawodu, który psuł przyjemność... Na ulicy zawahała się i rozważała, czy nie lepiej i nie iść zupełnie, albo pójść, jak dawniej, bez elegancyi, po codziennemu.

Dzwoniła. Otworzył jej sam i w pierwszem mgnieniu nie poznał.

— To pani—zawołał szczerze—nigdy bym nie przypuszczał! Pani zmieniła się bardzo...

Przyjaźnie ścisnął jej rękę, ale na twarzy nie odbiła się radość. Poprowadził, usadowił, usiadł. Był zakłopotany, nie wiedział, co mówić. Spojrzenie jego z niedowierzaniem, z nieufnością dotknęło pięknej toalety. Zaległo milczenie. Hanka patrzała ku obrazom, w liczne portrety owej damy, o której słyszała coś nie coś.

— Nie widzieliśmy się oddawna — odezwał się.

— Oddawna... zdaje mi się od roku...

— Widziałem rodzinne strony pani...

— Moje rodzinne strony... pan był tak daleko?...

Dalekiem nieprawdopodobnie wydawało się jej to wszystko w przestrzeni i czasie.

— Odwiedziłem matkę pani... Prześliczne są aleje, które otaczają dom. Nie dziwię się, że pani tęskniła...

Przyglądała się wciąż owej damie z portretu, pulchnej, rumianej, zadowolonej. Przed rokiem nie zwróciła na nią uwagi, nie wiedziała o jej istnieniu w pracowni i życiu malarza. Dziś drażniły ją jej szczęśliwa, bezmyślna twarz, jej białe ręce z fałszywymi zapewne pierścionkami, zmysłowe, uśmiechnięte usta. I budziło się w nieodwiedzanym oddawna zakątku serca uczucie brzydkie i upokarzające, pokrewne zazdrości.

— Pani pisze coś? — pytał znowu.

— Nie piszę.

— Szkoda. Ma pani duży talent... Więc czem się pani zajmuje?

— Czem ja się zajmuje?! — zaśmiała się. — Jak by to określić? Buduję gmach szczęścia dla ludkości, rozpraszam mroki, przyczyniam się do zwycięstwa...

Śmiała się ze słów swoich, z tego że on nie rozumiał, z siebie. Śmieszną wydawała się jej teraz naiwna nadzieja, którą kołysała przez parę ostatnich tygodni, z którą przyszła tu. Miała niezwykłe pomysły, spodziewała się innego powitania, plotła coś sobie o szczęściu... Marzyła, podniecona wieścią o jego przyjeździe, wśród nudy i pustki dni, podczas długich dumań, że uklęknie przed nim, wyzna wszystkie żale, pokocha, jak dawniej, że zostanie z nim i rozpocznie jakieś nowe życie, lepsze, szczęśliwsze... Ale stanęła między nimi owa pulchna, zadowolona dama i natrząsała się z niej... cynicznie uśmiechały się jej zmysłowe usta... pogardliwie patrzały bezmyślnie wesołe oczy... I wszystko było inaczej. Zmienili się oboje... Nie potrafiłaby znaleźć prostych, serdecznych słów, które trafiają do serca, i komuż miała je mówić? Temu obojętnemu, zakłopotanemu panu? Milczała tedy z jakimś cierpkim wyrazem, on zaś stawał się sztywnym i czekał zapewne końca wizyty. Nudząc się, nudził ją opowiadaniem o złych czasach dla malarstwa, o jakichś biedach rodzinnych, o pracy na chleb...

Przeszłość była już dalekim snem... Ludzie żywi umierają niekiedy dla czyjegoś serca i nie zmartwychwstają... A gdyby nawet?... Jakież życie mogłaby rozpocząć z tym człowiekiem stroskanym, zapracowanym, który mieszkał na czwartem piętrze w dwu ubogich pokojach, z byłym kochankiem ordynarnej damy z portretu?

— Pan zawsze jest w dobrym humorze — odezwała się, żeby coś powiedzieć, gdy on wyczerpał wszystkie tematy — i w zeszłym roku i dziś... Proszę mnie nauczyć sekretu.

— Niech pani codziennie wychodzi za miasto, przygląda się obłokom, drzewom, rzece...

Spojrzenie jej padło teraz na krajobraz zimowy, w sad zasypany śniegiem. Nizkie drzewa uginające się pod puszystą okiścią stały sennemi szeregami wśród kobierca śniegu, którego nie poruszyła stopa, nie skalała myśl. Przez mgnienie nie mogła oderwać wzroku.

Chciałaby tam pójść, strząsać z gałęzi okiść, słuchać, jak sypie się śnieg, chciałaby może zasnąć, jak owe drzewa, snem spokoju, odpocząć, zapomnieć o wszystkiem...

— Przyszłam do pana, żeby coś nabyć... i może właśnie ten — wskazała sad.

— Dobrze pani...

I znowu koiła oczy słodką ciszą zimowego widoku. Dobrze, bezpiecznie, radośnie było niegdyś dziecku w dalekim domu wiejskim w białe dnie zimy!...—rozżaliło ją wspomnienie. Odwróciła szybko oczy. Poco było wywoływać z grobu marę czasów, które minęły na zawsze?

— Kto jest ta pani, którą pan wymalował tyle razy?—spytała naraz, spoglądając to na malarza, to na portrety.

Ale on nie zmieszał się.

— Robiłem studya dla wprawy — odparł z prostotą.

Patrzała mu prosto w twarz urągliwie. Miała do niego urazę o to, że zmienili się oboje, że nie zmartwychwstało uczucie, że on nie był takim, jakim widziała go w marzeniu. Przychodząc tu, pragnęła przyjaźni, opieki, litosnej i przebaczającej dobroci, pragnała znaleźć w sobie i w nim ton wysoki, źródło wskrzeszającej siły. Tymczasem wydał się jej pospolitym z tą swoją troską o chleb, z gminną miłostką dla ordynarnej kobiety. Jego zaś zdziwiły i odepchnęły podejrzana okazałość stroju, wyniosła pewność siebie. Nie poznawał dawnej serdecznej dziewczyny, którą lubił.

I snuł uwłaczające domysły.

— Pani podobał się sad... — przerwał przykre milczenie. — Obroński chwalił także...

— Obroński?

— Magnat i znawca...

— Słyszałam o nim, wiem — dodała z pośpiechem — bardzo chciałabym go poznać.

— Mogę ułatwić. On bywa tu czasami. Zawiadomię panią...

— Dobrze panie. Ja przyjdę...

Ale pomyślała natychmiast, że nie wróci tu nigdy.

— Więc zabiorę krajobraz...

Nie zapytała o cenę. Wyjęła przygotowane pieniądze, złożyła na stole.

— Pani, to za wiele! Nie przywykłem do takich sum... Zresztą od pani, od koleżanki... — opierał się zmieszany.

— Skąd pani ma tyle pieniędzy — spytał cicho, jakimś nieswoim głosem. — Chciałem zaraz na początku... pani... — urwał.

Bolało go przypuszczenie, że ona czysta, podniosła, niewinna mimo winy szubrawca Rzyźniewskiego, stała się taką...

— Skąd pieniądze? — odrzekła sztucznie z przekąsem, z jakimś nieudanym cynizmem.—Poco panu!? posiadam i tyle. Niech pan zapakuje obraz...

Milczeli.

— Możeby pan i mnie zechciał portretować dla wprawy — odezwała się z niesmacznym żartem w przedpokoju.

— Ależ najchętniej, jeśli pani ma czas...

Zaczęła śmiać się.

— Był czas, teraz go niema...

Wyszła zrażona, nierada z siebie, pełna żalu. I myślała na ulicy z goryczą, że zostanie w partyi, spełni wszystko, że będzie mordowała i rabowała, skoro niema już dla niej innych dróg i lepszego życia.

IX.

Wróciła do domu, zdjęła okazały kapelusz, powiesiła obraz na nudnej ścianie swego pokoju, którego nie lubiła, usiadła, żeby przypatrywać się i nacieszyć się pięknem. Dzieło wielkiego malarza rozweseliło mieszkanie sztywne i oficyalne, i Hanka miała wrażenie, że głos radości zabrzmiał w martwej ciszy, że krajobraz śpiewa dla oczu pieśń ukojenia, pieśń-opowieść o jakiejś zimie, która dawno minęła, o szczęśliwym dziecku, które bawiło się, o śniegach, które padają miękkimi płatami, ścielą się niepokalanym kobiercem, migocą w słońcu i zakwitają niebieskimi cieniami, stają się liliowymi w godzinie zmierzchu... Ale rychło przestała spoglądać, myśl poszła innym torem. Nuda ogarnęła duszę. Ze zniechęceniem zastanawiała się nad szeregiem bezbarwnych dni, nad sobą, nad przyszłością...

Małżeńskie pożycie jej z ideą nie było szczęśliwem. Z przypadkowego i sztucznego związku nie urodziło się dziecię wiary.

Poszła za Śniałowskim, który wydawał się jej mężem czystym a silnym, porwana zapałem, w nadziei, że on ją uzdrowi, podźwignie i poprowadzi. Tymczasem już w kilka miesięcy po zapisaniu się do stowarzyszenia przekonała się, że nic się nie zmieni. Trzeźwo sądziła wodza swego i nazywała go naiwnym marzycielem, doktrynerem, Don Kichotem socyalizmu, a program — studenckiem wypracowaniem. Nie pokochała idei, nie potrafiła przejąć się losami proletaryatu, w duszy została pustka. Zazdrościła nieraz koleżankom, zwłaszcza dzielnej Irenie Kunickiej, że one umiały zatracić siebie i zapomnieć o sobie, że wystarczały im programy i odezwy, codzienna drobna praca partyjna. W niej nie przestawał wołać głos jakiś, podnosił się bunt, trzepotało się jakoweś domaganie się. Co to było? Tęsknota duszy czy ciała, żądza życia, egoizm? Myślała czasem, że otaczają ją manekiny, że ona obraca się w świecie nierzeczywistym, że na deskach scenicznych gra bez werwy jakąś narzuconą, niewłaściwą rolę, że życie prawdziwe jest tam, za oknami pokoju, na ulicy, w przeciwległej kamienicy i tęskniła nieledwie do owej epoki, gdy ugniatało ją cierpienie. Dziwnemi kolejami toczyła się jej dola, mieściły się w niej i w jej istnieniu dziwne sprzeczności. Mogła była zostać w domu, pod dachem starego dworu, pod słodką opieką matki wybrać spokojną ścieżkę, doczekać się powszednich pociech, ale pragnienie gnało ją w świat i poszła. Zerwała z tradycyą, wyrzekła się obowiązków, podeptała przesądy, wyzwoliła siebie, miała żyć wyłącznie dla szczęścia, chciała osięgnąć pełnię życia— i nie znalazła nic prócz smutku, hańby, zawodów... Może szczęście jest jak własny cień człowieka, który jest nasz, a nie zależy od nas, którego nie złapać, za którym nie trzeba oglądać się, bo zniknie? Nasłuchała się tyle o radosnym świecie, o uczcie i złotym domu wesela, matka i inni mówili o zaparciu się siebie, o służbie... Kto miał słuszność?

Marzyła niegdyś o sławie i pracy literackiej, ludzie chwalili jej talent, ostygła wszakże dla swoich sonetów, a natchnienie odleciało... Wstąpiła do stowarzyszenia najbardziej skrajnego, które dążyło do krwawej rewolucyi i gwałtownego przewrotu, którego kierownik nieustannie prawił o zbliżaniu się nowej ery, i szydziła dziś w duchu ze złudzeń łatwowiernych towarzyszów. Młodość jej minęła oddawna, młodość serca i myśli...

Gdy opuszczała gniazdo rodzinne i brała wolny lot — taki chwiejny i błędny, nieudolny czy nieszczęśliwy — kochała dobro, i ludzkość, wiedzę, sztukę, wolność, wszystkie możliwe bóstwa, podnosiła wzrok ku ideałom, posiadała jakąś swoją prawdę, go-

towa była przysięgać na rozmaite postępy, powtarzała za innemi uroczyste hasła, wierzyła w pracę ducha na ziemi, w wędrówkę narodów ku wysokiemu celowi, w oną szczytną walkę rodu człowieczego ze złem. Teraz z tych przekonań nic zostało ani śladu. Żartowała z siebie, że cały jej ówczesny pogląd na świat zawierał się w prostej bajce o grzecznym chłopczyku, t. j. ludzkości, który znosi prześladowania od złego losu, przezwycięża wszystkie przeszkody i w rezultacie otrzymuje nagrodę, i zgoła odmienne z przyglądania się życiu wyprowadzała wnioski. Widziała żądzę, samolubstwo, pogoń za zyskiem i użyciem, potęgę zła, zwierzę ludzkie, chciwe, łakome i zmysłowe. Wydawało się jej, że niema postępu, że nic się nie zmienia, że trud ducha, jeśli istnieje, idzie na marne. Cześć dla bohaterstwa, świętości, podniosłych mocy człowieka, która przez długie lata mieszkała w duszy, przekształciła się w kult siły i pieniędzy. I Hanka pragnęła już dzisiaj tylko złota, uciech, wesołości, marząc o zbytkownych podróżach, o pięknych strojach, drogich kamieniach, o jakiemś życiu szumiącem, bujnem, mieniącem się jaskrawemi barwami niezwykłych wrażeń... Wśród szarzyzny i nudy jednostajnych dni układała poemat, poświęcony szczęściu ciała. W wyobraźni poetki wyrastały obrazy jakichś nierzeczywistych rozkoszy i zabaw. Zazdrościła bogatym, natomiast odrazą napełniały ją praca, powszednie troski, ubóstwo i smutki...

A mimo to, jakkolwiek rozumiała i odczuwała niewłaściwość i sztuczność roli, którą nieoględnie wybrała, pozostawała nadal w partyi...

Dokąd że miała pójść? Do warsztatu czy do biura? może wrócić do domu, który stał się jej obcym? wypróbować karyery panny Malinowskiej, czy przekwitać w cnotliwem staropanieństwie, w beznadziejnej randze nauczycielki, która mieszka na poddaszu i biega po lekcyach? Wolała narazie przytułek partyi... Ale spodziewała się wciąż, że samo życie ukaże jej jakieś wyjście. Gdy nadarzyła się pierwsza sposobność, zamajaczył cień nadziei, była pewną, że oto los przychodzi jej w pomoc. Udała się do malarza — i wróciła z niczem. Wszystko miało zostać po dawnemu... Ogarnęło ją zniechęcenie, gorycz zalała duszę. Widziała przed sobą pustkę, nudę, szarzyznę. Zbiorą się towarzysze, będą długie mowy, narady, odezwy, a gdzieindziej wre życie, bolesne albo radosne ale prawdziwe...

Poziewała zwykle na posiedzeniach, gorsząc koleżanki, które zaczęły podejrzewać wodza o daleko idące sympatye dla tej zagadkowej panny... Z Ireną Kunicką spierała się pewnego dnia

długo, nazywając działalność społeczną kobiety zboczeniem staropanieńskiem, a wyzwolenie — wykolejeniem, dowodząc, iż kobieta stworzoną jest do kochania, że jedynie właściwą dla niej jest droga, która prowadzi z domu matki do ołtarza. Pełno w niej było kontrastów i niespodzianek. Szukała wciąż i nie umiała nic stworzyć, zdobyła niezależność, a często oglądała się za ręką kierowniczą, za opieką, za dogmatem, któryby dawał jej wskazówki; trwał w niej bunt i była bierną. Postępki wynikały z pobudek przypadkowych, zależały od przelotnego wrażenia.

Idąc do malarza gotowa była zerwać, natychmiast porzucić niemiłe szeregi, teraz uśmiechała się jej myśl o krwawym projekcie. Chciałaby przekonać się o własnej sile, pokonać słabość, może zostawić po sobie jakiś ślad na jałowym rozłogu istnienia. Nęciły ją groza czynu, niebezpieczeństwo, podniecała myśl o własnem męstwie. Zastanawiała się w dumaniach nad strasznem mgnieniem, nad tem, co nastąpi potem. Może więzienie i kaźń, może śmierć na miejscu—w każdym razie jakiś koniec, grom niezwykłego wydarzenia, wstrząśnienie po długim śnie... Bawiła się.

Przy pierwszem spotkaniu powiedziała Śniałowskiemu, chociaż ten, zrażony zapewne, nic pytał, że weźmie udział w zamachu.

— Napewno tym razem? — z ironią spytał wódz.

Niechętne jego oczy badały ją.

— Skoro sama mówię—odparła gniewnie.

I nie rozmawiali więcej. Oboje odczuwali urazę, która urodziła się wówczas, przed tygodniem, bez widocznego powodu i trwała. Śniałowski wyszedł, nie pokazywał się długi czas, pracował gdzieś w ukryciu, czekała. Minął tydzień prawie. Zjawił się wreszcie któregoś dnia rankiem i zapowiedział na wstępie, iż za kilka godzin pójdą. Położył na stole małą paczkę, zawiniętą w papier, obwiązaną różowym sznurkiem jak zwykłe pudełko z cukierkami.

Wiadomość nie wywarła na niej szczególnego wrażenia.

— Więc ile czasu zostało jeszcze?—zapytała spokojnie.

— Czasu jest dosyć, ale trzeba się przygotować. O samej jedenastej wyjdziemy.

— Nie mam żadnych przygotowań...

— Musicie ubrać się pięknie, stać się damą bardzo szykowną, wykwintną i strojną.

Śniałowski był wesół i podniecony jak dawniej, stał się poufałym, prawie przyjacielskim. Przypatrywał się sukni, kapeluszowi, dawał jakieś rady, opowiadał, trochę żartował. Cień nie-

chęci znikł narazie. Zbliżyły ich jednaki cel, wspólna przygoda, blizkość doniosłego momentu. Hanka zapytała o parę ważnych szczegółów, z uwagą przyglądała się planowi ulicy, domu i mieszkania, który on rysował przed nią. Trzeba było wszystko zapamiętać, bo potem jeden fałszywy krok mógł zgubić...

— Wymknę się? czy są szanse? — spytała.

— Sądzę, że tak...

— A jeśli nie...—badała go, gryzmoląc ołówkiem po papierze.

— To może być źle, ale o tem nie należy nigdy myśleć... Gdy człowiek zechce, uda się... potrzeba siły... powodzenie można magnetycznie przywabić — wesoło tłómaczył.

— Ja też nie obawiam się...

Ale przeniknął ją dreszcz, jakiego doznawała niekiedy, patrząc w bardzo głęboką wodę.

O dziesiątej Śniałowski wyszedł. Nie wiedziała, jak zabić czas oczekiwania. Raz po raz dotykała spojrzeniem małej paczki, przypominającej pudełko cukierków. Chwile wlokły się powoli. Godzina czynu, o której lubiła myśleć oddawna, gdy nadeszła, okazała się zwyczajną, jak wszystkie. Tak samo turkotały dorożki, i huczał tramwaj, tak samo przez nudne okno napływało nudne światło pospolitego dnia jesiennego. Na jednej ze ścian obraz Andrzeja śpiewał czarowną pieśń zimowej ciszy. Boże, jakże dalekiemi były te drzewa sadu i dom rodzinny, pola śnieżne i dzieciństwo!

Powoli ubierała się. Zawiązała sobie ładny krawat, wyszukała najlepszej pary rękawiczek. Bez żalu, bez żadnego wrażenia wyszła z mieszkania, do którego nie miała więcej wrócić. Pomyślała tylko, że gdziekolwiek będzie, sprowadzi sobie krajobraz, który był jak opowieść o zapomnianem szczęściu, jak baśń zimowa, jak sen prześniony wśród białej ciszy...

Idąc, nie czyniła spostrzeżeń, ale każdy szczegół zapisał się jej nazawsze w pamięci. Zapamiętała wystawy sklepowe i szyldy, numer jakiejś dorożki, wyraz twarzy stójkowego, księdza w okularach, tabetyka, którego podtrzymywał lokaj. W pewnej chwili obejrzała się, bo wydawało się jej, że ktoś ją śledzi, przemknęła myśl o niebezpieczeństwie, jakgdyby zmierzyła naraz wzrokiem ciemny, głęboki odmęt, ale nie odczuwała trwogi. Szła spokojnie, unosząc lekko a z wdziękiem suknię z pudełkiem w zarękawku. Nie potrzebowała panować nad sobą. Zamieszkał w niej spokój, który płynął z dziwnego przeświadczenia, że ona jest w czyjejś władzy, że ktoś nowy wszedł w nią, zabrał jej wolę i prowadził, kazał zachowywać się tak, a nie inaczej, kazał iść

wolno, majestatycznie, z ruchami strojnej damy, odbywającej codzienny spacer. Odczuwała wyraźnie obecność innej istoty, a sama była zupełnie bierna, pozbawiona wszelkiej odpowiedzialności, obca temu wszystkiemu, co miało przyjść, oddalona, jakgdyby jej dusza została gdzieindziej.

Cel był już blizko. Nie patrząc na zegarek, wiedziała dzięki wszechwiedzy onej panującej nad nią istoty, która jest godzina i że ona zdąży na czas. Zatrzymała się przed księgarnią, odczytała tytuły kilku nowości, a na jednej z nich nazwisko Rzyźniewskiego, potem przed wystawą jubilerską. Hanka lubiła dawniej książki i drogie kamienie, znała i pamiętała dobrze Rzyźniewskiego, ale ona—nie Hanka—patrzała teraz inaczej, innemi oczami, jak ktoś, któryby przybył z jakiegoś świata i nie wiedział, co to jest książka, jaką mają w życiu wartość piękne pierścienie. W odpowiedniej chwili, gdy było potrzeba, spojrzała na przeciwległy chodnik i dostrzegła Śniałowskiego. Wódz wyglądał zabawnie w eleganckim kapeluszu i palcie, z binoklami na nosie, z zaczesanemi po fryzyersku wąsami. Spotkali się u bramy i Śniałowski zaprowadził ją do pustego mieszkania, dał kilka ostatnich zupełnie zbytecznych wskazówek i znikł. Miał czuwać zdala i ułatwić ucieczkę. Usiadła w salonie, rozglądała się. Drzwi od balkonu były niedomknięte, dochodził z ulicy, niezbyt ożywionej, tupot nielicznych przechodniów. Dzwonek przelatującego roweru był umówionym sygnałem, nasłuchiwała czujnie...

W sąsiedniem mieszkaniu pilna panienka pracowicie wygrywała gamy, zapłakało gdzieś dziecko, stuknęły jakieś drzwi... Życie toczyło się swoim trybem, nic nie zapowiadało wydarzenia, które nasuwało się, nikt nie przeczuwał grozy, która zawisła nad domem. Tylko ona jedna wiedziała, w jej ręku znajdowało się straszliwe narzędzie nieszczęścia. Z bijącem sercem czekała. Krew uderzyła do głowy, paliły twarz dwa wypieki. Uczuła gorąco w oczach, znużenie wzroku, który wciąż wypatrywał, zawarła powieki. Czas płynął wolno, oczekiwanie wydawało się długiem — i to było niezmiernie męczącem.

Rozluźniła się moc onej kierowniczej władzy, znalazły dostęp tamte stłumione dotąd uczucia. Przesunęła się nieśmiała jak szelest suchego liścia na drzewie myśl, że oto zapewne koniec, że dla niej minęło wszystko, upłynęły radości i cierpienia, że nie zobaczy już nigdy domu swojego, który otaczają lipy, matki, sióstr, że nie usłyszy ptaków, które szczebiocą w gałęziach...

Nie wspominała nigdy matki, dla której ochłodła, teraz pragnęła, ażeby ktoś blizki, dobry, żeby matka stanęła przy niej.

Całowałaby w tej chwili zmarszczki, czoło, twarz zbiedzoną, drobne spracowane ręce, przytuliłaby się do piersi głową... Potem z kolei nawiedził ją strach śmierci, przypełzła obawa więzienia, męki — i nieskończenie, całą siłą duszy przez mgnienie pragnęła uciec stąd, ukryć się przed niebezpieczeństwem, wrócić do zwykłego życia i pospolitych ludzi, którym nic nie grozi... Najwyższem szczęściem wydawała się godzina wczorajszego dnia, ta sama co obecnie dwunasta, o której w swojem mieszkaniu bezpiecznie piła kawę z bułką... Boże, coby ona dała, gdyby można było!?... Ale i to minęło. Minęło i krótkie zwątpienie o własnych siłach, trwoga, czy podoła, czy nie pomyli się. Ogarnął ją natomiast nieokreślony smutek, płynący może stąd, że była sama wśród posępnego milczenia pustych pokojów. Poczęła trząść się z zimna, ziewnęła. W nerwach odezwało się znużenie, zmęczonemi oczami wpatrywała się w drzwi balkonu, myśląc, że coś się zmieniło, że rzecz nie dojdzie do skutku. Nagle usłyszała cichy, szybki przelotny głos mknącego roweru. I w jednej chwili odzyskała przytomność, spokój, siły. Ktoś mocny, stanowczy i śmiały opanował istotę słabą, znużoną i smutną.

Bardzo powoli wstała i wyszła na balkon. W pierwszem mgnieniu światło dnia oślepiło ją, jakgdyby przychodziła z ciemnego pokoju, wirowały przed oczami płatki... Ogarnęła spojrzeniem niebiosa. Wśród chmur wykwitał właśnie prześliczny szmat lazuru, ukazało się modre oko. Zdawało się, że ktoś zawołał na nią stamtąd... Odezwała się w duszy tęsknota do onych dalekich, przecudnych, wiekuiście czystych i spokojnych obszarów, wybiegło na usta rzekłbyś słowo miłości, obudziła się owa druga prawdziwa istota, zdeptana przez obcą władzę.

— Cofnij się, nie czyń tego...

Z ogromnym żalem oczy pożegnały swoje kochanie, tamtą drogę jasną i dobrą, smugę błękitu i wróciły na ziemię... Poddała się przemocy, rozkazowi władzy, która wydarła jej własną jej wolę.

Był już czas...

Na wprost balkonu, na przeciwległej kamienicy wisiał duży czarny szyld, pokryty złotemi literami napisu. Odczytując nazwisko, liczyła raz dwa, raz dwa, jak niegdyś w dzieciństwie na huśtawce. Doświadczała szczególnego wrażenia, że buja się razem z balkonem, że to podnosi się w górę, to opada nizko. Przymknęła na sekundę powieki, potem leniwym ruchem wydobyła z zarękawka swoją paczkę i — cisnęła. Skoczyła z powrotem do pokoju, zatrzasnęła drzwi. Rozległ się straszliwy huk. Oszołomiona, drżąc na całem ciele, stała

w miejscu, jakkolwiek każde mgnienie było drogiem i należało zmykać. Nie umiała oprzeć się pokusie i wyjrzała oknem. Dym słaniał się nad ulicą, rozwiewał się. Dostrzegła pobite okna, jakiś kapelusz na bruku, kilka ciał, konia, który siedział na zadzie, poszarpane trupy... Cofnęła się. Z salonu skierowała się do kuchni, stamtąd tylnemi schodami zbiegła na dół i wiadomem jej z opowiadań i planu Śniałowskiego przejściem wydostała się na inne podwórze, na inną ulicę. Kilka razy zatrzymywała się, żeby złapać tchu, żeby stłumić dreszcz. Myślała, że nie dojdzie, że runie pod jakiemiś drzwiami. Zdawało się jej, że ma usta pełne cuchnącego dymu.

Świeże powietrze wzmocniło ją, ożywiło. Szła prędko. Zmienił się nagle nastrój. Ucieczka sprawiała jej coraz większą przyjemność. Cieszyła się, że wykonała tak dokładnie i umiejętnie cały plan, że nie odczuwa ani strachu, ani niepokoju, że minął dreszcz, że udało się wszystko, że skończyła nazawsze, spełniła. Przez chwilę zwalczała chęć wrócenia na miejsce wypadku i zajrzenia jeszcze raz w oczy niebezpieczeństwu. Zatrzymała przechodnia i spytała, co zaszło, gdy ten bezładnie opowiadał, ubolewała. Szła dalej, zaglądała ludziom w twarze, jakgdyby pytając, czy wiedzą. Radość napełniała serce, podniecone nerwy jak struny drżały jakowemś śpiewaniem. Witała ulice, domy, sklepy, tłum, wrzawę miasta, codzienny ruch, jakgdyby po długiem pobycie w więzieniu. Uśmiechała się do życia, życie uśmiechało się do niej. Ogromny ciężar zsunął się z niej, prostowała się. Poszukała wzrokiem owej smugi błękitu — i nie znalazła. Niebiosa skryły się za chmurami, za posępną troską jesieni, ale w niej trwała sztuczna wesołość. Raźnie szła naprzód, jakgdyby do radosnego celu. Odczuwała głód i z zadowoleniem myślała o obiedzie. Innych pragnień, trosk, myśli nie było w niej w tej chwili.

Kazimierz Zdziechowski.

NAPOLEON W WILNIE

w 1812 r.

Wobec nadciągającej z Zachodu Wielkiej Armii Napoleona, wypadło Rosyanom śpiesznie opróżnić Wilno. W nocy 26 czerwca 1812 r. cesarz Aleksander I opuścił stolicę Litwy; nazajutrz rozpoczął się forsowny odwrót armii rosyjskiej. Ludność Wilna, rzecz prosta, była w stanie wysokiego podniecenia i oczekiwania, lecz narazie zachowywała roztropną wstrzemięźliwość, wskazaną zresztą z konieczności przez surowe zarządzenia zapobiegawcze władz wojskowych rosyjskich, wydane na czas dokonywanej ewakuacyi miasta. Silniejsze wrzenie i pewna pochopność do akcyi czynnej występowała jedynie wśród ognistszej młodzieży akademickiej wileńskiej, która, zelektryzowana wieściami przychodzącemi z Warszawy, od pewnego już czasu podejmowała wśród siebie pewne tajne próby organizacyjne i gotowała się nawet do czynnej akcyi powstańczej na własną rękę, pokrzyżowanej jednak w ostatnich dniach przez śmierć kierownika jej, profesora Szulca, oraz surowe dyspozycye wojskowe rosyjskie. Barclay de Tolly, wódz naczelny armii zachodniej, któremu poruczono uskutecznienie odwrotu, wydał odezwę do ludności wileńskiej, gdzie oznajmiał, że stosownie do planów operacyj wojennych, armia na czas pewien opuści Wilno, udając się w głąb kraju, że to opuszczenie będzie miało jedynie charakter czasowy, że mieszkańcy powinni pozostać w spokoju i zachować wierność swemu monarsze. Tej dumnej proklamacyi towarzyszyły rozkazy Wodza Naczelnego, zabraniające mieszkańcom podczas ostatecznej rejterady w nocy z 27 na 28 czerwca opuszczać domy i nakazujące zamknięcie bram. Wszelkie zgromadzenia i zbiegowiska miały być rozpraszane z użyciem broni; most Zielony i magazyny na Łukiszkach były pilno-

wane przez silne oddziały wojska i 12 armat. Wszystkie te zarządzenia pokrzyżowały i sparaliżowały zupełnie projekty młodzieży związkowej; kilku rzemieślników próbowało, bezskutecznie jednak, uderzyć w dzwony; dopiero, kiedy wojska rosyjskie opuściły miasto, zgromadziło się około 7-ej godziny zrana parę setek gorętszej młodzieży, która, uzbroiwszy się naprędce, rozpoczęła walkę z zapóźnionymi maruderami wojsk rosyjskich. Swą gorliwość patryotyczną ci młodzieńcy omal nie przypłacili wielu ofiarami, gdyż niespodzianie spotkali się z ustępującym oddziałem kozackim gwardyi, i tylko pomoc wkraczających już tymczasem z drugiej strony polskich ułanów Suchorzewskiego uratowała ich od zupełnego rozbicia.

Opuszczając miasto, Barclay de Tolly mianował prezydentem miasta b. marszałka szlachty powiatu wileńskiego, Antoniego Lachnickiego i zlecił b. brygadyerowi Kossakowskiemu utworzenie z obywateli miejskich straży bezpieczeństwa i objęcia nad nią dowództwa. Z chwilą ukazania się pierwszych oddziałów francuskich na bruku wileńskim ludność, przeżywająca dotychczas trwożliwe chwile w zamknięciu, wyległa tłumnie na miasto. Ulice i place zaroiły się tysiącznym, burzliwym, podnieconym tłumem, z ciekawością i zapałem witającym polskich ułanów i francuskich szaserów. Hurmem udano się na Pohulankę, skąd widać było posuwające się ku miastu niezliczone zastępy kawaleryi pod wodzą Murata. Udała się też na Pohulankę delegacya, złożona z najwybitniejszych obywateli wileńskich, z prezydentem Lachnickim na czele, dla złożenia hołdu i kluczów miasta cesarzowi Napoleonowi. W imieniu mieszkańców stolicy Litwy powitał króla neapolitańskiego generał Kossakowski; zaznaczył on w swem przemówieniu powitalnem, iż przeznaczenie chciało, ażeby Murat obecnie pierwszy wszedł do stolicy Litwy, Wilna, który przed sześciu laty, w listopadzie 1806 r. pierwszy wchodził do stolicy Polski, Warszawy, w czem upatrywać należy pomyślną wróżbę rychłego zjednoczenia obojga narodów. Murat, wysłuchawszy tej przemowy, odesłał deputacyę do Napoleona, znajdującego się podówczas pod Ponarami.

Ciekawa rozmowa, prowadzona tam przez Napoleona z deputacyą litewską, szczęśliwym trafem spisana przez jednego z akademików, towarzyszących tej deputacyi, rzuca interesujące światło na zamiary i pierwsze kroki, stawiane przez cesarza na ziemi litewskiej. Witał go po polsku w imieniu mieszkańców stolicy prezydent Lachnicki i prosił o opiekę i protekcyę mieszkańców wileńskich, a Wąsowicz, adjutant cesarski, służył za

tłómacza. W odpowiedzi oświadczył Napoleon o swoich sympatyach dla sprawy polskiej, której będzie mścicielem; dodał jednak, że błędy Polaków w znacznej mierze przyczyniły się do upadku kraju. Rozpytywał o okoliczności, towarzyszące odwrotowi armii rosyjskiej, o szczegóły pobytu cesarza Aleksandra w Wilnie; wyrażał zdziwienie, że wojska rosyjskie opuściły tak dogodne dla obrony pozycye; zauważył, że on sam na ich miejscu z 60-io tysięcznym korpusem opierałby się skutecznie 200 tysięcznej armii i kazałby drogo okupić nieprzyjacielowi chęć wyparcia go z tak obronnego stanowiska. Mówił o konieczności zniesienia poddaństwa na Litwie, zapytywał o uniwersytet wileński, przypomniał sobie Śniadeckiego, o którym już dawniej był słyszał, wreszcie zapytał o Wawrzeckiego i Ogińskiego, a dowiedziawszy się o udaniu ich za armią rosyjską, nazwał ich zdrajcami, poczem, zwracając się do Gabryela Ogińskiego, będącego wśród deputacyi, rzekł: „Zobaczymy, panie Ogiński, kto lepiej wyjdzie, czy pan u mnie, czy pański stryj u Aleksandra.“ Zapytywał o środki, jakie może dostarczyć Wilno, a usłyszawszy odpowiedź Lachnickiego, że miasto może dostarczyć 6000 racyj, wybuchnął: „Co, 6000! ha, ha, ha! 100,000 natychmiast!“ Uspokojony potem nieco przez Kossakowskiego i hr. Narbonne, pożegnał łaskawie deputacyę i ruszył dalej drogą, prowadzącą ku miastu.

Tymczasem wojska pod wodzą Murata wchodziły do Wilna od strony Pohulanki. Poprzedzał je 8-y pułk ułanów pod księciem Dominikiem Radziwiłłem, który wzamian za swe wielkie ofiary, poniesione dla kraju, pragnął tylko, aby mu wolno było pierwszemu wejść w bramy Wilna. Tłumy niezmierne ludności wileńskiej oczekiwały z niecierpliwością ukazania się Napoleona, który tymczasem, chcąc obejrzeć położenie miasta, zboczył z głównej drogi, objechał część miasta i przez Ostrą Bramę wjechał niespodzianie, a następnie, ku powszechnemu zdumieniu, wdarł się galopem na górę Zamkową i stamtąd badał pilnie położenie miasta. Wreszcie, zjechawszy z góry, udał się na brzeg Wilii, gdzie dopalały się resztki magazynów rosyjskich i Zielonego mostu. Natychmiast nakazał wzniesienie nowego mostu; do roboty stanęła chętnie ludność wileńska, i w 4 niespełna godziny stanął most, po którym przeszła awangarda francuska i rozpoczęła dalszy pościg za nieprzyjacielem. Napoleon zaś odjechał z powrotem do Wilna, przeprowadzony okrzykami tłumów, gromadzących się co chwila na ulicach miasta i stanął w pałacu dawnych biskupów, skąd przed dwoma dniami zaledwo ustąpił cesarz Aleksander.

Wypada w tem miejscu cofnąć się nieco wstecz, do pierwszych chwil pobytu cesarza Napoleona na ziemi litewskiej. Dnia 23 czerwca stanął nad brzegami Niemna. Przeznaczenie przywiodło go tutaj ponownie, wbrew woli własnej, postawiło go wobec zagadnień, których rozstrzygnięcie ostateczne ciągle od siebie odsuwał. „Zły los ciągnie Rosyę w przepaść, jej przeznaczenie musi być spełnione. Pokój, który zawrzemy, w sobie samym rękojmię trwałości swojej mieć będzie i położy tamę nieszczęśliwemu wpływowi, jaki Rosya od lat 50-iu na stosunki europejskie wywiera.“ Los się dopełnił nietylko Rosyi, ale także i rewolucyi francuskiej.

W czapce i płaszczu ułana polskiego oglądał Napoleon brzegi Niemna, szukając miejsca najbardziej dogodnego do przeprawy. Upatrzył je w okolicy Poniemunia, gdzie Niemen w swym biegu tworzy kolano, które pozwalało na osłonięcie półkolem dział, przeprawy wojsk francuskich. W nocy rzucono trzy mosty i dnia 24 czerwca od świtu rozpoczęła się przeprawa wojsk, zgromadzonych tutaj w ilości 200 tysięcy. Przed wstąpieniem na ziemię litewską odczytano całemu wojsku krótką, lapidarną proklamacyę, podpisaną w Wiłkowyszkach. Zapowiadała ona rozpoczęcie drugiej wojny polskiej, nazywała jednak ziemię litewską—ziemią nieprzyjacielską, i temsamem niejako upoważniała żołnierzy francuskich do nieszanowania dobytku i mienia mieszkańców. Korpusy marszałka Davousta i Murata przeprawiły się pierwsze przez Niemen i tegoż dnia posunęły się do Żyżmor po drodze do Wilna, Napoleon z korpusem Oudinota i gwardyami, przeprawiwszy część wojsk jeszcze tegoż dnia przez Wilię, pozostał na jeden dzień w Kownie. Kowno przeznaczono na skład materyałów wojskowych, które miały tutaj przybywać z Królewca Preglem i Niemnem, wypadło zatem otoczyć miasto fortyfikacyami i zbudować mosty na Niemnie i Wilii, w samem mieście. Nadto nie omieszkał Napoleon poczynić kroków w celu zgromadzenia łodzi dla transportowania zapasów wojskowych w górę Wilii do Wilna, które miano zająć w parę dni później. Obliczono, że dwadzieścia dni wystarczy na przybycie transportów z Kowna do Wilna, wobec krętego biegu rzeki, czyli tyleż co trwał przewóz z Gdańska do Kowna. Tegoż dnia marszałek Macdonald przebył na lewem skrzydle Niemen w Tylży, prawe skrzydło pod księciem Eugeniuszem przeprawiło się przez Niemen w Prenach dnia 29 i 30 czerwca, a król westfalski pod Grodnem 30 czerwca.

Wieść o przejściu Niemna przez Napoleona, jak grom spadła w głównej kwaterze rosyjskiej. Niespodzianką było zarówno

rychłe rozpoczęcie kroków wojennych, jakoteż i samo miejsce przeprawy. Narazie zapanowało ogromne zamieszanie w obozie rosyjskim. Wojska francuskie wdarły się klinem pomiędzy rozłożone pierścieniem dokoła Wilna korpusy rosyjskie, groziły odcięciem i rozbiciem poszczególnych oddziałów i tylko nieznajomości terenu i brakowi dokładnych map w sztabie francuskim, niektóre z nich zawdzięczały ocalenie. Szczególniej dwa korpusy rosyjskie, Szuwałowa w Olkienikach i Dochturowa w Lidzie, musiały wobec przemożnych sił nieprzyjacielskich uskutecznić niebezpieczny ruch wsteczny; udało im się jednak wybrnąć ze strasznego niebezpieczeństwa i połączyć się z główną armią, która tymczasem z pośpiechem cofała się ku Dźwinie, gdzie, stosownie do planu Phula, założono wielki obóz warowny pod Dryssą.

Cesarz Aleksander opuścił Wilno dnia 26 czerwca, poruczając ministrowi wojny, generałowi Barclay de Tolly, dowodzącemu pierwszą armią, uskutecznienie odwrotu. Dnia 25 czerwca Murat z Davoustem posunęli się po drodze wileńskiej do Żyżmor, przebywszy niebezpieczną drogę, gdzie wojska rosyjskie z łatwością mogłyby stawić opór. Niecierpliwy Murat, chcąc być pierwszym w Wilnie, już 27 czerwca stanął na nocleg w Rykontach, niezważając na wielkie zmęczenie swej jazdy. Ostatnie, nader forsowne marsze, znużyły wojska, co szczególnie dawało się zauważyć w kawaleryi. Konie, karmione, w braku furażu, zielonem zbożem, słabły i padały tysiącami, droga z Kowna do Wilna usiana była trupami końskimi, liczono ich przeszło 15,000. Ostrożny i doświadczony marszałek Davoust narzekał bezskutecznie na nieopatrzność, z jaką król neapolitański marnował tę piękną jazdę w kraju tak oddalonym od Francyi i ubogim w konie, jakim była Litwa. Za Rykontami 28 czerwca nastąpiło pierwsze starcie z aryergardą rosyjską. Po żwawej utarczce wojska rosyjskie cofnęły się, szybko przebiegły opustoszałe miasto, paląc za sobą most na Wilii i ogromne magazyny na Śnipiszkach, w których nagromadzono 150,000 centnarów mąki i ogromne zapasy owsa i siana, owoc zabiegów i starań Komitetu Obywatelskiego, którego członkom nakazano opuścić Wilno i udać się za armią.

Z członków Głównego Komitetu udało się pozostać w kraju jednemu tylko Michałowi Dziekońskiemu. Inni trzymani byli w ciągu całej wojny w grzecznym areszcie, oderwani nadto od kraju, rozczarowani w swoich nadziejach, których walenia się w gruzy byli świadkami, obcy restytucyjnym usiłowaniom, podejmowanym z zupełnie innej strony, nazwani zdrajcami przez Napoleona, a co najgorsza, pozostawali w nad wyraz przykrym zatargu z dążenia-

mi większości własnego społeczeństwa, do uszczęśliwienia którego zmierzały wszystkie ich zabiegi, wypływające z dobrej bądź co bądź ich wiary, chociaż krótkowzrocznego zaślepienia. To też Michał Dziekoński, pragnąc osłonić przed powszechnem potępieniem osoby niedawnego Głównego Komitetu, usiłował w akcesie swoim do Konfederacyi Generalnej przemawiać nietylko we własnem imieniu, ale i w imieniu mniej szczęśliwych kolegów, na których ojczyzna nigdy się nie zawiedzie, a którzy siłą zajęci, gwałtownie uwiezionymi zostali, prosił zatem Konfederacyę, „aby ten akces do Konfederacyi Generalnej nietylko w jego, ale i w imieniu kolegów jego, jak JW. Chorążego Litewskiego Wawrzeckiego, księcia Ksawerego Lubeckiego i Kanclerza Lit. Ludwika Platera, przyjętym i zapisanym został.“ Usiłowania Dziekońskiego pozostały bez skutku. Konfederacya wymagała ich własnego, imiennego oświadczenia, nie wątpiła jednak, iż „towarzysze jego, mniej szczęśliwi w tym względzie, pierwszego momentu uwolnienia swojego użyją na okazanie pozbawionej ich posługi ojczyźnie tej gorliwości i przywiązania, jakiej świadectwo w JW. Pana odezwie Konfederacya odbiera.“

Nieobecność tych ludzi wpływowych, zdolnych, obeznanych ze stosunkami miejscowymi była istotnie wielką stratą dla kraju, który teraz potrzebował więcej niż kiedykolwiek ludzi energicznych i zdolnych do twórczej pracy organizowania nanowo od podstaw całej administracyi krajowej.

Z grona tego, oprócz Dziekońskiego, pozostał jeszcze Kazimierz Plater, jeden z najczynniejszych współpracowników Ogińskiego w Petersburgu, obecnie zajęty formowaniem batalionu strzeleckiego, który tworzono na rozkaz Napoleona. Ubolewał on nad osamotnieniem i oddaleniem z kraju niedawnych towarzyszy pracy, zgadzał się na pośredniczenie w korespondencyi Lubeckiego z rodziną, zastrzegał się jednak, że przez to nie wejdzie w kolizyę z obowiązkami swego urzędu.

Z chwilą zajęcia stolicy Litwy trzeba było pomyśleć o daniu jej odpowiedniej organizacyi. Jeszcze przed wojną żądał w tym celu Napoleon od Rady Stanu Księstwa Warszawskiego wskazania mu 6-iu obywateli oświeconych i patryotycznie usposobionych, mających znaczenie i posiadłości, zarówno w Księstwie, jak i zaborze rosyjskim, których można byłoby użyć przy organizacyi Litwy. Wskazano ks. Eustachego Sanguszkę, Aleksandra Chodkiewicza, Józefa hr. Sierakowskiego, generała Józefa Kossakowskiego, Sulistrowskiego, ks. Aleksandra Sapiehę i Aleksandra Potockiego, syna prezesa Rady Ministrów. Osoby te miały towa-

rzyszyć Napoleonowi i następnie miały być użyte do „interesów“ litewskich, jak się podówczas wyrażano. Rzeczywiście wszyscy, z wyjątkiem Sulistrowskiego, który podążał wtedy za armią rosyjską, znajdowali się w Wilnie. Dnia 30 czerwca wezwano do ks. Bassano wybitniejszych obywateli litewsko-polskich, w liczbie których znajdowali się Wincenty hr. Krasiński, ks. Aleksander Sapieha, Sanguszko, Pac, Śniadecki i wielu innych. Hr. Daru odczytał rozkaz dzienny cesarza, ogłoszony nazajutrz, którego mocą ustanawiano Rząd Krajowy złożony z 5-iu osób. Proponowano na członka Rządu rektora Śniadeckiego, mile widzianego przez cesarza, ten jednak wymówił się brakiem czasu i nieznajomością spraw. Na prezesa powołano Stanisława Sołtana, marszałka nadwornego litewskiego. Na nominacyę członków Rządu Litewskiego największy niewątpliwie wpływ wywierał ks. Aleksander Sapieha, posiadający podówczas całe zaufanie cesarza i stały jego informator w sprawach litewskich. Na zebraniu u ks. Bassano radzono nad obsadzeniem innych urzędów w administracyi departamentowej, oraz podprefektów. Nazajutrz ukazał się rozkaz dzienny cesarza, który stanowił dla 4 departamentów (t. j. dawniejszych gubernij), wileńskiego, mińskiego, grodzieńskiego i białostockiego, Komisyę Rządu Tymczasowego Wielkiego Księstwa Litewskiego, złożoną z 5 osób: Stanisława hr. Sołtana, Aleksandra ks. Sapiehy, Franciszka hr. Jelskiego, Józefa hr. Sierakowskiego i Karola hr. Prozora, byłego oboźnego litewskiego. Prezesem tej Komisyi został Sołtan, sekretarzem generalnym Józef hr. Kossakowski, b. podczaszy litewski. Następnie 7 lipca, celem skompletowania Komisyi, powołano jeszcze dwóch członków: Jana Śniadeckiego i Aleksandra hr. Potockiego. Do Komisyi przydzielono w charakterze komisarza cesarskiego, Bignona, dotychczasowego rezydenta w Warszawie.

Rozkaz dzienny ustanawiał w departamentach, podległe Komisyi Izby Administracyjne, złożone z trzech członków, pod prezydencyą intendentów francuskich, zależnych od komisarza cesarskiego. W każdym departamencie zostaje mianowany przez majora generalnego gubernator, mający pod swymi rozkazami siłę zbrojną w departamencie. Administracya powiatowa oddana została podprefektom. Rozkaz dzienny z dnia 1 lipca nic nie mówił o miastach wogólności, tylko Wilno otrzymało Radę municypalną z 12 członków oraz prezydenta municypalności z 4 adjunktami. Artykuł VIII rozkazywał utworzenie w Wilnie gwardyi narodowej, złożonej z dwóch batalionów. Wreszcie nakazano formowanie w departamentach żandarmeryi z pomiędzy szlachty, po-

siadającej własność w powiecie. Tegoż dnia wyszły nominacye na członków Izb Administracyjnych i intendentów w departamentach, podprefektów w departamencie wileńskim i członków municypalności wileńskiej.

Wybór osób, powołanych do zajęcia wyższych stanowisk w zarządzie Litwy, nie może być uważany za trafny. Powodowano się w tym względzie głównie zasługami przeszłości, stanowiskiem, urodzeniem i położeniem majątkowem. Byli to bezwarunkowo ludzie prawi, dobrzy Polacy, zasłużeni krajowi, lecz przeważnie ludzie podówczas już starzy, szanowni weterani służby publicznej, uczestnicy Sejmu Wielkiego, towarzysze Kościuszki, usunięci od wszelkiego udziału w sprawach publicznych w ciągu 20 lat prawie, zachowujący abstynencyę w ślizkich robotach Ogińskiego, słowem, ludzie jak najmniej przystosowani do warunków i chwili, w jakich wypadało działać obecnie. Nie posiadali bowiem ani energii, ani dokładnej znajomości stosunków krajowych, ani znajomości administracyi, szczególnie tak skomplikowanej i wytężonej, jaką była napoleońska, co tembardziej dawało się odczuwać w chwili tak ważnej, przełomowej, jaką była obecna. To też ludzie ci, wyniesieni na te stanowiska przez pamięć poprzednich zasług i niezachwianego patryotyzmu z przed lat 20-tu, czyniąc wszystko, na co ich było stać, nie stanęli jednak na wysokości zadań, jakie ich oczekiwały. Wybór osób na te stanowiska był dokonany, jak powiedziano, pod bezpośrednim wpływem ks. Aleksandra Sapiehy, więc sympatye lub antypatye tego ostatniego zaważyły poważnie na obsadzeniu w ten, a nie inny sposób wyższych stanowisk w świeżo wskrzeszonem W. Ks. Litewskiem. Są pewne wskazówki, że Sapieha był przeciwny powoływaniu do Rządu Śniadeckiego, który rzeczywiście był zupełnie „homo novus“ wśród tych potentatów i dygnitarzy b. Rzpltej, zasiadających obecnie w Rządzie, i tylko na wyraźne życzenie Napoleona umieszczono go w Komisyi. W każdym razie należy ubolewać, że do Rządu nie powołano kogoś z mężów stanu Księstwa Warszawskiego, np. takiego Wybickiego, którego energia i zapał oddziałałyby dodatnio na członków Komisyi. Tymczasem wezwani z Korony Sierakowski i Aleksander Potocki okazali się zupełnemi zerami, których obecność w Rządzie Litewskim nie zaznaczyła się niczem dodatniem.

Stwarzając w ten sposób całą administracyę, Napoleon miał nadzieję, że kraj dostarczy żywności dla jego wojsk oraz utworzy własną siłę zbrojną, która skutecznie wesprze jego restytucyjne zamiary. Szło przedewszystkiem o przekarmienie 100,000 ar-

mii, skoncentrowanej w Wilnie i najbliższych okolicach. Brakowało chleba, bowiem Rosyanie, opuszczając Wilno, poniszczyli młyny zbożowe i piekarnie wojskowe; piekarnie prywatne mogły wypiekać dziennie zaledwie 30 tysięcy racyj, Napoleon zaś potrzebował 100,000, a za parę dni podwójnej ilości. Pierwszem więc zadaniem jego było wzniesienie odpowiednich piekarń i odrestaurowanie młynów. Użyto do tego murarzy, których prowadził ze swoim korpusem przezorny Davoust. Mniej pomyślnie usiłowano zaradzić brakowi furażu, armia francuska weszła do kraju na przednówku po nieurodzajnym roku 1811, a w ostatnich czasach szczupłe zapasy zostały bądź zabrane przez wojska rosyjskie, bądź zgromadzone przez Komitet Obywatelski do magazynów, które podczas odwrotu padły pastwą płomieni.

Armia rosyjska, opuszczając kraj, pozostawiła go w stanie godnym pożałowania. Świadek niepodejrzany o stronniczość, generał Armfelt, daje ponury obraz spustoszeń, poczynionych podczas odwrotu przez wojska rosyjskie; szczególnie odznaczały się dywizye gwardyjskie. Zaznacza, że w miejscowościach, przez które one przeszły, nie pozostało nic oprócz owadów i błota; ludzie i zwierzęta porwani lub zbiegli; domy zrujnowane, szyby potłuczone, zasiewy stratowane. Dodaje, że gdyby Rosya z powrotem kiedyś otrzymała Litwę, ta ostatnia w ciągu 150-iu lat przynosiłaby korzyści mniejsze niż Syberya; nienawiść, żywiona przez Polaków do Rosyan, zwiększy się prawdopodobnie skutkiem strasznego spustoszenia, jakie ci ostatni wyrządzili podczas swego odwrotu. Armfelt był przeciwny opuszczaniu Litwy przez wojska rosyjskie, oskarżał o intrygi w tym względzie Arakczejewa, Benningsena i Phula, obawiał się, że Litwa, porzucona przez Rosyan na łup najeźdźcy, splądrowana, przerzuci się na stronę Napoleona i wzmocni jego siły o 200,000 ludzi.

W takim stanie pozostawiony przez Rosyan kraj nie mógł, nie był w stanie wyżywić półmilionowej armii napoleońskiej. Żołnierze, w poszukiwaniu żywności, rabowali i niszczyli dwory i wsie w okolicach przemarszów wojsk. Straszny widok przedstawiały miejscowości, którędy przeszła wielka armia: stratowane lub skoszone zboża, zgliszcza dymiące wsi i dworów, ludność niepewna nietylko mienia, ale nawet życia, kryjąca się, jak za najazdów tatarskich z dobytkiem po lasach, i wszędzie trupy, trupy niezliczone, ludzkie i końskie, rozkładające się w lipcowym upale. Zdaniem Sołtyka podczas krótkiego przemarszu wojsk od Niemna do Wilna około 50-iu tysięcy żołnierzy zbiegło z pod chorągwi, rabując wsie, dwory i dopuszczając się rozmaitych nadużyć i gwał-

tów. Raporty władz ówczesnych i skargi poszkodowanych obywateli składają się na straszny obraz zniszczenia, jakiemu uległa znaczna część kraju; co gorsza, żołnierze zbiegli z pułków, trudniąc się rozbojem, przykładem swoim często zachęcali włościan okolicznych do podobnych wykroczeń. Gromady wiejskie, same lub łącznie z maruderami, którym wskazywały drogi, rabowały, paliły i niszczyły dwory, niejednokrotnie załatwiając w ten sposób dawniejsze porachunki ze swymi dziedzicami.

Anarchię powszechną wzmagała jeszcze ta okoliczność, że Rosyanie, ustępując, pozabierali z sobą wszystkich urzędników, aby utrudnić w ten sposób rychłe zorganizowanie kraju, wystawionego obecnie z wkroczeniem wielotysięcznych wojsk obcych na wielkie niebezpieczeństwo. Pierwszem więc zadaniem Napoleona było przywrócenie karności w szeregach, co wobec ilości i jakości tych wojsk nie było wcale rzeczą łatwą. „Rozkazem dziennym z dnia 3 lipca ustanowiona została w Wilnie i innych miastach departamentowych komisya prewotalna, złożona z jednego generała prezydującego i czterech oficerów, mianowanych przez majora generalnego, która sądzić będzie doraźnie zbrodnie maruderstwa i rabunków. Utworzone być mają patrole po 10 ludzi (colonnes mobiles), które przebiegać mają wioski, drogi główne i lasy przetrząsać, chwytać maruderów i włóczęgów wszelakich i odstawiać następnie do więzień wileńskich. Podejrzani o występki mają być natychmiast stawieni przed komisyę prewotalną i po dowiedzeniu im zbrodni powinni być straceni w ciągu 24 godzin.“ Kolumny ruchome składały się przeważnie z oddziałów gwardyi Krasińskiego, którym dodawano świeżo uformowanych żandarmów. Kolumny te przebiegały w rozmaitych kierunkach okolice, chwytając rabusiów i dezerterów, oraz dając pomoc napadniętym wsiom i dworom. Schwytanych maruderów stawiano przed komisye prewotalne, po których ustanowieniu już nazajutrz osądzono i rozstrzelano na placu publicznym w Wilnie wielu Niemców, Włochów i Francuzów, oskarżonych o maruderstwo. Napoleona mocno martwiło rozprzężenie się karności wojskowej, szczególnie wypadki rabunków, zaszłe w Wilnie pod okiem cesarza. Przewidując najfatalniejsze stąd następstwa, zgromił surowo zgromadzonych w pałacu wodzów i generałów za wybryki ich podkomendnych: „Panowie mnie hańbicie, mnie gubicie“—zakończył temi słowy przemowę.

Drugą plagą, jaka trapiła kraj, były zaburzenia włościańskie. Postanowiono położyć im kres przez tworzenie po powiatach żandarmeryi. Na wieść o wkroczeniu Napoleona, któremu fama, kur-

sująca wśród ludu, przypisywała zamiar zniesienia poddaństwa, włościanie wielu miejscowości wypowiedzieli panom swoim posłuszeństwo, a nawet gdzieniegdzie poczęli przeciw nim występować. Zaniepokojeni tem obywatele ziemscy porzucali majątki, uciekali do miast i literalnie zasypywali Komisyę Rządową skargami, w których domagali się pomocy i opieki władz rządowych dla swego mienia i życia, malując często w zbyt czarnych kolorach swoje położenie i obawy. Komisya Rządowa pospieszyła wydać w tym względzie odezwę, nakazującą włościanom pod surową odpowiedzialnością natychmiast powrócić do miejsc swego zamieszkania i swych obowiązków, aż do czasu ogłoszenia nowych rozporządzeń. Odezwa ta zaznaczała w sposób stanowczy, że włościanie nie mają żadnego prawa do własności swych panów i że powinni wykonywać w dalszym ciągu swoje prace i spełniać obowiązki. Winni przekroczenia tych przepisów będą karani przez administracyę powiatową i zmuszani do posłuszeństwa. W razie potrzeby dawana będzie pomoc siły zbrojnej. Nawzajem zapewniała Komisya opiekę włościanom przed wszelkiemi krzywdami i łupiestwami.

Dla czuwania nad bezpieczeństwem mieszkańców postanowiono utworzyć oddziały żandarmeryi wyłącznie ze szlachty osiadłej i posiadającej własność. Obowiązkiem żandarmeryi miało być oczyszczanie kraju z maruderów i wszelkiego rodzaju włóczęgów, oraz dawanie zbrojnej pomocy dziedzicom w razie jakichkolwiek zaburzeń włościańskich.

Ażeby zaprowadzić w kraju jak najprędzej prawidłowo funkcyonującą administracyę, mianowano w powiatach podprefektów, przeznaczając na te stanowiska przeważnie byłych urzędników ziemskich, jako to: marszałków, podkomorzych lub chorążych, na miasta zaś rozciągnięto przepisy, dotyczące Rady Municypalnej Wileńskiej.

Stopniowo coraz większą część kraju uwalniano od nieprzyjaciela, który na wszystkich punktach cofał się bez znaczniejszego oporu. Dnia 29 czerwca zajęły wojska francuskie Grodno. Już 28 czerwca generał Tyszkiewicz ze swoją brygadą i pierwszym pułkiem piechoty stanął pomiędzy Łososną a Niemnem naprzeciw Grodna, które zajmował generał Płatow z lekką jazdą kozacką. Wbrew oczekiwaniu powszechnemu poważniejszej tutaj rozprawy, Płatow, po krótkiej utarczce kozaków z ułanami Rzyszczewskiego i spaleniu mostu na Niemnie, cofnął się w nocy do Miechowszczyzny dla połączenia się z resztą armii. Nazajutrz, po krótkiej kanonadzie, naprawiwszy most, generał Tyszkiewicz wszedł ze

swą brygadą do Grodna, a w ślad za nim przeszły Niemen korpusy V polski i VIII westfalski. Ludność tłumnie witała wchodzące do miasta wojska, szczególnie owacyjnie witano ks. Poniatowskiego i króla Hieronima, któremu deputacya od miasta ofiarowała klucze. Gubernatorem miasta został naprzód generał Rożniecki, później Kamieniecki. W Grodnie otrzymał ks. Józef wiadomość o zawiązanej w dn. 28 czerwca w Warszawie Konfederacyi Generalnej Królestwa Polskiego i nominacyi swojej na regimentarza. Natychmiast pospieszył z akcesem do Konfederacyi nie tylko swoim, ale i całego korpusu piątego. Ile bolesnych wspomnień musiały te mury grodzieńskie obudzić w duszy synowca królewskiego! Osłodą i pokrzepieniem w tych bolesnych rozpamiętywaniach był widok tych zastępów zbrojnych, mających pomścić tamte zniewagi; pociechą również był ów zapał i jednomyślność mieszkańców Grodna, z jakim witali srebrne orły obok złotych. Świadkiem był ks. Józef, jak dnia 3 lipca szlachta powiatu grodzieńskiego, pod prezydencyą byłego marszałka gubernialnego Pancerzyńskiego, przystąpiła do Konfederacyi w budującej zgodzie i jak to przystąpienie swoje poparła uchwałą uformowania łącznie z powiatem sokólskim jednego regimentu piechoty własnym kosztem. Akces obywateli grodzieńskich był jednym z pierwszych, jaki nadszedł do Rady Konfederacyi z ziemi litewskiej. Pancerzyński, przewodniczący na tem pamiętnem posiedzeniu, niedawno na wyborach pokonany przez ks. Lubeckiego, inicyator adresu dziękczynnego szlachty grodzieńskiej do gubernatora Łanskoja, nadstawiający ucha robotom petersburskim Ogińskiego, teraz występował jako gorliwy zwolennik systemu napoleońskiego, obrany jednomyślnie marszałkiem Konfederacyi Grodzieńskiej.

W Grodnie przebywał kr. Hieronim do 4 lipca. Przyjmował bale i festyny, jakie mieszkańcy Grodna wyprawiali na jego cześć, brał kąpiele w winie, ale wbrew stanowczym rozkazom Napoleona nie spieszył do dalszych operacyj wojennych, czekał aż ustaną deszcze ulewne i przeschną drogi. Był to czas niepowrotnie stracony, a zwłoka ta dała możność Bagrationowi wyplątania się z matni, jaką misternie na niego zastawił Napoleon.

Rożniecki, mianowany przez króla westfalskiego gubernatorem grodzieńskim, zorganizował rząd dla gub. grodzieńskiej, który sprawowała Rada Konfederacka, złożona z 12 członków pod prezydencyą marszałka konfederackiego Pancerzyńskiego i podzielona na 4 wydziały: żywności, policyi, skarbowy i polityczny. Podległe były tej Radzie konfederacye tworzące się po powiatach, w miarę oswobodzenia terytoryów. Rada musiała zaopatrywać

w żywność wojska francuskie, znajdujące się w gub. grodzieńskiej, oraz przystąpiła do formowania jednego pułku piechoty, co uchwalono w dniu 3 lipca.

W dniu 17 lipca przybyły delegowany od Komisyi Rządowej, ks. Antoni Giedrojć, dokonał uroczystego zamknięcia Rady i otwarcia Izb Administracyjnych, zaprowadzanych w guberniach, stosownie do rozkazu dziennego Napoleona. Zamknięto również i rozwiązano konfederacye, jakie tworzyły się po powiatach. Posiedzenia swoje rozpoczęła Izba Administracyjna w Grodnie, dnia 26 lipca, w obecności członków Administracyi: pułkownika Ignacego Lachnickiego, Pancerzyńskiego i Tadeusza Andrzejkowicza, jako zastępcy nieobecnego jeszcze Jana Niemcewicza.

Dn. 8 lipca zajął marszałek Davoust Mińsk. „Gazeta Tymczasowa Mińska“ doniosła o tem mieszkańcom miasta: „Niezwyciężone zastępy Wielkiego Napoleona Cesarza Francuzów i Króla Włoskiego, wybawcy Polski, dzisiaj weszły do naszego Mińska. Ten dzień historyczny wyzwolił naszą prowincyę z jarzma niewolniczego i wrócił nas Ojczyźnie.“ Uroczyście witany wchodził marszałek do miasta, spotkany jeszcze przed miastem przez prezesa Rady Tymczasowej, Ludwika Kamieńskiego i marszałka Moniuszkę; u rogatki czekała go delegacya obywatelska, witając go jako przedstawiciela cesarza Francuzów. Od kilku dni już w Mińsku, przed wejściem wojsk francuskich, władze rosyjskie czyniły gorączkowe przygotowania celem opuszczenia miasta. Zabierano kasy rządowe, archiwa, oraz wszelkie pisma urzędowe, wywożąc je do miejscowości bezpieczniejszych, do Rzeczycy lub Bobrujska. Zaskoczeni nagłym marszem Davousta, urzędnicy w największym popłochu z gubernatorem cywilnym opuszczali miasto. Pozostała ludność i urzędnicy Polacy zorganizowali Radę Tymczasową, na której czele stanął prezydent Sądu Głównego, Ludwik Kamieński. Członkami jej byli: Jan Chodźko, prezydent II departamentu tegoż sądu, Ignacy Moniuszko, marszałek powiatowy, oraz członkowie magistratu. Dzięki zabiegom tej Rady ocalono przeznaczone na spalenie obfite magazyny wojskowe, w których wkraczające wojsko francuskie znalazło znaczne zapasy zboża: mąki 3,600 centnarów, 300 centnarów krup, 22 beczki owsa, 6,000 centnarów siana, 15 — 20 kuf wódki, 1,500 funtów prochu, prócz tego wiele rekwizytów szpitalnych. Ocalały też w mieście piekarnie, mogące dostarczyć wojsku dziennie po 100,000 racyj chleba.

Rada Tymczasowa została zastąpioną przez Rząd Tymczasowy, powołany z rozkazu marszałka Davousta, o czem „Gazeta

Mińska“ nie omieszkała donieść mieszkańcom: „Godzina uszczęśliwienia naszego wybiła. Opieką Największego z Monarchów, walecznością wojsk jego niezwyciężonych jesteśmy powróceni Ojczyźnie. Rząd Tymczasowy spodziewa się, że każdy dobry Polak wspierać będzie Jego działania, dążące do szczęścia Ojczyzny i wypełnienia nadziei Wielkiego Napoleona, naszego Wspaniałego Wybawiciela.“ Komisyę Rządu Tymczasowego w Mińsku składali: Michał Puzyna—prezydent, Ignacy Moniuszko—vice-prezydent, członkami byli: Ludwik Kamieński, Jan Chodźko, Atanazy Prószyński, Wincenty Wołodkowicz, Wincenty Giecewicz, A. Wańkowicz, Ksawery Lipski i Karol hr. Czapski. Komisarzem francuskim przy niej mianowany został Thomas, a gubernatorem—Barbanegre. Pierwszą czynnością Komisyi było urządzenie administracyi w powiatach już oswobodzonych gub. mińskiej, a mianowicie: borysowskim, ihumeńskim, mińskim i wilejskim. Władza administracyjna w powiatach poruczona została komisyom powiatowym, składającym się z 5 członków, z których jeden, tytułowany komisarzem, prezydował. Jednocześnie zwrócono baczną uwagę na prawidłowe funkcyonowanie komunikacyi pocztowej na traktach wileńskim i mołodeczańskim. Stan taki nie trwał jednak długo. Dnia 15 lipca przybył do Mińska generał Bronikowski, mianowany gubernatorem mińskim, na miejsce Barbanegra, przeniesionego do Borysowa. Przywoził z sobą rozkaz dzienny Napoleona z dn. 1 lipca, którego mocą Komisya Rządu Tymczasowego w Mińsku przekształcona została na Izbę Administracyjną Departamentu Mińskiego; składali ją pod prezydencyą intendanta Solnier La Cretelle, Józef Wołodkowicz, Adam Ginter i Ksawery Obuchowicz. W ten sposób w krótkim stosunkowo czasie trzykrotnie zmienił się charakter i skład władzy administracyjnej w byłej gub. mińskiej. Nie wszędzie jednak mieszkańcom udało się równie pomyślnie ocalić magazyny wojskowe przed zniszczeniem ze strony Rosyan; tylko w Pińsku, Grodnie i w paru innych miejscach zdołano uratować znaczne zapasy, gdzieindziej natomiast Rosyanie przy cofaniu się niszczyli je ogniem, ażeby utrudnić w ten sposób nieprzyjacielowi utrzymanie się w złupionym kraju.

Mieszkańcy Pińska, łącznie z obywatelstwem powiatu i okolicznymi włościanami, na wieść o zajęciu Kobrynia przez korpus ks. Szwarcenberga, uzbroiwszy się na prędce, oświadczyli władzom miejscowym i przybyłemu z Mińska specyalnemu urzędnikowi, że nie pozwolą na niszczenie lub wywiezienie z miasta wielkich magazynów z żywnością tam znajdujących się. Energiczna postawa mieszkańców, a nadewszystko zbliżanie się oddziałów austryackich, zmusiło władze rosyjskie do zaniechania swoich zamiarów i rej-

terowania się jaknajrychlejszego z miasta; pozostawiono tam w kasie rządowej 4 tysiące rubli srebrem i 46 tysięcy w asygnacyach, w magazynach zaś: 2 miliony centnarów soli, 100 tysięcy centnarów mąki i sucharów, kilka tysięcy garncy wódki, 480 wołów i wielką ilość furażu. Ogółem oceniano to wszystko na 5 milionów złotych polskich i wszystko oddano do dyspozycyi wkraczającym do Pińska oddziałom austryackim. Główna zasługa ocalenia tych bogatych magazynów przypada członkom komitetu powiatowego dostaw do wojska, który składali: marszałek Skirmunt, ks. Karol Lubecki, horodniczy Delinshausen, Pleski i inni. Najczynniejszym był ks. Karol Lubecki, zajął się on uzbrojeniem obywateli i zabezpieczeniem magazynów. W utarczkach, jakie prawie ciągle zdarzały się w okolicach Pińska z oddziałami z korpusu Tormasowa, odznaczyli się, jako dzielni partyzanci, Twardowski i Fabian Hornicz, który na czele 30 ochotników zabrał bagaże przechodzącemu około Pińska pułkowi ułanów. Jeśli wierzyć „Kuryerowi Litewskiemu,“ dzielnie sprawiła się młodzież szkolna w Krożach, która, uzbroiwszy się, stoczyła walkę z oddziałkiem kozaków, odparła ich i uratowała dla wojsk Macdonalda przeznaczony na spalenie magazyn z żywnością.

Pobyt Napoleona przedłużył się w Wilnie. Cesarz zajęty był przywróceniem porządku w szeregach armii, musiał też czekać na transporty wojskowe z żywnością, amunicyą i wszelkiemi rekwizytami wojskowemi, które uległy znacznemu opóźnieniu, a tymczasem zajmował się dalszemi operacyami wojennemi, organizacyą Litwy i utworzeniem w niej siły zbrojnej. Rozkazem dziennym z dnia 5 lipca nakazał utworzenie na Litwie 4 pułków jazdy i 5 piechoty. Było to bardzo dalekiem od tego, czego się spodziewał i o czem go stale zapewniał ks. Sapieha, że Litwini pełni są zapału, gotowości do wszelkich poświęceń i z łatwością wystawią 100 tysięczną armię. Tymczasem rzeczywistość zadała kłam tym lekkomyślnym oświadczeniom, Napoleon rychło przekonawszy się, że Litwa ani połowy takiej ilości wojsk nie wystawi, wolał mieć przynajmniej pewnych 15 tysięcy żołnierzy i w tym celu nakazał formacyę natychmiastową tych pułków.

Nawet utworzenie tak nieznacznej siły zbrojnej okazało się zbyt trudnem dla ówczesnego Rządu Litewskiego. Członkowie Komisyi Rządowej, nie mając żadnych funduszów, upoważnili tegoż ks. Sapiehę, ażeby prosił Napoleona o subwencyę w ilości 4,000,000 franków na uformowanie i ubranie tych 9 pułków. Napoleon, mocno niezadowolony z tej prośby, wyraził zdziwienie, że patryotyzm obywateli litewskich nie może się zdobyć na ofiarę

4 milionów franków, gdy chodzi o wyzwolenie Ojczyzny. Sapieha zawstydzony próbował usprawiedliwiać szlachtę litewską, która aczkolwiek posiada dużo ziemi, niema jednak gotówki, zaręczył wszakże, że w tych okolicznościach uczyni wszelkie możliwe ofiary. Napoleon zgodził się wreszcie na udzielenie i to tylko tytułem pożyczki, Skarbowi Litewskiemu 400,000 franków ze swojej kasy na wyekwipowanie litewskich pułków.

Wogóle zapał, jaki ujawnił się w chwili wkroczenia na Litwę wojsk francuskich, był krótkotrwały. Jedynie młodzież litewska, przeważnie uniwersytecka, była owiana gorącym ofiarnym patryotyzmem. Z jej to łona wyszło hasło do uroczystości odnowienia Unii Litwy z Polską. Akt ten odbył się w dniu 29 czerwca w Katedrze wileńskiej i miał na celu stwierdzić ponownie zjednoczenie całego narodu polskiego w jedno ciało, a tem samem uznawał za nieważne wszystkie zabory Polski. Odpowiedni dokument, pokryty kilkunastu tysiącami podpisów, ułożony w obecności generałów i oficerów polskich, był jak gdyby odpowiedzią na zawiązaną w dniu minionym Konfederacyę Generalną Królestwa Polskiego, o której tworzeniu się wieść musiała już dobiedz do Wilna i o której mówił sam Napoleon na posłuchaniu, udzielonem szlachcie litewskiej, był zatem za przystąpieniem Litwy do Konfederacyi. Nazajutrz akt ten był złożony cesarzowi przez ks. Aleksandra Sapiehę. Tasama młodzież uniwersytecka, pragnąc wziąć jak najczynniejszy udział w sprawie odbudowania Ojczyzny, zgromadziła się w ilości 1,000 osób na dziedzińcu uniwersyteckim, aby radzić nad sposobami, jakimi może najskuteczniej dopomódz wielkiemu dziełu. Po ożywionych debatach postanowiono utworzyć własny legion akademicki, oraz wysłać z pośród siebie licznych emisaryuszy do rozmaitych części kraju, celem jak największego poruszenia całego kraju, oraz tworzenia powstań cząstkowych na wzór Wielkopolski w r. 1806. Myśl ta, zaaprobowana przez Śniadeckiego i Davousta, spotkała się ze stanowczą odmową Napoleona, który żywił niechęć do wszelkich insurekcyjnych wysiłków, a tembardziej w Polsce, gdzie zdawały mu się przypominać anarchiczne pospolite ruszenia, kazał więc oświadczyć delegacyi młodzieży, że cesarz z przyjemnością widzi zapał młodzieży wileńskiej, wstępujących w ślady braci swoich poznańskich i warszawskich, lecz nie życzy sobie tworzenia osobnego korpusu, ani powstań oddzielnych, że Rząd świeżo ustanowiony z ludzi dojrzałych uwalnia młodzież od czuwania nad sprawą publiczną, że on o wszystkiem pomyśli, a gdy nowe pułki będą tworzone, tam też młodzież znajdzie pole do służenia Ojczyźnie. Odpowiedź ta,

jakkolwiek nieprzyjemna, nie ostudziła zapału młodzieży, spaczyła tylko kierunek jej działalności, jaki jej energii trafnie wskazywał instynkt narodowy. Młodzież akademicka bądź wstępowała do pułków Księstwa Warszawskiego, gdzie na polach bitew hojnie przelewała swą krew, bądź też wstępowała do świeżo formujących się pułków, 3 pułku lekkokonnego gwardyi litewskiej, pod dowództwem Konopki, bądź też do 18 pułku piechoty, którego formacyą trudnił się w Wilnie Aleksander Chodkiewicz. Czy tu, czy tam, na polach Borodina mało znaczyło kilkaset lanc młodzieży litewskiej, daleko owocniejszą byłaby działalność tej młodzieży tu w kraju przez poruszenie szerokich a biernych dotychczas warstw społeczeństwa litewskiego dla sprawy narodowej. Chłód i bierność tych ostatnich poczęła napawać obawą wielu dowódców francuskich, a nawet samego cesarza. Porównywał zapał, jaki ujawnił się w Wielkopolsce w r. 1806 i porównanie to wypadło nie na korzyść Wilna. W jego orszaku brakowało najwybitniejszych magnatów litewskich, którzy szukali polepszenia losu Ojczyzny w obozie Aleksandra, ci zaś, co stanęli przy nim, postępowali w znacznej mierze chwiejnie, czynili połowiczne wysiłki, oglądając się na Petersburg, ofiarność była nieznaczna, wojska cierpiały głód. Nie wchodził w to Napoleon, czy kraj istotnie był w stanie podołać wszelkim rekwizycyom, wymaganym od niego, przypisywał nieuskutecznienie ich złej woli obywatelstwa oraz knowaniom zdrajców, jak ich nazywał, Ogińskiego i Wawrzeckiego oraz innych. W każdym razie w usposobieniu jego względem Polaków zaszła pewna niekorzystna zmiana od czasu przybycia do Wilna. Był niezadowolony z działalności Konfederacyi Generalnej, jeszcze więcej z ambasadora swego w Warszawie, arcybiskupa mechlińskiego, którego niezdatność do tej misyi począł sobie obecnie uświadamiać. Konfederacya Generalna zamiast stać się wielkiem ogniskiem, ogarniającem swymi płomieniami kraj cały, wytwarzającem w prowincyach rosyjskich stan podobny do tego, w jakim znajdowała się armia francuska w Hiszpanii lub republikańska w Wandei — stan doprowadzający naród do rodzaju szału, „une sorte d'ivresse,“—zamiast tego Konfederacya była dość pospolitem widowiskiem scenicznem, granem przez nieszczególnych aktorów. Szczególniej zaś główny reżyser, któremu należało być ukrytą sprężyną całego ruchu, o wszystkiem wiedzieć, wszystkiem kierować i wszystko ożywiać—okazał się figurą zgoła niedorastającą do poruczonych sobie zadań; przeciwnie, był on szkodliwym hamulcem samodzielnej inicyatywy Konfederacyi nawet w sprawach najdrobniejszych, jak cenzurowanie

adresów i mów wygłaszanych przez przedstawicieli Konfederacyi. To też przybycie delegatów od Konfederacyi do Wilna z prośbą do Napoleona o wspieranie jej usiłowań wypadło pod niezbyt pomyślnemi wróżbami. Napoleon, niezadowolony z zalimitowania Sejmu przez Pradt'a, z działań Konfederacyi, oraz z ducha, panującego na Litwie, oświadczał, że ci Polacy z Litwy mało są podobni do swoich braci z Wielkopolski i wogóle był skłonny do pesymistycznego poglądu na sprawę polską. Ten pesymizm pogłębiały jeszcze troski, jakich doznawał Napoleon z powodu operacyj wojennych: właśnie Bagration wymykał się z misternie zastawionych nań sieci przez ks. Eckmühl i króla Westfalskiego. Trzy tygodnie upłynęło od rozpoczęcia kroków wojennych, a dotychczas nie odniósł cesarz żadnego decydującego zwycięstwa, trapiła go niepewność tej wojny, ogromne przestrzenie, o które rozbijały się najgenialniej pomyślane kombinacye, zły stan wojsk, które topniały skutkiem chorób i dezercyi, wreszcie brak żywności w tym kraju, który przyszedł oswobodzić.

Nie pozostało tu bez wpływu i rozdwojenie a wahanie, jakie cechują wszystkie kroki Napoleona w tej wojnie, rozpoczętej wbrew jego woli, której uniknąć lub zakończyć co rychlej pragnął całą duszą, a co do której łudził się jeszcze do tej chwili, że uda mu się rychło kres położyć. W takiem znajdując się usposobieniu, nie mógł wymówić tego jedynego słowa, jakiego domagała się od niego deputacya konfederacka, jakiego oczekiwała cała Polska. W odpowiedzi swojej na mowę Wybickiego i prośbę, aby wyrzekł, że Królestwo Polskie istnieje, Napoleon zaznaczył tylko trudność swego położenia, w którem wypadało mu godzić rozmaitość interesów i powinności swoich, a wreszcie radził polegać na własnych usiłowaniach, które, jeśli będą jednomyślne, Opatrzność uwieńczy sprawę powodzeniem. Odpowiedź ta, z punktu widzenia cesarza Francuzów słuszna, nie podobała się powszechnie w Koronie i na Litwie; wyczuto w niej wahanie się i niepewność Napoleona względem przyszłości Polski, niechęć do śmiałej inicyatywy, aczkolwiek stał na czele półmilionowej armii, mając za sobą cały naród polski, gotowy do wszelkich ofiar i wysiłków. Współcześni twierdzą, że odpowiedź ta przyczyniła się znacznie do oziębienia na Litwie sympatyj napoleońskich, pomimo entuzyastycznych zachwytów nad nią w dziennikach współczesnych i wyrycia tej odpowiedzi złotemi głoskami na marmurze, stosownie do uchwały Rady Generalnej Konfederacyi, powziętej 23 lipca. Nieco wcześniej dał mrożącą odpowiedź członkom Komisyi Rządowej, gdy ci bowiem, powołując się na dawny zwyczaj, w imię litewskiego

separatyzmu, prosili o mianowanie oddzielnych dla Litwy marszałka Konfederacyi i regimentarza, oświadczył: „Moi je serai le Regimentaire et le Prince Czartoryski votre Marechal.“

Nie przeszkodziło to jednak, że w parę dni później, 14 lipca, po udzielonem posłuchaniu delegowanym od Konfederacyi, odbyła się w Katedrze wileńskiej wspaniała uroczystość podpisania aktu Konfederacyi Generalnej. O godz. 11 rano w przedsionkach bazyliki zebrało się duchowieństwo, cechy miejskie i liczni mieszkańcy dla powitania władz ustanowionych, które w następującym posuwały się porządku: z pałacu do kościoła na czele kroczyła delegacya od Konfederacyi, w której powszechny zapał budziła sędziwa postać Wybickiego i Aleksandrowicza, przybranego w piękny strój polski, dalej szli członkowie Komisyi Rządowej, Administracyi wileńskiej, Akademii, podprefektura, mer z municypalnością, starszyzna Gwardyi Narodowej i wszystkie inne władze. W Katedrze uszykowano bataliony świeżo utworzonej Gwardyi Narodowej oraz gwardyi cesarskiej. Biskup Kossakowski, pontyfikalnie ubrany, celebrował mszę świętą. Po mszy, prezes Rządu Tymczasowego, Sierakowski, miał mowę, w której tłómaczył zebranym doniosłość aktu Konfederacyi Generalnej i wzywał wszystkich do podpisania akcesu do Konfederacyi. Po tej mowie, nawiasem mówiąc dość nieudolnej, sekretarz generalny, Kossakowski, odczytał akt Konfederacyi Generalnej, następnie akces do Konfederacyi, który wnet został pokryty mnóstwem podpisów. Mowę swoją Sierakowski zakończył okrzykiem: „Wiwat połączenie Litwy z Koroną!“ Okrzyk ten, powtórzony przez wszystkich zebranych, długo brzmiał po sklepieniach bazyliki zmieszał się wkrótce z tysiącznym okrzykiem: „Niech żyje Cesarz Napoleon Wielki!“

Chcąc uświetnić pamiątkę dnia tego, Komisya Rządowa postanowiła wyposażyć po 1,000 zł. dwie panny i wydać jedną Litwinkę za Polaka i naodwrót Polkę za Litwina; miało to być symbolem ponowionego zjednoczenia w tym dniu pamiętnym dwóch bratnich narodów. Szczęśliwym trafem znalazła się pierwsza para i zaraz ślubem połączona została.

Po tej ceremonii wszystkie władze udały się do ks. Bassano dla złożenia akcesu do Konfederacyi z prośbą o przedstawienie go Jego Cesarskiej Mości. Akces ten, zredagowany przez Tomasza Umiastowskiego, regenta dekretowego, brzmiał następująco: „My Komisya Rządu Tymczasowego w W. Ks. Litewskiem, Administracya Departamentu Wileńskiego, Duchowieństwo świeckie i zakonne obrządku łacińskiego, greko-unickiego i wszelkich in-

nych wyznań, Akademia, Władze sądowe, Marszałek, podprefekt z obywatelami ziemskimi, Prezydent z municypalnością, wszystkie korporacye i zgromadzenia miasta, cały zgoła zbiór mieszkańców Księstwa Litewskiego dziś w mieście Wilnie przytomnych, zebraliśmy się w kościele katedralnym w przytomności J.W. Senatorów i posłów od Sejmu i Konfederacyi warszawskiej delegowanych, gdzie wysłuchaliśmy aktu nam przeczytanego i tu wpisanego, zawierającego w sobie to cnotliwe przedsięwzięcie: aby rozerwane Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego kraje połączyły się na nowo w jedno polityczne ciało i wróciły do dawnej swej Ojczyzny, jej swobód i posiadłości. Łącząc wszystkie nasze żądze, usiłowania i sposoby do osiągnienia tak świętego i upragnionego celu w odzyskaniu Ojczyzny, w ustaleniu jej bytu, siły i pomyślności, przystępujemy do związku Konfederacyi warszawskiej i ten akt przystępu, jako braterskie i obywatelskie przymierze w przybytku i obliczu Boga, używając potężnej i litościwej Jego pomocy, własnemi rękami podpisujemy. Działo się to w Wilnie, w kościele katedralnym, dnia 14 lipca."

Pamiętny dzień ten w dziejach Wilna zakończył się wspaniałą iluminacyą, podczas której całe miasto tonęło w powodzi świateł. Teatr Narodowy dał gratisowe przedstawienie, grano ulubionych „Krakowiaków i Górali," w których występowali umyślnie na tę uroczystość przybyli artyści warszawscy, Kudlicz i Dmuszewski. Wreszcie Pac wyprawił w swoim pałacu wspaniały bal, który zgromadził całe nader świetne podówczas polsko-francuskie towarzystwo, gdzie wśród śmietanki towarzystwa wileńskiego widziano wszystkich prawie wojskowych i świeckich dygnitarzy francuskich. Bal ten został zaszczycony obecnością cesarza; obecni zauważyli troskę na jego obliczu, jakgdyby przeczuwał czekającą go w blizkiej przyszłości katastrofę.

We dwa dni po tej uroczystości z 15 na 16 lipca, o północy, opuścił Napoleon Wilno, udając się na wschód ku wojskom, oczekującym jego przybycia.

Janusz Iwaszkiewicz.

LATA UNIWERSYTECKIE MICKIEWICZA

(1815–1819).

II.

Rękopis „Kartofli“ dochował się w zeszycie papieru czerpanego, zielonkawego ze znakami wodnymi B. I. N. (18 × 21 cm.). Na okładce wypisane: *Nr. I*, z czego wnosićby można, że zeszyt należał do Archiwum Filomatów; widzimy na okładce rysunki piórem i atramentem. Pismo zdaje mi się ręki Józefa Jeżowskiego; pewności nie mam dlatego, że nie miałem dla porównania pism Filomatów, a tylko na podstawie wrażeń pamięci domyślam się pisma Jeżowskiego. Tekst cały wygląda na kopię poprawną z autografu Mickiewicza. Napis brzmi:

KARTOFLA

Poemko we czterech pieśniach.

Pieśń pierwsza.

Zapisanych w zeszycie stronic 22, ogółem zaś ma zeszyt kartek dwanaście. Przy ostatnim wierszu podana liczba 508, poczem napisane: *Koniec* i dopisane ręką Czeczota lub Jeżowskiego: *1819 r. Wilno.* W rękopisie widać ołówkiem podkreślone miejsca słabsze; są także poprawki ręką Czeczota.

Poemat zaczyna się pięknem wezwaniem przyrody ojczystej. Zanim po kilkunastu latach złoży jej hołd w wiekopomnym „Panu Tadeuszu,“ już tutaj wielbi ją klasycznym wierszem, pełnym szczerego zapału:

O, wy świata ziemskiego celniejsze okrasy,
Wy łąki i usiewy, i kwiatki, i lasy...

Osobny zwrot poświęca pochwałom roślin i wiejskiego życia wogóle:

Jak słodko wśród wiejskiego pędzę czas ukrycia,
Gdy wiosna wam [1]) powraca utracone życia,
Gdy się pączek wśród mroźnych okowów wyciśnie,
Napełni się, rozwiąże, młodym kwieciem błyśnie...

Mamy tu najwyraźniejsze echa wakacyj, spędzanych w Zaosiu rodzinnem, w małym świronku, z którego izdebki ciasnej roztaczał się widok na pola, łąki i czerniejące na skraju widnokręgu lasy:

Natenczas rzucam domek, gdzie mnie i mą lutnię
Więził mróz i wietrzyska rozhukane kłótnie.
W pola pobiegnę, wonie oddychać rzeźwiące...

I przed chciwym zieleni wzrokiem młodziana roztacza się czarujący obraz przyrody wiosennej, której opis zapowiada już przyszłego mistrza:

W gaiku najwdzięczniejsze będą mi siedliska:
Tam i strumień szemrzący przez kamyczki tryska,
Tam na posłanie miękkie jest zieloność darnia,[2])
Tam gałązka wdzięcznemi cieniami ogarnia.
Pośrodku liścia czułe gruchają gołębie,
Samczyk wygrywa piosnki miłośnicy ziembie.
Już wznoszą się nad krzakiem muszki; lekka rzesza
Wdzięcznie brzęcząc, powietrze skrzydełkami miesza...

Poeta w myśli przebiega rączo zmienne pory roku. Wyobraźnia jego młoda równie łatwo a wiernie odtwarza wrażenia późnej jesieni. Wiosenny krajobraz jakże inaczej przedstawi się w końcu roku:

Za cóż szybko przeminął tak miły nam czasek?
Wdzięki ledwie nabyte już utraca lasek.
Wilgotna mgła przesiąkła oddechy niezdrowe,
Zaczerniły się burzą [3]) sklepy lazurowe,
W lasach otrzęsła zżółkłe zawierucha liście...
Uciekajmy do domku, zawierajmy wniście!
Słyszycie, jak złe wiatry szarpią się u zrębów,
Kruszą paszczę, rwą posad staroświeckich dębów!

---

[1]) T. j. roślinom.
[2]) W rękopisie przez pomyłkę *tarnia*.
[3]) Nad tem napisane w rękopisie: *słotą*.

Po łąkach, kędy igrał Zefir i Fawoni,
Obdarty z warstw śnieżycy oćma oćmę goni...
Na gorach była niegdyś słodka trzodom pasza,
Dziś krzak głogu bodcami nagiemi przestrasza.
Skądże tak miłej przedtem ponurość krainy?

W rozmyślaniach dalszych przeszkadza poecie fakt na pozór zwykły i prozaiczny: oto zapach pieczonej na kominku kartofli. Izdebka poety-studenta zapełnia się miłym zapachem, a fantazya, podniecona opisem wiejskiego żywota, ożywia kartoflę pieczoną, która naraz na ogniu „rospęka się i ludzkim wyrazem zajęczy: „Jeść mnie nie zapomniałeś, zapomniałeś chwalić!“ Wzruszony tą niespodzianką poeta przyrzeka poprawę. Wzywa kartoflę, aby modliła się za nim i wyjednała natchnienie, a on już opisze, opowie, jak cudem znaleziona kartofla zapaliła spór w niebie.

Tak nagle wpadamy w nastrój heroikomicznego eposu, którego humorystycznym pretekstem miała być kartofla. Po tym wstępie przechodzi poeta do właściwej treści utworu. Opowiada, jak Kolumb z młodzieżą kastylską wyruszył na zabór mającego się odkryć świata. Okręt jego pruje fale Atlantyku, już jest na pozór blizki celu, gdy naraz grzęźnie i nie może ruszyć dalej. Sprawił to Neptun, który w przemowie do bożków objaśnia powody swego postępowania. Nagle piorun przerwał narady bogów podziemnych. To Jehowa zwołał niebian, aby wspólnie z nimi rozważyć zamiary Kolumba:

Zwołał więc w gmachy, lane z złotego obłoku,
Niebianów, których ziemia powierzona oku,
By oni plemion ziemnych losami zajęci,
Rozważyli Kolumba zamiary i chęci.

Aniołowie schodzą się na obrady. W pośrodku nich św. Michał z wagą. Św. Dominik oświadcza się za odkryciem Ameryki. Poeta w pięknych słowach maluje postać św. Dominika, jakkolwiek niechęć szkolna do jego zakonu i tu jeszcze przebija w zwrotach o świętym, którego „hasłem krzyże, tortury i wojna, co żywcem Albigensy wypalał kacerze.“

Przeciw odkryciu Ameryki oświadczają się św. Piotr i św. Stanisław Kostka. Św. Michał trzyma wagę. Na jedną jej szalę rzuca św. Dominik korzyści z odkrycia Ameryki: chrzest tylu dzikich, pozyskanie ich dla Kościoła, następnie złoto i srebro nieprzebrane tych nowych światów. Na drugą szalę pada krew ludzka, przelana przy zdobywaniu Ameryki i potoki łez; a zdaniem poety: „krew i łza ludzka droższe od złotej grabieży.“ Za-

biera głos „Anioł Rafał“ i przepowiada szczęśliwe po wiekach czasy, kiedy to Lud-król rządzić będzie pod hasłem równości i „z wolnej skry w Europie nowe wznieci ognie.“

Tymczasem szale, trzymane przez św. Michała, w zupełnej stoją równowadze: albowiem za odkryciem Ameryki przemawia tyleż argumentów, co przeciw odkryciu. Spór miał pozostać nierozstrzygniętym, gdy naraz św. Dominik wyjął z zanadrza... kartoflę.

Żadna z roślin ziemlance równej nie jest wagi.
Precz kukurudzy, prosa, maisy i sagi!

Następują obszerne pochwały kartofli i wyliczanie jej zalet, przyczem poeta nie pominie sposobności, aby dokuczyć swym nowogrodzkim monitorom; oto np. opis okrągłości kartofli:

Równych jej dokładnością kształtów świat nie nosi
Śród nieba na ognistej szybującym osi.
Puszczona w obieg dłonią Delambrową [1]) kreda
Kołowania tak cudnie stoczonego nieda.
Mnich, co się w murach ciemnej Hiszpanii [2]) lęgnie,
Zbliża się do tych kształtów, lecz ich nie dosięgnie.
I te najwyższe piętra ciał ludzkiej budowy
Nie taką mają krągłość dusz stolice—głowy.

Po wyliczeniu zalet kartofli, opowiada poeta, jak św. Dominik rozdusza kartoflę:

Rozciśniona prysnęła smacznej dymkiem woni
I obficie ze wnętrza białą sypkość roni.[3])

Rzucona przez św. Dominika na szalę kartofla przeważa i rozstrzyga sprawę: niebo oświadcza się za odkryciem Ameryki.

Gdy to się w niebie odgrywa, na morzu tymczasem biedni Hiszpanie, uwięzieni w nieruchomym okręcie Kolumba, mrą z głodu i strasznego upału. Z wściekłości i rozpaczy, widząc, że wódz nie dotrzymał obietnic, porywają Kolumba, przykuwają go do masztu i grożą mu śmiercią. Wtem na pokład okrętu sypie się miazga z kartofli, rozgniecionej w niebie przez św. Dominika.

[1]) Delambre (1749—1822), słynny astronom francuski.
[2]) Aluzya do zakonu św. Dominika, który pochodził z Hiszpanii.
[3]) Czeczot dodał do tego wiersza u dołu komentarz:

Z tego każdy się przekona,
Że musiała bydź pieczona.

Na taki widok Kolumb wypogadza czoło,
Rumieńcem krasi lica, pogląda wesoło.

Ten owoc zwiastuje mu bowiem blizkość lądu. Równocześnie zaś Neptun uledz musi woli Niebios, okręt zrywa się z uwięzi; wicher nadyma żagle, a wzruszeni żeglarze błagają przebaczenia Kolumba. Uradowany Kolumb oprawać każe kartoflę w złotą obrączkę i zawiesza ją na piersi!

A ziemlankę w złociste oprawiwszy kręgi,
Jak pamiątkę na piersiach uwiesił u wstęgi.

Na tych wierszach kończy się pieśń I „Kartofli.“ Co było, lub miało być w następnych pieśniach, nie wiemy. Wprawdzie Odyniec w „Listach z podróży“ [1]) wspomina, że „obraz natury kraju (Ameryki) i jego mieszkańców na wzór opisania raju u Miltona i nakoniec poznanie kartofli zamykały część heroiczną,“— ale pamięć zawiodła Odyńca w wielu szczegółach,[2]) dotyczących „Kartofli,“ tak, że całe jego streszczenie nie odpowiada wiernie dochowanemu tekstowi pieśni I-ej. Być może, że Mickiewicz pisał urywki dalszych pieśni, znane Odyńcowi, w których był i opis przyrody amerykańskiej, i uprawa kartofli, połączona z opisem obrazu wiejskiego życia na Litwie. W związku z tem byłyby owe wiersze rozpoczynające, wedle Odyńca, jakiś wyjątek z dalszych pieśni „Kartofli:“

O, ziemio nowogrodzka kraju mój rodzimy!
O Trembeckimi godzien uwielbienia rymy.

Jakkolwiekbądź, dochowana pieśń pierwsza daje nam już dobre wyobrażenie o tem, czemby mogło było być całe „poemko“ w czterech pieśniach. To samo źródło natchnienia wydało w roku 1819 „Kartoflę,“ a w r. 1833 „Pana Tadeusza“: głęboka miłość ziemi rodzinnej, młodzieńcza i wesoła w studencie wileńskim— namiętna, bo tęsknotą wieloletnią wzmożona wśród obcych, na paryskim bruku.

Na tle czasów filomatycznych „Kartofla“ doskonale się rysuje: żywioły komiczne miały rozweselić kolegów, zadowolić

[1]) Tom I (1875), str. 353-4.

[2]) I tak rzekomy podział poematu na *dwie części*: poważną i żartobliwą, gdy w „Kartofli“ ciągłe jest przeplatanie treści poważnej żartobliwą w jednej i tej samej pieśni. Inni święci działają w opowiadaniu Odyńca; niema szatana, którego on wprowadza i t. d.

liberalnego „Janka“ Czeczota, wyśmiać inwokacye niezbędne w eposie do Muzy—tu do kartofli, jęczącej od przypalenia na węglach—wykpić raz jeszcze dominikanów nowogrodzkich, po wolterowsku obejść się ze świętymi; ale obok Janka stał poważny Józef Jeżowski i dla niego trzeba było uderzyć w tony uroczystsze. Niebrak ich w „Kartofli.“ Bez należytego uzasadnienia, bez umotywowanego przejścia zjawiają się myśli poważne; wzrok poety od przyrody ojczystej, którą tu już z rzewnem umiłowaniem opiewa, wznosi się ku Stwórcy i daje obraz Boga, obraz zapowiadający już przyszły wzlot Konradowy:

Tymczasem, ów tworzący jedną mocą Słowa,
Ów, co niezna początku i końca Jehowa,
Którego czoło wzniosłe nad wieczności [1]) stropy,
A ćmy słońc, ziem i niebios krążą mu u stopy,
W nieobjętych wielkościach topiąc umysł boski—
Drobnostka świat burząca nie zajmie mu troski...

Archanioł Rafael ma już tutaj moc wieszczą i daje nam poznać historyozoficzne przekonania 20-letniego Mickiewicza:

Nie dość zważać, co było, zważmy, co się stanie:
Pięćset kręgów za słońcem nie obieży [2]) ziemia,
Patrzcie, jaka noc gruba Europę zaciemia!
Zewsząd płacz, narzekanie, jęk rozległ się głuchy:
Palą się krwawe stosy, brzękają łańcuchy.
Spędzona groźnym trzaskiem samowładców bicza
Rąbie się o ich krzywdę trzoda niewolnicza.
Patrzcie! zdala wędrowiec [3]) na tej przybił stronie;
Ze łzami przez nasute gruzem stąpa błonie.
Z pewnością mu rozwaga nieodgadnie pilna,
Kędy stały Paryże, Londyny i Wilna.
Wtenczas nad *światem nowym* swobód gwiazda błyśnie,
Cnota się i nauka [4]) pod jej promyk ciśnie,
Miasze więzy, despotów złamią się postrachy.
Złoty Kapitol wolne utkwi w niebie dachy.
Przed nim naród zdumionych ziemian na twarz padnie,
A *Lud-Król* berłem równym uległych zawładnie.
Do stóp twoich Tyrany staroświeckie pognie
I z wolnej skry w Europie nowe wznieci ognie.

[1]) W rękopisie: *najwyższe*, nad tem: *wieczności*.
[2]) W rękopisie: *wymierzy*, nad tem: *obieży*.
[3]) W rękopisie: wędrowieć. Ob. uwagę w „N. P.,“ str. XV.
[4]) Aluzya do filomatyzmu i filaretyzmu *in spe!*

Najniespodziewaniej, ten poemat heroi-komiczny z fantazyi żartobliwej przechodzi w nastrój poważny. Łamie się w nim i kruszy na zawsze wpływ Woltera, aby dać miejsce samodzielnym rzutom myśli, która już tutaj marzy o przyszłym wolnym świecie i konsekwentnie, chwaląc Lud-Króla, dojdzie po 30 latach do Trybuny Ludów. Co do pomysłu samego, to mamy w pieśni pierwszej „Kartofli“ wyraźne dowody, że młodociany poeta próbował samodzielnie sił własnych, od czasu do czasu posiłkując się zasobami obfitego już wtedy oczytania. Początek „Kartofli“ jest np. bardzo znamiennym objawem samodzielności: poeta odstępuje od szablonowego rozpoczynania eposu inwokacyą do Muzy, wyśmiewa tę manierę, wprowadzając kartoflę przemawiającą i odezwę swą do niej, by się za nim *modliła*. W osnowie opowiadania zbliża się najwięcej do Kamoensa. Poemat jego o odkryciu Indyj Wschodnich przetłómaczył nieudolnie lichym rymem Jacek Przybylski p. t. „Luzyada“ Kamoensa czyli odkrycie Indyj Wschodnich... w Krakowie, 1790.“ Mickiewicz mógł jeszcze w Nowogródku poznać treść epopei Kamoensa bądź z tego przekładu polskiego,[1]) bądź z francuskiego. Zwłaszcza punkt wyjścia pierwszej zaraz pieśni Kamoensa przypomina ogólną kanwę pierwszej pieśni „Kartofli.“ Przybylski taką podaje osnowę: „Bogowie na Olimpie radzą o losie Indyj Wschodnich. Bachus sprzeciwia się Portugalczykom; Wenera i Mars sprzyjają i t. d.“ Ale tyle też i podobieństwa między „Luzyadą“ a „Kartoflą.“ Kamoens ma klasyczny Olimp i naśladowanie klasycznych kłótni bogów; Mickiewicz Neptuna wprawdzie zatrzymuje jako władcę morskich odmętów, ale na Niebie króluje Jehowa ze świętymi chrześcijańskimi. Pomysł sporu w Niebie o odkrycie Ameryki mógł wyjść od Kamoensa, lecz artystyczne przeprowadzenie tego sporu dokonało się pod wpływem innego poety, mianowicie Woltera. Jego „Darczanka“ zawiera całkiem analogiczny obraz świętego Michała z wagą, na której się rozstrzygają losy ludzkie („La Pucelle,“ IV):

Du haut des Cieux les Anges de la guerre
Le fier Michel et l'exterminateur...
Avaient les yeux attachés sur la terre
Et regardaient ce combat plein d'horreur.

[1]) Za przekładem Przybylskiego przemawia fakt, że Mickiewicz nazywa tak samo, jak Przybylski, poemat, podając w „Wiadomości naukowej“ ze stycznia 1819 r. „Uwiadomienie o wydaniu *Luziady* w Paryżu“ i t. d. „N. P.,“ str. 133.

Michel alors prit les vastes balances,
Où dans le ciel on pèse les humains,
D'une main sure il pesa les Destins
Et les Héros d'Angleterre et de France.

Wolter zresztą zapożyczył obraz ten z Homera, jak sam to w przypisku do tego miejsca zaznacza. Mickiewicz, tłómacząc „Darczankę," przejął się nietylko tym pomysłem humorystycznym (a zarazem średniowiecznym) wagi przez świętych używanej, ale uległ ogólnemu nastrojowi szyderskiemu Woltera, który ośmieszał obrzędy religijne, zakonników i t. d. Podany wyżej ustęp o okrągłości kartofli jest właśnie ilustracyą takiego nastroju, który nie pominie żadnej sposobności, aby nawet ubocznie wydrwić Dominikana. „Kartofla" jest zresztą chronologicznie ostatnim utworem Mickiewicza, w którym wpływ Woltera się objawił; już on tu słabnie i niejako w szczątkowej formie się ukazuje. Jakoż sarkazm nie mógł się długo utrzymać w duszy młodocianej, rwącej się do życia i z zapałem odczuwającej wdzięki przyrody ojczystej. Wolteryanizm nie mógł długo popasać w atmosferze filomatycznej.

„Mieszko," „Kartofla," a obok nich „Żywila"—znana oddawna i dostatecznie oceniona pod każdym względem—oto główne objawy poetyckiej twórczości Mickiewicza z lat uniwersyteckich. Ale nie dają one jeszcze zupełnego wyobrażenia o rozwoju myśli jego twórczej w tych czasach. Były to bowiem lata rozrostu całej organizacyi duchowej poety. Dlatego nie łatwo zamknąć ją obrębem kilku studenckich pomysłów poetycznych. Zanosiło się przecie na wykwit geniusza narodowego, który czerpał soki żywotne z tajemnych głębin i obracał na swe dobro nawet pozorne drobiazgi życia. Na obchodach imieninowych filomatycznej drużyny powstają drobne wierszyki okolicznościowe, rodzą się pierwsze improwizacye Mickiewicza, notowane w pośpiechu (a zatem mimowoli niedokładnie) przez Czeczota.[1]) Przybył nam cenny materyał dla poznania pierwszych pomysłów fantazyi, rzuconych do Archiwum, ale podjętych nieraz po wielu latach i rozwiniętych z czasem po mistrzowsku. Dowiadujemy się z tych wierszyków o nowogrodzkich szkolnych czasach drużby z Jankiem i o pierwszych wzruszeniach serca, bijącego to dla Anieli jakiejś, to dla Joasi. Rojenia o miłości wyprzedzają na lat kilka prawdziwą miłość szalejącego z bólu Gustawa.

[1]) „N. P.," str. 165–188.

Jako student uniwersytecki kocha się on w Wilnie w jakiejś Anieli, wzajem od niej kochany. „Dawniej codzień zwykł bywać u niej," ale zaszły jakieś przeszkody: „od dawnego nie widział się czasu." Pora to egzaminów semestralnych; ale jak tu o nich myśleć, gdy w głowie „ból," a w sercu niepokój. „Przez cały dzień starał się zrobić kompozycyę (dla Borowskiego), ale prócz przepisania dawniejszej, nic poradzić nie mógł." Uwolniony od egzaminów dla silnego bólu głowy (który nie był „szkolną wymówką" i skończył się pęknięciem wrzodu), zakochany student idzie do dawno niewidzianej Anieli, aby wyznać jej jakieś nieprzezwyciężone przeszkody, jakiś wyjazd swój na rok cały i konieczne „męczarnie więcej jak całorocznego niewidzenia się." Cały opis rozmowy z Anielą jest niezrównany w naiwnem oddaniu niewinnych uczuć zakochanych dzieciaków:

„Zaklinałem, ażeby albo zapomniała o mnie, albo była nadal stałą i nie przymuszała uporem swoim, ażebym wszystko na niepewność odważał. Uraziła się mocno za ten wyraz „niepewność." Zacząłem płakać, całować jej ręce, upewniać, że mnie to kosztuje więcej, niżeli ją samą, że gotów jestem wszystko poświęcić, ale nie poświęcę nierozwadze losu i szczęścia jej samej. Odpowiedziała, że mnie nie rozumie, zaczęła równie płacząc mówić: że gdybym ją kochał, ile jestem kochany, niepowiedziałbym, że to może być dla niej nieszczęściem. Przydałem znowu, że może żałować tego później. Odpowiedziała, że niema czem przeprzeć mojej niewierności (niedowiarstwa). Przydała, że zgodzi się na wszystko, ale nie wie, czy ja, kochając ją, zezwoliłbym wystawić na męczarnie więcej, jak całorocznego niewidzenia się. Mówiła jeszcze, że poszłaby za mną, porzuciwszy wszystko, gdyby tego potrzeba było, albo gdybym tylko chciał tego. Przekonała się nakoniec cokolwiek, że ja rozważniej mówiłem; przyrzekła znosić cierpliwie rozłączenie się... Uradziliśmy więc uwiadomić o tem matkę (Anieli), jakiekolwiek byłoby jej w tem zdanie. Płakaliśmy długo oboje; odszedłem w okropnym stanie. Noc całą nie pomyślałem o śnie..." [1])

Jakież to wszystko prawdziwe i jak życie kształci tu przyszłego mistrza w opisywaniu wzruszeń serdecznych. Miłość dla Anieli skończyła się rychło i smutno. Szczegółów nie znamy. Z listu drugiego do Czeczota, jedynego w tej sprawie powiernika, dowiadujemy się tylko, że Mickiewicz nie mógł mu „dokładnie

[1]) „N. P.," str. 209.

opisać najnieszczęśliwszego zakończenia swych nadziei.“ Całe to przejście miłosne nazywa poeta-student „tragiczną akcyą,“ która przyczyniła się „do pęknięcia wrzodu w głowie.“ [1]) Bez ukochanej i bez Janka Wilno mu obrzydło. Jakiś zamierzony wyjazd do Żytomierza nie doszedł wtedy do skutku, a przygnębiony kochanek, Adam Napoleon, każe przyjacielowi pisać do Nowogródka.

Do biografii poety drobny ten epizod dorzuca niewiele, ale harmonizuje on doskonale z nastrojem lat uniwersyteckich. Serce w tych latach zaznaje pierwszych silniejszych wzruszeń miłosnych i przestrzega przed niemi przyjaciela: „Nie myśl, że mając powolniejszy temperament i więcej rozwagi, wolny jesteś od miłości. Prędzej, czy później, doświadczysz, co ona jest...“ A zarazem nie znosi zimnego sądu o miłości: „W przyszłym twoim liście nie pisz nic z ironią i nie łaj mojej Anieli. Ach, gdybyś ją znał, nigdybyś nie napisał tego.“ Mickiewicz jednemu tylko Czeczotowi zwierzył się ze swego uczucia; inni Filomaci nic o niem nie wiedzieli, gdyż „Janko“ dotrzymał sekretu i zaznaczy to z naciskiem w jednym z późniejszych listów. Trzeba było wyjątkowych okoliczności, aby poeta wynurzył przyjaciołom swe miłosne uczucia. Taką okolicznością były imieniny Mickiewicza, obchodzone solennie przez Filomatów w końcu grudnia 1818 roku w mieszkaniu Onufrego Pietraszkiewicza. Po kilku weselszych wierszykach, improwizowanych w podzięce przyjaciołom za miłą niespodziankę, gdy wszyscy Filomaci już się rozeszli prócz Czeczota i gospodarza, Mickiewicz, „rozczulony miłem przypomnieniem, zaczął tkliwie śpiewać“ na cześć kochanki, której „czasy trzyletnie z pamięci jego nie wygładziły.“ Trzyletnie, a zatem sięgające jeszcze nowogrodzkich czasów, sielskich, anielskich, kiedy-to w okolicy Zaosia, w zaścianku szlacheckim, poznał „samo życie i radość,“ śliczną Joasię o świeżych ustach i białych zębach. Po wielu, wielu latach przypomni się jeszcze poecie to wcielenie życia i radości: „Pamiętam, gdy kładła zauszniki i ubierała się, wychodząc na pole... Znalazłem ją raz w polu, siedzącą na snopie z gitarą i śpiewającą silnym, czystym głosem: „Powracajcie mi rycerze.“ Była to jedna z tych szlachcianeczek, o których poeta nie zapomni w „Panu Tadeuszu“ i zaznaczy, że strój ich różnił się „od chłopskich katanek,“ że „żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.“ Jedną z takich była i Joasia, która podczas stu-

[1]) Tamże, str. 211.

dyów uniwersyteckich Mickiewicza wyszła za mąż. Na jej-to cześć „śpiewał tkliwie“ student-filomata w końcu 1818 roku:

Luba! Ty przez łąki, ty przez gaje:
„*Gdzie mój miły, gdzie mój miły...*“
Śpiewasz... Przez łąki, przez gaje
Smutny się twój głos rozdaje,
Przez gaje i przez strumyki,
Gdzie naszej miłości pomniki.
Tam się twój głos smutny rozdaje.
Wspomnieć ciebie jakże mile,
Dziś, gdym smutny zawsze prawie.
Jakże słodkie były chwile,
Którem spędził w Twej zabawie!
Ściskałaś mię na Twem łonie,
A Twoje bieluchne rączki
Przypinały róży pączki,
Przypinały na me skronie...
Serce równym ogniem płonie,
Lecz Ty daleka na zawsze!...
Może kiedyś nieba łaskawsze
Pozwolą mi ujrzeć błonie,
Gdzie Twoje bieluchne rączki
Przypinały róży pączki
Na me skronie...

Ale było to wyjątkowe w tych czasach rozrzewnienie.

Filomaci nie dawali mu czasu na rozpamiętywanie chwil błogich, nowogrodzkich. Wystarczy przeczytać wiersze imieninowe, owe „rapsodye,“ *Dialogus Musarum* i *Jamby powszechne*,[1]) aby przekonać się, że na zebraniach koleżeńskich przeważał nastrój pogodny, swawolny, często ironiczny. Jak oni się kochali, a jak sobie dokuczać umieli! Nie darmo: kto się lubi, ten się czubi! Cóż to za charakterystyki zamaszyste, pochwytujące żywcem mowę, gesta, ruchy, całą postać brata-filomata:

Wynijdź i staw szeroko, jako zwykłeś, gnaty...
A dopieroż miedzianych słów buchaj brzemiona!
Łeb *sfastryguj*, twarz trocha niech będzie skoszona,[2])
A *palec wielki*, mowy trzymając się toru,
Niech coraz argumentom dodaje wigoru.

[1]) „N. P.“ str. 171—194.
[2]) Na ukos.

Dodajmy „piersi wypięte“ i kark „duhowaty“[1]) *vel* „tablicowaty“—a stanie żywy przed nami Pan Onufry!

Albo „adwokacka figura,“ mały, krągły, „krótki“ Czeczot, który pod okiem muzy filomatycznej „pasł się, zaokrąglał, wzrastał,“ amator snu pod pierzyną, o ile po zaułkach na ulicy nie moknie, ten młodzian, którego „wrzask groźny“ przydałby się doskonale woźnemu przy sądach! Potrafi on przez dwa lata kochać się „przez okno,“ a równocześnie „w spódnicy każdej widzi: g a i k!“ Albo może kto woli Malewskiego, co „jak rzemieniem wytrącona cyga,[2]) prosto leci, a leci—i dryga, a dryga! Jak hlaczek[3]) polewany, r ą c z k i w p a r ł s z y w b o k i, okiem patrząc na dachy, n o s e m n a o b ł o k i...“

Filomaci oczywiście odwzajemniali się Mickiewiczowi: wyśmiewali go, że nogami zakreśla po bruku jakieś „cykloidy,“ przezywali go: „Ten rak, ten chrząszcz, ten pająk, ten sztych kropkowany“; ale kochali go bardzo, a tem serdeczniej, im bliżej było do smutnego rozstania przed jego nauczycielstwem w Kownie. Boć ostatecznie on był duszą ich duszy i bez niego nie było zabawy, jak nie było porządnej pracy.

Któż inny potrafił solenizanta uczcić tak wybornie do osoby zastosowanym wierszem? Kto przeniknął tak nawskroś duszę i wartość przyjaciela? W tych okolicznościowych wierszykach już widać poetę, rozmiłowanego w typach znikających byłej Rzeczypospolitej. Już tutaj zapowiada się „dawna Polska, pokazana, że tak powiem, z szarego końca i w t a r a t a t c e folwarcznej, zaściankowej,“ której w „Panu Tadeuszu“ niedocenił Witwicki, najniesłuszniej zarzucając Mickiewiczowi, że się „wprowadził w towarzystwo Rózeczek, Brzytewek i Konewek,“ w jakąś „niewłaściwą sobie kompanią“[4])—gdy przeciwnie, była to ulubiona, całkiem domowa kompania Mikołaja Mickiewicza i w Zaosiu i w całem nowogródzkiem!

Jakież-to czasy uśmiechają się autorowi „Kartofli“ i nęcą mu duszę w kraj pamięci? Egzaminy filologiczne jeszcze z karku nie zepchnięte, a tu pora uczcić imieniny Pietraszkiewicza! Więc pisze Mickiewicz w maju 1819 roku wiersz,[5]) przesiąkły

[1]) Od wyrazu *duha*, kabłąk do zaprzęgu jednokonnego.

[2]) Bąk. „Tak skaczesz, jak cyga, wściągniona rzemykiem“ (Linde).

[3]) *Hlak*, nazwa białoruska garnka pękatego o podwójnem uchu.

[4]) „Wieczory Pielgrzyma,“ I. str. 21—22 (1866).

[5]) „N. P.“ 171—173.

erudycyą klasyczną, pachnący zrazu mistrzem Grodkiem: jest tam i Bacchus, i „tyrs bluszczogałęzi," i „dnia czoło ogniowłose", i cały aparat klasyczny, humorystycznie traktowany. Aż nagle pęka maska antyku i z poza niej żywa, młodzieńcza, polska twarz uśmiechem nas wita:

. . . . . .
Onufry! *cały Polaku*,
Znam, jaki ci tan do smaku!
Szabelkę bosą pochwycę,
Chwycę i *czapeczkę z Baru*,
Bekieszę, strojną w petlice
Dwukamiennego ciężaru.
Dłoń wparta u krągłych boków,
Złotem kapiący pas suty—
Darń zadrży od ważkich skoków,—
Wykoszę żółtemi buty!
Tu wąs doda zgrozy minie,
Wzrokiem będę strzygł z ukosa—
Z wiatrem igra na łysinie
Czuprynka dwunastowłosa!
Bogdaj w piekle stracił duszę,
Kto pierwszy ubiory szlachty,
Taratatki i kontusze
Na podcięte zmienił płachty!
Lecz tych Onufry nie zmieni,
Obce wzgardzający pęta,
Za to go przyjaciel ceni
I hucznie obchodzi święta...

Lekceważyć tych piosnek nie można. Pomimo całej ich, bardzo nieraz rubasznej, a nawet przesadnie zaniedbanej formy, wyobraźnia toruje tu sobie drogę samodzielną, wykwita pomysłem przedwczesnym, napozór zmarnowanym, ale tak żywiołowym, że odnajdziemy go po latach wielu, jako typowe znamię lat filomatycznych. Oto np. na imieninach Czeczota, obchodzonych 24 czerwca 1819 roku na wsi w najpiękniejszej porze, „na murawie," po wierszach Pietraszkiewicza i Zana, zabrał głos Mickiewicz: Apollo z Muzami ma go niebawem nawiedzić. Poeta pragnie „na pegazim stąd ulecieć puchu i zaczerpnąć wieszczego powietrza.

Teraz mnie pójcie bracia i teraz utuczcie!
Kto wie, czy nazad spadnę? czy będę na uczcie?

Już zdaje mu się, że się wzniósł w powietrze, że z góry już spogląda na ziemię:

Patrzaj! patrzaj! w gawronią wybrałem się drogę,
Drobnych was ledwie z góry wzrokiem schwycić mogę.
Już miejskie gmachy, kryciem miedzianym osute
Zdają się być na Zańskiej tabakierce kłute,
Świecą się rzeki, wioski i lasów urywki...

Za lat kilka w celi bazyliańskiej, otoczony przyjaciółmi, inny wzlot rozpocznie Konrad, innemi uczuciami wzniesiony, ale co do samego pomysłu analogiczny to wzlot:

Wznoszę się, lecę, tam na szczyt opoki...
Już widno, jasno, *z góry na ludy spozieram*...
Patrz, patrz! przyszłe wypadki i następne lata,
Jak *drobne ptaki*, gdy orła postrzegą...
Patrz! jak do ziemi przypadają, biegą...

Wzlot stokroć wspanialszy, niż ów z murawy swobodnej w 1819 roku, ale do takiego Konradowego lotu, tam on, na murawie filomatycznej w szczęśliwych warunkach, czerpał siły orle.

*

* *

Takie były zabawy, spory w one lata przyjaźni niezrównanej i pracy twórczej. Obchody imieninowe bywały wyjątkowem wytchnieniem, pożądanem po miesiącach usilnej, zawodowej pracy; dawały pole swobodnej, wzajemnej krytyce wad ludzkich, młodzieńczem okiem bystro dostrzeganych i po ludzku karconych. Natomiast posiedzenia naukowe Filomatów, regularnie i pilnie odbywane, były właściwem polem zasługi koleżeńskiej: tutaj wzajemna krytyka, wspólna ocena własnych płodów umysłowych wydobywała na jaw siły indywidualne, kształciła je i polerowała, zaprawiała do analizy sumiennej. Mickiewicz doskonałym był przewodnikiem w tej pracy analityczno-krytycznej; widocznie długo się nad jej wartością zastanawiał, skoro znakomicie określił Filomatom znaczenie takiej k o l e ż e ń s k i e j, wzajemnej oceny: oto początkujący, niedoświadczony, młodociany autor „dla entuzyazmu i prędkości,“ t. j. w zapale, pośpiesznie tworząc, „nie widzi błę-

dów, które jego kolega, mniej nawet w sądzeniu biegły, dostrzedz może...“ „Kto się jeszcze uczy sądzić, zawsze ma na pogotowiu przyczyny, któremi sąd swój popiera, i stąd uczenie się kolegów, albo nam równych, albo bardzo niewiele nas wiadomościami przechodzących, daleko jest pożyteczniejsze, aniżeli wielkich mistrzów nauka.“ Dlaczego? Bo tam „każdy słyszy zarzuty, nie przechodzące sfery jego pojęcia, gotuje odpowiedzi, na które zdobyć się jest w stanie.“ W takiem koleżeńskiem gronie umysł, nie zagłuszony przewagą starszych wiekiem, swobodnie ocenia drugich wywody: „Takim sposobem orzeźwiamy, wzmacniamy, podnosimy władzę myślenia, uczymy się mieć zdanie własne...“ [1])

Jak to wyglądało w praktyce, widać z kilku rozbiorów literackich, które odczytał Mickiewicz na posiedzeniach Towarzystwa Filomatycznego. Recenzye jego i „uwagi“ są bardzo charakterystyczne i można tylko żałować, że nie dochowało się ich więcej. W tych kilku recenzyach [2]) zwraca Mickiewicz przedewszystkiem uwagę na styl i język ocenianych utworów filomatycznych, a to, co przyszły mistrz mowy naszej zaleca przyjaciołom, nie może oczywiście i nam dziś być obojętnem. Co wytknie innym, tego będzie sam unikał; co zaleci, zechce sam urzeczywistnić; tak zatem, ubocznie, z uwag dwudziestoletniego Mickiewicza, możemy mieć wyobrażenie o tem, co on sam uważał za ideał języka i stylu. Niejedno wyda się nam dzisiaj zbyteczne, jako samo przez się zrozumiałe; ale pamiętajmy, że to pisane w latach 1817—1819 z powodu wierszyków Pietraszkiewicza i Czeczota, bardzo nieraz słabych. Widzieliśmy już, że w owych latach Mickiewicz był sam pod urokiem stylu i języka Trembeckiego. Jakoż zaleca on przyjaciołom, aby używali w poezyi zwrotów wyraźnych, przypominających wrażenia zmysłowe, gdyż „nawet w traktowaniu dydaktycznem, gdzie się mogą wykładać prawdy filozofii naturalnej, język powinien być, ile możności, zmysłowym.“

Trzeba bowiem pamiętać, że „pierwszą poety powinnością jest rzecz zmysłowie malować, nie zapuszczając się w rozumowania naukowe.“ Nie znaczy to jednak, aby wyrażenie miało być „zbytnio fizycznem,“ gdyż może być wtedy „ciemnem.“ Jak można pogodzić ową „zmysłowość“ języka z poetycznością, tego uczą

---

[1]) Mowa na posiedzeniu Wydziału I z dn. 29 września 1818 r., ob. „N. P.“ str. 90—91.

[2]) „N. P.“ str. 107- 118, 135—140, 142—149.

przykłady z Trembeckiego, a — co ciekawsza — „w Lukrecyuszu mnogie tego można znaleźć przykłady.“ Ale najpiękniejszych nawet myśli i obrazów nie należy powtarzać, gdyż „powtarzane tracą zwykle na mocy.“

Jak rozumnie i bystro ocenia Mickiewicz usterki językowe, widać to z przytaczanych przezeń przykładów:

„Może się światło odchmurzy. Światło nie może się zachmurzać, a o wyrazie odchmurzać nigdy nie słyszałem. Czas, gdy się w gromy uzbroi — czasu dotąd nikt w gromy nie uzbrajał, gdyż grom oznacza nagłe zniszczenie, przeciwnie, czas powoli trawi. Prócz tego na zamienienie szczątków w pył nie potrzeba gromu.“

Mickiewicz ma niesłychane poczucie pierwotnego pochodzenia i jakby siły wrodzonej wyrazu jakiegoś i na licznych przykładach możnaby dowieść, jakiej mocy dodaje jego stylowi to właśnie poczucie. [1])

Poeta ma dobrze władać narzędziem cudownem, jakiem jest język, ale powinien też dobrze rozumieć, że liryk innymi ma rozporządzać środkami, niż epik. Zalety poezyi opisowej stają się wadami w poezyi lirycznej. Gdzie uniesienie poetyczne ma panować, tam nie pora na drobiazgi. Wierszyk Czeczota do kochanki ma za mało uczucia. „Idzie albowiem w tym rodzaju poezyi więcej o uczucie, niż o imaginacyę: a stąd dokładne przedmiotów wydanie i rozmaite ze wszystkich stron ich obejrzenie, w inszych rodzajach poezyi, zwłaszcza opisowej, zalety godne; od liryka zaniedbane bywają. Wszelkie albowiem mocne nad rzeczą zastanowienie się ostudza zapał, a czasem do drobnostek prowadzi... Liryk nie odzywa się do Amorków i Uśmiechów, ale gwałtowne uczucia albo wspaniałe i wielkie obrazy maluje. Wolno mu nakształt orła ulatywać w chmury, rzucać się nagle w ciemną puszczę, albo pomiędzy dzikie skały..., ale za motylkami i kwiatkami uganiać się nie przystoi...“

Jeśli się wreszcie spytamy, jak się zapatrywał młodociany krytyk-poeta na stosunek krytyki do poezyi, to i na tę zasadniczą kwestyę dadzą nam filomatyczne jego prace odpowiedź. To, co my dziś uważamy za niezbędny warunek sprawiedliwej oceny utworu poetycznego: przejęcie się tym utworem nawskroś i „przeżycie“ go niejako nanowo—ten postulat doskonale był już znany

[1]) Rozbiór języka i stylu młodocianych utworów Mickiewicza odkładam do osobnego studyum.

Mickiewiczowi i przezeń stosowany. Ale równocześnie zdawał sobie 20-letni poeta jasno sprawę z tego, co dziś często bywa ignorowanem, że krytyk, najgenialniejszy nawet, nie może mieć identycznego natchnienia i nastroju chwili twórczej samego poety, a co zatem idzie: krytyk nietylko może, ale musi widzieć utwór poetyczny inaczej, niż twórca. „Krytyk, rozważający piękności, choćby miał wyobrażenie i uczucie najwyższe, nigdy ich dotyla, ile sam twórca, nie uczuje, a stąd nie tak łatwo błędy się przed nim kryją... Przejęcie się mocne duchem pisarza ukrywa przed krytykiem wiele uchybień; ale zimność i nieczułość krytyka staje się matką pochwał, albo nagan przesadzonych i niesłusznych.“

Wykazuje następnie Mickiewicz, że chociaż krytycy talentem zwykle nie dorównywają twórcom, to przecież twórcom krytyka jest potrzebną: ułatwia im bowiem „nieskończenie drogę, którą ku doskonałości dążą...“ Chodzi tylko o to, aby krytyk dobrze pojął swe zadanie: „Kto pragnie w ćwiczeniu się takowem własne znaleźć udoskonalenie, nie powinien tylko przestać na szukaniu omyłek dzieła, ale ma wyczytać z niego duszę autora, poznać, ile można, ideał, podług którego dzieło było utworzone, i wtenczas sądzić, czyli wydanie takowego ideału jest wierne, t. j. doskonałe.“

O ideale zaś samym mówi Mickiewicz, że musi być „doskonale jednym“: „poezya każda musi mieć jedność,“ myśli w tej poezyi mają być częściami „jednego gmachu,“ które-to części mądry budowniczy naprzód sobie wykreślił.

Jakże tu znać ducha porządku, karności i ładu, który wznosił cierpliwie latami budowę tajnego gmachu filomatycznego! Jeden i ten sam ideał przyświecał życiu i poezyi. Ale też rozdziału między życiem Filomatów a poezyą nie było: czyn filomatyczny był sam w sobie poezyą i był „doskonale jednym,“ albo raczej dążył wytrwale do tego, aby stać się, przy całej rozmaitości rozkwitających nowych związków pochodnych („Związek Przyjaciół,“ „Związek Naukowy,“ „Związek Naturalistów Krajowych,“ „Związek Promienistych“ i t. d.), przecież w zasadzie „doskonale jednym,“ bo z jednego pnia idącym.

Lata uniwersyteckie Mickiewicza były fundamentami, zakładanymi głęboko, sięgającymi opoki macierzystej; stały się niewzruszonemi podstawami budowy całego późniejszego życia.

Józef Kallenbach.

MŁODZIEŻ LITEWSKA I DEKABRYŚCI.[1]

I.

Trwożne i niespokojne były na Litwie święta Bożego Narodzenia 1825 roku. W połowie grudnia wiedziano już powszechnie o nastąpionej w Taganrogu przedwczesnej śmierci Aleksandra I-go. Wiadomość ta szła szybką, niepokojącą falą po kraju, przychodziła raptownie, nieoczekiwanie; interesowała wszystkich, a w umysłach ludzi czujnych na sprawy publiczne budziła troskę ciężką, spowitą w mgły niepewności i obaw. Usprawiedliwiony był stan takiego niepokoju w chwili odmiany zaszłej na tronie, zwłaszcza wobec faktu proklamowania monarchą Wszech-Rosyi Cesarzewicza Konstantego, Litwie znanego aż nazbyt dobrze z ostatnich procesów politycznych. Czego się miano spodziewać? Czy nowych zawodów, czy jaśniejszej dla kraju doli?

Ostatnie lata rządów zmarłego cesarza niejedno rozwiały złudzenie co do intencyi Aleksandra względem Polski wogóle, prowincyj litewskich w szczególności. Przestano już wierzyć w możliwość zrealizowania ogłaszanych niegdyś uroczyście zapewnień. Reakcya stająca się systemem, sankcyonowana przez monarchę, docierała do rdzenia odrębności prawno-politycznej Królestwa, a nawet godziła wprost w istność samą narodu polskiego.

---

[1]) Ważniejsze źródła rękopiśmienne: Akta komisyj śledczych w Wilnie z 1823 — 1827 r. Akta wileńskiej policyi miejskiej z 1824 — 1830 r. Rękopisy Biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie № 3761 i 3762, częściowo ogłoszone przez Zygmunta Wasilewskiego w „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“ t. IX. Kraków, 1897.

Litwa, oddawna, jeszcze w podziałowych planach Katarzyny, wyznaczona jako niezaprzeczone dziedzictwo korony rosyjskiej, i z tego spaczonego historycznie a wykoszlawionego prawnie pojęcia wprowadzona aż do późniejszej „iskonnej“ koncepcyi murawiewowskiej — przeżywała od lat kilku ciężki kryzys wewnętrzny, polegający na systematycznej likwidacyi poprzednich zarządzeń liberalnych w zakresie najważniejszych spraw życia publicznego.

W roku 1824, po raz pierwszy w dokumencie, umocnionym podpisem monarszym, uznano narodowość polską za „nierozsądną,“ po raz pierwszy od czasów Katarzyny w sposób jawny i dobitny zapowiedziano walkę w szkole z przywiązaniem do tej narodowości i miłością do „zgasłej niepowrotnie ojczyzny.“ Uniwersytet wileński owładnięty został przez ludzi obcych, wprost wrogich nieraz społeczeństwu polskiemu i jego rozwojowi. Godnym zaznaczenia jest projekt powierzenia kierownictwa wszechnicy batorowskiej dymisyonowanemu generałowi rosyjskiemu, Kachowskiemu; ostatecznie, jak wiadomo, władza naczelna spoczęła w brudnych rękach Nowosilcowa, Bajkowa, Pelikana. Wydalono z Wilna najlepszych z pośród młodzieży, usunięto profesorów, szerzących „wiedzę szkodliwą,“ sięgano do „źródeł złego,“ które następca Czartoryskiego na kuratoryi wileńskiej czujnie dopatrzył w gramatyce Kopczyńskiego i wykładach prawa przyrodzonego. Mianowanie Nowosilcowa kuratorem było stwierdzeniem bezwzględnego kursu rusyfikacyjnego w dziedzinie szkolnictwa — przyznają to nawet historycy rosyjscy. Od 1824—25 roku szkolnego zwiększono znacznie liczbę wykładowych godzin języka państwowego; w szkołach na przedmiot ten poświęcono od 14 do 16 godzin tygodniowo, lekcye historyi powszechnej również odbywały się po rosyjsku i przeważnie udzielane były przez rdzennych Rosyan, wyznania greckiego. Wyrazem samodzielnej akcyi, wszczętej przez Nowosilcowa, jest fakt poczynienia przez niego dowolnych zmian w systemie edukacyi na własną rękę, bez uprzedniego porozumienia się z ministeryum oświaty.

Do najwalniejszych czynów kuratora w zakresie szkolnictwa zaliczyć niewątpliwie należy wprowadzenie ostrego dozoru szkolnego na modłę policyjną, uprawnienie niejako szpiegostwa i denuncyacyi, jako środków wychowawczych, sprzęgnięcie policyi szkolnej z ogólną. Zarządzeniami temi Nowosilcow dał dowód, iż godnie odpowie powierzonemu sobie zadaniu, które, wedle szczerego wyznania rektora Pelikana (w odezwie do dyrektorów szkół z 31 stycznia st. st. 1825 r.) „właściwie“ polegało tylko na „usunięciu nieporządków ujawnionych w okręgu.“

Znaczenie uniwersytetu wileńskiego, jako centralnego ogniska oświaty, podcięto przez oderwanie w r. 1824 dwóch gubernij białoruskich: mohylewskiej i witebskiej od okręgu naukowego wileńskiego; zarządzenie powyższe zapadło wskutek starań generał-gubernatora białoruskiego ks. Chowańskiego, który w specyalnym memoryale wystawiał niebezpieczeństwo polonizacyi Białorusi przez szkołę zależną od wszechnicy wileńskiej. Zdanie ks. Chowańskiego przeważyło w Petersburgu, pomimo nieprzychylnej dla niego opinii Pelikana, Nowosilcowa, a nawet samego ministra oświaty, reakcyjnego Szyszkowa. Ponad wszelkie wpływy górowała obecnie najwstecznicjsza, zaciekła w nieubłaganej walce z najmniejszym objawem myśli wolnej, reakcya wyznaniowo-polityczna, reprezentowana przez arcybiskupa petersburskiego, Serafima, archimandrytę Focyusza, wszechwładnego wreszcie Arakczejewa. W ręku tych ludzi spoczęły również teraz kierownicze nici polityki rosyjskiej względem narodu polskiego.

Zmianom w dziedzinie szkolnictwa na Litwie towarzyszyły szerokie zarządzenia w zakresie innych działów życia publicznego. Przez rozporządzenie ministeryalne z 22 stycznia st. st. 1825 r. zaprowadzoną została obostrzona cenzura dla pism i książek na wzór istniejącej od paru lat w Królestwie; stosowne przepisy opracował na żądanie W. Ks. Konstantego niezastąpiony Nowosilcow, którego memoryał wszedł z małemi zmianami do postanowienia ministeryalnego o cenzurze na Litwie. [1])

W zakresie stosunków kościelnych również daje się zauważyć z roku na rok wzrastająca, coraz zaciętsza dążność reakcyjna. O ile Kościół katolicki nie ulegał teraz poważniejszym ograniczeniom, o tyle w sprawach unickich tendencya ku nawrotowi do eksterminacyjnej polityki Katarzyny II staje się coraz wyraźniejszą. Konflikt, jaki się ujawnił w Kościele unickim pomiędzy duchowieństwem świeckiem a zakonnem (Bazylianami), wyzyskano w Synodzie petersburskim z wielką skwapliwością i zręcznością niepowszednią dla podważenia Unii i ostatecznego niezadługo jej pognębienia.

---

[1]) Wasyl Siergiejewicz Łanskoj, zarządzający podówczas ministeryum spraw wewnętrznych, znany Polsce z czasów Księstwa Warszawskiego, zwrócił się 12 września 1824 r. do W. Ks. Konstantego po informacye, dotyczące zaprowadzenia cenzury w Królestwie; W. Książe odwołał się do Nowosilcowa, który ciekawe swoje wywody zakomunikował w obszernych raportach z dn. 18 i 21 grudnia do Łanskoja i W. Księcia.

Jeśli przedstawione na tem miejscu w sposób jaknajzwięźlejszy zarządzenia nader dotkliwie odczuwane były przez społeczeństwo, to tem boleśniejsze, tem cięższe było zniweczenie wszelkich szerszych planów politycznych. Nie możemy tu wchodzić w rozważanie zawiłej, dającej pole do rozległej dyskusyi, sprawy projektów połączenia Litwy z Królestwem. Wypadnie zaznaczyć, że plany takie, wypływające z natury samego pojęcia narodu polskiego, jako całości niepodzielnej, wysuwały się i musiały wysuwać na czoło wszelkich więcej lub mniej jawnych dążności i działań restytucyjnych doby porozbiorowej. Znalazły wyraz zarówno w przedsięwzięciach spiskowych, poczynając od powstania Kościuszki i konspiracyi wileńskiej z 1797 r., jakoteż w głośnych i jawnych wystąpieniach delegatów litewskich w Tylży w 1807 r., wreszcie przy okazyi, złamanej wprawdzie w zarodku, świadczącej jednak o wysokiem poczuciu obywatelskiem, akcyi za zniesieniem poddaństwa włościan, na sejmikach szlacheckich z 1818—19 r. w Wilnie, Grodnie, Mińsku, Krasławiu, Białymstoku. [1])

Krępowana w swym naturalnym rozwoju wszelka jawna działalność publiczna na Litwie, wybiegająca poza kopce graniczne powiatu, wyłamująca się z ciasnego koła interesów prywatnych lub conajwyżej sąsiedzkich, zamknąć się musiała w obrębie tajnych organizacyj społeczno-politycznych, niekiedy jedynie nagłym wystrzelając wybuchem; np. w czasie insurekcyi Kościusz-

[1]) Pierwszorzędnej doniosłości politycznej dla Polski sprawa przyłączenia Litwy do Królestwa ostatnimi czasy została gruntownie oświetlona w pracach prof. Askenazego: „Rosya-Polska“ (Lwów, 1907), „Łukasiński“ (Warszawa, 1908). Por. Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego w 1830—31 r.“ Jan Kucharzewski: „Maurycy Mochnacki,“ Kraków, 1910, str. 462 sq. Pomniejsze przyczynki, charakteryzujące stosunek społeczeństwa do projektów unifikacyjnych, znajdujemy między innemi w rękopiśmiennych „Pamiętnikach“ d-ra Stanisława Morawskiego, który, stwierdzając powszechną dążność do połączenia z Królestwem, zaznacza, iż w najbardziej umiarkowanych nawet kołach myślą było zasadniczą: „błagać monarchę domowym, przyjaznym sposobem, bez żadnych buntów, ażeby Litwę z Królestwem Polskiem formą instytucyi połączył.“ Por. Pamiętniki Andrzeja Przyałgowskiego (w „Pamiętnikach polskich,“ wyd. Ksaw. Bronikowskiego. Paryż, 1844. T. I, str. 45 passim.); Manifest obu Izb Sejmowych Królestwa Polskiego, wskutek uchwały z dn. 20 grudnia 1830 r. wydany („Dyaryusz Sejmu z r. 1830—31.“ Kraków, 1907. T. I, 55 sq.); Urywki ze wspomnień nowogrodzkiego szlachcica (Nikodema Kiersnowskiego), Kraków, 1893, str. 25 sq.; Mościcki: „Sprawa włościańska na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia.“ Warszawa, 1908.

kowskiej, gdy chodziło o śpieszną, doraźną pomoc zbrojną, o podanie ręki ruchowi w Koronie. Cała zima wówczas zeszła na „potajemnych porozumieniach i stowarzyszeniach“ pod okiem wojsk rosyjskich, rozłożonych obozami na Litwie. Wszakże ówczesne przygotowania insurekcyjne, obliczone na termin krótki, wsparte przytem słabą, lecz bądź co bądź czynną organizacyą wojskową, nie miały charakteru usystematyzowanej akcyi spiskowej. Sprzysiężenia tajne litewskie w pierwszych latach porozbiorowych mogą być również zaliczone jedynie do odruchowych wysileń, mających na celu niezwłoczne wystąpienie rewolucyjne.

Roboty spiskowe we właściwem znaczeniu i na dłuższą metę nie znalazły jakoś nigdy podatnego gruntu na Litwie. Stroniono tam zawsze od atmosfery konspiracyj politycznych i dopiero wobec faktycznej i zupełnej niemożności działania jawnego, zawiązywano towarzystwa tajne, rzadko przytem z wyraźnem zabarwieniem politycznem, najczęściej o charakterze etycznym, kulturalnym lub społecznym.

Związki wolnomularskie, zresztą jawne, stowarzyszenie „Szubrawców“ wileńskich — politycznemi nie były. Nawet tajne towarzystwa młodzieży uniwersyteckiej na najwyższych dopiero stopniach organizacyjnych roztrząsały kwestye polityczne, z nad wiek uderzającą nieraz rozwagą i roztropnością obmyślając możność i potrzebę czynnego udziału w akcyi politycznej.

Towarzystwo Patryotyczne, krzewione na Litwie przez niezdarnego i lekkomyślnego pułkownika Aleksandra Oborskiego na gruzach dawnej masoneryi zwyczajnej oraz wolnomularstwa narodowego, mniejszą jeszcze, niżeli w Królestwie, wykazało żywotność. „Na Litwie... — pisze Prądzyński [1]) — rzecz się prawie kończyła na przyjmowaniach (do Tow. Patr.)... Po kilku jednak latach i przyjmowania zwolniały. Wielu już członkom przykrzyło się zbyt długie, według nich, czekanie. Złożywszy przysięgę, byliby chcieli zaraz na koń siadać. Czekać, i to czekać czas nieoznaczony, nie podobało się zgoła polskiej żywości.“ Weszło nadto do Towarzystwa, prócz ludzi nieskazitelnych, w służbie publicznej chlubnie znanych i zasłużonych, wielu niepowołanych, których Oborski przyjmował „po salonach przy grze i zabawach... bez należnej ostrożności.“ [2]) Z tem większem przeto uznaniem pod-

[1]) „Pamiętniki generała Prądzyńskiego.“ Kraków, 1909. T. I, str. 39.

[2]) Leon Stempowski: „Żywot Piotra Łagowskiego, pułkownika wojsk polskich.“ Paryż, 1845, str. 9.

kreślić należy rozwagę Filaretów, którzy, według słów powołanego w tej mierze sędziego, Tomasza Zana, „działać starali się na powstrzymanie tworzenia się niewczesnych i bezużytecznych gmin Oborskiego, z których, jak i z posiedzeń wolnomularskich, żaden postęp korzystny nie wynikał.“ [1])

Jak nikłemi były organizacye Towarzystwa Partyotycznego na Litwie i Rusi, świadczy też między innemi fakt, iż po paru zaledwie latach, w r. 1831, nie było tam prawie śladu po tych związkach. Gasły rychło i poszłyby bodaj w niepamięć, gdyby nie prześladowania, którym uległy. Przy pomocy wytężonej roboty prowokatorskiej, podsycanej głównie przez niezmordowanego w tym kierunku Nowosilcowa, skutkiem śledztw nieubłaganych i procesów nieskończonych, związki tajne wyniesione zostały do roli, jakiej w innych warunkach nigdyby nie odegrały. Akcya śledcza całym krajem wstrząsnęła, cały kraj pogrążyła w bólu i trwodze. Rozwinął się przed Litwą długi łańcuch lat ciężkich, krwawych, na których wspomnienie „drżały kobiety... staruszkowie bledli.“

Ostatnie echa zarządzeń policyjnych, dotyczących spraw Towarzystwa Patryotycznego na Litwie, odzywają się jeszcze w roku 1830, przed samym wybuchem rewolucyi. W tym roku dopiero, d. 4 marca st. st., uwolniono z pod dozoru policyjnego następujące osoby, oskarżone o „należenie do polskich towarzystw tajnych“—Stanisława hr. Sołtana, Franciszka Przeciszewskiego, Aleksandra hr. Pocieja, Andrzeja Kulczyckiego, Antoniego hr. Prozora, Karola Morawskiego, Jana Woyniłłowicza, Macieja Barankiewicza i księcia Konstantego Radziwiłła. [2])

Najwydatniejszą rolę w dziejach kulturalnych, a poniekąd i politycznych Litwy, odegrały towarzystwa wśród młodzieży uniwersyteckiej, przedewszystkiem Filomaci i Filareci. Kwestya, czy Filomaci, t. j. związkowcy, stojący na najwyższym szczeblu organizacyjnym, pozostawali w bezpośredniej styczności z Towarzystwem Patryotycznem, nie ulega prawie wątpliwości. Udział Zana w loży wolnomularstwa narodowego i w gminie Towarzystwa Patryotycznego w Wilnie, stosunki młodzieży wileńskiej z warszawską, najpewniej za pośrednictwem Onufrego Pietrasz-

[1]) Notatki pamiętnikarskie Tomasza Zana (rękopis w jednem z prywatnych archiwów litewskich).

[2]) Odezwa wileńskiego gubernatora cywilnego do policmajstra z 4 marca st. st. 1830 r. № 173.

kiewicza, Filomaty, przebywającego od 1820 roku w Warszawie; inne wreszcie fakty świadczą wyraźnie o podjętych przez kierowników związkowej młodzieży litewskiej próbach zbliżenia z robotami konspiracyjnemi, prowadzonemi w Królestwie oraz w prowincyach południowych. Tak np. w jednym z listów Mickiewicza do Onufrego Pietraszkiewicza, z czerwca 1819 r., następującą czytamy wiadomość: „Wyciągnieni jesteśmy (t. j. Filomaci) na większy świat. Tomasz (Zan) między cietrzewiami tokuje, Szerok (przezwisko Filomaty, Teodora Łozińskiego) dopadł jeszcze większych ptaków, niedawno u nas zjawionych od strony południowej; ale że to ptactwo złożone z wielkich sztuk, więc my mamy się *passive*, wszakże nie bez nadziei silnego wmieszania się.“ [1]) Przez nazwę „cietrzewi“ i „jeszcze większych ptaków“ rozumiał Mickiewicz przedstawicieli poważniejszych organizacyj spiskowych. Naogół jednak, o ile sądzić można przy braku pozytywnych dowodów pisemnych, na podstawie wskazówek ubocznych, nieraz wielce mglistych, stosunki Filomatów z Towarzystwem Patryotycznem nie były ani zbyt ścisłe, ani nawet dostatecznie jasno określone.

O wiele wyraźniej, co już dowodnie można stwierdzić, przedstawiają się próby nawiązania stosunków pomiędzy Towarzystwem Patryotycznem a związkami rosyjskimi. Znane są powszechnie słynne rokowania na kontraktach kijowskich w 1824—1825 roku, podejmowane z inicyatywy Towarzystwa Południowego rosyjskiego, oraz późniejsze spotkania członków polskich organizacyj z Rosyanami. Nie mieliśmy natomiast żadnych dotychczas śladów akcyi krzewicielskiej w Korpusie litewskim i to zarówno ze strony rosyjskiej, jak i polskiej; brak usiłowań w tym kierunku wydawać się mógł tem dziwniejszy, że Korpus rzeczony liczył w swym składzie przeważnie Polaków, zrodzonych i wychowanych na Litwie i, również jak Filareci, ścisłymi węzłami złączonych z tamtejszem społeczeństwem polskiem. Poniechanie starań założenia

[1]) „Nieznane pisma Mickiewicza,“ wyd. J. Kallenbach. Kraków, 1910, str. 341. Por. tamże, str. 293, 306, 314. O stosunkach związków wileńskich z Tow. Patr. Mościcki: „Wilno i Warszawa,“ str. 9 sq. 148 sq. Ostatnia praca o Filomatach, pióra St. Pietraszkiewiczówny („Przegl. powszechny,“ 1909—1910 r.), oparta na materyałach z archiwum Filomatów, nic nowego w tym względzie nie przynosi. Wzmianka o rokowaniach z Ogińskim, podobno wysłańcem towarzystw warszawskich (jakich?), równie niejasna, jak wersya Domejki; por. „Przegląd powsz.“ 1909 r., z. XII, str. 382 i Domejko, Filareci, str. 18. Powstanie i rozwój wolnomularstwa narodowego i Towarzystwa Patryotycznego na Litwie przedstawia najściślej Askenazy w „Łukasińskim.“

w Korpusie litewskim organizacyi konspiracyjnej, na wzór utworzonej przez Łukasińskiego wśród oficerów wojsk Królestwa, istotnie jest niezrozumiałe; zwłaszcza, jeśli wziąć w rachubę znaczenie strategiczne Korpusu litewskiego na wypadek wybuchu wojny polsko-rosyjskiej. Wszakże próby takie, a nawet zupełnie konkretne organizacye wojskowe, istniały.

Komitet centralny Towarzystwa Patryotycznego polecił już w 1822 czy 1823 r. jednemu ze swoich agentów w Wilnie „rozpytywać się, czyliby czego wojskowi rosyjscy nie przedsiębrali?“ [1]) Chodziło tu najpewniej o oficerów Korpusu litewskiego; agitował też czynnie między nimi Józef Zaliwski i podobno od wielu otrzymał zapewnienie szerzenia w swoich pułkach „nabytych zasad.“ [2])

W jednym z listów Aleksandra Bestużewa-Riumina, głośnego Dekabrysty, pisanych do Aleksandra Chodkiewicza w Młynowie, mieści się ciekawa wiadomość o bytności Bestużewa *incognito*, w przebraniu cywilnem, w Wilnie i Warszawie, w latach 1823 i 1824. Przypuszczać należy, iż czynił on tam zabiegi o pozyskanie dla celów spiskowych kolegów z Korpusu litewskiego. Powyższa, bliżej wszakże nieznana akcya Bestużewa w Wilnie, znaną była niewątpliwie Mickiewiczowi, który nie bez głębszego powodu i nie przez prostą dowolność poetycką wprowadził na salony senatora w „Dziadach“ Aleksandra Bestużewa i uczciwego oficera rosyjskiego. [3])

Wszakże niezależnie od powyższych, ułamkowo jedynie znanych zabiegów spiskowych polskich i rosyjskich w Korpusie litewskim, równolegle prowadzona była wśród pewnej grupy oficerów tegoż Korpusu tajna akcya konspiracyjna, zainicyowana przez byłego ucznia uniwersytetu wileńskiego, druha Mickiewicza i Czeczota, Filomatę, Michała Rukiewicza, i wyniesiona przezeń w 1825 r. do formacyi *Towarzystwa Przyjaciół Wojskowych*. Tak

---

[1]) Mochnacki: „Powstanie nar. pol.“ Berlin, 1863. T. II, str. 10.

[2]) Józef Zaliwski: „Rewolucya polska 29 listopada 1830 roku“ Paryż, 1833, str. 2—3.

[3]) Sporo ciekawych szczegółów o stosunkach Dekabrystów z Polską zawiera archiwum Chodkiewiczów. Niestety, zbiory powyższe uległy rozproszeniu po 1831 r.; część znaczna dostała się do bibliotek paru monastyrów kijowskich, skąd podobno w ostatnich czasach została usunięta. List B. do Chodkiewicza z archiwum Chodkiewiczów; o podróżach Bestużewa między innemi we „Wspomnieniach“ J. I. K. Rulikowskiego w czasopiśmie kijowskiem: „Nasza Przyszłość,“ Czerwiec, 1908, str. 217 sq. 233 sq. O poznaniu się Mickiewicza z Bestużewem — Wł. Mickiewicz: „Żywot A. M.“ I, str. 206 passim.

więc, w czynnej inicyatywie tego poniekąd i dziś jeszcze nieznanego dokładnie człowieka, zbiegły się idealne pomysły filareckie z twardą robotą spiskową, biorącą swój początek w politycznych przedsięwzięciach związków warszawskich i rosyjskich. W tem wyjątkowem skojarzeniu jeszcze jedno ogniwo stanowiła szlachetna, nieco po chłopięcemu naiwna, lecz czysta i szczera działalność *Towarzystwa Zgodnych Braci* lub *Zorzan*, uczniów gimnazyum białostockiego i świsłockiego.

II.

Michał Rukiewicz miał w r. 1825 lat spełna trzydzieści. [1]) Wychodził z dobrej szlachty litewskiej, herbu Hippocentaurus, osiadłej od XVI wieku na pograniczu Podlasia i powiatu Grodzieńskiego; szczycił się nie świetnymi dostojeństwy przodków, lecz uczciwą ich pracą publiczną na urzędach powiatowych lub grodzkich. Rodzice Michała władali Hoźną, w Obwodzie Białostockim położoną, snać jednak nie mogli się utrzymać na chudej glebie podlaskiej, skoro wieś sprzedali, zapisując pozostały fundusz, jako jedyne opatrzenie dla syna i córki. Michał nie zmarnował schedy ojcowskiej. Po ukończeniu gimnazyum białostockiego, gdzie zetknął się po raz pierwszy z Ignacym Onacewiczem, podówczas nauczycielem historyi i prawa w Białymstoku, wstąpił w r. 1816 na wydział moralny uniwersytetu wileńskiego; przykładał się ze szczególną pilnością do nauki prawa krajowego, pra-

---

[1]) Szczegóły biograficzne: Zeznanie Rukiewicza przed Komisyą śledczą w Wilnie z 10 listopada st. st. 1823 r. „Biblioteka Warszawska“ 1904 r., t. II, str. 528—530. (Giżycki): „Kilka słów o dwóch szkołach dawnych na Podlasiu.“ Poznań, 1888, str. 52. „Kalendarzyki polit. wil.“ na 1817 — 1819 r. „Przegląd powszechny“ 1909 r., t. CIII, str. 62—3, 251. CIV, str. 394, 397. „Nieznane pisma Mickiewicza.“ Kraków, 1910 r., str. 238, 284. Domejko, Filareci, str. 9. Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce, t. IX, str. 170 sq. Wierzbowskij: „K istorii tajnych obszczestw,“ str. 18—19, 91. W uwagach Tomasza Zana do pamiętników Czarnockiego (Rocznik Tow. Przyj. Nauk w Wilnie 1907 r. str. 14) znajdujemy wzmiankę o Józefie Bukiewiczu, Filomacie; podane przez Zana informacye nader są bałamutne, być może jednak, iż mowa tam o Rukiewiczu. Rzecz charakterystyczna, że ten sam błąd w nazwisku znajdujemy w pracy Pietraszkiewiczówny o Filomatach („Przegl. powsz.,“ 1909 r., t. CIII, str. 63), oraz w Zdanowicza „Pamiętniku o Filomatach,“ str. 19.

wa rzymskiego, ekonomii politycznej i teologii moralnej. Ze stopniem kandydata praw opuścił Wilno w pierwszych dniach lipca 1820 roku.

Mało jest znaną rola, jaką odegrał Rukiewicz w towarzystwach tajnych młodzieży uniwersyteckiej. Musiał wszakże zasłużyć sobie na zaufanie i miłość kolegów, skoro lubiany był powszechnie; wybrany w r. 1819 do *Związku Przyjaciół*, niebawem wszedł do szczupłego grona Filomatów; w związku *Promienistych* zlecony miał sobie urząd „marszałka nadwornego.“ O pracy Rukiewicza w Towarzystwie Filomatów wiemy bardzo mało. Z dochowanych protokółów okazuje się, że na jednem z posiedzeń wydziału „literackiego i naukowego“ czytał „Krótkie uwagi nad polityką Filipa, króla macedońskiego.“

Nie była to natura zbytnio zapalna, skora do wystąpień jaskrawych, efektownych; przedstawia on raczej typ zrównoważonego, nieco zamkniętego w sobie podlasiaka, o głębszym podkładzie uczuciowym i harcie duszy niepowszednim. „Jest patryota, gorliwy i dosyć zdatny,“—takie wypowiada o nim zdanie Mickiewicz, polecając Rukiewicza towarzyszom prac związkowych.

Serdecznie przywiązany do rodzinnego Podlasia, po ukończeniu studyów wyższych nie poszedł Rukiewicz drogą karyery urzędniczej lub palestranckiej, lecz osiadł na dzierżawie na skarbowym folwarku Zawyki, tuż nad Narwią położonym, o cztery mile od Białegostoku. Zamieszkała z nim siostra, Ksawera.

Twarda praca na roli nie wyziębiła w duszy Rukiewicza uczuć gorętszych, nie wyjałowiła umysłu. Czytał wiele. Podczas rewizyi znaleziono u niego sporo druków z czasów Sejmu czteroletniego i wojny 1812 roku. Do tych epok historyi ojczystej rad przenosił się myślą w chwilach wolnych od zajęć. Rojenia młodzieńcze z lat, spędzonych w gronie kolegów, snuł też nieraz, odczytując listy przyjaciół wileńskich, zwłaszcza Czeczota; cieszył się też nadzieją zapowiadanych, niedoszłych jednak do skutku, odwiedzin Mickiewicza w Zawykach. Niejedno wspomnienie budziły zapewne rozmowy z Zygmuntem Nowickim, kolegą z Towarzystwa Filomatów, od 1818 r. następcą Onacewicza w gimnazyum białostockiem.

Nagle z zacisza wiejskiego wyrwany został Rukiewicz wszechwładnym rozkazem Nowosilcowa. Było to w czasie procesu filareckiego. Rewelacye Jankowskiego, wykrywające związki uniwersyteckie, wskazały między innymi na Rukiewicza, jako na członka Towarzystwa Filaretów, mającego podobno szerzyć organizacyę analogiczną w Obwodzie Białostockim. W zwięzłem, lecz stanow-

czem piśmie zeznawczem, złożonem Komisyi śledczej 10 listopada st. st. 1823 r., Rukiewicz kategorycznie słowom Jankowskiego zaprzeczył. Po paromiesięcznem więzieniu został uwolniony dla braku jakichkolwiek dowodów winy.

A jednak Jankowski miał słuszność. W swej niecnej denuncyacyi ujawnił wszystkie znane sobie mniej więcej tajemnice życia związkowego; naogół mało inteligentny, wrodzonym tylko obdarzony sprytem, rozumiał co największy mieć mogło walor dla komisyi Nowosilcowa. Idąc za domysłem, opartym na kruchym materyale dowodowym, oskarżał z całym cynizmem kolegów o czyny, których intencyi nie mógł czy nie chciał rozumieć, których wszakże karygodność wobec władz śledczych dostatecznie oceniał. I teraz w podejrzeniach co do działań Rukiewicza w Białymstoku nie mylił się. Istotnie, w drugiej połowie 1820 r. nastąpiło zapoznanie się świeżo przybyłego z Wilna Filomaty z uczniem gimnazyum białostockiego, szesnastoletnim Feliksem Lachowiczem. Rukiewicz, najpewniej nie bez współudziału Zygmunta Nowickiego, skłonił niebawem Lachowicza do zawiązania wśród bliższych przyjaciół i kolegów Towarzystwa *Zgodnych Braci*.

Wpływ Filomatów na utworzenie powyższej organizacyi uczniowskiej był niewątpliwy, aczkolwiek w czasie późniejszego procesu pozytywnie nie został stwierdzony. Powstanie Towarzystwa przedstawiał Lachowicz Komisyi śledczej, jako inicyatywę własną, samodzielną i niezależną od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych.

„Między r. 1819 a 1820 zastanowienie się moje nad obyczajami ludzi, ich osobistością czyli egoizmem, a osobliwie nad przygaśnieniem miłości bliźniego, wpojonej we mnie religią chrześcijańską, dało mi powód do pewnego rozmyślania, a potem i do przedsięwzięcia.“ [1]) Takie ogólnikowe wyjaśnienie daje Lachowicz o genezie Towarzystwa *Zgodnych Braci*. „Wystawiałem sobie — pisze dalej, starając się z przezorną powściągliwością jaknajmniej wysuwać istotne zadania organizacyi, uwydatnić natomiast wyłącznie filantropijny i altruistyczny charakter Towarzystwa—ileby szczęśliwszem mogłoby być życie nasze, gdyby każdy z ludzi miał dobre obyczaje, był poczciwym, dobrze myślącym i pilnym w swoich obowiązkach. Dlaczego w ludziach po większej części nie daje się widzieć prawdziwego uczucia litości, gdy im się nędzę stawia przed oczy? Może ktoś biednego wesprzeć, poratować, ulżyć nędzy, pocieszyć i uszczęśliwić nawet bez żadnego dla

[1]) Zeznanie z dn. 21 czerwca st. st. 1826 r.

siebie uszczerbku, jednakowoż na to wszystko okazuje się być obojętnym. Niejeden, rozmiłowany w swych zbiorach, odmawia drobnej jałmużny ubogiemu, niejeden, widząc przyjaciela swego, krewnego upadającego przez przypadek, odmawia mu wsparcia potrzebnego. Nakoniec dlaczego prawie powszechnie nie wypełniamy ściśle świętego prawa Chrystusa: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego," kiedy to przyczynia się do naszego dobra." Z tej katechizmowej wychodząc zasady, zastosowanej do życia koleżeńskiego — „mówiłem sobie: mam kolegów przyjaznych mi, kochają mnie, i my szczęśliwi, gdy się razem bawim—czemuż my nie możemy być takimi nazawsze, zawsze pamiętać o sobie? To mi dało powód do urojenia sobie jakiegoś Towarzystwa, zebrać wiele osób i zobowiązać ich przysięgą do wspólnej i nierozerwanej przyjaźni i do wypełnienia wyż wspomnianych moich myśli."

W porozumieniu z kolegą Franciszkiem Borkowskim, a jak wyżej się rzekło, na skutek bezpośredniej pobudki filomackiej, zakłada Lachowicz Towarzystwo *Zgodnych Braci*. Ustawy narazie niema, są tylko przepisy ogólne, które, wedle słów samego autora, mieściły następujące wskazania:

„Za cel Towarzystwa obranem było—miłość bliźniego, a stąd wzajemne wsparcie i pomoc... Jeżeli zmiana losu którego miała dotknąć nieszczęściem, wszystkich obowiązkiem było pomagać tyle, ile polepszenie losu wymaga, wszyscy więc koledzy potrzebującego wsparcia powinni go uprzedzać pomocą w prośbie... Wsparcie obowiązkiem było tym tylko dawać, którzy nie z własnej winy stali się potrzebującymi, i gdy potrzebujący przez złe prowadzenie się stał się sprawcą swego niedostatku mógł mieć odmówioną pomoc. Wsparty powinien, ile możności, pracą i własnem staraniem w sposobie najuczciwszym dalszy sposób utrzymania się zyskać, by nie został próżnym natrętnikiem. Pomoc dawać się miała w takim gatunku, w jakim potrzebujący wymagał.

„Niewolno było zajmować się trunkami, grami hazardowemi, zatapiać się we wszelkich rodzajach rozpuście, i wszystko to było wzbronionem, co się sprzeciwiało czystej moralności, dobremu prowadzeniu się i istotnemu uszczęśliwieniu. Kiedy ktokolwiek był nałogowym, nietylko że sam powinien wszelkich usilności dokładać na poprawienie się, ale i wszyscy inni powinni mu w tem pomagać. W szkołach było naszem staraniem przestrzegać młodzież o samogwałt, jako o nałóg, który najwięcej działa na zepsucie umysłu i ciała. Do ścisłego wypełniania było przepisano, iżebyśmy pełnili obowiązki każdego stanu, w jakim kto zostawać będzie jaknajakuratniej..."

W celu żywszego uprzytomnienia zasad „moralności i poprawy“ skrócił Lachowicz dla użytku związkowców znane dzieło profesora uniw. wileńskiego, Jana Kantego Chodaniego, p. t. „Nauka chrześcijańskiej katolickiej religii.“ [1])

Niezależnie od przepisów powyższych, wymienionych w zeznaniu Lachowicza, inni członkowie Towarzystwa podają jeszcze prawidła następujące: [2]) wyznawać jednego tylko Boga (?); kochać wszystkich ludzi; ulegać każdej władzy legalnej, w Towarzystwie zaś wyłącznie Lachowiczowi; nie grać w karty, nie palić i nie używać napojów gorących; dokładać wszelkich możliwych starań w celu nabycia pożytecznych wiadomości; doglądać sprawowania towarzyszy swoich; nie należeć do innych towarzystw tajnych, lecz przeciwnie, dowiedziawszy się o istnieniu ich, przedsiębrać środki w celu ich rozwiązania; starannie zachowywać tajemnicę o istnieniu Towarzystwa i nie mieć żadnych papierów i korespondencyj; płacić składkę miesięczną 15—20 kop. sr.

Towarzystwo *Zgodnych Braci* zostawało pod kierunkiem naczelnika lub jego zastępcy; prócz tego wyznaczeni byli Radcowie stosownie do ilości członków, jeden z Radców pełnił obowiązki kasyera i zbierał oznaczone składki; obowiązkiem pozostałych było: mieć dozór nad sprawowaniem członków; doglądać, aby między nimi nie było żadnych nieporozumień i opiekować się ich zdrowiem; pilnować, czy sumiennie uczęszczają do klas i czy umieją lekcye zadane; na zebraniach Towarzystwa zdawać sprawę ze swoich zajęć i ze sprawowania członków, zostających pod ich dozorem. Zebrania odbywały się co miesiąc w gajach pod Białymstokiem, między godziną 3 a 4 rano; na zebraniach tych odczytywane były prawidła Towarzystwa, sprawozdania, przedstawiane przez Radców, lub też rozprawy, napisane przez członków; przyjmowano wreszcie nowych członków i rozprawiano o pożytku Towarzystwa.

W aktach Towarzystwa, dołączonych do dokumentów Komisyi śledczej, dochowała się tylko jedna rozprawa Franciszka Bor-

---

[1]) Pośmiertne dzieło znakomitego kaznodziei, wydane w Wilnie w roku 1823. Książka ta wprowadzona była następnie jako podręcznik szkolny do wykładów nauki chrześcijańskiej. Lachowicz streścił zapewne jedną jej część o „nauce moralności;“ korzystał przytem jeszcze z jakiegoś dzieła „o przyjaźni“ (zezn. Eust. Czechowskiego).

[2]) Rękopiśmienne zeznania członków, oraz raport sekretny Komisyi śledczej w sprawie *Zorzan* do Nowosilcowa z dn. 17 lutego st. st. 1827 r. № 152. Por. „Archiwum do dz. lit.,“ t. IX, str. 242 sq.

kowskiego p. t. „Opis szczerej przyjaźni.“ Jest to pełna szczerości i prostoty pochwała tego uczucia, które stało się węzłem spajającym serca *Zgodnych Braci*. W piśmie Borkowskiego odzywa się ta sama nuta braterskiej miłości, co w dziełach i wskazaniach filareckich; tymi samymi niemal słowy wyjaśnia on znaczenie, doniosłość i potrzebę przyjaźni dla młodych, sposobiących się na życia znoje i klęski.

„Przyjaźń—pisał Borkowski—jest to wzajemne uczucie, które się rodzi w dwóch lub kilku osobach, jest to miłość, wiążąca zgodne umysły tak w sposobie myślenia, jako też i postępowania, jest to, iż tak rzeknę, Bóstwo, które jednoczy cnotliwych i skłania ich do wzajemnych wynurzeń skrytości serca... Szczęśliwy, jeśli cnotę zaszczepił w swem sercu i jeśli jej dał władzę nad sobą, ona to swym blaskiem przyćmi wszelką niegodziwość... Cnotą, tym to Bóstwem obdarzony szuka podobnej sobie istoty i zawiązuje z nią przyjaźń. Wówczas człowiek doznaje prawdziwego szczęścia, bo ma uczestnika cnoty, ma przyjaciela w przeciwnościach świata, obrońcę w nieszczęściu, ma życie, któreby może stało się nieznośnem...

„Istności, któraś zesłała ten dar dla ludzi, jakąż Ci cześć są winni, która łączysz przyjaźnią cnotliwych serca i skłaniasz ich do wzajemnej miłości; ty rodzisz równość i spajasz ludzi w jeden braterski węzeł, przed tobą bogactwo i duma milknie, osobistość zwalczona wyciąga do ciebie swe dłonie.

„Przyjaźni! ty się kryjesz tylko w sercach cnotliwych ludzi, czy to pod nizką strzechą, czy w odległych i dzikich pustyniach, lub w przepaściach ciemnic; aby tylko cnotliwym ty niesiesz pokarm i pociechę, osładzasz ich nędzę i karmisz nadzieją...

„Przyjaźni! ty nieodstępna towarzyszko cnoty, łącz serca czyste, stań się opoką niezwyciężoną, którejby wszelka przeciwna namiętność nie zdołała przemódz, nie okazuj się być powierzchowną i w czczych wielbioną słowach, niech cię każdy w gruncie serca nosi, a szczycąc się tobą rzeknie do otaczających współbraci: „Bracia, przyjaźń nas jednoczy, bądźmy nawzajem sobie przyjaciołmi!“

Podobnie, jak w zasadniczych poglądach *Zgodnych Braci*, można również wykazać znaczne analogie z *Promienistymi* w sprawach, dotyczących wewnętrznego ustroju Towarzystwa. Tak np. każdego członka starano się naprzód poznać dokładnie, następnie przedstawiano kandydaturę pod decyzyę zebrania i dopiero po otrzymaniu jednomyślnego przyzwolenia wprowadzano nowego członka na zgromadzenie. Wstępujący składał przed naczelnikiem lub jego zastępcą następującą przysięgę:

„Przysięgam na honor, że wszystko, co mi nakażesz, wypełnię święcie i nigdy nikomu nie wyjawę co ty, szanowny Bracie, mi powierzysz; będę postępował podług prawideł, danych mi przez ciebie, bez najmniejszego odstępstwa. Połowę funduszu oddaję do zupełnego twego rozporządzenia i uznaję ciebie, jako założyciela tego Towarzystwa, na zawsze za jego naczelnika. W razie niewykonania w czemkolwiek tej przysięgi, ulegnę takiej karze, jakiej wymagać będzie korzyść Towarzystwa.“

Osoby, przyjęte do Towarzystwa, otrzymywały specyalne przezwiska, do czego najczęściej używano nazwisk wsławionych Polaków, wymienionych w znanej mowie Stanisława Kostki Potockiego, p. t. „Pochwała walecznych Polaków“ (z 1809 r.). Wybrawszy sobie przez ciągnienie losu nazwisko, członek dawał słowo, że będzie go używał w sprawach Towarzystwa oraz w korespondencyi z kolegami. Postanowienie takie zapadło w tym celu, aby na wypadek wykrycia korespondencyi nie można było poznać osoby list piszącej, a przytem (zeznanie Andrzeja Koźmińskiego), żeby przez przypomnienie imion Polaków, rozsławionych czynami wojennymi, rozniecać w członkach Towarzystwa uczucia patryotyzmu. Lachowicz w swem piśmie zeznawczem twierdził, że „przemiana nazwisk była postanowiona jedynie w tym celu, iż łączący się w Towarzystwo powinien wyobrazić sobie, iż ma stać się innym, niż był, człowiekiem i życie prowadzić cnotliwiej, szlachetniej, w niewinnych zawsze zamiarach.“ Oprócz imion w dziejach naszych głośnych, jak „Działyński,“ „Zamoyski,“ „Mokronowski“ i in., obierano też i fantastyczne, np. „Wojskowski,“ „Gadulski,“ „Proporczycki.“ Lachowicz miał pseudonim: „Suryn,“ Borkowski—„Sybojewicz.“

Członkowie źle się sprawujący, lub nie przestrzegający regulaminu, otrzymywali na zebraniu wymówki, albo też podlegali karze 15 kop. sr. na rzecz Towarzystwa. Członek wyróżniający się miał prawo noszenia kokardy podczas zebrania. Na zebraniach każdy członek miał prawo stawiać wnioski; sprawy rozstrzygano większością głosów. Jeżeli chciano pozbyć się jakiegoś członka, wtedy oświadczano symulacyjnie, że Towarzystwo się rozwiązuje; jeżeli zaś członek sam ustępował, składał deklaracyę zachowania ścisłej tajemnicy.

Dla ułatwienia poznawania się wzajemnego zaprowadzono stalowy pierścień ośmiokątny z wyobrażeniem na wierzchu znaku Opatrzności, wewnątrz zaś z następującym napisem:

Nic mnie ustraszyć nie zdoła,
Gdy bliźni o pomoc woła.

Zdanie powyższe zapożyczono podobno z popularnej ówcześnie opery „Woziwoda paryski“ (zeznanie Andrzeja Koźmińskiego). Później pierścień stalowy zastąpiono rogowym z napisem „Nie doznam kurczu.“ Jeżeli członkowie spotkali się gdziekolwiek, wtedy jeden z nich zapytywał: „Kogobyś życzył widzieć w tej chwili?“ na co drugi powinien był odpowiedzieć: „Oglądać podobnego sobie.“

Nie wszystkie wyłożone tutaj przepisy były ściśle wykonywane. „Nigdzie nic nie było ostatecznie zdecydowanego, — pisze Andrzej Koźmiński w piśmie zeznawczem z 20 czerwca st. st. 1826 r.—same myśli porozrzucane tu i owdzie. Do wykonywania tych ustaw zobowiązywały proklamacye do cnoty i ludzkości, a przestępcom obiecywano karę obojętności i wyłączenia ze swego grona; a niedostatek szczególnych ustaw wszędzie poruczał się rozsądkowi i uwadze tych, którzy je wypełniają.“

Do Towarzystwa *Zgodnych Braci*, oprócz Lachowicza i Borkowskiego, należeli następujący uczniowie gimnazyum białostockiego: Gabryel Aleksandrowicz, Adam Hryniewicki, Franciszek Zagórski, Aleksander Wirjon, Teodor Holonkiewicz, Leon Karśnicki, Wincenty Szumowicz, Szymon Kaczkiełło, Wojciech Sokołowski, Józef Wiewiórowski, Jakób i Karol Ordyńcowie i Aleksander Skulski. Paru z liczby związkowców, jako niepewnych, usunięto z Towarzystwa w 1823 r. W tymże roku przemianował Lachowicz *Zgodnych Braci* na *Zorzan*. Nazwę tę zastosował dlatego, jak sam zeznaje, że „jak światło zorzy, poprzedzając promienie słońca, poprzedza razem dobroczynne tegoż działanie na ziemię, tak każdy, należący do Towarzystwa, powinien być zajęty dobroczynnością.“

Cel Towarzystwa *Zorzan* był ten sam, co *Zgodny h Braci*, posiłkowano się również tymiż przepisami. Do *Zorzan* przyjęto nadto jeszcze uczniów: Feliksa Morawskiego, Franciszka Olszewskiego i Kazimierza Zaleskiego.

Lachowicz, zamierzając rozszerzyć świeżo założone przez siebie Towarzystwo, przeniósł się w r. 1822 z Białegostoku do Świsłoczy i wstąpił do tamtejszego gimnazyum. Już w początkach 1824 r. udało mu się utworzyć związek *Zorzan*, podobny do białostockiego, do którego weszli uczniowie: Andrzej i Jan Koźmińscy, Ignacy Łabuński, Rajnold, Walentyn i Jacek Suchodolscy, Napoleon Orda, Stanisław Houwaldt, Adam Strawiński, Eustachy Czechowski, Leon Heltman, Franciszek Zieliński, Teodozy Konachowicz, Jan Wysocki, Aleksander Lewoniewski, Ignacy Bułharowski, Adolf Bogurski, Jan Głowacki, Andrzej Ciechanowski

i Aureli Eysymontt. Prócz tych, wstąpili do Towarzystwa: dymisyonowany sztabs-kapitan Wincenty Sperski, uczeń aptekarski Józef Czajkowski i geometra Feliks Okińczyc.

Na wakacye uczniowie rozjechali się do domów, a większość, nie powróciwszy do gimnazyum, temsamem przestała należeć do związku. Z *Zorzan* pozostał w Świsłoczy jeden tylko Łabuński, i chociaż miał sobie polecone przez Lachowicza podtrzymywać Towarzystwo, jednak nie dopiął tego, gdyż rzeczone stowarzyszenie w Świsłoczy już się nie odrodziło. Jeden ze związkowców świsłockich, Jan Wysocki, dowiedziawszy się od Lachowicza, że w Białymstoku istnieje Towarzystwo *Zorzan*, przeniósł się tamże i pozyskał nawet dla stowarzyszenia Ludwika Wrońskiego. Wszakże i w Białymstoku, skutkiem nieporozumień między członkami, Towarzystwo poczęło się rozpadać.

Tymczasem zaszły okoliczności, które *Zorzanom* zapewniły byt dalszy, sprzęgając ich z inną, o wiele poważniejszą, przynajmniej co do zamierzeń, organizacyą tajną — Towarzystwem *Przyjaciół wojskowych*.

III.

Rukiewicz po uwolnieniu z więzienia wileńskiego w 1824 r. powracał do Zawyk z gorącem postanowieniem prowadzenia intensywnej akcyi, mającej na celu zakładanie projektowanych przez niego dawniej związków tajnych o charakterze społeczno-politycznym, w duchu programu Filomatów. [1]) Prawdopodobnie powziął wówczas myśl utworzenia towarzystwa tajnego wśród oficerów Korpusu litewskiego; pobudką dla Rukiewicza w tym kierunku mogły być projekty rozpoczęcia agitacyi w armii, o których, jak twierdzą niejasne zresztą relacye policyjne, miano dyskutować na zebraniach filareckich, jesienią 1824 r. Niezwłocznie począł za-

[1]) W czasie druku niniejszego, udało się stwierdzić zupełną słuszność przypuszczeń co do roli Rukiewicza, jako organizatora towarzystw tajnych w Obwodzie Białostockim z polecenia związków wileńskich. W ogłaszanych w „Przeglądzie powszechnym“ (styczeń 1910 r., t. CV, str. 74—75, 82) „dziejach Filomatów“ znajdują się wiadomości o wydatnej działalności społecznej Rukiewicza w Białostockiem i „oficyalnem upoważnieniu“ jego do zakładania tam związków filareckich. Tamże podane zostały nowe szczegóły o Rukiewiczu, potwierdzające w zupełności powyżej naszkicowaną charakterystykę.

wiązywać stosunki znajomości z oficerami. Bywał teraz częściej w Białymstoku i Brańsku. Przez dawnego swego znajomego Hofmana, porucznika nieświeskiego pułku karabinierów, zapoznał się z dymisyonowanym komisarzem (?) Trzebińskim, z kapitanem batalionu pionierów, Igelstromem, z porucznikiem Wegielinem i podporucznikiem Piotrowskim. Niebawem pozyskał ich zaufanie i wówczas ostrożnie począł ich informować o ostatnich wypadkach wileńskich i Towarzystwie *Promienistych*. Z „przekonywającą wymową“ wyjaśniał cele *Promienistych*: oświatę, pomoc wzajemną, wykorzenienie wad i nałogów i t. d. Po takich wstępnych rozmowach zaproponował Hofmanowi utworzenie wśród oficerów analogicznego stowarzyszenia, które zajęłoby się również złagodzeniem zbytniej dyscypliny, dającej się szczególnie we znaki oficerom niższych stopni, usunięciem karygodnego protegowania jednych, a poniżania drugich i t. p.

Niebawem opracowano szczegółowy regulamin stowarzyszenia, spisany z początku po polsku, lecz następnie przetłómaczony na język rosyjski. Postanowiono zarazem utworzyć drugi stopień towarzystwa, nazwany towarzystwem *Zgody*, dla urzędników cywilnych. Do tego stopnia został przyjęty między innymi kancelista Jan Wysocki, który poprzednio, jako uczeń gimnazyum świsłockiego, należał tam do *Zorzan* i stąd znał członków tegoż Towarzystwa w Białymstoku. Trzebiński, główny obecnie organizator *Przyjaciół Wojskowych*, dowiedziawszy się od Wysockiego o *Zorzanach*, postanowił przyłączyć ich do *Przyjaciół Wojskowych*. Wznowiono w ten sposób dawne Towarzystwo *Zorzan* i jako najniższy trzeci stopień pod zwierzchnictwem Ludwika Wrońskiego włączono do nowej organizacyi konspiracyjnej wojskowej.

Regulamin związku *Przyjaciół Wojskowych* zawierał następujące najważniejsze punkty: [1])

„Towarzystwo *Przyjaciół Wojskowych* ma składać się wyłącznie z wojskowych, służących w Oddzielnym Korpusie Litewskim. Urzędnik cywilny, albo wojskowy, mający zamiar opuścić wkrótce służbę lub wystąpić z Korpusu nie może być do Towarzystwa przyjęty.“

Powyższa naczelna zasada, wyłączająca nie wojskowych od udziału w pracach związkowych najwyższego stopnia, okazuje

[1]) Spisany przez Trzebińskiego z pamięci, stąd niewątpliwe błędy, nadto rozmyślne zapewne niedomówienia. Por. „Archiwum do dziejów lit.,“ t. IX, str. 208 sq.

najdowodniej właściwy charakter stowarzyszenia, mającego na celu, podobnie jak związki rosyjskie, przygotowanie armii do wybuchu rewolucyjnego.

Cel Towarzystwa: „oświecanie siebie i drugich, pomoc wzajemna i dobro ogółu.“

Towarzystwo dzieli się na trzy stopnie; stopień najwyższy jest właściwie Komitetem, t. j. władzą naczelną związku i składa się z Naczelnika i czterech członków. Naczelnik ma być wybierany z łona Komitetu na rok jeden. Najważniejszym obowiązkiem Komitetu jest rozszerzanie Towarzystwa, poleca się przytem szczególniejszą zwrócić uwagę na artyleryę, batalion pionierów, brygadę grenadyerów i pułk karabinierów.

Członkowie wstępujący do Komitetu składają przysięgę następującą:

„Przysięgam na Istotę najwyższą, na tym ołtarzu świętej przyjaźni, że nigdy nie wyjawię nikomu, nie należącemu do Towarzystwa, jego istnienia, działalności Komitetu, liczby i nazwisk członków, wypełniać będę święcie powierzone mi obowiązki, do rozszerzenia Towarzystwa pomagać będę ze wszystkich sił i dla osiągnięcia tego poświęcę swoje zdolności, majątek i życie; jeżeli tego wymagać będzie pożytek Towarzystwa, złożę mu w ofierze bez żalu: miłość, przyjaźń, a nawet związki krwi. W razie jakichkolwiek podejrzeń lub wykrycia, przysięgam wziąć na siebie całą odpowiedzialność, nie zdradzając innych. W wypadku najmniejszego odstępstwa od tej przysięgi nietylko pozwalam, lecz proszę nawet wszystkich braci, aby pozbawili mię życia jakimkolwiek sposobem, a przez to zbawili Towarzystwo.“

Władza Naczelnika jest prawie absolutna. Wolno mu rozporządzać połową funduszów Towarzystwa bez zdawania rachunków; w razach wyjątkowych nawet całym majątkiem związku. Naczelnik wyznacza członkom zajęcie, zwołuje sesye zwyczajne raz na miesiąc, nadzwyczajne w razie potrzeby. Przy wstąpieniu każdy z członków obowiązany był powiadomić Naczelnika, czy nie należał i nie należy obecnie do jakiegokolwiek innego towarzystwa tajnego; Naczelnik jednak nie był obowiązany tego czynić.

Członkowie prócz płacenia składek, których wysokość na razie nie była ściśle określona, obowiązani byli do kształcenia się, przykładnego sprawowania, oraz do szerzenia zasad moralnych, umyślnie w tym celu ułożonych. „Członkowie winni starać się zawiązywać stosunki z ludźmi oświeconymi i moralnymi, a znalazłszy kilku takich, z którymi można mówić otwarcie, skłaniać ich do założenia towarzystwa drugiego stopnia lub przyłączać ich

do siebie po jednemu, nie wyjawiając w żadnym razie nazwy Towarzystwa, istnienia Komitetu i jego członków.“ Od wstępujących miano brać przysięgę, analogiczną do przysięgi dla stopnia pierwszego wszakże w treści nieco złagodzoną. Naczelnik niższego stopnia może powiedzieć wstępującym, że należy do towarzystwa wyższego, że stąd otrzymuje rozkazy i że tam komunikowane są ich przysięgi wraz z nazwiskami.

Cel towarzystwa drugiego stopnia: „oświata, udoskonalenie umysłu i serca, przykładne sprawowanie i wykonywanie swoich obowiązków, a także zapamiętanie niektórych zasad moralnych, według których członkowie mają normować swoje postępki.“

Członkowie drugiego stopnia w miarę możności organizują towarzystwo niższego, czyli trzeciego stopnia, zawsze jednak składające się z czterech członków i naczelnika, należącego do stopnia wyższego. „W pułku, lub w jakiejś innej oddzielnej części wojska, nie może być więcej nad jedno towarzystwo.“

Cel towarzystwa trzeciego stopnia polegał na „ukształceniu rozumu, udoskonaleniu serca i wzmocnieniu ciała.“ Dlatego członkom tego stopnia polecono, poza zajęciami umysłowymi, oddawać się ćwiczeniom gimnastycznym, jako to: strzelanie do celu, fechtunek, konna jazda i t. p. Do towarzystwa może być przyjęty tylko człowiek nieposzlakowanej uczciwości.

Każdy stopień posiada bibliotekę, złożoną z dzieł zakupionych lub ofiarowanych przez członków.

Wszystkim stopniom Towarzystwa rozdane zostały przepisy, zastosowane do stanowisk przez członków zajmowanych. Np. wobec tego, że towarzystwo drugiego stopnia, t. j. *Zgody*, składałoby się po większej części z urzędników cywilnych, zaliczono do jego obowiązków: „przestrzeganie bezstronnego wymiaru sprawiedliwości, wykorzenianie łapówek, oddawna właściwych temu rodzajowi służby“ i t. d.

Do zeznania swego dołączył Trzebiński następujące jeszcze „Maksymy przeznaczone dla towarzystw,“ oświetlające nader wyraziście poglądy członków związku:

„1. Ponieważ przez wykształcenie otrzymujemy możność służenia użytecznie innym, to każdy młody człowiek, posiadający środki i zdolności do osiągnięcia tego, a tracący drogocenny czas na zajęcia nieużyteczne, zabawy albo złe czyny, przez to samo staje się członkiem szkodliwym dla społeczeństwa i dlatego zasługuje na słuszną jego pogardę.

„2. Mów z każdym w sposób odpowiedni do jego pojęć; w przeciwnym razie albo go zmartwisz, albo nie będziesz przezeń zrozumiany.

„3. Dokładne wykonywanie obowiązków jest najpierwszym i najkonieczniejszym warunkiem zyskania spokoju osobistego i poważania u innych; dlatego staraj się tak postępować, aby zwierzchnik nie miał nawet powodu do przebaczania tobie, w przeciwnym razie darowanie zasłużonej kary otwiera mu drogę do dalszych niesprawiedliwości, a ciebie źle stawia w oczach kolegów.

„4. Obchodź się ze swoimi podwładnymi po przyjacielsku, jednak wymagaj od nich starannego wykonywania obowiązków; w przeciwnym razie staniesz się tyranem, albo słabym zwierzchnikiem, przez co zjednasz nienawiść lub wzgardę.

„5. Prawdziwa wolność nietylko nie może istnieć bez mądrych praw, lecz wymaga surowego ich przestrzegania; bez tego zamienia się w swobodę, zgubną dla dobrobytu społecznego.

„6. Zbliżaj się do każdego ze swych kolegów, staraj się poznać poziom jego umysłu i charakter. Jeżeli zauważysz, że obok przyrodzonych zdolności posiada szkodliwe wady, staraj się oderwać go od nich: proś, radź, przekonywaj, wyśmiewaj, wreszcie wzgardź i usuń się.

„7. Unikaj towarzystw, w których panuje niewstrzemięźliwość i rozpusta.

„8. Oduczaj się szkodliwych nałogów stopniowo, odmawiając sobie codzień potrochu; w ten sposób możesz łatwo w krótkim czasie poprawić się.“

Maksymy powyższe, w których łatwo odszukać reminiscencye ze wzniosłych haseł wileńskich „Miłośników Cnoty,“ spisywane były przez poszczególnych członków Towarzystwa. Przytoczone powyżej, skreślone zostały przez porucznika Hofmana pod wpływem rozmów z Rukiewiczem.

Do najwyższego stopnia Towarzystwa *Przyjaciół Wojskowych* należeli: kapitan Igelstrom, porucznik Wegielin, podporucznik Piotrowski, wszyscy trzej z litewskiego batalionu pionierów; dymisyonowany komisyoner Trzebiński i porucznik nieświeskiego pułku karabinierów, Hofman — naczelnik związku.

Członkami towarzystwa drugiego stopnia, t. j. *Zgody* byli: Trzebiński, naczelnik, Aleksander Hryniewicki, zastępca naczelnika, Ludwik Wroński, Feliks Ordyński i Jan Wysocki.

Trzebiński projektował nawiązanie stosunków z *Zorzanami* w Świsłoczy i w tym celu wysłał tam Wysockiego dla porozumienia z uczniem Łabuńskim, wszakże misya Wysockiego nie odniosła pożądanego skutku, głównie z powodu niechęci Łabuńskiego.

Jaki był stosunek Lachowicza do *Przyjaciół Wojskowych* — niewiadomo; przypuszczać można, że Lachowicz nie miał z nimi

styczności. Może nie podzielał robót spiskowych, podejmowanych wspólnie z wojskowymi i Rosyanami. Niema żadnych śladów jego udziału w trzystopniowej organizacyi rewolucyjnej, są nawet pewne dane, świadczące o jego niechęci do akcyi wojskowej, o której wiedział dokładnie. Należy jednak zauważyć, iż w rzeczach tej natury najpoufniejsze czynności odbywały się w drodze ustnej, nie zostawiając żadnego pisemnego śladu, wszelkie zatem w tej mierze przypuszczenia nie mogą mieć dostatecznego uzasadnienia.

Po ukończeniu klasy VI w Świsłoczy, w czerwcu 1824 r., mieszkał Lachowicz czas jakiś w Kobryniu, gdzie był guwernerem w domu pułkownika Bałbekowa; w październiku 1825 r. „dla rozpatrzenia się w naukach uniwersyteckich“ udał się do Wilna. Jednocześnie z Lachowiczem przybyło tam kilku dawnych uczniów świsłockich i białostockich, należących do *Zorzan;* w ten sposób na gruncie wileńskim związek niejako się odradzał; pozyskano nawet paru nowych członków, wszakże prace stowarzyszenia nie były ożywione. Kilku *Zorzan* wyjechało z Wilna i przestało należeć do organizacyi, reszta żadnej nie wykazuje działalności.

Tymczasem katastrofa była już blizka. Podczas trwożnych tygodni bezkrólewia po śmierci Aleksandra I nastąpiło ujawnienie Towarzystwa *Przyjaciół Wojskowych* i niższych tegoż stopnia — towarzystwa *Zgody* i *Zorzan.*

IV.

Wiadomość o śmierci Aleksandra I nadeszła na Litwę w końcu listopada starego stylu. Wojska i władze w guberniach Zachodnich aż do Wilna włącznie, za przykładem Petersburga i Moskwy złożyły przysięgę na wierność nowemu cesarzowi, Konstantemu I. Dopiero w Grodnie, na wyraźny zakaz Cesarzewicza, nie doszło do przysięgi. Sprzeczne wieści obiegały Litwę. W Towarzystwie *Przyjaciół Wojskowych* wrzało od dysput i gorączkowych narad. Na zebraniach omawiano monarchiczną i konstytucyjną formę rządu, przyznając wyższość tej ostatniej. Ostatecznym obecnie celem związku miało być domaganie się konstytucyi (zeznanie Piotrowskiego). [1]) Postanowiono działać zgodnie z in-

[1]) W pamiętniku d-ra A. Buckiewicza p. t. „Obrazki Litwy w XIX w.“ (rks. Krak. Ak. Um. № 1204) jest wzmianka o znalezionym w Oszmianie, pod-

strukcyami, które, jak należy przypuszczać, rozesłane zostały do niektórych oficerów Korpusu litewskiego przez związki rosyjskie.

Dnia 21 grudnia, w tydzień przeto po zajściach na Placu Senackim, uciekający ze stolicy jeden ze spiskowców, Wilhelm Küchelbecker[1]) nadesłał Igelstromowi przez posłańca list, w którym pokrótce opisał znane wypadki w Petersburgu, nastąpione po otrzymaniu wiadomości o śmierci cesarza Aleksandra I. Zapewniał, iż cała armia stanęła po stronie W. Ks. Konstantego i postanowiła odmawiać przysięgi na wierność Mikołajowi. „Pewny jestem,—pisał Küchelbecker—że cały Korpus litewski nie będzie patrzeć obojętnie na to, że prawego następcę (t. j. W. Ks. Konstantego) pozbawiają tronu; a to tembardziej, że służąc pod jego rozkazami, wszyscy należący do tego Korpusu poznali charakter swego wodza i wiernie stać będą po stronie Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza.“

Igelstrom po otrzymaniu powyższego pisma i naradzie z towarzyszami, odbył kilka wycieczek do różnych pułków, konsystujących w okolicach Białegostoku, namawiając wszędzie do składania przysięgi na wierność Konstantemu. Dnia 23 grudnia 1825 r. długą prowadził rozmowę z podoficerami i szeregowcami swego batalionu, stojącego załogą w Brańsku.

Nazajutrz, w sam dzień Wigilii Bożego Narodzenia, odbyć się tam miała przysięga wierności Mikołajowi I. Mała mieścina podlaska rzadką oglądała uroczystość. Batalion pionierów w pełnej gali wystąpił na rynek. Odczytano manifest o wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja I, poczem wezwano do złożenia przysięgi. Wtem szmer jakiś złowrogi przeszedł w zwartych szeregach żołnierzy, rósł, wzmagał się i zrazu lękliwe, rozproszone, po chwili coraz śmielsze, gęstsze odezwały się głosy protestu. „Niech żyje Najjaśniejszy Pan, Konstanty Pawłowicz!“—wykrzyknięto. Wśród oficerów zapanowała konsternacya. Nieprzywykłe do niesubordynacyi oczy dowódcy

---

czas rewizyi u podkomorzego Jerzego Soroki w 1831 r., liście Pestela, z radą dla Litwinów, by wspólnie z Rosyanami żądali konstytucyi.

[1]) Wybitny ten dekabrysta aresztowany został wypadkowo w Warszawie, dokąd się udał po 14 grudnia z Petersburga. Interesujące o nim szczegóły i wyjątki z pamiętników podaje w licznych tomach czasopismo „Russkaja Starina.“ Ważniejsze materyały w tomach z 1870, 1873, 1875, 1878, 1883—4, 1891, 1901—2 r.

Opisane niżej wypadki w Brańsku przedstawione zostały na podstawie raportów dowódcy Korpusu litewskiego, generał-porucznika d'Auvray do W. Ks. Konstantego z 29 grudnia 1825 r. i 5 stycznia 1826 r.

zapłonęły gniewem. Zapanował jednak nad sobą. Jął wyjaśniać przyczyny wstąpienia na tron cesarza Mikołaja I, tłómaczył powody zrzeczenia się Cesarzewicza; przekładał, powołując się na słowa Najwyższego manifestu; groził surową odpowiedzialnością za sprzeciwianie się woli monarszej. Naraz przerwał mu kapitan Igelstrom: „Ludzie rozumieją tę pisaninę, lecz chcą mieć bardziej wyraźne dowody jej prawdziwości.“ Postępek kapitana silnie podziałał na wojsko. Nie zważano już na dowódcę. Ten, widząc bezowocność swych zabiegów, chwycił się ostatniego środka. Sam zaczął składać przysięgę w przekonaniu, że za jego przykładem pójdą oficerowie, a za nimi żołnierze. Tymczasem szeregi złamały się; wojsko zwolna poczęło się rozchodzić. Głos komendy ginął w tłumie rozgwarzonym, pomrukującym, zgoła niepewnym.

Kapitan Igelstrom wraz z chorążym Wojechowiczem najętą bryką pojechali do Zawyk, do Rukiewicza. Ksawera Rukiewiczówna otrzymała od Igelstroma jakieś papiery do przechowania.

Na trzeci dzień, 26 grudnia, wojsko złożyło przysięgę wierności Mikołajowi I. Na akt ten specyalnie przybył do Brańska naczelnik sztabu Korpusu litewskiego, generał-major Weljaminow.

Nad Towarzystwem *Przyjaciół Wojskowych* zawisła burza groźna, złowroga.

V.

O wypadkach w Brańsku niezwłocznie powiadomiony został W. Ks. Konstanty. Rozkazem z dnia 7 stycznia st. st. 1826 r. ustanowiono w Białymstoku specyalny sąd wojenny pod przewodnictwem generał-majora Piotra Perrin'a I-go; ogólny zaś dozór nad czynnościami sądu powierzono dowódcy Korpusu litewskiego, generał-porucznikowi d'Auvray.

Głucho jest w naszej literaturze historycznej o postaci generała Teodora d'Auvray, acz jest to osobistość niezaprzeczenie ciekawa i w dziejach naszych niemałą odgrywająca rolę. Z pochodzenia Francuz,[1]) syn emigranta, osiadłego od połowy XVIII wieku w Dreznie, za młodu odznaczał się wybitnemi zdolnościami, które pozwoliły mu chlubnie ukończyć drezdeńską szkołę inżynierów. Wszedł następnie do służby polskiej pod generałem arty-

[1]) Louis de Saint-Aubin. Trente-neuf portraits. № 23. Pétersbourg, 1902.

leryi koronnej, Aloizym Brühlem. Nie napatrzył się w Rzeczpospolitej młody oficer, po latach dziesięciu major, wzorów sztuki wojskowej, zwłaszcza gdy zwierzchnik jego, zapewne niewybitny militarysta, lecz niezły organizator, Brühl, odsprzedał rangę generalską Szczęsnemu Potockiemu, najmniej odpowiedniemu na to stanowisko. Do insurekcyi 1794 r. d'Auvray nie chciał podobno należeć, czas jakiś miał być nawet dla tej swojej abstynencyi więziony. Po zdobyciu Warszawy niezwłocznie wszedł były adjutant Brühla do służby rosyjskiej, w randze kapitana. Od tej chwili d'Auvray szybko przechodzi stopnie karyery wojskowej; w 1801 r., jako 35-letni pułkownik, zaliczony zostaje do świty cesarskiej. W 1805 należy do orszaku Gołowkina, udającego się z misyą dyplomatyczną do Chin; po powrocie w 1807 r. wchodzi odrazu do służby czynnej, walczy z lekkiem sercem przeciw rodakom pod Heilsbergiem, Friedlandem. W 1812 r. Dowre, gdyż tak się teraz coraz częściej podpisywał, był szefem sztabu korpusu Wittgensteina, w randze generał-majora. Odbył całą kampanię 1813 — 1814 r. Po kongresie wiedeńskim należał do komisyi, przeprowadzającej demarkacyę granic Królestwa Polskiego. W 1819 r. po utworzeniu Korpusu litewskiego mianowany został jego dowódcą, dzięki protekcyi W. Ks. Konstantego. Opuściwszy to stanowisko w 1827 r., odbył jeszcze wojnę turecką 1828 r.; ostatniem wreszcie jego wystąpieniem był udział w walce przeciw rewolucyi polskiej 1830 — 31 r., w charakterze szefa sztabu w armii hr. Tołstoja. Zmarł w 1846 r.

W paru zaledwie rysach została tu naszkicowana sylwetka pierwszego dowódcy Korpusu litewskiego; służbista, nie bez skłonności do odznaczeń, których mu zresztą w długiej karyerze nie skąpiono, naogół obojętny był na sprawy nowej swej ojczyzny, Rosyi; do Polski nie miał specyalnego uprzedzenia, przynajmniej tego nie okazywał. Typ człowieka bez głębszych, zdaje się, uczuć, nie skłonnego ani do żywszych objawów szlachetności, ani też do nadmiernych wybuchów surowego gniewu. W czasie procesu *Przyjaciół Wojskowych* d'Auvray, o ile wnosić można z aktów komisyi śledczej, postępował bezstronnie.

Ustanowiona w Białymstoku komisya śledcza przedewszystkiem zarządziła aresztowanie Igelstroma, Wojechowicza, Wegielina i Rukiewicza. Po śledztwie pierwiastkowem prezes komisyi, Perrin udał się do Warszawy dla przedstawienia W. Księciu dokładnego raportu. Cesarzewicz, dowiedziawszy się o współudziale w sprawie *Przyjaciół Wojskowych* niektórych osób cywilnych, niezwłocznie udzielił szerokich pełnomocnictw generałowi d'Auvray

wraz z poleceniem aresztowania wszystkich podejrzanych „bez hałasu, raptownie," i osadzenia ich w „pewnych" więzieniach, pod surową strażą. Ze szczególnym naciskiem podkreślał konieczność bezzwłocznego aresztowania Ksawery Rukiewiczówny, siostry Michała. [1]) Jednocześnie W. Książę komunikował rezultaty dotychczasowego śledztwa Nowosilcowowi. Senator, powiadomiony o udziale w towarzystwach tajnych uczniów gimnazyum białostockiego i świsłockiego, oraz studentów uniwersytetu, zażądał wyłączenia sprawy uczniowskiej z pod kompetencyi komisyi wojskowej i przekazania jej władzom edukacyjnym. Żądaniu temu uczyniono zadość. Z ramienia Nowosilcowa, jako kuratora okręgu naukowego wileńskiego, wysłany został na śledztwo do Białegostoku, rektor uniwersytetu, Pelikan, zaprawiony do tego rodzaju czynności podczas niedawnego procesu filareckiego. Odtąd proces towarzystw tajnych białostockich prowadzony jest przez dwie komisye: wojskową pod zwierzchnictwem Perrin'a i szkolną pod doświadczonym kierunkiem Pelikana.

Rektor przybył do Białegostoku dn. 27 maja st. st.. W gimnazyum białostockiem wiedziano już oddawna o grożącem niebezpieczeństwie. Zaprowadzono najsurowszy rygor, zabroniono wychowańcom uczęszczania na zebrania z „osobami obcemi" bez pozwolenia dyrektora; listy od i do uczniów poddano najściślejszej kontroli, zwiększono dozór pozaszkolny i t. d. [2]) Pelikan przywiózł ze sobą akty procesu filareckiego, dotyczące Rukiewicza; po rozejrzeniu się w nich ponownem, przyszedł do przekonania, że należałoby przeprowadzić częściową rewizyę procesu filareckiego, aby w ten sposób dojść do źródeł działań Rukiewicza, które doprowadziły do utworzenia związku *Zorzan* i *Przyjaciół Wojskowych*.

Propozycyi Pelikana na szczęście nieuwzględniono, z całą natomiast energią prowadzono indagacyę oskarżonych o należenie do związków. Po stwierdzeniu udziału w Towarzystwie *Zorzan* niektórych obecnych studentów uniwersytetu, Pelikan podczas bytności swej w Warszawie, w czerwcu, zaproponował Nowosilcowowi dalsze prowadzenie śledztwa w Wilnie, twierdząc, iż sprowadzanie studentów do Białegostoku mogłoby rzucić popłoch,

---

[1]) W. Ks. Konstanty sekr. do gen. Dowre 11 kwietnia 1826 r. № 248, jednocześnie do Nowosilcowa pod № 253.

[2]) Wyciągi z „Dziennika" gimnazyum białostockiego z 16 stycznia i 15 lutego 1826 r. (rkps.).

a co najważniejsze umożliwić towarzystwom tajnym wileńskim, o ile takie istnieją, zatarcie wszelkich śladów i poniekąd udaremnić całą z takim mozołem wszczętą akcyę śledczą. Zgodnie z tą propozycyą utworzono w Wilnie nową Komisyę, złożoną z Pelikana, osławionego prokuratora gubernialnego, Botwinki, i policmajstra wileńskiego, podpułkownika Chrząstowskiego.

Komisya wileńska w czasie od 8 lipca 1826 r. do 17 lutego 1827 r. powołała ogółem 53 osoby; w tem 13 z uniwersytetu, 6 z gimnazyum białostockiego, 1 z gimnazyum świsłockiego, 1 z Krzemieńca, resztę z gubernii grodzieńskiej, Obwodu białostockiego, z Wilna i Petersburga. W czasie działań Komisyi jeden z członków *Zorzan*, Kazimierz Zaleski, zgłosił się i „z przywiązania do rządu krajowego sam dobrowolnie, wierne, sumienne“ złożył zeznanie; nadto Andrzej Koźmiński, student uniwersytetu, „okazał zupełną gotowość wyjawienia wszystkiego, co się odnosi do Towarzystwa *(Zorzan)*, i nietylko sam się przyznał, lecz stale oskarżał innych członków, a przez to bardzo wiele pomógł do wykrycia prawdy.“ Twórca *Zorzan*, Feliks Lachowicz, poza danem raz wyjaśnieniem, wszelkich dalszych odmawiał zeznań, „pomimo wszystkich namawiań ze strony członków Komisyi“, ponawianych kilkakrotnie. Sprowadzono księdza Hryniewicza z kościoła św. Jana, wszakże „pomimo wszelkich sposobów i argumentów“, Lachowicz niezachwianie trwał przy swojem pierwszem zeznaniu.

Komisya śledcza, przekonana o wpływie Rukiewicza na powstanie Towarzystwa *Zorzan*, chciała skłonić Lachowicza do usunięcia wszelkich w tym względzie wątpliwości. Pokazywano mu zeznania Łabuńskiego, który stanowczo twierdził, że był ktoś kierujący *Zorzanami* poza Lachowiczem, „jakaś machina ukryta“; miano wiadomości z Białegostoku o zeznaniu Trzebińskiego (z 11 sierpnia 1826 r.), nazywającego Rukiewicza „osią“ wszystkich związków tajnych białostockich—Lachowicz milczał zacięcie, wzbraniał się wszelkich dawać wyjaśnień, i „pomimo wszystkie przekładania, pozostał niezachwianym“, twierdząc, że „nikt nie kierował nim w sprawie zakładania Towarzystwa“.

Udział Rukiewicza w robotach konspiracyjnych nie został dostatecznie w śledztwie udowodniony. Nieznane są losy byłego Filomaty, zesłany został podobno na Kaukaz, jako zwykły szeregowiec;[1]) członkowie Towarzystwa *Przyjaciół Wojskowych:*

[1]) Domejko, Filareci str. 9, por. Rocznik Tow. Prz. Nauk w Wilnie, 1907 r., str. 14.

kapitan Igelstrom i porucznik Węgielin „za należenie do tajnych związków, zamiar zbuntowania batalionu i odmówienie przysięgi na wierność Jego Ces. Mości“ skazani zostali na degradacyę, pozbawienie szlachectwa, zesłanie do katorgi na lat dziesięć, następnie na osiedlenie w Syberyi; podporucznik Piotrowski, chorąży Wojechowicz i porucznicy Wilkaniec i Hofman — na degradacyę, pozbawienie szlachectwa, sześciomiesięczne więzienie w twierdzy, poczem na zapisanie do korpusu kaukaskiego na szeregowców.[1])

Rezultaty i wnioski wileńskiej Komisyi śledczej w sprawie *Zorzan* wyłożone zostały w raporcie sekretnym do Nowosilcowa z dn. 17 lutego 1827 r. Zgodnie z opinią Komisyi i uwagami Nowosilcowa, W. Książe następujący wydał wyrok, zatwierdzony przez cesarza Mikołaja I dn. 10 października 1827 r.:

„... Uczniów: Feliksa Lachowicza, Franciszka Borkowskiego i Andrzeja Janiewicza, jako głównych winowajców, przetrzymać w twierdzy: Lachowicza sześć, Borkowskiego zaś i Janiewicza po cztery miesiące każdego, poczem zapisać ich na szeregowców do oddzielnego korpusu kaukaskiego, z tem, żeby byli tam użyci na całkowitą służbę rzeczywistą; do awansu na podoficerów przedstawić ich nie prędzej, jak po dwóch latach, jeżeli na to zasłużą.

„Studentów: Andrzeja Koźmińskiego, Eustachego Czechowskiego,[2]) Aleksandra Lewoniewskiego, Aleksandra Bronikowskiego i Franciszka Leszczyńskiego wydalić z uniwersytetu, zapisać na szeregowców i dla usunięcia od stron rodzinnych przeznaczyć do armii Drugiej (pod dowództwem generał-feldmarszałka hr. Wittgensteina), gdzie powinni pozostawać pod surowym dozorem i nie prędzej przedstawiać ich do awansu na podoficerów, jak po dwóch latach, jeśli będą tego godni.

„Dymisyonowanego sztabs-kapitana, Wincentego Sperskiego, geometrę Feliksa Okińczyca, ucznia aptekarskiego Józefa Czaj-

[1]) „Russkij Inwalid“ z 5 czerwca 1827 r. № 140.

[2]) Eustachy Czechowski ur. w Łunnie, pow. grodzieńskim, z ojca Jana i matki Wiary z hr. Walickich, córki szambelana, a synowicy głośnego podstolego koronnego, Michała Walickiego. Do Tow. *Zorzan* wstąpił w Świsłoczy 1824 r., następnie popierał ten związek w Wilnie, odznaczając się wielką ofiarnością dla kolegów. Zginął w wojnie tureckiej 1828—9 r.; istnieje również niesprawdzona wersya, że został wzięty do niewoli tureckiej, przyjął islamizm i został paszą w Skutari. W kościele w Łunnie znajduje się tablica z następującym błędnym napisem: „Na wieczną pamiątkę ś. p. Eustachemu Czechowskiemu, herbu Oksza, ur. 1805 r. dn. 29 marca, poległ w potyczce z Turkami 13 października 1822 r. (!). Czuły brat ten kamień położył.“

kowskiego i b. ucznia gimnazyum świsłockiego Stanisława Houwaldta zatrzymać w areszcie pierwszych trzech po 4 miesiące każdego, ostatniego zaś, dlatego, że nie chciał się przyznać do winy, pomimo oskarżających zeznań współtowarzyszy, sześć miesięcy. Potem pozostawić ich w domu z tem jednak, żeby zostawali tam zawsze pod surowym dozorem policyjnym.

„Studentów: Aleksandra Wirjona, Leona Karśnickiego, Wincentego Szumowicza, Teodora Holonkiewicza, Adama Hryniewickiego, Alberta Friesego, Henryka Szlegla i Gabryela Aleksandrowicza, jakoteż uczniów gimnazyum białostockiego i świsłockiego: Feliksa Wielowiejskiego, Feliksa Morawskiego, Franciszka Olszewskiego i Ignacego Łabuńskiego, policzywszy im do kary ich areszt i uwolniwszy od dalszych kar, oddać pod najsroższy dozór tej zwierzchności i policyi, pod której zarządem będą się znajdowali do czasu, póki nie przedstawią dostatecznych świadectw, że zmienili dawny sposób myślenia i dobrze się sprawują.

„Byłych członków Towarzystwa, pozostających obecnie w służbie wojskowej: Franciszka Zielińskiego, Aleksandra Skulskiego, Wojciecha Sokołowskiego i Józefa Wiewiórowskiego, którzy w Towarzystwie nie mieli szczególnego wpływu, ponieważ dwaj pierwsi służą dwa lata gorliwie i sprawiają się bardzo dobrze, przeto, uwalniając ich od dalszych kar, mieć ich pod najczujniejszym dozorem i nie przedstawiać do awansu jeszcze dwa lata, dwóch zaś ostatnich przeznaczyć do oddzielnego korpusu litewskiego (do 25 dywizyi pieszej gen.-majora Reibnitza w Dubnie), jako podoficerów i nie prędzej ich przedstawiać do awansu na oficerów, jak po dwóch latach, jeżeli na to zasłużą, mając przytem nad nimi czujny dozór.

„Pozostałych wreszcie członków Towarzystwa: aktora Jana Nepomucena Kossowskiego i b. uczniów gimnazyów białostockiego i świsłockiego: Andrzeja Ciechanowskiego, Leona Heltmana, Franciszka Zagórskiego, Napoleona Ordę,[1]) Ignacego Bułharowskiego, Jana Koźmińskiego, Jana Głowackiego, Adolfa Bogurskiego, Jacka i Rajnolda Sucholskich,[2]) Teodozego Kunacho-

[1]) Znany później rysownik i poeta.

[2]) Bracia Januarego, słynnego malarza. Rajnold—popularny żołnierz-poeta w 1831 r. Niektórzy z wymienionych uczniów świsłockich (np. Heltman, Konachowicz, Eysymontt) byli młodszymi braćmi członków towarzystw tajnych w Świsłoczy z 1819—20 r., co dało nawet powód Pelikanowi do wyrażenia przypuszczenia o rzekomej łączności tych związków. Por. Mościcki:

wicza, Adama Strawińskiego, Kazimierza Zaleskiego, Aurelego Eysymontta i Jakóba Ordyńca, ponieważ, porzuciwszy Towarzystwo, nie mieli z niem żadnych stosunków, wliczywszy im do kary odsiedziany areszt i uwolniwszy od dalszych kar, oddać pod najsroższy dozór tej zwierzchności i policyi, pod której zarządem się znajdowali, do czasu, póki nie przedstawią świadectw, że zmienili dawny sposób myślenia i dobrze się sprawują.

„Od wszystkich wyżej wymienionych osób wyegzekwować wszelkie koszty, poniesione z powodu tej sprawy (ogółem 2,116 rub. 36 kop. srebrem i 7,733 rub. 83 kop. asygnacyami), rozdzielając między zamożnych i tę część, której niezamożni nie mogliby zapłacić.“

Równocześnie, na przedstawienie Pelikana, wyznaczone zostały nagrody dla sekretarzy Uniwersytetu: Feliksa Mierzejewskiego (znanego z niezaszczytnej roli w procesie filareckim) i Giecołda, oraz dla egzekutora Kukolnika, którzy brali udział w śledztwie *Zorzan* i powierzone sobie obowiązki spełnili „z wielkiem powodzeniem i gorliwością.“ Mierzejewski otrzymał order św. Włodzimierza czwartej klasy, Giecołdowi i Kukolnikowi wypłacono podwójną pensyę roczną.

Zaliczonych wyrokiem Cesarzewicza do pierwszej kategoryi przestępców: Lachowicza, Borkowskiego i Janiewicza wysłano niezwłocznie do fortecy bobrujskiej; dwaj ostatni, po odsiedzeniu tam czterech miesięcy, przeniesieni zostali do niżegorodzkiego pułku dragonów, pod komendę Mikołaja Rajewskiego.[1]) Lachowicza, po sześciu miesiącach twierdzy, zesłano na Kaukaz do szeregów 42 pułku jegrów. Jako prosty żołnierz odbył Lachowicz pod Paskiewiczem ciężką kampanię turecką 1829 r., za którą Najmiłościwiej nagrodzony został medalem srebrnym i 5 rublami asygnacyjnymi. W 1831 r. walczył przeciw góralom kaukaskim; wyróżniony przez zwierzchność, awansował w 1833 r. na podoficera i otrzymał rubla srebrnego tytułem nagrody. W 1834 i 1837 odbył pod generałami Łanskojem i Fesy wyprawy przeciw Sza-

„Wilno i Warszawa,“ str. 78 sq. Szczegóły o szkole świsłockiej w 1820—27 r. w Buckiewicza rkps. „Obrazkach Litwy w XIX w.,“ str. 31 sq.; Leona Zienkowicza: „Wieczorach Lacha z Lachów“ (Lipsk, 1804), str. 149 sq.; w „Kłosach“ z 1879 r. №№ 744 — 747 i z 1887 r. № 1150; w rękopiśmiennych pamiętnikach Leona Potockiego i Lucyana Eysymontta. Wiadomości biograficzne o *Zorzanach* świsłockich w „Archiwum do dziejów lit.,“ t. IX, str. 220, 252 sq.

[1]) „Russkaja Starina“ z 1882 r., zeszyt sierpniowy.

milowi; w 1836 r. dostaje szarfę oficerską chorążego, w 1840— podporucznika; w 1842 wychodzi do dymisyi na własne żądanie w randze porucznika. Czas jakiś pełnił obowiązki dozorcy akcyzy powiatu owruckiego, następnie był tłómaczem wołyńskiego Zgromadzenia szlacheckiego w Żytomierzu. Zmarł tamże dn. 21 listopada 1877 r.[1])

Takie były losy marzyciela, co odpowiedział czynem na wezwanie, idące od promienistej młodzi wileńskiej. Całą swą młodość, jak łza czystą, poświęcił na ołtarzu ideałów, które krwią własną duchową żywił, pomyśleniem rozważnem a wytrwałem obudzał i w czyn zamieniał. I później, rzucony wyrokiem ciężkim daleko od stron swych ojczystych, ani na chwilę myśli nie skaził wątpieniem o świętości idei, dla której niósł swój ból tułaczy przez miesiące i lata całe.

Roił plan utworzenia kiedyś wielkiego stowarzyszenia, spajającego wszystkich rodaków węzłem braterskiej miłości i pomocy wzajemnej. Z pomysłu tego, już po zamieszkaniu w Żytomierzu, zwierzył się swemu koledze uniwersyteckiemu, Adamowi Poniatowskiemu, który w myśl wskazówek Lachowicza nakreślił plan „Towarzystwa rolniczo-przemysłowego wspólnej pomocy.“ [2]) Celem tego stowarzyszenia miało być „rozszerzenie rolnictwa i przemysłu przez pracę i oszczędność, podniesienie bytu moralnego i materyalnego mieszkańców kraju naszego.“ Projekt Poniatowskiego, „z idei Felixa Lachowicza“ zrodzony, zawiera rozwinięcie

---

[1]) Feliks Lachowicz, syn Józefa, ur. w Wysokiem Litewskiem 10 stycznia 1804 r. Szczegóły biograficzne wzięte z formularza służbowego, łaskawie zakomunikowanego autorowi niniejszego artykułu przez syna Feliksa, szan. ks. dziekana Władysława Lachowicza. Portret twórcy *Zorzan* reprodukowany w książce Mościckiego „Wilno i Warszawa w „Dziadach,“ str. 17, z oryginału, będącego w posiadaniu ks. Wł. Lachowicza.

[2]) „Towarzystwo rolniczo-przemysłowe wspólnej pomocy z idei Felixa Lachowicza nakreślił Adam Poniatowski. Żytomierz, 8 maja 1850 r.“ Rkps. Bibl. Jagiellońskiej № 4,712. Na czele manuskryptu pisze Poniatowski: „Stokroć szczęśliwy, jeśli myśl ogólną utworzenia kompanii rolniczo-przemysłowej, podaną mi przez kolegę mego uniwersyteckiego, Felixa Lachowicza i przez niego wypiastowaną w tornistrze żołnierskim, po brzegach Wisły i nad Niemnem, nad Terekiem i Horyniem, na górach Kaukazu i na błotach Krymu, na Polesiu, Petersburgu i Moskwie, obnoszoną, — którą rzucał zawsze wszem wobec i każdemu z osobna, jak groch na ścianę, póki nie natrafił na mnie, biedzącego się z myślami, jak zaradzić powszechnej klęsce, jak nas w jedną spoić całość.“

niektórych pomysłów altruistycznych *Zorzan*, jest też niewątpliwie wynikiem wysuwających się podówczas, w 1859 r., na teren ożywionych rozpraw publicznych, pierwszorzędnych zagadnień społecznych.

W tradycyi rodzinnej Lachowiczów przechowała się pamięć o zażyłym stosunku twórcy *Zorzan* z Mickiewiczem, Zanem i młodzieżą filarecką, — a chociaż nie posiadamy wyraźnych dowodów, stwierdzających prawdziwość tej tradycyi, bez wahania zaliczyć Lachowicza możemy do tego ofiarnego pokolenia, co samo nie zaznało szczęścia, bo go nie było wówczas w Ojczyźnie.

Henryk Mościcki.

O PIERWIASTKACH MUZYCZNYCH

W POEZYI SŁOWACKIEGO.

Znaną jest przedziwnie piękna charakterystyka twórczości poetyckiej Słowackiego, jaką Zygmunt Krasiński—pierwszy w Polsce, co się poznał na niej — zamknął w następujących słowach: „Słowacki nie urodził się rzeźbiarzem, jak Mickiewicz, lecz *muzykiem*, w którego *muzyce* płyną farby Corregia i Rafaela, niesione Beethovena tonami.“

Ale charakterystyka ta jest nietylko przedziwnie piękna. Nazywając Słowackiego „muzykiem,“ a poezyę jego „muzyką,“ trafił Krasiński w samo sedno rzeczy.

Poezya jest sztuką dźwiękową. Jej kolebką jest głos ludzki, który wychował także muzykę. Zachodzi tu więc najbliższe powinowactwo krwi. Muzykę tonów określono jako artystyczne naśladownictwo brzemiennych uczuciem dźwięków głosu ludzkiego. Dlatego każdy naród posiada muzykę swego języka, a jeżeli są narody, które nie wytworzyły odrębnej muzyki, to przyczyna tego braku leży w ich języku, nie posiadającym odpowiedniej ilości pierwiastków muzycznych. Już Rousseau [1]) słusznie uważał, że każda prawdziwa muzyka jest sztuką *narodową*, bo zasadniczy jej charakter wypływa z języka, a prozodya języka wytwarza ten charakter. Wszelka twórczość muzyczna, powiada Rousseau, polega właściwie na tem, ażeby pozwolić językowi wyśpiewać się dowoli.

Ale mimo tak blizkiego pokrewieństwa są znaczne i zasadnicze różnice pomiędzy muzyką tonów a muzyką języka, którą

[1]) „Lettre sur la musique française.“

posługuje się poezya. Muzyka tonów operuje przedewszystkiem pewnym ściśle z góry oznaczonym porządkiem tonów o stałych odstępach. Odstępy te nazywają się interwałami, a porządek — gamą. I tak, system muzyki współczesnej opiera się na gamie diatonicznej i chromatycznej. Muzyka języka nie zna żadnej gamy. Gama jest systemem tonów zupełnie od nas niezależnym, bo interwały jej polegają na niewzruszonych prawidłach akustycznych. Z drugiej jednak strony opierają się na *konwencyi*, bo z nie zliczonej ilości interwałów, w jakich tony następują po sobie w naturze, wybraliśmy pewną tylko niewielką liczbę, wyłączając wszystkie inne i ułożyliśmy je w pewien ściśle określony sposób, odpowiadający upodobaniom naszego słuchu. Muzyka współczesna, a więc muzyka „Beethovena tonów“, obejmuje około siedem oktaw, każda po 13 tonów (gama chromatyczna). Muzyka żywego słowa ogranicza się, stosownie do rozpiętości głosu mówionego, na jednej tylko oktawie. Ale żywe słowo rozporządza w granicach tej jednej oktawy nietylko dwunastoma tonami oktawy muzycznej, ale wszystkimi w jej obrębie możliwymi interwałami, a więc dowolną i nieograniczoną ilością odcieni dźwiękowych, nie trzymając się ani ściśle określonych odstępów, ani matematycznie dokładnych wysokości tonów; żywe słowo nie zna ostrych granic między dźwiękami swoimi, ale przechodzi z jednego interwału do drugiego, podobnie jak dwa zasadnicze kolory na palecie malarskiej, jak światło w cień. Stosunkom stałym i absolutnym muzyki tonów przeciwstawione są stosunki niestałe i względne muzyki języka, tonom ściśle określonym i ostro rozgraniczonym, tony płynne, znane i w muzyce wokalnej — wspólnym wytworze muzyki i poezyi — pod nazwą *glissanda*. Innymi środkami, jak zmianą barwy tonu, tempa, dynamiki tonu („forte“ i „piano“), rozporządza muzyka języka na równi z muzyką tonów.

Dalsze zasadnicze różnice obu systemów muzycznych leżą w *rytmie*. Rytm polega na regularnem następstwie pewnych zjawisk dźwiękowych. Równocześnie z regularnością kilku takich zjawisk współistnieje jednak we wszystkich systemach rytmicznych nieregularność innych, stosownie do zwyczajów mowy potocznej. Dlatego każdy naród opiera system swój rytmiczny na odrębnych właściwościach dźwiękowych swego języka, a w każdym systemie inne zjawiska dźwiękowe są pierwiastkami do wytworzenia regularnej wrotności. Rytmika starogrecka była iloczasowa i służyła za podstawę „muzyki“ w znaczeniu starogreckiem, t. j. muzyki złączonej w jednym organicznym całokształcie z poezyą i z tańcem. Rytmikę tę iloczasową zatrzymała muzy-

ka współczesna, a uczeni niemieccy Westphal i Rossbach wykazali w fugach Bacha i sonatach Beethovena te same szeregi i grupy rytmiczne, jakie służą za podstawę odom Pindara i chórom Ajschylosa. Inaczej rozwinął się rytm po zróżniczkowaniu sztuk muzycznych w poezyi współczesnej. W językach nowoczesnych elementem rytmu nie jest iloczas *(quantum)*, ale bądź to ciężar rytmiczny (rytmika akcentowa), bądź liczba zgłosek (rytmika sylabiczna). Rytm języka operuje zatem także regularną wrotnością pewnych zjawisk dźwiękowych, ale innych zjawisk, niż rytm muzyki tonów.

Ta różnorodność zasadnicza podstawy rytmicznej stanowi niewątpliwie także o rozmaitem wrażeniu obu systemów muzycznych. Rytm iloczasowy muzyki tonów podaje nam z matematyczną ścisłością miarę czasu, a ucho nasze odbiera wrażenie regularnego podziału czasu, w którym się ruch dźwiękowy odbywa. Rytm języka, a w szczególności rytm języka polskiego, na wpół sylabiczny, a na wpół akcentowy, daje poniekąd także miarę czasu, ale abstrakcyjnie tylko. Miara ta usuwa się z pod wszelkiego ścisłego określenia i nie odpowiada bynajmniej matematycznemu podziałowi, t. j. rzeczywistej mierze czasu. Ze stanowiska taktu muzycznego, krok rytmiczny poezyi współczesnej, stopa jej rytmiczna, przypomina raczej — że użyję tu drastycznego wyrażenia Schumanna — chwiejny i niepewny chód pijanego człowieka. I w muzyce i w poezyi przewodnikiem rytmu jest materyał dźwiękowy w ruchu. Ale gdy w muzyce (instrumentacyjnej) materyał ten stanowią dźwięki nieartykułowane, zdolne do ściśle matematycznego podziału w czasie, materyałem dźwięków poetyckich są artykułowane zgłoski żywej mowy, z natury swej bardzo nierównomierne. Ta rozbieżność w zasadzie rytmu jest powodem, że słuchając muzyki żywego słowa w utworach poetyckich nie odbieramy zazwyczaj wrażenia taktów muzycznych, t. j. ścisłego podziału czasu w ruchu dźwiękowym.

Jeżeli więc mówimy o „muzyce“ w poezyi, to należy pamiętać przedewszystkiem o tem, że nie o muzykę Beethovenów i Szopenów tu idzie, ale o bliźnią jej siostrę, o muzykę żywego słowa, opartą na zupełnie odmiennym systemie. Nie tonami operuje wyobraźnia poety podczas pracy twórczej, ale materyałem poetyckim, którym są: myśli, uczucia i wyobrażenia. Zewnętrzną jednak, zmysłową powłoką tego materyału są wspaniałe szaty dźwiękowe mowy i dlatego całą też zmysłową piękność poezyi objawia nam dopiero czar żywego słowa, wskrzeszając, wyzwalając zaklętą w tej poezyi muzykę. Tak jest, zaklętą. Bo w martwem,

t. j. pisanem czy drukowanem słowie poetyckiem, tkwi nierozerwalnie i po wieczne czasy, choć jej żadne znaki optyczne, żadne „nuty“ nie ujawniają, muzyka żywego słowa, przeistaczająca nabrzmiałe uczuciem dźwięki mowy, zmieniająca gramatyczny i naturalny ich ustrój podniesiem tonu lub zniżeniem, wzmocnieniem lub osłabieniem, przedłużeniem lub skróceniem, napięciem lub rozluźnieniem, przygłuszeniem lub rozjaśnieniem. Muzyka ta tempem swojem, tętnem i rytmem, akordami rymów, wrotnością bliźnich dźwięków, przerwami i przestankami, tematami melodyjnymi i harmonią w następstwie swoich dźwięków, nie przemawia do oczu czytelnika, jeno do uszu słuchacza, działając sugestyą swoją słuchową, tylekroć potężniejszą od wzrokowej, na uczucie jego i wyobraźnię.

Tej to właśnie muzyki nieporównanym, niedoścignionym twórcą jest Słowacki, a jeżeli Krasiński nazywa go „muzykiem“, a poezyę jego „muzyką“, to słowa te pozornie tylko wydawać się mogą piękną przenośnią poetycką. W istocie trudno jednem słowem lepiej i trafniej wyrazić syntezę twórczości Słowackiego, a określenie Krasińskiego dlatego jest tak przedziwnie piękne, że jest zarazem przedziwnie prawdziwe.

Zrozumiemy więc może teraz, dlaczego brać nasza Apollińska z dziedziny muzyki tonów tak bezradnie stoi wobec poezyi Słowackiego, dlaczego wszystkie usiłowania i zabiegi „komponować muzykę“ do tej poezyi są daremne. Oczywiście dlatego, że muzykę tę już sam Słowacki skomponował, bo włożył w poezyę swoją nieprzebrane w swem bogactwie skarby przecudnych tonów melodyjnych, gotowych każdej chwili wyzwolić się i rozpłynąć w dźwiękach żywego słowa.

Wyczerpać te bogactwa, chociażby tylko suchem ich wyliczeniem, w szczupłych ramach niniejszego szkicu niepodobna, tem mniej rozpatrzeć je bliżej i zanalizować. Pracę tę, niezmiernie wdzięczną, zastrzedzbym sobie pragnął dla obszerniejszych studyów. Obejmować one będą przedewszystkiem rozpatrzenie zasadniczych pierwiastków dźwiękowych żywego słowa, jak je okazuje twórczość poetycka Słowackiego, a zatem teoryę jego rytmiki, analizę ścisłej a jednak tak niezmiernie giętkiej i ruchliwej budowy grup i szeregów rytmicznych jego wiersza, architektury dźwiękowej jego zwrotek, które matematycznym niemal rozkładem czasu, regularną wrotnością i proporcyą grup dźwiękowych zbliżają się do taktów muzycznych — za co je sam poeta uważał: „strofa winna być *taktem*, nie wędzidłem“ — rozpoznanie form jego rytmicznych, poddających się i wtórujących najsubtel-

niejszym odcieniom i tętnom uczuciowym, psychologię rozkładu przerw, przestanków i wcięć rytmicznych, przełamywania ich i zacierania, nieprzebrane bogactwo akordów rymowych i archaicznych form aliteracyi i asonancyi, a nadewszystko wykażą niezmiernie ważną rolę, jaka pierwiastkowi *akcentowemu*, temu właściwemu twórcy melodyi słowa poetyckiego, w każdej poezyi przypada, a w szczególności w poezyi Słowackiego.

Następnie idą figury *fonetyczne*, dzielące się na trzy dziedziny. Pierwsza obejmuje wymowę, która już w najstarszych literaturach klasycznych w ścisłym stała związku z poezyą. Ogólne prawidła wymowy, zebrane przez Arystoksenosa i Kwintyliana, dziś jeszcze pełną mają wartość. Posiadł Słowacki całą puściznę retoryki klasycznej, wszystkie jej figury krasomówcze i estetyczne, jak sam o tem wzmiankuje w „Beniowskim“ („Przypomniał sobie wszystkie z retoryki figury“), i nic z tych skarbów nie uronił, przenosząc je na glebę mowy ojczystej.

Druga dziedzina dotyczy pierwotnej i wrodzonej skłonności żywego słowa, za której sprawą dźwięk przystosowuje się do pojęcia. W ten sposób powstaje przez naśladownictwo zjawisk natury dźwiękami artykułowanymi języka obraz dźwiękowy jakiegoś momentu psychicznego. Zadanie to spełniają znane już tak dobrze w poezyi starożytnej figury *onomatopeiczne*, w których materyał dźwiękowy — w figurach retorycznych środkiem tylko będący do ścisłego określenia pojęcia—zlewa się za pomocą analogii lub proporcyi z pierwiastkiem pojęciowym w jedną, jednolitą, organiczną całość i podnosi wyraz na wyżyny symbolu, pozwalając nam, jak mówi sam Słowacki, „zajrzeć słowu w duszę.“

Dźwięk jednak, jako pierwiastek muzyczny mowy, może się oderwać od pojęcia, choć formalnie pozostanie z nim w związku. Wówczas powstają figury *eufoniczne*, dotyczące wyłącznie czystych pierwiastków muzycznych słowa, muzyki języka, bez względu na pojęcie. Do trzeciej tej dziedziny figur fonetycznych należy bogata galerya dźwiękowych obrazków rodzajowych, którą nas obdarzyła twórczość Słowackiego. I tu okazał się Słowacki nieporównanym, niedoścignionym wręcz muzykiem, jako poeta, pieszcząc nasze ucho i czarując naszą wyobraźnię wrotnością i kojarzeniem bliźnich dźwięków cudnego naszego języka.

Studya nad muzyką poezyi Słowackiego obejmować winny nakoniec właściwą *harmonikę* i *melodykę* jego poezyi. Należy tu szczegółowa analiza tematów melodyjnych, wykazanie niesłychanej rozmaitości tempa ich i tętna, muzycznych środków ciężkości, oznaczenie tonu (majorowego czy minorowego), architekto-

nika dźwiękowa za pomocą składni, zmiany szyku, przeplatanie melodyj w nawiasach i cudzysłowach, stopniowanie ich i urywanie, echa dźwiękowe, śmiech i płacz, cała skala uczuć w dźwiękach wyzwolona, od cichej skargi aż do głośnych wybuchów ekstazy. A potem te nieprzebrane skarby dźwiękowe, którymi Słowacki wzbogacił ojczysty swój język przez wprowadzenie obcych dźwięków ze wszystkich prawie języków, żyjących zarówno jak martwych, przez stylizowanie archaizmów, narzeczy, żargonów albo codziennej mowy potocznej; przez charakterystykę osób, epok i środowisk środkami czysto dźwiękowymi; cytaty z poetów swojskich i obcych, działające nieraz niesłychanie muzycznie; dyalogi i listy, wplecione w lirykę; rozmowę z czytelnikiem, któremu pozwala brać udział w koncepcyi myślowej, przekładając mu pytania i odpowiadając na nie w jego imieniu.

Krótkie to i niewyczerpujące bynajmniej wyliczenie już wskazuje, jakie skarby i bogactwa muzyczne zaklął Słowacki w swojej poezyi, jak żmudnej potrzeba więc pracy, ażeby je wszystkie wydobyć i do dźwięcznego powołać życia. Z konieczności ograniczę się tutaj na rozpatrzeniu drobnego tylko wyjątku z twórczości muzycznej Słowackiego, zastrzegając sobie dalsze badania w innym czasie i na innem miejscu. Wyjątek ten poświęcić chcę naśladownictwu zjawisk przyrody w poezyi Słowackiego, a to głównie dlatego, że właśnie w tej dziedzinie najłacniej, jak mi się zdaje, można wykazać, jakimi to szczytami wielkiej i prawdziwej sztuki kroczy jego twórczość, z jak szlachetnej i przeczystej krynicy czerpiemy wzruszenia i rozkosze nasze estetyczne, wsłuchując się w przecudną muzykę jego poezyi.

*

* *

Naśladownictwo zjawisk przyrody, to jeden z głównych środków, jakimi muzyka działa na wyobraźnię słuchaczy, jakimi wyraża swoje symbole, jakimi poddaje i sugeruje nam obrazy, uczucia i nastroje. Muzyka wytwarza naśladownictwo to w najrozmaitszych stopniach i odcieniach dokładności, począwszy od reprodukcyi głosów zwierzęcych i ludzkich lub odgłosów przyrody, tak łudząco wiernej, że słuchanie przemienia się w omamienie słuchacza, a skończywszy na lekkiej tylko *aluzyi* do rzeczywistości,

która nie dochodzi do świadomości nawet słuchacza, ale bezwiednie jeno działa na jego wyobraźnię. Otóż bezpośrednie naśladownictwo natury, przemieniające złudzenie w omamienie—że przypomnę analogię z dziedziny malarstwa: grona Zeuxisa—nie należy do sztuki, a *wartość estetyczna złudzenia stoi w odwrotnym stosunku do ścisłości naśladownictwa.* To, co w sztuce stanowi o złudzeniu i sprawia nam rozkosz estetyczną, to *przypomina* tylko rzeczywistość, a znamienną cechą tego złudzenia jest kontrast pomiędzy materyałem pierwowzoru a materyałem naśladownictwa; jest świadomość, że dzieło sztuki z innej jest materyi i za sprawą innych powstaje środków, niż odtworzone przez nie zjawisko przyrody. Jeżeli więc poeta sztuką instrumentacyi swej muzycznej potrąci tylko zdaleka o zjawisko natury, już można mówić o złudzeniu.

Środkiem naśladownictwa w poezyi jest słowo, ale myśl w niem zawarta, powiada sam Słowacki:

> ...w Etherze pływa,
> Przez piękne bardzo przelatując śnicia,
> Lecz później pismo, druk, tęcze obrywa
> Z kształtów...

W dźwiękach żywego słowa, jako w symbolach myśli i uczucia, zmartwychwstaje jednak zmysłowe piękno tych kształtów, obok sensu słów, dźwięk ich wywołuje owo estetyczne złudzenie, budzące w umyśle naszym dalekie na pół świadome wspomnienia.

Bezpośrednie naśladownictwo odgłosów przyrody muzyka odtwarza łatwiej, niż poezya, bo odtwarza je następstwem tonów, pozbawionych treści pojęciowej. Trudniejsze jest naśladownictwo słowami, które obok dźwięków wyrażają wszakże i myśli. Dlatego naśladownictwo takie w poezyi jest już z góry ograniczone do aluzyi niejako, do lekkiego tylko potrącenia o rzeczywistość, dalekiego jej przypomnienia, do wywołania w wyobraźni słuchacza nie obrazu wiernego, ale raczej nieuchwytnego tylko widma zjawiska przyrody. Ilekroć poeta przekroczy te niezmiernie subtelne granice i pokusi się o bezpośrednie naśladownictwo, tylekroć staje się równie nieudolnym, jak banalnym reproduktorem natury.

Najbardziej zdatnym materyałem do naśladownictwa odgłosów przyrody lub krzyków uczucia, bezpośrednio z piersi ludzkiej wydartych, są wykrzykniki (interjekcye). Rdzenne te brzmienia mowy, to prymitywy dźwiękowe, spokrewnione blisko z dźwiękami przyrody, samymi przez się zrozumiałymi. Prymitywy takie

są zawsze ostrym i ścisłym wyrazem pewnej treści, ale nie rozwinęły się i nie ukształtowały w wyrazy. Nie są to jednak bezwiednie z duszy ludzkiej wydarte nieartykułowane krzyki uczucia, ale owszem dźwięki artykułowane, które w szorstkich i ostrych skrótach odtwarzają moment jakiś psychiczny i, wyręczając niejednokrotnie słowo, towarzyszą gestem niejako dźwiękowym mowie. Naprzykład:

Z „Balladyny".

Jedna za drugą *pyrr... pyrr...* lecą z gniazdek.

Z „Lilly Wenedy".

...tylko psy żałośnie wyją,
Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun...
Hau!... Hau!... bogdajbyś zdechł! bogdajcie piorun!
Hau!... Hau!... czy w panu swoim wąchasz trupa?

Z „Beniowskiego".

Wielbłądy wstały na panów chrapanie:
Krz! Krz!

Z poematu „Do autora skarg Jeremiego".

Jeżeli drogę tęczami znacząc
Wyżej poleci i tonie w mgłę,
To ty, baranek, stajesz i płacząc
Wołasz: *We! We!*

To echowe odgłosy zwierząt lub zjawisk przyrody.

Następujące przykłady dają bezpośrednie naśladownictwo wyrazu uczuć ludzkich i wskazują niejako symbolicznie na wstrząśnienie organizmu naszego:

Z „Niepoprawnych".

Czuję dreszcz — *prru!* ściętym od mrozu!

Z „Balladyny".

Grabiec (poziewając):
A! A! A! cudy...

Z „Lilly Wenedy".

Prrr... aż mi zimno... Cóż to są za mary?

Z „Beniowskiego".

Ach takem ja śnił — lecz na piramidzie,
Tfu! — odebrałem list, że zamąż idzie.

Oto najbardziej bezpośrednie naśladownictwa odgłosów przyrody, u Słowackiego wyjątkowo tylko spotykane.

Właściwe mistrzostwo poety leży gdzieindziej, bo właśnie w dziedzinie owego lekkiego, powiewnego jakby przejrzystą gazą osłoniętego złudzenia słuchowego, którego klasyczną sztuką jest poezya liryczna. Instrumentacya jej dźwiękowa jest bez porównania subtelniejsza i wytworniejsza od instrumentacyi w muzyce tonów. Rozporządza Słowacki w warsztacie swoim instrumentacyjnym wszystkimi niemal środkami i narzędziami muzycznemi, jakie posiada muzyka tonów, ale w miniaturowem i nader subtelnem wydaniu, a doborem dźwięków i szmerów, następstwem, wrotnością i ustosunkowaniem samogłosek i współgłosek, rytmem i tempem, siłą, wysokością i barwą uczuciową tonu, rozmieszczeniem przerw i akcentów, miłodźwiękiem i dysonansem, wytwarzać umie z nieporównanem mistrzostwem odpowiedni treści nastrój, podobny do tego, jakim na umysły wrażliwe działa symfonią dźwięków swych i szmerów przyroda sama.

Oto przykładowo kilka okazów z bogatej galeryi obrazów dźwiękowych Słowackiego:

Słyszysz jak szumi puszcza wesoła,
Jak po gałązkach sosen, leszczyny,
Zlatują na dół śpiewne ptaszyny,
Złociste wilgi, gile, słowiki,
(*Balladyna*).

Krwawego z pod grobu trupa,
Za którym czarna wron kupa.
(*Sen srebrny Salomei*).

Zębami szczękał, kościami klekotał.
(*Rozmowa z matką Mokryną*).

Jak wąż z bólu pod żelazem ksykał.
(*Mazepa*).

...a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy.
(*Grób Agamemnona*).

Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka.

I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali.

...i kiedy z góry
Słychać jakby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł, jak stare szatry.
(*Beniowski*).

Naśladownictwo ruchu rytmem odczuwamy w następujących obrazkach:

Przodem lecąc iskry ciska —
(*Balladyna*).

I tam, jak za serca zgubą
Tęsknię, słysząc na torbanie
Śpiew i tańców tupotanie;
(*Sen srebrny Salomei*).

Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Jakgdyby serce ludu w kamień biło.

Tak w takt opada, tak się w takt podnosi...
(*Beniowski*).

Naśladownictwo układem, zbliżeniem, wrotnością, równą miarą wyrazów, albo tempem mowy:

I kichali — kichali — mój nos w nos waćpana.
(*Balladyna*).

I tylko kopyt iskrzyska,
Gdyśmy podkowa w podkowę
Za naszym wodzem lecieli.
(*Sen srebrny Salomei*).

Ale płomyk świecy przez różowe szpary
Białych paluszków, jak z róży kielicha
Błyskał i gasnął, to błyskał, to gasnął.
(*Balladyna*).

I tam stali ludzie w szyku równi,
Równi, zimni, biali, jako groby.
(*Lilla Weneda*).

Tu kawalerya się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula ponad uchem
Gwiżnie — i znów się prostuje, gdy minie.
(*Beniowski*).

Jeżeli naśladownictwo nie jest bezpośrednie, ale uzmysłowia pokrewieństwo dźwięku z pojęciem, wówczas wznosi się do obrazów symbolicznych:

...Słowa jego wonne
Przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha.
(*Balladyna*).

Ot, wstań z trumny, bo trup się tam pod tobą wzdryga.
(*Mazepa*).

Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy.

Wróbel wesołym witał świegotaniem.
(*Beniowski*).

Jak z jednej strony dźwięk, jako pierwiastek muzyczny mowy, w figurach onomatopeicznych przystosowuje się do uczuć i wyobrażeń naszych, tak z drugiej strony potrafi się on także oderwać od pojęcia, choć formalnie pozostanie z niem w związku. Wówczas powstają figury muzyczne, oparte wyłącznie na czystych pierwiastkach muzycznych słowa, bez względu na pojęcia. Wprowadzając konsonancye, t. j. dźwięki identyczne lub pokrewne, zwracamy jednak uwagę na pojęcie, podnosimy jego wrażenie i wyrazistość. Regularne powtarzanie pewnych dźwięków sprawia nam przyjemność, ale nie zwraca bynajmniej naszej uwagi. Słuchając tęten rytmicznych, akordów rymowych, dźwięcznych wtórów aliteracyi i asonancyi, równomiarowego podziału mas dźwiękowych na zwrotki, możemy się łatwo o tem przekonać.

Nieregularne natomiast powtarzanie bliźnich dźwięków czyni dwojakie wrażenie. Odczuwamy je jako przeszkodę, jeżeli odbywa się bez przyczyny, bo nieumotywowana wrotność odrywa uwagę naszą od właściwego przedmiotu. Jeżeli jednak łączymy ze sobą wyrazy jednego szczepu, świadomie i celowo, za pomocą przypadkowo bliźnich dźwięków (co już wymowa klasyczna znała pod nazwą: „annominacyi"), wówczas wrotność taka łechce nasze ucho niemniej, jak naszą wyobraźnię. Np.:

...Jestem tu *przelotem*
Przelatujący anioł...
(*Niepoprawni*).

O straszny *Boże burz* —
(*Poeta i Natchnienie*).

I słychać było pod nim *rżące źrebię*...

Już jeden krzesał ognia, który *czyści*
W czyśćcu.
(*Beniowski*).

Gdy w środku rożna tłuszcz *skwarnymi* głosy
Skwierczy z miedzianych lamp...
(*Król Duch*).

Porwałem trupa i rzuciłem straży
Aby go wzięła na żelazne *zgrzebła*
I tam gdzie *grzebią* zarażonych *grzebła*.
(*Ojciec Zadżumionych*).

Często używa poeta zwrotów pleonastycznych i tautologicznych nie w innym celu, jak tylko na to, ażeby przez bliźnie dźwięki uwydatnić w sposób muzyczny pojęcia.

Daleko, słychać, wiejski *dzwon* kościelny
Zadzwonił...
(*Jan Bielecki*).

Których *czuciem czuć* nie można...
(*Książe Niezłomny*).

Miecze te, powiada, *bolu*,
Bolące w Panu Jezusie, —
(*Ks. Marek*).

Potęguje się wrażenie, jeżeli bliźnie dźwięki idą parami, a charakter naśladowniczy leży w zetknięciu bezpośredniem poszczególnych wyrazów:

Serce przy sercu i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni.
(*Beniowski*).

Jako krew na krwi, i sito na sicie,
Błoto na błocie, warkocz na warkoczu.
(*Zborowski*).

Albo kiedy wyrazy identyczne przeciwstawione są sobie pojęciowo:

Za wiatr — wiatr, za słowo — słowa.
(*Ks. Marek*).

Powtórzenie czysto dźwiękowe służyć może li tylko do podniesienia obrazowości, jak np.:

W chmurze świszczące *śrotu*
Śród dwóch rumaków wiszący.
(*Sen srebrny Salomei*).

Jako *Elektra*, weszła, *elektrycznie*
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie.
(*Beniowski*).

Muzycznie nastrojowo działają bliźnie dźwięki, kiedy i pojęcia dotyczące spokrewnione są ze sobą:

Dumająca nad *dumkarzem*...
(*Sen srebrny Salomei*).

Nastrój potęguje się dramatycznie, kiedy wrotność jest zarazem stopniowaniem myśli lub wyrazem akcyi:

Czemu nie było mnie tam na Golgocie,
Zbawiłbym Zbawcę...
(*Balladyna*).

Krzyczy, grzmi, *wietrzy — zwietrzył*
Mnie za tą firanką...
(*Mazepa*).

Zmysłowa piękność wrotności bliźnich dźwięków, jako efektu czysto muzycznego, który w językach nowoczesnych zastępuje poniekąd śpiewność naturalną języków klasycznych, gdzie matematycznie ścisła i stała miara metryczna obejmowała ciało dźwiękowe słowa w całej jego pełni, nie jest oczywiście wynalazkiem Słowackiego. Każdy wybitny liryk nowoczesny z mniejszą lub większą sprawnością grał na tym instrumencie, a już Voltaire widział w nim istotny i nieodzowny pierwiastek poezyi nowoczesnej. *Nous avons un besoin essentiel de retour des mêmes sons*—powiada on—*pour que notre poésie ne soit pas confondue avec la prose.* („Mamy istotną potrzebę wrotności dźwięków identycznych, ażeby poezyi naszej nie brano za prozę"). Lecz kto uchem czyta Słowackiego i wsłuchiwać się umie w cudnie piękną muzykę jego języka, kto ją, wyczuwając, odgadnąć potrafi, ten poznać musi, że mistrzostwo muzyczne poety w tej właśnie dziedzinie najwyższych sięga szczytów. Niepodobna wyliczyć nawet wszystkich warjantów i kombinacyj, w jakich na każdej karcie poezyi Sło-

wackiego efekty muzyczne, na wrotności bliźnich dźwięków polegające, występują. Podziwiać trzeba nietylko niezmierny wdzięk, z jakim poeta pokonuje wszystkie trudności językowe, ale niesłychane przedewszystkiem wirtuozostwo, z jakiem tych samych figur używa do wywołania efektów zarówno poważnych i dramatycznych, jak i komiczno-groteskowych. W igraszce, przechodzącej nieraz w istne żonglerstwo słowami, wzoruje się Słowacki na Szekspirze, ale przewyższa go, zdaniem mojem, szlachetnością formy i brakiem przesadnego nagromadzenia, przechodzącego u Szekspira nieraz w banalność. Oto z tysięcy przykładów kilka charakterystycznych:

Ach, bądź mi wiernym! błagam cię! *zaklinam!*
Na twoje własne szczęście! ach! *zaklinam!*
Bo *zginiesz* luby — nie — razem *zginiemy!*
Ale ty *zginiesz* także, gdy ja *zginę*,
Więc nie chcę *zginąć*, abyś ty nie *zginął*.
(*Balladyna*).

Panie *Grabku! Grabiątko*, niech *Grabiec* pamięta,
Że jutro *grabim* siano — pomóż *Grabku grabić*.
(*Balladyna*).

...Patrzcie, jak Lech rycerz
Żonie danego dotrzymuje *słowa*.
Ja w *słowie* jego zaufana święcie
Na jego *słowo* dałam moje *słowo*;
Teraz on swoje święte *słowo* łamie.
(*Lilla Weneda*).

Tak, jestem *Salmon*, *Salmon* bez wątpienia,
Zaczarowany *Salmon*, lepszy *Salmon*,
Niż tamten *Salmon* niezaczarowany,
Jestem *Salmona* dusza w innem ciele.
(*Lilla Weneda*).

...Niechaj wrośnie wszystek
W *płaczącą* wierzbę, korą się odzieje,
Niech się na drzewie skłoni każdy listek,
Jakoby smutny przewinieniem spadał
I *płakał*... Luby, gdy cię tak zobaczę,
Że będziesz *płaczem* na *płacz* odpowiadał,
To będę *płakać*, ach! że wierzba *płacze*.
(*Balladyna*).

...Gil, wróbel i dzierzba
Śpiewały na grabinie — a on rzekł: jam *wierzba*.
Nuż z niego kręcić dudy. Smyknęła dziewczyna!
Cha! cha! cha! *wierzba*, *wierzbie*, *wierzbiątka*, *wierzbina*.
(*Balladyna*).

Kto tu urąga się z Bożego ducha?
Kto tutaj *słysząc*, nie *słyszy* i *słucha*?
(*Beniowski*).

— I oto *pierwsza* pod falą umarła,
Z pereł *pierwszych* w *najpierwsze* przemieniona róże,
Na *pierwszym* krzyżu, który *pierwszy* był w naturze,
Umarła...
(*Zborowski*).

Ów zamek wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic-*pół*, *pół*-król, *pół*-kato,
Pół-waryat, a *pół*-syn Cezarów Romy,
Maleńki starzec, *pół*-łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę, *pół*-anioła.
(*Beniowski*).

Jeżeli kilka głosów muzycznych wyłania się to tu, to tam, w nieregularnych odstępach, a zwróciwszy na siebie uwagę słuchaczy, umyka znowu, to muzyka tonów figurę taką nazywa *fugą* (ucieczką), a estetyka muzyczna uważa ją za twórczynię melodyi Melodya, to miłodźwięczne następstwo tonów, w istocie swej czysty wyraz uczucia — muzyka niejako w muzyce. Tony poszczególne zgadzać się muszą nietylko same w sobie, ale i w kolejnem swem następstwie z charakterem i nastrojem danego uczucia. W fudze muzycznej tkanina melodyjna składa się z co najmniej dwóch przeplatających się wzajemnie głosów, które główną melodyę rozmaitymi sposobami naśladując, gonią się ustawicznie i umykają przed sobą, tak, że rozwiązanie, spokój, przypada dopiero na sam koniec. Estetyczne jednak wrażenie fugi muzycznej polega na tem, że każda grupa tonów jest organiczną częścią całości, wiążącą się z głównym tematem w sposób lekki i niewymuszony, podobnie jak konary i gałęzie z pniem.

Czy można podobną figurę muzyczną odtworzyć w muzyce języka, skomponowanej na jeden tylko głos? Jeżeli malarstwo za pomocą światło-cienia odtwarza z całą wyrazistością plastykę postaci na płaszczyźnie, dlaczegożby muzyka języka nie umiała za pomocą rozmaitej modulacyi i rozmaitych barw dźwiękowych

żywego słowa dać nam w jednym głosie obraz dźwiękowy, projekcyę niejako, wielogłosowej fugi muzycznej?

Oto przykład, jak zadanie takie rozwiązuje geniusz muzyczny Słowackiego — opowiadanie Grabca z „Balladyny“:

Mój *tata grał na dudach*; pięknie *grywał* pjany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą *golił*,
Golił i *grał na dudach*, bo *golił* w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę, a miał taką cnotę,
Że nie pił, kiedy *golił*, a pił kiedy *grywał*.
I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut zaśpiewał,
I ojciec mój małżeństwem z żoną los zespolił,
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs *ogolił*,
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Żona *grała na dudach*, a tatuś był *duda*.
Grała więc po tatusiu i dopóty *grała*,
Aż go na cmentarzysku wiejskiem pogrzebała.

Analiza tego ustępu, wedle przytoczonej estetyki muzycznej, przedstawia się tak:

Najprzód idzie temat główny (fundament fugi), który wraca ciągle w rozmaitych naśladownictwach, waryantach i odcieniach. Tematem tym jest ustęp: „Mój tata grał na dudach.“ Kontratematem (czyli odpowiedzią), przeplatającym temat główny, motyw: „golił.“ Temat główny wraca 8 razy w następujących przemianach i odcieniach:

pięknie grywał pjany,
grał na dudach,
na dudach grał w niedzielę,
pił kiedy grywał,
Żona grała na dudach,
tatuś był duda,
Grała więc po tatusiu,
dopóty grała.

Kontratemat „golił“ wraca 4 razy:

golił,
golił w sobotę,
nie pił kiedy golił,
ojciec wąs ogolił.

Nie brak dalej i t. zw. „pośredniej harmonii,“ t. j. motywu przerywającego gonitwę obu głównych tematów i wyłaniającego

się wtedy, kiedy tematy te milkną. Motyw ten wprowadza do fugi rozmaitość, odmianę. W przytoczonej fudze poetyckiej występuje taka harmonia pośrednia dwa razy w motywie: „I wszystko szło jak z płatka.“

Ostateczne rozwiązanie poprzedza formalna „stretta“ muzyczna, gdzie temat główny czterokrotnie w przyśpieszonym tempie w błyskotliwych przemianach się przewija — istne żonglerstwo dźwiękami:

Żona grała na dudach, a tatuś był duda,
Grała więc po tatusiu i dopóty grała —

ażeby rozpłynąć się spokojnie w zakończeniu:

Aż go na cmentarzysku wiejskiem pogrzebała.

Juliusz Tenner.

SZTUKA WE FRANCYI.

Najmłodszy z paryskich Salonów sztuki — Salon Jesienny, który, jak się zdawało, postawił sobie za zadanie stać się bezstronnym łącznikiem pomiędzy sztuką dziś uznaną, a t. zw. „sztuką przyszłości,“ czyli kierunkami mniej lub więcej ekscentrycznemi modernizmu, i wskazywać zarazem związki tych ostatnich z przeszłością, przez urządzanie wystaw retrospektywnych, przybiera obecnie coraz bardziej charakter wojujący, na sposób Salonu Niezawisłych, którego przedstawiciele dają tutaj nutę dominującą. Widzimy więc tu, obok pewnej liczby produkcyj banalnych i akademickich, wyzywające dzieła artystów rewolucyjnych z zasady, które, będąc na to umyślnie obliczone, rzucają się też przedewszystkiem w oczy z pewnem natręctwem. Ale zwiedzający te Salony od lat kilku, nawykli już do tego widowiska i, jeżeli dawniej mogli się dziwić, oburzać lub szukać rozwiązania zagadek, które im zadawano, to obecnie zobojętnieli dla nich, widząc, że ta jakoby wielka oryginalność i niezależność jest przeważnie tylko innego rodzaju szablonem i że w tych zagadkach kryje się albo nicość i blaga, albo chorobliwa autosuggestya, pod wpływem pewnych teoryj, a nawet haseł i dążności społeczno-politycznych, które, za pośrednictwem szczególnie zdeformowanych umysłów znalazły odbicie w najmniej dla nich dostępnej sferze sztuki. Poszukiwanie za wszelką cenę teoryj nowych, podkopujących zasadnicze jej podstawy, jest nie czem innem, tylko jedną z form zwalczania tradycyi—charakterystyczny objaw ducha czasu. Dążenie do zerwania z tradycyą jest wogóle nietylko szkodliwą aberracyą, ale i nonsensem, ponieważ, byt ludzkości w ciągu wieków stanowiąc nierozerwalne pasmo, którego każdy okres następny jest wynikiem poprzednich, zerwanie węzłów łączących

chwilę dzisiejszą z przeszłością od człowieka nie zależy i możliwem nie jest. Tradycya zaś jest tej nierozerwalności wyrazem, dzięki któremu przechowały się i doszły do nas duchowe zdobycze przodków. Zerwanie tedy i zaginięcie tradycyi musiałoby sprowadzić zanik cywilizacyi, zdziczenie, powrót do barbarzyństwa. Jeżeli jednak nienawiść tradycyi, tłómaczy się do pewnego stopnia w sferze społeczno-politycznej bezmyślną i wynikającą z niezrozumienia przeszłości demagogiczną do niej niechęcią dzisiejszej radykalnej demokracyi, to w dziedzinie sztuki powody takie nie mogą istnieć, a zwalczanie tradycyi jest bardziej jeszcze nieuzasadnionem. Demagodzy sztuki rozumieją to i, aby uniknąć śmieszności, występują pod hasłem walki z akademizmem i rutyną i mieliby w tem zupełną słuszność, gdyby pod tym pozorem nie podkopywali tradycyi. Przez nazwę akademizmu rozumiemy szablon, narzucony sztuce i odbierający jej życie i charakter oryginalny, a więc całą jej wartość, gdy tradycya przekazuje nam w dziełach mistrzów jej pierwiastki zasadnicze, na których podstawie rozwinęła się stopniowo i dosięgła w pewnych okresach najwyższego wyrazu.

Akademizm zatem, pomimo, że wypływa z form tradycyjnych, nie jest tradycyą, lecz jej skażeniem. Ale moderniści, w pogoni za oryginalnością, rozmyślnie, czy bezwiednie pomięszali jedno z drugiem i, zrywając z akademizmem, oddalili się jednocześnie od tych form zasadniczych sztuki tradycyjnej. Wyobrazili sobie oni, że wystarcza dać swym produkcyom cechy przeciwne akademickim, aby z nich uczynić dzieła sztuki i stąd to powstały owe dziwolągi, wymagające, dla zrozumienia intencyi, czy też nastroju ducha ich twórców, szczególnych komentarzy, których dostarczyli sofistyczni apologiści „sztuki przyszłości.“ W tem wszystkiem jest dużo naiwnej pychy, skutkiem wmówionej wielkości, nie mniej szarlataneryi, niezbędnej dla utrzymania się na wysokości owych sztucznych i napuszonych pochwał, wreszcie łatwość ukrycia braków i nieumiejętności pod pozorami rozmyślnego niedbalstwa i niedołężnej prostoty, przez podanie ich za cechy geniuszu i nowe, niezależne formy sztuki, do których pojmowania ludzkość dzisiejsza jeszcze nie dorosła. Coraz bardziej gorączkowy pośpiech, cechujący wszelką czynność obecnych pokoleń, chęć uchodzenia za mistrzów w oczach cudzych i własnych przed nabyciem gruntownej znajomości środków uprawianej sztuki, wymagającem mozolnego i długoletniego trudu, a także zastój (lub konkurencya) w handlu wytworami sztuki, zmuszający do poszukiwania nowych artykułów, któreby zwracały uwagę,

chociażby swem dziwactwem, w czem pomysłowi przekupnie znaleźli pomoc u pewnych krytyków, potrzebujących sytuacyi i wyrabiających sobie reklamę przez wynajdywanie i ogłaszanie światu niezrozumianych geniuszów — oto początek powstania owych kierunków ekscentrycznych w sztuce dzisiejszej. Z drugiej strony, do ich krańcowości przyczyniły się także, jak wyżej zauważyliśmy, kiełkujące obecnie idee społeczno-polityczne i, skądinąd jeszcze, obrzydzenie i przesyt, jakie wywołać musiał swą bezduszną banalnością rutyniczny akademizm.

Jeżeli wierzyć można szczerości wywodów teoretyków i komentatorów, pomimo ich pretensyonalnej frazeologii, modernizm w sztuce współczesnej, o ile nie jest prostą szarlataneryą i drwieniem z podziwu gapiów, ma też pewien charakter religii, gdyż posiada kult—brzydoty, i świętych czy też proroków: Cézanne'a, Gauguina, Van Gogha, de Toulouze-Lautrec'a i t. p. Ma też wyłączność sekty, jej ducha opozycyi i niszczycielstwa. Jej wyznawcy przekonani są, choć nie tyle mówią to wyraźnie, ile dają odczuć między liniami i w swych produkcyach, że sztuka zaczyna się dopiero od nich, że wszystko, co nie poddaje się ich dogmatom, jest bez wartości. To nie przeszkadza im jednak uznawać niektórych znakomitości dawniejszych, z tem wszakże zastrzeżeniem, że tylko oni prawdziwe ich znaczenie dobrze pojęli.

Tem więc tłómaczą się ich wystawy retrospektywne, przez które, prócz powyższych patentowanych ich patronów, oraz ojców impresyonizmu, przeszli: Ingres, Courbet, Manet, Monticelli, El Greco, a w ostatnim Salonie: *Corot* — „malarz figur," malarz niemiecki *Hans von Marées* i holenderski—*Ten Cate.*

Ostatni Salon Jesienny nie odznaczył się niczem wybitniejszem ani w kierunku dodatnim, ani w ujemnym, ale cechą jego więcej uderzającą, którą zaliczyć trzeba do objawów tej ostatniej kategoryi, była niezmierna pospolitość i odrażający materyalizm koncepcyi i form, z intencyami symboliczno-filozoficznemi lub bez nich, albo wprost pornografia. Dodajmy, dla zadośćuczynienia słuszności, że wśród artystów, uprawiających sztukę tego rodzaju, przeważają, jeżeli nie przedstawiają jej wyłącznie, cudzoziemcy, a więc jedynie na karb Francuzów włożyć jej nie można. Charakter taki miały tam nietylko produkcye drugorzędne i pośledne, ale i dzieła artystów prawdziwych, jak grupa symboliczna p. *Sudbinina* „La Vie bestiale usant l'humanité" i, więcej bezpośrednio,—skądinąd ciekawe i znaczące duży postęp w poczuciu form i koloru obrazy p. *van Dongen.* Szczęściem, były tam również prace godne uwagi z innych względów. P. *Marerod*

powtarza swe studya typów hiszpańskich, którym umie nadać akcenty szczególnie oryginalnej siły w charakterze i wyrazie, w sposobie interpretacyi natury ostrej, energicznej i bezpośredniej, z podkreśleniem rysów najwybitniejszych nieco przesadzonem, ale bez niedołężnych deformacyj większości towarzyszów, bez ich grubijaństwa i ociężałości. Przy tem samem traktowaniu potrafi on odtworzyć typy o rysach pospolitych lub silnie zaakcentowanych, o dzikim wyrazie instynktownych namiętności, i piękne twarzyczki o delikatnym owalu i łagodnem lub figlarnem spojrzeniu, jak w obrazie, przedstawiającym kobiety andaluzyjskie. P. *Guéroult* przedstawił się bardzo korzystnie ze swemi studyami koni i amazonek, w żywych, dobrze zaobserwowanych ruchach. Tryptyk „Sang et sable“ p. *Vazquez-Diaz* daje ciekawą w szerokich plamach barwnych i wielkich masach stosunków wywołaną wizyę scen pobocznych z walki byków, a więc: torreadorów szykujących się do wejścia na arenę; siodłanie koni i w ostatniej—trupy biednych zwierząt wyciągnięte na piasku areny, z przebitemi wnętrznościami. Dalej, zwracały uwagę swemi zaletami malarskiemi wnętrza p. *Ottmanna*, sceny takież, z rodzaju „intimiste“ p. *Durenne*. P. Bernard *Boutet de Monvel* trzyma się dalej w tonach ciemnych, do których przerzucił się od zbytniej jaskrawości. W obrazach, tutaj wystawionych, szuka on wyrazu w szarzyźnie i monotonii widoków podmiejskich, w zimowem obnażeniu niewdzięcznej natury, które to wrażenie smutku i nudy podnosi jeszcze rozmyślnie, jak w „Promenade d'un pensionnat,“ szeregiem czarno ubranych dziewcząt, posuwających się prostą linią horyzontalną i równoległą szeregowi szkieletów drzew, jednakowo przyciętych i rozstawionych w równych odstępach. Rzecz dobra w charakterze, zwłaszcza w rysunku i stosunkach wartości, ale niemiła z powodu swej szarzyzny zbyt suchej, czarno-białej, zaledwie zabarwionej, na którą nie złożyła się, jak w naturze, cała gamma barw, stapiających się w jeden ton ogólny, ale zawsze dostrzegalnych. P. *Simon-Bussy* dąży do coraz większego wyrafinowania form i delikatnych stosunków barwnych, ale czyni to niestety z poświęceniem atmosfery i stosunków perspektywy. Jego dzieci w obrazie portretowym mają wdzięk i nikłość kolorów jasnych i delikatnych, ale są sztywne, bez życia. Akcesorya traktowane tak samo, jak figury, odejmują im ich znaczenie główne w obrazie, zwłaszcza, że przedmioty z dalszych planów — szpaler róż—malowane bez perspektywy powietrznej, występują naprzód. Te błędy rozmyślne rażą tembardziej, że scena przedstawia się na otwartem powietrzu. Pominąwszy to wszystko, dzieło p. Bus-

sy ma swój wdzięk, który może się podobać i zalety dekoracyjne, przypominające nieco japońszczyznę.

Panny *Delasalle* nagość kobieca, odznaczająca się zarówno siłą i powagą wykonania artystycznego i stylem szlachetnym w uproszczeniu kształtów i tonów, silnie odbijała swem pięknem rzeczywistem od wstrętnych, śmiesznych i brutalnych nagości szarlatanów modernizmu. Uwagę zwracały również odnowioną, szeroką i oryginalną techniką ciekawe studya, w tonach szarych, zielonych i różowych, podług scen, granych przez słynną Sada-Jacco, malowane przez p. *Bunny*. P. *Lavery*, zaszczytnie znany skądinąd, dał tutaj pracę—portret amazonki—nieco mniej szczęśliwie udaną. O talencie p. *d'Espagnat* wnioskować można nader korzystnie z szeregu kompozycyj pejzażowych, traktowanych oryginalnie i artystycznie, pomimo pewnej monotonii wynikającej ze zbyt jednakowej szarzyzny ich tonu ogólnego i nadto widocznej techniki. Niezmierną świeżością koloru, wdziękiem i trochę wyrafinowanem pięknem figur kobiecych i ich ruchów, oraz ciekawym rodzajem natchnienia, o charakterze nieco religijnym, w którym znać transpozycyę uczuć renesansowych do form dzisiejszych, pociągały oko kompozycye p. *Marinot*. Kompozycye pp. *Cauvy* i *Manzana-Pissarro* mają — każda w swoim rodzaju — zawsze w tym samym stylu oryginalny charakter barwnie dekoracyjny. Pan *Desvallières* dał bardzo indywidualnie traktowane portrety, pewnie najlepsze na tej wystawie, i piękne martwe natury, szczególniej kwiaty.

Martwa natura, kwiaty i owoce, wogóle często przez nowatorów wszelkich kierunków uprawiane, bo najłatwiej do nich stosować ekscentryczne teorye, przedstawiały się też w tym Salonie Jesiennym bardzo licznie. Do najlepszych w tym rodzaju zaliczyć trzeba, prócz obrazów wyżej wymienionego *Desvallières'a*, prace pp. *Henryka Matisse*, *Karola Guérin*, *Laprade'a*, *Tristana Klingsora*, *Dézirê*, *Drésu*, *Ghéon*, *Lopisgich*, *Abel-Truchet*. Obok martwej natury, najlepiej wyglądał pejzaż w pracach pp. *Harton*, *Maufra*, *Prunier*, *Taquoy*, *Paillard*, *Morrice*, *Csok*. O bardzo wielu innych mówić nie warto.

Oddzielna wystawa *Steinlena*, ukazując całość jego twórczości w zgromadzonych rysunkach i akwafortach, zwyczajnych i na skórze, dała nowe świadectwo znanego już nie od dzisiaj oryginalnego talentu tego illustratora życia przedmieść i nędzy występnej o natchnieniu i charakterze naturalistycznym w rodzaju Zoli. Dział włoski, prócz nielicznych produkcyj oryginalnych, przedstawiał zbiór banalności, taniego wirtuozowstwa i naśladow-

nictwa najgorszego rodzaju konwencyonalnej elegancyi francuskiej, szczególnie kontrastujących z grubijańską potwornością ekscentryków nowej szkoły i z ciężką nieco i niezgrabną symboliczną powagą sztuki niemieckiej w dziełach *Hansa von Marées* 1837—1887. Malarz ten, wogóle mało znany, przy technice dość prymitywnej, ale naiwnej, szczerej i bezpośrednio odtwarzającej naturę, bez żadnych sztucznych upiększeń i rafineryi, bez żadnej elegancyi, był artystą miary niezwyczajnej. Jego natchnienie jest nawskroś romantyczne, pomimo pewnych dążności do tematów klasycznych, które wyraża środkami romantycznymi, jak współczesny mu *Boecklin*, z którym ma wiele duchowej wspólności. Podobnie jak Boecklin, a nawet więcej, choć nie taki sławny, Hans von Marées wywarł duży wpływ na rozwinięte w pokoleniu następnem bardzo silnie niemieckie malarstwo symbolistyczne, którego najprzedniejszym przedstawicielem jest malarz monachijski *Stuck*. Do sformowania talentu Hansa von Marées przyczyniły się znacznie jego podróże, najpierw do Holandyi, gdzie uległ wpływom Rembrandta, które odbiły się w jego portretach, tutaj wystawionych—jego własnym wspólnie z portretem Lenbacha w młodym wieku. Podróż do Włoch — Wenecyi i Rzymu, wpłynęła nań w kierunku Odrodzenia. W Hiszpanii, El Greco wywrzeć na nim musiał swą ponurą, tajemniczą poezyą, niezatarte wrażenie, którego ślady znajdują się w jego technice i rodzaju natchnienia. Wreszcie i Delacroix nie był mu obcym. Razem wziąwszy, Hans von Marées przedstawia się jako artysta surowy, niezupełny, ale niepospolity, silniejszy duchem, niż wykonaniem. Twórczość jego ma w sobie coś z geniuszu, który z trudnością przebija się poprzez grubą i niewdzięczną materyę. Zresztą obrazy jego wystawione w Salonie Jesiennym, nie charakteryzują dostatecznie jego twórczości, której największem pewnie arcydziełem jest wielki fresk, wykonany w bibliotece stacyi zoologicznej w Neapolu, na wzór i środkami mistrzów początkowego Odrodzenia.

Trudno o większe oddalenie od koncepcyj modernistycznych, jak to, które dzieli od nich twórczość, subtelną w swym szczerym realizmie pejzażysty *Ten-Cate*. Widoki i nastroje, malowane przezeń ze szczególną predylekcyą, należą przeważnie do stref północnych — Holandyi i Norwegii lub mglistych wybrzeży północnej Francyi. Atmosfera przesycona wilgocią, niebo ciężkie, nizkie, ołowiane, wydmy puste i ogołocone brzegów morskich—to przedmiot ulubiony jego obrazów, w którym znajduje nastroje nieco ponurej melancholii i sposobność wywołania pięknych, sub-

telnych i ciekawych harmonij barwnych. Podobnym charakterem odznaczają się jego efekty nocne z ulic Paryża lub małych miasteczek Francyi i Holandyi, a nawet widok nocny meczetu w Algierze, który pod jego pędzlem przybiera pozory tajemniczej wizyi.

Nie można również dopatrzyć się związku pomiędzy figurami *Corota* i malarstwem modernistów. Corot słynny ze swych pięknych nastrojów pejzażowych i wogóle znany tylko jako pejzażysta, postać ludzką, samą dla siebie, malował tylko wyjątkowo i dla rozrywki. W Salonie Jesiennym zgromadzono ich — studyów i portretów dwadzieścia cztery, z których większość nie dorównywa wartością jego pejzażom, ale niemniej wszystkie wskazują szczerość artysty, sumiennie studyującego naturę i poszukującego szczególniej harmonii w stosunkach barwnych. Jeżeli jego Diany w kąpieli i nimfy, spoczywające nad strumieniem, z pierwszego okresu jego twórczości, mają charakter konwencyi ówczesnego schyłkowego klasycyzmu, to za to wiele studyów i szkiców, malowanych bezpośrednio z natury i bez innego celu, jak tylko dla najbliższego oddania odebranego od niej wrażenia, przedstawiają piękne i poważne zalety, choć brak im poetycznego uroku pejzażów. Taki np. „L'Homme à l'armure“ ma w sobie coś z Velasqueza, inne przypominają mistrzów holenderskich.

W rzeźbie, w Salonie Jesiennym zwykle nielicznej, dominował przedewszystkiem potężny, jak zawsze, i trochę zagadkowy *August Rodin*. Jego figura kobieca z bronzu posiada właściwe jemu zalety siły w modelacyi kształtów i śmiałej oryginalności w ruchu niezwyczajnym. Około mistrza zgrupowali się rzeźbiarze o nazwiskach mniej słynnych i dzieła ich skromniejsze. Wśród tych zaś zasłużyły na wyróżnienie: biust portretowy poety Emila Verhaeren przez *Wiktora Frisch*, posągi kobiece z gipsu pp. *Maillol* i *Claret*, główka dziecinna z marmuru, o delikatnym wdzięku, przez p. *Sudbinina*, dzieła pań *Serruys* i *Poupelet* i wreszcie biust portretowy rzeźbiarza Carpeaux oraz figura przedstawiająca go przy pracy, przez p. *Emila Bourdelle*. Rzeźbiarz ten, znany nie od dzisiaj, ale oceniony względnie niedawno, wysuwa się coraz bardziej na pierwszy plan tak, że w nowym kierunku, jaki w rzeźbie francuskiej zapoczątkował Rodin, zajął w opinii ogółu zaszczytne obok niego miejsce. Podobnie, jak ten mistrz, zwrócił się Bourdelle do wzorów starożytnych, aby u zdrowego pierwotnego źródła zaczerpnąć świeżej siły natchnienia, któreby wlało nowe życie więdnącej w mdłej konwencyi i literalnem ale powierzchownem naśladownictwie natury sztuce rzeźbiarskiej naszych czasów. Ale Bourdelle nie ograniczył się jak zresztą i Rodin

do sztuki starożytnej, lecz szukał również pierwiastków ożywczych w rzeźbie średnich wieków i Odrodzenia.

Rzeźba współczesna, dążąc do doskonałości w odtworzeniu natury, osiągnęła ją do pewnego stopnia, zwłaszcza w łudzącem naśladowaniu miękkości ciała, w wysubtelnieniu kształtów, w wykończeniu szczegółów, ale zeszła zarazem do znaczenia kopii, zbliżyła się do ideału złudzenia, jaki daje figura woskowa, a to, jak nikt, kto ma choć odrobinę pojęcia o sztuce i jej poczucia, nie wątpi, jest przeciwieństwem, zaprzeczeniem sztuki. Zadaniem sztuki nie jest kopiowanie, lecz interpretowanie natury. Ścisłą, dokładną kopię osiągnąć można tylko za pośrednictwem środków mechanicznych, a tymi sztuka się nie posługuje i posługiwać nie może, bo stając się nieosobistą, przestałaby być sztuką. Dążenie zatem do osiągnięcia przy pomocy sztuki osobistej rezultatów, które łatwiej i pewniej otrzymać można środkami mechanicznymi jest nonsensem, dla sztuki prawdziwej zabójczym. Dzieło o tyle ma wartość, o ile posiada cechy indywidualne artysty, który je stworzył, a te dają się poznać w sposobie osobistym pojmowania i odczuwania natury, widocznym w wyborze pewnych jej rysów charakterystycznych, które starał się uwydatnić z pominięciem innych. Na tym wyborze polega rzeczywiście interpretacya natury, której wszystkich rysów, zbyt licznych, różnorodnych i zmiennych człowiek odtworzyć nie jest w stanie, a gdyby nawet to mógł uczynić, to, jak już zauważyliśmy, dzieło takie byłoby kopią martwą, a przeto bez charakteru, natury żywej, która posiada charakter dla tego właśnie, że jest żywą, wskutek czego każdy z jej niezliczonych rysów zmiennych, zależnie od chwili, ruchu, kierunku światła, atmosfery, lub poruszeń wewnętrznych może stać się jej rysem głównym, charakteryzującym ją w danej chwili, wobec którego inne jej rysy, zawsze istniejące, ustępują i zanikają do pewnego stopnia, stają się drugorzędnymi. To samo zresztą stosuje się do przedmiotu w naturze nieożywionego, bo, jeżeli ten przedmiot sam w sobie jest lub wydaje się martwym, to warunki zmienne, otaczające go, dają mu pozory życia. Cała więc sztuka artysty i największa trudność, którą ma do zwalczenia, polega na właściwem odczuciu i uchwyceniu tych rysów głównych, odpowiadających w danej chwili warunkom zewnętrznym, od których przedmiot, służący mu za wzór, jest uzależnionym. Im bardziej artysta potrafi ograniczyć się do najmniejszej liczby tych rysów głównych, tem dzieło jego, stając się prostszem, zyskuje na charakterze. Rzecz naturalna, że, prócz rysów zmiennych, które w pewnych warunkach występują naprzód, istnie-

ją zawsze rysy zasadnicze, charakteryzujące budowę kształtów i ich proporcye, o których artyście zapomnieć nie wolno, chociaż i w tych może on czynić wybór, dając przewagę jednym nad drugimi, nawet z pewnem naruszeniem proporcyj, dla większego uwydatnienia charakteru w ruchu i wyrazie ogólnym figury. Ale na to pozwolić sobie może tylko artysta bardzo pewny swych środków, inaczej bowiem deformacye tego rodzaju prowadzą do smutnych i śmiesznych rezultatów, jakie widzimy w produkcyach większej części przedstawicieli „sztuki przyszłości," z których każdy uważa się za geniusza i jest przekonany, że nie potrzebuje ani umiejętności, ani doświadczenia, by tworzyć arcydzieła. Deformacye w proporcyach spotyka się wogóle w okresach pierwotnych sztuki rzeźbiarskiej (toż samo i w malarstwie), kiedy siła, nie wdzięk, jest jej cechą główną. Być może, iż wówczas te deformacye nie były zupełnie świadome, ale, dzięki doskonałemu odczuwaniu natury ich twórców i roli rzeźby, podporządkowanej architekturze i służącej celom dekoracyjnym, odpowiadając swemu właściwemu zadaniu, wypadły wogóle nader szczęśliwie. Cechy te znajdujemy tedy, w starożytności, w sztuce asyryjskiej, egipskiej, greckiej początkowej i etruskiej, a w średnich wiekach—w sztuce gotyckiej. Z dalszym rozwojem środków technicznych, rzeźba subtelizując się coraz bardziej, traci te cechy pierwotne. Artysta dąży z jednej strony do doskonałości proporcyj, które stara się stosować nie tyle do żywej natury, ile do ustanowionych z góry rozmiarów idealnych, z drugiej zaś, gdy rzeźba stała się sztuką niezależną, poszukuje wdzięku przez wypieszczenie i dochodzi szybko do afektacyi. Przez tę fazę zwyrodnienia przeszła sztuka rzeźbiarska w chwilach, gdy wirtuozowstwo artyzmu dosięgło szczytu wyrafinowania, a więc w Grecyi—w epoce schyłkowej, później u epigonów Odrodzenia i pseudo-klasyków i wreszcie, w okresie współczesnym nadużycia realizmu. Rzeźbiarze Odrodzenia, zapoznawszy się ze sztuką starożytną, przyjęli za wzór to, co w niej uchodziło za najwyższą perfekcyę. Rzeźbiarze dzisiejsi pragnący odnowienia swej sztuki: Rodin, Maillol, Bourdelle — zwrócili się po wzory do okresów pierwotnych sztuki starożytnej, a nadto do sztuki średniowiecznej i Odrodzenia.

Pomimo odległości i różnic, jakie dzielą rzeźbę średniowieczną od starożytnej, posiada ona niemniej z tamtą cechy wspólne w tem, iż tak jedna, jak i druga stanowiły przeważnie część ornamentacyjną architektury i ulegać musiały odpowiednio analogicznym uproszczeniom lub deformacyom stosownie do potrzeb i charakteru tej architektury. Zoomorfizm gotyku przypomina

dość bezpośrednio epoki: egipską i asyryjską. Poza tem masywność pierwotnej rzeźby starożytnej, przybiera w średnich wiekach, stosując się do strzelistości gotyckiej i ducha ascetyzmu epoki, kształty wydłużone ciał umartwionych, gardzących uciechami światowemi; nędznej i znikomej powłoki ducha, ulatającego w żarliwej modlitwie do niebieskich światłości. I w tej odmiennej postaci, w której deformacya proporcyj ma swe wyraźne znaczenie ornamentacyjne i symboliczne, rzeźba średniowieczna przedstawia tak samo, jak starożytna, we właściwym sobie kierunku, symplifikacye kształtów, które jej dają wyraz, charakter i styl odrębny. Odrodzenie wreszcie, łącząc pierwiastki sztuki starożytnej i średniowiecznej, stworzyło nowożytną rzeźbę niezależną, stawiając ją odrazu u szczytu doskonałości, z którego mogła już tylko zstępować w naśladownictwie coraz bardziej oddalającem ją od pierwowzoru.

W reakcyi przeciw przesadnej szczegółowości dzisiejszego realizmu i jego zbanalizowaniu, artyści, obdarzeni silniejszą indywidualnością, uczuli bardzo zrozumiały pociąg do syntezy, a znalazłszy doskonałe jej wzory w sztuce wymienionych przed chwilą epok, skorzystali z nich, aby, na podstawie odkrytych w niej pierwiastków, stworzyć dzieła nowe, oryginalne i różniące się zasadniczo od ogółu dzisiejszej produkcyi rzeźbiarskiej, konwencyonalnie-allegorycznej, mdło-sentymentalnej, albo pospolitej w swem poszukiwaniu dokładnego realizmu, a razem wziąwszy tak nudnej i antypatycznej, że potrafiła zniechęcić i obrzydzić nawet publiczność, tak zwykle przychylnie usposobioną do wszystkiego, co w sztuce najmniej artystyczne.

Przykład do tego zwrotu dał Rodin, za nim poszli inni, mniej lub więcej szczęśliwie, a wśród nich właściwie jeden tylko Bourdelle osiągnął poważniejsze rezultaty i najbardziej zbliżył się do mistrza. Nie mówiąc o naśladowcach bez talentu, wszyscy oni, a Rodin i Bourdelle przedewszystkiem, okazali się w tym kierunku nieco krańcowymi i, w zachwycie dla sztuki pierwotnej posunęli się częstokroć do interpretacyi tak blizkiej wzorów, że, gdyby nie ich talent indywidualny, który mimowolnie dał ich dziełom charakter osobisty, możnaby to nazwać naśladownictwem.

I tu, przy całem uznaniu dla wysokich zalet tych dwu artystów, przyznać trzeba, że, gdy odtwarzają w pracach własnych pewne cechy wzorów przypadkowe, nabyte niezależnie od ich twórców, jak części ułamane lub inne ślady zniszczenia, wskutek działania czasu i t. p., w którym to stanie doszły do nas, po długich wiekach, szczątki arcydzieł przeszłości, dopuszczają się oni, dla

dodania uroku swym dziełom, sztuczki, której ich talent, sam przez się dość silny, nie potrzebuje i która, mówiąc szczerze, do pewnego stopnia mu uwłacza, stroiąc go w pozory mu obce i odeń niezależne. Ale nie przywiązujmy do tych szczegółów więcej wagi, niż one mają rzeczywiście w twórczości tych artystów z Bożej łaski, skądinąd nietylko oryginalnej i wybiegającej daleko ponad przeciętny poziom produkcyi dzisiejszej, lecz, co więcej, znaczącej nowe odrodzenie sztuki rzeźbiarskiej. Twórczość Rodina dowiodła, że geniuszowi w sztuce wszystko wolno, bo to, co dla talentu miernego byłoby grzechem i zgubą, posłużyło mu niejednokrotnie do najświetniejszego zajaśnienia. Tak samo, zbyt bliskie często podobieństwo dzieł Bourdelle'a do rzeźby pierwotnej, w stanie, w jakim się ona przedstawia dzisiaj, nie ujmuje im niepospolitych zalet osobistych talentu artysty i stawia je conajmniej na równi z temi, które były dla nich wzorem. Takie naprzykład „Marchande de fleurs," albo „Femme sculpteur au travail," albo jeszcze wiele jego główek kobiecych z bronzu mają zarazem zupełny charakter antyków i jednocześnie znamionują silną i oryginalną indywidualność ich twórcy. Toż samo daje się zauważyć w innych jego dziełach, w których czy to przeważa pierwiastek starożytny, czy średniowieczny, czy też oba te pierwiastki łączą się, stwarzając charakter zawsze archaiczny, ale nowy i oryginalny, jak to widzimy w „Chevalier Roland," „Vieille femme en prière," w posągu rzeźbiarza Carpeaux, w „Heraklesie," w płaskorzeźbie „Les Combattants," w „Maternité," w biustach Beethovena i Ingres'a, w posągu Joanny d'Arc i t. p., gdy znowu trzy główki w płaskorzeźbie: „Trois jeunes soeurs," mają coś z finezyi w połączeniu z realizmem Odrodzenia i przypominają zwłaszcza swym charakterem typy Botticellego.

Nas Polaków p. Emil Bourdelle interesuje skądinąd bliżej i z tego względu, że jemu to komitet francusko-polski powierzył wykonanie pomnika Mickiewicza, który ma stanąć w Paryżu.

Konrad Ostrowski.

O polskiem czasopiśmiennictwie

NAJSTARSZEJ DOBY.

(Od jego zaczątku do okresu stanisławowskiego, t. j. do r. 1764.)

W czasopiśmiennictwie narodowem, zespolonem najściślej z bieżącemi potrzebami duchowemi życia społecznego, odzwierciedla się każdoczesny stan oświaty narodowej pod względem jej objętości, rozszerzenia, prądów i kierunków, jako też wszystkich szczegółów daleko wierniej i wyraziściej, aniżeli w piśmiennictwie w ściślejszem słowa znaczeniu, przedstawiającem zbiór owoców twórczości duchowej narodu, często przewyższający stopień ogólnej oświaty. Ściślej rzecz biorąc, twórczość na polu piśmiennictwa bywa własnością tylko części, a nawet cząstki narodu, i brak jej znaczenia ogólnego, ludowego. Widzimy to w Polsce. Stan oświaty ogólnej, nietylko ludu polskiego, lecz nawet gminu szlacheckiego, nie stoi w XV i w XVI w. wcale w równowadze ze złotym wiekiem naszego piśmiennictwa. Gdy w tym okresie czasu zaczęła się oświata w Polsce uogólniać i szerzyć, poczynają u nas zaraz zjawiać się zarodki czasopiśmiennictwa, naprzód w formie pisanych „relacyj“ i „doniesień,“ czem się u nas klasztory zajmowały już w XV w., przesyłając je swoim patronom,—następnie zaś, gdy to nie wystarczało, poczęto tłoczyć: „Nowiny,“ „Awizy,“ „Relacye,“ „Poselstwa“ i t. p. już w drugiej połowie XVI w. W książnicy Wszechnicy Jagiellońskiej przechowują się takie rękopiśmienne „Relationes publicae“ z siódmego dziesiątka XVI w., zawierające wiadomości polityczne i światowe. Pewne w nich wzmianki wskazują, że zwyczaj udzielania różnego rodzaju nowin w ten sposób istniał już od dawna. Rozsyłaniem pisanych nowin zajmowali się

zwyczajnie zakonnicy, w szczególności jezuici i pijarzy, otrzymując od swoich odbiorców sowite wynagrodzenie, dochodzące rocznie do 100 dukatów.[1]) Odbiorcami pisanych nowin bywali magnaci, dostojnicy i niektóre zarządy miast większych. To pisemne udzielanie nowin, wiadomości i doniesień różnego rodzaju utrzymało się w Polsce do 1-ej połowy XVIII w., jak świadczy o tem wychodząca od r. 1729 w Krakowie *pisana gazeta*, o której poniżej szczegółowiej będzie mowa. Gdy później, przy ważniejszych zdarzeniach w kraju i zagranicą, poczęto wydawać tłoczone doniesienia („Nowiny," „Relacye," „Awizy," „Listy" i t. p.), wychodzące przeważnie w Krakowie, a nawet w obozach, gdzie posiadano przenośne tłocznie, pisane nowiny współzawodniczyły z tłoczonemi, zawierając często więcej szczegółów i poufnych doniesień, które nie mogły się mieścić w ulotnych tłoczonych pisemkach.

Jeżeli pisemnego udzielania nowin i doniesień nie można jeszcze uważać za początek czasopisarstwa polskiego, to nie mniej trzeba w niem widzieć zwiastuna czasopiśmiennictwa, podczas gdy tłoczone „Relacye," „Awizy," „Nowiny" i t. d. stanowią istotnie jego początek. Karol Szajnocha,[2]) stwierdzając to samo, pisze: „A był ten początek (czasopisarstwa polskiego) o mało co późniejszym od pierwszego pojawienia się podobnych ulotnych pism za granicą. I tam bowiem oprócz kilku, z powodu napadu Turków na Węgry i Austryę, w Wiedniu i Norymberdze, około 1530 r., wydrukowanych listów czy relacyj, rozpoczęło się to nowiniarstwo powszechniej dopiero w drugiej połowie XVI stulecia; a to naprzód w Wenecyi, gdzie także z powodu wojny z Turkami, jęto się około r. 1563 ogłaszać „Notizię scritte" (Wiadomości pisane); dalej w Anglii, gdzie zbliżanie się groźnej armady hiszpańskiej w r. 1588 stało się pobudką do wydawania podobnychże wiadomości p. n. „English Mercury." Wiszniewski,[3]) zaliczając one ulotne tłoczone pisemka do źródeł dziejowych, powiada: „Sto lat od wynalezienia druku minęło, nim drukiem zdarzenia potoczne, wypadki i nowiny ogłaszać poczęto; a drugie sto, nim te nowiny w ustanowionej porze, codziennie, co tydzień lub co miesiąc, rozsyłano. W początkach tylko, w czasie nadzwyczajnych wypadków,

[1]) St. I. Czarnowski: „Literatura peryodyczna i jej rozwój." Cz. 2, str. 288.

[2]) „Literatura czasowa w Polszcze." Bibl. nar. zakł. im. Ossolińskich, t. 2, str. 675.

[3]) „Historya literatury polskiej," t. 8, str. 43.

a mianowicie w czasie wojny, wypuszczano liczne opisy i nowiny, na początku XVI w., nazwane *quaterniones*. Później ustalone i nieustające związki handlowe i kwestye wojenne stały się powodem, iż pisemka ulotne na peryodyczne pisma się zamieniły.“ Wiszniewski przytacza kilkadziesiąt tytułów takich nowin. K. Wł. Wójcicki[1]) wyraża się w tym przedmiocie: „Pod nazwą „Nowin,“ „Relacyj“ zjawił się u nas rodzaj gazet XVI w. Nie wychodziły one ciągle, ale przy każdem ważnem zdarzeniu obiegały naród. Nazwę „Gazety“ pierwszy raz dostrzegłem za panowania Jana III we współczesnym rękopisie.“ Wójcicki przytacza[2]) dosłowną osnowę dwóch „Nowin,“ mianowicie: „Nowiny z Inflant“ o szczęśliwej porażce, która się stała nad Karolusem książęciem Sudermańskim 1605 r. i „Nowiny pewne“ z Rakuz de data dnia stycznia 1620 r.; jako też „Gazety“ z Warszawy 6-o X-bris 1673, podług rękopisu. Maciejowski[3]) zwraca uwagę na pisma ulotne, jako na cenny materyał dziejowy, dodając: „Te źródła, wartość ich historyczną pominąwszy, mają swoje w dziejach piśmiennictwa znaczenie, jako pomniki języka i stylu, jako *pisma czasowe*.“ Do ich rodzaju zalicza on „Listy,“ których mnóstwo przechowało się do naszych czasów. Podaje też kilkadziesiąt tytułów „Nowin.“

Pisma ulotne, tyczące się wypadków i spraw Polski wychodziły także za granicą w obcych językach: czeskim, francuskim, niemieckim, włoskim i angielskim. Czarnowski wylicza 65 tytułów tych pism (ważniejszych tylko w języku polskim i łacińskim): „Nowin,“ „Relacyj,“ „Edyktów,“ „Opisań,“ „Listów,“ „Doniesień,“ „Nowości,“ „Posłów,“ „Poselstw,“ „Mieszanin,“ „Szpiegów polskich,“ „Adversarzów,“ „Widoków,“ „Terminat,“ „Perspectiv,“ „Dialogów,“ „Odpisów,“ „Doniesień,“ „Rozpraw,“ „Discursów,“ „Wiadomości,“ „Awizów,“ „Nowalij.“ Najstarsze znane „Nowiny“ (tłoczone) pochodzą z 1557 r. Noszą one tytuł: „Nowiny, które się między cesarzem a między papieżem, przy zamku nazwanym Belliano we Włoszech, temi czasy stały. O nowym porażeniu Turków od dobycia miasta sławnego Quintinum, przy którym jest wzmianka osób w nim poymanych. Zasię, jako się bitwa stała przy mieście Quintinum, między króla angielskiego i króla francuskiego rycerstwem, w dzień św. Wawrzyńca. Gdzie też i wyliczanie jest zacnych i poymanych książąt.“ W ósemce, ośm kart.

[1]) „Bibl. starożytna pis. pol.,“ t. 1, str. 249.
[2]) „Bibl. starożytna pis. pol.,“ t. 1, str. 249—270.
[3]) „Piśmiennictwo polskie,“ t. 2, str. 674.

Drugie najstarsze są „Nowiny Lubelskie,“ tłoczone w Lublinie 1567 r., o połączeniu Litwy z Polską. Między innemi czytamy w nich: „Wzięliśmy kudłę chłopa grubego Jagiełła za pana, daliśmy mu szlachetną królewnę, który kleynot znakomity, a nieprzepłacony, sprzysiężenie się z koroną uczynił. Nadali Litwę przodkowie nasi wolnościami, bo byli sianokosowie y sprośni niewolnicy swych panów.“ Jak dalece ważną rolę w Polsce odgrywało to ulotne nowiniarstwo, wystarczy przytoczyć, iż w r. 1581 król Stefan nadał szlachectwo drukarzowi Walentemu, wydawcy „Nowin“ obozowych. Z tych, jako najdawniejsze, znane są: o bitwie byczyńskiej z r. 1588, wydane w języku niemieckim, i o bitwie pod Kirchholmem 1605 r.

Z przytoczonych przez Czarnowskiego 65 pism ulotnych przypada 9 na wiek XVI a 56 na w. XVII. Widać z tego ich wzrost nie idący w parze z upadającą literaturą, ani też ze zniżonym przez jezuitów poziomem oświaty. Mimo to widzimy w rozwoju tego czasopisarstwa szerzenie się oświaty, większe jej rozpowszechnienie się w społeczeństwie, mimo więzów scholastycznych i każenia języka haniebnymi makaronizmami.

Z przytoczonych 65 pism wyszło 35 bez podania miejsca tłoczni, 15 w Krakowie, 6 w Warszawie, 4 w Wilnie i po 1 w Poznaniu, Lublinie, Kaliszu, Toruniu i Rostoku; co do treści zaś było 51 politycznych, 9 religijnych, 5 w końcu dotyczyło katastrof żywiołowych. Z tych niektóre, jak „Nowiny świeże Niemiec,“ mają zupełnie układ czasopisma z dopiskiem: „Co się potem będzie jeszcze działo oznajmi się.“ Podobnie też i „Nowiny z Moskwy krótko i generaliter zebrane.“

Wprowadzona przez jezuitów niewola duchowa, której wynikiem był upadek szkół publicznych w Polsce, spowodowała w połowie XVII w. upadek wydawnictwa książkowego. Cenzura duchowna zaczęła przybierać potworne rozmiary. Palono książnice, jak kasztelana Szczęsnego Słupeckiego i Aleksandra Czyżewskiego, wydawano obfite „Indeksy dzieł zakazanych,“ zabierano liczne wydawnictwa i palono je, nie wolno było tłoczyć dzieł, mimo przechodzenia przez surową cenzurę, bez aprobaty biskupiej, na wydawców, autorów i czytelników nakładano srogie kary. Palenie wydawnictw spowodowało zatratę nietylko wielu cennych dzieł, znanych tylko z tytułów, zamieszczonych na indeksach, lecz także „Nowin,“ „Relacyj“ i t. d.

Zwycięstwo oręża polskiego pod Wiedniem (1683) wywołało dość liczne „Relacye“ i „Nowiny.“ Pod koniec panowania króla Jana III, w ostatniej ćwierci XVII w., ujawniły się po znaczniej-

szych miastach polskich „Awizy," bardzo zbliżone do gazet. Wychodziły „Awizy" krakowskie, warszawskie, lwowskie, gdańskie, grodzieńskie, wileńskie, brzeskie i t. d. Tłoczono je na luźnych kartkach lub na świstkach. Nie starano się je przechowywać, wskutek czego są one dziś bardzo rzadkie. W Krakowie wydawał je jeden z profesorów Akademii na podstawie przywileju w kamienicy pod „Czarnym Orłem" przy ulicy św. Anny p. n. „Awizy różne cudzoziemskie z poczty i extraordynaryjne." Nie były liczbowane, natomiast dzieliły się na kartki osobne z wiadomościami krajowemi a osobne z doniesieniami zagranicznemi. Od r. 1700 zmieniły „Awizy" napis na „Gazety," wychodząc w dotychczasowym układzie i formacie. We dwa lata później zmniejszyły format z ćwiartki na ósemkę. Jak długo potem jeszcze wychodziły, niewiadomo. „Relacye" krakowskie wychodziły od czasu do czasu, od 1686 – 1769 r., a „Wiadomości różne cudzoziemskie z Krakowa," w formacie folio, od 1679 do 1700 r.[1])

D-r Brückner[2]) idzie co do zaczątku czasopiśmiennictwa polskiego jeszcze znacznie dalej pisząc, że w Polsce od najdawniejszych czasów „każde zdarzenie ogólniejsze a nawet miejscowe wywoływało *gazety wierszowane:* za czasów Długosza śpiewał lud o śmierci Ludgardy, żony Przemysławowej (zmarłej 1283 r.), śpiewał o zwycięstwie zawichoskiem nad Romanem halickim (1205)." St. Gorski[3]) słuszną czyni uwagę, iż nazywając legendy i pieśni ludowe „gazetami," trzebaby Homera uważać za najstarszego redaktora.

Taki był zaczątek polskiego czasopiśmiennictwa, że się tak wyrażę, *in crudo.* Jak wszędzie w Europie, tak też i w Polsce wyprzedziło dziennikarstwo polityczne czasopiśmiennictwo literackie. Jeżeli „Nowiny," „Relacye," „Awizy i t. d. uważać będziemy za początek dziennikarstwa politycznego w Polsce i porównamy Polskę pod tym względem z innemi państwami europejskiemi, zobaczymy, iż nas cudzoziemcy na tem polu prawie wcale nie wyprzedzili. Przyjmując na podstawie wykazania powyższego, iż, pomijając wcześniejsze pisane gazety, tłoczone „Nowiny," „Relacye" i t. p. zaczęły się w Polsce ukazywać w połowie XVI w., widzimy, iż we Włoszech weneckie „Notizie scritte, pierwszy zwiastun dziennikarstwa politycznego, oddawane były również około połowy XVI w. do użytku czytelników za opłatą drobnej monety,

[1]) St. I. Czarnowski, cz. 2, str. 303.

[2]) „Dzieje literatury polskiej," t. 1, str. 55.

[3]) „Dziennikarstwo polskie." Zarys hist. Warszawa, 1905.

zwanej *gazetta*, skąd nazwa „gazeta“ powstała, rozszerzając się po świecie. W Hiszpanii ukazywały się z powodu ważniejszych wydarzeń, rodzaj nowin, „Relationes“ w XVI w. W Niemczech pojawiły się ulotne pisma nowiniarskie, zwane „Zeitung,“ także „Aviso,“ „Relation,“ „Postreiter“ i t. p. nieco wcześniej, mianowicie z końcem XV w. Najstarsze takie niemieckie piśmko znane, przechowywane w książnicy wszechnicy lipskiej, nosi datę 1494 r. Francya posiadła pierwszą gazetę na początku XVII stulecia (1609), a właściwie w r. 1626 „Gazette,“ wydawaną przez Teofrasta Renaudot. W Anglii poczęło wrzekomo pierwsze czasopismo stale wychodzić w r. 1588 p. n. „The english Mercur,“ lecz uznano je za podrobienie, tak, iż tygodnik „Weekly Nevs“ (1622) jest właściwie najstarszem pismem angielskiem. W Holandyi w r. 1623 poczęło wychodzić pierwsze regularne pismo „Amsterdamsche Courant.“

Ze Słowian wyprzedzają Polaków na polu czasopiśmienniczem tylko Czesi. Początki ich dziennikarstwa sięgają bowiem końca wojen husyckich. Od r. 1430 wychodzą w Pradze czeskie kalendarze czyli „planetarze,“ do których dodawano „Nowiny“ o wypadkach współczesnych, tłocząc je później osobno. Jeżeli „Nowiny“ poczytują się za pierwsze pismo czasowe czeskie, wtedy Czesi na polu czasopisarskiem najstarsi są wogóle w Europie. W Rosyi pierwszem czasopismem były „Moskowskija Wiedomosti,“ założone przez Piotra Wielkiego w r. 1703. Piotr Wielki był ich współpracownikiem. Pierwszem pismem czasowem małoruskiem był „Wiestnik Ukraiński,“ założony w r. 1816. Serbi wydawali pierwsze swe czasopismo „Serbskie Nowiny“ w Wiedniu, zacząwszy od r. 1791, a Słowacy „Tydennik,“ założony w Preszburgu w r. 1812. W Chorwacyi założył Ludowit Gaj „Nowiny Horwackie, Slavonskie i Dalmatickie“ w r. 1834 w Zagrzebiu, a w Czarnogórzu powstał pierwszy rocznik „Orlica“ w r. 1835 bezpośrednio po założeniu pierwszej tłoczni narodowej w Cetynii. Najmłodsi są Bulgarzy. Ich pierwsze czasopismo „Lubosłowje“ ukazało się dopiero w r. 1845.

Pierwsze regularne polskie pismo czasowe, wydawane na wzór pism peryodycznych zagranicznych, powstało w r. 1661 w Krakowie p. n. „Merkurysz Polski.“ Założył je i redagował Jan Aleksander Gorczyn, pochodzący z krakowskiej rodziny mieszczańskiej, człowiek obrotny, uzdolniony i kraj miłujący. Pismo tłoczono *szwabachem*. Pierwszy numer „Merkuryusza Polskiego, ordynaryjnego, dzieje wszystkiego świata w sobie zamykającego, dla informacyi pospolitej“ wyszedł *cum privilegio* 3 stycznia 1661 r. w Krakowie na „Wendecie,“ w kamienicy Szoberowskiej przy

Małym Rynku, z przedmową wydawcy-redaktora, w której oznajmia, że podjął „nienaganioną podobno lubo nową dotąd w Polszcze rzecz, wieku teraźniejszego wiadomości, przykładem obcych narodów, co tydzień do druku podawać... informować doskonale, co się godnego wiedzenia tak w oyczyźnie, iako i po świecie wszystkim... dzieie; rozumiejąc, że tą pracą nietylko *curiosis et politioribus ingeniis* wygodzi i usłuży, lecz że *de hac patria bene morebor*, gdy iey *res gestas*, godne potomnej pamięci, do postronnej podawać będzie wiadomości.“ Redaktor stara się widocznie o dotrzymanie obietnicy. Sili się na urozmaicenie treści. W chwilach ważniejszych wydaje „Merkuryusza extraordynaryjnego.“ Widać w tygodniku aktualność i staranność, lecz wszystko to nie zapewnia mu powodzenia. Z „Merkuryuszem“ wychodziły w Krakowie równocześnie pisemka ulotne, czyli, jak się wyraża Wespazyan Kochowski, pełno tam było „gazet wesołych,“ współzawodniczących z pismem Gorczyna. W maju tego samego roku widzi się on zniewolony przenieść wydawnictwo do Warszawy, jako do stolicy państwa, lecz i tam się mu nie szczęści. Popada w długi, dostaje się do więzienia, w końcu wykupiony z łaski wraca do Krakowa, gdzie umiera w wielkiej nędzy. Jak długo wychodził „Merkuryusz Polski,“ dokładnie nie wiadomo.

Drugiem czasopismem polskiem, przypadającem na w. XVII, jest „Mercurius Polonicus“ (1697—1698), miesięcznik, którego wydawnictwo podjął Włoch, Priami, w języku łacińskim. Jako miejsce wydawnictwa wymieniony *Lechiopolis*, przedstawiający dotychczas nierozwiązaną zagadkę. Sobieszczański [1]) sądzi, iż miesięcznik tłoczono w Krakowie. Zdaje się, iż nieco później wydawnictwo przeniosło się, podobnie jak to Gorczyn uczynił ze swoim „Merkuryuszem,“ do Warszawy. Na treść miesięcznika składały się doniesienia polityczne, czerpane z dobrych źródeł krajowych i zagranicznych, następnie wiadomości o nowych wynalazkach, recepty na różne leki i kosmetyki, poezye, zagadki, anegdoty, listy królów i papieżów, z czego widzimy, iż pismo było zabarwione literacko i w części wkraczało w obręb tak zwanych pism „uczonych.“ W pierwszym zeszycie znajduje się ciekawy opis przyjazdu i uroczystego przyjęcia Augusta II, z częścią mowy, mianej do króla przez wojewodę płockiego, Jana Krasińskiego. Królowa Marya Kazimiera odzywa się w tem piśmie do opinii publicznej, zamieszczając w niem swój list z datą w Wilanowie 14 lutego 1698 r.

[1]) „Wielka Encyklopedya Orgelbranda.“ Warszawa.

pod adresem sejmików, w którym żali się i czyni wyrzuty stanom Rzeczypospolitej, z powodu, że, mimo uroczystego przyrzeczenia, nie osadziły żadnego z jej synów na tronie polskim. Pełny tytuł pisma brzmiał: „Mercurius Polonicus praecipuorum Europae eventuum epitomen novorum inventorum ac voluminum nuper editorum cum crisi exhibens varia insuper eruditione refertus.“ W układzie treści bezład, format—mała ósemka.

Po upadku „Merkuryuszów,“ a właściwie po upadku wydawanej w Warszawie „Gazety“ od r. 1700—1702, nastaje w Polsce właściwej przerwa dość długa (27 lat) w wydawnictwie czasowem. Wychodzą tylko „Nowiny,“ „Relacye“ i t. d. W Krakowie pojawia się od r. 1729 *pisana gazeta* regularnie co tydzień wydawana. Majeranowski[1]) miał w ręku jeden z jej roczników. Zawierała ona opisy wydarzeń krajowych, zagranicznych, świąt uroczystych, wesel, pogrzebów i od czasu do czasu „kaczki“ dziennikarskie, bardzo śmiało wzlatujące. Gazeta pisana donosi między innemi z Lublina pod datą 24 kwietnia (po oczyszczeniu z makaronizmów) co następuje: „Wiazd Imci Pana Olszańskiego, Chorążego Owruckiego, Marszałka Trybunału Koronnego, odprawił się tu tak: I-mo szła chorągiew ianczarska Imci Pana Woyewody Kijowskiego ze swoją muzyką; II-do Dragonia polska ordynacyi Zamoyskiego; III-tio Grenadyerowie konni Imci Pana Ordynata Zamoyskiego; IV-to Dragonia nadworna Imci Pana Woyewody Lubelskiego; V-to Dragonia Imci Pana Woyewody Podlaskiego. Za temi iachał w karecie Imci Xiądz Suffragan Chełmski z assystencyą, a za nim kilkadziesiąt szło karet różnych, w których Ichmość Panowie Deputaci i różni Ichmościów przyjaciele siedzieli, expost szła kareta marszałkowska, pięknie adkomodowaną, koło niey lokaje i hajducy w barwie pomarańczowey, ugalonowaney, z czarnemi obszlegami. Za tem następowała chorągiew pancerna Imci Pana Połkownika Garbowieckiego, za nią chorągiew także pancerna Imci Pana Starosty Sochaczewskiego iachała, i chorągiew husarska Imci Pana kasztelana Chełmskiego. Po tem iachało ziemstwo, urzędnicy i szlachta woyewództwa tuteyszego. Expost Imci Pan Marszałek Trybunalski iachał w żałobie cienkiey, pod piórem białem, na koniu szpakowatym tureckim, na którym był garnitur aksamitny karmazynowy, haftowany, przy bardzo liczney assystencyi różnych Ichmościów, między któremi byli: Ichmość Lubelski, Wołyński, woyewodowie, kuchmistrz koronny Bełski,

[1]) „Flora Polska,“ t. V.

przy którym szło dwóch biegunów: Lanckoroński, Drohojewski, Krasnostawski, Łukowski, Trachtomirski, Słoniński — starostowie. Na hauptwachcie stała infanterya grenadyerska Imci Pana Ordynata Zamoyskiego. Podczas wiazdu bito z armat.“

Pisarz korespondencyi, jak widać z powyższego, posiadał nie małe uzdolnienie reporterskie, skoro opisał wjazd imci pana marszałka Trybunału koronnego z taką dokładnością, która mogłaby dzisiejszym reporterom służyć za wzór. Tu nasuwa się uwaga, jaką wartość kronikarską posiadają podobne wiadomości i zapiski dla dziejopisa i historycznego powieściopisarza i jaką wogóle posiadają wartość czasopisma, zawierające bardzo wiele rzeczy, których w książkach znaleźć nie można. Śmiało rzec można, iż w czasopiśmiennictwie spoczywają nieprzebrane skarby i materyały, odnoszące się do wszystkich dziedzin życia narodowego. Niechaj mi wolno będzie stawić pytanie, coby się stało ze wszystkimi tymi zabytkami starego czasopiśmiennictwa, gdyby pisma te były tłoczone na papierze, robionym z drzewa, z celulozy, który obecnie jest używany przy wydawnictwie dzienników, a który za najwięcej sto lat zupełnie niszczeje? Nietrzeba Omara, nieoględność w tym kierunku stanie się niezawodnie Omarem i zniszczy ogromne skarby duchowe, nagromadzone w dziennikach, a w części też i w książkach, tłoczonych na takim papierze nietrwałym. Tu zaradzić może tylko ustawodawstwo, które zmuszałoby wydawców do tłoczenia przynajmniej pewnej liczby egzemplarzy na dobrym i trwałym papierze dla książnic publicznych.

Lecz wróćmy jeszcze do pisanej gazety krakowskiej. Jak reporter jej lubelski odznacza się wielką zdolnością reporterską, tak znowu jej redaktor posiadał nadzwyczaj bujną wyobraźnię i pomysłowość, donosząc, że pewne miasto „położone od południa o dwudniową jazdę, a między południem a wschodem o 12 dni pieszej jazdy od Trypolu, gdzie karawany chodzą, przecz by się mówiło, *wszystko skamieniało.*“ Naprzód drzewa, szczególnie oliwne, wszystkie w kamień zamienione „błękitnego i popielatego koloru,“ następnie także „obywatele,“ którzy „prezentują takie figury, w jakich ich przy pracy to dopuszczenie Boże zastało.“ Rozmaite więc „figury,“ między któremi nie brak pociesznych, jak np. „białogłowy niektóre w objęciach mężczyzn.“ Wszystko skamieniało: „w kastelu warty z pikami, dzidami stojące, inne leżące w łóżku, także zwierzęta: muły, woły, konie, osły i ptactwo latające.“ Redaktor zapewnia w końcu czytelników, że o tem zdał obszerną relacyę jegomości królowi angielskiemu w Londynie posłannik trypolski, Casseh Hoiah.

W czasie, gdy we właściwej Polsce nie wychodziło żadne pismo czasowe po upadku „Merkuryuszów,“ powstało w Prusach książęcych, w Królewcu, pismo tygodniowe, starannie wydawane i redagowane, a dobrą polszczyzną pisane, p. n. „Poczta królewiecka,“ której pierwszy numer pojawił się 6 sierpnia 1718 r., a która wychodziła do końca r. 1720 Książnica wszechnicy królewieckiej posiada dwa w pergamin oprawne egzemplarze „Poczty,“ każdy egzemplarz w 2 tomach grubych ósemkowych. Już pierwszy numer wykazuje wielką obfitość treści, zawierając wiele wiadomości w formie świeżych korespondencyj: z Wiednia, Białogrodu (o księciu Eugeniuszu); Pasarewicza, z obozu pod Semlinem, z Neapolu, Barcelony, Rzymu, Wenecyi, Paryża, Londynu, Hagi, Berlina, Petersburga (o śmierci „Czarowica J. M. Alexiey“) i z Wilna z wiadomością pod datą „10 Julii,“ że „Divisia Xięzęcia J. M. Repnina, ordinowana ku Gdańskowi, jusz pod Tykocinem contrkomendowana iść nazad przed Litwą do Lieflandiey, gdzie ma czekać dalszego ordynansu.“ Wydawca Jan Dawid Cenkier, „drukarz polski przy ulicy Staromieyskiey“ oznajmia w tym numerze, że:

„Ponieważ są | ktorzy takich Gazet pragnąc, po Taleru na nie wprzód wyliczyli, tedy do potrzebnej wiadomości donoszę:

1. Że odtąd ordynaryjnie zawsze continuowane będą.

2. Że jeżeliby był kto, ktoryby ich sobie mieć i trzymać życzył; żeby z tem wcześnie odezwał się dla lepszey connexiey wszystkich | od pierwszego ich początku.

3. Że nim więcey takich, ktorzyby odemnie brali, będzie, tym większą będę miał ochotę | do wydawania ich | y sposobu do trzymania różnych korespondencyj dalekich.

4. Że Partikularya jako bywają Punkta Pokoiu lub Woyny ect. osobno drukowane y tylko w przydatku do tych Gazet dodawane będą | oprócz wszelkiey za to pretensiey a to tylko dla ukontentowania, ktorzeby te Gazety miewali.“

Z powyższego widać, że dodatki premiowe przy pismach czasowych nie są nowszym wynalazkiem, lecz są tak stare, jak nasze czasopiśmiennictwo.

Numer 1 „Poczty“ posiada 8 stronic, tłoczony pięknym *szwabachem* na doskonałym papierze—inaczej byłby się już dawno rozpadł w pył — a stronę tytułową zdobi rycina, wyobrażająca trąbiącego pocztyliona na wspiętym koniu.

Przy końcu rocznika 1718 (str. 176) znajduje się następujące: „Postscriptum Poczty Królewieckiey MDCCXVIII:“

Postoy trochę Czytelniku, odbierz niebywałe
Nowiny, ktoreć objawię w biegu hufce całe
Dobrych wieści; y prawdziwie nowych, jak się godzi,
Gdyż z nimi dopiero Poczta z pod prasy wychodzi.
Ktoś tey nocy z miasta uciekł; lubo Straże wszędzie
Zawiedzione | Nowiny te Roczne | słyszeć będzie |
Jusz to jutro po Królewcu: gdyż w Nocy nieznacznie
Ten to Stary Rok uciecze a Nowy się zacznie
Pięć tysięcy sześćset osmy sześćdziesięty | Smadnie
Rachujący | Od stworzenia widzialnego Świata |
Tysiąc siedmset dziewiętnasty Ten, ktory przepadnie
Od nam urodzenia z Panny y Nowego Lata.
Bieżą, lecą niewściągnione dni, lata, godziny,
Minuty w okamgnienia; z tey tylko przyczyny,
Że tak Bog chce; ktorego są te przed Wieczne chcenia
Aby tak ustępowały rzeczy z przerodzenia
Jedne drugim, gdyż ciśniony wolą Bożą płynie
Czas za czasem | czas po czasie | czas: asz wszystko minie.
Sam Bog tylko nieskończony | Sam ktory czasowi
Niepodlega | Sam ten | ktory te czasy stanowi
Zimę | Wiosnę | Lato | Jesień | co raz na przemiany
Rozporządza | aby tak z Rządow swych był poznawany.
Lecz natura z przyrodzenia swojego się chwieje
Wiek dziecinny gdy dojrzewa | Stary dziecinnieje
Y umieiętność w naukach | w Rzeczach doświadczenie |
Ma też swoje stopnie odmian | gdyż ma przyrodzenie |
We wszystkich stanach odmiany pełno | jak widzimy
Codziennie | w Sprawach potocznych | ktore traktujemy.
Najbogatszy ubożeją | możni się stawają
Najsłabszymi, gdyż odmianie wszyscy podlegają,
Nawet w sprawach rycerskich widzieliśmy sami
Jak się często przeplatały zwycięstwa klęskami:
Y zaś co na dole było, jako znowu wstawa
Ku górze, gdyż Bog odmianie wszelkiey mieysce dawa.
Wszystko ma swoje granicy y państwa y trony
Kończą się, ale sam Bog tylko nieskończony.
Ale naprzód: niechay wszędzie Pan szczęści swojego
Pomazańca | wszystkim dobrym | Bog króla pruskiego
Woyskom jego niech Bog serce da nieustraszone
Mężną rękę y we wszystkiem serce ustałone.

. . . . . .

Koronę też Polską niechaj Bog ukoronuie
Zgodą Stanow y Pokojem | niechay im daruje
Swe miłosierdzie y łaskę | niech Braciey ku braci
Serca swą spoi miłością, niech będą bogaci

W sprawiedliwości ku wszystkim | od Pola rzeczony
Polak niechay w każdym polu swym błogosławiony
Błogosławi nadewszystko Błogosławionego
Stworzyciela | przy tym wszystkim co tu mu miłego.
Y wszyscy nasi somsiedzi Hollendrzy, Moskale,
Niemcy, Szwedzi, Duńczykowie, Litwa y gorale
Ztąd wsławionej Saxoniey, że tam złoto kują;
Niechay i na ten rok w gorach swoych obfitują;
Aby się wrócił do nas ow to, ow wiek złoty
W ktorym szczęście gdy plażyło miiały kłopoty
Woyny niech jusz koniec wezmą, miecze przekowane
Na lemiesze ziemskie pługom, na sierpy siekane.

. . . . . .

Niech jusz nastąpi po pracach, trudach, nędzach, boju
Ustawicznym w Europie, da Bog wieczny pokoy
A w poczworney Alliency niechay się zamyka
Europa y Asija, Afryka y Ameryka
Świat cały niech ma pokoy, woynie drzwi zamknięte
Na wieki.

Treść „Poczty“ urozmaicona. Prócz politycznych doniesień i wiadomości, podawanych w krótkich korespondencyach ze wszystkich znaczniejszych miast Europy, zawiera ona wiele wiadomości miejscowych i z rozmaitych dziedzin życia, w końcu ogłoszenia wyszłych dzieł, po największej części ksiąg ewangelickich. „Poczta“ szczególnie baczną zwraca uwagę na wszystko, co się w Polsce dzieje. Częste są korespondencye z Warszawy, Wilna i z Krakowa. Między innemi czytamy w № 48 rocznika 1720 „z Warszawy“ od 29 listopada co następuje:

„16 *huius* w senatorskiey Radzie porządnie wotowali. J. M. C. Woy. Lubliński winował z zapowietrzenia Polski J. M. P. P. Hetmanów | którzy na granicach straży nie rozsadzili. 20 *huius* czytano Senatus Consilium | i uczyniono ten wyrok: 1. Ktorzy w Polszcze niepokoy czynić będą, mają być karani podług surowości nowej ustawy. O pokoy z pogranicznemi będzie się Król Jego Mość starał wstąpiwszy w dobrą przyjaźń z pogranicznemi xiążętami a osobliwie z Carem Jego Mością. 2. Czas do wypisywania seymików Król Jego Mość podług upodobania swego oznaczy. 3. Względem Chocima będzie Król Jego Mość traktował z Turczynami przez posła. 4. Podziękowanie J. M. Panu Woyewodzie Podolskiemu za skrzynie protokołami napełnione z kancelaryi krakowskiej i ekspenzy za to jemu wrócić. 5. Na Neuburskie rzeczy nic nie odpowiedziano.

„Przy skończeniu Senatus Consilii Król Jego Mość rezolwował, iż względem szkody, ktora J. M. P. Woyewodzie kijowskiemu staroście bobrujskiemu i inszym cesarskie uczyniły woyska teraz z cesarskim posłem ma być deliberacya i umowa, że napotym żadnej stronie nie ma być pozwolone po cudzem territoryum woyska zaciągać, co obserwować J. M. P. P. Hetmanom i pogranicznym Starostom będzie należało. Ruska poczta potwierdza, że we Lwowie mor cale ustał."

W numerze 52 rocznika 1720 odzywa się wydawca do swoich odbiorców:

„Mnie wielce Mości Panowie.

Bardzo licha była tego roku obrywka z Gazetow Polskich, bo bardzo mało było Ich Mościow | którzy się w nich kochali. Więc *przydzie mi tego roku ich poniechać* | aż obaczę da Bog! za rok | jeżeli się Ich Mościow więcey znaydzie, ktorzyby chcieli Polskie trzymać Gazety | tedy znowu maią być drukowane. Życząc przytem wszystkim wobec i każdemu z osobna wszelkich blogosławieństw Pańskich i z serca pomyślnych Sukcesow na przyszły y wiele następnych lat oddaję się dalszej łasce i życzliwości zostając na zawsze

W. M. M. Panow najniższym sługą
Jan Dawid Cenkier—drukarz polski."

„Ich Mościow," którzyby się „kochali w Gazetach Polskich" nie znalazło się snać „za rok" więcej, gdyż „Poczta królewiecka" z martwych nie powstała. Zakończyła żywot po 2 latach i 5 miesiącach z powodu obojętności tych, dla których była głównie przeznaczona, mianowicie dla szlachty w Prusach Książęcych albo Wschodnich, w onych czasach tam jeszcze licznej.

Podnieść w końcu jeszcze należy, że „Poczta królewiecka," wychodząca w okresie makaronistycznym, pisana była dobrą i czystą polszczyzną, podczas gdy wychodząca w 9 lat później w Krakowie *gazeta pisana* pełna była plugawstwa makaronistycznego.

Równocześnie, t. j. w r. 1718, rozpoczął w Szymbarku (Tannenberg) w Prusach znany dziejopis Gottfried Lengnich wydawnictwo pisma w języku niemieckim p. n. „Polnische Bibliothek," z objaśnieniem przy tytule: „Welche von Buchern und anderen zur polnischen und preussischen Historie dienenden Sachen ausfuhrt nachricht gibt" („która podaje wiadomości o książkach i innych rzeczach, pozostających w związku z polską i pruską historyą"), a u dołu z napisem: „Tannenberg, wo Wladislaw Jagyeło die Creuzritter schlag" („Szymbark, gdzie Władysław Jagiełło

pobił krzyżowych rycerzy"). W przedmowie do swego wydawnictwa pisze Lengnich: „Czas już zaiste, gdy inne narody dzieje swych przodków ze szczególną roztrząsają pilnością, aby i Polacy ujęli pióro i naśladowali tak chwalebne przedsiębiorstwo. Przyczyna, iż tego nie było dotychczas, pochodzi stąd, że zadawalaliśmy się tem, co już napisano, a mało troszczyliśmy się o to, czy obcy mają dostateczne pojęcie o naszych czynach, formie rządu i naszych zdarzeniach. Często rozmyślałem nad niedbalstwem moich ziomków i sądziłem, że należy dzieje mojej ojczyzny oczyścić z prostych kłamstw, a postawić je w świetle prawdziwem. Ponieważ napróżno szukałem nakładcy, zmieniłem zamiar i w końcu wpadłem na niniejszy pomysł."

Z tej przedmowy wynika niedwuznacznie, że wydawca i redaktor, lubo wydawnictwo niemieckie, czuje się wyraźnie Polakiem i podjął pismo w interesie swoich („moich") ziomków, by „obcy" mieli „o naszych czynach, formie rządu i innych rzeczach dostateczne pojęcie."

„Polnische Bibliothek" zawiera też przeważnie polskie rzeczy. Znajdujemy w niej między innemi: rozprawę o Lechu, annały Kochowskiego, żywot A. C. Załuskiego, odpowiedź szlachcicowi pruskiemu, w której autor roztrząsa pytanie, czy w Polsce istniał tron dziedziczny aż do Jagiellonów, następnie rozprawę o przybyciu krzyżaków do Prus, żywot Andrzeja Olszowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, oderwanie Prus Zachodnich od państwa krzyżackiego i t. d. Drugi tom „Polnische Bibliothek" poświęcony burgrabiom, prezydentom, burmistrzom i syndykowi królewskiego miasta Gdańska, z dopiskiem: „Chcę prosić Boga, by Waszej Ekscelencyi pozwolił dożyć złotych czasów Jana III."

Było to niezaprzeczenie pismo polskie, organ służący polskim interesom, w duchu polskim pisany, pierwsze czasopismo polskie tak zwane „uczone." Wychodziło mniej więcej przez 2 lata, 1718—1719. Dziwna rzecz, że d-r Roman Pilat[1]) wymienia, jako pierwsze polskie czasopismo uczone, zamiast Lengnicha „Polnische Bibliothek," wydawaną w 35 lat później (1753 - 1755) w Warszawie przez Niemca tamże osiadłego, Wawrzyńca Krzysztofa Mizlera, „Warschauer Bibliothek." Wprawdzie nie pomija on milczeniem wydawnictwa Lengnicha, jako też dwóch innych podobnych,

[1]) „Początek publicystyki literackiej w Polsce." I. Czasopisma uczone. Lwów, 1882. D-r Pilat podaje mylnie miejsce wydawnictwa Lengnicha „Polnische Bibliothek" Gdańsk zamiast Szymbarku.

mianowicie: redagowanej w Toruniu przez tamtejszego nauczyciela, Schulzego: „Das gelehrte Preussen“ (1722—1724) i „Continuirtes Preussen“ (1725), wyprzedającej Mizlera „Bibliothek“ równie o lat 30, lecz nie uznaje za polskie „czasopisma uczone,“ przechodząc nad niemi do porządku dziennego w następujących słowach: „Tylko na najodleglejszym krańcu państwa (polskiego), w miastach pruskich, w których przeważał żywioł niemiecki i panowała niemiecka oświata, ukazało się parę publikacyj peryodycznych, mających na poły (?) charakter czasopism... Ale te pisma, jako płody obcej oświaty (o Lengnicha „Polnische Bibliothek“ z pewnością tego nie można twierdzić), zaszczepionej w prowincyach pruskich, nie pozostają w bliższym związku (?) z ruchem umysłowym wewnątrz kraju i nie wchodzą przeto w obręb naszej publicystyki.“

Jeżeli d-r Pilat odsądza od polskości Lengnicha „Polnische Bibliothek,“ nie uznając ją za pierwsze polskie czasopismo uczone, to też i Mizlera „Warschauer Bibliothek,“ jako takie przytaczać nie może, gdyż zarówno Lengnich jak Mizler byli z pochodzenia Niemcami i jeden jak drugi wydawał pismo w języku niemieckim. Skoro jednak d-r Pilat wyróżnia niemieckie pismo, wychodzące w Warszawie, od takiegoż pisma, wychodzącego w Szymbarku, mimo iż Lengnich otwarcie występuje jako Polak i polskiej („mojej“) ojczyźnie służyć pragnie, nie można przypuszczać, iż powodował się przy tem czem innem, jak okolicznością, że Mizlera pismo wychodziło w obrębie państwa polskiego, Lengnicha zaś poza jego granicami. Lecz d-r Pilat, roztrząsając rzecz o publicystyce literackiej w Polsce, pisał o polskiem czasopiśmiennictwie literackiem, dla którego polityczne granice państwa polskiego, zmieniające się, stanowczo są za ciasne i nie istnieją. Takim sposobem polskie piśmiennictwo na Ślązku, w Prusach Wschodnich, na Pomorzu, w Ameryce i t. d. nie wchodziłoby w zakres piśmiennictwa polskiego, a to byłoby całkiem nieuzasadnione i znacznie uszczuplałoby dorobek duchowy narodu polskiego. Jak dziejów narodu polskiego niemożna zamykać w czasowych i przypadkowych politycznych granicach państwa polskiego, tak samo, a właściwie jeszcze mniej, można twórczość ludu polskiego ograniczać takiemi granicami.

Prus Wschodnich w szczególności nie można też uważać za dziedzinę „obcej oświaty,“ gdyż była to rdzennie ziemia polska, o której niemiecki dziejopis, d-r M. Toeppen,[1]) pisze: „Pień lud-

[1]) Geschichte Mazurens.

ności Mazowsza (Prus Wschodnich) był polski już za czasów zakonnych i nie tylko w r. 1525, lecz już w r. 1450. Tu hołdowano już w r. 1450 wielkiemu mistrzowi w języku polskim; w latach 1506 i 1507 znajduje się wzmianka o kilku polskich *kameratach* (okręgach—*Amter*) ówczesnego państwa zakonnego, gdzie wyłącznie Polacy są poddanymi.“ Prusy Wschodnie posiadają bogate polskie religijne piśmiennictwo ewangelickie, sięgające początku XVI w. W Maleszewie, pod Ełkiem, istniała druga, co do starości, drukarnia polska, założona w r. 1536 przez pastora, Jana Maleckiego, na zasadzie przywileju, otrzymanego od Albrechta, księcia pruskiego, w 15 lat po założeniu pierwszej polskiej drukarni (1521) w Krakowie. W Maleszewie tłoczono tylko polskie książki.

Śląsk zwano *Polonia secunda*, także Starą Polską. Czy piastowskie księstwa śląskie nie były polskie, chociaż nie wchodziły w skład państwa polskiego i chociaż od XV w. wcielono je do korony czeskiej? Za czasów państwa polskiego, śmiało to rzec można, znajdowały się czasowo ludu polskiego miliony (w dzisiejszem liczby znaczeniu) za obrębem politycznych granic Polski. Mielibyśmy tych ziomków, tych rodzonych braci uważać za „obcych?“ We Wrocławiu wychodził też od r. 1697, równocześnie z „Mercurius Polonicus“ Priamiego, „Polnischer Mercurius,“ o którym niestety w źródłach, stojących mi do użytku, żadnych bliższych nie mogę znaleźć szczegółów. Tytuł pisma atoli wskazuje jasno, iż to czasopismo, zajmujące się rzeczami i sprawami polskimi, zatem do polskiego czasopiśmiennictwa należy.

Reasumując powyższe, stwierdzam ponownie, że nie Mizlera „Warschauer Bibliothek,“ lecz Lengnicha „Polnische Bibliothek“ zapoczątkowała u nas czasopiśmiennictwo tak zwane „uczone“ czyli literackie o 35 lat wcześniej, aniżeli d-r Pilat podaje (w roku 1718, nie zaś w r. 1753).

Dziennikarstwo literackie w Polsce powstało pod wpływem takiegoż dziennikarstwa zagranicą, pozostając z tem w najściślejszym związku. Widzimy też w związku z tem, iż nasze czasopiśmiennictwo literackie przechodziło tesame stadya rozwoju, jak takież dziennikarstwo za granicą, z opóźnieniem mniej więcej półwiekowem, co bynajmniej nie przedstawia znacznej różnicy czasu. W kolebce publicystyki literackiej, we Francyi, powstało pierwsze czasopismo literackie dopiero w r. 1665 przez założenie w Paryżu słynnego „Journal des Savants,“ rodzica czasopism literackich wogóle. Za przykładem Francyi poszły inne narody europejskie: Anglicy jeszcze w tym samym roku zakładają w Londy-

nie „Philosophical Transactions," Włosi w Rzymie (1668) „Giornale de litterati," Niemcy w Lipsku „Acta eruditorum" (1682). To czasopiśmiennictwo „uczone," obracające się w dość ciasnem kole wyobrażeń i niezajmujące się rozpowszechnianiem nauk i szerzeniem oświaty, lecz uwzględniające tylko przeważnie potrzeby uczonych, a więc sucho zapisujące najnowsze wyniki nauk i podające sprawozdania z ruchu umysłowego w innych krajach, przedstawiało ciężki materyał uczony w formie suchej i odstraszającej. Główną ich treścią były wyciągi, streszczenia lub proste przedruki z wyszłych dzieł. W zakres ich wchodziły wszystkie nauki: chemia, fizyka, filologia, filozofia, matematyka, medycyna, astronomia, prawo, historya — literatura i umnictwo piękne były tak dobrze jak wykluczone. Mimo to ciężkie te pisma „uczone" rozgałęziły się i rozrosły szybko na zachodzie Europy. Z początkiem atoli XVIII w. stał się przełom w tej ciężko uczonej kołowaciźnie czasopiśmienniczej. W Anglii mianowicie pojawił się nowy rodzaj czasopism, zwany „obyczajowemi," oznaczający zbawienną reakcyę przeciw upadkowi moralnemu i zepsuciu obyczajów, ogarniającemu w XVII wieku Europę. Zwiastunem przełomu w czasopiśmiennictwie był „The Tatler" (1709), a głównie „Spectator" (1711), który podobnie, jak swojego czasu paryski „Journal des Savants," stał się wzorem dla innych krajów, mianowicie dla Francyi, Holandyi, Włoch i Niemiec, jakoteż nieco później dla Polski. Czasopiśmiennictwo „obyczajowe" rozerwało więzy dziennikarstwa dotychczasowe, pozyskało szersze koła czytelników, zapewniając tym sposobem dziennikarstwu wpływ daleko szerszy. Jeśli zważymy, że „Mercurius Polonicus" obok rzeczy politycznych, zamieszczał także rozprawki naukowe i podawał wiadomości o wychodzących dziełach naukowych, nie gardząc przytem wierszami, anegdotami, szaradami i — receptami na leki i kosmetyki, niepodobna mu nieprzyznać przynajmniej pół literackiej cechy, z czego wynika, że w Polsce już w 52 lat po ukazaniu się pierwszego literackiego pisma w Europie („Journal des Savants") poczęły się ujawniać w czasopiśmiennictwie prądy literackie, co wobec panującej niewoli duchowej, wykonywanej przez jezuitów, tem większe posiada znaczenie.

Równocześnie, gdy w Krakowie ukazała się *pisana gazeta*, o której powyżej była mowa, rozpoczęli pijarzy w Warszawie swoje wydawnictwa w r. 1729 „Nowinami," które po wyjściu 47 numerów zamienili na „Kuryer Polski," redagowany przez geografa Jana Naumańskiego, a wychodzący raz w tydzień 4-o w dwóch osobnych półarkuszach, z których jeden zawierał wia-

domości krajowe, drugi zagraniczne, te zwyczajnie bardzo skąpo podawane. Był to organ czysto nowiniarski dla szlachty, jej schlebiający, rodzaj kroniki szlacheckiej, zapisujący skrzętnie wszystkie zdarzenia z życia rodzin szlacheckich. „Kuryer Polski“ pozostawał w ręku pijarów do r. 1740, t. j. do czasu odebrania im przywileju na wydawanie czasopism polskich a nadania go jezuitom, wskutek czego „Kuryer Polski“ przeszedł w tychże ręce, wychodząc pod kierownictwem jezuitów do r. 1799. Podczas wydawnictwa pijarskiego zmieniało pismo nazwę na „Gazetę Polską“ (1734), „Kuryer cudzoziemski“ (1735) i „Kuryer Warszawski“ (1761—1764). Od r. 1730 dodawali Pijarzy do Kuryera „Suplement do gazet polskich.“ W r. 1734 rozpoczęli pijarzy wydawnictwo „Wiadomości uprzywilejowanych z cudzych krajów,“ prowadzone od r. 1740 przez jezuitów dalej aż do r. 1767. Jako dodatek do „Kuryera“ wychodził jeszcze „Addytament do gazet.“ Nadto wydawali pijarzy miesięcznik dobrze redagowany p. n. „Merkuryusz historyczny i polityczny,“ który zaczął wychodzić w roku 1736 i co najmniej wychodził przez dwa lata. Gorski zapewnia, iż miał w ręku egzemplarz z kwietnia 1738 r., zatem wiadomość podana przez Estreichera w „Bibliografii polskiej,“ iż wydawnictwo zostało zawieszone w r. 1737, jest niedokładna. Gdy przywilej pijarów przeszedł na jezuitów, a pierwszym pozostał tylko przywilej na wydawanie czasopism w językach obcych, poczęli oni (od r. 1740) wydawać czasopisma w języku francuskim i niemieckim, mianowicie: „Journal de Campagne“ (1756—1758), „Gazette de Varsovie“ (1758—1764), dwa razy w tygodniu z dodatkiem „Supplement à la Gazette,“ od r. 1759 „Warschauer Zeitung,“ a pod koniec XVIII w. „Warschauer Intelligenz-Blatt,“ „Der Rathgeber, ein moralisches Wochenblatt“ (od sierpnia 1761 r.) i „Ein Wochenblatt“ (1762). Od r. 1761—1764 wychodził „Kuryer Polski“ pod kierownictwem jezuitów, jako „Kuryer Warszawski.“

Do wydawnictw czasopiśmiennych pijarów zaliczyć jeszcze należy wychodzące 1760—1762: „Rozmowy w ciekawych i potrzebnych, w filozoficznych i politycznych materyach w Kollegium Nobilium War. Schol. Piar. miane,“ t. 3 w 8-o, o których Estreicher podaje wiadomość.

W Królewcu wychodziło od r. 1719 pismo „Publica Nova Latina,“ zajmujące się polskiemi rzeczami, a w Lesznie od r. 1751 „Primitiae phisico-medicae,“ których wyszło 3 tomy, a które do pism „uczonych“ zaliczyć trzeba. Zatem nietylko „Polnische Bibliothek“ Lengnicha, lecz także te dwa pisma wyprzedziły Mizlera „Warschauer Bibliothek,“ uważaną przez d-r Pilata za pierwsze

polskie czasopismo „uczone,“ pomijając nawet, iż do tego rodzaju czasopism częściowo zaliczyćby należało także „Mercurius Polonicus“ Priamiego.

Po przejściu „Kuryera“ i „Wiadomości“ w ręce jezuitów i podczas walki wydawniczej, toczącej się pomiędzy tymi a pijarami, przesiedlił się z Lipska do Polski niemiecki uczony Wawrzyniec Krzysztof Mizler de Kilof, któremu przypadła wybitna następnie rola w polskiem czasopiśmiennictwie. Podkanclerzy, Jan Małachowski, powołał go do Polski na nauczyciela swoich synów w r. 1743. Był to człowiek wielostronnie wykształcony: teolog, filozof, prawnik, lekarz i w dodatku muzyk i poeta; nadzwyczaj bystrego umysłu i wielkiej ruchliwości, przytem niespokojny i prawie po szarlatańsku reklamujący się, jako wynalazca rozmaitych uniwersalnych środków leczniczych. Urodzony w r. 1711 w Bawaryi, odbywał studya głównie na wszechnicy lipskiej. Naprzód poświęcał się studyom teologicznym, potem filozoficznym, kształcąc się zarazem w muzyce. Po skończeniu tych studyów, słuchał prawa, a w końcu przerzucił się na pole nauk lekarskich i w Erfurcie uzyskał doktorat lekarski na podstawie rozprawy napisanej o „cudownym balsamie“ uniwersalnym na rany, wynalezionym przez siebie. Na wszechnicy w Lipsku miał wykłady z dziedziny matematyki, filozofii i muzyki. Pisał wiele o różnych rzeczach: rozprawy filozoficzne, lekarskie, wiersze, których wydał kilka zbiorów. U Małachowskich, w Koninie, przebył lat 6, jako nauczyciel i lekarz, oddając się gorliwie studyom literatury polskiej, przyczem zajmował się jeszcze rozmaitemi badaniami naukowemi, jak analizą rudy, znajdującej się w okolicy Konina, z której począł wyrabiać brunatną farbę dla malarzy, robieniem doświadczeń nad ołowiem, wykopywanym na Podolu i t. p. Osiedliwszy się w Warszawie, zasłynął w niedługim czasie jako lekarz. Nauczył się po polsku i teraz jeszcze gorliwiej zajął się badaniem dziejów oświaty i piśmiennictwa w Polsce, rozwijając przytem czynność agitatorską w tworzeniu związków naukowych w celu podniesienia nauk w kraju, który stał się jego drugą ojczyzną. W tym też zamiarze podjął w r. 1753 wydawnictwo pisma czasowego „Warschauer Bibliothek,“ jak napis wskazuje w języku niemieckim, sądząc, iż tym sposobem wytworzy łącznik naukowy pomiędzy uczonymi w Polsce i w Niemczech i będzie obznajamiał świat naukowy niemiecki z dziełami polskich pisarzy dawniejszych i współczesnych. Pismo było wzorowane ściśle na tego rodzaju pismach niemieckich, obliczone na ciasne koło czytelników, co Mizler wyraźnie zaznacza jeszcze w przedmowie, że

nie życzy sobie, by pismo jego czytali „nieuczeni,“ zapowiadając, że dawać będzie w niem sprawozdania, streszczenia, wyciągi i przedruki z dzieł wydanych polskich, wiadomości i sądy o wychodzących, wraz z przekładami celniejszych pisarzy polskich, jako też życiorysy zasłużonych uczonych zmarłych już i żyjących, przyczem uprawiać będzie wszystkie gałęzie nauki. Podług zapowiedzi miał co dwa miesiące wychodzić zeszyt, lecz w przeciągu prawie półtrzecia lat (1753—1755) wyszło wszystkiego tylko cztery zeszyty w objętości półpięta do półszosta arkuszy, zawierając sześć do ośmiu artykułów. W piśmie górują nauki przyrodnicze i lekarskie. Rozprawy z tego zakresu przewyższają wszelkie inne ilością i objętością, a między niemi znajdują się w każdym zeszycie artykuły, zachwalające jego własne wynalazki środków leczniczych powszechnych: wspomnianego „cudownego balsamu,“ „środków przeciw febrze“ i „pigułek stalowych“ (*Stahlpillen*), z zapewnieniem, iż „uratowały zdrowie setkom a nawet tysiącom osób,“ z dopiskiem: dostać je można u wynalazcy Mizlera „*königlich polnischer Hofrath und Hofmedicus*“ tam a tam, za cenę taką a taką. Z powodu tych reklamowych artykułów zaczęto mu czynić zarzuty, a prawdopodobnie nie przypadało to do gustu także czytelnikom czasopisma „uczonego,“ skoro Mizler w czwartym i ostatnim zeszycie uczynił czytelnikom przyrzeczenie, iż na przyszłość zamieszczać będzie w zeszycie tylko po jednym artykule z dziedziny medycyny.

W dziale historycznym pisma zamieszczał sprawozdania z dzieł ogłoszonych, podając zarazem wyciągi i streszczenia rękopisów, mianowicie: Rudawskiego, Heidensteina i Bużeńskiego, przechowywanych w książnicy Załuskich, z której skarbów czerpał wiele dla swego pisma. Uwzględniał też w piśmie swojem bibliografię, natomiast pomijał: teologię, filozofię, prawo i inne działy nauk prawie zupełnie, zamieszczając tylko krótkie i suche wzmianki o głośniejszych dziełach, wyszłych z tych gałęzi nauk. O poezyi polskiej znajduje się w rubryce: „Pohlnische gelehrte Neuigkeiten“ zaledwie kilka wzmianek. W jednej z tych wzmianek chwali poezye J. J. Załuskiego i Drużbackiej, przyczem daje zapewnienie: „dass man im Pohlnischen eben so schön als im Französischen oder Deutschen schreiben kann und dass man auch würklich eben so schön schreibet“ („że po polsku można tak samo pisać pięknie, jak po francusku i niemiecku, i że istotnie tak samo pięknie się pisze“).

Lubo „Warschauer Bibliothek“ była sucho i jałowo pisana, a w sądach o pisarzach i ich dziełach bardzo oględna i wstrze-

mięźliwa, nieraz nawet w panegiryzm popadając, niemniej przeto zdobywał się jej redaktor od czasu do czasu na odwagę i energię, wytykając dosadnie powszechne błędy społeczeństwa. Mówiąc o książnicy Załuskich, jednej z najpierwszych w Europie, czyni następującą uwagę: „Tylko w tem trzeba ubolewać nad tą wspaniałą książnicą, iż tak mało uczęszcza do niej uczonych, co stąd pochodzi, iż w Polsce uczeni ludzie i nauki nie są jeszcze w takiem poszanowaniu, jak zagranicą. Wielu nie dostrzega jeszcze dobrze wielkiej korzyści, jaką nauki oddają państwu podczas wojny i pokoju, w handlu, rękodziełach i przy gospodarstwie rolnem, sądząc, że piwnica napełniona staremi winami pożyteczniejszą jest aniżeli najpiękniejsza książnica.“ Na innem miejscu uskarża się, że naród polski okazuje się niedbałym o nauki, a tego przyczyną jest zaniedbane wychowanie młodych ludzi, spowodowane okolicznością, „iż akademie i szkoły nie są tak urządzone, jak być powinny i jakby być mogły.“ Większość szlachty więcej miłuje swoje szlachectwo, aniżeli posiada popęd nauczenia się czego gruntownie. W artykule o Janie Zamoyskim, stawiając go za chlubny przykład „wszystkim młodym szlacheckim paniczom w Polsce,“ jako męża „wielkiego rozumu, wielkiej cnoty, wielkiej waleczności, co prawdziwą cześć przynosi, gdyż wielki szereg przodków i wielki majątek same przez się nie mogą nikomu sławy przysparzać, chociażby jeszcze dużo pochlebców usiłowało w paniczów wmawiać to wstrętnemi pochlebstwy.“ Wspominając o niechęci, objawiającej się przeciw Załuskiemu z powodu tegoż przekładu satyr Boileau'a, powiada, iż „złym znakiem“ oburzenie bez wszelkiego powodu z powodu tych satyr, „ponieważ z tego wynika mnóstwo takich, którzy czują się tem dotknięci. Jeśli Boileau w swoim języku przemawia we Francyi, to wielbią go jego ziomkowie, podziwiają jego dowcip i uznają sprawiedliwie jego dobre zamiary; gdy atoli obecnie przyszedł do Polski i odezwał się po polsku, przestał być pożytecznym i ganią go bezrozumnie. Bardzo wielu w Polsce nie może znieść prawdy, a pomimo panującej w Polsce wolności, ujawnia się dążność najprawszych pisarzy czynić niewolnikami.“

Powyższe uwagi, oczyszczone z archaizmów, są dziś jeszcze w części aktualne. Dowodzą one nadto, że Mizlerem powodowały najlepsze chęci i miłość społeczeństwa, wśród którego żył. Dlatego bardzo niesłusznie zarzucano mu, iż spotwarza Polaków, czemu nawet Janocki w swoim „Lexiconie“ dał wyraz. Przeciw tym zarzutom bronił się Mizler energicznie, pisząc między innemi: „W dziedzinie nauk powinna prawda górować nad wszystkiem,

jakżeż może prawy pisarz powstrzymać się od jej wyznawania i nie wypowiadać jej na pożytek współczesnych i przyszłego potomstwa. Kto mówi o dobrem, powinien też mówić o złem dla krzewienia dobrego. Niechaj zatem nikt w przyszłości nie zraża się, jeśli dalej, mając dobro na oku, bez lęku pisać będziemy prawdę.“

Porównując „Warschauer Bibliothek“ z podobnemi pismami zagranicznemi, nie wypadnie porównanie na jej korzyść, szczególnie pod względem wykonania, a to zarówno co do obfitości i rozmaitości materyału, jako też sposobu przedstawiania rzeczy, czemu atoli trudno się dziwić. Wydawnictwo nie było prowadzone przez koło uczonych, jak to zwyczajnie bywało zagranicą, lecz podjęte przez jedną osobę, cudzoziemca, nie posiadającego ani dostatecznych zasobów pieniężnych, ani też wystarczającego poparcia moralnego ze strony społeczeństwa. Uwzględniając to, nie mniej niższy stopień oświaty w Polsce, brak szerszego ruchu umysłowego, jako też brak zajęcia się pismem liczniejszego grona uczonych, trzeba inaczej spoglądać na ten dorobek naszego czasopiśmiennictwa literackiego.[1])

Upadek „Warschauer Bibliothek“ nie oznacza bynajmniej u Mizlera zaniechania czynności publicystycznej. Właśnie w czasie zamknięcia tego czasopisma zbliżył się do Mizlera znany miłośnik piśmiennictwa i nauk a zarazem pisarz, książę Józef Aleksander Jabłonowski i ofiarował mu pomoc pieniężną na wydawnictwo czasopisma „uczonego“ w języku łacińskim, czego też Mizler się podjął. Założywszy teraz własną tłocznię, a wyjednawszy sobie, przy pomocy Jabłonowskiego i Małachowskiego, u króla Augusta przywilej z prawem konfiskaty przedruków i przekładów rzeczy ogłaszanych w nowem piśmie, rozpoczął w r. 1756 nowe wydawnictwo pod nazwą: „Acta litteraria Regni Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae A. MDCCLV (wydawnictwo było ogłoszone na r. 1775, lecz się opóźniło, co się u Mizlera zawsze zdarzało) publicata... Cum Serenissimo Privilegio. Varsoviae et Lipsiae.“ Typis Mizlerianis, in 4 o, pierwszy zeszyt 72 str. Kartę tytułową zdobił miedzioryt, a nadto w zeszycie znajdował się drugi, wyobrażający wołu o trzech rogach, dziwne zjawisko przyrody, do którego osobny był napisany artykuł. Co trzy miesiące miał wychodzić zeszyt, jednak Mizler opóźniał się tak dalece, iż opóźnienie wynosiło nawet całe lata, trzeci bowiem zeszyt drugiego rocz-

[1]) D-r Pilat: „Początek publicystyki literackiej w Polsce.“ Lwów, 1882.

nika wyszedł w r. 1759, a czwarty wydany już bez Mizlera przez ks. Jabłonowskiego dopiero w r. 1764. Objętość zeszytów wynosiła 8–10 arkuszy, sięgając niekiedy ponad to. W programowym artykule stawia redaktor-wydawca, jako główny cel pisma, poprawę sławy Polski wobec zagranicy, zapowiadając, iż obok sprawozdań, wyciągów, streszczeń i przedruków, podawać będzie w niem także prace samoistne. W piśmie będzie miało pierwszeństwo prawo polityczne i historya polskiego narodu, potem geografia Polski, matematyka, medycyna, fizyka doświadczalna, chemia, ekonomia i historya naturalna, w końcu życiorysy, poezye, wymowa, filologia, nowe wynalazki i doświadczenia wchodzić będą równie w jego zakres, a więc program znacznie powiększony, treść też bardziej urozmaicona, aniżeli w „Warschauer Bibliothek.“ Zaraz w pierwszym zeszycie umieścił obszerny rodowód Jabłonowskich na podstawie dzieła Załuskiego. Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, skreślone podług rękopisu Bużeńskiego, ciągną się przez wszystkie ośm zeszytów, a tak samo napisał długi szereg artykułów o urządzeniach politycznych Rzeczypospolitej Polskiej, streszczając właściwie dzieło Brauna o tem traktujące, co jeszcze uzupełnił wyciągami z dzieła Stanisława Karnkowskiego: „De primatu senatorio regni Poloniae.“ Następnie podaje obszerne sprawozdanie z ogłoszonego kodeksu dyplomatycznego Dogiela, biografię biskupa Jerzego Dudycza, posła niemieckiego na dworze Zygmunta Augusta, sprawozdanie z dwóch innych prac Karnkowskiego, opisujących wybór Henryka Walezego; streszczenie Hartknocha „Respublica polonica“ i t. d. Bardzo ciekawy jest wyciąg z dzieła, nad którem Mizler pracował, a które miało nosić napis: „Collectio magna omnium historiarum scriptorum Poloniae et M. D. Lith.,“ zawierające wiadomości o dziesięciu najdawniejszych opisach ziemi polskiej i ich autorach, przyczem popisuje się samochwalstwem, zowiąc to swoje dzieło przedsiębiorstwem naukowem, jakiegoby Polska nie była ujrzała, gdyby nie zbieg trzech szczęśliwych okoliczności: długoletni spokój, założenie książnicy Załuskich i zesłanie narodowi polskiemu odpowiedniej osobistości do napisania takiego dzieła, którą jest— sam Mizler. Lubo obiecał mniej się zajmować medycyną i naukami przyrodniczemi, nie mniej przeto pierwszy rocznik pisma zawiera 9 artykułów z tego zakresu. Natomiast w roczniku drugim brak ich zupełny. Zapewne skłonił go do tego ks. Jabłonowski, a ponieważ to był jego najulubieńszy przedmiot, można przypuszczać, iż wskutek tego przyszło do rozdwojenia pomiędzy obydwoma i Mizler ustąpił już pod koniec drugiego roku z re-

dakcyi, zakładając nowe własne pismo w języku polskim, o którem poniżej będzie mowa.

Piśmiennictwo i żywotopisarstwo traktowane po macoszemu. Wyjątek stanowi ks. Jabłonowski, obsypywany w „Actach“ pochwałami, gdzie też wyliczone są tytuły 38 dzieł księcia, przyczem redaktor niezapomina o swoich pracach, podając spis własnych dzieł w liczbie 32. Rubryka bibliograficzna dość starannie prowadzona. Zapiski zaopatrzone krótkiemi uwagami. Lubo „Acta litteraria“ są też utartym szlakiem zagranicznych pism „uczonych“ i mało w nich samoistnej pracy, widać w nich już postęp tak co do treści, jakoteż co do formy.

Zanim jeszcze wyszedł 3 zeszyt drugiego rocznika „Actów,“ począł Mizler wydawać nowe czasopismo, mianowicie „Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone, albo magazyn wszystkich nauk do szczęśliwego życia ludzkiego potrzebnych“ (Warszawa, 1758—1761) na pół „uczone,“ na pół „obyczajowe.“ Widać zmienił przekonanie o tem, jakiego potrzeba pisma. Naprzód („Warschauer Bibliothek“) pisał względnie dla uczonych, pragnąc zagranicę, względnie Niemcy, informować o stanie oświaty i rozwoju duchowym Polski, potem pisał po łacinie dla zagranicy i dla ciaśniejszych kół czytelników w Polsce, zwracając już uwagę na wykształceńszą szlachtę polską, teraz zaś wziął się do pisania, porzucając języki obce, wyłącznie dla czytelników polskich. Nie porzucając nauki, zmienił on sposób. Pisał o takich przeważnie sprawach naukowych, które przynoszą praktyczną korzyść, co w przedmowie do nowego wydawnictwa wyraźnie wypowiada. Pismo miało wychodzić miesięcznie, jednak od października 1758 r. do października 1759 r. nie wydał więcej jak 4 zeszyty, zaś przez 1760 r. i w pierwszem ćwierćroczu 1761 r. razem 8 zeszytów, tak na wydanie rocznika, złożonego z 12 zeszytów, potrzebował prawie półtrzecia roku. Z 12 zeszytem przestało pismo wychodzić.

W piśmie tem zajmował się najwięcej ekonomią, wykładając w niej główne zasady gospodarstwa rolnego, uprawy roli i rozmaitych rodzajów zboża, dodając niekiedy ryciny. Zapisywał skrzętnie wiadomości o nowych wynalazkach na polu rolnictwa i gospodarstwa domowego. O handlu i przemyśle znajduje się równie kilka artykułów. Nie zapominając o medycynie, którą traktował więcej ze stanowiska terapii, udziela rozmaite rady lekarskie i poleca różne środki. O „cudownym balsamie,“ „pigułkach na febrę“ i t. p. znajdują się tutaj częste przypomnienia.

Czasopismo miało połowiczne znamię: zamieszczało ciężkouczone rozprawy filozoficzne i inne, a obok tego krótkie artykuły

treści obyczajowej i moralnej, rozprawki przystępnie pisane o rozmaitych sprawach życia społecznego z dążnością wyraźną uobyczajania, t. j. pouczania o obowiązkach i cnotach, jakoteż w celu podnoszenia oświaty i dobrobytu. „Nowe wiadomości“ zajmują ważne stanowisko w rozwoju polskiego czasopiśmiennictwa, jako pierwsze pismo „uczone,“ zwracające się popularnie pisanymi artykułami do szerszych kół czytelników.

Estreicher [1]) i Czarnowski podają, jako wychodzące pod redakcyą Mizlera i przez niego wydawane w r. 1758, „Wiadomości ekonomiczne albo magazyn“ i t. d. i wydawane w r. 1760 „Nowe wiadomości ekonomiczne uczone albo magazyn“ i t. d., podczas gdy d-r Pilat wie tylko o „Nowych wiadomościach,“ zaś o „Wiadomościach“ żadnej nie czyni wzmianki. Czarnowski dodaje, że „Wiadomości“ wyszło cztery części w 8-o, a następnie w r. 1760 jeszcze dwa tomy w 12 zeszytach, p. t. „Nowe wiadomości.“

Ostatniem czasopiśmiennem wydawnictwem Mizlera był w języku niemieckim: „Monitor für das Jahr 1765 u. für das Jahr 1766,“ z którym nie mogłem się spotkać nigdzie i o którem nigdzie szczegółów nie znajduję.

Wybitnem czasopismem „uczonem“ był warszawski „Journal litteraire de Pologne,“ którego wydawnictwo podjął uczony Niemiec, rodem z Saksonii, Krystyn Bogumił Friese, ewangelik, po upadku „Warschauer Bibliothek,“ w roku 1754. Osiedlił on się w Warszawie wraz z ojcem, który zajmował w warszawskiej gminie ewangelickiej wybitne stanowisko i napisał cenne dzieło: „Kirchengeschichte des Königreichs Polen“ (Wrocław, 1786). D-r Pilat powiada o Friesem, synu, że w chwili przybycia do Polski był bakałarzem filozofii, zapoznał się w Warszawie z Janockim i Załuskim i wskutek ich zachęty zabrał się do studyów nad literaturą polską, korzystając, jak Mizler, ze zbiorów biblioteki Załuskich. Zawód literacki rozpoczął rozprawą łacińską o jednej z najdawniejszych książek greckich, drukowanych w Polsce, mianowicie o komentarzu do Aristotelesa, wydanym w r. 1537 przez profesora Akademii Krakowskiej, Jerzego z Lipnicy, przezwanego Libanusem; niedługo potem został sekretarzem marszałka wielkiego koronnego, Franciszka Bielińskiego, w końcu zaś był sekretarzem króla Stanisława Augusta.

---

[1]) „Bibliografia polska.“ Kraków. Czasopisma.

Zdaje się, że Friesego skłonił do współzawodnictwa z Mizlerem—wówczas wydawnictwo „Acta litteraria“ było już zapowiedziane—Janocki, który z Mizlerem pozostawał w bardzo naprężonych stosunkach.

Pełna nazwa czasopisma opiewała: „Journal littéraire de Pologne contenant un recit exact de livres nouvellement publiés dans ce pays avec plusieurs remarques utiles et curieuses“ MDCCLIV, 8-o. Miały wychodzić rocznie dwa tomy. Pierwszy ukazał się we wrześniu 1754 r. i ten tylko jest znany. D-r Pilat twierdzi, że bezwątpienia — na co przytacza dowody—wyszedł równie tom drugi, chociaż dotychczas nie zdołano go nigdzie odszukać. Wydawnictwo to wzorowało się równie na zagranicznych czasopismach „uczonych,“ mając zadanie obznajomiania zagranicy z polskiem piśmiennictwem i prostowania mylnych o niej pojęć i wyobrażeń. Treść pisma podobna jak „Warschauer Bibliothek.“ Redaktor zapowiada w przedmowie, że głównie uwzględniać będzie książki, wychodzące w Polsce, lecz przytem nie będzie zaniedbywał innych, które są ciekawe i zasługują na uwagę powszechną. Wogóle „Journal“ był bledszy, aniżeli Mizlerowska „Bibliothek.“ Redaktor wyrażał się o żyjących pisarzach z nadzwyczajną oględnością, a wypowiadał śmielsze sądy o nieżyjących. Omawiając „Rozmowę“ Górnickiego, wyrwała mu się nieco śmielsza uwaga. Pisał on: „Życzymy, żeby każdy Polak czytał tę książkę nie raz jeden, lecz razy dwadzieścia, gdyż ośmielam się zapewnić, iż nie istnieje inny pisarz polski, któryby tak dobrze prawdę wypowiedział i przemawiał z taką otwartością, jak ten.“ W okresie makaronistyczno-panegirycznym wzięto mu tę niewinną uwagę bardzo za złe. Kto wie, czy też to nie stało się powodem upadku jego pisma. Estreicher podaje wiadomość o wychodzącym 1735—1753 w Warszawie: „Journal littéraire,“ o którym zresztą nigdzie nie znajduję wzmianki. Porównywując daty wynikałoby, iż Friesego „Journal“ mógł być dalszym ciągiem pierwszego.

Za przykładem Warszawy, co do pism „uczonych,“ poszło Wilno, mianowicie tamtejsi jezuici, wydający tam od r. 1759 „Kuryera Litewskiego,“ o którym poniżej będzie szczegółowsza wzmianka. Zaczęli oni bowiem w rok później (1760) wydawać literacki dodatek do „Kuryera“ p. n. „Wiadomości literackie,“ które miały bardzo dobre powodzenie. Wychodziły do r. 1763, zrazu co tydzień w półarkuszu 4-o, później raz w miesiąc. Wszystkich numerów razem wyszło 80. Dziś są rzadkością bibliograficzną. Redaktorem, podług Estreichera, był ks. Bartłomiej Paprocki, czemu d-r Pilat przeczy przypuszczając, iż mógł nim być chyba

ks. Franciszek Paprocki. Było to pismo „uczone“ w rodzaju poprzednich. Zajmowało się głównie „ekonomią“ i naukami przyrodniczemi, mniej pisano o medycynie, natomiast często pojawiały się kościelnych dostojników rzeczy, pisane przygodnie.

Na uwagę zasługują „Thornische Nachrichten von gelehrten Sachen,“ wychodzące w Toruniu od r. 1762—1791, dwa razy na miesiąc po półarkusza w małej 8-ce. Pismo odznaczało się doborową i urozmaiconą treścią. Uwzględniało ono bowiem prawie wszystkie gałęzie nauk, a obok sprawozdań i recenzyj dzieł współczesnych, podawało obfite wiadomości literackie. Pismo zajmowało się dość gorliwie polskiem piśmiennictwem. Dla rzeczy polskich istniał osobny recenzent, podpisujący się samogłoską O. Sprawozdania jego krótkie, zwięzłe, lecz trafne, a stanowisko wobec Polski przyjazne.

Mniej znaczenia posiada drugie pismo toruńskie „Thornische wochentliche Nachrichten und Anzeigen nebst einem Anhange von gelehrten Sachen“ (1760—1793). Był to właściwie tygodnik polityczny z dodatkiem „uczonym,“ zawierającym wypisy i streszczenia obcych dzieł z dziedziny geografii, „ekonomii,“ nauk przyrodniczych, jako też doniesienia o nowych wynalazkach i t. d.

U naszych niektórych bibliografów mieszane są te pisma ze sobą z powodu podobnej nazwy.

Do niemieckich wydawnictw, zajmujących się sprawami polskiemi, zaliczyć należy czasopismo „Neues der Welt aus den Zeitungen und Büchern,“ wychodzące w Toruniu w latach 1733—34. Estreicher i Czarnowski zaliczają je do czasopism polskich. Treść pisma jest mi nieznana. Wyszły dwa tomy in 4-o.

Estreicher podaje wiadomość o wychodzącym w r. 1729 tygodniku: „Nowinach polskich.“ Nie podaje atoli miejsca, gdzie wychodziły. Są to „Nowiny,“ wydawane przez Polaków w Warszawie poprzedzające „Kuryera Polskiego.“ „Gazeta Warszawska“ wychodziła podług Estreichera w latach 1700—1702 poraz pierwszy.

W chronologicznym porządku wychodziły jeszcze w okresie makaronistycznym następujące czasopisma polskie: „Warszawska kolęda z kalendarzykiem“ od r. 1753, a od r. 1759 „Krakowska kolęda z kalendarzykiem;“ „Kuryer Litewski“ w Wilnie, którego wydawnictwo rozpoczęli jezuici, jako miesięcznika in 4-o w r. 1759. Od r. 1760—1763 wychodził „Kuryer“ z dodatkiem miesięcznym, zamieniony na tygodnik „Wiadomości Literackie“ (p. powyżej), ozdobione ryciną, przedstawiającą wodotrysk. Od r. 1761—1764 wychodziło to pismo pod zmienioną nazwą, jako „Gazeta Wileńska“ z dodatkiem: „Suplement,“ tak, że „Kuryer Litewski“ pier-

wotnie wychodził tylko rok jeden. Od r. 1765 pojawił się znowu „Kuryer Litewski“ i przetrwał aż do r. 1831, przechodząc w tym czasie liczne zmiany redakcyi, treści i formatu. W r. 1760 wydawał Dusert w Warszawie „Journal Litéraire.“ W Krakowie wychodziło r. 1761 czasopismo: „Zbiór tygodniowych wiadomości uczonych“ w numerach arkuszowych, co tydzień. Wyszło 4 t. we Lwowie w latach 1760 — 1762 wydawano miesięcznik: „Wiadomości Literackie.“ Toruńczyk Bauch redagował w latach 1761—1763 czasopismo: „Patryota Polski, kartki tygodniowe zawierający,“ tłoczony u Mizlera w Warszawie. Wyszło 29 numerów. W Nieświeżu, rezydencyi Radziwiłłów, wychodziła za panowania Augusta II „Gazeta“ miejscowa.

Początek właściwego polskiego czasopiśmiennictwa, t. j. tłoczonego, i regularnie w pewnych odstępach czasu wydawanego, przypada na okres makaronistyczny, na okres upadku politycznego, a co daleko więcej waży, upadku rozwoju duchowego i oświaty narodowej. Najpierwszy zaczątek dziennikarstwa albo raczej nowiniarstwa polskiego, przypadający na wiek XV i XVI, a ujawniający się w formie klasztornych pisanych doniesień, następnie zaś w formie pism ulotnych na wstępie wspomnianych „Nowin,“ „Relacyj,“ „Wiadomości,“ „Awizów“ i t. d., zapowiadał się bardzo żywo i czerstwo i niezawodnie byłaby niwa czasopiśmienna bujnie zakwitła, gdyby jezuicko-makaronistyczna reakcya, każąca język narodowy, krzewiąca cudzoziemszczyznę i krępująca ducha i oświatę, nie była w Polsce wzięła górę. Przy srogiej duchownej cenzurze upadał naród na duchu, upadała oświata, wolny polot myśli omdlewał, formalistyka zabijała treść — rzecz łatwa do pojęcia, że w takich warunkach, w więzach duchowych, czasopiśmiennictwo nie mogło rozwijać się prawidłowo, a jeszcze mniej tak, jakby było mogło i powinno po złotym wieku piśmiennictwa polskiego. W okowach makaronistycznego panegiryzmu i cenzury marniało polskie czasopiśmiennictwo. Widzimy je też pod koniec XVII i na początku XVIII w. dość pomyślnie zapowiadające się („Merkuryusze,“ „Poczta królewiecka“), następnie pijarzy, zakon dbały o oświatę, rozwijają bardzo gorliwą czynność wydawniczą („Kuryer Polski,“ „Wiadomości,“ „Merkuryusz“), lecz ostatecznie współzawodniczący z nimi na polu wydawniczem i wychowawczem jezuici podstępem odnoszą nad nimi zwycięstwo i odrazu, przez wydarcie im przywileju królewskiego, dostają w swoje ręce wszystkie ich polskie czasowe wydawnictwa, które pod ich kierunkiem upadają. Z redaktorów-dziennikarzy tego okresu ukazuje nam się na samym początku świetlana postać Jana Gorczyna,

założyciela i redaktora pierwszego właściwego czasopisma polskiego („Merkuryusz Polski“). Zdaje się jakoby to był zbieg ze złotego wieku naszego piśmiennictwa i duchowego rozwoju. Lecz niedługo widzimy go na widowni wydawniczej. Toczy trudne walki z piętrzącemi się trudnościami, w końcu ulega im i ginie w nędzy. Cudzoziemcy Lengnich, Schulze, Priami, anonim we Wrocławiu („Polnischer Mercurius“), później Mizler i Friese jawią się na placówce i snują nić czasopiśmienną dalej. Najlepsze ożywiają ich chęci, kochają Polskę, która przygarnęła ich do siebie i gdzie posiedli dobrobyt i dostojeństwa, lecz odzywają się w pismach swoich językami cudzoziemskimi. Wprawdzie Mizler po „Bibliothek“ i „Acta“ wydaje „Wiadomości,“ lecz zawód swój publicystyczny kończy niemieckim „Monitorem.“

W okresie najstarszym naszego czasopiśmiennictwa, t. j. od ustalenia pierwszego peryodycznego wydawnictwa („Merkuryusz Polski“ Gorczyna), t. j. od r. 1661 do 1764 (epoka Stanisławowska), wychodziło czasopism polskich i cudzoziemskich, zajmujących się sprawami polskiemi, razem 48, z tych w języku polskim 25, niemieckim 13, francuskim 6 i łacińskim 4, w językach cudzoziemskich razem 23 czasopism. Podług miejscowości przypada na Warszawę 26, Kraków 6, Wilno 5, Toruń 4, Królewiec 2, a po jednem na: Lwów, Wrocław, Leszno, Grodno, Nieśwież i Szymbark. [1])

---

[1]) W czasowym porządku wychodziły czasopisma tego okresu, jak następuje:

1) 1661 „Merkuryusz Polski“ Jana Aleksandra Gorczyna. Najprzód w Krakowie, potem w Warszawie wydawany. 2) 1697—1698 „Mercurius Polonicus“ (Priami). Lechiopolis. 3) 1797 „Polnischer Mercurius,“ Wrocław. 4) 1700—1702 „Gazeta Warszawska,“ Warszawa. 5) 1718—1720 „Poczta Królewiecka,“ Królewiec. Nakład Cenkiera. 6) 1718—1719 „Polnische Bibliothek“ Lengnicha, Szymbark. 7) 1719 „Publica Nova Latina,“ Królewiec. 8) 1722—1725 „Das gelehrte Preussen“ (Schulze), Toruń. 9) 1725 Continuirtes Preussen“ (Schulze), Toruń. 10) 1728 „Nova Polonica ex comitiis grodnensibus,“ Grodno. 11) 1729 „Nowiny Polskie,“ Warszawa. Wydawnictwo pijarów. 12) 1729 „Kuryer Polski,“ Warszawa. Wyd. pijarów do r. 1740, następnie jezuitów. 13) 1730 „Suplement do gazet polskich,“ Warszawa. 14) 1733—1734 „Neues der Welt aus den Zeitungen und Büchern,“ Toruń. 15) 1734 „Gazeta Polska,“ Warszawa. Wyd. pijarów. 16) 1734 „Wiadomości uprzywilejowane z cudzych krajów,“ Warszawa. Wyd. pijarów. 17) 1735 „Kuryer Cudzoziemski,“ Warszawa. Wyd. pijarów. 18) 1735—1753 „Journal Litéraire,“ Warszawa. 19) 1736—1738 „Merkuryusz historyczny i polityczny,“ Warszawa. Wyd. pijarów. 20) 1751 „Primitiae phisico-medicae,“ Leszno. 21) 1753—1755 „Warschauer Bibliothek“

Dobrze zapowiadający się ruchem i życiem początek polskiego czasopiśmiennictwa „Nowinami," „Awizami," „Relacyami" i t. d., krystalizujący się pomyślnie i wielce obiecująco w stałych wydawnictwach pod koniec XVII i na początku XVIII wieku, przechodzi około r. 1730 w nową fazę, mianowicie, słaba roślinka naszego początkowego dziennikarstwa dostaje się w Polsce pod wyłączną pieczę pijarów, którzy otrzymują przywilej królewski na wydawnictwa czasopiśmienne i w czwartym dziesiątku XVIII wieku dzierżą je wyłącznie w swoich rękach. Duchowni stają się uprzywilejowanymi kierownikami opinii publicznej, o ile ówczesnym pismom wpływ na nią przyznać można. Po świetnym początku, uczynionym „Merkuryuszami," „Pocztą królewiecką" i „Biblioteką" Lengnicha, oznacza nowy zwrot pewne przyćmienie, że

---

Mizlera, Warszawa. 22) 1754 „Journal Literaire" Friese, Warszawa. 23) 1755—1757 „Acta Litteraria Regni Poloniae" Mizlera, Warszawa. 24) 1756—1758 „Journal de la Campagne," Warszawa. Wyd. pijarów. 25) 1758 „Wiadomości ekonomiczne albo Magazyn" i t. d. Mizlera, Warszawa. 26) 1758 „Warschauer Zeitung," Warszawa. Wyd. pijarów. 27) 1759 „Kuryer Litewski," Wilno. 28) 1759—1793 „Warszawska kolęda z kalendarzykiem," Warszawa. 29) 1759—1777 „Krakowska kolęda z kalendarzykiem," Warszawa. 30) 1760 „Nowe Wiadomości ekonomiczne i uczone albo Magazyn" i t. d. Mizlera, Warszawa. 31) 1760 „Wiadomości Literackie" dodatek do „Kuryera Litewskiego," Wilno. 32) 1760 „Wiadomości Literackie," Lwów. 33) 1760—1791 „Thornische Nachrichten von gelehrten Sachen," Toruń. 34) 1760—1793 „Thornische wöchentliche Nachrichten und Anzeigen nebst einem Anhange von gelehrten Sachen," Toruń. 35) 1760—1762 „Rozmowy w ciekawych i potrzebnych, w filozoficznych i politycznych materyach w Kolleg. Nobilium War. Schol. Piar. miane," Warszawa. Wyd. pijarów. 36) 1760 „Journal Litéraire" Dusert, Warszawa. 37) 1760—1764 „Gazette de Varsovie," Warszawa. Wyd. pijarów. Prawdopodobnie wychodziła już w r. 1758. 38) 1760 „Supplement à la Gazette," Warszawa. Wyd. pijarów. 39) 1761 „Zbiór tygodniowych wiadomości uczonych," Kraków. 40) 1761—1763 „Patryota Polski" Bauch, Warszawa. 41) 1761—1764 „Kuryer Warszawski," Warszawa. Wyd. jezuitów. 42) 1761 „Wiadomości uprzywilejowane warszawskie," Warszawa. Wyd. jezuitów. 43) 1761 „Der Rathgeber ein moralisches Wochenblatt," Warszawa. Wyd. pijarów. 44) 1762 „Ein Wochenblatt," Warszawa. Wyd. pijarów. 45) 1764—1765 „Monitor fur das Jahr 1764" Mizlera, Warszawa.

Prócz powyższych, wychodziły przed r. 1764 jeszcze następujące czasopisma, których roku wydawnictwa nie znam:

46) „Gazeta" miejscowa w Nieświeżu, rezydencyi Radziwiłłów. 47) „Addytyment do Gazet" dodatek do „Kuryera Polskiego," i 48) „Warschauer Intelligenzblatt."

się tak wyrażę, polskiego czasopiśmiennictwa. Pijarskie „Nowiny“ i „Kuryer Polski“ z wszystkimi odmianami swej nazwy nie dorównywują „Poczcie królewieckiej,“ a pijarski „Merkuryusz“ nie równoważy ubytku pierwszych polskich „Merkuryuszów.“ Widzimy też, że punkt ciężkości polskich pism uczonych znajduje się czasowo nie w stolicy państwa, lecz na kresach, owianych oświatą niemiecką, mianowicie w Toruniu, gdzie aż 3 pisma tego rodzaju („Das gelehrte Preussen,“ „Continuirtes Preussen“ i „Neues der Welt“), wolne od wpływu duchowieństwa wychodzą. Niemożna atoli wysiłku wydawniczego przywileju pijarskiego uważać już za upadek polskiego czasopiśmiennictwa. Oznacza on bowiem tylko pewne osłabienie i jednostronność zarówno ruchu wydawniczego, jakoteż samego czasopiśmiennictwa, okres przejściowy do upadku, uskutecznionego odebraniem przywileju wydawniczego na pisma polskie pijarom, a nadanie go jezuitom w r. 1740, który to rok rozpoczyna nowy okres stanowczego zastoju i upadku. Trwa on mniej więcej lat 15 aż do zjawienia się Mizlera na widowni wydawniczej, okres zaciemnienia duchowego i wykonywania cenzury księżej nad wolnością myśli, ujawniającej się w tłoczonem słowie. Jezuicki „Kuryer Polski“ z dodatkiem „Wiadomości uprzywilejowane,“ odebrany pijarom i przystosowany do dążności wydawców, stanowi przez lat kilkanaście jedyne czasopismo polskie. Przez cały czas aż do r. 1753 nie pojawia się żadne nowe wydawnictwo z jedynym wyjątkiem efemerycznych „Primitiae phisico-medicae“ (1751) w Lesznie. Stan takiej skrzepłości trwa, można powiedzieć, do r. 1760, w którym niwa czasopiśmienna poczyna się znowu nieco ożywiać, dzięki ruchliwej przedsiębiorczości naukowej Mizlera, mecenasowstwu księcia Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, jakoteż dzięki ożywionemu współzawodnictwu wydawniczemu pijarów, którzy, niestety, mogli je wykonywać tylko przez wydawanie pism w obcych językach, francuskim i niemieckim: „Journal de la Campagne,“ „Gazette de Varsovie,“ „Warschauer Zeitung,“ „der Rathgeber,“ „Warschauer Intelligenzblatt“). Ożywienie to było brzaskiem nowej ery stanisławowskiej.

Czasopiśmiennictwo polskie najstarszej doby da się podzielić na pięć okresów, mianowicie: 1 okres pism ulotnych („Nowin,“ „Awizów,“ „Relacyj“ i t. d.), sięgający XV w., a kończący się, choć niezupełnie, w r. 1661, w którym się ukazało pierwsze polskie stałe pismo czasowe Gorczyna; 2 okres od roku 1661 do 1729, t. j. do czasu ukazania się „Nowin Polskich“ i „Kuryera Polskiego,“ względnie do przywileju wydawniczego pijarów, który nazwać można okresem Gorczyna; 3 okres od r. 1729 do r. 1740,

t. j. do odebrania przywileju wydawniczego pijarom, a nadania go jezuitom, czyli okres pijarski; 4 okres od r. 1740 do r. 1753, t. j. do pojawienia się Mizlerowskiej „Warschauer Bibliothek,“ czas wyłącznego panowania niewoli duchowej, wykonywanej przez jezuitów, czyli okres jezuicki i 5 okres od r. 1753 do r. 1764, t. j. do czasów stanisławowskich, czyli okres przejściowy.

Duchowieństwu przypada wogóle w naszem czasopiśmiennictwie najstarszej doby przodująca rola, mianowicie, duchowieństwu zakonnemu, które je właściwie zapoczątkowało pisanemi doniesieniami i pisanemi gazetami, rozsyłanemi z klasztorów swoim patronom. Następnie widzimy czasopiśmiennictwo zupełnie w rękach pijarów, następnie zaś jezuitów. Roślina, wypielęgnowana w zaczątkach ręką zakonników, zmarniała następnie pod tą samą ręką, odżywając dopiero, gdy brzask wschodzącego słońca oświaty rozświecił ciemnię nietolerancyi duchowej i przełamał lody jej rygoru.

Starałem się skrzętnie zebrać wszystkie szczegóły, odnoszące się do dziejów naszego czasopiśmiennictwa najstarszej doby. Należy mi wyznać, iż w tem przedsięwzięciu napotkałem bardzo wielkie trudności i przeszkody, polegające głównie na tem, iż nasze książnice bardzo niedostatecznie są zaopatrzone w czasopisma w ogóle, a w najstarsze w szczególności. Niema u nas biblioteki, którąby te ostatnie posiadała wszystkie w komplecie. Porozrzucane są po bibliotekach w Warszawie, Petersburgu, Krakowie, Lwowie, Wrocławiu, Gdańsku, Królewcu, Toruniu i t. p. Wobec tego niepodobna mi było mieć w ręku cały materyał i dlatego byłem zniewolony czerpać ze źródeł drugiej ręki. Te są atoli także niedostateczne, często bardzo niedokładne i zawierające sprzeczne lub niejasne podania. Dodać jeszcze należy, iż jeśli w tej lub owej książnicy znajdzie się to lub owo stare czasopismo, zwyczajnie nie bywa kompletne i dlatego przy niektórych, co do dat, mianowicie, rozpoczęcia lub zakończenia wydawnictwa panuje niewiadomość lub też krążą mylne dane, zaś co do ich treści, tylko częściowe sprawozdania. Przy takim stanie rzeczy niepodobna ani wyczerpać przedmiotu, ani też ustrzedz się od usterek, omyłek i niedokładności, co, obawiam się, będzie zapewne stanowiło ujemność także pracy niniejszej, dlatego czuję się zniewolonym prosić co do tego o wyrozumiałość dla okoliczności łagodzących.

A jak łatwo było ominąć niepoczesne stosunki, panujące w naszych bibliotekach. Snać u nas, niestety, nieprzywiązywano należytej wagi do peryodycznych wydawnictw od najdawniejszych czasów i dlatego niezawodnie ze starych tego rodzaju wydawnictw

przepadło niejedno nawet bez słychu, co niepowetowaną oznacza szkodę dla piśmiennictwa wogóle. Niedbalstwo przodków w tym kierunku przeszło u nas, jako grzech atawistyczny, na późniejsze pokolenia i na nasze czasy, w których ujawnia się to samo niedbalstwo lekceważące czasopiśmiennictwo. Z uwagi, iż czasopiśmiennictwo wchłania w siebie najlepsze siły literackie i naukowe, iż stanowi nieprzebraną skarbnicę wszelakiego rodzaju szczegółów z życia narodowo-społecznego, staje się to lekceważenie przestępstwem narodowem. Śmiało powiedzieć mogę, że niema książnicy polskiej, któraby posiadała, już nie najstarsze, lecz późniejsze, a nawet bieżące wszystkie polskie czasopisma i dzienniki, tak dalece, iż np. w jednej z najstarszych i największych naszych bibliotek, gdy zażądałem kompletu warszawskiej „Wisły," podano mi zbiór roczników niezupełny z oznajmieniem, że książnica nieposiada kompletu!

Niedbalstwo takie równa się niemal wiekopomnemu dziełu Omara, który spalił aleksandryjską bibliotekę. Niechaj mi wolno będzie rzecz niniejszą zakończyć aktualną uwagą. Przeglądając stare czasopisma po książnicach, podziwiałem nieraz, jak niektóre z nich, mimo sędziwości wieku, czerstwo wyglądają, względnie doskonale są utrzymane. Środkiem konserwacyi jest dobry i trwały papier, używany przy dawnych wydawnictwach. A dziś? Dziś molochy rotacyjne pożerają ogromne zwoje papieru z materyj drzewnych, rodząc nasze dzienniki, lecz nietylko kołowrotnie drukarskie, ale także inne maszyny, z których wychodzą czasopisma i książki, używają papieru nietrwałego z celulozy.

Strach pomyśleć, jaka czeka nas, nietylko nas, lecz cały świat — przyszłość, skoro chemicznie stwierdzoną jest rzeczą, iż papier z drzewa trwa lat kilkadziesiąt, a z pewnością przed upływem stu lat rozpada się w pył i niszczeje zupełnie. Więc skarby duchowe, znajdujące się na zadrukowanym papierze z drzewa, dzienniki, czasopisma, książki, mają co najwyżej za sto lat przepaść dla potomności?

Nietrzeba nawet lat stu. Mam właśnie pod ręką odbitkę z lwowskiego „Przewodnika Naukowego i Literackiego" pracy d-ra R. Pilata „Początek Publicystyki w Polsce," z której korzystałem przy niniejszej rozprawie, wydaną w r. 1882 na takim papierze z drzewa, a więc przed 27 laty, znajdującą się już w okropnym stanie zniszczenia. Brzegi kartek pożółkłe, powystrzępiane, kruszące się. Jedna kartka nie trzyma się drugiej, papier niszczeje widocznie tak, iż zanim minie drugich lat 27 rozlezie się nie-

zawodnie w strzępy i dziełko przepadnie na wieki, jakgdyby za czasów Omara znajdowało się w książnicy aleksandryjskiej.

Mamyż się wobec tego zachowywać obojętnie i biernie? Lecz jaka rada na to? Nie inna, jak ustawowa na podstawie międzynarodowej, którąby obowiązywała wszystkich wydawców czy to dzienników lub czasopism, czy książek, używających nietrwałego papieru z drzewa, żeby przynajmniej cząsteczkę nakładu, powiedzmy 50 lub 100 egzemplarzy, dla książnic odtłaczali na dobrym, trwałym papierze.

Odbiegłem przy końcu od przedmiotu. Praca atoli niniejsza nasunęła mi powyższą uwagę pod pióro, gdym ujrzał doskonale zachowane stare czasopisma i zniszczoną odbitkę pracy d-ra Pilata względnie świeżej daty. Na uniewinnienie swe powołuję się na ogromną doniosłość poruszonej w uwadze końcowej sprawy, w nadziei, iż zboczenie to będzie mi przebaczone i może zaradzi przy dobrej woli złemu.

G. Smólski.

HAWAII.

Daleko—pośród oceanu Wielkiego, położone są wulkaniczne wyspy Hawaii, wiadome nam dopiero od głośnej podróży Cooka w r. 1778. Strome wybrzeże piętrzy się miejscami do wysokości przeszło 4 tysięcy metrów, uwieńczone śniegiem przyprószonymi wierzchołkami Maona Loa i Maona Hea. Wysp jest 13, z których 8 zamieszkałych. Ale daremnieby tu szukano poezyi i egzotyczności, jaka wieje z opisów, które pozostawili nam o nich podróżnicy z przed 50-iu laty. Dziś wszystko się zmieniło i podróżny, przybywający na te czarowne, malownicze brzegi, znajduje ze zdziwieniem cywilizacyę europejską a raczej amerykańską, z całym jej szablonem.

Tubylcza rasa nieodgrywa już roli—ludność kosmopolityczna jest bardziej azyatycką liczebnie. Jeszcze przed laty 20-tu hawajczycy wynosili $^3/_4$ ogółu — gdy dziś nie tworzą więcej, jak szóstą część.

Z ulepszeniem środków komunikacyi między Dalekim Wschodem a Ameryką, wyspy Hawaii nabrały wielkiego znaczenia handlowego i strategicznego i będąc często jabłkiem spornem między Rosyą (która tu w r. 1815 wybudowała dwie fortece na wyspie Kanai), Francyą, Anglią i Stanami Zjednoczonemi, zniewoloną była zamienić operetkowe rządy swych królów na bardziej bezpieczną opiekę Wujaszka Sama.

Koloryt miejscowy zwolna znikał już od początków zeszłego wieku.

Naprzód przybył tu żeglarz i pod tem pięknem niebem, w cieniu palm kokosowych, znalazł naród ciemno-oliwkowej barwy, gościnny, łagodnych obyczajów, świątynie drewniane, pełne bożków o głowach olbrzymich, królów i książąt, odzianych w płaszcze

misternie tkane z piór ptaka „momo," dziewczyny, uwieńczone koronami z żywych kwiatów „leis," niby wężami opasującymi ich gibką kibić, gdy dolną część ciała stroiły trawy morskie i słomiane zasłony. Naród ten przyjmował białych gościnnie, zadawalniał ich żądania, nieżądając wzamian zapłaty. Za gwóźdź żelazny można było na Hawaii kupić kilka mil kw. urodzajnej ziemi.

Ale po żeglarzu przybył wkrótce misyonarz-metodysta i zaczął mówić o piekle, czekającem tuziemców, ganił ich poligamię, obyczaje luźne, nałogi i obarczył wkrótce takiemi więzami, że lud zatracił swą indywidualność, niezależność osobistą i polityczną i stał się łupem mocarstw zamorskich, po próbie niezależnej republiki i rewolucyj ustawicznych. Misyonarz dużo uczynił niewątpliwie, lecz praca ta obosieczna przyczyniła się do wymarcia i degeneracyi rasy, bo europejskich obyczajów nie można siłą miecza nigdzie stosować. Zamiast przedstawiać Boga dobrym i miłosiernym, surowi metodyści usiłowali odmalować Go mściwym tylko i nieubłaganym, wymierzającym w dzień sądu ostatecznego kary wiekuiste.

Zabijając nadzieję i otuchę, zabili oni poezyę narodu, zabraniając tańca i używania miejscowego języka, odjęli całą oryginalność i byt niemal rasy tutejszej.

Surowe, śmiertelne kary wyznaczano za grzechy najlżejsze, znienawidzone „tabu" [1]) wprowadzono ponownie przez chrześcijańskich misyonarzy-metodystów, których władza była silniejszą od władzy samych królów. Asymilacya hawajczyków dała rezultaty bardzo prędko. W ciągu 60-iu lat, od r. 1800 do 1860, ludność zmniejszyła się z 250 tysięcy do 100 tys. głównie przez choroby i pijaństwo.

Niewątpliwie każde nowe pokolenie wprowadzone zostało na drogę cywilizacyi coraz prędzej przez oświatę bardzo skutecznie rozpowszechnioną, ale liczba czystych hawajczyków zmniejszała się coraz bardziej, mięszańcy stali się mostem, którym szła asymilacya na wielką skalę, łącząc tuziemca z obcym anglo-saxem.

[1]) Mieszkańcy wysp hawajskich (dawniej Sandwich) byli zwolennikami wiary Tabu — wymagającej niesłychanego wyrzeczenia się wygód i w której tysiące ofiar niewinnych śmierć ponosiło. Król bowiem był Tabu, t. j. święty, nietykalny i to wszystko, do czego się on dotknął; dlatego król nigdy do obcego domu nie wchodził, bo jużby nikomu nie wolno było w nim przebywać. Oprócz króla, kapłani mieli moc wyrzeczenia Tabu o różnych miejscach i przedmiotach, oraz potraw, których użycie od tej pory było całkiem wzbronione. Kubek, z którego pił król, każdorazowo bywał niszczony.

Metodyści jednak nie byli zupełnie zdania Zbawiciela, że „Królestwo Jego nie jest z tego świata“ — przeciwnie, za tanie pieniądze, lub drogą przywilejów, nabywali ziemię i zaczęli ją uprawiać na wielką skalę. Plantacye trzciny cukrowej szybko rosły, brakowało tylko rąk roboczych, dlatego, że tubylcy, z natury leniwi, niechętnie się brali do pracy. Sprowadzono naprzód Chińczyków, około r. 1880, następnie Portugalczyków z wysp Madery i Azorskich na plantacye bogatych misyonarzy. Za 15 dolarów miesięcznie musieli owi robotnicy pracować 10 godzin dziennie w słońcu całorocznem przez 3 lata na mocy kontraktu — trzy lata prawdziwej niewoli.

Po upływie kontraktu, nikt nie zostawał na plantacyi, ale brał się do rzemiosła albo nabywał małe parcele pod uprawę. Chińczycy pojmowali za żony kobiety tutejsze i wytworzyli nową rasę. Ale imigracya chińska ustała w r. 1890, liczba Chińczyków poczęła się zmniejszać, gdyż rząd spostrzegł się, iż synowie państwa niebieskiego nie stanowią pożądanego elementu cywilizacyi. Udano się więc po Japończyków, których przybyło w parę lat 70 tysięcy. Japończycy, jako robotnicy, dali zupełne zadowolenie, ale zarazem, jako prawdziwi kolonizatorowie, stali się przyczyną słusznych obaw socyalno-politycznej natury ze strony amerykanów, teraźniejszych władców wysp hawajskich. Kontrakty zatem japońskie ustały, ale po niewczasie, gdyż liczba Japończyków jest tak poważna, że tworzą oni połowę ludności. Próbowano też przyciągnąć emigracyę Hiszpanów oraz wyspiarzy z P. Rico dość skutecznie, lecz w mniejszych cyfrach. W ten sposób wyspy od r. 1890 do dzisiaj przeszły z niepodległego hawajskiego ustroju państwa do zależności Stanów Zjednoczonych, jako terytoryum zaludnione przeważnie przez rasę żółtą.

Trudno sobie wystawić większą mieszaninę ras zaiste! Ze 180 tysięcy ludności przypada 100 tys. na żółtych (70 tys. Japończyków, 25 t. Chińczyków, 5 t. Koreańczyków), z pozostałych 80 tysięcy jest 28 tys. hawajczyków, 12 t. metysów, 30 t. Portugalczyków, 3 t. Hiszpanów, 2½ t. Portorykańczyków, reszta zaś amerykanie, Anglicy, Niemcy i t. p. Z Polaków niema, o ile wiem, nikogo. Podczas mego pobytu wprawdzie spotkałem p. Wacławińskiego na audyencyi u zdetronizowanej królowej Lilionkalani. Królowa, mająca dziś lat 78, jest cieniem minionej świetności i zdaje się ze smutkiem patrzeć na wynarodowienie Hawaii.

Królowa ubiera się czarno, jest już zgrzybiałą staruszką — tylko oczy zachowały blask żywy. Brak pamięci powoduje, że rozmowa z nią jest trudna. Lilionkalani interesuje się bardzo

Europą, którą zwiedziła, i jest znaną literatką — prace jej po angielsku, zawierające autobiografię i historyę wysp, napisane są barwnym i żywym językiem. P. Wacławiński był długi czas na dworze w Honolulu, jako przyjaciel hawajczyka p. Wilcoxa, który umarł wkrótce po nieudanej rewolucyi w r. 1896.

Na dowód, do jakiego stopnia tutejsza biblioteka jest bogatą, przytoczę, że oprócz pism całego świata, zawiera kilkadziesiąt tomów, dotyczących naszego kraju, jego historyi oraz tłómaczenia dzieł wybitnych autorów polskich. Pod tytułem „Through savage Europe“ (Wśród dzikiej Europy) czytałem opis Bałkanów, części Rosyi i Warszawy. Niestety, autor przyjechał do nas w roku 1906, był pomimowoli świadkiem rzucania bomb i zamieszek ulicznych, co go tak przeraziło, że opuścił czemprędzej niespokojne miasto i nie oparł się, aż w Budapeszcie, gdzie się dopiero, jak mówi, poczuł bezpiecznym.

Język hawajski wychodzi z użycia, szkoły już go dawno zarzuciły, tak, że angielski wszędzie zdobył sobie obywatelstwo. Japończycy wszakże trzymają się usilnie swego—6 gazet wychodzi po japońsku, 1 po chińsku, 3 jest portugalskich, za to angielskich aż 10.

Hawajski język podobny do malajskiego oraz do innych narzeczy, używanych na wyspach Polinezyi (Tahiti, Sanwa, Markizach i t. d.), należy do najuboższych świata — posiada bowiem tylko 12 liter: a, e, i, o, u, w, h, k, m, n, p, l, innych dźwięków wcale tu niema. Zdumiewa ilość samogłosek oraz wyrazów, zaczynających się na *k*. Takie nazwy, jak Hoaeae, Waikiki, są bardzo pospolite. Zapewne za lat kilka wyginie ta mowa zupełnie— jak już dziś prawie wyszła z użycia na wyspie Oahu. Oahu, na którem mieści się stolica, Honolulu, posiada połowę ludności, gdy wyspa Hawaii rozciąga się na $^2/_3$ obszaru całego archipelagu.

Czytając opisy wysp z przed lat 50, nabiera się zupełnie fałszywego poglądu. Dziś zmodernizowane Hawaii jest bardziej nowożytnem, niż jakakolwiek wyspa europejska. *Analfabetów tu niema wcale*, dzięki doskonałym szkołom, i trzeba widzieć, jak chętnie malcy wszystkich klas i ras odrębnych garną się do nauki i jak się bawią ochoczo w cieniu fikusów, tamaryndów i pointian o szkarłatnem kwieciu.

Gdy się przyjeżdża do wygodnej przystani Honolulu, naprożno podróżny szuka miasta i nie znajduje go — całe bowiem Honolulu, słusznie nazwane „paradise of the Pacific,“ tonie w ogrodach o świetnej roślinności podzwrotnikowej.

Nie będę tu opisywał szablonowych gmachów, 3 piętrowych banków, 7 piętrowych hoteli, gdzie znaleźć można komfort większy niż w Europie i lubować się panoramą miasta z płaskiego dachu hotelowego, zamienionego na teatr, ogród i restauracyę — powiem tylko, że miasto ciągnie się około mili nad morzem i wspina się na okoliczne wzgórza Ponehbowl i Pali. Na całe mile ciągną się asfaltowe ulice, obsługiwane szybkimi tramwajami elektrycznymi, a po bokach setki will, rezydencyj wznosi się w cieniu palm różnorodnych—od baobabów do drzew chlebowych i innych olbrzymów roślinnego świata. Przed domami tryskają fontanny wśród kwiatów różnokolorowych, dookoła gazony, utrzymane zielono przez rok cały, niezwykle staranny mają wygląd. Prawie każda rezydencya ma *garage* do automobilów, których w Honolulu jest przeszło 200. Egzotyczne ptaki świergoczą w gałęziach, gdy ożywczy wiatr chłodny igra liśćmi filodendronów, bananów, buja koronami palm wiotkich. Całość sprawia wrażenie raju, ale nie raju (jak w Indyach), gdzie piękna przyroda skazuje nas na męczarnie upału i naraża na śmierć przedwczesną, tylko raju rzeczywistego, gdzie żyć można z komfortem, po europejsku, nie narażając swego zdrowia i nieznosząc żadnych prywacyj. Wspaniale urządzone kluby sportowe, zakłady dobroczynne, luksusowe czytelnie publiczne, jakie tylko w Stanach Zjednoczonych znaleźć można, kawiarnie, restauracye, wille wykwintnie umeblowane — czynią Honolulu idealnem miejscem dla turystów i rentierów, zjeżdżających tutaj na odpoczynek na stare lata.

Klimat Honolulu jest wprost zadziwiający — jeszcze lepszy niż na Maderze lub Teneryffie. Średnio wilgotny ze średnią ciepłotą 19° R., mimo że pod bardzo nizką położone szerokością (21), odznacza się idealną temperaturą przez rok cały. 18° R. w styczniu, 21° w sierpniu, 23° jako maximum, 12° minimum — czyli nasz piękny dzień czerwcowy, pomnożony przez 365 dni—oto klimat na Hawaii! Pod tym względem przyznać trzeba, że doskonałość jest na tym świecie dla niewielu dostępna i że jej szukać daleko przychodzi. Honolulu, oddalone o 9 tysięcy mil morskich, jest tą perfekcyą w całem znaczeniu tego słowa, ale niestety, tylko dla bogatych albo dla fachowców—nie dla próżniaków w każdym razie. Ze zdziwieniem też widzimy, że każdy tu opływa w bogactwo i że „fashion“ wykwintne panuje więcej niż gdzieindziej. Honolulu ma najbogatszą klientelę turystów amerykańskich, a liczba milionerów, stale osiadłych, jest zdumiewającą. Dla klasy roboczej jest tu również dobrze—dzienny zarobek 6—8 rubli zapewniony dla stolarzy, ślusarzy, szewców i t. p.

Ale od czasu przybycia Japończyków w tak wielkiej liczbie, warunki pracy bardzo się zmieniły i zarobki zmniejszyły, chociaż zdolni rzemieślnicy zawsze tę samą płacę pobierają.

Wyspa eksportuje głównie cukier (około 500 tysięcy tonn), dalej ananasy, banany i ryż. Ostatnio zaprowadzono uprawę kauczuku, tytuniu, kawy, bawełny oraz drzew owocowych. Owoce rzeczywiście są niezwykle drogie, podobno dlatego, że grunt im nie sprzyja; nawet pomarańcze sprowadzają z Kalifornii i kosztują 10 kop. za sztukę. Hodowla bydła nieszczególnie się wiedzie, drób zdycha tak, że jaja należą do najdroższych produktów. Tuzin kosztuje 1 rb. 50 kop.

Dzięki szkołom amerykańskim, jedność ludności dotąd się utrzymuje. Ważną rolę odgrywa obecność mięszańców. Gdy miejscowi hawajczycy nie grzeszą pięknością — szczególniej kobiety mają nosy brzydkie, cerę pełną plam i otyłość nadmierną—to mięszańcy, czy to między tubylcami i Chińczykami czy z krwią europejską, zawsze okazują rezultat dobry. Mięszaniec jest bardziej żywy, inteligentny i pracowity niż hawajczyk. Ma on poczucie artystyczne dość rozwinięte, głos melodyjny i dźwięczny. Najładniejsze kobiety Honolulu należą niewątpliwie do tej klasy ludności.

Wpływ anglo-saski odbił się tu znacznie i jest widocznym na każdym kroku.

Anglo-sasi, Anglicy lub Amerykanie, dzierżą w swem ręku wszystkie instytucye bankowe, handlowe i polityczne. Pomimo uganiania się za dolarem, należy wszakże przyznać, że są lepiej wychowani i bardziej kulturalni niż przeciętne typy amerykanów z Far-Westu. Podczas mego pobytu robiono mi tysiące grzeczności i ułatwiano poznanie ekonomicznych warunków wysp Hawajskich. Plantatorowie miejscowi szukają elementu roboczego i pragnęliby widzieć imigracyę białych. W klimacie Hawaii praca na plantacyach jest ciężka i tylko biały z południa Europy może ją znieść—nie dla gorąca, lecz dla braku cienia. Cały dzień stać na tropikalnem słońcu jest ponad siły wielu. Jaki rezultat da sprowadzenie 10-iu tysięcy rosyjskich emigrantów przez Władywostok—trudno przewidzieć. Mojem zdaniem będzie to zupełne fiasco, tembardziej, że pierwsza partya, dopiero co przybyła, składa się wyłącznie z „gilaków.“

Życie w Honolulu jest przecięciowo o 25% droższem niż w Ameryce — nie można jednak nazwać je drogiem. Za dolara dziennie można znaleźć całe utrzymanie i mieszkanie w hotelu drugorzędnym. W pierwszorzędnym trzeba płacić 4 i 5 dolarów,

ale też ma się wszystko, czego dusza zapragnie. Jak tu niczego nie brakuje, może służyć fakt, że w każdej aptece i cukierni (bar) sprzedają europejskie prawdziwe wody mineralne na szklanki — co nie o każdem miejscu powiedzieć się daje. Telefon jest w powszechnem użyciu, koleje szerokotorowe łączą ważniejsze osady każdej wyspy, a telegraf bez drutu nietylko utrzymuje komunikacyę między wyspami, ale nawet ze statkami przez cały czas podróży z S.-Francisco, t. j. na przestrzeni 2100 mil morskich.

Nazwa Honolulu brzmi nam zabawnie w kraju — zdaje się czemś tak dalekiem, że prawie zakrawa na fantazyę—tymczasem, gdyby kto z naszych rodaków tu przyjechał, zdziwiłby się niezawodnie, zastając porządki nietylko lepsze niż u nas, lecz i lepsze także niż w najbardziej kulturalnych krajach. Prawda, że wyspy cywilizować jest łatwo, szczególniej takie niewielkie jak Hawaii, jednak porównajmy szczęśliwy ten archipelag z Maderą, Sycylią, Korsyką—zobaczymy wnet różnicę. Tam nędza, bieda wszędzie wygląda, życie mas nieoświeconych zacofane i niehygieniczne — tutaj dolar otworzył drogę do bogactwa, do dobrobytu ogólnego. W małem Honolulu wspanialsze są hotele niż w Palermo, więcej samochodów niż w całej Sycylii, a mimo to koszt utrzymania nie droższy dla tych, co żyją na równą skalę, bardziej dostępną też dla ogółu. Pod tym względem owoc działalności misyonarzy nam imponuje, hawajczycy wprawdzie już schodzą z „tego świata," jednak *l'oeuvre reste*, cywilizacya jest gruntowną i solidną. Główną zasługę położyli metodyści, choć i katolicy ważną odegrali rolę, dzięki zaś napływowi Portugalczyków i Hiszpanów, religia katolicka jest liczebnie najsilniejszą.

Dawnych hawajczyków trzeba dziś szukać na dalekiej wyspie Hawaii, w odległych dolinach, mało dostępnych od morza. Tam jeszcze zobaczymy ich, jak przed laty nawpół nagich i leniwych, zawsze zadowolonych i szczęśliwych, jak wszelkie narody pierwotne.

Hawajczyk żywi się rybami surowemi (stąd też i wielki procent śmiertelności) oraz t. zw. „poi." Kto nie jadł „poi," nie był w Hawaii—jest to nacyonalna potrawa, przygotowywana z korzeni *taro* (calladium), rozpowszechnionej w całej Polinezyi. Wygląd „poi" przypomina nasz kleik, tylko barwa jest inna, zwykle fioletowa lub żółta; o smaku wiele rozpisywać się nie mogę, bo go wcale nieposiada. Jak wszystkie rośliny należące do rodziny *araceae*, *taro* lubi ziemię wilgotną, mokrą, więc je uprawiają na sztucznie nawodnionych gruntach. Korzeń *taro*, wprzód wygotowany, zo-

staje obrócony za dodaniem wody w klejką miazgę, którą jedzą tu palcami ze wspólnego naczynia.

Mięsa hawajczycy wiele nie spożywają — jedynemi delikatesami są... psy, które ukazują się na każdym festynie (luau). Oprócz mięsa psiego, podawanego w liściach świeżych bananów, jedzą też i wieprzowinę. Głównym nałogiem ogólnym jest pijaństwo — wódka, rum i *gin* dokonały dzieła cywilizacyi lepiej niż kule Mausera. Gdy hawajczyk podpije, wtedy widzi się go w stanie natury i swoboda jego przechodzi w swawolę.

Miałem raz sposobność być na podobnej zabawie za miastem w dolinie Nuuanu. Przechodziłem drogą, spoglądając dokoła na rozrzucone po błoniach domki drewniane w cieniu fikusów i laurów, gdy z jednego z budynków doszły mnie odgłosy muzyki i dziwnego śpiewu. Tony muzyki miały dużo wspólnego z muzyką arabską, a szczególniej rytm i wystukiwanie taktu. Przybliżyłem się i, wprowadzony przez kilku wyrostków, siedzących na matach we wnętrzu domu, ujrzałem trzy dziewczyny o grubych rysach twarzy, dzikiem spojrzeniu wyrazistych oczu i odwiniętych malinowych wargach. Ubrane w tkaniny z traw morskich, bose, z obnażonemi do pasa ramionami, rozpuszczonymi a czarnymi, jak kruk, włosami—były one wiernym typem ginącej rasy tubylczej. Kibić nieco otyłą zdobiło mnóstwo girland z kwiatów gardenii, powoi, hibiscus, erythriny, goździków i pelargonii — niby węże różnobarwne, odbijające się od brązowo-mosiężnej połyskującej ich skóry. I przy dźwiękach muzyki dziwnej, dobywanej z jeszcze dziwniejszych instrumentów—kalabasów olbrzymich, skórą pokrytych, lub pustych orzechów kokosowych, których dźwięk bardziej stuk i chrzęst, niż co innego, przypominał, miałem przed sobą prawdziwe hula-hula, taniec, przypominający *danse du ventre* Arabów, różniący się tylko ruchami rąk i nóg, ale nie tułowia.

Oryginalną cechą malowniczego tańca, uprawianego od zamierzchłych czasów w niezmienionej formie, stanowi trzymanie poziomo prawej ręki, wyciągniętej przed siebie lub na prawo. Taniec wyobraża niby uwodzenie kobiety, mocą którego ona się poddaje—kończy zaś wojowniczą pantominą przy udziale wszystkich muszkułów i zginaniu palców nawet u nóg. Ruchy wężowate, zwinne i gimnastyczne, podnoszą wysoce zmysłowy charakter hula-hula. Muzykanci, przykucnięci z tyłu poza tańczącemi dziewczynami, zaintonowali śpiew dziki, a melodyę jego podchwyciły kobiety przy klaskaniu rąk i wyginaniu tułowia na wszystkie strony.

Taniec ten dawniej, przez wpływ misyonarzy, był śmiercią karany i dziś jest oficyalnie surowo wzbroniony pod karą 50 dolarów lub 6-io miesięcznego więzienia.

W miarę, jak *gin* i napoje alkoholiczne działały na nerwy i zmysły obecnych, taniec coraz bardziej tracił cechy artystyczne i przypominał więcej wyuzdany *can-can* niż *danse du ventre*. W końcu tancerki zrzuciły girlandy i trawy, przybierające ich ciało, i ukazały się nam w stroju Ewy—przy dzikich wrzaskach muzykantów i gości. Dopiero teraz miałem pojęcie o hula-hula, które mi się we właściwem przedstawiło świetle. Taniec stopniowo zamieniał się w dziką orgię — aż wreszcie tancerki i publika rozpierzchli się na wszystkie strony. Wizya dawnego Hawaii znikła i nie pozostało nic tylko wspomnienie.

Okolice Honolulu są niezwykle piękne. Tuż nad miastem wznosi się Punch Bowl, krater wygasły, nagi, ogołocony z roślinności—z tyłu góra Tantalus piętrzy się wysoko, spowita w opary chmur pasatów. Po drugiej stronie widnieje groźny Pali, stromy wierzchołek 600 m. wysoki, na który wiedzie wygodna szosa, uczęszczana przez samochody. Pali było świadkiem bitwy przed stu laty — a pokonani wojownicy woleli ponieść śmierć, rzucając się w przepaść, niż popaść w niewolę zwycięzców.

Na wschód od Honolulu wznosi się wspaniały wulkan wygasły Diamond Head, zwany „Głowa Brylantowa.“ U stóp jego rozłożyła się miejscowość Waikiki, śliczna osada kąpielowa, uczęszczana przez rok cały, dokąd się jedzie elektrycznym tramwajem. Waikiki liczy setki will wspaniałych, w cieniu drzew rozłożystych. Klimat, dzięki pasatom i ciągłym wiatrom morskim, jest umiarkowany przez rok cały. Nigdy nie notowano tu wyżej jak 23° R. w cieniu—zamiast upału i chłodu panuje wieczny maj.

Wille zbudowane są w stylu kolonialnym, drewniane z werandami z czterech stron. Ściany domów zdobią filodendrony i orchidee, dachy zaś — bougainvillee i bignoniae. Waikiki jest Ostendą Hawaii. W niedzielę moda tu panuje wszechwładnie i zgrabne misses w białych, bogatych strojach ukazują się na plaży przy dźwiękach tubylczej orkiestry.

Sławą Waikiki jest aquarium — rzeczywiście najciekawsze, jakie w życiu widziałem, nie pod względem ilości, ale rzadkości okazów. Niema koloru i odcienia, jaki sobie można wyobrazić, aby nie ziścił się na łuskach ryb tutejszych. Jedne są niebieskie z rogiem na głowie, inne fioletowe, inne w pręgi z czterech kolorów, inne fantastycznego kształtu. Wymienię ważniejsze gatunki, jak Teuthis, Amampus, Thalassoma, Coris, Balistapus rectan-

gulus o kwadratowem tułowiu, Holotrochys purpurowe w żółte pręgi, Hepatus koloru ultramaryny, dalej Kihikihi (zauclus conesceus) ryba z długą pletwą rozrosłą w appendix, dyabeł morski ośmionogi, mający 3 metry średnicy, ryba-papuga Callyodon. Muzeum mieści się w pysznym parku nad morzem — wszystkie ryby należą do fauny miejscowej.

Z innych miejsc zwiedziłem Pearl Harbor, olbrzymią zatokę, położoną o dwie mile od Honolulu, gdzie rząd Stanów Zjednoczonych buduje wielki port wojenny, którego znaczenie strategiczne ze względu na położenie Hawaii jest w przyszłości doniosłe.

Dalej na zachód ciągną się pola ryżowe, plantacye trzciny, wielkie fabryki cukru, jak Ewa Mill. Piękną jest dolina Wahialua—tam, również nad morzem, stoi hotel luksusowy o 10 mil na północnem wybrzeżu wyspy.

Tyle o wyspie Oahu.

Na zachód mamy Kanai, inną wyspę o klimacie wybornym, zwaną Ogrodem Hawaii, dla żyznego gruntu. Osobliwością tutaj są *piaski krzyczące* — za stąpaniem po nich wydają one dziwne dźwięki, niezwykle głośne. Na wschód od Oahu spotykamy Molokai, gdzie się znajduje t. zw. Dolina Śmierci—dolina, zamknięta turniami wysokiemi, dokąd wysyłają trędowatych. Nieszczęśliwi wygnańcy wszyscy tu umierają po kilku latach. Trąd na Hawaii jest bardzo rozpowszechniony, corocznie przeszło 150 osób umiera na tę straszną chorobę.

Na wielkiej wyspie Manai mieści się największy na świecie krater wygasły Haleakalea 10 tysięcy stóp wysoki przy 40 wiorstach obwodu. Po nim największy jest Caldera, wyspy Palma (Kanaryjskie), który miałem sposobność szczegółowo zwiedzić i opisać,[1]) ale krater Haleakalea czyli *Domu Słońca* nie jest tak głęboki, jak Caldery, ma bowiem 600 metrów głębokości, gdy tamten ma 1500 do 2000 m.

Największą i najciekawszą wyspą jest bezwątpienia Hawaii— dziś licznie zwiedzaną przez turystów. Z portu Hilo, stolicy, wiedzie kolej trzy mile długa do Glenwood, skąd dwa razy tygodniowo jedzie się dyliżansem do hotelu Volcano House, zbytkownie urządzonego, stojącego nad wiecznie gotującem się jeziorem lawy krateru Kilanea.

Widok krateru wulkanu Kilanea (1300 m. wys.) może śmiało posłużyć za ilustracyę piekła Dante'go — jest to może największy

[1]) W krainie Hesperyd.

„cud“ natury, jaki można oglądać na świecie. Ani Wezuwjusz, ani Etna, ani wielkie przepaście Kordylierów, wulkany Meksyku, gejzery Yellowstone parku, ani źródła Gorące N. Zelandyi nie mogą być porównane do tego widoku wspaniałego, którego potęga przechodzi naszą wyobraźnię. Niektórzy podróżnicy dostają nerwowych ataków, ujrzawszy morze ognia i pożogi, co barwi nawet okoliczne góry i chmury na niebie krwawą purpurą.

Do krateru można zejść po wygodnych schodach, mimo gorąca i oparów siarki, i stanąć na samej krawędzi jeziora czerwonej, roztopionej lawy — gdzie zamieszkuje bogini Pele-Hamaulemau. Tu, przy huku wciąż gotującej się lawy, wystrzelającej co chwila z wnętrza kotła trzywiorstowego obwodu, możemy lubować się niezwykłem, nadziemskiem widowiskiem — wulkanu bez przerwy czynnego, nieznającego ani chwili spokoju. I gdy czerwone w nocy potoki lawy tryskają na wszystkie strony, przelewając się brzegami jeziora, powierzchnia tegoż ulega ciągłym wybuchom, wyrzucającym parę i ogień na kilkaset stóp wysokości.

Jezioro ma 600 stóp głębokości, a wycieczka do Kilanea nie jest zbyt bezpieczna, bo czasem lawa odcina drogę powrotną, mając jednak doświadczonego przewodnika, warto się narazić—gdyż wrażenie, jakie zostawia, pozostaje na całe życie. Powierzchnia jeziora nigdy nie jest gładką, wciąż się kotłuje, mnóstwo koniecznych otworów wybucha co chwila, co parę minut tworzą się wielkie eksplozye, zapełniając powietrze dusznymi gazami i hukiem wystrzałów armatnich. Pod stopami naszemi wre lawa szybko stygnąca, dym i para wydobywają się z licznych szczelin, nieraz cienka powłoka łamie się i podróżny grzęznie w lawie płynącej, jakkolwiek wypadki, dzięki ostrożności, są rzadkie.

Nad Kilanea dymi inny wulkan Hanna Loa — olbrzym niewiele niższy od Mont-Blanc.

Wycieczka do Kilanea nie jest męczącą, lecz bardzo kosztowną. Wszyscy tam zdzierają: przewodnicy, hotelarze, dyliżanse. Wprawdzie odległość od Honolulu jest duża (200 wiorst), ale i cena wysoka, dla wielu niedostępna. Jeden dzień pobytu w hotelu z drogą tam i nazad z Honolulu kosztuje 85 rubli! Tylko I klasa jest na statkach, gdyż trzecią jechać niepodobna. Hotel kosztuje 10 rubli dziennie — i nie dziw, wszystko tu bowiem trzeba dostarczyć, a artykuły żywności często z Honolulu przywozić wypada. Można nająć konie w Hilo i odbyć całą drogę konno, biorąc ze sobą prowiant i śpiąc pod gołem niebem, albo wracać w nocy do Glenwood, ze względu jednak na chłód w górach, mgły i ciągłe ulewy jest to bardzo ryzykowne.

Handel wysp, nader rozwinięty, dowodzi ich bogactwa. Import wynosi 40 milionów rubli, eksport 84 miliony (głównie cukier). Obrót handlowy wypada 700 rubli na mieszkańca — cyfra bardzo wysoka. W Honolulu znajduje się Muzeum prywatne Bishop, ciekawe dla każdego, kto chce zapoznać się z historyą wyspy. Bezwątpienia najoryginalniejszym w nim okazem jest płaszcz królewski, cały utkany z piór ptasich, czerwonych i żółtych, niezmiernej wartości.

Hawajczykom zarzucić można powierzchowność ich cywilizacyi—mięszańcy zaś odziedziczyli bardziej nałogi niż przymioty ras pierwotnych.

Japończycy nie przedstawiają się wcale sympatycznie — nieład, brud, brak hygieny i moralności, smutne czyni wrażenie; kobiety są wprost okropnie brzydkie — nie dorównywają Chinkom. Wielu z pomiędzy żółtych przyjęło chrześcijaństwo, chociaż znaczna część ani o jotę nie zmieniła obyczajów. W małym pokoju śpi 20—30 osób na podłodze, na stole, gdzie się zdarzy, a najwstrętniejsze choroby obierają sobie między niemi siedlisko. Emigracya azyatów była błędem dla dobrobytu wysp, który teraźniejszy rząd stara się naprawić, przyciągając na wolne ziemie osadników z Ameryki. Ale odległość wysp Hawajskich, trudność uprawy ziemi, odmienny klimat, niepozwalający na ciężką pracę na słońcu, oraz brak wody na wulkanicznym gruncie, tworzy tyleż tam dla kolonizacyi tutejszej; jest wszakże nadzieja, że potężny dolar wszystkiemu temu zaradzi.

W ewolucyi Hawaii należy podkreślić następujące fakty: rozluźnienie obyczajów tubylców, nałogowe ich pijaństwo, łatwość, z jaką przyjęło się chrześcijaństwo, ogromny wpływ misyonarzy, przekształcenie się etnograficzne ludności z polinezyjskiej na mongolsko-europejską w ciągu ostatnich 20 lat, wzrastające znaczenie archipelagu, jako skutek aneksyi do Stanów Zjednoczonych oraz łatwość aklimatyzacyi europejskiej, dzięki wybornemu klimatowi, jednemu z najlepszych na kuli ziemskiej. Wciągnięcie Hawaii w obręb anglo-saskiego świata było wynikiem nietylko odkrycia ich przez Cook'a, ale i położenia między angielskimi krajami Kalifornią i Australią. Wszystkie archipelagi Polinezyi ulegną później czy prędzej temu samemu losowi, wymarcie zaś rasy polinezyjskiej jest kwestyą bieżącego stulecia. Jedynie maorysi na N. Zelandyi, dzięki bardziej moralnym wpływom chrześcijaństwa, zachowają się dłużej, choć i oni nieunikną zagłady przez łączenie się z białymi i mięszańcami.

Dla nas ciekawem jest śledzenie rozwoju potęgi anglo-saskiej. Jakże powoli rozwijała się ona w XVIII wieku ku brzegom Mississipi od Virginii i Pensylwanii. Do wojny z Meksykiem w 1846 r. anglo-sasi zajmowali *drugie miejsce* na oceanie Spokojnym — panowanie przeznaczone było łacińsko-hiszpańskiej rasie. Tymczasem wojna meksykańska, odkrycie złota w Kalifornii (która wszakże w owe czasy miała już poważną liczbę anglo-sasów) przyśpieszyło pochód Amerykanów na zachód. Zbudowanie dróg żelaznych przez Góry Skaliste dało podstawę potędze Stanów nad brzegami Pacyfiku. Po r. 1850 znaczenie polityczne Stanów wzmogło się dziesięciokrotnie i wyspy Hawaii czuły już swą zależność od Ameryki, coraz bardziej widoczną w handlu, w rozwoju kultury i polityce. Teraz Amerykanie wprawdzie tworzą tylko 10% ludności, mimo to władają rzeczywiście wyspami, do czego używanie języka angielskiego utorowało im drogę. Portugalczycy i Hiszpanie, jakkolwiek silniejsi liczbą, nieodgrywają żadnej roli; brakuje im szkół i inicyatywy. Będąc sami niepiśmienni, stają się łupem anglo-sasów i asymilują się łatwo—dzieci ich już są prawdziwymi jankesami. Japończycy twardziej zachowują swą odrębność, obecnie ze względu ustania imigracyi, „inwazya“ japońska przestaje być straszną. Kosztowna twierdza, jaką Amerykanie budują w Pearl Harbor, znakomitej przystani naturalnej, będzie rzeczywiście kluczem oceanu Spokojnego, jak Malta i Gibraltar jest kluczem morza Śródziemnego.

Niepodobna opuścić Hawaii, aby raz jeszcze nie wyrazić podziwu nad ich cudnymi krajobrazami i świetnymi warunkami bytu, jakie tu każdego kto przyjeżdża na krótko czy długo, czekają. W żadnej z pięciu części świata nie byłem pod wrażeniem podobnie doskonałych *modus vivendi*, jak w uroczem Honolulu. Idea raju na ziemi nie jest mytem, gdy się nań składają najpiękniejsza przyroda, idealny klimat, najlepsze warunki zdrowotne, w połączeniu z ogólnym komfortem i najbardziej postępowym rządem na świecie. Jest to jeden z tych zakątków dalekich, gdzie każda chwila pozostawia wspomnienie błogości niewypowiedzianej i czyni niezatartem wrażenie pobytu na gościnnem wybrzeżu tego uprzywilejowanego kraju.

Witold Szyszłło.

PIŚMIENNICTWO.

HENRYK PESTALOZZI. *Jak Gertruda uczy swoje dzieci.* Przełożył i objaśnił W. Osterloff. Książnica wychowawcza № 2. Warszawa, 1909.

Uboga nasza literatura pedagogiczna została wzbogacona tłómaczeniem jednego z głównych dzieł Pestalozziego p. t.: „Jak Gertruda uczy swoje dzieci.“ Przekładu dokonał znany autor na polu pedagogiki, prof. Osterloff. Książka została zaopatrzona cennymi przypisami treści biograficzno-historycznej oraz pedagogicznej, osobny zaś dodatek zawiera tematy do ćwiczeń, które mogą pogłębić zrozumienie treści. Oryginał został w paru miejscach skrócony, mianowicie w tych, które dotyczą niefortunnych pomysłów pedagogicznych Pestalozziego, zarzuconych później przez samego autora.

Poglądy Pestalozziego nie zostały w tem dziele ujęte w metodycznie opracowany całokształt. Gdyby przeto czytelnik chciał znaleźć w tej książce systematyczny wykład pedagogiki, doznałby zawodu. Treść nawet nie odpowiada tytułowi, gdyż zawiera czternaście listów autora do przyjaciela, w które, opowiadając dzieje swego nauczania, wplata szereg myśli, dotyczących elementarnej nauki w szkole ludowej. Myśli te, będące genialnym rzutem oka na sprawę oświaty warstw najuboższych, zmuszają do głębokiego zastanawiania się nad podstawowemi zasadami współczesnego wychowania, do krytycznego rozbioru wielu powszechnie stosowanych w praktyce „dogmatów“ pedagogicznych.

Ogniem swego zapału Pestalozzi jeszcze dziś wznieca chęć reformy tego, co jest złe, w imię udoskonalenia człowieka i podniesienia na wyższy poziom duchowego rozwoju ludzkości. Głównym celem jego książki było rzucić nowe światło na sprawę wychowania, przyczynić się do jego reformy i tą drogą wydźwignąć

lud z ciemnoty, niedoli i ucisku. Widok biedy i poniżenia szwajcarskich włościan w końcu XVIII stulecia rozniecił w nim gorącą miłość względem słabych i pogardzonych. Sądził, że stan ten dopóty trwać będzie, dopóki się nie usunie nędzy moralnej i umysłowej.

„Im baczniej przypatrywałem się ludowi—pisze w IV liście tego dzieła, tem dowodniej przekonywałem się, że to, co w książkach zdaje się płynąć szerokim strumieniem, na wsi w izbie szkolnej rozlewa się we mgle, której wilgoć i ciemność lud stale otacza, tak, że nie rozróżnia on dnia od nocy.“

Cywilizowane społeczeństwa, zdaniem Pestalozziego, podniosły na olbrzymie wyżyny odrębne gałęzie sztuki i nauki, jednocześnie jednak coraz bardziej tracą naturalne podstawy rozwoju kulturalnego przez zaniedbanie wychowania warstw najniższych.

„Europa złotą głową specyalnej wiedzy i sztuki, jak posąg proroka, sięga obłoków, ale oświata ludu, która stanowić winna jej podporę—to najnędzniejsze, najkruchsze, najnikczemniejsze błoto“ (str. 131).

Od czasów Pestalozziego zachodnia Europa zrobiła już olbrzymie postępy pod tym względem, a przeto nie można obecnie stosować do niej tego obrazu. Jakże wiernie maluje on natomiast stan rzeczy we wschodniej części Europy, jak głęboką prawdę wyczuwa się w tych słowach, gdy się pomyśli o naszem społeczeństwie, które musi bezradnie patrzeć na najważniejsze pole oświaty narodowej, stojące ugorem!

Dzieł, z którychby wiała tak gorąca i głęboka miłość względem ludu, w literaturze świata znajdziemy niewiele. Karty te pisał człowiek, którego życie było jednym aktem ofiary dla sprawy niesienia światła, uczuć głębszych, oraz poprawy bytu materyalnego pod strzechy. Myśli swoje umiał poprzeć czynem, potrafił zadokumentować je pracą w krwawym pocie czoła wśród zawodów i coraz bardziej piętrzących się trudności, czasem o głodzie i chłodzie, a zawsze pełną pomysłów genialnych, pełną miłości, ogarniającej rzesze maluczkich, skrzywdzonych od losu i ludzi.

Oświata na wszystkich szczeblach winna, zdaniem Pestalozziego, dążyć do wszechstronnego rozwoju przyrodzonych zdolności człowieka, przyczem musi się ściśle stosować do drogi, wskazanej przez naturę. Nauczyciel nie może dodać: „ani włoska do tego, co natura czyni sama, prowadząc człowieka od niejasnych spostrzeżeń i wyobrażeń zmysłowych do jasnych pojęć.“ Rola pedagoga polega jedynie na dopomaganiu naturze przez bardziej regularne i systematyczne dostarczanie materyału do rozwoju

umysłowego dzieci, niżby to mogła uczynić sama natura. Poznanie winno się opierać przedewszystkiem na postrzeganiu zmysłowem. Jednostronny kierunek kształcenia za pomocą książek jest szkodliwy, gdyż nie prowadzi do wyrobienia pojęć o zewnętrznym świecie, tak blizkich rzeczywistości, jak bezpośrednie postrzeganie zmysłowe. Ludzi, którzy zatracili „pewną siebie świadomość, co do otaczających przedmiotów," porównywa do gęsi, „które od chwili, gdy się wykluły z jaj, karmione w kojcu i w kuchni, utraciły wrodzone uzdolnienie do lotu i pływania."

Dotychczas, zdaniem Pestalozziego, wychowanie dawało dziecku cudzą wiedzę, której się ono musiało, pomijając wszelkie własne doświadczenia, wprost wyuczać. W ten sposób system kształcenia zabijał indywidualność w człowieku, przygniatając go ogromem pożyczanych pojęć.

Nie tylko w sprawie nauczania dzieci, lecz nawet fachowego wykształcenia pedagogów Pestalozzi objawia wrogi stosunek względem jednostronnej książkowej mądrości. Twierdzi mianowicie, że można „utonąć w morzu wielu tysięcy różnorodnych szczegółów naukowych, nie znalazłszy przenigdy fundamentów dla wychowania i nauczania szkolnego."

Dziś, naturalnie, kto chce stać na wysokości współczesnych metod nauczania, musi posiąść wiele tej mądrości książkowej, aczkolwiek niewątpliwie jednostronne doktrynerstwo w pedagogice praktycznej, jak i wszelkiej życiowej działalności, może być szkodliwe.

Nauczanie, zdaniem Pestalozziego, winno przedewszystkiem utrwalać w świadomości dziecka to, co jest najistotniejszego, a potem dopiero cechy mniej ważne. Wszystko to winno odbywać się stopniowo i poszczególne części utrzymywać ze sobą w żywym związku. Poznanie przedmiotów zewnętrznego świata o tyle ma dla każdego z nas wartość, o ile utrwalają się ich cechy stałe, niezmienne, stanowiące właściwą ich istotę. Odwrotnie, może ono być źródłem błędu i złudzenia, jeżeli utrwalają się ich cechy przejściowe i drugorzędne. Jedno bowiem błędne wyobrażenie o rzeczy staje się początkiem całego szeregu błędnych wyobrażeń i pojęć.

„Jeśli, szczęśliwie uniknąwszy błędu w układzie metodycznym do zaprawiania w spostrzeganiu zmysłowem, dostarczymy dziecku materyału, unaoczniającego w takim wyborze i uszeregowaniu, że pierwsze wyobrażenia rzeczy, ustalające się w jego umyśle, obejmują cechy jej zasadnicze, typowe,—to dziecko nabędzie zawczasu sprawności w podporządkowywaniu cech zmiennych

rzeczy niezmiennym i kroczyć będzie po drodze, na której z dniem każdym rozwijać się będzie lepiej jego uzdolnienie spostrzegania i pojmowania, aż przyroda stanie się dla niego otwartą księgą“ (str. 149).

Jakkolwiek Pestalozzi cenił rozwój umysłu, to jednak na pierwszem miejscu stawiał cele moralne wychowania. Najważniejszym czynnikiem pod tym względem jest rodzina. Zwłaszcza w działalności matki i żony upatruje on główny środek podniesienia poziomu moralności ludu wiejskiego. Ulepszone wychowanie domowe ma nawet zastąpić z biegiem czasu naukę elementarną. Ze stosunku dziecka do matki w pierwszym okresie jego życia wypływają najwyższe objawy etycznego rozwoju człowieka, nawet uczucia religijne. Zalążek ich bowiem tkwi w tych pierwiastkach altruistycznych, jakie się w nas rodzą względem ludzi, przedewszystkiem zaś — względem matki.

Wychowanie moralne powinno polegać nie na wzbogacaniu teoretycznych wiadomości w tej dziedzinie, lecz na stopniowem zaprawianiu w cnocie.

W pracy nad założeniem nowych podwalin elementarnego nauczania, Pestalozzi, jak sam zeznaje, nie brał żadnej tezy naukowej za punkt wyjścia. Poszukiwania jego mają czysto empiryczny charakter. Opierając się na głębokiem odczuciu i znajomości duszy dziecka, stawiał sobie pytanie: co należy uczynić, aby w sposób najprostszy i najdokładniejszy przyswoić dziecku dany zakres wiadomości oraz rozwinąć w niem umiejętność ich zużytkowywania, albowiem „wiedza—jak mówił—bez umiejętności jest martwym kapitałem.“ Najbardziej ujemną stroną tego dzieła, wynikającą z małej skali naukowego wykształcenia autora, jest brak metodycznego systemu w opracowaniu teoryi nauczania i wychowania. Pozatem posiada ono olbrzymią wartość.

Pestalozzi wypowiada tu wiele prawd, już powszechnie przyjętych w pedagogice praktycznej, wiele głosi zasad, które dotąd nie weszły w życie, jeszcze przyświecając ludzkości jako ideał, do którego urzeczywistnienia najlepsze usiłowania wychowawcze dążą.

Z treści tego dzieła Pestallozziego, jak ze źródła wielkiej mądrości, ludzkość będzie jeszcze długo czerpała drogowskazy.

Władysław Borowski.

DR. LEOPOLD CARO: *Auswanderung und Auswanderungspolitik in Oesterreich* (Wychodźtwo i polityka emigracyjna w Austryi). Lipsk, 1909. Schriften des Vereins für Socialpolitik. 131 Band.

Rzecz zapowiedziana w tytule jest rozważana na szerokiem tle, obejmującem w ogólnych zarysach całokształt sprawy wychodźtwa nietylko w Europie, lecz również i na drugiej półkuli, wskutek czego książka staje się dobrym podręcznikiem, umożliwiającym oryentacyę w tej kwestyi.

Po krótkim wstępie, omawiającym źródła swej pracy, określenie przedmiotu i stanowisko rządu austryackiego, autor przechodzi do meritum sprawy.

Przyczyny emigracyi są ideowe: ucisk polityczny lub religijny, albo ekonomiczne: brak ziemi, jej drożyzna, nizka płaca robotników wiejskich i przemysłowych, słaby rozwój handlu i przemysłu oraz hyperprodukcya zawodowo wykształconych ludzi. Jeśli więc ludność danego kraju spodziewa się gdzieindziej znaleźć lepsze warunki życia, emigruje tam i bądź zostaje na zawsze, bądź bawi tylko przez pewien przeciąg czasu, potrzebnego do zebrania oszczędności, umożliwiających znośniejszy byt w swej dawnej ojczyźnie. Najlepszym środkiem przeciw emigracyi jest rozwój współczesnej kultury; za przykład mogą służyć Niemcy, gdzie ludność w przeciągu ostatnich 30 lat (1870 — 1900) wzrosła z 41 na 59½ miliona, wychdźtwo zaś zmalało do ⅕ części: w r. 1872 stanowiło 0.3% ogółu ludności, w 1891—0.24%, w 1901—0.039%.

W Austryi i Rosyi natomiast emigracya względnie i absolutnie wzrosła; statystyka Stanów Zjednoczonych wykazuje imigrantów:

Rok fiskalny	Austrya	Rosya	Włochy	Niemcy	Polacy
1904 5	111,990	184,897	221,479	40,574	102,457
1905/6	111,598	215,665	273,120	37,564	94,115
1906/7	144,992	258,943	285,731	37,807	136,729
1907 8	82,983	156,711	128,503	32,309	66,690

Wsród słowiańskich narodów Polacy wykazują najwyższy procent wychodźców; z tego zaś największa część przypada na dzielnicę rosyjską (38 do 73 tysięcy rocznie), najmniejsza — na pruską (2½ — 4½ tysięcy). Przyczyn silnego wychodźtwa galicyjskiego należy się dopatrywać nietylko w ciężkich stosunkach ekonomicznych, lecz także i w ogromnie nizkim stanie oświaty ludowej. Podług spisu ludności z 30 grudnia 1900 r. w Galicyi

ludność męska powyżej 6 lat wieku liczyła 52%, żeńska — 59% analfabetów (wśród polskiej ludności procent ten jest niższy). Rozwielmożnione, szczególniej w Galicyi wschodniej, lichwiarstwo, pieniactwo i pijaństwo z jednej strony, a z drugiej nizkie płace, rozdrobnienie gospodarstw, zalewanie galicyjskich rynków obcymi produktami i wielka ilość pośredników handlowych sprawiają, że włościanie chętnie słuchają bredni agentów towarzystw okrętowych i całemi gromadami opuszczają kraj, by szukać szczęścia za morzem.

Zdawałoby się, iż Austrya, która wykazuje tak silną emigracyę, należycie dba o dobro swych obywateli i chroni ich przed wyzyskiem—tymczasem dzieje się zupełnie przeciwnie: istniejące prawodawstwo jest zupełnie niedostateczne, i u „góry“ nikt się nie troszczy o jego wykonywanie. Głośny proces wadowicki z r. 1889 i 90 wykazał tak skandaliczne rzeczy, że trudno wierzyć, iż coś podobnego mogło się dziać w europejskiem, cywilizowanem i nadto konstytucyjnem państwie.

Niemieckie towarzystwo okrętowe Hamburg-Amerika-Linie, ekspedyujące z Austryi rocznie po 12,000 ludzi, miało w Oświęcimiu złożoną z Żydów agenturę, która poza zgrają grasujących po całej Galicyi subagentów, utrzymywała na swym żołdzie liczny szereg urzędników kolejowych, skarbowych i cłowych, konduktorów i wachmistrzów żandarmeryi. Jeżeli emigrant chciał jechać w innym kierunku lub z pominięciem agencyi, to mu grożono aresztem i odszupasowaniem do domu; na nieposłusznych groźby wykonywano. W oświęcimskiem biurze Hamburg-Amerika-Linie, ozdobionem austryackim orłem i cesarskim portretem postępowano jak w urzędzie. Kto miał bilet okrętowy z innego źródła, musiał pomimo to kupować w oświęcimskiej agenturze drugi i płacić zań podwójną cenę, jeśli nie był zupełnie wolny od wojska. Emigrant, stawiony przed kierownikiem agentury, musiał przedstawić swoje dokumenty i sumę posiadanych pieniędzy, które mu zmieniano na marki i dolary, w bezczelny sposób oszukując; opornych rewidowano przemocą. Kto nie miał dostatecznej sumy pieniędzy, musiał telegrafować po nie do domu. Biedakom kazano płacić również po 8 — 12 koron za telegrafowanie budzikiem do portu z zapytaniem, czy są na okręcie wolne miejsca, do rządu amerykańskiego o wolną ziemię i nawet do cesarza amerykańskiego—czy chce przyjąć nowego poddanego. Po uzyskaniu przyjęcia emigranci byli oglądani przez pseudo-lekarza, który często dyskwalifikował ich i dopiero po otrzymaniu łapówki zmieniał swe orzeczenie. Kto nie chciał płacić żądanych sum, bywał

przekonywany przez pseudo-starostę, że ceny zgadzają się w zupełności z taksą; jeśli to nie skutkowało, to go policzkowano i zamykano do świńskiego chlewu na tak długo, póki się nie rozmyślił. Aresztowanie przez żandarmeryę i szupasowanie do domu przekonywało opornych, że z agenturą nie można żartować, i łamało ich opór. Przed wyjazdem zmuszano biednych chłopków do kupowania za drogie pieniądze tandetnych ubrań, „bo do Ameryki w sukmanach nie wpuszczają.“ W Hamburgu emigrantom, czekającym na odejście statku, kazano płacić za nocleg i nędzne utrzymanie 10—13 marek dziennie i wprost obdzierano biedaków ze skóry, pobierając za najmniejsze drobiazgi wysokie ceny.

Wyniki wadowickiego procesu, które wykryły te niesłychane nadużycia, oszustwa, zdzierstwo i korupcyę nie skłoniły jednak Austryi do energicznego wystąpienia; rząd pozostał — jak pisze autor—„vollkommen ratlos.“

Przez długi czas w wielu krajach austryackich wzbraniano wychodźcom zagranicznych paszportów, żądając, aby się wpierw postarali o zwolnienie ich od obywatelstwa austryackiego; środek ten nie powstrzymał jednak emigracyi, bo sprytni agenci kierowali wychodźców bądź przez Węgry, gdzie władze nie wymagają żadnych paszportów, bądź z odpowiedniem pouczeniem przez Cieszyn lub Pragę czeską.

Do szeregów tajnych agentów okrętowych należą w Austryi częstokroć niżsi urzędnicy, wójci, pisarze gminni i nauczyciele ludowi, którzy pobierają wysoką prowizyę od sprzedanych biletów i ułatwiają działalność nawet niedozwolonym towarzystwom. Dobra znajomość miejscowych stosunków pozwala im używać w agitacyi skutecznych środków. W Galicyi wschodniej np. przez długi czas cieszył się wśród ruskich włościan powodzeniem argument, że Brazylia jest austryacką prowincyą, sam cesarz poleca tam emigrować, i tylko zazdrośni Polacy kryją to przed biednym narodem. Wierzono zupełnie opowieściom, że rosną tam drzewa, z których po nacięciu kory płynie świeże mleko, że posługi domowe spełniają zupełnie bezpłatnie małpy i t. p.

Jeżeli wychodźca wybrał sobie z góry kraj, do którego chce emigrować ze względu na krewnych i znajomych tam mieszkających albo na możność otrzymania kawałka ziemi, to przybywa tam tylko wtedy, jeżeli agent, w ręce którego się dostał, sprzedaje odpowiednie bilety. Bardzo często zdarza się, że nieświadomy pasażer dopiero na okręcie lub po wylądowaniu dowiaduje się, iż go wysłano do Ameryki Południowej zamiast do Kanady i vice versa.

Nie wszystkim jednak wychodźcom, przybywającym do Ameryki odnośne rządy pozwalają lądować. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej np. władze wzbraniają imigracyi osobom dotkniętym umysłowemi lub zaraźliwemi chorobami, pospolitym przestępcom (polityczni mają wstęp wolny), anarchistom, poligamistom, uprawiającym nierząd, tym, którzy już w Europie zawarli kontrakt z amerykańskim pracodawcą (wyjątek stanowi domowa służba), nie posiadającym wymaganej ilości gotówki i wreszcie tym, co do których zachodzi przypuszczenie, iż staną się ciężarem dla dobroczynności publicznej. Przeciętnie w roku 1% ogółu emigrantów, t. j. 11—13 tysięcy zostaje odsyłany z powrotem do Europy; z tego na Austryę przypada 20%.

W czasie podróży morskiej wychodźcy, jako najtańsi, międzypokładowi pasażerowie, częstokroć otrzymują złe, zepsute pożywienie w małej ilości, służba traktuje ich grubiańsko, a kobiety stają się ofiarą rozkiełznanych chuci załogi. Nieznajomość zaś obcego języka nie pozwala nawet na zaniesienie skargi.

Los wychodźców w Ameryce Północnej jest o tyle znośny, że klimat podobny do europejskiego, opieka rządowa—sprężysta, widoki na zarobek — lepsze, i wreszcie pomoc od rodaków — łatwiejsza. W Ameryce Południowej natomiast jest znacznie gorzej. Rolnicy muszą całymi miesiącami, a niekiedy nawet i po roku, czekać na wydzielenie parceli dziewiczego lasu, a po wykarczowaniu i doprowadzeniu do pewnej kultury mogą za lada błahostkę zostać pozbawieni prawa własności. Robotnicy dostawszy się częstokroć pomimo swej woli w ręce plantatora, pozostają jego niewolnikami, bo pobierają tak nizką płacę, że muszą być stale zadłużeni. W razie usiłowania ucieczki winowajca musi pracować zakuty w łańcuchy, jeśli zaś ucieczka się udała, a na miejscu pozostała rodzina uciekiniera, wtedy plantator chłopców bierze na „wychowanie,“ aby mieć z nich później robotników, niepotrzebne zaś kobiety sprzedaje do domów rozpusty.

Spotyka to przeważnie wychodźców słowiańskich, pozbawionych skutecznej opieki rządów macierzystych; Niemcy, a szczególniej Włosi znajdują się w daleko lepszych warunkach ekonomicznych i narodowych i skutecznie opierają się polityce władz południowo-amerykańskich, które obawiając się trudnych do asymilacyi ognisk narodowych, przestrzegają zasady mieszania narodowości przy osiadaniu na koloniach. Istnieją wprawdzie i w Ameryce Południowej konsulowie austryaccy, lecz ci, jak to jest powszechnie, nie znają słowiańskich języków i nie mogą się z emi-

grantami porozumieć, a zdarzają się nawet i tacy (w Hawai), że skarżących się biedaków każą wprost aresztować.

Oprócz wychodźtwa zamorskiego istnieje w Austryi dosyć znaczne — kontynentalne, sezonowe, którego autor w swej pracy nie uwzględnił należycie. Głównym terenem są Niemcy, mniejszymi zaś Czechy, Węgry, Dania, Szwecya, Szwajcarya i Francya. Antypolskie przepisy policyjne w Prusach, gburowatość i stronniczość urzędników, patrzenie przez palce na nadużycia popełniane na biedakach przez agentów i pracodawców z jednej strony, a z drugiej oszustwa kontraktowe, niewielkie płace, samowolne nakładanie kar pieniężnych za urojone częstokroć przewinienia, a także nędzne utrzymanie i złe obchodzenie się—sprawiają, że polscy robotnicy wyrzekają się pozostawionej kaucyi i uciekają z folwarków. Ci zaś, którzy pomimo tak ciężkich warunków potrafią wytrwać, wracają po 8 miesiącach do domu, zaoszczędziwszy zaledwie 120—140 marek.

Polityka emigracyjna rządu austryackiego stoi poniżej krytyki, bo nietylko nie zdobywa się na jakąś akcyę, lecz nawet w milczeniu znosi policzki, dawane przez agentów pruskich, którzy, działając na terenie Austryi, oświadczają, że ich obchodzą nie austryackie, lecz pruskie prawa, i prowadzą bez przeszkód swą pracę dalej.

D-r Caro, przedstawiając braki obecnej i nowej przez rząd zapowiedzianej ustawy emigracyjnej, domaga się innej, któraby zasadniczo zmieniła stanowisko rządu w tej sprawie, wzięła pod ścisłą kontrolę działalność agentów i towarzystw okrętowych w kraju i poza jego granicami i odpowiednio karała popełnione nadużycia, jak to ma miejsce we Włoszech lub na Węgrzech. Z natury swej sprawa wychodźtwa nie może być zupełnie uregulowana przez jedno państwo, ze względu na swą objętość i rozmiary nie może być załatwiona przez sporadyczne zjazdy lub kongresy—najlepszy rodzaj rozwiązania mógłby dać międzynarodowy instytut emigracyjny.

Pomimo wad książki, do których zaliczyć należy szkicowe i niezupełne przedstawienie emigracyjnej polityki austryackiej, co miało być głównem zagadnieniem, i zbyt powierzchowne ujęcie wychodźtwa kontynentalnego — będzie ona niezłym nabytkiem dla niemieckiej literatury, bo autor napisał ją z dobrą znajomością przedmiotu, oparł na szerokich, ogólnych podstawach i podał wcale liczną, w sześciu językach bibliografię.

Trochę inaczej jednak przedstawi się sprawa, skoro spojrzymy na nią z polskiego punktu widzenia.

Dlaczego autor, Polak, mieszkający stale w Polsce, jeden z najlepszych znawców naszej emigracyi, ogłasza dzieło takie w obcym języku—nie rozumiemy, jak wogóle nie możemy zrozumieć tych wszystkich polskich autorów, którzy postępują podobnie i ubolewają jednocześnie nad ubóstwem rodzimej literatury naukowej.

Jeżeli nawet d-r Caro pracę swą przetłómaczy na język polski, to piętno niemieckiego przekładu na niej pozostanie. Dla przeciętnego obcego czytelnika wystarczy, gdy się dowie, iż emigracyjna polityka Austryi jest nieodpowiednia, lecz Polak, czytając o nadużyciach, popełnianych na galicyjskim terenie, chciałby wiedzieć, co robi namiestnictwo, jakie stanowisko zajmuje Sejm i Wydział Krajowy, a o tem, niestety, w książce ani słowa.

Łagodne określanie pruskich bezprawi i nadużyć nad polskimi robotnikami oraz spostrzeganie u niemieckich kolonistów tylko „wrodzonej pilności i wytrwałości“ mogłyby wzbudzić w kołach polskich czytelników pewne niezadowolenie, a prawienie komplimentów dla bezstronności (sic) pruskich sędziów (str. 157)— nawet oburzenie.

Przytaczając fakty z „Polskiego Przeglądu Emigracyjnego,“ wiedział d-r Caro i o towarzystwie, którego „Przegląd“ jest organem, a pomimo to nie wspomniał o niem wcale. A szkoda, bo „Polskie Towarzystwo Emigracyjne,“ istniejące już od dwu lat, nietylko jest poważną instytucyą, lecz także okazuje wielką żywotność i osiąga coraz większy wpływ, starając się odchylić prąd wychodźczy od Prus, a skierować go w inną stronę, gdzie robotnicy nasi otrzymują wyższe płace i lepsze warunki pracy. Nawiązanie stosunków z Francyą jest przedewszystkiem zasługą Towarzystwa Emigracyjnego, a nie Wydziału Krajowego, który tylko przez kilka miesięcy prowadził w Nancy biuro pośrednictwa pracy, o czem autor widocznie nie był dokładnie poinformowany.

Na końcu pozwolimy sobie zwrócić uwagę d-ra Caro na to, że Niemiec nie nazywa osobnika należącego do konstytucyjnego państwa „poddanym“ (Unterthan), jak to w książce czytamy, lecz — obywatelem (Bürger).

Zygmunt Bujakowski.

ADAM SZYMAŃSKI. *Z jakuckiego Olimpu, Jurdiůk Ustůk Us*, baśń. Kraków, drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem Józefa Filipowskiego, 1910, 8-o, str 149.

Autor „Szkiców," owych rzewnych, nalanych po brzegi tęsknotą obrazków syberyjskich, tak rzadkim, niestety, jest gościem w literaturze. Z prawdziwą też przyjemnością czytamy jego nazwisko na każdej nowej książce, chociażby to była rzecz, od Leny i Jenisieju tak odległa, jak np. rozprawka o „Najlepszym elementarzu świata Promyka." W wydanej niedawno „baśni," p. t. „Z jakuckiego Olimpu," powraca Szymański raz jeszcze do tematów egzotycznych. Jest to nawet utwór, rzec można, bardziej oryentalistyczny, niż „Szkice." Niemasz tu bowiem tęskniącego serca Europejczyka i Polaka, jest tylko Wschód i Jakuci, ich wierzenia religijne i obyczaje.

Ale „Jurdiůk Ustůk Us" nie jest wyłącznie przyczynkiem do folkloru syberyjskiego. Ta przejmująca grozą opowieść o kowalu „Usie," majstrze „wyższego rzędu," a zarazem i „o junie" (to jest szamanie), który przecierpiał mężnie najstraszniejsze fizyczne i duchowe katusze, nie jest pozbawiona i treści moralnej: Us bowiem nietylko że przebacza swoim katom, modli się za nich i błogosławi ich przed śmiercią, ale i swą męką okrutną oddziaływa dobroczynnie na swych rodaków pod względem etycznym: odtąd „to tu, to owdzie w pustynnej i dzikiej ziemi jakuckiej zjawiały się wieści o wciąż nowych nauczycielach, sprawę umoralnienia ludzi prowadzących." I stało się, że odtąd „żaden prawy Jakut, dopóki zachowywanym był obyczaj stary, nie tylko nigdy nikogo nie zabił, ale i nie bił — ani żony, ani tem bardziej dziecka małego, a nawet ani konia, ani bydlęcia."

Tak dla dobra ludu ukochanego oddają się na ofiarę prorocy.

H. G.

WŁADYSŁAW GRABSKI. *Pogląd na politykę i pracę parlamentarną posłów polskich w III Izbie państwowej rosyjskiej* przez ... Dokumenty poselskie № 3. Warszawa, druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, Włodzimierska 3/5, 1909. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Okres obecny charakteryzuje brak myśli politycznej. Rewolucya zburzyła programy dawnych partyj politycznych. Żaden z nich nie wytrzymał próby życiowej, jakiej go poddały chwile,

otwierające szerokie horyzonty i możność przejścia od teoryi do czynu. W rezultacie w opinii ogólnej zapanował zupełny chaos.

Poseł Grabski uważa, że specyalny chaos istnieje w poglądach na politykę przedstawicielstwa polskiego w Petersburgu. „Szczupłą—pisze on—jest garstka tych, którzy tę politykę podzielają; wielu ostro i bezwzględnie ją potępia, a ogromna większość nie wie, co o niej sądzić, ale jest w każdym razie niezadowolona.“ Jednocześnie z tem niezadowoleniem u inteligencyi zaznacza autor apatyę i obojętność wśród ludu, który się zniechęcił do życia politycznego i zajął swemi codziennemi troskami życiowemi i gospodarczemi.

Objawy te objaśnia poseł Grabski zawiedzionemi nadziejami, które wywołują upadek ducha i żal do tych, od kogo powodzenia oczekiwano. Naszem zdaniem jest to zbyt uproszczone postawienie kwestyi, gdyż przyczyny obecnego stanu opinii naszej są bardzo złożone i nie można nad niemi tak łatwo przejść do porządku dziennego.

Przyznaje też dalej i poseł Grabski, że w pojęciach ogółu odbywa się ewolucya, a z drugiej strony, że i w postępowaniu Koła zaszły znaczne zmiany, opuściło ono bowiem dawniej zajmowane stanowisko. Dochodzi nawet do wniosku, że zmiany te „jednych oburzają, drugich drażnią, większość niepokoją“, i dlatego też zaleca Kołu, by „konieczną część swej ewolucyi przeszło szybko i śmiało.“ Grabski uważa, że przedstawicielstwo w Petersburgu za mało jest zdecydowane, za mało wyraźnie wstępuje na nową drogę i nie zdobyło się jeszcze na określony program pracy w Dumie.

W swym „memoryale o konieczności programu dla delegacyi polskiej w Petersburgu w 3-ej Izbie państwowej,“ złożonym Kołu dn. 18 lutego 1908 r. i przytoczonym w omawianej książce, poseł Grabski utrzymuje, że Koło żadnego programu nie posiada. Słusznie twierdzi on, że program autonomiczny Koła zbankrutował, gdyż autonomii drogą taktyki parlamentarnej zdobyć niepodobna. Rozwiały się szybko złudzenia Koła, iż zdoła ono narzucić swą wolę Rosyi, osłabionej wewnętrznie, i zdobyć od niej autonomię. Wkrótce wyrzec się trzeba było i programu „autonomii na raty,“ t. j. dążenia do stopniowego osiągania swobód autonomicznych. Okazało się, że zdobycie części autonomii wcale nie jest łatwiejsze od zdobycia całej autonomii.

Ubocznie wspomina poseł Grabski, że dla zdobycia wogóle czegośkolwiek potrzebna jest siła, nie wyciąga jednak stąd żadnych wniosków, przeciwnie twierdzi, że jedyną drogą do uzyska-

nia autonomii jest ta, by się stała ona zgodną z interesami państwowości rosyjskiej. Jaki jednak interes państwo rosyjskie może mieć w nadaniu nam autonomii—autor nie tłómaczy. Co do chwili obecnej, sądzi, że żądanie autonomii nie odpowiada wcale istniejącym stosunkom politycznym w Rosyi. Na przyszłość, wbrew wskazywanej przez siebie drodze, też jest usposobiony pesymistycznie, uważa bowiem, że gdyby nawet rząd był zmuszony do uczynienia nam ustępstw w krytycznym momencie, to po minięciu kryzysu znówby je odebrał.

O ile na siły własnego społeczeństwa zapatruje się autor posępnie, czarno, o tyle znów optymistycznie ocenia wewnętrzne stosunki w Rosyi. Twierdzi on, że państwo rosyjskie wstąpiło obecnie na drogę szerokich reform ekonomicznych i kulturalnych. Przesądem i fantazyą nazywa pogląd, że Rosya odrodzić się nie może przez swe niedomagania wewnętrzne, przeciwnie, prorokuje jej wskutek dokonywanych przemian szybki i łatwiejszy postęp naprzód, niż w latach ubiegłych. O jakichś reformach kulturalnych w Rosyi jednak dotychczas nic nie było słychać, na dokonywany zaś przez rząd gwałtowny przewrót w stosunkach agrarnych, wielu nietylko postępowych, ale nawet konserwatywnych pisarzy rosyjskich zapatruje się z wielkim sceptycyzmem.

Będąc tego przekonania, że nastaje obecnie w Rosyi okres stawiania fundamentów pod odrodzenie ekonomiczne i kulturalne państwa, zaleca poseł Grabski Kołu wysuwać interesy ekonomiczno-kulturalne kraju, jako część składową ogólnego programu reformacyjnego Rosyi. Co do nacyonalizmu rosyjskiego nie sądzi autor, aby ten zasadniczo miał na celu eksterminacyę. Jego wrogi względem nas stosunek dzisiejszy uważa poseł Grabski tylko za przejściową fazę, a nie za stały wyraz dążeń całego narodu rosyjskiego. Mniema, pomijając długoletnią już historyę nacyonalizmu rosyjskiego, że jest on dopiero w stadyum formowania się i nawet, że Polacy mogą wywrzeć wpływ na jego ukształtowanie. By to osiągnąć, doradza autor Polakom rachować się z potrzebami państwa rosyjskiego i przyczyniać się do korzystnego czynienia im zadość, niezależnie od tego, czy sami mamy przytem co do zyskania. Zamiast dawnej teoryi odróżniania narodu rosyjskiego od rządu stawia nową, że co innego jest wrogi nam obecny system rządowy, a co innego państwo rosyjskie, które w gruncie rzeczy ma jednakowe interesy z nami.

W myśl tych poglądów należy, zdaniem posła Grabskiego, zbliżyć się do czynników w dzisiejszej chwili miarodajnych. Za takie uważa on umiarkowane żywioły, idące z rządem i stano-

wiące ośrodek działania w Izbach państwowych. Autor liczy bardzo na Dumę i przywiązuje wielką wagę do opinii jej większości. Od lewicy doradza stanąć dalej, by nie dawać pozoru do łączenia sprawy polskiej z rewolucyą rosyjską. W sprawie oddziaływania na opinię rosyjską wielką nadzieję pokłada na akcyę neo-słowiańską.

Poseł Grabski stanowczo występuje przeciw polityce protestów i deklaracyj, będąc tego przekonania, że w Dumie możliwa jest skuteczna obrona interesów narodowych. Zwalczając zapatrywanie, że posłowie nasi mają być tylko ekspertami w sprawach polskich, uznaje potrzebę konieczną gorliwego udziału Polaków w sprawach czysto rosyjskich dla pozyskania wpływów. Nie stoi również na gruncie targów na zasadzie „do ut des," a to z tej racyi, że stronie przeciwnej nie zależy na nas wcale i że nic jej dać nie możemy.

Autor książki spodziewa się, że Polacy mogą uzyskać w Dumie szereg korzystnych dla siebie praw w rozmaitych dziedzinach. Zalicza tu samorząd, obronę zasad tolerancyi religijnej, zrównanie w sprawach podatkowych, reformy rolne, między innemi reforma Banku Włościańskiego, załatwienie różnych spraw ekonomicznych i społecznych. Przypuszcza nawet, że okaże się możliwem osiągnięcie pewnych praw w dziedzinie szkolnictwa: powrotu do wykładania geografii i historyi po polsku i przez nauczycieli Polaków, uzyskania prawa egzaminów na świadectwo dojrzałości w naszych prywatnych zakładach i t. p.

Dotychczasowy bieg rzeczy w Rosyi i u nas nie usprawiedliwia zupełnie tych nadziei. Kompletna rusyfikacya projektowanych ziemstw na Litwie i Rusi, znaczne ograniczenia poczynione przez przedstawicieli ziemstw rosyjskich w projekcie rządowym samorządu w Królestwie, obalają wszelkie różowe oczekiwania w tej dziedzinie i nie zwiastują nic dobrego także na innych polach. Ze strony Rosyi nawet drobnych ustępstw oczekiwać obecnie trudno.

Wacław Dunin.

WŁADYSŁAW GRABSKI. *Ekonomia rolnicza gospodarstw mniejszych.* Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1909.

Broszura ta, objętości kilkudziesięciu stronic, stanowi treść odczytu, który miał być wygłoszony podczas wystawy w Częstochowie. Autor przeznaczył ją dla gospodarzy włościan, obywateli

małych miasteczek i drobnej szlachty, t. j. dla takich właścicieli rolnych, którzy uprawiają swą rolę własnemi rękami.

Rzecz ta zapełnia u nas dotkliwą lukę. O ile mieliśmy sporo popularnych wydawnictw, zawierających rady i wskazówki rolnicze, o tyle dziedzina gospodarki społecznej w literaturze ludowej była zupełnie zaniedbana. Niniejszy szkic ekonomii rolniczej jest pierwszą próbą zapoznania naszego drobnego rolnika z podstawowemi zagadnieniami ekonomicznemi.

Trudno było sobie pomyśleć człowieka bardziej powołanego do napisania takiej książki, jak Władysław Grabski, świetny znawca naszych stosunków rolnych. To też nic dziwnego, że praca jego jest wzorem, jak podobne rzeczy pisać należy.

Autor nie utrudnia swemu czytelnikowi czytania książki rozstrząsaniem zawiłych zasad ekonomicznych, lecz rozpatruje sprawę z punktu widzenia czysto praktycznego. Nie jest to więc wykład ekonomii ogólnej, lecz systematycznie ułożony zbiór wskazań gospodarczych, obejmujących wszystkie dziedziny życia drobnego rolnika.

Rozpatrując np. kwestyę rynku rolniczego, autor natychmiast wyciąga wnioski, jak gospodarstwo drobne powinno się przystosowywać do wymagań tego rynku, i wskazuje, w jakim kierunku powinny iść nasze gospodarstwa. Zajmując się organizacyą wytwarzania zbytu i nabywania produktów rolnych, autor odrazu wykazuje znaczenie spółek i kółek rolniczych. Mówiąc o ważnej sprawie nabywania gruntów, opisuje stan kredytu bankowego u nas i warunki kolonizacyi.

Wyczerpuje Grabski wszystkie bolączki, trapiące naszego drobnego rolnika. Porusza więc sprawę melioracyi, uwzględniając trudne warunki prawne zbiorowego jej wykonywania. Zajmuje się komasacyą gruntów, wyjaśniając zgubne skutki szachownic. Mówi o wychodźtwie, jak czasowem, tak i na stałe, powstrzymując ludność od wszelkich złudzeń i zbyt różowych nadziei w tym kierunku. W rozdziale o kredycie wolnym przedstawia autor działalność kas gminnych i towarzystw kredytowych. W innym namawia do asekuracyi, opisując rozmaite jej działy i zajmujące się niemi u nas towarzystwa asekuracyjne. W kwestyi rozdrabniania gruntów wskazuje lekarstwo na nie w podniesieniu oświaty, które pozwoli drobnemu rolnikowi dać swym synom wykształcenie, otwierające im dostęp do innych zawodów. Zaznacza wielką doniosłość samorządu, powołując się na postępy, które, dzięki niemu, poczyniła Galicya. Zachęca do oświaty, jako głównego czynnika podniesienia ekonomicznego, naucza o znaczeniu zrzeszeń rolni-

czych. Na zakończenie wreszcie omawia stosunek drobnych rolników do społeczeństwa, przedstawiając szkodę, jakąby ponieśli, gdyby się wyodrębnili od reszty narodu.

Już z samej treści tej książki widać, jak dalece ważne i palące sprawy ona porusza. To przystosowanie do naszych warunków czyni ją tem cenniejszą. Należałoby życzyć, by książka ta znalazła wśród naszego ludu jaknajszersze rozpowszechnienie.

W. D.

Dr. ROMAN DYBOSKI, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Charles Kingsley i socyalizm chrześcijański w Anglii.* Kraków. Odbito w drukarni „Czasu," 1910.

Studyum niniejsze przedstawia życie i działalność pisarza, który brał czynny udział w stworzeniu wielkiego ruchu społecznego w Anglii około połowy XIX stulecia, ruchu, ochrzczonego przez historyę nazwą „chrześcijańskiego socyalizmu" (Christian Socialism). Kinsgley nietylko czynnie pracował na tem polu, ale zostawił też najtrwalszy i jedyny w literaturze pomnik tej pamiętnej fazy w rozwoju społecznym Anglii w postaci swych powieści. Jest to osobistość wybitna nietylko pod względem społecznym, ale i literackim, jako jeden z klasyków prozy powieściowej angielskiej. Typ to tem ciekawszy, że należy do najrdzenniej angielskich, musi więc pociągać każdego, kto ceni geniusz tej rasy. U nas Charles Kingsley jest zupełnie nieznany, dlatego też praca d-ra Dyboskiego w naszej literaturze stanowi nabytek pożądany.

Autor daje całą biografię Kingsleya. Opisuje czasy dzieciństwa i młodości, przedstawiając wpływy, pod którymi kształtował się jego umysł i charakter. Szczegółowo charakteryzuje działalność tego wybitnego męża na stanowisku proboszcza, a później profesora historyi nowożytnej w Cambridge, wreszcie kanonika kapituły westminsterskiej.

Daje też autor szeroki obraz literackiej twórczości Kingsleya. Zapoznaje z treścią jego powieści, rozstrząsa wystawiane w nich ideały społeczne, charakteryzuje jego działalność publicystyczną.

Po przeczytaniu tej książki w umyśle czytelnika zarysowuje się jasno postać idealna człowieka, który „płonął ideą, jak pochodnia," aż wreszcie „spalił się w tym ogniu."

W. D.

EDWARD BOGUSŁAWSKI. *Społeczeństwo i cywilizacya* (z powodu dzieła Erazma Majewskiego: „Nauka o cywilizacyi," Warszawa 1908). Warszawa, druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, 1909.

Jest to odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, wydziału nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii. Na jednem właśnie z tych posiedzeń p. Edward Bogusławski wygłosił krytykę obszernego dzieła socyologicznego, które niedawno wydał p. Erazm Majewski. Autor zbija monistyczny pogląd tego ostatniego na świat, wykazując jednostronność materyalizmu. Słusznie też podkreśla fałszywe zapatrywanie na społeczeństwo, jako na utwór analogiczny zupełnie z organizmem, gdyż przestarzała ta teorya dawno już została zarzucona w nauce zachodniej. Autor zwraca uwagę, że Majewski nie zajmuje się wcale stosunkiem jednego społeczeństwa do drugiego. Podaje dalej w wątpliwość fakt przyrodzonego jakoby człowiekowi konserwatyzmu. Stawiając te zarzuty, autor jednocześnie zaznacza i zalety krytykowanego dzieła.

Krytyka p. Bogusławskiego wraz z dyskusyą, jaka się na ten temat rozwinęła w Towarzystwie Naukowem, jest koniecznem wprost dopełnieniem dla czytelników książki p. Majewskiego.

W. D.

EMIL FAGUET, członek Akademii Francuskiej. *Liberalizm.* Z upoważnienia autora przełożył Stefan Natanson. Lwów, 1908. Nakład księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka. Tom V, serya IV. Wydawnictwo Związku Naukowo-literackiego we Lwowie „Wiedza i Życie." 8-o, str. XVI + 392.

Emil Faguet jest jednym z tych pisarzy francuskich, którzy są bardzo mało znani poza Francyą, choć więcej od wielu innych na to zasługują. Nie schlebiał on gustom ogółu, lecz śmiało mówił to, co myślał i czuł. Tem ciekawszą jest dla nas ta silna indywidualność, przeciwstawiająca się szablonowi.

Ścisłym naukowcem socyologicznym Faguet, co prawda, nie jest, gdyż na pole studyów społecznych przerzucił się dopiero przed kilku laty. Ale nie z tego też punktu widzenia oceniać należy jego prace. Posiadając umysł bardzo żywy, bardzo wszechstronny i bardzo kulturalny, a przytem niezmiernie krytyczny, Faguet potrafi lepiej, niż kto inny, zajrzeć w głąb duszy francuskiej, która wytworzyła dzisiejszy „liberalizm," potrafi samodziel-

niej ocenić współczesne objawy życia francuskiego, wywierające dość silny jeszcze wpływ na zewnątrz. Jako pisarz społeczny, jest to publicysta dużej miary, rzucający ciekawe światło na wszystko, czego się dotknie swem piórem, rozsypujący wszędzie dużo niezwykle trafnych i oryginalnych uwag.

Z zawodu jest Faguet właściwie krytykiem literackim. Wykładał literaturę w szkołach średnich, a później, jako profesor, w Sorbonnie. Napisał szereg wybitnych dzieł o literaturze francuskiej, które stanowią podstawę jego zasłużonego uznania. Jednocześnie pisywał felietony literackie i teatralne w dziennikach i tu też po śmierci Sarcey'a zajął pierwsze miejsce. Studya nad politykami XVIII i XIX w. popchnęły Fagueta do zgłębiania zjawisk życia społecznego. Pisał też o filozofii.

Wybitną cechą umysłowości Faguet'a jest ogromna zdolność budowania konstrukcyj logicznych. Stąd pochodzi jasność jego prac, pełnia kreślonego obrazu i siła argumentacyjna. Tu też jednak kryje się jego wada, jako pisarza społecznego. Chciałby on bowiem, na podstawie jedynie logiki, wznosić całe systematy socyologiczne, za mało uwzględniając historyczną ciągłość rozwoju społecznego.

Wielką zaletą wreszcie Faguet'a jest świetny styl. Jasny, jędrny i zwięzły język jego jest jednocześnie niezwykle żywym, barwnym i pełnym wyrazu. Pozornie prześlizguje się on lekko i felietonowo po najzawilszych kwestyach, a tymczasem w formie tej bardzo dokładnie myśl wyraża.

Dzieło o „liberalizmie“ jest surową, lecz zupełnie słuszną krytyką obecnej Francyi, ktora nie może już sobie rościć prawa do przodowania narodom swemi ideami. Wykazuje autor, jak daleko odbiegli dzisiejsi Francuzi od szczytnych ideałów wielkiej rewolucyi, czem się stały szumnie głoszone „prawa człowieka“ w praktyce życia francuskiego. Gromi z całą mocą zapału, z całą siłą swej wymowy panujący pseudo-liberalizm, który w gruncie rzeczy jest zaprzeczeniem prawdziwego liberalizmu.

Ponieważ społeczeństwo nasze bardziej, niż jakiekolwiek inne, żyje dotychczas jeszcze pod urokiem Francyi, przeto sprawa ta ma i dla nas bardzo realne znaczenie. Pseudo-liberalne tendencye i u nas rozkwitły się zbyt bujnie, co przynajmniej w części zawdzięczamy wpływom francuskim. Czas już, byśmy przejrzeli, że obecnie nie zdrowie moralne, lecz trucizna sączy się z tych źródeł.

Uważając, że zasady „praw człowieka“ stanowią ideał społeczeństwa, podkreśla autor racyonalnie, że są one wytworem myśli

ludzkiej, szukającej doskonałości, a nie istotnem prawem, z którem każdy przychodzi na świat.

W poszczególnych rozdziałach swej książki rozpatruje Faguet zasady liberalne, wyrażone w deklaracyach z r. 1789 i 1793, wykazując całą sprzeczność z niemi rzeczywistości francuskiej.

Jako prawdziwy liberał, ogranicza autor zakres państwa do minimum. Niesłusznem jest jednak jego twierdzenie, że państwo istnieje tylko dla obrony nazewnątrz. Niezgodnem też z prawdą jest, że uczucie patryotyczne jest wytworem obawy przed wrogiem. Z punktu widzenia nauk prawnopolitycznych możnaby niniejszej książce poczynić tu i owdzie zarzuty. Brak tutaj jednak miejsca na wyszczególnienie tych usterek.

W drugiej części książki autor mówi o wrogach wolności, za jakich uważa: monarchizm, arystokratyzm, socyalizm, ideę równości, wszechwładzę ludu i... parlamentaryzm. Uwagi o parlamentaryzmie są oryginalne i nie można im odmówić sporej dozy słuszności.

Najlepszymi są ostatnie rozdziały, w których autor kreśli ogólny szeroki obraz Francyi współczesnej i stara się wyjaśnić, dlaczego właściwie dzisiejsi Francuzi nie są liberalni, pomimo liberalnych frazesów na ustach.

Słowa demokratyzm, postęp, liberalizm, obijają się i u nas wciąż o uszy, ale nieraz nadaje się im jak najfałszywsze tłómaczenie. Praca Faguet'a zmusza do zastanowienia się nad istotnem i ścisłem znaczeniem tych pojęć. Dobrze jest posłyszeć o nich wykład człowieka, który mówi na końcu swej książki, naśladując Proudhon'a, marzącego o rzeczypospolitej, gdzieby go oddano pod gilotynę, jako konserwatystę: „Marzę o rzeczypospolitej, z którejby mnie wygnano... przepraszam, tam nie skazywanoby na wygnanie... gdziebym się spotkał z pogardą i złorzeczeniem za niedostateczny liberalizm.“

W. D.

Kronika miesięczna.

Deklaracya polska na Zjeździe słowiańskim w Petersburgu. — Setna rocznica urodzin Chopina. — Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem. — Teatry i chóry włościańskie.

Po świeżych naradach Komitetu wykonawczego Zjazdu słowiańskiego, naradach, odbytych w Petersburgu przez prosty zbieg okoliczności jednocześnie z rozprawami nad wniesioną do Dumy interpelacyą w sprawie opolskiej i wystąpieniem firmowego neosławisty, hr. Bobrinskiego, w roli obrońcy uciemiężonego przez Polaków kościoła prawosławnego w Chełmszczyźnie — pozostał tylko dym przykry i gryzący, a gdy i jego kłęby opadną, ukaże niewątpliwie z poza nich swoją twarz stary panslawizm, który już nadal nie będzie się oblekał w szaty, wprowadzając w błąd opinię mniej doświadczonych narodów słowiańskich. Bo i po co? Komunikat Zjazdu, podany do wiadomości powszechnej, brzmi krótko i węzłowato:

Członkowie Komitetu, Polacy, oświadczyli, że wobec zaostrzenia się od czasu Zjazdu praskiego stosunków rosyjsko-polskich i zachowania się Rosyan, uczestników ruchu neosłowiańskiego, niezgodnie z zasadami tego ruchu — Zjazd w Sofii w 1910 roku jest nie na czasie i powinien być odroczony. Bułgarzy prosili natomiast o nieodraczanie Zjazdu, ponieważ w Sofii wszystko już jest przygotowane na przyjęcie gości i odroczenie Zjazdu spowodowałoby wielkie rozczarowanie i przyniosło szkodę sprawie zjednoczenia się Słowian na półwyspie Bałkańskim.

Komitet, uznając w zupełności ważność przyczyn, które zmusiły Polaków do żądania odroczenia Zjazdu, przyszedł jednak do

wniosku, że odroczenie Zjazdu jest niemożliwe. Wobec tego Polacy złożyli deklaracyę piśmienną, motywującą ich abstynencyę od Zjazdu. Deklaracyę dołączono do protokółu.

Uchwały Komitetu są następujące: termin Zjazdu w Sofii wyznacza się na dzień 7 lipca 1910 r.; poleca się niezwłocznie zorganizować specyalną Komisyę, złożoną z członków Komitetu Polaków i Rosyan, której zadaniem będzie wypracowanie warunków konkretnych polsko-rosyjskiego *modus vivendi*, które mają obowiązywać wszystkich uczestników ruchu neosłowiańskiego.

Deklaracya Polaków, członków Komitetu wykonawczego, brzmi: „Zjazd praski roku 1908 postawił sobie za zadanie zasadnicze zaniechanie stosunków wrogich i ustanowienie pokoju pomiędzy narodami słowiańskimi dla dobra całej Słowiańszczyzny i każdego narodu słowiańskiego w szczególności. Proklamowana na Zjeździe tym idea słowiańska nietylko nie uległa dalszemu rozwojowi, ale przekręcone postanowienia Zjazdu posłużyły na poparcie działań, skierowanych na szkodę sprawy słowiańskiej. W zakresie stosunków rosyjsko-polskich zaszło znaczne pogorszenie; nietylko utrzymanie istniejących ograniczeń, hamujących rozwój kulturalny narodu polskiego, ale i wprowadzenie w życie nowych prześladowań, napotkało współdziałanie i poparcie nawet ze strony niektórych uczestników Zjazdu praskiego, którzy uznali jego postanowienia zasadnicze. Wobec tego my, Polacy, uczestniczący w Komitecie wykonawczym Zjazdu praskiego, stojąc niezachwianie na gruncie idei słowiańskiej, wyrażonej w zasadach neoslawizmu, oświadczamy pełną gotowość do przyszłej pracy, wiodącej do określenia tych skutków konkretnych, jakie obowiązkowo wypływają z zasad neoslawizmu, ażeby usunąć możliwość nieporozumień i przewrotnych komentowań. Uważamy nadto, że zewnętrzne objawy solidarności słowiańskiej, wyrażające się na zjazdach neosłowiańskich, mogą przynieść korzyść sprawie słowiańskiej tylko pod warunkiem, jeżeli opierają się na jasnym, ustalonym programie. Dlatego w chwili obecnej, dopóki wiele doniosłych spraw życia słowiańskiego nie znalazło należytego określenia, nie uważamy za możliwe powziąć decyzyi o udziale naszym w zjazdach najbliższych.“ Podpisali: Dmowski, Straszewicz, hr. Olizar.

Takie są dokumenty, które spocząć powinny w archiwum „ruchu neosłowiańskiego“ i spokojnie oczekiwać na niedaleki już jego epilog ostateczny. Nie można się bowiem łudzić, aby Komisya, powołana do „wypracowania warunków konkretnych polsko-rosyjskiego *modus vivendi*“ mogła dać jakieś wyniki istotne

i poważne, jak również, aby Zjazd w Sofii potrafił przywrócić sprawie słowiańskiej jej tętno praskie.

*

* *

Dn. 22 lutego r. b. Warszawa obchodziła uroczyście setną rocznicę urodzin Fryderyka Chopina.

Wyraz hołdu, jaki złożono w tym dniu geniuszowi wielkiego muzyka polskiego, powinien być punktem wyjścia dla pracy nad podniesieniem kultury muzycznej wśród naszego społeczeństwa.

Twórczość Chopina, zespolona ściśle z ziemią ojczystą, jest niewyczerpanem źródłem rozkoszy dla ucha i dla duszy polskiej. Rozkosze te jednak są dostępne zaledwie dla szczupłego koła wykwintniejszych słuchaczów. Oczywiście, niepodobna marzyć o tem, aby muzyka Chopina rychło mogła się stać muzyką dla wszystkich, wymaga ona bowiem pewnej delikatności uczuć, na którą nie każdy zdobyć się może. Nie mniej jednak Chopin jest zrozumiały i dostępny dla ogółu polskiego w stopniu znacznie większym, niż muzycy obcy. Tę jego zrozumiałość i dostępność stwarza jego swojskość, jego narodowość, jego blizki, nierozerwalny związek z Polską.

Znaczną część życia swego spędził genialny twórca za granicą, wśród obcych. Gdziekolwiek jednak uniosły go losy, wszędzie szły za nim echa ojczyzny, a w uchu dźwięczała mu ludowa pieśń polska, z której pełną ręką czerpał motywy do swoich dzieł nieśmiertelnych. Przedziwne brzmią też głosy w jego pieśniach. Odzywa się tam cała ziemia polska, z szumem zbóż swoich, z szeptami lasów, z graniem żab w noce księżycowe, a obok tego uroku krajobrazowego, który wywołują w duszy dźwięki jego preludyów, nocturnów, *impromptu*'ów, mazurków, ballad i sonat, wstaje tam wszystek ból narodu, wszystko cierpienie, które rozsiadło się w granicach Polski. Duszą poety i duszą wielkiego patryoty odczuł Chopin tę wielką katastrofę dziejową, która rozegrała się w okresie jego młodości—rok 1831, zakończony upadkiem drogiej jego sercu Warszawy. Uczucia, które zatargały wówczas jego piersią, znalazły następnie odbicie w całym szeregu utworów, o których nie bez słuszności mówiono, że są one „jak armaty, ukryte w kwiatach."

Świat, który chyli czoło przed geniuszem Chopina i uwielbia go, jako jednego z największych geniuszów muzycznych wieku XIX, nie zdoła jednak nigdy odczuć w całej pełni tego, co w muzyce Chopina najbardziej czaruje i podbija duszę polską i dlatego Chopin, mimo swego niezaprzeczonego obywatelstwa w sztuce powszechnej, pozostanie zawsze i przedewszystkiem muzykiem polskim. W Polsce też nie gdzieindziej może się dokonać wielkie dzieło jego popularyzacyi, aby jednak dokonać się mogło, należy—obok czci i hołdu—postawić pracę nad podniesieniem nikłej naszej kultury muzycznej do wyżyn, których wymaga zrozumienie wielkiego poety tonów.

*

* *

Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem rozwija się pomyślnie, dzięki wytrawnemu sterowi d-ra K. Benniego. Działalność tej instytucyi w roku ubiegłym wykazuje nieustanną, zwiększającą się ciągle dbałość o przysporzenie ludowi wiejskiemu źródeł zarobkowych, o wzmożenie jego wątłych sił ekonomicznych i uwolnienie go z jarzma kosztownego pośrednictwa żydów małomiejskich.

Prace T-wa grupują się w trzech głównych działach. Przedewszystkiem T-wo prowadzi instytucye, które są pod bezpośrednim jego kierunkiem i zarządem. Następnie popiera inicyatywę prywatną na polu przemysłu ludowego. Wreszcie, rozpowszechnia wiadomości o zadaniach T-wa dla zainteresowania jego sprawami szerszego ogółu.

W r. 1909 Towarzystwo prowadziło instytucye następujące:

1-o. Szkołę instruktorów tkackich w Oryszewie. Szkoła ta posiadała 10 krosien, przy których pobierało naukę około 20 uczniów.

2-o. Szkołę tkacką i gospodarstwa domowego dla włościanek w Kruszynku. Szkoła ta miała 61 uczenic. Warsztatów tkackich było w niej czynnych 7, przystosowanych do wyrobu płótna, ręczników i wełniaków barwnych, używanych na ubrania i obicia mebli. W prowadzonem przy szkole gospodarstwie wiejskiem uczennice obeznawały się praktycznie z racyonalną hodowlą bydła rogatego, trzody chlewnej, ptactwa, królików, a także z ogrodnic-

twem i mleczarstwem. Od 1 z. m. szkoła przestała należeć do instytucyj, prowadzonych przez Towarzystwo.

3-o. Kursy instruktorek tkackich we wsi Grzędzice (gub. Płocka). W r. b. kurs ten trwać będzie 6 miesięcy, poczynając od 1 października. Uczennice w liczbie—na początek—10 wszystkie mieszkać będą w internacie przy szkole i płacić za swe utrzymanie po 5 rb. miesięcznie. Nauka bezpłatna.

4-o. Szkołę instruktorów koszykarskich w Nałęczowie. Uczniów było w tej szkole w r. 1909—15-tu, w wieku od lat 14 do 20.

5-o. Niezwykle ważną i pożyteczną szkołę instruktorów zabawkarskich im. Jana Blocha w Nałęczowie. Uczniów miała ta szkoła 19. Zbyt wyrabianych w niej zabawek nietylko jest już zapewniony, lecz nawet nie wystarcza na zadośćuczynienie wszystkim zapotrzebowaniom. Zabawki sprzedawane są na miejscu w parku Nałęczowskim i w Domu ludowym, a także w Warszawie, w sklepie Towarzystwa. Utrzymanie miesięczne ucznia kosztuje 7 rubli.

6-o. Sklepy Towarzystwa. Sklep główny, mieszczący się w Warszawie (ul. Bracka № 18) rozwijał się w r. z. normalnie. Ogólna suma sprzedaży w r. 1909 wyniosła 15,300 rb. Kapitał obrotowy został powiększony o 800 rb. i wynosi obecnie 5,600 rb. Od marca r. z. T-wo uznało jeszcze za konieczne otworzyć mały sklepik („straganˮ) z prostymi, tanimi towarami w bazarze ludowym na Nowym Świecie № 64. W ciągu 9 miesięcy 1909 r. w straganie sprzedano towarów ogółem za 258 rb.

Z pośród innych gałęzi przemysłu ludowego, których zapoczątkowaniem lub organizowaniem zajmowało się T-wo, sprawozdanie wymienia: koronkarstwo, guzikarstwo, plecionkarstwo, farbiarstwo i przemysł drzewny.

Liczba rozmaitych warsztatów przemysłu ludowego, zakładanych z inicyatywy i kosztem osób prywatnych lub organizacyj społecznych w różnych okolicach kraju, głównie po wsiach, stale wzrasta. Jest to objaw wielce pocieszający. Dotychczas jednak są to przeważnie tylko warsztaty tkackie. Wydając nowopowstałym instytucyom swoją legalizacyę, t. j. upoważnienie do prowadzenia warsztatów i przyjmując je w ten sposób pod swoją opiekę, T-wo wspiera je radą, potrzebnemi informacyami i w niektórych wypadkach niezbędną pomocą pieniężną, a w razie życzenia wynajduje także odpowiednich instruktorów, natomiast osoby, prowadzące warsztaty, obowiązane są przedstawiać zarządowi Towarzystwa coroczne sprawozdania z ich działalności.

W r. ub. zostało zalegalizowanych 20 takich instytucyj, przeważnie warsztatów tkackich. Nie wszystkie zdołały się jeszcze należycie rozwinąć. Trwałe jednak podwaliny już posiadają: spółka włościańska handlowo-przemysłowo-rolnicza w Liskowie, guberni kaliskiej, warsztaty tkackie w Pietkowie gub. łomżyńskiej, warsztaty tkackie z praktyką gospodarstwa domowego dla włościanek w Mirosławicach gub. warszawskiej, warsztaty tkactwa, szycia i haftu we wsi Gole gub. warszawskiej, warsztaty tkackie w Bogłewicach gub. warszawskiej, warsztaty tkackie w Policznie gub. radomskiej i znana pracownia kilimkarska p. Z. Apoznańskiej we wsi Ruś gub. łomżyńskiej.

Dochody Towarzystwa, wraz z jego rozwojem, znacznie się powiększyły. Wyniosły one, łącznie z pozostałością z r. 1908 — pokaźną kwotę rb. 22,828 kop. 34, z czego wydatkowano 10,909 rb. 30 kop., a na r. b. przeniesiono 11,919 rb. 04 kop.

Dla całości obrazu należy dodać, że Towarzystwo urządziło w r. z. cały szereg pokazów na wystawie w Częstochowie, gdzie posiadało własny pawilon. Wystawa ta niewątpliwie spopularyzowała idee Towarzystwa w kraju i wpłynęła na zainteresowanie się jego sprawami szerszych kół społeczeństwa. Dotychczas zainteresowanie to było dość słabe, należy jednak przypuszczać, iż będzie ono rosło stale w miarę, jak owoce jego pożytecznej pracy stawać się będą widoczne, a staną się niemi z chwilą, gdy dostateczna ilość instruktorów wyjdzie z pod skrzydeł T-wa i rozsypie się po kraju. Tę stronę działalności instytucyi uważamy też na razie za najważniejszą.

*

* *

Mamy przed sobą I sprawozdanie zarządu głównego Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie. Z uwagi, że świeżo właśnie gościła w Warszawie trupa włościańska z Zawad, że więc sprawa teatrów włościańskich przeszła już i u nas z dziedziny fantazyi w dziedzinę rzeczywistości, z ciekawością przyglądamy się wynikom, jakie pokrewna, a prowadzona już od wcześniejszego czasu praca dała na gruncie galicyjskim.

To, co do niedawna było nieśmiałem tylko marzeniem, dziś jest już faktem spełnionym. Do szeregu czynników, podnoszących

oświatę i kulturę naszego ludu, przybył czynnik nowy i ważki— teatr i chór włościański.

Gdy książka lub odczyt, mające już z natury charakter mniej lub więcej myślowy, abstrakcyjny, dostępne są tylko dla jednostek już poniekąd kulturalnie uświadomionych, — teatr i sztuki piękne działają bezpośrednio i to nietylko na rozum, ale także na uczucia i wyobraźnię szerokich rzesz ludu, wprowadzając je w sferę piękna i najwznioślejszych ideałów społecznych i narodowych.

Tworzenie teatrów i chórów włościańskich jest więc jedną z pierwszorzędnych form decentralizacyi kultury i zakładania nowych jej gniazd na szerokich przestrzeniach kraju.

Teatry te i chóry mają już w Polsce długą, choć w małej części tylko pisaną historyę. Pomijając pierwociny teatru włościańskiego, jasełka prastare, przez włościan w naszym kraju grywane, stwierdzić wypada, że już w r. 1861 o teatrze włościańskim myślał poważnie Władysław Ludwik Anczyc, pisząc swą sztukę p. t. *Gorzałka*, którą nazwał „utworem scenicznym dla teatrów włościańskich.“ Od tej pory nie zbywało już na próbkach praktycznych, ale miały one bądź co bądź charakter tylko sporadyczny. Brak było tym odosobnionym próbom systematyczności, brak było świadomości społecznej o potrzebie i pożytku tego sposobu szerzenia oświaty ludowej. Dopiero w r. 1903 dr. Zygmunt Gargas, znany ekonomista i działacz galicyjski, poruszył tę sprawę na posiedzeniu Zarządu głównego Towarzystwa kółek rolniczych, proponując urządzenie ankiety w tym przedmiocie wśród pisarzy, znawców i działaczy ludowych.

Wniosek przyjęto, a ankieta, której rezultaty ogłoszono w książce d-ra Gargasa p. t. „Teatry chłopskie w Galicyi,“ przyniosła plon obfity. Stwierdziła ona przedewszystkiem wielką potrzebę i pożytek teatru włościańskiego oraz wskazała na wielorakie trudności, stojące na przeszkodzie rozwojowi tego ruchu, więc brak odpowiedniej literatury dramatycznej, trudności w uzyskaniu potrzebnych rekwizytów, trudności reżyserskie i t. d.

Książka d-ra Gargasa wywołała silny odgłos, ożywiając w wybitnym stopniu ruch na polu tworzenia teatrów i chórów włościańskich. Ruch ten znajdował pewną opiekę i oparcie w Towarzystwie kółek rolniczych, które jednak, zaabsorbowane całym szeregiem innych, niezmiernie ważnych spraw społeczno-gospodarczych, nie miało możności rozwinąć w tym kierunku działalności intensywniejszej.

Wówczas, w celu zaradzenia choć w części brakowi odpowiedniej literatury dramatycznej, Macierz polska, wskutek pe-

tycyi zarządu głównego Towarzystwa kółek rolniczych, rozpisała konkurs na sztukę dla teatrów włościańskich. Z konkursu tego wyszedł zwycięsko, jako laureat, Jan Smotrycki, autor sztuki p. t. „Jasiek sierota.“ Następnie, staraniem Macierzy polskiej, wyszła książeczka tegoż autora p. t. „Przewodnik dla teatrów włościańskich.“ Ale wszystko to nie wystarczało, aby ująć olbrzymiejącą falę w odpowiednie koryto.

Gdy ruch ten coraz bardziej się wzmagał, powstała myśl założenia specyalnego „Związku teatrów i chórów włościańskich.“ Związek taki powstał w r. 1907 i rozpoczął działalność swoją od wydania odezwy, która obiegła całą Polskę.

Zdaje się — brzmiały słowa tego orędzia, skierowanego do wszystkich, którzy żywiej interesują się sprawą kultury—że przeżywamy dzisiaj ów moment, śniony od wieków przez naszych proroków narodowych, moment, w którym szerokie rzesze polskiego ludu rolnego, te drzemiące dotąd w mrokach moce naszego Odrodzenia, zaczynają się we wszystkich kierunkach budzić, zrywać do życia i ujawniać zadziwiającą energię i żądzę czynu. Jakiś wiew gorący, rozpętany tęsknicą i tchnieniem dusz żarliwych, powiał po głuchych ugorach kraju. Gwiazda jakiegoś wielkiego uświadomienia zabłysła nad rolą i siołem. Jakgdyby jęły się otwierać naoścież dębowe, złotem kute dźwierze kultury ludowej, w której barwną wizyę patrzył Cypryan Norwid, gdy modlił się o to, by na wielkim ołtarzu tej świątyni zapłonął znicz narodowy. Budzą się miliony. Ciężka praca na byt wzmogła siły ludu, emigracya odsłoniła mu nieznane dotąd horyzonty, prawa polityczne uskrzydliły mu ramiona. Rzeki budzącego się uświadomienia nie zdoła już powstrzymać żadna potęga. Trzeba nieulękle zajrzeć w jej nurty. Chodzi o to, aby nad tymi nurtami unosił się Duch. Trzeba tej żądzy czynu, częstokroć jeszcze ślepej i bezdrożnej, przeciwstawić rozumną myśl uspołecznienia i nadać jej twórczy, narodowy kierunek. Od dobrej woli myślącej części narodu zależy, jakimi szlakami rozleje się ta żądza. A żądza to zdrowa i wielmożna. W imię świętych nadziei jutra narodowego warto ją chronić od licznych pokus i wypaczeń i wytknąć jej trwały i pewny program rodzimego, świętego rozwoju.

„Marzymy o tem — dodawał Związek — aby w kraju naszym powstał kiedyś zupełnie odrębny, narodowy teatr chłopski, któryby przez swoją działalność był źródłem rozrywki i podniesienia duchowego nietylko dla samych włościan, lecz także dla wszystkich, którym los kazał pracować zdala od stołecznych centrów kulturalnych.“

I marzenie to zaczęło się powoli spełniać.

Z zadowoleniem możemy stwierdzić—czytamy na str. 23 obszernego sprawozdania—że akcya nasza, która narazie w skromnych obracała się granicach, żywe w społeczeństwie wywołała zainteresowanie. Prasa wszelkich odcieni, we wszystkich trzech dzielnicach, obszerne poświęciła artykuły celom i zadaniom Związku, a dyskusya publiczna, w tej sprawie przeprowadzona, na niejeden ważny moment zwróciła uwagę. „Związkowi“ podały nadto życzliwie ręce—Sejm krajowy, przyznając mu subwencyę w kwocie 2000 k. i Rada szkolna krajowa.

Najgłówniejszą uwagę zwrócono jednak odrazu na samopomoc społeczną. Po niej też spodziewać się należy najwięcej. Na czoło wysuwa się tu sprawa domów ludowych, oddawna już w społeczeństwie galicyjskiem omawiana, a powoli przybierająca kształty realne. Domy takie powstają. Budują je bądź gminy, bądź też zakładają je kółka rolnicze, które mają już obecnie *242 własnych domów*, wartości łącznej około *miliona* koron. Domy takie, skupiające lud polski do pracy kulturalnej, skutecznie przeciwdziałają ujemnym skutkom karczmy i kiedyś staną się niewątpliwie poważnem ogniskiem oświaty i ducha narodowego. W nich też naturalny swój przybytek będą miały teatry i chóry włościańskie.

Jakimi torami idzie ruch w tym kierunku w Galicyi, o tem świadczą najwymowniej cyfry.

Gdy w r. 1905 urządzano przedstawienia włościańskie zaledwie w 40 miejscowościach, w r. 1906 było już 115 takich miejscowości, w r. 1907—179, w r. 1908—283, a obecnie idea teatrów włościańskich obejmuje już najmniej 500 miejscowości w kraju.

Zorganizowanych teatrów i chórów włościańskich było pod koniec r. 1908—61, które liczyły razem 1874 członków, w organizacyi zaś pozostawało 14.

Bliższe rozejrzenie się w sprawozdaniu Związku będzie niewątpliwie pożyteczne i pouczające dla wszystkich, którzy zwrócili pilniejszą uwagę na sprawę teatrów włościańskich u nas po pierwszym występie trupy zawadzkiej w Warszawie.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Akademia Umiejętności. Dnia 16 grudnia 1909 r. odbyło się pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego posiedzenie Komisyi historyi sztuki. Członek Komisyi Dr. Al. Czołowski ze Lwowa przedstawił szereg komunikatów, odnoszących się do dziejów zamku królewskiego w Żółkwi, siedziby króla Jana Sobieskiego, a następnie Radziwiłłów. Zamek, będący dzisiaj w częściowej ruinie, jak świadczą inwentarze jego skarbca, zawierał wspaniałe urządzenia i pomniki, które ks. Michał Radziwiłł przeniósł do Nieświeża. Ogołocony zamek popadł dopiero przed niedawnym czasem w ruinę, gdyż na widoku, publikowanym w „Przyjacielu Ludu"—główna jego fasada jest nienaruszoną. Widok akwarelowy zamku ze zbiorów Pawlikowskich we Lwowie, daje pojęcie o rozmiarach tej monumentalnej budowli.

W dalszym ciągu przedstawił prelegent fotografie obrazów z klasztoru OO. Bernardynów w Krystynopolu, oraz inwentarze zamku Krasiczyńskiego, obejmujące galeryę obrazów rodziny Miączyńskich. Z podróży swej po Szwecyi przedstawił prelegent zabytki polskie, znajdujące się w zamku Skokloster, należącego do rodziny Wranglów. W zbiorach tego zamku znajduje się gobelin biskupa wrocławskiego Mikołaja Gniewosza, tarcza i dwa karwasze Jana Zamoyskiego. Zbrojownia królewska w Sztokholmie posiada między innemi pamiątkami hełm z nakryciem misiurkowem i polskimi napisami. Zamek w Gripsholm posiada około 200 sztuk portretów, między którymi znajdują się także i portrety królów polskich Zygmunta I, Zygmunta III, Jana Kazimierza w polskim stroju, Stanisław Leszczyński pędzla Migniarda w stroju oficera dragonów szwedzkich i wiele innych.

Prof. Birkenmajer przedstawił dwa rękopisy, będące własnością Biblioteki Jagiellońskiej a pochodzące z biblioteki astronoma Macieja Bylicy z Olkusza. Oba te rękopisy treści astrologicznej, ozdobione są inicyałami i miniatu-

rami i pochodzą niezawodnie z daru króla Macieja Korwina, którego Bylica był wielkim ulubieńcem i na którego dworze przebywał.

P. Władysław Bartynowski przedstawił drzeworyt z herbową tarczą ornamentowaną, z herbami Godzięba, Janina i Skoki, znajdującą się przy panegiryku: „Godzięba Cedr nieśmiertelny w polu Janiny, przy weselnym akcie Bazylego Godebskiego z panną Adelgundą Piasecką r. 1677.“ Autorem tego drzeworytu jest Zaharias Zelimacher, dotychczas nieznany naszym historykom.

W końcu przewodniczący zdał sprawę z wycieczki swej do Podhorzec i okazał zdjęcia fotograficzne z bogatych zbiorów tego zamku, którego monografia się obecnie przygotowuje.

— Konkursy Akademii Umiejętności. Akademia Umiejętności przypomina dawniejsze, względnie ogłasza nowe konkursy:

1) Konkurs z zapisu ś. p. generała Oktawiusza Augustynowicza: „Dzieje zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach, które niegdyś do byłej Rzeczypospolitej polskiej wchodziły, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy.“ Temat rozdziela się na 5 części: 1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku; 2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie; 3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do Cesarstwa rosyjskiego, z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi: 4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Królestwa Pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem, wreszcie 5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do Cesarstwa austryackiego. W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk, jako integralną część Polski piastowskiej.

Nagrody cztery: za część pierwszą i drugą po 2,000 kor., za trzecią 3,200 kor., za czwartą 2,400 kor., za piątą 2,800 kor. Na druk nagrodzonych prac przeznaczono 2,600 kor. Prace należy nadsyłać do d. 31 grudnia 1911 roku.

2) Konkurs im. Lindego. Dopuszczone tu są prace z języka polskiego (gramatyka, historya języka) oraz rozprawy, stanowiące niejako dopełnienie Słownika Lindego. Nagroda 675 rb. Termin do 31 grudnia 1912 roku.

3) Konkurs im. Józefa Majera na jeden z tematów: a) Historya Polski aż po rok 1831; b) Historya literatury polskiej aż po czasy najnowsze; c) Historya prawa publicznego polskiego (Historya ustroju Polski) aż po rok 1795. Opracowania mają wynosić od 25 do 30 arkuszy druku średniej ósemki i tak powinny być zredagowane, ażeby się nadawały do przetłómaczenia na jeden z języków obcych. Nagroda 2,000 kor. Termin konkursu upływa d. 31 grudnia 1911 roku.

4) Konkurs im. M. Kopernika: Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic ziem polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonij zamorskich, do których emigruje gromadnie lud-

ność polska, z klimatem rodzinnym. Nagroda 1,200 koron. Termin konkursu d. 31 grudnia 1913 r.

5) Konkurs im. Jul. Ursyna Niemcewicza (przedłużenie rozpisanego już konkursu) na tematy: 1) „Historya ustroju Królestwa Kongresowego (1815—1830);“ 2) „Historya obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w., w obrębie obranego terytoryum (co najmniej województwa) Rzeczypospolitej;“ 3) „Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii lubelskiej.“ Nagrody po 2,500 franków. Termin nadsyłania dwóch pierwszych prac do d. 31 grudnia r. b., trzeciej do d. 31 grudnia 1911 roku.

6) Konkurs z fund. ks. Adama Jakubowskiego na następujące tematy: 1) „Historya ustroju Księstwa warszawskiego;“ 2) „Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porozbiorowej.“ Nagroda wynosi 1,400 koron i może być podzielona na dwie, niekoniecznie równe części. Termin do d. 31 grudnia 1910 roku.

7) Konkurs im. dr. Władysława Kretkowskiego, matematyczny. Bliższe szczegóły w Akademii. Termin do d. 31 grudnia r. b. Nagroda 1,500 kor.

8) Konkurs Akademii dla uczczenia 60-cioletniego jubileuszu cesarza Franciszka Józefa: „Historya Galicyi w latach 1848—1908 r.“ Termin do dnia 31 grudnia r. b. Autor winien zwrócić uwagę przedewszystkiem na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło. Uczeni, zamierzający pracy tej podjąć się, mogą po bliższe informacye zgłaszać się do sekretaryatu generalnego Akademii.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18 regulaminu Akademii, wypłata wszelkich nagród konkursowych, następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

— Towarzystwo Naukowe Warszawskie. W dniu 21 stycznia odbyło się posiedzenie Wydziału II Towarzystwa, na którem wygłoszono referaty: 1) P. Al. Kraushar przedstawił epizod z dziejów Aleksandra Jagiellończyka, na tle nieznanego dotychczas dokumentu z r. 1503 przez Adama Naruszewicza w r. 1781 odpisanego i poświadczonego. Referat prelegenta p. t. „Litwa na Radzie Senatu w Lublinie w r. 1503“ wyjaśnił doniosłość poselstwa Litwinów do Korony w celu zyskania pomocy przeciw pustoszącym podówczas oba kraje Tatarom chana Mengi Gicreja i trudności, jakie się w tej mierze nastręczały, w epoce pośredniej między wszechwładzą możnowładztwa, ugruntowaną na przywileju Mielnickim, a wszechwładzą szlachty, zdobytą na podstawie statutu *Nihil novi* z r. 1505. W dyskusyi nad powyższym tematem uczestniczyli pp. Konopczyński i Ochimowski.

2) Drugi referat wygłosił p. Wł. Konopczyński p. t. „Dyplomacya europejska w sprawach polskich w latach 1759—1761.“ W rozprawie swojej, opar-

tej na nowych materyałach źródłowych, prelegent uwydatnił te czynniki, które zatamowały akcyę Prus, Austryi i Rosyi w kierunku zmian terytoryalnych na wschodzie Europy.

W dniu 22 stycznia odbyło się posiedzenie Komisyi Antropologicznej przy Wydziale II, na którem, po załatwieniu spraw bieżących, odczytano komunikat p. Leona Rutkowskiego, w którym donosi o wykryciu przez siebie cmentarzysk rzędowych we wsi Worniki w pow. płońskim, we wsi Brody pod Płońskiem, oraz w samym Płońsku, i komunikuje ważniejsze szczegóły swych badań.

W dniu 25 stycznia odbyło się posiedzenie Komisyi Historycznej przy Wydziale II, na którem referował p. Aleksander Woyde o utworzonym w latach 1901 — 1904 archiwum akt dawnych i zabytków dziejowych konsystorza ewangelicko-reformowanego w Królestwie Polskiem. Archiwum zawiera rękopisy, dotyczące wyłącznie spraw polskich tak kościelnych, jak i ogólnych. Przeważna ilość dokumentów odnosi się do byłej jednoty małopolskiej ewangelicko-reformowanej, oraz dziejów tegoż kościoła za czasów pruskich, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, mianowicie: akta synodalne począwszy od wieku XVI, księgi parafialne (zborowe), dokumenty dotyczące fundacyi i utrzymania kościołów, rachunki, skrypty (membrany) wybitnych ewangelików, (jak np. Władysława Reya, Dębickich, Władysława Leszczyńskiego, Stanisława Dunin-Karwickiego, Adama Suchodolskiego i innych), listy różnych osób (Rafała Leszczyńskiego, kardynała Lipskiego, biskupów Sołtyka, Załuskiego i w. in.), dokumenty dotyczące prześladowań dysydentów i t. p. Do pereł tego zbioru należy zaliczyć: powołanie Jana Tenandusa na rektora szkoły krakowskiej ewangelickiej z 10 marca 1572 r. z podpisem własnoręcznym sławnego drukarza i wydawcy dzieł Mikołaja Reya—Macieja Wirzbięty; list Mikołaja Radziwiłła Rudego, Jana Kiszki, Mikołaja Morwid Dorohostajskiego i in. z 12 czerwca 1583 r., w którym jest mowa o zburzeniu zboru warszawskiego (założonego przez starostę warszawskiego Jana Nienostę); akta synodów poznańskich z XVI w., akta synodów generalnych z XVII w. z podpisami Ossolińskiego, Janusza Radziwiłła, Jana Amora Kamień i t. d.

Na tem samem posiedzeniu p. Konopczyński przedstawił rękopis przygotowanego przez siebie odpisu dyaryusza z r. 1748. Do drukowania dzieła p. Konopczyńskiego postanowiono przystąpić natychmiast.

W dniu 1 z. m. odbyło się posiedzenie Komisyi Meteorologicznej przy Wydziale III, na którem, w dziale spraw bieżących, obradowano w dalszym ciągu nad utworzeniem pod Warszawą Obserwatoryum Meteorologicznego i Astronomicznego. W sprawie tej zyskano cenne współdziałanie i pomoc ze strony pp. Gryżewskiego i d-ra Malewskiego z Grodziska. Po rozpatrzeniu szczegółów sprawy zgodzono się, aby już w r. b. zorganizować obserwacye meteorologiczne w pełnym zakresie na terytoryum zakładu leczniczego w Grodzisku.

Sprawę przeniesienia pod Warszawę Obserwatoryum Astronomicznego im. d-ra Jędrzejewicza postanowiono odłożyć do czasu zebrania potrzebnego na to większego funduszu, licząc, że znajdą się ludzie ofiarni, dzięki którym

i ta doniosła potrzeba da się w bardzo blizkiej przyszłości pomyślnie załatwić, ku pożytkowi nauki naszej.

Pozatem wygłosili referaty: p. W. Smosarski: „O usłonecznieniu w Warszawie," p. Wł. Gorczyński: „O nowych badaniach z meteorologii rolniczej" i p. R. Merecki: „O nieznanych spostrzeżeniach meteorologicznych w Polsce z XVII i XVIII stulecia."

W dniu 3-m z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którem wygłoszono komunikaty: p. Wł. Gosiewski: „O zasadzie indukcyi według teoryi prawdopodobieństwa." P. F. Kucharzewski: „Piśmiennictwo techniczne polskie. II. Inżynierya z miernictwem." P. J. Eismond: „Badania doświadczalne nad rozwojem ryb spodoustych. Ciąg dalszy." P. J. Sosnowski: „Dalsze badania nad pobudliwością mięśni bezkręgowców. P.p. Z. Lorec i T. Wolski: „O nowym gatunku Strzebli (Phozinus Dybowskii nov. spec.)" (przedstawił p. J. Tur). P. T. Banachiewicz: „Sposób wyznaczenia spłaszczenia Wenery i czasu jej obrotu dokoła osi."

W dniu 4-m z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którem p. Edward Bogusławski odczytał referat p. t. „Podanie o Piaście, zapisane w kronice Gallusa i legenda o św. Germanie." Prelegent starał się wykazać, że mylą się ci, którzy twierdzą, że szczegół o cudownem rozmnożeniu się napoju i jadła w podaniu o Piaście, wziął tak zwany Gallus, czyli Mnich-Anonim, z legendy o św. Germanie (biskup z Auxerre we Francyi, zm. 378 r.), przerobiwszy ją tylko trochę, czyli, innemi słowy, że podług niej swoją powieść ułożył. Twierdzenie takie jest całkiem błędne. Jak całe podanie o Piaście, tak i szczegół pomieniony, wziął Mnich-Anonim z tradycyi, jaka wśród narodu przechowywała się w Polsce, znaną była w otoczeniu kronikarza, na dworach biskupich i książęcym. Słyszał ją tam Mnich-Anonim i zapisał. W dyskusyi wzięli udział p.p.: Kraushar, Al. Jabłonowski, Baranowski, Konopczyński i prelegent.

— Biblioteka Jagiellońska. Biblioteka Jagiellońska wykazuje w roku 1909 ruch znacznie zwiększony. Ożywienie tego ruchu postępuje z roku na rok w stosunku szybszym, niż wzrastanie środków do zaspokojenia jego wymagań. Dotacya w gotówce wynosi 20,000 koron, a chociaż taksy uniwersyteckie wzmogły ją o przeszło 14,000 koron, niedostateczność takiego dochodu odczuwa się na każdym kroku, zwłaszcza, gdy same czasopisma naukowe pochłaniają już połowę kwoty przeznaczonej na zakupno książek i gdy potrzeba też uzupełnić braki z dawniejszych lat. Przyrost zasobów wynosił w 1909 roku 6,747 tomów. Obecny stan Biblioteki wynosi 403,265 samych tylko druków, prócz inkunabułów (2,870), rękopisów i rycin. Darów otrzymała Biblioteka w ubiegłym roku nie wiele, lecz wśród nich znajdują się bardzo cenne w dziale rękopiśmiennym; między innemi „Zbiór aktów klasztoru miechowskiego od XIV do XVIII wieku."

Czytelnia publiczna okazała się już w zeszłym roku za szczupła. Liczba czytelników wynosiła 34,759 osób; średnio ruch dzienny wynosił 160 osób

i 559 tomów. Z wypożyczalni korzystało 1,167 osób, którym udzielono 13,555 tomów.

Potrzeba wydatnego poparcia tej narodowej instytucyi odczuwana jest już przez ogół. Dały temu wyraz w ubiegłym roku i młodzież na wiecu, i senat akademicki, i gmina Krakowa. Dzięki temu wezwało przeto ministeryum dyrekcyę Biblioteki do sformułowania żądań, co też uczyniono w czterech głównych punktach, streszczających co prawda żądania już kilkakrotnie przez zarząd Biblioteki powtarzane: powiększenie personelu, powiększenie dotacyi z 20 do 30 tysięcy koron, oddanie parteru w „Collegium Nowodworskiem“ dla rozszerzenia magazynu i urządzenia drugiej czytelni, wreszcie w starym gmachu odnowienie fasady, znajdującej się już w takim stanie, że może to sprowadzić następstwa przykre dla bezpieczeństwa budowli i życia ludzkiego.

Co do tego ostatniego punktu, to właśnie nadeszła wiadomość pomyślna, że ministeryum przeznaczyło 12,000 koron na podjęcie robót wstępnych, które się już za kilka tygodni rozpoczną.

— Towarzystwo historyczne we Lwowie. Na schyłku ćwierćwiekowej działalności stwierdza sprawozdanie za rok ubiegły, że Towarzystwo, które zawsze wiernie służyło nauce ojczystej, mimo wydatnej pracy i poświęcenia wielu jednostek, nigdy nie doznało ze strony społeczeństwa odpowiedniego poparcia; dość zaznaczyć, że tylko czas krótki, bo w latach 1894—96 liczba członków przekroczyła nieznacznie cyfrę 300, by zaraz w 1897 r. spaść do cyfry 280—a liczba prenumeratorów „Kwartalnika historycznego“ w latach tych nie mogła dojść do cyfry 100. Odtąd, od lat 13 liczba członków utrzymuje się wciąż w tej samej mniej więcej wysokości, a wzrasta tylko cyfra prenumeratorów, która doszedłszy w 1899 r. do cyfry 200, wynosi odtąd stale zaledwie 180—200. Tak więc za cały ten czas nie mogło Towarzystwo doliczyć się nawet 500 osób, któreby Towarzystwu użyczyły swego poparcia!

Nowy wydział wybrano w składzie następującym: Prezes: Tadeusz Wojciechowski. Zast. prezesa: Ludwik Kubala. Skarbnik: Wilhelm Rolny. Członkowie wydziału: E. Barwiński, W. Bruchnalski, A. Czołowski, B. Dembiński, X. J. Fijałek, L. Finkel, W. Łoziński, A. Winiarz. Do Komitetu redakcyjnego „Kwartalnika“ weszli: W. Abraham, S. Askenazy, J. Friedberg, B. Gubrynowicz, K. Hadaczek, A. Halban, B. Pawłowski. H. Sawczyński, W. Semkowicz, S. Zakrzewski. Naczelne kierownictwo powierzono nadal długoletniemu redaktorowi, d-rowi Aleksandrowi Semkowiczowi, którego przedewszystkiem staraniom i pracy „Kwartalnik“ winien wysoki poziom naukowy i powagę, zarówno wśród uczonych polskich, jak i cudzoziemców.

Tow. historyczne otrzymało z funduszu im. Jana Towarnickiego już parę rat z kwoty 7,000 koron, przeznaczonej na osobne wydawnictwo źródeł, odnoszących się do dziejów ziem ruskich, w szczególności zaś żywiołu polskiego w tych krajach. Spełniając wolę ofiarodawcy, postanowiono, jako pierwszy tom, wydać dzieło Bartosza Paprockiego p. t. „Panosza t. j. wysławienie panów i paniąt ziem ruskich i podolskich,“ treścią swą odpowiadające zupełnie

intencyi fundatora. Pierwszy ten z herbarzy Paprockiego, dotąd zupełnie prawie nieznany z powodu niezmiernej rzadkości (jedyne wydanie z r. 1575 dochowało się w trzech egzemplarzach) jest ważnem źródłem historycznem, heraldycznem i obyczajowem, a poza tem i wybitnym zabytkiem literackim, zasługuje więc ze wszech miar na wydanie. Opracowania podjął się sekretarz Towarzystwa, d-r Eugeniusz Barwiński, a druk wydawnictwa, opatrzonego przedmową, objaśnieniami i indeksem, już się rozpoczął i ukaże w połowie r. b.

Towarzystwo dla upamiętnienia rocznicy grunwaldzkiej postanowiło wydać specyalny zeszyt „Kwartalnika," który obejmie prace i materyały, odnoszące się do stosunków polsko-krzyżackich w XV wieku. Uchwalono również urządzić w roku przyszłym, jako w dwudziestopięciolecie Towarzystwa, czwarty zjazd historyczny, poświęcony przedewszystkiem rozpatrzeniu kwestyj, odnoszących się do historyi żywiołu polskiego na ziemiach ruskich — będzie to obrachunek, co dotąd na tem polu zrobiono i co jeszcze zdziałać należy. Prace przygotowawcze rozpoczną się niebawem.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— Ateneum Kapłańskie. Miesięcznik, wychodzący pod kierunkiem profesorów włocławskiego Seminaryum duchownego. Rok 2. Zeszyt I. Styczeń, 1910. Rozprawy: Ks. D-r Fr. Gabryel: Dogmatyzm w poznawaniu naszem;— Ks. J. Archułowski: „Bracia" Chrystusa Pana;—Ks. D-r J. Lasocki: W sprawie uposażenia duchowieństwa parafialnego w Królestwie Polskiem;—Ks. D-r J. Radziszewski: Prawo i liturgia; — Sprawy religijne; — Przegląd naukowy; — Ruch społeczny; — Z książek i z prasy; —Recenzye i krytyki; —Notatki bibliograficzne;—Przegląd czasopism;—Bibliografia w dodatku.

— Bulletin International de l'Académie des sciences de Cracovie. № 9. Novembre, 1909. A. Korn: O pewnych nierównościach, występujących w teoryi drgań sprężystych lub elektrycznych; — W. Sierpiński: Un théorème sur les nombres irrationels;—Maryan Smoluchowski: Doświadczenia nad fałdowaniem się sprężystych płyt pływających;—C. Zakrzewski: Sur les propriétés optiques des métaux;—K. Adwentowski: Über das Verhalten des Sickoxyds bei niederen Temperaturen; — S. Motylewski: Über Methoxyphenylkumarone; — S. Kreutz: Über Alstonit;—Z. Rozen: Die alten Laven im Gebiete von Krakau;— S. Krzemieniewski: Ein Beitrag zur Kenntnis der phototaktischen Bewegung;— J. Nowak: Gliederung der oberen Kreich in der Umgebung von Halica;— J. Talko-Hryncewicz: Notès anthropologiques sur les Tchouvaches du Volga;— L. Sawicki: Die Verteilung der Bevölkerung in den Westkarpaten im Allgemeinen.

— № 9. Decembre, 1909. L. Natanson: Przyczynek do teoryi dyspersyi w ciałach gazowych;—L. Natanson: O teoryi ekstynkcyi w ciałach gazowych;— W. Świętosławski: Thermochemische Untersuchungen organischer Verbindungen;—J. Nowak: Zur Kenntnis des Senons im Königreich Polen.

— Český Časopis Historický. Rocznik XVI. Zeszyt I. Styczeń, 1910. Praga. Clanky: Rezek Ant.: Praha a Čechy roku 1813;—Friedrich G.: Rekonstrukce dvou listův Innocence III; — Neubauer Alfons: Kněz Prokop Holý; — Krofta Kamil: Zápisky Viléma Slavoty o věcech moravských z l. 1610, 1608, 1613—1615; — Drobnější Clánky: Kollmann Hyn., K.: Ubytku obyvatelstva v královstvi Českem za války třicetileti;—Literatura;—Wyciągi z czasopism.

— Homiletyka. Miesięcznik. Rok XIII. Zeszyt I. Styczeń, 1910. Włocławek. Rozprawy. Zadanie szkoły i domu rodzicielskiego, aby zaszczepić w sercu młodzieży zamiłowanie miłosierdzia i społecznej działalności. Ks. M. N.; — Ks. Zygmunt Golian: Lekkomyślność ducha, szkic do konferencyj duchownych z niedrukowanych rękopisów zestawił ks. M. N.; — Zarys wymowy; — Kazania katechetyczne; — Kazania na niedziele;—Kazania uroczystości tajemnic P. Jezusa; — Kazania na uroczystości św. Pańskich; — Liturgika kościelna; —Mowy żałobne;—Bibliografia.

— Krytyka. Miesięcznik, poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Rocznik XII. Luty, 1910. Kraków. Część pierwsza. (f): Cywilizacya a kultura;—K. Stefański: Utopie ugodowe czterdziestolecia a polityka narodowa;—Konstanty Srokowski: Sprawiedliwość a prawo (rozważania nieprawnika);—D-r Rudolf Beres: Ze studyów nad uprzemysłowieniem Galicyi;—D-r Michał Sokolnicki: Porozbiorowe dzieje Polski w świetle nowych badań;—Junius Współcześni politycy polscy. XV. Witos;—Przegląd;—Sprawozdania;— Dodatek artystyczny.

— Część druga. St. Wyspiański: Poszedłem błądzić w nieznane mi światy. U stóp Wawelu. Znam mężów odważnych słów. Noty do „Bolesława Śmiałego“ (z teki pośmiertnej); — Tad. Dąbrowski: Przesilenie prometeizmu w romantyce polskiej; — Wincenty Brzozowski: Późną jesienią. Upiór. Lamentacya. Serce. Cyprysy. Poezye; — K. Błeszyński: Miłość bytu („Spinoza“); — M. C. Walewska: Hildebrand; — Włodz. Piński: Sztuka a tworzywo; — Stefania Tatarówna: Chwilą wieczorną; — W. T.: Najmłodsi w literaturze polskiej: Zofia Rygier-Nałkowska;— Kaz. Rychłowski: Z nowszej poezyi francuskiej (przekł.);—A. Brunnemann: List ze Szwecyi (Najwybitniejsi powieściopisarze szwedzcy); — Jul. Makarewicz: Jacek Malczewski (luźne uwagi);—Przegląd: Jan Kleczyński: Echa warszawskie;—L. Kowalski: Wystawy zbiorowe; — Widz: Teatr polski w Łodzi; — Teatr Krakowski;—Z prasy; — Sprawozdania;—Z estetyki i literatury.

— Muzeum. Czasopismo poświęcone sprawom wychowania i szkolnictwa, pod redakcyą d-ra Bolesława Mańkowskiego. Rocznik XXVI, tom I, zeszyt 1. Styczeń, 1910. Lwów. Artykuły i rozprawy: Uświęcone lenistwo; — Łopuszański T.: Ruchy reformatorskie na polu szkolnictwa średniego;—Danysz A.: Nieznany list Jana Amosa Komeńskiego; — Orsza H.: W sprawie dorobku wychowawczego: — Oceny i sprawozdania; — Książki dla młodzieży; — Z czasopism; — Rozporządzenia władz;—Wiadomości bieżące.

— Podręczna Encyklopedya Kościelna. Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich, opracowane pod kierunkiem ks. ks.: Stan. Galla, Jana Niedzielskiego, Henryka Przezdzieckiego, Czesł. Sokołowskiego, Ant. Szlagow-

skiego, Ant. Tauera i redaktora ks. Zygmunta Chełmickiego. Tom XIX—XX. Warszawa, 1910.

— Poradnik Językowy. Rocznik X. № 1. Styczeń, 1910. Kraków. R. Zawiliński: O polskości nazwiska Stwosza;—Zapytania i odpowiedzi (1—4);—Ks. J. Ch.: Pokłosie;—Ks. J. Ch. i A. Drogoszewski: Roztrząsania;—R. Z.: Nowe książki;—Od redakcyi.

— Prąd. Rok II. № 1. Warszawa, 1910. Bronisław Załuski: W obronie moralności. Pornografia i jej skutki;—Walery Gostomski: Rzym;—L. Chomski: O początku życia na ziemi;—Korespondencye: Z Poznania;—Sprawozdania i krytyki;—Książki nadesłane do redakcyi;—Przegląd czasopism;—Od administracyi;—Kronika;—Odpowiedzi redakcyi i administracyi;—Dział młodzieży: Od redakcyi;—Krewicz: Idziemy;—Idelfons Bobicz: Kształcenie woli;—Stanisław Kociemski: Za mojem oknem;—Alfons Dzięciołowski: Tułacz; W godzinę męki;—Stanisław Marek: Z cyklu „W bezsenne noce";—Rzeźbiarz: Nad modrym fiordem;—Bronisław Helion Rudziński: Kochać;—Rozpowszechniajmy „Poradnik językowy";—Sprawy młodzieży: Tow. Opieki Szkolnej w Myszkowie;—Konfiskata biblioteczki uczniowskiej w Łucku;—Nowy gmach gimnazyalny w Wilnie;—Ustawa p. n. „Szkoła średnia w Płocku."

— Przegląd Biblioteczny. Tom II, zeszyt 1—2. 1909, Warszawa. Sprawozdanie z czynności Tow. Biblioteki Publicznej w Warszawie i ogólne rachunkowe, lista członków;—Stanisław Michalski: Biblioteka Bodleyańska w Oxfordzie (3 widoki w tekście i dołączona podobizna Bodleya);—Karol Bodecki: Notatki bibliograficzne;—Ze sprawozdania instytutu międzynarodowego bibliograficznego (przekład);—Wacław Karczewski: Poddziały wspólne w układzie dziesiętnym;—***: Archiwum Filomatów;—Recenzye i sprawozdania;—Listy do redakcyi;—Zmarli;—Wiadomości bieżące.

— Rzeczpospolita. Dwutygodnik polityczny. 5 luty 1910 r. Lwów. Rozprawa budżetowa Sejmu;—Posterunek do odzyskania;—Mowa p. Namiestnika;—Kłopoty starego komendanta;—Wiadomości polityczne;—Bank parc. a „Czas";—Poseł Staruch;—Mowa kanclerza;—Kto winien?—Korespondencye „Czasu";—Książki, broszury, wydawnictwa;—Finlandya a Polska;—Bismarck i Kościół;—Przegląd prasy;—Kronika.

— Świat Słowiański. Miesięcznik. Rocznik VI. Tom I. Styczeń, 1910. Kraków. T. K.: Siła i słabość Austryi;—G. Smólski: Ludność pierwotna czterech krajów „czysto-niemieckich";—Franciszek Gawełko: Kalendarze dla Mazurów w latach 1835—1880;—Edmund Kołodziejczyk: Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce (lata 1866—67);—Łużycki przekład pieśni „Jeszcze Polska" z roku 1842;—Przegląd prasy słowiańskiej;—Recenzye i sprawozdania;—Kronika.

— Życie Robotnicze. Miesięcznik poświęcony rozważaniu spraw robotniczych. Rok IV. Styczeń, 1910. № 1. Warszawa. Od redakcyi;—Dział społeczno-ekonomiczny: Robotnicy a inteligencya;—Gustaw Simon: Polskie związki zawodowe 1906—1909;—Józef Długołęcki: Przeobrażenie się robotników łódzkich;—M. Krzesimowski: Kilka wskazówek w sprawie odszkodowania robotników;—Interpelacya i dyskusya o związkach zawodowych;—Uwagi;—Dział lite-

racki i naukowy: Bogdan Nawroczyński: Juliusz Słowacki;—Juliusz Słowacki: Testament mój: — Sewer: Matka, powieść z życia ludu; —Co i jak czytać?—Jakimi językami mówią ludzie; — Sprawy i walki zawodowe: Z polskich związków zawodowych; — Przemysł i przemysłowcy;—Przegląd spraw robotniczych w kraju;—Przegląd spraw robotniczych zagranicą.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Balicki Zygmunt: Zasady wychowania narodowego.

Baumfeld Andrzej: Polska myśl mesyaniczna. Warszawa 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

Bogacki Feliks: Zagadnienia etyki. Kraków, 1909. Składy główne: w Warszawie G. Centnerszwer i S-ka; we Lwowie H. Altenberg; w New-Yorku The Polish Book Importing Co.

Bornstein Benedykt: Zasadniczy problemat teoryi poznania Kanta. Wydanie z zapomóg Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i S-ki, oraz H. Altenberga we Lwowie.

Z. Brodzki: Chwile. Warszawa, 1910. E. Wende i S-ka.

Dienstl Maryan: O „potrzebie“ Panoramy Grünwaldzkiej. Warszawa, 1910. Odbitka „Nowej Gazety.“ Skład główny E. Wende i S-ka. Lwów, H. Altenberg.

Dubiecki Maryan: Z przeszłości. 1861 — 1862. Kijów, 1910. Nakład. księg. Leona Idzikowskiego.

Ernst Marcin: Budowa świata z 38 rycinami i 3 tablicami Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Finkelstein-Zięłowski Mieczysław: Pieśni słoneczne. I. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Gomulicki W.: Opowiadania o starej Warszawie. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

Gumplowicz Władysław, D-r: Dzieje założenia Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Spółka nakładowa „Książka,“ Kraków. Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka. Lwów, H. Altenberg. New-York, The Polisch Book Importing Co.

Jenike Ludwik: Ze wspomnień. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ 2 tomy. Warszawa, 1910 r.

Kosiakiewicz W.: Jej chłopcy. Powieść w 2-ch tomach. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

Kramsztyk Zygmunt: Bohaterowie „Pana Tadeusza.“ III. Goście soplicowscy i dobrzyńscy. Warszawa, 1909.

Kraushar Aleksander: Klub patryotyczny warszawski w czasach powstania listopadowego (1830—31). Lwów, 1909.

— Odgłosy powstania listopadowego w dziennikarstwie europejskiem z r. 1830. Warszawa, 1910.

Louis Paweł: Dzieje socyalizmu we Francyi do 1908 roku włącznie. Z upoważnienia autora przełożyła Marya Keller-Krauzowa. Spółka nakładowa „Książka,“ Kraków. Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka. Lwów, H. Altenberg. New-York, The polisch Book Importing Co.

Łubieński Maciej, Hr.: Złota nić, powieść. Warszawa, 1910. Jan Fiszer.

Markowska Marya: Melodye śmierci. Poezye. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Skład główny G. Centnerszwer i S-ka. Warszawa.

Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom XII. Kościół Katolicki a Katarzyna II 1772—1784, przez Macieja Loreta. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka.

Nietzsche Fryderyk: Wędrowiec i jego cień (Ludzkie, arcyludzkie, część druga). Przełożył Konrad Drzewiecki Nakładem Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1910.

Ochocki Duklan Jan: Pamiętniki. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

Orzeszkowa Eliza: Gloria Victis. Nowele z 1863 r. Oni. Oficer. Hekuba. Bóg wie kto. Wilno. Nakład W. Makowskiego. 1910.

Ostrowski Stanisław: Z gwiazdą mocarza. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Rakowiecki Tadeusz: Szkice krytyczne o twórczości Żeromskiego. Popioły. Walgierz Wdały. Dzieje grzechu. Nakład autora Warszawa, 1910.

Romanowski Mieczysław: Dziewczę z Sącza. Powieść poetycka, ze wstępem i objaśnieniami Henryka Gallego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1909.

Skiba Wołody (Władysław Sabowski): Nad Poziomy. Powieść z roku 1863. Dwa tomy. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Illustrowanego,“ 1910 r.

Strug Andrzej: W twardej służbie. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Warszawa, G. Centnerszwer

Szydelski Stefan, Ks. D-r: Konstanty Zieliński, arcybiskup lwowski. Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

Tetmajer-Przerwa Kazimierz: Zatracenie, powieść. „Bibl. Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

Tomaszewska-Malanowska Janina: Poezye. Z portretem autorki. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

Twardowski Kazimierz, Prof. D-r: O filozofii średniowiecznej wykładów sześć. Lwów. Nakład H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Weyssenhoff Józef: Unia—powieść litewska. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

W sprawie rocznika slawistycznego. Kraków, 1910. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zapolska Gabryela: Szaleństwo. Powieść. Pierwszy tysiąc. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka

Zimmern H.: Pierwotne dzieje świata w Biblii i w podaniach babilońskich. Stworzenie świata. Raj. Patryarchowie. Potop. Przekład z niemieckiego A. L. Brody, 1909. Nakładem księgarni Feliksa Westa.

Żuławski Jerzy: Bajka o człowieku szczęśliwym. Nowe opowiadania. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, 1910. E. Wende i Spółka.

POWIEŚCI. — POEZYA. — DRAMAT.

Bugiel Włodzimierz: Viola tricolor, powieść. Nakładem drukarni nakładowej Braci Winiewiczów w Poznaniu.

Goszczyński Seweryn: Zamek Kaniowski, powieść, ze wstępem i objaśnieniem G. Korbuta. Wybór pisarzów polskich dla domu i szkoły. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Jagniątkowski W.: Polak w Legii Cudzoziemskiej. 2 tomy. Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych.

Jerome J. L.: Tomcio i Sp. Przełożył z angielskiego M. G. Wydawnictwo Biblioteki Dzieł Wyborowych.

Lange A.: Epos, zbiór arcydzieł poezyi epickiej wszystkich czasów i narodów w streszczeniach i wyciągach, ułożył... Tom III. Brody, nakładem księgarni Feliksa Westa, 1909. Skład główny na Królestwo E. Wende i Spółka w Warszawie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

№ 1.
Rok 1910 (Styczeń).

PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Białoruś i Białorusini, przez Piotra Zubowicza.—Od redakcyi „Pracy."

Białoruś i Białorusini.

Białoruś w zaraniu dziejów historycznych utraciła samodzielność państwową i nigdy nie występowała na arenie politycznej, jako samodzielna jednostka, wiążąc zawsze swe losy z losami innych narodów, od których znajdowała się w zależności—to musiało wpłynąć na charakter rozwoju tego kraju, nie posiadającego własnej historyi i do ostatnich dni będącego objektem sporu rywalizujących wpływów obcych.

Już w XIII stuleciu Białoruś podlega zwierzchniczej władzy książąt litewskich. Wybujałość rozrostu państwowego osłabiła odporność Litwy na wpływy kulturalne, energia twórcza została wyczerpaną w ekspansyi państwowej i kultura białorusińska w dobie owej nie uległa litwinizacyi, lecz powoli zdobyła sobie prawo obywatelstwa na dworach książęcych, wielkich bojarów w miastach i miasteczkach państwa litewskiego. Pierwiastki słowiańskie zaczęły przenikać do kultury litewskiej i wkrótce przeważyły w niej, wywalczając sobie dominujące stanowisko. Język białoruski — raczej narzecze krywiczańskie, wkracza do aktów rządowych i staje się językiem państwowym.

Nietylko przed Unią z Polską, lecz nawet w parę wieków po Unii język białoruski był uważany w Wielkiem Księstwie Litewskiem za język urzędowy i wyłącznie używany w dokumen-

tach publicznych. Gdy król Zygmunt I polecił panom litewskim, aby pod przewodnictwem kanclerza Alberta Gasztołda zebrali dawne uchwały i stare prawa zwyczajowe w jeden statut, spisano go w języku białoruskim, a dopiero później przetłómaczono na łacinę i polski. W statucie owym, zwanym powszechnie „Litewskim," zawarowanem zostało, że sędziowie na Litwie i Białorusi muszą koniecznie znać język białoruski.

„A pisarz ziemski ma po Rusku literami y słowy Ruskiemi wszystkie listy, wypisy y pozwy pisać, a nie inszym językiem y słowy" (Polskie tłómaczenie statutu z litewskiego 1614 r. Rozdział IV, art. I, str. 91). Nie ulega wątpliwości, iż ogólne zatwierdzenie praw i przywilejów na Sejmie Lubelskim objęło i używanie języka białoruskiego jako urzędowego (Vol. Leg. tom II, str. 90,7), co stanowczo potwierdzają przywileje korporacyjne Wołynia i Kijowa, orzekające kwestyę języka urzędowego.

„To też za prośbą wszech Wołyńskiey Ziemie przyrzeczonych Stanow zostawniemy, iż we wszelakich sprawach ich Sądowych iako pozwy, wpisowanie do ksiąg, akta y wszelkie potrzeby ich, tak u Sądów naszych Grodzkich y Ziemskich, jako y z kancellaryi naszey Koronney, dekreta nasze y we wszystkich potrzebach naszych Królewskich y Ziemskich Koronnych, do nich listy, nie iakiem innym iedno Ruskiem pismem pisane y odprawowane być maią czasy wiecznemi" (Vol. Leg. t. II, str. 83, p. 8). Toż samo potwierdza przywilej: „Xięstwa Kijowskiego" (Vol. Leg. tom II, str. 86 p. 5), Konstytucya Sejmu Warszawskiego r. 1578 (Vol. Leg. t. II, str. 185 p. 26) i Sejmu „Koronacyi Królewskiej r. 1588" (Vol. Leg. t. II, str. 262 p. 46). Język białoruski oficyalnie zachował swe stanowisko dominujące aż do upadku Polski, niema bowiem w Voluminach Legum żadnej konstytucyi sejmowej, ustanawiającej język polski, jako język panujący, lub nawet równolegle obowiązujący w aktach urzędowych. Znanym jest tylko uniwersał Jana Kazimierza roku 1668, nakazujący w stosunkach z mocarstwem Moskiewskiem używać języka polskiego zamiast białoruskiego. Fakt ten niezmiernie charakterystyczny wskazuje, że nawet w stosunkach międzypaństwowych z Rosyą do tego czasu posługiwano się językiem białoruskim.

Z biegiem czasu wpływ kultury białoruskiej w Wielkiem Księstwie Litewskiem słabnie. Naturalną ewolucyą proces polonizacyjny robił postępy bardzo wyraźne i spychał język białoruski z uprzywilejowanego stanowiska. Polszczenie się Litwy i Białorusi, stapianie się szlachty w jednolity naród, nie zaś przymusowa polonizacya—sprowadziły stopniowo zmianę języka w magi-

straturze. Pierwsze przejawy tej asymilacyi spotykamy w początkach wieku XVI. Zygmunt I w r. 1516 w Wilnie podpisuje przywilej, dozwalający Ziemi Drohiczyńskiej rządzić się statutami koronnemi, a nakazujący w sądownictwie używać języka łacińskiego. Ziemia Bielska została w r. 1547 zrównana, co do praw, z Drohiczyńską. W r. 1544 szlachta litewska, zgromadzona na sejm w Brześciu, wystosowała podanie do tronu po polsku („Zbiór praw litewskich“ Działyńskiego 444). Było to wynikiem stopniowej asymilacyi klasy rządzącej. Pierwsza skarga do sądu w języku polskim zaniesiona była podobno w roku 1552 przez proboszcza Słuckiego. Z biegiem czasu podania w języku polskim mnożą się, wypierając stopniowo język białoruski z magistratury i sądów. Był to jednak proces bezwiedny—i niema najmniejszych śladów, aby sfery rządzące kiedykolwiek dążyły do świadomej polonizacyi krajów, przynależnych do Rzeczypospolitej. Wspólne interesa, braterstwo na polu walki i w radzie, wspólne dążenia, wspólne klęski i zwycięstwa musiały wytwarzać wspólną psychikę — i przyśpieszyć ewolucyę dziejową. Idee reformatorskie wieku XVIII, doba przyśpieszonej gorączkowej po wiekowym zastoju pracy, Sejm czteroletni, konstytucya 3 maja, ów testament konającej Rzeczypospolitej, rozbiór Polski na tle krwawych wypadków, niedola późniejsza — zacieśniły węzły, zawarte poprzednio, i stopiły szlachtę w jednolity naród. Nastąpiło zupełne nietylko polityczne lecz i kulturalne zlanie się szlachty litewskiej i ruskiej ze szlachtą polską. Asymilacya ta jednak nie sięgnęła głęboko, polonizowały się oprócz dworów i dworków jedynie miasta i miasteczka, skąd kultura polska promieniowała wewnątrz kraju, tworząc wyspy i wysepki polskie na jednolitem morzu ludowem litewskiem lub ruskiem.

Lud przechował szczupłe i ubogie pierwiastki rodzimej kultury i pozostał na straży rodzimych tradycyj. Wpływy z góry lokalizowały się i zbyt powierzchownie osłabiły podłoże potencyalnej siły mas, które odsunięte od życia publicznego spały nie wyczuwając w sobie sił żywotnych. Umysłów ich nie przeorała jeszcze żadna głębsza idea i masy te były tabula rasa na której nowe idee miały wyżłobić zasadnicze zmiany.

W drugiej połowie wieku XIX ustrój społeczny uległ radykalnym zmianom. Jesteśmy świadkami stałej demokratyzacyi — masy ocknęły się ze snu i, odrzucając opiekę warstw wyższych, usiłują wejść na drogę samodzielnego bytu i rozwoju. Organizacye stanowe zbankrutowały zupełnie, stany się pomieszały i na szańce życia zaczęli się wciskać nowi ludzie bez herbów i trady-

cyi, ufni w swe siły, odporni w swem zespoleniu z szerokiemi masami. Rozległy się hasła pracy u podstaw. Demokratyzacya ogólna, to zjawisko powszechne—słabem echem odbiło się o Białoruś. Nowe idee zostały zmrożone reakcyą, panującą wówczas na dawnych ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wyjęte z pod prawa polskie społeczeństwo po klęskach ostatnich przeżywało głęboki upadek ducha. Kultura polska, wepchnięta biegiem wypadków w ciasne łożysko, kamienieje, myśl społeczna, bijąca tak niedawno szerokim zdrojem, karłowacieje w zaciszu domowem i w szarzyźnie dnia powszedniego zatraca szersze dążenia i ideały. Pogrążona w świetlnych obrazach przeszłości, pochłonięta całkowicie ideą obrony placówek szlachta, owa jedyna świadoma strażniczka polskości na Białorusi, nie szła z życiem naprzód, nie trzymała pulsu społecznego, nie odczuła, że tworzy się za nią nowe życie, nowe cele, nowe dążenia. Nie jej to jednak wina. Celem ówczesnej polityki państwowej było tłumienie kulturalnego promieniowania Polski na dawnych jej kresach i zaszczepienie tam kultury rosyjskiej. Białoruś pozbawiona wydatnej indywidualności etnograficznej była właśnie tym punktem, gdzie się zbiegały i krzyżowały wpływy polskie i rosyjskie — tu więc zastosowano tłumienie wszystkiego, co było wyrazem wpływów polskich w stopniu spotęgowanym. Polityka rządowa pragnęła zacieśnić granice polskich wpływów kulturalnych. I gdy zrobimy rachunek publiczny, musimy z boleścią stwierdzić, że od lat kilkudziesięciu widzimy stałe cofanie się kultury polskiej, że życie dziś płynie wązkim strumykiem tam gdzie biło zdrojem wartkim.

Nasadzenie zewnętrznych bezpośrednich wpływów rosyjskich ujawniło się w systemie szkolnictwa, w szumnem faworyzowaniu prawosławia, w przymusowem nawracaniu unitów i katolików, w popieraniu wielkiej własności rosyjskiej. Dla zatamowania wpływów polskich kazano osobom, skompromitowanym podczas powstania, wyprzedać swe dobra w przeciągu dwuch lat i wynieść się zupełnie z kraju. Nabywcami mogli być tylko Rosyanie. Dla ściągnięcia na Białoruś i Litwę nabywców rosyjskich rozsyłano gubernatorom wykazy i spisy przymusowo sprzedawanych majątków. Ażeby udostępnić nabywanie, rząd dawał pożyczkę do wysokości połowy szacunku, spłacaną w ciągu 37 lat. Utworzyło się specyalne „Towarzystwo nabywców dóbr w guberniach Zachodnich,“ które w ciągu jednego roku pochłonęło 1½ miliona rubli pieniędzy rządowych. Towarzystwu wzajemnego kredytu, mającemu ułatwić skupowanie ziemi przez Rosyan wypłacono 5 milionów rubli. Skompromitowanych było 588 właści-

cieli, około 800 posiadłości w ten sposób przeszło w ręce rosyjskie (w gub. Wileńskiej 113, Mińskiej 53).

Niedostateczność samego tylko nasadzenia zewnętrznych wpływów rosyjskich, pozbawionych wszelkich punktów oparcia w stosunkach krajowych, była oceniona przez sfery decydujące i dlatego postanowiono tłumić jednocześnie wszelkie objawy separatyzmu białoruskiego. W interesie państwa bynajmniej nie leżało wypiastowanie nowych narodów, poczuwających się do odrębności kulturalnej, gdyż z góry wiedziano, że te nie zadowolnią się ciasnemi ramkami odrodzenia kulturalnego, lecz dążyć będą do pewnej samodzielności politycznej i ekonomicznej i staną się przez to czynnikiem rozkładowym dla dotychczasowego ustosunkowania się sił państwowych.

Suma nieprzychylnych warunków powstrzymała proces demokratyzacyi społecznej i ekonomicznej oraz uobywatelnienie chłopa białoruskiego. Oddziaływanie pierwiastków napływowych nie zabiło jednak odrębnej psychiki ludowej, która czekała i czeka, by w odpowiedniej chwili nieświadomie ujawnić to, co stanowi potencyalną siłę duszy chłopskiej, by upomnieć się o prawa do samodzielnego rozwoju i życia. I w ostatnich latach jesteśmy świadkami budzenia się samowiedzy narodowej. Dziś ten ruch znajduje się jeszcze w stanie zalążkowym i trudno przewidzieć, jakie on wytknie drogi rozwoju. Zależy to od wielu i wielu okoliczności, od warunków, których nawet na blizką metę przewidzieć trudno.

Poznanie obecnego układu sił społecznych na Białorusi przedstawia dla nas żywotny interes, gdyż pozwoli nam się oryentować w sytuacyi politycznej i wykaże nam, jakie powinniśmy zająć stanowisko wobec postulatów budzących się narodowości.

Białorusinów oblicza prof. Karskij na 8 milionów. Według spisu jednodniowego r. 1897 do narodowości białoruskiej przyznało się 5,885,636 ludzi (mężczyzn 2,922,947, kobiet 2,962,689), co stanowi dla Cesarstwa (bez Syberyi, Kaukazu i Azyi Środkowej) 7.79% ogółu ludności. Jeżeli zestawimy stopień liczebny oddzielnych szczepów Słowian wschodnich, to Rosyan w Państwie Rosyjskiem jest 66.33% (w miastach 86.08%), Rusinów 26.66% (w miastach 12.25%), Białorusinów 7.01% (w miastach 1.67%).

Białorusini mieszkają zwartą masą w gub. Mohilewskiej, Mińskiej, częściowo w gub. Grodzieńskiej, Witebskiej, Wileńskiej, w mniejszej mierze w gub. Smoleńskiej, Kowieńskiej, Kurlandyi, Liflandyi i gub. Suwalskiej.

Nakreślić linię demarkacyjną siedzib białoruskich obecnie jeszcze nie jest możliwem ze względu na nizki stopień uświadomienia narodowego wśród szerokich mas ludu i stopniowego wynaradawiania się na kresach etnograficznej ludności białoruskiej. Dotąd bowiem odbywa się jeszcze proces zacieśniania się granic Białorusi: ciągłe sąsiedzkie stosunki w ciągu wieków zacierały coraz bardziej plemienne i językowe różnice, a wpływy kulturalne religijne wniosły do ogólnego tła ludu różnice lokalne tak, że obecna Białoruś rozpada się na kilka dzielnic, mających znaczne różnice pod względem wyznaniowym, obyczajowym, a w znacznej mierze i językowym. Narzecze białoruskie rozpada się na gwary, z których jedne są podobniejsze do języka rosyjskiego—na wschodnich i północnych kresach Białorusi; drugie, do rusińskiego—na południu gub. Mińskiej i Grodzieńskiej; trzecie wreszcie, do polskiego—na zachodzie. Ponieważ po białorusku mówi przeważnie tylko brać siermiężna, przeto Białorusini, stykając się z ludnością miejską i inteligencyą, zapożyczają od niej wyrazy pojęć nieznanych w zwykłem życiu wioskowem. Tam, gdzie po miastach i wśród inteligencyi przeważa język rosyjski, Białorusini przejmują do swej mowy dużo rusycyzmów. Tam zaś, gdzie się częściej stykają z Polakami, mowa ich ulega znacznemu wpływowi języka polskiego.

Wpływ rosyjski silniejszym jest wśród Białorusinów, wyznawców prawosławia, polski u wyznawców katolicyzmu, którzy modlą się, słuchają kazań i śpiewają w kościołach po polsku. Nie jest to jednak wyrazem agresywnej polityki kleru, gdyż ściślejsze zespolenie katolicyzmu z polskością zostało narzucone... przez rząd rosyjski.

W r. 1839 na Białej Rusi była skasowana Unia. Żeby zabezpieczyć nowonawróconych od wpływów księży katolickich, cesarz Mikołaj zabronił ostatecznie używać w kościele katolickim w nauczaniu i dodatkowem nabożeństwie tak gwary ludowej (lingua reinacula), jak i języka państwowego. A więc ukazem cesarskim język polski został wprowadzony do parafij białoruskich. Lud białoruski chętnie się z tem rozporządzeniem pogodził, zżył i dziś, o ile znam ogólny nastrój tamecznego ludu, wszelkie inowacye w tym względzie spotkałyby się z fanatycznym oporem ludności, którąby widziała we wszelkiej reformie jakąś myśl ukrytą—dążenie do narzucenia prawosławia.

Tak dziwnie układały się stosunki ogólnej polityki państwowej, że zarządzenia, mające na celu stłumienie wpływów polskich,

wzmacniały je, nadając katolicyzmowi na Białej Rusi zabarwienie polskie.

Przejdźmy obecnie do poszczególnych gubernij, zamieszkanych w większej lub mniejszej liczbie przez Białorusinów. W gub. Smoleńskiej w r. 1897 Białorusini stanowili 6,7% ogółu ludności, zamieszkują oni zachodnie powiaty i zlewają się z Rosyanami. Lud uległ tu w znacznym stopniu zrusyfikowaniu pod wpływem prawosławia, służby wojskowej, licznego wychodźtwa na roboty do fabryk moskiewskich i wpływów większej własności, pozostającej wyłącznie w ręku Rosyan. Proces ulegania kulturalnym wpływom rosyjskim dokonywa się tu organicznie bez przejawów odporności ze strony Białorusinów. Obszar ten nazawsze jest straconym dla Białej Rusi i niema najmniejszych danych, by na tych utraconych placówkach udało się obudzić samowiedzę narodową. Zleją się te wysychające strumyki w panrosyjskim morzu.

To samo, choć w mniejszej mierze, dałoby się powiedzieć o wschodnich powiatach gub. Mohylewskiej. I tu fala rosyjska coraz bardziej zalewa ziemie białoruskie i tu proces asymilacyjny poczynił znaczne postępy, zapuszczając głęboko korzenie. Ludność nie odczuwa swej odrębności od szczepu nad nią panującego i z roku na rok przejmuje się goręcej ideami centralistycznemi. Wpływy polskie są tu bardzo nieznaczne, żywioł polski jest nader rozproszonym i stanowi 1,04 ogólnej ludności. Cyfra ta jest bezwątpienia zbyt mała, jeżeli uwzględnimy, że w gub. Mohylewskiej prawie wszyscy katolicy są narodowości polskiej i stanowią 2,98% ogólnej ludności.

Polacy, jak widzimy, znajdują się w zaniku. Jest to wpływ polityki murawiewowskiej. Następca Murawiewa Niemiec, generał-gubernator Kaufman, wypracował projekt prawa, na mocy którego Polacy, obywatele ziemscy gubernii Mohylewskiej i Witebskiej, mieli być przymusowo wywłaszczeni z ziemi. Projekt ten nie otrzymał sankcyi, a wzamian tego udało mu się uzyskać zakaz kupowania przez Polaków i „osoby polskiego pochodzenia“ ziemi poza obrębem miast. Zakaz ten jest znanym pod nazwą Ukazu 10 decembra (1865 r.). Zakaz ten częściowo został uchylonym podczas dni wolnościowych. I dziś wolno jest kupić Polakowi ziemię, lecz tylko od Polaka.

Nawarstwienia polskie w gub. Mohylewskiej są bardzo nierównomierne i dlatego przytoczę dane, odnoszące się do poszczególnych powiatów:

Powiaty:	Odsetek ludności polskiej	Odsetek wyznawców katolicyzmu
Sienicki	2.4	5.7
Orszański . . .	1.8	5.3
Mohylewski. . .	1.5	5.2
Rohaczewski . .	1.1	3.5
Homelski. . . .	1	1.4
Mścisławski. . .	0.9	1.3
Bychowski . . .	0.5	1.6
Czauski	0.4	2.8
Czeryszowski . .	0.4	1.1
Horecki	0.3	3
Klimowicki . . .	0.2	0.4

Jak widzimy, w powiatach zachodnich ludność polska jest reprezentowana silniej, niż we wschodnich, graniczących z gubernią Smoleńską i Czernihowską. Mohylew w r. 1906 na 51,959 mieszkańców liczył 3,305 katolików. Chcąc dać pojęcie o stanie posiadania Polaków w gub. Mohylewskiej, należy zaznaczyć, że z całej wiejskiej własności ziemskiej w gub. Mohylewskiej w ręku Polaków jest 31%. Jeżeli jednak znaczenie żywiołu polskiego w tejże gubernii jest stosunkowo większe (wybory do Rady Państwa), należy przypisać to sile kulturalnej i rozdrobnieniu majątków ziemskich, pozostających w rękach Polaków. Latifundya są przeważnie w ręku Rosyan. Tak np. znaczną część tu leżącego na samem południu powiatu Homelskiego zajmują dobra Paszkiewiczów—potomków b. namiestnika Królestwa Polskiego. Ludność katolicka posiada 24 kościoły parafialne, 8 kościołów filialnych. Najwięcej kościołów jest w powiecie Orszańskim (5 parafialnych 2 filialne); w Mohylewie 3 (2 parafialne 1 fil.). Z miast powiatowych nie posiadają kościołów katolickich: Hory-Horki, Czausy, Klimowice.

W Komitecie gubernialnym do spraw gospodarki ziemskiej na ogólną liczbę 44 radnych—Polaków jest 19. Na 11 prezydentów miast—5 Polaków.

Najlepiej trzymają się Polacy na roli w powiatach Siennieńskim i Orszańskim. W powiecie Horeckim posiadłość ziemska jest przeważnie w posiadaniu włościan i skarbu. W powiecie Czausowskim, zwłaszcza dokoła Rośny i Radomla, jest dużo zaścianków szlacheckich. Drobna szlachta — bądź wyznania katolickiego, bądź nawet prawosławnego, jako żywioł niezmiernie konserwatywny, najodporniej zachowuje się wobec wciąż

wzmagającej się fali rusyfikacyjnej. Zamiłowanie do tradycyi i przywiązywanie wielkiej wagi do zasady kastowości czyni szlachtę najmniej podatną do ulegania procesowi stopniowego wynaradawiania się. Szlachta zaściankowa w gub. Mohylewskiej tworzy dość zwarte i zamknięte w sobie kolonie, które zdołały utrzymać swój byt i charakter, nie stapiając się ze środowiskiem. Ulegając przez katolicyzm i dawne tradycye oddziaływaniu kultury polskiej, przesiąkły one jednocześnie jej obyczajowością i wierzeniami i przedstawiają element największej ciągłości kulturalnej, w którym przeszłość znajduje swój najlepszy wyraz. Kolonie drobno-szlacheckie stanowią dziś we wschodniej Białorusi twierdzę właściwości etnograficznych i równoważnik wpływów rosyjskich, które są tam niezmiernie wybujałe.

Gub. Mohylewska jest wybitnie białoruską, bo Białorusini stanowią w niej 82.61% ogółu ludności.

Stosownie do liczby ludności białoruskiej powiaty tak po sobie następują: Czerykowski (89.9%), Czauski (89.6%), Bychowski (88.6%), Rohaczewski (87%), Sienneński (85.6%), Horecki (85.4%), Klimowicki (83.1%), Mścisławski (81.5%), Orszański (80%), Homelski (74.6%), Mohylewski (70%).

Widzimy, że Białorusini stanowią przeważającą większość we wszystkich powiatach gub. Mohylewskiej i jeżelibyśmy wykluczyli ludność miejską, wśród której przeważają Żydzi (52.5%) i Rosyanie, to procent ludności białoruskiej wzrośnie znacznie. Białorusini w gub. Mohylewskiej wyznają prawosławie. Mohylewszczyzna z pokolenia w pokolenie coraz bardziej ulega rusyfikacyi. Język tameczny z dziesięciolecia w dziesięciolecie coraz więcej chłonie w siebie rusycyzmów nietylko w pojedyńczych wyrazach, ale w całej swej budowie i właściwościach. Sąsiedztwo i połączenie komunikacyjne z centralną Rosyą i z moskiewskim okręgiem przemysłowym ułatwia wychodźtwo zarobkowe w tym kierunku, co też w dużej mierze daje się spostrzegać w powiatach Sienneńskim, Orszańskim, Mohylewskim, Klimowickim i Mścisławskim. Chłop mohylewski, garnąc się w zakresie zarobkowym do Rosyi, powracając stamtąd, wnosi do kraju czynnik rusyfikacyi. Niemałą też rolę w tej mierze odgrywa powszechna powinność wojskowa. Natomiast brak jest dotychczas czynników przeciwdziałających temu procesowi. Dotychczas tu nie powstał żaden żywszy odruch, świadczący o budzeniu się tu samowiedzy odrębności wśród ludu białoruskiego.

Jako większe skupienia innych narodowości spotykamy: Rosyan-staroobrzędowców w powiecie Homelskim w okolicach Wietki

nad Dnieprem. Są to potomkowie emigrantów, którzy wskutek ucisku religijnego w Rosyi schronili się do Rzeczypospolitej. Starowiercy stanowią 6.5% ogółu ludności powiatu Homelskiego.

Dla wiadomości czytelników dodamy nawiasowo, że powiat Homelski różni się pod względem etnograficznym od pozostałych powiatów gub. mohylewskiej. Język białoruski posiada znaczną przymieszkę wyrazów ukraińskich, ludność tubylcza pod względem obyczajowym również ma dużo cech wspólnych z sąsiednimi Rusinami.

Starowiercy mieszkają jeszcze w powiecie Sienneńskim i Rohaczewskim. W pierwszym z wyżej wspomnianych powiatów jest ich 2.9%, w drugim 0.8%.

W powiecie Klimowickim spotykamy włościan Rosyan prawosławnych. Wskutek tego odsetek Rosyan w tym powiecie wzrasta w porównaniu z innemi powiatami gub. Mohylewskiej i stanowi 5.3. Jest to prawdopodobnie wynik zwykłego wychodźctwa — zwłaszcza, jeżeli uprzytomnimy sobie, że powiat Klimowiecki graniczy z gub. Smoleńską.

Żydzi mieszkają przeważnie po miastach i miasteczkach. W miastach, jak już wyżej zaznaczyliśmy, stanowią oni 52.5% miejskiej ludności—w stosunku zaś do ogółu ludności odsetek ich wynosi 12.09.

Najbardziej zżydziałemi powiatami są: Mohylewski (22.1%), Mścisławski (16.2%), Homelski (14.4%), Horecki (13.2%) i Orszański (12.2%). W powiecie Klimowickim jest ich 10.8. W pozostałych powiatach ludność żydowska nie przekracza 10%. A mianowicie wynosi: w pow. Rohaczewskim 2.7%, Bychowskim 9.1%, Czerykowskim 8.6%, Czauskim 8.4% i Sienneńskim 7.8%.

Znaczniejsze odsetki Żydów w pierwszych 5 powiatach łatwo wytłómaczyć jeżeli zwrócimy uwagę, że Mohylew, Szkłów (pow. Mohylewski), Orsza, Homel, Hory-Horki są centrami życia handlowego w gubernii. Wskazać przyczynę większego skupienia Żydów w powiecie Mścisławskim nie jestem w stanie, gdyż sam osobiście nigdy do tego powiatu nie dotarłem. Może to należy tłómaczyć tem, że powiaty Mścisławski, Klimowicki są powiatami najbardziej wysuniętymi na wschód w „strefie osiedlenia,“ poza którą Żydom nie wolno przemieszkiwać.

Że Żydzi głównie skupiają się w miastach i miasteczkach— to jest wynik „przepisów tymczasowych z dnia 3 maja 1882 r.,“ na mocy których Żydom wzbroniono mieszkać poza granicami miast i miasteczek, a także kupować i dzierżawić nieruchomości.

Ograniczenia i nierównomierności w rozsiedleniu Żydów wpływają na ujemny stan ekonomiczny Żydów. Przeludnienie wywołuje emigracyę. Emigracya jest znacznie większa, niż naturalny przyrost ludności żydowskiej, tak że wskutek tego stosunek Żydów zmienił się w gub. Mohylewskiej na ich niekorzyść. Gdy w roku 1884 stanowili oni 18.1%—w r. 1897 tylko 11.92, t. j. zmniejszyła się ich liczba o 6.18%.

W r. 1908 odsetek ten nieco wzrósł, bo wynosi 12.09. Należy to tłómaczyć kryzysem ekonomicznym, jaki w ostatnich latach przeżywały Stany Zjednoczone.

Przyrost naturalny u Żydów jest większym, niż u Białorusinów. Emancypacya żydowska przypadła na czasy popowstaniowe, gdy kultura państwowa wyparła kulturę polską. Jednolita masa żydowska pod wpływem idej emancypacyjnych zaczyna się rozpadać i z ogólnego tła narodu żydowskiego wysuwa się na czoło inteligencya żydowska. Pod wpływem szkoły uległa ona wpływowi kultury rosyjskiej, przyswajając sobie język i obyczaje narodowości panującej. Nie można tego kłaść na karb oportunizmu, lecz układu sił społecznych i dominującego wpływu kultury rosyjskiej, wśród której musiały te jednostki szukać zaspokojenia swych potrzeb duchowych i zastosowania dla swych uzdolnień. Inteligencya żydowska wskutek swego zrusyfikowania się stała się zespół z urzędnikami poważną podporą rosyjskości na Białejrusi i Litwie. Zrusyfikowanie się inteligencyi i wogóle kół zamożniejszych z pośród Żydów (Litwaków) wyodrębniło ich najzupełniej od ludności miejscowej litewskiej, polskiej i białoruskiej. Żyjąc życiem rosyjskiem, inteligencya żydowska przejmowała się wszystkiem tem, co wstrząsało społeczeństwo rosyjskie, pozostając nieczułą na miejscowe bóle i interesy żywotne kraju, w którym mieszkała.

Pomimo zewnętrznego zrusyfikowania proces asymilacyjny nie ogarnął szerokich mas ludowych żydowskich; ograniczenia zaś i zakazy budziły i w wyższych warstwach społeczeństwa żydowskiego różne prądy separatyzmu, oparte na nowych hasłach (Syonizm). Pogardzeni, odepchnięci inteligenci żydowscy zaczęli szukać nowych dróg. W ich duszach zrodził się bunt przeciw uciskowi, w jakim pozostaje ich naród. Poczucie godności osobistej skierowało owych pionierów nowego ruchu ku podjęciu pracy nad podniesieniem świadomości wśród ciemnych i przygnębionych warstw ludu żydowskiego i wyodrębnieniem Żydów z ogółu ludności miejscowej.

Z drugiej strony inne jednostki zostały pochłonięte przez socyalizm, głoszący wyzwolenie całej ludności, a tem samem zniesienie wszelkich wyjątkowych praw przeciw Żydom. Socyaliści żydowscy założyli własną partyę „Bund," wysuwając żądanie samorządu kulturalnego Żydów w Państwie Rosyjskiem.

Przechodzimy teraz do gub. Witebskiej. Ludność jej, według ostatnich obliczeń, wynosi 1,740,700 głów i podług wyznań dzieli się na katolików 23,99%, prawosławnych 61.01%, Żydów 11.8%, protestantów 3.14% i mahometanów 0.14%. Gubernia Witebska dzieli się etnograficznie i historycznie na dwie nierówne części: właściwą Białoruś: powiaty Witebski, Wieliski, Horodecki, Lepelski, Połocki, Newelski, Siebieski i Inflanty: powiaty Dźwiński, Drysieński, Rzeczycki i Lucyński. Białorusini zamieszkują właściwą Białoruś i większą część powiatu Drysieńskiego, Latgoli,—Szczep łotewski,—zajmują powiaty: Dźwiński, Rzeczycki i Lucyński. Wobec zakresu tej pracy zajmę się tylko szczegółowo słowiańską częścią gub. Witebskiej. Inflanty zaś uwzględnię, mówiąc o powiecie Iłłuksztеńskim w Kurlandyi i Jeziorowskim w gub. Kowieńskiej.

Polacy w białoruskiej części gub. Witebskiej znajdują się w zaniku. Odsetek ich dla gubernii Witebskiej wynosi 3.38, jest to wynikiem jednak tego, że w powiatach leżących na Inflantach odsetek Polaków jest znacznie wyższym. Czy cyfra Polaków jest prawdziwą i czy nie należałoby jej podnieść nie da się sprawdzić gdyż w gub. Witebskiej spotykamy wyznawców katolicyzmu wśród Łotyszów i części Białorusinów (w pow. Drysieńskim). Katolicyzm więc tu niema wyłącznie charakteru polskiego. W poszczególnych powiatach białoruskich Polacy i katolicy stanowią następujący odsetek:

Powiaty:	Odsetek ludności polskiej	Odsetek wyznawców katolicyzmu
Lepelski	4	8.7
Witebski	3.2	5.6
Drysieński . . .	2.3	27.5
Połocki	2	10.5
Siebieski	1.5	3.1
Horodecki . . .	0.4	0.6
Wielizki	0.3	1.6
Newelski	0.3	0.8

W powiatach południowych ludność polska jest silniej reprezentowana, niż w powiatach wysuniętych na północ, graniczących

z gub. Pskowską i Smoleńską. Jeżeli porównamy odsetek ludności polskiej z odsetkiem wyznawców katolicyzmu, uderza nas duża dysproporcya. Łotysze, zamieszkujący w gub. Witebskiej, są przeważnie katolicy. Spotykamy jednak wśród nich wyznawców protestantyzmu i prawosławia.

W poszczególnych powiatach odsetek ludności łotewskiej wynosi:

w powiecie	Wielizkim	2.5
„	Witebskim	2.2
„	Połockim	1.2
„	Lepelskim.	0.5
„	Horodeckim	0.5
„	Drysieńskim. . . .	0.4
„	Siebieskim	0.2
„	Newelskim	0.1

Jeżeli nawet przypuścimy, że cała ludność łotewska w powiatach Drysieńskim, Połockim, Lepelskim, Siebieskim i Newelskim jest wyznania katolickiego, to i tak uderza nas duża nadwyżka wyznawców katolicyzmu.

Część Białorusinów w powiatach Drysieńskim i Połockim wyznaje katolicyzm. Jednak przypuszczam, że dla tych dwuch powiatów odsetek Polaków powinien być podniesionym jeżeli zważymy zwłaszcza, że powiat Drysieński przylega do powiatu Dźwińskiego, gdzie Polacy stanowią nawet podług spisu z r. 1897 — 9.1%. Miasto zaś Połock za czasów Polskich było nader ważnym ośrodkiem kultury polskiej i katolicyzmu, skąd promieniowała kultura polska w głąb kraju. Za czasów Aleksandra I istniejące tu kolegium jezuickie zostało podniesione na stopień akademii z nadaniem przywilejów uniwersyteckich.

Stan posiadania Polaków przedstawia się jak następuje:

Wielka własność ziemska obejmuje 2,134,517 dziesięcin, w tem w rękach Polaków 37%.

W komitecie gubernialnym do spraw gospodarki ziemskiej—radnych z części białoruskiej gub. Witebskiej jest 41, w tem Polaków 17.

Na 8 prezydentów miast powiatowych Białorusi Witebskiej — 2 jest Polaków. Do pierwszej Dumy żywioł polski przeprowadził 1 posła. Do Rady Państwa obydwa razy został wysłany Polak.

Na 12 adwokatów przysięgłych w Witebsku—8 jest Polaków.

W stowarzyszeniach i instytucyach zawodowych, społecznych i kulturalnych żywioł polski jest silnie reprezentowany.

Ludność katolicka na Białorusi Witebskiej posiada 25 kościołów parafialnych. Z miast powiatowych nie posiada kościoła katolickiego Horodok.

Białoruś Witebska ma znaczniejsze nawarstwienia obcych żywiołów, niż gub. Mohylewska—i tylko w północnych powiatach ludność białoruska dosięga tegoż stosunku do innych narodów ją zamieszkujących, jak to wykazaliśmy dla gub. Mohylewskiej.

Białorusini stanowią 52.95% ogółu ludności gub. Witebskiej. Jeżeli odtrącimy Inflanty, to dla pozostałej części gubernii odsetek ludności białoruskiej wzrośnie.

Ludność białoruska jest rozmieszczoną nierównomiernie w poszczególnych powiatach, a mianowicie:

w powiecie	Drysieńskim	86.2%
„	Wielickim	85.7 „
„	Newelskim.	84 „
„	Horodeckim	83.6 „
„	Lepelskim	82 „
„	Połockim	73.1 „
„	Witebskim.	51.1 „
„	Siebieskim.	47.1 „

Powiat Siebieski stanowi granicę etnograficzną białorusko-rosyjską. W powiecie tym Białorusini nie stanowią nawet absolutnej większości, gdyż obok Białorusinów mamy tu Rosyan — w tym samym stosunku (47.1%). Rosyanie wyznają religię prawosławną; odsetek staroobrzędowców jest bardzo nieznaczny (2.5%), nie są to więc emigranci z czasów Polskich. O emigracyi majowej w ostatnich dziesiątkach lat nic nie słyszeliśmy, jak więc wytłómaczyć ową ekspansyę rosyjską na terytoryum białoruskiem. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że powiat Siebieski jest wysuniętym daleko na północ, graniczy z rdzennie rosyjskim powiatem Wielkołuckim gub. Pskowskiej, to należy skonstatować, że na przestrzeni owego powiatu wpływy rosyjskie są tak silne, że ludność białoruska zanika, asymilując się zupełnie z ludnością rdzennie rosyjską. Powiat Siebieski wyróżnia się również bardzo nieznacznym odsetkiem Żydów—13.8%. Jest on najmniej żydowskim powiatem na całej Białorusi. Należy to tłómaczyć i tem, że powiat Siebieski pod względem ekonomicznym jest najuboższym w gub Witebskiej.

Powiat Witebski ma ludność bardziej jednolitą, niżby to na pierwszy rzut oka mogło się wydawać: Białorusinów 51.1%, Rosyan 20.1%, Żydów 22.3%, Polaków 3.2%, Łotyszów 2.2%, Niemców 0.7%. Trzeba przedewszystkiem uwzględnić, że w Witebsku konsystuje wojsko, które zostało wniesione do spisu z r. 1897. Wojsko stanowi 2.9% i składa się przeważnie z Rosyan. Należałoby więc odrzucić rachubę wojska przy podziale narodowościowym wtedy ogólny stosunek ludnościowy zmieniłby się na niekorzyść Rosyan.

W powiecie Witebskim w r. 1897 było 177,432 mieszkańców, w tem w Witebsku 65,871, to jest ludność witebska stanowiła 37.1% ogółu ludności powiatu. Większa połowa mieszkańców (52.2%) m. Witebska są to Żydzi.

Poza Żydami najliczniejszym elementem składowym ludności Witebska jest napływowa ludność rosyjska (czynownicy) i wynarodowieni Białorusini. Białorusini prawosławni po miastach zwłaszcza we wschodniej części Białorusi uczą się dość łatwo języka rosyjskiego i przyjmują rosyjską kulturę.

Jeżeli więc odrzucimy z ogólnego obrachunku ludność miasta Witebska, to powiat Witebski nie będzie przedstawiał specyalnych różnic etnograficznych w stosunku do innych powiatów Białorusi Witebskiej.

Białoruś Witebska jest dzielnicą z przeważającymi wpływami rosyjskimi. Proces ulegania kulturalnym wpływom rosyjskim dokonywa się tu organicznie, bez przejawów odporności ze strony Białorusinów. Ekonomicznie Białoruś Witebska również ciąży do centrów wytwórczych rosyjskich.

Należy jednak wyodrębnić 2 powiaty południowe: Lepelski i Drysieński. Lepelski, Dziśnieński i Wilejski gub. Wileńskiej, Borysowski, Miński, Ihumeński, po części Słucki gub. Mińskiej — to dzielnica w większości także prawosławna, posiadająca jednak wyrazistą indywidualność etnograficzną, kulturalną, i jest dotychczas ośrodkiem naturalnym właściwości etnograficznych białoruskich.

Powiat Drysieński wobec znacznego odsetku ludności katolickiej (27.5) wyodrębnia się z całokształtu etnograficznego i ma zabarwienie nieco odmienne. Tu wpływy rosyjskie równoważą się z wpływami kulturalnemi polskimi.

W gub. Witebskiej są duże kolonie starowierów. Starowierzy stanowią 5.57% ogólnej ludności. Przeważnie jednak zamieszkują na Inflantach. Zestawimy w poszczególnych powiatach od-

setek Rosyan z odsetkiem starowierów, gdyż starowierów należy zaliczyć do narodowości rosyjskiej.

powiaty:	odsetek Rosyan	odsetek starowierów
Newelski	7.1	4.8
Połocki.	11.1	4.2
Witebski	20.1	3.7
Siebieski	47.1	2.5
Horodecki. . . .	10.7	0.7
Lepelski	1.7	0.5
Drysieński . . .	1.6	0.3
Wielicki	1.3	0.3

Kolonie starowierów spotykamy w większych skupieniach wśród rdzennej ludności białoruskiej. Starowiery stanowią żywioł niezwykle lojalny, strzegą pilnie swych tradycyj, żyjąc życiem odosobnionem.

Rosyanie, z wyjątkiem powiatu Siebieskiego, mieszkają w miastach, stanowiąc przeważnie klasę urzędniczą. Wśród właścicieli większej własności spotykamy dość często Rosyan, przeważnie osiadłych po r. 1803. Do Rosyan zaliczają się też ci wszyscy prawosławni Białorusini, którzy przeszli szkoły i osiedli w mieście.

Żydzi przeważnie koncentrują się w miastach i miasteczkach, stanowiąc 50% ogółu ludności miejskiej.

Żydzi stanowią w poszczególnych powiatach Białorusi Witebskiej następujący odsetek:

w powiecie	Witebskim. . . .	22.3
„	Połockim	12.1
„	Lepelskim. . . .	11.5
„	Wielickim. . . .	9.8
„	Drysieńskim . . .	9.1
„	Newelskim . . .	7.4
„	Horodeckim . . .	4.7
„	Siebieskim. . . .	3.8

Jak widzimy, z wyjątkiem powiatu Witebskiego odsetek Żydów jest niższy, niż w innych dzielnicach Białorusi.

Znaczne skupienie Żydów w powiecie Witebskim łatwo się tłómaczy miastem Witebskiem, które jako centrum administracyjne jest bardziej ożywionym pod względem handlowym punktem. W Witebsku Żydzi stanowią 52.2%.

Znaczniejszy odsetek w powiecie Połockim i Lepelskim tłómaczy się w pierwszym wypadku sławną przeszłością Połocka, w drugim właściwościami etnograficznemi powiatu Lepelskiego, wyodrębniającego z powiatów wschodniej Białorusi.

Procent Żydów w ostatnich latach zmienia się na ich niekorzyść. Gdy w r. 1884 stanowili oni w gub. Witebskiej 12.19% ogółu ludności, w r. 1897 tylko 11.8. Jest to wynikiem emigracyi. Gub. Witebska stosunkowo posiada najmniej Żydów z całego kraju, zwanego urzędownie „Północno-Zachodnim.“ Uboga pod względem przemysłu gub. Witebska nie ściąga ruchliwych „dzieci Izraela.“ Uwagi które wypowiedziałem o ludności żydowskiej w Mohylewszczyźnie, w zupełności odnoszą się również do ich współbraci, zamieszkujących Białoruś Witebską. Nie będę więc ich powtarzać.

Poza Białorusią etnograficzną większe skupienia Białorusinów spotykamy na dawnych Inflantach polskich, (w powiatach Dźwińskim, Rzeczyckim i Lucyńskim) w Kurlandyi w powiecie Iłłuksztеńskim i we wschodniej części powiatu Jeziorowskiego w gub. Kowieńskiej.

Na Inflantach rdzenną ludnością są Letgoli, szczep łotewski, mówiący odrębnem narzeczem pośredniem pomiędzy językami łotewskim, a litewskim. Letgołów w r. 1897 było 260 tysięcy. I chociaż Letgołów w urzędowych statystykach utożsamiają z Łotyszami jest to wszakże szczep tylko pokrewny, różniący się swemi właściwościami etnograficznemi. Łotysze kształtowali swą kulturę na wzorach niemieckich i przeszli twardą szkołę niemieckich wpływów. Zakusy germanizacyjne zresztą nie wynarodowiły Łotyszów, kultura zaś niemiecka miała bardzo dobroczynny wpływ, podnosząc dobrobyt ogólny, czystość, zastosowanie hygieny w życiu praktycznem, wzmacniając przyrodzony Łotyszom hart duszy i czyniąc z nich materyał na naród prawdziwie kulturalny. Letgoli byli więcej pod wpływami kultury polskiej, stoją znacznie niżej od Łotyszów. Łotysze przeważnie są protestantami, gdy Letgoli tymczasem wyznają katolicyzm. Różnica wyznań wpłynęła również na zróżniczkowanie się właściwości etnograficznych. Łotysze w druku używają przeważnie alfabetu gotyckiego, gdy Letgoli przyswoili alfabet łaciński.

Letgoli znajdują się na dość nizkim poziomie rozwoju cywilizacyjnego, a tworząca się z ludu nieliczna inteligencya szczepu letgolskiego prowadzi trudną i uciążliwą walkę z ciemnotą mas przy zupełnem braku środków pieniężnych. Piśmiennictwo dopiero poczyna się wytwarzać. W dawnych czasach w celu walki

z szerzącym się tu protestantyzmem jezuici napisali w narzeczu letgolskim parę broszur religijnych dla utrwalenia wpływu katolickiego. Później drukowano w tym narzeczu książki do nabożeństwa i kalendarze. System Murawiewa pozbawił Letgołów możności drukowania czcionkami łacińskiemi, czcionek zaś gotyckich, używanych przez Łotyszów Letgoli używać nie chcieli, gdyż te czcionki w ich pojęciu były ściśle związane z protestantyzmem. Po zniesieniu zakazu, w ostatnich czasach Letgoli poczęli wydawać w swym narzeczu książeczki ludowe. W Petersburgu powstało towarzystwo wydawnicze. Były próby wydawania pism w tymże narzeczu. Próby te nie zostały uwieńczone powodzeniem i z braku środków materyalnych zostały zwinięte. Z pionerów ruchu letgolskiego należy wymienić młodoletgoła Skoburga.

Stosunek procentowy żywiołu letgolskiego w poszczególnych powiatach Inflant wyraża poniższa tablica:

powiat Lucyński . .	64.2
„ Rzeczycki. .	57.9
„ Dźwiński . .	39

Białorusinów liczą:

powiat Lucyński . .	20.5
„ Dźwiński . .	13.8
„ Rzeczycki. .	5.4

Innych narodowości:

	Polaków	Rosyan	Niemców	Żydów
powiat Lucyński . . .	2.2	7.2	0.2	4.9
„ Rzeczycki . . .	4.8	23.9	0.4	7.4
„ Dyneburski . .	9.1	15.3	1.8	20

Pod względem wyznaniowym ludność Inflant dzieli się następująco:

powiaty:	Katolicy	Prawosławni	Starowierzy	Żydzi	Protestanci
Lucyński . . .	63.5	19.6	2.4	4.9	9.6
Rzeczycki . .	64.1	3.4	23.4	7.7	2
Dyneburski . .	49.6	9.5	10.9	20.2	9.6

Najliczniejszy odsetek Białorusinów spotykamy w powiecie Lucyńskim, gdzie oni stanowią $^1/_6$ część ludności. Powiat Lucyński jest wysuniętym na północ, graniczy z gub. Pskowską i powiatem Siebieskim.

We wschodniej części tego powiatu mieszkają Białorusini. W połowie są oni wyznawcami prawosławia, w połowie katolicyzmu. W powiecie Dyneburskim Białorusini stanowią 13.8%. Są to przeważnie zeslawizowani Letgoli, Litwini — potomkowie osadników polskich—a także Białorusini rdzenni. Większość Białorusinów wyznaje katolicyzm i tylko wychodźcy z Białorusi prawosławie. W Rzeczyckiem spotykamy wśród ludności nieznaczną przymieszkę Białorusinów, w większości wyznania katolickiego.

Slawizacya Letgołów jest wynikiem polonizatorskiej działalności katolicyzmu. Większość księży, nie znając dostatecznie narzecza letgolskiego, wprowadziła w nabożeństwie dodatkowem język polski. Letgoli, zwłaszcza z okolic podmiejskich, nie mogąc przyswoić języka polskiego, zaczęli przejmować język, podobny do polskiego, a którym mówi sąsiadujący lud białoruski. Język ten był łatwiejszym do wyuczenia się, jako język używany przez masy ludowe w mowie potocznej, niż język polski, słyszany z ambon i we dworze.

Na Inflantach w szkołach ludowych wyłącznie uczą po rosyjsku, co wpływa na rusyfikacyę Letgołów, pośrednio zaś na białorutenizacyę.

Polacy są rozrzuceni i spotykamy ich nietylko wśród ziemian, ale i wśród innych klas społecznych.

Wśród ziemian na Inflantach spotykamy dużo potomków dawnych rodów rycerzy mieczowych—dziś zupełnie spolszczonych i katolickich (np. rodziny Zyberg i Broel Platerów Manteuflów, Roppów, Mohlów i wiele innych).

Dyneburg jest dużem ośrodkiem polskości. Wśród mieszczan jest znaczny procent Polaków. W powiecie dyneburskim odsetek Polaków nawet, według urzędowych danych, dobiega 9.1. Na to wpływa ludność Dyneburga i dużo większych majątków nad Dźwiną, które pozostają w ręku Polaków. Należy zaznaczyć, że powiat ten odznacza się wyższą kulturą rolną, w czem odbija się wpływ sąsiedniej Kurlandyi. W powiecie Rzeczyckim źródła urzędowe podają odsetek Polaków na 4.8, w Lucyńskim 2.2.

Rosyanie są tu, jak i w innych dzielnicach kraju, przeważnie starowiercy, z dawien dawna osiedli w granicach ziem, należących ongiś do Rzeczypospolitej.

W powiecie Rzeczyckim starowiercy stanowią nieomal ¼ część ludności (23.4%). Mniej jest ich stosunkowo w pow. Dyneburskim, chociaż i tu są liczniejsi od żywiołu polskiego (10.9%)—najmniej w powiecie Lucyńskim, gdzie stanowią zaledwie 2.4% ogólnej ludności.

Znaczny odsetek Rosyan w pow. Dyneburskim 15.3 (w tem starowierców 10.9) należy tłómaczyć dużem zgrupowaniem wojsk w Dyneburgu i pow. Dyneburskim. Dyneburg jest twierdzą i wojsko w pow. Dyneburskim stanowi 5.6% ogółu ludności. W wojsku zaś, konsystującem w Dyneburgu i jego najbliższych okolicach, przeważają Wielkorosyanie. Jeżeli zaś odrzucimy wojsko i dawnych emigrantów (starowierców), to odsetek Rosyan nie będzie bynajmniej wyższym od innych okolic kraju. W powiecie Lucyńskim spostrzegamy dość znaczny odsetek Rosyan (7.2). Wpływa na to sąsiedztwo z rdzenną Rosyą (gubernia Pskowska).

Żydzi są najliczniej skupieni w pow. Dyneburskim (20%). Wpływa na to położenie Dyneburga nad Dźwiną, przy zbiegu 5 linij kolejowych, rozchodzących się w kierunku Petersburga, Wilna, Rygi, Witebska i Libawy. Wszystko to sprzyja ogromnie rozwojowi ekonomicznemu miasta i zciąga ruchliwą ludność żydowską. W rolniczych powiatach Rzeczyckim i Lucyńskim Żydzi są mniej liczni: w pierwszym z nich stanowią 7.4%, w drugim 4.9%.

Niemcy na Inflantach są rozproszeni. Większych skupień nie spotykamy z wyjątkiem Dyneburga, gdzie stanowią dość poważny element ludności miejskiej. W ich ręku obecnie spoczywa zarząd miasta, gdyż prezydentem Dyneburga jest Niemiec.

Inflanty są krajem, gdzie bezwzględna większość wyznaje katolicyzm (powiat Dyneburski 49.6%, powiat Rzeczycki 64.1 i powiat Lucyński 63.5). Oprócz Polaków i Letgołów spotykamy wyznawców katolicyzmu i wśród miejscowych Białorusinów. Pod względem kościelnym Inflanty przedstawiają 6 dekanatów, 63 parafie i 1 klasztor (w Agłonie).

Prawosławie jest najsilniejsze w pow. Lucyńskim, gdzie nawet część Letgołów wyznaje prawosławie. Dość znaczny odsetek protestantów spotykamy w pow. Dyneburskim (9.6%). Wpływa na to sąsiedztwo z Kurlandyą. Przedmieście Dyneburga na lewym brzegu Dźwiny, tak zwane „Grzywa," leży już w Kurlandyi. W powiecie Lucyńskim również spotykamy znaczny odsetek wyznawców luteranizmu (9.6%), mniej ich jest w powiecie Rzeczyckim—2%. Protestantyzm wyznaje prócz Niemców ludność łotewska napływowa z Kurlandyi i Liflandyi.

Przechodzimy następnie do powiatu Iłłuksztеńskiego w Kurlandyi, który zawiera znaczny odsetek ludności białoruskiej (17.3%). Dziwny kształt posiada ów powiat, jest to wązki pas ziemi, leżący nad Dźwiną, wciśnięty pomiędzy gub. Witebską, Kowieńską i Wileńską. W najwęższem miejscu szerokość powiatu dosięga zaledwie 10 wiorst. W powiecie Iłłuksztеńskim,

jako należącym do Kurlandyi, stosunki polityczne były nieco znośniejsze niż w kraju, urzędowo zwanym „Północno-Zachodnim.“ Na ten powiat nie rozciągały się rozmaite ograniczenia i cyrkularze, jakim podlegała tubylcza ludność Litwy i Białorusi. Był to zakątek kraju, gdzie ludność korzystała w pewnym stopniu z większych swobód obywatelskich. W powiecie Iłłuksztеńskim Polakom nie było wzbronionem nabywać dobra ziemskie. W Iłłukszcie podczas srożącej się reakcyi na Litwie istniała jedyna w całym kraju „Północno-Zachodnim“ pensya polska, utrzymywana przez Polkę i chociaż wykłady wszystkich przedmiotów odbywały się w języku państwowym, dziewczęta zostawały w wieku dziecinnym w otoczeniu swojskiem i nie podlegały tej gwałtownej rusyfikacyi, jaką się odznaczały wszystkie zakłady naukowe na Litwie.

Nic dziwnego, że wobec odmiennego stanowiska państwa do tego skrawka, wciśniętego w ziemie litewsko-białoruskie, stosunki narodowościowe inaczej ułożyły się, niż w sąsiednich powiatach: Dyneburskim w gubernii Witebskiej, Jeziorowskim—Kowieńskiej i Dzisneńskim — Wileńskiej. Ludność powiatu Iłłuksztеńskiego wynosiła w roku 1897—66,461 osób i pod względem etnograficznym przedstawiała niezwykłą mieszaninę.

Obok 17.2% Polaków, jest 17.3% Białorusinów, 15.2% Rosyan, 28.6% Łotyszów, 10.5% Litwinów, 9.6% Żydów i 1.6% Niemców. Jak widzimy, żadna narodowość niema większości bezwzględnej.

O nakreśleniu granic pomiędzy siedzibami poszczególnych narodów mowy być nie może, gdyż ze słów tamecznych księży wiem, że o narodowości poszczególnych parafij trudno jest cośkolwiek orzec, gdyż zdarza się nawet, że w jednej wsi mieszkają obok siebie Litwini, Białorusini, Polacy lub Łotysze.

Możemy tylko zaznaczyć, że we wschodniej części powiatu spotykamy Białorusinów, na południu na pograniczu pow. Jeziorowskiego — Litwinów, na zachodzie — Łotyszów.

Ludność katolicka przeważa (54.9%). Wyznawcami katolicyzmu są Polacy, Litwini, znaczna większość Białorusinów i część Łotyszów. Pod względem administracyjno-kościelnym powiat Iłłuksztеński należy jak i cała Kurlandya do dyecezyi Żmudzkiej. Językiem kościelnym w nabożeństwie dodatkowem jest język polski z uwzględnieniem dostatecznem jednak praw innych narodowości. Księża przeważnie Litwini, gorliwie pracujący nad zachowaniem samowiedzy narodowej wśród garstki rozproszonych Litwinów.

Po za tem spotykamy dość znaczny odsetek wyznawców protestantyzmu 17.4. Zupełnie to zrozumiałe, jeżeli przypomnimy sobie, że dominującem wyznaniem w Kurlandyi jest luteranizm i ze względu na historyczne tradycye i wpływy należy raczej się dziwić, że odsetek ten nie jest znacznie wyższym. Protestantyzm wyznaje znaczna część Łotyszów i Niemcy.

Starowierów jest w powiecie 10.4%, prawosławnych 8% i wyznawców judaizmu 9.6%.

Odsetek Żydów dość jest znaczny, jeżeli przypomnimy sobie, że w r. 1829 Kurlandyę wykluczono ze „strefy osiedlenia," pozwalając tylko mieszkać potomkom Żydów, osiadłych przed rokiem 1829.

Należy również kilka słów poświęcić powiatowi Jeziorowskiemu gub. Kowieńskiej, gdyż i w tym powiecie spotykamy dość znaczny odsetek Białorusinów. Powiat Jeziorowski (Nowoaleksandrowski) został utworzony w r. 1842 z dawniejszego powiatu Bracławskiego i części powiatu Wiłkomierskiego i zajmuje wschodnią część gubernii Kowieńskiej. Powiat ten ma ludność mieszaną, ale linia demarkacyjna siedzib litewskich i białoruskich z łatwością da się przeprowadzić. Ludność w części odłączonej od dawniejszego powiatu Wiłkomierskiego, mówi czystym językiem litewskim, a pogranicze z powiatem Wiłkomierskim, to według wyrażenia Michała Römera „serce Litwy wyższej, skarbiec jej języka, podań, tradycyj i zabytków historycznych," w dawnym powiecie Bracławskim ludność mówi po białorusku, łotewsku, a gdzie nie gdzie i po polsku.

Pod względem narodowościowym w powiecie Jeziorowskim spotykamy Litwinów (49.8), Białorusinów (16.8), Żydów (12.7), Rosyan (9.9), Polaków (8.9), Łotyszów (1.8) i Niemców (0.1) Pod względem wyznaniowym pow. Jeziorowski przedstawia się bardziej jednolicie, gdyż przeważającą większość stanowią katolicy (73.12), następnie idą Żydzi (12.7), Starowierzy (8.8), Protestanci (3), Prawosławni (2.1).

O Litwinach nie będę obszerniej mówić, ażeby nie rozszerzać zbytnio swej pracy, zagadnienia narodowe Sejn omawiałem w zeszycie wrześniowym „Pracy" za rok 1909. Dodam tylko, że powiat Jeziorowski ze względu na odległość od granicy pruskiej, gdzie się skupiały i skąd płynęły główne prądy odrodzeniowe, pozostaje w tyle pod względem uświadomienia narodowego i uspołecznienia mas ludowych. Litwini wyznają katolicyzm, z wyjątkiem cyplu północnego, na granicy powiatu Poniewiezkiego, gdzie

w gminie Popelach i sąsiednich spotykamy parę tysięcy [1]) wyznawców kalwinizmu. We wsi Popele znajduje się zbór kalwiński. Litwini-katolicy odznaczają się dużą żarliwością i przywiązaniem do kościoła. Wpłynął na to ucisk religijny, wyrażający się, jak i wszędzie na Litwie, w utrudnieniu budowy i restauracyi kościołów, w tamowaniu obrzędów kultu (procesye) i w prześladowaniu kleru w sposób drobiazgowy i nader ostry. Białorusini z powiatu Jeziorowskiego wyznają katolicyzm i są w dużej mierze spolonizowani.

Polacy wyznają katolicyzm. W posiadaniu polskiem jest 62.01% większej własności ziemskiej, co stanowi 26.1 całego terytoryum powiatu Jeziorowskiego. Ziemianie polscy stanowią żywioł konserwatywny, przepojony wspomnieniami przeszłości, mało zdemokratyzowany. Cenzus umysłowy dość nizki, brak jednak wiedzy pokrywa się snadnie zewnętrznem obyciem się. Są jednak wyjątki i tu spotykamy jednostki bardzo wykształcone, owiane szerszemi aspiracyami i burzące ogólną apatyę (np. Michał Römer, Francuzowicz i inni).

Drobna szlachta tworzy nieliczne zaścianki i grupuje się koło dworów, jako oficyaliści. W Jeziorosach Polacy stanowią 31% ogółu ludności, w miasteczku Widzach 16%. Kolonie starowierów spotykamy w większych skupieniach koło Widz i Dusiat. Tu na wielkim obszarze ziem pańszczyznianych w dobrach poplaterowskich, Dusiatach, zostali osadzeni na ziemiach włościan, którzy brali udział w powstaniu (1831) i zostali za karę wysiedleni w głąb Rosyi razem z rodzinami. Ekonomicznie faworyzowani, starowierzy cierpieli jednak ucisk religijny. Do Ukazu tolerancyjnego nie wolno było starowierom budować swoich świątyń, kryli się więc po domach prywatnych. Oprócz starowierów spotykamy wśród kolonistów rosyjskich sekciarzy-jednowierców. W Jeziorosach ci ostatni mają swoją cerkiew.

Rosyan prawosławnych niewiele liczy pow. Jeziorowski. Rosyanie stanowią przeważnie klasę urzędniczą. Posiadają oni 8 cerkwi, 1 monaster ruski w Antoleptach. 1 cerkiew przypada na 560 mieszkańców, gdy tymczasem 1 kościół na 3,700 mieszkańców. Cerkwie stawiano z zapomóg gminnych, od r. 1888 ustalono w całej Litwie i Białorusi specyalny podatek ogólny na utrzymanie duchowieństwa prawosławnego. Podatek ten płacą i jednolicie katolickie powiaty, jakim jest powiat Jeziorowski.

(Dok. nast.)

Piotr Zubowicz.

[1]) W r. 1906 — 2,600 osób.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

№ 2.
Rok 1910 (Luty).

PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Białoruś i Białorusini, przez Piotra Zubowicza. Od redakcyi „Pracy."

Białoruś i Białorusini.

(Dokończenie).[1])

Gubernia Witebska zajmuje przestrzeń 39,688.6 wiorst kwadratowych, w czem jeziora mają powierzchni 1,039 wiorst kwadratowych. Gubernia dzieli się etnograficznie na dwie części: większa właściwa Białoruś i mniejsza Inflanty. Inflanty na ogół mają wyższą kulturę tak pod względem przemysłowym, jak i rolniczym. Białoruś uboga pod względem przemysłu posiada niemal pierwotną kulturę rolną. Wód w gubernii duża obfitość—10 razy tyle co w Mohylewskiej. Z rzek największa—Dźwina, która płynie na przestrzeni 630 wiorst przez powiaty: Wieliski, Witebski, Lepelski, Połocki, Drysieński i Dyneburski. Dźwina przyjmuje w obrębie gubernii kilkanaście dopływów i ma bardzo ważne znaczenie dla miejscowego handlu i przemysłu. Jezior w gubernii jest przeszło 2,500. Szczególniej bogate w jeziora są powiaty: Rzeczycki, Lucyński, Siebieski, Newelski i Lepelski. Największe jeziora: Lubań (w pow. Rzerzyckim), Oświejskie (pow. Drysieński), Romo (pow. Rzerzycki), Ruszony, Liwer (pow. Dyneburski). Błot dużo. Największe z nich otacza jezioro Lubań w pow. Rzerzyckim i zajmuje przestrzeń 130 wiorst kw.

[1]) Patrz № 1 „Pracy" za styczeń r. b.

Głównem zajęciem ludności jest rolnictwo. Kultura rolna na nizkim stopniu rozwoju. Gleba różnorodna, przeważnie lekko gliniasta i piaszczysta, miejscami ciężka glina—średnio urodzajna. Klimat chłodny, wilgotny, zmienny, nie bardzo sprzyjający rolnictwu. Według głównych kategoryj własności przypada na grunta właścicieli prywatnych 2,134,517 dzies., na grunta nadziałowe 1,593,147 dziesięcin, na grunta apanażowe, cerkiewne, kościelne 326,559 dzies. ziemi. Lasów jest jeszcze niemało pomimo rabunkowego gospodarstwa. Lasy rządowe zajmują 233,512 dzies.

Przemysł jest słabo rozwinięty. Najbardziej przemysłowemi środowiskami są: Dyneburg i Witebsk. W r. 1906 wytwórczość roczna gubernii wynosiła 653,700 rubli. Przemysł zatrudnia 15,730 robotników.

Handel również mało ożywiony. Handel wywozowy polega głównie na wywozie lnu, siemienia lnianego, drzewa do Rygi i skór. Główną arteryą komunikacyjną jest Dźwina, która za pomocą kanału Berezyńskiego łączy się z Dnieprem. Gubernię przecinają linie kolejowe: Rygo-Orłowska, Moskiewsko-Windawska, Petersburg-Złobin, Siedlce-Bołogoje i Warszawsko-Petersburska w rozmaitych kierunkach. Jedynie powiat Wieliżski cierpi na brak komunikacyi.

Szkolnictwo w gubernii Witebskiej przedstawia się cyfrowo w następujący sposób: szkół średnich 25, w czem: gimnazyum męzkie rządowe 1 (w Witebsku) i prywatne 1 (w Dyneburgu), szkoła realna jedna (w Dyneburgu), progimnazyum męskie prywatne 1 (w Witebsku), szkół handlowych męskich 7-ioklasowych społecznych 1 (w Witebsku), prywatnych 3 (1 w Witebsku, 2 w Dyneburgu), prywatnych czteroklasowych 1 (w Rzerzycy), seminaryum nauczycielskie 1 (w Połocku), korpus kadetów 1 (w Połocku), gimnazyów miejskich rządowych 4 (2 w Witebsku, Połocku i Dyneburgu), prywatnych 2 (w Witebsku i Dyneburgu), szkół handlowych żeńskich 3 (2 w Witebsku i 1 w Dyneburgu) i 5 pensyi 4-klasowych (3 w Witebsku i po 1-ej w Dyneburgu i Połocku). Ze szkół specyalnych należy wspomnieć o seminaryum prawosławnem w Witebsku i szkole dla głuchoniemych tamże.

Szkół miejskich ma gub. Witebska 11. Uczących się w nich 970. Szkół ludowych w miastach 22, uczniów 1,431 takich że szkół wiejskich 201—uczniów 10,000. Szkółek cerkiewno-parafialnych 621—uczniów 11,828. Oprócz tych szkół istnieją jeszcze rządowe szkoły żydowskie i chedery.

Powiat Jezioroski gubernii Kowieńskiej zajmuje przestrzeń 50,781 wiorst kw. Dużo jezior (około 400), z których główniejsze:

Dryświaty, Dukszty, Dusiaty i inne. Główne zajęcie ludności stanowi rolnictwo. Gleba powiatu przeważnie piaszczysta, należy do najbardziej nieurodzajnych w gubernii. Tylko w części północnej spotyka się czarnoziem połączony z piaskiem. Własność ziemska dzieli się w sposób następujący: w posiadaniu właścicieli prywatnych 1,157 majątków o przestrzeni 207,885 dzies., ziemi nadziałowej gospodarstw 15,898 o przestrzeni 258,299 dzies., dobra apanażowe, kościelne, cerkiewne zajmują 28,300 dziesięcin. Lasów prywatnych 45,887 dzies., rządowych 20,189 dz.

Głównie sieją żyto, owies. Uprawa lnu prowadzoną jest na szeroką skalę szczególniej w gospodarstwie włościańskiem.

Przemysł zupełnie nie rozwinięty. Handel bardzo nieznaczny. Powiat przecinają dwie linie kolejowe; Warszawsko-Petersburska i Kałkuny-Radziwiliszki. Jeziorosy i Widze leżą na uboczu od linij kolejowych, a blizkość Dyneburga zabija wszelkie współzawodnictwo handlowe.

Szkół początkowych jest 50 a uczących się 2,883. Jedna szkoła wypada na 101.3 wiorst kw. i na 3,449 mieszkańców. Na 100 dzieci w wieku szkolnym 18.4 otrzymuje elementarne szkolne wykształcenie. Przeciętnie koszta utrzymania jednej szkoły wynoszą 651 r., czyli że koszta nauki jednego ucznia stanowią rocznie 11 rb. 28 kop. Jak widzimy, stosunki ogólne są dość opłakane.

Przechodzimy następnie do gub. Wileńskiej. Tu Białorusinów spotykamy w powiatach: Dziśnieńskim, Wilejskim, częściowo w Oszmiańskim, Święciańskim, Lidzkim, Wileńskim i w jednej gminie pow. Trockiego.

Powiaty Dziśnieński, Wilejski i południowo-wschodnia część powiatu Oszmiańskiego stanowią rdzenną część Białorusi ale znacznie różniącą się od Białorusi Litewskiej. Białoruś Litewska jest to wynarodowione terytoryum litewskie o specyficznem zabarwieniu. Powiat Dziśnieński był odwieczną składową częścią ks. Połockiego. Powiat Wilejski i południowo-wschodnia część powiatu Oszmiańskiego należały do ks. Mińskiego i w późniejszym czasie weszły te 2 powiaty w skład województwa Wileńskiego i tworzyły powiat Oszmiański. Po drugim podziale Rzeczypospolitej powiaty Wilejski i Dziśnieński należały do gub. Mińskiej i w roku 1843 zostały przyłączone do gub. Wileńskiej.

Rozmyślnie przytoczyłem te dane historyczne, ażeby podkreślić znaczne różnice kulturalne i narodowościowe w składzie wyż wspomnianych powiatów z resztą gubernii, których powiaty: Dziśnieński, Wilejski, Lepelski, Połocki, Miński, Słucki, Borysowski, Bobrujski, są sercem Białorusi. Dzielnica ta, zaludniona zwartą

masą białoruskiego włościaństwa, zapewne będzie ośrodkiem prądów odrodzeniowych, o ile one wzmogą się. Tu najsilniej się przechowało poczucie odrębności narodowej, a postulaty garstki inteligentów, marzących o indywidualnym bycie narodowym, mogą tu zdobyć podstawę do realizacyi. W sferach rządowych ustalił się pogląd na Białoruś, jako na kraj „iskoni ruskij," który przemocą oderwano od głównego pnia i zwolna spolszczono. Wychodząc z tego założenia, rząd rosyjski dążył i dąży do zniwelowania i stłumienia wpływów polskich, a natomiast zaszczepienia zewnętrznych, bezpośrednich wpływów rosyjskich przez szkolnictwo, zarząd krajowy, opiekę religii państwowej i t. p., przy bezwzględnem tępieniu wszelkich objawów indywidualności białoruskiej. Akcya ta osłabiła, a nawet w znacznej mierze usunęła wpływy polskie, lecz nie dała oczekiwanych rezultatów, gdyż polityka biurokratyczna, pozbawiona wszelkich punktów oparcia w stosunkach krajowych, nie potrafiła zrusyfikować włościaństwa, które niechętnie przyjmowało tę opiekę, zrażone bezwzględnością systemu. Większość Białorusinów w tej części kraju wyznaje religię prawosławną, tradycye jednak Unii, zniesionej w r. 1839, tkwią dość żywo w umysłach szerokich mas tamtejszego ludu, dając przekonaniom wyznaniowym specyficzne zabarwienie. Tak np. w niektórych okolicach kraju ludność włościańska obchodzi święta prawosławne i katolickie.

Pod względem składu narodowościowego powiaty Dziśnieński i Wilejski przedstawiały się w następujący sposób:

	Białorusinów	Żydów	Rosyan	Polaków	Litwinów
Powiat Dziśnieński	81.2	10.1	5.9	2.4	0.3
„ Wilejski	87	9.5	0.9	2.5	—

Pod względem wyznaniowym:

	Prawosławni	Katolicy	Żydzi	Starowiery
Powiat Dziśnieński	52.7	32.4	10.1	4.6
„ Wilejski	58.5	31.6	9.5	0.2

Według rządowych danych żywioł polski w tych dwóch powiatach wynosi około 2.5% ogółu ludności. Trudno jednak się z tem zgodzić, zwłaszcza gdy uwzględnimy, że $^1/_3$ część ludności tych powiatów wyznaje katolicyzm. Według urzędowych danych, w powiecie Dziśnieńskim Białorusini-katolicy stanowią 29.7% ogólnej ludności, w powiecie Wilejskim 29.1%. Widocznem jest, że część Polaków została zaliczoną do Białorusinów-katolików i nie omylę

się zapewne, gdy odsetek Polaków w tychże powiatach określę na 10%.

Według urzędowych danych, niezbyt wiarogodnych, w ręku ziemian Polaków pozostaje 66.2% większej ogólnej własności, a także w ręku chłopów polskich 1,2% ziemi nadziałowej, co stanowi 40% całego terytoryum. W powiecie Wilejskim własność większa polska w zaniku, w ręku chłopów polskich znajduje się 1,7%, co stanowi 0.7 całego terytoryum. W pow. Wilejskim były duże dobra po-Radziwiłłowskie, które kazano sprzedać spadkobiercom—ks. Hohenlohe. Majątki te przeszły w posiadanie Rosyan, tem należy tłómaczyć zanik własności polskiej w pow. Wilejskim. Polacy w powiecie Dziśnieńskim są dość ruchliwi, o czem może świadczyć 7 kółek rolniczych. Wszystkie kółka są dźwignięte usiłowaniami Polaków; w powiecie wilejskim, gdzie żywioł polski jest niezmiernie słaby, notujemy 1 tylko kółko.

Litwini w powiecie Dziśnieńskim mieszkają w 5 wioskach na pograniczu z gub. Kowieńską w pobliżu miasteczka Widze w powiecie Jezioroskim wyż wspomnianej gubernii.

Starowierów spotykamy w okolicy Postaw i Głębokiego.

Inny charakter mają pozostałe powiaty gub. Wileńskiej. Jest to, wraz z powiatem Nowogródzkim (gub. Mińska), Białoruś Litewska. Ciekawy bardzo proces odbywa się od bardzo dawna na pograniczu litewsko-białoruskim. Żywioł litewski zwolna i stopniowo ustępuje w kierunku północno-zachodnim. Etnograficzny element białoruski, sam ulegający łatwo wpływowi polskiemu albo rosyjskiemu, asymiluje i wynaradawia Litwinów. Litwin z pobudek czysto materyalnych przyjmuje od swego sąsiada mowę białoruską, umożliwiającą mu porozumiewanie się z urzędnikiem Rosyaninem i z obywatelami Polakami, zapominając z czasem swego rodzimego języka. Na ogromnych obszarach gub. Wileńskiej rozbrzmiewa dziś mowa białoruska i tylko nazwy wiosek i rzek wskazują, że mieszka tam wynarodowiony lud litewski. Dziś w oczach naszych odbywa się proces białorutenizowania się we włościach Miedzyrzeckiej i Trockiej pow. Trockiego. Starzy mówią jeszcze po litewsku, dzieci ich używają języka białoruskiego, a wnuki, zwłaszcza w okolicach Landwarowa, mówią po polsku, gdyż Litwin zbiałorutenizowany łatwo ulega wpływom polskim. Stąd w gubernii Wileńskiej w całym szeregu wiosek mamy do czynienia z ludnością, gdzie młode pokolenia utożsamia polskość z katolicyzmem i z fanatycznym zapałem opiera się wszelkim ościennym wpływom. Badania, podjęte w tym kierunku, dałyby nam ciekawe przyczynki do charakterystyki asymilacyjnej rozmaitych

żywiołów, zamieszkujących Litwę i Białoruś, unaoczniłyby nam niejeden fakt mało znany i powstrzymałyby może niektórych pesymistów od uogólnień, że na Litwie i Białorusi jesteśmy li tylko nakrywą bez dna. Wpływy kulturalne polskie szły do włościan przez szlachtę ziemiańską i drobną, przez miasteczka i poniekąd przez miasta i księży. Na przestrzeni długiego okresu rozmaite warunki miejscowe zmieniały szematyczność wpływów, wnosząc różnice lokalne.

Stopniowanie w procesie polonizacyjnym bardzo wyraźnie akcentuje się od zachodu i północy do południa i wschodu. Wilno i jego najbliższe okolice stanowią wyspę polską na terytoryum litewsko-białoruskiem. Proces polonizacyjny rozrósł się na okoliczne wsie w obrębie kilkunastowiorstowym i ludność wiejska tameczna dziś jest ostoją polskości na Litwie. Białoruś wileńska jest w znacznej mierze spolonizowana i pod względem kulturalnym ciąży widocznie do tradycyj historycznych, których nie mogła zatrzeć polityka, podległa wpływowi antypolskiego rządu. Wśród Białorusinów wileńskich jest znacznie więcej umiejących czytać i pisać po polsku niż po rosyjsku.

Według urzędowych danych, dalekich od ścisłości i tendencyjnych, ludność gub. Wileńskiej pod względem narodowościowym przedstawia się jak następuje:

Powiaty:	Białorusini	Litwini	Polacy	Rosyanie	Żydzi
Oszmiański	80.1	3.8	1.7	2.3	12.1
Lidzki	73.2	8.7	4.6	1.2	12.2
Święciański	47.6	33.8	6	5.4	7.1
Wileński bez miasta.	42	35	12.1	3.3	7.4
Trocki	15.8	58.1	11.2	4.6	9.5
m. Wilno	4.2	2	30.9	20.2	40.3

Odsetek Białorusinów jest stanowczo zbyt wysoki, a dzieje się to kosztem Polaków. Jeżeli zestawimy pow. Iłłuksztеński w Kurlandyi, gdzie Polacy stanowią 17.2, i powiaty litewsko-białoruskie w gub. Wileńskiej pod względem polskości, to wpływy polskie są daleko silniejsze w gub. Wileńskiej, niż w powiecie Iłłuksztеńskim. Północna część powiatu Wileńskiego ma jednolitą ludność polską; należałoby conajmniej $^1/_4$ część ludności w pow. Wileńskim, $^1/_5$ w pow. Trockim i $^1/_6$ w pozostałych powiatach zaliczyć do narodowości polskiej.

Trzeba przyjąć pod uwagę, że w tej części kraju zupełnie jeszcze nie jest skrystalizowane pojęcie narodowości i że wielu

włościan wprost nie umie na to pytanie odpowiedzieć. Badając tameczne stosunki, nieraz zwracałem się do miejscowych ludzi, stawiając im kategoryczne zapytanie, jakiej są narodowości — i odpowiadano mi często gęsto „tutejszej," „polackiej wiary," „ruskiej wiary." Gdym pragnął dostać się do jądra rzeczy i zapytywałem, w jakim języku mówią w domu, określano mi, że „po prostemu." Nie trzeba więc nawet posądzać o złą wolę tych, co pełnili w tych stronach czynności spisu, gdyż wypełnienie rubryki narodowościowej, wskutek wyżej wspomnianych przyczyn, napotykało zapewne niemało trudności i stąd też w wielu miejscowościach całą ludność z wyjątkiem inteligencyi ryczałtowo zapisywano jako Białorusinów.

Najbardziej białoruskim jest pow. Oszmiański, gdzie na 23 gminy (włości) w 19 Białorusini stanowią wśród ludności wiejskiej dużą przewagę. Z pozostałych gmin gmina Dziewieniszki jednolicie litewska, gminy Siedlisko i Ługomowicze mają ludność mieszaną, chociaż z roku na rok białorutenizacya postępuje tu szybkiemi krokami, w gminie Bakszty Litwini zamieszkują gromadę wioskową (sielskoje obszczestwo) Dziewiergi i wespół z Białorusinami gromadę Irabów.

W pow. Lidzkim na 22 gminy ludność białoruską spotykamy w 20 gminach. Białorusini w pow. Lidzkim, zwłaszcza w jego zachodniej części, ulegają znacznym wpływom polskim, od czasu spisu dużo tu się zmieniło na niekorzyść Białorusinów. Z moich osobistych spostrzeżeń wynoszę wrażenie, że nietylko polski język jest powszechnie znanym, lecz nawet często gęsto używanym pod strzechą chłopską.

Gmina Aleksandrów jest jednolicie litewską. W gminie Koniowy tylko gromada wioskowa Nacza jest białoruska.

W gminach Raduń, Ejszyszki, Żyrnenicy ludność mieszana: Litwini, Polacy, Białorusini. Język litewski powoli wymiera.

W powiecie Święciańskim na 22 gminy Białorusini zwartą masą mieszkają w 13 gminach, pozostałe gminy zamieszkuje ludność litewska.

Gmina Komoje ongiś litewska, dziś w znacznej mierze zbiałorutenizowana. W litewskich gminach Święciany gromada wioskowa Szymaniszki i w Michałowie gromada wioskowa, Białopole są czysto białoruskie.

W powiecie Wileńskim jest 18 gmin. W gminach północnych mieszkają Litwini, z dużą jednak domieszką polską; w gminach podmiejskich Polacy, w gminach południowych Białorusini— w znacznej mierze spolonizowani.

Powiat Trocki należy zaliczyć do etnograficznej Litwy z wyjątkiem 2 gmin Trockiej i Miedzyrzeckiej, gdzie spotykamy i ludność białoruską.

Świadomość narodowa jest tu ogromnie słaba i w ostatnich czasach powiat ten jest terenem starć polsko-litewskich na gruncie języka w dodatkowem nabożeństwie. Obóz nacyonalistyczny litewski zdradza dużą zaczepność względem żywiołów kompletnie już spolszczonych i w swych rewindykacyach historycznych idzie zbyt daleko, pragnąc narzucić język litewski wioskom zupełnie obumarłym pod względem narodowo-litewskim. Z drugiej strony w imię bezstronności muszę zaznaczyć, że i ze strony Polaków jest pewna dążność do zasymilowania tamecznej ludności litewskiej, pozbawionej umysłu odporno-narodowego. Język quasi polski jest w tamtych stronach przepychem odświętnym. Fałszywy punkt honoru każe rozumieć i módz używać mowy lechickiej, znajomość ta jednak jest nader powierzchowną i zasadza się na umiejętności wymawiania pewnej ilości słów w języku polskim w sposób szkaradnie wykoszlawiony.

Nawet demokratyczna zasada plebiscytu nie mogłaby być miarodajną w tych okolicach dla określenia narodowości ze względu na nizki stopień uświadomienia wśród tamecznego ludu i skłonności do uważania języków litewskiego i białoruskiego za istotnie niższe i godne pogardy.

Według urzędowych danych dość znaczny odsetek Białorusinów wyznaje religię katolicką. Białorusini katolicy stanowią w poszczególnych powiatach następujący odsetek ogółu ludności: w Oszmiańskim 51.1, Lidzkim 49.3, Wileńskim 39.6, Święciańskim 38.4, Dziśnieńskim 29.7, Wilejskim 29.1, Trockim 14.7. Liczby te według mego zdania nie są dość ścisłe i część Białorusinów-katolików należałoby zaliczyć do narodowości polskiej.

Przechodzimy obecnie do Wilna. Poza masą ludności żydowskiej Wilno jest w ogromnej większości swych mieszkańców polskie i stanowi kulturalną wyspę polską na terytoryum litewsko-białoruskiem. Dominującym językiem chrześcijańskiej ludności Wilna jest język polski, kulturalnie też ludność ta ma najwyrazistsze cechy polskie. Bo też tu wpływy kultury polskiej były najpotężniejsze, promieniowanie jej najintensywniejsze, tu skupiało się życie polskie i stąd rozlewało się po kraju. Wilno w początkach XIV wieku było punktem ośrodkowym kultury polskiej. Uniwersytet wileński stworzył całą epokę w dziejach twórczości polskiej, dając jej największe imiona i sławy. Mieszczaństwo katolickie jest dziś nawskroś polskie i czynami swemi stwier-

dza przynależność do narodu polskiego, broniąc często i energicznie zachwianej placówki.

Pod względem ludnościowym Wilno nie jest i nie będzie w bliskiej przynajmniej przyszłości miastem o jednolitym charakterze kulturalno-narodowościowym.

Obok Polaków, nieustannie broniących stanu posiadania, spotykamy Rosyan, uważających *Wilna* za „iskoni“ rosyjskie miasto, działaczy litewskich i białoruskich, pragnących wytworzyć z Wilna centrum kulturalne dla budzących się ruchów narodowościowych, wreszcie Żydów nacyonalistów, którzy pretendują do hegemonii w mieście. Antagonizmy narodowościowe ścierają się na bruku wileńskim ostro, pokojowy jednak rozwój miasta może nastąpić tylko na zasadzie sprawiedliwych układów, a walka nie da żadnej z narodowości ostatecznego i zupełnego zwycięstwa.

Pod względem narodowościowym Wilno według spisu jednodniowego roku 1897 przedstawiało następujący obraz: Żydzi 40.3%, Polacy 30.9%, Rosyanie 20.2%. Tu należy jednak zrobić zastrzeżenie, że do ludności Wilna zaliczono konsystujące tam wojsko, gdzie przeważa ludność rosyjska. Wojsko zaś stanowi 9.3% ogółu ludności. Dalej spotykamy Białorusinów 4.2%, Litwinów 2%, Niemców 1.1%, Ukraińców 0.3%. Jak widzimy z tego zestawienia żywioł białoruski i litewski zajmuje jedno z pośledniejszych miejsc, a pobieżny rzut oka na stosunki wileńskie wykazałby nam dostatecznie, że o rewindykacyach historycznych mowy dziś być nie może, zwłaszcza, biorąc pod uwagę słabą odporność narodową proletaryatu litewskiego i białoruskiego, który zatraca szybko swą odrębność narodową, wchodząc w środowiska o znacznie wyższej kulturze.

Pod względem wyznaniowym ludność Wilna składa się: z żydów 41.5%, katolików 36.8%, prawosławnych 18.6%, protestantów 1.5% i starowierów 0.5%.

Gub. Mińska — to jądro Białorusi z dwiema jednak naleciałościami: polską i katolicką.

Brak użyczonego mi miejsca każe zacieśniać ramki przedsięwziętej pracy i tylko w najgrubszych zarysach zaznajomić mogę ze składem etnograficznym tej gubernii. Gub. Mińską można nazwać jednolitą pod względem narodowościowym, gdyż żywioł białoruski stanowi w niej 76.5%, wahając się od 68% (dla powiatu Bobrujskiego) do 84.3% (pow. Rzeczycki).

W poszczególnych powiatach Białorusini stanowią: w Rzeczyckim 34.3%, Nowogródzkim 84%, Mińskim 83.6%, Ihumeń-

skim 82.6%, Borysowskim 81.1%, Mozyrskim 79.6%, Słuckim 79.4%, Bobrujskim 68.4%, w Mińsku 9.3%.

Cyfry te wydają mi się zbyt wygórowane, jeżeli zestawimy je z odsetkiem ludności polskiej i katolickiej. Część Polaków tendencyjnie zaliczono do katolików Białorusinów.

W powiatach	Polaków	Katolików
Mińskim bez miasta .	5. %	28.6 %
Borysowskim	4.1 „	13.4 „
Ihumeńskim	2.9 „	10.4 „
Słuckim	2.8 „	10.6 „
Pińskim	2.6 „	4.5 „
Mozyrskim	2.1 „	4.9 „
Bobrujskim.	2. „	4.9 „
Nowogródzkim . . .	1.7 „	10.4 „
Rzeczyckim.	1.1 „	3.8 „
miasto Mińsk	11.4 „	15.1 „
dla całej gubernii .	3.01%	10.15%

Zwłaszcza należałoby podnieść odsetek Polaków w powiatach Mińskim, Słuckim, Ihumeńskim i Nowogródzkim, gdzie jest dużo zaścianków szlacheckich. Brać szlachecka, nawet wyznająca prawosławie, uważa się za Polaków i odznacza się dużem przywiązaniem do tradycyj historycznych, wiążących ich z polskością.

Gub. Mińska pod względem narodowościowym i religijnym pozostawała w najcięższych kleszczach przepisów i praw wyjątkowych. Całej martyrologii ludności miejscowej nie spisać na wołowej skórze; imperyalizm państwowy tępił nieustannie i konsekwentnie wszystkie przejawy odrodzeniowe, usiłując zniwelować wszelkie różnice plemienne i wyznaniowe i przetworzyć je na swój własny organizm. Z 93 parafij katolickich a 141 kościołów, 174 kaplic, 50 klasztorów męskich i 10 żeńskich — dziś pozostało 48 kościołów. Pod pozorem odpolszczenia kraju otworzono nową ciemną kartę dziejową...

Wszelkie jednak wysiłki rusyfikacyjne nie pozbawiły cech odrębnych mińszczyzny.

Tu musimy zwrócić uwagę na Polesie, jako na dzielnicę, posiadającą cechy charakterystyczne. Granice Polesia właściwie nie leżą w obrębie gub. Mińskiej, gdyż od zachodu wrzyna się ona w gub. Grodzieńską, od południa w gub. Wołyńską i od wschodu w gub. Mohylewską. Obszerne powiaty: Ihumeński, Bobrujski,

Słucki, Piński, Mozyrski i Rzeczycki stanowią owe Polesie, zajęte przez kotliny Berezyny, Prypeci, Ptyczy, Słuczy, Jasiołdy i Piny i nieskończonej liczby innych rzeczek i wielu jezior, oraz obszary bagniste i lesiste. Tak zwani „Poleszuki," nie uznający się ani za Polaków, ani za Rosyan, pierwsi uświadomili sobie swoje pochodzenie białoruskie i rozbudzili w sobie poczucie narodowe. Wprawdzie ani niedogodne położenie geograficzne — przejściowa, błotna, lasem pokryta równina, ani dawna, w mroku wieków ginąca utrata niepodległości politycznej nie sprzyjały tu prądom odrodzeniowym, powstaniu przemysłu fabrycznego, założeniu wielkich miast, tych współczesnych pionerów cywilizacyi i utworzeniu się szerokich zastępów inteligencyi, jednakże niższe warstwy białoruskie przechowały na Polesiu do dziś dnia w zupełnej czystości własną kulturę i własną psychikę. Z drugiej strony jednak brak kultury, opłakany stan ekonomiczny, zapadłe, zabite od świata obszary, izolacya od wpływów zewnętrznych, obcowanie, nie sięgające poza granice rodzimej parafii, umacniały pierwiastki etniczne, na których glebie przy zmienionych warunkach może powstać ruch odrodzeniowy.

Tak zwani „Poleszuki," to podkład bujny, to materyał dla nowych haseł, wywołanych łoskotem szalejącej nad Państwem Rosyjskiem rewolucyi.

Rosyanie stanowią nader nieznaczny odsetek, nie przewyższający 2%, jedynie większe skupienie spotykamy w powiecie Bobrujskim (10%), Borysowskim (3.1%) i Pińskim (2.6%). Rosyanie są przeważnie żywiołem napływowym, klasą urzędniczą; wobec jednak poparcia władz i ogólnej polityki, mają dość znaczne wpływy i rozgałęzione stosunki z miejscowem włościaństwem. Rosyanie prawie wszyscy są zdecydowanymi centralistami i z uporczywością dużą zwalczają wszelkie prądy emancypacyjne. Organem ich jest „Mińskie Słowo," redagowane przez sławnego Gustawa (w prawosławiu Michała) Szmidta. Przed paru tygodniami ten filar reakcyi, nie przebierający w środkach, zmarł, ale śmierć jego nie wpłynie na uzdrowotnienie stosunków, gdyż wśród jego przyjaciół politycznych znajdzie się wielu do kontynuowania jego kreciej pracy. Ostoją żywiołu rosyjskiego jest Mińsk, gdzie odsetek Rosyan dosięga 25.5, przy 2.3% Białorusinów i 11.4% Polaków. Przewagę jednak mają Żydzi, którzy stanowią 51.2% ogółu ludności. Wogóle gub. Mińska w Państwie Rosyjskiem zajmuje drugie miejsce pod względem zaludnienia żydowskiego (16.06%); poszczególne powiaty ich liczą:

powiat	Piński (bez miasta) .	19.6%
miasto	Pińsk	74.2 „
powiat	Bobrujski	19.4 „
„	Mozyrski	16.3 „
„	Słucki	15.6 „
„	Rzeczycki	12.8 „
„	Ihumeński	12.3 „
„	Nowogrodzki . . .	12.3 „
„	Borysowski	11.3 „
„	Miński (bez miasta).	9.3 „

W epoce ruchów wolnościowych, dzięki fatalnym ekonomicznym warunkom, w jakich znajduje się proletaryat żydowski i wskutek przeludnienia ludności żydowskiej, „Bund“ wywierał znaczny wpływ na proletaryat żydowski i liczył wśród inteligencyi żydowskiej bardzo dużo zwolenników.

Przechodzimy obecnie do ostatniej z gubernij białoruskich— Grodzieńskiej. Ta gubernia jest częściowo tylko zaludniona przez Białorusinów, gdyż 3 powiaty: Białostocki, Bielski i Sokólski stanowią dawne Podlasie i są przeważnie zamieszkałe przez Polaków, w powiatach zaś: Brzeskim, Kobryńskim i po części Prużańskim mieszkają Rusini (Ukraińcy). Białorusini stanowią w gub. Grodzieńskiej, według danych urzędowych 43.97%, liczba stanowczo wygórowana, jeśli uwzględnimy żywioł polski w dawnym obwodzie białostockim, potraktowany bardziej, niż po macoszemu, w spisie jednodniowym.

Na terytoryum białoruskiej części gubernii Białorusini stanowią przeważającą większość. Stosownie do liczby ludności białoruskiej powiaty tak po sobie następują:

Wołkowyski . .	82.5%	Prużański . . .	75.5%
Słonimski . . .	80.6 „	Grodzieński . .	65.8 „

Katolicy białorusini stanowią w powiatach:

Wołkowyskim .	26.9%	Prużańskim . .	6.5%
Słonimskim . .	8.6 „	Grodzieńskim. .	20.3 „

ogólnej ludności.

Znów sądziłbym, że liczba katolików-Białorusinów jest nieco wygórowaną i należałoby ją obniżyć na korzyść żywiołu polskiego.

Reszta Białorusinów wyznaje prawosławie, tradycye unii są jednak dość silne i manifest tolerancyjny zmienił nieco stosunek wzajemny wyznań. Nie mam danych co do conversów, by te poprawki wykreślić. Po roku 1863 wielu wsiom, nawet katolickim, gwałtem narzucono wyznanie prawosławne.

Polacy, podług danych urzędowych, w dużej mierze tendencyjnych i nieprzychylnych dla nas, stanowią w Białorusi grodzieńskiej następujący odsetek:

w powiecie	Grodzieńskim . .	5.6
„	Wołkowyskim . .	2.3
„	Słonimskim. . .	1.6
„	Prużańskim. . .	1.4

Jeżeli uwzględnimy dość polski charakter katolicyzmu w tamtych stronach i zestawimy z odsetkiem wyznawców katolicyzmu, to unaocznimy w dość jaskrawy sposób tendencyjność urzędowych danych.

Katolików liczą w powiatach:

Wołkowyskim . .	29.2%
Grodzieńskim . .	20.1 „
Słonimskim . . .	10.1 „
Prużańskim . . .	7.9 „

W powiecie Prużańskim, w puszczy Białowieskiej spotykamy kolonistów Mazurów. W ich ręku jest 0.24% ogólnej ziemi nadziałowej danego powiatu.

W ręku polskim w r. 1905 było ziemi:

W pow.	Słonimskim	59.6%	większej	własn.,	25.1%	całego	teryt.
„	Wołkowyskim	58.2 „	„	„	24.9 „	„	„
„	Grodzieńskim	46.4 „	„	„	16.8 „	„	„
„	Prużańskim	36.8 „	„	„	11.3 „	„	„

W stowarzyszeniach i instytucyach publicznych, zawodowych, społecznych i kulturalnych żywioł polski jest silnie reprezentowany. W północnym cyplu powiatu Grodzieńskiego, brzegiem Niemna, od wsi Szandabry w dół rzeki i w okolicach Druskienik, spotykamy parę tysięcy wymierających Litwinów o nader słabem poczuciu swej odrębności narodowej. Także w 5 wioskach w gminie Zdzięciolskiej, w powiecie Słonimskim, mieszkają Litwini. Stanowią oni dla tych powiatów następujący odsetek:

W powiecie Grodzieńskim 1.9
„ Słonimskim 0.1.

Litwini wyznają katolicyzm.

Rosyanie są nader nieliczni. Jeżeli jednak urzędowe dane dają dość wysoki odsetek, to należy uwzględnić, że podczas spisu jednodniowego włączono i wojsko, konsystujące wówczas w gubernii, a w którem znaczny jest odsetek Rosyan.

Poszczególne powiaty liczą:

	Rosyan	Wojska
Grodzieński . . .	6.3%	5.1%
Prużański	3 „	2.1 „
Wołkowyski . . .	2.3 „	2 „
Słonimski	2.1 „	0.8 „

Na Białorusi Grodzieńskiej wyznaniem dominującem jest prawosławie. Liczy ono wyznawców w powiatach:

Prużańskim . . .	78.8%
Słonimskim . . .	74.1 „
Wołkowyskim . .	58 „
Grodzieńskim . .	51.7 „

W południowej części powiatu Prużańskiego spotykamy Rusinów-Ukraińców, którzy stanowią 6.7% ogółu ludności danego powiatu. Rusini wyznają religię prawosławną.

Gub. Grodzieńska jest najbardziej żydowską z całego państwa, Żydzi stanowią w niej 17.37% ogółu ludności.

W poszczególnych powiatach białoruskich gub. Grodzieńskiej Żydów liczą:

Powiat Grodzieński	20.1%
„ Słonimski	15.3 „
„ Prużański	12.8 „
„ Wołkowyski . . .	12.4 „

Oprócz tego spotykamy w gub. Grodzieńskiej Niemców; liczba ich w powiatach białoruskich waha się pomiędzy 0.2 — 0.3% ogólnej ludności.

Trzy powiaty gub. Grodzieńskiej: Białostocki, Bielski i Sokólski, po ostatnim rozbiorze Polski dostały się Prusom i pozostawały pod ich władzą aż do pokoju tylżyckiego. W r. 1808 obwód Białostocki został przez Napoleona darowany i włączony do Rosyi.

Powiat Bielski i część powiatu Białostockiego stanowiły składową część Korony, ciążyły i ciążą pod względem ekonomicznym bardziej ku Warszawie, niż ku Litwie. Jest to dalsze przedłużenie etnograficznej Polski, posiadające odrębną strukturę kulturalną, społeczną i ekonomiczną, podstawowo różniącą je od reszty kraju, z którym jest związane tylko zależnością administracyjną. Trudno jest tu dać choć względną statystykę narodowości, gdyż statystyka urzędowa ze względów politycznych jest tendencyjnie fałszywa. Chciano zacieśnić obszar ziem zamieszkanych przez Polaków w granicach Kongresówki, a polityka centralistyczna wymagała, by Polacy poza nią byli tylko nieznacznem nawarstwieniem. W myśl tych zasad „spreparowano" statystykę, z której wypada, że poszczególne powiaty posiadają niby taki odsetek Polaków:

Powiat	Sokólski	Polaków	1.2%	przy	69.4%	katolików(!!)	
„	Białostocki	„	34.1 „	„	47.1 „	„	
„	Bielski	„	34.9 „	„	36.6 „	„	

Według mego zdania około 50% ogółu ludności tych powiatów należałoby zaliczyć do narodowości polskiej. W powiecie Bielskim, około Siemiatycz, spotykałem chłopów i braci szlachtę Polaków, wyznawców prawosławia, które im tu gwałtem narzucono. Po ukazie tolerancyjnym stosunki w tych stronach zmieniły się na korzyść katolicyzmu, nie mając jednak ścisłych danych, trudno jest coś o tem orzec.

Poza Polakami w powiatach tych mieszkają Białorusini i Rusini. Cyfry urzędowe podają w powiecie Sokólskim Białorusinów 83.9%. Cyfra stanowczo fałszywa. Nawet, gdyby ją przepołowić, to i w tym wypadku uważam ją za wysoką. Białorusini stanowią maximum około 30% ludności tegoż powiatu. Te same dane wykazują, że w powiecie Białostockim Białorusini stanowią 26%. I tu należałoby zrobić znaczną poprawkę — Białorusinów więcej tu nie będzie nad 15%.

W powiecie Bielskim dane statystyczne wykazują 4.9% Białorusinów. Cyfra wiarogodna i prawdopodobnie odpowiadająca rzeczywistemu układowi stosunków narodowościowych. Liczba jednak Rusinów-Ukraińców (39.1) wydaje mi się mocno wątpliwą.

Rosyanie stanowią w tych powiatach następujący odsetek:

W pow.	Białostockim	6.7%	przy	wojsku	stanowiącem	7.3%	
„	Bielskim	5.9 „	„	„	„	0.4 „	
„	Sokólskim	1.8 „	„	„	„	2.3 „	

Niemcy	w powiecie	Białostockim	3.6%;	Żydzi	28.9%
„	„	Bielskim	0.2 „	„	14.9 „
„	„	Sokólskim	0.1 „	„	12.4 „

Białystok i powiat Białostocki są to najbardziej uprzemysłowione punkty na całym obszarze Litwy i Białorusi. Tu się zogniskował przemysł sukienniczy, bawełniany i metalurgiczny. W powiecie liczono w r. 1907 fabryk i zakładów przemysłowych 374, w tem młynów 159, fabryk tkackich 79, garbarni 36, kortowni 24, przędzalni 20 i t. d. W Białymstoku liczono 334 fabryki i zakłady przemysłowe. Najwięcej jest fabryk tkackich (175) z produkcyą roczną 373,400 rb., następnie przędzalni 51 z produkcyą roczną 856,700 rb., fabryk sukna 18 z produkcyą roczną 669,200 rb., garbarni 14 z produkcyą roczną 125,400 rb. Tem się tłómaczy wysoki odsetek Żydów, którzy zwykle skupiają się w centrach przemysłu i stosunkowo dość znaczny procent Niemców. Ludność Białegostoku pod względem narodowościowym przedstawia następujący stosunek: Żydów 66%, Polaków 18%, Rosyan 6%, Niemców 5½% i Białorusinów 2%.

Żydzi stanowią 37,57% ogółu proletaryatu fabrycznego Białegostoku, a w przemyśle fabrycznym pracują przeważnie tylko tam, gdzie właścicielami fabryk są ich współwyznawcy i gdzie istnieje możność skompletowania większości robotników również z pomiędzy współwyznawców. Fabryka bowiem o mieszanym kontyngensie robotników żydowsko-chrześcijańskich musi święcić aż 2 dni w tygodniu, co jest zbyt nieekonomiczne. 68,2% fabryk w okręgu Białostockim jest w ręku żydowskiem. Siła to potężna i przy dzisiejszym ustroju społecznym mogąca zaważyć na biegu życia. Skonstatowano np., że znaczna część robotników chrześcijan w Białymstoku włada żargonem i nawet są tacy, którzy posługują się tą gwarą w domu w stosunkach rodzinnych. Przemysł białostocki jest w dużej mierze w ręku Żydów. Położenie znacznej większości robotników i rzemieślników żydowskich jest nader smutne. Wynikiem tego jest przeludnienie ludności żydowskiej, pociągające za sobą nadmiar sił roboczych w stosunku do istniejącego zapotrzebowania, a w związku z tem nizkie płace zarobkowe. Jak mogą nie istnieć głodowe zarobki tam, gdzie, jak w Białymstoku, 1 rzemieślnik-Żyd przypada na 15 głów ogółu ludności.

Pod względem wyznaniowym ludność obwodu Białostockiego przedstawia obraz następujący:

	Katolicy	Prawosławni	Żydzi	Protestanci
Pow. Białostocki	47.1%	20.2%	28.9%	3.5%
„ Bielski	36.6 „	48.2 „	14.9 „	0.3 „
„ Sokólski	69.4 „	18.1 „	12.2 „	0.1 „

Białorusini-katolicy stanowią według urzędowych danych(?):

W powiecie Białostockim 13 % (cyfra niezupełnie prawdopodobna)
„ Bielskim 1.7 „ (cyfra wiarogodna)
„ Sokólskim 68.2 „ (? cyfra bezwarunkowo fałszywa).

Powiaty Kobryński i Brzeskolitewski wchodzą w skład Rusi, prawie, że nie posiadają Białorusinów (w Brześciu 1.8%, w Kobryńskim 0.8%) wobec tego rozważanie stosunków narodowościowych w tych powiatach nie wchodzi w ramy zakreślonej przezemnie pracy.

Etnograficzne terytoryum Białorusi wkracza do Królestwa Polskiego i zajmuje południową część powiatu Augustowskiego gub. Suwalskiej (okolice Lipska, Sopoćkiń). Białorusini w gub. Suwalskiej są w znacznej mierze spolonizowani, mowa ich nader zbliżona do języka polskiego, tak że można ją uważać za gwarę polską z naleciałościami białoruskiemi. Poczucie odrębności białoruskiej w zaniku, natomiast spotykamy w niektórych wioskach uświadomienie w kierunku przynależności do narodu polskiego.

Według urzędowych danych Białorusini w powiecie Augustowskim stanowili 32.5%. Większa część ich wyznawała prawosławie. Stosunki jednak kardynalnie się zmieniły po ukazie tolerancyjnym i gdy przedtem liczono prawosławnych 19%—w r. 1907 odsetek ten zredukował się do 3.2%, to jest niższym nawet, niż odsetek Rosyan, których w r. 1897 liczono 5.4%.

Skład ludnościowy powiatu Augustowskiego przedstawia się następująco: Polacy 49.1%, Rosyanie 5.4%, Żydzi 11.4%. Pod względem wyznaniowym ludność dzieliła się w r. 1907: na katolików 81.8, Żydów 13.2, prawosławnych 3.2, starowierów 1.3, protestantów 0.5.

W powiecie Augustowskim dużo majątków ziemskich jest w ręku Żydów, tem smutniej, że w ręku Żydów rosyjskich, którzy z powodu zakazu kupowania ziemi na Litwie i Białorusi cisną się do gub. Suwalskiej, wykupują znaczne obszary ziemi, wprowadzając do stosunków miejscowych niepożądany rusyfikacyjny czynnik.

Żyjemy w wieku rozkwitu idei narodowościowych. Rozwinęły się one pod wpływem ideologii rewolucyi francuskiej o prawie każdego narodu do samodzielnego bytu. Demokratyzacya

*

ogólna, to zjawisko tak powszechne, że sięgnęło do mas ludowych i dało impuls do odrodzenia kultur ludowych biernie przechowanych in statu quo w ludzie.

Pod wpływem nowych prądów emancypacyjnych, lud, uwolniony z więzów nieruchomości i bezwzględnej opieki, daje wyraz swych potrzeb w akcyi politycznej i kulturalnej. U narodów posiadających własną państwowość, wyraża się ona w pracy u podstaw nad podniesieniem ogólnej kultury dobrobytu i wydajności twórczej. Narodowości natomiast podbite, zwłaszcza te, których klasy posiadające uległy wynarodowieniu, dążą do zrzucenia pęt dziejowych i wytworzenia warunków sprzyjających ich rozwojowi.

Do narodów najbardziej w tym względzie zacofanych należy lud białoruski. Narodowy ruch białoruski jest w stanie zalążkowym i proces odrodzeniowy ogarnął li tylko drobniutką warstewkę inteligencyi białoruskiej nb. przeważnie z kulturą polską, nader słabo przedarł się do mas ludowych, które dotychczas pozostały materyałem etnograficznym, biernym obiektem ścierających się wpływów. Tłómaczy się to przedewszystkiem faktem, że narzecze białoruskie zbyt mało posiada cech odrębnych, aby nie ulegało wpływom przeważnym języków rosyjskiego lub polskiego. Wskutek tego nie wytworzyła się dotąd wcale rodzima inteligencya, pochodząca z ludu i Białorusin kształcąc się zależnie od wyznawanej religii, staje się Polakiem lub Rosyaninem.

W początkach XIX wieku pod wpływem panslawizmu zaczęto się w Polsce interesować Białorusinami. Zainteresowanie się owe wyrażało się w pracach uczonych nad etnografią i archeologią białoruską. W latach sześćdziesiątych pod wpływem szerzących się dążności demokratycznych ukazują się pisarze i działacze, w których już dźwięczy pragnienie dźwignięcia kultury ludowej. Poczęto więc gromadzić utwory poezyi ludowej—pieśni, gadki i przysłowia ludu białoruskiego i nawet pisywać w narzeczu białoruskim. Najwybitniejszym z tych pracowników na polu piśmiennictwa białoruskiego był Wincenty Marcinkiewicz. Reakcya państwowa po r. 1863 i system Murawiewa zabiły w zarodku cały ruch literacki białoruski. Stworzono w tym celu specyalną teoryę oficyalną o Białorusi, jaki „iskoni“ rosyjskim kraju i z całą bezwzględnością tępiono wszelkie przejawy separatyzmu. W osiemdziesiątych latach rozbrzmiało w uniwersytetach rosyjskich hasło „pójścia w lud.“ Hasło to udziela się młodzieży polskiej, pochodzącej z Białorusi. I oto po uniwersytetach rosyjskich organizują się białoruskie studenckie „Hromady.“ Propagowana idea częstokroć stwierdza się czynem. Zjawiają się nieco później pi-

sarze białoruscy jako to: Maciej Buraczok (Bohuszewicz), Janko Luczym (Niesłuchowski), Januk Żurba i inni.

Gdy nastały czasy przesilenia państwowego, dzięki usiłowaniom szlachetnych jednostek wierzących szczerze w odrodzenie narodu białoruskiego, na widownię publiczną weszła sprawa białoruska. Powstała „Nasza Dola," a później na jej miejscu „Nasza Niwa," jako wyrazicielka tych ukrytych aspiracyj, o których mówić głośno nie było wolno. Świadomość ludowa uczyniła pewien postęp, hasła białoruskie znalazły oddźwięk pod strzechą chłopską, czego dowodem mogą być nader liczne korespondencye chłopskie z różnych okolic, umieszczane w „Naszej Niwie." Białorusini powoli wstępują na drogę odrodzenia narodowego. Dziś jeszcze trudno przewidzieć, jakiemi drogami będzie kroczyć ów rozwój narodowy i czy ma szanse powodzenia. Rozbieżność kulturalna i ekonomiczna poszczególnych dzielnic Białorusi nie pozwala nawet na ustalenie granic przyszłego ruchu białoruskiego.

Miłośnicy Białorusi powinni jednak zwrócić przedewszystkiem uwagę na podniesienie kulturalno-ekonomiczne własnego kraju, gdyż dobrobyt ekonomiczny jest pierwszym i nieodzownym warunkiem wszelkiego rozwoju, a zaspokojenie potrzeb ekonomicznych będzie impulsem naturalnym do obudzenia w ludzie samowiedzy narodowej.

Piotr Zubowicz.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1910.

STUDYA FILOZOFICZNE.

Str.

HISTORYOZOFIA TRENTOWSKIEGO,—przez *d-ra Adama Zieleńczyka* . 353

HISTORYA.

ALEKSANDER I i ADAM KS. CZARTORYSKI W LONDYNIE 1814 r.,—przez *Eugeniusza Wawrzkowicza* 57

LOSY POLSKICH INSYGNIÓW KORONNYCH, — przez *d-ra Maryana Kukiela* 250

NAPOLEON W WILNIE w 1812 r.,—przez *Janusza Iwaszkiewicza* 437

MŁODZIEŻ LITEWSKA I DEKABRYŚCI,—przez *Henryka Mościckiego* . 474

HISTORYA LITERATURY.

ZE STOSUNKÓW SŁOWACKIEGO Z KRASIŃSKIM, — przez *d-ra Stanisława Kossowskiego* 22

LATA UNIWERSYTECKIE MICKIEWICZA,—przez *J. Kallenbacha* . 228 i 457

O POLSKIEM CZASOPIŚMIENNICTWIE NAJSTARSZEJ DOBY,—przez *G. Smólskiego* 534

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCIOPISARZ-MISTYK (Robert Hugon Benson), — przez *d-ra Andrzeja Tretiaka* 127

NAŚLADOWANIE I TWÓRCZOŚĆ,—przez *Wł. Koryckiego* 154

Str.
W POŁOWIE SEZONU (kronika teatralna),—przez *Wł. Rabskiego* . . . 314
STAN WSPÓŁCZESNEJ PLASTYKI POLSKIEJ, — przez *M. Trzebińskiego* 339
O PIERWIASTKACH MUZYCZNYCH W POEZYI SŁOWACKIEGO, — przez *Juliusza Tennera* 506
SZTUKA WE FRANCYI,—przez *Konrada Ostrowskiego* 523

LITERATURA.

OPOKA (powieść),—przez *Kazimierza Zdziechowskiego* . . . . . 1, 209 i 417

SZKICE SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

POCZĄTKI ODRODZENIA KATOLICYZMU W ANGLII, — przez *Konrada Ostrowskiego* 74
BEZROLNI I MAJORATY,—przez *Wł. Grabskiego* . . . . . 91 i 293
EMIL FAGUET,—przez *Orwida* 258

SZKICE PODRÓŻNICZE.

HAWAII,—przez *Witolda Szyszłłę* 568

KRYTYKA.

Szymon Askenazy: „Dwa stulecia XVIII i XIX,“—przez *H. M.* 173
Stanisław Przybyszewski: „Dzień sądu,“—przez *Henryka Gallego* . . . 175
Stefan Żeromski: „Andrzej Radek, czyli Syzyfowe prace,“—przez *H. G.* 180
„Malarstwo polskie w odbitkach barwnych.“ Nakładem i pod redakcyą Stefana Kulikowskiego,—przez *H. Piątkowskiego* . 183
Ludwik Janowski: „Lata uniwersyteckie Słowackiego,“ — przez *H. Mościckiego* 374
K. Wojenskij: „Akty, dokumienty i matieriały dla istorii 1812 goda,“—przez *Janusza Iwaszkiewicza* 380
Ptaśnik Jan d-r: „Denar Św. Piotra obrońcą jedności politycznej i kościelnej w Polsce,“—przez *I. B.* 384
Konstanty Kościński: „Sprawa mazurska,“—przez *W. D.* 385
Jan St. Lewiński: „Szewcy warszawscy,“—przez *W. D.* 387
Henryk Apolinary Konn: „Prawa wyjątkowe,“—przez *W. D.* 388
Henryk Pestalozzi: „Jak Gertruda uczy swoje dzieci,“ — przez *Władysława Borowskiego* 581
Dr. Leopold Caro: „Auswanderung und Auswanderungspolitik in Oesterreich,“—przez *Zygmunta Bujakowskiego* 585

Str.

Adam Szymański: „Z jakuckiego Olimpu, Jurdiůk Ustiůk Us,"—przez *H. G.* 591

Władysław Grabski: „Pogląd na politykę i pracę parlamentarną posłów polskich w III Izbie państwowej rosyjskiej," — przez *Wacława Dunina* 591

Władysław Grabski: „Ekonomia rolnicza gospodarstw mniejszych, — przez *W. D.* 594

Dr. Roman Dyboski: „Charles Kingsley i socyalizm chrześcijański w Anglii,"—przez *W. D.* 596

Edward Bogusławski: „Społeczeństwo i cywilizacya"—przez *W. D.* . . 597

Emil Faguet: „Liberalizm,"—przez *W. D.* 597

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Na marginesie dyskusyi w sprawie żydowskiej. — Ilu Polaków mieszka w Rosyi?—Projekt uczczenia setnej rocznicy śmierci Hugona Kołłątaja. — 50-iolecie „Tygodnika Illustrowanego." — „Ziemia," organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego 187

LUTY:

Plan przyszłej Warszawy. — Obchód rocznicy Grunwaldzkiej. — Bank współdzielczy. — Muzeum w Piotrkowie. — Zamknięcie „Oświaty" w Nieświeżu i Macierzy małoroln. w Płocku 390

MARZEC:

Deklaracya polska na Zjeździe słowiańskim w Petersburgu. — Setna rocznica urodzin Chopina. — Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem. — Teatry i chóry włościańskie 600

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Ś. p. Cypryan Godebski,—przez *Z. D.* 201

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ 203

LUTY 402

MARZEC 609

DODATEK „PRACA."

PRZY ZESZYCIE STYCZNIOWYM (№ 1): „Białoruś i Białorusini," — przez *Piotra Zubowicza.*

PRZY ZESZYCIE LUTOWYM (№ 2): „Białoruś i Białorusini" (dokończenie),— przez *Piotra Zubowicza.*